



*Georgij Iwanowicz Gurdżijew*

**OPOWIEŚCI**  
**BELZEBUBA**  
dla wnuka

Georgij Gurdzijew

**OPOWIEŚCI  
BELZEBUBA  
dla wnuka**

**Obiektywnie bezstronna krytyka życia ludzi**

Wydawnictwo CZARNA OWCA, 2009

Wersja elektroniczna: **HB**

# **WSZYSTKO I RZECZ WSZELKA**

## ***DZIEŁO W TRZECH CYKLACH***

**CYKL PIERWSZY:** Opowieści Belzebuba dla wnuka.  
Obiektywnie bezstronna krytyka życia ludzi.

**CYKL DRUGI:** Spotkania z wybitnymi ludźmi.

**CYKL TRZECI:** Życie jest realne tylko wtedy, gdy „Ja jestem”.

Całość wyłożona według zupełnie nowych zasad logicznego rozumowania, ściśle ukierunkowana na rozwiązanie trzech kardynalnych problemów:

**CYKL PIERWSZY:** Bezlitośnie i bez żadnych kompromisów wytępić w myśleniu i uczuciach czytelnika zakorzenione w nim od wieków wierzenia i poglądy na wszystko, co istnieje w świecie.

**CYKL DRUGI:** Zaznajomić czytelnika z materiałem potrzebnym do nowej budowy i dowieść, że jest solidny oraz dobrej jakości.

**CYKL TRZECI:** Sprzyjać pojawieniu się w myśleniu i uczuciach czytelnika prawdziwego niefantazyjnego wyobrażenia o świecie realnym, a nie o tym iluzorycznym, który postrzegają ludzie.

## ***Życzliwa rada autora dla czytelnika***

*[Napisana na oczekaniu przez autora w chwili dostarczenia niniejszej książki, już gotowej do publikacji, drukarzowi.]*

Zgodnie z licznymi wywodami i wnioskami wyprowadzonymi przeze mnie w trakcie eksperymentalnych badań nad korzyściami, jakie odnoszą ludzie współcześni z odbioru nowych wrażeń płynących z tego, co usłyszeli i przeczytali, a także zgodnie z sensem pewnego porzekadła zaczerpniętego z mądrości ludowej i sięgającego zamierzchłych czasów, które właśnie sobie przypomniałem, a które głosi:

„Każda modlitwa może być wysłuchana przez Wyższe Moce i zostać odpowiednio wynagrodzona tylko wtedy, gdy się ją wypowie po trzykroć:

po raz pierwszy – za zdrowie lub spokój duszy rodziców,

po raz drugi – za zdrowie bliźniego swego,

po raz trzeci – za własną pomyślność”, czuję się zobowiązany przekazać na pierwszej stronie tej pierwszej, w pełni gotowej już do druku książki następującą radę:

„Każde napisane przeze mnie dzieło przeczytaj trzy razy:

pierwszy raz – chociażby tak, jak się już przyzwyczaiłeś czytać współczesne książki i gazety,

drugi raz – jakbyś czytał postronnemu słuchaczowi,

i dopiero za trzecim razem – próbując wniknąć w sedno tego, co napisałem”.

Jedynie wtedy będziesz w stanie wydać własny i bezstronny, tobie tylko właściwy osąd o moich pismach. I tylko wtedy będzie mogła ziścić się moja nadzieja, że zgodnie ze swoim rozumieniem odniesiesz ów określony pożytek, który dla ciebie przewidziałem i którego życzę ci całym swoim jestestwem.

# **Część Pierwsza**

# *Rozdział 1*

## *Rozbudzenie myśli*

Wśród różnych przekonań; które ukształtowały się w mojej zbiorczej obecności w trakcie mojego odpowiedzialnego, osobliwie układającego się życia, znajduje się także jedno niewątpliwe przekonanie, że zawsze i wszędzie na Ziemi, u wszystkich ludzi – bez względu na poziom rozwoju ich rozumienia i formę, w jakiej przejawiają się czynniki warunkujące powstanie w ich indywidualności wszelkiego rodzaju ideałów – panował zwyczaj, że rozpoczynając jakieś nowe dzieło, należy koniecznie wypowiedzieć głośno, a jeśli nie na głos, to przynajmniej w myśli, ustaloną formułę, zrozumiałą dla każdej, nawet całkiem niewykształconej osoby, różnie brzmiącą w różnych epokach, a w naszych czasach wyrażaną następującymi słowami: „W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego, Amen”.

Oto dlaczego, zabierając się teraz do tego całkiem nowego dla mnie przedsięwzięcia, mianowicie pisarstwa, ja także zaczynam od wypowiedzenia tej formuły i nie tylko wymawiam ją na głos, ale robię to nawet bardzo dobitnie i z całą, jak to określili starożytni Tuluzyty, „w pełni przejawioną intonacją”, oczywiście w owej pełni, która mogła powstać w mojej zbiorczej obecności jedynie dzięki ukształtowanym już w celu takiego przejawu i gruntownie zakorzenionym w niej danym – danym, nawiasem mówiąc, które z reguły kształtują się w naturze człowieka w jego wieku przygotowawczym i które później, w trakcie jego odpowiedzialnego życia, decydują o charakterze i życiodajności owej intonacji.

Po takim początku mogę teraz być już całkiem spokojny i zgodnie z wyrobionymi u ludzi pojęciami moralności religijnej powinienem nawet być ponad wszelką wątpliwość przekonany, iż w tym moim nowym przedsięwzięciu wszystko odtąd, jak to się

mówi, „pójdzie jak po maśle”.

W każdym razie tak właśnie zacząłem, a co będzie dalej, w tej chwili można tylko powiedzieć, jak to kiedyś wyraził pewien ślepiec, „zobaczymy”.

W pierwszej kolejności położę swoją rękę; co więcej; rękę prawą – na razie wprawdzie nieco uszkodzoną z powodu nieszczęścia, które ostatnio mi się przydarzyło, ale bądź co bądź naprawdę moją i która nigdy mnie w życiu jeszcze nie zawiodła – na sercu, oczywiście także moim własnym (lecz o stałości czy niestałości tej części mnie całego nie widzę teraz potrzeby się rozwodzić), i wyznam szczerze, że choć osobiście nie mam najmniejszej ochoty zabierać się do pisania, to zmusiły mnie do tego całkiem niezależne ode mnie okoliczności, które, sam jeszcze nie wiem, czy powstały przypadkowo; czy też celowo stworzyły je zewnętrzne siły. Wiem tylko, że te okoliczności wymagają, bym napisał nie jakieś „byle co”, w rodzaju na przykład lektury do poduszki, lecz ważkie i opasłe tomy.

Rad nierad zaczynam...

Ale od czego zacząć?

Do diabła! Czyż znowu pojawi się to samo nader nieprzyjemne i bardzo osobliwe doznanie, jakiego miałem okazję doświadczyć mniej więcej trzy tygodnie temu, kiedy układałem w myślach ogólny zarys oraz kolejność idei, które postanowiłem opublikować, i kiedy tak samo nie wiedziałem, od czego zacząć?

To ówczesne doznanie mógłbym teraz ująć tylko w takich słowach: „strach przed utonięciem w powodzi własnych myśli”.

Wtedy, aby pozbyć się takiego niepożądanego doznania, mogłem jeszcze odwołać się do tej zgubnej właściwości, którą dzielę ze wszystkimi współczesnymi ludźmi – ponieważ stała się nam przynależna – i która powoduje, że odkładamy wszystko „na później”, nie czując z tego powodu żadnych wyrzutów sumienia.

Otóż mogłem to wówczas bardzo łatwo zrobić, ponieważ do faktycznego rozpoczęcia pisania wciąż jeszcze miałem dużo czasu; teraz jednak nie mogę już tak postąpić i, jak to się mówi,

„choćbym miał pęknać” muszę zacząć.

Ale tak naprawdę od czego zacząć...?

Hurra! Eureka!

Prawie wszystkie książki, które miałem okazję w życiu przeczytać, zaczynały się od przedmowy.

A więc ja też muszę zacząć od czegoś w tym rodzaju.

Mówię „w tym rodzaju” ponieważ generalnie w trakcie całego mojego życia, od chwili, gdy zacząłem odróżniać chłopca od dziewczynki, wszystko, absolutnie wszystko, robiłem nie tak, jak robią to inni podobni do mnie dwunożni niszczyciele dobra przyrody. Dlatego także teraz muszę – i być może jest to już nawet moim surowym obowiązkiem – zabrać się do pisarstwa inaczej, niż zrobiłby to każdy inny pisarz.

Tak czy owak, zamiast od tradycyjnego wstępu zacznę całkiem po prostu od ostrzeżenia.

Postąpię bardzo rozsądnie, zaczynając od ostrzeżenia, choćby dlatego, że nie sprzeciwi się to żadnej z moich organicznych, psychicznych czy nawet „sobiepańskich” skłonności oraz zasad, a jednocześnie będzie całkiem uczciwe, oczywiście w obiektywnym sensie tego słowa, ponieważ z niezachwianą pewnością oczekuję, jak zresztą wszyscy ci, którzy dobrze mnie znają, iż dzięki moim pismom większość czytelników od razu – a nie stopniowo, co z upływem czasu, prędzej czy później, spotka wszystkich ludzi – straci w zupełności wszelkie „bogactwa”, czy to przekazane im dziedzicznie, czy zdobyte własną pracą, występujące w postaci „kojących pojęć”, które są jedynie źródłem upiększonych wyobrażeń o ich obecnym życiu lub naiwnych mrzonek o tym, co czeka ich w przyszłości.

Tego rodzaju wstępy zawodowi pisarze rozpoczynają z reguły przemową do czytelnika pełną przeróżnych napuszonych i pompatycznych, można by rzec, „przesłodzono-nadętych” zwrotów.

Chyba tylko pod tym względem pójdę za ich przykładem i ja również zacznę od takiej przemowy, ale postaram się jej nie „przedobrzyć”, co oni mają w zwyczaju czynić, gdy tą swoją ma-



nię szarpia nerwy każdego mniej więcej normalnego czytelnika.

A zatem...

Moi drodzy, wielce szanowni, rezolutni i oczywiście bardzo cierpliwi Panowie oraz moje czcigodne, czarujące i bezstronne Panie! Przepraszam... pomiąłem najważniejsze: oraz moje zgoła nierozhisteryzowane Panie!

Mam zaszczyt poinformować Państwa, że chociaż w rezultacie pewnych okoliczności zaistniałych na jednym z ostatnich etapów procesu mojego życia zabieram się teraz do pisania książek, to w trakcie całej mojej dotychczasowej egzystencji nie tylko nie napisałem jeszcze żadnej książki ani żadnego „pouczającego artykułu” lecz także nie dane mi było napisać ani jednego listu, w którym byłbym zmuszony bezwzględnie przestrzegać tego, co zwie się „gramatycznością”, i dlatego, chociaż zostałem teraz zawodowym pisarzem, to nie mając żadnej wprawy ani w stosowaniu wszystkich ustalonych, profesjonalnych pisarskich norm i metod, ani w zakresie „języka bontonowo-literackiego”, zmuszony będę pisać zupełnie inaczej niż zwykli „patentowani pisarze” do których stylu najprawdopodobniej już od dawna tak się przyzwyczailiście jak do własnego zapachu.

Moim zdaniem poczujecie się tym zirytowani przede wszystkim dlatego, że jeszcze w dzieciństwie wszczepiono wam automatyzm, który obecnie już idealnie zharmonizował się z waszą zbiorczą psychiką i który znakomicie działa w momencie postrzeżenia wszelkiego rodzaju nowych wrażeń, powodując, że dzięki takiemu „dobrodziejstwu” nie potrzebujecie już teraz, w waszym odpowiedzialnym życiu, podejmować żadnych indywidualnych wysiłków.

Szczerze mówiąc, uważam, że środkiem ciężkości tego mojego wyznania nie powinien być mój brak znajomości wszelkich zasad i metod pisarskich, lecz nieopanowanie przeze mnie wspomnianego „języka bontonowo-literackiego”, którego bezwzględnie wymaga się w życiu współczesnym, i to nie tylko od pisarzy, ale także od każdego zwykłego śmiertelnika.

Co się zaś tyczy pierwszego punktu, czyli mojego braku znajomości różnych pisarskich zasad i metod, to on prawie w ogóle mnie nie martwi.

A nie martwi mnie, ponieważ dzisiaj wśród ludzi takie „dyletanctwo” jest już na porządku dziennym. To dobrodziejstwo pojawiło się i panoszy obecnie po całej Ziemi dzięki tej niezwyklej nowej chorobie, na którą przez ostatnie dwadzieścia-trzydzieści lat zapadają, z tego lub innego powodu, przede wszystkim te osoby wszystkich trzech płci, które śpią z na wpół otwartymi oczami i których twarze są pod każdym względem żyzną glebą pod uprawę wszelkiego rodzaju pryszczu.

Ta dziwna choroba najczęściej objawia się w następujący sposób: jeśli pacjent jest choć trochę piśmienny i opłaca czynsz za trzy miesiące z góry, to on (ona lub ono) niechybnie zaczyna pisać jakiś „pouczający artykuł” albo nawet całą książkę.

Zdając sobie dobrze sprawę z istnienia tej nowej ludzkiej choroby, a także z tego, że przybrała ona na Ziemi rozmiary epidemii, mam prawo – co zresztą powinniście zrozumieć – przyjąć, iż już się na nią, jak powiedzieliby uczeni „medycy” uodporniliście, a zatem nie będziecie dotkliwie oburzeni moim nieokrzesaniem, jeśli chodzi o różne zasady i metody pisarskie.

To właśnie uświadomienie sobie tego faktu spowodowało, że środkiem ciężkości mego ostrzeżenia postanowiłem uczynić swoją nieznaną „języka bontonowo-literackiego”.

Gwoli samousprawiedliwienia, a być może także po to, by złagodzić w waszej „świadomości na jawie” stopień potępienia mojej niewiedzy w zakresie tego niezbędnego we współczesnym życiu języka, uważam za konieczne wyznać z pokornym sercem i z policzkami płonącymi ze wstydu, że wprawdzie mnie również uczono takiego języka w dzieciństwie – to znaczy w okresie, gdy niektórzy starsi, przygotowujący mnie do odpowiedzialnego życia, „nie szczędzili” żadnych środków zastraszenia i ciągle zmuszali mnie do wkuwania na pamięć pełnej gamy różnych „niuansów”, które w sumie składają się na to współczesne „cudo” – ale niestety, na wasze nieszczęście, nic z tego, co mi wtedy wbijano do głó-

wy, nie przyswoiłem sobie i zupełnie nic z tego nie ocalało na potrzeby mojej obecnej działalności pisarskiej.

A niczego nie zapamiętałem nie z własnej winy ani nie z winy moich byłych, godnych i niegodnych szacunku nauczycieli, lecz ów ludzki trud poszedł na marne z powodu pewnego nieoczekiwanego i zupełnie wyjątkowego zdarzenia, które rozegrało się w chwili mojego pojawienia się na bożym świecie, a polegającego – jak ostatnio wyjaśniła mi, po bardzo drobiazgowym „psycho-fizyczno-astrologicznym” badaniu, pewna dobrze znana w Europie okultystka – na tym, że dokładnie w owej chwili wibracje dźwięku wydobywającego się w sąsiednim domu z fonografu Edisona wkradły się do naszego mieszkania przez dziurę wybitą w oknie przez naszą stukniętą kulawą kozę i że odbierająca mnie akuszerka miała właśnie w ustach nasyconą kokainą pastylkę produkcji niemieckiej – i to nie żaden erzac – którą ssała przy akompaniamencie wspomnianych dźwięków, nie doznając jednak należytej rozkoszy.

Oprócz tego tak niepowszedniego zdarzenia na moją obecną sytuację złożyło się – co, muszę wyznać, sam odgadłem po długich rozmyślaniach według metody niemieckiego profesora Herr Stumpfsinnschmausena – także to, że później, zarówno w okresie przygotowawczym, jak i w dorosłym już życiu, zawsze automatycznie i instynktownie, a czasem nawet świadomie, to znaczy z zasady, unikałem w obcowaniu z innymi używania tego języka. I stroniłem od tej bagateli, a może wcale nie bagateli, znowu z powodu trzech danych, które w wieku przygotowawczym ukształtowały się w mojej zbiorczej obecności i o których zamierzam poinformować was nieco dalej w tym pierwszym rozdziale moich pism.

W każdym razie jest faktem rozświetlonym ze wszystkich stron jak amerykańska reklama, którego nie są już w stanie zmienić, nawet korzystając z wiedzy „ekspertów od małych szwindli”, żadne siły, że ja, którego ostatnio bardzo wielu ludzi uważa za dosyć dobrego nauczyciela tańców świątynnych, choć stałem się od dzisiaj zawodowym pisarzem i oczywiście będę pisał dużo –

gdyż od dzieciństwa cechuje mnie to, że kiedy coś robię, „to robię tego dużo” – nie dysponując jednak, jak widzicie, potrzebną do tego automatycznie nabytą i automatycznie przejawiającą się wprawą, zmuszony będę zapisywać wszystkie moje przemyślenia prostym, zwykłym i stworzonym przez życie potocznym językiem, bez żadnych literackich manipulacji ani „gramatycznych wymądrzań”.

Ale to jeszcze nie wszystko!... Przecież nie zdecydowałem o rzeczy najważniejszej: w jakim języku mam pisać?

Wprawdzie zacząłem już pisać po rosyjsku, ale, jak powiedziałby najmądrzejszy z mędrców, Mułła Nasr Eddin\*, w tym języku „daleko nie zajdziesz”.

\* Mułła Nasr Eddin lub, jak czasami też bywa nazywany, Hodża Nasreddin, aczkolwiek jest pewnie mało znany w Europie i Ameryce, cieszy się za to niezwykłą popularnością we wszystkich krajach kontynentu Azja. Jest to postać legendarna, w rodzaju rosyjskiego Koźmy Prutkowa, amerykańskiego Wujka Sama albo angielskiego Johna Bulla, i na Wschodzie przypisuje mu się liczne popularne porzekadła, z których każde - czy to bardzo stare, czy też całkiem nowe - wyraża jakąś życiową mądrość.

Język rosyjski jest niewątpliwie bardzo dobry. Nawet sam go lubię, ale... tylko wtedy, gdy w grę wchodzi wymienianie się anegdotami lub wychwalanie czyjegoś rodowodu.

Język rosyjski jest trochę podobny do języka angielskiego, który z kolei znakomicie nadaje się do tego, by można było, zasiadłszy w palarni w jednym wygodnym fotelu z nogami wyciągniętymi na drugim, prowadzić dyskusję o australijskim mrożonym mięsie lub czasem też o „kwestii afgańskiej”.

Oba te języki przypominają danie zwane w Moskwie „solanką” do którego można wrzucić wszystko z wyjątkiem ciebie i mnie, w tym nawet „poobiednią czeszmę\*” Szeherezady.

\* Woal.

Powinienem jeszcze dodać, że różne przypadkowo – a może nieprzypadkowo – stworzone warunki, w których toczyła się moja młodość, spowodowały, iż musiałem bardzo sumiennie uczyć się – sam oczywiście się do tego zmuszając – mówić, czytać i pisać

w wielu językach, osiągając w nich taki stopień biegłości, że gdybym postanowił nie wykorzystywać do wykonywania tego ex promptu wymuszonego na mnie przez los zawodu „automatyzmu” nabytego dzięki praktyce, to prawdopodobnie mógłbym teraz pisać w dowolnym z nich.

Jeśli jednak miałbym postąpić rozsądnie i posłużyć się takim wszechułatwiającym automatyzmem, który generalnie zawdzięcza się długiej praktyce, to powinienem pisać albo po rosyjsku, albo po ormiańsku, ponieważ w ciągu ostatnich dwudziestu lub trzydziestu lat okoliczności mojego życia zmusiły mnie do używania w obcowaniu z innymi tylko tych dwóch języków, w rezultacie czego osiągnąłem w nich taką wprawę, że posługuję się nimi już całkiem automatycznie.

A kysz, ty rogate lichu!... Nawet i w tym wypadku od razu zaczął dręczyć mnie całego jeden z aspektów mojej osobliwej psychiki, nietypowy dla normalnego człowieka.

Główną przyczyną tego „nieszczęścia”, które spadło na mnie w podeszłym już bez mała wieku, jest to, że od samego dzieciństwa, wraz z wszelkim innym – równie niepotrzebnym we współczesnym życiu – chłamek, zakorzeniła się w mojej osobliwej psychice właściwość, która automatycznie całemu mnie nakazuje zawsze i we wszystkim kierować się wyłącznie mądrością ludową.

W danym wypadku, jak zwykle w podobnych niewyraźnych jeszcze sytuacjach życiowych, natychmiast pojawiło się i teraz, że tak powiem, „roi się” w moim mózgu – skonstruowanym tak nieudacznie, że mogę skwitować go tylko szyderstwem – to mądre porzekadło ludowe, które znali już ludzie w odległej przeszłości, a które dotarło do nas w następującej formie: „Każdy kij ma dwa końce”.

Moim zdaniem w świadomości wszystkich mniej więcej zdrowo myślących ludzi, którzy pragną zrozumieć zarówno podstawową myśl ukrytą w takim dziwnym sformułowaniu, jak i jego rzeczywisty sens, musi przede wszystkim zrodzić się przypuszczenie, iż wszystkie idee, na których opiera się i z których powin-

no wypływać domyślne znaczenie tego powiedzenia, odwołują się do tej znanej ludziom od wieków prawdy, która głosi, że każde zjawisko występujące w życiu człowieka jest wynikiem dwóch całkiem przeciwstawnych przyczyn oraz tworzy dwa rezultaty, tak samo diametralnie różne, które z kolei są przyczyną innych nowych zjawisk – „nowych” oczywiście tylko z pozoru. Na przykład jeżeli „coś” co jest wynikiem dwóch różnych przyczyn, wywołuje światło, to to samo „coś” musi niechybnie wywołać także zjawisko przeciwne, czyli ciemność; albo też, jeśli w organizmie dowolnej żywej istoty jakiś czynnik warunkuje powstanie impulsu namacalnego zadowolenia, to nieuchronnie musi on wywoływać również niezadowolenie, oczywiście tak samo namacalne – i tak dalej, zawsze i we wszystkim.

Gdybym w danej sytuacji, stosując się do tej mądrości ludowej – ukształtowanej przez wieki i wyrażonej za pomocą kija, który, jak powiedziano, faktycznie ma dwa końce: jeden uznawany za dobry, a drugi za zły – skorzystał ze wspomnianego automatyzmu, który wyrobiłem w sobie tylko dzięki długiej praktyce, to oczywiście okazałoby się to dla mnie dobre, ale, zgodnie z tym porzekadłem, dla czytelnika musiałoby to mieć skutek wręcz odwrotny – a na czym polega odwrotność tego, co dobre, bardzo łatwo potrafi zrozumieć nawet ten, kto nie jest posiadaczem hemoroidów.

Krótko mówiąc, jeżeli wykorzystam swoją przewagę i chwycę za dobry koniec kija, to zły koniec niechybnie spadnie na głowę czytelnika.

I coś takiego rzeczywiście może się wydarzyć, ponieważ język rosyjski zupełnie nie nadaje się do wyrażania wszelkich „subtelności” licznych kwestii filozoficznych, które zamierzam dość obszernie poruszyć w moich pismach, natomiast język ormiański, choć na to pozwala, to na nieszczęście wszystkich współczesnych Ormian stał się zupełnie nieprzydatny do rozpatrywania pojęć współczesnych.

Wyłącznie po to, żeby złagodzić gorycz wewnętrznej krzywdy, którą właśnie sobie wyrządziłem, powiem tylko, że we wczesnej

młodości, gdy zainteresowały mnie i pochłoneły kwestie filozoficzne, język ormiański przedkładałem nad wszystkie inne języki, którymi wówczas władałem, włączając w to nawet mój język ojczysty.

Bardzo go lubiłem głównie z powodu jego swoistego charakteru i dlatego, że w niczym nie przypominał sąsiednich czy spokrewnionych z nim języków.

Wszystkie jego, jak to mówią uczeni filologowie, „tonalności” były właściwe tylko jemu i, co zrozumiałem już nawet wtedy, doskonale odpowiadał on psychice ludzi tej narodowości.

Jednakże w ciągu ostatnich trzydziestu lub czterdziestu lat ten język tak się na moich oczach zmienił, że chociaż nie stracił jeszcze do końca owej samodzielności i specyfiki, które charakteryzowały go od zamierzchłej przeszłości, to stał się dziś czymś, co można by nazwać „błazeńskim potpourri języków”, i wszystkie jego współbrzmienia, wpadając do ucha mniej więcej pojętnego oraz świadomego słuchacza, przypominają mieszaninę tureckich, perskich, francuskich, kurdyjskich i rosyjskich słów, a także jeszcze innych całkiem „niestrawnych” i nieartykułowanych dźwięków.

Prawie to samo można powiedzieć o moim ojczystym języku, greckim, którego używałam w dzieciństwie i którego „automatyczna moc skojarzeniowa” wciąż zachowała dla mnie swój smak. Podejrzewam, że potrafiłbym teraz wyrazić w nim wszystko, co zechcę, ale nie mogę się nim w tym wypadku posłużyć z tego prostego i raczej śmiesznego powodu, że ktoś musi przepisywać i tłumaczyć moje teksty na inne języki. A któż potrafi to zrobić?

Z pełnym przekonaniem można stwierdzić, że nawet najlepszy ekspert od nowoczesnej greki nie byłby w stanie zrozumieć absolutnie nic z tego, co napisałbym w języku, który przyswoiłem sobie w dzieciństwie, ponieważ w ciągu tych trzydziestu lub czterdziestu lat moi drodzy „współplemieńcy”, dając się uwieść przedstawicielom współczesnej cywilizacji i pragnąc za wszelką cenę upodobnić się do nich nawet pod względem języka, potraktowali

mój drogi język ojczysty dokładnie tak samo, jak zrobili to ze swoim językiem Ormianie chcący dorównać rosyjskiej inteligencji.

Ów grecki język, którego ducha i esencję przekazano mi dziedzicznie, jest tak podobny do języka, którym mówią dziś współcześni Grecy, jak, zgodnie z wyrażeniem Mułły Nasr Eddina, „gwóźdź jest podobny do mszy pogrzebowej”.

Co tu teraz z tym fantem zrobić?

E...e...ech! Nie warto się przejmować, szacowny nabywco moich wymądrzań. Jeśli nie zabraknie francuskiego armaniaku i „kejsarskiej basturmy” to znajdę wyjście nawet z tej ciężkiej sytuacji. To przecież nie pierwszy i nie ostatni raz!

Tak często w życiu pakowałem się w różne tarapaty i jakoś z nich wychodziłem, że niemal weszło mi to już w nawyk.

Na razie będę więc pisał częściowo po rosyjsku, częściowo po ormiańsku, tym bardziej że pośród ludzi kręcących się zawsze koło mnie, jest parę takich osób, które z mniejszą lub większą łatwością „główkują” w obu tych językach, i ciągle jeszcze żywię nadzieję, iż będą potrafiły całkiem nieźle z nich przepisywać, a także tłumaczyć dla mnie.

Na wszelki wypadek powtarzam raz jeszcze – abyście zapamiętali to dobrze, a nie tak, jak macie w zwyczaju o wszystkim pamiętać i później, w oparciu o to wasze „pamiętanie”, dotrzymać słowa, które daliście sobie i innym – że bez względu na to, jakiego języka użyję, zawsze i we wszystkim będę unikał tego, co nazwałem „językiem bontonowo-literackim”.

Jest tutaj rzeczą nadzwyczaj ciekawą i w najwyższym stopniu, może nawet wyższym, niż wam się wydaje, godną waszego zainteresowania, to, że od najwcześniejszego dzieciństwa, mianowicie od chwili, gdy zrodziła się we mnie potrzeba niszczenia ptasich gniazd i dokuczania siostrom moich rówieśników, pojawiło się w moim, jak je nazywali starożytni teozofowie, „ciele planetarnym” i to nie wiadomo dlaczego głównie w jego prawej połowie, mimowolne instynktowne doznanie, które stopniowo, aż do okresu mojego życia, gdy zostałem „nauczycielem tańców” prze-



kształcało się w wyraźne odczucie, i które później – kiedy dzięki wykonywaniu tego zawodu poznałem ludzi reprezentujących wiele różnych „typów” – zamieniło się w świadome przekonanie, iż podobne języki, czy raczej ich „gramatyki”, układają ludzie przypominający pod względem znajomości danego języka dokładnie te dwunożne typy, które szacowny Mułła Nasr Eddin scharakteryzował następująco: „Bez nich nasze świnie nigdy nie poznałyby się na jakości pomarańczy”.

Tego rodzaju ludzie, osiągnąwszy odpowiedzialny wiek w procesie naszego nienormalnego życia i zamieniwszy się wskutek spaczonej dziedziczności oraz przyprawiającego o mdłości wychowania w „mole-pożeracze” owego dobra, które przygotowali i pozostawili nam nasi przodkowie, a które przekazał nam czas, po pierwsze, nie mają najmniejszego pojęcia i prawdopodobnie nigdy nie słyszeli o takim rażącym fakcie, że w funkcjonowaniu mózgowym każdego stworzenia – a więc także człowieka – kształtuje się w wieku przygotowawczym dokładnie określona właściwość, której automatyczne przejawy podlegają pewnemu prawu, nazwanemu przez starożytnych Korkolan „prawem skojarzeń”, a po drugie, nie wiedzą o tym, że proces myślenia każdej żywej istoty, zwłaszcza człowieka, przebiega wyłącznie w zgodzie z tym prawem.

Skoro tak się złożyło, że poruszyłem tu temat, który ostatnio stał się jednym z moich koników, mianowicie kwestię ludzkiego myślenia, uważam, że mogę już teraz – nie czekając na odpowiedni rozdział, który przeznaczyłem na jej wyjaśnienie – zasygnalizować pewną niepodważalną, przypadkowo zdobytą przeze mnie informację o tym, że w przeszłości we wszystkich stuleciach przestrzegano na Ziemi zasady, zgodnie z którą każdy śmiałek chcący nabyć prawo do tego, by inni, a także on sam, uważali go za człowieka „myślącego świadomie”, już w początkowych latach swego odpowiedzialnego życia dowiadywał się o tym, że człowiek dysponuje dwoma rodzajami myślenia: po pierwsze, myśleniem za pomocą myśli wyrażanych słowami, których sens jest zawsze względny; po drugie, myśleniem właściwym zarówno

człowiekowi, jak i wszystkim zwierzętom, które nazwałbym „myśleniem za pomocą form”.

Ten drugi rodzaj myślenia, „myślenie za pomocą form”, które powinno służyć zarówno do uchwycenia dokładnego sensu wszelkich pism, jak i – po zrobieniu świadomego zestawienia z uprzednio zebranymi informacjami – do przyswojenia go sobie, kształtuje się w ludziach w zależności od warunków geograficznych, miejsca zamieszkania, klimatu oraz epoki, i w ogóle od całego środowiska, w jakim dany człowiek przyszedł na świat i w jakim toczy się jego egzystencja aż do osiągnięcia pełnoletności.

To dlatego w mózgach ludzi należących do odmiennych ras, żyjących w różnych warunkach i na różnych obszarach, wykształcają się w odniesieniu do tej samej rzeczy czy idei, a nawet całego systemu pojęć, pewne całkiem niezależne formy, które powodują, że w trakcie przepływu skojarzeń pojawia się w ich byciu takie lub inne doznanie wywołujące określone wyobrażenie i to wyobrażenie zostaje następnie przełożone na jakieś słowa, które służą jedynie do nadania mu zewnętrznego, subiektywnego wyrazu.

W ten sposób dane słowo, odnoszące się do tej samej rzeczy lub idei, nabiera dla ludzi żyjących w różnych miejscach i należących do różnych ras bardzo określonej i całkiem odmiennej „wewnętrznej treści”.

Inaczej mówiąc, jeśli w zbiorczej obecności danego człowieka, urodzonego i wyrosłego w tym czy innym miejscu, utworzyła się w rezultacie specyficznych lokalnych wpływów oraz wrażeń pewna „forma”, która poprzez skojarzenia wywołuje w nim doznanie określonej „wewnętrznej treści” i tym samym pojawienie się określonego obrazu czy pojęcia wyrażanego przez niego jakimś słowem, którego użycie zamienia się w nawyk i które, jak już powiedziałem, jest subiektywne, to ktoś słyszący to słowo – w którego byciu z powodu odmiennych warunków, w jakich przyszedł na świat i dorastał, ukształtowała się w odniesieniu do tego słowa forma o innej „wewnętrznej treści” – będzie zawsze odbierał je i oczywiście nieuchronnie rozumiał zupełnie inaczej.

Nawiasem mówiąc, można to bardzo wyraźnie stwierdzić, jeśli

uważnie i bezstronnie obserwuje się wymianę opinii między osobami, które należą do różnych ras lub które dorastały i kształtowały się w różnych krajach.

A zatem, pełen werwy i brawury kandydacie na nabywcę moich wymądrzań, ostrzegłszy cię, że mam zamiar pisać nie tak, jak zwykle piszą „zawodowi pisarze” lecz całkiem inaczej, radzę ci, byś poważnie się zastanowił, zanim zabierzesz się do czytania moich dalszych wywodów. W przeciwnym razie obawiam się o twój słuch i inne organy postrzegania, a także o narządy trawienne, które pewnie już tak się do cna zautomatyzowały i przestroiliły na rozpowszechniony obecnie na Ziemi „język inteligencjo-literacki” że czytanie moich pism może wpłynąć na ciebie bardzo, ale to bardzo kakofonicznie, powodując, że stracisz swój... wiesz co?... apetyt na ulubione danie i na to szczególnie łechcące twe „wnętrze” uczucie, które pojawia się w tobie, gdy widzisz swoją sąsiadkę brunetkę.

O tym, że mój język lub, ściślej mówiąc, forma mojego myślenia może mieć tego rodzaju skutek, jestem – dzięki wielokrotnie powtarzającym się w przeszłości zdarzeniom – tak przekonany całym swoim byciem, jak „rasowy osioł” przekonany jest o słuszności i zasadności swego uporu.

Dopiero teraz, gdy ostrzegłem cię przed tym, co najważniejsze, z absolutnym spokojem patrzę w przyszłość, albowiem jeśli z powodu moich pism staniesz się ofiarą jakiegoś nieporozumienia, to winien będziesz tylko ty sam, moje sumienie zaś pozostanie czyste, jak na przykład... sumienie byłego cesarza Wilhelma.

Na pewno myślisz w tej chwili, że jestem, jak niektórzy to określają, młodym człowiekiem „o miłej aparycji i podejrzanym wnętrzu” i że jako raczkujący pisarz najwyraźniej umyślnie zachowuję się ekscentrycznie, w nadziei, iż pomoże mi to stać się sławnym i przez to bogatym.

Jeśli rzeczywiście tak myślisz, to nawet nie wiesz, jak bardzo się mylisz.

Po pierwsze, nie jestem młody; żyję już tak długo, że, jak to się

mówi, „jadłem chleb nie tylko z niejednego pieca, ale z wielu piekarni”; a po drugie, wcale nie piszę z zamiarem zrobienia kariery ani też nie liczę na to, że „stanę na własnych nogach” dzięki owemu zawodowi, który moim zdaniem stwarza od razu wielką szansę na zdobycie miana kandydata do Piekła, oczywiście zakładając, że tacy ludzie potrafią choćby do tego stopnia udoskonalić własne bycie, a to dlatego, że sami nic nie wiedząc, wypisują wszelkiego rodzaju brednie i, automatycznie zyskując w ten sposób autorytet, są winni pojawienia się jednego z głównych czynników ogółu przyczyn, które z roku na rok prowadzą do coraz większego „rozdrobienia” już i tak nadmiernie pokruszonej ludzkiej psychiki.

Co się zaś tyczy mojej osobistej kariery, to dzięki wszystkim siłom wysokim i niskim, a jeśli chcesz, nawet prawym i lewym, zrobiłem ją dawno temu i już od dłuższego czasu „stoję na własnych nogach”, i to niewątpliwie bardzo mocnych nogach, a co więcej, jestem pewien, że na złość wszystkim moim byłym, obecnym i przyszłym wrogom wystarczy im krzepy jeszcze na wiele lat.

Tak... nie zaszkodzi, jeśli zdradzę ci również pomysł, który właśnie zrodził się w moim obłąkanym mózgu, a mianowicie, że chcę specjalnie poprosić drukarza, któremu oddam tę książkę, żeby wydrukował niniejszy pierwszy rozdział moich pism w taki sposób, by każdy mógł go przeczytać, nie rozcinając kartek książki, dzięki czemu, dowiedziawszy się, że nie jest ona napisana w sposób zwykły – to znaczy jako pomoc do łatwego i gładkiego tworzenia w myślach czytelnika podniecających obrazów i usypiających marzeń – mógł on, jeśli zechce, zwrócić ją i, nie tracąc czasu na dyskusje ze sprzedawcą, odzyskać swoje być może zarobione w pocie czoła pieniądze.

A muszę tak postąpić, ponieważ właśnie znowu przypomniałem sobie historię usłyszaną we wczesnej młodości, która przytrafiła się pewnemu zakaukaskiemu Kurdowi i która w późniejszych latach, ilekroć w podobnych sytuacjach wracałem do niej myślą, budziła we mnie „długo niegasnący” impuls czułości. Są-

dzę więc, że okaże się to bardzo pożyteczne zarówno dla mnie, jak i dla ciebie, jeśli szczegółowo ci ją teraz zrelacjonuję.

Okaże się to pożyteczne głównie dlatego, że „sól” tej historii – lub, jak wyraziliby się czystej krwi współcześni żydowscy biznesmeni, jej „cymes” – postanowiłem przyjąć za jedną z podstawowych zasad tej nowej formy literackiej, jaką zamierzam zastosować, by osiągnąć cel, którego chcę dopiąć za pomocą mojej nowej profesji.

Pewnego razu ów zakaukaski Kurd wyruszył w jakimś interesie ze swej wsi do miasta i po przyjsciu na targ zobaczył tam budkę z różnymi ślicznie wystawionymi owocami.

Wśród nich jego uwagę zwrócił jeden szczególnie piękny zarówno pod względem koloru, jak i kształtu „owoc”, którego wygląd tak przypadł mu do gustu i którego tak bardzo zapragnął skosztować, że mimo prawie zupełnego braku pieniędzy natychmiast postanowił zakupić przynajmniej jeden z tych darów Wielkiej Przyrody.

Następnie, cały podekscytowany i z niezwykłą jak na siebie odwagą, wszedł do środka i wskazując swym zrogowaciałym palcem na „owoc”, który wpadł mu w oko, zapytał właściciela sklepu o cenę. Właściciel odparł, że funt tych „owoców” kosztuje sześć groszy.

Uznawszy, iż nie jest to wcale wygórowana cena za tak, jego zdaniem, piękny owoc, nasz Kurd postanowił kupić cały funt.

Po załatwieniu wszystkich spraw w mieście jeszcze tego samego dnia ruszył piechotą w drogę powrotną do domu.

Idąc tak o zachodzie słońca przez góry i doliny, bezwiednie przestrzegając zewnętrzny aspekt tych czarujących fragmentów łona Wspólnej Matki, Wielkiej Przyrody, i mimowolnie wdychając czyste powietrze, niezanieczyszczone charakterystycznymi wyciekami miast przemysłowych, nasz Kurd całkiem naturalnie poczuł nagle chęć dogodzenia sobie także jakimś zwyczajnym pokarmem; usiadł więc na skraju drogi, wyjął z torby z prowiantem kawałek chleba oraz te zakupione „owoce”, które tak cieszyły jego

oczy, i powoli zabrał się do jedzenia.

Lecz – o zgrozo! – bardzo szybko poczuł, że wszystko zaczyna w nim płonąć.

Nie bacząc na to, nasz Kurd kontynuował posiłek.

To nieszczęsne dwunożne stworzenie jadło dalej tylko z powodu owej szczególnej przynależnej ludziom cechy, na którą pierwszy zwróciłem uwagę i której zasadę, przyjąwszy ją za podstawę stworzonej przeze mnie nowej formy literackiej, zamierzam uczynić jednym z czynników mających jak „gwiazda przewodnia” poprowadzić mnie do wytkniętego sobie celu, a której sens oraz wagę, jestem pewien, sam wkrótce uchwycisz – oczywiście zgodnie ze stopniem twojego rozumienia – jeśli przeczytasz któryś z kolejnych rozdziałów moich dzieł, naturalnie pod warunkiem że podejmiesz ryzyko kontynuowania tej lektury lub być może sam „wywęszysz” już coś pod koniec tego pierwszego rozdziału.

Tak więc właśnie w momencie, gdy naszego Kurda ogarnęły wszystkie niezwykle doznania, jakie wywołał w nim ten osobliwy posiłek na łonie przyrody, tą samą drogą nadszedł chłop z jego wioski, znany wśród swoich z rozumu i obeznania, który widząc, że cała twarz współziomka gorzeje, łzy leją mu się oczu, a on mimo to – jakby chodziło o spełnienie najwyższego obowiązku – dalej je prawdziwe „strąki papryki” rzekł do niego:

– Co robisz, ty trąbo jerychońska?! Przecież spalisz się żywcem! Przestań jeść ten nietypowy produkt, tak obcy twojej naturze.

Nasz Kurd odparł na to:

– Nie, za nic na świecie nie przestanę! Przecież dałem za niego moje ostatnie sześć groszy! Choćbym miał wyzionąć ducha, zjem wszystko do końca!

Po czym nasz rezolutny Kurd – należy oczywiście przyjąć, iż takim był – wcale nie przestał, tylko nadal jadł strąki papryki.

Mam nadzieję, że po tym, co właśnie przeczytałeś, w twoich myślach powstaje już odpowiednie skojarzenie, które powinno przywieść cię, jak to się czasem zdarza niektórym współczesnym

ludziom, do tego, co generalnie nazywasz rozumieniem, i że w danym wypadku pojdziesz, dlaczego ja – który tak dobrze znam tę przynależną ludziom cechę i który wielokrotnie czułem litość w obliczu jej nieuchronnego przejawu polegającego na tym, że jeśli ktoś za coś zapłaci, to musi zużyć to do końca – ożywiłem się w całej swej zbiorczej obecności z powodu pomysłu, który przyszedł mi do głowy, a mianowicie, by przedsięwziąć wszelkie możliwe kroki, żebyś ty, jak to się mówi, „mój brat w apetycie i duchu”, w razie gdyby się okazało, że wprawdzie przyzwyczyłeś się do czytania najróżniejszych książek, jednak tylko tych, które są w całości napisane we wspomnianym „inteligenckim języku”, dowiedziawszy się dopiero po zapłaceniu za moje pisma, iż nie są one napisane zwykłym, przystępnym i łatwym językiem, nie był zmuszony na skutek wspomnianej ludzkiej cechy do czytania ich za wszelką cenę do samego końca, tak jak nasz biedny zakaukaski Kurd, który musiał zjeść wszystkie strąki owej szlachetnej, tylko z wyglądu przypadłej mu do gustu czerwonej papryki, z którą „lepiej nie żartować”.

Aby uniknąć wszelkich nieporozumień – wynikających z tej ludzkiej właściwości, na którą składają się dane najwyraźniej gromadzące się w zbiorczej obecności współczesnego człowieka wskutek tego, że często chodzi do kina i nigdy nie przegapi okazji spojrzenia w lewe oko przeciwnej płci – chcę, by to moje wprowadzenie wydrukowano we wskazany powyżej sposób, to znaczy tak, aby każdy mógł je przeczytać, nie rozcinając pozostałych kartek książki.

W przeciwnym razie księgarz zacznie, jak to się mówi, „czepiać się” i niewątpliwie postąpi zgodnie z podstawową zasadą wszystkich księgarzy, wyrażaną przez nich słowami: „Zachowasz się jak wielki głupiec, a nie rybak, jeśli pozwolisz ujść rybie, która połknęła już haczyk”, i odmówi przyjęcia książki z rozciętymi stronicami.

Nie mam co do tego cienia wątpliwości. W pełni oczekuję, że okaże taki brak sumienia.

Czynniki, które utwierdziły mnie w przekonaniu o takiej nie-

uczciwości księgarzy, ostatecznie ukształtowały się we mnie, kiedy, będąc zawodowym „indyjskim fakirem”, musiałem, dla pełnego wyjaśnienia pewnej „ultrafilozoficznej” kwestii, zapoznać się między innymi z procesem skojarzeniowym, który rządzi przejawami automatycznie zbudowanej psychiki współczesnych księgarzy i księgarnianych sprzedawców w chwili, gdy wtryniają kupującym książki.

Wiedząc o tym wszystkim i stawszy się, od czasu nieszczęścia, jakie na mnie spadło, do granic sprawiedliwy i skrupulatny, nie mogę nie powtórzyć mojego ostrzeżenia i wręcz błagalnie nalegam, abys jeszcze zanim zaczniesz rozcinać stronicę tej mojej pierwszej książki, bardzo uważnie, i to nie raz, przeczytał niniejszy pierwszy rozdział moich pism.

Gdybyś jednak pomimo tego ostrzeżenia chciał się zapoznać z dalszą treścią tych wywodów, to nie pozostaje mi już nic innego, jak tylko z całej mojej „autentycznej duszy” życzyć ci przesmaczego, a także byś to wszystko, co przeczytasz, „strawił” nie tylko dla własnego zdrowia, ale również dla zdrowia wszystkich twoich bliskich.

Powiedziałem „z mojej autentycznej duszy”, ponieważ mieszkając ostatnio w Europie i często mając do czynienia z ludźmi, którzy przy każdej odpowiedniej i nieodpowiedniej okazji lubią wymawiać na próżno jakieś święte imię, przeznaczone wyłącznie do życia wewnętrznego człowieka, to znaczy z ludźmi, którzy przysięgają bez potrzeby, ja, będąc, jak już wyznałem, wielbicielem nie tylko w teorii – jak czynią to ludzie współcześni – ale także w praktyce utrwalonych przez wieki powiedzeń zaczerpniętych z mądrości ludowej, w tym również wysoce stosownej w tym miejscu maksymy wyrażonej słowami: „Kiedy wejdiesz między wrony, musisz krakać jak i one” postanowiłem – by nie naruszyć przyjętego tu, w Europie, zwyczaju przysięgania w zwykłej rozmowie, a zarazem postąpić zgodnie z przykazaniem wypowiedzianym ustami Świętego Mojżesza: „Nie będziesz brał świętych imion nadaremno” – zrobić użytek z jednego z tych „świeżo upieczonych” modnych współczesnych języków, mianowicie angielskiego.



skiego, i odtąd w wymagających tego sytuacjach przysięgać na moją „angielską duszę”.

Chodzi o to, że w tym modnym języku słowa „dusza” i „podeusza” nie tylko wymawia się, ale i pisze prawie tak samo.

Nie wiem, co sądzisz o tym ty, który jesteś już w połowie kandydatem na nabywcę moich pism, ale mój specyficzny charakter nie pozwala mi, jak bardzo umysłem bym tego nie pragnął, powstrzymać się od oburzenia w obliczu takiego przejawu przedstawicieli współczesnej cywilizacji. Doprawdy jak można to, co w człowieku najwyższe i szczególnie umiłowane przez NASZEGO WSPÓLNEGO OJCA STWÓRCĘ, nazywać tym samym słowem i często, nie zdając sobie z tego sprawy, brać za to, co w nim najniższe i najbrudniejsze?

Ale dość już „filologizowania”! Powróćmy do podstawowego zadania tego pierwszego rozdziału, czyli do „tarmoszenia” myśli, które zleżały się zarówno we mnie, jak i w czytelnikach, a także do dania tym ostatnim pewnego ostrzeżenia.

Otóż ułożyłem już w głowie plan oraz ustaliłem kolejność tego, co zamierzam wyłożyć, ale szczerze mówiąc, nie dotarło jeszcze do mojej świadomości, jaką formę przyjmie to na papierze; tak czy owak, wszystkie rezultaty funkcjonowania mojego instynktu wzbudzają już we mnie wyraźne przecucie, że w całości przybierze to formę „czegoś”, co będzie niesłychanie „ostre” i co podziała na zbiorczą obecność każdego czytelnika mniej więcej tak, jak „strąki papryki” podziałały na nieszczęsnego zakaukaskiego Kurda.

Teraz więc, gdy poznałeś już historię naszego współziomka, zakaukaskiego Kurda, uważam za swój obowiązek uczynić pewne wyznanie i dlatego, zanim przejdę do dalszej części tego pierwszego rozdziału, służącego za wstęp do wszystkiego, co postanowiłem napisać w przyszłości, chcę poinformować twoją „czystą”, czyli działającą na jawie świadomość, że we wszystkim, co od tego momentu napiszę, będę celowo wykladał swe myśli w takiej kolejności i robił takie „logiczne zestawienia”, by sedno pewnych realnych pojęć mogło automatycznie, samo z siebie przedostać

się z tej „świadomości na jawie”, którą większość współczesnych ludzi uważa za świadomość prawdziwą, lecz która, jak twierdzą i doświadczalnie udowadniam, stanowi fikcję, do tego, co nazywasz „podświadomością” – a co moim zdaniem zasługuje na miano „prawdziwej” ludzkiej świadomości – i tam, mechanicznie ulegając takiej przemianie, jaka generalnie powinna zachodzić w zbiorczej obecności człowieka, przynieść mu, dzięki jego własnemu „aktywnemu myśleniu”, wymagane rezultaty przynależne człowiekowi, a nie tylko te właściwe jednomózgowym lub dwumózgowym zwierzętom.

Postanowiłem postąpić w ten sposób, aby ten oto rozdział wstępny, który ma za zadanie, jak już powiedziałem, rozbudzić twoją świadomość, w pełni osiągnął swój cel i docierając nie tylko do twojej, według mnie, na razie wyłącznie fikcyjnej świadomości, ale też do świadomości prawdziwej – którą nazywasz podświadomością – zmusił cię, być może po raz pierwszy, do aktywnego myślenia.

Przy okazji muszę powiedzieć, że w zbiorczej obecności każdego człowieka, niezależnie od jego cech dziedzicznych i od wychowania, kształtują się dwie samodzielne świadomości, których funkcjonowanie oraz przejawy nie mają ze sobą prawie nic wspólnego.

Pierwsza z nich jest rezultatem postrzegania wszelkiego rodzaju zupełnie przypadkowych albo zamierzenie wywołanych przez innych mechanicznych wrażeń, do których należy zaliczyć także współbrzmienia różnych autentycznie „pustych słów”; natomiast druga świadomość kształtuje się albo z „uprzednio zebranych materialnych rezultatów”, które zostały przekazane człowiekowi dziedzicznie i które scaliły się z odpowiednią częścią jego zbiorczej obecności, albo z umyślnie sporządzonych przez niego skojarzeniowych zestawień takich istniejących już w nim „zmaterializowanych danych”.

Według mojej opinii, będącej wynikiem wielu lat doświadczalnych badań prowadzonych w wyjątkowo sprzyjających warunkach, to właśnie ta druga świadomość – która sama w sobie i w

swoich przejawach nie jest niczym innym, jak tym, co nazywasz „podświadomością”, i która kształtuje się ze „zmaterializowanych rezultatów” dziedziczności oraz z celowo zrobionych zestawień – powinna dominować w zbiorczej obecności człowieka.

Wychodząc od tego – jak dotąd tylko mojego – przekonania, które niewątpliwie wydaje ci się owocem fantazji chorego umysłu, teraz już nie mogę, jak sam widzisz, zlekceważyć tej drugiej świadomości i wręcz powinienem uznać za swój obowiązek zredagowanie niniejszego pierwszego rozdziału moich pism, który ma być wprowadzeniem do wszystkiego, co napiszę w przyszłości, w taki sposób, by przeniknął on i wystarczająco dla mojego celu „potarł” wszelkie percepcje, które nagromadziły się w tych obu twoich świadomościach.

Kierowany tą ideą, chcę w pierwszej kolejności poinformować twoją fikcyjną świadomość, że dzięki trzem bardzo specyficznym danym, które skryształizowały się w mojej zbiorczej obecności w różnych okresach mojego wieku przygotowawczego, mam naprawdę wyjątkowy dar, by tak rzec, „gmatwania i mącenia” u ludzi, z którymi się spotykam, wszystkich pojęć oraz przekonań, jakoby mocno zasadzonych w ich zbiorczej obecności.

Proszę, proszę!... już czuję, jak w twojej fałszywej, a według ciebie „prawdziwej” świadomości zaczynają kłębić się jak „ślepe muchy” wszystkie dane, przekazane ci dziedzicznie od „wujka i mamusi”, które w sumie budzą w tobie wprawdzie tylko jeden, ale za to ze wzruszającą siłą przebijający się zawsze i we wszystkim impuls ciekawości – czyli konkretnie w tym wypadku potrzebę jak najszybszego dowiedzenia się, dlaczego ja; początkujący pisarz, którego nazwiska jeszcze ani razu nie wymieniono w gazetach, stałem się nagle takim unikatem.

Mniejsza z tym... Osobiście bardzo cieszy mnie pojawienie się takiego zaciekawienia, choćby tylko w twój ej fałszywej świadomości, ponieważ wiem z doświadczenia, że ten niegodny człowieka impuls może czasem u niektórych osób zmienić charakter i przeobrazić się w szlachetny impuls pragnienia wiedzy, co zazwyczaj sprzyja potem lepszej percepcji i dokładniejszemu zrozu-

mieniu istoty dowolnego przedmiotu, na którym zdarza się współczesnemu człowiekowi skupić uwagę; dlatego też nawet z przyjemnością jestem gotowy zadowolić tę ciekawość, która w tej chwili się w tobie rozbudziła.

A więc zamień się teraz w słuch i postaraj się nie sprawić mi zawodu, lecz spełnić moje oczekiwania.

Ta moja oryginalna osobowość, „związana” już przez niektóre Indywidua z obu chórów TRYBUNAŁU NA WYSOKOŚCI, który wymierza obiektywną Sprawiedliwość, a także przez pewną, na razie bardzo ograniczoną liczbę osób tu, na Ziemi, opiera się, jak już powiedziałem, na trzech specyficznych danych, które ukształtowały się we mnie jeszcze w okresie mojego wieku przygotowawczego.

Pierwsze z tych danych już od samego początku ich powstania przybrały postać naczelnej i przewodniej dźwigni mojej zupełnej całości, a każde z dwóch pozostałych czegoś w rodzaju „życiodajnych źródeł” służących do pielęgnowania i doskonalenia tych pierwszych, które pojawiły się we mnie, kiedy byłem zaledwie, jak to się mówi, „pucołowatym brzdącem”.

Moja droga babka nieboszczka wówczas jeszcze żyła i miała ponad sto lat.

W chwili, gdy umierała – niech zazna spokoju w Królestwie Niebieskim! – moja matka, jak było wtedy w zwyczaju, zaprowadziła mnie do jej łoża, gdzie moja droga babka, kiedy całowałem jej prawą rękę, położyła mi na głowie swą umierającą lewą rękę i szeptem, ale bardzo dobitnie powiedziała:

– Mój najstarszy wnuku! Słuchaj i zawsze pamiętaj o moim surowym nakazie: Nigdy w życiu nie rób niczego tak, jak robią inni!

Powiedziawszy to, wpatrzyła się w grzbiet mojego nosa i, widząc chyba moje zakłopotanie oraz mętne zrozumienie tego, co powiedziała, dodała nieco gniewnie i autorytatywnie:

– Albo nic nie rób i chodź tylko do szkoły, albo rób coś, czego nikt inny nie robi.

Po czym bezzwłocznie i z dającym się zauważyć odruchem po-

gardy dla całego otoczenia, a także z chwalebłą samoświadomością, oddała swoją duszę bezpośrednio w ręce Samej Jego Wierności Archanioła Gabriela.

Myślę, że zaciekawi cię, a nawet okaże się pouczająca informacja, iż wszystko to wywarło wtedy na mnie tak silne wrażenie, że raptem nie mogłem ścierpieć wokół siebie obecności innych ludzi i dlatego, jak tylko opuściliśmy pokój, gdzie leżało śmiertelne „ciało planetarne” przyczyny przyczyny mojego powstania, po cichutku, starając się nie zwracać na siebie uwagi, wkradłem się do nory, gdzie podczas Wielkiego Postu przechowywano otręby i obierki ziemniaczane dla naszych „higienistek”, czyli świń, a potem bez jedzenia i picia leżałem tam w burzy wirujących i nieskładnych myśli – których, szczęśliwie dla mnie, miałem wtedy w moim dziecięcym mózgu jeszcze bardzo mało – aż do chwili, gdy z cmentarza wróciła matka, której płacz, po stwierdzeniu mojej nieobecności oraz bezskutecznych poszukiwaniach, „złamał” mnie tak, że momentalnie wyszedłem z nory i, zatrzymawszy się wpierw na progu z wyciągniętymi z jakiegoś powodu rękami, podbiegłem do niej, a następnie mocno uczepliłem się jej spódnicy i tupiąc mimowolnie nogami, nie wiadomo z jakiej przyczyny zacząłem naśladować ryk osła należącego do naszego sąsiada, oficera śledczego.

Dlaczego to wszystko wywarło na mnie wtedy tak silne wrażenie? Dlaczego niemal automatycznie tak dziwnie zareagowałem? Dużo się nad tym zastanawiałem w ostatnich latach, szczególnie w czasie zapustów, ale do tej pory nie udało mi się tego zrozumieć.

Jak dotąd wysnułem tylko jedno logiczne przypuszczenie, iż być może postąpiłem tak, ponieważ pokój, w którym rozegrała się ta święta scena, mająca nabrać ogromnego znaczenia dla całego mojego przyszłego życia, wypełniał na wskroś zapach kadzidła przywiezionego specjalnie z klasztoru na górze Athos, bardzo popularnego wśród wyznawców wszystkich odmian religii chrześcijańskiej.

Cokolwiek to mogło być, ów fakt pozostaje do dzisiaj gołym fak-

tem.

W dniach, które nastąpiły po tym wydarzeniu, mój stan ogólny w żaden szczególny sposób się nie zmienił, jeśli nie liczyć tego, że częściej niż zwykle chodziłem wtedy ze stopami w powietrzu, to znaczy na rękach.

Pierwszego czynu będącego w rażącej sprzeczności z zachowaniem innych ludzi dokonałem – co prawda bez udziału zarówno mojej świadomości, jak i podświadomości – dokładnie czterdziestego dnia po śmierci babki, gdy cała nasza rodzina, dalecy i bliscy krewni, a także ci, którzy darzyli szacunkiem moją drogą, powszechnie kochaną babunię, zgromadzili się na cmentarzu, by zgodnie ze zwyczajem odprawić nad jej spoczywającymi w grobie śmiertelnymi szczątkami ceremonię zwaną panichidą. Nagle ni stąd, ni zowąd – zamiast poddać się konwencji, która obowiązuje wśród wszystkich ludzi bez względu na poziom ich postrzegalnej lub niepostrzegalnej moralności oraz sytuację materialną, a która polega na tym, że należy stać spokojnie jak przybity, z grobową miną i, jeśli to możliwe, nawet ze łzami w oczach – zacząłem podskakiwać tanecznie wokół mogiły, śpiewając:

„Niech ze świętymi zazna spokoju,  
Bo był to człowiek innego pokroju”.  
...itd.

Mam wrażenie, że jeśli chodzi o wszelkiego rodzaju „małpowanie” – czyli naśladowanie zwykłych zautomatyzowanych przejawów otoczenia – to właśnie w tamtej chwili pojawiło się w mojej zbiorczej obecności to „coś”, co zawsze i w stosunku do wszystkiego budzi w niej, jak to teraz nazywam, „nieodpartą potrzebę” robienia rzeczy inaczej niż inni.

W tamtym okresie zachowywałem się na przykład w następujący sposób:

Jeśli mój brat; siostry oraz dzieci sąsiadów – które przychodziły bawić się z nami – chcieli nauczyć się łapać piłkę jedną, oczywiście prawą ręką, to rzucali ją w powietrze, natomiast ja w tym samym celu najpierw, chociaż także prawą ręką, uderzałem piłką

mocno o ziemię i dopiero gdy się odbiła, robiłem koziołka, a potem łapałem ją, i to wyłącznie kciukiem oraz środkowym palcem lewej ręki; lub jeśli wszystkie inne dzieci zjeżdżały na sankach ze wzgórza zwrócone twarzą do przodu, ja próbowałem to robić, i to za każdym razem coraz lepiej, jak mówiły wtedy dzieci, „na wstecznym biegu”; albo też kiedy rozdawano nam różnokształtne „pierniczki abarańskie”, wszystkie dzieci oblizywały je przed włożeniem do ust, najwyraźniej po to, by ich posmakować i wydłużyć sobie czas doznawanej przyjemności, podczas gdy ja... najpierw obwąchiwałem jeden ze wszystkich stron, może nawet przykładałem go do ucha, bacznie się wsłuchując, potem zaś prawie nieświadomie, ale bardzo poważnie mamrotałem do siebie: „I tak, i tak, i tak trzeba, nie jedz, czego nie trzeba”, a następnie, wydając odpowiednie rytmiczne dźwięki, brałem tylko jeden kęs, po czym, w ogóle się nim nie delectując, od razu go połykałem – itd., itp.

Pierwsze zdarzenie, w trakcie którego pojawiły się we mnie jedne z dwóch wspomnianych danych reprezentujących „życiodajne źródła” pozwalające mi kultywować i doskonalić nakaz mojej zmarłej babki, rozegrało się w czasie; gdy zmieniłem się już z pucołowatego brzdąca w młodego łobuza i stałem się, jak to się niekiedy określa, „kandydatem na młodego człowieka o miłej aparycji i podejrzanym wnętrzu”.

A doszło do niego przypadkiem, lub może nawet specjalnym zrządzeniem losu, w następujących okolicznościach:

Pewnego razu z kilkoma takimi samymi jak ja młodymi łobuzami zastawiałem na dachu domu sąsiada sidła na gołębie, gdy nagle jeden z chłopców, który stał nade mną i uważnie mnie obserwował, rzekł:

– Według mnie pętlę z końskiego włosia powinniśmy zarzucić w taki sposób, aby przypadkiem nie wpadł w nią środkowy, najdłuższy palec gołębia, ponieważ – jak ostatnio wyjaśnił nam nasz nauczyciel zoologii – kiedy gołąb jest w ruchu, właśnie w tym palcu skupia się cały jego zapas sił i oczywiście, jeśli pętla zaciśnie się na tym palcu, gołąb będzie mógł ją wtedy łatwo zerwać.

Inny chłopiec, który stał pochylony tuż na wprost mnie i który w dodatku, kiedy mówił, pryskał obficie śliną, warknął po tej uwadze pierwszego chłopca i, plując na wszystkie strony, wypowiedział następujące słowa:

– Zamknij jadaczkę, ty beznadziejny, skundlony pomioście Hottentotów! Co z ciebie za kaleka życiowa, taka sama zresztą jak twój nauczyciel! Jeśli założyć, że faktycznie w tym środkowym palcu skupia się największa siła fizyczna gołębia, to tym bardziej właśnie ten palec powinniśmy złapać w sidła. Dopiero wtedy okaże się znacząca dla naszego celu – czyli schwytania tych nieszczęsnych gołębi – pewna osobliwość, charakteryzująca wszystkich posiadaczy owego miękkiego i śliskiego „czegoś”, zwanego „mózgiem”, a polegająca na tym, że gdy w wyniku innych oddziaływań, od których zależy jego znikoma moc przejawiania się, dochodzi do zgodnego z prawem i okresowo niezbędnego, by tak rzec, „przetasowania obecności”, wtedy wywołane przez nie drobne „zamieszanie”, którego zadaniem jest wzniecenie innych przejawów ogólnego funkcjonowania, prowadzi natychmiast do chwilowego przesunięcia się środka ciężkości całego organizmu – w którym to śliskie „coś” odgrywa bardzo małą rolę – a to z kolei często daje w tym ogólnym funkcjonowaniu nieoczekiwane i graniczące z absurdem, nielogiczne rezultaty.

Ostatnie słowa wygłosił, tak pryskając śliną, że miałem wrażenie, iż moja twarz została wystawiona na działanie rozpylacza do farbowania tkanin barwnikami anilinowymi, zaprojektowanego i zbudowanego przez Niemców.

Tego było już za wiele. Nie wstając z kucek, rzuciłem się na niego i całą siłą uderzyłem go głową w dołek, skutkiem czego padł jak długi i z miejsca stracił to, co zwie się „przytomnością”.

Nie wiem i nie chcę wiedzieć, jakie rezultaty pojawią się w twoich myślach, gdy przekażę ci informację o pewnym, moim zdaniem niezwykłym, zbiegu okoliczności życiowych, ale jeśli chodzi o mnie, to ów splot wydarzeń pozwolił mi jeszcze mocniej utwierdzić się w przekonaniu, że wszystkie opisywane przez mnie zdarzenia, które zaszły w mojej młodości, nie były kwestią



zwykłego przypadku, lecz zostały celowo stworzone przez jakieś obce siły.

Rzecz w tym, że takiej zwinności nauczył mnie zaledwie kilka dni przed tym wydarzeniem pewien grecki ksiądz z Turcji, który, będąc prześladowany przez Turków za swe przekonania polityczne, musiał stamtąd uciec i kiedy przybył do naszego miasta, rodzice zatrudnili go jako mojego nauczyciela nowoczesnej greki.

Nie wiem, na czym opierały się polityczne idee i przekonania tego greckiego księdza, ale bardzo dobrze pamiętam, że ze wszystkiego, co mi mówił – nawet wtedy, gdy wyjaśniał różnicę między zdaniami wykrzyknikowymi w starożytnej i nowoczesnej grece – wyraźnie przebijało marzenie o tym, żeby jak najszybciej dostać się na Kretę i pokazać się tam, jak przystało na prawdziwego patriotę.

Muszę przy okazji wyznać, że sam bardzo wystraszyłem się na widok rezultatu mojej zręczności, ponieważ nie wiedząc jeszcze, że uderzenie w to miejsce może wywołać taki skutek, pomyślałem, że tego chłopca zabiłem.

W chwili, gdy doświadczałem takiego lęku, inny chłopiec, kuzyn pierwszej ofiary mojej „sztuki samoobrony”, najwyraźniej w przypływie uczucia „pokrewieństwa” bez zastanowienia skoczył na mnie i z pełnym rozmachem walnął mnie pięścią w twarz.

Od tego uderzenia, jak to się mówi, „zobaczyłem wszystkie gwiazdy” i jednocześnie moje usta tak nabrzmiały, jakby napchano do nich papki w ilości wystarczającej do sztucznego utuczenia tysiąca kurczaków.

Po krótkiej chwili, gdy te dwa dziwne doznania już trochę się uspokoiły, faktycznie odkryłem, że mam w ustach jakieś obce ciało, a gdy wyjąłem je palcami, okazało się, że był to ni mniej, ni więcej, tylko ząb o wielkich rozmiarach i dziwnym kształcie.

Widząc, jak gapię się na ten niezwykły ząb, wszyscy chłopcy stłoczyli się wokół mnie i w osobliwym milczeniu także zaczęli mu się przyglądać z wielkim zaciekawieniem.

Do tego czasu chłopak, który wcześniej padł bez czucia, doszedł już do siebie i stanawszy na nogi jakby nigdy nic, zaczął razem z innymi patrzeć w osłupieniu na mój ząb.

Ten dziwny ząb miał siedem odgałęzień i na końcu każdego z nich wyraźnie rysowała się kropla krwi, a oprócz tego każdą pojedynczą kroplę jasno prześwietlał jeden z siedmiu aspektów przejawu białego promienia.

Po takim nietypowym dla nas, młodych łobuzów, krótkim milczeniu ponownie wybuchł normalny harmider i wśród tej wrzawy postanowiliśmy pójść zaraz do cyrulika, specjalisty od wyrywania zębów, aby zapytać go, dlaczego ten ząb wygląda właśnie tak.

Zeszliśmy więc wszyscy z dachu i ruszyliśmy w kierunku cyrulika, a ja, jako „bohater dnia”, kroczyłem na czele całej grupy.

Cyrulik, rzuciwszy przelotne spojrzenie, powiedział, że jest to po prostu „ząb mądrości” i że jeden taki ząb mają wszyscy osobnicy płci męskiej, którzy do chwili, gdy po raz pierwszy wypowiedzieli słowa „tata” i „mama”, karmieni byli wyłącznie mlekiem matki, a także którzy potrafią na pierwszy rzut oka rozpoznać wśród wielu twarzy twarz własnego ojca.

To zdarzenie, którego „pełną ofiarą” padł mój biedny ząb mądrości, spowodowało w sumie, że po pierwsze, moja świadomość zaczęła odtąd zawsze i w stosunku do wszystkiego wchłaniać w siebie samo sedno istoty nakazu mojej zmarłej babci – niechaj zazna ona pokoju w Królestwie Niebieskim! – a po drugie, dlatego że nie poszedłem do żadnego „dyplomowanego dentysty”, aby wyleczyć dziurę po tym zębie, czego zresztą nie mogłem zrobić, ponieważ nasz dom położony był zbyt daleko od jakiegokolwiek współczesnego ośrodka kultury, zaczęło chronicznie sączyć się z niej „coś”, co – jak dopiero niedawno wyjaśnił mi słynny meteorolog, który stał się moim „przyjacielem od serca” dzięki naszym częstym spotkaniom w nocnych restauracjach na paryskim Montmartrze – ma taką właściwość, że rozbudza we mnie potrzebę poznania oraz ustalenia przyczyn pojawiania się każdego pojejrzanego „realnego faktu” i ta niedziedziczna właściwość mojej

zbiorczej obecności stopniowo samorzutnie doprowadziła do tego, że stałem się specjalistą od badania wszelkich podejrzanych zjawisk, na które tylko miałem okazję się natknąć.

Później, kiedy zamieniłem się – oczywiście przy współpracy naszego Powszechnego Władcy, Bezlitosnego Heropasa, to znaczy „upływu czasu” – w opisanego już przeze mnie młodego człowieka, ta świeżo uformowana we mnie po tym wydarzeniu właściwość stała się niegasnącym ogniskiem, które ciągle rozgrzewało moją świadomość.

Drugim ze wspomnianych życiodajnych czynników, który umożliwił ostateczne scalenie się nakazu mojej drogiej babki ze wszystkimi danymi tworzącymi moją zbiorczą indywidualność, był ogół wrażeń wywołanych przez przypadkowo zdobyte przeze mnie informacje dotyczące historii, która wydarzyła się tutaj, na Ziemi, i która była przyczyną powstania pewnej „zasady” przyjętej następnie – jak dowiódł tego pan Alan Kardec podczas „absolutnie tajnego” seansu spirytystycznego – za jedną z podstawowych „zasad życiowych” wśród wszystkich podobnych do nas istot, które pojawiają się i egzystują na innych planetach naszego Wielkiego Wszechświata.

Tę nową „ogólnowszechświatową zasadę życiową” można sformułować w następujący sposób:

„Jak szaleć, to szaleć razem z przesyłką”.

Ponieważ ta zasada, uznana już teraz za uniwersalną, powstała na tej samej planecie, na której i ty powstałeś – i gdzie na dodatek prawie zawsze masz życie usłane różami oraz często tańczysz fokstrota – uważam więc, że nie mam prawa ukrywać przed tobą znanych mi informacji, które rzucają światło na pewne szczegóły zaistnienia takiego uniwersalnego faktu.

W trakcie mojej pierwszej wizyty w sercu Rosji, w Moskwie, wkrótce po tym, jak już na zawsze wszczepiła się w moją naturę rzeczona właściwość – to jest bezwiedne dążenie do wyjaśniania przyczyn powstania wszelkiego rodzaju „realnych faktów” – nie znajdując niczego innego, co mogłoby zaspokoić taką moją psy-

chiczną potrzebę, zająłem się badaniem rozmaitych rosyjskich legend oraz porzekadeł. I właśnie wtedy – nie wiem, czy przez przypadek, czy też zgodnie z obiektywnym i prawidłowym porządkiem rzeczy – dowiedziałem się między innymi, co następuje:

Pewien Rosjanin, w oczach otoczenia sprawiający wrażenie zwykłego kupca, musiał udać się w jakichś interesach ze swego prowincjonalnego miasta do tej drugiej stolicy Rosji, Moskwy, i jego ulubiony – ponieważ podobny tylko do matki – syn, korzystając z okazji, poprosił go o przywiezienie mu pewnej książki.

Po przybyciu do Moskwy ów wielki autor „ogólnowszechświatowej zasady życiowej”, zgodnie z panującym tam do dzisiaj zwyczajem, razem ze swym przyjacielem upił się w sztok oryginalną rosyjską wódką.

I kiedy ci dwaj członkowie tej wielkiej współczesnej zbiorowości dwunożnych oddychających stworzeń, wychyliwszy odpowiednią liczbę kieliszków owego „rosyjskiego dobrodziejstwa”, przystąpili do dyskusji o „powszechnej oświacie” – ponieważ właśnie od tego tematu już od dawna zwykło się tam rozpoczynać każdą rozmowę – nasz kupiec nagle, przez skojarzenie, przypomniał sobie prośbę swego syna i bezzwłocznie postanowił udać się wraz z przyjacielem do księgarni, aby zakupić zamówioną książkę.

W sklepie, przejrzawszy książkę, którą wręczył mu sprzedawca, kupiec zapytał o jej cenę.

Sprzedawca odpowiedział, że książka kosztuje sześćdziesiąt kopiejek.

Zauważywszy jednak, że cena podana na okładce wynosi tylko czterdzieści pięć kopiejek, kupiec zaczął najpierw ważyć myśli w szczególności, nietypowy dla Rosjan sposób, a następnie, wykonując dziwny ruch plecami, wyprostował się niemal jak słup i wypinając pierś do przodu jak oficer gwardii, zamarł w bezruchu, a po krótkiej pauzie bardzo spokojnie, lecz głosem, któremu nadał ton wielkiej stanowczości, powiedział:

– Ale tutaj jest napisane czterdzieści pięć kopiejek. Dlaczego

prosi pan o sześćdziesiąt?

Na to sklepikarz, robiąc właściwą wszystkim sprzedawcom „oleistą minę”, odparł, że książka faktycznie kosztuje tylko czterdzieści pięć kopiejek, ale że musi być sprzedana za sześćdziesiąt, bo piętnaście kopiejek wyniósł sam koszt przesyłki.

Po usłyszeniu tej odpowiedzi w naszym rosyjskim kupcu wprowadzonym w zakłopotanie takimi dwoma sprzecznymi, lecz ewidentnie dającymi się pogodzić faktami wyraźnie coś zaczęło się dziać. Wpatrując się w sufit, ponownie oddał się rozmyśleniom – tym razem jednak już jak angielski profesor, wynalazca kapsułek z olejem rycynowym – a następnie skierował się nagle w stronę przyjaciela i po raz pierwszy na świecie wypowiedział słowa wyrażające w swej istocie niewątpliwą obiektywną prawdę, która od tamtej pory przybrała charakter porzekadła.

Zwracając się do przyjaciela, rzekł wtedy:

– Mniejsza z tym, mój drogi! Bierzemy tę książkę. Tak czy owak, mamy dzisiaj zaszaleć, a „jak szaleć, to szaleć razem z przesyłką”!

Jeśli chodzi o mnie, nieszczęśliwca skazanego jeszcze za życia na doświadczanie rozkoszy Pieła, to przez dość długi czas po tym odkryciu działo się ze mną coś bardzo dziwnego, czego ani przedtem, ani potem już nie doświadczyłem. Otóż miałem wtedy wrażenie, że wszystkie normalnie występujące we mnie wieloźródłowe przeżycia i skojarzenia „zaczęły się ścigać”, jakby rozgrywały derby podobne do tego, które do dzisiaj organizują u siebie mieszkańcy Chiwy.

Jednocześnie wzdłuż całego mojego kręgosłupa wystąpiło silne, prawie nie do wytrzymania swędzenie, a w samym środku mojego plexus solaris pojawiły się równie nieznośne kolki; i wszystko to, czyli te dwa dziwne, wzajemnie stymulujące się doznania, po jakimś czasie niespodziewanie zastąpił stan takiego wewnętrznego spokoju, jakiego później doświadczyłem w życiu tylko raz, gdy odprawiano nade mną ceremonię wielkiego wtajemniczenia do bractwa „wytwórców masła z powietrza”. A potem, kiedy „Ja”, czyli to moje „nieznane coś” co w zamierzonych czasach jeden

dziwak – zwany przez swoje otoczenie, podobnie jak my dzisiaj nazywamy takie osoby „uczonym” – określił jako „pewne względne, przelotne zjawisko, uzależnione od jakości funkcjonowania myśli, czucia i organicznego automatyzmu”, a jeszcze inny słynny starożytny uczony, Arab Mal-el-Lel, zdefiniował jako „łączny rezultat świadomości, podświadomości oraz instynktu” – definicję, którą, nawiasem mówiąc, zapożyczył potem i powtórzył w inny sposób nie mniej znany grecki uczony Ksenofont – tak więc gdy w tym stanie to moje „Ja” zwróciło swoją ogłupiałą uwagę do środka, wówczas stwierdziło bardzo jasno, że po pierwsze, wszystko, co pozwoliło mi pojąć sens, aż po pojedyncze słowa, tego porzekadła, które stało się „ogólnowszechświatową zasadą życiową” przekształciło się we mnie w pewną szczególną substancję kosmiczną, a następnie, połączywszy się z danymi, które już od dawna skryształizowały się we mnie dzięki nakazowi mojej zmarłej babki, zmieniło te dane w „coś” i to „coś”, rozchodząc się po całej mojej zbiorczej obecności, osiadło na zawsze w każdym atomie, który się na nią składa; a po drugie, właśnie wtedy to moje pechowe „Ja” wyraźnie odczuło i z impulsem uległości uświadomiło sobie ów godny pożałowania dla mnie fakt, że, chcąc nie chcąc, od tego momentu będę musiał zawsze i we wszystkim bez wyjątku manifestować się zgodnie z tą nieodłączną cechą, która ukształtowała się we mnie, nie będąc podyktowana prawami dziedziczności, ani też nie pod wpływem różnych otaczających warunków, lecz która powstała w mojej zbiorczej obecności w wyniku działania trzech niemających ze sobą nic wspólnego, przypadkowych przyczyn zewnętrznych, a mianowicie: po pierwsze, dzięki nakazowi osoby, która bez najmniejszego pragnienia z mojej strony stała się bierną przyczyną przyczyny mojego powstania; po drugie, z powodu mojego zęba, którego wybił jakiś „młody łobuz” głównie dlatego, że ktoś inny „się pośliął”; a po trzecie, dzięki sformułowaniu, które w stanie upojenia wypowiedziała osoba całkiem mi obca, to znaczy jakiś „rosyjski kupiec”.

Jeśli jeszcze zanim poznałem tę „ogólnowszechświatową zasa-

dę życiową”, manifestowałem się już inaczej niż pozostałe powstające i wegetujące ze mną na tej samej planecie, podobne do mnie dwunożne zwierzęta, czyniłem to automatycznie i najwyżej półświadomie, ale po tym wydarzeniu zacząłem już robić to świadomie i z instynktownym doznaniem dwóch połączonych ze sobą impulsów: samozadowolenia oraz samoświadomości prawidłowego i uczciwego wypłacenia się z własnego długu wobec Wielkiej Przyrody.

Należy także podkreślić, że nawet jeżeli przed tym wydarzeniem robiłem już wszystko nie tak jak inni, to moje manifestacje prawie w ogóle nie rzucały się w oczy otaczającym mnie współziomkom, jednakże odkąd sedno tej zasady życiowej stało się integralną częścią mojej natury, odtąd, z jednej strony, wszystkie moje przejawy, zarówno te zamierzone w jakimś celu, jak i te „pojawiające się z czystego nieróbstwa”, nabrały życiodajności i zaczęły sprzyjać formowaniu się „odcisków” na organach percepcji każdego bez wyjątku podobnego do mnie stworzenia, które bezpośrednio lub pośrednio zwróciło uwagę na moje zachowanie, a z drugiej strony, te wszystkie moje pomysły zacząłem realizować w zgodzie z nakazem zmarłej babki, doprowadzając je do granic możliwości; jednocześnie też samo z siebie zrodziło się we mnie przyzwyczajenie, by zaczynając coś nowego, a także przy każdej, oczywiście na dużą skalę, zmianie zawsze wypowiadać w myśli lub na głos: „Jak szaleć, to szaleć razem z przesyłką”.

A więc na przykład również w danym wypadku, skoro z powodów ode mnie niezależnych, lecz wpływających z dziwnych i przypadkowych okoliczności towarzyszących mojemu życiu przyszło mi pisać książki, to powinienem robić to, kierując się tą samą zasadą, która dzięki różnym nadzwyczajnym i stworzonym przez samo życie splotom wydarzeń stopniowo wykształciła się i scaliła z każdym atomem mojej zbiorczej obecności.

Tę moją psychoorganiczną zasadę zastosuję tym razem w sposób następujący: zamiast postępować zgodnie z istniejącym od najdawniejszych czasów zwyczajem wszystkich pisarzy, który polega na obieraniu za temat różnych utworów takich zdarzeń,

które ponoć rozegrały się lub rozgrywają na Ziemi, ja opiszę wydarzenia na skalę całego Wszechświata. A zatem także w obecnym wypadku: „Jak brać, to brać!”, czyli „Jak szaleć, to szaleć razem z przesyłką”.

Na skalę Ziemi może pisać byle jaki pisarz, ale ja nie jestem byle jakim pisarzem!

Czyż mógłbym ograniczyć się tylko do tej naszej, w obiektywnym sensie, „mizernej Ziemi”?!

Nie, tego zrobić nie mogę; nie wolno mi przecież uczynić tematem moich pism tych samych kwestii, które z reguły poruszają inni pisarze, a to choćby tylko dlatego, że mogłoby się nagle okazać, iż mają rację nasi uczeni spirytyści i że dowie się o tym moja babcia. A czy potraficie sobie wyobrazić, czym groziłoby to mojej drogiej, kochanej babce?!

Przecież przewróciłaby się w grobie, i to nie raz, jak się zazwyczaj mówi, lecz – na ile potrafię ją zrozumieć, zwłaszcza teraz, gdy zostałem już „specem” od wchodzenia w położenie innych ludzi – tak wiele razy, że mogłaby się zamienić w „irlandzki kurek na dachu”.

Czytelniku, proszę, nie martw się... Jak najbardziej, będę również pisał o Ziemi, ale przyjmując tak bezstronną pozycję, że ta względnie mała planeta, wraz ze wszystkim, co się na niej znajduje, zajmie takie miejsce, jakie w istocie jej się należy i jakie nawet zgodnie z twoją zdrową logiką – którą zawdzięczasz oczywiście mojemu przewodnictwu – przysługuje jej w naszym Wielkim Wszechświecie.

Naturalnie muszę też dopilnować tego, żeby różnymi „bohaterami” moich pism nie zostały takie typy, jak te opisane w uniesieniu przez ziemskich pisarzy wszelkiej rangi i wszystkich epok, czyli bohaterowie w rodzaju jakiegoś Jana Kowalskiego czy Piotra Wiśniewskiego, którzy urodzili się wskutek nieporozumienia i przygotowując się do „odpowiedzialnego życia”, nie zdołali osiągnąć niczego, co stworzeniu na podobieństwo Boga, to znaczy człowiekowi, przystoi mieć, a tylko stopniowo, do ostatniego



tchnienia rozwijają w sobie tego rodzaju rozmaite uroki, jak na przykład: „lubieżność” „ckliwość” „kochliwość”, „zjadliwość” „zajęcze serce”, „zawiść” i inne niegodne człowieka przywary.

Ja w swoich dziełach zamierzam przedstawić takich bohaterów, których każdy, jak to się mówi, „rad nierad” będzie zmuszony całym swoim jestestwem uznać za prawdziwych i o których nieuchronnie skryształizują się we wszystkich czytelnikach dane budujące opinie; iż taki bohater to naprawdę „ktoś”, a nie zaledwie „byle kto”.

W ciągu ostatnich tygodni, gdy leżałem w łóżku z bardzo jeszcze obolałym ciałem i kreśliłem w głowie zarys moich przyszłych pism, obmyślając formę oraz kolejność ich przedstawienia, postanowiłem, że głównym bohaterem pierwszej serii uczynię... wiesz kogo?... Wielkiego Belzebuba we własnej osobie, i to nie bacząc na to, że mój wybór już od samego początku może wywołać w myślach większości czytelników skojarzenia, które niechybnie wzbudzą w nich wszelkiego rodzaju automatyczne impulsy sprzeciwu będące wynikiem działania ogółu danych, które obowiązkowo pojawiają się w psychice ludzi na skutek przeróżnych nienormalnie ustalonych warunków ich zewnętrznego życia i które krystalizują się w nich głównie w wyniku owej sławetnej; zakorzenionej w ich życiu „moralności religijnej” – co w sumie będzie musiało doprowadzić do nagromadzenia się w nich czynników budzących niewytłumaczalną wrogość wobec mojej osoby.

Ale wiesz co, czytelniku?

Na wypadek, gdybyś mimo mojego ostrzeżenia podjął ryzyko zapoznania się z dalszym ciągiem moich pism i próbował zawsze asymilować je z impulsem bezstronności oraz pragnieniem zrozumienia samej istoty różnych kwestii, które postanowiłem w nich wyłożyć, chcę teraz – mając na względzie tę przynależną psychice człowieka osobliwość, powodującą, że jedynie po „zacieśnieniu więzów wzajemnej szczeroci i zaufania” przyswajanie sobie dobra nie wywołuje w nim sprzeciwu – otwarcie ci się przyznać do skojarzeń, które powstały w moich myślach i doprowa-

dziły do tego, że w odpowiedniej sferze mojej świadomości osadziły się dane podpowiadające całej mojej indywidualności, żeby wybrać na głównego bohatera moich pism właśnie takie Indywiduum jak to, za które uchodzi w twoich oczach Pan Belzebub.

Zrobiłem to nie bez podstępów.

Moja chytryść sprowadza się po prostu do tego; że oparłem się na logicznym przypuszczeniu, iż jeśli okażę Belzebubowi taką uwagę, to On z pewnością – w co jak dotąd nie wątpię – będzie chciał się odwdziżyć, pomagając mi w tym, co zamierzam napisać, wszelkimi dostępnymi Mu sposobami.

Chociaż Pan Belzebub ulepiony jest, jak to się mówi, „z innej gliny” jednakowoż On także potrafi myśleć i, co najważniejsze, ma – jak dawno temu dowiedziałem się z traktatu słynnego katolickiego mnicha, brata Fulona – kędzierzawy ogon; a ponieważ, nauczony doświadczeniem, nabrałem głębokiego przekonania, że kędzierzawość nigdy nie jest czymś naturalnym, lecz można ją osiągnąć tylko dzięki różnym zamierzonym manipulacjom, wnioskuje więc – zgodnie ze „zdrową logiką”, która uformowała się w mojej świadomości na skutek czytania książek poświęconych hieromancji – że również Pan Belzebub musi mieć sporą dozę próżności i dlatego uzna, iż zdecydowanie nie wypada Mu nie udzielić pomocy komuś, kto będzie robił reklamę Jego imieniu.

Nie na darmo nasz niezrównany wspólny nauczyciel, Mułła Nasr Eddin, często powtarza:

„Jak nie posmarujesz, to nie tylko nigdzie znośnie nie pożyjesz, ale nawet nie poodychasz”.

A inny ziemski mędrzec, Koźma Prutkow, który również zawdzięczał swą mądrość bezdennej głupocie ludzi, wyraził to samo słowami:

„Kto nie smaruje, ten nie jedzie”.

Znając te, a także jeszcze wiele innych tego rodzaju powiedzeń zaczerpniętych z mądrości ludowej i utrwalonych na przestrzeni wieków w życiu zbiorowym ludzi, postanowiłem „posmarować

łapę” Pana Belzebuba, który, jak każdy się domyśla, ma możliwości oraz wiedzy w nadmiarze.

Dość tego, mój stary! Żarty, nawet te filozoficzne, na bok, wygląda na to, że z powodu tych wszystkich dygresji złamałeś już jedną z głównych zasad, które sam wypracowałeś i położyłeś u podstaw systemu mającego umożliwić ci, za pomocą tej nowej profesji, spełnienie marzeń, a mianowicie zasadę, która głosi, że zawsze trzeba mieć w pamięci oraz brać pod uwagę fakt osłabienia funkcji myślowej współczesnego czytelnika i w związku z tym nie zamęczać go, zmuszając do przyswajania mnóstwa idei w krótkim czasie.

Co więcej, kiedy poprosiłem jednego z ludzi, którzy kręcą się zawsze wokół mnie, bo chcą „zasłużyć sobie na wejście do raju w butach” o głośne przeczytanie po kolei wszystkiego, co napisałem w tym pierwszym rozdziale, wtedy to, co nazywa się moje „Ja” – oczywiście z udziałem wszystkich specyficznych danych, które utrwaliły się w mojej oryginalnej psychice w ciągu dotychczasowego życia i które pozwalają mi na przykład zrozumieć psychikę innych podobnych do mnie, ale różniących się typem stworzeń – ponad wszelką wątpliwość stwierdziło i uświadomiło sobie, że już ten pierwszy rozdział niechybnie spowoduje, iż w zbiorczej obecności wszystkich bez wyjątku czytelników pojawi się „coś” co automatycznie wywoła w stosunku do mojej osoby jawną wrogość.

Prawdę mówiąc, nie to mnie teraz najbardziej martwi, ale fakt, że pod koniec tej lektury skonstatowałem, iż we wszystkim, co zostało wyłożone w niniejszym rozdziale, cała moja zbiorcza obecność – w której wyżej wspomniane „Ja” odgrywa bardzo małą rolę – przejawiała się zdecydowanie wbrew przykazaniu ogólnowszechświatowego i szczególnie cenionego przeze mnie nauczyciela, Mułły Nasr Eddina, które brzmi: „Nigdy nie wsadzaj kija w mrowisko”.

Ale niepokój, jaki ogarnął cały system zawiadujący moimi odczuciami, kiedy uświadomiłem sobie, że czytelnik nieuchronnie będzie musiał zacząć żywić do mnie animozję, od razu przygaś,

gdy przypomniałem sobie stare rosyjskie przysłowie: „Nie ma takiej krzywdy, która z czasem nie pójdzie na przemiał, jak zboże na mąkę”.

Od tamtej pory nie tylko zupełnie przestał mi dokuczać ów niepokój, który ogarnął mój system w chwili, gdy uprzytomniłem sobie, że złamałem przykazanie Mułły Nasr Eddina, lecz także, zaraz po tym, jak zdałem sobie z tego sprawę, w obu moich dopiero niedawno zyskanych duszach zaczął się bardzo dziwny proces przybierający postać niezwyklego swędzenia, które, stopniowo narastając, wywołuje obecnie prawie nieznośny ból w okolicy nieco poniżej prawej połowy mojego już i tak nadwyręzonego plexus solaris.

Chwila moment!... Ten proces także zdaje się ustawać i w każdym zakamarku mojej świadomości – powiedzmy, na razie, mojej „podświadomości” – zaczyna wyłaniać się już to wszystko, co jest potrzebne do uzyskania całkowitej pewności, iż ów proces ustanie zupełnie, ponieważ właśnie przypomniałem sobie inną mądrość życiową, której sens zrodził w moich myślach refleksję, że nawet jeśli rzeczywiście postąpiłem wbrew radzie czcigodnego Mułły Nasr Eddina, to jednocześnie, bez premedytacji, działałem wedle zasady kogoś nadzwyczaj sympatycznego, którego sława nie sięga daleko, ale o kim nigdy nie zapomną ci wszyscy, co choć raz mieli okazję go spotkać – mam na myśli ów samorodny talent, kochanego Karapeta z Tyflisu.

Nie ma rady... ten mój rozdział wprowadzający zrobił się już tak długi, że nic się teraz nie stanie, jeśli przedłużę go jeszcze trochę i opowiem o tym arcysympatycznym tyfliskim Karapecie.

Przede wszystkim musicie wiedzieć, że dwadzieścia lub dwadzieścia pięć lat temu stacja kolejowa w Tyfusie była wyposażona w „gwizdek parowy”.

Jego dźwięk budził każdego ranka kolejarzy i pracowników stacji, a ponieważ tyfliski dworzec położony był na wzgórzu, to gwizdek ten można było usłyszeć prawie w całym mieście, gdzie wyrywał on ze snu nie tylko kolejarzy, lecz także innych jego mieszkańców.

Jeśli dobrze pamiętam, lokalne władze Tyflisu nawiązały nawet korespondencję z zarządem kolei w sprawie zakłócania porannego snu spokojnym obywatelom.

Obowiązek puszczenia pary w gwizdek spadał właśnie na Karapeta, który był zatrudniony na tej stacji.

Rano, kiedy przychodził do pracy i podchodził do liny, za pomocą której napuszczał pary do gwizdka, jeszcze zanim ją złapał i za nią pociągnął, machał rękami we wszystkie strony i z wielką powagą, jak mużułmański mułła z minaretu, głośno krzyczał:

– Twoja matka to...! Twój ojciec to...! Twój dziadek to największy...! Oby twoje oczy, uszy, nos, śledziona, wątroba, nagniotki...” itd. Słowem wygłaszał w różnej kolejności wszystkie przekleństwa, jakie znał, i dopiero potem pociągał za linę.

Kiedy dowiedziałem się o Karapecie oraz o tym praktykowanym przez niego obyczaju, któregoś wieczoru, gdy wrócił już z pracy do domu, pojawiłem się u mego z małym bukłakiem kachetyjskiego wina i po obowiązkowym odprawieniu uroczystego lokalnego rytuału „wznoszenia toastów” zapytałem go – także oczywiście w odpowiedniej formie, stosując się do miejscowego „kodeksu grzecznościowego”, który regulował tam stosunki wzajemne – dlaczego to robi.

Opróżniwszy jednym haustem szklankę i, jak nakazuje gruziński zwyczaj, odśpiewawszy raz pieśń biesiadną „Jeszcześmy się nie nażarli” Karapet zaczął powoli mówić:

– Ponieważ pijesz wino nie po dzisiejszemu, to znaczy nie tylko dla pozorów, ale w samej rzeczy uczciwie, już to pokazuje mi, że chcesz dowiedzieć się o tym moim zwyczaju nie z czystej ciekawości, jak nasi inżynierowie i technicy, lecz istotnie kierowany pragnieniem wiedzy; dlatego chcę, a nawet uważam za swoją powinność, szczerze wyznać ci, co dokładnie było przyczyną moich wewnętrznych, że tak powiem, „pedantycznych rozważań”, które mnie do tego doprowadziły i stopniowo wpoily we mnie ów zwyczaj.

Dalej opowiedział, co następuje:

– Dawniej pracowałem na stacji na nocną zmianę jako niewykwalifikowany robotnik do czyszczenia bojlerów parowych, ale gdy sprowadzono rzeczony gwizdek, kierownik stacji, najwidoczniej biorąc pod uwagę mój wiek oraz fakt, że nie nadaję się już do wykonywania ciężkiej pracy, kazał mi tylko przychodzić rano i wieczorem o określonej porze, aby puszczać parę do gwizdka.

Już w pierwszym tygodniu tej nowej służby zauważyłem, że przez godzinę lub dwie po spełnieniu mojego porannego obowiązku czułem się jakoś niewyraźnie.

A odkąd to wzmagające się z dnia na dzień dziwne uczucie przerodziło się w wyraźny instynktowny niepokój, który odebrał mi nawet apetyt na żurek, odtąd już niemal bez przerwy zacząłem łamać sobie głowę, próbując odnaleźć jego przyczynę.

Z jakiegoś powodu szczególnie intensywnie zastanawiałem się nad tym, idąc do pracy i wracając z niej. Ale jakkolwiek się starałem, nie potrafiłem, nawet w przybliżeniu, niczego sobie wyjaśnić.

Trwało to przez prawie sześć miesięcy i odciski na moich palcach zrobiły się już całkiem twarde od pociągania za sznur gwizdka parowego, gdy nagle zupełnie przypadkowo pojąłem, dlaczego coś takiego się we mnie dzieje.

Wstrząsu, który zainicjował moje poprawne rozumowanie, prowadzące w rezultacie do niezachwianego przekonania, doznałem dzięki okrzykowi usłyszanemu przypadkowo w następujących, dość niezwykłych okolicznościach:

Pewnego poranka, gdy po nieprzespanej nocy – spędzonej w połowie na chrzcinach dziewiętej córki mojego sąsiada, a w połowie na czytaniu bardzo interesującej i rzadkiej książki pod tytułem „Senne widziadła i czary”, która przypadkowo wpadła mi w ręce – śpieszyłem się, żeby puścić parę, zobaczyłem niespodziewanie na rogu ulicy znajomego felczera, zatrudnionego przez władze miejskie, który skinął na mnie, bym się zatrzymał.

Do obowiązków tego zaprzyjaźnionego felczera należało przejście o określonej porze ulicami miasta w towarzystwie asystenta

pchającego specjalnie skonstruowany wózek i wyłapanie wszystkich wałęsających się psów, które nie miały na obrożach blaszek wydawanych przez lokalne władze po wniesieniu odpowiedniej opłaty, a następnie dostarczenie tych psów do miejskiej rzeźni, gdzie trzymano je przez dwa tygodnie na koszt miasta, żywiąc odpadkami. Jeśli po wygaśnięciu tego terminu właściciele psów nie zgłosili się i nie uiścili należności, wówczas ceremonialnie zaganiano psy do pewnego przejścia, które prowadziło prosto do specjalnie zbudowanego pieca.

Już po krótkiej chwili z drugiego końca tego zbawiennego i mającego wielkie znaczenie pieca wypływała z radosnym bulgotem, przynosząc zysk ojcom naszego miasta, określona ilość klarownego, idealnie czystego tłuszczu, używanego do wyrabiania mydła i być może jeszcze czegoś innego, a oprócz tego wysypywała się z niego z nie mniej przyjemnym dla ucha szmerem spora ilość bardzo pożytecznych substancji do nawożenia.

Ów zaprzyjaźniony felczer wyłapywał psy w następujący prosty i nad podziw zręczny sposób:

Zdobył gdzieś dużą starą sieć rybacką, którą w czasie tych osobliwych, służących ogólnoludzkiemu dobru wycieczek po peryferiach naszego miasta nosił ułożoną w odpowiedni sposób na swych silnych plecach, i kiedy jakiś pies „bez paszportu” pojawiał się w zasięgu jego wszechwidzącego i straszliwego dla całego psiego gatunku oka, on, bez pośpiechu i ze zwinnością pantery, podkradał się blisko niego, a następnie w odpowiednim momencie, gdy jego ofiara była czymś zainteresowana lub zwabiona, zarzucał na nią sieć i szybko ją omotywał, po czym, podtoczywszy bliżej wózek, rozplątywał w taki sposób, iż trafiała prosto do umieszczonej na tym wózku klatki.

Kiedy mój znajomy felczer dał mi znak, abym się zatrzymał, akurat gotował się do zarzucenia swej sieci na kolejną ofiarę, która stała w tym czasie, merdając ogonem i przyglądając się jakiejś suce.

Mój przyjaciel miał właśnie zarzucić sieć, gdy nagle rozległy się dzwony pobliskiej cerkwi, wzywające ludzi na pierwsze ranne

modlitwy.

To dzwonienie rozbrzmiewające znienacka w porannej ciszy przestraszyło psa, który uskoczywszy w bok, pomknął jak strzała na pełnej psiej prędkości w dół pustej ulicy.

Otóż właśnie wtedy felczer, tak tym rozwścieczony, że aż włosy pod pachą stanęły mu dęba, cisnął sieć na chodnik i spluwając przez lewe ramię, głośno wykrzyknął: „Do diabła! Znaleźli sobie porę na dzwonienie!”

W chwili, gdy okrzyk felczera dotarł do mojego aparatu pojęciowego, od razu zaczęły kłębić się w nim przeróżne myśli, które ostatecznie doprowadziły mnie do trafnego, jak sądzę, zrozumienia przyczyny tego, że dręczył mnie ów instynktowny niepokój.

Zaraz po tym; jak uprzytomniłem to sobie, byłem nawet na siebie zły, że tak prosta i jasna myśl nie przyszła mi wcześniej do głowy.

Całym swoim jestestwem poczułem, że moja ingerencja w życie publiczne musiała nieuchronnie prowadzić do takiego rezultatu, jak właśnie to doznanie, które przez cały czas ogarniało moją zbiorczą obecność.

Niewątpliwie wszyscy ludzie wyrwani z ich słodkiej porannej drzemki hałasem gwizdka parowego musieli przeklinać „na czym świat stoi” mnie, przyczynę tej piekielnej kakofonii, i z pewnością właśnie dlatego ze wszystkich stron płynęły w moim kierunku wibracje wszelkiego rodzaju złośliwych intencji.

Tamtego pamiętnego poranka – gdy, wypełniwszy swój obowiązek, siedziałem w typowym dla mnie nastroju w pobliskiej gospodzie i jadłem flaczki z czosnkiem – kontynuując moje rozważania, doszedłem do wniosku, że jeśli sam najpierw przeklnę tych wszystkich, w których moja służba dla dobra części z nich zdawała się wzbudzać takie oburzenie, to, jak bardzo by mnie przeklinali ci ludzie przebywający w „sferze idiotyzmu”, czyli – zgodnie z wyjaśnieniami zawartymi w przeczytanej przeze mnie poprzedniej nocy książce „Senne widziadła i czary” – pomiędzy snem a drzemką, i tak nie będzie to miało na mnie żadnego wpły-



wu.

I rzeczywiście, od kiedy zacząłem to robić, przestałem odczuwać ów instynktowny niepokój.

Teraz jednak, mój cierpliwy czytelniku, już chyba naprawdę muszę zakończyć ten pierwszy rozdział. Trzeba tylko jeszcze go podpisać.

Ten, którego...

Stop! Ty niedojdo! Z podpisem nie ma żartów. Przypomnij sobie, jak w jednym z krajów Europy Środkowej musiałeś zapłacić dziesięcioletni czynsz za dom, w którym mieszkałeś ledwie trzy miesiące, i to tylko dlatego, że własnoręcznie podpisałeś papier, na którym zobowiązałeś się co roku odnawiać umowę o najem tego domu.

Oczywiście po takich i jeszcze wielu innych podobnych przejściach życiowych, jeśli chodzi o mój podpis, muszę być teraz bardzo, bardzo ostrożny.

No dobrze, niech już będzie:

Ten, którego w dzieciństwie nazywano „Tatach”, we wczesnej młodości „Smagły”, później „Czarny Grek”, w wieku dojrzałym „Tygrys Turkiestanu”, a obecnie już nie było kto, lecz prawdziwy „Monsieur” lub „Mister Gurdżijew” czy też „bratanek Księcia Muchrańskiego”, albo, na koniec, po prostu „Nauczyciel Tańców”.

## *Rozdział 2*

### ***Prolog*** ***Dlaczego Belzebub znalazł się w naszym układzie słonecznym***

Działo się to według obiektywnej rachuby czasu w roku 223 po stworzeniu świata lub, jak powiedziano by na Ziemi, w roku 1921 po narodzeniu Chrystusa.

Przez Wszechświat przelatywał „Karnak” statek komunikacji „międzyprzestrzennej”.

Po wystartowaniu z przestworzy „Asuparacata” to znaczy z przestrzeni Drogi Mlecznej, „Karnak” leciał teraz z planety Karataz do układu słonecznego „Pandecnoch”, którego słońce zwane jest na Ziemi „Gwiazdą Polarną”.

Na wspomnianym statku międzyprzestrzennym znajdował się Belzebub wraz ze swoimi krewnymi i bliskimi.

Udawał się właśnie na planetę Rewozwradendr, na specjalną naradę, w której zgodził się uczestniczyć na prośbę swych starych przyjaciół.

Jedynie wspomnienie wieloletniej przyjaźni potrafiło go skłonić do przyjęcia tego zaproszenia, albowiem był już stary i dla kogoś w jego wieku tak długa droga wraz ze wszystkimi trudami, które się z nią wiązały, stanowiła zadanie niełatwe.

Tuż przed tą podróżą Belzebub wrócił do siebie, do miejsca swego powstania, czyli na planetę Karataz, z dala od której, z powodów od jego esencji niezależnych, spędził wiele lat swego życia w warunkach sprzecznych z jego naturą.

Te długie lata takiej nietypowej dla niego egzystencji, a także percepcje niezwykle dla jego natury i przeżycia niezgodne z jego esencją, nie omieszkały pozostawić wyraźnego śladu na jego

zbiorczej obecności.

Oprócz tego już sam czas musiał go postarzyć i te niezwykle warunki egzystencji przywiodły Belzebuba, właśnie tego Belzebuba, którego młodość była tak wyjątkowo hoża, burzliwa i wspaniała, do równie niezwyklej starości.

Dawno, dawno temu, kiedy Belzebub egzystował jeszcze u siebie na planecie Karataz, został przyjęty z racji swojej wyjątkowej inteligencji do służby na „Słońcu Absolut” – głównym miejscu przebywania NASZEGO PANA WŁADCY NIESKOŃCZONEGO – i tam, wraz z innymi podobnymi do siebie istotami, stał się powiernikiem jego NIESKOŃCZONOŚCI.

Ponieważ jego rozum nie zdążył się jeszcze wtedy ukształtować i jego młode, a więc ciągle niepohamowane i nacechowane nierówno płynącym ciągiem skojarzeń myślenie opierało się na wąskich pojęciach – co jest naturalne dla istot, które nie stały się jeszcze całkiem odpowiedzialne – to pewnego razu dostrzegł on w zarządzaniu Światem coś, co wydało mu się „nielogiczne”, i znalazłszy wsparcie u swych kolegów, istot tak jak on nie w pełni ukształtowanych, wmieszał się w nie swoje sprawy.

Ze względu na moc i nieokrzeseanie jego natury ingerencja Belzebuba i jego towarzyszy szybko wzburzyła wszystkie umysły i niewiele brakowało, a wywołałaby rewolucję w centralnym królestwie Megalokosmosu.

Dowiedziawszy się o tym, jego nieskończoność, mimo swej wszechmiłości i wszechmiłosierdzia, zmuszony był skazać Belzebuba i jego towarzyszy na zesłanie do jednego z odległych zakątków Wszechświata, do układu słonecznego „Ors” – nazywanego przez jego mieszkańców po prostu „układem słonecznym” – i wyznaczyć na miejsce ich egzystencji planetę Mars, zezwalając im na przebywanie również na innych planetach, ale wyłącznie w obrębie tego samego układu słonecznego.

Pośród wygnańców, oprócz wspomnianych kolegów Belzebuba, było też wielu z tych, którzy po prostu z nim sympatyzowali, a także krewni i podwładni zarówno jego samego, jak i jego towa-

rzyszy.

Ponieważ wszyscy przybyli na tę odległą planetę ze swoim potomstwem i pozostałymi domownikami, więc w krótkim czasie na planecie Mars utworzyła się cała kolonia trój centrowych istot z różnych planet środkowej części naszego Wielkiego Wszechświata.

Cała ta nietypowa dla tej planety populacja powoli przystosowała się do swojego nowego miejsca zamieszkania i wielu jej członków, żeby skrócić sobie jakoś długie lata wygnania, znalazło takie czy inne zajęcie bądź, na samej planecie Mars, bądź też na sąsiednich planetach, które były prawie zupełnie opustoszałe z powodu ich oddalenia od centrum oraz ubóstwa wszelkich występujących tam formacji.

Z biegiem lat wielu z nich, z własnej woli lub kierując się potrzebą ogółu, przeniosło się stopniowo z planety Mars na inne planety, ale sam Belzebub pozostał ze swoimi powiernikami na Marsie, gdzie zorganizował sobie w miarę znośną egzystencję.

Jednym z jego głównych zajęć na Marsie było urządzenie obserwatorium, które miało służyć do badania odległych koncentracji Wszechświata, a także do studiowania warunków egzystencji istnieniowej na sąsiednich planetach; to obserwatorium stało się później nawet bardzo słynne i cenione w całym Wszechświecie.

Wprawdzie układ słoneczny Ors, zarówno z powodu swego oddalenia od centrum, jak i z różnych innych przyczyn, popadł do pewnego stopnia w stan zaniedbania, jednak od czasu do czasu Przeświète Indywidua kosmiczne należące do otoczenia NASZEGO NIESKOŃCZONEGO WSPÓLNEGO OJCA wysyłały na planety tego układu posłańców, których zadaniem było uporządkowanie egzystencji istnieniowej powstających tam trójmózgowych istot w taki sposób, aby toczyła się ona w zgodzie z ogólną harmonią Świata.

Otóż na jednej z planet tego układu słonecznego, mianowicie na planecie zwanej „Ziemią” posłańcem NASZEGO NIESKOŃCZONEGO był niejaki Asziata Szyjemasz. Dzięki temu, że Belzebub wy-

pełnił pewne zadanie, które było niezbędne do osiągnięcia celu misji Asziaty Szyjemasza, ów wysłannik, powróciwszy na Słońce Absolut, zaczął gorąco błagać JEGO NIESKOŃCZONOŚĆ o ułaskawienie tego niegdyś młodego i porywczego, a teraz już postarzałego Belzebuba.

Biorąc pod uwagę prośbę Asziaty Szyjemasza, a także skromną i świadomą egzystencję samego Belzebuba, NASZ STWÓRCA i SPRAWCA przebaczył mu i zezwolił na powrót do miejsca jego powstania.

Z tej właśnie przyczyny po długiej nieobecności Belzebub znowu znalazł się w centrum Wszechświata.

W czasie wspomnianego zesłania jego wpływ i autorytet nie tylko nie zmalały, lecz wręcz odwrotnie, jeszcze bardziej wzrosły, ponieważ całe jego otoczenie jasno uświadomiło sobie, że dzięki wieloletniej egzystencji w tak niezwykłych warunkach jego wiedza i doświadczenie musiały na pewno rozszerzyć się i pogłębić.

Kiedy więc na jednej z planet układu słonecznego Pandecnoch rozgrywały się wydarzenia niemałej wagi, starzy przyjaciele Belzebuba postanowili zakłócić mu spokój i zaprosili go na naradę poświęconą tym ważnym wypadkom.

Oto dlaczego Belzebub wyruszył na pokładzie statku „Karnak” w tę długą podróż z planety Karataz na planetę Rewozwradendr.

Pasażerami tego wielkiego statku międzyprzestrzennego byli krewni oraz zaufani Belzebuba, a także wiele istot obsługujących sam statek.

W okresie, którego dotyczy nasza opowieść, wszyscy pasażerowie bądź byli zajęci wypełnianiem swoich obowiązków, bądź też po prostu urzeczywistniali to, co nazywa się „aktywnym myśleniem istnieniowym”.

Spośród ogółu pasażerów statku wyróżniał się pewien bardzo ładny chłopiec, który trzymał się zawsze blisko Belzebuba.

Był to Hassin, syn Tulufa, ulubionego syna Belzebuba.

Belzebub po raz pierwszy zobaczył swego wnuka Hassina dopiero po powrocie z wygnania do domu i doceniwszy jego dobre

serce, a także uległszy temu, co zwie się „rodzinną siłą przyciągania” natychmiast go polubił.

A ponieważ nadszedł właśnie okres, żeby rozwinąć rozum małego Hassina, Belzebub, dysponując dużą ilością wolnego czasu, podjął się wychowania wnuka i odtąd zabierał go wszędzie ze sobą. To dlatego Hassin towarzyszył mu również w tej długiej podróży i znalazł się w gronie otaczających go osób.

Hassin ze swej strony tak pokochał Belzebuba, że nie chciał odstępować od niego ani na krok i z zapalem przyswajał sobie wszystko, co mówił mu i czego uczył go dziadek.

Na początku naszej opowieści Belzebub z Hassinem i swoim starym oddanym sługą Ahunem, który zawsze wszędzie mu towarzyszył, zasiedli na najwyższym „kasniku”, czyli na górnym pokładzie statku „Karnak” pod „kalnokranonisem” – to znaczy czymś w rodzaju wielkiego „szklanego dzwonu” – i rozmawiali, obserwując jednocześnie bezgraniczne przestworza.

Belzebub opowiadał o układzie słonecznym, w którym spędził wiele lat.

Tym razem opisywał osobliwości przyrody na planecie zwanej „Wenus”.

W trakcie rozmowy powiadomiono Belzebuba, że kapitan statku chce z nim porozmawiać, na co Belzebub wyraził zgodę.

## Rozdział 3

### ***Przyczyna zwłoki w spadaniu statku „Karnak”***

Po krótkiej chwili wszedł kapitan i powitawszy Belzebuba z wszystkimi należnymi jego randze honorami; powiedział:

– Wasza Przewielebność, pozwól, że spytam o twoją niepodważalną opinię na temat pewnej „nieuchronności”, która znalazła się na trasie naszego lotu i która przeszkadza nam spadać w linii prostej.

Rzecz w tym, że jeśli podążymy wyznaczonym kursem, to za dwa „kilprena”\* nasz statek znajdzie się w układzie słonecznym Wuanik”

\* Słowo „kilpreno” w języku Belzebuba oznacza pewien odcinek czasu, w przybliżeniu równy temu, który my nazywamy „godziną”.

Taksie składa, że w tym samym miejscu, które powinien minąć nasz statek, około kilprena wcześniej pojawi się duża kometa o nazwie „Sakur” należąca do wspomnianego układu słonecznego.

Jeśli będziemy trzymać się przewidywanego kursu, to niechybnie przetniemy trajektorię tej komety.

A jak Wasza Przewielebność sam wie, ta „postrzelona” kometa zawsze rozrzuca na trasie swojego przelotu dużo „cylnotrago”\*\*, który, dostawszy się do ciała planetarnej istoty, dezorganizuje prawie wszystkie funkcje tego ciała, i to tak długo, aż całkowicie się z niego ulotni.

\* „Cylnotrago” to szczególny gaz, podobny do tego, który my nazywamy kwasem pruskim.

W pierwszej chwili pomyślałem – kontynuował kapitan – że aby uniknąć strefy cylnotrago, powinniśmy skierować nasz statek drogą okrężną, jednakże w takiej sytuacji musielibyśmy zrobić duży „objazd” co wydłużyłoby trochę czas podróży. Z drugiej

strony, czekanie gdzieś, aż cylnotrago się ulotni, potrwa jeszcze dłużej.

Stojąc przed takim dylematem, nie potrafię sam zdecydować, jak postąpić, i dlatego ośmielam się niepokoić cię, Wasza Przewielebność, aby wysłuchać twojej kompetentnej rady.

Gdy kapitan skończył mówić, Belzebub namyślił się chwilę, po czym odpowiedział, co następuje:

– Naprawdę nie wiem, co ci doradzić, mój drogi kapitanie... Chociaż może... w układzie słonecznym, gdzie spędziłem wiele lat, znajduje się pewna planeta zwana „Ziemią”. Na tej planecie Ziemia powstały i wciąż powstają bardzo dziwne trójcentrowe istoty. Właśnie wśród nich, na jednym z kontynentów tej planety, zwanym „Azją”, urodziła się i egzystowała niezwykle mądra istota trój-mózgowa, której nadano tam imię „Mułła Nasr Eddin”.

Ów ziemski mędrzec Mułła Nasr Eddin – kontynuował Belzebub – na każdą, czy to wielką, czy też małą okazję związaną z oryginalną egzystencją tamtejszych istot, miał odpowiednie i bardzo trafne powiedzenie.

Ponieważ wszystkie jego porzekadła ukazywały zawsze prawdziwe oblicze istot tej planety, więc w czasie mojego pobytu tam stale kierowałem się jego maksymami, przez co zapewniłem sobie wśród nich wygodną egzystencję.

Również w danym wypadku, mój drogi kapitanie, chcę użyć jednej z jego mądrych sentencji.

W sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy, on prawdopodobnie powiedziałby:

„Nie da się przeskoczyć własnych kolan i bezsensowne jest próbować pocałować się w łokieć!”

To samo powiem teraz tobie i jeszcze dodam: Nie ma rady. W obliczu zdarzenia, którego źródłem są siły nieporównanie większe niż nasze własne, trzeba się poddać.

Obecnie pozostaje tylko odpowiedzieć na pytanie, które z wymienionych przez ciebie rozwiązań należy wybrać: czy lepiej gdzieś przeczekać, czy lepiej nadłożyć drogi?



Mówisz, że choć „objazd” wydłuży naszą podróż, to czekanie zajmie jeszcze więcej czasu.

Dobrze, drogi kapitanie. Jeśli zrobimy objazd i w ten sposób zaoszczędzimy nawet nieco czasu, to jak sądzisz, czy warto eksploatować i nadwyreżać maszynę naszego statku tylko po to, żeby trochę wcześniej dotrzeć do celu naszej podróży?

Jeżeli taka okrężna droga może przyczynić się do choćby najmniejszego uszkodzenia naszego statku, to powinniśmy moim zdaniem wybrać drugą z twoich propozycji, czyli zatrzymać się gdzieś, dopóki droga nie oczyści się z tego toksycznego cylnotrago, zaoszczędzając w ten sposób naszemu statkowi niepotrzebnych awarii.

A czas takiej nieprzewidzianej zwłoki spróbujemy wypełnić czymś pożytecznym dla nas wszystkich.

Ja sam na przykład bardzo chętnie porozmawiałbym z tobą o współczesnych statkach w ogóle, a w szczególności o naszym statku, ponieważ w trakcie mojej nieobecności wprowadzono w tej dziedzinie wiele innowacji, o których wciąż jeszcze nic nie wiem.

Wystarczy, jeśli dodam, że w moich czasach tego rodzaju wielkie statki międzyprzestrzenne były tak skomplikowane i niewygodne w użyciu, iż prawie połowa ich mocy zużywana była na transport materiałów potrzebnych do wytwarzania energii, która umożliwia im poruszanie się.

Natomiast współczesne statki, z prostotą i swobodą, jaką potrafią zapewnić wszelkim przejawom istnieniowym, to wręcz model „błogostokirno”. Niekiedy można na nich nawet zapomnieć o tym, że nie jest się na żadnej planecie.

No właśnie, mój drogi kapitanie, bardzo chciałbym się dowiedzieć, w jaki sposób udało się zrealizować takie dobrodziejstwa, a także jaka jest zasada działania współczesnych statków.

Na razie możesz więc odejść i wydać wszystkie polecenia niezbędne do tego, by odpowiednio zatrzymać nasz pojazd, a potem, gdy będziesz już zupełnie wolny, wróć do mnie, abyśmy mogli

spędzić czas naszej nieuniknionej zwłoki na pożytecznych dla nas wszystkich rozmowach.

Gdy kapitan wyszedł, Hassin zerwał się nagle i zaczął podskakiwać, klaszcząc w ręce oraz wykrzykując:

– Jak się cieszę, jak się z tego cieszę!

Belzebub popatrzył z czułością na te radosne przejawy swego ulubieńca, ale stary Ahun nie wytrzymał i karcąco pokręciwszy głową, zaczął mamrotać pod nosem, nazywając chłopca „dorastającym egoistą”.

Hassin, usłyszawszy to, zatrzymał się przed nim i filuternie spoglądając, powiedział:

– Nie złość się na mnie, łaskawy Ahunie. Powodem mojej radości nie jest wcale egoizm, lecz jedynie przypadkowo pomyślny dla mnie zbieg okoliczności. Sam słyszałeś. Drogi dziadek nie tylko zarządził postój, ale też obiecał kapitanowi, że z nim porozmawia.

A przecież wiesz, że przy okazji takich rozmów drogi dziadek zawsze zaczyna opowiadać o miejscach, w których był, i tak samo wiesz, jak świetnie umie opowiadać oraz jak wiele nowych informacji krystalizuje się w naszych obecnościach dzięki tym opowieściom.

Jaki tam egoizm?! Wszak on sam z własnej dobrej woli, rozważwszy w swym mądrym umyśle wszystkie okoliczności nieprzewidzianego zdarzenia, zarządził postój, który nie tak bardzo, jak widać, krzyżuje mu plany.

Mam wrażenie, że mój drogi dziadek nigdzie się nie spieszy, ponieważ może znaleźć na „Karnaku” wszystko, co jest mu potrzebne do zapewnienia spokoju i wygody, a poza tym ma tu wokół siebie wielu z tych, którzy go kochają i których on sam kocha.

Pamiętasz, sam powiedział: „Siłom większym od własnych nie wolno się przeciwstawiać” i jeszcze dodał, że nie tylko nie wolno się im sprzeciwiać, ale trzeba się im poddać i z czcią przyjąć wszystkie ich rezultaty, błogosławiąc i wychwalając cudowne dzieła opatrnościowe PANA NASZEGO STWÓRCY.

Nie z tego się cieszę, że mamy pecha, ale z nieprzewidzianego,

zesłanego z Góry zdarzenia, dzięki któremu będziemy mogli raz jeszcze wysłuchać opowieści mojego drogiego dziadka.

Czy to moja wina, że te okoliczności przypadkiem okazały się dla mnie najbardziej pożądane i szczęśliwe?!...

Nie, drogi Ahunie, nie powinieneś mnie ganić, a tylko wspólnie ze mną składać dzięki Źródłu, z którego powstają wszystkie dobroczynne rezultaty.

Belzebub uważnie i z uśmiechem wysłuchał gadaniny swego ulubieńca, a następnie rzekł:

– Masz rację, kochany Hassinie, a ponieważ masz rację, to jeszcze przed powrotem kapitana opowiem ci o tym, o czym tylko sobie zażyczysz.

Na te słowa chłopiec od razu podbiegł i siadł u stóp Belzebuba, a po chwili namysłu powiedział:

– Mój drogi dziadku! Tak dużo opowiedziałeś mi już o tym układzie słonecznym, w którym spędziłeś tyle długich lat, że być może sam mógłbym teraz, kierując się wyłącznie logiką, kontynuować opis szczegółów przyrody tego osobliwego zakątka naszego Wszechświata.

Ciekaw jednak jestem, czy na planetach owego układu słonecznego mają siedlisko istoty trójmózgowe i czy oblekają się w nich „wyższe ciała istnieniowe”?

To właśnie, drogi dziadku, chciałbym, żebyś mi teraz powiedział – zakończył Hassin, patrząc z umiłowaniem na Belzebuba.

– Tak – odrzekł Belzebub – trójcentrowe istoty zamieszkują niemalże wszystkie planety tego układu słonecznego i prawie każda z nich może przyoblec w sobie „wyższe ciała istnieniowe”.

Wyższe ciała istnieniowe lub, jak zwie się je na niektórych planetach tego układu słonecznego, „dusze” nie oblekają się jedynie w tych trójmózgowych istotach, które mają siedlisko na planetach, gdzie emanacje naszego Przenajświętszego Słońca Absolut docierają dopiero po tym, jak stopniowo, wskutek wielokrotnego załamania, utraciły pełnię swojej siły i w końcu zostały pozbawione wszelkiej życiodajnej mocy niezbędnej do oblekania wyż-

szych ciał istnieniowych.

Oczywiście, mój chłopcze, na każdej planecie tego układu słonecznego ciała planetarne istot trójmózgowych wykształcają się i przybierają zewnętrzną formę stosownie do przyrody danej planety, adaptując się do niej we wszystkich swoich szczegółach.

Na przykład na planecie Mars, na którą zostaliśmy zesłani, trójcentrowe istoty wykształcają takie ciała planetarne, których forma, jak ci to powie... których forma przypomina „karuna” to znaczy mają długi i szeroki tułów z ogromnym zapasem tłuszczu, a także głowy z wielkimi, wypukłymi i pełgającymi oczami. Na plecach tych ogromnych ciał planetarnych są umocowane dwa duże skrzydła, a na dole dwie stosunkowo małe stopy z bardzo silnymi pazurami.

Prawie cała siła tych olbrzymich ciał planetarnych została tak przystosowana przez Przyrodę, aby mogła służyć do produkcji energii dla ich oczu i skrzydeł.

Dzięki takiej osobliwości trójmózgowe istoty, które mają siedlisko na tej planecie, potrafią z łatwością – bez względu na panującą „kłdacachtį”<sup>\*</sup> – widzieć wszędzie i mogą się poruszać nie tylko po samej planecie, ale też nad nią, a niektóre z nich nawet znalazły sposób na to, żeby od czasu do czasu wydostać się poza granice jej atmosfery.

<sup>\*</sup> „Kłdacachtį” oznacza ciemność.

Inna planeta, znajdująca się nieco poniżej Marsa, jest zamieszkała przez trójmózgowe istoty, które z racji panujących tam ogromnych mrozów pokryte są gęstą i miękką sierścią.

Zewnętrzna forma tych trójcentrowych istot przypomina „tusuka” to znaczy rodzaj podwójnej kuli, z których jedna, mianowicie górna, służy jako pojemnik na główne organy całego ciała planetarnego, natomiast druga, dolna, na organy przetwarzające pierwszy i drugi pokarm istnieniowy.

W górnej kuli znajdują się trzy otwory wychodzące na zewnątrz, z których dwa służą do widzenia, a trzeci do słyszenia.

Druga, niższa kula ma tylko dwa takie otwory: jeden z przodu,

do pobierania pierwszego i drugiego pokarmu istnieniowego, drugi zaś z tyłu, do usuwania niepotrzebnych już organizmowi odpadków.

Na niższej kuli umocowane są też dwie bardzo żylaste nogi i na każdej z nich znajduje się narośl, która spełnia rolę naszych palców.

W tym samym układzie słonecznym, mój drogi chłopcze, znajduje się jeszcze inna, całkiem mała planeta o nazwie „Księżyc”.

Ta oryginalna malutka planeta często w czasie swojego obiegu bardzo zbliżała się do naszej planety Mars i niekiedy z dużą przyjemnością całymi kilprenami przyglądałem się przez „teskuano”<sup>\*</sup> mojego obserwatorium procesowi egzystencji trójmózgowych istot, które ją zamieszkują.

<sup>\*</sup> „Teskuano” oznacza teleskop.

Chociaż istoty tej planety mają bardzo wątłe ciała planetarne, jednak dysponują „mocnym duchem”, któremu wszystkie zawdzięczają wyjątkową wytrzymałość oraz zdolność do pracy.

Zewnętrznym kształtem przypominają wielkie mrówki i, podobnie jak mrówki, one też nieustannie się roją i pracują zarówno na powierzchni, jak i wewnątrz swojej planety.

Ich nieustająca działalność przyniosła już widoczne rezultaty.

Na przykład zauważyłem kiedyś, że w ciągu dwóch naszych lat „przewierciły” całą swoją planetę.

Zmusiły je do tej pracy panujące tam nienormalne warunki klimatyczne, które wynikają z tego, że powstanie ich planety nie było przewidziane i w związku z tym Siły Wyższe nie zadbały wówczas o wyregulowanie na niej harmonii klimatycznej.

„Klimat” na tej planecie jest faktycznie „zwariowany” i pod względem zmienności pobiłby na głowę „rozgorączkowane kobiety histeryczki” egzystujące na innej z planet tego samego układu słonecznego, o której również ci opowiem.

Tam, na owym Księżycu, panuje czasem taki mróz, że wszystko na wskroś zamarza i istoty zupełnie nie są w stanie oddychać na

otwartym powietrzu; potem zaś nagle robi się tak gorąco, że w jego atmosferze błyskawicznie ścina się jajko.

Tylko przez dwa krótkie okresy, mianowicie przed i po całkowitym okrążeniu innej sąsiedniej planety, pogoda na tej oryginalnej małej planecie staje się tak piękna, że podczas kilku obrotów wokół własnej osi ona cała rozkwita, dostarczając w tym czasie różnych produktów na pierwszy pokarm istnieniowy, i to w ilości wielokrotnie przekraczającej ogólne zapotrzebowanie jej mieszkańców w trakcie ich egzystencji w tym ichnim osobliwym królestwie wewnątrzplanetarnym, przez nich samych urządzone oraz chronionym przed wszystkimi kaprysmi tego „zwarowanego” klimatu, który powoduje tak nieharmonijne zmiany warunków atmosferycznych.

W pobliżu tej małej planety znajduje się pewna duża planeta, która czasami również bardzo się zbliża do Marsa i nosi nazwę „Ziemia”.

Zresztą Księżyc sam jest częścią planety Ziemia – planety, która ciągle musi łożyć na jego egzystencję.

Także na owej planecie zwanej „Ziemią” ukształtowały się trójmózgowe istoty, które mają wszelkie dane ku temu, by przyobiekły się w nich wyższe ciała istnieniowe.

Ale pod względem „mocy ducha” w niczym nie przypominają one istot mających siedlisko na opisanej przed chwilą małej planecie.

Zewnętrzna powłoka istot zamieszkujących planetę Ziemia bardzo przypomina naszą, pomijając to, że ich skóra jest nieco bardziej śliska i że nie mają ogona, a na głowach brakuje im rogów. Najgorzej sprawa wygląda z ich nogami, ponieważ są pozbawione kopyt; faktem jest, że aby chronić je przed zewnętrznymi wpływami, wymyśliły one to, co nazywają „obuwie”, ale ów wynalazek na niewiele im się zdaje.

Oprócz tego, że ich powierzchowność jest niedoskonała, także ich rozum jest naprawdę „niepowtarzalnie dziwny”!

Z bardzo wielu powodów, o których być może również kiedyś ci

opowiem, ich „rozum istnieniowy” z czasem tak się przeobraził, że obecnie zrobił się już niezwykle oryginalny i w najwyższym stopniu dziwaczny.

Belzebub chciał jeszcze coś powiedzieć, ale w tym momencie wszedł kapitan statku. Belzebub, obiecawszy chłopcu, że innym razem opowie mu o istotach z planety Ziemia, zwrócił się do kapitana.

Najpierw poprosił go, by mu powiedział, kim jest, jak długo jest kapitanem i czy lubi swą pracę, a następnie, żeby udzielił mu pewnych informacji o współczesnych statkach kosmicznych.

Kapitan odrzekł:

– Wasza Przewielebność, mój ojciec, gdy tylko zacząłem zbliżać się do osiągnięcia wieku istoty odpowiedzialnej, przeznaczył mnie do tej pracy w służbie NASZEGO NIESKOŃCZONEGO STWÓRCY.

Na początku zajmowałem na statkach międzyprzestrzennych najniższe stanowiska, ale w końcu dosłużyłem się funkcji kapitana i teraz minęło już osiem lat, odkąd pełnię ją na statkach dalekobieżnych.

Moją ostatnią posadę na statku „Karnak” objąłem zresztą po ojcu – który pełnił funkcję kapitana niemal od Stworzenia Świata – wtedy, kiedy on w nagrodę za swoją wieloletnią nienaganną służbę u JEGO NIESKOŃCZONOŚCI objął stanowisko rządcy układu słonecznego „Kalman”.

Krótko mówiąc – kontynuował kapitan – zacząłem swą służbę dokładnie wtedy, gdy Wasza Przewielebność wyruszał do miejsca swego wygnania.

W tamtym czasie byłem tylko prostym „zamiataczem” na ówczesnych statkach dalekobieżnych.

Tak... upłynęło bardzo, bardzo dużo czasu!

Od tamtej pory wszystko się zmieniło i wszystko zostało zmienione – tylko PAN NASZ WŁADCA pozostaje niezmienny. Niechaj błogosławieństwo „Amencano” obsypie JEGO NIEZMIENNOŚĆ na wieki wieków!

Wasza Przewielebność słusznie raczył zauważyć, że dawne statki były bardzo niewygodne i ciężkie.

Tak, to prawda, w tamtych czasach były one bardzo skomplikowane i pokraczne. Ja również doskonale je pamiętam. Między ówczesnymi i dzisiejszymi statkami istnieje wielka różnica.

W naszej młodości wszystkie statki, zarówno te do komunikacji międzyukładowej, jak i międzyplanetarnej, napędzane były kosmiczną substancją „Elekilpomagtisten”, czyli związkiem składającym się z dwóch odrębnych części wszechobecnego Okidanocha.

To właśnie żeby móc wyprodukować ów związek substancji, niegdysiejsze statki musiały zabierać ze sobą taką ilość materiałów.

Wkrótce po tym, jak Wasza Przewielebność stąd odleciał, takie statki wyszły z użycia i zastąpiono je statkami według systemu świętego Wenomy.



## Rozdział 4

### *Prawo spadania*

– Zdarzyło się to w roku 185 według obiektywnej rachuby czasu.

Święty Wenoma w dowód uznania za swoje zasługi został przeniesiony z planety „Surt” na świętą planetę „Czyściec” gdzie po zapoznaniu się z nową sytuacją i nowymi obowiązkami zaczął poświęcać cały wolny czas na swoją ulubioną działalność.

A jego ulubionym zajęciem było odkrywanie nowych zjawisk, które można było wywołać za pomocą różnych kombinacji zjawisk już istniejących i zgodnych z prawem.

Nieco później, studiując prawa kosmiczne, święty Wenoma spostrzegł w nich to, co stało się potem słynnym odkryciem, które jako pierwszy nazwał „prawem spadania”.

Owo kosmiczne prawo święty Wenoma sformułował w następujący sposób:

„Wszystko, co istnieje w Świecie, spada w dół. «Dołem» dla każdej części Wszechświata jest jej najbliższa «stabilność», a ową stabilność reprezentuje to miejsce lub punkt, w którym zbiegają się linie sił płynące ze wszystkich kierunków.

Centra wszystkich słońc i wszystkich planet naszego Wszechświata są właśnie takimi punktami «stabilności». Są one «dołem» tej strefy przestrzeni, do której z precyzją zmierzają i w której skupiają się siły napływające ze wszystkich kierunków danej części Wszechświata. Każdy z tych punktów jest także środkiem ciężkości, który umożliwia słońcom i planetom utrzymywanie zajmowanych przez nie pozycji”.

Następnie święty Wenoma wyjaśnił, iż każda rzecz, bez względu na miejsce, w którym się znajduje, po upuszczeniu jej w przestrzeń dąży do spadnięcia na to lub inne słońce albo tę lub inną

planetę, w zależności od tego, któremu słońcu czy planecie podporządkowana jest część przestrzeni, w której tę rzecz upuszczono – a to dlatego, że każde takie słońce lub planeta jest „stabilnością” albo „dołem” danej strefy.

Przyjmując to za punkt wyjścia, święty Wenoma w trakcie swoich dalszych badań zastanawiał się:

„Skoro tak jest; to czy nie można by wykorzystać tej kosmicznej właściwości do jakże niezbędnego nam poruszania się między przestrzeniami Wszechświata?”

I od tamtej pory nadał swojej pracy taki kierunek.

Jego dalsze święte trudy pokazały, że choć w zasadzie jest to możliwe, jednakże nie da się w pełni wykorzystać do tego „prawa spadania”, które sam odkrył, a to z tego prostego powodu, że atmosfery otaczające prawie wszystkie skupienia kosmiczne będą utrudniały spadanie w linii prostej obiektu puszczanego w przestrzeń.

Stwierdziwszy to, święty Wenoma całą swą uwagę poświęcił na odkrycie – w myśl zasady spadania – sposobu budowy statków, które potrafiłyby pokonać ów opór atmosfery.

Po trzech „luniasach” święty Wenoma odkrył taką możliwość i później, gdy pod jego kierunkiem zbudowano już odpowiednią konstrukcję, przystąpił do eksperymentów praktycznych.

Ta swoista struktura wyglądała jak duże pomieszczenie, którego ściany były zrobione ze specjalnego materiału przypominającego szkło.

Do każdej ściany tego dużego pomieszczenia przymocowano coś w rodzaju „żałuzji” wykonanych z materiału, który nie przepuszczał promieni substancji kosmicznej Elekilpomagtisten, i te żaluzje, choć szczelnie przylegały do ścian rzeczzonego pomieszczenia, swobodnie rozsuwały się we wszystkich kierunkach.

Wewnątrz pomieszczenia ulokowano specjalną „baterię”, która wytwarzała i dostarczała wspomnianą substancję Elekilpomagtisten.

Ja sam, Wasza Przewielebność, byłem obecny przy pierwszych

eksperymentach, które święty Wenoma przeprowadził, opierając się na odkrytych przez siebie zasadach.

Cała tajemnica polegała na tym, że kiedy po podniesieniu żaluzji przez te specjalne szkła przepuszczano promienie Elekilpomagtistcen, wówczas w całej przestrzeni; do której one przenikały; ulegało zniszczeniu to wszystko, z czego normalnie składa się atmosfera planet; na przykład „powietrze” przeróżne „gazy” „mgły” itp. Owa część przestrzeni robiła się wtedy rzeczywiście absolutnie pusta i była pozbawiona jakiegokolwiek oporu czy ruchu – do tego stopnia, że nawet nowo narodzona istota mogła popychać to olbrzymie urządzenie, przesuwając je do przodu jak piórko.

Na zewnątrz ścian tego osobliwego pomieszczenia umocowane były urządzenia podobne do skrzydeł; wprawiane w ruch za pomocą tej samej substancji Elekilpomagtistcen i służące do nadania rozpędu owej ogromnej konstrukcji, tak by mogła ona ruszyć w pożądanym kierunku.

Rezultaty tych eksperymentów uzyskały poparcie oraz błogosławieństwo komisji weryfikacyjnej pod przewodnictwem Archanioła Adossija, po czym przystąpiono do budowy dużego statku, stosując przytoczone zasady.

Taki statek już wkrótce był gotowy do użytku i bardzo szybko na wszystkich liniach komunikacji międzyukładowej zaczęły kursować wyłącznie statki tego typu.

Wprawdzie później, Wasza Przewielebność, stopniowo wyszły na jaw różne niedogodności tego systemu, to jednak nadal przewyższał on wszystkie wcześniejsze systemy.

Nie da się ukryć, że choć w przestrzeniach pozbawionych atmosfery statki skonstruowane według tego systemu rzeczywiście funkcjonowały bez zarzutu i poruszały się niemal z prędkością wydobywających się z planet promieni „etcykolnionachnych” niemniej jednak przy każdym zbliżeniu się do jakiegoś słońca lub planety sterowanie nimi zamieniało się w istną torturę, gdyż wymagało ogromnej liczby skomplikowanych manew-

rów wymuszonych przez to samo „prawo spadania”.

Rzecz w tym, że kiedy statek wchodził w środowisko atmosferyczne jakiegoś słońca lub planety, które miał ominąć, od razu zaczynał spadać w ich kierunku i, jak już mówiłem, potrzeba było wielkiej uwagi oraz ogromnej wiedzy, żeby nie pozwolić mu zbończyć z kursu.

Kiedy te ówczesne statki mijały jakieś słońce czy planetę, często musiano zmniejszać ich normalną prędkość kilkaset razy.

Szczególnie trudno było nimi sterować w strefach, gdzie występowały duże skupiska „komet”.

Dlatego właśnie stawiano wielkie wymagania istotom, które miały kierować tymi statkami, i były one przygotowywane do pełnienia swych obowiązków przez istoty bardzo wysokiego rozumu.

Ale mimo wymienionych wad system świętego Wenomy, jak już powiedziałem, wyparł stopniowo wszystkie dotychczasowe systemy.

Statki systemu świętego Wenomy istniały już od dwudziestu trzech lat, gdy po raz pierwszy pojawiły się słuchy, że Archanioł Hariton wynalazł nowy typ statku do komunikacji międzyukładowej i międzyplanetarnej.

## Rozdział 5

### ***System Archanioła Haritona***

– Wkrótce po rozejściu się tej pogłoski zaczęto przeprowadzać, znów pod nadzorem Wielkiego Archanioła Adossija, ogólnodostępne doświadczenia praktyczne z tym nowym wynalazkiem, który miał nabrać później tak kolosalnej wagi.

Jednogłośnie uznano ów nowy system za najlepszy i bardzo szybko przystosowano go do powszechnego użytku, wskutek czego stopniowo wyparł on wszystkie wcześniejsze systemy.

Nawet dzisiaj system Wielkiego Anioła, teraz już Archanioła, Haritona jest w użyciu absolutnie wszędzie.

Statek, którym obecnie lecimy, zbudowany został zgodnie z tymi samymi zasadami i przypomina wszystkie inne statki skonstruowane według tego systemu.

A ów system jest w istocie bardzo prosty.

Cały ten wielki wynalazek sprowadza się do jednego „cylindra” w kształcie zwykłej beczki.

Sekret tego cylindra kryje się w rozmieszczeniu materiałów, z których zrobione są jego ścianki wewnętrzne.

Materiały te są izolowane od siebie za pomocą „bursztynu”, a ponieważ jednocześnie są rozmieszczone w pewnym porządku, to mają taką właściwość, że oddziałują na każdą kosmiczną substancję gazową, która dostaje się do zamkniętej nimi przestrzeni – czy to „atmosferę”, „powietrze”, „eter”, czy też inny „związek” jednorodnych elementów kosmicznych – powodując natychmiastowe rozprężenie tej substancji wewnątrz cylindra.

Dno tego cylindra-beczki jest hermetycznie zamknięte, ale jego wieko, choć można je również szczelnie zamknąć, jest umocowane na zawiasach w taki sposób, że może się otwierać i ponownie zamykać pod wpływem wewnętrznego ciśnienia.

A zatem, Wasza Przewielebność, kiedy ów cylinder-beczka wypełnia się atmosferą, powietrzem lub inną podobną substancją, wówczas pod wpływem działania ścianek tego szczególnego cylindra-beczki te substancje tak się rozprężają, że nie jest on w stanie ich pomieścić.

Próbując wydostać się z tego za ciasnego dla nich pomieszczenia, owe substancje oczywiście napierają również na wieko cylindra-beczki, które się otwiera dzięki wspomnianym zawiasom, wypuszczając te rozprężone substancje, i zaraz potem znowu zamyka. A ponieważ Przyroda generalnie nie znosi próżni, to równocześnie z uwalnianiem rozprężonych substancji gazowych cylinder-beczka napęlnia się nowymi substancjami z zewnątrz, z którymi dzieje się to samo co z poprzednimi, i tak dalej bez końca.

W ten sposób te substancje nieustannie się zmieniają, a wieko cylindra na przemian się otwiera i zamyka.

Do tego wieka przytwierdzona jest bardzo prosta dźwignia, która porusza się razem z nim i wprawia w ruch kilka tak samo nieskomplikowanych „kół zębatach”, a te z kolei obracają łopatkami przymocowanymi do boków i rufy statku.

W ten sposób, Wasza Przewielebność, w przestrzeniach pozbawionych wszelkiego oporu współczesne statki, takie jak nasz, po prostu spadają w kierunku najbliższej „stabilności” za to w przestrzeniach, w których znajdują się jakiekolwiek substancje kosmiczne stawiające opór, te substancje, niezależnie od ich gęstości, poddają się działaniu wspomnianego cylindra i umożliwiają statkowi poruszanie się w dowolnym kierunku.

Warto zauważyć, że im gęściejsze są elementy-substancje w danej części Wszechświata, tym łatwiej i sprawniej przebiega wypełnianie i opróżnianie cylindra-beczki, a to z kolei powoduje zwiększenie prędkości ruchu wszystkich dźwigni.

Niemniej jednak, powtarzam, obszar pozbawiony atmosfery, czyli przestrzeń zawierająca tylko światowe „Eternokrilno” jest także dla współczesnych statków najlepszy, ponieważ w takiej

strefie nie istnieje żaden opór i „prawo spadania” może znaleźć w niej pełne zastosowanie bez potrzeby korzystania z pracy cylindra.

Oprócz tego współczesne statki mają jeszcze taką zaletę, że w przestrzeniach pozbawionych atmosfery mogą rozpędzać się w dowolnym kierunku i spadać tam, gdzie im się spodoba, czego w wypadku statków według systemu świętego Wenomy nie udało się osiągnąć bez skomplikowanych manipulacji.

Jednym słowem, Wasza Przewielebność, współczesne statki pod względem wygody i prostoty nie mają nic wspólnego z wcześniejszymi statkami, które niekiedy bywały bardzo skomplikowane i którym równocześnie brakowało takich możliwości, jakimi dysponują statki używane przez nas obecnie.

## Rozdział 6

### *Perpetuum mobile*

– Zaraz... zaraz! – Belzebub przerwał w ten sposób kapitanowi. – Przecież to, o czym przed chwilą nam powiedziałeś, odpowiada dokładnie tej efemerycznej idei, którą dziwne istoty trójmózgowe mające siedlisko na planecie Ziemia nazwały „perpetuum mobile” i z powodu której w pewnym okresie wiele z nich, jak tam mówią, „całkiem straciło rozum”, a niejedna nawet przypłaciła ją życiem.

Chodzi o to, że kiedyś, jakoś i komuś na tej nieszczęsnej planecie przyszła do głowy, jak sami się wyrażają, „szalona myśl” iż możliwe jest zbudowanie takiego „mechanizmu”, który działałby bez przerwy, nie wymagając do swej pracy żadnego materiału z zewnątrz.

Ten pomysł tak się tam spodobał, że prawie wszyscy dziwacy na tej oryginalnej planecie zaczęli się nad tym zastanawiać, a także próbować w praktyce zrealizować owo „cudo”.

Iluż z nich poświęciło wówczas dla tej efemerycznej idei wszystkie materialne i duchowe dobra, które wcześniej zdobyli z wielkim trudem!

Z różnych powodów każdy chciał koniecznie wynaleźć tę, jak im się wydawało, „błahostkę”.

Wielu z nich, jeśli pozwalały na to warunki zewnętrzne, próbowało odkryć takie perpetuum mobile nawet wtedy, gdy brakowało im do tej pracy jakichkolwiek wewnętrznych danych; jedni liczyli na własną „wiedzę”, inni na przypadek, ale większość parała się tym po prostu z powodu swojej już nieodwołalnej psychopatii.

Jednym słowem, wynalezienie perpetuum mobile weszło tam, jak oni mówią, „w modę” i każdy tamtejszy wesolek musiał obowiązkowo interesować się tą kwestią.



Pewnego razu znalazłem się w mieście, gdzie zgromadzono wszelkiego rodzaju „modele”, a także niezliczone projekty mechanizmów takiego perpetuum mobile.

Czegóż tam nie było! Cóż za „mądre” i skomplikowane maszyny miałem okazję tam zobaczyć! Dowolny oglądany przeze mnie mechanizm krył w sobie więcej idei i „wymądrzań” niż wszystkie prawa Stworzenia i Istnienia Świata.

Zauważyłem wtedy, że wśród tych niezliczonych modeli i projektów dominowała idea wykorzystania tak zwanej siły ciężkości. Owa idea sprowadzała się u nich do tego, że bardzo skomplikowany mechanizm miał podnieść „pewien” ciężar, a następnie ten ciężar miał spaść i spadając, wprowadzić w ruch cały ten mechanizm, który miał znowu podnieść ów ciężar itd., itp.

Rezultat był taki, że tysiące tych nieszczęśników zamknięto w tak zwanych zakładach psychiatrycznych, podczas gdy tysiące innych, którzy uczynili z tej idei przedmiot swych marzeń, albo całkowicie uchylało się od tych obowiązków istnieniowych, które w ciągu wielu lat zostały na nich z trudem nałożone, albo wypełniało je już zupełnie „na odwal”.

Nie wiem, czym by się to wszystko skończyło, gdyby pewna tamtejsza zupełnie ogłupiała i zniedołężniała istota, jedna z tych, które oni sami mają w zwyczaju nazywać „prykami”, a która po zrobieniu jakiegoś przekrętu zdobyła, jak to zawsze się u nich dzieje, duży autorytet, nie udowodniła za pomocą znanych tylko sobie „obliczeń” że wynalezienie perpetuum mobile jest kompletnie niemożliwe.

Dzięki twoim wyjaśnieniom teraz już bardzo dobrze rozumiem, jak działa cylinder systemu Archanioła Haritona, czyli dokładnie to, o czym marzyli tam owi nieszczęśnicy.

Rzeczywiście, można śmiało powiedzieć, że cylinder systemu Archanioła Haritona może pracować bez przerwy i bez wydatkowania jakiegokolwiek obcego materiału, korzystając wyłącznie z obecności samej atmosfery.

A skoro świat nie może istnieć bez planet, a więc i bez atmosfer,

to póki istnieje świat i tym samym atmosfery, wynaleziony przez wielkiego Archanioła Haritona cylinder-beczka będzie funkcjonował zawsze.

Teraz mam tylko jeszcze pytanie: Z jakich materiałów jest zrobiony ów cylinder-beczka?

Bardzo proszę, drogi kapitanie, wyjaśnij mi to w przybliżeniu, a także powiedz, jak trwale są te materiały.

Na to pytanie Belzebuba kapitan odpowiedział, co następuje:

– Mimo że ten cylinder-beczka nie trwa wiecznie, może w każdym razie wytrzymać bardzo długo.

Jego główna część zbudowana jest z „bursztynu” i ma „platynowe” obręcze, natomiast wewnątrz jego ścianki pokrywa okładzina z „węgla kamiennego”, „miedzi” „kości słoniowej” oraz bardzo mocnego „mastyksu”, któremu niestraszne są „pejszczakir”\*, „tejnoler”\*\*, „saliakuriapa”\*\*\*, a nawet promieniowania skupień kosmicznych.

\* „Pejszczakir” oznacza zimno.

\*\* „Tajnoler” oznacza ciepło.

\*\*\* „Saliakuriapa” oznacza wodę.

Za to inne części – kontynuował kapitan – na przykład zewnętrzne dźwignie i koła zębate, trzeba oczywiście od czasu do czasu remontować, bo chociaż są zrobione z najmocniejszego metalu, jednak po długotrwałej eksploatacji mogą się zużyć.

Jeśli zaś chodzi o sam korpus statku, to naturalnie nie da się zagwarantować, jak długo wytrzyma.

Kapitan chciał jeszcze coś powiedzieć, ale w tym momencie po całym statku rozniósł się długi dźwięk, przypominający dobiegające z oddali wibracje molowego akordu w wykonaniu orkiestry dętej.

Kapitan, przepaszając, wstał i w biegu wyjaśnił, że na pewno wzywany jest w jakiejś bardzo ważnej sprawie, albowiem wszyscy wiedzą, iż znajduje się u Jego Przewielebności, a nikt nie śmiałyby niepokoić uszu Jego Przewielebności z powodu jakiegoś

głupstwa.

## *Rozdział 7*

### ***Uświadomienie sobie prawdziwej powinności istnieniowej***

Po wyjściu kapitana Belzebub popatrzył na swego wnuka i zauważywszy jego niezwykły stan, z niepokojem zapytał troskliwie:

– Co się z tobą dzieje, mój drogi chłopcze?! Nad czym się tak mocno zastanawiasz?

Spoglądając na dziadka wzrokiem przepelnionym smutkiem, Hassin odrzekł w zamyśleniu:

– Nie wiem, co się ze mną dzieje, mój drogi dziadku, ale twoja rozmowa z kapitanem rozbudziła we mnie bardzo przygnębiające refleksje.

W tym momencie myślą się we mnie takie rzeczy, nad którymi nigdy dotąd się nie zastanawiałem.

Dzięki waszej rozmowie stopniowo jasno dotarło do mojej świadomości, że w całym Wszechświecie NASZEGO NIESKOŃCZONEGO nie wszystko było zawsze takie, jak je dzisiaj widzę i rozumiem.

Na przykład dawniej nigdy nie dałbym temu wiary – nawet gdyby taka myśl pojawiła się we mnie drogą skojarzenia – że statek, którym lecimy, wyglądał kiedyś inaczej, niż wygląda w danym momencie. Dopiero teraz jasno pojąłem, że wszystko, czym obecnie dysponujemy i czego używamy, wszelkie współczesne ułatwienia i wszystko, co jest nam potrzebne do tego, żeby było nam wygodnie i żebyśmy mieli dobre samopoczucie, nie od zawsze istniało i nie tak łatwo się pojawiło.

Okazuje się, że w przeszłości pewne istoty musiały się nad tym trudzić przez długi czas i znosić bardzo wiele cierpień, których być może mogłyby sobie zaoszczędzić.

Pracowały i cierpiały tylko po to, abyśmy teraz mogli to wszystko mieć i wykorzystywać z myślą o naszym dobrym samopoczuciu.

I robiły to – świadomie lub nieświadomie – dla nas, istot zupełnie im nieznanych oraz całkowicie obojętnych.

A teraz my nie tylko nie jesteśmy im wdzięczni, ale nawet w ogóle nic o nich nie wiemy i ani się nad tą kwestią nie zastanawiamy, ani nas ona w ogóle nie zaprząta, ponieważ uznajemy to wszystko za naturalny obrót rzeczy.

Na przykład ja sam egzystuję już we Wszechświecie tyle lat, a jeszcze ani razu nie przyszło mi do głowy, że być może istniał taki czas, kiedy tego wszystkiego, co widzę i mam, nie było, lub że to nie urodziło się razem ze mną, tak jak wraz ze mną urodził się mój nos.

A więc, mój drogi i dobry dziadku... Teraz, gdy dzięki twojej rozmowie z kapitanem stopniowo zacząłem sobie uświadamiać to wszystko całą moją obecnością, równolegle pojawiła się we mnie potrzeba wyjaśnienia mojemu rozumowi, dlaczego ja osobiście mam te wszelkie wygody, z których obecnie korzystam, a także jakie nakłada to na mnie obowiązki.

To właśnie z tej przyczyny zachodzi we mnie w tej chwili „proces czynienia sobie wyrzutu”.

Po tych słowach Hassin spuścił głowę i zamilkł, a Belzebub, patrząc na niego z czułością, zaczął mówić, co następuje:

– Radzę ci, mój drogi Hassinie, nie zajmować się jeszcze takimi pytaniami. Poczekaj na razie. Gdy nastanie właściwy okres twojej egzystencji na uświadomienie sobie tego rodzaju esencjalnych kwestii, będziesz mógł aktywnie zastanowić się nad nimi i dopiero wtedy zrozumiesz, co powinieneś uczynić w zamian.

W twoim wieku nie masz jeszcze obowiązku rozliczać się ze swego istnienia.

Obecny okres twojego życia to nie czas na płacenie za swoją egzystencję, ale na przygotowanie się do przyszłych obowiązków, jakie przystoją odpowiedzialnej istocie trójmózgowej.

Tymczasem więc dalej egzystuj po swojemu.

Nie zapominaj tylko o tym, że w twoim wieku jest absolutnie niezbędne, abyś codziennie o wschodzie słońca, patrząc na odbicie jego blasku, nawiązywał kontakt między twoją świadomością i różnymi nieświadomymi częściami twojej zbiorczej obecności, a następnie, utrzymując ów stan, myślał i przekonywał te swoje nieświadome części – tak jakby były świadome – o tym, że jeśli w procesie zwykłej egzystencji będą ci przeszkadzać w ogólnym funkcjonowaniu, to w okresie twojego wieku odpowiedzialnego nie tylko nie będą mogły korzystać z należnych im i zgodnych z prawem dóbr, ale też twoja zbiorcza obecność, której stanowią część, nie zdoła się stać dobrym sługą NASZEGO WSPÓLNEGO NIESKOŃCZONEGO STWÓRCY i tym samym godnie rozliczyć ze swego powstania oraz swego istnienia.

Na razie, powtarzam, mój drogi chłopcze, postaraj się nie myśleć o kwestiach, na które nie przyszła jeszcze pora, żebyś o nich myślał.

Wszystko przyjdzie we właściwym czasie.

A teraz opowiem ci o tym, o co tylko mnie zapytasz. Najwyraźniej kapitana zatrzymały jego obowiązki i zapewne nie tak prędko wróci.

## Rozdział 8

### ***Bezczelny smarkacz Hassin, wnuk Belzebuba, odważa się nazwać ludzi „śli- makami”***

Hassin momentalnie zasiadł u stóp Belzebuba i przymilnie powiedział:

– Drogi dziadku, opowiedz mi o tym, o czym ty sam masz ochotę opowiadać. Wszystkiego wysłucham z ogromną radością, już choćby dlatego, że będziesz to mówił właśnie ty.

– Nie – zaoponował Belzebub – to ty zapytaj o to, co cię najbardziej interesuje. W tej chwili największą przyjemność sprawi mi opowiedzenie ci o tym, czego ty sam chcesz się dowiedzieć.

– Drogi i kochany dziadku, w takim razie powiedz mi coś o tych... jak im tam?... zapomniałem!... no... o „ślimakach”.

– Co? O jakich znowu ślimakach? – spytał Belzebub, nie rozumiawszy pytania chłopca.

– Pamiętasz, dziadku, niedawno, kiedy mówiłeś o trójmózgowych istotach, które mają siedlisko na różnych planetach tego układu słonecznego, gdzie przyszło ci tak długo egzystować, powiedziałeś między innymi, że na jednej planecie... zapomniałem, jak ją nazwałeś, że właśnie na tej planecie mają siedlisko trójcentrowe istoty, które w sumie są do nas podobne, choć ich skóra jest trochę bardziej śliska.

– Aaaaa!!! – zaśmiał się Belzebub. – Z pewnością pytasz o te istoty, które mają siedlisko na planecie Ziemia i nazywają siebie „ludźmi”.

– Tak, dziadku, tak!... Właśnie o tych „istotach-ludziach” opowiedz mi trochę bardziej szczegółowo. Chciałbym dowiedzieć się o nich czegoś więcej – zakończył Hassin.

Belzebub odrzekł:

– Mogę opowiedzieć ci o nich bardzo dużo, ponieważ często odwiedzałem tę planetę i przez długi czas egzystowałem wśród tych ziemskich istot trój mózgowych, a nawet zaprzyjaźniłem się z wieloma z nich.

Faktycznie, będzie dla ciebie bardzo interesujące, jeśli dowiesz się o nich więcej, gdyż są to prawdziwe oryginały.

Mają wiele takich cech, jakich nie spotkasz u żadnych innych istot, na żadnej innej planecie naszego Wszechświata.

Znam je bardzo dobrze, ponieważ byłem świadkiem ich powstania, jak również dalszych etapów ich egzystencji, która – według ichniej rachuby czasu – toczyła się na moich oczach przez wiele, bardzo wiele stuleci.

Byłem zresztą naocznym świadkiem nie tylko ich pojawienia się, ale także ostatecznego ukształtowania się ich planety.

Kiedy po raz pierwszy przybyliśmy do tego układu słonecznego i osiedliliśmy się na planecie Mars, na planecie Ziemia, która nawet nie zdążyła jeszcze zupełnie ostygnąć po swoim stężeniu, nic wtedy nie istniało.

Już od samego początku ta planeta stała się dla naszego nieukończzonego przyczyną wielu poważnych zmartwień.

Jeśli chcesz, zacznę od tego, że opowiem ci o zdarzeniach, które związane były z tą planetą i miały charakter ogólnokosmiczny, a które stały się powodem wspomnianych trosk NASZEGO NIE-SKOŃCZONEGO.

– Tak, mój kochany dziadku, zacznij od tego. Na pewno będzie to tak samo ciekawe jak wszystko inne, co opowiadasz.



## Rozdział 9

### ***Przyczyna powstania Księżyca***

Belzebub rozpoczął swą opowieść tak:

– Po przybyciu na planetę Mars, na której nakazano nam egzystować, zaczęliśmy się tam powoli urządzać.

Byliśmy jeszcze całkowicie pochłonięci krzątaniem związaną z organizacją wszystkiego, co okazało się zewnętrznie niezbędne do w miarę znośnej egzystencji pośród tej zupełnie obcej nam przyrody, gdy nagle w czasie jednego z najbardziej pracowitych dni cała planeta Mars zatrzęsała się, a po chwili rozszedł się tak „odurzający” zapach, że w pierwszym momencie wydawało się nam, iż wszystko we Wszechświecie zmieszało się z czymś „nie-wysłowionym”.

Dopiero po upływie długiego czasu, gdy wspomniany zapach już się ulotnił, a my doszliśmy do siebie i stopniowo zaczęliśmy uprzytamniać sobie, co takiego się wydarzyło, zrozumieliśmy, że przyczyną tego przerażającego zjawiska była ta sama planeta Ziemia, która okresowo tak bardzo zbliżała się do naszej planety Mars, iż nawet bez teleskopu mogliśmy ją dokładnie obserwować.

Jak się okazało, owa planeta, z powodów, których nie potrafiliśmy jeszcze zrozumieć, „pękła” i dwa oderwane od niej kawałki odleciały w przestrzeń.

Powiedziałem ci już, że w tamtym czasie ów układ słoneczny ledwo się ukształtował i jeszcze nie w pełni „włączył się” do tego, co zwie się „harmonią wzajemnego wspierania się wszystkich skupień kosmicznych”.

Później wyjaśniło się, że zgodnie z tą harmonią wzajemnego wspierania się wszystkich skupień kosmicznych w tym samym układzie powinna była funkcjonować również pewna kometa tak zwanej wielkiej orbity, istniejąca do dziś pod nazwą „Kometa

Kondur”.

Ta kometa, mimo że była już stężona, dopiero po raz pierwszy zakreślała wtedy swą „ostateczną trajektorię”.

Jak później wyjaśniły nam w tajemnicy pewne kompetentne Święte Indywidua, trajektoria wspomnianej komety musiała przeciąć linię, po której przebiegała trajektoria planety Ziemia. Otóż w rezultacie błędnych obliczeń pewnego Świętego Indywiduum, specjalisty od spraw Stworzenia i Wspierania Świata, momenty przejścia obu tych skupień przez punkt przecięcia się ich trajektorii zbiegły się. Ten błąd spowodował, że planeta Ziemia zderzyła się z kometa Kondur, i to zderzyła tak gwałtownie, że wskutek tej kolizji oderwały się od Ziemi, jak już wspominałem, dwa duże kawałki, które następnie odleciały w przestrzeń.

Owo zderzenie pociągnęło za sobą tak poważne następstwa, ponieważ wspomniana planeta utworzyła się dopiero niedawno i jej atmosfera, która w podobnej sytuacji mogłaby posłużyć za zde-rzak, nie zdążyła się jeszcze w pełni uformować.

A zatem, mój chłopcze, NASZ NIESKOŃCZONY został bardzo szybko poinformowany o tym ogólnokosmicznym nieszczęściu.

Zaraz po otrzymaniu takiej wiadomości została wysłana z Przenajświętszego Słońca Absolut do układu słonecznego Ors cała komisja złożona z Aniołów i Archaniołów – specjalistów od spraw Stworzenia i Wspierania Świata – pod przewodnictwem Wielkiego Archanioła Sakkakija.

Ta Najwyższa Komisja przybyła na naszą planetę Mars, położoną najbliżej planety Ziemia, i stamtąd zaczęła prowadzić swoje dochodzenie.

Święci członkowie Najwyższej Komisji od razu uspokoili nas, mówiąc, że niebezpieczeństwo katastrofy na wielką kosmiczną skalę już minęło.

Natomiast Arcyinżynier Archanioł Algematant był tak dobry i osobiście wyjaśnił nam, iż najprawdopodobniej zdarzyło się, co następuje:

„Kawałki, które oderwały się od planety Ziemia, jeszcze zanim

pokonały granicę strefy wpływów tej planety, straciły rozpęd, jakiego nabrały w wyniku wstrząsu, i dlatego – zgodnie z «prawem spadania» – zaczęły spadać z powrotem w kierunku swojej masy początkowej.

Ale spaść na nią nie mogły; ponieważ tymczasem zdążyły już ulec i definitywnie poddać się wpływowi kosmicznego prawa zwanego «prawem doganiania»j to dlatego będą musiały teraz zakreślać regularną elipsę wokół ich masy początkowej – taką samą, jaką ta ostatnia, czyli planeta Ziemia, zakreślała i nadal zakreśla wokół swego słońca Ors.

I będzie tak już zawsze, o ile jakieś nowe nieprzewidziane nieszczęście na dużą skalę nie zmieni tego w taki czy inny sposób.

Chwała przypadkowi!... – kończył Jego Pantawymiarowość – że od tego wszystkiego nie doszło do zakłócenia harmonijnego ruchu ogólnoukładowego i że spokojna egzystencja układu Ors szybko wróciła do normy”.

– Jednakże, mój chłopcze, wzięwszy pod uwagę wszystkie bieżące dane, a także zmiany, jakie mogłyby ewentualnie zaistnieć w przyszłości, Najwyższa Komisja stwierdziła, że choć na razie oderwane kawałki planety Ziemia zachowują swoje pozycje, to później – z uwagi na pewne „przesunięcia tastartunarne” przewidywane przez Komisję – mogą je opuścić, ściągając wiele nieodwracalnych nieszczęść zarówno na układ Ors, jak i na sąsiednie układy słoneczne.

Aby tego uniknąć, Najwyższa Komisja postanowiła na wszelki wypadek podjąć zawczasu pewne kroki i uznała, że w danym wypadku najlepszym rozwiązaniem będzie doprowadzenie do tego, by masa początkowa, czyli planeta Ziemia, wspierała te dwa oderwane od niej kawałki, nieustannie wysyłając do nich święte wi-bracje „Askokina”.

Święta substancja Askokin jest wytwarzana na planetach jedynie wtedy, gdy dwa podstawowe prawa kosmiczne działające w danej planecie, czyli święty „Heptaparaparszynoch” i święte „Triamazikamno” funkcjonują w sposób zwany „ilnosoparnym”

to znaczy, kiedy te święte kosmiczne prawa ulegają refrakcji i manifestują się na powierzchni danego kosmicznego skupienia samodzielnie – samodzielnie oczywiście tylko w ustalonych granicach.

A więc, mój chłopcze...

Ponieważ tego rodzaju realizacja kosmiczna nie może się odbyć bez zezwolenia JEGO NIESKOŃCZONOŚCI, Wielki Archanioł Sakkakij, w towarzystwie kilku świętych członków Najwyższej Komisji; wyruszył natychmiast do jego nieskończoności; żeby wyjednać u niego rzeczoną zgodę.

Później gdy owe Święte Indywidua uzyskały zezwolenie NIESKOŃCZONEGO, taki proces ilnosoparny został urzeczywistniony na planecie Ziemia pod kierunkiem samego Wielkiego Archanioła Sakkakija i od tego czasu na tej planecie, jak i na wielu innych, wszystko zaczęło powstawać „odpowiednio do Ilnosoparno” dzięki czemu te oderwane kawałki, które istnieją do dziś, przestały grozić nieszczęściem na wielką skalę.

Większy z tych dwóch fragmentów otrzymał wtedy nazwę „Lunderperco” natomiast mniejszy „Anulios” i zwykłe istoty trójmózgowe, które potem pojawiły się na tej planecie, tak właśnie je na początku nazywały; ale istoty, które powstały później, nadały im w różnych okresach różne nazwy i już całkiem niedawno większy kawałek otrzymał miano Księżyca; jeśli zaś chodzi o mniejszy kawałek; to jego nazwa stopniowo poszła w zapomnienie, skutkiem czego istoty współczesne nie tylko nie nadają mu już żadnej nazwy, ale nawet nie podejrzewają, że istnieje.

Warto przy okazji zauważyć, że istoty z jednego kontynentu tej planety, zwanego „Atlantyda”, który później uległ zagładzie, wiedziały jeszcze o tym drugim kawałku swojej planety i również nazywały go „Anulios”. Ale istoty z ostatniego okresu istnienia tego kontynentu; w których zaczęły się już krystalizować i stawać częścią ich zbiorczej obecności rezultaty następstw właściwości organu o nazwie „kundabufor” – o którym, jak widać, będę musiał ci opowiedzieć bardzo szczegółowo – zaczęły nazywać ten fragment „Kimezpaj” co znaczyło wówczas: „Ten, który nigdy nie po-

zwała spokojnie spać”.

Współczesne istoty trójmózgowe tej dziwnej planety nic nie wiedzą o tym jej niegdysiejszym fragmencie głównie dlatego, że ze względu na stosunkowo małe rozmiary oraz oddalenie jest on zupełnie niewidoczny dla ich wzroku, a także dlatego, że żadna „babcia” nigdy im nie powiedziała, iż w starych dobrych czasach wiedziano o istnieniu owego małego satelity ich planety.

Tak więc gdy któraś z tych istot widzi go przypadkiem przez tę całkiem niezłą, chociaż tylko dziecinną zabawkę zwaną „lunetą” to i tak nie zwraca na niego uwagi, uznając po prostu, że jest to duży aerolit.

Zresztą współczesne istoty chyba już nigdy go nie dostrzegą, ponieważ stało się to ich naturą, by widzieć tylko nierzeczywistość.

Trzeba im oddać sprawiedliwość: w ciągu ostatnich stuleci faktycznie z wielkim kunsztem tak się zmechanizowały, że niczego realnego już nie widzą.

A zatem, mój chłopcze, we właściwym czasie „podobieństwa Całości” lub, jak nazywa się je inaczej, „Mikrokosmosy”, zaczęły powstawać również na planecie Ziemia, a następnie z tych Mikrokosmosów uformowała się roślinność zwana „oduristolną” lub „połormedechtyczną”.

Jeszcze później, również zgodnie z naturalnym biegiem rzeczy, te Mikrokosmosy zaczęły się grupować, tworząc różne formy „Tetartokosmosów” reprezentujących wszystkie trzy układy mózgów.

To właśnie wśród tych ostatnich pojawiły się po raz pierwszy owe dwunożne Tetartokosmosy, które przed chwilą nazwałeś „ślimakami”.

Innym razem specjalnie opowiem ci o tym, dlaczego i w jaki sposób w trakcie przechodzenia podstawowych świętych praw w „prawa ilnosoparne” powstają na planetach „podobieństwa Całości”, a także o tym, jakie czynniki umożliwiają wykształcenie się takiego czy innego „układu mózgów istnieniowych” jak rów-

nież ogólnie o wszystkich prawach Stworzenia i Wspierania Świata.

Na razie powinieneś wiedzieć, że te wzbudzające twoją ciekawość trójmózgowe istoty, które powstają na planecie Ziemia, dysponowały na początku takimi samymi możliwościami doskonalenia funkcji służących do zdobycia istnieniowego rozumu, jak te, którymi rozporządzają wszystkie Tetartokosmosy w całym Wszechświecie.

Jednakże później, dokładnie w czasie, gdy dzięki swojemu „istnieniowemu instynktowi” zaczęły – jak to się dzieje na innych podobnych planetach naszego Wielkiego Wszechświata – stopniowo się uduchawiać, na ich nieszczęście zaszło nieprzewidziane z Góry i godne pożałowania nieporozumienie.

## Rozdział 10

### ***Dlaczego „ludzie” to nie ludzie***

Belzebub westchnął głęboko, a następnie kontynuował swą opowieść:

– Według obiektywnej rachuby czasu minął rok od realizacji na Ziemi „procesu ilnosoparnego”.

W tym okresie pomału zaczęły należycie funkcjonować procesy inwolucji i ewolucji wszystkiego, co powstawało na tej planecie.

Oczywiście również odpowiednie dane, potrzebne do uzyskania obiektywnego rozumu, stopniowo krystalizowały się w tamtejszych istotach trójmózgowych.

Krótko mówiąc, także na tej planecie wszystko zaczęło przebiegać w normalnej i ustalonej kolejności.

Gdyby więc, mój chłopcze, po roku nie pojawiła się tam znowu Najwyższa Komisja pod naczelnym kierownictwem tego samego Archanioła Sakkakija, to być może nigdy nie doszłoby do tych wszystkich dalszych nieporozumień, które wiążą się z trójmózgowymi istotami powstającymi na tej nieszczęsnej planecie.

Ta Najwyższa Komisja zstąpiła na Ziemię po raz drugi, ponieważ – mimo przedsięwziętych kroków, o których przed chwilą ci mówiłem – w umysłach większości jej świętych członków nie skryształizowało się jeszcze pełne przekonanie, iż w przyszłości nie dojdzie znowu do jakiejś niepożądanego niespodzianki.

A zatem, nim jeszcze zweryfikowano na miejscu rezultaty tych wcześniej dokonanych posunięć, Najwyższa Komisja dla własnego spokoju postanowiła zastosować na wszelki wypadek inne specjalne środki, wśród których znalazł się również ten, którego następstwa z czasem nie tylko okazały się przeraźliwe dla trójmózgowych istot powstających na tej nieszczęsnej planecie, ale także dla całego Wielkiego Wszechświata przybrały postać czegoś

w rodzaj złośliwego wrzodu.

Otóż musisz wiedzieć, że jeszcze przed drugim zstąpieniem Najwyższej Komisji stopniowo zaczęło się w nich rodzić – jak zresztą we wszystkich trójmózgowych istotach – to, co zwie się „mechanicznym instynktem”.

Święci członkowie Najwyższej Komisji uznali wtedy, że jeśli w dwunożnych trójmózgowych istotach z tej planety ów mechaniczny instynkt będzie się doskonalił – jak to zazwyczaj się dzieje wśród trójcentrowych istot – zmierzając do osiągnięcia obiektywnego rozumu, to a nuż przedwcześnie uświadomią sobie one prawdziwe przyczyny swojego powstania i spowodują przez to masę nieprzyjemności; a wówczas mogłoby się nawet zdarzyć, że zrozumiawszy powód swego przyścia na świat, mianowicie to, iż swoim istnieniem wspierają oderwane kawałki ich planety, i przekonawszy się o swoim niewolniczym podporządkowaniu okolicznościom, z którymi nie mają nic wspólnego, nie zechcą kontynuować swojej egzystencji i dla zasady same zaczną się unicestwiać.

Mając to na uwadze, mój chłopcze, Najwyższa Komisja postanowiła wtedy między innymi wszczepić na jakiś czas w zbiorczą obecność tych tamtejszych trójmózgowych istot specjalny organ obdarzony takimi właściwościami, że po pierwsze, zaczną one postrzegać rzeczywistość na opak, a po drugie, że dowolne pochodzące z zewnątrz powtórzone wrażenie spowoduje skryształowanie się w nich danych, które będą mogły tworzyć czynniki wywołujące w nich doznania „zadowolenia” i „przyjemności”.

Tak więc z pomocą głównego ogólnowszechświatowego Arcy-Chemika-Fizyka Anioła Luizosa, który należał do tej Najwyższej Komisji, jej członkowie w specjalny sposób wyhodowali w tamtejszych trójmózgowych istotach u nasady ich ogona – ponieważ na początku one także go miały i ta część ich zbiorczej obecności wyglądała jeszcze normalnie oraz wyrażała, by tak rzec, „pełnię swego istnieniowego znaczenia” – a zatem, jak powiedziałem, wyhodowali u podstawy kręgosłupa „coś” co sprzyjało powstaniu wspomnianych właściwości.



I to „coś” jako pierwsi nazwali „organem kundabufor”.

Wyhodowawszy taki organ w obecnościach trójmózgowych istot i upewniwszy się w praktyce, że działa, Najwyższa Komisja złożona ze Świętych Indywiduów, z Archaniołem Sakkakijem na czele, odzyskała spokój i z czystym sumieniem powróciła do centrum, podczas gdy na planecie Ziemia, która wzbudziła twoje zainteresowanie, funkcjonowanie tego zdumiewającego i nadzwyczaj pomysłowego wynalazku już od pierwszego dnia zaczęło się rozwijać, cytując mądrego Mułę Nasr Eddina, „na całą trąbę jerychońską”.

Teraz, żebyś choć w przybliżeniu mógł pojąć, na czym polegają rezultaty właściwości organu będącego wynalazkiem i dziełem niezrównanego Anioła Luizosa – błogosławione niechaj będzie imię jego na wieki wieków! – musisz koniecznie poznać rozmaite przejawy trójmózgowych istot tej planety, i to zarówno z tego okresu, gdy w ich obecnościach istniał jeszcze organ kundabufor, jak i z okresów późniejszych, ponieważ na przekór temu, że ów zdumiewający organ oraz jego właściwości uległy w nich zniszczeniu, w ich obecnościach zaczęły się krystalizować z wielu przyczyn następstwa tych właściwości.

Ale to wyjaśnię ci później. Na razie powinieneś wiedzieć, że po trzech latach, według obiektywnej rachuby czasu, Najwyższa Komisja zstąpiła tam jeszcze po raz trzeci, tym razem jednak pod kierunkiem Przearcyserafina Sewotaftra, albowiem Wielki Archanioł Sakkakij zasłużył już sobie wtedy na to, by stać się takim boskim Indywiduum, jakim jawi się do dzisiaj, a mianowicie jedną z czterech Ostoł Czterech Stron całego Wszechświata.

Podczas tego trzeciego zstąpienia święci członkowie trzeciej Najwyższej Komisji, ustalwszy dzięki swoim wszechstronnym badaniom, że wspomaganie egzystencji oderwanych kawałków nie wymaga już stosowania specjalnych środków zapobiegawczych, między innymi zniszczyli w zbiorczych obecnościach tamtejszych trójmózgowych istot – jak zwykle przy pomocy Arcy-Chemika-Fizyka Anioła Luizosa – wspomniany organ kundabufor wraz ze wszystkimi jego zadziwiającymi właściwościami.

Wróćmy jednak teraz do naszej opowieści.

Otóż kiedy nasza konsternacja spowodowana katastrofą, która zagroziła całemu układowi słonecznemu, już minęła, wtedy po cichu znowu zabraliśmy się na planecie Mars do, tak niespodziewanie przerwanej, urządzania się w tym nowym miejscu.

Po jakimś czasie wszyscy oswoiliśmy się już z okoliczną przyrodą i zaczęliśmy przystosowywać się do istniejących tam warunków.

Jak powiedziałem wcześniej, wielu z naszych osiedliło się na stałe na planecie Mars, a pozostali albo odjechali, albo przygotowywali się do wyjazdu na inne planety tego układu słonecznego na statku „Okazja”, który oddano do dyspozycji istotom naszego plemienia na potrzeby komunikacji międzyplanetarnej.

Ja jednak razem z kilkoma moimi krewnymi i bliskimi postanowiłem pozostać na planecie Mars.

Musisz wiedzieć, że w okresie, do którego odnosi się ta opowieść, moje pierwsze teleskop zostało już zainstalowane w obserwatorium, które zbudowałem na planecie Mars i na którego wyposażeniu oraz usprawnianiu skupiała się wtedy cała moja uwaga, a to dlatego, że zależało mi na tym, by mieć możliwość prowadzenia bardziej szczegółowych badań zarówno odległych skupień naszego Wielkiego Wszechświata, jak i planet tego układu słonecznego.

To właśnie wtedy jednym z obiektów moich obserwacji stała się planeta Ziemia.

Czas płynął.

Również na tej planecie proces egzystencji stopniowo się ustabilizował i pozornie wydawało się, że przebiega dokładnie tak samo jak na wszystkich innych planetach.

Ale przy uważnej obserwacji można było, po pierwsze, wyraźnie dostrzec, że liczba tamtejszych istot trójmózgowych stopniowo wzrasta, a po drugie, zauważyć niekiedy ich bardzo dziwne przejawy polegające na tym, że od czasu do czasu robiły coś takiego, czym nigdy na innych planetach nie zajmowały się trójmó-

zgone istoty; a mianowicie nagle zaczynały ni stąd, ni zowąd unicestwiać się nawzajem.

Czasami to wzajemne unicestwianie swojej egzystencji działo się nie tylko w jednym regionie, ale w kilku naraz, i trwało nie jeden, lecz wiele „dionosków”\*, a bywało nawet, że ciągnęło się całymi „ornakrami”\*\*.

\* „Dionosk” oznacza dzień.

\*\* „Ornakr” oznacza miesiąc.

W pewnych okresach można było zauważyć, że ów przeraźliwy proces powodował, iż ich liczba gwałtownie malała, a w innych okresach; gdy w takich procesach następował zastój, ich liczba wyraźnie rosła.

Stopniowo przyzwyczailiśmy się do tej drugiej osobliwości, tłumacząc sobie, że najwyraźniej to także jest właściwość, którą z jakichś ważkich względów organ kundabufor został obdarzony przez Najwyższą Komisję; innymi słowy, widząc płodność tych dwunożnych istot, uznaliśmy wtedy, że jest ona zamierzona i że utrzymanie ogólnokosmicznego harmonijnego ruchu wymaga tego, by istniało ich tak wiele.

Gdyby nie ta ich dziwna osobliwość, nigdy by nikomu nie przyszło do głowy, że na tej planecie „coś jest nie tak”.

W okresie, o którym mówię, zdążyłem odwiedzić prawie wszystkie planety tego układu słonecznego, zarówno te zamieszkane, jak i te na razie jeszcze niezamieszkane.

Mnie osobiście najbardziej ze wszystkich spodobały się trójcentrowe istoty, które żyją na planecie o nazwie „Saturn” i które z wyglądu nie mają z nami nic wspólnego, lecz przypominają istoty-ptaki zwane „krukami”.

Warto przy okazji nadmienić, że z jakiegoś powodu istoty-ptaki zwane krukami można spotkać na niemal wszystkich planetach, i to nie tylko tego układu słonecznego, ale także na prawie wszystkich planetach całego Wielkiego Wszechświata, na których powstają istoty obdarzone różnymi układami mózgów i oblekające się w ciała planetarne o rozmaitych formach.

Kontakty werbalne tych istot-kruków z planety Saturn przypominają trochę nasze własne.

A co się tyczy samego ich gwaru, to moim zdaniem jest on najpiękniejszy ze wszystkich, jakie kiedykolwiek słyszałem.

Można go porównać do głosu naszych znakomitych śpiewaków, kiedy całym swym jestestwem śpiewają w tonacji molowej.

Natomiast jeśli chodzi o ich stosunki z innymi, to one... nie wiem nawet, jak to wyjaśnić... to da się zrozumieć, tylko żyjąc wśród nich i doświadczając tego na sobie.

Wszystko, co można powiedzieć, to że owe istoty-ptaki mają serca takie same jak aniołowie najbliżsi NASZEGO NIESKOŃCZONEGO STWÓRCY I SPRAWCY.

Egzystują one ściśle podług dziewiątego przykazania NASZEGO STWÓRCY, które mówi:

„Na wszystko, co należy do innych, patrz jak na swoje własne i tak się z tym obchodź”.

Na pewno później bardziej szczegółowo opowiem ci o trójmózgowych istotach, które powstają i mają siedlisko na planecie Saturn, ponieważ przez cały okres mego wygnania do tego układu słonecznego moim prawdziwym przyjacielem była właśnie istota z tej planety, która miała zewnętrzną powłokę kruka i nazywała się „Harcharch”.

## Rozdział 11

### ***Pikantny rys oryginalnej psychiki ludzi***

– Porozmawiajmy jeszcze o tych trój mózgowych istotach z planety Ziemia, które wzbudziły twoje największe zainteresowanie, a które nazwałeś „ślimakami”.

W pierwszej kolejności chciałbym wyrazić moją osobistą radość z powodu tego, że znajdujesz się teraz bardzo daleko od tych trój centrowych istot, które określiłeś takim „uwłaczającym ich godności” słowem, a także z tego, że one nijak się o tym nie dowiedzą.

Czy wyobrażasz sobie, moje biedne, jeszcze nieświadome siebie dziecko, co tamtejsze istoty, szczególnie te współczesne, zrobiłyby ci, gdyby usłyszały, jak je nazwałeś?

Czy potrafisz zrozumieć, co by się z tobą stało, jeśli znalazłbyś się tam i gdyby dobrały się do ciebie? Wystarczy tylko, że o tym mówię, a już ogarnia mnie zgroza.

W najlepszym razie sprawiłyby ci takie lanie, że, jak powiada nasz Mułła Nasr Eddin, „nie pozbierałbyś się do następnego zbioru brzozowych różeg”.

Na wszelki wypadek radzę ci, żebyś zawsze, zanim zaczniesz coś nowego, błogosławił los i błagał, aby zmiłował się nad tobą, nieustannie czuwał i nie dopuścił do tego, by istoty z planety Ziemia mogły kiedykolwiek się domyślić, że właśnie ty, mój ukochany i jedyny wnuk, ośmieliłeś się nazwać je „ślimakami”.

Chodzi o to, że obserwując je z planety Mars, a także w okresach, kiedy przebywałem wśród nich, udało mi się dogłębnie poznać psychikę tych dziwnych trójmózgowych istot i dlatego doskonale wiem, co zrobiłyby komuś, kto odważyłby się przezwać je w ten sposób.

Wprawdzie nazwałeś je tak tylko przez dziecięcą naiwność, ale

trójmózgowe istoty tej oryginalnej planety, szczególnie te współczesne, nie znajdują się na takich niuansach.

Kto je tak nazwał, dlaczego tak nazwał i w jakich okolicznościach? Czyż to nie wszystko jedno?! Raz użyłeś w stosunku do nich słowa, które uznają za obraźliwe – i to już wystarczy.

Większość z nich uważa, że rozwodzenie się nad tym to po prostu, jak same mówią, „przelewanie z pustego w próżne”.

Jakkolwiek by było, nazywając tak obraźliwym słowem trójmózgowe istoty, które mają siedlisko na planecie Ziemia, postąpiłeś bardzo nierozważnie; po pierwsze dlatego, że wzbudziło to mój niepokój o ciebie, a po drugie, stworzyłeś dla siebie samego zagrożenie na przyszłość.

Rzecz w tym, że chociaż, jak już powiedziałem, znajdujesz się od nich bardzo daleko, a więc nie mogą cię złapać i ukarać osobiście, niemniej jednak, jeśli wbrew przewidywaniom przypadkowo, choćby z dwudziestej ręki, dowiedzą się o tym, jak je obraziłeś, to już nic nie uchroni cię od ich autentycznej „anatemy” – a to, jakich proporcji nabierze ta anatema, zależy tylko od tego, co w danej chwili będzie zaprzętać ich uwagę.

Warto zresztą opisać, co zrobiłyby te ziemskie istoty, gdyby się przypadkiem dowiedziały, że je obraziłeś. Taki opis pozwoli dobrze naświetlić dziwne cechy psychiki tych trójmózgowych istot, które wzbudziły twoją ciekawość.

Z powodu podobnego zajścia, czyli tej twojej obrazy, one od ręki – zakładając, że z braku innych bezsensownych zajęć panowałyby wśród nich w danej chwili względny „spokój” – przystąpią w uprzednio wybranym miejscu i z zaproszonymi gośćmi, oczywiście ubranymi w specjalnie zaprojektowane na takie okazje stroje, do organizowania tego, co zważ „uroczystą naradą”.

Najpierw obowiązkowo wybiorą spośród siebie „przewodniczącego” owej uroczystej narady i dopiero po tym wdrożą postępowanie.

W pierwszej kolejności, jak same się wyrażają, „nie zostawią na tobie suchej nitki” i zresztą nie tylko na tobie, ale także na twoim

ojcu, dziadku... i być może dojdą nawet do Adama.

A potem, jeśli uznają – oczywiście obowiązkowo „większością głosów” – że jesteś „winny” to wyznaczą ci karę zgodnie z przepisami kodeksu karnego, który sporządziły dawniej na podstawie analogicznych „gier kukiełkowych” istoty zwane „starymi próchnami”.

Gdyby jednak przypadkiem uznały większością głosów, że w twoim postępowaniu nie było niczego karygodnego – rzecz raczej wśród nich niespotykana – to ta cała ich „rozprawa” szczegółowo zreferowana na papierze i przez wszystkich podpisana, trafi... pewnie myślisz, do ognia? Nie!... do odpowiednich specjalistów, czyli w danym wypadku do instancji, którą same nazywają „Świętym Synodem”. Tam procedura jest identyczna, z takim wyjątkiem, że tym razem twój występek będą oceniać istoty „ważne”.

I dopiero na samym końcu tego ich „przelewania z pustego w próżne” uświadomią sobie rzecz podstawową, czyli fakt, że oskarżony znajduje się poza ich zasięgiem.

Właśnie tu pojawia się główne niebezpieczeństwo dla twojej osoby, ponieważ gdy „ponad wszelką wątpliwość” ustalą, że nie można cię schwytać, wówczas postanowią – tym razem już jednogłośnie – ni mniej, ni więcej, tylko „rzucić na ciebie anatemę”, o której ci wcześniej wspominałem.

A wiesz, co to jest i jak to się stosuje? Nie?...

Więc słuchaj i drzyj...

„Najważniejsze” istoty wydadzą rozporządzenie wszystkim pozostałym istotom, by te w trakcie odpowiednich ceremonii, odprawianych na specjalne okazje przez specjalnych kapłanów we wszystkich odpowiednich ichnich placówkach, takich jak „kościół”, „kaplice”, „synagogi”, „ratusze” itd., życzyły ci w myślach czegoś w rodzaju:

Żebyś stracił rogi, żeby ci włosy przedwcześnie posiwiały, żeby jedzenie w twoim żołądku zamieniło się w tapicerskie gwoździe, żeby język twojej przyszłej żony zrobił się trzy razy dłuższy, a na

koniec pożyczę ci jeszcze, żeby kawałek twojego ulubionego ciasta, kiedy przyłożysz go do ust, zmienił się w pastę do butów, i tak dalej w tym samym duchu.

Czy teraz już rozumiesz, na jakie niebezpieczeństwo się narażę, nazywając tych odległych trójmózgowych dziwaków „ślimakami”?

Wypowiedziawszy te słowa, Belzebub z uśmiechem popatrzył na swego ulubieńca.



## Rozdział 12

### ***Pierwsze „warknięcie”***

Po krótkiej przerwie Belzebub kontynuował:

– Ta historia z „anatemą” przywiodła mi na myśl jeszcze inną historię, która moim zdaniem dostarczy bardzo dobrego materiału do wyjaśnienia dziwaczności psychiki trój mózgowych istot tej przypadłej ci do gustu planety; co więcej, opowieść ta powinna też trochę cię uspokoić i wzbudzić nadzieję, że nawet gdyby te oryginalne ziemskie istoty przypadkiem się dowiedziały, jak je obraziłeś, i rzuciły na ciebie wspomnianą anatemę, to i tak ty sam wyjdiesz na tym być może całkiem „nieźle”.

Historia, którą zamierzam ci opowiedzieć, zdarzyła się bardzo niedawno wśród tamtejszych istot trój mózgowych, a wywołały ją następujące wydarzenia:

W jednym z ich dużych społeczeństw żyła sobie spokojnie pewna zwyczajna istota uprawiająca zawód, jak to się tam określa, „pisarza”.

Nawiasem mówiąc, zapamiętaj także to, że w zamierzchłej przeszłości wśród istot wykonujących ów zawód dość często można było spotkać takie istoty, które naprawdę coś same wymyślały i pisały, ale w późniejszych czasach, a szczególnie ostatnio, tamtejsi „pisarze” przepisują już tylko z rozmaitych książek – najlepiej jak najstarszych – przeróżne pasujące do siebie zdania i w ten sposób tworzą „nową” książkę.

Warto zauważyć, a nawet podkreślić, że wszystkie książki napisane w ciągu ostatnich wieków przez tych ichnich współczesnych pisarzy stały się jednym z głównych czynników wpływających na to, że szybko, nawet bardzo szybko, rozum pozostałych tamtejszych istot trójmózgowych nabrał, jeśli chodzi o lekkość, cech eteru.

A więc, mój chłopcze...

Ów współczesny pisarz, o którym zacząłem mówić, był takim samym pisarzem jak wszyscy pozostali tamtejsi pisarze i niczym specjalnym się nie wyróżniał.

Pewnego razu, gdy skończył którąś ze swoich książek, zaczął zastanawiać się nad tym, o czym jeszcze mógłby napisać, i postanowił wtedy poszukać jakiejś nowej „idei” w książkach ze swojej „biblioteki”, którą obowiązkowo musi mieć każdy tamtejszy pisarz.

W trakcie tych poszukiwań przypadkiem wpadła mu w ręce książka pod tytułem „Ewangelie”.

„Ewangeliami” nazywa się tam książkę napisaną kiedyś przez niejakiego Mateusza, Marka, Łukasza i Jana o Jezusie Chrystusie, posłańcu naszego nieskończonego na tę planetę.

Książka ta jest bardzo szeroko rozpowszechniona wśród tamtejszych trój centrowych istot, które ponoć egzystują zgodnie ze wskazówkami tego posłańca.

Kiedy owa książka wpadła przypadkiem w ręce wspomnianego pisarza, w jego głowie zaświtała nagle myśl: „Dlaczego ja sam nie mógłbym napisać «Ewangelii»?”.

Pewne badania, które przeprowadziłem w zupełnie innym celu, wykazały mi, że rozmyślał on wówczas w następujący sposób:

„W czym jestem gorszy od tych antycznych dzikusów, Mateusza, Marka, Łukasza i Jana?!

W gruncie rzeczy jestem od nich bardziej «ucywilizowany» i mógłbym napisać dla współczesnych czytelników o wiele lepszą «Ewangelie».

Zresztą taką «Ewangelie» trzeba koniecznie napisać, ponieważ dzisiejsi «Anglicy» i «Amerykanie» bardzo lubią tę książkę, a kurs giełdowy ich funtów i dolarów jest obecnie wyjątkowo wysoki”.

Jak pomyślał, tak zrobił.

I jeszcze tego samego dnia zaczął wymądrzać nową „Ewangelie”.

Ale kiedy tylko ją ukończył i oddał do drukarni, od razu zaczęły

się wszystkie perypetie związane z tą jego nową „Ewangelią”.

Gdyby czasy były inne, pewnie nic by się nie wydarzyło i ta jego „Ewangelia” trafiłaby po prostu do bibliotek tamtejszych bibliomanów, zajmując miejsce pomiędzy wieloma innymi książkami wykładającymi podobne „prawdy”.

Ale na szczęście lub nieszczęście tego pisarza pewnym „istotom dzierżącym władzę” w tym dużym społeczeństwie, w którym toczyła się jego egzystencja, bardzo się nie wiodło w „ruletce” i „bakaracie”, toteż nieustannie domagały się od prostych istot ich społeczeństwa, by te wysyłały im za granicę to, co nazywa się tam „pieniędzmi”. Ponieważ rym razem ich żądania przebrały miarę, te zwyczajne istoty w końcu przebudziły się ze swojej nawykowej, by tak rzec, śpiączki i zaczęły „się stawiać”.

Widząc to, dzierżące władzę istoty, które zostały u siebie, zaniepokoiły się i sięgnęły po odpowiednie „środki”.

Do tych „środków” należało też natychmiastowe zmiecenie z powierzchni ich planety wszystkiego, co powstało ostatnio w ich ojczyźnie i co mogłoby przeszkadzać zwykłym istotom ich społeczeństwa w ponownym zapadnięciu w śpiączkę.

Tak się złożyło, że akurat w tym okresie ukazała się „Ewangelia” wspomnianego pisarza.

Istoty dzierżące władzę doszukały się w treści tej nowej „Ewangelii” czegoś, co ich zdaniem przeszkadzało zwykłym istotom ich społeczeństwa w takim ponownym zapadnięciu w śpiączkę, a ponieważ do tego czasu nabrały już wielkiej wprawy w pozbywaniu się takich rodzimych „karierowiczów”, którzy mieszają się do nie swoich spraw, postanowiły więc natychmiast skończyć z samym pisarzem oraz z jego „Ewangelią”.

Okazało się jednak, że z jakichś względów z tym pisarzem nie dało się tego zrobić, co bardzo je zaniepokoiło, i dlatego długo zastanawiały się oraz radziły, jak w tej sytuacji należy postąpić.

Niektóre z nich zaproponowały, żeby po prostu zamknąć go tam, gdzie lęgnie się wiele szczurów i pluskiew, a inne sugerowały, żeby „posłać go na białe niedźwiedzie” itd., itp. W końcu jed-

nak postanowiły publicznie, zgodnie z wszelkimi zasadami i z całą pompą, rzucić na tego pisarza oraz na jego „Ewangelię” taką samą „anatemę” jaką niewątpliwie rzuciłyby także na ciebie, gdyby się dowiedziały, jak je obraziłeś.

A oto, mój chłopcze, w jaki sposób przejawiała się w danym wypadku dziwaczność psychiki współczesnych istot trójmózgowych tej oryginalnej planety: ów fakt publicznego rzucenia anatemy na tego pisarza i na jego „Ewangelię” okazał się dla niego samego – jak powiada czcigodny Mułła Nasr Eddin – „manną z nieba”.

Doszło do tego w następujący sposób:

Zwykle istoty tego społeczeństwa, widząc, że istoty dzierżące władzę poświęciły mu tyle „uwagi” same bardzo się nim zainteresowały i zaczęły zachłannie kupować oraz czytać nie tylko jego nową „Ewangelię”, ale też pozostałe książki, które napisał wcześniej.

Od tej chwili, jak to się zwykle dzieje z trój centrowymi istotami, które mają siedlisko na tej oryginalnej planecie, stopniowo porzuciły one wszystkie inne zainteresowania i zajęły się wyłącznie tym pisarzem.

Zgodnie z panującym tam zwyczajem, gdy jedni go wychwalali, inni od razu zaczynali go oczerniać i wskutek takich polemik liczba osób, które się nim zainteresowały, rosła nie tylko tam, na miejscu, ale także w innych społeczeństwach.

A przyczyniły się do tego istoty dzierżące władzę, które odwiedzały po kolei, zwykle z kieszeniami wypchanymi pieniędzmi, inne społeczeństwa, gdzie grano w ruletkę i bakarata, i toczyły tam nieustanne spory na temat tego pisarza, stopniowo zarażając owym tematem również istoty z tych innych społeczeństw.

Krótko mówiąc, dzięki dziwaczności ichniej psychiki, chociaż o samej „Ewangelii” już dawno zapomniano, to jej autor do dzisiaj prawie wszędzie cieszy się sławą wybitnego pisarza.

Teraz więc o czymkolwiek by ten pisarz napisał, każdy rzuca się na jego dzieła i uznaje je za bezsporną prawdę.

Wszyscy odnoszą się do jego pism z takim nabożeństwem, z jakim starożytni Kalkianie słuchali wieszczb swoich świętych „pytii”.

Warto w tym miejscu zauważyć, że jeśli dzisiaj zapytasz tam kogokolwiek o tego pisarza, to okaże się, iż każdy go zna i oczywiście uznaje za istotę niezwykłą.

Ale jeśli równocześnie spytasz, o czym on pisze, to większość z nich przyzna się – oczywiście pod warunkiem że będą szczerzy – iż nie przeczytała ani jednej jego książki. Co zresztą nie przeszkodzi im toczyć na jego temat sporów i rozmów; a nawet upierać się z pianą na ustach, że ów pisarz to istota o „wyjątkowym umyśle” i fenomenalny znawca psychiki istot zamieszkujących planetę Ziemia.

## Rozdział 13

### ***Dlaczego w rozumie ludzi fantazja może być wzięta za rzeczywistość***

– Mój drogi i łaskawy dziadku! Bądź tak dobry i wyjaśnij mi, choćby tylko w przybliżeniu, dlaczego tamtejsze istoty uznają to, co „efemeryczne”, za rzeczywistość?

Na takie pytanie swego wnuka Belzebub odpowiedział, co następuje:

– Ta osobliwość ich psychiki pojawiła się wśród trójmózgowych istot na planecie Ziemia dopiero w ostatnich czasach i jest wynikiem wyłącznie tego, że ich część podstawowa, która kształtuje się w nich tak samo jak we wszystkich innych trójmózgowych istotach, zaczęła stopniowo pozwalać innym częściom ich całkowitej obecności postrzegać każde nowe wrażenie bez wypełniania jakiegokolwiek „partkdołgpowinności istnieniowej”, czyli postrzegać je tylko tak, jak na ogół czynią to ich oddzielne i niezależne lokalizacje zwane „centrami istnieniowymi”; używając ich języka, można by powiedzieć, że wierzą one we wszystko, co mówią im inni, zamiast wierzyć tylko w to, co same mogą poznać za pomocą własnego zdrowego osądu, to znaczy przekonując się o tym dzięki rezultatom „dysputy konfrontatywnej” prowadzonej między wszystkimi danymi, które już wcześniej zostały w nich zdeponowane i z których kształtują się zazwyczaj rozmaite pojęcia w każdej z ich różnorodnych lokalizacji.

Ogólnie można powiedzieć, że w tych dziwnych istotach dowolny nowy pogląd krystalizuje się tylko wtedy, gdy jakiś Jan Kowalski wyrazi o kimś lub o czymś pewną opinię; a jeśli potem na ten sam temat powie dokładnie to samo Piotr Wiśniewski, to nabierają już całkowitej pewności, że tak właśnie jest i absolutnie nie mogłoby być inaczej.

Dzięki tej osobliwości ich psychiki prawie wszystkie tamtejsze istoty, które usłyszały, w jaki sposób mówi się tam o rzeczonym pisarzu, są już teraz przekonane, że jest on faktycznie wielkim psychologiem i niezrównanym znawcą psychiki istot swojej planety.

Tymczasem kiedy specjalnie w trakcie mojego ostatniego pobytu na tej planecie udałem się – aby wyjaśnić zupełnie inną kwestię – z osobistą wizytą do tego pisarza, o którym ja także miałem okazję usłyszeć, w rzeczywistości okazał się, według mnie, taki sam jak wszyscy tamtejsi współcześni pisarze, to znaczy okazał się kimś bardzo ograniczonym i, jak powiedziałyby nasz drogi Mułła Nasr Eddin: „nie widzącym dalej niż czubek własnego nosa”; natomiast jeśli chodzi o znajomość prawdziwej psychiki istot jego planety w realnych warunkach ich egzystencji, to śmiało można by go nazwać „kompletnym analfabetą”.

Powtarzam, historia tego pisarza w znamienity sposób pokazuje, do jakiego stopnia te przypadłe ci do gustu trójmózgowe istoty, szczególnie te współczesne, przestały urzeczywistniać partkdołgpowinności istnieniowe, a także wskazuje na to, że w nich – w przeciwieństwie do większości trójmózgowych istot – nie kryształizują się żadne subiektywne „przekonania istnieniowe”, które są wynikiem ich własnego logicznego przemyśliwania, a za to kryształizują się jedynie takie przekonania istnieniowe, które są uzależnione wyłącznie od tego, co powiedzą na dany temat inni.

A więc tylko dlatego, że przestały wypełniać partkdołgpowinności istnieniowe – które jako jedyne pozwalają istocie na uświadomienie sobie rzeczywistości taką, jaka jest – widziały one w tym pisarzu jakieś nieistniejące zalety.

Ów dziwny rys ich zbiorczej psychiki – polegający na tym, by trzymać się tylko tego, co powie Jan Kowalski albo Piotr Wiśniewski, nie usiłując dowiedzieć się czegoś więcej – zakorzenił się w nich dawno temu i teraz już w ogóle nie dążą do tego, żeby poznać to, co da się zrozumieć tylko dzięki własnym aktywnym przemyśleniom.

Trzeba jednak jasno powiedzieć, że nie ma z tym nic wspólnego

organ kundabufor, wszczepiony ich przodkom, ani też jego następstwa, które z winy niektórych Świętych Indywiduów skryształizowały się w nich i później zaczęły przechodzić dziedzicznie z pokolenia na pokolenie.

Nie, winne są tylko one same, a to dlatego; że stopniowo ustanowiły nienormalne warunki zewnętrznej egzystencji istnieniowej, które krok po kroku doprowadziły do ukształtowania się w ich zbiorczej obecności tego, co stało się teraz ich wewnętrznym „złym bogiem” i co nazywa się „samospokojeniem”.

Zresztą sam to wszystko później bardzo dobrze zrozumiesz, kiedy zgodnie z obietnicą przytoczę więcej faktów, które wiążą się z tą przypadłą ci do gustu planetą.

Na wszelki wypadek radzę ci jednak, abyś w przyszłości bardzo ostrożnie wyrażał się o trójmózgowych istotach tej planety i w żaden sposób ich nie uraził, bo w przeciwnym wypadku, jak same mówią, „licho nie śpi”, i jeśli się dowiedzą, że jakoś je obraziłeś, to, zgodnie z innym ich wyrażeniem, „podłożą ci świnie”.

Nie zaszkodzi, jeżeli w tym miejscu przypomnę jeszcze jedną mądrą sentencję naszego drogiego Mułły Nasr Eddina, która brzmi:

„Co takiego nie może się zdarzyć na tym świecie?! Nawet pchła potrafi czasami połknąć słońca!”

Belzebub chciał jeszcze coś powiedzieć, ale w tej chwili wszedł sługa ze statku i przekazał mu „eterogram” zaadresowany do niego.

Kiedy Belzebub wysłuchał już treści eterogramu i sługa wyszedł, Hassin ponownie zwrócił się do Belzebuba, mówiąc:

– Drogi dziadku! Proszę, opowiedz mi jeszcze coś o trójcentrowych istotach, które powstają i egzystują na tej interesującej planecie zwanej „Ziemią”.

Belzebub znowu popatrzył na wnuka z osobliwym uśmiechem i zrobiwszy bardzo dziwny gest głową, kontynuował:



## Rozdział 14

### ***Otwarcie się perspektyw, które nie obiecują niczego specjalnie wesołego***

– Przede wszystkim muszę ci powiedzieć, że na samym początku istoty tej planety miały taką samą zbiorczą obecność jak trójmózgowe istoty zwane „kesczaptmartnymi” – które powstają na wszystkich analogicznych planetach całego naszego Wielkiego Wszechświata – i że długość ich egzystencji była taka sama jak u wszystkich innych trójmózgowych istot.

Różne zmiany w ich zbiorczej obecności zaczęły zachodzić dopiero po drugim nieszczęściu, które spotkało tę planetę, kiedy to zapadł się w nią jej główny kontynent zwany wówczas „Atlantyda”.

Od tamtej pory, ponieważ zaczęły one stwarzać takie warunki zewnętrznej egzystencji istnieniowej, że jakość ich promieniowania coraz bardziej się pogarszała, Wielka Przyroda była zmuszona stopniowo przeobrazić ich zbiorczą obecność, stosując różne kompromisy oraz zmiany, aby dzięki nim wyregulować jakość emitowanych przez nie wibracji, niezbędną przede wszystkim do zabezpieczenia pomyślnej egzystencji byłych części tej planety.

Z tego samego powodu Wielka Przyroda stopniowo zwiększyła liczbę tamtejszych istot, skutkiem czego obecnie zamieszkują one już prawie wszystkie stałe lądy tej planety.

Zewnętrzna forma ich ciała planetarnego jest u wszystkich prawie identyczna, natomiast jeśli chodzi o jego rozmiar i inne subiektywne szczegóły, to oczywiście ich powłoka odzwierciedla – tak samo jak u nas – cechy dziedziczne, warunki towarzyszące ich poczęciu, a także inne typowe czynniki, od których zależy powstanie oraz kształtowanie się wszystkich istot.

Poza tym różnią się między sobą kolorem skóry oraz charakte-

rem owłosienia i te atrybuty ich obecności, jak wszędzie indziej, są uzależnione od rezultatów wpływów planetarnych występujących na tej części powierzchni ich planety na której dane istoty powstają i kształtują się aż do osiągnięcia wieku odpowiedzialnego lub, jak same mówią, do czasu, gdy staną się „pełnoletnie”.

Co się zaś tyczy ich zbiorczej psychiki i jej podstawowych rysów, to u wszystkich występują tam takie same osobliwości, i to bez względu na to, na której części powierzchni ich planety dane istoty przyszły na świat. Do tych osobliwości należy również ta właściwość tamtejszych istot trój mózgowych, która powoduje, że w całym Wszechświecie tylko na tej dziwnej planecie zachodzi ów przerażający proces zwany „procesem unicestwiania nawzajem swojej egzystencji” lub, jak mówią tam na tej nieszczęsnej planecie, „wojna”.

Oprócz tej głównej właściwości ich zbiorczej psychiki w każdej z nich – także bez względu na miejsce ich powstania i egzystencji – w pełni się krystalizują i stają nieodłączną częścią ich zbiorczej obecności funkcje znane tam pod nazwą „egoizm” „miłość własna” „próżność”, „pycha” „zarozumiałość” „łatwowierność” „podatność na sugestię” i jeszcze parę innych takich cech, zupełnie nienormalnych i niegodnych esencji jakiegokolwiek trójmózgowej istoty.

Spośród tych nienormalnych właściwości istnieniowych ich psychiki najbardziej dokuczliwa jest dla nich ta zwana „podatnością na sugestię”.

Kiedyś specjalnie opowiem ci o tej wyjątkowo oryginalnej i dziwnej psychicznej osobliwości.

Belzebub zamilkł i zamyślił się dłużej niż zwykle, a potem, zwracając się znów do wnuka, rzekł:

– Widzę, że bardzo interesują cię trójmózgowe istoty, które powstają i egzystują na tej oryginalnej planecie zwanej „Ziemią”, a ponieważ, żeby skrócić sobie czas naszej podróży na statku „Karnak” chcąc nie chcąc będziemy poruszać najrozmaitsze tematy, postaram się opowiedzieć ci o nich jak najwięcej.

Abyś mógł jasno pojąć, jak dziwna jest ich psychika, najlepiej moim zdaniem będzie, jeśli zrelacjonuję ci po kolei moje osobiste zstąpienia na tę planetę, a także wydarzenia, które się tam rozegrały i których sam byłem świadkiem.

Powierzchnię planety Ziemia odwiedziłem osobiście sześć razy i na każdą z tych wizyt złożyły się inne okoliczności.

Zacznę więc od mojego pierwszego zstąpienia!

## Rozdział 15

### ***Pierwsze zstąpienie Belzebuba na planetę Ziemia***

– Po raz pierwszy zstąpiłem na planetę Ziemia – rozpoczął opowieść Belzebub – z powodu pewnej młodej istoty; która była członkiem naszego plemienia i, pech chciał, całkiem poważnie związała się z jedną tamtejszą istotą trójmózgową, skutkiem czego uwikłała się w bardzo głupią historię.

Pewnego dnia kilka istot naszego plemienia, które tak jak ja mieszkały na planecie Mars, odwiedziło mnie w domu, aby zwrócić się do mnie z prośbą.

Otóż powiedziały mi, że trzysta pięćdziesiąt marsjańskich lat wcześniej jeden z ich młodych krewnych przesiedlił się na planetę Ziemia i ostatnio stał się tam przyczyną bardzo przykrych dla wszystkich jego bliskich zdarzeń.

Potem dodały:

„My, jego bliscy, zarówno ci egzystujący na planecie Ziemia, jak i tu, na Marsie, chcieliśmy sami, w miarę naszych możliwości, położyć kres owemu nieprzyjemnemu zajściu, ale mimo wszystkich naszych starań i podjętych kroków niczego jak dotąd nie udało się nam osiągnąć.

Teraz, już całkowicie przekonani, że sami nie poradzimy sobie z tą nieprzyjemną historią, zdecydowaliśmy się niepokoić Waszą Przewielebność i błagalnie prosimy, byś był tak dobry i udzielił nam mądrej rady, która pozwoliłaby nam wyjść z tej żałosnej dla nas sytuacji”.

Następnie przedstawiły mi w szczegółach, na czym polegało owo nieszczęście, które je spotkało.

Ze wszystkiego, co mi powiedziały, wywnioskowałem, że to zdarzenie nie dość, że okazało się przykre dla bliskich tej młodej

istoty, to jeszcze może się stać tak samo nieprzyjemne dla istot całego naszego plemienia.

Nie mogłem więc postąpić inaczej, jak tylko od razu zaoferować, że pomogę im położyć kres temu nieporozumieniu.

Początkowo próbowałem im pomóc, nie opuszczając planety Mars, ale gdy się przekonałem, że nic stamtąd nie zwojuję, postanowiłem sam zstąpić na planetę Ziemia i na miejscu znaleźć jakieś rozwiązanie. Już następnego dnia, zabrawszy ze sobą wszystko, co niezbędne i co miałem akurat pod ręką, poleciałem tam na naszym statku „Okazja”.

Przypominam ci, że „Okazja” to statek, na którym wszystkie istoty naszego plemienia zostały wysłane do tego układu słonecznego i który, jak już ci mówiłem, zostawiono tam do naszej dyspozycji na potrzeby komunikacji międzyplanetarnej.

Jego stałe miejsce postoju znajdowało się na Marsie i to właśnie mi powierzono z Góry naczelne dowództwo nad nim.

Tak więc na tym samym statku „Okazja” poleciałem po raz pierwszy na planetę Ziemia.

Nasz statek wylądował wtedy na wybrzeżu kontynentu, który w czasie drugiego nieszczęścia, jakie spotkało tę planetę, całkowicie zniknął z jej powierzchni.

Ów kontynent nazywał się „Atlantyda” i był głównym miejscem egzystencji zarówno trójmózgowych istot tej planety, jak i większości istot naszego plemienia.

Zaraz po wylądowaniu udałem się do miasta o nazwie „Samlios” gdzie żył ten nasz nieszczęsny młody współplemieniec, który stał się przyczyną mojego zstąpienia.

Samlios był w tamtym czasie bardzo dużym miastem i jednocześnie stolicą największego społeczeństwa na planecie Ziemia.

W nim też miał swoją siedzibę przywódca tego dużego społeczeństwa, noszący tytuł „króla Appolisa”.

To właśnie z królem Appolisem zawarł znajomość nasz młody i niedoświadczony ziomek.

Wmieście Samlios poznałem wszystkie szczegóły tej historii.

Otóż dowiedziałem się, że jeszcze przed tym incydem nasz nieszczęsny rodak utrzymywał z jakichś powodów przyjacielskie stosunki z królem i był częstym gościem w jego domu.

Jak się okazało, pewnego razu nasz młody ziomek podczas wizyty w domu króla Appolisa przyjął „zakład”, który stał się powodem całej tej dalszej historii.

Przede wszystkim muszę ci powiedzieć, że społeczeństwo, któremu przewodził król Appolis, było wówczas największym i najbogatszym ze wszystkich społeczeństw na Ziemi, a miasto Samlios, w którym rezydował, największym i najbogatszym ze wszystkich miast.

Aby utrzymać takie bogactwo i majestat, król Appolis potrzebował oczywiście ogromnej ilości, jak oni mówią, „pieniędzy”, a także wielkiego nakładu pracy ze strony zwykłych istot tej społeczności.

Trzeba od razu zaznaczyć, że w czasie mojego pierwszego osobistego zstąpienia na tę planetę interesujące cię istoty trójmózgowe nie miały już w sobie organu kundabufor, jednakże u niektórych z nich zaczęły się krystalizować różne następstwa właściwości tego tak zgubnego dla nich organu.

W okresie, którego dotyczy moja opowieść, w części tamtejszych istot już skryzalizowało się następstwo pewnej właściwości, która wtedy, gdy jeszcze funkcjonował w nich organ kundabufor, sprzyjała temu, że bardzo łatwo i bez żadnych „wyrzutów sumienia” uchylały się one od dobrowolnego wypełniania obowiązków bądź to wziętych na siebie, bądź też nałożonych na nie przez starszych, co z kolei powodowało, że wszelkie powinności spełniały tylko pod wpływem lęku i zastraszenia wywoływanych „groźbami” pochodzącymi z zewnątrz.

To właśnie następstwo wspomnianej właściwości, które już całkowicie skryzalizowało się u niektórych ówczesnych istot, było przyczyną całego zajścia.

A oto, mój chłopcze, jak potoczyły się wypadki:

Król Appolis, który nadzwyczaj sumiennie wypełniał wzięte na siebie obowiązki, chociaż sam nie szczędził wysiłków ani własnych dóbr dla wspierania potęgi powierzonego mu społeczeństwa, równocześnie jednak wymagał tego samego od wszystkich swoich poddanych.

Ponieważ wspomniane następstwo właściwości organu kundabufor było już, jak ci powiedziałem; w pełni skryształizowane u niektórych jego poddanych, zaczął więc stosować wszelkiego rodzaju „zastraszenia” i „groźby”, aby wyegzekwować od wszystkich to, czego wymagała świetność powierzonego mu społeczeństwa.

Jego metody były tak różnorodne i zarazem tak rozsądne, że nawet ci spośród jego poddanych, w których to następstwo już się skryształizowało, nie mogli go nie szanować, mimo że jednocześnie nadali mu, oczywiście za jego plecami, przezwisko „Arcychytrus”.

A zatem, mój chłopcze, metody, które król Appolis zastosował, aby uzyskać od swych poddanych to, co było niezbędne do zachowania potęgi powierzonego mu społeczeństwa, z jakichś powodów wydały się niesprawiedliwe naszemu młodemu i naiwnemu ziomkowi, który, jak twierdzono, często się oburzał i nie mógł znaleźć sobie miejsca, ilekroć słyszał o którymś z tych nowych sposobów króla Appolisa.

Tak więc pewnego razu w trakcie rozmowy z królem nie wytrzymał i powiedział mu w oczy o swoim wzburzeniu i o tym, co sądzi o jego „bezwstydny” stosunku do poddanych.

Słyszając to, król Appolis nie tylko się nie oburzył – jak to się zwykle dzieje na planecie Ziemia, gdy ktoś miesza się w nie swoje sprawy – i nie wyrzucił naszego ziomka na zbity łeb, lecz zaczął razem z nim zastanawiać się nad przyczynami swej surowości.

Bardzo długo o tym rozmawiali i ich rozmowa skończyła się „zakładem”, to znaczy wyznaczyli sobie nawzajem warunki, a następnie spisali je na papierze i obaj podpisali się pod nimi własną krwią.

Jednym z tych warunków było to, że król Appolis zobowiązywał się od tej pory stosować w celu uzyskania od swych poddanych wszystkiego, czego potrzebował, tylko te środki i metody, które wskaże mu nasz ziomek.

W razie gdyby poddani przestali wpłacać królowi tak jak dotąd należności, nasz rodak brał na siebie całą odpowiedzialność i zobowiązywał się dostarczyć do skarbcza króla Appolisa sumę potrzebną do utrzymania oraz zapewnienia dalszego rozkwitu zarówno samej stolicy, jak i całego społeczeństwa.

A zatem, mój chłopcze, już od następnego dnia król Appolis zaczął bardzo rzetelnie wypełniać narzucone mu przez umowę zobowiązania i kierował swoim społeczeństwem ściśle według wskazówek naszego młodego rodaka.

Jednakże rezultaty takich rządów bardzo szybko okazały się całkiem sprzeczne z tym, o czym myślał i czego oczekiwał nasz prostaczek.

Otóż w tym społeczeństwie poddani – oczywiście głównie ci, u których skryzalizowało się już wspomniane następstwo właściwości organu kundabufor – nie tylko kompletnie przestali wpłacać wymagane datki do skarbcza króla Appolisa, ale nawet zaczęli wykradać po trochu to, co już wcześniej wpłacili.

Ponieważ nasz kraj przyrzekł, że dostarczy wszystko, co niezbędne, i na dodatek podpisał takie zobowiązanie własną krwią – a przecież wiesz, co dla każdego z nas znaczy wzięcie na siebie dobrowolnego zobowiązania, i to poświadczzonego krwią – już wkrótce musiał, naturalnie z własnej kieszeni, wyrównywać skarbcowi wszelkie straty.

Najpierw przekazał cały swój dobytek, a następnie wpłacił do skarbcza wszystko, co mógł dostać od swoich bliskich, którzy mieszkali na planecie Ziemia.

A gdy wszelkie ich zasoby już się wyczerpały, zwrócił się o pomoc do krewnych zamieszkałych na naszej planecie Mars.

Wkrótce również na Marsie zabrakło środków, a skarbiec miasta Samlios ciągle dopominał się o więcej i tym potrzebom nie



było końca.

To właśnie wtedy wszyscy bliscy naszego rodaka zaniepokoiłi się i postanowili zwrócić się do mnie z prośbą, abym pomógł im wybrnąć z tych tarapatów.

A więc, drogi chłopcze, kiedy przybyłem do wspomnianego miasta, przywitały mnie tam wszystkie istoty naszego plemienia pozostałe na tej planecie, od tych najstarszych do najmłodszych.

Wieczorem tego samego dnia zwołaliśmy naradę, żeby znaleźć razem wyjście z zaistniałej sytuacji.

Na tę pierwszą naradę zaprosiliśmy także samego króla Appolisa, z którym nasza starszyzna już wielokrotnie wcześniej rozmawiała w tej sprawie.

Podczas wspólnej narady król Appolis, zwracając się do nas wszystkich; powiedział, co następuje:

„Sprawiedliwi przyjaciele!

Jest mi osobiście bardzo przykro z powodu tego, co się stało i co przysporzyło tyle trosk tutaj zebranych, i całym swoim jestwem martwię się o to, iż nie będę mógł uchronić was od kłopotów, które jeszcze was czekają.

Rzecz w tym – kontynuował król Appolis – że mechanizm rządzenia moim społeczeństwem, wprowadzony w życie i ustanowiony od stuleci, uległ obecnie radykalnej zmianie i nie można już teraz do niego powrócić bez poniesienia poważnych konsekwencji, które niewątpliwie wywołają oburzenie większości moich poddanych. W powstałej sytuacji nie jestem już w stanie sam odwrócić biegu wypadków w taki sposób, by nie pociągnęło to za sobą tych poważnych następstw, i dlatego w imię sprawiedliwości proszę was wszystkich o pomoc”.

Potem dodał jeszcze:

„Czynię sobie gorzkie wyrzuty względem was wszystkich, ponieważ ja też czuję się w dużym stopniu winny tego nieszczęścia.

A poczuwam się do winy, ponieważ egzystując w tych warunkach o wiele dłużej niż mój oponent, a wasz współbrat, czyli ten, z którym zawarłem zakład, powinienem był przewidzieć, co się

może wydarzyć.

Szczerze mówiąc, popełniłem niewybaczalny błąd, podejmując ryzyko zawarcia tego rodzaju umowy z istotą, która być może jest ode mnie rozumniejsza, ale za to mniej praktyczna w tego rodzaju sprawach.

Jeszcze raz proszę was wszystkich, a szczególnie Waszą Przewielebność, abyście wybaczyli mi, a także pomogli położyć kres tej smutnej historii, znajdując jakieś szczęśliwe wyjście z zaistniałej sytuacji.

Tak jak się sprawy mają obecnie, jedyne, co mogę uczynić, to tylko działać zgodnie z waszymi wskazówkami”.

Po wyjściu króla Appolisa jeszcze tego samego wieczoru wybraliśmy spośród nas kilka doświadczonych starszych istot, które w nocy miały wspólnie rozważyć wszystkie dane i sporządzić orientacyjny plan dalszego działania.

Potem się rozeszliśmy, ustalając wpierw, że następnego wieczoru spotkamy się ponownie w tym samym miejscu, przy czym na tę drugą naradę król Appolis nie został zaproszony.

Na początku drugiego zebrania jedna z wybranych w przeddzień starszych istot zrelacjonowała nam, co następuje:

„Przez całą noc zastanawialiśmy się nad tą pożałowania godną historią i rozważyliśmy wszystkie jej szczegóły, aż w końcu jednomyślnie doszliśmy do wniosku, że nie ma innego wyjścia, jak tylko wrócić do uprzednich warunków rządzenia.

Jednocześnie, także jednogłośnie, zgodziliśmy się, że powrót do starego porządku w tym społeczeństwie niechybnie wywoła sprzeciw poddanych i że taka rewolta na pewno pociągnie za sobą wszystkie te następstwa, które na Ziemi stały się nieuniknione w tego rodzaju sytuacjach.

A to oczywiście spowoduje – jak to się już stało tutaj zwyczajem – że na liczne dzierżące władzę istoty tego społeczeństwa spadnie wiele cierpień, nie wykluczając nawet możliwości ich ostatecznej zagłady; jeśli zaś chodzi o samego króla Appolisa, to z pewnością nie uda mu się uniknąć takiego losu.

Następnie zaczęliśmy rozmyślać nad tym, co należy zrobić, żeby przynajmniej królowi Appolisowi oszczędzić tych żałosnych konsekwencji.

Naprawdę bardzo nam na tym zależało, ponieważ poprzedniego dnia na naszym walnym zebraniu król Appolis okazał się wobec nas niezwykle szczerzy i życzliwy, i byłoby nam wszystkim niezmiernie przykro, gdyby on sam również miał ucierpieć.

Po długich rozważaniach doszliśmy do wniosku, że króla Appolisa będzie można uchronić przed ciosem tylko pod warunkiem, że w czasie wspomnianych rozruchów przejawy gniewu wzbudzonych istot tego społeczeństwa zwrócą się nie przeciwko samemu królowi, lecz przeciw jego otoczeniu, to znaczy przeciwko temu, co nazywa się tutaj jego «rządem».

Pojawiło się jednak pytanie: Czy powiernicy króla zgodzą się ponieść wszystkie konsekwencje?

Doszliśmy do stanowczego wniosku, że takiej zgody nie wyrażą, bo na pewno uznają, iż wszystkiemu winny jest tylko król i że sam powinien za to zapłacić.

Potem powzięliśmy, jak zawsze jednogłośnie, następujące postanowienie:

Aby uchronić przynajmniej króla Appolisa przed tym nieuniknionym zagrożeniem, istoty z naszego plemienia powinny, za jego zgodą, zastąpić wszystkie istoty piastujące w tym społeczeństwie odpowiedzialne stanowiska, a kiedy owa «psychopatia» mas osiągnie zenit, każda z nich będzie musiała wziąć na siebie część ogółu spodziewanych rezultatów”.

Gdy nasz przedstawiciel zakończył swoje sprawozdanie, po krótkiej wymianie opinii jednomyślnie postanowiliśmy postąpić zgodnie z propozycją starszyny naszego plemienia.

Następnie posłaliśmy jedną z tych sędziwych istot do króla Appolisa, by przedłożyła mu nasz plan; on wyraził na niego zgodę, powtarzając swą obietnicę, że podporządkuje się wszystkim naszym zaleceniom.

Postanowiliśmy więc nie zwlekać i już następnego dnia przy-

stąpiliśmy do zastępowania wszystkich urzędników członkami naszego plemienia.

Po dwóch dniach okazało się jednak, że liczba naszych współplemieńców, którzy mieszkają na planecie Ziemia, nie wystarczy, by zastąpić wszystkich urzędników tego społeczeństwa, i dlatego bezzwłocznie wysłaliśmy statek „Okazja” na planetę Mars, aby ściągnąć posiłki.

Tymczasem król Appolis pod kierownictwem dwóch istot z naszej starszyny zaczął pod przeróżnymi pretekstami zastępować w stolicy Samlios swoich urzędników członkami naszego plemienia, a kiedy kilka dni później statek „Okazja” wrócił z planety Mars z posiłkami, taka sama zmiana warty nastąpiła także na prowincji i już wkrótce wszystkie „odpowiedzialne stanowiska” w owym społeczeństwie objęły istoty z naszego plemienia.

Kiedy ta reorganizacja dobiegła końca, król Appolis, pod kierunkiem tych samych sędziwych istot, zajął się przywracaniem starego trybu rządzenia swoim społeczeństwem.

Zgodnie z oczekiwaniami powrót do starych porządków niemal od pierwszego dnia zaczął oddziaływać na zbiorczą psychikę tych istot tego społeczeństwa, w których już na dobre skryzalizowały się następstwa wspomnianej właściwości szkodliwego organu kundabufor.

Niezadowolenie rosło z dnia na dzień i niebawem pojawił się w nich ten impuls, który zaczął cechować obecność tamtejszych trójmózgowych istot wszystkich późniejszych okresów, a który od czasu do czasu pobudza je do wszczynania procesu nazywanego przez nie obecnie „rewolucją”.

W trakcie tej ich ówczesnej rewolucji zniszczyły – co później również stało się typowe dla tych trójmózgowych fenomenów naszego Wielkiego Wszechświata – wiele dóbr, które same gromadziły przez całe wieki, nie wspominając o tym, że została unicestwiona i na zawsze poszła w zapomnienie różnego rodzaju „wiedza”, która również była owocem wielowiekowych wysiłków. Oprócz tego obróciły wniwecz egzystencję wielu innych po-

dobnych do nich istot, które weszły już na drogę prowadzącą do uwolnienia się od następstw właściwości organu kundabufor.

W tym miejscu warto przytoczyć pewien nadzwyczaj zdumiewający i niezrozumiały fakt.

Chodzi o to, że podczas kolejnych tego rodzaju rewolucji tamtejsze istoty trójmózgowe – prawie wszystkie lub przynajmniej w przytłaczającej większości uległy owej „psychozie” – z jakiegoś powodu przeważnie niszczą egzystencję akurat tych podobnych do nich istot, które w ten czy inny sposób trafiły już na drogę możliwego uwolnienia się od skryzalizowanych w nich następstw właściwości tego zgubnego organu kundabufor – organu, który na ich nieszczęście mieli w sobie ich przodkowie.

A więc, mój chłopcze! Dopóki toczył się proces tej ich rewolucji, dopóty król Appolis pozostawał w jednej ze swych „letnich rezydencji” niedaleko miasta Samlios.

Nikt go nie tykał, ponieważ nasze istoty, uprawiając propagandę, przygotowały teren w taki sposób, że całą winą obarczono nie króla Appolisa, lecz jego otoczenie, czyli funkcjonariuszy administracji.

Mało tego... istoty, które wpadły w tę psychozę, zaczęły nawet „odczuwać smutek” i bardzo żałować swojego króla, mówiąc, że ich „biedny król” był do tej pory otoczony bezwstydnymi i niewdzięcznymi podwładnymi i że właśnie dlatego wybuchła ta niepożądana rewolucja.

A kiedy rewolucyjna psychoza zupełnie już ucichła, król Appolis wrócił do miasta Samlios i zaczął stopniowo, znów z pomocą naszej starszyny, zastępować naszych ziomków swoimi byłymi urzędnikami, którym udało się ocaleć, albo werbował nowe kadry spośród swych poddanych.

Po przywróceniu dawnych stosunków między królem Appolisem i jego poddanymi ci ostatni ponownie zaczęli napełniać skarbiec „pieniędzmi” i wykonywać rozkazy swego władcy, skutkiem czego sprawy wspólnoty potoczyły się znowu zwykłym, wcześniej ustalonym trybem.

Co się zaś tyczy naszego naiwnego nefartownego rodaka, będącego sprawcą wszystkich tych wydarzeń, to zrobiło mu się z ich powodu tak przykro, że nie chciał już dłużej zostać na tej szczególnie pechowej dla niego planecie i powrócił z nami na planetę Mars.

Później zresztą okazał się znakomitym starostą wszystkich istot naszego plemienia.

## Rozdział 16

### ***Względność pojęcia czasu***

Po krótkiej przerwie Belzebub kontynuował:

– Abyś uzyskał jaśniejszy obraz dziwaczności psychiki tych przypadłych ci do gustu trójmózgowych istot, które mają siedlisko na planecie Ziemia, i generalnie lepiej zrozumiał wszystko, co dotyczy tej oryginalnej planety, powinienesz wpierw moim zdaniem wyrobić sobie dokładne pojęcie o ich rachubie czasu, a także dowiedzieć się, w jaki sposób istnieniowe doznanie tego, co nazywa się „procesem upływu czasu” stopniowo uległo zmianie w ich obecnościach i jak to doznanie aktualnie się manifestuje.

Konieczniesz muszę ci to wyjaśnić, ponieważ dopiero wtedy będziesz mógł wyobrazić sobie i pojąć tamtejsze wydarzenia, o których już ci opowiedziałem, jak również te, o których ci dopiero opowiem.

Przede wszystkim musisz wiedzieć, że trójmózgowe istoty tej planety tak samo jak my przyjmują za podstawową jednostkę swojej rachuby czasu „rok” i długość tego swojego „roku” wyznaczają na podstawie czasu trwania pewnego ruchu ich planety wokół innego kosmicznego skupienia, a konkretnie okresu, w którym ich planeta, podlegając procesom „spadania” i „doganiania” zatacza wokół swojego słońca to, co nazywa się „krentonalnym kołem”.

W podobny sposób my na naszej planecie Karataz przyjmujemy za „rok” odcinek czasu upływający pomiędzy momentami, w których słońce „Samos” i słońce „Selos” są do siebie najbardziej zbliżone.

Istoty z planety Ziemia zwą sto takich lat „wiekiem”.

Jeden swój „rok” dzielą na dwanaście części, a każdą z tych części nazywają „miesiącem”.

Długość jednego „miesiąca” wyznaczają na podstawie czasu, w którym duży, oderwany od Ziemi kawałek – nazywany teraz przez nie „Księżycem” – zatacza wokół ich planety, zgodnie z tymi samymi kosmicznymi prawami „spadania” i „doganiania” pełne krentonalne koło.

Trzeba zaznaczyć, że dwanaście krentonalnych kół Księżyca nie odpowiada dokładnie jednemu krentonalnemu kołu ich planety wokół jej słońca i właśnie dlatego musiały pójść na pewne kompromisy w obliczeniach tych swoich miesięcy, aby otrzymana suma odpowiadała mniej więcej rzeczywistości.

Następnie ten swój miesiąc dzielą na trzydzieści „dób” lub, jak przeważnie mówią, „dni”.

Za dobę przyjmują taki okres, w którym ich planeta, znajdując się pod działaniem wspomnianych kosmicznych praw, dokonuje „pełnego obrotu” wokół własnej osi.

Zwróć przy okazji uwagę na to, że tą samą nazwą „dzień” określają również proces trogoautoegokratyczny nazywany przez nas „ksztacawacht” i zachodzący okresowo zarówno w atmosferze ich planety, jak i wszystkich innych planet, na których urzeczywistniany jest kosmiczny proces zwany, jak już ci mówiłem, „il-nosoparnym”; to samo zjawisko określają jeszcze słowami „jest widno”.

A jeśli chodzi o drugi, przeciwny mu proces, który my nazywamy „kldacacht” to one zwać go „nocą” albo mówią o nim „jest ciemno”.

Tak więc trójmózgowe istoty, które mają siedlisko na planecie Ziemia, najdłuższy okres upływu czasu nazywają „wiekiem” i ten ich „wiek” składa się ze stu „lat”.

„Rok” ma dwanaście „miesięcy”, a „miesiąc” przeciętnie trzydzieści „dni”, czyli dób.

„Doba” dzieli się na dwadzieścia cztery „godziny”, a „godzina” na sześćdziesiąt „minut”. Z kolei każda „minuta” jest podzielona na sześćdziesiąt „sekund”.

Ponieważ nie znasz jeszcze, mój chłopcze, wyjątkowych właści-



wości czasu, powinieneś więc w pierwszej kolejności dowiedzieć się, że prawdziwa nauka obiektywna definiuje to kosmiczne zjawisko w następujący sposób:

„Czas jako taki w ogóle nie istnieje; jest to tylko całokształt rezultatów wpływających ze wszystkich zjawisk kosmicznych obecnych w danym miejscu”.

Czasu samego w sobie żadna istota nie może ani pojąć rozumem, ani odczuć za pomocą którejkolwiek zewnętrznej lub wewnętrznej funkcji istnieniowej. Doznawanie go jest niemożliwe, i to bez względu na poziom instynktu, który się budzi i jest obecny w każdym mniej więcej samodzielnym skupieniu kosmicznym.

Czas można określić jedynie, porównując różne zjawiska kosmiczne zachodzące w tym samym miejscu i w tych samych warunkach, w których się stwierdza jego istnienie i go rozważa.

Należy dodać, że w Wielkim Wszechświecie wszystkie bez wyjątku zjawiska, niezależnie od tego, gdzie powstają i się manifestują, są po prostu kolejnymi zgodnymi z prawem „rozdrobieniami” pewnego całościowego zjawiska, którego pierwotnym źródłem jest Przenajświętsze Słońce Absolut.

To dzięki temu wszystkie kosmiczne zjawiska, gdziekolwiek by zachodziły, „obiektywizują się”.

A realizacja takich kolejnych zgodnych z prawem „rozdrobnień” odbywa się pod każdym względem – nawet ich inwolucji i ewolucji – w oparciu o podstawowe kosmiczne prawo świętego Heptaparaparszynoch.

Jedynie czas nie ma wartości obiektywnej, gdyż nie jest rezultatem rozdrobienia jakiegoś konkretnego zjawiska kosmicznego. A ponieważ z niczego nie powstaje i, pozostając samowystarczalnie-niezależnym, zawsze się miesza ze wszystkimi przejawami, to tylko on w całym Wszechświecie zasługuje na miano „Idealnie Unikatowego Subiektywnego Zjawiska”.

Tak więc, mój chłopcze, tylko Czas lub, jak niektórzy mówią, „Heropas”, nie ma źródła, które warunkowałoby jego powstanie,

i jedynie on, na podobieństwo Bożej Miłości, zawsze, jak już ci powiedziałem, płynie niezależnie, sam z siebie, łącząc się w określonych proporcjach z wszelkimi zjawiskami, które zachodzą we wszystkich obecnych w danym miejscu tworach naszego Wielkiego Wszechświata.

Powtarzam raz jeszcze: to wszystko, co ci przed chwilą powiedziałem, będziesz mógł jasno zrozumieć dopiero później, gdy – jak już obiecałem – specjalnie wyjaśnię ci wszystkie podstawowe prawa Powstania i Istnienia Świata.

Tymczasem zapamiętaj tylko, że ponieważ czas nie ma źródła swego powstania i w przeciwieństwie do wszelkich innych zjawisk kosmicznych występujących w dowolnej kosmicznej sferze nie da się dokładnie stwierdzić jego obecności, to wcześniej wspomniana przeze mnie nauka obiektywna stosuje do jego badania tę samą jednostkę podstawową, której używa do precyzyjnego określenia gęstości i jakości – w znaczeniu życiodajności wibracji – każdej z substancji kosmicznych występujących we wszystkich miejscach i we wszystkich sferach naszego Wielkiego Wszechświata.

Owa podstawowa jednostka, od dawna stosowana do mierzenia czasu, to jedna chwila tego, co zwie się „świętym doznaniem egokulnacnarnym” i co pojawia się w Świętych Indywiduach Kosmicznych zamieszkujących Przenajświętsze Słońce Absolut, ilekroć wzrok NASZEGO JEDNOBYTNEGO NIESKOŃCZONEGO kieruje się w przestrzeń i bezpośrednio dotyka ich obecności.

Taka podstawowa jednostka została ustalona przez naukę obiektywną po to, by można było dokładnie określić i porównać między sobą rozmaite stopnie subiektywnych doznań pojedynczych świadomych Indywiduów, a także „odmienne tempa” różnych obiektywnych zjawisk kosmicznych, które manifestują się w rozmaitych sferach naszego Wielkiego Wszechświata i dzięki którym powstają wszystkie, zarówno małe, jak i wielkie, kosmiczne twory.

Główna osobliwość procesu upływu czasu polega na tym, że obecności wszystkich formacji kosmicznych różnej skali postrze-

gają go w ten sam sposób i w tej samej kolejności.

Abyś mógł choćby w przybliżeniu zrozumieć to, o czym ci właśnie powiedziałem, weźmy na przykład proces upływu czasu zachodzący w dowolnej kropli wody znajdującej się w karafce, która stoi na stole.

Każda kropla wody w tej karafce sama w sobie reprezentuje cały niezależny świat, „świat Mikrokosmosów”.

W tym mikroskopijnym świecie powstają i żyją, tak jak w innych kosmosach, względnie samodzielne, nieskończenie małe „indywidua” lub „istoty”.

Dla istot tego nieskończenie małego świata czas płynie dokładnie w tej samej kolejności, w jakiej odczuwają go wszystkie indywidua we wszystkich innych kosmosach.

Te mikroskopijne istoty, podobnie jak istoty z kosmosów innej „skali”, dla wszystkich swoich percepcji i przejawów mają przeżycia określonej długości i tak samo jak te ostatnie doznają upływu czasu, porównując okres trwania otaczających je zjawisk.

Dokładnie w ten sam sposób jak istoty z innych kosmosów one się rodzą, dorastają, łączą i rozdzielają gwoźli uzyskania tego, co zwane jest „rezultatem płciowym”, a także chorują oraz cierpią i koniec końcem, jak wszystko inne, co istnieje, a w czym nie utrwalił się obiektywny rozum, giną jako takie na zawsze.

Cały proces egzystencji takich nieskończenie małych istot tego również mikroskopijnego świata wymaga określonego czasu, którego długość jest proporcjonalna do długości wszystkich otaczających zjawisk manifestujących się w danej „skali kosmicznej”.

Również tym mikroskopijnym istotom potrzebny jest określony czas na proces ich powstawania i kształtowania się, a także na różne zdarzenia, które zachodzą w trakcie ich egzystencji aż do ich całkowitego i ostatecznego unicestwienia.

Przebieg pełnego procesu egzystencji istot tej kropli wody tak samo wymaga określonych kolejnych „odstępów” upływu czasu.

Taki określony czas potrzebny jest zarówno na ich radości, jak i smutki, słowem na wszystkie niezbędne doświadczenia istnie-

niowe, wliczając w to „złe passy”, a także „okresy gorącej chęci doskonalenia się”.

Powtarzam: również u nich proces upływu czasu ma swoje harmonijne następowanie i to następowanie wynika z całokształtu zjawisk, które je otaczają.

Mówiąc ogólnie, długość procesu upływu czasu jest postrzegana i odczuwana jednakowo przez wszystkie wspomniane kosmiczne indywidua oraz wszystkie już ostatecznie uformowane „zinstynktywizowane” jednostki; z jedną tylko różnicą, która jest wypadkową odrębnego charakteru ich obecności oraz ich stanu w danym momencie.

Przy czym, mój chłopcze, trzeba zauważyć, że choć u poszczególnych indywiduów, które egzystują w dowolnych samodzielnych jednostkach kosmicznych, ich definicja upływu czasu nie jest, w pełnym tego słowa znaczeniu, obiektywna, niemniej jednak dla nich samych się obiektywizuje, a to dlatego, że ów upływ czasu postrzegają one zgodnie z pełnią własnej obecności.

Ta sama kropla wody, którą wzięliśmy za przykład, pomoże ci jaśniej zrozumieć moją myśl.

Mimo że z punktu widzenia ogólnowszechświatowej obiektywności cały okres procesu upływu czasu toczący się w tej kropli wody jest przez nią odczuwany zupełnie subiektywnie, to przez istoty, które w tej kropli wody egzystują, dany upływ czasu jest postrzegany już jako obiektywny.

Aby to jeszcze lepiej wyjaśnić, możemy wziąć za przykład pewne istoty zwane „hipochondrykami”, które żyją wśród przypadłych ci do gustu trójmózgowych istot planety Ziemia.

Tym ziemskim hipochondrykom bardzo często się wydaje, iż czas płynie niezmiernie powoli i wlecze się, jak to ujmują, „przerażliwie nudno”.

Otóż dokładnie tak samo niektórym z tych nieskończenie małych istot w kropli wody może się czasami wydawać – oczywiście zakładając, że wśród nich również zdarzają się tacy hipochondrycy – iż czas płynie bardzo powoli i „przerażliwie nudno”.

Tymczasem w rzeczywistości, zgodnie z doznaniem długości czasu, jakie mają twoi ulubieńcy z planety Ziemia, cała ta długa egzystencja „istot-Mikrokosmosów” trwa zaledwie kilka ichnich „minut”, a niekiedy nawet tylko parę „sekund”.

Teraz, mój chłopcze, abys jeszcze lepiej mógł zrozumieć czas i jego szczególne właściwości, warto byłoby porównać twój wiek z odpowiadającym mu wiekiem istoty, która egzystuje na planecie Ziemia.

Dla naszego porównania musimy skorzystać z tej samej podstawowej jednostki czasu, którą, jak już ci mówiłem, stosuje do takich obliczeń nauka obiektywna.

Przede wszystkim powinieneś wiedzieć, że nauka obiektywna wykazała – opierając się na danych, które poznasz wtedy, gdy specjalnie wyjaśnię ci podstawowe prawa Stworzenia i Istnienia Świata – iż wszystkie normalne istoty trójmózgowe, wliczając w to oczywiście te, które powstają na naszej planecie Karataz, doznają świętego „działania egokulnacarnego”, służącego do obliczania czasu, czterdzieści dziewięć razy wolniej niż Święte Indywidua znajdujące się na Przenajświętszym Słońcu Absolut.

Prowadzi to do tego, że dla trójmózgowych istot naszego Karataza proces upływu czasu toczy się czterdzieści dziewięć razy szybciej niż na Słońcu Absolut i z taką samą prędkością ów proces powinien przebiegać dla istot mających siedlisko na planecie Ziemia.

Jednocześnie obliczono, że w przedziale czasu, w trakcie którego słońce „Samos” osiąga punkt największego zbliżenia do słońca „Selos” – czyli w okresie uważanym na planecie Karataz za „rok” – planeta Ziemia zatacza wokół swojego słońca Ors trzysta osiemdziesiąt dziewięć własnych „kół krentonalnych”.

Wynika z tego, że nasz „rok”, według umownie obiektywnej rachuby czasu, jest trzysta osiemdziesiąt dziewięć razy dłuższy niż okres, który przyjmują za rok twoi ulubieńcy.

Na pewno zainteresuje cię fakt, że wszystkie te obliczenia wyjaśnił mi po części Wielki Arcyinzynier Wszechświata, Jego Wy-

mierność Archanioł Algematant.

Oby dane mu było udoskonalić się aż do świętego Anklada!

Udzielił mi on tych wyjaśnień w trakcie swojego pobytu na planecie Mars, gdy przybył tam w roli świętego członka trzeciej Znamienitej Komisji z powodu pierwszego wielkiego nieszczęścia, które spotkało planetę Ziemia. Informacje te następnie dopełnił kapitan międzyplanetarnego statku „Wszędobylski” z którym odbyłem kilka przyjacielskich rozmów podczas mojej podróży powrotnej do ojczyzny.

Teraz powinniśmy jeszcze zwrócić uwagę na to, że ty, jako trójmózgowa istota, która powstała na planecie Karataz, jesteś w tej chwili tylko dwunastoletnim chłopcem i pod względem bycia oraz rozumu dokładnie przypominasz dwunastolatka z planety Ziemia, który jeszcze się nie ukształtował i nie jest siebie świadomy – co zresztą charakteryzuje wszystkie ziemskie istoty trójmózgowe w trakcie procesu ich dorastania do wieku istoty odpowiedzialnej.

Wszystkie cechy twojej zbiorczej psychiki zwane „charakterem” „temperamentem” „skłonnościami” słowem wszystkie szczególne właściwości twojej psychiki objawiające się na zewnątrz, odpowiadają dokładnie tym właściwościom, które znamionują tamtejszą niedojrzałą i nieukształtowaną istotę trójmózgowa w wieku lat dwunastu.

A zatem z wszystkiego, co ci powiedziałem, wynika, że choć zgodnie z naszą rachubą czasu wciąż jesteś tylko nieukształtowanym i nieświadomym siebie dwunastoletnim chłopcem – jak każdy chłopiec w tym wieku na planecie Ziemia – jednak według rachuby opartej na ich subiektywnych pojęciach oraz ich istnieniowych doznaniach upływu czasu egzystujesz już nie dwanaście, ale całe cztery tysiące sześćset sześćdziesiąt osiem lat.

Wszystko to, o czym ci mówię, stanowi materiał, dzięki któremu będziesz mógł później uprzytomnić sobie niektóre z czynników warunkujących stopniowe skracanie się przeciętnej normalnej długości ich egzystencji – długości, która stała się dzisiaj,

w obiektywnym sensie, już prawie „zerowa”.

Ściśle mówiąc, takie stopniowe zmniejszanie się przeciętnej długości egzystencji trójmózgowych istot tej nieszczęsnej planety, wskutek czego ta długość została zredukowana niemal do „zera” miało nie jedną, ale wiele bardzo różnorodnych przyczyn.

Pierwsza i główna spośród nich to oczywiście fakt, że sama Przyroda odpowiednio się przystosowując, musiała zmienić po trochu ich obecność na taką, jaką jest ona obecnie.

Co się zaś tyczy wszystkich innych przyczyn, to – aby sprawiedliwości stało się zadość – powinienem w pierwszej kolejności podkreślić, że mogłyby one na tej nieszczęsnej planecie w ogóle nie zaistnieć, gdyby nie to, iż pojawiła się tam ta pierwsza przyczyna, z której moim zdaniem wyniknęły, oczywiście bardzo powoli, pozostałe.

To wszystko, mój chłopcze, będziesz mógł zrozumieć w trakcie moich kolejnych opowieści o tych trójmózgowych istotach, na razie jednak powiem ci tylko o tej pierwszej i głównej przyczynie, a mianowicie o tym, dlaczego i w jaki sposób Wielka Przyroda została zmuszona do tego, by Uczyć się z ich obecnością i nadać jej nową formę.

Przede wszystkim musisz wiedzieć, że generalnie we Wszechświecie istnieją dwa „rodzaje” czy też dwie „zasady” długości egzystencji istnieniowej.

Pierwsza zasada egzystencji istnieniowej, zwana „fulasnitamną” jest właściwa wszystkim trójmózgowym istotom, które powstają na dowolnej planecie naszego Wielkiego Wszechświata. Podstawowym celem oraz sensem egzystencji takich istot jest służenie za wehikuł do transformacji kosmicznych substancji potrzebnych do „ogólnokosmicznego procesu trogoautoegokratycznego”.

Drugiej zasadzie egzystencji istnieniowej podlegają z kolei wszystkie istoty jednomózgowe i dwumózgowe, i to niezależnie od miejsca swego powstania.

Sens oraz cel egzystencji tych istot również sprowadza się do

tego, by za ich pomocą odbywała się transformacja substancji kosmicznych, w tym wypadku potrzebnych jednak nie do celów o charakterze ogólnokosmicznym, lecz jedynie do spełnienia wymagań danego układu słonecznego, a nawet samej tylko planety, w której i na której te istoty powstają.

W każdym razie abyś mógł lepiej pojąć dziwaczność psychiki tych przypadłych ci do gustu trójmózgowych istot, powinieneś także wiedzieć, że na początku, gdy organ kundabufor został usunięty z ich obecności wraz ze wszystkimi jego właściwościami, czas trwania ich egzystencji odpowiadał zasadzie fularnitamnej, to znaczy miały one obowiązek egzystować tak długo, aż przyoblekło się w nich i w pełni udoskonało pod względem rozumu to, co zwie się „ciałem kesdżan” lub – jak same zaczęły potem nazywać tę swoją część istnieniową – „ciało astralne” o którym, nawiasem mówiąc, współczesne istoty wiedzą już tylko ze słyszenia.

Później jednak, mój chłopcze, kiedy z przyczyn, o których dowiesz się z moich dalszych opowieści, zaczęły one egzystować w sposób zbyt nienormalny i całkiem niegodny istot trójmózgowych – co spowodowało, że z jednej strony, przestały z nich emanować wibracje niezbędne Przyrodzie do wspierania oderwanych kawałków ich planety, a z drugiej, kierowane główną cechą swojej dziwnej psychiki zaczęły one niszczyć inne formy istot swojej planety, stopniowo zmniejszając w ten sposób liczbę źródeł potrzebnych do tego samego celu – otóż właśnie wtedy, aby uzyskać równowagę niezbędnych wibracji zarówno jeśli chodzi o jakość, jak i ilość, Przyroda była zmuszona z czasem dostosować obecność tych trójmózgowych istot do drugiej zasady, a mianowicie zasady „Itoklanoc” to znaczy urzeczywistniać je w ten sam sposób jak istoty jednomózgowe i dwumózgowe.

Przy innej okazji specjalnie wyjaśnię ci też znaczenie zasady Itoklanoc.

Tymczasem zapamiętaj, że choć na samym początku główne przyczyny skrócenia długości egzystencji istot trójmózgowych tej planety nie zależały od nich samych, jednak później podsta-



wowym źródłem wszystkich żalonych rezultatów stały się – i jeszcze bardziej są obecnie – nienormalne warunki zwykłej codziennej egzystencji istnieniowej, które one same sobie stworzyły. Wskutek tych warunków długość ich egzystencji nadal się zmniejsza i stała się teraz już tak krótka, że różnica między długością procesu egzystencji trójmózgowych istot innych planet całego Wszechświata i tych trójmózgowych istot z planety Ziemia jest niemal taka sama jak ta, która występuje między rzeczywistą długością ich własnej egzystencji a długością egzystencji nieskończenie małych istot w kropli wody, które wzięliśmy wcześniej za przykład.

Czy rozumiesz teraz, mój chłopcze, dlaczego nawet Wielki Heropas, czyli Czas, został zmuszony do urzeczywistniania tak oczywistego nonsensu w obecnościach tych nieszczęśliwych trójmózgowych istot, które powstają i egzystują na planecie Ziemia?

Dzięki wszystkiemu, co ci przed chwilą wyjaśniłem, sam już możesz wejść w jego położenie i zrozumieć tego bezlitosnego, ale za to zawsze i we wszystkim sprawiedliwego Heropasa!

Wypowiedziawszy te słowa, Belzebub zamilkł, a gdy ponownie zwrócił się do swego wnuka, rzekł z ciężkim westchnieniem:

– Ech! Drogi chłopcze!

Później, kiedy opowiem ci więcej o trój centrowych istotach tej nieszczęsnej planety Ziemia, sam wszystko zrozumiesz i wyrobisz sobie na ten temat własną opinię.

Sam wtedy bardzo jasno pojmiesz, że choć pierwotnym źródłem całego zamętu, który panuje teraz na tej nieszczęsnej planecie Ziemia, były pewne „niedopatrzienia” z Góry, ze strony różnych Świętych Indywiduów, to jednak główną przyczyną całego późniejszego zła stały się wyłącznie te nienormalne warunki zwykłej egzystencji istnieniowej, które one same stopniowo ustaliły i do dzisiaj ustalają.

W każdym razie, mój kochany chłopcze, gdy lepiej już poznasz swoich ulubieńców, wówczas, powtarzam, nie tylko wyraźnie zobaczysz, jak żałośnie krótka stała się egzystencja tych nieszczę-

śników – jeśli porównać ją z normalną długością egzystencji, która już od dawna została ustanowiona w postaci prawa obowiązującego wszelkiego rodzaju trójmózgowe istoty całego naszego Wszechświata – lecz także zrozumiesz, że z tych samych powodów wszystkie normalne doznania istnieniowe w odniesieniu do dowolnego kosmicznego zjawiska zaczęły stopniowo w nich zanikać i teraz są już praktycznie nieobecne.

Mimo że zgodnie z umownie obiektywną rachubą czasu istoty tej nieszczęsnej planety powstały wiele dziesięcioleci temu, to nie tylko ciągle jeszcze nie mają żadnego istnieniowego doznania zjawisk kosmicznych – doznania, które jest właściwe wszystkim istotom trójcentrowym całego naszego Wszechświata – ale co więcej, w ich umyśle nie pojawiło się choćby mgliste wyobrażenie o prawdziwych przyczynach tych zjawisk.

One nie mają nawet względnie prawidłowego pojęcia o tych kosmicznych zjawiskach, które zachodzą wokół nich na ich własnej planecie.

## *Rozdział 17*

### ***Arcyabsurd Według twierdzenia Belzebuba okazuje się, że nasze słońce ani nie świeci, ani nie grzeje***

Mój drogi Hassinie, abyś na razie mógł choćby w przybliżeniu uświadomić sobie zupełny brak – szczególnie ostatnimi czasy – w obecnościach trój centrowych istot zamieszkujących planetę Ziemia funkcji; która jest właściwa wszystkim trójmózgowym istotom całego naszego Wielkiego Wszechświata i nazywa się „instynktowne doznanie rzeczywistości”, myślę, że wystarczy, jeśli najpierw wyjaśnię ci tylko, w jaki sposób pojmują one i tłumaczą sobie przyczyny okresowego występowania na ich planecie zjawisk kosmicznych nazywanych przez nie same „światłem dziennym”, „ciemnością”, „ciepłem” „zimnem” itp.

Wszystkie bez wyjątku trójmózgowe istoty tej planety, które osiągnęły już wiek odpowiedzialny, nabierają pod wpływem licznych tamtejszych wymądrzań, zwanych przez nie „naukami” kateregorycznego przekonania, że każde z wymienionych wyżej zjawisk dociera do ich planety jakoby już zupełnie gotowe, proś-ciu-teń-ko z ich własnego słońca... i, jak powiedziałyby w takich wypadkach Mułła Nasr Eddin, „koniec kropka”.

Najdziwniejsze w tym jest to, że z wyjątkiem pewnych istot, które egzystowały tam jeszcze przed drugą „perturbacją trans-apalną”, jak dotąd u ani jednej z nich do tego przekonania nie wkradła się choćby najmniejsza wątpliwość.

I nie dość, że jeszcze ani razu żadnej z nich nie ogarnęła wątpliwość co do przyczyny wymienionych zjawisk – mimo że w ich dziwnym rozumie można doszukać się czegoś na kształt zdrowej

logiki – to ani jedna z nich nie przejawiała dotąd w stosunku do takich kosmicznych zjawisk tej swoistej właściwości ich zbiorczej psychiki, którą mają tylko trójmózgowe istoty tej planety i która nazywa się „fantazjowanie”.

Powiedziawszy to, Belzebub z gorzkim uśmiechem kontynuował:

– Na przykład ty, mój chłopcze, masz normalną obecność trójmózgowej istoty, w którą celowo „wszczepiono” z zewnątrz „oskiano” lub, jak mówi się tam, na Ziemi, „wychowanie”, zasadzające się na moralności, której podstawę stanowią wyłącznie przykazania i wskazówki SAMEGO JEDNOBYTNEGO oraz bliskich MU Świętych Indywiduów. Pomimo to, jeśli przypadkowo znalazłbyś się wśród nich, nie potrafiłbyś zapobiec w sobie „istnieniowemu nerchitrogulowi”, czyli procesowi, który tam, na Ziemi, opisują słowami „niepohamowany wewnętrzny chichot” to znaczy nie mógłbyś powstrzymać się od takiego rehotu, widząc ich zdziwienie w sytuacji, gdyby z jakiegoś powodu nagle jasno odczuły i bezspornie zrozumiały, że nie tylko nic takiego jak „światło”, „ciemność”, „ciepło” itp. do nich nie dociera, ale także że ich domniemane „źródło ciepła i światła” samo zawsze marznie niemalże tak jak „wyliniały pies” naszego czcigodnego Mułły Nasr Eddina.

W rzeczywistości powierzchnia tego „źródła ciepła” jak zresztą generalnie wszystkich zwykłych słońc naszego Wielkiego Wszechświata, jest pewnie bardziej skuta lodem niż powierzchnia ich „bieguna północnego”.

To „buchające” ognisko samo pewnie chętnie pożyczycoby odrobinę ciepła od jakiegoś innego źródła „substancji kosmicznych”, zamiast wysyłać część swojego ciepła do jakiegokolwiek planety, a już szczególnie do tej, która po tym, jak oderwał się od niej cały bok, zamieniła się w „wykoślawioną pokrakę” i obecnie jest dla tego biednego układu Ors źródłem „palącego wstydu”.

Ale czy ty sam, mój chłopcze – zapytał Belzebub Hassina – wiesz, jak i dlaczego podczas procesów trogoautoegokratycznych zachodzą w atmosferach pewnych planet zjawiska „kszta-

wacht” „kłdacachti” „tejnoler” „pejszczakir” itp., które twoi ulubieńcy zwą „światłem dziennym”, „ciemnością” „ciepłem” „zimnem” itd.?

Jeśli nie jest to jeszcze dla ciebie całkiem jasne, postaram się trochę lepiej ci to wytłumaczyć.

Chociaż obiecałem, że dopiero później szczegółowo wyjaśnię ci wszystkie podstawowe prawa Stworzenia i Istnienia Świata, to jednak okazuje się, że w danym wypadku – abyś mógł lepiej uchwycić to, o czym teraz mówimy, a także należycie przyswoić sobie wszystko, co powiedziałem ci wcześniej – powinienem już teraz, nie czekając na taką specjalną rozmowę, poruszyć choćby pokrótce pewne kwestie dotyczące tych kosmicznych praw.

W pierwszej kolejności musisz wiedzieć, że wszystko, co zostało stworzone celowo, jak i to, co powstało we Wszechświecie automatycznie, istnieje i jest wspierane wyłącznie dzięki „ogólnokosmicznemu procesowi trogoautoegokratycznemu”.

Ów wielki ogólnokosmiczny proces trogoautoegokratyczny NASZ JEDNOBYTNY NIESKOŃCZONY urzeczywistnił wtedy, gdy istniało już Nasze Przeogromne i Przenajświętsze Słońce Absolut, na którym NASZ NIESKOŃCZONY WSZECHMIŁOSIERNY STWORZYCIEL miał i do dzisiaj ma główne miejsce swej egzystencji.

System ten, który wspiera wszystko, co powstaje i istnieje, został urzeczywistniony przez NASZEGO NIESKOŃCZONEGO STWORZYCIELA po to, by mogła zachodzić we Wszechświecie „wymiana substancji” lub „karmienie się nawzajem” wszystkiego, co istnieje, i by dzięki temu bezlitosny Heropas przestał szkodzić oddziaływać na Słońce Absolut.

Ten przeogromny ogólnokosmiczny proces trogoautoegokratyczny zachodzi zawsze i we wszystkim zgodnie z dwoma podstawowymi prawami kosmicznymi, z których pierwsze nazywa się „podstawowe święte Heptaparaparszynoch pierwszego stopnia”, a drugie „podstawowe święte Triamazikamno pierwszego stopnia”.

Na skutek działania tych dwu podstawowych świętych ko-

smicznych praw w pewnych warunkach z substancji zwanej „Eternokrilno” powstają wprawdzie różne „krystalizacje”, a następnie, także w wiadomych warunkach, z tych krystalizacji tworzą się rozmaite duże i małe, mniej lub bardziej samodzielne określone formacje kosmiczne.

Otóż wewnątrz i na powierzchni tych kosmicznych formacji zachodzą, oczywiście zgodnie z dwoma wspomnianymi podstawowymi świętymi prawami, procesy „inwolucji” i „ewolucji” skupień już ukształtowanych, jak również rzeczonych krystalizacji, i wszystkie rezultaty tych procesów łączą się w atmosferach – a poprzez te atmosfery także poza nimi – umożliwiając realizację wspomnianej „wymiany substancji” na potrzeby przeogromnego ogólnokosmicznego Trogoautoegokrata.

Eternokrilno jest to pierwotna substancja, która wypełnia cały nasz Wielki Wszechświat i która służy za podstawę zarówno powstawania, jak i wspierania wszystkiego, co istnieje.

Eternokrilno jest nie tylko podstawą wszystkich bez wyjątku małych i dużych kosmicznych skupień, lecz również każde kosmiczne zjawisko zachodzi bądź w trakcie którejś z transformacji tej podstawowej substancji kosmicznej, bądź też w czasie procesów inwolucji i ewolucji różnorodnych krystalizacji lub, jak mówią moi ulubieńcy, tych elementów aktywnych, które same zawdzięczały i nadal zawdzięczają swe powstanie owej pierwotnej substancji kosmicznej.

Zapamiętaj w tym miejscu, że właśnie dlatego nauka obiektywna mówi, iż „wszystko bez wyjątku we Wszechświecie jest materialne”.

Ponadto powinieneś wiedzieć, że tylko jedna krystalizacja kosmiczna, występująca pod nazwą „wszechobecny Okidanoch”, bierze swój początek z trzech świętych elementów „świętego Teomertmalogosu”, czyli z emanacji Przenajświętszego Słońca Absolut, jakkolwiek ona także wykryształizowuje się za pomocą Eternokrilno.

Ten wszechobecny Okidanoch lub „wszechobecny element ak-

tywny”, który wszędzie we Wszechświecie uczestniczy w kształtowaniu się wszystkich, zarówno małych, jak i dużych formacji, jest podstawową przyczyną większości zjawisk kosmicznych, a w szczególności tych zachodzących w atmosferach.

Abyś mógł wyrobić sobie choćby przybliżone pojęcie o wszechobecnym Okidanochu, muszę ci przede wszystkim powiedzieć, że drugie podstawowe prawo kosmiczne, święte Triamazikamno, składa się z trzech samodzielnych sił, czyli, mówiąc inaczej, to święte prawo przejawia się we Wszechświecie wszędzie i we wszystkim bez wyjątku, przybierając trzy osobne, niezależne postaci.

Te jego trzy postaci istnieją we Wszechświecie pod następującymi nazwami:

pierwsza pod nazwą „Święte Twierdzenie”,  
druga – „Święte Zaprzeczenie”,  
trzecia – „Święte Pojednanie”.

To dlatego nauka obiektywna formułuje, wśród innych określeń, które odnoszą się do tego świętego prawa i do jego trzech niezależnych sił, także następującą definicję:

„Prawo, którego skutki stają się nieuchronnie przyczyną nowych skutków i którego funkcjonowanie zawsze powoduje trzy niezależne, zupełnie przeciwstawne specyficzne przejawy, kryjące się w nim w postaci niewidzialnych i nieodczuwalnych właściwości”.

Także nasz święty Teomertmalogos, czyli pierwotna emanacja Naszego Przenajświętszego Słońca Absolut, już od momentu swego powstania podlega temu prawu i w swych dalszych realizacjach przynosi zgodne z nim rezultaty.

Otóż, mój chłopcze, wszechobecny Okidanoch powstaje pierwotnie wskutek stopienia się tych trzech samodzielnych zasad w jedną w przestrzeni na zewnątrz Przenajświętszego Słońca Absolut, a następnie, podczas swoich kolejnych inwolucji, w miarę przechodzenia przez „stopindery” lub „środki ciężkości” podstawowego ogólnokosmicznego świętego Heptaparaparszynoch,

odpowiednio zmienia się pod względem „życiodajności wibracji”.

Powtarzam, wszechobecny Okidanoch zawsze obowiązkowo uczestniczy – razem z innymi, określonymi już kosmicznymi krystalizacjami – w dużych i małych formacjach kosmicznych, i to bez względu na to, gdzie we Wszechświecie i w jakich otaczających je warunkach zewnętrznych te formacje powstają.

Owa ogólnokosmiczna „unikatowa krystalizacja” lub „element aktywny” ma kilka właściwych tylko sobie cech i to te charakterystyczne cechy wywołują większość zjawisk kosmicznych, w tym również wymienione wcześniej zjawiska, które występują w atmosferach pewnych planet.

Chociaż „wszechobecny element aktywny” ma, jak powiedziałem przed chwilą, kilka jemu tylko właściwych cech, to do naszej obecnej rozmowy wystarczy, jeśli zapoznamy się jedynie z dwiema z nich.

Pierwsza właściwość polega na tym, że w momencie, gdy dochodzi do stężenia jakiejś nowej jednostki kosmicznej, „wszechobecny element aktywny” ani nie łączy się w całości z taką nową formacją, ani też nie przekształca się cały w jakimś określonym i odpowiednim punkcie – jak to się dzieje z każdą inną krystalizacją kosmiczną we wszystkich wspomnianych formacjach kosmicznych – lecz zaraz po tym, gdy w swej niezmienionej postaci przeniknie cały do danej jednostki kosmicznej, ulega tam temu, co zwie się „Dżartkłom” to znaczy rozpada się na trzy podstawowe zasady, którym zawdzięcza swoje pierwotne powstanie, i następnie te trzy zasady, każda z osobna, doprowadzają w tej kosmicznej jednostce do niezależnej koncentracji trzech nowych, odrębnych i odpowiednich formacji. W ten sposób w chwili powstania każdej takiej nowej formacji „wszechobecny element aktywny” tworzy źródła ewentualnego przejawu jej własnego świętego prawa Triamazikamno.

Trzeba jeszcze koniecznie zaznaczyć, że we wszystkich formacjach kosmicznych te oddzielne źródła tak długo istnieją i mogą funkcjonować, zapewniając postrzegalność oraz dalszą użyteczność – w celu odpowiednich realizacji – owej szczególnej właści-



wości „wszechobecnego elementu aktywnego” jak długo istnieje dana jednostka kosmiczna.

Dopiero po całkowitym zniszczeniu takiej jednostki te święte źródła świętego Triamazikamno, usytuowane we „wszechobecnym elemencie aktywnym Okidanoch” z powrotem się scalają i przekształcają w Okidanocha, tym razem jednak nacechowanego wibracjami, które mają już inną jakość „życiodajności”.

A co się tyczy drugiej osobliwości wszechobecnego Okidanocha, która tak samo jest tylko jemu właściwa i którą powinniśmy teraz wyświetlić ze względu na temat naszej rozmowy, to będziesz mógł ją zrozumieć dopiero wówczas, gdy poznasz pewne podstawowe kosmiczne prawo drugiego stopnia, które istnieje we Wszechświecie pod nazwą „święte Aieioiuoa”.

To kosmiczne prawo mówi, że w dowolnej dużej i malej formacji, która wchodzi w bezpośredni kontakt z emanacjami czy to Słońca Absolut, czy to jakiegoś innego słońca, pojawia się proces zwany „czynieniem wyrzutów” w trakcie którego każda część będąca rezultatem jednej ze świętych zasad świętego Triamazikamno „oburza się” i „krytykuje” niestosowne wcześniejsze percepcje, a także terażniejsze przejawy innej części swej całości – części powstałej z rezultatów innego świętego źródła tego samego podstawowego świętego kosmicznego prawa Triamazikamno.

Również „wszechobecny element aktywny Okidanoch” podlega temu świętemu procesowi Aieioiuoa, czyli „czynieniu wyrzutów”.

Ów element aktywny – dopóki wokół całej jego obecności manifestuje się bezpośrednio działanie świętego Teomertmalogosu albo emanacji jakiegoś zwykłego słońca – rozpada się w trakcie tego świętego procesu na swoje trzy pierwotne części i te części egzystują potem praktycznie niezależnie; kiedy zaś to bezpośrednie działanie ustaje, one ponownie się scalają i istnieją jako jedna całość.

Sądzę, że warto w tym miejscu zasygnalizować ci pewien zauważony przeze mnie interesujący fakt, który wiąże się z dzi-

wacnością psychiki zwykłych istot trójmózgowych tej przepadłej ci do gustu planety i dotyczy ich „spekulacji naukowych”.

Podczas moich wielowiekowych obserwacji oraz badań ich psychiki – które wykazały, że ich „nauka”, osiągająca periodycznie, jak wszystko inne tam, wyższy lub niższy stopień doskonałości, narodziła się niemal od samego ich powstania – kilkakrotnie miałem okazję stwierdzić, że chociaż w różnych okresach pojawiło się, a następnie znowu obróciło wniwecz wiele milionów trójmózgowych istot nazywanych „uczonymi” to z wyjątkiem pewnego Chińczyka imieniem „Czun-Kil-Tez” o którym później szczegółowo ci opowiem, nigdy żadnej z nich nie przyszła do głowy myśl, że między dwoma kosmicznymi zjawiskami nazywanymi przez nie „emanacją” i „promieniowaniem” istnieje jakakolwiek różnica.

Żaden z tych „uczonych od siedmiu boleści” nie domyślił się, że różnica między tymi dwoma kosmicznymi procesami jest dokładnie taka sama jak ta, którą nasz czcigodny Mułła Nasr Eddin wyraził w sposób następujący:

„One tak są do siebie podobne, jak broda słynnego angielskiego Szekspira i nie mniej słynny francuski armaniak”.

Abyś mógł lepiej zrozumieć zjawiska zachodzące w atmosferach, a także to wszystko, co wiąże się ogólnie z „wszechobecnym elementem aktywnym” musisz wiedzieć i zapamiętać, że w okresach, gdy pod wpływem świętego procesu Aieioiuoa w Okidanochu zachodzi Dżartkłom, czasowo uwalnia się z niego odpowiednia ilość czystego – czyli w ogóle niewymieszanego – Eternokrilno, która obowiązkowo przenika do każdej formacji kosmicznej i niejako służy do scalania wszystkich elementów aktywnych danej formacji; potem zaś, kiedy trzy podstawowe części Okidanocha już się połączą, czyste Eternokrilno znowu występuje w nim w początkowej proporcji.

Teraz musimy poruszyć, oczywiście znowu tylko pokrótce, następującą kwestię: Jaki związek ma „wszechobecny element aktywny Okidanoch” ze zbiorczą obecnością wszystkich istot, a także jakie kosmiczne rezultaty dzięki niemu powstają?

Powinniśmy rozpatrzyć tę kwestię głównie dlatego, że ujawni ona pewien rażący fakt, który pozwoli ci jeszcze lepiej zrozumieć, czym różnią się odrębne układy mózgów istot, a mianowicie układy zwane „jednomózgowym” „dwumózgowym” i „trójmózgowym”.

W pierwszej kolejności powinieneś wiedzieć, że generalnie każda lokalizacja kosmiczna zwana „mózgiem” formuje się z tych krystalizacji, w których tworzeniu – zgodnie ze świętym Triamazikamno – zasadą twierdzącą jest ta czy inna odpowiednia święta siła podstawowego świętego Triamazikamno, umiejscowiona we wszechobecnym Okidanochu. I to poprzez te lokalizacje dokonują się w obecnościach istot dalsze urzeczywistnienia owych świętych sił.

Kiedyś w przyszłości osobno wyjaśnię ci proces powstawania w obecnościach istot odpowiednich mózgów istnieniowych, a tymczasem powiem ci tylko parę słów o rezultatach, jakie, posługując się tymi mózgami, uzyskuje wszechobecny Okidanoch.

Wszechobecny element aktywny Okidanoch przenika do obecności istot za pomocą trzech rodzajów pokarmu istnieniowego.

A dzieje się tak dlatego, że, jak już ci mówiłem, ten sam Okidanoch nieodzownie uczestniczy również w tworzeniu wszelkich substancji, które służą za pokarm istnieniowy, i stąd zawsze jest w nim obecny.

Tak więc, mój chłopcze...

W danym wypadku podstawową cechą wszechobecnego Okidanocha jest to, że ulega on procesowi Dżartkłom w obecności istot niezależnie od kontaktu z emanacjami jakiegoś dużego kosmicznego skupienia, a czynnikami warunkującymi taki proces w obecnościach istot są albo rezultaty świadomie spełnianych przez te istoty partkdołgpowinności – o których później szczegółowo ci opowiem – albo proces samej Wielkiej Przyrody, który istnieje we Wszechświecie pod nazwą „realizacja kerkulnonarna” i polega na „czerpaniu wymaganego całokształtu wibracji dzięki zdolności przystosowywania się”.

Ten ostatni proces zachodzi w istotach bez żadnego udziału ich świadomości.

W obu wypadkach, zaraz po tym, jak Okidanoch przenika do obecności istoty i ulega tam procesowi Dżartkłom, każda z jego części składowych scala się z percepcjami owej istoty, które w danej chwili – zgodnie z „powinowactwem wibracji” – odpowiadają tej części, a następnie skupia się we właściwej lokalizacji, czyli w odpowiednim mózgu.

Takie fuzje noszą nazwę „istnieniowych impulsakri”.

Ponadto trzeba zauważyć, że owe lokalizacje lub mózgi istot służą im nie tylko jako aparaty do transformacji odpowiednich substancji kosmicznych na potrzeby przeogromnego ogólnokosmicznego Trogoautoegokrata, ale również jako środki pozwalające im na świadome doskonalenie się.

I właśnie ten ostatni cel zależy od jakości „istnieniowych impulsakri”, które gromadzą się lub, mówiąc inaczej, osadzają w odpowiednich mózgach istnieniowych.

Co się tyczy jakości „istnieniowych impulsakri”, to można znaleźć wśród bezpośrednich przykazań NASZEGO WSZECHOBEJMUJĄCEGO NIESKOŃCZONEGO nawet specjalne przykazanie, którego bardzo ściśle przestrzegają wszystkie trójmózgowe istoty naszego Wielkiego Wszechświata, a które brzmi:

„Zawsze strzeż się takich percepcji, które mogłyby zbrukać czystość twoich mózgów”.

Możliwość osobistego doskonalenia się istot trójmózgowych wynika z faktu, że w ich zbiorczej obecności zlokalizowane są trzy centra lub mózgi istnieniowe, w których po tym, jak wszechobecny Okidanoch ulega procesowi Dżartkłom, osadzają się i uzyskują możliwość dalszej, już samodzielnej realizacji trzy święte zasady świętego Triamazikamno.

Otóż chodzi właśnie o to, że przez świadome i zamierzone wypełnianie partkdołgpowinności istnieniowych istoty dysponujące tego rodzaju trójmózgowym układem mogą wykorzystać na potrzeby swej obecności trzy święte siły wszechobecnego Okida-

nocha – uwolnione przez Dżartkłom – i doprowadzić tę obecność do stanu zwanego „sekronułancaknym”, czyli mogą stać się takimi Indywiduami, które mają własne święte prawo Triamazikamno i tym samym możliwość świadomego przyswajania, a także oblekania w swych zbiorczych obecnościach całej owej „świętości”, która, nawiasem mówiąc, sprzyja urzeczywistnieniu w kosmicznych jednostkach funkcjonowania obiektywnego lub Boskiego Rozumu.

Ale całe zło, mój chłopcze, kryje się akurat w tym, że te interesujące cię trójmózgowe istoty, które mają siedlisko na planecie Ziemia, także dysponują w sobie, do chwili ich ostatecznego zniszczenia, takimi trzema samodzielnymi lokalizacjami lub mózgami istnieniowymi, za pomocą których, w celu odpowiedniej dalszej realizacji, zachodzi osobno transformacja trzech świętych zasad świętego Triamazikamno – zasad, które te istoty mogłyby wykorzystać do własnego doskonalenia. Całe nieszczęście polega właśnie na tym, że z powodu nieprawidłowych, stworzonych przez nie warunków zwykłej egzystencji istnieniowej owe możliwości zawsze idą na marne.

Warto zauważyć, że u trój mózgowych istot powstających na planecie Ziemia mózgi istnieniowe są umiejscowione w tych samych częściach ciała planetarnego co u nas, a mianowicie:

1. Mózg, który Wielka Przyroda przeznaczyła do skupiania i dalszego urzeczywistniania pierwszej świętej siły świętego Triamazikamno zwanej „Świętym Twierdzeniem” znajduje się w głowie.
2. Drugi mózg, który ma za zadanie przekształcać i krystalizować drugą świętą siłę świętego Triamazikamno, czyli „Święte Zaprzeczenie” rozmieszczony jest w ich zbiorczych obecnościach tak jak u nas, czyli wzdłuż całych pleców, w obrębie tego, co nazywa się „kręgosłupem”.
3. Natomiast jeśli chodzi o miejsce skupienia, które służy za źródło przejawu trzeciej świętej siły świętego Triamazikamno, „Świętego Pojednania” to u tamtejszych istot trójmózgowych

zewnątrzna forma tego mózgu istnieniowego w ogóle nie przypomina naszej.

Powinieneś wiedzieć, że u pierwszych tamtejszych istot trójmózgowych ów mózg mieścił się w tej samej części ich ciała planetarnego co u nas i miał taką samą formę zewnętrzną; ale z wielu powodów, które pojmiesz sam w toku moich dalszych opowieści, Wielka Przyroda stopniowo była zmuszona ów mózg przeobrazić i nadać mu tę formę, jaką ma on u nich obecnie.

W tamtejszych współczesnych istotach trójmózgowych ten mózg istnieniowy, zamiast znajdować się w jednej wspólnej masie, jak to się dzieje w obecnościach wszystkich innych trójmózgowych istot naszego Wielkiego Wszechświata, rozbity jest na części i każda taka część ulokowana jest zgodnie z własnym „specyficznym funkcjonowaniem” w innym miejscu ich ciała planetarnego.

Chociaż forma zewnętrzna tego centrum istnieniowego rozprzestrzenia się na wiele różnych miejsc, to jednak wszystkie jego poszczególne funkcje są odpowiednio połączone ze sobą i ta rozproszona całość wciąż może funkcjonować dokładnie tak, jak powinna.

Warto zauważyć, że najwięcej poszczególnych lokalizacji tego mózgu znajduje się w tej części ich planetarnego ciała, gdzie ów mózg istnieniowy powinien normalnie się znajdować, to znaczy w okolicy klatki piersiowej.

Te oddzielne lokalizacje występujące w ich zbiorczej obecności one same zwą „zwojami nerwowymi”, a ogół takich znajdujących się w okolicy klatki piersiowej zwojów nazywają „plexus solaris”.

Tak więc, mój chłopcze, Okidanoch również w obecności twoich ulubieńców podlega procesowi Dżartkłom i każda z jego trzech świętych zasad niezależnie łączy się z innymi krystalizacjami kosmicznymi w celu odpowiednich realizacji. Ale skoro oni sami – głównie z powodu wspomnianych nienormalnych warunków egzystencji istnieniowej, które stopniowo ustanowili – już zupełnie przestali wypełniać partkdołgpowinności istnieniowe,

to z trzech świętych źródeł wszystkiego, co istnieje, tylko „źródło zaprzeczenia” przeobraża się, służąc ich własnej obecności.

Krystalizacje, które powstają w ich obecnościach z pierwszej i trzeciej świętej zasady, idą niemal w całości na potrzeby ogólnokosmicznego procesu trogoautoegokratycznego i tylko krystalizacje drugiej części wszechobecnego Okidanocha, mianowicie Świętego Zaprzeczenia, są wykorzystywane do oblekania ich własnej obecności; to dlatego obecność większości z nich składa się jedynie z ciała planetarnego, wskutek czego oni sami dla siebie giną raz na zawsze.

Jeśli zaś chodzi o te wszystkie cechy, które są właściwe tylko wszechobecnemu i wszechprzenikającemu elementowi aktywnemu Okidanoch, a także o wywoływane przez nie rezultaty, to będziesz mógł je w pełni zrozumieć dopiero wtedy, gdy zgodnie z obietnicą wyjaśnię ci w miarę dokładnie podstawowe prawa Stworzenia i Wspierania Świata.

A tymczasem opowiem ci o pewnych doświadczeniach poznawczych związanych z tą wszechobecną krystalizacją kosmiczną, przy których sam byłem obecny.

Uprzedzam cię jednak, że świadkiem tych eksperymentów byłem nie na przypadłej ci do gustu planecie Ziemia, lecz na planecie Saturn, i że przeprowadzali je nie twoi ulubieńcy, lecz pewna trójmózgowa istota, która przez prawie cały czas mojego zesłania do tego układu słonecznego była moim autentycznym przyjacielem i o której niedawno obiecałem ci opowiedzieć bardziej szczegółowo.

## Rozdział 18

### *Arcyfantazja*

Belzebub kontynuował swoją opowieść:

– Moje pierwsze spotkanie ze wspomnianą trójcentrową istotą, która później stała się moim „esencjalnym przyjacielem” i u której mogłem zobaczyć rzeczony eksperymenty z wszechobecnym Okidanochem, odbyło się w opisanych poniżej okolicznościach.

Byś mógł lepiej wyobrazić sobie wydarzenia związane z niniejszą opowieścią; musisz wiedzieć, że na samym początku mojego zesłania do tego układu słonecznego kilku moich esencjalnych przyjaciół, którzy znaleźli się tam, ale nie mieli żadnego związku z wydarzeniami będącymi powodem owego wygnania, przeprowadziło w stosunku do mojej osoby święty proces istniejący we Wszechświecie pod nazwą „święty Wznuszlicwał” to znaczy za pomocą innego świętego procesu kosmicznego zwanego „Askałnuazar” wszczepili obecnościom odpowiednich istot trójmózgowych z tego układu słonecznego impuls, który nauka obiektywna określa jako „ufanie innemu jak sobie samemu”.

A zatem kiedy po przybyciu do układu słonecznego Ors zacząłem odwiedzać tam różne planety i po raz pierwszy zstąpiłem na powierzchnię planety Saturn, okazało się, że „harahrahruhri” wszystkich trójcentrowych istot powstających i egzystujących na tej planecie również był wystawiony w stosunku do mojej osoby na święte działanie Wznuszlicwał.

Na planecie Saturn „harahrahruhri” to nazwa istoty, która jest wyłącznym rządcą wszystkich pozostałych istot tej planety.

Takie istoty-przywódców można spotkać na wszystkich planetach, na których mają siedlisko istoty trójmózgowe, z tym że na różnych planetach różnie się je nazywa; na twojej planecie Ziemia takiego przywódcę zowie się „królem”.



Jedyna różnica polega na tym, że wszędzie indziej, nawet na pozostałych planetach tego samego układu słonecznego, dla całej planety istnieje tylko jeden taki król, za to na twojej oryginalnej planecie Ziemia każda przypadkowo wyodrębniona grupa tych twoich ulubieńców ma jednego, a czasem nawet kilku takich niezależnych „królów”.

A więc...

Gdy po raz pierwszy wylądowałem na powierzchni planety Saturn i zacząłem zadawać się z tamtejszymi istotami trójcentrowymi, tak się jakoś złożyło, że już na drugi dzień spotkałem wspomnianego harahrahruhriego, który podczas naszej „wymiany subiektywnych opinii” zaproponował, żeby moją główną siedzibą na czas całego pobytu na ich planecie stał się jego własny „harhurchi”, czyli jego „pałac”.

Tak też postanowiłem uczynić.

A zatem, mój chłopcze, pewnego razu, gdy po prostu toczyliśmy rozmowę zgodnie z biegiem „skojarzeniowego myślenia istnieniowego” przypadkowo poruszyliśmy także kwestię dziwnych rezultatów, jakie przynoszą manifestacje osobliwych właściwości wszechobecnego Okidanocha. To właśnie wtedy czcigodny harahrahruhri planety Saturn po raz pierwszy powiedział mi, że jeden z jego podwładnych, uczona istota imieniem Harcharch, gwoli wyjaśnienia wielu do tej pory niewyjaśnionych właściwości tej substancji kosmicznej zaprojektował ostatnio nadzwyczaj interesujące urządzenie o nazwie „rchacharahr”, którego główna część, przeznaczona do demonstracji, zwie się „hrchacharchcacha”.

Następnie zaproponował, że jeśli to mnie interesuje, wyda odpowiednie polecenia, abym sam mógł zobaczyć wszystkie te nowe wynalazki, a także otrzymać wszelkie możliwe wyjaśnienia na ich temat.

Skutkiem tego już nazajutrz, w towarzystwie jednego z powierników czcigodnego harahrahruhriego, udałem się do miejsca zamieszkania Gornahura Harcharcha, gdzie po raz pierwszy zoba-

czyłem te zupełnie nowe eksperymenty poznawcze z wszechobecnym Okidanochem.

Z biegiem czasu, jak już ci wspominałem, Gornahur Harcharch stał się moim esencjalnym przyjacielem. Wśród zwykłych istot trójmózgowych cieszył się on wówczas sławą jednego z najwybitniejszych uczonych całego Wszechświata, a jego odkrycia, jak również wynalezione przez niego aparaty do przeprowadzania doświadczeń, których coraz częściej używały inne uczone istoty na różnych planetach, były już wszędzie znane.

Warto zaznaczyć, że to właśnie korzystając z jego wiedzy, mogłem potem zainstalować .w moim obserwatorium na planecie Mars teskuano, które wzmocniło mój wzrok lub, jak tam się mówi, „przybliżyło widzialność” odległych skupień kosmicznych siedem milionów dwieście osiemdziesiąt pięć razy.

Prawdę mówiąc, właśnie to teskuano sprawiło, że moje obserwatorium uznano później za jedną z najlepszych tego rodzaju instalacji w całym Wszechświecie. A co najważniejsze, pozwalało mi ono całkiem swobodnie, nawet kiedy pozostawałem w domu na planecie Mars, widzieć i obserwować procesy egzystencji zachodzące na powierzchni tych części pozostałych planet owego układu słonecznego, które „ogólnoukładowy ruch harmonijny” czynił w danej chwili widzialnymi dla „wzroku istnieniowego”.

Gornahur Harcharch, dowiedziawszy się, kim jesteśmy i w jakim celu przybyliśmy, podszedł do nas i bardzo uprzejmie udzielił nam pewnych wyjaśnień.

Nim zrelacjonuję ci te jego wyjaśnienia, pozwól, iż raz na zawsze przestrzegę cię, że wszystkie moje rozmowy z różnymi trójcentrowymi istotami zamieszkującymi rozmaite planety tego układu słonecznego, gdzie nakazano mi egzystować za „grzechy mojej młodości” – jak na przykład rozmowa z Gornahurem Harcharchem, a także inne rozmowy, o których mam zamiar opowiedzieć ci w trakcie naszej podróży na statku kosmicznym „Karnak” – toczyły się w zupełnie nieznanym ci jeszcze narzeczach, składających się ze współbrzmień, które często okazywały się bardzo trudne do odtworzenia za pomocą normalnych, służących

do tego celu funkcji istnieniowych.

Dlatego więc, mój chłopcze, nie będę powtarzał tych rozmów dosłownie, lecz przekażę ci ich sens w naszym języku, oczywiście przytaczając wciąż „terminy” oraz „specyficzne nazwy” – to znaczy kombinacje dźwięków wydawanych przez istnieniowe struny głosowe – których używają twoi ulubieńcy na planecie Ziemia, a do których, wskutek tego, że wielokrotnie wymawiałem je w trakcie moich opowieści, już tak się zdążyłeś przyzwyczaić, że odbierasz je teraz z łatwością.

Tak... trzeba jeszcze dodać, że trójmózgowe istoty na planecie Saturn używają słowa „Gornahur” dla okazania szacunku i umieszczają je przed imieniem tego, do kogo się zwracają.

Coś podobnego robią twoi ulubieńcy na planecie Ziemia, którzy do imienia każdej osoby dodają słowo „Pan”, a czasami nawet cały bezsensowny zwrot wyrażający ideę, o której nasz czcigodny Mułła Nasr Eddin mówi:

„Tak czy owak, jest ona bliższa rzeczywistości niż wymądrzenia jakiegoś «specjalisty od małych szwindli»”.

A więc, mój chłopcze...

Mój późniejszy esencjalny przyjaciel, Gornahur Harcharch, dowiedziawszy się, czego od niego oczekujemy, pokazał nam gestem, byśmy podeszli do jednego ze specjalnych, skonstruowanych przez niego przyrządów, któremu, jak się potem okazało, on sam nadał nazwę „hrchacharchcacha”.

Gdy zbliżyliśmy się do tego bardzo dziwnego urządzenia, Gornahur Harcharch, wskazując na nie jednym z piór swego prawego skrzydła, powiedział:

„Ten specjalny przyrząd to właśnie główna część mojego nowego wynalazku, w której stają się widoczne rezultaty prawie wszystkich specyficznych właściwości wszechobecnej substancji Okidanoch”.

Następnie zaś, kierując naszą uwagę na pozostałe urządzenia znajdujące się w tym „khrchu” lub „warsztacie”, dodał:

„Dzięki tym wszystkim specjalnym urządzeniom, które sam za-

projektowałem, mogłem uzyskać nadzwyczaj istotne wyjaśnienia dotyczące wszechobecnego i wszechprzenikającego Okidanocha, ponieważ to właśnie za ich pomocą udało mi się najpierw wyodrębnić z przeróżnych naplanetarnych i wewnątrzplanetarnych procesów trzy podstawowe części Okidanocha, a następnie sztucznie połączyć je w jedną całość, aby w końcu, równie sztucznie je rozdzieliwszy, móc zbadać z osobna specyficzne właściwości każdej z tych części w jej przejawach”.

Wypowiedziawszy te słowa, wskazał ponownie na hrcharcharchcachę i dodał, że za pomocą tego aparatu poznawczego dowolna zwykła istota może jasno i szczegółowo zrozumieć właściwości trzech całkowicie niezależnych i niemających ze sobą nic wspólnego części rzeczonoego „unikatowego elementu aktywnego”, którego specyficzne cechy są główną przyczyną wszystkiego, co istnieje we Wszechświecie, a na dodatek każda taka zwykła istota ma możliwość niezbicie się przekonać, że żaden rezultat normalnych procesów oddziałujących na tę wszechobecną ogólnościową substancję nigdy nie może być przez istoty postrzegany ani odczuwany; jedynie efekty tych procesów, które z jakichś zewnętrznych przyczyn – mających bądź źródła świadome, bądź też wynikających z przypadkowych mechanicznych rezultatów – przebiegają nienormalnie, mogą być postrzegane przez niektóre funkcje istnieniowe.

Wspomniana część nowego wynalazku Gornahura Harcharcha, którą on sam nazwał „hrcharcharchcachą” i uważał za najważniejszą, bardzo przypominała z zewnątrz „tircykiano” lub, jak powiedzieliby twoi ulubieńcy, „olbrzymią lampę elektryczną”.

Wnętrze tego specjalnego urządzenia przypominało niewielki pokój z hermetycznie zamykającymi się drzwiami.

Z kolei ścianki owej oryginalnej konstrukcji zrobione były z jakiejś przezroczystej masy, bardzo podobnej z wyglądu do tego, co na twojej planecie nazywa się „szkłem”.

Jak dowiedziałem się później, najważniejszą cechą specyficzną tej przezroczystej masy było to, że choć za pomocą organu wzroku istoty mogły postrzegać przez nią wszystkie skupienia ko-

smiczne, to nie przepuszczała ona – ani z zewnątrz do środka, ani ze środka na zewnątrz – żadnych promieni, bez względu na źródło ich powstania.

W trakcie badania owej części takiego zdumiewającego wynalazku istnieniowego mogłem wyraźnie dostrzec przez jej przezroczyste ścianki, że wewnątrz niej, w samym środku, znajdowało się coś na kształt stołu i dwóch krzeseł, i że nad tym stołem wisiały trzy identyczne „przedmioty” przypominające współczesne ziemskie „lampy elektryczne” i bardzo podobne do „momonoduarów”.

Kilka nieznanymi mi narzędzi oraz aparatów leżało na stole albo było ustawionych obok niego.

Później okazało się, że te znajdujące się w hrchacharchcasze przedmioty, jak i wszystko, w co mieliśmy się potem ubrać, były zrobione ze specjalnych materiałów, także wynalezionych przez Gornahura Harcharcha.

W trakcie moich dalszych wyjaśnień dotyczących wynalazków Gornahura Harcharcha opowiem ci o nich nieco bardziej szczegółowo.

Na razie zwróć uwagę, że w olbrzymim khrchu, czyli warsztacie Gornahura Harcharcha, prócz wymienionej hrchacharchcacy znajdowało się jeszcze kilka innych dużych samodzielnych urządzeń, w tym dwa zupełnie wyjątkowe „życieczakany”, które Gornahur Harcharch nazywał „krchrrhihirhi”.

Warto zauważyć, że takie życieczakany, czyli krchrrhihirhi, można spotkać również u twoich ulubieńców, którzy zwą tego rodzaju aparat „dynamem”.

Z boku stała tam jeszcze jedna duża, specjalnie skonstruowana maszyna, która – jak się potem okazało – nazywała się „soluchnorachuna” lub, jak powiedzieliby twoi ulubieńcy, „skomplikowanej budowy pompa do usuwania atmosfery aż do punktu próżni absolutnej”.

Gdy patrzyłem na to wszystko ze zdziwieniem, Gornahur Harcharch zbliżył się do tej zbudowanej w szczególny sposób pompy

i swym lewym skrzydłem poruszył jedną z jej części, co spowodowało, że w pompie włączył się pewien mechanizm. Następnie znów podszedł do nas i wskazując tym samym specjalnym piórem prawego skrzydła największy życieczakan, czyli krchrrhihirhi lub dynamo, kontynuował swoje wyjaśnienia.

Powiedział, że wpierw ów specjalny przyrząd wysysa bądź to z atmosfery, bądź też ze wszystkich wewnątrzplanetarnych i naplanetarnych formacji trzy niezależne części wszechobecnego elementu aktywnego Okidanoch i dopiero potem, gdy wkrchrrhihirhi te oddzielne części ponownie sztucznie łączą się w jedną całość, Okidanoch, już w swym zwykłym stanie, zaczyna płynąć i gromadzi się w tym „zbiorniku”. W tym momencie wskazał swoim specjalnym piórem na coś bardzo podobnego do tego, co określa się mianem „kondensatora”.

„A stąd – mówił dalej – Okidanoch przepływa do innego krchrrhihirhi lub dynama, gdzie ulega procesowi Dżartkłom, po którym każda jego część gromadzi się z osobna w tych innych «zbiornikach» – tym razem wskazał na coś, co przypominało „akumulatory” – i dopiero wtedy za pomocą różnych pomysłowych urządzeń pobieram do moich eksperymentów poszczególne aktywne części Okidanocha znajdujące się w tych podrzędnych zbiornikach.

Najpierw zademonstruję wam – kontynuował – co dzieje się wówczas, gdy z jakiegoś powodu jedna z aktywnych części wszechobecnego Okidanocha nie bierze udziału w procesie, podczas którego te jego części dążą do ponownego zlania się w całość.

Obecnie w środku tego specjalnego aparatu rzeczywiście znajduje się absolutna próżnia, którą udało się uzyskać jedynie dzięki skonstruowanej w szczególny sposób pompie ssącej oraz właściwościom i mocy materiału, z którego zbudowane są ścianki tej części mojego wynalazku. Narzędzia, które posłużą nam do przeprowadzania doświadczeń w całkowitej próżni, są tak samo zrobione z materiału specjalnej jakości”.

Powiedziawszy to, przesunął jeszcze jedną dźwignię, a następnie dodał:

„Dzięki takiemu przestawieniu dźwigni poszczególne części wszechobecnego Okidanocha zaczęły ulegać w tej absolutnej próżni procesowi, który nazywa się «dążeniem do ponownego zlania się w całość».

Ponieważ jednak pewien «zdolny rozum» – w danym wypadku mój – umyślnie wykluczył z tego procesu trzecią część Okidanocha znaną pod nazwą «Parizrachatnatus», to ów proces zachodzi tam teraz tylko między dwoma jego niezależnymi częściami, z których pierwszą nazywa «Anodnatiusem», a drugą «Katodnatiusem». Efekt jest taki, że zamiast zgodnego z prawem należytego rezultatu scalenia się trzech części otrzymujemy teraz rezultat niezgodny z prawem, który istnieje pod nazwą «rezultat procesu wzajemnej fuzji dwóch przeciwstawnych sił» lub, jak określają to zwykle istoty, «przyczyna sztucznego światła».

Zachodzące w tej absolutnej próżni «dążenie do ponownego zlania się w całość» dwóch aktywnych części wszechobecnego Okidanocha, ma w danej chwili siłę – jak obliczyła nauka obiektywna – trzech milionów czterdziestu tysięcy «spięć» lub, jak mówi się inaczej, «woltów», co zresztą pokazuje nam tu strzałka tego specjalnego urządzenia”.

I wskazał na coś bardzo podobnego do aparatu zwanego „woltomierzem”, który można spotkać na twojej planecie, a następnie dodał:

„Jedną z zalet mojego nowego wynalazku służącego do demonstracji niniejszego zjawiska jest to, że pomimo niezwyklej «siły dążenia» zachodzącego tam teraz procesu «salniczycynuarne wibracje inercyjne», które ów proces niechybnie wywołuje i które, nawiasem mówiąc, większość istot uważa też za «promienie», nie wydostają się poza miejsce swego powstania, to znaczy poza ten aparat, w którym badane są szczególne właściwości wszechobecnego Okidanocha.

Aby jednak istoty znajdujące się na zewnątrz tej części mojego wynalazku mogły ustalić siłę tego procesu, materiał ścianek owego urządzenia celowo w jednym miejscu zaprojektowałem w taki sposób, by przepuszczał rzeczne «salniczycynuarne wibracje in-

ercyjne» albo «promienie»”.

Powiedziawszy to, zbliżył się do hrchacharchcacy i nacisnął pewien guzik, wskutek czego cały jego olbrzymi khrch lub warsztat nagle tak się rozświecił, iż nasze organy wzroku przestały czasowo funkcjonować i dopiero po dłuższej chwili udało się nam z wielkim trudem unieść powieki i rozejrzeć się wkoło.

Kiedy doszliśmy już trochę do siebie, Gornahur Harcharch poruszył inną dźwignię, dzięki czemu cała otaczająca przestrzeń odzyskała swój normalny wygląd, a następnie swym jak zwykle anielskim głosem zwrócił naszą uwagę na „woltomierz”, którego strzałka ciągle wskazywała tę samą liczbę, po czym dodał:

„Zobaczcie! Mimo że proces zderzenia dwóch przeciwstawnych części składowych wszechobecnego Okidanocha nadal toczy się z taką samą «siłą dążenia» i owa część obwodu tego aparatu, która przepuszcza «promienie», jest wciąż otwarta, to zjawisko nazywane przez zwykłe istoty «sztucznym światłem» już nie zachodzi.

A przestało występować tylko dlatego, że przesunąwszy przed chwilą pewną dźwignię, dodałem do procesu zderzenia się dwóch przeciwstawnych części Okidanocha jego trzecią samodzielną część składową, która od razu zaczęła wiązać się w określonej proporcji z dwoma pozostałymi częściami i, w przeciwieństwie do niezgodnego z prawem procesu łączenia się tylko dwóch jego części, rezultat tego rodzaju fuzji trzech części składowych wszechobecnego Okidanocha nie może już być postrzegany przy żadną funkcję istnieniową”.

Po udzieleniu takiego wyjaśnienia Gornahur Harcharch zaproponował, abym wszedł razem z nim do pokazowej części jego nowego wynalazku i tam w środku stał się naocznym świadkiem wielu specyficznych przejawów tego wszechobecnego i wszechprzenikającego elementu aktywnego.

Niewiele się zastanawiając, oczywiście zgodziłem się na to.

A powodem tej natychmiastowej decyzji była nadzieja, że moje jestestwo zazna dzięki temu trwałego i niezniszczalnego „obiek-



tywnego esencjalnego zadowolenia”.

Uzyskawszy taką zgodę, mój przyszły esencjalny przyjaciel natychmiast wydał jednemu ze swych pomocników odpowiednie polecenia.

Okazało się, że realizacja tego przedsięwzięcia wymaga różnych przygotowań.

Najpierw ubrano nas, Gornahura Harcharcha i mnie, w bardzo ciężkie, wyposażone w wiele „bolców” z główkami wystającymi na zewnątrz, specjalne „stroje” w rodzaju tych, jakie twoi ulubieńcy zwą „skafandrami nurków” i po założeniu na nas tych i bardzo oryginalnych kostiumów pomocnicy zaczęli przykręcać w odpowiedniej kolejności główki wspomnianych bolców.

Po wewnętrznej stronie owych skafandrów umieszczono na końcach bolców specjalne płytki, które uciskały w pewien sposób różne części naszego planetarnego ciała.

Później jasno pojąłem, iż było to niezbędne, aby nasze ciała planetarne nie uległy „taranuranurze” lub, inaczej mówiąc, żeby nasze ciała planetarne nie „rozsywały się” – jak to się zwykle dzieje ze wszystkimi naplanetarnymi i wewnątrzplanetarnymi formacjami, które trafiają do przestrzeni całkowicie pozbawionej atmosfery.

Oprócz tych specjalnych kostiumów włożono nam jeszcze na głowę coś na kształt „kasku nurka” wyposażonego w bardzo skomplikowane „łącza”.

Jedno z tych łączy nazywało się „harchrinhrarch”, czyli „podtrzymywacz pulsacji”, i przypominało długą gumową rurkę. Jej koniec był z jednej strony hermetycznie dopasowany za pomocą skomplikowanych urządzeń do odpowiedniego miejsca w kasku, które pokrywało się z organami oddychania, drugi zaś koniec został przykręcony, gdy już znaleźliśmy się w środku tej dziwnej hrchacharchcacy, do znajdującego się tam aparatu, mającego z kolei połączenie z przestrzenią, której obecność odpowiadała „drugiemu pokarmowi istnieniowemu”.

Poza tym przeprowadzone było osobne łącze między Gomahu-

rem Harcharchem i mną, pozwalające nam łatwo porozumiewać się ze sobą już po wejściu do hrchacharchcacy, z której wypompowano atmosferę aż do uzyskania absolutnej próżni.

Jeden koniec tego łącza doprowadzono za pomocą specjalnych urządzeń umieszczonych na kasku do moich organów „słuchu” i „mowy”, a drugi do tych samych organów Gornahura Harcharcha.

W ten sposób to zainstalowane między mną i moim późniejszym esencjalnym przyjacielem łącze służyło nam za szczególny rodzaj, jak powiedzieliby twoi ulubieńcy, „telefonu”.

Bez tego przyrządu nie mielibyśmy żadnej możliwości porozumiewania się, a to głównie dlatego, że w tamtym czasie obecność Gornahura Harcharcha udoskonalona była jedynie do stanu zwanego „świętym Inkocarno”, a taka obecność nie pozwala istocie ani przejawiać się, ani też egzystować w przestrzeni próżni absolutnej, i to nawet w sytuacji, gdyby do owej przestrzeni sztucznie wprowadzono produkty wszystkich trzech pokarmów istnieniowych.

Ale najciekawszym i, jak to się mówi, najbardziej „subtelnie-chytrze-pomysłowym” ze wszystkich łączy, w które wyposażone były w różnych celach te dziwne skafandry i kaski, okazało się połączenie zaprojektowane przez wielkiego uczonego Gornahura Harcharcha po to, by w „przestrzeni próżni absolutnej” organ wzroku każdej zwykłej istoty mógł postrzegać rozmaite otaczające ją przedmioty.

Jeden koniec tego zdumiewającego „połączenia” był doprowadzony – także za pomocą umieszczonych na kaskach urządzeń – do naszych skroni, podczas gdy drugi prowadził do „amskomutatora” połączonego z kolei „drutami” ze wszystkimi znajdującymi się zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz hrchacharchcacy przedmiotami, których widoczność była potrzebna w trakcie doświadczeń.

Warto odnotować, że do obu końców tego przyrządu – prawie niewyobrażalnego dla świadomości rozumu istnieniowego zwy-

kłej istoty trój centrowej – były doprowadzone także dwa niezależne druciane łącza, przez które płynęły z zewnątrz specjalne „prądy magnetyczne”.

Jak później szczegółowo mi wyjaśniono, tego rodzaju łącza zostały tak zaprojektowane przez tego zaprawdę wielkiego uczonego Gornahura Harcharcha, aby w esencji uczonych trójmózgowych istot – i to nawet tych, które nie udoskonały się jeszcze do świętego Inkocarno – „odbijała się” wskutek pewnej właściwości specjalnych, także przez niego odkrytych, prądów magnetycznych ich własna obecność i by z racji innej właściwości tych prądów mogła jednocześnie „odbijać się” w niej obecność wspomnianych przedmiotów, wskutek czego ichnie niedoskonałe narządy wzroku istnieniowego miały wrażenie realności owych przedmiotów nawet w takiej pustej przestrzeni, gdzie są zupełnie nieobecne zarówno przyczyny, jak i rezultaty różnych skupień kosmicznych wraz z produkowanymi przez nie wibracjami – wibracjami, które jako jedyne umożliwiają funkcjonowanie dowolnego narządu istnieniowego.

Ubrawszy nas we wspomnianą bardzo ciężką maszynę, bez której nie moglibyśmy przebywać w tym nieodpowiednim dla istot otoczeniu, pomocnicy tego wielkiego ogólnoswiatowego uczonego Gornahura Harcharcha przetransportowali nas, również za pomocą specjalnych urządzeń, do samej hrchacharchachy i przykręciwszy końce wystających z nas łączy do odpowiednich znajdujących się tam aparatów, wyszli, zamykając hermetycznie za sobą jedyną drogę dostępu do tego, co zwie się „wszystkim, co składa się w sumie na świat”.

Kiedy zostaliśmy w hrchacharchcasze sami, Gornahur Harcharch wskazał na jeden ze znajdujących się tam „wyłączników” i powiedział:

„Teraz zaczęła już działać «pompa», która wkrótce usunie stąd rezultaty wszystkich bez wyjątku procesów kosmicznych reprezentujące ogółem podstawę oraz sens, a także wsparcie egzystencji każdej rzeczy istniejącej w tym «wszystkim, co składa się w sumie na świat»”.

I na pół sarkastycznym tonem dodał:

„Niedługo zostaniemy już zupełnie odizolowani od wszystkiego, co istnieje i funkcjonuje w całym Wszechświecie; ale dzięki mojemu nowemu wynalazkowi, jak również wcześniej zdobytej przez nas wiedzy, nie tylko będziemy mogli do tego świata powrócić i ponownie stać się częstkami wszystkiego, co istnieje, lecz także będziemy mieli wkrótce zaszczyt stać się postronnymi świadkami niektórych z tych praw świata, które zwykle niewtajemniczone istoty trójcentrowe nazywają «wielkimi niezgłębionymi tajemnicami Przyrody», a które w rzeczywistości są tylko naturalnymi i bardzo nieskomplikowanymi «wypływającymi z siebie nawzajem rezultatami»”.

Podczas gdy mówił, można było już poczuć, że pompa – ta druga niezwykle ważna część jego nowego wynalazku – w sposób doskonały realizuje pracę wyznaczoną jej przez ów istnieniowy rozum.

Abyś mógł lepiej wyobrazić sobie i zrozumieć perfekcyjność tej części nowego wynalazku Gornahura Harcharcha, muszę jeszcze koniecznie powiedzieć ci rzecz następującą:

Chociaż ja; tak samo przecież będąc istotą trójmózgową, już wiele razy z pewnych bardzo specjalnych powodów miałem okazję przebywać w przestrzeniach pozbawionych atmosfery i niekiedy byłem nawet zmuszony egzystować w nich przez długi czas, korzystając wyłącznie ze „świętego Krimbulacunara” i chociaż wskutek tych częstych powtórzeń moja obecność przyzwyczaiła się do stopniowego przechodzenia z jednego środowiska do drugiego, niemalże nie czując przy tym żadnej niewygody spowodowanej zmianą zachodzącą w obecności „drugiego pokarmu istnieniowego” – zmianą wywołaną przez transformację substancji kosmicznych występujących zawsze wokół dużych i małych skupień kosmicznych – jak również bez względu na to, że przyczyny mojego powstania i dalszy proces mojej egzystencji istnieniowej ułożyły się w bardzo szczególny sposób, skutkiem czego różne funkcje istnieniowe występujące w mojej zbiorczej obecności, chcąc nie chcąc, z czasem stały się także całkiem osobliwe, to

jednak wbrew wszystkiemu, co powiedziałem, usuwanie atmosfery przez wspomnianą pompę odbywało się z taką mocą, a doznania, które wyryły się na odrębnych częściach całej mojej obecności, były tak silne, że nawet dziś mogę bardzo wyraźnie odtworzyć w sobie proces, któremu uległ wtedy mój stan, i szczegółowo ci go opisać.

Ten nadzwyczaj dziwny stan pojawił się we mnie wkrótce po rozpoczęciu wypompowywania, gdy Gornahur Harcharch zaczął mówić półsarkastycznym tonem o czekającej nas sytuacji.

W każdym z moich trzech „centrów istnieniowych” – mianowicie w tych moich trzech centrach, które generalnie występują w obecnościach wszystkich trójcentrowych istot i nazywają się centrum „myślowe”, „czuciowe” i „ruchowe” – w bardzo dziwny i nietypowy sposób pojawiło się z osobną określoną wrażenie, że poszczególne części całego mojego ciała planetarnego zaczęły niezależnie ulegać procesowi „świętego Raskuarno” i że kosmiczne krystalizacje, które tworzą obecność każdej z tych części, znowu zaczęły płynąć „na próżno”.

Początkowo ta „inicjatywa konstатовania” przebiegała we mnie w zwyczajny sposób, czyli zgodnie z tym, co zwie się „środkiem ciężkości skojarzeniowego przeżywania”. Później jednak, gdy owa inicjatywa konstатовania stopniowo i prawie niedostrzegalnie stała się wyłączną funkcją mojej esencji, ta ostatnia nie tylko przeobraziła się w jedyną w swoim rodzaju wszechobejmującą inicjatorkę konstатовania wszystkiego, co dzieje się we mnie, ale też to tylko ona postrzegała i rejestrowała wszystko bez wyjątku, co wydarzało się na zewnątrz niej.

Od tej chwili moja esencja zaczęła odbierać wrażenia bezpośrednio i sama stwierdziła, że to, co wówczas działo się w mej zbiorczej obecności, zdawało się obracać wniwecz najpierw poszczególne części mojego ciała planetarnego, a następnie stopniowo także lokalizacje „drugiego” i „trzeciego” centrum istnienia owego. Jednocześnie też moja esencja wyraźnie stwierdziła, że funkcjonowanie tych dwóch centrów powoli przeniosło się do mojego „centrum myślowego” i stało się mu przynależne, skut-

kiem czego to ostatnie, korzystając ze wzmożonej intensywności funkcjonowania, zamieniło się w „jedynowładczego odbiorcę” wszystkiego, co zachodziło na zewnątrz mojej obecności, a także w autonomicznego inicjatora konstataowania tego wszystkiego, co działo się wewnątrz niej.

W czasie, gdy zachodziło we mnie to dziwne i dla mojego rozumu wówczas jeszcze niepojęte „przeżycie istnieniowe” Gornahur Harcharch zajęty był przesuwaniem jakichś „dźwigni” i „wyłączników” rozmieszczonych w dużej liczbie po bokach stołu, za którym nas posadzono.

I właśnie wtedy Gornahurowi Harcharchowi niespodziewanie przytrafiło się coś, co zmieniło to dziwne doświadczenie i spowodowało, że w mojej zbiorczej obecności ponownie pojawiło się zwykłe „wewnętrzne przeżycie istnieniowe”.

A oto jak do tego doszło:

Gornahur Harcharch z całym tym ciężkim osprzętem, który miał na sobie, znalazł się nagle na pewnej wysokości nad krzesłem i zaczął się tam szamotać, podług słów naszego drogiego Mułły Nasr Eddina, „jak szczeniak, który wpadł do głębokiego stawu”.

Jak się potem okazało, mój przyjaciel Gornahur Harcharch, przesuwając wspomniane „dźwignie i wyłączniki, pomylił się i pewne części swego ciała planetarnego napiął mocniej, niż było to konieczne. Jego obecność wraz ze wszystkim, co miał na sobie, doznała przez to takiego wstrząsu, że „nabrała rozpędu” i potem, z powodu „tempa” narzuconego jego obecności przez przyjmowanie „drugiego pokarmu istnieniowego”, a także wskutek braku w tej absolutnej próżni jakiegokolwiek oporu, on sam stracił orientację i, jak już powiedziałem, zaczął się szamotać jak szczeniak, który wpadł do głębokiego stawu.

Powiedziawszy to z uśmiechem, Belzebub zamilkł, a po chwili zrobił bardzo dziwny gest lewą ręką i z nietypową dla jego głosu intonacją kontynuował:

– Teraz, gdy po kolei przypominam sobie i relacjonuję ci wyda-

rzenia z dawno minionego okresu mojej egzystencji, rodzi się we mnie pragnienie, żeby otwarcie ci się do czegoś przyznać – właśnie tobie, jednemu z moich bezpośrednich spadkobierców, który nieuchronnie będzie musiał reprezentować sumę wszystkich moich działań z okresu, w którym toczył się proces mojej egzystencji istnieniowej – a mianowicie chcę szczerze przyznać ci się do tego, że gdy moja esencja, z udziałem wyłącznie jej podlegających części mojej obecności, postanowiła samodzielnie uczestniczyć w naukowych eksperymentach poznawczych, które miały się odbyć w pokazowej części nowego wynalazku Gornahura Harcharcha, i gdy wszedłem do tej części, to chociaż zrobiłem to bez najmniejszego przymusu z zewnątrz, moja esencja dopuściła jednak do tego, że wkradła się do mojego bycia i równolegle z opisanym wcześniej dziwnym przeżyciem istnieniowym rozwinęła w nim karygodnie egoistyczna obawa o bezpieczeństwo mojej własnej egzystencji.

Jednakże, mój chłopcze, abyś się tym zbyt nie zamartwiał, nie zaszkodzi, jeśli dodam w tym miejscu, że zdarzyło mi się to wtedy po raz pierwszy i ostatni podczas całej mojej egzystencji istnieniowej.

Zresztą na razie powinniśmy chyba odłożyć na bok sprawy, które tyczą się wyłącznie naszej rodziny.

Wróćmy lepiej do opowieści o wszechobecnym Okidanochu i o moim esencjalnym przyjacielu Gornahurze Harcharchu. Ten ostatni, którego, nawiasem mówiąc, zwykle istoty trójmózgowe uważały dawniej za „wielkiego uczonego” obecnie, choć wciąż żyje, stracił już miano „wielkiego”, ponieważ sława jego własnego produktu, to znaczy jego syna, spowodowała, że sam stał się „przeżytkiem”, jak określiły to nasz drogi Mułła Nasr Eddin, który w podobnym wypadku dodałby jeszcze: „On już na dobre siedzi w starym amerykańskim kaloszu”.

Tak więc szamocząc się, Gornahur Harcharch z wielkim trudem i tylko dzięki szczególnemu, niezwykle skomplikowanemu manewrowi z powrotem opuścił na krzesło swe ciało planetarne wyposażone w rozmaite bardzo ciężkie przyrządy i tym razem

przymocował je za pomocą specjalnych śrub, które właśnie w tym celu były na tym krześle umieszczone. Kiedy obaj już jakoś usadowiliśmy się i ponownie mogliśmy się porozumiewać za pomocą wspomnianego sztucznego łącza, zwrócił on wtedy moją uwagę na trzy wiszące nad stołem aparaty, które, jak ci mówiłem, były bardzo podobne do momonoduarów.

Przy bliskim zbadaniu wszystkie wyglądały identycznie i przypominały „tuleje”, z których wystawały na końcu „elektrody węglowe” w rodzaju tych, jakie spotyka się w urządzeniach zwanych przez twoich ulubieńców „lampami łukowymi”.

Zwróciwszy moją uwagę na te trzy odpowiedniki momonoduarów lub tulei, powiedział:

„Każdy z tych identycznie wyglądających aparatów jest bezpośrednio połączony ze zbiornikami drugiego stopnia, które pokazałem ci wtedy, gdy znajdowaliśmy się jeszcze na zewnątrz hrchacharchcacy, i w których po sztucznym Dżartkłomie poszczególne aktywne części Okidanocha gromadzą się w oddzielne masy.

Te trzy samodzielne urządzenia skonstruowałem w taki sposób, by owe drugorzędne zbiorniki nawet tutaj, w absolutnej próżni, mogły dostarczać nam każdą z aktywnych części Okidanocha w jej czystej formie i w ilości wymaganej do naszych doświadczeń, a także byśmy mogli dowolnie modyfikować nabytą przez te części siłę «dążenia do ponownego zlania się w jedną całość» – siłę, która jest im przynależna i zależy od stopnia zagęszczenia ich masy.

Teraz w tej absolutnie pustej przestrzeni pokażę ci jeszcze raz to samo niezgodne z prawem zjawisko, które chwilę temu mieliśmy okazję obserwować z zewnątrz. Inaczej mówiąc, chcę ci ponownie zademonstrować kosmiczne zjawisko, które zachodzi wtedy, gdy po zgodnym z prawem Dżartkłomie dwie oddzielne części Okidanocha spotykają się w takiej przestrzeni, gdzie nie występuje żadna zgodna z prawem formacja, i bez udziału trzeciej części dążą do ponownego zlania się w całość”.



Powiedziawszy to, zamknął najpierw część ściany hrchacharchcacy zbudowaną z materiału przepuszczającego „promienie”, a następnie przestawił dwa wyłączniki i nacisnął pewien guzik, skutkiem czego leżąca na stole mała płytką ze specjalnego lepiku automatycznie przesunęła się w kierunku elektrod węglowych, po czym ponownie zwracając moją uwagę na amperomierz i woltomierz, dodał:

„Właśnie otworzyłem dopływ dwóch części Okidanocha, a mianowicie Anodnatiusa i Katodnatiusa, nadając każdemu z nich taką samą siłę «dążenia do zlania się w całość»”.

Gdy spojrzałem na amperomierz oraz woltomierz i faktycznie zobaczyłem, że ich wskazówki się przesunęły, zatrzymując na tych samych cyfrach, które odnotowałem za pierwszym razem, kiedy znajdowałem się jeszcze na zewnątrz hrchacharchcacy, bardzo mnie to zdziwiło, ponieważ na przekór temu, co pokazywały strzałki, a także wbrew ostrzeżeniu samego Gornahura Harcharcha nie zauważyłem i nie odczułem żadnej zmiany w poziomie widzialności otaczających przedmiotów.

Tak więc, nie czekając na jego dalsze wyjaśnienia, zapytałem:

„Dlaczego to niezgodne z prawem dążenie części Okidanocha do ponownego zlania się w całość nie daje żadnego rezultatu?”

Nim odpowiedział na moje pytanie, wyłączy! jedyną lampę, zasilaną specjalnym prądem magnetycznym. Moje zdumienie wzrosło jeszcze bardziej, ponieważ pomimo zapadłej nagle ciemności przez ścianki hrchacharchcacy można było wyraźnie dostrzec, że wskazówki amperomierza i woltomierza pozostały na tych samych miejscach.

Dopiero wtedy, gdy już się trochę oswoiłem z tym zaskakującym spostrzeżeniem, Gornahur Harcharch powiedział:

„Mówiłem ci wcześniej, że materiał użyty do budowy ścianej! aparatu, w którym się teraz znajdujemy, nie przepuszcza żadnych wibracji, niezależnie od ich źródła, z wyjątkiem pewnych wibracji, które wypływają z pobliskich skupień i mogą być odbierane tylko przez narządy wzroku trójmózgowych istot – oczywi-

ście zakładając, że te istoty są normalne.

Oprócz tego «salniczycynuarne wibracje inercyjne», czyli «promienie», zgodnie z prawem nazywanym się «Heteratogetar» nabierają właściwości oddziaływania na organy percepcji istot dopiero po przekroczeniu granicy, którą nauka definiuje w następujący sposób: «rezultat przejawu jest wprost proporcjonalny do wywołanej wstrząsem siły dążenia».

A skoro dany proces zderzenia dwóch części Okidanocha ma ogromną siłę, to rezultat takiego zderzenia manifestuje się w dużej odległości od miejsca jego powstania.

Teraz popatrz!!!”.

Powiedziawszy to, przycisnął jakiś inny guziki nagłe całe wnętrze hrchacharchcacy wypełniło się takim samym oślepiającym światłem jak to, którego dane mi było doświadczyć wcześniej, kiedy znajdowałem się na zewnątrz niej.

Ów napływ światła najwyraźniej wziął się stąd, że swoim ostatnim naciśnięciem guzika Gornahur Harcharch ponownie otworzył tę część ścianki hrchacharchcacy, która przepuszczała „promienie”.

Jak później wyjaśnił, to światło było jedynie następstwem rezultatu dążenia części Okidanocha do ponownego zlania się w całość w tej absolutnie pustej przestrzeni hrchacharchcacy i dzięki „odbiciu od zewnątrz” manifestowało się ponownie w miejscu swego powstania.

Potem powiedział jeszcze:

„Teraz pokażę ci, w jaki sposób i z jakiej kombinacji procesu Dżartkłom z procesem «dążenia aktywnych części Okidanocha do ponownego zlania się w całość» powstają na każdej planecie «minerały», które tworzą jej wewnętrzną obecność i z których wytwarzane są określone formacje o różnych gęstościach, na przykład «mineraloidy», «gazy», «metaloidy», «metale» itd., a także pokażę ci, jak następnie dzięki tym samym czynnikom te ostatnie stopniowo przekształcają się jedne w drugie oraz w jaki sposób wibracje powstałe na skutek łych transformacji tworzą

ów «całokształt wibracji», który zapewnia planetom stabilność w procesie zwanym «ogólnoukładowym ruchem harmonijnym».

Aby to zademonstrować, będę musiał jak zwykle użyć materiałów z zewnątrz, które moi uczniowie dostarczą tutaj za pomocą urządzeń również już wcześniej przeze mnie przygotowanych”.

Warto zauważyć, że przez cały czas, gdy mówił, stukał jednocześnie lewą nogą w coś bardzo podobnego do tego, co twoi ulubieńcy zwą „aparatem nadawczym” słynnego Morse’a – słynnego, nawiasem mówiąc, oczywiście tylko na planecie Ziemia.

Po chwili z dolnej części hrchacharchcacy zaczęło powoli podnosić się coś małego w kształcie pudełka z przezroczystymi ściankami, które, jak się później okazało, zawierało pewne „minerały” „metaloidy” i „metale”, a także różne substancje gazowe w stanie ciekłym i stałym.

Następnie, korzystając z rozmaitych narzędzi umieszczonych po jednej stronie stołu, wyjął z tego pudełka za pomocą skomplikowanych manipulacji „czerwoną miedź”, którą umieścił na wspomnianej płytce, a potem rzekł:

„Ów metal to określona krystalizacja planetarna, która reprezentuje jedną z gęstości potrzebnych do zapewnienia wspomnianej wcześniej «stabilności». Formacja ta powstała na skutek uprzedniego oddziaływania na siebie części wszechobecnego Okidanocha i w tej chwili, posługując się właściwościami tych samych czynników, chcę sztucznie i w przyspieszonym tempie spowodować przemianę tego metalu.

Zamierzam sztucznie wspomóc ewolucję i inwolucję jego elementów, bądź to zwiększając ich gęstość, bądź też, przeciwnie, przywracając je do stanu pierwotnego.

Abyś miał lepszy obraz eksperymentów poznawczych, przy których będziesz asystował, muszę najpierw choćby pokrótce podzielić się z tobą moimi pierwszymi dedukcjami naukowymi wskazującymi na oczywistość przyczyn oraz warunków prowadzących do tego, że poszczególne części Okidanocha krystalizują się wewnątrz planet w tych lub innych, wymienionych wcze-

śniej, określonych formacjach.

Jest jasne, że na początku, w wyniku dowolnego niezgodnego z prawem Dżartkłomu, poszczególne części wszechobecnego Okidanocha umiejscawiają się w środowisku, które tworzy się w tej samej części obecności planety, gdzie wystąpił ów nieprawidłowy Dżartkłom, to znaczy w odpowiednim mineralu znajdującym się tam w danej chwili.

Otóż jeżeli wibrację elementów tego środowiska łączy pod względem gęstości «pokrewieństwo wibracji» z jedną z aktywnych części wszechobecnego Okidanocha, wówczas, zgodnie z uniwersalnym prawem zwanym «symetrycznym przenikaniem», część ta scala się z obecnością wspomnianego środowiska, stając się jej nieodłącznym składnikiem. Od tego momentu dana część wszechobecnego Okidanocha łączy się z elementami wspomnianego środowiska, aby uzyskać wymagane w planetach gęstości, czyli różnego rodzaju metaloidy, a nawet metale, jak na przykład metal znany pod nazwą «czerwona miedź», który umieściłem w tej sferze, gdzie teraz sztucznie na moje życzenie pobudzone zostanie działanie poszczególnych części Okidanocha polegające na «dążeniu do ponownego zlania się w całość».

Następnie różne powstałe w ten sposób w planetach metaloidy i metale zaczynają zgodnie z ogólnoswiatowym prawem zwanym «karmieniem się nawzajem wszystkiego, co istnieje» promieniować ze swych obecności – jak zresztą czynią to wszystkie formacje, w których uczestniczy Okidanoch albo jedna z jego aktywnych części – rezultaty swojej «wewnętrznej wymiany substancji». I tak samo jak to się dzieje ze wszystkimi promieniowaniami pochodzącymi z naplanetarnych i wewnątrzplanetarnych formacji, promieniowania tych metali i metaloidów nabierają właściwości występujących w tym, co zwie się «środkiem ciężkości» wszystkich takich formacji i te właściwości są niemalże analogiczne do tych, jakie ma Okidanoch lub jedna z jego aktywnych części.

Gdy te masy o różnych gęstościach, powstałe w planetach w opisany sposób w normalnych warunkach środowiskowych,

promieniują ze swych zbiorczych obecności wibracje, jakich wymaga ogólnoswiatowe prawo «karmienia się nawzajem wszystkiego, co istnieje», wówczas między tymi ich różniącymi się pod względem właściwości wibracjami nawiązany zostaje – zgodnie z podstawowym ogólnoswiatowym prawem «Troemedechfe» – wzajemny kontakt.

I właśnie rezultat tego kontaktu to główny czynnik warunkujący wewnątrz planet stopniową zmianę różnych gęstości.

Moje wieloletnie obserwacje niemal całkiem przekonały mnie, że tylko ten kontakt i jego rezultaty zapewniają «stabilność harmonijnej równowagi» planet.

Metal nazywany «czerwoną miedzią», który umieściłem w sferze, gdzie zamierzam sztucznie wzbudzić działanie aktywnych części Okidanocha, ma w danej chwili – przyjmując za jednostkę gęstości pierwiastek świętego Teomertmalogosu – «gęstość właściwą» 444, czyli innymi słowy, atom tego metalu jest 444 razy gęstszy i tyle samo razy mniej życiodajny niż atom świętego Teomertmalogosu.

Zaobserwuj teraz, w jakim porządku będzie przebiegać ta jego sztucznie przyspieszona transformacja...”

Powiedziawszy to, ustawił przed moim narządem wzroku zdalnie sterowane teskuano, a następnie w pewnej kolejności włączył i wyłączył różne przełączniki. Kiedy zaś zacząłem patrzeć przez teskuano, udzielił mi następujących wyjaśnień:

„W tej chwili otworzyłem dopływ trzech części Okidanocha do sfery, w której znajduje się ów metal, a ponieważ te trzy części mają wszystkie jednakową «gęstość» i przez to tę samą «siłę dążenia», więc ponownie zlewają się w tej sferze w jedną całość, nie zmieniając niczego w obecności samego metalu; uzyskany w ten sposób wszechobecny Okidanoch wypływa z hrchacharchcacy przez specjalny przewód w swym zwykłym stanie i ponownie gromadzi się w pierwszym zbiorniku, który już wcześniej ci pokazałem.

Teraz patrz!

Umyślnie zacznę zwiększać «siłę dążenia» tylko jedne; z aktywnych części Okidanocha. Na przykład w tym momencie zwiększam siłę zwaną Katodnatiusem, co powoduje, że elementy składające się na obecność czerwonej miedzi zaczynają, jak sam widzisz, inwoluuować pod względem jakości w kierunku innych substancji, które składają się na zwykłą obecność planet”.

Tłumacząc to, cały czas włączał i wyłączał w pewnej kolejności różne przełączniki.

Otóż, mój chłopcze, chociaż bardzo uważnie patrzyłem wówczas na wszystko, co się tam działo, a to, co zobaczyłem, wyryło się w mojej esencji „pestołnutiarnie”, czyli na zawsze, to jednak, jak bardzo bym tego pragnął, nie potrafię ci teraz opisać w słowach więcej niż setną część tego, co zachodziło wtedy w tym małym kawałku określonej formacji planetarnej.

Nie podejmę się opisanie ci tego, co wtedy widziałem, także z tej przyczyny, że właśnie przypomniałem sobie, iż wkrótce będę miał możliwość pokazać ci to wszystko bezpośrednio, a wtedy sam będziesz mógł stać się świadkiem tego dziwnego i zdumiewającego uniwersalnego procesu.

Tymczasem powiem ci tylko, że w owym kawałku czerwonej miedzi zachodziło wówczas coś, co przypominało trochę te przeżliwe sceny wśród twoich ulubieńców na planecie Ziemia, które mogłem czasami zaobserwować z Marsa przez moje teskuano.

Powiedziałem „z przypominało trochę” ponieważ to, co obserwowałem u twoich ulubieńców, to była tylko faza początkowa, podczas gdy we wspomnianym kawałku czerwonej miedzi miałem okazję przyjrzeć się całemu procesowi aż do chwili ostatecznej transformacji.

Aby przeprowadzić orientacyjną paralelę między tym, co niekiedy dzieje się na twojej planecie, i tym, co działo się wtedy w tym małym kawałku miedzi, wyobraź sobie na przykład, że spoglądasz z dużej wysokości na wielki plac, gdzie tysiące twoich ulubieńców owładniętych główną tamtejszą psychozą w jej najbardziej gwałtownej postaci zaczyna unicestwiać się nawzajem

wszelkimi wymyślonymi przez siebie środkami, i że już po chwili zamiast nich widzisz, jak to się tam mówi, ich „trupy” zmieniające – na skutek znęcania się nad nimi tych, którzy jeszcze nie zostali unicestwieni – bardzo wyraźnie barwę, przez co także ogólny wygląd powierzchni tego dużego placu stopniowo ulega zmianie.

A więc, mój chłopcze, włączając i wyłączając dopływ trzech aktywnych części Okidanocha i tym samym zmieniając ich „siłę dążenia” mój późniejszy esencjalny przyjaciel Gornahur Harcharch zmieniał także gęstość elementów danego metalu, przekształcając ową czerwoną miedź w różne inne metale wewnątrzplanetarne, które charakteryzowały się niższym lub wyższym stopniem życiodajności.

Aby wyjaśnić ci dziwaczność psychiki tych przypadłych ci do gustu trójmózgowych istot, jest rzeczą bardzo ważną i interesującą wspomnieć w tym miejscu, że kiedy Gornahur Harcharch za pomocą swego nowego wynalazku sztucznie wywoływał ewolucję oraz involucję elementów czerwonej miedzi, i to zarówno pod względem ich gęstości, jak i życiodajności, wtedy wyraźnie spostrzegłem, że czerwona miedź faktycznie przemieniła się na wspomnianej płytce w inny znany metal, a mianowicie ten, na którego temat „uczeni od siedmiu boleści” z twojej planety od zawsze się wymądrzali, mając nadzieję, że uda im się przemienić w niego inne metale, przez co ciągle wprowadzali w błąd swych już i tak, jak mówią twoi ulubieńcy, „zbitych z pantałyku” pobratymców.

Ten metal nazywa się tam „złoto”.

Złoto to nic innego jak metal zwany przez nas „prcatchaławr”, którego ciężar właściwy – raz jeszcze licząc na podstawie świętego elementu Teomertmalogosu – wynosi 1439, to znaczy jego pierwiastek jest trzy i trochę razy mniej życiodajny niż element czerwonej miedzi.

A jeśli chodzi o moją nagłą decyzję, by nie usiłować wyjaśniać ci teraz drobiazgowo wszystkiego, co wówczas działo się w tym kawałku czerwonej miedzi, to wzięła się ona stąd, iż raptem przypo-

mniałem sobie wszechłaskawą obietnicę, którą otrzymałem od naszej Wszechstoi Jednej Strony Świata, Przewielkiego Arcycherubina Pesztwognera, i która już niebawem stworzy mi możliwość praktycznego zademonstrowania ci w określonych formacjach planetarnych procesów przejawiania się, w różnych kombinacjach, działania aktywnych części Okidanocha.

Tę wszechłaskawą obietnicę otrzymałem zaraz po powrocie z wygnania, gdy moim pierwszym obowiązkiem było udać się do Wszechstoi Jednej Strony Świata Arcycherubina Pesztwognera i padając mu do stóp, wykonać przed nim „Esencjalny Święty Aliamizurnakału”.

Byłem zmuszony to zrobić z powodu wspomnianych grzechów mojej młodości, a to dlatego, że gdy NASZ JEDNOBYTNY NIE-SKOŃCZONY wybaczył mi i pozwolił na powrót do ojczyzny, pewne Święte Indywidua na wszelki wypadek postanowiły nałożyć na mnie obowiązek przeprowadzenia w mojej esencji owego świętego procesu, abym już nigdy nie mógł zachowywać się tak, jak postępowałem w dniach mej młodości, i żeby nic podobnego nie pojawiło się już w umysłach większości indywiduów zamieszkujących centrum Wielkiego Wszechświata.

Zapewne nie wiesz jeszcze, co oznacza urzeczywistnienie w esencji Świętego Aliamizurnakału.

Później wyjaśnię ci to szczegółowo, a tymczasem po prostu użyję słów naszego drogiego Mułły Nasr Eddina, który ów proces określa jako „danie słowa honoru, że nie będzie się wsadzać nosa w sprawy przełożonych”.

Tak więc kiedy stawiłem się u Jego Wszechstoi Jednej Strony Świata, on między innymi raczył zapytać mnie, czy zdołałem przywieźć ze sobą wszystkie interesujące mnie wytwory istnienia, które zgromadziłem na różnych planetach tego układu słonecznego, gdzie przyszło mi egzystować w czasie mojego wygnania.

Odpowiedziałem, że zabrałem prawie wszystko z wyjątkiem nieporęcznych urządzeń, które mój przyjaciel Gornahur Har-



charch zbudował dla mnie na planecie Mars.

On wtedy od razu obiecał mi, że wyda polecenie, aby najbliższym rejsem statku kosmicznego „Wszędobyłski” przywieziono stamtąd wszystko, czego sobie zażyczę.

Oto dlaczego, mój chłopcze, mam nadzieję, że po naszym powrocie znajdziemy te urządzenia już na miejscu, na naszej planecie Karataz, i że wszystko to zobaczysz na własne oczy, podczas gdy ja będę udzielał ci szczegółowych wyjaśnień.

A na razie, jak już wcześniej obiecałem, w trakcie tej naszej podróży na statku „Karnak” po kolei opowiem ci o moich zstąpieniach na twoją planetę, a także o przyczynach tego, że pojawiłem się tam we własnej osobie!

## *Rozdział 19*

### ***Opowieść Belzebuba o jego drugim zstąpieniu na planetę Ziemia***

Belzebub rozpoczął tak:

– Po raz drugi zstąpiłem na tę twoją planetę Ziemia zaledwie jedenaście ichnich stuleci po moim pierwszym zstąpieniu.

Wkrótce po tym moim pierwszym zstąpieniu na powierzchnię owej planety wstrząsnęła nią druga poważna katastrofa, która miała jednak tylko charakter lokalny i nie groziła żadnym nieszczęściem na wielką ogólnokosmiczną skalę.

Podczas tego drugiego kataklizmu kontynent Atlantyda, który w czasie mojej pierwszej wizyty był największym z kontynentów i głównym miejscem egzystencji trój mózgowych istot tej planety, zapadł się do jej środka razem z innymi dużymi i małymi lądami, zabierając ze sobą zamieszkujące go istoty trójmózgowe oraz niemal wszystko, co tym istotom udało się osiągnąć i zdobyć w ciągu wielu minionych stuleci.

Na miejsce owych lądów wynurzyły się z wnętrza planety inne lądy stałe, które utworzyły nowe kontynenty i wyspy istniejące przeważnie do dzisiaj.

To właśnie na kontynencie Atlantyda znajdowało się miasto Samlios, gdzie, jak pewnie pamiętasz, żył nasz młody ziomek, który stał się przyczyną mojego pierwszego osobistego zstąpienia.

Dzięki najprzeróżniejszym okolicznościom wiele spośród tych przypadłych ci do gustu trój centrowych istot ocalało ze wspomnianej drugiej wielkiej katastrofy, i to właśnie one stały się protoplastami tego nadmiernie liczebnego dzisiaj ichniego gatunku.

Do czasu mojego drugiego osobistego zstąpienia już tak się tam rozmnożyły, że zamieszkiwały prawie wszystkie nowo powstałe

lądy.

Jeśli zaś chodzi o zgodne z prawem przyczyny takiej przesadnej rozrodczości, to zrozumiesz je w toku moich dalszych opowieści.

Myślę, że warto, abyś wiedział, iż wszystkim trójmózgowym istotom naszego plemienia, które w czasie drugiej katastrofy egzystowały na tej planecie, udało się uniknąć fatalnego lub, jak to się mówi, „apokaliptycznego” końca.

A ustrzegły się go z następujących powodów:

W poprzednich rozmowach wspominałem ci już, że w okresie mojego pierwszego zstąpienia większość spośród naszych współplemieńców, którzy wybrali twoją planetę na miejsce swego pobytu, egzystowała na kontynencie Atlantyda.

Otóż okazuje się, że rok przed tą katastrofą nasza tamtejsza, jak ją nazywamy, „pytia klanowa” zażądała w swojej przepowiedni, aby wszyscy nasi opuścili Atlantydę i przenieśli się na pobliski mały kontynent, gdzie ich egzystencja miała toczyć się dalej na wskazanej przez nią części jego powierzchni.

Ten nieduży kontynent zwał się wówczas „Graboncy” i wyznaczona przez pytię część rzeczywiście uniknęła wtedy przeraźliwej perturbacji, której uległy wszystkie pozostałe części zbiorczej obecności tej pechowej planety.

Na skutek owej perturbacji mały kontynent Graboncy, istniejący do dziś pod nazwą „Afryka” powiększył się o inne lądy stałe, które po wynurzeniu z wód planety przyłączyły się do niego.

Tak więc, mój chłopcze, nasza pytia klanowa zdołała ostrzec istoty z naszego plemienia, które w tym czasie zmuszone były egzystować na tej planecie, i w ten sposób uchroniła je, jak ci już powiedziałem, od udziału w niechybnym apokaliptycznym końcu; a udało się jej to dzięki jednej specjalnej właściwości istnieniowej, której mogą nabyć, nawiasem mówiąc, wszystkie istoty, pod warunkiem że z rozmysłem spełnią partkdołgpowinności istnieniowe, o których opowiem ci trochę później.

Tym razem przyczyny mojego osobistego zstąpienia na powierzchnię tej planety wiązały się z następującymi wydarzenia-

mi:

Któregoś dnia otrzymaliśmy na planecie Mars eterogram z Centrum zapowiadający rychłe pojawienie się na tej planecie pewnych Wyższych Świętych Indywiduów; i faktycznie, pół marsjańskiego roku później przybyło tam wielu archaniołów, aniołów, cherubinów i serafinów, w większości członków Najwyższej Komisji, która złożyła już wizytę na Marsie przy okazji pierwszego wielkiego nieszczęścia, jakie spotkało twoją planetę.

Wśród tych Wyższych Świętych Indywiduów ponownie znajdował się Jego Zgodność, Anioł – teraz już Archanioł – Luizos, który, jak pewnie pamiętasz, bo niedawno ci o tym mówiłem, był w czasie pierwszej wielkiej katastrofy, której uległa planeta Ziemia, jednym z głównych organizatorów usuwania następstw tego ogólnokosmicznego nieszczęścia.

A więc, mój chłopcze, już nazajutrz po powtórnym pojawieniu się wspomnianych Świętych Indywiduów Jego Zgodność złożył mi wizytę w towarzystwie swojego drugiego asystenta – jednego z serafinów.

Pobłogosławiwszy mnie, Jego Zgodność w odpowiedzi na pewne moje pytania o Wielkie Centrum był łaskaw między innymi powiedzieć, że po zderzeniu się komety Kondur z planetą Ziemia często przychodziło mu zstępować do tego układu słonecznego wraz z innymi odpowiedzialnymi kosmicznymi Indywiduami, które nadzorowały sprawy „harmonijnego istnienia świata”, aby wspólnie obserwować rezultaty podjętych przez nie zabiegów mających na celu zapobieżenie następstwom tego ogólnokosmicznego nieporozumienia.

„A zstępowaliśmy tam – kontynuował Jego Zgodność – ponieważ mimo zastosowania wszelkich możliwych środków oraz zapewnienia wszystkich, że nic złego już się nie stanie, sami nie byliśmy do końca pewni, czy przyszłość nie kryje jakichś niespodzianek.

Nasze obawy w części się sprawdziły, ale – chwała przypadkowi – to nowe nieszczęście nie miało w skali ogólnokosmicznej dużej

wagi, ponieważ spotkało jedynie planetę Ziemia.

Przyczyny tej drugiej ziemskiej katastrofy – mówił dalej Jego Zgodność – były następujące:

Gdy w trakcie pierwszego nieszczęścia oderwały się od tej planety dwa okazałe kawałki, wtedy «środek ciężkości» całej jej obecności nie zdążył z pewnych powodów przesunąć się na odpowiednie nowe miejsce. Skutkiem tego aż do drugiej katastrofy środek ciężkości tej planety znajdował się w niewłaściwym miejscu, co z kolei powodowało, że przez cały ten czas jej ruch nie był «równomiernie harmonijny» i w jej głębi, jak również na powierzchni, występowały częste wstrząsy oraz znaczne przemieszczenia.

Ostatnio zaś, kiedy środek ciężkości tej planety przesunął się wreszcie do jej centrum, spadło na nią to nowe, już drugie nieszczęście.

Ale za to – Jego Zgodność dodał z nutką samozadowolenia – z punktu widzenia ogólnokosmicznej harmonii istnienie tej planety będzie teraz przebiegało już całkiem normalnie.

To drugie nieszczęście, które spotkało planetę Ziemia, ostatecznie nas uspokoiło i przekonało, że już nigdy więcej nie stanie się ona przyczyną katastrofy na wielką ogólnokosmiczną skalę.

Obecnie nie tylko ruch tej planety znowu przebiega normalnie w ramach równowagi ogólnokosmicznej, ale też dwa oderwane od niej kawałki, które dzisiaj nazywają się «Księżyc» i «Anulios», zaczęły się poruszać normalnie i stały małymi, ale za to samodzielными «kofenszarami», czyli dodatkowymi planetami układu słonecznego Ors”.

Po krótkim namyśle Jego Zgodność powiedział mi jeszcze:

„Wasza Przewielebność, pojawiłem się u Ciebie, abyśmy wspólnie omówili kwestię zapewnienia dalszej pomyślności temu dużemu kawałkowi, który nazywa się teraz «Księżyc».

Rzecz w tym – kontynuował Jego Zgodność – że ów fragment nie tylko stał się samodzielną planetą, ale też rozpoczął się na nim już proces kształtowania atmosfery, która jest mu – tak jak każdej

innej planecie – niezbędna do realizacji przeogromnego ogólnokosmicznego Trogoautoegokrata.

Otóż prawidłowy proces formowania się atmosfery na tej małej, utworzonej niespodziewanie planecie zakłóca w obecnej chwili jedna niepożądana okoliczność, którą spowodowały trójmózgowe istoty powstające i egzystujące na planecie Ziemia.

Właśnie w tej sprawie postanowiłem zwrócić się do Ciebie, Wasza Przewielebność, i poprosić, abyś w imię JEDNOBYTNEGO STWÓRCY zgodził się wziąć na siebie pewne zadanie i dzięki temu oszczędził nam konieczności sięgania po jakieś drastyczne święte procesy które nie są godne tego, by stosować je wobec jakichkolwiek istot trój centrowych, i byś, korzystając ze znajdującego się w ich obecnościach istnieniowego rozumu, znalazł prostszy sposób na usunięcie tego niepożądanego zjawiska”.

Jego Zgodność szczegółowo wyjaśnił mi jeszcze, że po drugiej katastrofie, której uległa planeta Ziemia, przypadkowo ocalałe dwunożne istoty trójmózgowe znów zaczęły się tam rozmnażać. Tym razem cały proces ich egzystencji skupił się na innym nowo uformowanym dużym kontynencie, zwanym „Aszcharch” gdzie utworzyły się trzy liczne i samodzielne grupy, z których pierwsza osiedliła się w miejscu zwanym wtedy „Tiklamysz”, druga na obszarze o nazwie „Maralplejsi”, a trzecia na istniejącym do dzisiaj obszarze, noszącym wówczas nazwę „Perłania”.

„W psychice istot należących do tych trzech niezależnych grup – kontynuował Jego Zgodność – uformowały się pewne specyficzne «hawatwernoni», to znaczy pewne psychiczne dążenia składające się w całości na proces, który one same nazwały «religią».

Mimo że te hawatwernoni lub religie nie mają ze sobą nic wspólnego, to pośród istot każdej z trzech grup bardzo rozpowszechnił się identyczny religijny zwyczaj zwany «składaniem ofiar».

Ów zwyczaj opiera się na teorii, która mogła powstać tylko w ich dziwnym rozumie, a według której niszczenie na cześć własnych bogów i idoli egzystencji istot o innych formach sprawi

tym wyimaginowanym bogom oraz bożyszczom tak wielką przyjemność, że ci ostatni, aby okazać wdzięczność, będą im zawsze i we wszystkim niezawodnie pomagać, a także przyczyniać się do realizacji wszystkich ichnich fantastycznych i postrzelonych pomysłów.

Ten zwyczaj tak się tam dzisiaj rozpowszechnił, a unicestwienie w tym szkodliwym celu egzystencji istot o różnych formach osiągnęło takie rozmiary, że pojawił się już nadmiar «świętego Askokina», którego wymagają od planety Ziemia jej byłe części, to znaczy nadmiar wibracji wytwarzanych w czasie świętego procesu Raskuarno u istot o dowolnej formie zewnętrznej, które powstają i egzystują na planecie zmuszonej produkować ową świętą substancję kosmiczną.

Ta nadwyżka świętego Askokina zaczęła już poważnie zakłócać prawidłową wymianę substancji między planetą Księżyc i jej atmosferą, wywołując w nas obawę, że owa atmosfera nie wykształci się w sposób należyty i przez to stanie się przeszkodą w harmonijnym ruchu całego układu Ors, zagrażając być może ponownie katastrofą na większą ogólnokosmiczną skalę.

A zatem, Wasza Przewielebność, ponieważ masz w zwyczaju często odwiedzać różne planety tego układu słonecznego, zwracam się do Ciebie z prośbą, abyś zgodził się wziąć na siebie to zadanie i specjalnie zstąpił na planetę Ziemia, żeby tam na miejscu spróbować wdrożyć w świadomość tych dziwnych trójmózgowych istot ideę bezsensowności tego rodzaju teorii”.

Jego Zgodność wypowiedział jeszcze kilka słów, a następnie zaczął wznosić się i gdy był już całkiem wysoko, dodał mocnym głosem:

„W ten sposób, Wasza Przewielebność, wyświadczysz wielką przysługę NASZEMU JEDNOBYTNEMU WSZECHOBEJMUJĄCEMU NIESKOŃCZONEMU”.

Po opuszczeniu przez rzeczone Święte Indywidua planety Mars postanowiłem za wszelką cenę sprostać temu zadaniu i poprzez udzielenie otwartej pomocy naszemu nieskończonemu, jedyne-

mu-dźwigaczowi-brzemion zasłużyć sobie przynajmniej na to, by stać się już samodzielna częścią wszystkiego, co istnieje w Wielkim Wszechświecie.

A więc, mój chłopcze, przepojony tą myślą natychmiast następnego dnia poleciałem po raz drugi tym samym statkiem „Okazja” na twoją planetę Ziemia.

Tym razem nasz statek wodował na morzu zwanym wówczas „Kolchidius”, a powstałym dopiero niedawno wskutek perturbacji, które towarzyszyły drugiemu wielkiemu nieszczęściu, jakie spotkało planetę Ziemia.

Położone było ono na północny zachód od nowo utworzonego dużego kontynentu Aszcharch, który w owym okresie stanowił główne centrum egzystencji tamtejszych istot trójmózgowych.

Pozostałe brzegi tego morza wyznaczały nowo powstałe lądy; które przyłączyły się do kontynentu Aszcharch i znane były razem najpierw jako „Friankcanarali”, a nieco później jako „Kolchidszysi”.

Trzeba zaznaczyć, że zarówno to morze; jak i wymienione lądy istnieją do dziś, ale oczywiście noszą teraz już inne nazwy; na przykład kontynent Aszcharch nazywa się obecnie „Azja” Morze Kolchidius – „Morze Kaspjskie”, a całe Friankcanarali znane jest teraz pod nazwą „Kaukaz”.

„Okazja” wodowała na Morzu Kolchidius lub Morzu Kaspjskim, gdyż akurat tam najłatwiej było nasz statek przycumować, a poza tym znakomicie nadawało się ono do moich dalszych podróży, bowiem od wschodu wpadała do niego duża rzeka przepływająca przez prawie cały kraj Tiklamysz, czyli miejsce egzystencji pierwszej z wymienionych przeze mnie grup dwunożnych istot, które osiedliły się na tym kontynencie. Na brzegach tej rzeki wznosiła się stolica tego kraju, miasto „Kurkalaj”, do którego postanowiłem się udać w pierwszej kolejności, ponieważ to właśnie Tiklamysz był wówczas największym centrum egzystencji twoich ulubieńców.

Nie zaszkodzi w tym miejscu dodać, że choć wzmiankowana



duża rzeka, zwana wtedy „Oksoseria”, istnieje do dzisiaj, nie wpływa już jednak do obecnego Morza Kaspijskiego, a to z tego powodu, że wskutek małego trzęsienia planetarnego niemal w połowie swej długości zakręciła na prawo i zaczęła wpływać do jednej z kotlin kontynentu Aszcharch, gdzie stopniowo utworzyła małe morze, które nadal istnieje i zwane jest teraz „Morzem Aralskim”.

Przy uważniejszej obserwacji wciąż można dostrzec stare łożysko tej wielkiej rzeki, która nazywa się obecnie „Amu-daria”.

W czasie mojego drugiego osobistego zstąpienia kraj Tiklamysz był słusznie uważany na tej planecie za najbogatszy i najżyźniejszy ze wszystkich lądów stałych, które nadawały się do zwykłej egzystencji istnieniowej.

Ale kiedy na owej pechowej planecie zdarzyło się trzecie wielkie nieszczęście, ten onegdaj kwitnący kraj wraz z innymi lepiej lub gorzej prosperującymi obszarami został zasypany „kaszmanunem” lub, jak mówią tam, „piaskami”.

Przez długi czas po tej trzeciej katastrofie kraj Tiklamysz nazywano po prostu „pustynią głodu”, a obecnie każda jego część nosi inne miano, z tym że jego dawna główna część nazywa się teraz „Karakum”, czyli „Czarne piaski”.

W tamtej epoce ten sam kontynent zamieszkiwała jeszcze druga zupełnie samodzielna grupa trójmózgowych istot twojej planety i ta część kontynentu Aszcharch, w której się ona osiedliła, zwana była wówczas krajem „Maralplejsi”.

Później, gdy także ta druga grupa obrała centralny punkt swojej egzystencji i nazwała go miastem „Gob”, cały kraj nosił przez długi czas nazwę „Goblandii”.

Ów obszar również zasypał potem kaszmanun i dzisiaj główna część tego niegdyś kwitnącego kraju zwie się po prostu „pustynia Gobi”.

Co się zaś tyczy trzeciej całkiem samodzielnej grupy ówczesnych trójmózgowych istot tej nieszczęsnej planety Ziemia, to jej miejscem egzystencji była południowo-wschodnia część konty-

mentu Aszcharch, położona w przeciwnym kierunku niż Tiklamysz, po drugiej stronie nienormalnych występow tego kontynentu, które powstały w czasie drugiej perturbacji.

Jak już ci mówiłem, miejsce egzystencji tej trzeciej grupy nazywano wówczas „Perłanią”.

Ów region zmieniał później nazwę wiele razy i teraz cała ta część ładu stałego powierzchni planety Ziemia nosi nazwę „Hindustan” lub „Indie”.

Należy tutaj koniecznie zaznaczyć, że w owym czasie, czyli podczas mojego drugiego osobistego zstąpienia na powierzchnię twojej planety, w tych wszystkich przypadkach ci do gustu trójmózgowych istotach należących do trzech wyliczonych samodzielnych grup impuls, który powinna mieć każda trójmózgowa istota i który zwany jest „nieodpartym dążeniem do doskonalenia się” zastąpiło tak samo nieodparte, ale za to bardzo dziwne i już całkiem skryształizowane dążenie do tego, by wszystkie pozostałe istoty ich planety nazywały i uważały ich kraj za „centrum kultury” całej Ziemi.

To dziwne „nieodparte dążenie” charakteryzowało wówczas wszystkie trójmózgowe istoty twojej planety i dla każdej z nich stanowiło podstawowy sens i ceł jej istnienia. W rezultacie dążenia do osiągnięcia takiego celu nieustannie toczyła się między istotami tych trzech samodzielnych grup zaciekle, zarówno materialna, jak i intelektualna walka.

A więc, mój chłopcze...

Z Morza Kolchidius – dzisiejszego Morza Kaspijskiego – wyruszyliśmy na „selczanach”, czyli specjalnego rodzaju tratwach, z prądem rzeki Oksozeria, to znaczy obecnej Amu-darii. Po podróży, która trwała piętnaście ziemskich dni, przypłynęliśmy w końcu do stolicy istot tej pierwszej grupy azjatyckiej.

Po naszym przybyciu i urządzeniu się tam na stałe zacząłem odwiedzać „kałtaany” miasta Kurkalaj, to jest takie miejsca, które później na tym samym kontynencie Aszcharch nazywano „czajchanami” „aszchanami”, „karawanserajami” itp., a które współ-

czesne istoty, szczególnie te zamieszkujące kontynent pod nazwą „Europa” zwą „kawiarniami” „restauracjami” „klubami” „dancin-gami”, „miejscami schadzek” itd.

Tego rodzaju placówki zacząłem odwiedzać przede wszystkim dlatego, że zarówno dawniej; jak i obecnie żadne inne miejsca na planecie Ziemia nie nadawały się tak dobrze do obserwacji i badania specyficznych osobliwości psychiki miejscowych istot. A właśnie to było mi potrzebne, by wyjaśnić sobie ich prawdziwą esencjalną postawę wewnętrzną wobec zwyczaju składania ofiar i tym samym łatwiej i lepiej ułożyć plan działania pozwalający mi dopiąć celu, który stał się powodem mojej drugiej wizyty we wła-snej osobie na Ziemi.

Wśród różnych istot, które spotykałem, odwiedzając tamtejsze kałtaany, była też jedna, na którą przypadkowo natrafiłem dość często.

Ta wielokrotnie spotkana przeze mnie trójmózgowa istota wy-konywała zawód „kapłana” i nazywała się „Abdil”.

Ponieważ, mój chłopcze, podczas tego drugiego zstąpienia pra-wie cała moja osobista działalność miała związek z zewnętrznymi okolicznościami życia kapłana Abdila, a ponadto on sam przyspo-rzył mi wiele zmartwień, opowiem ci teraz bardziej szczegółowo o tej trójmózgowej istocie. Co więcej, dowiesz się dzięki tym opo-wieściom, jakie rezultaty osiągnąłem, usiłując wykorzenić z dziwnej psychiki twoich ulubieńców potrzebę niszczenia egzy-stencji istot o innych formach, żeby „udobruchać” swoich bogów i czczonych przez siebie idoli, jak również im „dogodzić”.

Ta ziemaska istota, która później stała się dla mnie tak bliska jak członek rodziny, nie była co prawda kapłanem najwyższej rangi, ale za to bardzo dokładnie znała zarówno nauczania religii panu-jącej wtedy w całym kraju Tiklamysz, jak i psychikę jej wyznaw-ców – zwłaszcza „owieczek”, których sama doglądała.

Wkrótce po tym, jak zawiązały się między nami „przyjacielskie stosunki”, ustaliłem, że funkcja zwana „sumieniem”, którą po-winny mieć wszystkie istoty trójcentrowe, nie uległa jeszcze w je-

stestwie kapłana Abdila całkowitej atrofii, a to dzięki wielu zewnętrznym okolicznościom, w tym dziedziczności i warunkom, w jakich przygotowywano go do odpowiedzialnego życia. Dlatego też w chwili, gdy jego rozum uświadomił sobie pewne prawdy kosmiczne, które mu wyjaśniłem, jego obecność zaczęła się manifestować w stosunku do podobnych do niego otaczających go istot w sposób niemal taki, jaki powinien cechować wszystkie normalne istoty trójmózgowe całego Wszechświata – to znaczy zrobił się wobec nich, jak same mówią, „współczujący” i „serdeczny”.

Zanim powiem ci więcej o kapłanie Abdilu, powinieneś wiedzieć wpierw, że w owym czasie ten przeraźliwy zwyczaj składania ofiar osiągnął na kontynencie Aszcharch, jak to się mówi, „apogeum” i że unicestwianie przeróżnych słabych jednomózgowych oraz dwumózgowych istot odbywało się wszędzie w ilościach przekraczających wszelką miarę.

W tamtym okresie, gdy członkowie dowolnego domostwa z jakiegoś powodu zwracali się do jednego z ich wyimaginowanych „bogów” lub fantastycznych „świętych” zawsze składali obietnicę, że jeśli los okaże się dla nich życzliwy, to dla uczczenia tych bogów i świętych unicestwią egzystencję jakiejś istoty lub nawet kilku naraz. Jeśli więc przypadkiem szczęście im rzeczywiście sprzyjało, to spełniali tę obietnicę z wielką pobożnością, natomiast jeśli było odwrotnie, to popełniali jeszcze więcej takich morderstw, aby ich wyimaginowani patroni w końcu się nad nimi zmiłowali.

Twoi ulubieńcy nawet podzielili wtedy w tym celu istoty o wszystkich innych formach na „czyste” i „nieczyste”.

„Nieczystymi” zwali te, których unicestwienia bogowie ponoć sobie nie życzyli, „czystymi” zaś te, których niszczenie rzekomo sprawiało ogromną przyjemność różnym wyimaginowanym i czczonym przez nich bożyszczom.

Ofiary składane były nie tylko prywatnie w domu i nie tylko przez pojedyncze istoty, ale również przez całe grupy, i to niekiedy publicznie. Stworzono nawet specjalne miejsca służące do

tego rodzaju rzezi, najczęściej usytuowane w pobliżu budowli upamiętniających coś lub kogoś, zazwyczaj jakiegoś „świętego” – oczywiście jednego z tych „świętych”, których oni sami wywyższyli i kanonizowali, to znaczy świętych w cudzysłowie.

W kraju Tiklamysz istniało wówczas kilka takich specjalnych publicznych miejsc, w których odbywało się unicestwienie istot o różnych formach zewnętrznych. Najślawniejsze z nich było usytuowane na małej górze, skąd pewien cudotwórca, Aliman, został kiedyś ponoć „żywcem wzięty do jakiegoś Nieba”.

Zarówno w tym, jak i w innych tego rodzaju miejscach zabijali oni w określonych porach roku niezliczoną ilość istot zwanych „bykami” „baranami”, „gołębiami” itd. – a nawet istoty do nich samych podobne.

W tym ostatnim wypadku na ogół silni składali w ofierze słabych; na przykład ojciec syna, mąż żonę, starszy brat młodszego itd. Najczęściej jednak ofiarami stawiali się „niewolnicy”, którymi wtedy – tak samo jak teraz – byli albo „jeńcy”, czyli istoty z jakiegoś ujarzmionego społeczeństwa, albo istoty należące do tych kast, które na skutek działania prawa pod nazwą „Soliunensius” traciły dla twoich ulubieńców w danym okresie – to znaczy wtedy, gdy w ich obecnościach bardziej intensywnie przejawiał się nieodparty popęd do unicestwiania się nawzajem – ważność z punktu widzenia tej ich głównej osobliwości.

Co prawda do dzisiaj można spotkać na twojej planecie zwyczaj „sprawiania przyjemności bogom” poprzez unicestwienie egzystencji innych istot, ale teraz nie przybiera on już takich rozmiarów, jakie miały te zbrodnie, których dopuszczali się wówczas twoi ulubieńcy na kontynencie Aszcharch.

A więc, mój chłopcze, już od pierwszych dni mojego pobytu w mieście Kurkalaj zacząłem rozmawiać często na różne tematy z tym moim tamtejszym przyjacielem, kapłanem Abdilem, przy czym oczywiście nigdy nie podejmowałem kwestii, które mogłyby zdradzić moją prawdziwą naturę.

Jak prawie wszystkie trójmózgowe istoty, które spotkałem pod-

czas moich kolejnych zstąpień, on także wziął mnie za istotę ze swojej planety, uznając wszelako, że jestem wielkim uczonym i znawcą psychiki istot do niego podobnych.

Już od naszych pierwszych spotkań poruszyły mnie do głębi troska oraz serdeczność, jakie okazywał, mówiąc o swych bliźnich. Kiedy więc mój rozum ostatecznie uznał, że dziedzicznie przekazana jego obecności funkcja „sumienia”, która powinna występować u wszystkich istot trój centrowych, jeszcze do końca w nim nie zanikła, wówczas stopniowo pojawiło się w mojej obecności w stosunku do niego, a następnie skryzalizowało „realnie funkcjonujące nieodzowne dążenie”, jakby chodziło o mojego krewnego, istotę tej samej natury co ja.

Oczywiście, zgodnie z kosmicznym prawem „każda przyczyna przynosi odpowiadający jej rezultat”, on także zaczął od tej chwili żywić do mnie „silnegordpana” lub, jak powiedzieliby twoi ulubieńcy, „uczucie takiej samej ufności jak do siebie samego”.

A zatem, mój chłopcze, kiedy mój rozum wszystko to sobie jasno uświadomił, od razu zrodził się we mnie pomysł, by posłużyć się tym moim pierwszym ziemskim przyjacielem do wywiązania się z zadania, które było przyczyną mojego drugiego osobistego zstąpienia tam.

Od tego momentu zacząłem więc celowo naprowadzać wszystkie nasze rozmowy na temat zwyczaju składania ofiar.

Wprawdzie od tych rozmów z moim ziemskim przyjacielem upłynęło już, mój chłopcze, bardzo dużo czasu, myślę jednak, że z łatwością przypomnę sobie teraz jedną z nich i powtórzę ci ją słowo w słowo.

Rozmowa, którą chcę ci przytoczyć, była ostatnią, jaką z nim odbyłem, i stała się załączkiem wydarzeń, które wprawdzie przywiodły planetarną egzystencję mojego ziemskiego przyjaciela do pełnego cierpień końca, ale za to otworzyły przed nim możliwość wieczystej wszechświatowej egzystencji.

Tę ostatnią rozmowę przeprowadziłem u niego w domu.

Tym razem już otwarcie tłumaczyłem mu, jak kompletnie głupi

i absurdalny jest zwyczaj składania ofiar.

Powiedziałem mu wtedy, co następuje:

„W porządku, masz jakąś religię i w coś wierzysz... Bardzo dobrze jest w coś wierzyć, nawet jeśli nie wie się dokładnie w co ani w kogo, ani nie ma się żadnego pojęcia o wartościach lub możliwościach tego czegoś, w co się wierzy. Wierzyć, czy to świadomie, czy też zupełnie nieświadomie, jest dla każdej istoty czymś nieodzownym i bardzo pożądanym.

Pożądanym, ponieważ tylko dzięki wierze pojawia się niezbędna każdej istocie intensywność samoświadomości istnieniowej, a także ocena własnego bycia jako części wszystkiego, co istnieje we Wszechświecie.

Ale co ma z tym wspólnego egzystencja innej istoty? Egzystencja, której jej pozbawiasz, czyniąc to w imię jej STWÓRCY!?

Przecież dla stwórcy owo «życie», które on stworzył tak samo, jak stworzył twoje, ma tę samą co twoje wartość.

Korzystając z własnej siły psychicznej i sprytu – czyli przynależnych ci danych, którymi NASZ WSPÓLNY STWÓRCA cię obdarzył, abyś mógł doskonalić swój rozum – wyzyskujesz psychiczną słabość innej istoty i niszczysz jej egzystencję.

Czyż nie rozumiesz, nieszczęśniku, jaki obiektywnie zły czyn przez to popełniasz?

Po pierwsze, unicestwiając egzystencję innych istot, zmniejszasz sam dla siebie liczbę czynników, których rezultaty jako jedyne mogą w sumie stworzyć warunki umożliwiające samodoskonalenie istotom takim jak ty; a po drugie, w ten sposób zdecydowanie osłabiasz lub nawet całkowicie niszczysz nadzieję, jaką NASZ WSPÓLNY OJCIEC STWORZYCIEL wiąże z możliwościami, którymi zostałeś obdarzony jako istota trójmózgowa i dzięki którym, jak on sam na to liczy, otrzyma w przyszłości pomoc.

Oczywisty absurd tego przeraźliwego czynu istnieniowego rzuca się w oczy już przez sam fakt, że wyobrażasz sobie, iż niszcząc egzystencję innej istoty, sprawiasz przyjemność TEMU, który ją specjalnie stworzył.

Czy naprawdę nie przyjdzie ci do głowy myśl, że jeśli NASZ WSPÓLNY OJCIEC STWORZYCIEL stworzył owo życie, to najwyraźniej zrobił to w jakimś określonym celu?

Pomyśl – powiedziałem mu jeszcze – pomyśl trochę, ale inaczej, niż przyzwyczaiłeś się myśleć przez całe swe życie, czyli nie jak «osioł z Chorasanu», ale uczciwie i szczerze, tak jak przystoi «istocie bogopodobnej», jak sam siebie nazywasz.

Czy to możliwe, żeby NASZ STWÓRCA, stworzywszy zarówno ciebie, jak i te istoty, które teraz unicestwiasz, napisał na czole niektórych z nich, że należy je zniszczyć na jego cześć i chwałę?

Jeśli się nad tym poważnie i szczerze zastanowić, to nawet każdy idiota z «wyspy Albion» będzie w stanie zrozumieć, że nic takiego zdarzyć się nie mogło.

To wymyślili tylko ludzie, którzy nazywają siebie «istotami bogopodobnymi», a na pewno nie on, który stworzył zarówno ich, jak i inne istoty o różnych formach, unicestwiane teraz przez ludzi rzekomo na JEGO życzenie i dla JEGO przyjemności.

Dla niego nie ma żadnej różnicy między życiem ludzi a życiem istot o rozmaitych innych formach.

Ludzie to życie, i istoty o innych zewnętrznych formach to także życie.

On sam przewidział to tak mądrze, żeby Przyroda mogła dostosowywać różnorodność zewnętrznych form istot do warunków i sytuacji, w których ma przebiegać proces ich egzystencji.

Weź siebie za przykład: Czy z twoimi wewnętrznymi i zewnętrznymi organami mógłbyś teraz skoczyć do wody i pływać jak ryba?!

Oczywiście, że nie! Bo nie masz ani «skrzeli», ani «płetw», ani takiego «ogona», jaki ma ryba, to znaczy życie, któremu jest przeznaczone egzystować w środowisku takim jak «woda».

Gdybyś postanowił skoczyć do wody, to bardzo szybko zacząłbyś się dusić i opadłbyś na dno, służąc za przekąskę dla tych samych ryb, które w takim odpowiednim dla nich środowisku okazywały się niepomernie od ciebie silniejsze.



To samo zresztą dotyczy ryb. Czy któraś z nich mogłaby podejść do nas, usiąść przy tym stole i napić się razem z nami «zielonej herbaty», którą teraz degustujemy?

Z całą pewnością nie! Ponieważ nie ma ona narządów, które są potrzebne do tego rodzaju przejawów.

Została stworzona, aby żyć w wodzie, i jej wewnętrzne oraz zewnętrzne organy są przystosowane do tego żywiołu, który jako jedyny jest dla niej odpowiedni i w którym może się skutecznie przejawiać, osiągając cel istnienia, który wyznaczył jej stwórca.

Dokładnie w ten sam sposób NASZ WSPÓLNY STWÓRCA odpowiednio stworzył twoje oblicze, a także twoje wewnętrzne i zewnętrzne narządy. Otrzymałeś nogi, aby chodzić, i ręce, by przygotowywać i pobierać stosowny dla ciebie pokarm; twój nos i połączone z nim organy są przystosowane do przyswajania i przekształcania w tobie substancji kosmicznych, w które oblekają się u trójmózgowych istot takich jak ty oba wyższe ciała istnieniowe – i to właśnie w jednym z tych ciał NASZ WSPÓLNY WSZECH-OBEJMUJĄCY STWÓRCA pokłada nadzieję, że dostarczy mu ono niezbędnej pomocy w realizacjach, które sam przewidział dla dobra wszystkiego, co istnieje.

Krótko mówiąc, Przyroda otrzymała od NASZEGO WSPÓLNEGO STWÓRCY odpowiednią podstawę do tego, by mogła oblekać i dostosowywać wewnętrzne oraz zewnętrzne narządy istot – obdarzonych takim samym układem mózgów jak ty – zgodnie ze środowiskiem, w którym ma przebiegać proces ich egzystencji.

Bardzo dobrze można to wyjaśnić na przykładzie osła, który stoi teraz na uwięzi w twojej stajni.

Nawet w stosunku do niego nadużywasz możliwości, którymi obdarzył cię NASZ WSPÓLNY STWÓRCA, jeśli bowiem ów osioł zmuszony jest w tej chwili stać wbrew swojej woli w twojej stajni, to dzieje się tak tylko dlatego, że został stworzony jako istota dwumózgowa; a został stworzony jako istota dwumózgowa, ponieważ taka organizacja jego zbiorczej obecności okazała się niezbędna dla ogólnokosmicznej egzystencji na planetach.

Jest więc rzeczą całkiem prawidłową, że zbiorcza obecność twojego osła pozbawiona jest możliwości «logicznego myślenia» i zgodnie z prawem jest on przez to, jak go definiujesz, «nierozumny» czy «głupi».

Jeśli zaś chodzi o ciebie, to chociaż stworzono cię nie tylko po to, byś służył wspomnianej ogólnokosmicznej egzystencji na planetach, lecz także jako «pole nadziei», którą pokłada w tobie NASZ WSPÓLNY WSZECHMIŁOSIERNY STWÓRCA – to znaczy stworzono cię, dając twojej obecności możliwość oblekania w sobie owej «Najwyższej Świętości», której ewentualne powstanie było powodem stworzenia całego naszego istniejącego obecnie Świata – jednakże wbrew tym możliwościom, które otrzymałeś, czyli mimo że zostałeś stworzony jako istota trójmózgowa i dysponujesz dzięki temu logicznym myśleniem, nie korzystasz z tej swojej świętej właściwości w przewidzianym dla niej celu, a tylko objawiasz ją jako «chytrość» w stosunku do innych jego stworzeń, jak na przykład wobec swojego osła.

Twój osioł – jeśli pominąć możliwość, jaką ma twoja obecność, świadomego oblekania w siebie owej Najwyższej Świętości – przedstawia dla procesu ogólnokosmicznego, a tym samym dla NASZEGO WSPÓLNEGO STWÓRCY, dokładnie taką samą wartość jak ty, ponieważ przeznaczeniem każdego z was jest służenie jakiemuś określonemu celowi, i to właśnie całokształt takich pojedynczych określonych celów nadaje sens wszystkiemu, co istnieje.

Jedyna różnica między tobą i twoim osłem polega na formie oraz jakości funkcjonowania wewnętrznej i zewnętrznej organizacji waszych zbiorczych obecności.

Na przykład ty masz tylko dwie nogi, a osioł ma aż cztery i co więcej, każda z nich jest nieporównanie silniejsza od twoich. Czy na tych twoich dwóch słabych nogach potrafiłbyś unieść tak dużo jak ten osioł?

Oczywiście, że nie! Nogi zostały ci dane jedynie po to, byś dźwigał siebie samego i jeszcze parę rzeczy przewidzianych przez Przyrodę jako niezbędne do normalnej egzystencji istoty trójmó-

zgowej.

A to, że Wielka Przyroda dokonała takiego na pierwszy rzut oka niesprawiedliwego ze strony NASZEGO SPRAWIEDLIWEGO STWÓRCY podziału sił i mocy, bierze się wyłącznie stąd, że owa nadwyżka substancji kosmicznych, której STWÓRCA i Przyroda przezornie pozwalają ci użyć, abys mógł się doskonalić, nie została dana twojemu osłowi, w zamian za co w zbiorczej obecności twojego osła, który oczywiście sam jest tego nieświadomy, Wielka Przyroda przetwarza tę nadwyżkę substancji kosmicznych na siłę i moc pewnych jego narządów wyłącznie na potrzeby terażniejszej egzystencji, skutkiem czego może on manifestować tę moc bez porównania lepiej od ciebie.

I te różniące się mocą przejawy istot o odmiennych formach tworzą w całości właśnie te warunki zewnętrzne, w których – i tylko w nich – istoty takie jak ty, to znaczy istoty trójmózgowe, mogą świadomie doskonalić umieszczony w ich obecnościach «załążek rozumu» aż do osiągnięcia wymaganego stopnia czystego obiektywnego rozumu.

Powtarzam, istoty o dowolnym układzie mózgow, powstające i egzystujące zarówno na ziemi, jak i w ziemi, a także w wodzie i w powietrzu, są dla NASZEGO WSPÓLNEGO STWORZYCIELA wszystkie bez wyjątku – te największe i te najmniejsze – równie nieodzowne do powszechnej harmonijnej egzystencji wszystkiego, co istnieje.

A ponieważ właśnie ów całokształt wymienionych rodzajów istot stanowi tę formę procesu egzystencji wszystkiego, co istnieje, jakiej wymaga NASZ STWORZYCIEL, dla niego więc esencja każdej dowolnej istoty jest jednakowo cenna i tak samo mu droga.

Dla NASZEGO WSPÓLNEGO STWÓRCY każda istota to tylko cząstka istnienia całej uduchowionej przez niego esencji.

A co takiego tutaj teraz widzimy?

Jedna forma istot, które on stworzył i w których obecnościach ulokował całą swą nadzieję na przyszłe dobro wszystkiego, co ist-

nieje, zaczęła wykorzystywać swoją przewagę i panować nad innymi formami, niszcząc je na prawo i lewo – i to ponoć «w imię jego».

Cała potworność polega na tym, że choć takie niesłychane antyboskie czyny popełnia się tutaj w każdym domu i na każdym placu, to żadnemu z tych nieszczęśników nie przyjdzie nawet do głowy, że istoty, których ja lub my pozbawiamy teraz życia, są temu, który je stworzył, tak samo drogie jak my, i że jeśli on stworzył te inne formy istot, to na pewno zrobił to w jakimś celu”.

Powiedziawszy to wszystko mojemu przyjacielowi kapłanowi Abdilowi, dorzuciłem:

„Najbardziej bolesne jest to, że każdy człowiek, który unicestwia egzystencję innych istot na cześć wielbionych przez siebie idoli, robi to z głębi serca, przekonany ponad wszelką wątpliwość, iż spełnia «dobry» i «pożyteczny» uczynek.

Jestem całkiem pewny, że gdyby każdy z nich uświadomił sobie, iż niszcząc egzystencję jakiejś innej istoty, dopuszcza się w obliczu prawdziwego Boga, a także wszystkich autentycznych Świętych, wręcz przeciwnie, karygodnego czynu i na domiar budzi w Ich esencjach smutek oraz żal na myśl o tym, że w Wielkim Wszechświecie można spotkać tego rodzaju «bogopodobne» istoty-potwory, które potrafią przejawiać taki brak sumienia i litości w stosunku do innych stworzeń NASZEGO WSPÓLNEGO STWÓRCY – gdyby, powtarzam, ludzie uświadomili to sobie, z pewnością wszyscy tak samo z głębi serca zaprzestaliby od razu unicestwiania egzystencji istot o innych formach, by składać je w ofierze.

A wtedy być może także na Ziemi zaczęto by przestrzegać osiemnastego osobistego przykazania NASZEGO WSPÓLNEGO STWORZYCIELA, które głosi:

«Kochaj wszystko, co oddycha».

Składać Bogu w ofierze egzystencję innych jego stworzeń to tak, jakby w tej chwili ktoś z ulicy włamał się do twojego domu i bez żadnego powodu zabrał się do niszczenia wszystkich znaj-

dujących się tam «dóbr», których gromadzenie zajęło ci lata i kosztowało wiele trudu oraz cierpień.

Pomyśl, ale pomyśl, powtarzam, szczerze i wyobraź sobie to, co przed chwilą powiedziałem, a następnie odpowiedz: Czy sprawiłoby ci to przyjemność i czy podziękowałbyś temu chamskiemu złodziejowi, który wtargnął do twego domu?

Oczywiście, że nie! Po tysiącokroć nie!

Przeciwnie, całym swoim jestestwem poczułbyś się oburzony, pragnąc ukarać tego opryszka, i każdym żdźbłem twojej psychiki myślałbyś, jakby się tu zemścić...

Pewnie odpowiesz mi na to: «To prawda, ale jestem tylko człowiekiem».

Zgadza się, jesteś tylko człowiekiem. Całe szczęście, że Bóg jest Bogiem i nie jest mściwy ani zły jak człowiek.

On na pewno cię nie ukarze i nie będzie się na tobie mścił, tak jak ty byś to zrobił z tym wandalą, który zniszczył dobra gromadzone przez ciebie całymi latami.

Każdy wie: Bóg wszystko wybacza. To stało się już naw ; w świecie prawem.

Ale JEGO stworzenia, w tym wypadku ludzie, zamiast nadużywać tej jego wszechmiłosiernej i wszechprzenikającej dobroci, powinni czuć się w obowiązku nie tylko chronić, lecz także wspierać to wszystko, co ON stworzył.

Za to tutaj, na Ziemi, przeciwnie, ludzie podzielili wszystkie istoty o innych formach na rzekomo «czyste» i «nieczyste».

Powiedz mi, czym się kierowali, przeprowadzając taki podział?

Dlaczego na przykład baran jest «czysty», a lew «nieczysty»? Czyż każde z nich nie jest istotą?

To także wymyślili ludzie... Ale skąd taki wymysł i taki podział? Po prostu stąd, że baran to istota bardzo słaba i na dodatek głupia i mogą robić z nim, co im się tylko spodoba.

Jeśli zaś chodzi o lwa, to ludzie nazywają go «nieczystym» jedynie dlatego, że nie ośmieliliby się robić z nim tego, na co mają

ochotę.

Lew jest od nich bardziej rozgarnięty i co najważniejsze, silniejszy.

Lew nie tylko nie daje się zabić, ale nawet nie pozwala ludziom podejść do siebie. A gdyby jakiś człowiek odważył się do niego zbliżyć, wtedy ów «pan Lew» tak by go walnął w łeb, że życie owego śmiałka momentalnie odfrunęłoby tam, gdzie «ludzie z wyspy Albion» jeszcze nigdy nie dotarli.

Powtarzam: lew jest «nieczysty» wyłącznie dlatego, że ludzie się go boją. Jest on sto razy od nich silniejszy i sto razy ich przewyższa; baran zaś jest «czysty» tylko dlatego, że jest od nich o wiele słabszy i, jeszcze raz powtarzam, znacznie głupszy.

Każda istota zajmuje określone miejsce wśród innych istot zgodne z jej naturą i poziomem rozumu, który osiągnęli jej przodkowie i który jest jej przekazywany dziedzicznie.

To, o czym właśnie mówiłem, można wyjaśnić, wskazując na różnicę, jaka istnieje między wyraźnie skryształizowanymi już obecnościami psychiki twojego psa i twojego kota.

Jeżeli choć trochę rozpieścisz swojego psa i tak go wytresujesz, że będzie robił to, co lubisz, on wówczas będzie się ciebie słuchał i wręcz stanie się służalczo łagodny.

Będzie za tobą biegał i wywijał najprzeróżniejsze fikołki, tylko po to, by ci się jeszcze bardziej przypodobać.

Możesz się z nim spoufalić, możesz go bić i obrażać, a on nigdy się na ciebie nie pogniewa i tylko coraz bardziej będzie się przed tobą kajać.

A teraz spróbuj zrobić to samo ze swoim kotem.

Jak sądzisz? Czy zareaguje na twoje zniewagi tak jak pies i dla twojej przyjemności będzie fikać takie same poniżające koziołki? Oczywiście, że nie!

Kot, nawet jeśli brakuje mu wystarczającej siły fizycznej, by natychmiast wziąć odwet za te afronty, nigdy nie zapomni, jak go potraktowałeś, i któregoś dnia w jakiś sposób się zemści.

Na przykład niejednokrotnie słyszy się o tym, że kot ugryzł w gardło śpiącego człowieka. Święcie w to wierzę, wiedząc, co mogło kota do tego doprowadzić.

Nie, kot się nie podda, on zna swą wartość i ma poczucie dumy. A dzieje się tak tylko dlatego, że jest kotem i że jego natura osiągnęła ten poziom rozumu, jaki zgodnie z zasługami jego przodków powinna osiągnąć.

W każdym razie żadna istota, w tym także człowiek, nie powinna obrazić się za to na kota.

Czy to jego wina, że jest kotem i że dzięki zasługom swych przodków jego obecność osiągnęła taki stopień «samoświadomości»?

Nie wolno go za to ani nienawidzić, ani bić czy obrażać; przeciwnie, trzeba oddać to, co mu się należy z tytułu wyższej pozycji, jaką zajmuje na drabinie ewolucji «samoświadomości».

Nie na próżno, nawiązując do wzajemnych stosunków między istotami, wielki «Archunił», słynny były prorok z planety «Dezagroanskrad», teraz asystent głównego śledczego całego Megalokosmosu, powiedział kiedyś o niuansach moralności obiektywnej:

«Jeśli jakaś istota przewyższa cię rozumem, to zawsze kłaniaj się przed nią i we wszystkim próbuj ją naśladować; ale jeśli pod tym względem ci nie dorównuje, to musisz być dla niej sprawiedliwy, ponieważ według Świętego Miernika NASZEGO WSZECHMOCNEGO STWÓRCY do pomiaru stopnia rozumu ty sam zajmowałeś kiedyś to samo miejsce co ona»”.

A więc, mój drogi chłopcze, ta ostatnia rozmowa z moim ziemskim przyjacielem wywarła na nim tak silne wrażenie, że przez dwa następne dni nic innego nie robił, tylko myślał.

Krótko mówiąc, rezultat był taki, że kapłan Abdil zaczął pojmować i odczuwać zwyczaj składania ofiar niemal tak, jak przystoi.

Kilka dni po naszej rozmowie obchodzono w całym Tiklamyszu święto zwane „Zadik” – jedno z dwóch wielkich tamtejszych świąt religijnych – i w świątyni, w której mój przyjaciel Abdil był

głównym kapłanem, zamiast wygłosić po uroczystym obrzędku tradycyjne kazanie, zaczął nagle mówić o składaniu ofiar.

Tak się przypadkowo złożyło, że tamtego dnia poszedłem właśnie do tej dużej świątyni, a więc ja także znalazłem się w gronie słuchaczy.

Mimo że temat jego wystąpienia był jak na taką okazję i miejsce nietypowy, nikogo jednak ono nie zaszokowało, ponieważ kapłan Abdil mówił tym razem o wiele płynniej i piękniej niż zwykle.

Zaprawdę mówił tak dobitnie i szczerze, a także przytaczał tak wiele przekonujących i sugestywnych przykładów, że wiele z obecnych tam istot Kurkalaja zaczęło nawet zanosić się od płaczu.

To, co powiedział, zrobiło na wszystkich wiernych tak wielkie wrażenie, że chociaż jego przemowa, zamiast zwyczajowej godziny lub pół, trwała aż do następnego dnia, to nawet po jej zakończeniu nikt nie zbierał się do wyjścia i wszyscy przez długi czas stali jak zaczarowani.

Jeszcze tego samego dnia urywki jego wystąpienia zaczęły krążyć wśród tych, którym nie udało się go usłyszeć na żywo.

Warto zauważyć, że w tamtych czasach kapłani zwyczajowo żyli wyłącznie z datków wiernych. Także nasz kapłan Abdil otrzymywał od swego zgromadzenia wszelkiego rodzaju artykuły potrzebne mu do zwykłego bytowania, w tym pieczone i gotowane „trupcy” istot o różnej formie zewnętrznej, na przykład „kur” „gęsi” „baranów” itp. Jednakże po tym dosadnym wystąpieniu nikt już nie składał tego rodzaju tradycyjnych darów, a zamiast tego przynoszono lub przesyłano mu jedynie owoce, kwiaty, jakieś rękodzieła i inne rzeczy tego rodzaju.

Już nazajutrz po swej przemowie mój ziemski przyjaciel stał się dla wszystkich mieszkańców miasta Kurkalaj kapłanem „w modzie” i nie dość, że świątynia, w której sprawował swoje posługi, była zawsze przepełniona istotami z tego miasta, to jeszcze błagał go, by zgodził się wygłaszać kazania w innych świątyniach.

Wielokrotnie występował z mową przeciwko składaniu ofiar



i za każdym razem po takim wystąpieniu liczba jego wielbicieli rosła, aż wkrótce stał się popularny nie tylko wśród istot z miasta Kurkalaj, lecz również w całym Tiklamyszu.

Nie wiem, czym by się to skończyło, gdyby duchowieństwo – czyli wszystkie istoty ludzkie wykonujące ten sam zawód co mój przyjaciel – nie zaniepokoiło się i wzburzone jego popularnością nie zaczęło występować przeciwko temu wszystkiemu, co głosił w swych kazaniach.

Jego koledzy najwyraźniej się przestraszyli, że wraz z zanikiem zwyczaju składania ofiar stracą swoje niezłe dochody, a ich autorytet najpierw zmaleje i potem ostatecznie upadnie.

Liczba wrogów Abdila rosła z dnia na dzień i rozpowszechniano na jego temat wciąż nowe insynuacje i oszczerstwa, chcąc w ten sposób narazić na szwank lub wręcz zniszczyć jego popularność i prestiż.

Jego koledzy zaczęli w swych świątyniach wygłaszać kazania, w których dowodzili całkowitego przeciwieństwa tego, co głosił kapłan Abdil.

Ostatecznie kapłaństwo wzięło się za przekupywanie różnych istot z właściwościami „hasnamuskimi” skłaniając je do tego, by wymyślały i przeprowadzały najróżniejsze nikczemne akcje wymierzone przeciw biednemu Abdilowi. I faktem jest, że te ziemskie miernoty nacechowane wspomnianymi właściwościami kilka razy próbowały nawet pozbawić go życia, posypując trucizną różne jadalne prezenty, które przyniesiono mu w darze.

Mimo to liczba jego szczerych wielbicieli z każdym dniem rosła.

W końcu cały syndykat kapłański tego nie wytrzymał i pewnego, smutnego dla mojego przyjaciela dnia wytoczył mu czterodniowy ogólnokapłański proces.

Powołany trybunał nie dość, że postanowił na zawsze usunąć mojego ziemskiego przyjaciela ze stanu duchownego, to jeszcze w trakcie tego samego zebrania jego koledzy zajęli się urządzeniem na niego dalszej nagonki.

Oczywiście wszystko to zaczęło powoli wywierać silny wpływ

na psychikę zwykłych istot, skutkiem czego nawet członkowie otoczenia kapłana Abdila, którzy przedtem darzyli go szacunkiem, stopniowo zaczęli go unikać i wygadywać różne nieprzyzwoite rzeczy na jego temat. Wkrótce pod wpływem nieustających oszczerstw także te istoty, które jeszcze dzień wcześniej przysyłały mu kwiaty oraz różne inne dary i niemal go ubóstwiający, stały się tak zagorzałymi jego wrogami, że można było sądzić, iż nie tylko osobiście je obraził, lecz również zarznął i wytrzebił wszystkich ich bliskich i przyjaciół.

Taka jest już psychika istot tej oryginalnej planety.

Jednym słowem, szczerze pragnienie mojego serdecznego przyjaciela, by wyświadczyć swemu otoczeniu dobro, kosztowało go bardzo wiele cierpień. Nie byłoby to zresztą nic takiego, gdyby nie to, że koledzy mojego przyjaciela oraz inne otaczające go ziemskie „bogopodobne” istoty dopuściły się najbardziej plugawego czynu, który położył temu wszystkiemu kres, to znaczy zabił go.

A oto, jak do tego doszło:

Mój przyjaciel, ponieważ pochodził z bardzo daleka, nie miał w mieście Kurkalaj żadnych krewnych.

Jeśli zaś chodzi o setki służących oraz innych zwykłych ziemskich miernot, które dawniej otaczały go ze względu na zajmowaną przez niego pozycję, to do tego czasu wszyscy już stopniowo poodchodzili, oczywiście dlatego, że mój przyjaciel przestał się teraz liczyć.

Na koniec została z nim tylko jedna bardzo stara istota, która towarzyszyła mu od długiego czasu.

Prawdę mówiąc, ów starzec został przy nim wyłącznie z powodu swej zgrzybiałości – która była wynikiem, tak jak u większości tamtejszych istot, nienormalnej egzystencji istnieniowej – to znaczy z powodu całkowitej niezdatności do wszystkiego, czego wymagają tamtejsze warunki egzystencji istnieniowej.

On po prostu nie miał gdzie się podziać i dlatego nie opuścił mojego przyjaciela, lecz został z nim nawet wtedy, gdy ten stracił

już prestiż i stał się przedmiotem prześladowań.

Otóż któregoś smutnego poranka starzec wszedł do pokoju mojego przyjaciela i zobaczył, że ów został zamordowany, a jego ciało planetarne porąbano na kawałki.

Ponieważ wiedział, że się z nim przyjaźniłem, od razu przybiegł i doniósł mi o tym.

Powiedziałem ci już, że pokochałem kapłana Abdila jak jednego z bliskich. A zatem gdy się dowiedziałem o tym okropnym zdarzeniu, w całej mojej obecności doszło niemalże do „skinikunarcyno” to znaczy o mało co nie zerwały się łączy między moimi poszczególnymi centrami istnieniowymi.

Kiedy więc tego samego dnia pojawiło się niebezpieczeństwo, że jakieś wyrodne istoty będą chciały jeszcze znęcać się nad kawałkami ciała planetarnego mojego przyjaciela, postanowiłem udaremnić przynajmniej ten ich podły zamiar.

Toteż za bardzo dużą sumę pieniędzy wynająłem od razu kilka odpowiednich istot i w tajemnicy usunąłem jego ciało planetarne, umieszczając je prowizorycznie na moim selczanie, czyli trawie, która znajdowała się niedaleko na rzece Oksoseria, gdzie zamieszkałem ją z myślą o tym, żeby móc dopłynąć na niej z powrotem do naszego statku „Okazja” na Morzu Kolchidius.

Smutny koniec egzystencji mojego przyjaciela nie przeszkodził jednak w tym, by jego kazania i nawoływania zaczęły wywierać wpływ na coraz większą liczbę istot.

Faktycznie, liczba zabójstw popełnianych „na ofiarę” zaczęła bardzo wyraźnie spadać i można było przyjąć, że z czasem, nawet jeśli ów zwyczaj całkiem nie zaniknie, to przynajmniej znacznie osłabnie.

A to, na razie, było dla mnie wystarczające.

Tak więc nie mając już tam nic innego do zrobienia, postanowiłem natychmiast powrócić na Morze Kolchidius i dopiero tam zastanowić się, co począć dalej z ciałem planetarnym mojego przyjaciela.

Po dopłynięciu do naszego statku „Okazja” znalazłem na nim

eterogram z Marsa, w którym informowano mnie, że przybyła tam nowa grupa istot z planety Karataz i w związku z tym proszono, bym powrócił jak najszybciej.

Ów eterogram nasunął mi bardzo oryginalny pomysł, a mianowicie przyszło mi do głowy, żeby nie zostawiać planetarnego ciała mojego przyjaciela na Ziemi, tylko zabrać je ze sobą, a następnie złożyć na łonie koncentracji kosmicznej noszącej nazwę „planeta Mars”.

Powzięłem taki zamysł, ponieważ obawiałem się, że nienawidzący mego przyjaciela wrogowie mogliby wszcząć poszukiwania jego ciała planetarnego i gdyby przypadkowo udało im się dowiedzieć, w którym miejscu zostało one oddane obecności ich planety lub, jak mówią twoi ulubieńcy, „pochowane” bez wątpienia odszukaliby je i zaczęli z nim wyprawiać jakieś niepożądane rzeczy.

A zatem już wkrótce wzniosłem się na statku „Okazja” z Morza Kolchidius na planetę Mars, gdzie nasi wraz z kilkoma życzliwymi Marsjanami, dowiedziawszy się o tym, co wydarzyło się na planecie Ziemia, z wielkim przejęciem okazali należyty szacunek owemu ciału planetarnemu, które przywiozłem ze sobą.

Pochowano je z całym marsjańskim ceremoniałem, a następnie wzniesiono w tym miejscu stosowną budowlę.

Była to pierwsza i z pewnością ostatnia, jak mówią twoi ulubieńcy, „mogła” istoty z planety Ziemia na tej tak bliskiej, a zarazem tak odległej i zupełnie niedostępnej dla ziemskich istot planecie Mars.

Później dowiedziałem się, że historia ta doszła do wiadomości Wszechstoi Jednej Strony Świata Wielkiego Archanioła Setrenocynarcu, będącego właśnie Ostoją tej części Wszechświata, w której znajduje się układ Ors, i że wyraził on aprobatę, wydając komu trzeba polecenie w sprawie duszy mojego ziemskiego przyjaciela.

Na planecie Mars faktycznie czekało na mnie kilka istot z naszego plemienia, które przybyły tam niedawno z planety Karataz. Wśród nich, nawiasem mówiąc, znajdowała się również twoja

babcia, która zgodnie ze wskazaniami głównego cyrliknera planety Karataz została mi przeznaczona jako pasywna połowa gwo-  
li kontynuacji mojego gatunku.

## Rozdział 20

### **Trzeci przylot Belzebuba na planetę Ziemia**

Po krótkiej przerwie Belzebub mówił dalej:

– Tym razem w domu, czyli na planecie Mars, zatrzymałem się niedługo, tyle tylko, żeby się zobaczyć i porozmawiać z nowo przybyłymi istotami z naszego plemienia, a także wydać pewne rozporządzenia o charakterze ogólnoplemiennym.

Uwolniwszy się od tych obowiązków, ponownie zstąpiłem na twoją planetę z zamiarem dalszej realizacji mojego planu, to znaczy wykorzenia panującego wśród tych dziwnych trójcentrowych istot przeraźliwego zwyczaju unicestwiania, jakby chodziło o jakąś świętą powinność, egzystencji istot o różnych układach mózgów.

Podczas tego trzeciego zstąpienia na planetę Ziemia nasz statek „Okazja” nie wylądował na Morzu Kolchidius, zwanym obecnie Morzem Kaspijskim, lecz na morzu, które nazywało się wówczas „Morze Dobrodziejstw”.

Podjąłem taką decyzję, ponieważ tym razem chciałem się udać do stolicy istot tworzących drugą grupę z kontynentu Ascharch, czyli do ówczesnego miasta Gob, usytuowanego na południowo-wschodnim wybrzeżu tego morza.

W tamtym czasie Gob było już sporym miastem, słynącym na całej planecie z produkcji najlepszych „tkanin” oraz najwspanialszej „biżuterii”.

Rozpościerało się po obu brzegach ujścia dużej rzeki zwanej „Kerjacji”, której źródło znajdowało się w górach na wschodzie kraju i która wpływała do Morza Dobrodziejstw.

Od zachodniej strony do tego samego morza wpadała jeszcze inna duża rzeka, zwana „Narjacji”.

To głównie w dolinach obu tych dużych rzek egzystowały isto-

ty należące do drugiej grupy kontynentu Aszcharch.

Jeśli chcesz, mój drogi chłopcze, opowiem ci w skrócie historię powstania tej grupy – zwrócił się Belzebub do Hassina.

– Tak, dziadku, tak!... Wysłucham cię z wielkim zainteresowaniem i będę ci bardzo wdzięczny – odpowiedział wnuk.

Belzebub zaczął więc opowiadać:

– Dawno temu, jeszcze przed okresem, którego dotyczy ta opowieść, i długo przed drugim wielkim nieszczęściem, jakie spotkało tę niefortunną planetę, a mianowicie w czasie, gdy wciąż istniał i rozkwitał kontynent Atlantyda, jedna ze zwykłych trójcentrowych istot tego kontynentu „wymyśliła” – jak wykazały moje późniejsze szczegółowe badania – że rozkruszony róg istoty o szczególnej formie zewnętrznej, którą nazywano wówczas „pirmaral, bardzo pomaga na wszelkiego rodzaju, jak mówią tam, „dolegliwości”. Później różni ówczesni „dziwacy” szeroko rozpowszechnili na twojej planecie ów „wynalazek” wskutek czego w umysłach zwykłych tamtejszych istot stopniowo skryształizował się iluzoryczny czynnik przewodni, który; nawiasem mówiąc, wraz z innymi tego rodzaju czynnikami – będącymi także w dużej mierze powodem częstej zmiany w ich przekonaniach – przyczynił się potem do wykształcenia w zbiorczej obecności wszystkich twych ulubieńców, a szczególnie tych współczesnych, rozumu, którym posługują się obecnie w swojej „egzystencji na jawie”.

Pod wpływem tego czynnika, który skryształizował się w obecnościach ówczesnych istot trójmózgowych twojej planety, przyjął się zwyczaj, że każdy, kto, jak one mówią, „zachorował” na tę lub inną chorobę, musiał obowiązkowo łykać ów tarty róg.

Warto dodać, że do dzisiaj można spotkać tam pirmarale, ale współczesne istoty zaliczają je po prostu do kategorii istot, które nazywają „jeleniami”, i nie mają dla nich żadnej oddzielnej nazwy.

A zatem, mój chłopcze, ponieważ mieszkańcy kontynentu Atlantyda zabijali bardzo dużo pirmarali czy jeleni, żeby zdobyć

ich rogi, bardzo szybko wybito je co do jednego.

Wówczas kilka istot z tego kontynentu, które z polowania na pirmarale uczyniły swój zawód, zaczęło wyprawiać się w ich poszukiwaniu na inne kontynenty i wyspy.

Takie polowania okazały się niezwykle trudne, bowiem do pochwycenia pirmarali potrzebnych było wiele istot-łowców i z tej przyczyny zawodowi myśliwi zawsze zabierali ze sobą do pomocy całe rodziny.

Otóż któregoś razu kilka takich łowieckich rodzin połączyło się i wyruszyło w poszukiwaniu pirmarali na bardzo odległy kontynent zwany wówczas „Iranan”, któremu później – już po zmianach spowodowanych przez drugą katastrofę – nadano nazwę „kontynent Aszcharch”, a na który twoi ulubieńcy mówią dzisiaj „Azja”.

Abyś mógł lepiej usytuować moje dalsze opowieści o tych przypadkach ci do gustu trójmózgowych istotach, powinieneś wiedzieć, że z powodu różnych perturbacji, które wystąpiły w czasie drugiej ziemskiej katastrofy, kilka części kontynentu Iranan zapadło się w głąb planety i na ich miejsce pojawiły się, a następnie przyłączyły do niego inne lądy stałe, skutkiem czego ów kontynent bardzo się zmienił i zaczął swoją powierzchnią niemal dorównywać kontynentowi Atlantyda w okresie tuż przed jego zniknięciem.

Tak więc, mój chłopcze, wspomniana grupa myśliwych, ścigając ze swymi rodzinami stado pirmarali, dotarła pewnego razu nad brzeg obszaru wodnego, który później nazwano Morzem Dobrodziejstw.

Zarówno samo morze, jak i jego wspaniałe oraz żyzne wybrzeże tak się im spodobały, że nie chcieli już wracać na kontynent Atlantyda i od tej pory zaczęli się tam osiedlać.

W owym czasie kraina ta była rzeczywiście tak cudowna i tak „suptaninalna” dla zwykłej egzystencji istnieniowej, że musiała się spodobać każdej w miarę myślącej istocie.

Na tej „lądowej” części powierzchni twojej planety wciąż jesz-



cze egzystowały wtedy wraz z innymi dwumózgowymi istotami niezliczone stada istot zwanych pirmaralami, a cały obszar wodny porastała naokoło bujna roślinność, w tym także wiele różnych rodzajów drzew, których owoce służyły w tamtym czasie za podstawowy składnik „pierwszego pokarmu istnieniowego” twoich ulubieńców.

Można było tam spotkać również tak wiele jednomózgowych i dwumózgowych istot zwanych „ptakami” że gdy frunęły gromadą, robiło się, jak mówią twoi ulubieńcy, „zupełnie ciemno”.

Z kolei w wodach rzeczonoego obszaru, który znajdował się pośrodku tego kraju i nazywał Morze Dobrodziejstw, występowała taka obfitość ryb, że dawało się je łowić niemal gołymi rękami.

Jeśli zaś chodzi o glebę na wybrzeżu Morza Dobrodziejstw i w dolinach dwóch wpływających do niego dużych rzek, to była tak żyzna, że w dowolnym miejscu można było zasiać w niej, co się tylko chciało.

Krótko mówiąc, cała ta kraina i jej klimat tak przypadły do gustu myśliwym oraz ich rodzinom, że nikt z nich, jak już powiedziałem, nie chciał wracać na kontynent Atlantyda; odtąd więc zaczęli się tam osiedlać, a następnie, przystosowawszy się szybko do otaczających warunków, rozmnażać i egzystować, jak to się mówi, „w dostatku”.

W tym miejscu mojej opowieści muszę wspomnieć ci o pewnym rzadkim zbiegu okoliczności, który miał później poważne reperkusje zarówno dla protoplastów tej drugiej grupy, jaki i dla ich najdalszych potomków.

Otóż w czasie, gdy wspomniani myśliwi z kontynentu Atlantyda dotarli nad brzeg Morza Dobrodziejstw i postanowili się tam osiedlić, w tym samym miejscu egzystowała już pewna bardzo ważna istota z ich kontynentu, która należała do sekcji „Astrosoworów” takiego towarzystwa naukowego, jakiego nigdy przedtem na planecie Ziemia nie było i prawdopodobnie już nigdy nie będzie.

To towarzystwo naukowe istniało wówczas pod nazwą „Achl-

danowie”.

Wspomniany członek Achldan znalazł się na wybrzeżu Morza Dobrodziejstw z następującej przyczyny:

Tuż przed drugim wielkim nieszczęściem te prawdziwie uczone istoty, które egzystowały wówczas na kontynencie Atlantyda i zorganizowały to rzeczywiście wielkie towarzystwo naukowe, wypatrzyły w jakiś sposób, że wkrótce zdarzy się w przyrodzie coś bardzo poważnego, i zaczęły z wielką uwagą obserwować na ich kontynencie wszystkie zjawiska przyrodnicze; ale jakkolwiek by się starały, w żaden sposób nie potrafiły odkryć, co takiego ma się wydarzyć.

Nieco później wysłały w tym samym celu kilku swych członków na inne kontynenty i wyspy z nadzieją, że dzięki tego rodzaju globalnym obserwacjom uda im się dowiedzieć; co takiego ich czeka.

Ci rozesłani członkowie mieli za zadanie obserwować nie tylko zjawiska przyrody występujące na planecie Ziemia, ale też wszelkiego rodzaju, jak mówiono wtedy, „zjawiska niebieskie”.

Jeden z nich, a mianowicie wspomniana ważna istota, wybrawszy na miejsce swoich obserwacji kontynent Iranan, przybył tam ze służbą i osiedlił się na wybrzeżach obszaru wodnego, który nazwano później Morzem Dobrodziejstw.

Otóż tenże uczony członek towarzystwa Achldan spotkał kiedyś przypadkiem na wybrzeżu Morza Dobrodziejstw kilku naszych myśliwych i dowiedziawszy się, że oni także pochodzą z kontynentu Atlantyda, naturalnie bardzo się ucieszył i zaprzyjaźnił z nimi.

Trochę później, kiedy kontynent Atlantyda zapadł się do wnętrza planety, ten uczony członek Achldan, nie mając już dokąd powrócić, pozostał tam, aby razem z myśliwymi wieść swą egzystencję w miejscu, które miało się stać w przyszłości krajem „Maralplejsi”.

Wkrótce potem wspomniana grupa myśliwych wybrała tego uczonego – uznawszy, że jest najmądrzejszy spośród nich – na

swojego przywódcę, a jeszcze później ów członek wielkiego towarzystwa Achldan poślubił Rimałę, córkę jednego z myśliwych, stając się w ten sposób protoplastą drugiej grupy z kontynentu Iranan lub, jak się dzisiaj mówi, „kontynentu Azja”.

Upłynęło dużo czasu.

Kolejne pokolenia trójmózgowych istot rodziły się i umierały w tym rejonie planety i wraz z nimi zmieniał się także – naturalnie czasem na lepsze, a czasem na gorsze – ogólny poziom psychiki owej grupy ziemskich istot.

Istoty te rozmnażały się i stopniowo zaludniały coraz to nowe obszary tej krainy, przy czym najchętniej osiedlały się na wybrzeżu Morza Dobrodziejstw oraz w dolinach dwu dużych wpadających do niego rzek.

Dopiero o wiele później stworzyły one na południowo-wschodnim brzegu tego morza centrum zbiorowej egzystencji, które nazywały miastem „Gob” Miasto to stało się główną siedzibą przywódcy tej drugiej grupy istot z kontynentu zwanego dzisiaj „Azją” – przywódcy, którego one same jako pierwsze zaczęły tytułować „królem”.

Tam takie stanowisko króla również sprawowano dziedzicznie, poczynając od pierwszego wybranego przez nie przywódcy, którym był wspomniany uczonek członek towarzystwa naukowego Achidan.

W epoce, o której zacząłem ci teraz opowiadać, władcą istot tej drugiej grupy był już wnuk jego prawnuka, noszący imię Koniucjon.

Moje późniejsze szczegółowe studia i badania wykazały, że król Koniucjon w celu wykorzenienia potwornego zła, jakie powstało wśród istot, które zrzędzeniem losu stały się jego poddanymi, uciekł się do nader mądrych i niezwykle dobroczynnych środków.

A te mądre i dobroczynne środki zastosował z następującego powodu:

Pewnego razu król Koniucjon zauważył, że istoty jego społec-

czeństwa tracą coraz bardziej zdolność do pracy, a jednocześnie niebywale wzrasta wśród nich liczba awantur, kradzieży, aktów przemocy i jeszcze wielu innych występków, które, pomijając jakieś zupełnie wyjątkowe sytuacje, praktycznie nigdy przedtem się nie zdarzały.

To spostrzeżenie wprawilo króla Koniucjona w zdumienie i zarazem tak go zasmucilo, że zaczął się dogłębnie nad tym zastanawiać i postanowił odnaleźć przyczynę tego godnego pożałowania zjawiska.

Po długich obserwacjach ustalił w końcu, że jego powodem był pewien nowy nawyk istot jego społeczeństwa, a mianowicie nawyk żucia nasion rośliny zwanej wtedy „gulgulianem”. Ta naplanetarna formacja rośnie na planecie Ziemia także dzisiaj i ci z twoich ulubieńców, którzy uważają się za „wykształconych” mówią na nią „papaverum”, natomiast zwykle istoty nazywają ją po prostu „kwiatem maku”.

Trzeba koniecznie w tym miejscu zaznaczyć, że ówczesne istoty z Maralplejsi nabrały zamiłowania do żucia wyłącznie tych nasion wymienionej formacji naplanetarnej, które były zbierane w okresie jej, jak to się mówi, „dojrzewania”.

W trakcie swoich dalszych wnikliwych obserwacji i bezstronnych badań król Koniucjon jasno pojął, że w tych nasionach znajduje się „coś”, co potrafi na jakiś czas całkowicie zmienić wszystkie ustalone nawyki psychiczne istot, które to „coś” sobie zaaplikowały, a mianowicie zaczynały one wtedy widzieć, rozumieć, czuć, doznawać i zachowywać się zupełnie inaczej niż zwykle.

Na przykład brały wronę za pawia, koryto z wodą za morze, głośny stukot za muzykę, życzliwość za wrogość, obrazę za miłość itd., itp.

Gdy król Koniucjon w pełni się o tym przekonał, bezzwłocznie rozesał wszędzie swoich najbliższych i wiernych mu poddanych, aby ci w jego imieniu surowo zabronili wszystkim istotom jego społeczeństwa żucia nasion wspomnianej rośliny, i równocześnie wprowadził kary oraz grzywny dla tych, którzy nie będą

przestrzegać jego zakazu.

W pierwszej chwili zdawało się, że dzięki tym środkom nawyk żucia nasion w kraju Maralplejsi osłabł; bardzo szybko jednak się okazało, że tylko pozornie liczba żujących się zmniejszyła – w rzeczywistości zrobiło się ich jeszcze więcej.

Uświadomiwszy to sobie, mądry król Koniucjon postanowił bardziej surowo karać tych, którzy nie rzucili tego nałogu, i zarazem zwiększył inwigilację swoich poddanych, pilnując, żeby skrupulatnie wymierzano kary.

Sam zaczął chodzić po mieście Gob i osobiście przesłuchiwał winnych, a potem nakładał na nich te różne cielesne i moralne kary.

Wszystko to jednak nie dało pożądanego rezultatu. Liczba żujących wzrastała zarówno w mieście Gob, jaki winnych podległych mu rejonach, skąd codziennie otrzymywał nowe doniesienia.

Wyszło wtedy na jaw; że powodem było między innymi to, iż wiele trójmózgowych istot, które nigdy przedtem nie żuły tych nasion, zaczęło teraz robić to tylko z „ciekawości” – będącej do dzisiaj jedną z osobliwych cech psychiki trójmózgowych istot tej przypadłej ci do gustu planety – to znaczy z chęci dowiedzenia się, na czym polega działanie nasion, których użycie ich król tak uporczywie ścigał i karał z taką surowością.

Muszę tutaj podkreślić, że owa cechująca psychikę twoich ulubieńców ciekawość, która zaczęła się krystalizować zaraz po zagładzie Atlantydy, w żadnej z istot dawnych epok nie działała z taką siłą i wyrazistością, jak u tamtejszych współczesnych istot trójmózgowych, które mają jej, śmiem powiedzieć, więcej niż jest włosów na „tusuku”.

A więc, mój chłopcze...

Gdy mądry król Koniucjon nabrał w końcu całkowitej pewności, że środki, po które sięgnął, nie poskromią namiętności do żucia nasion gulgulianu i zobaczył, że ich jedynym rezultatem jest śmierć paru skazańców, odwołał wszystkie swoje dotychczasowe postanowienia i znów zaczął się poważnie zastanawiać nad zna-

lezeniem jakiegoś innego skutecznego sposobu na zniszczenie tego zła, tak zgubnego dla jego społeczeństwa.

Jak się dowiedziałem o wiele później – a to dzięki pewnemu bardzo staremu ocalałemu pomnikowi – wielki król Koniucjon, zamknąwszy się w swej sypialni, przez osiemnaście dni nie jadł ani nie pił, tylko bez przerwy bardzo poważnie rozmyślał.

Moje dalsze badania wykazały, że król Koniucjon tak usilnie pragnął wtedy znaleźć jakiś sposób na wykorzenienie tego zła, ponieważ wszystkie sprawy w jego społeczeństwie układały się coraz gorzej.

Istoty, które uległy wspomnianej namiętności, niemal przestały pracować; do skarbu państwa nie napływały już w ogóle tak zwane pieniądze i ostateczne bankructwo wydawało się nieuniknione.

Koniec końców mądry król postanowił zaważać z tym złem drogą okrężną, grając na słabych strunach psychiki istot swojego społeczeństwa. W tym celu wymyślił bardzo oryginalną „doktrynę religijną” odpowiadającą psychice ówczesnych istot, a następnie zaczął na wszystkie możliwe sposoby rozpowszechniać ten wymysł wśród swoich poddanych.

Owa doktryna religijna głosiła, że daleko od kontynentu Aszcharch znajduje się duża wyspa, na której przebywa nasz „Pan Bóg”.

Muszę ci powiedzieć, że w tamtych czasach żadna zwykła ziemska istota nie wiedziała jeszcze, że istnieją jakieś inne skupienia kosmiczne prócz ich planety.

Ówczesne ziemskie istoty były przekonane, że ledwie widoczne, oddalone w przestrzeni „białe punkciki” to jedynie rysunek na „narzucie świata”, czyli nakryciu ich planety, ponieważ uważały, jak już ci powiedziałem, że cały „świat” kończył się na ich własnej planecie.

Jednocześnie wierzyły też, że ta narzuta rozpięta jest jak „balдахim” na specjalnych słupach, których końce spoczywają na ich planecie.

Zgodnie z dowcipnie-oryginalną doktryną religijną mądrego króla Koniucjona „Pan Bóg” celowo dorobił do naszych dusz narządy i kończyny, które teraz przydają się do ochrony przed otoczeniem oraz pozwalają nam dobrze i z pożytkiem służyć zarówno Jemu samemu, jak i „duszom” zabranym już na Jego wyspę.

Kiedy zaś umieramy, nasza dusza uwalnia się od tych wszystkich specjalnie dołączonych do nas organów oraz kończyn i staje się taka, jaka powinna być naprawdę, a wtedy On szybko zabiera ją na tę Jego wyspę, gdzie w zależności od tego, jak wyglądała na naszym kontynencie Aszcharch egzystencja owej duszy z dodatkowymi częściami, wyznacza odpowiednie miejsce na jej dalszą egzystencję.

Jeśli dusza wypełniała swe obowiązki uczciwie i sumiennie, to „Pan Bóg” pozwala jej zostać na Jego wyspie; natomiast duszę, która tu, na kontynencie Aszcharch, obijała się i leniwie oraz lekceważąco odnosiła do swych obowiązków, jednym słowem, żyła tylko dla zaspokojenia pragnień tych dodanych do niej części lub po prostu nie przestrzegała Jego przykazań, otóż taką duszę nasz „Pan Bóg” wysyła na dalszą egzystencję na sąsiednią, mniejszą wyspę.

Tutaj, na kontynencie Aszcharch, istnieje wiele zaufanych Mu „duchów”, które poruszają się wśród nas w „czapkach niewidkach” dzięki czemu niezauważone bez przerwy nas śledzą i donoszą „Panu Bogu” o wszystkich naszych uczynkach albo referują Mu je w dniu „Sądu Ostatecznego”.

Nic nie możemy przed nimi ukryć: ani naszych uczynków, ani nawet myśli.

Jeszcze dalej powiedziane było, że nasz kontynent Aszcharch, \_tak jak wszystkie inne kontynenty i wyspy „świata” nasz „Pan Bóg” stworzył wyłącznie po to, by służyły czy to Jemu samemu, czy też zasłużonym „duszom”, które mieszkają już na Jego wyspie.

Wszystkie kontynenty i wyspy świata to w pewien sposób bazy szkoleniowe i magazyny, gdzie składa się to wszystko, co jest

potrzebne na Jego wyspie.

Wyspa, na której nasz „Pan Bóg” przebywa wraz z zasłużonymi „duszami”, nazywa się „Raj”, a egzystencja na niej to „istna sielan-ka”!

Wszystkie rzeki płyną tam mlekiem, a po ich brzegach ścieka miód. Nikt nie musi się męczyć ani pracować. Na miejscu nie brakuje niczego, co jest potrzebne do szczęśliwej, beztrudnej i błogiej egzystencji, ponieważ wszystko, co nieodzowne, dostarczane jest tam w wielkim nadmiarze z naszego, a także z innych kontynentów i wysp świata.

Na wyspie „Raj” pełno jest pięknych młodych kobiet należących do wszystkich plemion i ras świata i każda z nich bez żadnego gadania staje się własnością „duszy”, która jej zapragnie.

Na niektórych placach tej cudownej wyspy leżą zawsze stosy rozmaitej biżuterii, poczynając od najbardziej błyszczących brylantów, a kończąc na najciemniejszych turkusach, tak że każda „dusza” może brać stamtąd bez żadnych przeszkód wszystko, co zechce.

Na innych placach tej błogiej wyspy usypano góry słodczy specjalnie przyrządzonych z „makowego” oraz „konopnego” wyciążu i każda „dusza” – również bez najmniejszej przeszkody – może sycić się nimi do woli o każdej porze dnia i nocy.

Nie ma tam żadnych chorób ani oczywiście żadnych „wszy” czy „pchel”, które tutaj nie dają nam spokoju i zatrują całą naszą egzystencję.

A jeśli chodzi o drugą, mniejszą wyspę, gdzie nasz „Pan Bóg” wysyła na dalszą egzystencję „dusze” u których te prowizorycznie dorobione tutaj materialne części obijały się i żyły niezgodnie z Jego przykazaniami, to nazywa się ona „Piekło”.

Wszystkie rzeki tej wyspy płyną rozpaloną smołą, całe powietrze przesiąknięte jest zapachem przypominającym smród broniącego się tchórza, na każdym placu setki upiornych istot dmuchają w policyjne gwizdki, a wszystkie tamtejsze „meble” „dywany” „łóżka” itd. utkane są z cienkich igieł zwróconych ostrym



końcem do góry.

Każda „dusza” dostaje dziennie tylko jeden bardzo słony placek, przy czym nie ma na tej wyspie ani kropli wody pitnej. Oprócz tego można znaleźć tam jeszcze wiele innych takich katuszy, jakich ziemskie istoty nie chciałyby znosić w rzeczywistości ani nawet przeżywać w myślach.

Tak więc, mój chłopcze, gdy po raz pierwszy przybyłem do Maralplejsi, wszystkie trójmózgowe istoty tego kraju były wyznawcami „religii”, która opierała się na tej opisaney przed chwilą pomysłowej doktrynie, i ta ich „religia” przeżywała wówczas pełen rozkwit.

Sam pomysłodawca owej dowcipnej doktryny religijnej, mądry król Koniucjon, już dawno uległ świętemu Raskuarno, to znaczy dawno temu „umarł”.

Ale jego wymysł, oczywiście znów z powodu dziwnej psychiki twoich ulubieńców, tak silnie się tam zakorzenił, że w całym kraju Maralplejsi nie było ani jednej istoty, która wątpiłaby w słuszność tych jego oryginalnych prawd.

Kiedy więc przybyłem do miasta Gob, tu także od pierwszego dnia zacząłem odwiedzać kałtaany, które nazywano już wtedy „czaj chanami”.

Trzeba zaznaczyć, że również w kraju Maralplejsi kwitł w owym czasie zwyczaj składania ofiar, ale nie na tak wielką skalę, jak działo się to w Tiklamyszu.

A zatem podobnie jak w mieście Kurkalaj, także w mieście Gob zabrałem się do szukania odpowiedniej istoty, z którą mógłbym się zaprzyjaźnić.

Szybko udało mi się tam znaleźć takiego przyjaciela, tyle że tym razem nie był to zawodowy „kapłan”.

Mój tamtejszy znajomy okazał się właścicielem dużej czajchany. Chociaż byłem z nim, jak się tam mówi, w bardzo dobrych stosunkach, nigdy jednak wobec niego nie poczułem w sobie tego szczególnego „pobratymczego nastawienia”, które wcześniej pojawiło się w mojej esencji wobec kapłana Abdila w mieście Kurka-

laj.

Wprawdzie wmieście Gob egzystowałem już od miesiąca, wciąż nie wymyśliłem ani nie zrobiłem niczego sensownego dla osiągnięcia mojego celu. Wałęsałem się tylko po mieście z towarzyszącym mi nieodłącznie Aminem, wpierw odwiedzając różne czajchany, a potem już wyłącznie czajchanę mojego nowego przyjaciela.

W tym czasie poznałem wiele nawyków i obyczajów istot tej drugiej grupy, a także różne subtelności ich religii, i po miesiącu podjąłem decyzję, że również tutaj dopnę swego celu za pomocą tej ichniej religii.

Po głębszym namyśle uznałem, że do istniejącej tam „doktryny religijnej” należy coś jeszcze dodać i liczyłem na to, że tak jak mądrym królowi Koniucjonowi, uda się mi to moje uzupełnienie należycie wśród nich rozpowszechnić.

Otóż wymyśliłem, że owe duchy w „czapkach niewidkach”, które zgodnie z naukami tej wielkiej religii śledzą nasze uczynki i myśli, aby później donieść o nich naszemu „Panu Bogu” to nie kto inny jak egzystujące wśród nas istoty o innych formach.

To właśnie one nas obserwują i o wszystkim informują naszego „Pana Boga”.

A my, ludzie, nie dość, że nie oddajemy im należnej czci ani szacunku, to jeszcze niszczymy ich egzystencję i przeznaczamy je na pokarm albo składamy w ofierze.

W swoich kazaniach szczególny nacisk kładłem na to, że egzystencji istot o innych formach nie powinno się niszczyć na cześć „Pana Boga”, a wręcz przeciwnie, należy im się wysługiwać i błagać je, by nie donosiły „Panu Bogu” przynajmniej o tych drobnych niepożądanych przejawach, których dopuszczamy się nieumyślnie.

To moje uzupełnienie zacząłem rozpowszechniać za pomocą wszelkich możliwych środków, zachowując oczywiście maksymalną ostrożność.

Do propagowania tego wymysłu wykorzystałem na początku

mojego tutejszego nowego przyjaciela, wspomnianego właściciela czajchany.

Muszę zaznaczyć, że jego czajchana była jedną z największych w mieście Gob i słynęła ze swojej czerwonej cieczy, którą istoty z planety Ziemia bardzo lubią popijać.

Stąd też nigdy nie brakowało w niej gości i pozostawała otwarta dzień i noc.

Przychodzili tam nie tylko mieszkańcy miasta, ale także przyjezdni z całego Maralplejsi.

Szybko nabrałem wprawdy w przekonywaniu „do jednego i tego samego” klientów tej czajchany, czy to rozmawiając z nimi pojedynczo, czy też zwracając się naraz do wszystkich obecnych tam gości.

Również mój nowy przyjaciel, właściciel czajchany, tak mocno uwierzył w ten mój wymysł, że czując teraz skruchę za przeszłe przewinienia, nie wiedział, gdzie ma się podziać.

Był cały poruszony i gorzko żałował zarówno swojej dotychczasowej lekceważącej postawy wobec istot o różnych formach, jak i tego, w jaki sposób się z nimi obchodził.

Stając się z dnia na dzień coraz żarliwszym głosicielem mojego wymysłu, pomagał mi go rozpowszechniać nie tylko w swojej czajchanie, ale nawet z własnej dobrej woli zaczął odwiedzać inne czajchany miasta Gob, aby szerzyć tam prawdę, którą tak się przejął i która całkowicie nim zawładnęła.

Perorował na placach targowych, a kilka razy nawet specjalnie odwiedził „święte miejsca”, których było już wtedy sporo w okolicach miasta Gob i które także tutaj ufundowano na czyjaś cześć lub na pamiątkę czegoś.

Warto przy okazji zauważyć, że na planecie Ziemia opowieści będące źródłem wiary w różne święte miejsca są najczęściej tworem pewnych tamtejszych istot zwanych „łgarzami”.

Ta choroba „łgania” jest tam bardzo rozpowszechniona.

Na planecie Ziemia kłamie się świadomie i nieświadomie. Świadomie, gdy może to przynieść jakąś osobistą materialną korzyść,

a nieświadomie, kiedy zapadnie się na chorobę zwaną „histerią”.

W mieście Gob oprócz właściciela czajchany bardzo szybko zaczęło mi nieświadomie pomagać jeszcze wiele innych istot, które, podobnie jak on, stały się zagorzałymi wielbicielami mojej teorii, i skutkiem tego już niebawem wszystkie istoty drugiej grupy azjatyckiej zaczęły żarliwie rozpowszechniać mój wymysł, udowadniając sobie nawzajem tę objawioną im nagle niezaprzeczalną „prawdę”.

Rezultat był taki, że w kraju Maralplejsi nie tylko zmniejszyła się liczba składanych ofiar, lecz także zaczęto obchodzić się tam z istotami o innych formach z niespotykaną życzliwością.

Bardzo szybko staliśmy się świadkami tak komicznych scen, że choć sam byłem autorem wspomnianego wymysłu, z trudem mogłem powstrzymać się od śmiechu.

Na przykład pojawiły się tam następujące groteskowe obrazki:

Oto wielce szanowany i bogaty kupiec z miasta Gob jedzie raniem na osle do swojego sklepu, a po drodze tłum różnych istot rzuca się na tego czcigodnego kupca, zwała go na ziemię i tłucze za to, że ośmielił się usiąść na osle. Następnie ten sam tłum, oddając niskie pokłony, odprowadza osła, na którym jechał kupiec, tam, gdzie ten pierwszy sam ich zawiedzie.

Albo pewien, jak to się mówi, „drwal” ciągnie wołami drewno z lasu na sprzedaż do miasta.

Jego także tłum zwleka z wozu i sprawia mu lanie, a potem bardzo delikatnie wyprzega woły i odprowadza tam, dokąd one same mają ochotę pójść.

Gdy ciżba natrafiała na taki zaprzęg w części miasta, gdzie po porzuceniu mógł zakłócać ruch, sama wtedy ciągnęła ów wóz na targ i zostawiała go tam na pastwę losu.

Bardzo szybko mój wymysł przyczynił się do powstania w mieście Gob różnych całkiem nowych obyczajów.

Na przykład przyjął się tam zwyczaj umieszczania na wszystkich placach i skrzyżowaniach specjalnych pojemników nazywanych „paśnikami” w których co rano każdy mieszkaniec miasta

zostawiał dla psów oraz innych zbłąkanych istot o różnych formach najlepsze kęsy ze swego stołu, a także zwyczaj rzucania o świcie do Morza Dobrodziejstw wszelkiego rodzaju karmy dla istot zwanych „rybami”.

Ale najoryginalniejszy z tych nowych obyczajów polegał na pozostawianiu nieobojętnym na wszystkie dźwięki wydawane przez dwumózgowe i jednomózgowe istoty.

Na pierwszy taki dźwięk natychmiast zaczynali sławić tam imiona swych bogów, wyczekując na ich dobrodziejstwa.

Pianie koguta, szczekanie psa, miauczenie kota, pisk mały itp... – wszystko to niezmiennie powodowało, że ogarniał ich płoch.

Co ciekawe, z jakiegoś powodu zawsze w takich sytuacjach zdzierali głowy i patrzyli w górę, nawet jeśli ich doktryna religijna głosiła, że ich Bóg i Jego pomocnicy żyją z nimi na jednym poziomie, a nie tam, gdzie kierowali swój wzrok i modlitwy.

Niezwykłe zabawne było przyglądać się w takich chwilach ich fizjonomii.

– Wybacz mi, Wasza Przewielebność – przerwał w tym momencie stary oddany sługa Belzebuba, Ahun, który również słuchał tej opowieści z wielkim zainteresowaniem. – Czy Wasza Przewielebność pamięta, ile razy my sami na ulicach miasta Gob, słysząc krzyki istot o różnych formach, padaliśmy plackiem?

Na tę uwagę Belzebub odpowiedział:

– Oczywiście, że pamiętam, drogi Ahunie. Jak można byłoby zapomnieć o tak komicznych wrażeniach?!

Rzecz w tym – kontynuował, zwracając się do Hassina – że istoty planety Ziemia są niewiarygodnie dumne i obraźliwe. Jeśli przypadkiem ktoś nie podziela ich poglądów i nie chce zachowywać się tak jak one albo jeśli krytykuje ich przejawy, to reagują silnym gniewem i bardzo się obrażają.

A jeżeli na dodatek któraś z nich jest przedstawicielem jakiejś władzy, to wydaje wtedy rozkaz, aby tę drugą istotę, która bądź to ośmieliła się postąpić inaczej niż ona, bądź to skrytykowała jej

zachowanie, zamknąć w pomieszczeniu, gdzie roi się zazwyczaj od „szczurów” i „wszy”.

Czasami też ta obrażona istota, pod warunkiem że dysponuje większą siłą fizyczną i nie jest obserwowana przez żadnego innego posiadacza władzy, z którym jej stosunki układają się niezbyt dobrze, po prostu spuszcza sprawcy uchybienia takie cięgi, jakie – zgodnie z powiedzeniem naszego mądrego Mułły Nasr Eddina – niejaki Sidor sprawił kiedyś swojej ulubionej kozie.

Znając bardzo dobrze tę stronę osobliwej psychiki twoich ulubieńców, nie chciałem ich obrazić ani ściągnąć na siebie ich gniewu, tym bardziej że zawsze miałem głęboką świadomość, iż obraza czyichkolwiek uczuć religijnych przeczy wszelkiej moralności. Tak więc egzystując pośród nich, nieustannie starałem się zachowywać tak jak oni, aby niczym się nie wyróżniać i nie zwracać na siebie ich uwagi.

Nie zaszkodzi w tym miejscu zaznaczyć, że na skutek nienormalnych warunków ich zwykłej egzystencji jedyne trójmózgowe istoty zdobywające – szczególnie w ciągu ostatnich ich stuleci – renomę i szacunek na tej dziwnej planecie Ziemia to te, które manifestują się jeszcze bardziej nedorzecznie niż większość z nich. Im bardziej absurdalne i głupie są te ich przejawy, im bardziej podłe i nachalne stają się wykręcane przez nie „numery” tym większą one same zdobywają sławę i rozgłos i tym większa liczba istot z ich własnego, a nawet z innych kontynentów zna je osobiście albo przynajmniej wie o nich ze słyszenia.

I na odwrót, bez względu na to, jak dobra i mądra byłaby jakaś porządna istota, która nie zachowuje się bezsensownie, nigdy nie zyska ona sławy wśród innych istot ani nawet nie zostanie przez nie zauważona.

Tak więc, mój chłopcze, to, o czym tak zgryźliwie przypomniał mi nasz Ahun, dotyczyło właśnie zwyczaju, który przyjął się w mieście Gob i polegał na nadawaniu specjalnego znaczenia głosom istot o różnych formach, zwłaszcza zaś głosom osłów, których z jakiegoś powodu było wtedy w tym mieście bardzo dużo.

Wszystkie inne formy istot z tej planety także wydają z siebie głos, tyle że czynią to o określonej porze. Na przykład kogut pieje o północy, mała piszczki rankiem, gdy jest głodna itd. Za to tamtejsze osły ryczą, kiedy tylko się im spodoba, i dlatego głos tej durnej istoty można usłyszeć o każdej porze dnia i nocy.

Otóż, mój chłopcze, przyjęło się tam, że na pierwszy dźwięk głosu osła wszyscy, którzy go usłyszeli, padali natychmiast na ziemię, wznosząc modlitwy do swego boga i do czczonych przez siebie idoli; muszę dodać, że osły mają z natury głos bardzo donośny i ich ryk roznosi się daleko.

A zatem, gdy chodząc ulicami miasta Gob, widzieliśmy, jak jego mieszkańcy padają na twarz przy każdym ryku osła, sami zaczęliśmy robić dokładnie to samo, aby się nie wyróżniać i, jak teraz już rozumiem, to właśnie ten prześmieszny zwyczaj sprawił taką uciechę naszemu starymu Ahunowi.

Czy zauważyłeś, drogi Hassinie, z jaką satysfakcją i przyjemnością nasz staruszek po tylu stuleciach złośliwie przypomniał mi tę komiczną sytuację, w jakiej przyszło mi się wtedy znaleźć?

Powiedziawszy to, Belzebub z uśmiechem snuł dalej swą opowieść.

– Nie muszę dodawać – kontynuował – że w tym drugim centrum kultury trójmózgowych istot twojej planety, które zamieszkiwały kontynent Aszcharch, składanie na ofiarę istot o innych formach całkowicie ustało, a jeśli wyjątkowo dochodziło do takich czynów, to istoty z tej grupy same bezlitośnie rozprawiły się z winowajcami.

Tak więc upewniwszy się, że także tu, wśród istot drugiej grupy kontynentu Aszcharch, udało mi się z łatwością wykorzenić na długo zwyczaj składania ofiar, zdecydowałem się opuścić to miejsce. Na wszelki wypadek chciałem jednak jeszcze odwiedzić pobliskie duże ośrodki, w których miały siedlisko istoty z tej drugiej grupy, toteż postanowiłem udać się w górę rzeki „Naria-Czi”.

Wkrótce po podjęciu takiej decyzji popłynąłem razem z Ahunem w kierunku ujścia tej rzeki i potem, płynąc pod prąd, w cza-

sie naszych postojów przekonałem się, że tam także dotarły już z miasta Gob te same nowe zwyczaje i nowe idee dotyczące zwyczajów składania ofiar poprzez unicestwianie egzystencji innych istot.

Na samym końcu trafiliśmy do miasteczka, które nazywało się „Arguena” i uważane było wówczas za najbardziej odległy punkt kraju Maralplejsi.

Mieszkała tam całkiem pokaźna liczba istot drugiej grupy azjatyckiej, których głównym zajęciem było wydobywanie z przyrody minerału zwanego „turkusem”.

W miasteczku Arguena zacząłem odwiedzać jak zwykle rozmaite ichnie czajchany, a ponieważ okazało się, że ze względu na oddalenie tego miejsca od centrum nie dotarły tam jeszcze i nie upowszechniły się nowe idee ani obyczaje ich współplemieńców; więc również tutaj we właściwy sobie sposób wypełniałem dalej podstawowe zadanie związane z celem tej mojej wizyty na twojej nieszczęsnej planecie.



## *Rozdział 21*

### *Pierwsza wizyta Belzebuba w Indiach*

Belzebub kontynuował swoją opowieść:

– W jednej z czaj chan miasteczka Arguenia usłyszałem kiedyś przypadkiem rozmowę kilku istot siedzących niedaleko mnie, które zastanawiały się nad datą oraz innymi szczegółami ich wyprawy karawaną do Perłanii.

Przysłuchując się ich rozmowie, wywnioskowałem, że chcą tam dotrzeć, aby wymienić na miejscu swoje „turkusy” na, jak je nazywali, „perły”.

Tutaj aż samo się prosi, żeby podkreślić, że zarówno dawniej, jak i w czasach współczesnych twoi ulubieńcy zawsze lubili nosić perły oraz rzeczony turkusy, a także wiele innych „drogocennych świecidełek” w celu, jak sami mówią, „upiększenia” swojego wyglądu. Ale jeśli chcesz znać moją opinię, to czynią to oczywiście instynktownie, aby przynajmniej w ten sposób podnieść, jakby to określili, „wartość swojego wewnętrznego, samego w sobie znikomego znaczenia”.

W okresie, do którego nawiązuje moja opowieść, wspomniane perły stanowiły wśród istot drugiej grupy azjatyckiej wielką rzadkość i osiągały bardzo wysokie ceny. Za to w Perłanii było ich wtedy zatrzęsienie i kosztowały o wiele taniej, ponieważ w tamtej epoce wszystkie łowiska pereł znajdowały się na obszarach wodnych otaczających ten kraj.

Rozmowa, którą toczyły istoty siedzące koło mnie w czaj chanie miasteczka Arguenia, natychmiast wzbudziła moje zainteresowanie, sam bowiem nosiłem się z zamiarem podróży do Perłanii, będącej siedliskiem trójmózgowych istot, które należały do trzeciej grupy kontynentu Aszcharch.

Ta rozmowa od razu wywołała w moim umyśle następujące

skojarzenie: Czyż nie byłoby lepiej udać się stąd bezpośrednio do Perłanii razem z dużą karawaną tych istot, zamiast wracać do Morza Dobrodziejstw i dopiero stamtąd wyruszyć do tego kraju na statku „Okazja”?

Pomyślałem sobie, że chociaż taka droga, nawiasem mówiąc, prawie nie do pokonania dla ówczesnych ziemskich istot, zajmie niewątpliwie dużo czasu, to z drugiej strony powrotna podróż do Morza Dobrodziejstw wraz z towarzyszącymi jej niespodziankami będzie pewnie trwała prawie tyle samo.

A takie skojarzenie pojawiło się wtedy w moich myślach głównie dlatego, że już od dawna wiele słyszałem o rzadkich osobliwościach przyrody owych miejsc tej oryginalnej planety, przez które zgodnie z planem miała przeciągać nasza karawana, stąd też pewna, skryzalizowana już we mnie, „istnieniowa żądza wiedzy”, otrzymawszy z usłyszanej rozmowy impuls do działania, natychmiast zaczęła dyktować mojej zbiorczej obecności potrzebę przekonania się o wszystkim osobiście, to znaczy bezpośrednio za pomocą moich własnych organów postrzegania.

Taka była, mój chłopcze, przyczyna tego, że umyślnie przysiadłem się do tych rozmawiających istot i wtrąciłem się do dyskusji.

W rezultacie tego wszystkiego Ahun i ja dołączyliśmy do ich karawany i dwa dni później wyruszyliśmy razem z nimi w drogę.

Mijaliśmy miejsca naprawdę niezwykle, i to niezwykle, nawet biorąc pod uwagę całą przyrodę tej oryginalnej i nieszczęsnej planety, której pewne części, nawiasem mówiąc, wyglądają właśnie w ten sposób, ponieważ przeżyła ona do tego czasu dwie niemające prawie precedensu we Wszechświecie perturbacje transapalne.

Już od pierwszego dnia szliśmy przez wąwozy, nad którymi górowały „występy skalne” o niezwykłych formach, będące skupiskami wszelkiego rodzaju „wewnątrzplanetarnych minerałów”.

Dopiero po podróży trwającej – zgodnie z ich rachubą czasu – miesiąc nasza karawana dotarła z Arguenii do obszaru, w którym

Przyroda jeszcze nie całkiem straciła możliwości tworzenia zarówno formacji naplanetarnych w swojej glebie, jak i odpowiednich warunków, niezbędnych do powstawania oraz egzystencji różnych jednomózgowych i dwumózgowych istot.

Po najrozmaitszych perypetiach, kiedy któregoś jasnego poranka pokonywaliśmy pewne wzniesienie, zobaczyliśmy nagle na horyzoncie zarys olbrzymiej przestrzeni wodnej oblewającej ów rejon kontynentu Aszcharch, który nazywał się wówczas „Perłania”.

Cztery dni później dotarliśmy do głównego ośrodka egzystencji istot tej trzeciej grupy; to znaczy do ówczesnego miasta „Kajamon”.

W pierwszych dniach, już po zorganizowaniu miejsca naszego stałego pobytu, ja i Ahun nie robiliśmy tam nic prócz tego, że chodziliśmy ulicami miasta, obserwując specyficzne przejawy istot tej trzeciej grupy w procesie ich zwykłej egzystencji.

Nie ma rady, drogi Hassinie!

Skoro opowiedziałem ci już historię pojawienia się drugiej grupy trójmózgowych istot kontynentu Aszcharch, muszę teraz zrobić to samo z trzecią...

– Opowiadaj, opowiadaj, mój drogi i kochany dziadku! – wykrzyknął z radością Hassin. A następnie z wielką czcią, wyciągając ręce do góry, wypowiedział te szczerze słowa:

– Niechaj mój drogi i dobry dziadek zasłuży sobie na udoskonalenie się w rozumie do stopnia Świętego Ankłada!

Belzebub nic nie odpowiedział, tylko uśmiechnął się i kontynuował opowieść:

– Historia powstania trzeciej grupy istot azjatyckich miała swój początek zaraz po okresie, w którym rodziny łowców pirmarali przybyły z kontynentu Atlantyda na wybrzeże Morza Dobrodziejstw i osiedliwszy się tam, założyły drugą grupę azjatyckich istot.

Otóż już w tych niepamiętnych dla twoich współczesnych ulubieńców czasach, czyli tuż przed drugą perturbacją transapalną,

której uległa ta nieszczęsna planeta, w obecnościach ówczesnych trój centrowych istot kontynentu Atlantyda zaczęły się krystalizować pewne następstwa właściwości organu kundabufor, wskutek czego wśród wielu innych nietypowych dla trójmózgowych istot potrzeb pojawiła się w nich na trwałe również potrzeba zakładania na siebie, jak już ci mówiłem, różnych świecidełek, które miały ponoć służyć im do ozdoby, a także spełniać rolę czegoś w rodzaju owych sławetnych wymyślonych przez nich „talizmanów”.

Właśnie jednym z takich świecidełek stała się wspomniana „perła” i to zarówno wtedy na kontynencie Atlantyda, jak i dziś na wszystkich innych kontynentach planety Ziemia.

Perły, mój chłopcze, formują się w pewnych jednomózgowych istotach żyjących w „saliakuriapie” planety Ziemia, to znaczy w jej części zwanej „hantralispaną” – co w tłumaczeniu na język twoich ulubieńców znaczy „krew planety” – która występuje w zbiorczej obecności każdej planety i służy do realizacji procesu przeogromnego ogólnokosmicznego Trogoautoegokrata, i która tam, na twojej planecie, nazywa się „woda”.

Siedlisko owych jednomózgowych istot, w których formuje się wspomniana perła, znajdowało się na początku wewnątrz obszarów „saliakuriapnych”, czyli wodnych, otaczających kontynent Atlantyda, ale wskutek wielkiego zapotrzebowania na rzeczony perły te perłonośne istoty zostały tak wytrzebione, że już niebawem w pobliżu tego kontynentu zniknął po nich ślad. Kiedy więc tamtejsze istoty, które celem i sensem swej egzystencji uczyniły unicestwienie takich perłonośnych istot – a uśmiercały je tylko po to, by uzyskać część ich zbiorczej obecności zwaną perłą, zaspokajając w ten sposób swój zupełnie durny egoizm – nie mogły już znaleźć tych perłonośnych istot w wodach otaczających kontynent Atlantyda, zaczęły wtedy poszukiwać ich na innych obszarach wodnych i stopniowo coraz bardziej oddaliły się od swojego kontynentu.

Pewnego razu podczas takich poszukiwań ich tratwy zostały zniesione przez „długotrwałe przemieszczenia saliakuriapne”

lub, jak się tam mówi, przez „burze” na miejsce obfitujące w perłonośne istoty i znakomicie nadające się do wytępienia tych istot w dobrze już opanowany sposób.

Te obszary wodne, które obfitowały w istoty perłonośne i na które natrafili przypadkiem niszczyciele owych istot, to właśnie wody oblewające do dzisiaj rejon zwany wtedy „Perłanią”, a obecnie „Hindustanem” lub „Indiami”.

Ci ówczesni zawodowi ziemscy poszukiwacze pereł, którzy dotarli tam przez przypadek, w pierwszych dniach zajmowali się tylko zaspokajaniem do cna swojej – przynależnej już ich obecności – potrzeby wytępienia takich jednomózgowych istot z własnej planety. Dopiero później; kiedy również przypadkowo dowiedzieli się, że na pobliskich terenach można znaleźć pod dostatkiem prawie wszystko, co jest potrzebne do zwykłej egzystencji, postanowili już nie wracać na Atlantyde i osiedlili się tam na stałe.

Tylko paru spośród tych niszczycieli istot perłonośnych wróciło na kontynent Atlantyda, aby wymienić tam perły na różne artykuły, których na razie jeszcze brakowało w ich nowym miejscu, po czym, zabrawszy ze sobą własne rodziny oraz rodziny istot pozostałych w Perłanii, wyruszyli w drogę powrotną.

Później także inni z tych pierwszych osadników owego „nowego” dla ówczesnych istot kraju często odwiedzali swoją dawną ojczyznę po to, by wymienić tam perły na potrzebne im artykuły, i za każdym razem wracając, zabierali ze sobą paru krewnych lub bliskich, lub też po prostu robotników, których potrzebowali do wykonywania na miejscu żmudnej pracy.

Tak więc, mój chłopcze, ta część powierzchni planety Ziemia stała się od tamtej pory znana wszystkim tamtejszym trójmózgowym istotom – z których większość w owym czasie wciąż jeszcze miała swoje siedlisko na kontynencie Atlantyda – jako „Kraina Obfitości”.

W ten sposób już przed drugim wielkim nieszczęściem, jakie spotkało planetę Ziemia, na wspomnianej części kontynentu Aszcharch egzystowało dużo istot z kontynentu Atlantyda, a potem,

kiedy ten ostatni zapadł się do środka twojej planety, wiele spośród przypadkowo ocalałych tamtejszych istot, przede wszystkim zaś te, które miały już krewnych i pobratymców w Perłanii, stopniowo zaczęło się do niej przenosić.

Także tam, w Perłanii, z powodu swojej „płodności” szybko się one rozmnożyły i zaczęły coraz gęściej zaludniać tę część powierzchni ich planety.

Początkowo osiedlały się w Perłanii tylko w dwóch rejonach, a mianowicie w okolicach ujść dwóch dużych rzek, które płynęły z głębi Perłanii i wpadały do wielkich obszarów wodnych akurat w pobliżu miejsc obfitujących w istoty perłonośne.

Ale później, kiedy zrobiło się ich tam już za dużo, zaczęły się osiedlać także w głębi kraju, jakkolwiek ich ulubionymi rejonami pozostały nadal wspomniane doliny dwóch rzek.

Gdy po raz pierwszy przybyłem do Perłanii, postanowiłem, że również tutaj dopnę swego celu za pomocą istniejącej w tym miejscu „hawatwernoni”, czyli ichniej religii.

Okazało się jednak, że istoty trzeciej grupy kontynentu Aszcharch miały wówczas kilka odrębnych hawatwernoni lub religii i że każda z nich opierała się na całkiem niezależnych i niemających ze sobą nic wspólnego „nauczaniach religijnych”.

Z tego względu najpierw wnikliwie przestudiowałem te nauczania i stwierdziwszy, że jedno z nich, a mianowicie to oparte na naukach pewnego prawdziwego posłańca NASZEGO WSPÓLNEGO NIESKOŃCZONEGO STWORZYCIELA – posłańca nazwanego później Świętym Buddą – ma najwięcej wyznawców, właśnie na nim skupiłem przede wszystkim swą uwagę.

Zanim będę kontynuował moją opowieść o trójmózgowych istotach, które mają siedlisko na tej części powierzchni planety Ziemia, chcę teraz choćby pobieżnie zasygnalizować ci, że odkąd u twych ulubieńców pojawił się i utrwalił zwyczaj wyznawania różnych hawatwernoni lub religii, odtąd zaczęły istnieć wśród nich i do dzisiaj istnieją dwa podstawowe rodzaje nauczania religijnych.

Pierwszy rodzaj wymyśliły te trójmózgowe istoty, których psychika zaczyna z jakiegoś powodu funkcjonować w sposób typowy dla Hasnamusów, natomiast nauczania drugiego rodzaju opierają się rzekomo na szczegółowych wskazówkach udzielonych przez autentycznych posłańców z Góry, których faktycznie od czasu do czasu wysyłali niektórzy z najbliższych pomocników NASZEGO WSPÓLNEGO OJCA, by pomogli trójmózgowym istotom twojej planety w niszczeniu skryzalizowanych w ich obecnościach następstw właściwości organu kundabufor.

Ta wyznawana przez większość istot Perłanii religia, której poświęciłem wówczas całą swoją uwagę i o której, jak sądzę, powinienem ci teraz nieco opowiedzieć, powstała tam w następujących okolicznościach:

Otóż; jak się później dowiedziałem, kiedy trójmózgowe istoty tej trzeciej grupy już się rozmnożyły i wiele z nich nabrało wprawdzie w procesie dorastania „hasnamuskich” właściwości; a potem, osiągnąwszy wiek odpowiedzialny zaczęło rozpowszechniać wokół idee ponadprzeciętnie szkodliwe, wtedy w obecnościach większości trójcentrowych istot tej trzeciej grupy zaczęła się krystalizować owa szczególna cecha psychiczna, która w sumie doprowadziła do powstania czynnika niezwykle utrudniającego normalną „wymianę substancji” urzeczywistnianą przez przeogromnego ogólnokosmicznego Trogoautoegokrata.

Tak więc od razu; gdy pewne Przenajświętsze Indywidua dostrzegły ten godny pożałowania rezultat – po raz kolejny pochodzący z tej samej planety – okazały się na tyle łaskawe, że raczyły specjalnie wysłać do tej grupy istot odpowiednie Święte Indywiduum, którego zadaniem było w miarę dokładne wyregulowanie ich egzystencji istnieniowej zgodnie z egzystencją całego tego układu słonecznego.

To Święte Indywiduum przyoblekło się w ciało planetarne ziemskiej istoty trójmózgowej, która, jak już ci mówiłem, otrzymała imię Świętego Buddy.

Takie obleczenie wspomnianego Świętego Indywiduum w ciało

planetarne ziemskiej istoty trójmózgowej dokonało się kilka stuleci przed moją pierwszą wizytą w Perłanii.

W tym miejscu opowieści Hassin przerwał Belzebubowi i zwrócił się do niego, mówiąc:

– Drogi dziadku, już wiele razy w swych opowieściach użyłeś wyrażenia „Hasnamus”. Jak dotąd tylko z intonacji twojego głosu i samego brzmienia tego słowa zrozumiałem, że mianem tym określasz takie trójmózgowe istoty, które nieustannie oddzielasz od wszystkich innych istot, ponieważ zdają się one zasługiwać na „obiektywną pogardę”.

Bądź dobry jak zawsze i wyjaśnij mi prawdziwe znaczenie oraz dokładny sens tego słowa.

Belzebub z właściwym sobie uśmiechem odpowiedział, co następuje:

– Jeśli chodzi o ten „typ” trójmózgowych istot, w stosunku do których używam tego wyrażenia, to powiem ci o nim więcej we właściwym czasie; na razie wiedz tylko, że słowo to określa ukształtowaną już zbiorczą obecność trójmózgowej istoty, czy to składającej się jedynie z ciała planetarnego, czy też posiadającej już obleczone wyższe ciała istnieniowe, w której z jakiegoś powodu nie skryzalizowały się żadne dane potrzebne do boskiego impulsu „obiektywnego sumienia”.

Ograniczywszy się do takiego wyjaśnienia słowa „Hasnamus” Belzebub kontynuował:

– Tak więc, mój chłopcze, w trakcie moich szczegółowych studiów nad wspomnianym nauczaniem religijnym udało mi się jeszcze dowiedzieć, że to Święte Indywiduum, już definitywnie oblekłszy się w obecność tamtejszej trójmózgowej istoty, zaczęło poważnie rozmyślać nad sposobem, w jaki mogłoby się wywiązać z wyznaczonego mu z Góry zadania, i ostatecznie postanowiło dokonać tego poprzez oświecenie ich rozumu.

Trzeba tu koniecznie zaznaczyć, że do tego czasu – o czym również dowiedziałem się dzięki moim drobiazgowym badaniom – w obecności Świętego Buddy skryzalizowało się już bardzo jasne



pojęcie o tym, że rozum trój centrowych istot planety Ziemia stał się w trakcie nienormalnego procesu swojego kształtowania rozumem „instynktowo-łechtliwym”, czyli takim, który funkcjonuje tylko dzięki odpowiednim wstrząsom z zewnątrz. Nie bacząc na to, Święty Budda postanowił, że osiągnie swój cel za pomocą tego tak osobliwego dla trój centrowych istot rozumu, toteż w pierwszej kolejności zaczął uświadamiać temu ich oryginalnemu rozumowi wszelkiego rodzaju obiektywne prawdy.

Najpierw Święty Budda zebrał wielu przywódców owej trzeciej grupy azjatyckiej i powiedział do nich:

„Istoty mające obecność na podobieństwo WSZECHSTWÓRCY!

Moja esencja została wysłana do was przez pewne Wszechwidzące i Przenajświętsze Końcowe Rezultaty – które absolutnie sprawiedliwie kierują urzeczywistnianiem wszystkiego, co istnieje we Wszechświecie – po to, by mogła się stać dla każdego z was czynnikiem wspierającym go w dążeniu do uwolnienia się od następstw nienormalnych właściwości istnieniowych, które zostały wszczepione w obecność waszych przodków gwoli zaspokojenia bardzo ważnych ogólnokosmicznych potrzeb i które przekazywane dziedzicznie z pokolenia na pokolenie dotarły także do was”.

Święty Budda poruszył ten temat jeszcze raz, i to bardziej szczegółowo, ale już tylko w kręgu pewnych tamtejszych istot, które on sam wtajemniczył.

Podejmując ten temat, użył wtedy, jak się okazało, następujących słów:

„Istoty mające obecność ziszczającą nadzieje NASZEGO WSPÓLNEGO OJCA!

Niemal na samym początku powstania waszego gatunku w procesie normalnej egzystencji całego tego układu słonecznego zaszło nieoczekiwane nieporozumienie, które pociągnęło za sobą poważne następstwa dla wszystkiego, co istnieje.

Aby złagodzić skutki tego wszechświatowego nieporozumienia, trzeba było – zgodnie z dedukcjami pewnych Bardzo Wyso-

kich i Przenajświętszych Indywiduów – wprowadzić między innymi określone zmiany w funkcjonowaniu zbiorczej obecności waszych przodków, a mianowicie wszczepić im pewien organ o specjalnych właściwościach, które spowodowały, że wszystko, co było postrzegane na zewnątrz przez całą ich obecność i przekształcane w ich własną powłokę, manifestowało się w nich potem niezgodnie z rzeczywistością.

Nieco później, gdy normalna egzystencja tego układu słonecznego już się ustabilizowała i nie było potrzeby uciekania się do różnych specjalnie stworzonych realizacji, NASZ WSZECHMIŁOSIERNY WSPÓLNY OJCIEC nie omieszkał bezzwłocznie wydać polecenia, by zlikwidować niektóre tego rodzaju sztuczne środki, w tym także usunąć ze zbiorczych obecności waszych przodków ów teraz już zbędny organ kundabufor wraz ze wszystkimi jego specyficznymi właściwościami, i takie polecenie zostało natychmiast wykonane przez odpowiednie Świąte Indywidua, które sprawowały kontrolę nad tego typu kosmicznymi realizacjami.

Ale o wiele później okazało się nagle, że te Świąte Indywidua, choć rzeczywiście usunęły z obecności waszych przodków wspomniany organ wraz ze wszystkimi jego właściwościami, to ani nie przewidziały, ani też nie zniszczyły kosmicznego rezultatu zwanego «skłonnością», który zgodnie z prawem pojawia się w każdej mniej więcej samodzielnej obecności kosmicznej wskutek wielokrotnego powtórzenia w niej działania którejkolwiek z funkcji.

Tak więc z powodu takiej «soczystej skłonności», która zaczęła przechodzić dziedzicznie z pokolenia na pokolenie, stopniowo w ich obecnościach zaczęły się krystalizować następstwa wielu właściwości organu kundabufor.

Gdy tylko zauważono w obecnościach trójmózgowych istot mających siedlisko na planecie Ziemia ten pożałowania godny fakt, wówczas za wszechmiłosierną zgodą NASZEGO WSPÓLNEGO OJCA pojawiło się wśród was odpowiednie Świąte Indywiduum, które oblekłszy się w obecność ziemskiej istoty trójcentro-

wej, w panujących tutaj warunkach udoskonaliło się w obiektywnym rozumie i dzięki temu mogło lepiej wyjaśnić oraz wskazać wam sposoby wykorzenienia z waszej obecności zarówno skrytalizowanych już następstw właściwości organu kundabufor, jak i tej dziedzicznej «soczystej skłonności» do nowych krystalizacji.

W okresie, kiedy to Święte Indywiduum, oblekwszy się w obecność taką jak wasza i osiągnąwszy wiek odpowiedzialnej ziemskiej istoty trójmózgowej, zaczęło bezpośrednio kierować zwykłym procesem egzystencji istnieniowej waszych przodków, wielu z nich faktycznie całkowicie uwolniło się od następstw właściwości organu kundabufor i dzięki temu bądź pozyskało dla siebie Bycie, bądź też stało się normalnymi źródłami normalnych obecności takich jak oni «rezultatów».

Ponieważ jednak jeszcze przed pojawieniem się tutaj tego Świętego Indywiduum wiele nienormalnych warunków zwykłej egzystencji, które wy sami stworzyliście i które już bardzo silnie się ugruntowały, nadmiernie skróciło długość tej waszej egzystencji, więc także owo Święte Indywiduum musiało bardzo szybko ulec procesowi świętego Raskuarno, czyli podobnie jak wy, było zmuszone przedwcześnie umrzeć, nie zdążwszy dopełnić swego przeznaczenia; to właśnie dlatego po jego śmierci, z jednej strony wskutek mocno utrwalonych nienormalnych warunków zwykłej egzystencji istnieniowej, a z drugiej z powodu owej szkodliwej właściwości waszej psychiki, która zwana jest «mądrzeniem się», wszystko stopniowo wróciło tu do poprzedniego stanu.

Ze względu na tę osobliwość waszej psychiki już w drugim pokoleniu wszelkie wyjaśnienia i wskazówki, które to Święte Indywiduum zesłane z Góry przekazało swoim współczesnym, zaczęły być przeinaczane, aż w końcu przepadły bez śladu.

Przenajświętsze Najwyższe Ogólnokosmiczne Końcowe Rezultaty jeszcze parokrotnie podejmowały się takich samych realizacji, ale za każdym razem okazywały się one równie nieskuteczne.

W danym okresie upływu czasu, gdy nienormalna egzystencja istnieniowa trójmózgowych istot waszej planety, a szczególnie

istot zamieszkujących tę część powierzchni Ziemi, która nazywa się «Perłania», stała się poważną przeszkodą w normalnej harmonijnej egzystencji całego tego układu słonecznego, moja esencja zmanifestowała się pośród was z Góry, aby na miejscu i w ustalonych już tutaj warunkach znaleźć wspólnie z waszymi esencjami sposoby na wykorzenienie z waszych obecności wspomnianych następstw, które nosicie dzisiaj w sobie z powodu nieprzeznaczenia pewnych Przenajświętszych Kosmicznych Końcowych Rezultatów”.

Po tym wystąpieniu Święty Budda zaczął toczyć z nimi rozmowy, dzięki którym w pierw uczynił jasnym dla siebie samego, a następnie również im mógł wytłumaczyć, jak powinien przebiegać proces ich egzystencji oraz w jakiej kolejności ich „część dodatnia” ma świadomie pokierować przejawami ich części nieświadomych, tak by stopniowo zaczęły zanikać w ich zbiorczych obecnościach zarówno skryzalizowane już następstwa właściwości organu kundabufor, jak i wspomniana wcześniej skłonność dziedziczna.

Jak ustaliłem – znowu dzięki moim szczegółowym badaniom – w okresie, gdy ów autentyczny posłaniec z Góry, Święty Budda, sprawował pieczę nad wewnętrzną psychiką istot tej części powierzchni Ziemi, z obecności wielu z nich rzeczywiście zaczęły powoli zniknąć te tak zgubne dla nich następstwa.

Jednakże ku rozżaleniu każdego Indywiduum obdarzonego dowolnym stopniem czystego rozumu, a także na nieszczęście trójmózgowych istot wszystkich następnych pokoleń, które przysły na świat na tej planecie, już pierwsi potomkowie rówieśników tego autentycznego posłańca z Góry, Świętego Buddy, padli ofiarą owej osobliwości ich psychiki zwanej „mądrzeniem się” – do dzisiaj stanowiącej jeden z głównych rezultatów nienormalnie ustalonych tam warunków zwykłej egzystencji istnieniowej – i sami zaczęli się wymądrzać na temat wszystkich jego wskazówek oraz rad, aż tak to wszystko „przemądrzyli”, że do istot z trzeciego i czwartego pokolenia dotarło już nie więcej niż to, co nasz czcigodny Mułła Nasr Eddin określa słowami:

„Tylko parę informacji dotyczących jego specyficznej woni”.

Te jego wskazówki i rady zostały przez nich stopniowo tak przeinaczone, że gdyby ich święty autor niespodziewanie pojawił się tam we własnej osobie i z jakiegoś powodu zechciał się z nimi zapoznać, to pewnie nawet by się nie domyślił, że sam ponoć ich kiedyś udzielił.

W tym miejscu nie mogę powstrzymać się od wyrażenia esencjalnego żalu z powodu pewnej oryginalnej praktyki twoich ulubieńców, która na przestrzeni wielu ichnich stuleci nabrała w procesie ich zwykłej egzystencji mocy prawa.

Ta ustanowiona tam i już solidnie ugruntowana oryginalna praktyka również w danym wypadku przyczyniła się do wypaczenia wszystkich prawdziwych wskazań oraz ścisłych rad Świętego Buddy i stworzenia w ten sposób kolejnego czynnika powodującego coraz większe rozcieńczenie ich psychiki.

Owa ustalona tam już od dawna praktyka polega na tym, że nawet najmniejsza, często zupełnie błaha przyczyna potrafi zmienić u nich na gorsze czy wręcz całkowicie zniszczyć każde ustalone wcześniej zewnętrzne i wewnętrzne „tempo zwykłej egzystencji”, które w obiektywnym znaczeniu tego słowa jest „dobre”.

Biorąc pod uwagę, mój chłopcze, że wyjaśnienie pewnych szczegółów powstania takiej błahej przyczyny – która w danym wypadku stała się podstawą wypaczenia zarówno wszystkich prawdziwych wyjaśnień, jak i ścisłych wskazówek autentycznego posłańca z Góry, Świętego Buddy – może dostarczyć doskonałego materiału, abyś mógł lepiej odczuć i zrozumieć osobliwości psychiki tych przypadłych ci do gustu trój mózgowych istot, opowiem o niej jak najdokładniej i wyjaśnię ci zarazem kolejność, w jakiej zmanifestowała się ta wspomniana praktyka będąca źródłem całego dalszego „smutnego nieporozumienia”, które istnieje tam od tej pory i zwłaszcza teraz daje się we znaki.

Po pierwsze, powinieneś wiedzieć, że z tego ich nieporozumienia zdałem sobie sprawę dopiero po upływie długiego czasu od okresu, o którym w tej chwili ci opowiadam. Udało mi się je

w końcu wyjaśnić w trakcie mojego szóstego zstąpienia na ową planetę, kiedy to w związku z pewną kwestią dotyczącą Świętego Asziaty Szyjemasza, o którym także wkrótce szczegółowo ci opowiem, musiałem się zapoznać z jednym faktem z działalności tego autentycznego posłańca z Góry, Świętego Buddy.

Niestety, jak się okazało, przyczyna tego przykrego nieporozumienia leży w pewnych słowach, które wypowiedział sam Święty Budda, udzielając jednego ze swoich wyjaśnień.

Otóż Święty Budda pewnego razu w kręgu swoich najbliższych wtajemniczonych mówił bardzo konkretnie o metodach zniszczenia w ich naturze następstw właściwości organu kundabufor, które zostały im przekazane dziedzicznie.

Między innymi niezwykle klarownie powiedział im wtedy rzecz następującą:

„Jeden z najlepszych sposobów zapobiegania skłonnościom do krystalizowania się w waszej naturze następstw właściwości organu kundabufor to «zamierzone cierpienie», a największe zamierzone cierpienie, jakie potrafimy wywołać w naszych obecnościach, polega na zmuszaniu się do cierpliwego znoszenia «skierowanych względem nas nieprzyjemnych przejawów innych»”.

Wpierw to wyjaśnienie Świętego Buddy razem z resztą jego dokładnych wskazówek było rozpowszechniane wśród tamtejszych zwykłych istot przez jego najbliższych, których sam wtajemniczył, a potem, kiedy uległ już świętemu procesowi Raskuarno, zaczęło być przekazywane także z pokolenia na pokolenie.

Tak więc, mój chłopcze, jak już ci mówiłem, od czasu zagłady Atlantydy utrwaliła się w psychice tych trójcentrowych istot właściwość zwana „organiczno-psychiczną potrzebą mądrzenia się”. Pod wpływem tej osobliwej właściwości tamtejsze istoty z drugiego i trzeciego pokolenia rówieśników Świętego Buddy zaczęły – na nieszczęście wszystkich zwykłych ówczesnych istot trójcentrowych, a także istot wszystkich kolejnych pokoleń aż po dzień dzisiejszy – mądrzyć się i wymądrzać również na temat wspomnianej rady Świętego Buddy, skutkiem czego ugruntował

się tam bardzo jasno określony pogląd, który również zaczął być przekazywany z pokolenia na pokolenie, że wspomniana „cierpliwość” powinna koniecznie manifestować się w zupełnym odosobnieniu.

W danym wypadku dziwaczność psychiki twoich ulubieńców przejawiała się i nadal przejawia w tym, że oni do dzisiaj nie uświadomili sobie tego oczywistego dla każdego względnie zdrowego rozumu faktu, iż boski nauczyciel Święty Budda, zalecając im praktykowanie takiej „cierpliwości” miał niewątpliwie na myśli, że cierpliwość tę powinni ćwiczyć, egzystując pośród innych istot do nich podobnych, aby częste wytwarzanie w ich obecnościach takiej świętej realizacji istnieniowej w obliczu nieprzyjemnych przejawów tych podobnych do nich istot wywołało w nich samych to, co nazywa się „trentrudianos” lub, jak powiedzieliby, „psychiczno-chemiczny rezultat”, który z reguły wykształca w zbiorczych obecnościach wszystkich istot trójcentrowych ową istnieniową świętość, pozwalającą na urzeczywistnienie jednej z trzech świętych sił świętego istnieniowego Triamazikamno, a mianowicie tej świętej siły, która zawsze reprezentuje w istotach siłę twierdzącą w stosunku do wszystkich obecnych już w nich właściwości przeczących.

A zatem, mój chłopcze, od czasu, gdy zaczął się tam szerzyć wspomniany ustalony pogląd, niektórzy z twoich ulubieńców zaczęli porzucać te ugruntowane już warunki egzystencji istnieniowej będące przyczyną tego, że w ich obecnościach wzmożła się skłonność do krystalizacji następstw właściwości organu kundabufor – to znaczy zaczęli porzucać jedyne warunki, w jakich zgodnie z przewidywaniami boskiego nauczyciela Buddy rzeczony „cierpliwe znoszenie skierowanych względem nas nieprzyjemnych przejawów innych” mogło spowodować w ich zbiorczych obecnościach krystalizację celowych realizacji pod nazwą „partkdołgpowinności”, których spełniania wymaga się od wszystkich trójcentrowych istot i bez których niemożliwe jest jakiegokolwiek „samodoskonalenie”.

Tak więc, aby wystawić się na te ich sławetne „cierpienia” wie-

le trój centrowych istot twojej planety zaczęło wtedy w pojedynkę albo w grupach – to znaczy ze współwyznawcami tych samych idei – opuszczać środowisko istot do nich podobnych.

W tym celu utworzyły nawet specjalne osady, w których żyły wprawdzie na zasadzie wspólnoty, ale wszystko było tam tak zorganizowane, by tę swoją „cierpliwość” mogły praktykować w samotności.

To właśnie w tym czasie pojawiły się po raz pierwszy ich przesławne „klasztory”, które istnieją tam do dziś i gdzie niektórzy z twoich ulubieńców rzekomo, jak sami mówią, „zbawiają swoje dusze”.

Otóż, mój chłopcze, w czasie mojej pierwszej wizyty w Perłanii większość tamtejszych trójmózgowych istot wyznawała, jak już wspominałem, właśnie tę religię, która ponoć opierała się na precyzyjnych radach i wskazówkach samego Świętego Buddy, i w każdej z tych istot wiara w ową religię była niewzruszona.

Na początku moich badań nad różnymi subtelnościami tego nauczania religijnego nie miałem jeszcze żadnego konkretnego pomysłu na to, jak można by je wykorzystać do osiągnięcia mojego celu; ale kiedy w toku mych dociekań przypadkowo natrafiłem na bardzo jasno sformułowane i wspólne wszystkim wyznawcom tej religii pojęcie, które także opierało się na błędnym zrozumieniu słów wypowiedzianych, rzeczywiście przez samego Świętego Buddę, wówczas od razu zadecydowałem, w jaki sposób również tutaj powinienem posłużyć się tą ich szczególną hawatwernoni lub religią.

Okazało się, że Święty Budda, tłumacząc im pewne prawdy kosmiczne, powiedział między innymi, że na Ziemi każda trójcentrowa istota – tak jak wszystkie trójcentrowe istoty z różnych planet naszego Wielkiego Wszechświata – to w rzeczywistości tylko cząstka tej Przeogromnej Wielkości, która jest Wszechobjęciem wszystkiego, co istnieje, i że podstawa tej Przeogromnej Wielkości znajduje się tam, Na Górze, aby dzięki temu łatwiej było objąć esencję wszystkiego, co istnieje.



Ta Przeogromnie Wielka Podstawa Wszechobjęcia wszystkiego, co istnieje, nieprzerwanie rozsyła emanacje po całym Wszechświecie, skutkiem czego na planetach w pewnych trójcentrowych istotach, które nabrały w swych zbiorczych obecnościach zdolności samodzielnego funkcjonowania obu podstawowych praw kosmicznych: świętego Heptaparaparszynoch oraz świętego Triamazikamno, obleka się w jej cząstki określona jednostka mająca niepowtarzalną możliwość skupiania i ugruntowywania w sobie Obiektywnego Boskiego Rozumu.

A przewidział i urzeczywistnił to w ten sposób NASZ WSPÓLNY STWÓRCA, aby te uduchowione już przez Boski Rozum cząstki Wielkiego Wszechobjęcia mogły powrócić i ponownie złączyć się z Przeogromnym Praźródłem Wszechobjęcia, tworząc ową Całość, dzięki której zgodnie z nadzieją NASZEGO WSPÓLNEGO JEDNOBYTNEGO NIESKOŃCZONEGO powinien ziścić się sens oraz dążenie wszystkiego, co istnieje w całym Wszechświecie.

Okazuje się, że potem Święty Budda powiedział im jeszcze:

„Wy, trójcentrowe istoty planety Ziemia, którym dana została możliwość posiadania w sobie autonomicznego funkcjonowania dwóch podstawowych uniwersalnych świętych praw, możecie w pełni oblec się w tę przeświątą cząstkę Wielkiego Wszechobjęcia wszystkiego, co istnieje, i jednocześnie udoskonalić ją do odpowiedniego stopnia Boskiego Rozumu.

A takie Wielkie Wszechobjęcie Wszechobjętego nazywa się «Święta Prana»”.

To precyzyjne wyjaśnienie Świętego Buddy zostało prawidłowo zrozumiane przez jego współczesnych i wielu z nich, jak już powiedziałem, zaczęło wprawdzie dążyć do przyswojenia sobie i obleczenia w swoich obecnościach cząstek tej Przeogromnej Wielkości po to, by móc potem przejawiać za ich pomocą Obiektywny Boski Rozum.

Ale istoty z drugiego i trzeciego pokolenia rówieśników Świętego Buddy tak zaczęły się mądrzyć na temat jego wyjaśnień dotyczących kosmicznych prawd, że swoim oryginalnym rozumem

wymądrzyły, a następnie wprowadziły na stałe do późniejszego przekazu określone pojęcie mówiące o tym, że ów „Pan Prana” znajduje się w nich już od samego momentu ich narodzin.

Wskutek tego nieporozumienia zarówno istoty z tamtej epoki, jak i te ze wszystkich następnych pokoleń wyobrażały sobie – co zresztą nadal czynią istoty współczesne – że bez spełnienia jakichkolwiek partkdołgpowinności istnieniowych one już stanowią część tej Przeogromnej Wielkości, którą Święty Budda tak : bardzo precyzyjnie zdefiniował.

Tak więc, mój chłopcze, gdy tylko zdałem sobie sprawę z tego nieporozumienia i jasno stwierdziłem, że wszystkie bez wyjątku istoty Perłanii nabrały przekonania, iż są już częstkami samego „Pana Prany” od razu postanowiłem wykorzystać to nieporozumienie i również tutaj osiągnąć swój cel za pomocą tej ich religii.

Zanim powiem ci o tym coś więcej, muszę koniecznie zaznaczyć, że moje osobiste szczegółowe badania bardzo wyraźnie pokazały, iż tych rzekomych słów Świętego Buddy – zgodnie z którymi każda istota już w chwili przyjścia na świat ma w sobie część Przeogromnej Wielkości – on sam nigdy nie mógł wypowiedzieć.

A nie mógł tego zrobić, ponieważ te same szczegółowe badania ujawniły, że pewnego razu w miejscowości „Senkuori” znajdując się w otoczeniu swoich oddanych uczniów, Święty Budda powiedział im dokładnie to:

„Jeżeli ta prześwieta Prana skryształizuje się w was ze świadomym lub nieświadomym udziałem waszego «Ja», wówczas koniecznie będziecie musieli udoskonalić do wymaganego stopnia indywidualny rozum tego całokształtu Przeświętych Atomów; w przeciwnym razie owa święta powłoka, przyjmując różne zewnętrzne formy, będzie tylko w nieskończoność cierpieć i gnusnieć”.

Warto tutaj zauważyć, że jeszcze inne Święte Indywiduum, również prawdziwy posłaniec z Góry, święty Kirmininasza, przekazał im identyczne ostrzeżenie.

Ten święty i autentyczny posłaniec udzielił im takiej przestrogi w następujących słowach:

„Błogosławiony ten, kto ma duszę; błogosławiony też ten, kto nie ma jej wcale, ale biada i nieszczęście temu, kto ma ją tylko w zarodku”.

A zatem, mój chłopcze, kiedy udało mi się w Perłanii ustalić ów fakt, z miejsca postanowiłem, że wykorzystam ten ich błąd do osiągnięcia mojego celu.

Tak samo jak w mieście Gob, najpierw wymyśliłem tutaj, w Perłanii, szczegółowe uzupełnienie do wspomnianego nauczania religijnego, a następnie zabrałem się do rozpowszechniania tego mojego wymysłu wszelkimi możliwymi sposobami.

Zacząłem rozpowiadać w całej Perłanii, że Święta Prana, o której mówił nasz Boski Nauczyciel Święty Budda, jest obecna nie tylko w nas, ludziach, ale także we wszystkich pozostałych istotach, które powstają i egzystują na naszej planecie Ziemia.

Cząstka tego podstawowego Przeogromnego Wielkiego Wszechobjęcia, a mianowicie Prześwięta Prana, już na samym początku lokuje się w każdej istocie dowolnego rozmiaru, która ma siedlisko bądź na powierzchni samej planety, bądź w jej środku, bądź też w wodzie lub atmosferze.

W tym miejscu, mój chłopcze, muszę przyznać ci z żalem, że wielokrotnie byłem wtedy zmuszony twierdzić, jakoby te słowa wypłynęły z ust samego Świętego Buddy.

Kilka tamtejszych istot, z którymi zdążyłem już nawiązać „przyjacielskie” stosunki i które w pierwszej kolejności zacząłem przekonywać do mojego wymysłu, natychmiast i bez żadnego sprzeciwu całkowicie w niego uwierzyło, a potem bardzo skutecznie, choć oczywiście nieświadomie, pomagało mi go rozpowszechniać.

A więc także tutaj przy każdej nadarzającej się okazji ci moi przyjaciele bardzo gorliwie i zawzięcie udowadniali podobnym do nich istotom, że jest właśnie tak i w ogóle inaczej być nie może.

Krótko mówiąc, ten mój drugi wymysł zaczął w nieoczekiwanie szybkim tempie przynosić w Perłanii pożądane rezultaty.

Twoi ulubieńcy wyłącznie dzięki temu mojemu wymysłowi do tego stopnia zmienili swój esencjalny stosunek do istot o innych formach, że nie tylko przestali je unicestwiać w celu składania swoich sławetnych ofiar, ale nawet całkiem szczerze zaczęli uważać je za istoty takie same jak oni.

Gdyby ograniczyli się do tego, wszystko byłoby dobrze; ale już wkrótce również tutaj zaczęli zgodnie ze swoim zwyczajem wymądrzać się i tak samo jak w kraju Maralplejsi manifestować rozmaite komiczne aspekty swojej hawatwernoni.

Na przykład zaledwie kilka miesięcy po tym, jak zacząłem rozgłaszać swój wymysł, na ulicach miasta Kajamoń prawie na każdym kroku można było spotkać tamtejsze istoty chodzące na tak zwanych szczudłach.

A chodziły na takich szczudłach, aby przypadkiem nie roznieść jakiegoś owada, czyli malutkiej i, jak same zaczynały w to wierzyć, „podobnej do nich istoty”.

Wiele tamtejszych istot bało się pić wodę, która nie była świeżo zaczerpnięta ze źródła lub rzeki, ponieważ były przekonane, że do takiej wody wpadły już jakieś małe istoty i że teraz, nie widząc ich, mogłyby niechcący połknąć te malutkie „podobne do nich biedne stworzonka”.

Inne spośród nich, żywiąc tę samą obawę, zaczęły osłaniać twarze „woalem” żeby te małe i biedne podobne do nich istoty, które znajdowały się w atmosferze, nie wpadły im przypadkiem do ust albo nosa itd., itp.

Od tamtego czasu zaczęto zakładać w Perłanii – czy to w samym mieście Kajamoń, czy też w jego okolicach – wszelkiego rodzaju towarzystwa, które stawiały sobie za cel obronę różnych form „bezbronnych” istot, i to zarówno tych egzystujących wśród nich, jak i tych nazywanych tam „dzikimi”.

Wszystkie tego rodzaju towarzystwa głosiły zasady zabraniające składania takich istot „na ofiarę”, a także przeznaczania ich

ciał planetarnych na „pierwszy pokarm”.

E...e...ech, mój chłopcze!...

Jedynie z powodu dziwaczności ichniej psychiki te zamierzone cierpienia i świadome trudy podjęte przez Świętego Buddę – owo Święte Indywiduum, które specjalnie dla nich oblekło się w obecność planetarną podobną do ich własnej – idą jak dotąd na marne i od tamtego czasu nie przyniosły jeszcze żadnych konkretnych rezultatów, jakich zgodnie z prawem można było oczekiwać, a tylko stały się i są do tej pory źródłem wszelkiego rodzaju „pseudonauk” w rodzaju tych, które pojawiły się tam ostatnio pod nazwą „okultyzm”, „teozofia” „spirytualizm”, „psychoanaliza” itd., i które dzisiaj, tak samo jak dawniej, stanowią wyłącznie sposoby „otumaniania” ich już bez tego wystarczająco otumanionej psychiki.

Rozumie się samo przez się, że żadna z prawd, których nauczał Święty Budda, nie ocalała i absolutnie nic z nich nie przekazano dzisiejszym istotom.

Nawiasem mówiąc, połowa jednego z wypowiedzianych przez niego słów dotarła jakoś do współczesnych istot tej niezrównanej planety.

A to pół słowa zostało im przekazane w następujących okolicznościach:

Święty Budda wyjaśnił między innymi istotom Perłanii, jak i w którą część ciała został wszczepiony ich przodkom słynny organ kundabufor.

Powiedział im kiedyś, że Archanioł Luizos w specjalny sposób wyhodował ten organ u ich przodków na samym dole tego mózgu, który Przyroda rozmieściła w nich, tak samo zresztą jak w nas, wzdłuż pleców w tak zwanym kręgosłupie.

Święty Budda dodał jeszcze:

„Choć w waszych przodkach właściwości tego organu zostały całkowicie zniszczone, to na samym dole wspomnianego mózgu ocalała jego materialna podstawa i przekazywana z pokolenia na pokolenie dotarła także do was.

Ów materialny twór obecnie nie odgrywa w was żadnej roli i z czasem, jeśli wasza egzystencja istnieniowa będzie przebiegać tak, jak przystoi istotom trój centrowym, może ulec całkowitemu zniszczeniu”.

Otóż właśnie wtedy, gdy tamtejsze istoty zaczęły się mądrzyć i wymyślać najróżniejsze formy tego swojego sławetnego „cierpienia”, również ze słowem oznaczającym wspomniany organ wycięły one jeden ze swoich tradycyjnych „numerów”.

Ponieważ, po pierwsze, rdzeń drugiej połowy wspomnianej nazwy odpowiadał przypadkiem słowu, które w ówczesnym języku oznaczało „odbicie”, a po drugie, ponieważ udało im się wymyślić „sposób” szybkiego zniszczenia tego materialnego tworu, więc zamiast pozwolić, jak radził im Święty Budda, by stało się to z biegiem czasu, wymądrzyły tym swoim kulawym rozumem na temat tego słowa następujący wywód:

„Ów organ, kiedy jeszcze funkcjonował, musiał oczywiście zawierać w nazwie rdzeń słowa «odbijać». Ale teraz, skoro udało nam się zniszczyć nawet samą jego materialną podstawę, nazwa ta powinna kończyć się słowem, którego rdzeń znaczy «były»” – a ponieważ w ich ówczesnym języku na „były” mówiło się „lina”, tak więc zamiast słowa „kundabufor” wyszło im „kundalina”.

Oto w jaki sposób ocalała połowa słowa „kundabufor”, która przekazywana z pokolenia na pokolenie dotarła w końcu także do twoich współczesnych ulubieńców, naturalnie w asyście tysiąca rozmaitych wyjaśnień.

Na tę część rdzenia kręgowego nawet współcześni, jak to się mówi, „uczeni” mają nazwę skomponowaną z bardzo mądrych łacińskich morfemów.

Cała tamtejsza rzekoma „filozofia indyjska” także opiera się teraz na tej słynnej „kundalini” i do tego słowa odwołują się tysiące różnych sekretnych oraz jawnych „nauk” okultystycznych, które niczego nie wyjaśniają. Natomiast samo to, jakie znaczenie nadają tej części rdzenia kręgowego współcześni ziemscy uczeni reprezentujący tak zwane nauki ścisłe, pozostaje, mój chłopcze,

wielką tajemnicą.

A stało się to tajemnicą, ponieważ kilka stuleci temu owo „wyjaśnienie” schowało się z niewiadomych przyczyn do ulubionego pieprzyka słynnej Szeherazady, który przez przypadek znalazł się po prawej stronie urzekającego pępka tej niezrównanej arabskiej bajarki.

I właśnie tam to „naukowe wyjaśnienie” pozostaje po dziś dzień w stanie nienaruszonym.

Tak więc kiedy już całkowicie się przekonałem, że także wśród istot Perłanii udało mi się z łatwością wykorzeńić – być może na długo – ten potworny zwyczaj składania ofiar, postanowiłem opuścić ów kraj i wyruszyć w kierunku Morza Dobrodziejstw, aby powrócić na nasz statek „Okazja”.

Mieliśmy już właśnie opuścić Perłanię, gdy niespodziewanie zrodził się we mnie pomysł, żeby dotrzeć do Morza Dobrodziejstw nie tą drogą, którą stamtąd przybyliśmy, lecz inną, jak na tamte czasy zupełnie niezwykłą.

Otóż postanowiłem wtedy, że nasz szlak powrotny będzie prowadził przez obszar, któremu później nadano nazwę „Tybet”.

## Rozdział 22

### ***Belzebub po raz pierwszy w Tybecie***

Ponieważ wytyczona przeze mnie trasa wędrówki była w owym czasie zupełnie nieuczęszczana przez tamtejsze istoty trójmózgowe i nie mogliśmy liczyć na przyłączenie się do jakiejś ichniej „karawany”, zmuszony byłem zorganizować własną karawanę i dlatego jeszcze tego samego dnia zabrałem się do przygotowywania oraz gromadzenia wszystkiego, co mogło się okazać w drodze nieodzowne.

Nabyłem kilkadziesiąt czworonożnych istot zwanych „końmi” „mułami” „osłami” „kozami czamańskimi” itd., a także wynajmłem kilku twoich dwunożnych ulubieńców do opieki nad wyliczonymi istotami i do wypełniania w drodze półświadomej pracy, niezbędnej w trakcie tego rodzaju podróży.

Zebrawszy wszystko, co potrzebne, rozpoczęliśmy z Ahunem naszą wędrówkę.

Tym razem mijaliśmy jeszcze bardziej nietypowe rejony, gdzie przyroda tej nieszczęsnej planety jawiła się jeszcze bardziej niezwykła, a także spotykaliśmy, czy raczej pojawiały się w polu naszego widzenia, reprezentujące o wiele większą różnorodność form jednomózgowe i dwumózgowe istoty, które nazywa się tam „dzikimi”, a które przybywały wtedy do tego obszaru z bardzo odległych części kontynentu Aszcharch, żeby, jak się tam mówi, „zapolować” na swój pierwszy pokarm istnieniowy.

Te „dzikie” istoty były w owym czasie szczególnie „niebezpieczne” dla tamtejszych istot trójmózgowych, a także dla tych spośród tamtejszych czworonogów, których twoi ulubieńcy z właściwą sobie „przebiegłością” zdołali już uczynić swoimi niewolnikami, zmuszając je do pracy tylko i wyłącznie w celu zaspokojenia własnych egoistycznych potrzeb.



A okazały się wyjątkowo niebezpieczne, bowiem właśnie w tym okresie skryzalizowała się w obecnościach tamtejszych istot trójmózgowych pewna szczególna funkcja, która zresztą jest również wynikiem nienormalnie ustanowionych warunków ich egzystencji istnieniowej i o której opowiem ci szczegółowo w odpowiednim czasie.

W głównej mierze to właśnie te dzikie istoty sprawiały; że miejsca, przez które prowadził nasz szlak, były praktycznie niedostępne dla ówczesnych istot trójmózgowych.

Trójmózgowe istoty mogły przechodzić tamtędy tylko wtedy; gdy w atmosferze ich planety aktywny element Okidanoch ulegał procesowi Aieioiuoa, czyli, jak one same mówią, „za dnia”.

A mogły podróżować tam w ciągu dnia, ponieważ wskutek „krentonalnej” pozycji ich planety w stosunku do jej słońca prawie wszystkie dzikie ziemskie istoty ogarniał wtedy istnieniowy stan zwany „snem”, to znaczy stan automatycznego wytwarzania w ich obecnościach energii niezbędnej do zwykłej egzystencji istnieniowej – wytwarzania energii, które toczy się w nich w tym właśnie czasie; natomiast jeśli chodzi o tamtejsze trójcentrowe istoty, to z nimi rzecz ma się odwrotnie, albowiem w ich przypadku ta sama energia jest produkowana jedynie wtedy, gdy w atmosferze przestaje się manifestować wspomniana święta właściwość, czyli w tej części doby, którą one same nazywają „nocą”.

Oto dlaczego, mój chłopcze, w tamtych czasach twoi ulubieńcy mogli przechodzić przez te miejsca tylko w dzień. Za to w nocy musieli budować przeróżne sztuczne kryjówki i zachowywać wielką czujność, aby ustrzec przed tymi dzikimi istotami zarówno siebie, jaki swoje „dobra”.

Dopóki planeta Ziemia znajduje się we wspomnianej pozycji krentonalnej, dopóty dzikie istoty są całkowicie przytomne i przyjmują swój pierwszy pokarm istnieniowy; a ponieważ w owym czasie nauczyły się już wykorzystywać do tego celu niemal wyłącznie ciała planetarne powstających na ich planecie słabych istot o innych formach, więc właśnie w tej części doby sta-

rały się złapać rzezione istoty, aby użyć ich ciał planetarnych do zaspokojenia swoich potrzeb.

W owym czasie – oczywiście jak zwykle z powodu nienormalnie ustalonych warunków zwykłej egzystencji istnieniowej trój-mózgowych istot – tamtejsze dzikie istoty, szczególnie te najmniejsze, doprowadziły już swoją bystrość i przebiegłość do perfekcji. Toteż podczas tej naszej drugiej podróży my sami, a przede wszystkim nasi robotnicy wykonujący swoją półświadomą pracę, musieliśmy być w nocy nadzwyczaj uważni i czujni, żeby uchronić siebie i naszych czworonożnych pracowników, a także nasze zapasy.

W nocy wokół naszego obozu zbierała się zazwyczaj cała „zgraja” tych dzikich istot, żeby pożywić się czymś, co nadawało się na ich pierwszy pokarm; ta zgraja przypominała twoich ulubieńców w trakcie „notowań giełdowych” lub podczas „wyborów swoich przedstawicieli” do jakiejś organizacji, której nominalnym celem jest wspólne poszukiwanie sposobów zapewnienia pomyślnej egzystencji wszystkim podobnym do nich istotom bez rozróżnienia na ich sławetne kasty.

Mimo że przez całą noc paliliśmy buchające wielkimi płomieniami ogniska, które działają bardzo odstraszająco na takie dzikie istoty, a nasi dwunożni pracownicy, nie bacząc na zakaz, zabijali za pomocą zatrutych strzał „kilnapara” te podchodzące zbyt blisko naszego obozu, to jednak nie było nocy, żeby różne tamtejsze „tygrysy”, „lwy” i „hieny” nie porwały jednej lub kilku z naszych czworonożnych istot, których liczba skutkiem tego z dnia na dzień malała.

To prawda, mój chłopcze, że droga powrotna do Morza Dobrodziejstw okazała się o wiele dłuższa od tej, którą przybyliśmy do Perłami, jednakże wszystko, co w trakcie naszej wędrówki przez te miejsca zobaczyliśmy i usłyszeliśmy, jeśli chodzi o dziwaczność psychiki twoich ulubieńców, w pełni usprawiedliwiło stracony przez nas czas.

Podróżowaliśmy w opisanych warunkach już ponad jeden ziemski miesiąc, gdy w końcu natrafiliśmy przypadkiem na małą

osadę trój mózgowych istot, które, jak się później okazało, całkiem niedawno przeniosły się tam z Perłanii.

Ta osada nazywała się „Sinkratorca” i potem, kiedy ów region stopniowo się zaludnił, a Sinkratorca stała się głównym ośrodkiem wszystkich zamieszkujących go istot, cały kraj przyjął tę samą nazwę.

Następnie ta nazwa jeszcze kilkakrotnie się zmieniała i teraz ten sam kraj nazywa się „Tybet”.

Ponieważ do naszego przypadkowego spotkania ze wspomnianymi istotami doszło w chwili, gdy zapadała już noc, więc poprosiliśmy je, jak się tam mówi, „o nocleg”.

Kiedy zgodziły się nas u siebie przenocować, bardzo żeśmy się z tego ucieszyli, bowiem naprawdę wszyscy byliśmy wyczerpani bezustannym zmaganiem się z dzikimi istotami i absolutnie była potrzebna nam, a zwłaszcza naszym dwunożnym pracownikom, choćby jedna spokojnie spędzona noc.

W trakcie wieczornej rozmowy z tymi gościnnymi osadnikami okazało się, że należą do sekty znanej wówczas w Perłanii pod nazwą „Pogromcy siebie” i utworzonej przez wyznawców tej religii, która, jak już ci mówiłem, opierała się rzekomo na bezpośrednich wskazówkach Świętego Buddy.

Warto tu zauważyć, że istoty tej planety mają jeszcze jedną osobliwą cechę, która także już od dawna stała się ich wyłączną właściwością i która polega na tym, że kiedy tylko pojawi się wśród nich jakaś wspólna hawatwernoni lub religia, jej wyznawcy od razu zaczynają się dzielić na różne frakcje, a każda z nich bardzo szybko tworzy własną, samodzielną i odrębną „sektę”.

Wyjątkowa dziwaczność tej ich cechy kryje się w tym, że ci, którzy należą do jednej z tych sekt, sami siebie nie nazywają „sekciarzami” ponieważ uważają taką nazwę za obraźliwą; „sekciarzami” nazywają ich wyłącznie te istoty, które do ich sekty nie należą.

Inne istoty uważają zwolenników dowolnej sekty za sekciarzy tak długo, jak długo ci ostatni nie uzbroją się w „działa” i „parow-

ce”, a kiedy tylko zdobędą już ich odpowiednio dużo, to ich osobliwe sekciarstwo zamienia się z miejsca w religię panującą.

Zarówno istoty z tej osady, jak i z wielu innych rejonów Perłanii stały się sekciarzami, ponieważ odłączyły się od tej religii, której nauczanie, jak ci wcześniej mówiłem, dokładnie przestudiowałem i którą nazwano później „buddyzmem”.

Sekta „Pogromców siebie” powstała w wyniku wypaczonego rozumienia religii buddyjskiej, którą oni sami, jak ci już wspominałem, interpretowali jako „cierpienie w odosobnieniu”.

I właśnie po to, by móc poddać się temu sławetnemu „cierpieniu” bez żadnej ingerencji ze strony istot do nich podobnych, istoty, które przyjęły nas na nocleg, osiedliły się tak daleko od swoich pobratymców.

Ponieważ wszystko, czego dowiedziałem się owej nocy o wyznawcach tej sekty, a także to, co zobaczyłem następnego dnia, wywarło wtedy na mnie tak przygnębiające wrażenie, że przez wiele ichnich stuleci – czyli do czasu, kiedy udało mi się w pełni wyjaśnić wszystkie przyczyny dziwaczności psychiki twoich ulubieńców – na samą myśl o tym przechodziły mi po plecach ciarki, chcę te raz, mój chłopcze, zrelacjonować ci to bardziej szczegółowo.

W trakcie naszej nocnej rozmowy dowiedziałem się, że przywódca tej nowej buddyjskiej sekty jeszcze w Perłanii, przed przeprowadzką jej wyznawców do tego odizolowanego miejsca, wymyślili specjalną formę „cierpienia”. Otóż postanowili wtedy, że wyniosą się do jakiegoś prawie niedostępnego miejsca, gdzie inne podobne do nich istoty nienależące do ich sekty i niewtajemniczone w jej „arkana” nie będą mogły im przeszkadzać w zadawaniu sobie tej szczególnej formy „cierpienia”, którą sami wymyślili.

Kiedy po długich poszukiwaniach znaleźli w końcu to miejsce, które przypadkowo odkryliśmy i które znakomicie nadawało się do ich celu, wówczas, pokonawszy wiele trudności i będąc już dobrze zorganizowani i materialnie zabezpieczeni, przenieśli się

wraz ze swymi rodzinami do tego niemal niedostępnego dla ich krajan miejsca, które nazwali, jak ci powiedziałem, „Sinkratorca”.

Na początku, kiedy wciąż się tam urządzali, potrafili się jakoś ze sobą dogadać; ale później, gdy zaczęli wprowadzać w życie tę specjalną formę „cierpienia”, którą sami wymyślili, ich rodziny, a zwłaszcza żony, dowiedziawszy się, na czym ona polega, zbuntowały się i podniosły wielki krzyk, skutkiem czego doszło tam wśród nich do rozłamu.

Ów rozłam nastąpił niedługo przed tym naszym przypadkowym spotkaniem i w chwili naszego przybycia do Sinkratorcy niektórzy z nich zaczęli już powoli przeprowadzać się do innych świeżo okrytych miejsc, jeszcze lepiej nadających się do życia w odosobnieniu.

Abyś mógł jasno zrozumieć dalszy ciąg mojej opowieści, powinieneś najpierw poznać podstawową przyczynę tego rozłamu.

Otóż przywódcy tej sekty jeszcze w Perłami przyrzekli sobie, że opuszczą na zawsze środowisko istot do nich podobnych i nie cofając się przed niczym, uwolnią się od następstw właściwości organu, o którym mówił boski nauczyciel Święty Budda.

W myśl zawartej umowy zobowiązali się żyć w określony sposób aż do ostatecznego unicestwienia ich ciał planetarnych lub, jak tam mówią, aż do swojej śmierci, aby poprzez taką specjalną formę egzystencji oczyścić swoją, jak ją nazywali, „duszę” ze wszystkich obcych osadów po organie kundabufor – który wedle nauczania Świętego Buddy został wszczepiony kiedyś ich przodkom – i potem, uwolniwszy się już od tych następstw, uzyskać zgodnie ze słowami boskiego nauczyciela możliwość ponownego połączenia się z Wszechobejmującą Świętą Praną.

Ale kiedy urządziwszy się tam, zaczęli, jak wspominałem, wprowadzać w życie tę wymyśloną przez siebie specjalną formę „cierpienia” i ich żony, które dowiedziały się o prawdziwej naturze tego cierpienia, zrobiły im awanturę, wówczas wielu z nich pod wpływem swoich żon odmówiło wypełnienia zobowiązań podjętych jeszcze w Perłami, skutkiem czego podzielili się na

dwie oddzielne frakcje.

Od tego czasu sekciarze znani dawniej jako „Pogromcy siebie” nosili już dwie różne nazwy, a mianowicie ci, którzy pozostali wierni wziętym na siebie zobowiązaniom, zaczęli być zwani „Ortodokshajdurniami” natomiast pozostali, którzy odmówili wypełnienia niektórych podjętych jeszcze w ojczyźnie zobowiązań, otrzymali miano „Katoszkihajdurniów”.

W czasie naszego pobytu w Sinkratorcy dowiedzieliśmy się, że sekciarze zwani Ortodokshajdurniami mieli niedaleko od ich pierwotnego siedliska dobrze zorganizowany, jak tam się mówi, „klasztor”, w którym już bez żadnych ograniczeń oddawali się wspomnianej specjalnej formie „cierpienia”.

Kiedy następnego dnia po spokojnie spędzonej nocy kontynuowaliśmy naszą podróż; jej trasa przebiegała bardzo blisko tego klasztoru buddyjskiej sekty Ortodokshajdurniów.

Ponieważ zwykle o tej porze dnia robiliśmy postój na karmienie naszych czworonożnych pracowników; poprosiliśmy mnichów, żeby pozwolili nam zatrzymać się pod dachem ich klasztoru.

Jakkolwiek dziwne i niebywałe może się to wydać; istoty zwane „mnichami” przystały na tę naszą obiektywnie uzasadnioną prośbę i od razu przyjęły nas bez żadnej „fanfaronady” czy „krnąbrności”, które stały się typowe dla tamtejszych mnichów wszystkich epok i wszystkich wyznań. W ten sposób znaleźliśmy się niespodziewanie w samym środku kręgu tajników owej doktryny czyli w tym kręgu, który istoty planety Ziemia od samego początku ich powstania tak zręcznie nauczyły się ukrywać; że nawet Indywidua z czystym rozumem nie miały do niego wglądu.

Innymi słowy tamtejsi mnisi nabrali wielkiej wprawy w wymądrzaniu się i robieniu ze wszystkiego, jak sami mówią; „tajemnicy”, a następnie w tak przemyślnym chowaniu tej ich „najszyfrowanej tajemnicy” przed innymi; że nawet istoty z czystym rozumem nie były w stanie jej rozgryźć.

Buddyjski klasztor sekty Ortodokshajdurniów zajmował duży plac otoczony ciasno zbitym ogrodzeniem; które chroniło

wszystkich wewnątrz zarówno przed podobnymi do nich samych; jak i dzikimi istotami.

Pośrodku tego ogromnego ogrodzonego placu wznosił się masywny budynek, który stanowił główną część klasztoru.

W jednej połowie owego dużego zabudowania mnisi toczyli swoją zwykłą egzystencję istnieniową, a w drugiej poddawali się osobliwym manipulacjom; które podkreślały specyficzność wiary wyznawanej przez adeptów tej sekty i które dla innych pozostawały tajemnicą.

Od strony wewnętrznej wzdłuż ogrodzenia stał rząd małych, solidnie zbudowanych i ściśle przylegających do siebie pomieszczeń; które przypominały „cele”.

To właśnie te cele odróżniały ów klasztor od wszystkich innych klasztorów na planecie Ziemia.

Były to „budkopodobne” konstrukcje całkowicie zamurowane ze wszystkich stron i tylko w ich dolnej części znajdował się jeden bardzo mały otwór, przez który z wielkim trudem można było przepchnąć rękę.

W tych masywnych budkach zamurowywane były już na zawsze „zasłużone” istoty z tej sekty, które miały za zadanie zajmować się tam aż do ostatecznego unicestwienia własnej egzystencji planetarnej wiadomą manipulacją swoimi, jak same mówią, „uczuciami” i „myślami”.

Otóż właśnie, gdy dowiedziały się o tym żony „Pogromców siebie”, wszczęły wspomniany bunt.

Podstawowe nauczanie religijne tej sekty precyzyjnie formułowało, jakim manipulacjom i jak długo trzeba się poddać, aby zasłużyć sobie na zamurowanie w jednej z tych solidnie zbudowanych „cel” oraz na otrzymywanie raz na dobę kawałka chleba i dzbanuszką wody.

Kiedy weszliśmy do środka tego upiornego klasztoru, okazało się, że wszystkie jego koszarne cele były już zajęte. Opiekę nad zamurowanymi, polegającą na wsuwaniu raz na dobę przez ciasny otwór kawałka chleba i dzbanuszką wody, sprawowali z wiel-

ką wciąż sekciarze-kandydaci do zamurowania, którzy, oczekując na swoją kolej, żyli we wspomnianym dużym budynku stojącym pośrodku klasztornej dzielnicy.

Twoi zamurowani ulubieńcy bytowali w tych potwornych grobowcach aż do chwili, gdy ich nędzna, na pół zagłodzona i nieruchoma egzystencja dobiegła końca.

Gdy ich towarzysze dowiadawali się, że egzystencja któregoś z zamurowanych dobiegła kresu, wtedy ciało planetarne nieboszczyka usuwano z tego zaimprovizowanego grobowca i na miejsce istoty, która sama się w ten sposób wykończyła, natychmiast zamurowywano tam innego fanatyka tego zgubnego nauczania religijnego. Szeregi nieszczęsnych „mnichów-fanatyków” nigdy nie malały, ponieważ nieustannie przybywali tam z Perłanii kolejni kandydaci.

W Perłanii wszyscy adepci tej oryginalnej sekty wiedzieli już o istnieniu takiego specjalnego „dogodnego” miejsca do realizacji „końcowego aktu” ich religijnej doktryny, która opierała się jakoby na ścisłych wskazówkach Świętego Buddy. W każdym dużym ośrodku można było nawet spotkać tak zwanych pośredników, których zadaniem było pomóc chętnym w dotarciu do tego miejsca.

Kiedy już odpoczęliśmy, a także nakarmiliśmy naszych dwunożnych i czworonożnych pracowników, postanowiliśmy opuścić owo smutne miejsce ofiar tego godnego pożałowania organu, który zdaniem pewnych Najwyższych Kosmicznych Indywiduów trzeba było z jakiegoś powodu wszczepić obecnościom pierwszych trójmózgowych istot tej nieszczęsnej planety...

E...e...ech!... mój chłopcze, jak sam pewnie możesz to sobie wyobrazić, nie da się powiedzieć, że wyruszyliśmy stamtąd z przyjemnymi doznaniem i pogodnymi myślami.

Kontynuując naszą podróż w kierunku Morza Dobrodziejstw, mijaliśmy znów różnokształtne wypiętrzenia skorupy ziemskiej, również zawierające złoża wewnątrzplanetarnych minerałów, tyle że tym razem te wypiętrzenia wydobyły się na powierzchnię



planety z jeszcze większych głębi.

Nawiasem mówiąc, nie zaszkodzi, jeśli w tym miejscu opowiem ci o pewnym niezwykle dziwnym zjawisku, który stwierdziłem później, a które wiąże się właśnie z tą częścią powierzchni twojej planety zwaną dzisiaj „Tybetem”.

Otóż kiedy po raz pierwszy przeprowaiałem się przez Tybet, jego szczyty, mimo że faktycznie wznosiły się niezwykle wysoko nad powierzchnię Ziemi, praktycznie nie różniły się od innych tego rodzaju wzniesień znajdujących się zarówno na wspomnianym kontynencie Aszcharch – czyli Azji – którego częścią jest Tybet, jak i na innych kontynentach.

Jednakże podczas mojego szóstego i ostatniego osobistego pobytu na planecie Ziemia, gdy ponownie miałem okazję podróżować przez te niezapomniane miejsca, stwierdziłem, że na przestrzeni kilkudziesięciu ichnich stuleci cały ten obszar tak wysoko wybił się nad powierzchnię planety, że żadne inne szczyty na pozostałych kontynentach nie mogły się z nim równać.

Na przykład główne pasmo wzniesień lub, jak mówią tamtejsze istoty, „łańcuch górski” tego obszaru, przez który wiodła wówczas nasza droga, tak bardzo od tamtego czasu wystrzelił w górę, że niektóre jego szczyty stały się najwyższymi ze wszystkich nie-normalnych występów tej „ciągle i nadaremnie męczącej się planety”. Ośmielę się nawet powiedzieć, że gdyby wspiąć się na nie, to pewnie można by za pomocą teskuano „wyraźnie zobaczyć” przeciwległą stronę tej osobliwej planety.

Kiedy po raz pierwszy spostrzegłem to dziwne zjawisko, które wystąpiło na twojej tak fenomenalnie oryginalnej planecie, od razu pomyślałem, że najprawdopodobniej kryje ono w sobie załazek jakiegoś przyszłego nieszczęścia na wielką ogólnokosmiczną skalę.

Później, kiedy przeprowadziłem jego statystyczne badania, ta początkowa obawa bardzo szybko zaczęła we mnie narastać. Powodem tego była jedna z rubryk mojej statystyki, w której odnotowywałem rodzaj oraz częstotliwość ziemskich „drgań planetar-

nych” spowodowanych przez te nadmiernie wysokie tybetańskie szczyty w okresie każdego dziesięciolecia.

Chociaż drgania planetarne lub „trzęsienia ziemi” często występują na twojej planecie także na skutek innych wewnątrz-planetarynych dysharmonii wywołanych przez dwie wielkie perturbacje transapalne, których przyczyny kiedyś ci jeszcze wyjaśnię, to jednak wyłącznym powodem większości tamtejszych drgań planetarnych, szczególnie w ciągu ostatnich stuleci, są te nieproporcjonalnie wysokie wzniesienia.

A dzieje się tak, ponieważ te zbyt wysokie elewacje wytyczały i nadal wytyczają wewnątrz obecności atmosfery tej planety równie przesadne wypiętrzenia. Innymi słowy, tak zwany strato-klorny obwód atmosfery planety Ziemia przybrał i w pewnych miejscach wciąż przybiera zmaterializowaną obecność, która wybija się zbyt wysoko, uniemożliwiając przez to „wzajemną fuzję rezultatów wszystkich planet danego układu” skutkiem czego podczas ruchu tej planety w ramach procesu zwanego „ogólnoukładową harmonią” jej atmosfera zaczęła w pewnych okresach niejako „zahaczać” o atmosfery innych planet lub komet należących do tego samego układu.

To właśnie z powodu tego rodzaju „zahaczeń” pojawiają się w odpowiednich miejscach zbiorczej obecności twojej planety wspomniane drgania planetarne lub trzęsienia ziemi.

Powinieneś również wiedzieć, że to, w którym obszarze zbiorczej obecności planety występują powstałe w ten sposób drgania planetarne, zależy od pozycji, jaką w procesie harmonijnego ruchu ogólnoukładowego zajmuje dana planeta w stosunku do innych skupień należących do tego samego układu.

Tak czy owak, jeśli takie nienormalne wypiętrzenie się gór Tybetu będzie postępowało dalej, to prędzej czy później nie da się uniknąć wielkiej katastrofy na ogólnokosmiczną skalę.

Zresztą jeżeli zagrożenie, które przewiduję, stanie się oczywiste, to bez wątplenia Najwyższe Przeświète Indywidua Kosmiczne sięgną we właściwym czasie po odpowiednie środki.

– Proszę, bardzo proszę, niech Wasza Przewielebność pozwoli! – Ahun przerwał Belzebubowi i zaczął szybko mówić, co następuje:  
– Niech Wasza Przewielebność pozwoli mi dodać w tym miejscu jeszcze jedną przypadkowo uzyskaną przeze mnie informację dotyczącą wypiętrzania się tych tybetańskich gór, o których byłeś łaskaw wspomnieć.

Otóż niedługo przed naszym odlotem z planety Karataz – kontynuował Ahun – miałem szczęście spotkać rządcę naszego układu słonecznego, Archanioła Wilowara, i Jego Wspaniałość raczyła mnie zauważyć i ze mną porozmawiać.

Być może pamiętasz, Wasza Przewielebność, że kiedy mieszkaliśmy na planecie „Zernakur” Jego Wspaniałość Archanioł Wilowar był jeszcze zwykłym aniołem i często nas odwiedzał.

A zatem kiedy podczas naszej rozmowy Jego Wspaniałość usłyszał, jak wymawiam nazwę układu słonecznego, do którego zostaliśmy zesłani, powiedział mi wtedy, że na ostatnim najznakomitszym i przenajświętszym przyjęciu Rezultatów Kosmicznych, które powróciły już na dobre, pewne Indywiduum, niejaki Święty Lama, miało możliwość w obecności wszystkich Najwyższych Indywiduów złożyć osobiście u stóp NASZEGO JEDNOBYTNEGO NIESKOŃCZONEGO prośbę związaną z nienormalnym wypiętrzaniem się pewnych wzniesień jakiejś planety – chyba właśnie należącej do tego układu słonecznego – i że NASZ WSZECHMIŁOSIERNY NIESKOŃCZONY, przyjąwszy tę prośbę, polecił Archaniołowi Luizosowi natychmiast udać się do tego układu słonecznego, aby na miejscu, jako ktoś, kto był tam już nieraz, wyjaśnił przyczyny powstania takich wypiętrzeń i podjął odpowiednie kroki.

To dlatego Jego Zgodność Archanioł Luizos w pośpiechu zamyka teraz wszystkie bieżące sprawy, aby móc się tam udać.

– No właśnie, drogi Ahunie – odrzekł na to Belzebub i dodał: – Dziękuję ci za tę informację... Chwała NASZEMU STWÓRCY! To, co powiedziałaś, niewątpliwie przyczyni się do zdławienia w mojej obecności niepokoju, który wstąpił we mnie, kiedy po raz pierwszy stwierdziłem nienormalny wzrost tybetańskich gór,

a konkretnie niepokoję o to, że wraz ze zniknięciem twojej planety mogłaby przepaść na zawsze z naszego Wszechświata droga mi pamięć o naszym mędrca nad mędrkami, Mulle Nasr Eddinie.

Wypowiedziawszy te słowa i nadawszy swej twarzy tradycyjny wyraz, Belzebub mówił dalej:

– Po pokonaniu owego obszaru, który obecnie nazywa się Tybet, kontynuowaliśmy naszą podróż, napotykać wszelkiego rodzaju trudności, aż w końcu przedarliśmy się do źródeł rzeki zwanej Kerja-czi. Płynąc nią w dół do Morza Dobrodziejstw, dotarliśmy po kilku dniach do naszego statku „Okazja”.

Wprawdzie wiele czasu upłynęło od tego mojego trzeciego zstąpienia na planetę Ziemia, zanim znowu zjawiłem się na niej we własnej osobie, jednakże nieraz uważnie obserwowałem tych twoich ulubieńców przez moje wielkie teleskopy.

A powód tej mojej długiej nieobecności był następujący: Wkrótce po powrocie na planetę Mars zainteresowałem się pracami, które tamtejsze istoty trójmózgowe zaczęły wtedy przeprowadzać na powierzchni swojej planety.

Abyś mógł zrozumieć, jakiego rodzaju prace wzbudziły tam moje zainteresowanie, musisz przede wszystkim wiedzieć, że w procesie transformacji substancji kosmicznych planeta Mars jest dla układu Ors, do którego należy, „ogniwem mdnelautnym” i wskutek tego ma, jak to się mówi, „keskestasentnie twarłą powierzchnię” to znaczy połowa jej powierzchni ma obecność twarłą, druga natomiast składa się z masy saliakuriapnej, albo, jak powiedzieliby twoi ulubieńcy, połowę jej powierzchni zajmuje ląd, czyli coś w rodzaju jednego nieprzerwanego kontynentu, druga zaś jest pokryta wodą.

A zatem, mój chłopcze, ponieważ trójmózgowe istoty planet Mars w charakterze swojego pierwszego pokarmu istnieniowego używały wyłącznie „prosfory” lub, jak mówią na nią twoi ulubieńcy, „chleba”, od zawsze więc siały na twardej połowie swojej planety „pszenicę”. Ta pszenica czerpała potrzebną do „ewolucyjnego Dżartkłomu” wilgoć wyłącznie z tak zwanej rosy, skutkiem

czego jej ziarno dostarczało jedynie siódmą część pełnego procesu świętego Heptaparapszynoch, to znaczy jej plon wynosił tylko, jak to się mówi, „jedną siódmą”.

Ponieważ jednak taka ilość pszenicy im nie wystarczała, a jej „rozmnożenie” wymagało użycia planetarnej saliakuriapy, tamtejsze istoty trójmózgowe od chwili naszego przybycia zawsze roi mawiały o tym, jak można by przeprowadzić z przeciwnej strony planety wystarczającą ilość saliakuriapy na tę stronę, na której toczyła się ich egzystencja istnieniowa.

Tak się akurat złożyło, że kilka ichnich lat później, kiedy ostatecznie rozwiązały tę kwestię i poczyniły już wszelkie konieczne przygotowania, tuż przed moim powrotem z planety Ziemia przystąpiły wreszcie do realizacji swojego dzieła, czyli zaczęły kopać specjalne kanały do przeprowadzania saliakuriapy.

Jako że prowadzenie tych prac było, mój chłopcze, nader skomplikowane, istoty planety Mars ciągle wymyślały do ich wykonywania najprzeróżniejsze maszyny i urządzenia.

Wiele z tych urządzeń zwracało uwagę pomysłowością, a ponieważ zawsze interesowałem się wszelkiego rodzaju nowymi wynalazkami, sam zacząłem więc bardzo pasjonować się tymi robotami.

Korzystając z uprzejmości sympatycznych Marsjan, prawie cały swój czas spędzałem na terenie budowy i dlatego właśnie bardzo rzadko zstępowałem wtedy na inne planety tego układu słonecznego.

Czasami tylko leciałem odpocząć na planetę Saturn do Gornahura Harcharcha, który do tej pory stał się już moim prawdziwym esencjalnym przyjacielem. To dzięki niemu zostałem posiadaczem dużego teskuano, tego prawdziwego cuda, które, jak ci mówiłem, zwiększało widzialność odległych skupień siedem milionów dwieście osiemdziesiąt pięć razy.

## *Rozdział 23*

### ***Czwarty osobisty pobyt Belzebuba na planecie Ziemia***

Belzebub mówił dalej:

– Po raz czwarty zstąpiłem na planetę Ziemia na prośbę mojego esencjalnego przyjaciela Gornahura Harcharcha.

Przede wszystkim powinienem ci powiedzieć, że po zawarciu przyjaźni z Gornahurem Harcharchem miałem zawsze w zwyczajcu w czasie naszych „wymian subiektywnych opinii” dzielić się z nim moimi wrażeniami na temat dziwnej psychiki trójmózgowych istot twojej planety.

Dzięki naszym rozmowom o twoich ulubieńcach on również tak się nimi zainteresował, że kiedyś nawet bardzo poważnie poprosił mnie, abym choć w skrócie na bieżąco informował go o obserwacjach, które nad nimi prowadziłem; od tamtej pory zacząłem więc wysyłać mu, tak samo jak twemu wujowi Tuiłanowi, kopie wszystkich moich notatek dotyczących osobliwości ich psychiki.

A oto jak doszło do tego, że Gornahur Harcharch stał się przyczyną mojego kolejnego zstąpienia:

Mówiłem ci już, że po moim trzecim osobistym zstąpieniu na twoją planetę przylatywałem czasem na planetę Saturn, aby odpocząć tam u mojego przyjaciela.

W trakcie tych wizyt przekonałem się, że jest on naprawdę wielkim uczonym, i któregoś dnia wpadłem na pomysł, żeby poprosić go, aby zstąpił na statku „Okazja” na planetę Mars i na miejscu pomógł mi swoją wiedzą w drobiazgowym urządzeniu obserwatorium, którego budowa dobiegała właśnie końca.

Nie zaszkodzi tutaj podkreślić, że fakt, iż moje obserwatorium stało się później sławne i bezsprzecznie najlepsze ze wszystkich

tego rodzaju konstrukcji w całym Wszechświecie, zawdzięczam głównie wiedzy tego mojego esencjalnego przyjaciela.

Kiedy zwróciłem się ze wspomnianą prośbą do Gornahura Harcharcha, on po krótkim namyśle wyraził zgodę i zaczęliśmy się od razu zastanawiać, jak doprowadzić do skutku nasze zamierzenie.

Problem polegał na tym, że droga z planety Saturn na planetę Mars wiodła przez kosmiczne sfery, których obecność zupełnie nie odpowiadała obecności Gornahura Harcharcha, będącego na razie istotą mającą jedynie możliwość prowadzenia zwykłej egzystencji planetarnej.

Rezultat tych naszych rozważań był taki, że już następnego dnia jego najbliżsi pomocnicy zaczęli przygotowywać pod jego kierunkiem specjalnie przystosowane oddzielne pomieszczenie na statku „Okazja” wyposażone we wszelkiego rodzaju przyrządy do wytwarzania substancji wchodzących w skład atmosfery planety Saturn, to znaczy substancji, do których egzystencja Gornahura Harcharcha została już przez Przyrodę przystosowana.

Jedno hrch-hr-hu później, kiedy wszystkie te przygotowania dobiegły końca, wyruszyliśmy w podróż w kierunku planety Mars, gdzie bezpiecznie wylądowaliśmy niedaleko mojego domu.

Na planecie Mars, której atmosfera jest prawie taka sama jak atmosfera planety Saturn, mój esencjalny przyjaciel Gornahur Harcharch szybko się zaaklimatyzował i poczuł niemalże jak u siebie.

Właśnie w trakcie tej wizyty na Marsie zaprojektował „teskuano” lub, jak powiedzieliby twoi ulubieńcy, „teleskop”, dzięki któremu moje obserwatorium stało się potem tak słynne w całym Wszechświecie.

To skonstruowane przez niego teskuano rzeczywiście okazało się cudem istnieniowego rozumu, ponieważ zwiększało widoczność odległych kosmicznych skupień do siedmiu milionów dwustu osiemdziesięciu pięciu razy, i to zarówno podczas pewnych procesów, którym ulegają substancje kosmiczne w atmosferach otaczających prawie wszystkie skupienia kosmiczne, jak i w trak-

cie procesów, którym podlega w obszarach międzyprzestrzennych kosmiczne Eternokrilno.

Za pomocą wspomnianego teskuano mogłem niekiedy, siedząc w moim domu na Marsie, obserwować bez przeszkód praktycznie wszystko, co dzieje się na tych częściach powierzchni innych planet owego układu słonecznego, które w trakcie procesu zwanego ruchem ogólnoukładowym trafiały w danym momencie w pole widzenia mojego obserwatorium.

Tak więc, mój drogi chłopcze, któregoś razu, gdy mój ówczesny gość, Gornahur Harcharch, obserwował razem ze mną egzystencję twoich ulubieńców, zauważyliśmy przypadkowo pewien fakt, który spowodował między nami bardzo poważną wymianę zdań o trój centrowych istotach twojej oryginalnej planety.

Ta nasza wymiana zdań doprowadziła do tego, że postanowiłem zstąpić na powierzchnię tej planety i przywieźć stamtąd na planetę Saturn określoną liczbę istot zwanych „małpami”, aby potem przeprowadzić na nich pewne doświadczenia badawcze związane z owym zauważonym przez nas faktem, który wprowadził nas w zdumienie.

W tym miejscu opowieści wręczono Belzebubowi „lejtuczambros”, czyli specjalną metalową płytkę z nagraniem tekstu eterogramu przesłanego z dowolnego miejsca, którą adresat musi tylko przyłożyć wystarczająco blisko do swojego narządu percepcji słuchowej, aby usłyszeć wszystko, o czym się go informuje.

Kiedy Belzebub wysłuchał we wspomniany sposób treści lejtuczambrosa, zwrócił się do swego wnuka i powiedział:

– Widzisz, mój chłopcze, cóż za zbiegi okoliczności zdarzają się w naszym Wielkim Wszechświecie!

Treść tego eterogramu dotyczy właśnie twoich ulubieńców i tamtejszych „istot-małp” o których przed chwilą wspominałem.

Wysłano mi go z planety Mars i mowa jest w nim między innymi o tym, że trój centrowe istoty z planety Ziemia znowu zaczęły zaprzętać to, co nazywa się „małpią kwestią”.

Musisz wiedzieć, że już dawno temu – jak zwykle na skutek nie-



normalnych warunków tamtejszej egzystencji istnieniowej – w obecnościach tych dziwnych trójmózgowych istot powstających i egzystujących na planecie Ziemia skryzalizował się pewien osobliwy czynnik, którego funkcjonowanie okresowo się wzmacnia i tworzy w ich obecnościach „impuls crescendo”, a ma on na nie taki wpływ, że chcą się za wszelką cenę dowiedzieć, czy to one pochodzą od tych małp, czy też owe małpy pochodzą od nich.

Sądząc z tego eterogramu, ta kwestia tym razem niepokoi głównie tamtejsze dwunożne istoty, które mają siedlisko na kontynencie zwanym „Ameryką”.

Co prawda ów problem od zawsze mniej lub bardziej je niepokoi, niekiedy jednak staje się tam przez długi czas, jak same to określają, „tematem dnia”.

Bardzo dobrze pamiętam pierwsze takie „wrzenie umysłów” w sprawie pochodzenia małp, które zapanowało w okresie, gdy ichnim, jak lubią się wyrażać, „centrum kultury” był Tikiamysz.

Początek temu wrzeniu umysłów dały „wymądrzenia” pewnego uczonego „nowej formacji” o nazwisku Menitkeł.

Ów Menitkeł został uczonym po pierwsze dlatego, że jego bezdzietna ciotka była doskonałą „swatką” i obracała się wśród istot dzierżących władzę, a po drugie dlatego, że w wieku, w którym zbliżał się do „progu bycia” odpowiedzialnej istoty, otrzymał w prezencie na urodziny książkę zatytułowaną „Podręcznik bon tonu oraz pisania listów miłosnych”. A ponieważ jednocześnie spadek, który pozostawił mu wuj, były właściciel lombardu, zabezpieczył go materialnie i zagwarantował zupełną swobodę, więc z nudów napisał grubą i uczoną księgę, w której „wybzdurzył” całą skomplikowaną teorię pochodzenia małp opatrzoną wszelkiego rodzaju „logicznymi dowodami” na jej poparcie – oczywiście takimi logicznymi dowodami, jakie mogą powstać i skryzalizować się tylko w umysłach tych przypadłych ci do gustu dziwaków.

Menitkeł swoją teorią „udowodnił” wtedy, że te ichnie „krajanki

małpy” pochodzą ni mniej, ni więcej, tylko od „zdziczałych ludzi”.

Otóż inne ówczesne ziemskie istoty bez jakiegokolwiek esencjalnej krytyki – co zaczynało już być dla nich typowe – w pełni uwierzyły temu „ciocinemu beniaminkowi” i ta kwestia, która wzbudzała wówczas przedziwny „rozum” twoich ulubieńców, pozostała nieustannym przedmiotem ich sporów i rojeń aż do tak zwanego siódmego wielkiego ogólnoplanetarnego procesu unicestwienia się nawzajem.

We wspomnianym okresie z powodu tej zgubnej idei utrwalił się w instynktach większości tych nieszczęśników jeszcze jeden nienormalny „despotyczny czynnik”, który wzbudzał w ich zbiorczych obecnościach fałszywe poczucie, że istoty-małpy są rzekomo „święte”; a ponieważ ten nienormalny czynnik, który zrodził ów bluźnierczy impuls, był przekazywany dziedzicznie z pokolenia na pokolenie, więc do dzisiaj oddziałuje na instynkt bardzo wielu istot.

Taka fałszywa idea, która powstała i utrwałała się dzięki owej „lombardowej latorośli”, przetrwała tam przez prawie dwa ichnie stulecia, stając się dla większości z nich nieodłączną częścią ich rozumu; i dopiero różne zdarzenia związane ze wspomnianym, trwającym niemal pół roku, ogólnoplanetarnym procesem unicestwienia się nawzajem stopniowo ją zatarły, aż w końcu całkowicie zniknęła z ich zbiorczych obecności.

Ale kiedy ichnie „życie kulturalne” skupiło się na kontynencie zwanym „Europą” i jednocześnie nadeszła pora, by tamtejsza oryginalna choroba pod nazwą „mądrzenie się” – nawiasem mówiąc, już od dawna podlegająca podstawowemu kosmicznemu prawu Heptaparaparszynoch, na mocy którego jej intensywność także musi ulegać okresowym zmianom – przejawiała się znowu z największą siłą, wtedy na nieszczęście trójmózgowych istot całego Wszechświata jeszcze raz wypłynęła owa małpia kwestia, czyli pytanie „Kto pochodzi od kogo?” i uległszy krystalizacji, stała się ponownie integralną częścią nienormalnego rozumu twoich ulubieńców.

Tym razem bodźca do wskrzeszenia tej małpiej kwestii dostar-

czyła także „uczona” i oczywiście „wielka” istota, z tą różnicą, że w danym wypadku była to „uczona istota” już całkiem „nowej formacji” o nazwisku Darwin.

Otóż ten „wielki” uczony, opierając swą teorię na tej samej ichniej logice, zaczął „udowadniać” coś zupełnie sprzecznego z tym, co mówił Menitkeł, a mianowicie, że to oni sami pochodzą od pana i pani Małp.

Jeśli chodzi o obiektywną wartość obu teorii tych „wielkich” ziemskich „uczonych” to przypomina mi się jedno z mądrych powiedzeń naszego czcigodnego Mułły Nasr Eddina, które brzmi:

„Do każdego z nich uśmiechnął się los, bo udało im się odnaleźć w zleżałej kupie gnoju autentyczną matkę chrzestną niezrównanej Szeherezady”.

Tak czy inaczej zapamiętaj, że od wielu stuleci właśnie ta kwestia – wśród innych równie efemerycznych zagadnień – dostarcza materiału do tego rodzaju myślenia, które twoi ulubieńcy uważają za „najwyższy przejaw rozumu”.

Moim zdaniem ci twoi ulubieńcy uzyskaliby właściwą odpowiedź na to nieustannie dręczące ich pytanie, mianowicie, skąd wzięły się małpy, jeśli umieliby właściwie odnieść do niego jeszcze jedno z powiedzeń naszego drogiego Mułły Nasr Eddina, który wielokrotnie powtarzał:

„Przyczyny każdego nieporozumienia zawsze należy szukać w kobiecie”.

Gdyby tylko potrafili wykorzystać tę maksymę do rozwiązania tej kłopotliwej kwestii, to być może odkryliby w końcu, w jaki sposób i skąd wzięli się ci ich współziomkowie.

Ponieważ kwestia genealogii tamtejszych małp jest naprawdę niezwykle zawiła i nietypowa, pragnę więc poinformować o niej twój rozum jak najwszechstronniej.

W rzeczywistości ani oni nie pochodzą od małp, ani małpy nie pochodzą od nich, lecz... powodem powstania owych małp, jak zresztą wszystkich innych tamtejszych nieporozumień, są właśnie ichnie kobiety.

Najpierw muszę ci powiedzieć, że żadna z ziemskich istot-małąp, które przybrały dzisiaj wiele różnorodnych zewnętrznych form, nie istniała przed drugą perturbacją transapalną i dopiero po niej zaczyna się genealogia ich gatunku.

Przyczyna powstania tych „omyłkowych istot” – jak zresztą wszystkich innych bardziej lub mniej poważnych, w obiektywnym znaczeniu tego słowa, zdarzeń, które zachodzą na powierzchni tej nieszczęsnej planety – ma dwa zupełnie niezależne źródła.

Pierwsze z nich to wspomniane wcześniej niedopatrzenie pewnych Najwyższych Przeświętych Kosmicznych Indywiduów, a drugie to, jak zawsze, nienormalne warunki zwykłej egzystencji istnieniowej stworzone przez twoich ulubieńców.

Rzecz w tym, że w czasie drugiej perturbacji transapalnej oprócz głównego kontynentu Atlantyda zapadło się do wnętrza tej nieszczęsnej planety jeszcze wiele innych dużych i małych lądów, a na ich miejsce pojawiły się na jej powierzchni lądy nowe.

Tym kilkudniowym przemieszczeniom różnych części zbiorczej obecności owej nieszczęsnej planety towarzyszyły wielokrotne drgania planetarne, a także rozmaite przejawy, które nie mogły nie budzić zgrozy w świadomości i doznaniach wszelkiego rodzaju istot.

W tym samym okresie wielu twoich trójmózgowych ulubieńców wraz z jednomózgowymi i dwumózgowymi istotami o różnych formach, które tak jak oni przypadkowo ocalały, znalazło się na tych niedawno ukształtowanych stałych lądach w zupełnie nowych i nieznanym im miejscach.

Otóż właśnie wtedy bardzo dużo takich dziwnych kesczarmartnych istot trójmózgowych płci aktywnej i pasywnej lub, ja” mówią tam, „mężczyzn” i „kobiet” musiało egzystować przez wiele lat osobno, to znaczy bez płci przeciwnej.

Zanim ci opowiem, jak do tego wszystkiego doszło, chcę wpierw udzielić ci nieco bardziej szczegółowych wyjaśnień na temat świętej substancji, która jest końcowym rezultatem ewolu-

cyjnych przemian każdego rodzaju pokarmu istnieniowego i która powstaje w obecności wszystkich istot bez względu na ich „układ mózgow”.

Ta święta substancja wytwarzana w obecnościach wszystkich istot nazywa się prawie wszędzie „heksjoechari”, ale na planecie Ziemia twoi ulubieńcy mówią na nią „sperma”.

Dzięki wszechmiłosiernej opatrności i przykazaniu NASZEGO WSPÓLNEGO OJCA STWÓRCY, a także zgodnie z tym, co urzeczywistniła Wielka Przyroda, ta święta substancja powstaje w obecnościach wszystkich istot bez względu na ich układ mózgow i powłokę zewnętrzną głównie po to, by za jej pomocą mogły świadomie lub automatycznie wypełnić tę część swojej istnieniowej powinności, która polega na kontynuacji własnego gatunku; ta sama substancja powstaje w zbiorczych obecnościach trójmózgowych istot również po to, by te istoty świadomie przemieniły ją na potrzeby własnego bycia, oblekając w nią swoje wyższe ciała istnieniowe.

Przed drugą perturbacją transapalną, w tym okresie dziejów tej planety, który współczesne istoty trójmózgowe określiłyby słowami „przed zagładą Atlantydy”, to znaczy wtedy, gdy w ich obecnościach następowała już krystalizacja różnych następstw właściwości organu kundabufor, stopniowo pojawił się w nich pewien impuls istnieniowy, który zaczął później nad wszystkim dominować.

Impuls ten zwany jest obecnie „zadowoleniem” i ówczesne istoty, aby uczynić mu zadość, zaczęły egzystować w sposób niegodny istot trój centrowych, to znaczy większość z nich pomału przywykła wykorzystywać wydzielanie się z nich wspomnianej świętej substancji istnieniowej wyłącznie gwoli zaspokojenia tego impulsu.

A zatem, mój chłopcze, ponieważ większość trójmózgowych istot planety Ziemia zaczęła odtąd wywoływać ów proces wydalenia z siebie tej nieustannie powstającej w nich substancji poza normalnymi okresami, jakie Wielka Przyroda dostosowała do organizacji istot wyłącznie w celu kontynuacji ich gatunku, a także

dlatego, że większość z nich przestała świadomie używać tej substancji do oblekania swych wyższych ciał istnieniowych, rezultat był taki, że kiedy nie usuwały jej z siebie sposobami, które do tego czasu stały się już mechaniczne, doświadczały rzecz prosta doznania zwanego „sirkliniamana” lub, jak powiedzieliby twoi ulubieńcy, stanu wyrażanego słowami „bycie nie w sosie”, to znaczy stanu, któremu nieuchronnie towarzyszy „mechaniczne cierpienie”.

W odpowiednim momencie przypomnij mi, żebym szczegółowo wyjaśnił ci wszystko, co wiąże się z tymi wspomnianymi przeze mnie okresami, które Przyroda wyznaczyła istotom o różnych układach mózgów na normalny proces używania heksjoechari w celu kontynuacji gatunku.

Ze względu na to, co przed chwilą powiedziałem, a także z racji tego, że twoi ulubieńcy są, tak jak my, tylko istotami kesczappartnymi, u których normalne wydalanie z ich obecności tej ciągle i nieuchronnie wytwarzanej w nich świętej substancji powinno – w sytuacji, gdy za pomocą świętego procesu Elmuarno używa się jej w celu zapewnienia kontynuacji gatunku – dokonywać się wyłącznie z płcią przeciwną, jak również na skutek tego, że nie wykształcili w sobie nawyku wykorzystywania tej substancji do oblekania wyższych ciał istnieniowych, otóż właśnie z tych powodów tamtejsze istoty trójmózgowe ocalały przypadkowo z katastrofy – zwłaszcza te, które zaczęły już egzystować w sposób niegodny istot trójmózgowych – kiedy przyszło im żyć przez kilka ichnich lat bez istot płci przeciwnej, zaczęły stosować w celu wydzielenia z siebie świętej substancji heksjoechari różne nienaturalne metody.

Istoty płci męskiej uciekały się wtedy do nienaturalnych sposobów zwanych „murdurten” i „androperidast” to znaczy anomalii, które na planecie Ziemia nazywa się „onanizmem” oraz „pederastią” i które w pełni je zadowalały.

Ale jeśli chodzi o ówczesne trójmózgowe istoty „płci pasywnej”, zwane tam „kobietami” to takie nienaturalne metody nie dawały im wystarczającego zadowolenia, skutkiem czego te biedne „ko-

biety-sieroty”, już wtedy bardziej chytre i pomysłowe od mężczyzn, zaczęły szukać tam istot o innych formach i przyuczać je do tego, by stały się ich „partnerami”.

I właśnie w rezultacie tego rodzaju „partnerskich związków” pojawił się w naszym Wielkim Wszechświecie gatunek istot, o których nasz drogi Mułła Nasr Eddin powiedziałby: „ni pies, ni wydra”.

A co się tyczy możliwości takiej nienormalnej fuzji dwóch różnorodnych heksjoechari celem poczęcia i ukształtowania nowego ciała planetarnej istoty, to muszę ci jeszcze wyjaśnić rzecz następującą:

Na planecie Ziemia, jak i na innych planetach naszego Wszechświata zamieszkałych przez istoty kesczapmartne – to znaczy takie istoty trójmózgowe, w których formowanie się heksjoechari niezbędnej do powstania nowej istoty musi obowiązkowo przebiegać w obecności dwóch istot odrębnych i niezależnych płci – podstawowa różnica między świętymi heksjoechari kesczapmartnych istot płci odmiennych, czyli „mężczyzn” i „kobiet” polega na tym, że w heksjoechari, która jest wytwarzana w obecnościach istot płci męskiej, uczestniczy zlokalizowana w niej święta „twierdząca” lub „dodatnia” siła świętego Triamazikamno, podczas gdy w ostatecznym formowaniu się heksjoechari w obecności istot płci żeńskiej bierze udział zlokalizowana w niej „przecząca” lub „ujemna” siła tego samego świętego prawa.

Dzięki wszechmiłosiernej opatrności oraz przykazaniu OJCA wszystkiego, co istnieje we Wszechświecie, a także zgodnie z realizacją Wielkiej Matki Przyrody, fuzja dwóch heksjoechari wytworzonych w tych dwóch niezależnych istotach w trakcie procesu, który zachodzi między istotami płci odmiennych i zwany jest „procesem świętego Elmuarno” staje się – w pewnych warunkach otoczenia i przy udziale trzeciej oddzielnie zlokalizowanej świętej siły świętego Triamazikamno, to jest siły „pojednania” – źródłem powstania nowej istoty.

W danym wypadku taka nienormalna fuzja dwóch różnorodnych heksjoechari okazała się wówczas możliwa wyłącznie dzięki

kosmicznemu prawu zwanemu „prawem pokrewieństwa sumy wibracji”, które pojawiło się na tej nieszczęsnej planecie na skutek drugiej perturbacji transapalnej i które wciąż oddziałuje na jej zbiorczą obecność.

Jeśli chodzi o wspomniane przed chwilą kosmiczne prawo, to koniecznie musisz wiedzieć, że powstało ono i zaczęło działać we Wszechświecie, odkąd NASZ STWÓRCA, chcąc unieszkodliwić Heropasa, zmienił podstawowe święte prawo Triamazikamno, to znaczy po tym, jak święte części Triamazikamno, do tej pory całkowicie samodzielne, uzależniły się od sił zewnętrznych.

Nawiasem mówiąc, to kosmiczne prawo będziesz mógł wszechstronnie pojąć dopiero wtedy, gdy zgodnie z obietnicą szczegółowo wyjaśnię ci wszystkie podstawowe prawa Stworzenia i Istnienia Świata.

Tymczasem powinieneś wiedzieć, że z powodu wspomnianego kosmicznego prawa nigdy i na żadnej normalnie egzystującej planecie naszego Wielkiego Wszechświata heksjoechari wytwarzana w obecności istot trójmózgowych obdarzonych narządami odbiorczymi oraz przetwarzającymi, dzięki którym dokonuje się lokalizacja świętej siły twierdzącej świętego Triamazikamno – to znaczy w obecności kesczapmartnych istot płci męskiej – nie może połączyć się z heksjoechari wytwarzaną w obecności dwumózgowych kesczapmartnych istot płci przeciwnej.

Z drugiej strony heksjoechari wytwarzana w trójmózgowych kesczapmartnych istotach płci żeńskiej może niekiedy – a konkretnie w sytuacji, gdy udaje się otrzymać z połączenia sił kosmicznych specjalną kombinację i zaczyna działać wspomniane „prawo pokrewieństwa sumy wibracji” – całkowicie spoić się w pewnych warunkach otoczenia z heksjoechari uformowaną w dwumózgowych istotach kesczapmartnych płci męskiej, tyle że w tym wypadku jako czynnik aktywny w takim procesie urzeczywistnienia podstawowego świętego Triamazikamno.

Jednym słowem, w ciągu tych upiornych lat można było spotkać na twojej planecie bardzo rzadkie we Wszechświecie zjawisko, a mianowicie doszło tam do fuzji heksjoechari dwóch ke-



szczapmartnych istot płci przeciwnej różniących się układem mózgow, co z kolei doprowadziło do powstania przodków tych ziemskich „omyłkowych istot”, zwanych teraz „małpami”, które nie dają spokoju twoim ulubieńcom i od czasu do czasu wzburzają ich dziwny rozum.

Kiedy po tym koszmarnym okresie został przywrócony na twojej planecie względnie normalny proces zwykłej egzystencji i twoi ulubieńcy odmiennych płci znów zaczęli się spotykać i ze sobą współżyć, wtedy także u istot-małąp urzeczywistnienie kontynuacji gatunku dokonywało się już za pośrednictwem istot do siebie podobnych.

A to, że tamtejsze nienormalnie powstałe istoty-mały mogły kontynuować swój gatunek już tylko między sobą, zawdzięczały one temu, że pierwsze z tych nienormalnych istot zostały poczęte w opisanych wcześniej warunkach zewnętrznych, czyli w takich, w jakich z reguły kształtuje się obecność przyszłej istoty kesczappmartnej aktywnej lub pasywnej płci.

Najbardziej interesującym rezultatem tego już ponad miarę nienormalnego przejawu trójmózgowych istot twojej planety jest to, że obecnie można tam spotkać bardzo dużo różniących się formą zewnętrzną rodzajów potomków owych istot-małąp; co więcej, każda taka odmienna forma bardzo wyraźnie przypomina tę czy inną formę czworonożnych istot dwumózgowych, które istnieją tam do dzisiaj.

A stało się tak, ponieważ w procesie fuzji, który zapoczątkował powstanie przodków owych małąp, heksjoechari kesczappmartnych istot trójmózgowych płci żeńskiej połączyło się z aktywnym heksjoechari przeróżnych czworonożnych istot, które wciąż tam egzystują.

Faktycznie, mój chłopcze, w trakcie mojego ostatniego osobistego pobytu na planecie Ziemia, kiedy w czasie podróży natrafiłem na rozmaite gatunki małąp i z przyzwyczajenia, które stało się już niezbywalną cechą mojej esencji, poddałem je obserwacji, jednoznacznie stwierdziłem, że choć wszystkie wewnętrzne funkcje każdego oddzielnego gatunku tamtejszych współczesnych małąp,

jak również to, co zwie się ich „automatyczną pozą”, a nawet ich „rysy twarzy”, można tam dokładnie odnaleźć w obecnościach różnych powstałych normalnie czworonożnych istot, jednak ich „rysy psychiki” są identyczne, i to w najdrobniejszych szczegółach, z rysami psychicznymi tamtejszych trójmózgowych istot płci żeńskiej.

W tym miejscu opowieści Belzebub zrobił długą pauzę i z wyraźnie dwuznacznym uśmiechem zaczął patrzeć na swego ulubieńca Hassina. Następnie, wciąż się uśmiechając, powiedział:

– W tekście eterogramu, który właśnie otrzymałem, jest mowa także o tym, że twoi dziwaczeni ulubieńcy, chcąc ostatecznie rozwiązać kwestię „kto pochodzi od kogo” – czy oni od małp, czy małpy od nich – tym razem postanowili nawet przeprowadzić „naukowe eksperymenty” i kilku z nich wybrało się już na kontynent zwany Afryką, gdzie tych małp jest pod dostatkiem, aby przywieźć ich stamtąd wystarczającą ilość do ichnich „naukowych badań”.

Sądząc z eterogramu, owe przypadłe ci do gustu istoty planety Ziemia znowu zabrały się do wykrecania swoich niebywałych „numerów”.

Wszystko, czego się o nich dowiedziałem z moich obserwacji, pozwala mi już teraz przewidzieć, że ten „eksperyment naukowy” niewątpliwie bardzo zainteresuje resztę twoich ulubieńców i przez jakiś czas posłuży ich osobliwemu rozumowi za temat niekończących się sporów i plotek – co zresztą jest już tam na porządku dziennym.

Jeśli zaś chodzi o ten „eksperyment naukowy”, który zamierzają przeprowadzić z małpami przywiezionymi z Afryki, to już teraz z całą pewnością mogę powiedzieć, że przynajmniej jego pierwsza część uda im się „wyśmienicie”.

A uda im się wyśmienicie, ponieważ małpy, będąc istotami powstałymi wskutek tego, co nazywa się „rezultatem łechtliwym” z natury bardzo lubią zajmować się łechtaniem i niewątpliwie już od pierwszego dnia będą nader chętnie uczestniczyć i pomagać

twoim ulubieńcom w tym ich „naukowym eksperymencie”.

Natomiast co się tyczy tamtejszych istot, które przygotowują się do przeprowadzenia takiego „naukowego eksperymentu”, a także pożytku, jaki odniosą tam z niego inne istoty trójmózgowe, to można wyrobić sobie na ten temat pogląd, mając w pamięci to głęboko mądre powiedzenie naszego szacownego Mułły Nasr Eddina:

„Szczęśliwy ów ojciec, którego syn zajęty jest choćby mordem i rabunkiem, bo nie będzie miał kiedy przyuczyć go do zajmowania się łechtaniem”.

Tak, mój chłopcze, chyba jeszcze ci nie powiedziałem, kto i dlaczego, odkąd opuściłem układ słoneczny Ors, powiadamia mnie czasem za pomocą eterogramów o ważnych zdarzeniach na różnych planetach tego układu, w tym także oczywiście o tym, co dzieje się na twojej planecie Ziemia.

Pamiętasz, mówiłem ci, że po raz pierwszy osobiście zstąpiłem na powierzchnię twojej planety Ziemia z powodu pewnego naszego młodego współplemieńca, który potem nie chciał już tam dłużej zostać i powrócił z nami na planetę Mars, gdzie później okazał się znakomitym starostą istot naszego plemienia zamieszkujących tę planetę, a teraz stał się już nim dla wszystkich istot naszego plemienia, które z różnych przyczyn nadal egzystują na pewnych planetach układu Ors.

Otóż, mój chłopcze, kiedy opuszczałem ten układ, podarowałem mu moje słynne obserwatorium z całym wyposażeniem, a on z wdzięczności obiecał, że raz do roku – wedle rachuby czasu planety Mars – będzie informować mnie o wszystkich ważniejszych wydarzeniach na planetach tego układu.

Teraz więc bardzo skrupulatnie donosi mi o ważkich wydarzeniach zachodzących na każdej z tych planet, gdzie występuje egzystencja istnieniowa, i wiedząc o moim szczególnym zainteresowaniu trójmózgowymi istotami mającymi siedlisko na twojej planecie Ziemia, bardzo się stara, jak to teraz widzę, zdobyć i przekazać mi informacje o wszystkich ich przejawach, dzie-

ki czemu mogę śledzić na bieżąco cały proces zwykłej egzystencji tych trójmózgowych istot, choć sam znajduję się obecnie w odległości nieosiągalnej nawet dla ich bezgranicznie lekkich myśli.

Ów starosta naszych istot te różne informacje dotyczące trójmózgowych istot planety Ziemia czerpie albo z własnych obserwacji prowadzonych przez pozostawione mu przeze mnie wielkie teskuano, albo z doniesień przekazywanych przez trzech naszych współplemieńców, którzy postanowili osiedlić się na stałe na planecie Ziemia, i teraz każda z tych istot prowadzi na kontynencie Europa solidne samodzielne przedsiębiorstwo, co zresztą jest niezbędne dla wszystkich trójmózgowych istot egzystujących w panujących tam aktualnie warunkach.

Pierwszy z nich prowadzi w jednym z dużych miast „zakład pogrzebowy” drugi ma w innym dużym mieście „biuro matrymonialne i rozwodowe”, a trzeci jest założycielem i właścicielem sieci „kantorów wymiany walut” z oddziałami w różnych miastach.

Jednakże, mój chłopcze, z powodu tego eterogramu oszczędłem bardzo daleko od mojej pierwotnej opowieści.

Powróćmy więc do wcześniejszego tematu.

Otóż kiedy po raz czwarty przyleciałem na planetę Ziemia, nasz statek „Okazja” wylądował wtedy na morzu zwanym „Morzem Czerwonym”.

Postanowiliśmy osiąść na nim po pierwsze dlatego, że obmywało wschodnie wybrzeża kontynentu – zwanego wówczas „Graboncy”, a obecnie „Afryką” – który zamierzałem odwiedzić i gdzie mogłem znaleźć o wiele więcej potrzebnych mi istot-małą niż na innych lądach stałych powierzchni twojej planety, po drugie dlatego, że właśnie to morze znakomicie nadawało się do przycumowania naszego statku „Okazja”, ale przede wszystkim z tego powodu, że tuż obok znajdował się kraj zwany dzisiaj „Egiptem”, a noszący wówczas nazwę „Nilia” gdzie w tamtych czasach egzystowały jeszcze istoty z naszego plemienia, które zdecydowały się pozostać na tej planecie i które, jak liczyłem, mogły mi pomóc w łapaniu małą.

Tak więc po wylądowaniu na Morzu Czerwonym opuściliśmy statek „Okazja” i dopłynęliśmy „hipodrenechami” do brzegu; stamtąd dotarliśmy na wielbłądach do miasta, w którym żyli nasi ziomkowie i które było stolicą tego przyszłego Egiptu.

Owa stolica nazywała się „Teby”.

Już pierwszego dnia mojego pobytu w mieście Teby jedna z mieszkających tam istot naszego plemienia powiedziała mi między innymi w trakcie rozmowy, że ziemskie istoty z tego kraju wymyśliły nowy system obserwowania ze swojej planety innych skupień kosmicznych i że właśnie trwa konstrukcja budowli potrzebnych do realizacji tego wynalazku, i dodała jeszcze, że panuje powszechna opinia, iż wspaniałe udogodnienia i możliwości, jakie oferuje ów nowy system, nie miały do tej pory na Ziemi sobie równych.

A kiedy następnie zaczęła mi opowiadać o tym wszystkim, co widziała, jak tam się mówi, „na własne oczy” od razu bardzo mnie to zainteresowało, ponieważ z opisu pewnych szczegółów tej nowej budowli wywnioskowałem, że tym ziemskim istotom udało się być może pokonać pewną trudność, o której ostatnio sam dużo myślałem podczas prac wykończeniowych w moim obserwatorium na planecie Mars.

Postanowiłem zatem odłożyć na jakiś czas realizację mojego pierwotnego zamierzenia, którym było bezzwłoczne wyruszenie na południe tego kontynentu i schwytanie potrzebnych mi małąp, i zdecydowałem, że w pierwszej kolejności udam się na miejsce wspomnianej budowli, aby samemu wszechstronnie się z nią zaznajomić i zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi.

Tak więc następnego dnia po przybyciu do miasta Teby wziąłem za przewodnika jedną z istot naszego plemienia, która miała tam już wielu przyjaciół – wśród nich głównego konstruktora wspomnianej budowli – i w nieodłącznym towarzystwie naszego wiernego Ahuna popłynąłem na, jak to się mówi, „czurtetewie” w dół wielkiej rzeki, która obecnie nosi nazwę „Nil”.

W pobliżu miejsca, gdzie ta rzeka wpada do dużego obszaru sa-

liakuriapnego, dobiegała właśnie końca budowa owych „sztucznych konstrukcji”, z których część wzbudziła moje zainteresowanie.

Obszar, na którym toczyły się prace nad tym nowym, jak mówili na nie, „obserwatorium” oraz nad jeszcze kilkoma innymi budowlami mającymi służyć dobru ich egzystencji istnieniowej, nazywał się wtedy „Awazlin”; kilka lat później zaczęto nazywać go „Kaironana”, a dzisiaj zwie się po prostu „przedmieściami Kairu”.

Już na długo przed moją czwartą wizytą na Ziemi wspomniane sztuczne konstrukcje zaczął stawiać jeden z tamtejszych „faraonów” – tak właśnie tytułowały swoich władców istoty tego regionu – teraz zaś, w czasie mojej pierwszej bytności w tym miejscu, budowę tych specjalnych gmachów kończył jego wnuk, także faraon.

Chociaż obserwatorium, które wzbudziło moją ciekawość, nie było jeszcze ukończone, można było już w nim prowadzić obserwacje zewnętrznej widzialności skupień kosmicznych, a także analizować zarówno rezultaty osiągnięte przez te skupienia, jak i wzajemne oddziaływanie tych rezultatów.

W tamtym okresie istoty zajmujące się takimi obserwacjami i tego rodzaju badaniami nosiły na Ziemi miano „astrologów”.

Później jednak, kiedy ostatecznie ugruntowała się tam ichnia choroba psychiczna zwana „mądrzeniem się” – wskutek której ci specjaliści tak „skarłowaceli” że stali się specjalistami jedynie od nadawania imion odległym skupieniom kosmicznym – zaczęto nazywać ich „astronomami”.

Ponieważ różnica pod względem wartości i przydatności dla otoczenia między takimi ówczesnymi zawodowcami a tymi, którzy zajmują się dzisiaj ponoć tym samym, może unaocznic ci niezaprzeczalność „ciągłego obniżania się poziomu krystalizacji” danych wywołujących „zdrowe logiczne myślenie” – myślenie, które powinno występować w zbiorczej obecności twoich ulubieńców z racji tego, że są istotami trójmózgowymi – uważam za ko-

nieczne wyjaśnienie ci również takiej zmiany na gorsze, byś mógł wyrobić sobie o niej orientacyjne pojęcie.

W owym okresie ziemskie istoty trójmózgowe, które osiągnęły wiek odpowiedzialny i które inni nazywali „astrologami” oprócz obserwacji i badań różnych skupień kosmicznych mających na celu dalsze, jak to się mówi, „uszczegółowienie” ich gałęzi wiedzy powszechnej, brały na siebie w stosunku do podobnych do nich istot z otoczenia jeszcze kilka innych określonych esencjalnych zobowiązań.

Do ich podstawowych zadań należało także udzielanie rad wszystkim parom z ich, jak wtedy mówiono, „stada” – rad w rodzaju tych, jakich udzielają nasi cyrliknerzy, a dotyczących czasu oraz formy świętego procesu Elmuarno i mających na celu, odpowiednio do typu każdego z małżonków, zapewnienie pożądanego i właściwego poczęcia ich rezultatów. Później zaś, gdy dochodziło już do realizacji takich rezultatów lub, jak sami mówią, „noworodków”, ci sami astrolodzy musieli stawiać im „oblekjunerisz”, czyli to, co twoi ulubieńcy zwa „horoskopem” i od tej chwili albo oni sami, albo ich zastępcy zobowiązywali się kierować tymi młodymi istotami najpierw w okresie poprzedzającym osiągnięcie przez nie wieku odpowiedzialnego, a potem w dalszym procesie ich odpowiedzialnej egzystencji, udzielając im przez cały czas właściwych wskazówek na podstawie postawionego oblekjunerisza i w zgodzie z kosmicznymi prawami, które ci astrolodzy musieli im nieustannie wyjaśniać, a które wynikają z oddziaływania rezultatów innych dużych skupień kosmicznych na proces egzystencji istnieniowej istot na wszystkich planetach.

Te ich wskazówki i, można by powiedzieć, „przezorne rady” sprowadzały się do tego, że:

Gdy w obecności dowolnej istoty z ich stada jakaś funkcja stała się nieharmonijna lub tylko zaczynała się dysharmonizować, istota ta zwracała się do swojego rejonowego astrologa, który na podstawie sporządzonego dla niej oblekjunerisza, a także biorąc pod uwagę zmiany w procesach atmosferycznych spowodowane oddziaływaniem innych planet ich układu słonecznego

i przewidywane według ichnich obliczeń, dokładnie wskazywał, co i w jaki sposób powinna ta istota robić ze swym ciałem planetarnym w danym okresie krentonalnego ruchu ich planety; na przykład w którym kierunku się kłaść, jak oddychać, jakie ruchy wykonywać najczęściej, z jakiego typu istotami się nie zadawać i jeszcze wiele innych rzeczy tego rodzaju.

Poza tym, kiedy dana istota osiągała siódmy rok życia, astrolog przydzielał jej na podstawie tego samego postawionego wcześniej oblekjunerisza odpowiedniego partnera płci przeciwnej w celu wypełnienia jednej z głównych powinności istnieniowych, a mianowicie kontynuacji własnego gatunku; innymi słowy, wyznaczał jej, jak powiedzieliby twoi ulubieńcy, „męża” lub „żonę”.

Trzeba oddać sprawiedliwość twoim ówczesnym ulubieńcom: dopóki egzystowali wśród nich tacy astrologdzy, dopóty ci pierwsi skrupulatnie stosowali się do ich wskazań i wszystkie związki małżeńskie były zawiązywane wyłącznie w zgodzie z ich instrukcjami.

To z tego powodu w tamtym okresie małżonkowie zawsze odpowiadali sobie pod względem typu, i to niemalże tak dokładnie, jak to się dzieje na wszystkich planetach zamieszkanych przez istoty kesczappmartne.

Ci starożytni astrologdzy, mimo że byli bardzo dalecy od poznania wielu trogoautoegokratycznych prawd kosmicznych, skutecznie dokonywali tam takich doborów, ponieważ przynajmniej doskonale znali prawa oddziaływania różnych planet ich układu słonecznego na istoty zamieszkujące ich własną planetę, to znaczy wiedzieli, jaki wpływ mają te planety na istotę w momencie jej poczęcia, zarówno z punktu widzenia jej przyszłego kształtowania się, jak i osiągnięcia przez nią pełnego Bycia odpowiedzialnej istoty.

Dzięki wielowiekowej praktyce, a także informacjom przekazywanym z pokolenia na pokolenie, wiedzieli już wtedy, jakim typom płci pasywnej odpowiadają określone typy płci aktywnej. Toteż pary dobrane zgodnie z ich wskazówkami prawie zawsze do siebie pasowały, w przeciwieństwie do tego, co się dzieje dzi-



siaj, gdy niemal zawsze małżeństwa zawierają istoty, które nie odpowiadają sobie pod względem typu, skutkiem czego przez cały okres istnienia takich par praktycznie połowa ichniego, jak tam się mówi, „życia wewnętrznego” upływa na tym, co nasz czcigodny Mułła Nasr Eddin wyraził w jednym ze swych porzekadeł:

„Żaden tam z niego dobry mąż i żadna tam z niej dobra żona, jeśli cały świat wewnętrzny każdego z nich nie jest zajęty ciągłym «dogryzaniem drugiej połowie!»”.

W każdym razie, mój chłopcze, gdyby tacy astrologowie istnieli tam do dzisiaj, to na pewno zdobyliby już wystarczające doświadczenie i spowodowali, że z czasem egzystencja istot tej nieszczęsnej planety zaczęłaby choć trochę przypominać – przynajmniej jeśli chodzi o ichnie stosunki rodzinne – egzystencję analogicznych istot na innych planetach naszego Wielkiego Wszechświata.

Ale twoi ulubieńcy, nie zdążywszy nawet należycie skorzystać z tej dobroczynnej praktyki ustanowionej w procesie ich egzystencji, posłali ją, jak wszystkie inne ich pożyteczne osiągnięcia, „do świni obżarciuchy” naszego czcigodnego Mułły Nasr Eddina.

Zgodnie z panującym tam zwyczajem ci ichni astrologowie najpierw zaczęli stopniowo „karłowacieć”, a potem już całkowicie, jak to się mówi, „wyparowali”.

Gdy funkcja takich astrologów została definitywnie zlikwidowana, na ich miejsce pojawili się tam inni zawodowcy z tej samej dziedziny – tym razem jednak wywodzący się już spośród „uczonych nowej formacji” – którzy również zaczęli jakoby obserwować i badać rezultaty wpływające z różnych skupień kosmicznych oraz ich wpływ na egzystencję istot tej planety. Jednakże zwykłe istoty z otoczenia tych zawodowców szybko zauważyły, że te „obserwacje” i „badania” polegają wyłącznie na wymyślaniu nazw dla różnych odległych słońc i planet, których we Wszechświecie istnieją miliardy i które dla tych istot nie mają żadnego znaczenia, a także na rzekomym mierzeniu, znaną tylko im i otoczoną tajemnicą zawodową metodą, odległości między punktami

kosmicznymi, które można dostrzec z ich planety przez te dziecinne zabawki zwane przez nich „teleskopami” – i, jak już ci powiedziałem, zaczęły ich określać mianem „astronomów”.

Teraz, mój chłopcze, skoro zajęliśmy się tymi współczesnymi „ultrafantastami” nie zaszkodzi, jeśli „oświecająco” uświadomię ci – ponownie naśladując formę myślenia i werbalizacji naszego drogiego nauczyciela Mułły Nasr Eddina – ich autentyczne znaczenie, tak ogromne w oczach twoich ulubieńców.

Przede wszystkim musisz wiedzieć o istnieniu pewnego zwykłego kosmicznego „czegoś” co urzeczywistniło się dla tych ziemskich typów – jak zresztą zawsze samo z siebie urzeczywistnia się dla wszystkich kosmicznych jednostek – a co służy istotom obdarzonym obiektywnym rozumem za „element wyjściowy” do tego, by ustalić znaczenie i wagę dowolnego rezultatu kosmicznego.

Takie „coś” co spełnia rolę elementu wyjściowego do oszacowania znaczenia tych współczesnych ziemskich typów, to „wymądrzona” przez nich mapa, którą oni sami, oczywiście nieświadomie, nazwali „mapą inwentarza sfery niebieskiej”.

Nie ma potrzeby wyciągać żadnych innych logicznych wniosków z tego specjalnie dla nich urzeczywistnionego elementu wyjściowego, prócz tego, że już sama nazwa tej mapy wskazuje, iż naniesione na nią oznaczenia muszą być względne, ponieważ środki, jakimi te typy dysponują, pozwalają im – jakkolwiek by sobie łamali swoje „czcigodne głowy” nad wymyślaniem nazw i dokonywaniem przeróżnych pomiarów – widzieć z powierzchni ich planety tylko te słońca i planety, które na ich szczęście niezbyt szybko zmieniają kurs spadania w stosunku do Ziemi, wskutek czego mogą oni przez dość długi czas – długi oczywiście tylko w porównaniu z krótko trwałością ich własnej egzystencji – obserwować je i, jak się górnołotnie wyrażają, „odnotowywać ich pozycje”.

W każdym razie, mój chłopcze, bez względu na to, jakie rezultaty przynosi działalność tych współczesnych przedstawicieli „nauki”, proszę, nie bądź na nich zły. Nawet jeśli nie robią niczego z pożytkiem dla twoich ulubieńców, to przynajmniej nie wyrzą-

dzają im wielkiej szkody.

W końcu oni także muszą się czymś zajmować!

Przecież nie na próżno noszą okulary produkcji niemieckiej i specjalne szlafroki szyte w Anglii.

Niech już tam sobie robią, co chcą! Bóg z nimi!

W przeciwnym razie skończą jak większość tamtejszych dziwaków, którzy także zajmują się, jak to się tam mówi, „wyższymi materiałami” i zaczną z nudów „dyrygować walką pięciu przeciwko jednemu”.

A wszak wszystkim wiadomo, że istoty, które parają się takimi sprawami, zawsze wydzielają wibracje bardzo szkodliwe dla podobnych do nich istot z otoczenia.

Dosyć już tego! Zostawmy tych współczesnych ziemskich „łechtaczy” w spokoju i wróćmy do tematu naszej przerwanej opowieści.

Zanim zacznę opisywać ci dalej wspomniane obserwatorium i inne gmachy wzniesione dla dobra egzystencji istnieniowej, powinienes wiedzieć, że także „świadoma moc” trójmózgowych istot twojej planety, a konkretnie świadoma moc przejawiona w tworzeniu tych sztucznych konstrukcji, które widziałem na własne oczy i które nie miały sobie równych ani przed, ani po tym okresie, była rezultatem osiągnięć istot-członków towarzystwa naukowego Achldan, powołanego na kontynencie Atlantyda przed drugim wielkim ziemskim nieszczęściem, toteż uważam, że najlepiej będzie, jeśli wpierw opowiem ci choćby pokrótce historię powstania tego rzeczywiście wielkiego towarzystwa naukowego, którego członkami były zwykłe istoty trójmózgowe.

Powinienes ją koniecznie poznać, ponieważ w trakcie moich dalszych wyjaśnień dotyczących tych przypadłych ci do gustu trójmózgowych istot planety Ziemia niewątpliwie jeszcze nie raz będę wspominał o tym towarzystwie tamtejszych uczonych istot.

Historię powstania i istnienia owego towarzystwa na kontynencie Atlantyda muszę opowiedzieć ci również dlatego, byś zro-

zumiał, że kiedy tam, na twojej planecie, jakieś trójmózgowe istoty cokolwiek osiągają dzięki partkdołgpowinnościom istnieniowym – czyli dzięki swoim świadomym trudom i zamierzonemu cierpieniu – te osiągnięcia nie tylko są wykorzystywane przez nie dla dobra własnego „bycia”, lecz także pewna ich część, tak samo jak u nas, przekazywana jest dziedzicznie i staje się własnością ich bezpośrednich potomków.

Sam możesz stwierdzić taki zgodny z prawem rezultat na przykładzie tego, że chociaż pod koniec istnienia kontynentu Atlantyda zaczęły się już tam utrzymywać nienormalne warunki zwykłej egzystencji istnieniowej, a po drugim wielkim nieszczęściu te warunki pogarszały się w tak błyskawicznym tempie, że moc przejawiania możliwości przynależnych obecnościom wszystkich istot trójmózgowych szybko uległa w tych istotach ostatecznemu „paraliżowi” to jednak część ichnich „osiągnięć naukowych” została w sposób mechaniczny przekazana dziedzicznie ich dalekim potomkom.

Przed wszystkim powinienem ci powiedzieć, że historię towarzystwa naukowego Achldan poznałem dzięki jednej z „teleoginuar”, które czasami pojawiają się też w atmosferze twojej planety Ziemia.

Najprawdopodobniej nie wiesz jeszcze dokładnie, co to jest „teleoginuara”, a więc spróbuj teraz przetworzyć w odpowiednich częściach twojej zbiorczej obecności informacje o tej kosmicznej realizacji.

Teleoginuara to zmaterializowana idea lub myśl, która od chwili powstania egzystuje niemalże w nieskończoność w atmosferze tej planety, na której się pojawiła.

Teleoginuara może się wykształcić jedynie wskutek kontemplacji istnieniowej takiej jakości, jaka charakteryzuje i jaką mogą urzeczywistnić te trójmózgowe istoty które oblekły już w swoich obecnościach wyższe ciała istnieniowe i udoskonały rozum tych swoich wyższych części istnieniowych do stopnia „świętego Martfotaije”.

Ciąg zmaterializowanych w ten sposób idei istnieniowych, które odnoszą się do dowolnego pojedynczego zdarzenia, nazywa się „korkaptilną wstążką myślową”.

Jak odkryłem dużo później; „korkaptilne wstążki myślowe” dotyczące historii powstania towarzystwa naukowego Achldan zostały celowo utrwalone przez niejakiego Asuailona, dzisiaj już „Święte Wieczne Indywiduum”, który oblekł się w zbiorczą obecność trójmózgowej istoty o imieniu Tetetos, powstałej na twojej planecie właśnie na kontynencie Atlantyda i egzystującej tam cztery wieki przed drugą wielką perturbacją transapalną.

Te korkaptilne wstążki myślowe tak długo się nie niszczą, jak długo dana planeta zachowuje to samo „tempo ruchu” co w chwili ich powstania, ani też nie ulegają żadnej z transformacji – bez względu na jej ewentualne kosmiczne przyczyny – które okresowo zachodzą we wszystkich innych substancjach i krystalizacjach kosmicznych.

Każda trójmózgowa istota, która nabyła w swej obecności mocy osiągnięcia istnieniowego stanu zwanego „kontemplacją surptakalną”, może odebrać i zrozumieć tekst takich korkaptilnych wstążek myślowych niezależnie od tego, ile czasu upłynęło od ich powstania.

Tak więc, mój chłopcze, o szczegółach utworzenia tam towarzystwa Achldan dowiedziałem się częściowo z tekstu wspomnianej teleoginuary, a częściowo z licznych danych, które zebrałem o wiele później, kiedy zainteresowawszy się tym bardzo ważnym tamtejszym faktem, zacząłem przeprowadzać typowe dla mnie drobiazgowo badania.

Z tekstu owej teleoginuary oraz danych, z którymi zapoznałem się później, całkiem jasno wynikało, że towarzystwo naukowe Achldan utworzone na kontynencie Atlantyda i skupiające ziemskie istoty trójmózgowe powstało siedem wieków i trzydzieści pięć lat przed drugą perturbacją transapalną.

Zostało ono założone z inicjatywy pewnej tamtejszej istoty o nazwisku Belkultassi, która potrafiła udoskonalić swoją naj-

wyższą część istnieniową do bycia „Świętego Wiecznego Indywiduum” i obecnie ta jej najwyższa część mieszka już na świętej planecie Czyściec.

Kiedy stały się dla mnie jasne wszystkie wewnętrzne i zewnętrzne impulsy a także istnieniowe przejawy które skłoniły Belkultassiego do założenia tego doprawdy wielkiego towarzystwa zwykłych istot trójmózgowych – towarzystwa uważanego swego czasu w całym Wszechświecie za „godne pozazdroszczenia i naśladowania” – odkryłem, że pewnego razu, gdy Belkultassi, to przyszłe Święte Indywiduum, zgodnie ze zwyczajem każdej normalnej istoty pograżył się w refleksjach i jego myśli, poprzez skojarzenie, skupiły się na nim samym, czyli na sensie i celu jego egzystencji istnieniowej, wówczas poczuł nagle i uświadomił sobie, że dotychczasowy proces funkcjonowania jego całości odbywał się nie tak, jak nakazywałaby zdrowa logika.

Ta nieoczekiwana konstatacja wstrząsnęła nim tak głęboko, że od tej pory całym sobą oddał się wyłącznie temu, by rozważyć ją i za wszelką cenę zrozumieć.

W pierwszej kolejności niezwłocznie postanowił nabrać „mocy”, która dałaby mu siłę i możliwość bycia ze sobą całkiem szczerym, to znaczy pozwoliłaby mu przewyciężyć w sobie impulsy, które z powodu wielu powstających i płynących w nim różnorodnych skojarzeń, wywoływanych przez wszelkiego rodzaju przypadkowe wstrząsy zarówno przychodzące z zewnątrz, jak i powstające w nim samym, stały się nawykowe w funkcjonowaniu jego zbiorczej obecności, a mianowicie impulsy zwane „miłością własną”, „dumą”, „próżnością” itd.

A gdy po niewiarygodnych „organicznych” i „psychicznych” wysiłkach udało mu się to osiągnąć, zaczął, nie pobłażając żadnemu z tych impulsów istnieniowych już przynależnych jego obecności, myśleć i dokładnie sobie przypominać, kiedy i które z tych impulsów powstawały w jego obecności w trakcie jego dotychczasowej egzystencji, a także jak on sam, świadomie lub nieświadomie, na nie reagował.

Analizując siebie w ten sposób, zaczął sobie przypominać, który

impuls wywoływał tę czy inną reakcję w jego samodzielnie uduchowionych częściach, czyli w jego ciele, czuciu i myślach, a także co się działo z jego esencją w chwili, gdy reagował na coś bardziej lub mniej uważnie, i wreszcie, jak i kiedy – w następstwie tych reakcji – świadomie manifestował swoje „Ja” bądź działał automatycznie, powodowany wyłącznie instynktem.

To właśnie wtedy Belkultassi, ów nosiciel przyszłego Świętego Indywiduum, przypominając sobie w ten sposób wszystkie swoje dotychczasowe percepcje, przeżycia i przejawy, jasno stwierdził, że jego zewnętrzne przejawy wcale nie odpowiadają percepcjom ani określonym impulsom, które się w nim uformowały.

Następnie przeprowadził równie szczere obserwacje zewnętrznych i wewnętrznych wrażeń odbieranych w danej chwili przez jego zbiorczą obecność i poddał je wszystkie takiej samej wszechstronnej i świadomej inspekcji, chcąc się dowiedzieć, w jaki sposób są postrzegane przez każdą z jego uduchowionych części, w jakich sytuacjach i jak te wrażenia odbiera cała jego obecność, i wreszcie, jakie przejawy są przez nie wywoływane.

Te wielokierunkowe świadome obserwacje i bezstronne spostrzeżenia ostatecznie przekonały Belkultassiego, że w jego zbiorczej obecności dzieje się coś nie tak, jak dziać się powinno zgodnie ze zdrową logiką istnieniową.

Jak jasno wykazały moje dalsze szczegółowe badania, Belkultassi, uzyskawszy niezłomną pewność co do prawidłowości obserwacji, którym się poddał, zaczął wątpić w poprawność zarówno swoich doznań, jak i własnego rozumienia, a nawet w normalność swej organizacji psychicznej; toteż w pierwszej kolejności postawił sobie za cel wyjaśnienie, czy on sam jest normalny, skoro doznaje i pojmuje wszystko właśnie tak a nie inaczej.

Aby wypełnić to wzięte na siebie zadanie, postanowił odkryć, czy inni czują i rozumieją to samo co on.

W tym celu zaczął wypytywać przyjaciół i znajomych, aby się dowiedzieć, jak oni to wszystko odczuwają, a także w jaki sposób uświadamiają sobie swoje wcześniejsze oraz obecne percepcje

i przejawy – przy czym oczywiście robił to bardzo ostrożnie, żeby przypadkiem nie urazić wymienionych impulsów, które stały się im przynależne, a mianowicie „miłości własnej” „dumy” itd.

Dzięki takim pytaniom Belkultassiemu udało się stopniowo rozbudzić szczerą swych przyjaciół i znajomych, skutkiem czego dowiedział się, że oni wszyscy odczuwali i widzieli w sobie dokładnie to samo co on.

Otóż wśród tych przyjaciół i znajomych Belkultassiego znalazło się wtedy kilka poważnych istot, jeszcze niezupełnie poddanych działaniu następstw właściwości organu kundabufor, które zgłębiwszy sedno rzeczy, również bardzo poważnie zainteresowały się tą kwestią i wciąż badały, co się w nich dzieje, a także samodzielnie obserwowały swoje otoczenie.

Wkrótce potem, z inicjatywy tego samego Belkultassiego, zaczęły się co pewien czas spotykać, aby dzielić się obserwacjami i nowymi spostrzeżeniami.

Po długotrwałych weryfikacjach i obserwacjach oraz dzięki bezstronnym spostrzeżeniom cała ta grupa ziemskich istot, tak samo jak Belkultassi, doszła do stanowczego przekonania, że nie są one tym, czym być powinny.

Niebawem do tej grupy ówczesnych ziemskich istot przyłączyło się wiele innych istot, które cechowała taka sama obecność.

Jeszcze później założyły one towarzystwo nazwane przez nie „Towarzystwem Achldan”.

Słowo „Achldan” kryło w sobie wówczas następujące pojęcie:

„Dążenie do uświadomienia sobie sensu i celu bycia istot”.

Od chwili powstania tego towarzystwa na jego czele stanął sam Belkultassi i dalsza działalność istot należących do tego towarzystwa toczyła się pod jego kierunkiem.

Przez wiele tamtejszych lat towarzystwo to istniało pod wspomnianą nazwą, a należące do niego istoty nazywano „Achldansoworami”; jednakże później, chcąc usprawnić realizację wspólnych zamierzeń, towarzystwo podzieliło się na kilka samodzielnych grup i członków zrzeszonych w każdej z nich nazywano już



inaczej.

Do takiego podziału doszło z następującego powodu:

Kiedy członkowie towarzystwa ostatecznie się przekonali, że w ich obecnościach znajduje się coś bardzo niepożądanego, zaczęli szukać wszystkich możliwych sposobów, aby się tego pozbyć i móc stać takimi, jakimi wedle zdrowej logiki być powinni – to znaczy odpowiadać znaczeniu i celowi swojej egzystencji, które postanowili za wszelką cenę wyjaśnić, uczyniwszy z tego podstawę swojej pracy – i kiedy następnie przystąpili do praktycznej realizacji zadania wyznaczonego przez ich rozum, szybko zdali sobie sprawę, że do jego wypełnienia jest absolutnie niezbędne, żeby zebrali w swoich umysłach większą liczbę szczegółowych informacji z różnych specjalnych gałęzi wiedzy.

Ponieważ jednak okazało się, że w pojedynkę nikt nie jest w stanie zgromadzić należytej fachowej wiedzy, więc dla ułatwienia podzielili się na kilka grup, z których każda miała studiować jedną z tych specjalnych dziedzin wiedzy, potrzebnych do osiągnięcia ich wspólnego celu.

A zatem, mój chłopcze, powinieneś tutaj odnotować, że właśnie od tego momentu datuje się powstanie prawdziwej nauki obiektywnej, która rozwijała się tam normalnie aż do drugiego \$ wielkiego nieszczęścia, jakie spotkało tę planetę, i że jeśli chodzi o niektóre jej gałęzie, to ów rozwój postępował wtedy w niebywałym tempie.

Dzięki temu wiele dużych i małych „obiektywnych prawd” kosmicznych stopniowo dotarło w tym okresie do świadomości przypadłych ci do gustu trój mózgowych istot.

Uczeni członkowie tego pierwszego i być może ostatniego wielkiego ziemskiego towarzystwa naukowego podzielili się wówczas na siedem niezależnych grup lub, jak można powiedzieć inaczej, „sekcji” i każda z tych grup czy sekcji otrzymała określoną nazwę.

Członkowie pierwszej grupy towarzystwa Achldan zwani byli „Achldanfochsoworami”, co znaczyło, że istoty należące do tej

sekcji zajmowały się studiowaniem obecności ich własnej planety oraz wzajemnych oddziaływań jej poszczególnych części.

Członków drugiej sekcji nazywano „Achldanstrasoworami”, co znaczyło, że istoty należące do tej sekcji prowadziły badania nad promieniowaniami wszystkich pozostałych planet ich układu słonecznego i nad wzajemnym oddziaływaniem tych promieniowań.

Członkowie trzeciej sekcji zwani byli „Achldanmetrosoworami”, co z kolei znaczyło, że istoty te zajmowały się studiowaniem gałęzi wiedzy podobnej do tej, którą my nazywamy „silkurnano” i która częściowo pokrywała się z tym, co twoi współcześni ulubieńcy zwą „matematyką”.

Członków czwartej grupy nazywano „Achldanpsychosoworami”, a to dlatego, że prowadzili obserwacje percepcji, przeżyć i przejawów istot do nich podobnych i weryfikowali te obserwacje statystycznie.

Członkowie piątej grupy zwani byli „Achldancharnosoworami” co znaczyło, że istoty należące do tej sekcji zajmowały się studiowaniem gałęzi wiedzy, która łączyła w sobie dwie tamtejsze współczesne nauki nazywane przez twoich ulubieńców „chemią” i „fizyką”.

Członkowie szóstej sekcji nazywali się „Achldanmistessowarzy” i studiowali wszelkiego rodzaju fakty zachodzące na zewnątrz istot – zarówno te wywołane świadomie z zewnątrz, jak i te pojawiające się same z siebie – próbując zbadać, które z nich oraz w jakich sytuacjach są błędnie odbierane przez istoty.

Jeśli zaś chodzi o istoty należące do siódmej i ostatniej grupy, to nazywano je „Achldangezpaadżisoworami”; owi członkowie towarzystwa Achldan poświęcali się studiowaniu przejawów, które w obecnościach trój mózgowych istot ich planety nie zachodzą w następstwie takiego czy innego funkcjonowania będącego wynikiem różnorodnych impulsów wywołanych przez zgromadzone już w nich dane, lecz zachodzą wskutek kosmicznych oddziaływań pochodzących z zewnątrz i od nich samych niezależnych.

Trójmózgowe istoty twojej planety, które stały się członkami tego towarzystwa, tak bardzo zbliżyły się do obiektywnej wiedzy, że osiągnęły poziom, jakiego nigdy przedtem nikt tam nie osiągnął i pewnie już nigdy nie osiągnie.

W tym miejscu trudno nie wyrazić ponownie żalu i nie powtórzyć, że na wielkie nieszczęście tamtejszych istot trójmózgowych wszystkich późniejszych epok akurat wtedy, gdy po niewiarygodnych trudach istnieniowych w istotach-członkach tego wielkiego towarzystwa ustaliło się wymagane tempo pracy – zarówno jeśli chodzi o świadome rozeznanie z ich strony, jak i nieświadome przygotowywanie pomyślnej egzystencji ich potomków – otóż właśnie w szczytowym punkcie takich wysiłków niektórzy z nich spostrzegli, że coś poważnego stanie się niebawem z ich planetą.

Aby poznać naturę tego przewidywanego ważkiego zdarzenia, rozproszyli się po wszystkich kontynentach i zaraz potem, jak sam wiesz, twoją nieszczęsną planetą wstrząsnęła druga perturbacja transapalna, w czasie której cały kontynent Atlantyda zapadł się do jej wnętrza.

Tak więc, mój chłopcze, ci członkowie tego wielkiego towarzystwa naukowego, którym udało się z tej katastrofy ująć cało, stopniowo zebrali się w środku kontynentu Graboncy i nie mając już dokąd wrócić, osiedlili się tam z większością ocalałych istot; później jednak, kiedy po tym „niezgodnym z prawem kataklizmie” powoli już „doszli do siebie”, postanowili wspólnie wznowić działalność i, na ile to możliwe, kontynuować realizację wszystkich zadań, które stanowiły podstawę ich obróconego wniwecz towarzystwa.

Ponieważ na wspomnianej części powierzchni kontynentu Graboncy przejawy nienormalnych – ustanowionych jeszcze przed katastrofą – warunków egzystencji istnieniowej większości tamtejszych trójmózgowych istot znowu zaczęły w tym czasie „wrzeć na całego” ocalali członkowie towarzystwa Achldan starali się znaleźć do osiedlenia się na tym kontynencie nowe miejsce, które lepiej nadawałoby się do ich pracy wymagającej zupełnego od-

osobnienia.

Uznali, że takim stosownym miejscem jest dolina dużej rzeki płynącej ze środka na pomoc kontynentu, i przenieśli się tam wraz z rodzinami, aby w izolacji kontynuować wypełnianie zadań, jakie wyznaczyło sobie ich towarzystwo.

Cały ów region, przez który płynęła wspomniana rzeka, oni po raz pierwszy nazwali „Sakronakari”.

Ta nazwa później kilkakrotnie się zmieniała i obecnie rejon ten zwany jest „Egiptem”, a sama rzeka, nosząca wtedy nazwę „Nipilchuaczi” nazywa się teraz, jak ci już mówiłem, „Nil”.

Niedługo po tym, jak niektórzy dawni członkowie towarzystwa naukowego Achldan urządzili się na tej części powierzchni Ziemi, w to miejsce przeniosły się wszystkie istoty naszego plemienia, które znajdowały się w tym okresie na powierzchni tej przypadłej ci do gustu planety.

Co się zaś tyczy więzi łączącej istoty naszego plemienia z tą częścią powierzchni twojej planety i stosunków między nimi a pierwszą grupą przypadkowo ocalałych byłych członków towarzystwa Achldan, którzy się tam przenieśli, to wykształciły się one w sposób następujący:

Powiedziałem ci kiedyś, że tuż przed drugą perturbacją transapalną nasza „pytia klanowa” zażądała w swoich przepowiedniach, by wszystkie istoty naszego plemienia bezzwłocznie przeniosły się na określoną część powierzchni tego kontynentu, który dzisiaj nazywa się „Afryka”, i tam właśnie kontynuowały swoją egzystencję na tej planecie.

Owa część powierzchni kontynentu, na którą wskazała pytia, znajdowała się w górnym biegu dużej rzeki Nipilchuaczi; istoty naszego plemienia egzystowały tam przez cały czas drugiej perturbacji transapalnej, a także później, kiedy wszystko stopniowo wróciło w miarę do normy i większość ocalałych istot, prawie zapomniawszy o tym, co się wydarzyło, jakby nigdy nic znowu przystąpiła do budowania w samym środku przyszłej Afryki jednego ze swoich słynnych „centrów kultury”. Otóż właśnie wtedy,

gdy byli członkowie towarzystwa Achldan szukali stosownego miejsca, gdzie mogliby się osiedlić, przypadkowo spotkali pewne istoty z naszego plemienia, które poradziły im przenieść się w rejon położony w dolnym biegu wspomnianej rzeki.

Nasza znajomość i przyjacielskie stosunki z wieloma członkami towarzystwa Achldan datowały się od czasu naszych pierwszych wzajemnych kontaktów na kontynencie Atlantyda, czyli prawie od chwili założenia tego towarzystwa.

Pamiętasz, mówiłem ci, że kiedy zstąpiłem na tę planetę po raz pierwszy i istoty naszego plemienia zgromadziły się w mieście Samlios, aby znaleźć z moją pomocą wyjście z trudnej sytuacji, jaka się wtedy wytworzyła, nasze walne zebrania odbywały się właśnie w jednej z filii głównej katedry towarzystwa Achldan, i to dokładnie od tamtej pory nawiązały się dobre stosunki między wieloma istotami naszego plemienia a niektórymi członkami tego towarzystwa.

A tam, w tym przyszłym Egipcie, dokąd obie grupy przesiedliły się w opisany sposób, relacje istot naszego plemienia z tymi przypadkowo ocalałymi dawnymi członkami towarzystwa Achldan, a także z ich potomkami, trwały niemal nieprzerwanie aż do chwili opuszczenia przez nas twojej planety.

Mimo że nadzieja tych kilku przypadkowo ocalałych członków towarzystwa Achldan na to, że będą mogli podjąć od nowa realizację zadań ich towarzystwa nie ziściła się, to jednak tylko dzięki nim po zagładzie Atlantydy przechowało się w obecnościach istot kilku kolejnych pokoleń „instynktowne przekonanie” o znaczeniu tego, co nazywa się „spełnionym osobistym byciem”.

Ich zasługą jest również to, że niektóre osiągnięcia rozumu tamtejszych istot trójmózgowych przetrwały dopóty, dopóki ów rozum był w nich normalny, i że potem te osiągnięcia były jeszcze przez jakiś czas przekazywane dziedzicznie z pokolenia na pokolenie, automatycznie docierając do istot z o wiele późniejszych epok, a nawet do kilku istot współczesnych.

Do tych dziedzicznie przekazanych rezultatów, jakie przyniosły

naukowe osiągnięcia członków towarzystwa Achldan, trzeba bezwzględnie zaliczyć owe mądre i solidne sztuczne konstrukcje, które w czasie mojego czwartego zstąpienia na tę planetę były wznoszone na moich oczach przez istoty zamieszkujące wspomnianą część powierzchni kontynentu zwanego obecnie Afryką i o których zamierzam ci teraz opowiedzieć.

Wprawdzie kiedy zobaczyłem to nowe obserwatorium, o którym tyle mi mówili nasi ziomkowie, nie spełniło ono moich oczekiwań, jednak zarówno samo obserwatorium, jak i inne sztuczne konstrukcje ówczesnych istot tego rejonu okazały się nadzwyczaj pomysłowe i dostarczyły mojej zbiorczej obecności danych, które wzbogaciły moją świadomość o wiele pożytecznych informacji.

Abyś mógł sobie jasno wyobrazić i zrozumieć, w jaki sposób trójmózgowe istoty tego rejonu wznosiły takie sztuczne konstrukcje mające zapewnić pomyślność ich egzystencji istnieniowej, myślę, że wystarczy, jeśli szczegółowo wyjaśnię ci, na czym polegała osobliwość ich mądrych i praktycznych pomysłów zastosowanych właśnie w tym nowym obserwatorium, które było powodem mojej ówczesnej wizyty.

Najpierw muszę jednak poinformować cię o dwóch faktach, które wiążą się ze zmianami w zbiorczej obecności tych przypadłych ci do gustu trójmózgowych istot.

Pierwszy wiąże się z tym, że na początku, to znaczy kiedy egzystowały one jeszcze normalnie, tak jak przystoi wszystkim trójmózgowym istotom, i miały „wzrok ołujestesnochny” potrafiły w trakcie dowolnego z procesów wszechobecnego Okidanocha, jakie zachodzą w ich atmosferze, postrzegać na zewnątrz siebie widoczność wszystkich dużych i małych skupień kosmicznych, które znajdowały się w odległości odpowiadającej zasięgowi organu wzroku zwykłych istot trójmózgowych.

Ponadto te spośród nich, które świadomie się udoskonaliły i dzięki temu zwiększyły czułość percepcji swojego organu wzroku – jak wszędzie indziej czynią to istoty trójmózgowe – do „stanu olujesultratesnochnego” uzyskały możliwość postrzegania w tej samej odległości także wszystkich kosmicznych jednostek, któ-

rych powstanie i dalsza egzystencja zależą od krystalizacji pochodzących bezpośrednio ze świętego Teomertmalogosu, czyli z emanacji Naszego Przenajświętszego Słońca Absolut.

Jednakże później, kiedy już ostatecznie ugruntowały się tam nienormalne warunki zwykłej egzystencji istnieniowej i z przytoczonych przeze mnie wcześniej powodów Wielka Przyroda, wśród innych wprowadzonych ograniczeń, była zmuszona także ograniczyć funkcjonowanie ich narządu wzroku do poziomu wzroku „koritesnochnego” – czyli wzroku właściwego obecnościom jednomózgowych i dwumózgowych istot – od tamtej pory wszystkie znajdujące się na zewnątrz małe i duże skupienia kosmiczne stały się dla nich widoczne jedynie wtedy, gdy w atmosferze ich planety nie zachodzi we wszechobecnym elemencie aktywnym Okidanoch święty proces Aieioiuoa, to znaczy, jak same mówią zgodnie ze swoim rozumieniem i swoimi percepcjami, „w nocnych ciemnościach”.

Jeśli zaś chodzi o drugi fakt, to jego podstawę stanowi wspólne wszystkim istotom prawo, które głosi, że ich narządy wzroku mogą postrzegać rezultaty dowolnego przejawu wszechobecnego Okidanocha tylko przy bezpośrednim kontakcie owych rezultatów z wytwarzanymi w istotach wibracjami, które urzeczywistniają funkcjonowanie istnieniowego organu umożliwiającego postrzeganie w danym momencie widoczności skupień kosmicznych znajdujących się na zewnątrz nich, to znaczy tylko wtedy, gdy rzeczony rezultat przejawów wszechobecnego Okidanocha nie wychodzą poza granicę, którą wytycza jakość osiągnięta przez dany organ, i poza którą to, co zwie się „bezwładnością impulsu”, zamiera.

Dla istot, które mają w swej obecności narządy percepcji wzrokowej uformowane jedynie z rezultatów całokształtu „Itoklanoc” ta granica leży bardzo niedaleko i dlatego takie istoty od czasu, gdy ich narządy wzroku zdegenerowały się i zaczęły odpowiadać poziomowi wzroku koritesnochnego, widzą tylko te przedmioty, które znajdują się tuż obok nich.

Sądzę, że będzie bardzo na rzeczy, jeśli zacytuję teraz jedną

z głębokich myśli naszego Mułły Nasr Eddina, która niezwykle trafnie definiuje daną okoliczność, to znaczy stopień ograniczenia percepcji wzrokowej twoich współczesnych ulubieńców.

Ta jego mądra, rzadko przytaczana tam maksyma brzmi:

„Pokaż mi słonia, którego zobaczył ślepiec, a dopiero wtedy uwierzę ci, że widzisz wyraźnie muchę”.

Tak więc, mój chłopcze, dzięki tej sztucznej konstrukcji służącej do obserwacji innych skupień kosmicznych, którą miałem okazję zobaczyć, a którą budowano w tym przyszłym Egipcie z inicjatywy umysłów dalekich potomków członków towarzystwa naukowego Achldan, każdy z twoich nieszczęsnych ulubieńców, bez względu na cechujący ich już od dawna wzrok koritesnochny, posiadał zdolność swobodnego postrzegania o każdej porze, jak oni mówią, „dnia i nocy” widzialności wszystkich odległych skupień kosmicznych, które w trakcie procesu „ogólnokosmicznego ruchu harmonijnego” znalazły się w zasięgu jego obserwacji.

Aby skompensować wspomniane ograniczenie ich organu percepcji wzrokowej, wymyślili oni wówczas rzecz następującą:

Zamiast zainstalować swoje teleskopy lub teleskop – którego pomysł budowy, nawiasem mówiąc, również dotarł do nich od odległych przodków – na powierzchni planety, jak to się zwykle tam robić i zresztą robi do dzisiaj, umieścili je bardzo głęboko w jej wnętrzu i prowadzili obserwacje skupień kosmicznych znajdujących się poza atmosferą Ziemi przez specjalnie wykopane „rurokształtne tunele”.

Obserwatorium, które wtedy widziałem, miało pięć takich tuneli.

Każdy z nich otwierał się w różnych miejscach powierzchni planety, w których usytuowane było to obserwatorium, na inną część horyzontu, ale wszystkie spotykały się w jednym niedużym podziemnym wydrążeniu przypominającym jaskinię. Stamtąd ówcześni specjaliści, zwani „astrologami” prowadzili obserwacje, których celem było, jak już ci mówiłem, badanie widzialnej obecności oraz rezultatów wzajemnego oddziaływania innych sku-



pień kosmicznych należących zarówno do ich układu słonecznego, jak i do innych układów naszego Wielkiego Wszechświata.

Te obserwacje prowadzili przez dowolny ze wspomnianych rurkształtnych tuneli, skierowanych w różne strony horyzontu w zależności od pozycji, jaką ich planeta zajmowała w procesie „ogólnokosmicznego ruchu harmonijnego” w stosunku do obserwowanego kosmicznego skupienia.

Powtarzam, mój chłopcze, chociaż główna osobliwość obserwatorium skonstruowanego przez trójmózgowe istoty przyszłego Egiptu nie była dla mnie niczym nowym, bowiem tę samą zasadę zastosowałem w moim obserwatorium na Marsie – z tą tylko różnicą, że moich siedem bardzo długich rur znajdowało się na powierzchni planety, a nie wewnątrz niej – to jednak wszystkie szczegóły ich innowacji były tak interesujące, że na wszelki wypadek zrobiłem w czasie tej wizyty drobiazgowy szkic wszystkiego, co tam wtedy zobaczyłem, i później nawet wykorzystałem coś z tego w moim obserwatorium.

Jeśli zaś chodzi o pozostałe tamtejsze sztuczne konstrukcje, to szczegółowo opowiem ci o nich przy innej okazji, a tymczasem wspomnę tylko, że wszystkie te nieukończone jeszcze wówczas samodzielne budowle znajdowały się w pobliżu wspomnianego obserwatorium i – jak stwierdziłem w trakcie ich zwiedzania z oprowadzającym mnie przewodnikiem, którym był ten sam budowniczy, przyjaciel jednego z naszych współplemieńców – miały służyć częściowo do obserwacji innych słońc oraz planet naszego Wielkiego Wszechświata, a częściowo do ustalenia i celowej regulacji przepływu otaczającej atmosfery w celu uzyskania pożądanego „klimatu”...

Wszystkie te ichnie sztuczne konstrukcje zajmowały w tej miejscowości dość duży teren i były ogrodzone specjalnym płotem splecionym z rośliny, która wówczas nazywała się tam „calnakatr”.

Warto w tym miejscu zaznaczyć, że przy głównym wejściu na ten teren postawiono dość dużą – dużą oczywiście w porównaniu z wielkością ich zbiorczej obecności – kamienną rzeźbę zwaną

„Sfinksem” bardzo przypominającą mi posąg, który ujrzałem podczas mojego pierwszego osobistego zstąpienia na twoją planetę w mieście Samlios, naprzeciw ogromnego gmachu należącego do towarzystwa naukowego Achldan i zwanego w tamtym czasie „katedrą główną” tego towarzystwa.

Ta statua, która wtedy tak bardzo mnie zainteresowała, była godłem tego towarzystwa i nazywała się „Sumienie”.

Przedstawiała istotę alegoryczną, czyli istotę, której ciało planetarne składało się z różnych części ciał planetarnych pewnych istot o określonej formie egzystujących na Ziemi i wypełniających, zgodnie ze skryzalizowanymi pojęciami tamtejszych istot trójmózgowych, w idealny sposób tę lub inną funkcję istnienia.

Podstawową część ciała planetarnego tej alegorycznej istoty stanowił tułów tamtejszej istoty o określonym kształcie zwanej „bykiem”.

Ów tułów byka spoczywał na czterech nogach innej egzystującej tam istoty o określonej formie zwanej „lwem” i do tej części tułowia byka, na którą mówi się „grzbiet” doczepione były dwa duże skrzydła wyglądające dokładnie tak jak skrzydła silnej istoty-ptaka, która nazywa się tam „orzeł”.

W miejscu, gdzie powinna znajdować się głowa, przymocowano do tułowia byka za pomocą kawałka bursztynu dwie piersi reprezentujące „piersi dziewicy”.

Ten dziwny alegoryczny wizerunek z kontynentu Atlantyda bardzo mnie zafrapował i kiedy zapytałem pewnego uczonego, członka tego wielkiego towarzystwa istot-ludzi, o jego znaczenie, wyjaśnił mi, co następuje:

„Ta alegoryczna figura jest godłem towarzystwa Achldan i służy wszystkim jego członkom za czynnik, który ma wciąż w nich rozbudzać i przywoływać na pamięć impulsy, które ona w sobie skrywa”!

Dodał jeszcze:

„Każdy segment tej alegorycznej figury prowokuje we wszyst-

kich trzech samodzielnie kojarzących częściach naszej zbiorczej obecności, a mianowicie w ciele, myślach i czuciu, wstrząs wywołujący odpowiednie skojarzenia, które prowadzą do poszczególnych uświadomień stwarzających nam w sumie jedyną w swoim rodzaju możliwość pozbywania się po trochu niepożądanых czynników – zarówno tych przekazanych nam dziedzicznie, jak i tych nabytych już przez nas samych – które wszyscy mamy w sobie, a które, budząc w nas stopniowo niestosowne impulsy, sprawiają, że nie jesteśmy tym, czym moglibyśmy być.

Nasze godło ciągle przypomina nam i wskazuje, że uwolnienie się od tych czynników jest możliwe tylko pod warunkiem, że w odpowiednich sytuacjach będziemy nieustannie zmuszać naszą zbiorczą obecność do myślenia, czucia i działania zgodnie z tym, co wyraża to godło.

My, wszyscy członkowie towarzystwa Achldan, rozumiemy nasze godło w sposób następujący:

Korpus tej alegorycznej istoty przedstawiający tułów «byka» wskazuje nam na to, że czynniki, które skryształizowały się w nas i wzbudzają w naszych obecnościach impulsy dla nas szkodliwe – zarówno te przekazane nam dziedzicznie; jak i te, którym sami zaczęliśmy ulegać – mogą przeobrazić się jedynie dzięki niezmiordowanym wysiłkom, to znaczy takim wysiłkom, do których spośród wszystkich istot naszej planety najbardziej zdolny jest byk.

To, że ów tułów spoczywa na nogach «lwa», oznacza, że wysiłki te powinny być robione świadomie i z poczuciem takiej śmiałości oraz wiary we własną «moc», jakie wśród wszystkich istot na Ziemi cechują głównie właściciela tych nóg – potężnego lwa.

Dołączone do tułowia byka skrzydła najsilniejszego i najwyżej szybującego ze wszystkich ptaków, «orła», nieustannie przypominają członkom naszego towarzystwa, że podejmując te wysiłki, a także w momencie wewnętrznego oddziaływania wspomnianych psychicznych właściwości samooceny, należy nieprzerwanie kontemplować takie kwestie, które nie dotyczą prostych przejawów potrzebnych do zwykłej egzystencji istnieniowej.

Co się zaś tyczy dziwnego przedstawienia głowy naszej alegorycznej istoty w postaci «piersi dziewicy», to oznacza ono, że zawsze i wszędzie, w każdym wewnętrznym oraz zewnętrznym funkcjonowaniu wywołanym przez naszą świadomość; na pierwszym miejscu winna stać «miłość» – taka miłość, jaka może się zrodzić i istnieć wyłącznie w obecnościach koncentracji wytwarzanych w zgodnych z prawem częściach każdej całkowitej odpowiedzialnej istoty, w której ulokowane zostały nadzieje NASZEGO WSPÓLNEGO OJCA.

A fakt, że ta głowa przymocowana jest do tułowia byka za pomocą bursztynu oznacza, iż owa miłość powinna być absolutnie bezstronna, czyli zupełnie odizolowana od wszystkich innych funkcji, które występują w każdej stanowiącej spójną całość odpowiedzialnej istocie”.

Abyś mógł, mój chłopcze, w pełni zrozumieć znaczenie, jakie temu godłu nadaje materiał zwany tam „bursztynem” muszę dodać, że bursztyn jest jedną z siedmiu planetarnych formacji, w których powstaniu uczestniczą w takiej samej proporcji trzy samodzielne święte części wszechobecnego elementu aktywnego Okidanoch; tego rodzaju wewnątrzplanetarne i naplanetarne formacje służą w procesie realizacji planetarnych do „odgradzania” samodzielnego przepływu każdej z tych jego trzech umiejscowionych i niezależnych świętych części.

W tym miejscu swej opowieści Belzebub zrobił krótką przerwę, jakby chciał się nad czymś zastanowić, a potem kontynuował:

– Kiedy tak opisywałem ci to, co zobaczyłem na tej ocalałej i istniejącej do dziś części lądu stałego powierzchni twojej planety w czasie, gdy można było tam jeszcze spotkać pośród trójmózgowych istot niektórych z bezpośrednich potomków członków tamtejszego rzeczywiście wielkiego towarzystwa naukowego Achldan, stopniowo ożył we mnie – wskutek przejawów mojego rozumu istnieniowego i dzięki rozmaitym asocjacyjnym wspomnieniom najprzeróżniejszych wrażeń utrwalonych w mej zbiorczej obecności, a wywołanych przez percepcje wzrokowe okolic tego miejsca – cały skojarzeniowy myślotok wraz z pełnym

obrazem pewnego istnieniowego przeżycia, którego doświadczyłem podczas mojej ostatniej bytności tam, właśnie w trakcie wizyty w tym współczesnym Egipcie, gdy siedziałem kiedyś pogrążony w myślach u podnóża jednej z tych przypadkowo ocalałych starożytnych sztucznych konstrukcji, które zwane są obecnie „Piramidami”.

W zbiorczym funkcjonowaniu mojego rozumu przebiegały wtedy między innymi następujące skojarzenia:

No, dobrze... To, że ani jedno z tych dobrodziejstw służących zwykłej egzystencji istnieniowej, które stworzył kiedyś rozum istot kontynentu Atlantyda, nie zostało przekazane w spuściźnie współczesnym istotom tej planety, można by jeszcze logicznie wyjaśnić tym prostym faktem, że z przyczyn kosmicznych, powstałych zupełnie niezależnie od tamtejszych istot trój mózgowych, nastąpił drugi wielki „niezgodny z prawem kataklizm” w czasie którego nie tylko sam ów kontynent się zapadł, ale także przepadło wszystko to, co na nim istniało.

Ale proszę! Ten Egipt...

Przecież okres jego wspaniałości minął całkiem niedawno!...

To prawda, że na skutek trzeciej małej katastrofy, jaka wydarzyła się na tej nieszczęsnej planecie, a następnie piątej – o której opowiem ci później – tę część jej powierzchni również zasypały piaski, ale zamieszkujące ją trójmózgowe istoty nie zginęły, a tylko rozproszyły się po innych częściach tego kontynentu. Można by więc sądzić, że bez względu na to, w jakich nowych warunkach przyszło im egzystować, w ich obecnościach powinny ocaleć przekazane im dziedzicznie skrytalizowane rezultaty udoskonalonych czynników warunkujących normalne „logiczne myślenie istnieniowe”.

Otóż, mój chłopcze, ponieważ po tym bolesnym „altuzori” lub, jak powiedzieliby twoi ulubieńcy, po tych „gorzkich refleksjach” zapragnąłem pojąć samo sedno przyczyny takiego pożałowania godnego faktu, przeprowadziłem więc drobiazgowo badania, które w końcu pozwoliły mi zrozumieć i uświadomić sobie całym A

byciem, że ta tamtejsza anomalia jest wynikiem tylko jednego rażącego aspektu głównej osobliwości ich dziwnej psychiki, a mianowicie tej osobliwości, która już całkowicie się skryształizowała i stała nieodłączną częścią ich zbiorczej obecności, a także czynnikiem okresowego powstawania w nich „niepowstrzymanej żądzы niszczenia wszystkiego, co się znajduje na zewnątrz nich”.

Rzecz w tym, że kiedy rozwój tej fenomenalnej i przeraźliwej dla każdego rozumu osobliwości ich psychiki osiąga swoje apogeum i owe trójmózgowe istoty zaczynają manifestować ją na zewnątrz, to znaczy kiedy na dowolnej części powierzchni ich planety zaczynają przeprowadzać proces unicestwiania się nawzajem, wówczas przy okazji, bez żadnego określonego celu, a nawet bez „organicznej potrzeby”, niszczą równocześnie wszystko, co niechcący znajdzie się w obrębie percepcji ich narządów wzroku. W okresach takiego fenomenalnie psychopatycznego apogeum istoty, między którymi toczy się ów przeraźliwy proces, niszczą nie tylko to wszystko, co same specjalnie stworzyły, ale także wszelkie przedmioty, które są dziełem istot z poprzednich epok i którym przypadkowo udało się do tej pory ocaleć.

Tak więc, mój chłopcze, w czasie mojego czwartego osobistego pobytu na powierzchni twojej planety przybyłem wpierw do kraju zwanego dzisiaj Egiptem i spędziłem tam kilka dni wśród dalekich potomków istot, które były członkami wielkiego towarzystwa naukowego Achldan; a następnie, zapoznawszy się z niektórymi ocalałymi dla dobra ich potomstwa rezultatami spełnionych przez nich partkdołgpowinności istnieniowych, wyruszyłem w towarzystwie dwóch naszych współplemieńców na południe tegoż kontynentu, gdzie z pomocą miejscowych istot trójmózgowych schwytałem potrzebną nam liczbę istot-małp.

Po zakończeniu tej operacji wezwałem telepatycznie nasz statek „Okazja”, który przyleciał po nas już następnej, nawiasem mówiąc, bardzo ciemnej nocy, i kiedy udało się nam załadować istoty-małpy do specjalnego przedziału, zbudowanego dla Gornahura Harcharcha pod jego bezpośrednim nadzorem, wystartowaliśmy natychmiast z powrotem na planetę Mars, skąd na tym sa-

mym statku trzy marsjańskie dni później wzniosłem się razem z małpami na planetę Saturn.

Poleciałem na planetę Saturn od razu – nie bacząc na to, że eksperymenty z małpami mieliśmy przeprowadzić dopiero w przyszłym roku, to znaczy wtedy, gdy już całkowicie się zaaklimatyzują i przystosują do życia w nowych warunkach – ponieważ podczas mojego ostatniego spotkania z Gornahurem Harcharchem obiecałem mu, że będę obecny na rodzinnej uroczystości, która wkrótce miała się tam odbyć.

W trakcie tej ceremonii zwanej „hrihrahri” istoty z otoczenia Gornahura Harcharcha miały ochrzcić jego świeżo wyprodukowanego pierwszego potomka.

Obiecałem, że będę uczestniczył w owej uroczystości rodzinnej, ponieważ miałem wziąć na siebie w stosunku do jego nowo narodzonego następcy „alnaturorny obowiązek istnieniowy”.

Warto w tym miejscu zauważyć, że podobny zabieg polegający na podjęciu tego rodzaju obowiązku istnieniowego znany już był starożytnym istotom trójmózgowym twojej planety i wiedzą o nim nawet twoi współcześni ulubieńcy, tyle że ci ostatni przejęli – jak zresztą robią to ze wszystkim – tylko zewnętrzną formę owej doniosłej i ważkiej procedury. Twoi współcześni ulubieńcy nazywają istoty, które jakoby biorą na siebie takie obowiązki, „ojcem chrzestnym” i „matką chrzestną”.

Rzeczony następca Gornahura Harcharcha otrzymał wtedy imię Rahurch.

## Rozdział 24

### ***Belzebub przylatuje na planetę Ziemia po raz piąty***

Belzebub kontynuował swą opowieść:

– Od mojego czwartego pobytu na powierzchni planety Ziemia minęło wiele lat.

Oczywiście nieraz w tym czasie, tak samo jak dawniej, uważnie obserwowałem przez moje teskuano egzystencję istnieniową twoich ulubieńców.

Ich liczba znacznie wzrosła i teraz zamieszkiwali już prawie wszystkie duże oraz małe stałe części powierzchni twojej planety i naturalnie przez ten cały okres nie przestała się manifestować ich główna osobliwość polegająca na tym, że od czasu do czasu zajmowali się unicestwianiem nawzajem swojej egzystencji.

W okresie między moją czwartą a piątą wizytą zaszły na powierzchni twojej planety wielkie zmiany, szczególnie w miejscach, gdzie skupiało się życie twoich ulubieńców. Na przykład wszystkie te ich „centra kultury” na kontynencie Aszcharch, które osobiście odwiedziłem podczas moich poprzednich zstąpień na Ziemię, to znaczy kraje Tiklamysz i Maralplejsi, w czasie mojego piątego pobytu już w ogóle nie istniały.

Przyczyną zarówno zniszczenia tych ichnich centrów kultury, jak i generalnie różnych zmian na powierzchni tej niefortunnej planety było kolejne, tym razem już trzecie nieszczęście, jakie ją spotkało.

Ta trzecia katastrofa miała charakter wyłącznie lokalny i nastąpiła wskutek niespotykanych „przyspieszonych przemieszczeń części atmosfery” lub, jak powiedzieliby twoi ulubieńcy, „wielkich wiatrów”, które trwały przez kilka lat.

Powodem tych nienormalnych przemieszczeń lub wielkich



wiatrów były te same dwa kawałki, które oddzieliły się od twojej planety w czasie pierwszego wielkiego nieszczęścia i później stały się samodzielnymi malutkimi planetami tego układu słonecznego, noszącymi obecnie nazwy „Księżyc” i „Anulios”.

Ściśle biorąc, podstawową przyczyną tej trzeciej ziemskiej katastrofy była tylko większa z tych oddzielonych części, mianowicie Księżyc, podczas gdy mniejszy fragment, Anulios, nie odegrał w tym nieszczęściu prawie żadnej roli.

A oto w jaki sposób pojawiły się w ziemskiej atmosferze owe przyspieszone przemieszczenia:

Kiedy wokół przypadkowo powstałej małej planety Księżyc – która zgodnie ze wzmiankowanym wcześniej „prawem doganiania” spadała w kierunku swojej masy początkowej po ustalonej do tego czasu trajektorii – wytworzyła się ostatecznie atmosfera i ta nowo powstała na Księżycu określona obecność wciąż jeszcze nie nabrała własnej harmonii w obrębie ogólnoukładowego ruchu harmonijnego, wówczas takie niezharmonizowane z całością, jak to się mówi, „osmualne tarcie” wywołało w atmosferze Ziemi wspomniane przyspieszone przemieszczenia lub wielkie wiatry.

Te niespotykane wielkie wiatry zaczęły siłą swych prądów, by tak rzec, „wywietrzać” wyniosłości terenu i zasypywać nimi odpowiednie niziny.

Właśnie takimi nizinami okazały się dwa obszary kontynentu Aszcharch, w których generalnie skupiał się proces egzystencji drugiej i trzeciej grupy istot współczesnej Azji, to znaczy podstawowe części krajów Tiklamysz i Maralplejsi.

W tym samym czasie piaski zasypały również pewne części Perłanii, a także obszar pośrodku kontynentu Graboncy, gdzie, jak już ci powiedziałem, powstało po zagładzie Atlantydy główne, jak oni mówią, „centrum kultury” wszystkich tamtejszych istot trójmózgowych, czyli rejon, który wówczas był najbardziej kwitnącą częścią powierzchni twojej planety, a który dzisiaj zamienił się w pustynię o nazwie „Sahara”.

Weź jeszcze pod uwagę, że oprócz wspomnianych terenów te nienormalne ówczesne wiatry przysypały piaskiem również kilka innych mniejszych obszarów powierzchni lądowej tej nieszczęsnej planety.

Warto tutaj zaznaczyć, że twoi współcześni ulubieńcy w jakiś sposób dowiedzieli się o tym, iż w owym czasie trójmózgowe istoty zmieniły miejsce stałego pobytu, i dorobiwszy do owych zmian swoją etykietkę – w danym wypadku „wielka wędrówka ludów” – wetknęli ją do swojej rzekomej „nauki”.

Obecnie niektórzy tamtejsi „uczni” sapią, ile się tylko da, i za wszelką cenę chcą odkryć, dlaczego i w jaki sposób coś takiego mogło się wydarzyć, aby móc następnie poinformować o tym wszystkich innych.

Dziś istnieje tam na ten temat kilka teorii, które choć nie mają ze sobą nic wspólnego i mówiąc obiektywnie, jedna jest bardziej fantastyczna od drugiej, wszystkie jednak zostały uznane przez tamtejszą „oficjalną naukę”.

W rzeczywistości prawdziwe przyczyny wędrówki tamtejszych istot trójmózgowych były takie, że istoty zamieszkujące kontynent Aszcharch, obawiając się zasypania piaskami, od samego początku wspomnianego „wywietrzania” zaczęły się przenosić do innych w miarę bezpiecznych miejsc.

Ta migracja tamtejszych istot trójmózgowych odbywała się w następującym porządku:

Duża część trójmózgowych istot zamieszkujących Tiklamysz przeniosła się na południe kontynentu Aszcharch, do kraju nazywanego później „Persją”, a pozostałe przemieściły się na północ i osiedliły w rejonach, które potem zaczęto nazywać „Kirgizczeri”.

Jeśli zaś chodzi o istoty zamieszkujące kraj Maralplejsi, to niektóre z nich powędrowały na wschód, podczas gdy większość poszła na zachód.

Te, które wyruszyły na wschód, po pokonaniu wysokich gór osiedliły się na wybrzeżach wielkiego obszaru saliakuriapnego, w kraju, który później nazwano „Chinami”.

Za to druga szukająca ratunku część istot z Maralplejsi, przemieszczając się z miejsca do miejsca na zachód, po długiej tułaczce dotarła w końcu na sąsiedni kontynent nazwany później „Europą”.

Natomiast te trójmózgowe istoty które w tamtym czasie ciągle jeszcze egzystowały pośrodku kontynentu Graboncy, rozproszyły się po całej jego powierzchni.

Otóż, mój chłopcze, mój piąty przylot na twoją planetę miał miejsce w okresie, który nastąpił zaraz po tym nowym podziale twoich ulubieńców na różne grupy.

Przyczyną tego mojego osobistego przybycia tam były zdarzenia, o których chcę ci teraz opowiedzieć.

Przede wszystkim powinienem cię poinformować, że podstawowa dziwaczność psychiki twoich ulubieńców, mianowicie „okresowa potrzeba niszczenia egzystencji istot do nich podobnych” z każdym ichnim stuleciem coraz bardziej rozbudzała moją ciekawość i zarazem narastało we mnie „palące pragnienie” odkrycia dokładnych przyczyn tej szczególnej i niespotykanej u trójmózgowych istot cechy.

To dlatego, mój chłopcze, w okresie między moim czwartym a piątym pobytem na planecie Ziemia, chcąc zebrać więcej materiału potrzebnego do wyjaśnienia tej pochłaniającej mnie kwestii, zacząłem na planecie Mars prowadzić przez moje teskuano obserwacje egzystencji tych oryginalnych istot trójmózgowych, a zorganizowałem to w następujący sposób:

Celowo wybrałem spośród twoich ulubieńców sporą liczbę istot i potem przez wiele lat albo ja osobiście, albo też ktoś, komu to zleciłem, obserwowaliśmy je niezwykle uważnie, starając się, o ile tylko było to możliwe, niczego nie pominąć i wszechstronnie wyświetlić wszystkie osobliwości ich przejawów w trakcie procesu tamtejszej zwykłej egzystencji.

Muszę ci wyznać, mój chłopcze, że w wolnych chwilach niekiedy całymi „sinonoumami” lub, jak twoi ulubieńcy określają w przybliżeniu podobny okres upływu czasu, całymi „godzinami”

śledziłem z wielkim zainteresowaniem ruchy tych podpatrywanych przez nas trój centrowych istot i próbowałem logicznie wyjaśnić sobie ich „psychiczne przeżycia”.

Otóż pewnego razu, gdy prowadziłem przez moje teskuano obserwacje z planety Mars, nagle „olśniła” mnie myśl, która posłużyła za wstęp do moich dalszych całkiem już poważnych badań psychiki tych przypadłych ci do gustu trój mózgowych istot.

A mianowicie „olśniło” mnie, że z każdym stuleciem, a nawet z roku na rok, długość ich egzystencji w bardzo równomiernym tempie wyraźnie się skraca.

Oczywiście, gdy spostrzegłem to po raz pierwszy, natychmiast wziąłem pod rozwagę nie tylko główną osobliwość ich psychiki, czyli okresowe unicestwianie się nawzajem, lecz także niezliczoną ilość tak zwanych chorób, które występują wyłącznie na tej planecie i które w większości, nawiasem mówiąc, powstały i dalej powstają wskutek tychże, ustalonych przez nie same, nienormalnych warunków zewnętrznych zwykłej egzystencji istnieniowej – warunków, które są w części powodem tego, że nie jest im dane normalnie dożyć do świętego Raskuarno.

Kiedy pierwszy raz zaobserwowałem to zjawisko i zacząłem przypominać sobie wcześniejsze związane z tym wrażenia, moja esencja doświadczyła wspomnianego „olśnienia” i każdą oddzielną i niezależnie uduchowioną część mojej zbiorczej obecności wypełniło przekonanie, że rzeczywiście na początku te trójmózgowe istoty twojej planety egzystowały – zgodnie z ichnią rachubą czasu – dwanaście, a niektóre nawet piętnaście wieków.

Abyś mógł wyobrazić sobie mniej więcej tempo, w jakim uległa skróceniu przeciętna długość ich egzystencji, wystarczy, jeśli się dowiesz, że w chwili, gdy opuściłem na zawsze ten układ słoneczny, maksymalna długość ich egzystencji mieściła się w przedziale od siedemdziesięciu do dziewięćdziesięciu ichnich lat.

Ostatnimi czasy, jeśli zdarzy się tam, że któraś z nich dożyje choćby takiego wieku, to wszystkie pozostałe istoty tej oryginalnej planety uważają, że egzystowała „wyjątkowo długo”.

A jeżeli którejś z nich przypadkowo uda się egzystować nieco ponad sto lat, to wystawia się ją na pokaz w ichnich muzeach i oczywiście wie o niej każda tamtejsza istota, albowiem wszystkie ich, jak się tam mówi, „gazety” nieustannie publikują jej fotografie oraz relacje z przebiegu jej egzystencji, w których wyszczególnia się każdy zrobiony przez nią krok.

Tak więc, mój chłopcze, ponieważ w tym okresie upływu czasu, w którym nagle uświadomiłem sobie ów fakt, nie miałem na planecie Mars specjalnie nic do roboty, a zbadanie tej nowej osobliwości za pomocą mojego teskuano okazało się zupełnie niemożliwe, postanowiłem więc udać się tam osobiście, aby na miejscu wyjaśnić przyczyny tego zjawiska.

W kilka marsjańskich dni po podjęciu tej decyzji znowu znalazłem się na pokładzie statku „Okazja”.

Do czasu mojego piątego osobistego przylotu na twoją planetę ich „centrum wpływających i wypływających rezultatów doskonalenia inteligencji istnieniowej” lub, jak oni sami mówią, ich „centrum kultury” stało się już miasto Babilon, które postanowiłem wobec tego odwiedzić.

Tym razem nasz statek „Okazja” wodował w miejscu zwanym „Zatoką Perską”, a to dlatego, że jeszcze przed odlotem ustaliliśmy za pomocą teskuano, iż właśnie ten saliakuriapny obszar powierzchni twojej planety, który istnieje tam dzisiaj pod nazwą „Zatoka Perska” będzie najbardziej odpowiednim miejscem, zarówno jeśli chodzi o planowaną przez nas podróż do miasta Babilon, jak i przycumowanie naszego statku.

Ta przestrzeń wodna doskonale nadawała się na punkt startowy do mojej dalszej podróży, ponieważ właśnie do niej wpadała wielka rzeka, na której brzegach wznosiło się miasto Babilon i w górę której planowaliśmy popłynąć, aby do niego dotrzeć.

W tamtym okresie ten „niezrównanie majestatyczny” Babilon przeżywał pod każdym względem okres rozkwitu. Stanowił „centrum kultury” nie tylko dla istot zamieszkujących kontynent Aszcharch, ale też dla istot z wszystkich innych dużych i małych

stałych lądów tej planety, które nadawały się do zwykłej egzystencji istnieniowej.

Gdy po raz pierwszy przybyłem do tego ichniego centrum kultury, jego mieszkańcy szykowali akurat to, co później stało się głównym powodem przyspieszenia tempa wynaturzenia ich „organizacji psychicznej”, a zwłaszcza powodem zaniku w nich instynktownego funkcjonowania trzech podstawowych czynników, które powinny obowiązkowo występować w obecności każdej trójmózgowej istoty i które wzbudzają impulsy istnieniowe zwane „Wiarą”, „Nadzieją” i „Miłością”.

To zwyrodnienie czynników istnieniowych, wzmagające się dziedzicznie z pokolenia na pokolenie, doprowadziło do tego, że twoi współcześni ulubieńcy zamiast autentycznej psychiki istnieniowej, jaka powinna występować w obecności każdej trójmózgowej istoty, mają równie „autentyczną” psychikę, tyle że taką, jaką bardzo trafnie definiuje jedno z mądrych powiedzeń naszego drogiego Mułły Nasr Eddina:

„Jest w niej wszystko z wyjątkiem sedna i nawet jego załączka”.

Koniecznie powinienem jak najszczegółowiej opowiedzieć ci o tym, co wydarzyło się w tamtym okresie w Babilonie, ponieważ wszelkie informacje tego rodzaju będą mogły posłużyć ci za wymieniony materiał do lepszego wyjaśnienia oraz przetworzenia w twoim rozumie wszystkich przyczyn, które w sumie ostatecznie zadecydowały o pojawieniu się tej tak dziwnej dla trójmózgowych istot psychiki twoich współczesnych ulubieńców – psychiki, która tak cię zainteresowała.

Przede wszystkim musisz wiedzieć, że informacje, które zamierzam ci przekazać o tym, co się wtedy wydarzyło, zaczerpnąłem głównie u tamtejszych istot trójmózgowych zwanych przez inne istoty „uczonymi”.

Zanim będę kontynuować, powinienem w tym miejscu uściślić, jakim istotom na twojej planecie pozostałe istoty nadają miano „uczonych”.

Rzecz w tym, że jeszcze przed moim piątym pobylem tam, to

jest przed okresem, w którym, jak ci mówiłem, Babilon przeżywał pełny rozkwit, istoty uważane przez inne za „uczone” w ogóle nie przypominały tych istot, które w całym Wszechświecie, a na początku także na twojej planecie, zasłużyły sobie na to miano – czyli istot, które dzięki swym świadomym trudom i zamierzonym cierpieniom zdobyły wprawdzie zdolność kontemplowania z punktu widzenia powstania i istnienia świata szczegółów tego wszystkiego, co istnieje, a potem, udoskonalwszy w ten sposób swoje najwyższe ciało do odpowiedniego poziomu Świętego Miernika obiektywnego rozumu, mogły doznawać w sobie prawd kosmicznych w takim stopniu, w jakim to ich najwyższe ciało istnieniowe zdołało się udoskonalić.

Jednakże już od czasu cywilizacji zwanej „tiklamyszycką”, a zwłaszcza w epoce współczesnej, „uczonymi” stają się prawie zawsze istoty wkuwające jak najwięcej wszelkiego rodzaju bezsensownych informacji, jakie uwielbiają przytaczać babcie, kiedy opowiadają o tym, co rzekomo mówiło się w starych dobrych czasach.

Wiedz zresztą, że nasz czcigodny Mułła Nasr Eddin określa znaczenie tamtejszych uczonych następującymi słowami:

„Wszyscy mówią tak, jakby nasi uczeni rzeczywiście wiedzieli, iż połowa stu to pięćdziesiąt”.

Tam, na twojej planecie, im więcej jeden z twoich ulubieńców wkuje informacji, których sam nigdy nie sprawdził i których na dodatek sam nigdy nie doświadczył, tym większym staje się dla innych „uczonym”.

A zatem, mój chłopcze, kiedy dotarliśmy do miasta Babilon, rzeczywiście było w nim pełno ówczesnych uczonych istot, które zebrały się tam z prawie całej twojej planety.

Ponieważ te istoty zgromadziły się w Babilonie z niezwykle interesującego powodu, chcę opowiedzieć ci o tym także bardziej szczegółowo.

Otóż niemalże wszyscy ziemscy uczeni zostali tam sprowadzeni siłą na rozkaz wielce oryginalnego perskiego monarchy, pod

którego panowaniem znajdowało się w tym czasie miasto Babilon.

Abyś naprawdę dobrze zrozumiał, który z podstawowych aspektów wszystkich rezultatów nienormalnie ustalonych tam warunków zwykłej egzystencji istnieniowej zrodził tę oryginalność perskiego monarchy, muszę ci najpierw wyjaśnić dwa już dawno temu stwierdzone fakty.

Pierwszą zasadą jest na tym, że niemal zaraz po zagładzie Atlantydy w obecności wszystkich twoich tamtejszych ulubieńców stopniowo zaczęła się krystalizować; a w ciągu ostatnich stuleci już zupełnie skryształizowała, pewna szczególna „właściwość” powodująca, że istnieniowe doznanie nazywane „radością bycia” – doświadczane od czasu do czasu przez każdą trójmózgową istotę z racji zadowolenia będącego rezultatem wewnętrznej samooceny – pojawia się w ich obecnościach wyłącznie wtedy gdy dysponują dużą ilością pewnego bardzo popularnego tam metalu, który nazywa się „złotem”.

Najgorsze jest to, że z powodu tej szczególnej cechy ich zbiorczej obecności doznanie wywołane posiadaniem rzeczoności metalu jest wzmacniane u jego właściciela przez istoty z otoczenia, nawet przez te istoty, które dowiedziały się o tym tylko „ze słyszenia”, a nie dzięki odpowiednim własnym percepcjom; co więcej, utrwalił się tam zwyczaj, by nigdy nie zwracać uwagi na istnieniowe przejawy, wskutek których taki ktoś stał się posiadaczem wielkiej ilości owego metalu i przez to obiektem wywołującym w obecnościach otaczających go istot funkcjonowanie tego skryształizowanego następstwa właściwości organu kundabufor, które nazywa się „zawiść”.

Jeśli chodzi o drugi fakt, to polega on na tym, że po okresie, w którym główna osobliwość twoich ulubieńców funkcjonuje w ich obecnościach „crescendująco” – i gdy zgodnie z przyjętym zwyczajem między różnymi tamtejszymi społeczeństwami zachodzi proces wzajemnego unicestwiania egzystencji – owa tylko im przynależna oraz bardzo dla nich zgubna właściwość ich zbiorczej obecności przycicha i na jakiś czas zaprzestają tego ro-



dzaju procesów, natomiast władca społeczeństwa, w którym ocalało więcej poddanych, otrzymawszy tytuł zdobywcy, tradycyjnie zabiera wtedy dla siebie wszystko, co jest własnością istot ze społeczeństwa podbitego.

Taki „monarcha-zdobycwca” z reguły nakazuje swym poddanym zająć w całości ziemie należące do tego pokonanego społeczeństwa, porwać wszystkie młode istoty płci żeńskiej i zagarnąć wszelkie zgromadzone tam w ciągu stuleci „bogactwa”.

Otóż, mój chłopcze, gdy poddani tego wspomnianego oryginalnego perskiego monarchy ujarzmiali istoty z jakiegoś innego społeczeństwa, on nakazywał im nic nie zabierać, ani nawet nie tykać, lecz jedynie brać ze sobą w charakterze „jeńców” wszystkie uczone istoty należące do tego podbitego społeczeństwa.

Abyś mógł jasno wyobrazić sobie i zrozumieć, dlaczego indywidualnością tego perskiego władcy zawładnęła taka szczególna, jemu tylko właściwa pasja, musisz wiedzieć, że pewna uczona trójmózgowa istota o imieniu Harnachum – której esencja skryształizowała się potem w to, co nazywa się „Indywidualium Wieczny Hasnamus” – jeszcze w okresie cywilizacji tiklamyszyckiej wymyśliła w mieście zwanym „Czikłaral, że dowolny metal obficie występujący na powierzchni tej planety można z łatwością przemienić w rzadki metal „złoto” i że wystarczy do tego znać tylko jeden mały „sekret”.

Ten jego szkodliwy wymysł bardzo się wtedy rozpowszechnił i skryształizowawszy się w obecnościach ówczesnych istot, zaczął być przekazywany dziedzicznie z pokolenia na pokolenie, aż stopniowo przekształcił się w ichnią zabójczo-fantastyczną naukę pod nazwą „alchemia” nazwą zapożyczoną zresztą od gałęzi autentycznej wiedzy, która rzeczywiście istniała w dawno minionych epokach, a mianowicie w czasach, gdy w obecnościach ich przodków jeszcze nie w pełni skryształizowały się następstwa właściwości organu kundabufor, i która mogłaby się okazać bardzo przydatna czy wręcz niezbędna dla tamtejszych trójmózgowych istot, i to nawet tych współczesnych.

Tak więc w okresie, którego dotyczy moja opowieść, ów perski

władca potrzebował do jakiegoś swojego niewątpliwie hasnamusowego celu bardzo dużej ilości tego rzadko występującego na powierzchni Ziemi metalu zwanego „złotem” i dowiedziawszy się o metodzie wymyślonej przez to obecne Indywiduum Hasnamus, Harnachuma, on również zapragnął zdobyć złoto w tak łatwy sposób.

Kiedy ten perski monarcha podjął ostateczną decyzję o uzyskaniu złota za pomocą „alchemii” wtedy po raz pierwszy uświadomił sobie całym swym jestestwem, że nie zna jeszcze tego „małego sekretu”, bez którego spełnienie jego pragnienia było absolutnie niemożliwe. Zaczął więc się zastanawiać, jak można by ów „mały sekret” odkryć.

Dzięki tym rozmyśleniom uprzytomnił sobie rzecz następującą:

„Skoro uczeni znają już wszystkie inne «sekrety», to na pewno przynajmniej jeden z nich posiadał także tę tajemnicę”.

Po dojściu do takiej konkluzji – znajdując się pod wpływem wzmożonego funkcjonowania „istnieniowego zdumienia” wywołanego faktem, że tak prosty pomysł nigdy dotąd nie przyszedł mu do głowy – wezwał kilku swych bliskich podwładnych i rozkazał im dowiedzieć się, która z uczonych istot w jego stolicy zna tę tajemnicę.

Kiedy następnego dnia doniesiono mu, że w stolicy żadna uczona istota jej nie zna, polecił wypytać o nią wszystkich uczonych wśród istot z podległych mu społeczeństw, a gdy po kilku dniach otrzymał tę samą przeczącą, odpowiedź, znów zaczął rozmyślać, tym razem już bardzo serio.

Te poważne refleksje w pierwszym rządzie doprowadziły jego rozum do przekonania, że wśród uczonych istot jego społeczeństwa niewątpliwie musi znajdować się przynajmniej jedna, która zna ów „sekret”, ale najwyraźniej, skutkiem tego, że istoty należące do tego środowiska ściśle przestrzegają zasady utrzymywania „zawodowej tajemnicy” żadna z nich nie chce jej zdradzić.

W rezultacie tych poważnych rozmyślań uświadomił sobie, że

nie wystarczy o tę tajemnicę jedynie pytać, lecz trzeba uczone istoty poddać w tej sprawie przesłuchaniom.

Jeszcze tego samego dnia wydał stosowne polecenia swym najbliższym pomocnikom, którzy zaczęli „prowadzić przesłuchania” dokładnie tak, jak już od dawna istoty dzierżące władzę przywykły tam przesłuchiwać istoty zwykłe.

Potem zaś, kiedy ten oryginalny perski władca ostatecznie się przekonał, że uczone istoty jego społeczeństwa rzeczywiście nic o tej tajemnicy nie wiedzą, zaczął szukać uczonych istot znających tę tajemnicę w obcych społeczeństwach.

A ponieważ monarchowie innych społeczeństw nie chcieli dobrowolnie oddać mu „na przesłuchanie” swych uczonych istot, postanowił więc tych nieposłusznych władców zmusić do tego siłą. Odtąd stanął na czele licznych poddanych mu zastępów i z ich pomocą zaczął organizować „wojenne wyprawy”.

Ów perski władca miał do dyspozycji wiele takich podległych mu zastępów, gdyż wśród istot tej części powierzchni twojej planety, gdzie egzystowało społeczeństwo, nad którym przypadkowo w tym okresie sprawował władzę, „przewidująca przystosowalność” Wielkiej Przyrody spowodowała duży wzrost „liczby urodzeń” i co więcej, w tym samym czasie przebiegała tam realizacja tego, czego wymaga ogólnokosmiczny proces trogoautoegokratyczny, to znaczy ów rejon powierzchni twojej planety musiał wysyłać wtedy więcej wibracji powstających wskutek unicestwiania egzystencji istnieniowej.

W trakcie tego ostatniego wyjaśnienia Hassin przerwał Belzebubowi następującymi słowami:

– Drogi dziadku, nie rozumiem, dlaczego produkcja wibracji potrzebnych do realizacji tego przeogromnego procesu kosmicznego może zależeć od określonego obszaru powierzchni planety.

Na to pytanie wnuka Belzebub odpowiedział tak:

– Ponieważ w jednej z moich najbliższych opowieści poświęconych trójmózgowym istotom planety Ziemia mam zamiar specjalnie zająć się kwestią tego ich straszliwego procesu unice-

stwierdzenia siebie nawzajem, który oni nazywają „wojną”, lepiej będzie, jeśli odłożysz swoje pytanie do tego czasu, albowiem sądzę, że będziesz mógł wtedy właściwie zrozumieć także tę sprawę.

Powiedziawszy to, Belzebub wrócił do opowieści o wydarzeniach babilońskich:

– Kiedy ten oryginalny perski monarcha zaczął ujarzmić przy pomocy podległych mu zastępów istoty z innych społeczeństw i wprowadzać siłą znajdujących się wśród nich uczonych, wtedy na miejsce spędu i egzystencji tych ostatnich wyznaczył miasto Babilon, dokąd ich zabierano, aby potem ten władca połowy ówczesnej Azji mógł ich tam do woli „przesłuchiwać” w nadziei, że choć jeden z nich będzie znał tajemnicę przemiany nieszlachetnych metali w złoto.

Specjalnie w tym celu poprowadził wtedy nawet „marsz” na Egipt.

A zorganizował taką wyprawę, ponieważ w tamtym okresie uczone istoty ze wszystkich kontynentów zgromadziły się właśnie w Egipcie, uważanym wówczas powszechnie za miejsce, w którym ponoć można było zdobyć więcej informacji służących do ich rozmaitych „nauk” niż gdziekolwiek indziej na ich planecie.

Ów perski monarcha zdobywca wywiózł wtedy z Egiptu wszystkie uczone istoty, które udało mu się tam znaleźć, i to zarówno te miejscowe, jak i te przybyłe z innych społeczeństw; wśród nich znajdowało się też kilku egipskich „kapłanów” potomków uczonych członków towarzystwa Achldan, którym udało się przypadkiem ocaleć i którzy jako pierwsi zaludnili ten kraj.

Nieco później, gdy w zbiorczej obecności tego oryginalnego perskiego władcy na miejsce starej pasji pojawiła się nowa, mianowicie fascynacja samym procesem unicestwienia egzystencji istot do niego podobnych, zupełnie zapomniał o tych uczonych, którzy dzięki temu mogli swobodnie egzystować w mieście Babilon do czasu jego następnej fanaberii.

Uczone istoty z prawie całej planety, znalazły się we wspo-

mniany sposób w mieście Babilon, często oczywiście się spotykały i, jak to się stało już zwyczajem takich uczonych istot planety Ziemia, omawiały wspólnie kwestie, które albo w dużym stopniu przewyższały ich zdolność pojmowania, albo nie przynosiły żadnego pożytku ani im samym, ani zwykłym tamtejszym istotom.

Właśnie w trakcie takich spotkań i dyskusji wyłoniła się – co też jest już regułą wśród tamtejszych uczonych istot – „paląca kwestia sezonu”, która z jakiegoś powodu rzeczywiście poruszyła je tym razem aż do samych, jak tam mówią, „trzewi”.

Ta kwestia, która przypadkiem stała się palącą kwestią sezonu, tak je pochłonęła, że zeszły nawet ze swych „piedestałów” i zaczęły rozmawiać o niej nie tylko z podobnymi do nich uczonymi, ale wszędzie i z każdym, na kogo się natknęły.

Wskutek tego zainteresowanie, jakie wzbudziła ta kwestia, stopniowo ogarnęło wszystkie zwykłe trój mózgowo istoty egzystujące w ówczesnym Babilonie i do czasu naszego przybycia do tego miasta stała się już dla każdej z tamtejszych istot tematem dnia.

Mówili i dyskutowali o niej nie tylko sami uczeni, lecz rozmowy i zajadłe spory na ten temat toczyły się również między zwykłymi istotami.

Młodzi i starzy, mężczyźni i kobiety, nawet babilońscy rzeźnicy, wszyscy dyskutowali i się sprzeczali, i wszyscy, a zwłaszcza uczeni, gorąco pragnęli tę kwestię wyjaśnić.

Jeszcze przed naszym przybyciem wiele egzystujących wtedy w Babilonie istot zupełnie straciło przez nią rozum i w ich ślady szło już wielu nowych kandydatów.

Ta paląca kwestia sezonu sprowadzała się do tego, że zarówno owi „uczni od siedmiu boleści” jak i zwykłe istoty miasta Babilon bardzo chciały się dowiedzieć, czy mają „duszę”.

Na ten temat istniały już w Babilonie wszelkiego rodzaju fantastyczne teorie i w przyspieszonym tempie ciągle „pichcono” nowe. Oczywiście każda taka, jak tam się mówi, „chwytna teoria” miała swoich zwolenników.

Chociaż tych najróżniejszych teorii istniało tam multum, wszystkie jednak opierały się na jednej z dwóch zupełnie przeciwnych zasad.

Pierwszą z nich oni sami nazywali „ateistyczną” drugą zaś „idealistyczną” lub „dualistyczną”.

Wszystkie teorie dualistyczne dowodziły istnienia „duszy” i oczywiście jej „nieśmiertelności”, a także wszelkich możliwych „perturbacji”, jakie czekały na nią po śmierci istoty-człowieka.

Z kolei wszystkie teorie ateistyczne dowodziły czegoś wręcz przeciwnego.

Krótko mówiąc, mój chłopcze, kiedy przybyliśmy do miasta Babilon, toczyło się tam właśnie to, co nazwano „budową wieży Babel”.

Wypowiedziawszy te ostatnie słowa, Belzebub zamyślił się na chwilę, a później mówił dalej:

– Chcę ci teraz wyjaśnić wyrażenie, którego właśnie użyłem, a mianowicie „budowa wieży Babel”, wyrażenie, którym bardzo często się posługują na twojej planecie współczesne istoty trójmózgowe.

Pragnę zatrzymać się nad tym wyrażeniem i należycie ci je wyjaśnić, po pierwsze dlatego, że przypadkowo byłem świadkiem wszystkich wydarzeń, które dały mu początek, a po drugie dlatego, że historia jego powstania oraz zmian, jakim ulegało w rozumieniu twoich współczesnych ulubieńców, bardzo jasno i w sposób pouczający ukaże ci, że z powodu zawsze tych samych nienormalnie ustanowionych warunków zwykłej egzystencji istnieniowej żadne precyzyjne informacje o zdarzeniach, które rzeczywiście miały miejsce wśród istot minionych epok, nie są przekazywane istotom następnych pokoleń. A nawet jeśli przez przypadek dotrze do nich tego rodzaju wyrażenie, to ekscentryczny rozum twoich ulubieńców na podstawie tylko jednego takiego sformułowania tworzy całą teorię, mnożąc przez to w ich obecności efemeryczne „egoplastikury istnieniowe” lub, jak sami je nazywają, „wyobrażenia psychiczne”, które są przyczyną poja-

wienia się we Wszechświecie tej niespotykanej u innych trójmózgowych istot „unikatowej psychiki” jaką ma każdy z twoich ulubieńców.

A zatem kiedy po przybyciu do miasta Babilon zacząłem spotykać się z różnymi tamtejszymi istotami i prowadzić odpowiednie obserwacje celem wyjaśnienia interesującej mnie kwestii, prawie wszędzie natrafiałem na tych licznie zgromadzonych tam uczonych i tak się złożyło, że zacząłem zadawać się wyłącznie z nimi i dokonywać obserwacji, przyglądając się im samym oraz właściwej każdemu z nich indywidualności.

Wśród uczonych istot, z którymi spotykałem się w tym celu, był niejaki Chamolinadir, który także został sprowadzony tam z Egiptu siłą.

W czasie moich rozmów z tą ziemską istotą trójmózgową Chamolinadirem nawiązały się między nami prawie takie same stosunki, jakie zazwyczaj utrzymują wszędzie widujące się często istoty trójmózgowe.

Chamolinadir był jednym z tych tamtejszych uczonych, których zbiorcza obecność jeszcze niezupełnie zatraciła czynniki przekazane im dziedzicznie i prowadzące do powstania impulsów właściwych trójmózgowej istocie, a co więcej, okazało się, że w wieku przygotowawczym odpowiedzialne osoby z jego otoczenia nauczyły go także być w miarę normalnie odpowiedzialnym.

Muszę ci zresztą powiedzieć, że wiele takich tamtejszych uczonych istot znalazło się w owym czasie w mieście Babilon.

Chociaż ów uczony Chamolinadir sam wywodził się z rasy zwanej tam „asyryjską” i przyszedł na świat, a także był przygotowywany do stania się odpowiedzialną istotą w mieście Babilon, to wykształcenie otrzymał w Egipcie, w najwyższej ze wszystkich istniejących wówczas na Ziemi szkół, która nazywała się „Szkołą Materializowania Myśli”.

Kiedy spotkałem go po raz pierwszy, był w wieku, w którym jego „Ja” – pod względem umiejętności rozsądnego kierowania „automatycznym funkcjonowaniem psychicznym” jego zbiorczej

obecności – osiągnęło już maksymalną, jak na ówczesną istotę trójmózgową planety Ziemia, stabilność, dzięki czemu podczas „biernego stanu jawy” miał bardzo dobitnie wyrażające się przejawy istnieniowe, wśród nich te zwane „samoświadomością”, „bezstronnością”, „szczerością”, „wrażliwością”, „inteligencją” itp.

Wkrótce po naszym przybyciu do Babilonu zacząłem chodzić z Chamolinadirem na różne „zebrania” wspomnianych uczonych istot, gdzie wysłuchiwałem najprzeróżniejszych, jak to one nazywały, „referatów” poświęconych owej kwestii, która stała się wówczas tematem dnia i powodowała „wzburzenie umysłów” wszystkich Babilończyków.

Także mój przyjaciel Chamolinadir był bardzo podekscytowany tą „palącą kwestią”.

Niepokoilo go i irytowało to, że liczne stare i nowe teorie na ten temat, chociaż prezentowały całkowicie sprzeczne dowody, były wszystkie jednakowo przekonujące i prawdopodobne.

Jego zdaniem teorie, które dowodziły, że mamy duszę, były „wyłożone bardzo logicznie i przekonująco”, a teorie wykazujące coś wręcz przeciwnego były „przedstawione nie mniej logicznie i przekonująco”.

Abyś mógł wejść w położenie tego sympatycznego Asyryjczyka, wyjaśnię ci, że generalnie na twojej planecie, zarówno dzisiaj, jak i w czasach Babilonu, wszystkie teorie dotyczące tego, co one nazywają „zaświatami” bądź wszelkich innych „szczegółowych wyjaśnień” dowolnego ustalonego faktu, są niemal zawsze wymysłem tych tamtejszych istot trójmózgowych, w których już ostatecznie skryształizowały się prawie wszystkie następstwa właściwości organu kundabufor, skutkiem czego w ich obecnościach znakomicie zaczyna funkcjonować tamtejsza cecha istnieniowa, którą one same nazywają „przebiegłością”. W ten sposób, albo świadomie, to znaczy za pomocą takiego rozumu, jaki już od dawna stał się tylko im właściwy, albo automatycznie, czyli same z siebie, stopniowo rozwijają w swej zbiorczej obecności zdolność „wyłapywania” słabych stron psychiki istot do nich podobnych, dzięki czemu z czasem wykształcają się w nich dane pozwalające



im wyczuwać, a niekiedy nawet rozumieć osobliwą logikę istot z ich otoczenia, i to właśnie na podstawie takich danych wymyślają i budują potem swoje „teorie” na temat tej lub innej kwestii. A jeżeli przypadkiem któraś z tamtejszych istot trójmózgowych szczegółowo przestudiuje dowolną z tych teorii, wówczas z powodu stopniowego zaniku w większości z nich funkcji istnieniowej nazywanej „instynktownym doznawaniem kosmicznych prawd” – zaniku, o którym już ci mówiłem i który jest następstwem ustanowionych przez nie same nienormalnych warunków zwykłej egzystencji istnieniowej – chcąc nie chcąc, nabiera ona całą swą obecnością przeświadczenia o jej słuszności.

A więc, mój chłopcze...

Któregoś dnia, siedem ichnich miesięcy po naszym przybyciu do miasta Babilon, udałem się z moim przyjacielem Chamolinadirem na tak zwany kongres naukowy.

Ten kongres naukowy zwołały uczone istoty, które wcześniej zostały sprowadzone do tego miasta siłą, a uczestniczyli w nim – oprócz uczonych „skonfiskowanych” przez wspomnianego perskiego monarchę, który do tego czasu już przestał się pasjonować nauką „alchemii” i zupełnie o nich zapomniał – liczni uczeni z innych społeczeństw przybyli tam dobrowolnie i, jak mówiono wtedy, „z zamiłowania do nauki”.

Tego dnia mówcy zabierali głos w kolejności ustalonej w drodze losowania.

Mój przyjaciel Chamolinadir miał również wygłosić referat na jakiś temat i dlatego brał udział w losowaniu; wypadło, że zabierze głos jako piąty.

Poprzedzający go mówcy albo przedstawiali wymyślone przez siebie nowe „teorie”, albo krytykowali teorie już istniejące i wszystkim dobrze znane.

W końcu przyszła kolej na sympatycznego Asyryjczyka.

W chwili, gdy wszedł, jak to się mówi, „na katedrę”, kilku woźnych zgodnie z panującym wtedy zwyczajem wywiesiło nad nią tablicę, na której było napisane, o czym będzie mówił kolejny pre-

legent.

Owa tablica głosiła, że mówca zatytułował swój wykład „Niestabilność ludzkiego rozumu”.

Mój ziemski przyjaciel zaczął od tego, że wyjaśnił, jak, jego zdaniem, zbudowany jest „mózg głowowy” człowieka oraz w jakich sytuacjach i w jaki sposób rozmaite wrażenia są odbierane przez inne ludzkie mózgi, a także jak całość rezultatów utrwała się w tym pierwszym mózgu dopiero po zawarciu określonych „porozumień” między wszystkimi mózgami.

Początkowo mówił spokojnie, ale im dłużej rozprawiał, tym bardziej się ożywiał, aż w końcu podniósł głos i krzyżąc, zaczął krytykować rozum człowieka.

Równocześnie poddał bezlitosnej krytyce także własny rozum.

Nie przestając krzyżać, bardzo logicznie i sugestywnie wykazywał niestabilność i zmienność rozumu człowieka, a także szczegółowo wyjaśnił, jak łatwo jest cokolwiek udowodnić temu rozumowi i o czymkolwiek go przekonać.

Krzyki mojego ziemskiego przyjaciela Chamolinadira zaczęły przeradzać się w szloch, on jednak, nie bacząc na to, mówił dalej przez łzy:

„Każdego człowieka, w tym oczywiście także mnie, bardzo łatwo jest o czymkolwiek przekonać; wystarczy tylko wiedzieć, jakie wstrząsy i skojarzenia należy wywołać w jego różnych mózgach, aby dowieść mu tej lub innej «prawdy». Z łatwością można go nawet przekonać, że cały nasz świat, włączając w to oczywiście ludzi, to nic innego jak czyste złudzenie, że nic w tym świecie nie jest autentyczne ani rzeczywiste prócz jednego «nagniotka», i to akurat tego, który utworzył się na dużym palcu naszej lewej stopy, że poza tym nagniotkiem w świecie nie istnieje absolutnie nic, że wszystko się tylko wydaje, i to wyłącznie «psychopatom do kwadratu»”.

W tym miejscu wystąpienia tej sympatycznej ziemskiej istoty trójmózgowej woźny podał jej dzbanek wody; mój przyjaciel wypił ją łąpczywie, a następnie kontynuował swą przemowę, teraz

już spokojniej:

„Weźcie na przykład mnie samego. Nie jestem byle jakim uczo-  
nym, bo w całym Babilonie i w wielu innych miastach uważa się  
mnie za człowieka bardzo mądrego i posiadającego ogromną wie-  
dzę.

Ukończyłem kurs nauk, któremu do tej pory na Ziemi żaden  
inny nie jest i pewnie już nigdy nie będzie w stanie dorównać.

Ale cóż takiego ten najwyższy rozwój dał mojemu rozumowi  
w kwestii, która od roku lub dwóch doprowadza wszystkich Ba-  
bilończyków do obłądu?

W trakcie tego powszechnego szaleństwa wokół problemu «du-  
szy» mój rozum, choć rozwinięty w najwyższym stopniu, nie  
przyniósł mi nic prócz «pięciu piątek w tygodniu».

Przez cały ten okres bardzo uważnie i z powagą zapoznawałem  
się ze wszystkimi starymi oraz nowymi teoriami «duszy» i nie  
ma wśród nich jednej, z której autorem bym się w środku nie zga-  
dzał, albowiem wszystkie są bardzo logicznie i wiarygodnie wyja-  
śnione, wobec czego mój rozum nie może uczynić nic innego, jak  
tylko tę ich logikę i wiarygodność zaakceptować.

Sam nawet w tym czasie napisałem wyczerpującą pracę po-  
święconą «kwestii zaświatów» i na pewno wielu tutaj obecnych  
zapoznało się z moim logicznym wywodem; co więcej, najpraw-  
dopodobniej nie ma wśród was nikogo, kto nie pozazdrościł mi  
takiego myślenia.

Ale w tej chwili szczerze i uczciwie oświadczam wam, że mimo  
całej wiedzy, którą do tej pory zgromadziłem, w «kwestii zaświa-  
tów» sam jestem ni mniej, ni więcej, tylko «idiotą do szczęścia».

Obecnie wznosimy u siebie, w mieście Babilon, ogólnonarodo-  
wą «wieżę Babel», z nadzieją, że uda nam się wspiąć do «nieba»  
i zobaczyć na własne oczy, co się tam dzieje.

Ta wieża jest budowana z cegieł pozornie do siebie podobnych,  
które jednak w rzeczywistości są zrobione z zupełnie innych ma-  
teriałów.

Można wśród nich znaleźć cegły z żelaza, z drewna, z ciasta,

a nawet z edredonowego puchu.

Otóż z takich cegieł budujemy teraz w samym centrum Babilonu przesadnie wielką wieżę i każdy w miarę świadomy człowiek musi sobie zdawać sprawę, że prędzej czy później ta wieża runie i zniży nie tylko wszystkich mieszkańców miasta, ale też to wszystko, co się w nim znajduje.

Osobiście mam ochotę jeszcze trochę pożyć i nie chcę być zgnieciony przez tę babilońską wieżę, dlatego szybko, na nic nie czekając, zabieram się stąd. A wy wszyscy róbce, co chcecie!”

Te ostatnie słowa wypowiedział w biegu, po czym uciekł.

Nigdy więcej nie widziałem już tego sympatycznego Asyryjczyka.

Jak udało mi się później ustalić, jeszcze tego samego dnia opuścił na zawsze miasto Babilon i udał się do Niniwy, gdzie dożył późnej starości. Dowiedziałem się także, że Chamolinadir już nigdy nie zajmował się „nauką” i poświęcił się wyłącznie sadzeniu „czungari” – to znaczy, po dzisiejszemu, „kukurydzy”.

Tak więc, mój chłopcze, w pierwszej chwili wystąpienie Chamolinadira wywarło na tamtejszych istotach tak silne wrażenie, że przez blisko miesiąc chodziły „jak strute”.

A kiedy się spotykały, to nie rozmawiały o niczym innym, tylko przypominały sobie i powtarzały urywki jego wystąpienia.

I to powtarzały je tak często, że kilka wyrażeń Chamolinadira rozpowszechniło się w Babilonie wśród zwykłych istot i nabrało w ich codziennej egzystencji charakteru zwrotów przysłowio-  
wych.

Niektóre z tych zwrotów dotarły nawet do współczesnych istot planety Ziemia i jednym z nich jest właśnie użyte przez niego wyrażenie: „wieża Babel”.

Współczesne istoty bardzo dokładnie wyobrażają sobie, że dawno temu w mieście Babilon budowano jakoby jakąś wieżę, po której istoty miały wspiąć się ze swoim ciałem planetarnym do „samego Boga”.

Co więcej, współczesne ziemskie istoty mówią także, i są zresz-

tą o tym w pełni przekonane, że podczas budowy owej „wieży Babel” pomieszały się jakieś „języki”.

Generalnie do współczesnych istot planety Ziemia dotarło wiele takich oderwanych wyrażen, które zostały wypowiedziane lub utrwalone przez różne rozumne istoty w czasach, kiedy Babilon był ich „centrum kultury” jak również w innych epokach, i które odnoszą się do pewnych szczegółów jakiejś całościowej koncepcji. I tylko na podstawie tych „strzępków” twoi ulubieńcy z ostatnich stuleci „upichcili” swoim zupełnie już bzdurnym rozumem takie androny, jakich sam nasz arcychytry Lucyfer mógłby im pozazdrościć.

Pośród wielu teorii zajmujących się „kwestią zaświatów” dwie, niemające ze sobą nic wspólnego, zdobyły wtedy w Babilonie licznych zwolenników.

Obie były przekazywane z pokolenia na pokolenie i zaczęły plątać ich już bez tego wystarczająco poplątane „zdrowe myślenie istnieniowe”.

Szczegóły obu tych doktryn, przechodząc z pokolenia na pokolenie, zostały pozmieniane, ale zawarta w nich podstawowa myśl pozostała i dotarła nawet do czasów obecnych.

Pierwsza z tych doktryn, które miały wtedy w Babilonie wielu zwolenników, należała do grupy doktryn „dualistycznych”, natomiast druga do „ateistycznych”; i gdy jedna z nich dowodziła, że ludzie mają „duszę” druga udawadniała coś wręcz przeciwnego, mianowicie, że żadnej „duszy” nie mają.

Nauczanie „dualistyczne” czy „idealistyczne” głosiło, że w grubym ciele istoty-człowieka znajduje się ciało subtelne i niewidzialne, czyli „dusza”.

To „ciało subtelne” człowieka jest nieśmiertelne, a więc nigdy nie ulega zniszczeniu.

Dalej była mowa o tym, że ciało subtelne lub dusza musi odpowiednio zapłacić za wszystkie dobrowolne i mimowolne działania „ciała fizycznego” i że każdy człowiek już w chwili narodzin składa się z dwóch takich ciał, to znaczy z „ciała fizycznego” i „du-

szy”.

Następnie powiedziane było, że zaraz po urodzeniu człowieka na jego ramionach zasiadają dwa niewidzialne „duchy”.

Na prawym ramieniu sadowi się „duch dobra”, który nazywa się „anioł”, a na lewym drugi duch, „duch zła” zwany „diabłem”.

Już od pierwszego dnia oba te duchy, „duch dobra” i „duch zła” zapisują w swych „notesach” wszystkie przejawy danego człowieka, przy czym duch siedzący na jego prawym ramieniu odnotowuje wszystkie, jak to się mówi, „dobre przejawy” lub „dobre uczynki”, a duch siedzący na lewym ramieniu – te „złe”.

Do obowiązków każdego z nich należy nakłanianie i zmuszanie człowieka do jak największej liczby przejawów podlegających kompetencji danego ducha.

Duch siedzący po prawej zawsze się stara powstrzymać człowieka od popełniania czynów podlegających kompetencji ducha znajdującego się po stronie przeciwnej i namawia go do podejmowania jak największej liczby działań z jego własnego resortu.

Duch po lewej robi to samo, tylko na odwrót.

To oryginalne nauczanie twierdziło jeszcze, że te dwa „duchy rywale” zawsze walczą ze sobą i każdy z nich „wychodzi ze skóry”, żeby człowiek wykonywał jak najwięcej działań, którymi zarządza dany duch.

Kiedy człowiek umiera, duchy te zostawiają jego „ciało fizyczne” na Ziemi, a „duszę” zabierają do „Boga”, który żyje gdzieś „w niebiosach”.

Tam, „w niebiosach” ów „Bóg” siedzi w otoczeniu swoich wiernych aniołów i archaniołów, a przed nim wisi „waga”.

Po obu stronach wagi stoją dyżurne duchy. Po prawej znajdują się duchy zwane „sługami Raju”, czyli anioły, a po lewej „słudzy Piekła” innymi słowy diabły.

Duchy, które za życia człowieka siedziały mu na ramionach, po śmierci przyprowadzają jego „duszę” przed oblicze „Boga”, a wtedy „Bóg” bierze z ich rąk notesy z zapiskami o wszystkich uczynkach człowieka i umieszcza je na szalach wagi.

Na prawej szali kładzie notes anioła, na lewej notes diabła; w zależności od tego, która szala przeważy, „Bóg” rozkazuje dyżurnym duchom stojącym po jednej lub drugiej stronie, by się tą „duszą” zajęły.

Dyżurne duchy znajdujące się po prawej zarządzają miejscem, które nazywa się „Raj”.

Ów Raj jest nieopisanie piękny i wspaniały. Obfituje w cudowne owoce i nieskończoną ilość wonnych kwiatów. W powietrzu wciąż rozbrzmiewają tam zaczarowane dźwięki cherubinowych chórów i seraficznej muzyki.

Oprócz tego wszystkiego wymienionych było jeszcze wiele innych wspaniałości, których zewnętrzne oddziaływania podług nienormalnych percepcji i rozumienia, jakie wrodziły się już w istoty tej dziwnej planety, mogą im dać, jak one mówią, „wielkie zadowolenie”, to znaczy zaspokoić niegodne trójcentrowych istot potrzeby, które w sumie wyparły z ich zbiorczej obecności absolutnie wszystko, co umieścił w niej nasz wspólny ojciec, a co jest dla każdej trójmózgowej istoty całkowicie niezbędne.

Dyżurne duchy, które stoją po lewej stronie wagi, czyli, zgodnie z owym babilońskim nauczaniem, diabły, zarządzają miejscem zwanym „Piekłem”.

Na temat Piekła było powiedziane, że nic tam nie rośnie, że zawsze panuje w nim niewyobrażalny żar i nie można znaleźć tam nawet kropli wody.

W tym Piekle bez przerwy roznoszą się dźwięki potwornej „kafonii” i jazgot obelżywych diabelskich „wyzwisk”.

Na każdym kroku są tam poustawiane inkwizycyjne narzędzia, od „koła tortur” po przyrządy do „siekania ciała” i automatycznego posypywania ran solą, i tak dalej w tym samym duchu.

Ta babilońska doktryna „idealistyczna” bardzo drobiazgowo wyjaśniała, że jeśli człowiek chce, by jego „dusza” trafiła do Raju, powinien się na Ziemi starać dostarczać jak najwięcej materiału do notesu ducha-anioła, który siedzi na jego prawym ramieniu.

W przeciwnym razie więcej materiału do swoich notatek bę-

dzie miał duch siedzący na lewym ramieniu, a wtedy „dusza” takiego człowieka nieuchronnie trafi do tego przeraźliwego Piekła.

W tym miejscu Hassin nie wytrzymał i przerwał nagle Belzebubowi, mówiąc:

– A które ze swoich przejawów uważają oni za dobre i które za złe?

Belzebub rzucił wnukowi bardzo dziwne spojrzenie i kiwając głową, powiedział:

– Jeśli chodzi o to, które przejawy istnieniowe uważa się na twojej planecie za dobre, a które za złe, to od najdawniejszych czasów aż po dzień dzisiejszy przekazywano tam z pokolenia na pokolenie dwie niezależne, niemające ze sobą nic wspólnego definicje.

Pierwsza z nich jest znana i przekazywana z pokolenia na pokolenie tylko wśród takich tamtejszych istot trój mózgowych, jakimi byli członkowie towarzystwa naukowego Achldan na kontynencie Atlantyda albo jakimi stały się kilka wieków później, po drugiej perturbacji transapalnej, te tamtejsze istoty, które w swojej zbiorczej obecności zaczęły gromadzić, co prawda w inny sposób, niemalże takie same dane i które nazywano „wtajemniczonymi”.

Tę pierwszą definicję formułuje się tam następująco:

„Każdy czyn człowieka jest dobry w obiektywnym tego słowa znaczeniu, jeśli dokonuje się go w zgodzie z sumieniem, natomiast każdy czyn jest zły, jeśli z jego powodu doświadcza się później «wyrzutów sumienia»”.

Z kolei druga definicja pojawiła się tam wkrótce po „pomysłowym wynalazku” wielkiego króla Koniucjona i, przekazywana z pokolenia na pokolenie przez zwykłe istoty, stopniowo rozprzestrzeniła się na prawie całej planecie pod nazwą „moralność”.

Warto w tym miejscu zwrócić uwagę na pewną szczególną cechę tej tamtejszej moralności, która wrosła w nią praktycznie od chwili jej powstania i w końcu stała się jej przynależna.

Łatwo będziesz mógł sobie wyobrazić i zrozumieć, na czym po-



lega ta szczególna cecha ziemskiej moralności, jeśli powiem ci, że zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz odpowiada ona dokładnie tej samej „jedynej w swoim rodzaju właściwości”, która charakteryzuje istotę o nazwie „kameleon”.

Dziwaczność i oryginalność tej cechy tamtejszej moralności – zwłaszcza moralności współczesnej – sprowadza się do tego, że jej funkcjonowanie zależy w sposób zupełnie automatyczny od nastrojów lokalnych władz, a te nastroje tak samo automatycznie zależą od stanu czterech źródeł działania, które nazywają się tam: „teściowa”, „trawienie” „pan Wacek” i „mamona”.

Drugie babilońskie nauczanie, które miało wielu zwolenników i przekazywane z pokolenia na pokolenie również dotarło do twoich współczesnych ulubieńców, zaliczane było do doktryn „ateistycznych” tamtej epoki.

To nauczanie ówczesnych ziemskich kandydatów na Hasnamusów powtarzało w kółko, że w świecie nie ma żadnego „Boga” i tym bardziej w człowieku nie ma żadnej „duszy” stąd też wszystkie rozmowy czy rozważania o „duszy” to jedynie brednie chorych fantastów.

Następnie dowodziło ono, że w świecie jest tylko jedno szczególne prawo mechaniki, zgodnie z którym wszystko, co istnieje, przechodzi z jednej postaci w drugą, to znaczy, że rezultaty powstałe z jakichkolwiek wcześniejszych przyczyn stopniowo się przeobrażają, aż same stają się przyczynami kolejnych rezultatów.

A więc także człowiek jest tylko następstwem pewnych wcześniejszych przyczyn i sam musi również w końcu stać się przyczyną jakichś następstw.

Dalej była mowa o tym, że każde „nadprzyrodzone” zjawisko – nawet jeśli jest rzeczywiście postrzegane przez większość ludzi – to zaledwie jeden z takich rezultatów, który wynika z tego specjalnego prawa mechaniki.

Pełne uświadomienie sobie owego prawa zależy od stopniowego, bezstronnego i wyczerpującego poznania jego licznych niuan-

sów, które dla czystego rozumu stają się widoczne w zależności od osiągniętego przez ten rozum poziomu rozwoju.

Jeśli zaś chodzi o rozum człowieka, jest to tylko ogół wszystkich postrzeganych przez niego wrażeń, które z czasem dostarczają mu danych potrzebnych do robienia porównań oraz wyciągnięcia wniosków.

To wszystko prowadzi do tego, że człowiek ma lepszą orientację w różnego rodzaju faktach, które powtarzają się wokół niego zawsze w ten sam sposób i następnie służą w zbiorczej organizacji człowieka za materiał do formowania określonych przekonań. Oto z czego składa się rozum człowieka, czyli jego własna subiektywna psychika.

Cokolwiek by mówiono o „duszy” w tych dwóch doktrynach i po jakiegokolwiek szkodliwe środki służące do stopniowego przekształcenia rozumu ich potomków w istny „młynek do bredni” sięgaliby uczeni, którzy zebrali się tam prawie z całej planety, to w sensie obiektywnym byłoby to tylko pół biedy; ale całe obiektywne okropieństwo tkwi w tym, że z tego nauczania wynikło później wielkie zło, i to nie tylko dla ich potomków, ale być może również dla wszystkiego, co istnieje.

Rzecz w tym, że te uczone istoty podczas wspomnianego „wzburzenia umysłów” w mieście Babilon, wspólnie wymądrzając się, zgromadziły w swych obecnościach pełno nowych danych – dorzucając je do tych nabytych wcześniej – do hasnamuskich przejawów i kiedy rozjechały się potem do domów, zaczęły, oczywiście nieświadomie, rozsiewać wszędzie jak zarazki te wszystkie idee, których całokształt doprowadził do zupełnego zniszczenia ostatnich resztek czy nawet samych tylko śladów wszystkich rezultatów świętych trudów Przeświętego Asziaty Szyjemasza.

Owych świętych „świadomie wycierpianych” trudów, które on celowo urzeczywistnił, aby stworzyć specjalne warunki zewnętrzne zwykłej egzystencji istnieniowej, w jakich – i wyłącznie w nich – mogły stopniowo zanikać w ich obecnościach szkodliwe następstwa właściwości organu kundabufor i pojawiać się na ich

miejsce właściwości przynależne obecności wszystkich trójmózgowych istot, obecności, która pod każdym względem jest wiernym odbiciem Wszechświata.

Innym rezultatem tych rozmaitych wymądrzań na temat „duży” jakim oddawały się w mieście Babilon ówczesne uczone ziemskie istoty, było to, że wkrótce po moim piątym osobistym pobycie na powierzchni twojej planety także to ich kolejne „centrum kultury”, niezrównany i rzeczywiście imponujący Babilon, zostało, jak się tam mówi, „starte z powierzchni Ziemi”.

Zniszczeniu uległo wtedy nie tylko samo miasto Babilon, ale również wszystko, co zgromadziły i osiągnęły istoty, które wcześniej egzystowały tam przez wiele ichnich stuleci.

Sprawiedliwość nakazuje mi w tym miejscu powiedzieć, że inicjatywa zniszczenia świętych trudów Asziaty Szyjemasza nie wyszła od ziemskich uczonych, którzy zebrali się wówczas w mieście Babilon, lecz była wymysłem bardzo znanej „uczonej” istoty, która egzystowała kilka wieków przed wypadkami babilońskimi na kontynencie Azja i nosiła imię „Lentrochamsanin”; ta istota, której najwyższa część oblekła się w określoną jednostkę i udoskonaliła do wymaganego stopnia obiektywnego rozumu, stała się także jednym z trzystu trzynastu „Indywiduów Wieczny Hamsamus” egzystujących obecnie na małej planecie o nazwie „Zapłata”.

Opowiem ci również o tym Lentrochamsaninie, ponieważ informacje na jego temat pomogą ci lepiej zrozumieć dziwną psychikę trójmózgowych istot, które egzystują na tej oryginalnej i odległej planecie.

Ale o rzeczonym Lentrochamsaninie opowiem ci dopiero wtedy, gdy skończę mówić o Przeświętym Asziacie Szyjemaszu, a to dlatego, że informacje dotyczące Asziaty Szyjemasza, tego teraz już Przenajświętszego Indywiduum, oraz działalności, jaką podjął na twojej planecie, są najważniejsze i mają najwięcej substancji, jeśli chodzi o zrozumienie dziwaczności psychiki tych przypadłych ci do gustu trójmózgowych istot, które mają siedlisko na planecie Ziemia.

## Rozdział 25

### ***Prześwięty Asziata Szyjemasz, z Góry posłany na Ziemię***

– A więc, mój chłopcze...

Bardzo uważnie słuchaj teraz informacji o Przenajświętszym, obecnie już Ogólnokosmicznym Indywiduum, Asziacie Szyjemasz, a także o jego działalności związanej z trójmózgowymi istotami, które powstają i egzystują na tej przypadłej ci do gustu planecie Ziemia.

Mówiłem ci już nieraz, że na wszechmiłosierne polecenie NASZEGO MIŁOŚCI PEŁNEGO NIESKOŃCZONEGO WSPÓLNEGO OJCA nasze Najwyższe i Przenajświętsze Kosmiczne Indywidua realizują czasem w obecności jakiejś ziemskiej istoty trójmózgowej „ustalone poczęcie” Świętego Indywiduum po to, by owo Indywiduum, będąc już ziemską istotą, mogło na miejscu się zorientować i nadać procesowi ich zwykłej egzystencji istnieniowej odpowiedni nowy kierunek, dzięki któremu być może udałoby się usunąć z ich obecności zarówno już skryształizowane następstwa właściwości organu kundabufor, jak i skłonności do nowych tego rodzaju kryształizacji.

Otóż dokładnie siedem stuleci przed wypadkami babilońskimi, o których ci wspominałem, w planetarnym ciele pewnej tamtejszej istoty trójmózgowej zostało urzeczywistnione „ustalone poczęcie” Świętego Indywiduum imieniem Asziata Szyjemasz, które stało się tam kolejnym posłańcem z Góry i obecnie jest już jednym z naszych Najwyższych i Przenajświętszych Ogólnokosmicznych Świętych Indywiduów.

Asziata Szyjemasz został poczęty w planetarnym ciele chłopca z biednej rodziny, która wywodziła się z tak zwanej rasy sumeryjskiej i mieszkała w położonej niedaleko Babilonu osadzie zwanej

wówczas „Pispaskana”.

Dorastał on i przeobrażał się w odpowiedzialną istotę częściowo w swojej wiosce, a częściowo w samym Babilonie, który chociaż jeszcze wtedy nie imponował, ale był już liczącym się miastem.

Prześwięty Asziata Szyjemasz to jedyny posłaniec z Góry, który dzięki swym świętym trudom doprowadził do stworzenia na twojej planecie takich warunków, w jakich egzystencja jej nieszczęsnych istot zaczęła przez pewien czas choć trochę przypominać egzystencję obdarzonych takimi samymi możliwościami trójmózgowych istot z innych planet naszego Wielkiego Wszechświata; ponadto ów Święty jako pierwszy na planecie Ziemia zrezygnował ze stosowania do wypełnienia misji, którą mu powierzono w stosunku do trójmózgowych istot, utartych metod ustanowionych w ciągu stuleci przez wszystkich innych posłańców z Góry.

Prześwięty Asziata Szyjemasz w przeciwieństwie do tego, co czynili przed nim, a także po nim ci wszyscy, którzy w tym samym celu zostali posłani tam z Góry, ani niczego zwykłych ziemskich istot trójmózgowych nie nauczał, ani nie głosił im żadnych kazań.

Głównie z tego powodu nawet do trzeciego pokolenia jego współczesnych, nie mówiąc już o zwykłych istotach, które egzystują tam obecnie, nie dotarła w jakiejkolwiek formie żadna z jego nauk.

Jednakowoż współcześni Przeświętego Asziaty Szyjemasza zdołali za pośrednictwem tych, których nazywa się „wtajemniczonymi” przekazać istotom późniejszych pokoleń precyzyjne informacje o jego przeświętej działalności, a to dzięki pewnemu „legomizmowi” będącemu rezultatem jego rozważań i zatytułowanemu „Groza sytuacji”.

Ponadto z okresu jego przeświętej działalności ocalała do naszych czasów jedna z kilku „marmurowych tablic”, na których zostały wyryte jego „rady” i „przykazania” dla istot jemu współ-

czesnych.

Ta ocalała tablica służy dzisiaj za najświętszą relikwię małej grupy tamtejszych wtajemniczonych istot z „Bractwa Olbógmek” – bractwa, które ma swoją siedzibę w środkowej części kontynentu Azja.

Słowo „Olbógmek” znaczy: „Nie ma różnych religii, jest tylko jeden Bóg”.

W trakcie mojego ostatniego osobistego pobytu na powierzchni twojej planety całkiem przypadkowo zapoznałem się z legomonizmem, za pomocą którego zostały przekazane kolejnym pokoleniom wtajemniczonych istot-ludzi planety Ziemia rozważania Świętego Asziaty Szyjemasza zatytułowane „Groza sytuacji”.

Ów legomonizm bardzo mi pomógł w wyjaśnieniu pewnych dziwnych aspektów psychiki tych oryginalnych istot – aspektów, których wcześniej w żaden sposób nie byłem w stanie pojąć, mimo że już od kilkudziesięciu stuleci istoty te nader uważnie obserwowałem.

– Mój drogi i kochany dziadku, proszę, powiedz mi, co znaczy słowo „legomonizm”? – zapytał Hassin.

– Słowem „legomonizm” – odpowiedział Belzebub – określa się tam jeden ze sposobów przekazywania z pokolenia na pokolenie informacji o dowolnych wydarzeniach z odległej przeszłości, używany przez takie trójmózgowe istoty, które stały się godne bycia i nazywania siebie „wtajemniczonymi”.

Tę metodę przekazywania informacji z pokolenia na pokolenie wymyśliły jeszcze istoty z kontynentu Atlantyda.

Abyś mógł lepiej zrozumieć, na czym polega przekazywanie za pomocą legomonizmu informacji istotom następnych pokoleń, muszę powiedzieć ci parę słów o tamtejszych istotach, które nazywano i do dzisiaj nazywa się „wtajemniczonymi”.

W dawnych czasach na planecie Ziemia używano tego słowa tylko w jednym znaczeniu i takie miano nadawano tym tamtejszym trójmózgowym istotom, które zgromadziły w swoich obecnościach niemal identyczne i odczuwane przez wszystkie pozostające

stałe istoty obiektywne dane.

Jednakże w ciągu ostatnich dwustu lat słowo to nabrało dwóch znaczeń.

Zgodnie z pierwszym nazwa ta określa, tak samo jak przedtem, te tamtejsze istoty, które dzięki osobistym świadomym trudom i zamierzonym cierpieniom stały się „wtajemniczonymi” i które zgromadziwszy obiektywne zasługi, odczuwane, jak ci przed chwilą mówiłem, przez wszystkie istoty bez względu na ich układ mózgów, budzą w nich szacunek i zaufanie.

Jeśli zaś chodzi o drugie znaczenie, to rym słowem tytułują się nawzajem istoty należące do „bandyckich szajek”, których namnożyło się tam do tego czasu i które postawiły sobie za główny cel „grabienie” otoczenia wyłącznie z „esencjalnych” wartości.

Owe bandyckie szajki, pod pretekstem, że zajmują się jakimiś „nadprzyrodzonymi” lub „tajemnymi” naukami, dokonują tych swoich „grabieży” z wielkim powodzeniem.

I właśnie każdy czynny członek takiej tamtejszej „szopki” nazywany jest „wtajemniczonym”.

Wśród tych ziemskich wtajemniczonych można znaleźć nawet „wielkich wtajemniczonych”, a stają się nimi, zwłaszcza obecnie, ci ze zwykłych „wtajemniczonych nowej formacji”, którzy w trakcie swoich wirtuozowskich afer przechodzą, jak się tam mówi, przez i „ogień, wodę, miedziane rury, a nawet przez wszystkie salony gier w Monte Carlo”.

Tak więc, mój chłopcze, „legomonizmem” nazywa się ciągły przekaz informacji o wydarzeniach, które zaszły na planecie Ziemia w odległych czasach, a ów przekaz odbywa się bezpośrednio od wtajemniczonego do wtajemniczonego pierwszego rzędu, to znaczy od istot rzeczywiście zasłużonych, które otrzymały te informacje od innych, nie mniej zasłużonych istot.

Ten sposób przekazywania informacji wymyśliły istoty z kontynentu Atlantyda i powinniśmy oddać im sprawiedliwość: był on rzeczywiście bardzo mądry i osiągnął swój cel.

Jest to jedyna metoda pozwalająca na to, by informacje o pew-

nych wydarzeniach z dawno minionych epok mogły być wiernie przekazane istotom z odległych przyszłych pokoleń.

Natomiast informacje, które przekazują sobie z pokolenia na pokolenie masy zwykłych istot tej planety, albo szybko idą w niepamięć, albo całkowicie wyparowują, albo też zostaje po nich, jak mówi nasz drogi Mułła Nasr Eddin, tylko „ogon, grzywa, i temat dla Szeherezady”.

Toteż kiedy do istot z odległych pokoleń dociera kilka strzępów informacji o takim czy innym zdarzeniu i tamtejsze uczone istoty „nowej formacji” pichcą z tych urywków swoje androny, wówczas występuje tam niezwykle oryginalne i wielce pouczające „zjawisko”, a mianowicie w zbiorczą obecność wszystkich tamtejszych karaluchów, które usłyszały, o czym w tych andronach jest mowa, wstępuje natychmiast i pełną parą zaczyna w nich działać egzystujący tam „zły duch Świętego Wita”.

A to, w jaki sposób te współczesne uczone istoty planety Ziemia przyrządzają z fragmentów otrzymanych informacji swoje androny, trafnie ujmuje jedno z mądrych powiedzeń naszego drogiego Mułły Nasr Eddina: „Pchła przyszła na świat wyłącznie po to, by jej kichnięcie wywołało potop, którego opisywaniem zajmują się z taką pasją nasi uczeni”.

Muszę ci powiedzieć, że w okresie mojej egzystencji wśród twoich ulubieńców zawsze trudno mi było się powstrzymać, jak oni mówią, od „rehotu”, ilekroć któryś z tamtejszych uczonych dawał „wykład” lub bezpośrednio opowiadał mi o jakichś minionych zdarzeniach, których sam byłem naocznym świadkiem.

Te ichnie „wykłady” i „opowieści” są pełne takich komicznych i niestworzonych bredni, jakich nie potrafiłby wymyślić nawet sam nasz arcychytry Lucyfer ani żaden z jego pomocników.



## Rozdział 26

### ***Legomonizm poświęcony rozważaniom Przeświętego Asziaty Szyjemasa pod tytułem „Groza sytuacji”***

– Legomonizm – kontynuował Belzebub – za pomocą którego przekazywane były rozważania Przeświętego Asziaty Szyjemasa, zaczynał się od następującej modlitwy:

„W imię przyczyn mojego powstania zawsze będę dążył do tego, aby być sprawiedliwym dla każdego uduchowionego pierwiastka NASZEGO WSPÓLNEGO STWORZYCIELA, WSZECHMOGĄCEGO I NIESKOŃCZONEGO SAMOWŁADCY, a także dla wszystkich pierwiastków jego przyszłych uduchowionych przejawów. Amen.

Mnie, znikomej części całej wielkiej całości, nakazano z Góry oblec się w ciało planetarne trójcentrowej istoty tej planety, aby pomóc wszystkim innym powstającym i egzystującym na Ziemi istotom uwolnić się od następstw właściwości organu, który z wyższych i ważnych przyczyn został wszczepiony obecnościami ich przodków.

Wszystkie Święte Indywidua, które przede mną zostały specjalnie urzeczywistnione tutaj z Góry, zawsze się starały, dążąc do tego samego celu, wypełnić wyznaczone im zadanie za pomocą jednej z trzech świętych dróg samodoskonalenia, które wytyczył sam NASZ NIESKOŃCZONY STWÓRCA, a mianowicie za pomocą świętych dróg opierających się na istnieniowych impulsach zwanych «Wiarą», «Nadzieją» i «Miłością».

Kiedy skończyłem siedemnaście lat, zacząłem zgodnie z poleceniem z Góry przygotowywać moje ciało planetarne do tego, by w trakcie odpowiedzialnej egzystencji móc być bezstronnym.

Prowadząc takie przygotowania, ja także zamierzałem, gdy tyl-

ko osiągnę wiek odpowiedzialny, przystąpić do realizacji powierzonego mi zadania za pomocą jednego z trzech wymienionych świętych impulsów.

Jednakże kiedy w owym okresie «przygotowywania siebie» spotkałem w mieście Babilon wiele istot należących do prawie wszystkich ustalonych już «typów» i kiedy w trakcie moich bezstronnych obserwacji zapoznałem się z wieloma rysami ich przejawów istnieniowych, wówczas wkradła się do mojej esencji i zaczęła narastać wątpliwość co do możliwości uratowania trójmózgowych istot tej planety za pomocą jednej z tych trzech świętych dróg.

Różne przejawy spotykanych przeze mnie istot pogłębiły te moje wątpliwości i stopniowo przekonały mnie że następstwa właściwości organu kundabufor, już od dawna dziedzicznie przekazywane z pokolenia na pokolenie, tak się definitywnie skryształizowały w ich obecnościach, że u istot współczesnych stały się niejako prawowitą częścią ich esencji i te skryształizowane następstwa właściwości organu kundabufor są teraz na dobrą sprawę «drugą naturą» ich zbiorczej obecności.

Dlatego, kiedy w końcu stałem się istotą odpowiedzialną, postanowiłem, że zanim wybiorę do prowadzenia mojej dalszej działalności jedną z trzech świętych dróg, doprowadzę moje ciało planetarne do stanu «świętego kszerknara», to znaczy do stanu «percepcji istnieniowej z wszystkimi mózgami w stanie równowagi».

W tym celu wszedłem na górę «Weziniama», gdzie przez czterdzieści dni i nocy klęczałem, ćwicząc się w koncentracji.

Przez następne czterdzieści dni i nocy nie jadłem ani nie piłem, tylko przypominałem sobie i analizowałem każde z wrażeń wywołanych we mnie przez wszystkie percepcje, które sobie przyswoiłem, egzystując tutaj w okresie «przygotowywania siebie».

Następne czterdzieści dób klęczałem, również nic nie jedząc ani nie pijąc, i co pół godziny wyrywałem dwa włosy z różnych miejsc na piersi.

I dopiero wówczas, gdy się całkowicie uwolniłem od wpływu wszelkich cielesnych i duchowych skojarzeń związanych z wrażeniami życia codziennego, zacząłem rozmyślać nad tym, co począć dalej.

Rozmyślenia mojego oczyszczonego rozumu jasno mi pokazały, że na uratowanie współczesnych istot za pomocą którejś z wymienionych świętych dróg jest już za późno.

Te rozmyślenia zdecydowanie mnie przekonały, że wszystkie autentyczne funkcje, które winny występować w ludziach w takiej samej postaci, w jakiej normalnie występują w każdej trójmózgowej istocie naszego Wielkiego Wszechświata, już w ich odległych przodkach uległy zwyrodnieniu i przekształciły się w inne funkcje zaliczane do właściwości organu kundabufor i bardzo podobne do prawdziwych świętych funkcji istnieniowych «Wiary», «Miłości» i «Nadziei».

Takie zwyrodnienie było najprawdopodobniej spowodowane tym, że kiedy w ich przodkach uległ zniszczeniu organ kundabufor i oni także zaczęli gromadzić w sobie czynniki kształtujące autentyczne święte impulsy istnieniowe, wówczas na skutek tego, że wciąż jeszcze zachowali w sobie smak wielu właściwości organu kundabufor, te spośród tych właściwości, które przypominały owe trzy święte impulsy, stopniowo mieszały się z tymi ostatnimi, powodując w ich psychice krystalizację czynników pobudzających impulsy Wiary, Miłości i Nadziei wprawdzie podobne do autentycznych, lecz zarazem jakieś całkiem szczególne.

Tamtejsze współczesne istoty trójcentrowe również od czasu do czasu wierzą, kochają i mają nadzieję, i to zarówno rozumem, jak i swymi uczuciami, ale jak one wierzą, jak kochają i jak mają nadzieję – na tym polega cała osobliwość tych ich trzech właściwości istnieniowych.

One też wierzą, tylko że ten święty impuls nie funkcjonuje w nich niezależnie, jak to się zazwyczaj dzieje we wszystkich trójcentrowych istotach, które egzystują na różnych innych planetach naszego Wielkiego Wszechświata, gdzie mają siedlisko istoty obdarzone takimi samymi możliwościami, lecz powstanie tego

impulsu zależy od takich czy innych czynników, które wytworzyły się w ich zbiorczych obecnościach wskutek zawsze tych samych następstw właściwości organu kundabufor, jak na przykład swoistych, występujących w nich właściwości, które zwane są przez nie «próżnością», «miłością własną», «dumą», «zarozumiałstwem» itd.

To właśnie z tego powodu ziemskie istoty trójcentrowe zrobiły się szczególnie podatne na postrzeganie i utrwalanie w swoich obecnościach wszelkiego rodzaju «sinkrupsar» lub, jak się tam mówi, «wierzą one we wszystkie niestworzone rzeczy».

Dowolną istotę z tej planety można bardzo łatwo o czymkolwiek przekonać, pod warunkiem że w czasie postrzegania tych «niestworzonych rzeczy» zachodzi w niej, czy to świadomie wywołane z zewnątrz, czy też automatycznie płynące samo z siebie, funkcjonowanie odpowiednich danych skryzalizowanych w niej w wyniku tych następstw właściwości organu kundabufor, które kształtują, jak to się mówi, «subiektywność» danej istoty, czyli na przykład: «miłości własnej», «próżności», «dumy», «kabotyństwa», «imaginacji», «zarozumiałstwa», «pyszałkowatości» itd.

Kiedy tego rodzaju wpływom ulega ich wynaturzony rozum oraz zdegenerowane w nich «lokalizacje» czynników urzeczywistniania doznań istnieniowych, wtedy nie dość, że krystalizuje się w nich fałszywe przekonanie o tych niestworzonych rzeczach, to jeszcze potem zawzięcie, z wielką szczerością i pełną wiarą, udowadniają one wszystkim wokół, że jest właśnie tak i inaczej w żaden sposób być nie może.

Również dane, które wywołują święty impuls miłości, przyjęły w nich taką nienormalną postać.

Tego dziwnego impulsu, który one także nazywają «miłością», jest w obecnościach istot współczesnych zawsze pod dostatkiem, tyle że ta ich osobliwa «miłość» to również rezultat pewnych skryzalizowanych danych będących następstwami właściwości organu kundabufor i ów impuls powstaje, a także przejawia się w obecności każdej z nich całkowicie subiektywnie. Tak subiektywnie i tak różnie, że gdyby dziesięć spośród nich zapytać, w jaki

sposób odczuwają ten wewnętrzny impuls – zakładając oczywiście, że w drodze wyjątku udzielą szczerych odpowiedzi i uczciwie opiszą swoje prawdziwe doznania, a nie te, o których gdzieś przeczytały albo usłyszały od kogoś innego – to każda istota z tej dziesiątki odpowiedziałaby inaczej, opisując dziesięć zupełnie odmiennych doznań.

Jedna wyjaśniłaby owo doznanie w aspekcie seksualnym, druga w znaczeniu litości, trzecia mówiłaby o pragnieniu podporządkowania się, a czwarta o wspólnocie zainteresowań w stosunku do rzeczy zewnętrznych, itd., itp. – ale żadna z nich nie będzie umiała nawet w przybliżeniu opisać doznania prawdziwej miłości.

I ani jedna nie będzie potrafiła tego zrobić, ponieważ już od dawna żadna zwykła tutejsza istota-człowiek nie doświadczyła doznania świętego istnieniowego impulsu prawdziwej miłości. A skoro ów «smak» jest im nieznan, to nie mogą mieć jakiegokolwiek wyobrażenia o tym świętym impulsie istnieniowym, który w całym Wszechświecie jest źródłem największego błogostanu w obecności każdej trójcentrowej istoty i który zrządzeniem boskiej opatrności Wielkiej Przyrody wytwarza w nas takie dane, że doświadczając ich rezultatów, możemy ogarnięci błogością odpocząć od chwalebnych trudów, które podjęliśmy w celu samodoskonalenia.

Ostatnimi czasy, jeśli któraś z tych trójmózgowych istot kogośkolwiek «kocha», to «kocha» albo dlatego, że ten ktoś zawsze ją popiera i niezasłużenie wychwala, albo dlatego, że nos tej drugiej istoty jest bardzo podobny do nosa samicy lub samca, z którymi dzięki kosmicznym prawom «biegunowości» i «typu» udało się jej nawiązać nieprzerwany jak dotąd związek, lub też w końcu „kocha” tego kogoś tylko dlatego, że jego wuj robi dobre interesy i być może któregoś dnia pomoże jej samej zrobić to samo, itd. itp.

Nigdy jednak tutejsze istoty-ludzie nie kochają prawdziwą, bezstronną i nieegoistyczną miłością.

Ów rodzaj miłości, który występuje u tutejszych współczesnych istot, sprawia, że ich dziedziczne skłonności do krystaliza-

cji następstw właściwości organu kundabufor nie natrafiają już na żadne przeszkody i na zawsze ugruntowują się w ich naturze, stając się jej prawowitą częścią.

Co się zaś tyczy trzeciego świętego impulsu istnieniowego, a mianowicie «esencjalnej nadziei», to w obecnościach ziemskich istot trójcentrowych sprawa z nim ma się jeszcze gorzej niż z dwoma poprzednimi.

Nie tylko ten zniekształcony w swej formie impuls istnieniowy całkowicie się w nich dostosował do wszystkiego, co zawiera ich obecność, ale ta zgubna i dziwna «nadzieja», która wykształciła się w nich od niedawna i zajęła miejsce istnieniowego impulsu świętej nadziei, stała się obecnie głównym powodem tego, że nie mogą już gromadzić się w nich czynniki warunkujące funkcjonowanie autentycznych istnieniowych impulsów Wiary, Miłości i Nadziei.

Wskutek tej nowo ukształtowanej nienormalnej «nadziei» one zawsze mają na coś nadzieję, a to powoduje nieustanny paraliż wszystkich możliwości, które pojawiają się w nich, albo umyślnie wywołane z zewnątrz, albo przypadkowo powstałe same z siebie, i które a nuż mogłyby jeszcze zniszczyć w ich obecnościach dzieziczne skłonności do krystalizacji następstw właściwości organu kundabufor.

Po powrocie z góry Weziniama do miasta Babilon kontynuowałem swoje obserwacje, starając się odkryć, czy można by pomóc tym nieszczęśnikom w jakiś inny sposób.

Poświęciwszy cały rok na specjalne obserwacje zarówno wszystkich ich przejawów, jak i percepcji, doszedłem do niezachwianego przekonania, że z jednej strony u istot tej planety czynniki, które mogłyby wzbudzić w nich święte impulsy istnieniowe Wiary, Nadziei i Miłości, uległy już całkowitemu zwyrodnieniu, ale z drugiej strony ten czynnik, który powinien rodzić istnieniowy impuls służący za podstawę całej psychiki istot o układzie trójmózgowym, to znaczy impuls zwany «obiektywnym sumieniem», jeszcze w nich nie zanikł i zachował się w ich obecnościach niemalże w pierwotnym stanie.

Z powodu nienormalnie ustanowionych tutaj warunków zwykłej zewnętrznej egzystencji istnieniowej ów czynnik stopniowo zaczął się osuwać w głąb tej ich świadomości, którą nazywa się tu «podświadomością», wskutek czego przestał w ogóle uczestniczyć w funkcjonowaniu ich zwykłej świadomości.

Otóż właśnie wtedy zrozumiałem ponad wszelką wątpliwość wszystkimi dociekającymi częściami, które stanowią całość mojego «Ja», że tylko udział tego ocalałego jeszcze w ich zbiorczych obecnościach czynnika istnieniowego w ogólnym funkcjonowaniu owej świadomości, pod której kierunkiem współczesne istoty trójmózgowe wiodą tutaj swoją powszednią, jak same mówią, «egzystencję na jawie», mógłby uratować je od następstw właściwości tego celowo wszczepionego ich antenatom organu.

Moje dalsze rozważania utwierdziły mnie w przekonaniu, że aby to osiągnąć, ich zwykła egzystencja istnieniowa powinna toczyć się przez długi czas w przewidzianych odpowiednio warunkach.

Kiedy to wszystko w pełni się we mnie przetworzyło, postanowiłem, że od tego momentu całym sobą poświęcę się kształtowaniu takich warunków, dzięki którym funkcjonowanie ocalałego w ich podświadomości świętego sumienia będzie mogło stopniowo stać się funkcją ich zwykłej świadomości.

Niech NASZ WSZECHMOCNY NIESKOŃCZONY STWÓRCA, MIŁOŚCI PEŁEN WSPÓLNY JEDNOBYTNY OJCIEC pobłogosławi moją decyzję. Amen”.

Tak kończył się legomonizm pod tytułem „Groza sytuacji” poświęcony rozważaniom Przeświętego Niezrówanego Asziaty Szyjemasza.

Kiedy więc, mój chłopcze, na początku mojego ostatniego osobistego zstąpienia na powierzchnię twojej planety, jak już ci mówiłem, po raz pierwszy zapoznałem się szczegółowo z przytoczonym przed chwilą legomonizmem, natychmiast zainteresowałem się wywodami tego przyszłego Najwyższego i Przenajświętszego Ogólnokosmicznego Indywiduum Asziaty Szyjemasza;

a ponieważ nie istniał tam żaden inny legomonizm ani żadne inne źródło informacji o jego późniejszej przeświętej działalności wśród twoich ulubieńców, kategorycznie postanowiłem, że sam muszę się dowiedzieć, po jakie sięgnął środki i jak je potem stosował, by pomóc tym nieszczęśnikom uwolnić się od przekazanych im dziedzicznie następstw właściwości tego zgubnego dla nich organu kundabufor.

To dlatego podczas mojego ostatniego osobistego pobytu na powierzchni twojej planety postawiłem sobie za jedno z głównych zadań szczegółowe zbadanie oraz naświetlenie dalszej przeświętej działalności wśród twoich ulubieńców tego Wielkiego Esencji Miłującego, teraz już Najwyższego i Przenajświętszego Ogólnokosmicznego Indywiduum Asziaty Szyjemasa.

Jeśli zaś chodzi o przypadkowo ocalałą z czasów przeświętej działalności Wielkiego Asziaty Szyjemasa „marmurową tablicę”, która jest obecnie najświętszą relikwią bractwa tamtejszych wtajemniczonych istot zwanych zarówno wcześniej, jak i teraz „braćmi Olbógmek”, to w czasie tego samego ostatniego pobytu miałem okazję zapoznać się tam z treścią wyrytego na niej napisu.

Moje późniejsze badania wykazały że kiedy Przeświętemu Asziacie Szyjemaszowi udało się w końcu zgodnie ze swoim zamierzeniem zorganizować tam specjalne warunki zwykłej egzystencji istnieniowej, wówczas za jego radą i z jego inicjatywy w wielu dużych miastach umieszczono w odpowiednich miejscach tablice, na których wyryte były najróżniejsze pouczenia i rady dotyczące prowadzenia należytej egzystencji.

Jednakże potem, kiedy znowu wybuchły ich wielkie wojny; te dziwne istoty same zniszczyły wszystkie tego rodzaju tablice oprócz jednej, która jakimś cudem ocalała i która, jak ci już mówiłem, jest obecnie drogocenną własnością wspomnianego bractwa.

Na tym ocalałym kawałku marmuru wyryta została inskrypcja mówiąca o świętych impulsach istnieniowych zwanych „Wiarą”, „Miłością” i „Nadzieją”.



Oto jej treść:

## WIARA, MIŁOŚĆ I NADZIEJA

Wiara świadomości to wolność.

Wiara uczucia to słabość.

Wiara ciała to głupota.

Miłość świadomości wywołuje w odpowiedzi to samo.

Miłość uczucia wywołuje przeciwieństwo.

Miłość ciała zależy tylko od typu i biegunowości.

Nadzieja świadomości to siła.

Nadzieja uczucia to niewola.

Nadzieja ciała to choroba.

Zanim powiem ci więcej o dalszej działalności Przeświętego Asziaty Szyjemasza dla dobra twoich ulubieńców, muszę ci wyjaśnić trochę bardziej szczegółowo, na czym polega ten wewnętrzny impuls, który twoi ulubieńcy nazywają tam „nadzieją” i o którym Prześwięty Asziata Szyjemasz powiedział, że rzecz z nim ma się gorzej niż z dwoma pozostałymi.

Moje obserwacje i badania specjalnie poświęcone temu dziwnemu impulsowi jasno wykazały, że czynniki wywołujące w ich obecnościach taki nienormalny impuls są dla nich samych niezwykle szkodliwe.

Ta nienormalna nadzieja spowodowała, że pojawiła się wśród nich pewna bardzo szczególna, wykazująca tendencję rozwojową i w najwyższym stopniu dziwna choroba, która nazywa się „jutro”.

Owa dziwna choroba „jutro” pociągnęła za sobą straszliwe skutki zwłaszcza dla tych nieszczęsnych tamtejszych istot trójmózgowych, które dowiedziawszy się przypadkiem, że mają w sobie jakieś bardzo niepożądane dane, całą swoją obecnością nabrały do tego przekonania i które równocześnie dobrze wiedzą, nie tylko jakie wysiłki musiałyby podjąć, aby się od nich uwolnić, ale nawet jak to należy zrobić.

Wyłącznie z powodu owej choroby „jutro” stanowiącej złowrogą część całego tego wielkiego i straszliwego zła, które z różnych ważnych i błahych przyczyn nagromadziło się w procesie zwykłej egzystencji istnieniowej tych biednych trójmózgowych istot, nawet te spośród nich, które dziwnym trafem wszystko to sobie uprzytomniły, nie są w stanie zdobyć się na wymagany wysiłek i odkładając go z „jutra” na „jutro”, pozbawiają się wszelkiej możliwości osiągnięcia czegokolwiek realnego.

Ta dziwna i tak zgubna dla twoich ulubieńców choroba „jutro” stała się przeszkodą dla współczesnych istot nie tylko dlatego, że na zawsze odebrała im wszelką możliwość usunięcia z ich obecności skryzalizowanych następstw właściwości organu kundabufor, ale także dlatego, że uniemożliwia większości z nich uczciwe wywiązywanie się przynajmniej z tych powinności istnieniowych, które stały się zupełnie niezbędne w ustanowionych już warunkach zwykłej egzystencji istnieniowej.

Z powodu owej choroby „jutro” tamtejsze istoty trójmózgowe, szczególnie te współczesne, niemal zawsze odkładają na „później” wszystko, co należałoby zrobić w danym momencie, przekonane, że „później” będą mogły zrobić lepiej i więcej.

Nawet te spośród nich, które przypadkiem lub dzięki świadomemu wpływowi z zewnątrz uświadomiły sobie swoim rozumem i odczuwają wszystkimi swoimi oddzielnymi uduchowionymi częściami własną nicość, i które tak samo przypadkowo dowiedziały się, jakie wysiłki istnieniowe i w jaki sposób trzeba podjąć, aby stać się takimi, jakimi powinny być trójmózgowe istoty – otóż nawet te nieszczęsne istoty, „odkładając z jutra na jutro”, osiągają prawie wszystkie taki stan, że pewnego smutnego dla nich dnia powstają w nich i zaczynają się przejawiać, jak same mówią, zwiastuny starości zwane „bezsilnością” i „zniedołożeniem”, które są nieuniknioną dolą wszystkich dużych i małych formacji kosmicznych u kresu ich dopełniającej się egzystencji.

W tym miejscu muszę ci koniecznie powiedzieć o pewnym dziwnym zjawisku, które spostrzegłem w trakcie moich obserwacji i badań nad niemal zupełnie już zwyrodniałą obecnością

twoich ulubieńców. Otóż wyraźnie zauważyłem, że u wielu z nich pod koniec planetarnej egzystencji większość skryzalizowanych w ich zbiorczych obecnościach następstw właściwości wspomnianego organu zaczyna samorzutnie ulegać atrofii, a niektóre nawet całkowicie zanikają, skutkiem czego mogą oni lepiej widzieć i czuć rzeczywistość.

W takich sytuacjach w zbiorczych obecnościach twoich ulubieńców pojawia się silne pragnienie pracy nad sobą, pracy w celu, jak oni mówią, „zbawienia swojej duszy”.

Ale, rzecz jasna, te ich życzenia na nic się nie zdają z tej prostej przyczyny, że jest już dla nich za późno. Czas, który Wielka Przyroda im na to przeznaczyła, minął i chociaż widzą i czują potrzebę urzeczywistnienia wymaganych wysiłków istnieniowych, to do spełnienia takich pragnień mają teraz tylko swoje „jałowe chęci” i „zgodną z prawem starczą niemoc”.

Tak więc, mój chłopcze, dzięki moim późniejszym poszukiwaniom i badaniom poświęconym działalności Przeświętego Asziaty Szyjemasza dla dobra trójmózgowych istot, które powstają i egzystują na twojej planecie, ustaliłem, co następuje:

Kiedy to wielkie i prawie niezrównane pod względem rozumu Świąte Indywiduum przekonało się ostatecznie, że tradycyjne święte drogi służące do samodoskonalenia wszystkich trójcentrowych istot Wszechświata nie nadają się już dla istot tej planety, wtedy po roku specjalnych obserwacji i badań ichniej psychiki ponownie wspięło się na górę Weziniama i pogrążone w kontemplacji rozmyślało przez kilka ziemskich miesięcy nad tym, w jaki sposób może zrealizować swoje postanowienie, czyli uratować istoty tej planety od dziedzicznej skłonności do krystalizowania w sobie następstw właściwości organu kundabufor, wykorzystując do tego ocalałe w ich podświadomości dane wzbudzające podstawowy święty impuls istnieniowy „sumienie”.

Dzięki tym rozmyślaniom Asziata Szyjemasz przede wszystkim nabrał wtedy absolutnej pewności, że rzeczywiście można je uratować za pomocą danych, które ocalały w ich zbiorczych obecnościach i są zdolne rozbudzić ów święty impuls istnieniowy, ale

tylko pod warunkiem że przejawy tych ocalałych w ich podświadomości danych będą stale uczestniczyły w funkcjonowaniu świadomości zawiadującej ich codzienną egzystencją na jawie i, co więcej, że ów impuls istnieniowy będzie przez długi czas manifestował się we wszystkich aspektach tej świadomości.

## *Rozdział 27*

### ***Jaki tryb egzystencji stworzył dla ludzi Prześwięty Asziata Szyjemasz***

Belzebub kontynuował swą opowieść:

– Moje dalsze poszukiwania i badania ujawniły także, że Prześwięty Asziata Szyjemasz po tym, jak obmyślił na górze Wezinia-ma, a następnie naszkicował w umyśle dokładny plan swoich kolejnych przeświętych działań, już nigdy nie powrócił do miasta Babilon, lecz udał się prosto do „Dżulfapał”, czyli stolicy kraju położonego w centrum kontynentu Azja i nazywanego się wówczas Kurlandtech”.

Zaraz po przybyciu nawiązał tam kontakt z braćmi z „Bractwa Czawtanturi”, którego siedziba znajdowała się w pobliżu tego miasta, a jego nazwa oznaczała: „Być albo w ogóle nie być”.

To bractwo zostało założone pięć ichnich lat przed przybyciem tam Przeświętego Asziaty Szyjemasza z inicjatywy dwóch autentycznych ziemskich „wtajemniczonych”, którzy zdobyli to miano zgodnie z zasadami ustanowionymi jeszcze przed, jak się tam wtedy mówiło, „epoką asziacką”.

Jedna z tych dwóch ówczesnych ziemskich istot trójmózgowych, które stały się autentycznymi wtajemniczonymi, miała na imię Paundoliro, a druga Sensimiriniko.

Chcę przy okazji zaznaczyć, że obaj ci ówcześni ziemscy autentyczni wtajemniczeni zakończyli już wtedy „oblekanie” w swoich zbiorczych obecnościach najwyższych części i w ciągu późniejszej egzystencji zdążyli je udoskonalić do wymaganego stopnia świętego obiektywnego rozumu, tak że obecnie te ich udoskonalone najwyższe części istnieniowe „zasłużyły” nawet na to, by miejscem ich egzystencji stała się święta planeta Czyściec.

Jak wykazały moje późniejsze szczegółowe badania, w tych

dwóch tamtejszych istotach trój mózgowych, Paundoliro i Sensimiriniko, powstało i nieustannie dawało się odczuć we wszystkich oddzielnych uduchowionych częściach ich zbiorczych obecności podejrzenie, które później przerodziło się w przekonanie, że w ich zbiorczej organizacji pojawiło się z pewnych najwyraźniej nieprawidłowych przyczyn i zaczęło funkcjonować „coś” dla nich samych „bardzo niepożądanego” i że jednocześnie tego „czegoś bardzo niepożądanego” można się pozbyć za pomocą znajdujących się w nich danych. Zaczęli więc szukać innych podobnych do nich istot, które dążyły do tego samego celu, aby następnie spróbować razem usunąć z siebie to „coś bardzo niepożądanego”.

A kiedy natrafiły wkrótce na istoty stawiające sobie taki cel wśród, jak to się mówi, „mnichów” żyjących w miejscach zwanych „klasztorami”, których w okolicach miasta Dżulfapał istniało w owym czasie już wiele, wtedy z tymi wybranymi przez siebie mnichami założyli wspomniane bractwo.

Tak więc po przybyciu do miasta Dżulfapał Prześwięty Asziata Szyjemasz, nawiąawszy odpowiednie stosunki z braćmi należącymi do wspomnianego bractwa i zmagającymi się już z tym nienormalnym funkcjonowaniem swojej psychiki, które sami spstrzegli, zaczął oświecać ich rozum za pomocą obiektywnie prawdziwych informacji, a także kierować ich impulsami istnieniowymi w taki sposób, by mogli doznawać wszystkiego, co wiązało się z tymi prawdami, bez udziału nienormalnie skryzalizowanych czynników, które istniały już w ich obecnościach, bądź też czynników, które mogły się ponownie wyłonić z rezultatów zewnętrznych percepcji przyswajanych przez nich wskutek nienormalnie ustanowionych tam form zwykłej egzystencji istnieniowej.

Oświecając w taki sposób członków wspomnianego bractwa Czawtanturi i dzieląc się z nimi swoimi przypuszczeniami oraz zamierzeniami, Prześwięty Asziata Szyjemasz układał jednocześnie „reguły” lub, jak się tam jeszcze mówi, „regulamin” bractwa, które założył później w mieście Dżulfapał wspólnie z tymi wtajemniczonymi przez siebie braćmi i które nazwano bractwem

„Higcztwór” co znaczyło: „Tylko ten będzie zwany i stanie się Synem Bożym, kto pozyska w sobie sumienie”.

Jeszcze później, kiedy z udziałem braci byłego bractwa Czawtanturi wszystko zostało już ustalone i zorganizowane, Prześwięty Asziata Szyjemasz zaczął posyłać tych braci w różne miejsca, zlecając im rozpowszechnianie zgodnie z jego wskazówkami informacji o tym, że w „podświadomości” ludzi skryzlowały się i są zawsze obecne dane objawione z Góry, które potrafią wzbudzić w nich boski impuls prawdziwego sumienia, i że tylko ten, kto zyska taką „moc” żeby działanie owych danych zaczęło uczestniczyć w funkcjonowaniu tej świadomości, dzięki której wie, on swoją codzienną egzystencję, zdobędzie obiektywnie słuszne prawo do tego, by nazywać się i rzeczywiście być prawdziwym synem NASZEGO WSPÓLNEGO OJCA, STWÓRCY wszystkiego, co istnieje.

Najpierw tę obiektywną prawdę bracia ci zaczęli głosić głównie wśród mnichów z licznych klasztorów znajdujących się w okolicach Dżulfapał, a dopiero później pośród zwykłych mieszkańców miasta.

Rezultat tych ich kazań był taki, że wybrali na początek trzydziestu pięciu poważnych i dobrze przygotowanych „nowicjuszy” do pierwszego bractwa Higcztwór, które potem założyli w mieście Dżulfapał.

Od tego czasu Prześwięty Asziata Szyjemasz, kontynuując oświecanie rozumu byłych braci bractwa Czawtanturi, zaczął z ich pomocą oświecać również rozum tych trzydziestu pięciu nowicjuszy.

Trwało to przez cały ich rok i dopiero po jego upływie niektórzy z braci dawnego bractwa Czawtanturi, a także trzydziestu pięciu nowicjuszy stopniowo zasłużyło na miano „pełnoprawnych” braci pierwszego bractwa Higcztwór.

Zgodnie z regulaminem ustanowionym przez Przeświętego Asziatę Szyjemasza, każdy z nich mógł zostać takim „pełnoprawnym bratem” bractwa Higcztwór tylko wtedy, gdy prócz innych

obiektywnych i również określonych z góry zasług zdobędzie taką „moc świadomego kierowania funkcjonowaniem własnej psychiki”, że zdoła całkowicie przekonać sto innych zwykłych istot, ukazując im, jak powinien wyglądać u ludzi impuls obiektywnego istnieniowego sumienia i w jaki sposób należy go manifestować, aby człowiek mógł dać wyraz rzeczywistemu sensowi i celowi swojej egzystencji, dzięki czemu zgromadzą one w sobie wymaganą „intensywność mocy” przekonania o tym co najmniej stu innych istot.

Tych, którzy zasłużyli na miano „pełnoprawnych braci” bractwa Higcztwórz, zaczęto tam wtedy po raz pierwszy nazywać „kapłanami”.

Abyś mógł stworzyć sobie pełny obraz przeświętej działalności Asziaty Szyjemasza, musisz wiedzieć, że później, gdy wszystkie rezultaty jego przeświętych trudów uległy zniszczeniu, twoi ulubieńcy zaczęli używać – i do dziś używają – zarówno tamtejszego słowa „kapłan” jak i wspomnianego przeze mnie wcześniej słowa „wtajemniczony” w dwóch całkowicie różnych znaczeniach.

Pierwsze z tych słów – którym dawniej posługiwano się powszechnie, lecz którego dzisiaj używa się tylko w pewnych miejscach i jedynie w odniesieniu do mało znaczących i odosobnionych grup – oznacza tych tamtejszych fachowców, których wszyscy teraz nazywają „spowiednikami” lub „duchownymi”.

Drugie znaczenie słowa „kapłan” odnosiło się i nadal odnosi do tych tamtejszych istot, które dzięki swojemu świątobliwemu życiu oraz zasługom wynikającym z działania dla dobra swojego otoczenia tak bardzo wyróżniają się spośród zwykłych istot trójmózgowych, że ilekroć te ostatnie o nich wspominają, zawsze powstaje i zachodzi w ich obecnościach proces zwany „wdzięcznością”.

Już w czasie, gdy Prześwięty Asziata Szyjemasz oświecał rozumy braci byłego bractwa Czawtanturi oraz trzydziestu pięciu przyjętych „nowicjuszy” zaczęła się szerzyć wśród zwykłych istot miasta Dżulfapał i jego okolic autentyczna idea mówiąca o tym, że w zbiorczej obecności istot-ludzi znajdują się wszelkie dane ku



temu, by przejawiać boski impuls sumienia, ale że ów boski impuls nie uczestniczy w ich zbiorczej świadomości, ponieważ przeskadzają w tym ich własne przejawy, przynoszące im wprowadzie w danej chwili „satysfakcję, za którą później trzeba będzie zapłacić” oraz wiele materialnych dóbr, lecz jednocześnie powodujące stopniowy zanik danych, którymi Przyroda obdarzyła ich obecność, aby mogły wzbudzać w otaczających je istotach – bez względu na ich „układ mózgow” – obiektywny impuls Bożej Miłości.

Te wszystkie autentyczne informacje zaczęły być rozpowszechniane głównie dzięki „idealnie mądrej” zapobiegliwości Przeświętego Asziaty Szyjemasza, który, jak już ci mówiłem, od każdego, kto dążył do stania się „pełnoprawnym” członkiem bractwa Hicztwórz, wymagał – prócz wszelkich innych „samozasług” – zdobycia takiej „mocy” dzięki której każda z trzech uduchowionych asocjujących części stu innych tamtejszych istot trójmózgowych mogła nabrać przekonania do boskiego impulsu sumienia.

Gdy organizacja pierwszego bractwa Hicztwórz w mieście Dżulfapał została już mniej więcej doprowadzona do ładu i stała się na tyle sprawna, że dalsza praca mogła przebiegać samodzielnie dzięki samym tylko wskazówkom wypływającym z rozumu braci należących do tego bractwa, wówczas Prześwięty Asziata Szyjemasz wybrał spośród „pełnoprawnych braci” tych, którzy świadomie rozumem i nieświadomie czuciem zaczęli już dostrzegać w swej podświadomości rzeczony boski impuls i byli w pełni przekonani, że dzięki określonym własnym wysiłkom ów boski impuls może się stać i na zawsze pozostać trwałą częścią ich zwykłej świadomości. Zaczął więc wtedy oddzielać takich „wtajemniczonych pierwszego stopnia”, którzy odczuli i uświadomili sobie ów impuls, i na osobności oświecał ich rozum co do „obiektywnych prawd”, które do tej pory były zupełnie nieznanymi tamtejszym istotom trójmózgowym.

Te wtajemniczone istoty pierwszego stopnia, które zostały oddzielone przez niego od reszty, nazwano wówczas po raz pierwszy „wielkimi wtajemniczonymi”.

Zwróć uwagę, że to właśnie wtedy Prześwięty Asziata Szymasz odnowił wszystkie zasady „bycia” tamtejszych wtajemniczonych istot – zasady, które następnie nazwano „odnowami asziatowymi”.

Otóż Prześwięty, a dzisiaj już Przenajświętszy Asziata Szymasz tym samym pierwszym „wielkim wtajemniczonym” szczegółowo wyjaśnił wówczas między innymi, na czym konkretnie polega ów impuls istnieniowy obiektywnego sumienia, a także w jaki sposób w obecności istot trójmózgowych powstają czynniki warunkujące jego przejawianie się.

Pewnego razu powiedział na ten temat, co następuje:

„Czynniki, które kształtują w istotach trójmózgowych impuls istnieniowego sumienia, powstają ze zlokalizowanych w ich obecnościach cząstek «emanacji smutku» NASZEGO MIŁOŚCI PEŁNEGO I WIELCE CIERPLIWEGO NIESKOŃCZONEGO STWORZYCIELA; stąd też źródło przejawu autentycznego sumienia nazywane jest niekiedy w istotach trójcentrowych przedstawicielem stwórcy.

Przyczyną owego smutku NASZEGO WSZECHWSPIERAJĄCEGO WSPÓLNEGO OJCA jest walka między radością i strapieniem, która nieustannie toczy się we Wszechświecie”.

Dodał jeszcze:

„Z powodu tych danych, które skryształizowały się w naszych zbiorczych obecnościach w celu wywołania w nas boskiego impulsu sumienia, my, ludzie, tak samo jak wszystkie bez wyjątku trójcentrowe istoty w całym naszym Wszechświecie, a więc «wszyscy my» wraz z całą naszą esencją, już u swej podstawy jesteśmy i niczym innym być nie możemy, jak tylko cierpieniem.

A cierpieniem być musimy, ponieważ również w nas taki impuls istnieniowy może się w pełni przejawić jedynie wskutek nieustannej walki dwóch diametralnie różnych «układów funkcjonowania» owych dwóch źródeł, które stanowią dla siebie nawzajem zupełnie przeciwstawne zasady, a mianowicie na skutek ustawicznej walki między procesami funkcjonowania samego

naszego ciała planetarnego i równolegle przebiegającymi procesami funkcjonowania, które pojawiają się stopniowo, w miarę jak oblekają się i doskonalą w tym ciele planetarnym nasze wyższe ciała istnieniowe – procesami, które w sumie powodują, że we wszelkiego rodzaju istotach trój centrowych urzeczywistnia się rozum.

To dlatego wszystkie trój centrowe istoty naszego Wielkiego Wszechświata, a więc także my, ludzie żyjący na Ziemi, z powodu obecnych w nas czynników służących do wywoływania boskiego impulsu obiektywnego sumienia musimy nieuchronnie uczestniczyć w ciągłej walce między dwoma zupełnie przeciwstawnymi rodzajami funkcjonalności, które pojawiają się i zachodzą w naszej zbiorczej obecności i których rezultaty w wypadku pierwszego z nich, odczuwamy zawsze jako «pragnienia», a drugiego jako «nie-pragnienia».

I tak, ten z nas, kto będzie świadomie sprzyjał przebiegowi tej wewnętrznej walki i świadomie pomagał «nie-pragnieniom», by przeważały nad «pragnieniami», będzie postępował w zgodzie z esencją naszego wspólnego ojca stwórcy, natomiast ten, kto będzie się świadomie przyczyniał do tego, by stało się na odwrót, będzie tylko wzmacniał jego smutek”.

A zatem, mój chłopcze, nie minęły nawet trzy lata, gdy w rezultacie tego wszystkiego, o czym ci teraz opowiedziałem, wszystkie zwykłe istoty zarówno z miasta Dżulfapał i jego okolic, jak i z wielu innych krajów kontynentu Azja wiedziały już, że mają w sobie boski istnieniowy impuls prawdziwego sumienia zdolny uczestniczyć w funkcjonowaniu ich zwykłej „świadomości na jawie”, i w każdym z bractw Wielkiego Proroka Asziaty Szyjemasza wszyscy wtajemniczeni i kapłani wyjaśniali oraz wskazywali, jak i co trzeba uczynić, aby rzeczywiście to osiągnąć; co więcej, niemal każda istota zaczęła tam do tego dążyć, starając się zostać kapłanem jednego z bractw Hicgztwórz, których do tego czasu założono już bez liku w różnych krajach kontynentu Azja i które funkcjonowały praktycznie samodzielnie.

Te prawie niezależne bractwa powstawały tam w następujący

sposób:

Kiedy całokształt pracy owego bractwa, które zostało założone w mieście Dżulfapał, toczył się już swoim torem, Prześwięty Asziata Szyjemasz, zaopatrzywszy „wielkich wtajemniczonych” w odpowiednie wskazówki, zaczął ich wysyłać do innych krajów i miast kontynentu Azja, aby również tam organizowali tego rodzaju bractwa; on sam pozostał jednak w mieście Dżulfapał, skąd kierował działalnością swoich pomocników.

Cokolwiek by mówić, mój chłopcze, okazało się wtedy, że także prawie wszyscy twoi ulubieńcy, te dziwne istoty trójmózgowe, zapragnęli i wszystkimi swoimi uduchowionymi częściami istnieniowymi zaczęli dążyć do tego, by w ich zwykłej świadomości na jawie pojawiło się prawdziwe boskie obiektywne sumienie; efekt był taki, że większość istot kontynentu Azja zaczęła pracować nad sobą pod kierunkiem „wtajemniczonych” i „kapłanów” bractwa Higcztwórz, pragnąc przenieść do swej zwykłej świadomości rezultaty tych danych obecnych w ich podświadomości, które wzbudzają tam impuls prawdziwego boskiego sumienia, i uzyskać w ten sposób możliwość, z jednej strony, całkowitego usunięcia z siebie – być może raz na zawsze – następstw właściwości organu kundabufor zgubnych dla nich samych, jak również dla przyszłych pokoleń, którym są one przekazywane dziedzicznie, a z drugiej strony świadomego uczestniczenia w pomniejszaniu smutku NASZEGO WSPÓLNEGO NIESKOŃCZONEGO OJCA.

Wszystko to spowodowało, że w tamtym okresie, szczególnie na kontynencie Azja, kwestia sumienia zaczęła dominować w zwykłym procesie egzystencji istnieniowej twoich ulubieńców, i to zarówno w ich stanie „świadomości na jawie”, jak i w stanie „instynktowne-pasywnym”.

Nawet te ówczesne istoty trójmózgowe, które nie przetworzyły jeszcze w swojej obecności smaku tego boskiego impulsu i w swej dziwaczno-oryginalnej „świadomości”, im tylko właściwej, miały na razie jedynie puste informacje o tym mogącym się w nich znajdować impulsie istnieniowym, także dokładały już starań,

aby we wszystkim manifestować się zgodnie z tymi informacjami.

Dzięki temu wszystkiemu, o czym ci teraz opowiedziałem, dzie sięć ichnich lat później znikły same przez się te dwie podstawowe nienormalnie ustanowione tam formy zwykłej egzystencji istnieniowej, które były i nadal są źródłem większości zgubnych przyczyn generujących w sumie wszelkiego rodzaju drobne czynniki w coraz większym stopniu uniemożliwiające stworzenie tam warunków do normalnej, choćby tylko z zewnątrz, egzystencji twoich nieszczęsnych ulubieńców.

Mianowicie, po pierwsze, zupełnie samorzutnie zniknął ich podział na liczne społeczeństwa wraz z różnorodnymi formami zewnętrznej, a nawet wewnętrznej organizacji ichniej egzystencji, czyli, jak sami się wyrażają, „ustrojami państwowymi”; a po drugie, równie spontanicznie zniesiony został od dawna już tam ustanowiony podpodział istot na rozmaite „kasty” czy „warstwy”.

Moim zdaniem to właśnie druga z tych dwóch podstawowych nienormalnie ustalonych form zwykłej egzystencji istnieniowej, to znaczy zaliczanie się nawzajem do różnych warstw i kast, przyczyniła się, jak sam później zrozumiesz, do trwałej krystalizacji w zbiorczych obecnościach twoich nieszczęsnych ulubieńców pewnej szczególnej właściwości psychicznej, która w całym Wszechświecie jest przynależna tylko obecności tych trójmózgowych istot.

Ta wyjątkowa właściwość wykształciła się w nich wkrótce po drugiej tamtejszej perturbacji transapalnej i stopniowo się rozwijając oraz wzmacniając, zaczęła dziedzicznie przechodzić z pokolenia na pokolenie, aż w końcu dotarła do istot współczesnych w postaci pełnoprawnej i nierozłącznej części ich zbiorczej psychiki; one same tę szczególną właściwość nazywają „egoizmem”.

Później, we właściwym miejscu moich dalszych opowieści o trójmózgowych istotach egzystujących na planecie Ziemia, wyjaśnię ci szczegółowo, jak doszło do tego, że w wyniku nienormalnie ustanowionych tam warunków zewnętrznej egzystencji ist-

nieniowej twoi ulubieńcy zaczęli zaliczać się nawzajem do różnych ichnich kast, a także w jaki sposób na skutek podobnych anomalii ta szkodliwa forma wzajemnych stosunków potem się tam przyjęła i przetrwała aż do dziś. Tymczasem powinieneś wiedzieć tylko, że powodem pojawienia się w ich zbiorczych obecnościach tej bardzo osobliwej właściwości ich zbiorczej psychiki, mianowicie „egoizmu”, było to, że w rezultacie tych wszystkich nienormalnych warunków, jakie zapanowały tam zaraz po drugiej perturbacji transapalnej, ich ogólna psychika zrobiła się dwoista.

Stało się to dla mnie w pełni oczywiste, kiedy w czasie ostatniego pobytu na powierzchni twojej planety bardzo zainteresowałem się legomonizmem o nazwie „Groza sytuacji” poświęconym rozważaniom Przeświętego Asziaty Szyjemasza. W toku moich dalszych szczegółowych poszukiwań i badań dotyczących jego przeświętej działalności oraz jej rezultatów, chciałem się dowiedzieć, w jaki sposób i dlaczego w ich obecnościach miejscem kryształizacji wspomnianych wcześniej czynników, które wywodzą się z cząstek emanacji smutku NASZEGO WSPÓLNEGO OJCA STWÓRCY i służą do urzeczywistnienia boskiego impulsu istnieniowego obiektywnego sumienia, jest właśnie ich „podświadomość” dzięki czemu te czynniki mogły uniknąć ostatecznego zwyrodnienia, jakiemu uległy wszystkie inne dane umieszczone w nich po to, aby wywołać w ich obecnościach impulsy Wiary, Miłości i Nadziei. Przekonałem się także, że do tej dziwacznej tamtejszej anomalii w pełni stosuje się jedna mądra sentencja naszego dostojnego, niezastąpionego i czcigodnego Mułły Nasr Eddina, która głosi:

„Każde prawdziwe szczęście, jakie spotyka człowieka, jest zawsze pochodną równie prawdziwego nieszczęścia, którego on sam już wcześniej zaznał”.

Taka dwoistość ich zbiorczej psychiki wynika z tego, że z jednej strony wszelkie „indywidualne inicjatywy” zaczęły wychodzić z tej powstałej w ich obecnościach lokalizacji, która zawsze dominiuje w czasie ich egzystencji na jawie i jest wyłącznie rezultatem

przypadkowo odbieranych wrażeń pochodzących z zewnątrz, a wywoływanych przez ich nienormalne środowisko – wrażeń, których całość nazywają oni swoją „świadomością” – z drugiej zaś strony, że te „indywidualne inicjatywy” zaczęły wpływać w nich, co zresztą na ogół jest charakterystyczne dla trójmózgowych istot, także z tej normalnej lokalizacji, która znajduje się w obecnościach wszelkiego rodzaju istot i nazywana jest tam „podświadomością”.

Otóż wskutek tego, że w czasie ich egzystencji na jawie wspomniane „indywidualne inicjatywy” biorą się z tak odmiennych lokalizacji, każda z tych istot w procesie swojej codziennej egzystencji dzieli się niejako na dwie niezależne osobowości.

Nawiasem mówiąc, trzeba zaznaczyć, że również wskutek tego rozdzielenia stopniowo zaczął znikać z ich obecności niezbędny dla trójmózgowych istot impuls zwany „szczerością”.

Później nawet przyjął się wśród nich zwyczaj celowego tłumienia tego istnieniowego impulsu szczerości i obecnie tamtejsze istoty trójmózgowe już od dnia swojego powstania lub, jak same mówią, od dnia „narodzin” są przyzwyczajane przez swoich producentów, czy też, jak to same określają, „rodziców”, do całkiem przeciwnego impulsu, mianowicie „zakłamania”.

Istoty planety Ziemia uważają dzisiaj wręcz za swój obowiązek uczenie własnych dzieci i wpajanie im, jak być wobec innych „nieszczerym” i we wszystkim zakłamanym, i ten rodzaj oddziaływania na własne dzieci określają tam sławetnym słowem „wychowanie”.

„Wychowują” one swoje dzieci w ten sposób, by te ostatnie nie mogły i nigdy się nie ośmieliły postępować zgodnie z tym, co instynktownie nakazuje im obecne w nich sumienie, lecz by wszystko robiły tak, jak zalecają podręczniki „bon tonu” będące przeważnie wymysłem różnych tamtejszych kandydatów na Hasnamusów.

Jest więc rzeczą naturalną, że kiedy te dzieci dorastają i stają się istotami odpowiedzialnymi, automatycznie manifestują się i po-

stępują tak, jak je „nauczono” w okresie ich kształtowania, jak im to „wpojono” i jak je „nakręcono” – słowem tak, jak je „wychowano”.

W rezultacie tego wszystkiego sumienie, które mogłoby się przejawiać w świadomości istot tej planety już od najmłodszych lat, jest stopniowo „zapędzane” do środka i kiedy w końcu stają się dorosłe, owo sumienie znajduje się już tylko w ich, jak same mówią, „podświadomości”.

To z tego powodu funkcjonowanie danych, które służą do rozbudzania w ich obecnościach boskiego impulsu sumienia, już od dawna przestało uczestniczyć w tej świadomości, pod której kierunkiem toczy się ich „powszednia egzystencja na jawie”.

Oto dlaczego, mój chłopcze, w ich zbiorczych obecnościach krystalizacja boskiego przejawu, wypływającego z Góry i kształtującego w nich dane potrzebne do powstania tego świętego impulsu istnieniowego, dokonuje się jedynie w „podświadomości”, która przestała uczestniczyć w procesie ich zwykłej codziennej egzystencji, skutkiem czego te dane uniknęły „zwyrodnienia” jakiemu uległy wszystkie pozostałe święte impulsy istnieniowe, które także powinny się znajdować w ich obecnościach, to znaczy impulsy Wiary, Miłości i Nadziei.

Ostatnimi czasy, nawet jeśli z takiego lub innego powodu boskie dane skrytalizowane w ich obecnościach na użytek tego impulsu istnieniowego zaczynają u niektórych przejawiać się na zewnątrz ich podświadomości i dążyć do tego, by uczestniczyć w funkcjonowaniu ich nienormalnie ukształtowanej zwykłej „świadomości” one zaraz, jak tylko to zauważą, uciekają się do wszystkich możliwych środków, aby do tego nie dopuścić, ponieważ w panujących tam dzisiaj warunkach nikt nie jest już w stanie egzystować, jeśli w jego obecności działa taki boski impuls prawdziwego obiektywnego sumienia.

Odkąd „egoizm” już na dobre przyjął się w obecnościach twoich ulubieńców, ta ich szczególna właściwość istnieniowa stała się podstawowym czynnikiem, który wywołuje stopniową krystalizację w ich zbiorczej psychice danych będących źródłem jeszcze



paru innych naprawdę wyjątkowo osobliwych impulsów istnieniowych, znanych tam obecnie pod nazwą: „chytrość” „zawiść” „nienawiść” „obłuda”, „pogarda” „pycha”, „służalczość” „przebiegłość” „ambicja”, „dwulicowość” itd., itp.

Te wyjątkowo osobliwe i zupełnie niegodne istot trójmózgowych psychiczne właściwości, które właśnie wyliczyłem, jeszcze na długo przed epoką Przeświętego Asziaty Szyjemasza już całkowicie skryształizowały się w obecnościach większości twoich ulubieńców i stały obowiązkowymi atrybutami psychiki każdego z nich, ale kiedy w procesie ich egzystencji istnieniowej zaczęły się ugruntowywać, a następnie funkcjonować już automatycznie nowe formy tej egzystencji, celowo wpojone im przez samego Asziate Szyjemasza, wtedy te dziwne cechy ich psychiki całkowicie znikły z obecności niemalże wszystkich tamtejszych istot trójmózgowych. Później jednak, gdy zaczęły one niszczyć wszystkie rezultaty przeświętych trudów Esencję Miłującego Asziaty Szyjemasza, te same szkodliwe właściwości psychiczne zaczęły się w nich wszystkich stopniowo odradzać, aż w końcu we współczesnych istotach trójmózgowych stały się podłożem całej ich esencji.

Tak więc, mój chłopcze, gdy dane wzbudzające ten „unikatowo-szczególny” istnieniowy impuls „egoizmu” pojawiły się w zbiorczych obecnościach twoich ulubieńców i gdy owa „jedyna w swoim rodzaju właściwość” – której ewolucja stopniowo doprowadziła do powstania nowych czynników warunkujących inne równie specyficzne, choć tym razem drugorzędne, dziwne impulsy istnieniowe – zajęła w ich ogólnej organizacji miejsce Jedyne Autokratycznego Władcy” wówczas nie tylko wszystkie przejawy, ale także samo „pragnienie pojawienia się” boskiego impulsu istnieniowego zaczęło przeszkadzać w działaniu tego ich Jedyne Autokratycznego Władcy. Później zaś, kiedy twoi ulubieńcy siłą rzeczy zaczęli zawsze i we wszystkim unikać – i to zarówno świadomie, jak i nieświadomie – tego, by taki impuls uczestniczył w funkcjonowaniu świadomości, pod której kontrolą przywykli urzeczywistniać swoją egzystencję na jawie, działanie tych bo-

skich danych stopniowo „oddaliło się” od funkcjonowania ich „zwykłej świadomości” i zaczęło uczestniczyć jedynie w funkcjonowaniu ich „podświadomości”.

Dopiero gdy uprzytomniłem sobie to wszystko dzięki moim szczegółowym poszukiwaniom i badaniom, zrozumiałem w końcu, dlaczego powstał tam i do dzisiaj istnieje tak szkodliwy ze względu na swoje konsekwencje podział na różne „warstwy” i „kasty”.

Owe wspomniane przeze mnie późniejsze szczegółowe badania także bardzo wyraźnie mi pokazały że nawet u istot współczesnych w tej ichniej świadomości, którą one same nazywają „podświadomością” dane do pozyskania w ich obecności podstawowego boskiego impulsu sumienia nadal się krystalizują i tym samym pozostają w niej przez cały czas ich egzystencji.

A fakt, że dane do tego boskiego impulsu istnieniowego dalej się krystalizują i ich przejawy ciągle uczestniczą w procesie ichniej egzystencji istnieniowej potwierdziły mi nie tylko rzeczony badania, lecz również częste trudności, jakie miałem z tego powodu, kiedy obserwowałem owe istoty z planety Mars.

Chodzi o to, że jakkolwiek z planety Mars zawsze mogłem swobodnie i bez żadnych przeszkód obserwować przez moje teskano egzystencję, która toczyła się na powierzchni innych planet tego układu słonecznego, to wskutek szczególnego zabarwienia atmosfery twojej planety Ziemia obserwacja procesu egzystencji twoich ulubieńców okazywała się czasami czystą udręką.

To szczególne zabarwienie było wywołane, jak później ustaliłem, częstym pojawianiem się w obecności tej atmosfery licznych krystalizacji, które promieniują z obecności twoich ulubieńców, gdy ci ostatni ulegają pewnemu szczególnemu wewnętrznemu impulsowi zwanemu tam „wyrzutem sumienia”.

A dzieje się tak dlatego, że kiedy niektórzy z nich doznają przypadkowo jakiegoś „moralnego wstrząsu” wtedy skojarzenia, które powstają w nich w wyniku wcześniej otrzymanych wrażeń i które, jak ci już mówiłem, składają się głównie z najrozmai-

szych „bzdur”, ulegają radykalnej zmianie, przycichają, a niekiedy nawet na chwilę zupełnie ustają.

Skutkiem tego w zbiorczej obecności tych trójmózgowych istot automatycznie wytwarza się taki układ funkcjonowania, który czasowo uwalnia występujące w ich podświadomości dane potrzebne do przejawu boskiego impulsu sumienia i pozwala tym danym uczestniczyć w funkcjonowaniu ichniej zwykłej świadomości, co powoduje, że zaczynają powstawać w nich wspomniane „wyrzuty sumienia”, a to z kolei pociąga za sobą pojawienie się tych szczególnych krystalizacji, które, emanując z nich razem z ich innymi promieniowaniami, wspólnie nadają czasami atmosferze twojej planety właśnie to szczególne zabarwienie utrudniające istnieniowemu organowi wzroku swobodne przenikanie przez nią.

Muszę w tym miejscu zaznaczyć, że twoi ulubieńcy, zwłaszcza ci współcześni, „po mistrzowsku” nauczyli się nie dopuszczać, by ten wewnętrzny impuls zwany „wyrzutem sumienia” utrzymywał się przez długi czas w ich zbiorczych obecnościach.

Gdy tylko zaczynają odczuwać pierwsze sygnały lub, by tak rzec, „ukłucia” zwiastujące funkcjonowanie takiego impulsu, natychmiast, jak to się mówi, „dają mu w ryja”, dzięki czemu ten jeszcze nie w pełni ukształtowany w nich impuls od razu ustaje.

Do takiego „prania po mordzie” tych kiełkujących w nich „wyrzutów sumienia” wymyślili nawet kilka bardzo skutecznych metod, które istnieją tam pod nazwami: „alkoholizm” „kokainizm”, „morfinizm” „nikotynom” „onanizm” „mnisizm”, „atenizm” i jeszcze parę innych sposobów, o nazwach tak samo kończących się na „izm”.

Powtarzam, mój chłopcze, w odpowiednim momencie szczegółowo ci wyjaśnię, jakie rezultaty nienormalnie ustanowionych warunków tamtejszej zwykłej egzystencji przyczyniły się do powstania i nieprzerwanego istnienia tego szkodliwego dla nich samych podziału na różne kasty.

Na pewno jeszcze ci to kiedyś wyjaśnię, albowiem informacje

o tej ichniej anomalii będą ci przydatne w późniejszych logicznych zestawieniach służących do lepszego zrozumienia dziwnej psychiki tych przypadłych ci do gustu trójmózgowych istot.

Na razie jednak słuchaj uważnie i przetwórz w sobie, co następuje: kiedy w zbiorczej obecności twoich ulubieńców ta wspomniana szczególna właściwość psychiczna „egoizm” przybrała ostateczną formę, wywołując – jak zresztą czyni to jeszcze dziś – różne, wspomniane przeze mnie wcześniej, drugorzędne impulsy istnieniowe i gdy jednocześnie święty impuls obiektywnego sumienia zupełnie przestał uczestniczyć w ich świadomości na jawie, wtedy trójmózgowe istoty powstałe i egzystujące na planecie Ziemia zarówno przed, jak i po okresie przeświętej działalności Asziaty Szyjemasza zaczęły w trakcie procesu zwykłej egzystencji dążyć wyłącznie do zapewnienia sobie własnej pomyślności. A ponieważ generalnie na żadnej planecie naszego Wielkiego Wszechświata nie ma i nigdy nie będzie pod dostatkiem wszystkiego, aby móc niezależnie od „obiektywnych zasług” zapewnić każdemu jednakową pomyślność, doszło więc do tego, że pomyślność jednych zaczęto budować tam na niepomyślności wielu innych.

Owa wyłączna troska o własną pomyślność z czasem skryształizowała w ich psychice niezwykle zdumiewające i wyjątkowe właściwości, które już wcześniej wymieniłem, jak na przykład: „chytrość”, „pogardę” „nienawiść” „służalczość” „kłamliwość” „schlebienie” itp., i które z jednej strony same posłużyły z kolei za czynniki kształtujące zewnętrzne przejawy niegodne istot trójmózgowych, a z drugiej – wpłynęły na stopniowe zniszczenie wszystkich przekazanych im przez Wielką Przyrodę wewnętrznych możliwości stania się częstkami powszechnej Rozumnej Całości.

A więc, mój chłopcze, kiedy rezultaty przeświętych trudów Esencję Miłującego Asziaty Szyjemasza zaczęły łączyć się z procesami ich „wewnętrznej” i „zewnętrznej” egzystencji istnieniowej i kiedy następnie ocalałe w ich podświadomości dane służące boskiemu impulsowi sumienia pomąłu zaczęły brać udział w funkcjonowaniu ich świadomości na jawie, wówczas na tej planecie

zarówno wspólna, jak i indywidualna egzystencja istnieniowa zaczęła toczyć się niemalże tak jak na pozostałych planetach naszego Wielkiego Wszechświata, na których mają siedlisko istoty trójmózgowe.

Także twoi ulubieńcy zaczęli się odnosić wtedy do siebie nawzajem jak do przejawów JEDYNEGO WSPÓLNEGO STWÓRCY, które się różnią tylko poziomem, i okazywać innym szacunek wyłącznie wedle ich indywidualnych zasług osiągniętych dzięki partkdołgpowinnościom istnieniowym, to znaczy dzięki wielu świadomym osobistym trudom i zamierzonym cierpieniom.

Oto dlaczego w tamtym okresie zanikły dwie podstawowe szkodliwe formy ich zwykłej egzystencji, a mianowicie podział na odrębne, niezależne społeczeństwa i dalsze dzielenie siebie w tych społeczeństwach na różne kasty lub, jak jeszcze się tam czasami mówi, warstwy społeczne.

Ponadto w tym samym okresie wszystkie trójmózgowe istoty na twojej planecie zaczęły uważać siebie i istoty do nich podobne po prostu za istoty, które noszą w sobie cząstki emanacji smutku NASZEGO WSPÓLNEGO OJCA STWÓRCY.

A stało się tak dlatego, że działanie tych danych, które wywołują boski impuls istnieniowy, brało odtąd udział w funkcjonowaniu ich zwykłej świadomości na jawie, dzięki czemu trójmózgowe istoty zaczęły przejawiać się we wzajemnych stosunkach tylko zgodnie z sumieniem i w rezultacie panowie przestali pozbawiać niewolników wolności, a różne dzierżące władzę istoty same się zrzekły swych niezasłużonych praw, uświadomiwszy sobie i poczuwszy zgodnie z sumieniem, że posiadły te prawa i zajmowały swoje pozycje nie dla ogólnego dobra, lecz tylko po to, by zadośćuczynić różnym własnym słabościom, na przykład „próżności” „miłości własnej” „samouspokojeniu” itd.

Oczywiście w tym okresie nadal istnieli tam najróżniejsi zwierzchnicy, przywódcy i „wyspecjalizowani doradcy”, ale tym razem – jak to się dzieje na wszystkich innych planetach Wszechświata, na których mają siedlisko trójmózgowe istoty o różnym stopniu udoskonalenia – obejmowano te stanowiska z racji wieku

i „esencjalnej mocy”, a nie dzięki prawu do sukcesji czy też w drodze wyborów, jak to wyglądało przed i po zbawiennej epoce asziatowej i jak to jest jeszcze do dzisiaj.

Wszyscy ci zwierzchnicy, przywódcy i doradcy stawali się nimi samorzutnie, czyli siłą rzeczy, zgodnie z osobistymi obiektywnymi zasługami, które faktycznie były odczuwane przez wszystkie istoty z ich otoczenia.

A działało się to w taki oto sposób:

Wszystkie istoty z tej planety, pracując nad tym, by wykształcić w świadomości ową boską funkcję „prawdziwego sumienia”, zaczęły wtedy w tym celu przeistaczać w sobie – jak to się robi wszędzie indziej we Wszechświecie – wszystkie, by tak rzec, „istnieniowe dążenia obowiązkolne” na które składa się pięć następujących dążeń:

Pierwsze – mieć w trakcie zwykłej egzystencji istnieniowej wszystko to, co jest naprawdę niezbędne do zaspokojenia potrzeb własnego ciała planetarnego.

Drugie – odczuwać zawsze niesłabnącą instynktowną potrzebę doskonalenia się w sensie Bycia.

Trzecie – świadomie dążyć do tego, by wiedzieć coraz więcej o prawach Stworzenia i Istnienia Świata.

Czwarte – już na samym początku egzystencji zapłacić jak najszybciej za swe powstanie i za swoją indywidualność, aby mieć potem czas ulżyć, na ile to możliwe, smutkowi NASZEGO WSPÓLNEGO OJCA.

I piąte – zawsze pomagać zarówno istotom do nas podobnym, jak i istotom o innych formach w tym, by jak najszybciej udoskonalili się do stopnia „świętego Martfotaije”, czyli stopnia samoindywidualności.

W tamtym okresie, kiedy każda ziemską istotą trój centrowa egzystowała i świadomie pracowała nad sobą w zgodzie z tymi pięcioma dążeniami, wiele spośród nich szybko osiągnęło rezultaty w postaci obiektywnych, zauważalnych dla innych dokonań.

Oczywiście te obiektywne osiągnięcia zaczęły, by tak rzec, „rzucić się w oczy” wszystkim istotom z otoczenia, które wyodrębniały spośród siebie takie zasługujące na to istoty i na wszelkie możliwe sposoby okazywały im szacunek, a także z radością starały się zdobyć uwagę tych wyróżniających się istot, by mieć możliwość otrzymania od nich wskazówek i rad dotyczących tego, w jaki sposób same mogłyby się tak udoskonalić.

Z kolei te wyróżniające się istoty ówczesnej epoki wybierały spośród siebie, czyli pozostałych wyróżniających się istot, tę, która miała największe osiągnięcia, i ona, bez powoływania się na prawo do sukcesji czy jakieś inne prawa, stawała się automatycznie przywódcą wszystkich wyróżnionych istot; im większym uznaniem cieszyła się ta istota jako przywódca, tym dalej sięgała jej władza, obejmując nie tylko sąsiadujące obszary lądowe powierzchni twojej planety, ale także pobliskie kontynenty i wyspy.

W tamtym czasie rady, wskazówki i generalnie każde słowo takich przywódców stanowiły dla wszystkich tamtejszych trójmózgowych istot święte prawo i były przyjmowane z oddaniem i radością, w przeciwieństwie do tego, co działo się, jeszcze zanim przeświète trudy Asziaty Szyjemasza przyniosły rezultaty, jak również do tego, co później – po tym, jak owoce jego przeświètech trudów zostały przez nie same zniszczone – ponownie zaczęło się tam dziać i dzieje do dzisiaj.

Chodzi o to, że obecnie twoi ulubieńcy, te dziwne trójmózgowe istoty, wypełniają różne rozkazy i rozporządzenia swoich przywódców oraz, jak ich zwa, „władców” tylko ze strachu przed „bagnetami” i „pluskwiarniami”, których ci przywódcy i królowie mają do dyspozycji bardzo dużo.

Rezultaty przeświètech trudów Asziaty Szyjemasza odcisnęły się wówczas w bardzo wyraźnej formie także na najbardziej potwornym i dziwnym przejawie psychiki twoich ulubieńców, mianowicie na ich „niepohamowanym okresowym popędzie do unicestwiania nawzajem swojej egzystencji”.

Ustanowione tam procesy „unicestwiania się nawzajem”, które wynikały z tej przeraźliwej osobliwości ich psychiki, całkowicie

zanikły na kontynencie Azja i tylko sporadycznie występowały na dużych i małych lądach stałych powierzchni twojej planety położonych daleko od tego kontynentu, gdzie z powodu takiego oddalenia nie mógł dotrzeć wpływ wtajemniczonych i kapłanów, aby przeistoczyć się w obecnościach istot zamieszkujących te obszary.

Najbardziej jednak zdumiewającym i wyrazistym rezultatem przeświętych trudów Asziaty Szyjemasza było to, że w tamtym okresie nie tylko długość egzystencji tych nieszczęśników znacznie zbliżyła się do normalnej – to znaczy zaczęła rosnąć przy równoczesnym spadku ich, jak sami mówią, „śmiertelności” – lecz także liczba ich rezultatów uzewnętrznionych w celu kontynuacji własnego gatunku, czyli to, co oni sami nazywają „przyrostem naturalnym”, stała się niemal pięć razy mniejsza.

W ten sposób sprawdziło się w praktyce jedno z praw kosmicznych zwane „prawem wyrównywania wibracji” powstających w wyniku ewolucji i inwolucji kosmicznych substancji, a potrzebnych do przeogromnego ogólnokosmicznego Trogoautoego-krata.

Ten równoczesny spadek „śmiertelności” i „przyrostu naturalnego” był spowodowany tym, że w miarę jak ich egzystencja coraz bardziej się upodabniała do egzystencji normalnej dla istot trójcentrowych, zaczęli oni promieniować z siebie wibracje, które lepiej odpowiadały wymaganiom Wielkiej Przyrody, dzięki czemu zmniejszyło się Jej zapotrzebowanie na wibracje, które z reguły uzyskuje się poprzez unicestwienie egzystencji istot.

Doskonale zrozumiesz to kosmiczne prawo wyrównywania wibracji, kiedy we właściwym czasie szczegółowo ci wyjaśnię, jak już nieraz obiecałem, wszystkie podstawowe prawa kosmiczne.

A więc w taki oto sposób, mój chłopcze, i w takiej kolejności twoi ulubieńcy dzięki świadomym trudom Przeświętego Asziaty Szyjemasza stopniowo zgromadzili w tamtym okresie niebywale dobra; ale, ku wielkiej rozpaczycy wszystkich w miarę świadomie myślących indywiduów o dowolnym stopniu rozumu, ci nieszczęśliwcy zaraz po odejściu z tej planety Przeświętego Asziaty



Szyjemasza sami doszczętnie je zniszczyli, co zresztą już przyzwyczajali się czynić ze wszystkimi pożytecznymi dokonaniem swoich przodków, i tak skutecznie te wszystkie dobra zniszczyli i zmiotli z powierzchni swojej planety, że do tamtejszych współczesnych istot nie doszły nawet słuchy o tym, iż dawniej na ich planecie istniało tego rodzaju dobrodziejstwo.

Nawiasem mówiąc, pewne inskrypcje, które ocalały z czasów starożytnych i dotarły do istot współczesnych, zawierają informacje o tym, że na ich planecie wprowadzono kiedyś szczególny rodzaj „ustroju państwowego” i że na czele takiego państwa stały najbardziej zasłużone istoty.

Na podstawie tych informacji współczesne istoty wymyśliły jedynie nazwę dla takiego „ustroju państwowego”, określając go mianem „ustroju kapłańskiego”, i do tego się ograniczyły.

Na czym jednak taki „ustrój kapłański” polegał, jak i po co istniał? – czyż nie jest obojętne dzisiejszym istotom z planety Ziemia, czym zajmowały się starożytne dzikusy!...

## *Rozdział 28*

### ***Główny winowajca unicastwienia wszystkich przeświętych trudów Asziaty Szyjemasza***

– Pamiętasz, mój chłopcze, mówiłem ci już, że choć „uczone” istoty przybyłe do miasta Babilon prawie z całej powierzchni Ziemi nie były w rzeczywistości pierwotnymi sprawcami pojawienia się czynników, które dla następnych pokoleń twoich ulubieńców stały się przyczynami ostatecznego zniszczenia ocalałych resztek dobroczynnych rezultatów świadomych trudów Przeświętego Asziaty Szyjemasza, niemniej jednak – co już od dawna charakteryzuje większość ziemskich uczonych „nowej formacji” – były one, jak „zarazki” nieświadomymi roznosicielami, najpierw wśród swoich współczesnych, a potem wśród przyszłych pokoleń, wszelkiego istniejącego już wcześniej zła.

Powodem wszystkich większych i mniejszych szkodliwych działań ówczesnych uczonych istot, a także wszelkich ich nieświadomych szkodliwych przejawów, które doprowadziły do zniszczenia ostatnich resztek rezultatów tych tak dobroczynnych dla tamtejszych trójmózgowych istot świadomych przeświętych trudów Esencję Miłującego Asziaty Szyjemasza, był – jak to wyjaśniły moje późniejsze szczegółowe badania dotyczące jego dalszej przeświętej działalności – wymysł bardzo „słynnej” w swoim czasie uczonej istoty o imieniu Lentrochamsanin, która należała do grupy tamtejszych uczonych „nowej formacji”.

W obecności tej ziemskiej istoty trójmózgowej, z powodu „podwójnego środka ciężkości” jej wewnętrznej egzystencji, oblekła się i udoskonaliła do wymaganego stopnia obiektywnego rozumienia „najwyższa część istnieniowa” i później, jak już ci kiedyś mówiłem, ta jej najwyższa część istnieniowa stała się jednym z trzystu trzynastu „najwyższych ciał istnieniowych”, które zwane są

„Indywidualnymi Wieczny Hasnamus” i którym wyznaczono na miejsce dalszej egzystencji we Wszechświecie niedużą planetę o nazwie „Wieczysta Zapłata”.

Prawdę mówiąc, jeśli chodzi o tę ziemską trójmózgową istotę, Lentrochamsanina, to wypadałoby teraz, żebym spełnił daną ci obietnicę i wyjaśnił szczegółowo wyrażenie Hasnamus, ale wolę to zrobić trochę później, w odpowiednim miejscu w trakcie mojej niniejszej opowieści.

Wspomniany szkodliwy „wymysł” lub, jak oni sami – to znaczy współcześni ziemscy uczeni – mówią, „dzieło” albo „wytwór” tamtejszej uczonej istoty „nowej formacji” powstał, jak ci już powiedziałem, ponad dwa wieki przed moim piątym osobistym pobytam tam, kiedy odwiedziłem po raz pierwszy miasto Babilon, gdzie zgromadziły się, częściowo pod przymusem, a częściowo dobrowolnie, uczone istoty z powierzchni niemalże całej planety.

To szkodliwe „dzieło” tamtejszego uczonego ubiegłych stuleci dotarło do uczonych istot wspomnianej epoki babilońskiej dzięki tak zwanemu kaszyrajtlirowi, na którym ów wymysł został własnoręcznie wyryty przez samego uczonego Lentrochamsanina.

Koniecznym jest nieco bardziej szczegółowo poznać historię powstania owego Lentrochamsanina, a także okoliczności, w których znalazł się przez przypadek i dzięki którym został później „wielkim uczonym” oraz „autorytetem” dla swoich współczesnych z prawie całej powierzchni twojej planety.

Ta historia prócz tego, że sama w sobie jest bardzo znamienita, dostarczy ci doskonałego przykładu, który rzuci światło na pewien już od dawna ugruntowany w procesie egzystencji przypadający ci do gustu trójmózgowych istot zwyczaj powodujący, że niektóre z nich stają się tak zwanymi autorytetami najpierw dla innych uczonych „nowej formacji”, a następnie oczywiście także dla wszystkich pozostałych tamtejszych nieszczęsnych zwykłych istot.

Szczegóły związane z okolicznościami powstania i późniejszego ukształtowania się owego Lentrochamsanina w istotę odpowie-

działną poznałem przypadkowo, gdy starałem się odkryć, jakie dokładnie aspekty dziwnej psychiki twoich ulubieńców doprowadziły w sumie do stopniowej zmiany i ostatecznie do całkowitego zniszczenia wszystkich dobroczynnych specjalnych form i nawyków, które do procesu ich egzystencji istnieniowej wprowadził i na dobre w nim utrwalił idealnie przewidujący rozum tego, który jest dzisiaj naszym Ogólnokosmicznym Przenajświętszym Asziantą Szyjemaszem, w okresie, gdy ten ostatni przygotowywał się do bycia tym, kim jest teraz dla całego Wszechświata.

Otóż dowiedziałem się wtedy, że Lentrochamsanin powstał lub, jak się tam mówi, „urodził się” na kontynencie Azja w stolicy Nijewii, mieście Kronbuchon.

Jego poczęcie było rezultatem fuzji dwóch różnorodnych heksjoechari, które uformowały się w dwóch tamtejszych wcale już niemłodych istotach kesczapatnych.

Jego „producenci” lub, jak się tam mówi, „rodzice” wybrawszy na stałe miejsce egzystencji stolicę Nijewii, przenieśli się do niej na trzy tamtejsze lata przed pojawieniem się tego przyszłego ogólnowszechświatowego Hasnamusa.

Był on, by tak rzec, pierworodnym synem swoich leciwych i bardzo bogatych rodziców, którzy wprawdzie wcześniej już wielokrotnie urzeczywistniali „fuzję” swoich heksjoechari, ale którzy – jak ustaliłem – będąc bardzo zajęci gromadzeniem bogactw i nie chcąc, by cokolwiek im w tym przeszkadzało, uciekali się do tego, co zwie się „tiussi” lub, jak określają to ludzie współcześni, „aborcji”.

„Źródło aktywnej zasady jego powstania”, czyli, jak tam mówią, jego „ojciec”, pod koniec swojej działalności poświęconej gromadzeniu majątku miał już na własność parę „karawan” oraz kilka specjalnych „karawanserajów” służących do wymiany towarów w różnych miastach Nijewii.

Z kolei „źródło biernej zasady jego powstania”, czyli jego „matka”, początkowo parała się zawodem „tussidzi” później zaś zorganizowała na jednej niewysokiej górze „święte miejsce” i skutecz-

nie rozpowszechniała wśród innych istot informacje o jego rzekomo szczególnym znaczeniu, a mianowicie o tym, że po odwiedzeniu tego miejsca niemające dzieci istoty płci żeńskiej uzyskają możliwość ich posiadania.

Kiedy ta para, jak to się mówi, „u schyłku życia” stała się bardzo bogata, przeniosła się do stolicy, miasta Kronbuchon, aby wieść tam egzystencję już tylko gwoli własnej przyjemności.

Oboje szybko jednak poczuli, że ich zadowolenie nie będzie mogło być pełne bez prawdziwego „rezultatu” lub, jak to określają tam, „w stanie bezdzietności”, i od tego czasu, nie oszczędzając pieniędzy, zaczęli próbować wszelkich możliwych metod, żeby taki rezultat uzyskać.

Z tym zamiarem odwiedzali różne święte miejsca, które istniały tam w tym celu – oczywiście z wyjątkiem ich własnej „świętej góry” – i sięgali po najróżniejsze „środki medyczne” mające rzekomo pomóc w fuzji niejednorodnych heksjoechari. A kiedy w końcu taka fuzja przypadkiem nastąpiła, wtedy po określonym czasie pojawił się tam ten długo oczekiwany przez nich rezultat, który otrzymał później imię Lentrochamsanin.

Od dnia jego przyjścia na świat rodzice, którzy, jak się tam mówi, „utoczyliby krwi z serca” dla tego „przez Boga zesłanego rezultatu”, czyli ich „syna”, zaczęli wydawać ogromne pieniądze na jego przyjemności, a także na to, co się zwie „wychowaniem”.

Ich „ideałem” stało się zapewnienie własnemu synowi najlepszego możliwego na Ziemi „wychowania” oraz najlepszego „wykształcenia”.

W tym celu zaczęli wyszukiwać dla niego różnych „wychowawców” i „nauczycieli” zarówno z kraju Nijewii, jak i z różnych innych odległych krajów.

Ci ostatni, czyli zagraniczni wychowawcy i nauczyciele, przybywali głównie z kraju, który zwany jest obecnie „Egiptem”.

Gdy ów ziemski „tatusin-i-mamin-synek” zbliżał się do wieku istoty odpowiedzialnej, był już bardzo dobrze, jak tam się mówi, „wychowany” i „wykształcony”, to znaczy miał w swej obecności

liczne dane do wszelkiego rodzaju egoplastikurów istnieniowych, które – co zresztą jest tam normalne – składały się z różnych fantastycznych i podejrzanych informacji; potem więc, kiedy w nienormalnie ustalonych warunkach ichniej egzystencji osiągnął wiek odpowiedzialny, zaczął się już przejawiać automatycznie, reagując na wszystkie odpowiednie przypadkowe wstrząsy.

Ten późniejszy wielki tamtejszy uczony, chociaż faktycznie miał bardzo dużo wiadomości albo, jak się tam mówi, „wiedzy”, to kiedy osiągnął wiek istoty odpowiedzialnej, nie miał w sobie absolutnie żadnego Bycia, które by do tych „wiadomości” lub do tej zgromadzonej przez niego „wiedzy” przystawało.

I tak oto ów „tatusin-i-mamin-synek” stawszy się tamtejszym uczonym „nowej formacji” gorąco zapragnął – z jednej strony z powodu zupełnego braku w jego obecności Bycia, a z drugiej, ponieważ do tego czasu już na dobre skryształizowały się w nim te następstwa właściwości organu kundabufor, które istnieją tam pod nazwą „próżność” „miłość własna”, „kabotyństwo” itp. – zdobyć sławę nie tylko wśród istot Nijewii, lecz także wśród wszystkich istot na całej powierzchni tej ichniej planety.

Dlatego też zaczął rozmyślać i całą swą obecnością marzyć o tym, jak mógłby to osiągnąć.

Przez wiele dni bardzo poważnie się zastanawiał, aż w końcu zdecydował, że po pierwsze, wymyśli teorię na taki temat, jakiego nikt wcześniej nie poruszył, a po drugie, zapisze ten swój wymysł na takim kaszyrajtlirze, na jakim nikt do tej pory niczego nie zapisał ani nigdy w przyszłości nie będzie w stanie zapisać.

Jeszcze tego samego dnia przystąpił do realizacji swojego postanowienia.

W pierwszej kolejności zaczął przygotowywać przy pomocy swoich licznych niewolników taki kaszyrajtlir, jaki nigdy jeszcze nie istniał.

Chociaż generalnie w owym okresie kaszyrajtliry robiło się na planecie Ziemia z takiej czy innej części skóry czworonożnej isto-

ty zwanej tam „bawołem” Lentrochamsanin swój kaszyrajtlir zrobił ze stu całych i połączonych ze sobą bawolich skór.

W późniejszych czasach kaszyrajtliry zastąpiono tam tak zwanym pergaminem.

Kiedy ten niespotykany kaszyrajtlir był już gotowy, przyszedł wielki Lentrochamsanin zaczął kreślić na nim swoje wymysły dotyczące kwestii, która rzeczywiście nikomu dotąd nie przysła do głowy i która zresztą nigdy nie powinna się tam pojawić.

Otóż w tych swoich wymądrzaniach skrytykował na wszystkie sposoby istniejący do tej pory porządek wspólnej egzystencji.

Ów kaszyrajtlir zaczynał się tak:

„Największe szczęście-człowieka kryje się w tym, by od nikogo nie zależeć i być wolnym od wpływów jakiegokolwiek innego człowieka”.

Kiedyś przy okazji ci wyjaśnię, w jaki sposób tam, na powierzchni Ziemi, twoi ulubieńcy generalnie pojmują wolność.

Ów przyszedł ogólnowszechświatowy Hasnamus napisał dalej, co następuje:

„Bez dwóch zdań, w obecnym ustroju państwowym żyje się nam o wiele lepiej niż kiedykolwiek przedtem; tylko gdzie jest ta nasza prawdziwa wolność, od której, i tylko od niej, zależy nasze szczęście?

Czyż nie pracujemy i nie trudzimy się dzisiaj tak samo jak we wszystkich poprzednich ustrojach państwowych?

Czyż nie musimy harować w pocie czoła po to, by zdobyć ten niezbędny nam do życia jęczmień i nie zdechnąć z głodu, jak psy zamknięte w budzie?

Nasi przywódcy, zwierzchnicy i doradcy bez przerwy mówią nam o jakimś innym świecie, ponoć lepszym od naszego, gdzie dusze ludzi, którzy tu, na Ziemi, żyli godnie, będą miały pod każdym względem życie pełne rozkoszy.

A cóż takiego niegodnego jest w naszym obecnym życiu?

Czyż nie pracujemy przez cały dzień i nie szczędzimy potu, żeby

zarobić na nasz chleb powszedni?

Jeśli wszystko, co mówią nam nasi przywódcy i zwierzchnicy, to prawda, a ich własny tryb życia tu, na Ziemi, jest godny i faktycznie odpowiada temu, czego od ich dusz wymaga ów inny świat, to oczywiście także na tamym świecie Bóg powinien i wręcz ma obowiązek dać im więcej możliwości niż nam, zwykłym śmiertelnikom.

Jeżeli wszystko, co mówią nam i do czego próbują nas przekonać nasi przywódcy i doradcy, naprawdę odpowiada rzeczywistości; to niechaj udowodnią to nam, zwykłym śmiertelnikom, w praktyce.

Niech sami nam pokażą, że na przykład potrafią zamienić w nasz powszedni jęczmień choćby odrobinę zwykłego piasku, na którym dzięki przelaniemu przez nas potowi to zboże wyrasta.

Jeżeli nasi obecni przywódcy i doradcy coś takiego zrobią, to ja pierwszy pobiegnę do nich i padając przed nimi na kolana, ucałuję ich stopy.

Ale dopóki tak nie jest, sami musimy walczyć i ubiegać się o nasze autentyczne szczęście, o naszą rzeczywistą wolność od wpływów innych osób, i sami musimy uwolnić się od przymusu pracy w pocie czoła.

To prawda, że przez osiem miesięcy w roku nie musimy się martwić o nasz chleb powszedni; ale za to jak ciężko mijają te cztery letnie miesiące, gdy tyle trzeba się namęczyć, żeby zebrać ten niezbędny dla nas jęczmień!

Tylko ten, kto go sieje i kosi, wie, na czym polega ta mordęga.

Istotnie, przez osiem miesięcy jesteśmy wolni, ale tylko od fizycznego wysiłku, bo nasza świadomość, czyli nasza najdroższa i najwyższa część, dzień i noc cierpi w jarzmie niewoli tych efemerycznych idei, które nasi przywódcy i doradcy nieustannie wbijają nam do łba.

Nie! Dosyć już tego! Sami, bez tych naszych zwierzchników i przywódców, którzy stali się nimi bez naszej wiedzy i zgody, musimy wywalczyć dla siebie autentyczną wolność i prawdziwe



szczęście.

A tę autentyczną wolność i to prawdziwe szczęście uzyskamy tylko wtedy, gdy będziemy działać jak jeden mąż, to znaczy jeden za wszystkich i wszyscy za jednego. Trzeba jednak najpierw do cna zlikwidować to, co stare.

Musimy się tego pozbyć, żeby zrobić miejsce na nowe życie, które sami stworzymy i które da nam wolność oraz prawdziwe szczęście.

Precz z zależnością od innych!

Sami chcemy być panami własnego losu i nie chcemy już więcej, żeby rozkazywali nam ci, którzy bez naszej wiedzy i zgody zaczęli zawiadywać naszym życiem.

Naszym życiem powinni rządzić i kierować tylko ci, których wybierzemy spośród nas, czyli spośród tych ludzi, którzy zdobywają swój powszedni jęczmień.

Takich nowych zwierzchników i przywódców powinniśmy wybrać spośród nas w myśl zasady równouprawnienia, bez względu na płeć czy wiek, w drodze powszechnego, bezpośredniego, równego i jawnego głosowania”.

Tak kończył się tekst tego słynnego kaszyrajtlira.

Kiedy ów przyszedł ogólnowszechświatowy Hasnamus, Lentrochamsanin, skończył kreślić ten swój doprawdy niezwykły kaszyrajtlir, urządził na własny koszt huczne i wystawne przyjęcie na które zaprosił wszystkie uczone istoty z całej Nijewii, a na jego zakończenie pokazał im swój kaszyrajtlir.

Na widok tego faktycznie niepowtarzalnego kaszyrajtliru uczone istoty zebrane z prawie całej Nijewii na tym darmo bankiecie ogarnęło najpierw takie oszołomienie, że; jak się t mówi, „zdębiały” i dopiero po jakimś czasie zaczęły powoli mieniać zdumione spojrzenia oraz szeptem dzielić się opiniami.

Przede wszystkim nie mogły się nadziwić, że do tej pory żad na uczona ani zwykła istota nic nie wiedziała i nawet się nie domyślała, iż w ich własnym kraju istnieje uczonego posiadający tak wiedzę. Następnie jedna z nich, ta najstarsza i ciesząca się największą

sławą, jak młodzieniaszek wskoczyła nagle na stół i donośnym głosem oraz z intonacją, która już od dawna stała się właściwa tamtejszym uczonym „nowej formacji” i która charakteryzuje także współczesnych uczonych, powiedziała:

„Słuchajcie i uświadomcie sobie, że my wszyscy zebrani tutaj przedstawiciele ziemskich istot, którzy dzięki naszej wielkiej uczoności osiągnęliśmy już samodzielną indywidualność, mamy szczęście jako pierwsi zobaczyć na własne oczy dzieło tego Mesjasza boskiej świadomości zesłanego tu z Góry, by objawił nam światowe prawdy”.

Następnie zaczęło się tam tradycyjne i szkodliwe „wynoszenie się nawzajem pod niebiosą”, które już od dawna praktykuje się wśród uczonych istot „nowej formacji” i które jest główną przyczyną tego, że żadna prawdziwa wiedza, jaka przypadkiem do nich dotarła, nigdy tam nie ewoluuje – jak to się dzieje wszędzie indziej we Wszechświecie, chociażby tylko z powodu upływu czasu – lecz wręcz przeciwnie, ta wcześniej zdobyta wiedza ulega zniszczeniu, a sami jej posiadacze coraz bardziej karłowacieją.

Tak więc wszystkie te tamtejsze uczone istoty przepychając się nawzajem, zaczęły z krzykiem podchodzić do Lentrochamsanina i nazywając go „naszym długo oczekiwanym Mesjaszem” okazywać mu rozczulonymi spojrzeniami „głębokie połechtanie”.

Najbardziej interesujące w tym wszystkim jest to, że powodem tego, iż ci inni uczeni oniemieli ze zdumienia i zaczęli, jak to się mówi, „uczenie kwilić” było pewne niezwykle oryginalne przekonanie – które w psychice twoich ulubieńców wytworzyło się jak zwykle na skutek tych samych nienormalnie ustalonych warunków zwykłej egzystencji – że jeśli ktoś stanie się współwyznawcą idei jakiejś sławnej i ważnej istoty, to sam dzięki temu wyda się wszystkim innym istotom niemal równie ważny.

A ponieważ Lentrochamsanin był niezwykle bogaty i, co najważniejsze, już bardzo sławny, to wszyscy inni ówcześni uczeni z kraju Nijewii natychmiast okazali mu swoje poparcie.

Kiedy więc, mój drogi chłopcze, po wspomnianym przyjęciu

uczone istoty Nijewii wróciły do siebie, już od pierwszego dnia, najpierw wśród swoich bliskich, a potem na prawo i lewo, zaczęły opowiadać o tym niespotykanym kaszyrajtlirze i z ferworem zapewniać oraz przekonywać każdego o prawdziwości „objawień”, które spisał na nim ów wielki Lentrochamsanin.

W rezultacie tego wszystkiego również zwykłe istoty miasta Kronbuchon i z innych miejsc kraju Nijewii już o niczym innym ze sobą nie rozmawiały oprócz tych „objawień”.

A zatem stopniowo, jak to jest tam w zwyczaju, prawie wszędzie istoty podzieliły się na dwie przeciwstawne partie, z których jedna była za „wymysłem” przyszłego ogólnowszechświatowego Hasnamusa, natomiast druga za istniejącymi i dobrze już ugruntowanymi formami egzystencji istnieniowej.

Ciągnęło się to przez prawie cały ichni rok, w trakcie którego szeregi adwersarzy rosły po obu stronach i jednocześnie nasilała się między nimi jedna z ich szczególnych właściwości zwana „nienawiścią”, aż pewnego smutnego dnia w mieście Kronbuchon wybuchł nagle pomiędzy istotami, które opowiedziały się za jednym z dwóch przeciwstawnych nurtów, proces zwany „wojną domową”.

„Wojna domowa” to dokładnie to samo co „wojna”; różnica polega tylko na tym, że w „zwykłej wojnie” istoty jednego społeczeństwa unicestwiają istoty z drugiego społeczeństwa, podczas gdy w „wojnie domowej” proces unicestwiania się nawzajem zachodzi pomiędzy istotami tego samego społeczeństwa, czyli na przykład brat unicestwia brata, ojciec syna, wuj siostrzeńca itd.

W ciągu pierwszych czterech dni, kiedy w Kronbuchonie ten przeraźliwy proces szedł pełną parą i skupiła się na nim uwaga pozostałych istot z całego kraju Nijewii, w innych miastach panował jeszcze względny spokój i tylko sporadycznie dochodziło tu i ówdzie do drobnych, jak to się mówi, „potyczek”; ale kiedy pod koniec czwartego dnia w Kronbuchonie wzięli górę ci, którzy byli za „wymysłem” Lentrochamsanina, czyli po stronieuczonych, wtedy to samo zaczęło się dziać we wszystkich dużych i małych miastach na całym terytorium Nijewii.

Ten przeraźliwy powszechny proces trwał dopóty, dopóki nie pojawiły się „chmary” uczonych, którzy, jak to się mówi, „poczuwszy pewny grunt pod nogami” zmusili pozostałe ocalałe uczone istoty do uznania idei Lentrochamsanina i w jednej chwili położyli wszystkiemu kres. Od tamtej pory trójmózgowe istoty Nijewii stały się bez wyjątku zwolennikami „wymysłu” Lentrochamsanina i już wkrótce zapanował w tym społeczeństwie całym szczególny „ustrój republikański”.

Jeszcze nieco później społeczeństwo Nijewii, które w tym okresie stało się duże i „silne”, zaczęło zgodnie z panującym tam zwyczajem prowadzić wojny z sąsiednimi społeczeństwami, aby narzucić im tę nową formę ustroju państwowego.

Od tego czasu, mój chłopcze, wśród tych dziwnych trójmózgowych istot największego wówczas kontynentu twojej planety procesy „unicestwiania się nawzajem” zaczęły się toczyć po staremu; równocześnie różne dobroczynne przyzwyczajenia ugruntowane już w procesie ich zwykłej egzystencji dzięki idealnie przewidującemu rozumowi tego, który jest teraz naszym Przeświadczonym Asziatą Szyjemaszem, zaczęły stopniowo zmieniać formę i w końcu uległy zatracie.

Znowu więc na powierzchni twojej planety zaczęły powstawać – tylko po to, by na nowo ulec zatracie i ustąpić miejsca innym – liczne odizolowane społeczeństwa o najróżniejszych formach „wewnętrznego ustroju państwowego”.

Chociaż ów szkodliwy wymysł obecnego ogólnowszechświatowego Hasnamusa, Lentrochamsanina, spowodował od razu, że wśród twoich ulubieńców odżył wtedy zwyczaj egzystowania w odizolowanych społeczeństwach i znów zaczęli się okresowo zajmować wzajemnym unicestwianiem, to jednak w wewnętrznej organizacji wielu z tych nowo powstałych na kontynencie Azja samodzielnych społeczeństw tamtejsze istoty nadal stosowały się w swej zwykłej egzystencji istnieniowej do wielu obyczajów, które nadzwyczaj mądrze i przewidująco zaprowadził Przeświadczony Asziata Szyjemasz i które już nierozzerwalnie scaliły się z automatycznie płynącym procesem ich codziennej egzystencji.

Otóż winnymi ostatecznej zatury tych ocalałych jeszcze w niektórych społeczeństwach zwyczajów i nawyków byli ci sami uczeni, którzy zgromadzili się w mieście Babilon.

A stali się temu winni z następującej przyczyny:

Tak się złożyło, że wśród istot dobrowolnie przybyłych do Babilonu na zorganizowany przez nich i poświęcony sławetnej kwestii „zaświatów” ogólnoplanetarny zjazd wszystkich uczonych istot znalazł się też prawnuk samego Lentrochamsanina, który również został „uczonym”.

Wybierając się na ten zjazd, zabrał ze sobą między innymi wierną kopię – wykonaną już na papirusie – wspomnianego kaszyrajtira, którego autorem był jego pradziadek i który przypadł mu w spadku. W trakcie jednego z końcowych dużych zebrań wszystkich uczonych, kiedy „obłąd” rozpętany z powodu „kwestii duszy” sięgnął zenitu, przeczytał na głos tekst tego szkodliwego „wymysłu” swego pradziadka i w jednej chwili – co zresztą z powodu ich dziwnego rozumu stało się już typowe dla „uczonych od siedmiu boleści” tej oryginalnej planety – przeszli oni od jednej interesującej ich kwestii do drugiej, a mianowicie od kwestii „duszy” do kwestii, by tak rzec, „polityki”.

Znowu więc w całym Babilonie zaczęły się odbywać spotkania i toczyć spory poświęcone różnym rodzajom istniejących już ustrojów państwowych, a także tych, które ich zdaniem powinny powstać.

Oczywiście wszystkie ich dysputy przyjmowały za podstawę „prawdy” wyjawione w dziele Lentrochamsanina i tym razem zapisane na papirusie, który przywiózł tam jego prawnuk i którego kopię nosił w kieszeni prawie każdy ówczesny babiloński uczoney.

Debatowali i spierali się tak przez kilka miesięcy, aż w końcu znowu doszło do „rozłamu” i wszyscy uczeni przebywający wtedy w mieście Babilon podzielili się na dwie samodzielne „sekcje”.

Pierwsza z nich zwana była sekcją „neomotistów”, a druga sekcją „paleomotistów”.

Już wkrótce każda z tych sekcji uczonych miała swoich zwolenników wśród zwykłych istot miasta Babilon i na pewno jeszcze raz zakończyłoby się to wojną domową, gdyby nie pewien perski monarcha, który dowiedziawszy się o wszystkim, nie „przywalił” im w te ich „uczone łby”.

Jedną część uczonych rozkazał stracić, drugą zamknął razem z wszami, a trzecią zesłał do takich miejsc, gdzie nawet dzisiaj, jak powiedziała by Mułła Nasr Eddin, „nikt nie przywiezie francuskiego szampana” Tym nielicznym, którzy, jak się okazało, zamieszcili się w to jedynie dlatego, że byli „umysłowo chorzy” pozwolono wrócić do ojczyzny, natomiast ci, którzy w ogóle się nie wtrącali do „spraw polityki” nie tylko mieli prawo powrotu do rodzinnego kraju, lecz nawet na mocy rozkazu wspomnianego perskiego władcy wracali tam z wszelkiego rodzaju honorami.

A zatem, mój chłopcze, owi babilońscy uczeni, którzy z różnych powodów ocaleli i potem rozeszli się po prawie całej powierzchni planety, kontynuowali z rozpędu swe wymądrzania, opierając je – oczywiście nie świadomie, lecz po prostu mechanicznie – na dwóch głównych kwestiach, które się pojawiły i stały „tematem dnia” w czasie wspomnianych wypadków babilońskich, mianowicie na sławetnych kwestiach traktujących o „duszy” człowieka oraz o „wewnętrznym ustroju społecznym”.

Te ich „wymądrzania” w sumie spowodowały, że w różnych społeczeństwach na całym kontynencie Azja znowu wybuchły wojny domowe, a między poszczególnymi społeczeństwami zaczęły się toczyć procesy masowego unicestwiania się nawzajem.

To niszczenie ostatnich pozostałości rezultatów świadomych trudów Przeświętego Asziasy Szyjemasza ciągnęło się tam przez około półtora wieku, ale mimo to w niektórych miejscach przetrwały pewne zalecenia stworzone przez Asziasę Szyjemasza dla dobra ich egzystencji istnieniowej, których z rozpędu wciąż przestrzegano.

Jednakże kiedy w tych azjatyckich wojnach zaczęły także uczestniczyć tamtejsze trójmózgowe istoty powstające i egzystujące na sąsiednim kontynencie zwanym do dzisiaj „Europą”, i kie-

dy wyruszyły z niego, rozchodząc się po prawie całym kontynencie Azja, „zastępy”, którym przewodził arcypróżny Grek zwany „Aleksandrem Macedońskim” wówczas nawet te ostatnie ocalałe i praktykowane jeszcze obyczaje zostały całkowicie zmiecione z powierzchni tej nieszczęsnej planety, i to zmiecione, jak to się mówi „do czysta”; nie został po nich nawet jeden ślad, który mógłby przypominać o tym, że kiedyś na powierzchni ich planety istniało tego typu „dobrodziejstwo” specjalnie i umyślnie stworzone pod kątem ich egzystencji przez ów rozum, którego posiadacz jest obecnie jednym z naszych siedmiu Przenajświętszych Ogólnokosmicznych Indywiduów, bez których udziału nawet sam NASZ JEDNOBYTNY WSPÓLNY OJCIEC nie waży się niczego urzeczywistnić.

A teraz, mój chłopcze, po mojej opowieści o Lentrochamsanii, pozwalającej ci już w pewnym stopniu wyobrazić sobie konkretne następstwa, jakie działalność takiej trójmózgowej ziemskiej istoty będącej typowym przedstawicielem „Wiecznego Indywiduum Hasnamus” pociąga za sobą dla późniejszych pokoleń, nadszedł odpowiedni moment, żebym trochę bardziej szczegółowo wyjaśnił ci, jak zresztą obiecałem, znaczenie słowa „Hasnamus”.

Ogólnie słowem „Hasnamus” definiuje się i określa każdą trójmózgową istotę – zarówno tę, która już oblekła swe wyższe części istnieniowe, jak i tę składającą się tylko z ciała planetarnego – w której zbiorczej obecności pojawia się pod wpływem określonych „indywidualnych impulsów” pewne „coś” uczestniczące w tak zwanym ostatecznym kształtowaniu się jej samodzielnej indywidualności.

To „coś” pojawia się w tych kosmicznych indywiduach w trakcie zachodzącego w nich procesu przemiany substancji i łączy się z krystalizacjami, które powstają w wyniku działania całego spektrum impulsów zwanych „impulsami naluonośnymi”.

Według podstawowego kosmicznego prawa świętego Heptaparaparszynoch owo „naluonośne spektrum impulsów” składa się z siedmiu warstw, które w swej źródłowej esencji różnią się za-

równy pod względem „wytworów postrzeżeńowych” jak i „wynikowych przejawów”.

Jeśli chciałoby się scharakteryzować zgodnie z pojęciami twoich ulubieńców te oddzielne aspekty całego spektrum impulsów naluonośnych i wyrazić je w języku potocznym, to można by je zdefiniować tak:

Pierwszy – każdy rodzaj świadomej i nieświadomej rozwiązłości.

Drugi – poczucie samozadowolenia z powodu wprowadzenia kogoś innego w błąd.

Trzeci – niepoohamowany popęd do unicestwiania egzystencji innych oddychających stworzeń.

Czwarty – skłonność do uwalniania się od obowiązku urzeczywistniania wysiłków istnieniowych, jakich wymaga Przyroda.

Piąty – dążenie do stosowania wszelkich sztuczek, aby ukryć przed innymi wady fizyczne, które oni w nas dostrzegają.

Szósty – niezmacone samozadowolenie z powodu korzystania z tego, na co się osobiście nie zasłużyło.

Siódmy – dążenie do bycia nie tym, kim się jest, i przez to dążenie do tego, by nigdy nie uświadomić sobie i nie odczuć swojego prawdziwego miejsca we Wszechświecie, a także by nie oddać innym tego, co się im prawowicie należy i na co faktycznie zasłużyli.

To „coś” co powstaje w obecnościach określonych indywidualów na skutek wymienionych impulsów naluonośnych, prócz tego, że jest dla jego posiadaczy przyczyną, jak to się mówi, „bolesnych następstw ekspiacyjnych” ma również taką właściwość, że gdy tylko w zbiorczej obecności danych indywidualów ustaje działanie tak zwanego prężnego dążenia, wtedy promieniowanie właściwe któremukolwiek z aspektów przejawiania się tego „czegoś” zaczyna aktywniej oddziaływać na otaczające istoty i staje się czynnikiem wywołującym w nich to samo.

Ogólnie w zbiorczej obecności każdej trójmózgowej istoty mogą się wytworzyć w trakcie procesu jej egzystencji planetarnej czte-



ry rodzaje takich samodzielnych „Indywiduów Hasnamus”.

„Indywiduami Hasnamus” pierwszego rodzaju są te trójmózgowe istoty, które nabywają tego „czegoś” w swej zbiorczej obecności wtedy, gdy wciąż jeszcze składają się tylko z ciała planetarnego, i takie istoty, ponosząc w trakcie procesu świętego Raskuarno należyte konsekwencje faktu, że ich obecność zawiera właściwości wspomnianego „czegoś”, są jako takie unicestwiane na zawsze.

Drugi rodzaj „Indywiduów Hasnamus” reprezentują te ciała kesdzańskie trójmózgowych istot, które oblekły się w ich zbiorczych obecnościach z udziałem owego „czegoś” i nabrawszy przynależnej wszystkim tego rodzaju formacjom kosmicznym właściwości „turinurino”, czyli cechy nierozkładalności w jakiegokolwiek sferze planety, na której same powstały, są zmuszone, przechodząc pewne przeobrażenia, istnieć jako takie aż do czasu, gdy to „coś” zostanie z nich usunięte.

„Indywidua Hasnamus” trzeciego rodzaju to najwyższe ciała istnieniowe lub „dusze”, które oblekają się w zbiorczej obecności trójmózgowych istot po pojawieniu się i z udziałem tego „czegoś”; one również nabierają właściwości turinurino, tyle że tym razem odpowiadającej tej najwyższej powłoce, to znaczy, że takie formacje są nierozkładalne nie tylko w sferze planety, na której powstały, lecz również we wszystkich innych sferach Wielkiego Wszechświata.

Czwarty rodzaj „Indywiduów Hasnamus” różni się od trzeciego tylko tym, że Hasnamusy trzeciego rodzaju mają jeszcze szansę, by tak rzec, „oczyszczenia się”, któregoś dnia z tego „czegoś” podczas gdy czwarty rodzaj stracił tę możliwość już na zawsze.

Oto dlaczego Hasnamusów czwartego rodzaju nazywa się „Indywiduami Wieczny Hasnamus”.

Dla tych czterech rodzajów „Indywiduów Hasnamus” wspomniane bolesne następstwa ekspiacyjne – będące wynikiem tego, że w ich obecnościach występuje to „coś” – są różne i odpowiadają zarówno ich własnej naturze, jak i „obiektywnej odpowiedzial-

ności”, której źródłem jest pierwotna zapobiegliwość i nadzieja NASZEGO WSPÓLNEGO OJCA wobec takich kosmicznych realizacji.

Jeśli chodzi o Hasnamusów pierwszego rodzaju – czyli istoty, które nabywają tego „czegoś”, kiedy jeszcze składają się tylko z ciała planetarnej – to rozkład tego ostatniego przebiega niezgodnie z ogólnymi zasadami, a mianowicie funkcjonowanie wszelkich doznawanych impulsów nie zanika w ich organizmie równocześnie z nadejściem świętego Raskuarno, czyli śmierci.

Proces świętego Raskuarno rozpoczyna się w nich już w czasie egzystencji planetarnej i zachodzi etapami: ich odrębne „samodzielnie uduchowione lokalizacje” przestają stopniowo jedna po drugiej funkcjonować w ich zbiorczej obecności lub, jak powiedzieliby tam twoi ulubieńcy, w takiej istocie umiera wpierw jeden z jej mózgów wraz ze wszystkimi przynależnymi mu funkcjami, później drugi i dopiero potem następuje ostateczna śmierć istoty.

Ponadto nawet po ostatecznej śmierci rozpad wszystkich elementów aktywnych, z których składało się dane ciało planetarne, po pierwsze, zachodzi znacznie wolniej niż zazwyczaj, a po drugie, podlega niegasnącemu i malejącemu tylko proporcjonalnie do ułatniania się tych elementów aktywnych, działaniu impulsów naluonośnych, doznawanych jeszcze za życia.

Dla „Indywidualuów Hasnamus” drugiego rodzaju, to znaczy gdy takimi stają się ciała kesdzańskie trójmózgowych istot, odpowiednio następstwa polegają przede wszystkim na tym, że te nieszczęsne formacje uwolnione z ciała planetarnej trójmózgowej istoty; z jednej strony nie mogą się udoskonalić samodzielnie, bez powłoki planetarnej, a z drugiej – nie są w stanie doprowadzić do usunięcia z ich obecności tego szkodliwego „czegoś” czego nabywają czasami nie z własnej winy, ale co zawsze i wszędzie we Wszechświecie przeszkadza w prawidłowym przebiegu ogólnokosmicznego procesu trogoautoegokratycznego; jednocześnie nie podlegając – z powodu przynależnej im właściwości turinurino – rozpadowi w jakiegokolwiek sferze układu słonecznego, w którym

się ukształtowały nieuchronnie muszą się znowu oblec w ciało planetarne, i to najczęściej ciało istoty, której zewnętrzna forma odpowiada układowi jednomózgowemu lub dwumózgowemu, co wskutek krótkotrwałości egzystencji takich formacji planetarnych zmusza je do tego, by nieustannie zaczynały wszystko od nową, za każdym razem przyjmując formę jakiejś innej istoty z danej planety i nie mając żadnej pewności co do rezultatów takiego obleczenia.

Co się zaś tyczy trzeciego rodzaju „Indywiduów Hasnamus”, a mianowicie kiedy takimi stają się najwyższe ciała istnieniowe trójmózgowych istot, to jeśli to „coś” ciągle uczestniczy w ich oblekaniu w taki sposób, że możliwość uwolnienia się od niego nie została na zawsze stracona, ich los jest jeszcze smutniejszy, a dzieje się tak głównie dlatego, że będąc tego rodzaju wyższymi tworamii kosmicznymi – przeznaczonymi zgodnie z przewidującą PRAŻRÓDŁOWĄ ZASADĄ WSZYSTKIEGO, CO ISTNIEJE, do pomocy w kierowaniu powiększającym się światem, a także, gdy ich kształtowanie dobiegnie końca, i to nawet jeśli nie udoskonaliły się jeszcze w rozumie, odpowiedzialnymi za wszystkie swoje dobrowolne i mimowolne subiektywne przejawy – mają wprawdzie możliwość usunięcia tego „czegoś” ze swojej obecności, ale wyłącznie na skutek działania rezultatów celowo urzeczywistnionych partkdołgpowinności istnieniowych, to znaczy świadomych trudów i zamierzonych cierpień.

Stąd też takie najwyższe ciała istnieniowe muszą nieuchronnie i bez przerwy cierpieć odpowiednio do stopnia „uświadomienia sobie własnej indywidualności” i to tak długo, aż ich obecność pozbędzie się tego „czegoś”.

Na miejsce cierpiętniczey egzystencji takich „Indywiduów Hasnamus” wyższego rzędu Wyższe Święte Indywidua celowo nawet wybrały z ogółu wszystkich dużych koncentracji kosmicznych cztery dysharmonijne pod względem subiektywnego funkcjonowania planety, które znajdują się w różnych najbardziej odległych zakątkach naszego Wielkiego Wszechświata.

Jedna z tych czterech dysharmonijnych planet, zwana „Zapła-

tą” została przygotowana specjalnie dla „Indywiduów Wieczny Hasnamus”, a trzy pozostałe dla najwyższych ciał istnieniowych tych Hasnamusów, którzy wciąż mają w swej obecności możliwość usunięcia z siebie tego szkodliwego „czegoś”.

Te trzy małe planety nazywają się:

„Wyrzut Sumienia”,

„Skrucha”,

„Samopotępienie”.

Warto przy okazji zaznaczyć, że spośród wszystkich najwyższych ciał istnieniowych, które oblekły się i udoskonaliły w najróżniejszych formach trójmózgowych istot całego Wszechświata, na planecie „Zapłata” znalazło się do tej pory tylko trzysta trzynastie najwyższych ciał istnieniowych, z których dwa powstały na twojej planecie, a jedno z nich to właśnie najwyższe ciało istnieniowe rzeczonoego Lentrochamsanina.

Na owej planecie „Zapłata” te „Indywidua Wieczny Hasnamus” muszą ciągle znosić niewiarygodne cierpienia, które nazywają się „inkiranudeł” i są podobne do cierpień zwanych „wyrzutami sumienia”, ale są od nich o wiele bardziej intensywne.

Największe męczarnie takich najwyższych ciał istnieniowych polegają na tym, że muszą one doświadczać tych potwornych cierpień z nieprzemijającą świadomością zupełnego braku nadziei na ich ustanie.

## *Rozdział 29*

### ***Płody starożytnych cywilizacji i kwiaty tej współczesnej***

Zgodnie ze skojarzeniowym tokiem moich opowieści o trójmózgowych istotach mających siedlisko na tej przypadłej ci do gustu planecie Ziemia koniecznie powinienem ci teraz opowiedzieć, mój chłopcze, także nieco o dwóch tamtejszych „mocarnych” społeczeństwach zwanych „Grekami” i „Rzymianami”, które zmiotły „do czysta” z powierzchni tej nieszczęsnej planety nawet wspomnienie o rezultatach przeświętych trudów Esencję Miłującego Asziaty Szyjemasza.

Przede wszystkim muszę ci powiedzieć, że w okresie, w którym na powierzchni twojej planety, a konkretnie na kontynencie Azja, zostało urzeczywistnione z Góry w obecności pewnej tamtejszej istoty trójmózgowej ustalone święte poczęcie tego, który jest teraz naszym Ogólnokosmicznym Przenajświętszym Asziatą Szyjemaszem, a także potem, zarówno w okresie jego przeświętej działalności, jak i w trakcie późniejszego stopniowego niszczenia przez twoich ulubieńców wszystkich uzyskanych dzięki niej rezultatów, na sąsiednim kontynencie, zwanym już wtedy „Europą”, egzystowało bardzo dużo tych dziwnych, przypadłych ci do gustu trójmózgowych istot, które od dawna podzieliły się na grupy i utworzyły różne samodzielne społeczeństwa.

Na mocy tych samych kosmicznych praw, o których już ci wcześniej wspomniałem, spośród tych ówczesnych samodzielnych społeczeństw najbardziej „mocarnymi”, to znaczy dobrze zorganizowanymi i dysponującymi największą liczbą środków potrzebnych do procesu unicestwiania się nawzajem, okazały się właśnie te dwa społeczeństwa, mianowicie Grecy i Rzymianie.

O tych „bardzo starych”, z punktu widzenia twoich współcze-

snych ulubieńców, społeczeństwach muszę opowiedzieć ci jak najdokładniej, ponieważ nie tylko, jak ci mówiłem, zmiotły one „do czysta” z powierzchni tej nieszczęsnej planety ostatnie dobroczynne dla wszystkich tamtejszych trójmózgowych istot późniejszych epok rezultaty przeświętych trudów Esencję Miłującego Asziaty Szyjemasza – a nawet ślady wspomnień po takowych – lecz także spowodowały, że w umysłach twoich współczesnych ulubieńców królują obecnie autentyczne brednie i że całkowicie zanikł w nich „podstawowy impuls istnieniowy” będący główną dźwignią obiektywnej moralności i zwany „organicznym wstydem”.

Po bliższym zapoznaniu się z tymi dużymi zbiorowiskami twoich ulubieńców oraz z różnymi przygotowanymi przez nie „dobrodziejstwami”, które zostały przekazane istotom późniejszych epok; będziesz mógł lepiej wyobrazić sobie i zrozumieć, w jaki sposób tworzą się tam takie samodzielne społeczeństwa, a także jak to się dzieje, że dane społeczeństwo, kiedy stanie się – całkiem niezależnie od samych istot – silne, wykorzystuje to i zaczyna niszczyć wszystko, co wcześniej osiągnęły inne „mniej silne” społeczeństwa, narzucając im przemocą swoje „nowe pomysły” i w większości wypadków szczerze wierząc, że jest to dokładnie to, czego rzekomo ci inni potrzebują.

Muszę cię uprzedzić, mój chłopcze, że zarówno w opowieści o historii powstania, jak i o tym wszystkim, co później miało związek ze starożytnymi społeczeństwami Greków i Rzymian, nie będę się opierał na rezultatach moich osobistych badań, a jedynie przekażę ci informacje na ich temat uzyskane od jednej z tych istot naszego plemienia, które zapragnęły pozostać na stałe na twojej planecie i tam egzystować.

Rzecz w tym, że zstępując po raz szósty i ostatni na planetę Ziemia, zamierzałem za wszelką cenę wyjaśnić sobie w końcu wszystkie prawdziwe przyczyny tego, iż psychika tych trójmózgowych istot, chociaż mogłaby być taka sama jak psychika wszystkich trójmózgowych istot naszego Wielkiego Wszechświata, stała się na tej planecie tak wyjątkowo dziwna.

A ponieważ w trakcie moich badań wielokrotnie stwierdziłem, że podstawową przyczyną różnych absurdów zbiorczej psychiki współczesnych istot była tak zwana cywilizacja, którą krzewiły te dwie duże grupy istot nazywające siebie „Grekami” i „Rzymianami” stało się niezbędne, bym zapoznał się także z pewnymi dotyczącymi ich szczegółami.

Jednakże ze względu na to, że byłem w tym czasie bardzo zajęty badaniami nad działalnością Przeświętego Asziaty Szyjemasza, zleciłem wyjaśnienie historii powstania tych dwóch samodzielnych grup twoich ulubieńców – z punktu widzenia ich „subiektywnego istnieniowego bycia” – właśnie tej istocie naszego plemina, która, jak ci już wspominałem, prowadzi obecnie w pewnym dużym mieście na kontynencie Europa „zakład pogrzebowy”.

Badania prowadzone przez tego naszego ziomka wykazały, iż dawno temu, na długo przed okresem, którego dotyczyła moja opowieść o wspaniałym mieście Babilon, mianowicie w czasie, gdy proces egzystencji tych dziwnych istot toczył się przede wszystkim na kontynencie Azja, a ich głównym centrum kultury był Tiklamysz, nie istniały jeszcze na kontynencie Europa, który jest dzisiaj głównym miejscem egzystencji twoich ulubieńców, żadne dobrze zorganizowane społeczeństwa.

Kontynent ów zamieszkiwały wtedy przede wszystkim dwumózgowe i jednomózgowe istoty zwane „dzikimi czworonogami” oraz „gadami”, a jeśli chodzi o istoty dwunożne, czyli twoich ulubieńców, którzy tworzyli w tamtym czasie tylko kilka niewielkich grup, to byli oni prawie tak samo „dzicy” jak te czworonogi.

Jedynym zajęciem owych małych grup dwunożnych istot było unicestwianie istot czworonożnych oraz gadów, a od czasu do czasu także siebie nawzajem.

Liczba twoich ulubieńców na kontynencie Europa wzrosła dopiero wtedy, gdy po tułaczce z miejsca na miejsce osiedlili się tam ostatecznie uchodźcy z Maralplejsi.

Pod koniec wspomnianego okresu na ten sam kontynent prze-

siedliły się z Tiklamysza niektóre istoty z pierwszej grupy azjatyckiej, trudniące się dwoma zupełnie odmiennymi zawodami: część z nich zajmowała się różnymi pracami na morzu, podczas gdy inne tym, co zwie się tam „hodowlą bydła” lub „pasterstwem”.

Rodziny hodujące bydło zaczęły zaludniać głównie południowe wybrzeża kontynentu, ponieważ w tamtym czasie owe tereny znakomicie nadawały się do chowu i wypasania takich czworonożnych istot.

Tę grupę ziemskich istot nazywano wtedy „Ładniakami”, co znaczyło „pasterze”.

Na początku owi pasterze egzystowali ze swoimi rodzinami i stadami rozproszeni po różnych miejscach. Później ich liczba zaczęła stopniowo rosnąć, częściowo z powodu przesiedlania się tam z kontynentu Azja istot wykonujących ten sam zawód i częściowo ponieważ oni sami stawali się coraz bardziej płodni, a to dlatego, że w tamtym okresie przyroda planety Ziemia już się przystosowała do coraz gorszej jakości wibracji, które powinny wytwarzać ich promieniowania gwoli zaspakajania jej potrzeb, i zastąpiła je takimi wibracjami, jakie teraz można uzyskać już tylko w wyniku procesu „świętego Raskuarno” lub, jak sami mówią, „z ich śmierci”.

A zatem kiedy z tego powodu ich liczba znacznie wzrosła i warunki zewnętrzne wymagały utrzymywania częstych kontaktów między poszczególnymi rodzinami, utworzyli oni pierwsze miejsce wspólnej egzystencji, które nazwali „Rimk”.

To właśnie z tej grupy azjatyckich pasterzy wywodzili się później słynni Rzymianie, którym nadano takie miano od nazwy tego ich pierwszego wspólnego ośrodka „Rimk”.

Jeśli zaś chodzi o istoty azjatyckie, które zajmowały się „pracami na morzu”, czyli rybołówstwem oraz zbieraniem gąbek, koralu i wodorostów, to chcąc ułatwić sobie pracę, zaczęły się przemieszczać i osiedlać z rodzinami albo na zachodnich wybrzeżach ich rodzimego kontynentu Aszcharch, albo na południowo-



wschodnich wybrzeżach kontynentu Europa, albo też na wyspach położonych w cieśninie, która do dzisiaj oddziela od siebie te dwa kontynenty, Azję i Europę.

Istoty z tej nowo powstałej grupy ziemskich istot trójmózgowych nazywano wówczas „Helleniakami”, co znaczyło „rybacy”.

Liczebność owej grupy także stopniowo zaczęła wzrastać, zresztą z tych samych powodów, o których wspominałem przed chwilą, mówiąc o grupie pasterzy.

Nazwa istot drugiej grupy wielokrotnie się zmieniała i w końcu zaczęto je nazywać „Grekami”.

A więc, mój drogi chłopcze...

Istoty należące do tych dwóch grup są w dużym stopniu odpowiedzialne za to, że rozum twoich współczesnych ulubieńców stał się mechaniczny, a dane rodzące impuls istnieniowego wstyd zupełnie w nich zanikły.

To Grecy spowodowali, że rozum tamtejszych istot trójmózgowych zaczął stopniowo wyrodnieć, aż tak się zdegenerował, że u współczesnych istot zamienił się już, jak mówi nasz drogi Mułła Nasr Eddin, „w istny młynek do bredni”.

Natomiast Rzymianie sprawili, że na skutek kolejnych zmian w obecnościach tamtejszych współczesnych istot trójmózgowych przestały się już w ogóle krystalizować w nich te czynniki, które w pozostałych istotach trójmózgowych rodzą impuls zwany „instynktownym wstydem”, czyli impuls istnieniowy będący podstawą „obyczajowości” i „moralności obiektywnej”.

A zatem w taki właśnie sposób powstały te dwa społeczeństwa, które później – jak często się tam zdarza – były przez jakiś czas bardzo solidne i silne.

Jeśli zaś chodzi o historię szkodliwej „spuścizny” jaką odziedziczyły po nich istoty późniejszych pokoleń, to wyglądała ona następująco:

Z badań naszego ziomka wynikało, że protoplaści istot społeczeństwa, które później nazwano „Grecją”, z powodu złej pogody, która nie pozwalała im zajmować się „pracami na morzu” często

musieli szukać schronienia w miejscach osłoniętych od deszczu i wiatru, gdzie z nudów oddawali się rozmaitym wymyślonym dla rozrywki „grom”.

Jak później wyszło na jaw, ci starożytni rybacy bawili się na początku w takie „gry” w jakie w dzisiejszych czasach grają dzieci – naturalnie tylko te dzieci, które nie zaczęły jeszcze chodzić do współczesnych szkół, ponieważ te, które chodzą do szkoły, mają do odrobienia tyle lekcji polegających na wkuwaniu rozmaitych „wierszy” ułożonych przez różnych tamtejszych kandydatów na Hasnamusów, że tym biedactwom nigdy nie starcza czasu na żadne zabawy.

Jednym słowem, ci tamtejsi biedni rybacy grali z nudów najpierw w zwykłe, znane już od dawna „dziecięce gry” i dopiero później, gdy jeden z nich wymyślił nową grę pod nazwą „przelewanie z pustego w próżne” tak bardzo się ona wszystkim spodobała, że odtąd bawili się już tylko w nią.

Owa gra polegała na zadaniu któremuś z jej uczestników dowolnego bzdurnego pytania, to znaczy pytania o jakiś specjalnie wymyślony nonsens, i ten, komu to pytanie postawiono, musiał dać jak najbardziej prawdopodobną odpowiedź.

Otóż właśnie ta gra stała się przyczyną wszystkiego, co zdarzyło się później.

Rzecz w tym, że kilku spośród tych starożytnych znudzonych rybaków okazało się tak „pomysłowymi” i „chytrymi” że opierając się na zasadach tej oryginalnej gry, doszli do wielkiej wprawy w wymyślaniu bardzo długich wyjaśnień.

Kiedy zaś jeden z nich odkrył, jak można zrobić ze skóry ryby zwanej „rekinem” to, na co później zaczęto mówić „pergamin” wówczas kilku z tych spryciarzy, tylko po to, by „się popisać” przed kolegami, zaczęło zapisywać na takich rybich skórkach za pomocą umownych znaków – które sami wcześniej wymyślili do innej gry pod nazwą „pułapka na myszy” – swoje długie wyjaśnienia.

Jeszcze trochę później, gdy znudzeni rybacy ustąpili miejsca

swym potomkom, ci ostatni, otrzymawszy w spadku takie zapisane rybie skóry, jak również zamięłowanie do owej oryginalnej „gry”, nadali po raz pierwszy tym wszystkim nowym wymysłom przodków, a także swoim własnym, bardzo szumną nazwę – „nauki”.

A ponieważ mania „tworzenia” takich nauk przechodziła z pokolenia na pokolenie, więc istoty tej grupy, których przodkowie byli prostymi azjatyckimi rybakami, stały się odtąd „specjalistami” od wymyślania wszelkich tego rodzaju „nauk”.

Takowe nauki również były przekazywane z pokolenia na pokolenie i niektóre dotarły do współczesnych istot tej planety wprawie niezmięnionej formie.

Oto jak wygląda przyczyna tego; że prawie połowa tak zwanych egoplastikurów, które powstają w umysłach współczesnych istot tej nieszczęsnej planety i dzięki którym ogólnie toczy się w istotach proces zwany „światopoglądem istnieniowym”, krystalizuje się po prostu z „prawd” wymyślonych tam kiedyś z nudów przez tych zblazowanych rybaków i ich potomków.

Jeśli zaś chodzi o starożytnych pasterzy którzy utworzyli później wielkie i mocarne społeczeństwo Rzymian, to protopłści tej grupy, tak samo z powodu złej pogody, musieli często zaganiać swe stada do osłoniętego miejsca, gdzie następnie się zbierali, żeby skrócić sobie jakoś czas.

Najpierw gawędzili na różne tematy, a kiedy już wszystko sobie opowiedzieli i zaczęli się nudzić, jeden z nich zaproponował dla rozrywki to, co oni jako pierwsi nazwali „cinque contro uno” (pięciu na jednego), czyli zabawę, która pod tą samą nazwą przetrwała do dzisiaj u ich dalej rodzących się i egzystujących tam potomków.

Dopóki zajmowały się nią tylko istoty płci męskiej, wszystko przebiegało „cicho i spokojnie”, ale gdy nieco później przyłączyły się do tego „zajęcia” ich „pasywne połowy”, czyli kobiety, które doceniwszy je od razu, same nabrały do niego zamięłowania, wówczas owi pasterze stopniowo doszli w tym „zajęciu” do takiej

„finezji”, że nawet gdyby nasz Wszechświatowy Arcychytrus Lucyfer zaczął specjalnie łamać sobie nad tym swą czcigodną głowę, nie wymyśliłby nawet jednej dziesiątej różnych „numerów” jakie ci niegdysiejsi pasterze wynaleźli i „przygotowali” dla przyszłych pokoleń istot tej nieszczęsnej planety.

A zatem, mój chłopcze, gdy te dwie samodzielne grupy ziemskich istot trójmózgowych rozmnożyły się i zgromadziły wszelkie „znakomite środki”, których zebranie generalnie staje się celem wszystkich tamtejszych społeczeństw przez cały czas ich istnienia, mianowicie środki do unicestwiania się nawzajem, wtedy zaczęły wdawać się właśnie w taki „proces” z innymi, oczywiście przeważnie słabszymi od nich, tamtejszymi samodzielnymi społeczeństwami, a czasami nawet między sobą.

Warto tu zauważyć, że w okresach, kiedy pomiędzy tymi społeczeństwami – dysponującymi niemalże takimi samymi „znakomitymi środkami” do procesów unicestwiania się nawzajem – następował rozejm, istoty z obu tych sąsiadujących grup często się kontaktowały i przyjaźniły, dzięki czemu stopniowo wymieniały między sobą osobliwe wymysły, które były wytworem ich przodków i stały się dla nich typowe. Krótko mówiąc, rezultatem takich częstych spotkań istot obu społeczności było to, że istoty Grecy, zainspirowane wszystkimi subtelnościami seksualnych „numerów” Rzymian, zaczęły organizować tak zwane wieczorki ateńskie, natomiast istoty Rzymianie, nauczycy się od Greków sztuki wymyślania „nauk”, ułożyły to, co później stało się ich bardzo słynnym „prawem rzymskim”.

Od tamtej pory upłynęło bardzo dużo czasu. Wynalazcy obu tych form przejawów istnieniowych już dawno temu odeszli, a ich potomkowie, którzy stali się przypadkowo „potężni” również zginęli. Mimo to współczesne trójmózgowe istoty tej planety nieświadomie – a czasem nawet świadomie – marnują, i to z rozczuleniem, ponad połowę swojej egzystencji i zebraną w ten czy inny sposób energię istnieniową, przyswajając sobie i urzeczywistniając te dwa ideały, których inicjatorami byli owi znudzeni niegdysiejsi azjatyccy rybacy i pasterze.

Otóż, mój chłopcze, okazuje się, że kiedy później te dwie grupy twoich ulubieńców zgromadziły wiele tych wspomnianych znakomitych środków do skutecznego unicestwiania egzystencji istot do nich podobnych i nabrały wielkiej wprawy w przekonywaniu lub zmuszaniu, dzięki sile własnych środków, istot z innych społeczeństw do zastąpienia ich wewnętrznych przekonań ideałami, które były wymysłem przodków tych pierwszych, wówczas, jak już mówiłem, zaczęły najpierw ujarzmić sąsiednie społeczeństwa zamieszkujące kontynent Europa, a następnie wyruszyły w tym samym celu w towarzystwie zwerbowanych przez siebie zastępów w kierunku kontynentu Azja.

A tam, już na kontynencie Azja, zajęły się wpierw szerzeniem swojego szkodliwego wpływu pośród istot osiadłych na zachodnich wybrzeżach tego kontynentu – istot, którym, jak już mówiłem, wszczepiano przez wiele wieków impulsy istnieniowe potrzebne do mniej więcej normalnej egzystencji istnieniowej – a później zaczęły stopniowo posuwać się w jego głąb.

Ów marsz w głąb kontynentu Azja przebiegał nadzwyczaj pomysłnie i ich szeregi ciągle rosły, do czego przyczynili się głównie uczeni, którzy bywali w Babilonie i na całym tym kontynencie wciąż zniewalali umysły istot swymi hasnamusko-politycznymi ideałami.

Bardzo im wtedy pomogło również to, że w instynkcie istot azjatyckich przetrwały jeszcze rezultaty wpływów „wtajemniczonych” i „kapłanów”, uczniów Przeświełego Asziaty Szyjemasza, którzy w kazaniach rozpowszechniali między innymi jedno z jego głównych przykazań:

„Nie zabijaj innego nawet wtedy, gdy twoje własne życie jest w niebezpieczeństwie”.

Wyzyskując to wszystko, ci byli rybacy i pasterze z łatwością posuwali się naprzód, unicestwiając po drodze każdego, kto nie chciał oddać czci ich „przybranym bogom” to znaczy ich fantastycznym „naukom” i fenomenalnemu „rozpasaniu”.

Początkowo owi „siewcy zła”, którzy na nieszczęście wszyst-

kich trójmózgowych istot wszystkich przyszłych pokoleń urodzili się na kontynencie Europa, szczególnie zaś Grecy, posuwali się naprzód, przemieszczając w głąb kontynentu Azja, wprawdzie powoli, ale za to fachowo.

Nieco później jednak pojawił się i stanął na czele „hufców” w pełni już ukształtowany arcyzarozumiały Grek, przyszły Hannamus, Aleksander Macedoński, i od tej pory wspomniane zmiatanie „do czysta” ostatnich pozostałości rezultatów zamierzonych przeświętych trudów naszego obecnego Ogólnokosmicznego Przenajświętszego Asziaty Szyjemasa ruszyło na całego, tak że znowu zaczęła się tam, jak to się mówi, „ta sama stara historia”.

Choć przy każdym przemieszczeniu się centrum kultury twoich ulubieńców, tych osobliwych trójmózgowych istot, powstawała nowa, jak tam mówią, „cywilizacja”, która przynosiła istotom kolejnych epok coś nowego i szkodliwego, to jeszcze nigdy żadna z tych licznych „cywilizacji” włączając oczywiście epokę współczesną, nie wyrządziła tak wiele zła istotom późniejszych epok jak ta sławetna „cywilizacja grecko-rzymska”.

Pomijając masę innych małostkowych cech psychiki, niegodnych istot trójmózgowych i występujących dziś w obecności twoich ulubieńców, główną winą tej cywilizacji było to, że z obecności trójmózgowych istot następnych pokoleń, szczególnie tych współczesnych, całkowicie zniknęły możliwości krystalizowania się danych potrzebnych do „zdrowego logicznego myślenia” i wzbudzania impulsu „istnieniowego wstydu”.

A mówiąc konkretnie, owe „starogreckie fantastyczne nauki” były przyczyną całkowitego zaniku tego pierwszego, natomiast „starorzymskie rozpasanie” – drugiego.

We wczesnym okresie cywilizacji grecko-rzymskiej wspomniane szkodliwe impulsy, które zamieniły się już w impulsy istnieniowe, a mianowicie „zamiłowanie do wymyślania fantastycznych nauk” oraz „zamiłowanie do rozpusty” stały się przynależne istotom greckim i rzymskim, ale później, kiedy, jak już powiedziałem, istoty ze wspomnianych społeczeństw przypadkowo

urośli w siłę i zaczęły wpływać na istoty z innych społeczeństw, wiele istot należących do tych innych społeczeństw twoich nieszczęsnych ulubieńców zaczęło powoli zarażać się tymi oryginalnymi i nienaturalnymi impulsami istnieniowymi.

Z jednej strony działa się tak z powodu, jak już mówiłem, ustawicznego wpływu wywieranego przez oba te społeczeństwa, a z drugiej – na skutek wspólnej wszystkim trójmózgowym istotom owej planety osobliwości ich psychiki, która już przedtem mocno się w niej osadziła i którą nazywa się tam „naśladownictwem”.

W ten oto sposób „wynałazki” tych dwóch starożytnych społeczeństw z czasem do tego stopnia rozdygotały już i tak wystarczająco rozklekotaną psychikę twoich ulubieńców, że obecnie zarówno ich „światopogląd”, jak i cała organizacja życia codziennego opiera się wyłącznie na tych dwu wspomnianych wynalazkach istot cywilizacji grecko-rzymskiej, a mianowicie na fantazjowaniu i „dążeniu do seksualnej satysfakcji”.

Trzeba tu zaznaczyć, że chociaż dzięki spuściźnie starożytnych Rzymian stopniowo, jak już ci powiedziałem, znikł całkowicie z obecności twoich ulubieńców „organiczny wstyd” przynależny istotom trójmózgowym, miejsce takiego impulsu istnieniowego zajęło coś na jego wzór. Tego pseudoistnieniowego impulsu, który oni również nazywają „wstydem”, jest w obecnościach twoich współczesnych ulubieńców w bród, tyle że dane, które go wywołują, są wyjątkowo osobliwe.

Ów istnieniowy impuls powstaje w ich obecnościach tylko wtedy, gdy przy obcych robią coś, czego w ich nienormalnie ustalonych warunkach zwykłej egzystencji istnieniowej robić nie wypada.

Ale jeśli nikt tego nie widzi, to żaden z tych przejawów, choćby nawet uświadomili sobie i poczuli, że jest niepożądanym, takiego impulsu w nich nie wywołuje.

W ostatnich czasach „dobrodziejstwa” przygotowane przez starożytnych Rzymian już tak weszły twoim ulubieńcom mającym siedlisko na wszystkich kontynentach tej nieszczęsnej planety

w krew, że trudno jest nawet powiedzieć, istoty którego ze współczesnych społeczeństw otrzymały najwięcej w spadku po tych „pocziwych” Rzymianach.

Co się zaś tyczy spuścizny po starożytnych Grekach, czyli zamiłowania do wymyślania różnych fantastycznych „nauk” to nie pojawiło się ono u wszystkich bez wyjątku istot współczesnych, lecz w każdym z dużych i małych społeczeństw istniejących obecnie na wszystkich stałych lądach powierzchni tej oryginalnej planety przeszło tylko na niektóre z nich.

Ta odziedziczona po starożytnych Grekach mania, a mianowicie „wymyślanie fantastycznych nauk”, w największym stopniu udzieliła się istotom współczesnego społeczeństwa, które jest tam znane pod nazwą „Niemcy”.

Istoty z tych współczesnych Niemiec śmiało można nazwać „bezpośrednimi spadkobiercami cywilizacji starogreckiej”; a można je tak nazwać, ponieważ to właśnie one wnoszą obecnie do współczesnej cywilizacji najwięcej nowych nauki przeróżnych wynalazków.

Niestety, mój chłopcze, istoty z tego współczesnego społeczeństwa Niemiec pod wieloma względami, jak to się mówi, „prześcignęły” istoty starożytnej Grecji.

Rzecz w tym, że wskutek tych wymyślonych przez starożytnych Greków „nauk” popsuło się – i nadal psuje – tylko „istnieniowe myślenie” pozostałych tamtejszych istot.

Ale te współczesne istoty społeczeństwa Niemiec poszły jeszcze dalej i zdobyły wprawę w wymyślaniu takich nauk, dzięki którym bardzo się rozpowszechniła w gronie pozostałych twoich ulubieńców ta wspomniana specyficzna tamtejsza choroba zwana „wymądrzaniem się”, i wielu z nich w trakcie przebiegu tej choroby, albo półświadomie, albo całkowicie automatycznie, zauważa przypadkowo ten czy inny mały szczegół ogólnokosmicznego procesu urzeczywistniania wszystkiego, co istnieje, a następnie, gdy poinformuje o nim innych, wspólnie wykorzystują go do jakiegoś ichniego „nowego wynalazku”, skutkiem czego



zwiększają liczbę tych „nowych środków”, których w ciągu ostatnich dwóch tamtejszych wieków nazbierało się tyle, że obecnie suma ich oddziaływań stała się „destrukcyjną siłą wypadkową”, która przeciwstawia się „twórczej sile wypadkowej” Przyrody.

I faktycznie, mój chłopcze, ostatnimi czasy tylko z powodu takich nauk wymyślonych przez pewne istoty z tych współczesnych Niemiec pozostałe trójmózgowe istoty twojej planety, należące zarówno do tego samego, jak i do innych społeczeństw, też uzyskały możliwość „wymyślania” i teraz już prawie codziennie to tu, to tam wymyślają takie „nowe wynalazki” lub „nowe środki”, które, zastosowane w procesie ich egzystencji, doprowadziły do tego, że tamtejsza biedna Przyroda, już i tak osłabiona nie z własnej winy, nie jest praktycznie w stanie realizować swoich „ewolucyjnych” i „inwolucyjnych” procesów.

Abyś jasno wyobraził sobie i lepiej zrozumiał, jak ci współcześni bezpośredni spadkobiercy prześcignęli swych „spadkodawców”, muszę powiedzieć ci o pewnych „środkach” wdrażanych tam teraz „na całego”, które zawdzięczają swoje pojawienie się wyłącznie tym „pomagierom Przyrody” to znaczy bezpośrednim spadkobiercom starożytnych Greków.

Opowiem ci więc o pewnych takich istniejących tam i wszędzie dzisiaj stosowanych w praktyce środkach, które „wymyśliły” właśnie istoty tego współczesnego społeczeństwa Niemiec.

Najpierw chcę przy okazji zwrócić twoją uwagę na jedno ciekawe zjawisko, mianowicie na to, że ci współcześni „zastępcy” starożytnych Greków nadają tym swoim szkodliwym wynalazkom nazwy, które z jakiegoś powodu zawsze kończą się na „ina”.

Spośród bardzo wielu niezwykle szkodliwych wynalazków tych niemieckich istot weźmy dla przykładu tylko pięć, jak sami mówią, „substancji chemicznych” znanych dziś pod nazwą: 1) satkaina, 2) anilina, 3) kokaina, 4) atropina i 5) alizaryna, z których teraz istoty wszystkich kontynentów i wysp korzystają tam, jak mówi nasz drogi Mułła Nasr Eddin, „nie znając żadnego umiaru”.

Pierwszy z tych wymyślonych specjalnie przez niemieckie istoty „środków” „satkaina” to nic innego jak „samukuruazar”, czyli jeden z siedmiu „gazów neutralizujących”, które powstają i występują stale w zbiorczej obecności każdej planety, uczestnicząc w „ostatecznej krystalizacji” wszystkich określonych naplanetarnych oraz wewnątrzplanetarnych formacji, i które w postaci wyodrębnionej są zawsze i wszędzie „ślepyimi niszczycielami tego, co już powstało”.

W związku z tym niemieckim wynalazkiem dowiedziałem się jeszcze między innymi, że jedna z istot tego społeczeństwa, otrzymawszy ów gaz z pewnych naplanetarnych i wewnątrzplanetarnych formacji, zauważyła te jego wspomniane właściwości i powiedziała o nich kilku kolegom; a ponieważ w obecnościach istot tego społeczeństwa, czyli także w nich, występowało wtedy „niezwykle intensywne przeżywanie” głównej osobliwości psychiki trójmózgowych istot twojej planety, to znaczy doznawali oni „niepohamowanego pędu do unicestwiania egzystencji istot do nich podobnych” – i faktycznie istoty tego społeczeństwa, a także sąsiednich społeczeństw były w tamtym okresie pochłonięte procesem unicestwiania się nawzajem – od razu więc „z entuzjazmem” postanowili całkowicie poświęcić się badaniu, w jaki sposób można by wykorzystać tę szczególną właściwość rzeczonoego gazu do szybkiego i masowego niszczenia egzystencji istot z innych społeczeństw.

Kiedy przystąpili do praktycznych badań nad procedurą zastosowania takiego „dobrodziejstwa” jeden z nich szybko odkrył, że jeśli udałoby się skoncentrować ów gaz w czystym stanie tak, by można go było na życzenie wypuszczać w określonej chwili w określoną przestrzeń, to znakomicie nadawałby się do wspomnianego celu.

Na tym poprzestali i odtąd w trakcie procesów unicestwiania się nawzajem pozostałe zwykłe istoty tego społeczeństwa zaczęły w pewien sposób wypuszczać w przestrzeń ten sztucznie wyodrębniony z ogólnej harmonii urzeczywistniania wszystkiego, co istnieje, gaz, i to dokładnie wtedy i tam, gdzie w danej chwili sku-

pięła się największa liczba istot innego, jak oni mówią, „wrogiego” społeczeństwa.

Otóż kiedy ta wyodrębniona i szczególnie destrukcyjnie działająca substancja kosmiczna, celowo uwolniona we wspomnianych warunkach do atmosfery i dążąca do ponownej fuzji z innymi odpowiednimi substancjami kosmicznymi, przenika do ciała planetarnego znajdującej się w pobliżu trójmózgowej istoty, wtedy albo błyskawicznie unicestwia jej egzystencję, albo w najlepszym razie trwale uszkadza funkcjonowanie którejś z części jej zbiorczej obecności.

Druga z wymienionych przeze mnie substancji chemicznych, mianowicie „anilina”, to chemiczna substancja barwiąca, za pomocą której można ufarbować większość formacji naplanetarnych służących tamtejszym istotom trójmózgowym do wytwarzania najprzeróżniejszych niezbędnych w procesie zwykłej egzystencji istnieniowej przedmiotów.

Faktem jest, że dzięki temu „wynalazkowi” twoi ulubieńcy mogą dzisiaj łatwo ufarbować każdy przedmiot na dowolny kolor – ale co się za to stało z trwałością tych przedmiotów? Otóż tutaj właśnie jest pogrzebana „ulubiona kiciunia” ich słynnego Bismarcka.

Wcześniej, kiedy jeszcze nie istniała tam ta szkodliwa anilina, twoi ulubieńcy farbowali niezbędne im do zwykłej egzystencji i wytwarzane przez siebie przedmioty – na przykład „dywany” „obrazy” oraz różne wyroby z wełny, drewna i skóry – prostymi barwnikami roślinnymi; które nauczyli się wyodrębniać na przestrzeni wieków, i te wymienione przedmioty potrafiły przetrwać od pięciu do dziesięciu, a nawet piętnastu ichnich stuleci.

Ale teraz, wyłącznie z powodu owej aniliny i zrobionych na jej bazie różnie nazywających się farb, nie minie nawet trzydzieści lat, a po przedmiotach ufarbowanych takimi nowymi barwnikami pozostaje najwyżej wspomnienie.

Trzeba powiedzieć, że istoty współczesnego społeczeństwa Niemiec nie tylko spowodowały, że przez tę szkodliwą anilinę wyro-

by wszystkich współczesnych istot tej planety niszczą się bardzo szybko, ale to one są również sprawcami tego, że niemal zupełnie z owej nieszczęsnej planety zniknęły wyroby przypadkowo ocalałe z czasów starożytnych.

A stało się tak, ponieważ dla różnych hasnamuskich celów, a także dla swych sławetnych, jak same mówią, „celów naukowych”, wzięły się do zbierania we wszystkich krajach tych ocalałych jeszcze starożytnych wytworów i nie mając żadnej wiedzy o tym, jak takie stare przedmioty należy przechowywać, przyczyniły się jedynie do ich szybkiego zniszczenia.

Skądinąd te zebrane przez nie „antyki” posłużyły im – i nadal służą – za wzory do owej tandety, która wszędzie na tej nieszczęsnej planecie stała się znana pod nazwą „erzac”.

Jeśli chodzi o trzecią z wyliczonych i „wynalezionych” przez nie substancji chemicznych, mianowicie „kokainę”, to substancja ta nie dość, że bardzo pomaga Przyrodzie, przyspieszając rozkład formacji planetarnych – a w tym konkretnym wypadku ich własnych ciał planetarnych – to jeszcze ów środek chemiczny działa na psychikę współczesnych istot planety Ziemia w sposób zaskakująco podobny do tego, w jaki na psychikę ich przodków oddziaływał słynny organ kundabufor.

W czasach, gdy ichni przodkowie nosili w sobie ten wynalazek Wielkiego Anioła Luizosa, ów organ powodował, że zawsze znajdowali się dokładnie w takim samym stanie, w jaki popadają istoty współczesne po wprowadzeniu w siebie owego niemieckiego wynalazku zwanego „kokainą”.

Oczywiście, mój chłopcze, muszę cię uprzedzić, że nawet jeśli działanie tego niemieckiego wynalazku okazało się bardzo podobne do działania słynnego organu kundabufor, to nie jest to wynikiem świadomego zamiaru współczesnych istot społeczeństwa Niemiec; one tylko przez przypadek stały się kolegami Wielkiego Anioła Luizosa.

Aktualnie tę kokainę zażywają prawie wszystkie istoty uznawane za prawdziwych przedstawicieli cywilizacji współczesnej

i owo „dobrodziejstwo” współczesnej kultury wprowadzają w siebie bardzo starannie, z wielką rozkoszą oraz wzruszającą radością – niewątpliwie zawsze, jak mówi nasz drogi Mułła Nasr Eddin, „ku chwale kusego generała”.

Także czwarta z wymienionych substancji chemicznych, czyli „atropina”, cieszy się tam obecnie wielkim powodzeniem i ma rozmaite zastosowanie, przy czym najczęściej używa się jej w pewnym nadzwyczaj oryginalnym celu.

Otóż z powodu tych samych nienormalnie ustalonych warunków zwykłej egzystencji istnieniowej ich organ wzroku nabył takiej właściwości, że twarz innej istoty wydaje im się ładna i przyjemna jedynie wtedy, gdy ma ona czarne oczy.

A ponieważ owa substancja chemiczna zwana „atropiną” po wpuszczeniu jej w pewien sposób do oczu istot powoduje, że ich źrenice się rozszerzają i dzięki temu czernieją, większość z nich wpuszcza ją sobie do oczu, aby ich twarze wydały się innym ładne i przyjemne.

I faktycznie, mój drogi chłopcze, ziemskie istoty, które wpuszczają sobie do oczu to niemieckie „dobrodziejstwo”, do czterdziestego piątego roku życia chodzą z bardzo „czarnymi oczami”.

Powiedziałem „do czterdziestego piątego roku”, ponieważ jak dotąd jeszcze się nie zdarzyło, żeby istota, która używa tego środka, mogła po osiągnięciu tego wieku cokolwiek widzieć i dalej z niego korzystać.

Na piąty i ostatni z wymienionych wynalazków, czyli „alizarynę” też można natknąć się tam prawie wszędzie.

To „dobrodziejstwo” współczesnej cywilizacji stosują tam przede wszystkim tak zwani cukiernicy, a także inni specjaliści, którzy przygotowują dla pozostałych istot tej planety „przesmaczne” wyroby służące im za pierwszy pokarm.

Tamtejsi cukiernicy oraz inni fachowcy, którzy przyrządzają dla reszty twoich ulubieńców wspomniane przesmaczne artykuły przeznaczone na ich pierwszy pokarm, używają – oczywiście nieświadomie – alizaryny, tego „działającego bez pudła” niemiec-

kiego wytworu, do celu, który sam w sobie stał się już ideałem całej tamtejszej współczesnej cywilizacji, a który nasz czcigodny Mułła Nasr Eddin wyraziłby w swoim języku następującymi słowami:

„Byleby tylko w tej chwili wszystko wydawało mi się piękne i przyjemne, a co mnie tam obchodzi, jeśli później trawa przestanie rosnać”.

W każdym razie, mój chłopcze, ci współcześni zastępcy istot starożytnej Grecji, korzystając z tych wszystkich swoich praktycznych osiągnięć opartych na wymyślonych przez nich samych „naukach” robią teraz, co tylko mogą, żeby pomóc swojej biednej Przyrodzie przynajmniej w procesie rozkładu. Nie na darmo nasz drogi Mułła Nasr Eddin przytacza to mądre porzekadło:

„Lepiej jest już wyrywać codziennie dziesięć włosów z głowy rodzonej matki, niż nie pomagać Przyrodzie”.

Szczerze mówiąc, nie tylko istoty współczesnego społeczeństwa Niemiec odziedziczyły po starożytnych Grekach zdolność do wymyślania „fantastycznych nauk” i wynajdowania nowych środków służących zwykłej egzystencji istnieniowej; prawdopodobnie w nie mniejszym stopniu tę samą zdolność przejęły także istoty innego współczesnego i równie samodzielnego społeczeństwa, które aktualnie przeżywa okres swojej wielkości.

To inne współczesne społeczeństwo twoich ulubieńców nazywa się „Anglia”.

Do istot tego innego współczesnego społeczeństwa – i tylko bezpośrednio do nich – dotarł od starożytnych Greków jeden szczególnie szkodliwy „wymysł”, który one wyjątkowo dobrze sobie przyswoiły i teraz realizują go w praktyce.

Ów niesłychanie szkodliwy „wymysł” starożytni Grecy nazywali „diafaronem”, a istoty współczesne mówią na niego „sport”.

Pod koniec niniejszej opowieści opiszę ci, jak tylko można najdokładniej, ten tamtejszy współczesny sport; tymczasem powinienś wiedzieć, że istoty społeczeństwa Anglii, choć również wymyślają dzisiaj wiele różnych nowych przedmiotów nie-

odzownych twoim ulubieńcom w procesie ich zwykłej egzystencji istnieniowej, to nie wymyślają substancji chemicznych, jak czynią to istoty współczesnego społeczeństwa Niemiec, nie... one wymyślają przede wszystkim to, co zwie się „wyrobami z metalu”.

Szczególnie ostatnimi czasy nabrały wielkiej wprawy w wymyślaniu najrozmaitszych wyrobów metalowych i obdarowywaniu istot egzystujących na całej powierzchni twojej planety przedmiotami zwanymi tam „zamkami” „brzytwami” „pułapkami na myszy”, „rewolwerami”, „kosami”, „karabinami maszynowymi” „garnkami”, „zawiasami”, „armatami”, „scyzorykami”, „nabojami”, „piórami”, „minami”, „igłami” i jeszcze wieloma innymi rzeczami tego rodzaju.

Odkąd istoty wspomnianego współczesnego społeczeństwa zaczęły wynajdywać takie przydatne przedmioty, zwykła egzystencja trójmózgowych istot twojej planety to po prostu, jak mówi nasz drogi Mułła Nasr Eddin, „nie życie, tylko darmowa marmolada”.

Istoty tego terazniejszego społeczeństwa stały się dobroczyńcami pozostałych współczesnych istot twojej planety i okazały im, jak się tam mówi, „filantropijną pomoc”, zwłaszcza jeśli idzie o ich pierwszy obowiązek istnieniowy, czyli obowiązek przeprowadzania od czasu do czasu procesu unicestwiania się nawzajem.

To dzięki nim wypełnianie tego obowiązku istnieniowego stało się dla twoich współczesnych ulubieńców „istną fraszką”.

W dawnych czasach, kiedy nie było jeszcze takich wynalazków, ci twoi biedni ulubieńcy mieli sporo kłopotów z wypełnianiem tego obowiązku istnieniowego i musieli się przy nim nieźle napocić.

Ale teraz dzięki wszystkim urządzeniom, które wymyśliły te współczesne istoty, jest to, jak mówi znowu nasz czcigodny Mułła Nasr Eddin, „po prostu bułka z masłem”.

Współczesne istoty potrafią dzisiaj praktycznie bez żadnego wysiłku zniszczyć doszczętnie egzystencję innej podobnej do

nich istoty. „

A czasem nawet, siedząc spokojnie w ichnich „palarniach” mogą ot tak sobie, z nudów, unicestwić dziesiątki lub wręcz setki podobnych do nich istot.

Sądzę, że nie zaszkodzi, jeśli opowiem ci teraz nieco o bezpośrednich potomkach istot wspomnianej cywilizacji grecko-rzymskiej, którzy egzystują tam jeszcze do dziś.

Potomkowie istot tego niegdyś „wielkiego” i „mocarnego” społeczeństwa Grecji nadal egzystują i tworzą własne samodzielne społeczeństwo, z tą tylko różnicą, że dla innych tamtejszych samodzielnych społeczeństw przestali się dzisiaj praktycznie liczyć.

Nie robią już tego, co czynili ich przodkowie, którzy do szpiku kości byli specjalistami od wymyślania wszelkiego rodzaju „fantastycznych nauk”; a zresztą nawet gdyby któryś współczesny Grek wymyślił jakąś nową „naukę” to i tak istoty innych teraźniejszych społeczeństw nie zwróciłyby na taki wymysł najmniejszej uwagi.

A nie zwróciłyby żadnej uwagi głównie dlatego, że to społeczeństwo nie dysponuje obecnie wystarczającą ilością „armat” oraz „parowców”, aby być dla innych tamtejszych współczesnych społeczeństw, jak to się mówi, „autorytetem”.

Ale za to ci potomkowie dawnych wielkich Greków, czyli dzisiejsi Grecy, straciwszy przynależne niegdyś ich obecności przyzwyczajenie do bycia „wymagowanym autorytetem” dla innych tamtejszych istot trój mózgowych, doskonale się teraz tam przystosowali do prowadzenia na prawie wszystkich kontynentach i wyspach „sklepików” gdzie bez pośpiechu, pomalutku i po cichutku, handlują swoimi, jak mówią, „gąbkami” „chałwą” „rachatłukum” itd., a czasem też „perskimi suszonymi owocami” no i oczywiście zawsze mają u siebie puszki z rybą, która nazywa się „cefal”.

Jeśli zaś chodzi o potomków słynnych Rzymian, to choć także dalej przychodzą na świat i egzystują, nie są już jednak nazywani tak samo jak ich przodkowie, mimo że główny ośrodek ich społeczeństwa



czeństwa nosi do dzisiaj podobnie brzmiącą nazwę – „Rzym”.

Inne tamtejsze istoty zwą teraz współczesne istoty należące do społeczeństwa utworzonego przez potomków byłych pasterzy, późniejszych wielkich Rzymian, „Włochami”.

Istoty z tych tak zwanych Włoch nie odziedziczyły po swych przodkach prawie nic, prócz tego specyficznego impulsu istnie- niowego, który starożytne istoty-Rzymianie po raz pierwszy na tej planecie skryształizowały w swych obecnościach i którym stopniowo zaraziły potem wszystkie inne tamtejsze istoty trój- mózgowe.

Istoty współczesnego społeczeństwa Włoch także egzystują obecnie bardzo cicho i spokojnie i jedynie wymyślają „bezszelest- nie” coraz to nowe formy swoich nieszkodliwych oraz zupełnie niewinnych „makaronów”.

Nawiasem mówiąc, niektóre istoty współczesnych Włoch otrzymały w spadku po przodkach jedną szczególną i bardzo ory- ginalną „właściwość”, która nazywa się „sprawianie przyjemno- ści innym”.

Tylko że tej odziedziczonej potrzeby „sprawiania przyjemności” nie przejawiają wobec istot do nich podobnych, lecz wobec istot o innych formach.

Trzeba sprawiedliwie przyznać, że istoty z niektórych rejonów współczesnych Włoch przejęły tę wspomnianą szczególną „wła- ściwość” nie po wielkich Rzymianach, ale po swoich przodkach z o wiele późniejszych epok, którzy w swym czasie zaczęli „rozpo- wszechniać” zarówno wśród istot własnego społeczeństwa, jak i sąsiednich słabszych społeczeństw nauczanie pewnego auten- tycznego Świętego Posłańca z Góry, przeinaczone już dla ich ego- istycznych celów.

Aktualnie istoty z niektórych rejonów współczesnych Włoch manifestują tę właściwość „sprawiania przyjemności innym” w sposób następujący:

Otóż kiedy unicestwiają egzystencję czworonożnych istot zwa- nych „owcami” i „kozami”, których ciała planetarne służą im tak-

że za pierwszy pokarm, nie czynią tego od razu, lecz aby sprawić tym ostatnim wspomnianą „przyjemność” robią to „po cichutku i pomalutku” przez wiele dni, to znaczy najpierw pozbawiają je jednej nogi, następnego dnia drugiej, po kilku dniach trzeciej itd., dopóki „owca” czy „koza” jeszcze oddycha – a owce i kozy potrafią oddychać bardzo długo bez tych części ich zbiorczej obecności, ponieważ w podstawowych funkcjach służących do pobierania niezbędnych do egzystencji substancji kosmicznych owe części udziału nie biorą, natomiast w funkcjach, które pobudzają w istotach impulsy wywołujące doznanie siebie, uczestniczą.

Po tym, co powiedziałem, sądzę, że nie trzeba się już więcej rozwodzić nad potomkami owych Rzymian, którzy byli niegdyś tak „wielcy” i „groźni” dla innych tamtejszych społeczeństw.

Teraz porozmawiajmy w końcu o tym szczególnie szkodliwym wymyśle starożytnych Greków, który w chwili obecnej stosują w praktyce istoty tamtejszego współczesnego społeczeństwa zwanego „Anglią”, a który nazywa się „sport”.

Istoty tego współczesnego społeczeństwa Anglii, które w większości już praktycznie realizują w procesie swojej zwykłej egzystencji ów nader szkodliwy wynalazek starożytnych Greków, nie dość, że po pierwsze, z powodu jego zgubnych następstw dodały jeszcze jeden wyjątkowo „niezawodny” czynnik, skracający coraz bardziej już i tak znikomą długość ich egzystencji, i że po drugie, właśnie teraz nadszedł czas, by to ich społeczeństwo przeżywało swoją „wielkość” wskutek czego stały się autorytetem dla innych tamtejszych istot trójmózgowych, to jeszcze praktyczną realizację tego wymysłu uczyniły swym ideałem, a jego rozpowszechnienie celem, co w sumie doprowadziło tam do tego, że dziś wszelkimi możliwymi sposobami i „na całego” zarażają tym wymysłem wszystkie inne duże i małe społeczeństwa tej nieszczęsnej planety.

Ponownie źródłem tego bardzo poważnego tamtejszego nieporozumienia było zniknięcie ze zbiorczej obecności twoich ulubieńców możliwości krystalizowania się czynników, które urzeczywistniają w trójmózgowych istotach „logiczne myślenie”.

Wskutek braku w nich tego „logicznego myślenia” niemal wszyscy bez wyjątku, jedynie dlatego, że pewni tamtejsi kandydaci na Hasnamusów stwierdzili, iż dzięki sportowi można uzyskać dla siebie „coś” dobrego, uwierzyli w to całą swą obecnością i teraz z nadzieją, że uda im się to „coś” osiągnąć, oddają się bez reszty owemu sportowi.

Żaden z tych nieszczęśników nie wie i prawdopodobnie nigdy nawet się nie domyśli, że ten ich zgubny sport nie tylko niczego dobrego im nie przyniesie, ale też, jak ci już powiedziałem, powoduje, że jeszcze bardziej skraca się już i tak znikoma długość ich egzystencji.

Abyś mógł lepiej wyobrazić sobie i zrozumieć, dlaczego ten sport wpływa na ciągłe skracanie ich egzystencji, warto, żebym w tym miejscu trochę bardziej szczegółowo wyjaśnił – co zresztą już kiedyś ci obiecałem – różnicę między długością egzystencji istnieniowej według zasady „fulasnitamnej”, a długością egzystencji istnieniowej według zasady „Itoklanoc”.

Pamiętasz, któregoś razu, tłumacząc ci, w jaki sposób twoi ulubieńcy określają „upływ czasu” powiedziałem, że kiedy z ich obecności usunięto organ kundabufor z wszystkimi jego właściwościami i długość ich egzystencji zaczęła być taka sama jak u innych normalnych trójmózgowych istot, które powstają w naszym Wszechświecie zgodnie z zasadą fulasnitamną, oni także mieli obowiązek egzystować tak długo, aż ich drugie ciało istnieniowe, czyli „ciało kesdżan” całkowicie się w nich oblecze i definitywnie udoskonali w rozumie do „świętego Iszmecha”.

Później jednak, gdy zaczęli egzystować w sposób coraz mniej godny istot trójmózgowych i zupełnie przestali wypełniać w swych obecnościach przewidziane przez Wielką Przyrodę partkdołgpowinności istnieniowe – tracąc tym samym jedyną możliwość, jaką mają trójmózgowe istoty, żeby zgromadzić w swej obecności dane potrzebne do obleczenia wyższych części – i kiedy na skutek tego wszystkiego jakość ich promieniowania przestała odpowiadać wymaganiom przeogromnego ogólnokosmicznego procesu trogoautoegokratycznego, otóż właśnie wte-

dy Wielka Przyroda, aby „zrównoważyć wibracje” zmuszona była stopniowo dopasować długość ich egzystencji do zasady zwanej „Itoklanoc”, która generalnie wszędzie wyznacza długość egzystencji istot jednomózgowych i dwumózgowych, to znaczy istot pozbawionych tych samych możliwości co istoty trójmózgowe i przez to pozbawionych również szansy urzeczywistnienia w swoich obecnościach partkdołgpowinności przewidzianych przez Przyrodę.

Zgodnie z tą zasadą długość ich egzystencji istnieniowej, a także cała zawartość ich zbiorczej obecności zależą z reguły od rezultatów, które pochodzą z następujących siedmiu danych środowiskowych:

1. Dziedziczności jako takiej.
2. Warunków i okoliczności w momencie poczęcia.
3. Kombinacji promieniowań wszystkich planet ich układu słonecznego w okresie, gdy kształtują się oni w łonie producentki.
4. Poziomu przejawów istnieniowych ich producentów do momentu, gdy sami osiągną wiek istoty odpowiedzialnej.
5. Jakości egzystencji istnieniowej podobnych do nich istot z najbliższego otoczenia.
6. Jakości „teleokrymalniczych” fal myślowych – także wytwarzanych w otaczającej ich atmosferze w okresie przed osiągnięciem przez nich pełnoletności – czyli szczerze okazywanej dobrej woli oraz dobrych uczynków spełnionych przez istoty z nimi spokrewnione.

I na koniec:

7. Jakości własnych egoplastikurów istnieniowych danej istoty, czyli jej wysiłków istnieniowych podejmowanych gwoli przystoczenia w sobie tych wszystkich danych, które są niezbędne do osiągnięcia obiektywnego rozumu.

Główna osobliwość egzystencji opierającej się na zasadzie Itoklanoc polega na tym, że w obecnościach istot, które są jej podpo-

rządkowane, w zależności od siedmiu wymienionych realizacji zewnętrznych krystalizuje się w ich „istnieniowych lokalizacjach” lub, jak mówią twoi ulubieńcy, w „mózgach” – stanowiących w istotach centralne punkty, gdzie skupiają się źródła urzeczywistnienia wszystkich oddzielnych i niezależnych części ich zbiorczej obecności – tak zwana rolkokandelnośńia, czyli „coś”, co dostarcza danej lokalizacji lub mózgowi określonej liczby możliwych „skojarzeń” albo „przeżyć”.

Tak więc, mój chłopcze, wskutek tego, że ci twoi współcześni ulubieńcy, trój mózgowe istoty planety Ziemia, powstają już tylko i wyłącznie wedle zasady Itoklanoc, w ich mózgach od momentu poczęcia aż do osiągnięcia przez nich wieku odpowiedzialnej istoty trójmózgowej krystalizują się rolkokandelnośńie z wyraźnie określonymi możliwościami realizowania procesów skojarzeniowych.

Aby lepiej naświetlić tę kwestię i pomóc ci ją lepiej zrozumieć, a także by nie tracić zbyt dużo czasu na wyjaśnienie samego sedna oraz formy funkcjonowania takiej określonej realizacji kosmicznej, jaką jest ta wspomniana przed chwilą rolkokandelnośńia – zgodnie z prawem krystalizująca się w lokalizacjach lub mózgach istot egzystujących wyłącznie wedle zasady Itoklanoc – wezmę dla przykładu owe „sztuczne zamtesternochy”, których odpowiednikami są stosowane także przez twoich ulubieńców, jak oni je nazywają, „zegary mechaniczne”.

Chociaż istnieją różne „systemy” takich sztucznych zamtesternochów lub zegarów mechanicznych, jednak, jak już dobrze wiesz, wszystkie są skonstruowane w oparciu o tę samą zasadę „naprężenia lub nacisku rozwijającej się sprężyny”.

Jeden model sztucznego zamtesternocha lub zegara mechanicznego zawiera sprężynę tak wymierzoną i dobraną, żeby w trakcie rozprężania się starczyło jej naciągu na dokładnie dwadzieścia cztery godziny; drugi model ma z kolei sprężynę obliczoną na tydzień, trzeci na miesiąc itd.

W mózgach istot, które egzystują wyłącznie według zasady Itoklanoc, rolkokandelnośńie odpowiadają sprężynom w różnych

systemach zegarów mechanicznych.

Tak jak długość działania zegarów mechanicznych zależy od znajdującej się w nich sprężyny, tak samo długość egzystencji istot zależy wyłącznie od rolkokandelności, które kształtują się w ich mózgach zarówno w chwili narodzin, jak i w trakcie procesu ich dalszej formacji.

Podobnie jak „nakręcenie” sprężyny zegara wystarcza tylko na określony czas, tak samo istoty mogą „asocjować” i doświadczać jedynie w takim stopniu, w jakim pozwalają im na to możliwości przeżywania, którymi obdarzyła je Przyroda podczas krystalizacji w ich mózgach rzeczonych rolkokandelności.

Mogą więc asocjować i wskutek tego egzystować dokładnie tyle i ani chwili dłużej, ani chwili krócej.

Zegary mechaniczne działają jedynie tak długo, jak długo nakręcona sprężyna pozostaje „napięta”; i tak samo istoty, u których krystalizują się w mózgach wspomniane rolkokandelności, mogą doświadczać i przez to egzystować tylko dopóty, dopóki te rolkokandelności, uformowane w ich mózgach dzięki siedmiu wzmiankowanym warunkom zewnętrznym, się nie zużyją.

A zatem, mój chłopcze, odkąd obecność twoich ulubieńców przestała już zawierać w sobie rezultaty partkdołgpowinności i długość ich egzystencji zaczęła zależeć wyłącznie od rezultatów siedmiu dopiero co wymienionych przeze mnie, przypadkowo powstałych warunków zewnętrznych, owa długość, szczególnie u istot współczesnych, stała się bardzo zróżnicowana.

Obecnie długość ich egzystencji może wynosić od jednej ichniej minuty aż do siedemdziesięciu lub dziewięćdziesięciu ichnich lat.

Otóż ze wszystkiego, co powiedziałem, wynika, że w jakikolwiek sposób twoi ulubieńcy by egzystowali, jakiegokolwiek zastosowałoby środki i nawet gdyby, jak sami mówią, „schowali się pod szklanym kloszem”, to w chwili, kiedy wyczerpuje się zawartość skryształizowanych w ich mózgach rolkokandelności, ten czy

inny mózg od razu przestaje funkcjonować.

Zegary mechaniczne różnią się od twoich ulubieńców tylko tym, że zawierają jedną sprężynę, podczas gdy twoi ulubieńcy dysponują trzema samodzielnymi rolkokandelnościami.

W trójmózgowych istotach te samodzielne rolkokandelnośnie, które znajdują się w każdej z ich trzech samodzielnych „lokalizacji”, nazywają się z reguły następująco:

1. Rolkokandelnośnia centrum myślowego
2. Rolkokandelnośnia centrum czuciowego
3. Rolkokandelnośnia centrum ruchowego

Nawet ów fakt, na który ostatnio można się często natknąć, a polegający na tym, że proces świętego Raskuarno przebiega u twoich ulubieńców „po jednej trzeciej” lub, jak sami by powiedzieli, że „umierają po części”, także wynika z tego, że powstawszy i ukształtowany się wyłącznie wedle zasady Itoklanoc, w trakcie swej nieharmonijnej egzystencji zużywają oni zawartość tych trzech odrębnych i samodzielnych mózgów lub rolkokandelnośni nierównomiernie, skutkiem czego nierzadko się zdarza, że czeka ich to tak straszliwe i niegodne istot trójmózgowych „umieranie”.

W czasie mojego pobytu wśród nich wielokrotnie byłem świadkiem takiego „umierania w jednej trzeciej”.

Rzecz w tym, że nawet wtedy, gdy w ich obecnościach całkowicie zużywa się rolkokandelnośnia któregoś z mózgów, twoi ulubieńcy, szczególnie ci współcześni, dalej egzystują, i to czasami nawet przez bardzo długi czas.

Na przykład często się tam zdarza, że u któregoś z nich, z powodu swoiście nienormalnej egzystencji, zawartość jednej z rolkokandelnośni zaczyna się wyczerpywać; jeśli dotyczy to „centrum ruchowego” lub, jak sami mówią, „rdzenia kręgowego” wtedy taka tamtejsza współczesna istota trójmózgowa, chociaż ciągle jeszcze „myśli” i „czuje” traci jednak już zdolność intencjonalnego kierowania częściami swojego ciała planetarnego.

Warto tu zauważyć, że kiedy jeden z twoich współczesnych ulubieńców już na zawsze umiera w części właśnie w ten sposób, ich współcześni cyrliknerzy lub, jak oni ich nazywają, „lekarze” z całym przekonaniem uznają taką śmierć za chorobę i zaczynają leczyć ją za pomocą właściwych już im „wymądrzań”, nadając rym wyimaginowanym chorobom przeróżne nazwy, których współbrzmienia przypominają pewien nieznany im zupełnie starożytny język zwany „łacina”.

Najbardziej rozpowszechnione tam choroby nazywają się „hemiplegia”, „paraplegia” „paralysis progressiva” „paralysis essentialis” „tabes dorsalis” „paralysis agitans” „sclerosis disseminata” itd.; itp.

Takie „umieranie w jednej trzeciej” zaczęło występować szczególnie często na przypadłej ci do gustu planecie Ziemia w ostatnich dwóch stuleciach i czeka tych z twoich ulubieńców, którzy z racji swego zawodu lub dzięki jednej z ichnich „pasji” – pojawiających się w istotach należących do wszystkich tamtejszych dużych i małych społeczeństw wskutek tych samych nienormalnie powstałych warunków ich zwykłej egzystencji istnieniowej – w większym lub mniejszym stopniu zużywają w trakcie tej swojej egzystencji istnieniowej zawartość rolkokandelnośni któregoś z ich mózgów istnieniowych.

Na przykład takie „umieranie w jednej trzeciej” w wypadku rolkokandelnośni centrum ruchowego, to znaczy „rdzenia kręgowego” występuje często wśród tych ziemskich istot, które oddają się zajęciu będącemu następstwem fatalnego wymysłu starożytnych Greków i praktykowanemu obecnie przez istoty należące do współczesnego społeczeństwa Anglii, czyli temu „szkodliwemu zajęciu” nazywanemu przez nie „sportem”.

W pełni zrozumiesz, jak zgubne są konsekwencje tego tamtejszego szkodliwego zajęcia, jeśli powiem ci, że podczas pobytu wśród twoich ulubieńców, zaprowadziwszy w moich statystykach specjalną rubrykę mającą wyjaśnić mi, jak długo mogą egzystować te tamtejsze istoty trójmózgowe, które obrały zawód „zapaśnika”, ani razu w tych statystykach nie odnotowałem, że któ-



raś z nich przeżyła więcej niż czterdzieści dziewięć ichnich lat.

„Umieranie w jednej trzeciej” wywołane przedwczesnym zużyciem rolkokandelności centrum czuciowego najczęściej spotyka się wśród tych ziemskich istot, które obierają zawód, jak to się mówi, „przedstawiciela sztuki”.

Owi ziemscy profesjonaliści, zwłaszcza współcześni, w większości zapadają najpierw na różne odmiany choroby zwanej „psychopatią”, a następnie – z racji tego, że w tej swojej psychopatii uczą się naumyślnie, jak sami mówią, „czuć” i później doświadczają wielokrotnie takiego nienormalnego impulsu istnieniowego – zużywają stopniowo zawartość rolkokandelności centrum czuciowego, dysharmonizując w ten sposób tempo swych zbiorczych obecności i doprowadzając się do tak oryginalnego końca, jaki nawet wśród tamtejszych istot należy do rzadkości.

Warto w tym miejscu zaznaczyć, że „umieranie w jednej trzeciej” w wypadku centrum czuciowego występuje wśród twoich ulubieńców także wskutek pewnej bardzo oryginalnej formy „psychopatii”, którą nazywa się tam „altruizmem”.

Jeśli zaś chodzi o częściową przedwczesną śmierć wywołaną przez rolkokandelność centrum myślowego, to w ostatnich czasach takie wypadki zdarzają się wśród twoich ulubieńców coraz częściej.

Umieranie centrum myślowego spotyka się tam przede wszystkim wśród tych twoich ulubieńców, którzy albo chcą zostać, albo już zostali uczonymi „nowej formacji”, a także wśród tych, którzy w trakcie swej egzystencji cierpią na manię czytania tak zwanych książek i gazet.

Takie tamtejsze istoty trójmózgowe za dużo czytają i asocjują tylko za pomocą myśli, stąd też zawartość rolkokandelności ich centrum myślowego wyczerpuje się wcześniej niż zawartość rolkokandelności innych centrów istnieniowych.

A zatem, mój chłopcze, wszystkie te nieszczęścia twoich ulubieńców, czyli skrócenie długości ich egzystencji oraz liczne inne szkodliwe dla nich samych następstwa, wynikają wyłącznie

z tego, że oni nigdy dotąd nie domyślili się istnienia kosmicznego prawa, które zwane jest „równoważeniem wielozródłowych wibracji”.

Gdyby choć jednemu z nich przysłała do głowy taka idea i gdyby zaczęli toczyć na jej temat swoje zwykłe wymądrzania, to być może któryś odgadłby w końcu pewien bardzo prosty, jak oni mówią, „sekret”.

Dopuszczam taką możliwość, że ktoś wpadłby na ów „sekret”, ponieważ po pierwsze, jest prosty i oczywisty, a po drugie, oni sami już dawno temu go odkryli i często sięgają po niego w swoich, jak je określają, „praktycznych urządzeniach”.

Ten prosty sekret zastosowali nawet w zegarze mechanicznym, który wzięliśmy za przykład, mówiąc o długości ich egzystencji.

Ów prosty sekret wykorzystują we wszystkich systemach zegarów mechanicznych do ustawiania w odpowiedniej części ogólnego mechanizmu „siły naciągu” wspomnianej sprężyny i nazywają go bodajże „regulatorem”.

Za pomocą tego regulatora można na przykład spowodować; że zegar mechaniczny nakręcony na dwadzieścia cztery godziny będzie działał przez cały miesiąc lub, na odwrót, że to samo nakręcenie przewidziane na dwadzieścia cztery godziny starczy tylko na pięć minut.

W zbiorczej obecności każdej istoty, która egzystuje jedynie w oparciu o Itoklanoc, znajduje się pewne „coś” co przypomina regulator zegara mechanicznego i nosi nazwę „iransamkip”, to znaczy: „nieuleganie takim skojarzeniom, które są rezultatem funkcjonowania tylko jednego z własnych mózgów”.

Ale nawet gdyby twoi ulubieńcy rozwikłali ten prosty sekret, to i tak nie podjęliby niezbędnych wysiłków istnieniowych, które są całkowicie dostępne również dla istot współczesnych i zrządzeniem opatrności Przyrody stwarzają możliwość tego, co zwie się „harmonijnym kojarzeniem” będącym jedynym sposobem wyprodukowania w obecności każdej trójmózgowej istoty, a zatem i w nich samych, energii do aktywnej egzystencji istnieniowej.

Dzisiaj energia ta wytwarzana jest w obecnościach twoich ulubieńców tylko podczas ich zupełnie nieświadomego stanu, czyli w trakcie, jak oni to nazywają, „snu”.

Twoi ulubieńcy, szczególnie ci współcześni, egzystują przez cały czas biernie pod kierunkiem tylko jednej z oddzielnie uduchowionych części ich zbiorczej obecności i z tego powodu zawsze manifestują się wyłącznie poprzez powstałe w nich, tak samo zgodnie z prawem, czynniki kształtujące właściwości negatywne; w rezultacie takich szkodliwych przejawów występuje w nich nierównomierne zużycie zawartości różnych rolkokandelności, a więc doświadczają zawsze różnorodnych możliwości działania, które zdeponowała w nich zgodnie z prawem Przyroda, tylko w jednym lub dwu z ich mózgów, na skutek czego zawartość jednej albo dwóch rolkokandelności wyczerpuje się przedwcześnie i tracą zdolność działania dokładnie tak samo jak mechaniczne zegary; w których poluzowała się całkiem sprężyna bądź osłabła siła regulatorów.

Później przy okazji nie tylko wyjaśnię ci szczegółowo, dlaczego właśnie w istotach; które egzystują wyłącznie według zasady Ito-klanoc, kiedy ich egzystencja toczy się pod dyktando jednego lub dwóch uduchowionych źródeł – a nie harmonijnie, za zgodą wszystkich trzech – ten ich mózg, który w trakcie swojej egzystencji funkcjonował zbyt intensywnie, wyczerpuje się w nich przedwcześnie i umiera, lecz także wytłumaczę, dlaczego z tego samego powodu wyczerpują się również inne rolkokandelności, i to nawet nie biorąc w tym bezpośrednio udziału.

Powinieneś zresztą wiedzieć, że do dzisiaj tam, na twojej planecie, można spotkać wśród twoich ulubieńców też takich, których egzystencja planetarna trwa nawet pięć ichnich stuleci.

Teraz możesz już bardzo dobrze zrozumieć, dlaczego nawet ostatnimi czasy u niektórych twoich ulubieńców – mianowicie tych, którzy jakimś cudem poznali, a także przetworzyli w swoim rozumie zarówno pewne szczegóły prawa skojarzeń powstających w każdym z mózgów istot, jak i detale dotyczące wzajemnego oddziaływania tych niezależnych skojarzeń, i którzy egzystują

mniej więcej w zgodzie z tym prawem – rolkokandelnośnie kształtujące się w ich oddzielnych mózgach istnieniowych nie wyczerpują się tak jak w innych tamtejszych istotach, dzięki czemu ich zbiorcza obecność może egzystować o wiele dłużej niż w przypadku pozostałych istot trójmózgowych.

Podczas mojej ostatniej wizyty osobiście natknąłem się tam na kilka takich współczesnych ziemskich istot trójmózgowych, które miały po dwieście, trzysta, a nawet około czterystu ichnich lat. Najwięcej z nich spotkałem w niedużym „bractwie” tamtejszych istot trójmózgowych, którego siedziba znajduje się w centrum kontynentu Azja i które skupia wyznawców prawie wszystkich tamtejszych „religii”.

Jak się okazało, istoty z tego bractwa częściowo same odkryły wspomniane prawo skojarzeń płynących w mózgach istnieniowych, a częściowo informacje na ten temat dotarły do nich z odległej przeszłości za pośrednictwem prawdziwych tamtejszych wtajemniczonych.

Jeśli zaś chodzi o istoty współczesnego społeczeństwa Anglii, które stały się głównymi ofiarami tak szczególnie szkodliwego wymysłu istot cywilizacji starogreckiej, to obecnie one nie tylko stosują go w procesie własnej egzystencji, ale też robią, co mogą, żeby tym złem zarazić istoty wszystkich innych społeczeństw. Nie dość, że z powodu tego zgubnego sportu ci nieszczęśnicy skrócili już i tak znikomą długość swojej egzystencji, to jeszcze doprowadzą w ten sposób, moim zdaniem, do tego, że ich społeczeństwo spotka taki sam los, jaki całkiem niedawno spotkał tamtejsze duże społeczeństwo o nazwie „Rosja”.

Przyszło mi to na myśl jeszcze w czasie mojej bytności tam, tuż przed opuszczeniem na zawsze tej planety.

A pomyślałem o tym, gdy po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, że istoty dzierżące władzę w tym równie wielkim współczesnym społeczeństwie zaczęły używać tego ich szkodliwego „sportu” do takich samych hasnamuskich celów, do jakich dzierżące władzę istoty społeczeństwa Rosji wykorzystały tak zwaną kwestię „rosyjskiej wódki”.

Podobnie jak istoty dzierżące władzę w społeczeństwie Rosji próbowały, używając wszelkich forteli, wpoić w słabą wolę zwykłych istot silną potrzebę używania tej „rosyjskiej wódki” tak samo dzierżące władzę istoty w społeczeństwie Anglii zaczęły wynajdywać różne metody wzbudzania u zwykłych istot ich społeczeństwa fascynacji tym ichnim sportem, wspierając go jednocześnie na wszystkie możliwe sposoby.

Wydaje mi się zresztą, że powstałe wtedy we mnie obawy już się zaczynają sprawdzać.

A wnioskuje to z eterogramu, który niedawno otrzymałem z planety Mars i w którym między innymi poinformowano mnie, że choć w społeczeństwie Anglii jest ponad dwa i pół miliona „bezrobotnych istot”, to istoty dzierżące władzę nic w tej sprawie nie robią, tylko jeszcze bardziej starają się tam rozpowszechnić ten ich sławetny sport.

I tak samo jak wcześniej w wielkim społeczeństwie Rosji wszystkie tak zwane gazety i czasopisma zajmowały się wciąż kwestią rosyjskiej wódki, tak teraz w społeczeństwie Anglii ponad połowa artykułów w tych wszystkich ichnich „siewcach zła” poświęcona jest temu sławetnemu sportowi.

## Rozdział 30

### Sztuka

W tym miejscu swej opowieści Belzebub zamilkł, a potem zwróciwszy się nagle do starego sługi Ahuna, który siedział tam i słuchał go równie uważnie jak jego wnuk Hassin, rzekł:

– Co ci się stało, mój stary, że słuchasz mnie z takim samym zainteresowaniem jak nasz Hassin? Przecież towarzyszyłeś mi zawsze i wszędzie na tej planecie Ziemia i wszystko, o czym opowiadam teraz Hassinowi, sam mogłeś zobaczyć na własne oczy i odczuć.

Zamiast siedzieć tu i „zagęszczać ślinę” w czasie moich opowieści, ty też opowiedz coś naszemu ulubieńcowi... Nie ma rady! Powinniśmy opowiedzieć mu jak najwięcej o tych osobliwych trójmózgowych istotach, skoro wzbudziły w nim takie zainteresowanie.

Na pewno ciebie też musiało coś zaciekawić w tych odmiennościach, a więc o tym właśnie mu opowiedz.

Kiedy Belzebub skończył mówić, Ahun, pomyślawszy przez chwilę, odpowiedział:

– Gdzie mi tam po twoich subtelno-psychologicznych opowieściach o tych „mętniakach” pchać się z moimi!

A następnie, już z niecodzienną powagą i zapożyczając słowa, a nawet całe zwroty od Belzebuba, kontynuował:

– Tak, oczywiście... nie ma dwóch zdań! Te osobliwe trójmózgowe istoty moją esencję także nieraz wytrącały z równowagi i tymi swoimi „popisowymi numerami” prawie zawsze rozbudzały, bądź to w jednej, bądź też w drugiej z moich uduchowionych części, istnieniowy impuls zdumienia.

Następnie, zwracając się już do Hassina, powiedział:

– Dobrze, nasz drogi Hassinie!

Nie będę opowiadał ci szczegółowo, tak jak Jego Przewielebność, o tej czy innej specyficznej osobliwości psychiki tych przypadłych ci do gustu trójmózgowych istot naszego Wielkiego Wszechświata. Nie... przypomnę tylko Jego Przewielebności o jednym fakcie, którego źródła sięgają naszego piątego pobytu na powierzchni owej planety a który w trakcie naszej szóstej i ostatniej wizyty tak już się tam ugruntował, że bardziej niż cokolwiek innego zdołał w każdym z twoich ulubieńców – od przyścia na świat aż do momentu ukształtowania się w istotę odpowiedzialną – wypaczyć krok po kroku zdolność normalnego myślenia istnieniowego, przekształcając je niemalże w „kaltusarę”.

Potem, zwracając się do samego Belzebuba, z nieśmiałym spojrzeniem i niepewnym tonem kontynuował:

– Nie gań mnie, Wasza Przewielebność, że ośmielam się wyrazić przed tobą pogląd, który właśnie zrodził się we mnie i opiera się na być może już nazbyt wyświechtanych danych, by można z nich wyciągnąć jakąś istnieniową konkluzję.

Opowiadając naszemu drogiemu Hassinowi o najprzeróżniejszych przyczynach tego, że psychika tych przypadłych mu do gustu współczesnych istot trójmózgowych planety Ziemia przekształciła się, jak raczyłeś się kiedyś wyrazić, w „młynek do mielenia bredni” nawet mimochodem nie wspomniałeś o czynniku, który w ciągu ich ostatnich stuleci wpłynął na to chyba bardziej niż wszystkie inne.

Chcę wspomnieć o tym czynniku, który zdecydowanie okazał się zgubny dla tamtejszych współczesnych istot i którego przyczyn powstania – jak doskonale pamiętam – sam byłeś świadkiem w trakcie naszego pobytu w Babilonie, a mianowicie o czynniku zwanym przez nie same „sztuką”.

Moim zdaniem, gdybyś był tak łaskaw i zgodził się, czerpiąc ze swojej mądrości, szczegółowo rozwinąć tę kwestię, to nasz drogi Hassin otrzymałby najwyborniejszy materiał, dzięki któremu mógłby pewnie lepiej wyjaśnić sobie wszystkie anormalne działości psychiki trójmózgowych istot powstających ostatnimi czasy na tej budzącej jego zainteresowanie planecie Ziemia.

Powiedziawszy to, Ahun otarł końcem ogona krople potu, który wystąpił mu na czoło, a następnie w milczeniu przyjął swą zwyczajną wyczekującą pozę.

Belzebub popatrzył na niego z czułością i powiedział:

– Dziękuję ci, mój stary, że mi o tym przypomniałeś. Faktycznie, nawet przelotnie nie wspomniałem o tym prawdziwie szkodliwym czynniku, będącym ich własnym wytworem i prowadzącym do ostatecznej utraty także tych potrzebnych do ich istnienia danych, które przypadkowo jeszcze w nich ocalały.

Zresztą, stary druhu, nawet jeśli do tej pory ani razu o tym nie mówiłem, to nie znaczy, że nie nosiłem się z takim zamiarem. Nasza podróż potrwa jeszcze długo i jest całkiem prawdopodobne, że w trakcie kolejnych opowieści przeznaczonych dla naszego wspólnego ulubieńca Hassina wspomniałbym we właściwym momencie także o tym, na co właśnie zwróciłeś moją uwagę.

Tak czy owak nadeszła pewnie odpowiednia chwila, żeby pomówić o tej współczesnej ziemskiej sztuce, ponieważ rzeczywiście, jak sam powiedziałeś, w czasie naszego piątego osobistego pobytu tam byłem świadkiem wydarzeń leżących u źródeł tego współczesnego zła i wywołanych przez te same tamtejsze uczone istoty, które przybyły do miasta Babilon z prawie całej powierzchni owej nieszczęsnej planety.

Wypowiedziawszy te słowa, Belzebub zwrócił się do Hassina i kontynuował:

– Obecnie to ugruntowane już pojęcie, istniejące tam teraz pod nazwą „sztuka”, stanowi dla twoich nieszczęsnych ulubieńców jedno z tych automatycznie działających danych, których całość stopniowo i prawie niezauważalnie, ale za to wyjątkowo dokładnie przerabia ich samych – to znaczy istoty mające w swych obecnościach wszelkie możliwości, by stać się częścią części Boskości – na to, co zwie się po prostu „żywym mięsem”.

Aby wszechstronnie wyświecić ci kwestię owej sławetnej współczesnej ziemskiej sztuki, a także byś mógł jasno zrozumieć,



jakie były jej koleje, musisz najpierw zapoznać się z dwoma faktami, które miały miejsce w Babilonie po naszym piątym osobistym przylocie na powierzchnię twojej planety.

Pierwszy z nich pozwoli ci dokładnie zrozumieć, dlaczego i w jaki sposób stałem się świadkiem wydarzeń, które doprowadziły do pojawienia się wśród współczesnych trójmózgowych istot planety Ziemia tego teraz już zdecydowanie szkodliwego pojęcia nazywanego tam „sztuką” natomiast drugi fakt ukaze ci jeszcze wcześniejsze wypadki, które były źródłem tych późniejszych wydarzeń.

W związku z pierwszym faktem muszę powiedzieć, że po wspomnianych już przeze mnie wydarzeniach, do których doszło wśród ziemskich uczonych istot trójmózgowych przybyłych prawie z całej powierzchni planety do Babilonu, a mianowicie po tym, jak podzieliły się na kilka niezależnych grup i już się zaczęły pasjonować kwestią, by tak rzec, „polityki”, zrodził się we mnie zamiar opuszczenia Babilonu i kontynuowania obserwacji wśród istot należących do sporego już wtedy społeczeństwa zwanego „Hellad”. Dlatego też postanowiłem przystąpić natychmiast do nauki ich „języka” i od tamtej chwili odwiedzałem w Babilonie przede wszystkim takie miejsca i spotykałem się z takimi tamtejszymi istotami, które mogły mi się w tym okazać przydatne.

Pewnego razu, gdy szedłem jedną z ulic miasta Babilon biegnącą w pobliżu naszego domu, zauważyłem na dużym budynku, który już wielokrotnie mijałem, wywieszony dopiero co „wabik wzroku”, czyli, jak mówi się teraz na Ziemi, „szyld”, który obwieszczał, że w tym budynku mieści się nowo otwarty klub zagranicznych uczonych, „Adeptów Legomonizmu”. Na drzwiach wisiało ogłoszenie informujące, że wciąż trwają zapisy na członków klubu i że wszystkie odczyty, a także naukowe dysputy, będą się odbywały wyłącznie w języku lokalnym oraz języku helleńskim.

Bardzo mnie to zaciekało i od razu pomyślałem, że mógłbym przy okazji wykorzystać ten nowo otwarty klub do uprawiania się w języku helleńskim.

Zacząłem więc wypytywać istoty, które wchodziły do wspomnianego gmachu lub z niego wychodziły, o szczegóły dotyczące klubu, a kiedy dzięki wyjaśnieniom pewnego uczonego, którego znałem już wcześniej, zorientowałem się mniej więcej, o co chodzi, z miejsca postanowiłem zostać członkiem tego klubu.

Nie namyślając się dłużej, wszedłem więc do środka i podając się za zagranicznego uczonego, poprosiłem, by przyjęto mnie na Adepta Legomonizmu, z czym zresztą nie miałem żadnych kłopotów, a to dzięki temu przypadkowo spotkanemu dawnemu znajomemu, który – podobnie jak inni – wziął mnie za takiego samego jak oni zagranicznego uczonego.

Tak więc, mój chłopcze, stawszy się w ten sposób „pełnoprawnym członkiem” tego klubu, zacząłem do niego regularnie uczęszczać i prowadzić tam rozmowy głównie z tymi jego uczonymi członkami, którzy znali ów potrzebny mi język helleński.

Co się zaś tyczy drugiego faktu, to wyniknął on z następujących babilońskich wydarzeń:

Należy zwrócić uwagę, że wśród uczonych istot planety Ziemia, które znajdowały się wtedy w Babilonie – po części sprowadzone tam siłą z prawie całej planety przez wspomnianego perskiego władcę, a częściowo przybyłe dobrowolnie, przyciągnięte sławetną kwestią „duszy” – znajdowało się kilka takich, które w przeciwieństwie do większości nie były uczonymi „nowej formacji”, lecz ze szczerością płynącą już ze wszystkich ich oddzielnych uduchowionych części dążyły do zdobycia wyższej wiedzy wyłącznie gwoli samodoskonalenia.

Tych kilku ziemskich uczonych dzięki swoim autentycznym i szczerym dążeniom, a także odpowiedniemu sposobowi egzystencji oraz istnieniowym działaniom, zasłużyło jeszcze przed przybyciem do Babilonu na tytuł „wtajemniczonych pierwszego stopnia”, nadany im przez te ziemskie istoty trójmózgowe, które okazały się godne miana „pełnoprawnych wtajemniczonych podług odnowionych zasad Przenajświętszego Asziaty Szyjemasza”.

Tak więc, mój chłopcze, kiedy zacząłem chodzić do wspomniana-

nego klubu, zarówno rozmowy z nimi, jak i inne dane jasno pokazały mi, że tych kilku ziemskich uczonych, którzy szczerze dążyli do udoskonalenia się w rozumie, od samego początku trzymało się w mieście Babilon na uboczu i nigdy nie mieszało się w żadne z tych spraw, które bardzo szybko pochłonęły ogół ówczesnych babilońskich uczonych.

Owych paru uczonych trzymało się na ustroniu nie tylko na początku, kiedy wszyscy inni uczeni znajdujący się wówczas w Babilonie ustanowili w samym centrum miasta miejsce swoich zgromadzeń i założyli tam główny klub wszystkich uczonych Ziemi; aby udzielać sobie nawzajem lepszego materialnego i moralnego wsparcia, lecz także później, gdy całe to grono uczonych podzieliło się na trzy oddzielne „sekcje” i każda sekcja stworzyła w innej części miasta Babilon niezależny klub, oni dalej nie brali udziału w pracy żadnej z tych trzech sekcji.

Ich egzystencja toczyła się na skraju miasta Babilon, gdzie praktycznie nie spotykali się z nikim z całej tej masy uczonych, i dopiero kilka dni przed przyjęciem mnie na członka zebrali się po raz pierwszy, żeby zorganizować klub „Adeptów Legomonizmu”.

Uczeni, o których mówię, wszyscy bez wyjątku znaleźli się w Babilonie nie z własnej woli i należeli w większości do grupy uczonych, których perski monarcha wywiózł siłą z Egiptu.

Jak się następnie dowiedziałem, ich zrzeszenie zainicjowali dwaj uczeni zaliczani do wspomnianych wtajemniczonych pierwszego stopnia.

Pierwsza z tych dwóch wtajemniczonych ziemskich uczonych istot, która wywodziła się spośród tak zwanych Maurów, nazywała się Kanil-El-Norkel, natomiast druga miała na imię Pitagoras i pochodziła z tak zwanych Hellenów – tych samych, których potem zaczęto nazywać „Grekami”.

Jak się później okazało, ci dwaj uczeni spotkali się przypadkowo w mieście Babilon i podczas ich „ujsapagajrozumnej wymiany zdań”, czyli w trakcie takich rozmów, które zawsze skupiają się wokół pytania: „Jakie formy egzystencji istnieniowej współcze-

snych istot mogą zapewnić pomyślność istotom późniejszych epok?” jasno stwierdzili, że w procesie przemiany pokoleń występuje u ludzi na Ziemi pewne bardzo niepożądane i godne pożałowania zjawisko, a mianowicie w czasie procesów unicestwiania się nawzajem, czyli w trakcie tak zwanych wojen i buntów narodowych, zawsze z tego lub innego powodu dochodzi do unicestwienia dużej liczby wtajemniczonych istot wszystkich stopni, co z kolei pociąga za sobą nieodwracalną utratę wielu legomonizmów będących zarówno kiedyś, jak i dzisiaj jedynym środkiem przekazywania z pokolenia na pokolenie różnych informacji o wydarzeniach, które naprawdę miały miejsce w przeszłości na Ziemi.

Kiedy ci dwaj szczerzy i uczciwi ziemscy uczeni zdali sobie sprawę z tego, jak nazwali je wtedy, „godnego pożałowania zjawiska” długo się nad nim zastanawiali i w rezultacie tych wszystkich rozmyślań postanowili wykorzystać tę wyjątkową okoliczność, czyli obecność tak wielu uczonych w jednym mieście, aby się wspólnie naradzić i znaleźć jakiś sposób na zapobieżenie owemu bolesnemu zjawisku wynikającemu z nienormalnych warunków życia ludzi na Ziemi.

Otóż właśnie w tym celu założyli wspomniany klub, który nazwali „Klubem Adeptów Legomonizmu”.

Na ich apel odpowiedziało tak wiele podzielających ich poglądy istot, że już dwa dni po moim wstąpieniu do klubu przestano przyjmować nowych członków.

W dniu, w którym lista członków została zamknięta, do klubu należało stu trzydziestu dziewięciu uczonych i liczba ta nie zmieniła się aż do czasu, gdy perskiemu władcy sprzykrzył się niedawny kaprys związany z tymi ziemskimi uczonymi.

Jak się dowiedziałem już po wstąpieniu do tego klubu, w dniu jego otwarcia wszyscy uczeni członkowie zwołali „walne zebranie” i jednomyślnie postanowili odbywać codziennie takie walne zebrania, na których wszystkie odczyty i dyskusje miały być poświęcone tylko dwóm następującym kwestiom: „Jakich środków powinni użyć członkowie klubu, aby po powrocie do domu móc

we własnym kraju zebrać wszystkie istniejące tam jeszcze legomonizmy i udostępnić je uczonym członkom tego założonego przez nich klubu?” oraz: „Co należy zrobić, żeby zapewnić przekaz legomonizmów następnym pokoleniom nie tylko za pośrednictwem wtajemniczonych, ale także w jakiś inny sposób?”

Jeszcze przed przyjęciem mnie do klubu na tych walnych zgromadzeniach wygłoszono wiele różnych referatów i przeprowadzono liczne dyskusje, które dotyczyły dwu wspomnianych kwestii. A w samym dniu mojego wstąpienia długo mówiono o tym, jak nakłonić do udziału w urzeczywistnianiu podstawowego zadania tego klubu także te wtajemniczone istoty, które należały do grona wyznawców owych, by tak rzec, „nurtów” zwanych wtedy „onandżikowie”, „szamaniści”, „buddyści” itd.

Trzeciego dnia po moim zapisaniu się na członka klubu po raz pierwszy padło w nim właśnie to słowo, które przypadkiem dotarło do tamtejszych współczesnych istot i stało się jednym z poważnych czynników ostatecznego zaniku wszystkich ocalałych jeszcze danych potrzebnych do w miarę logicznego myślenia istnieniowego, a mianowicie słowo „sztuka”, którego użyto wówczas w innym znaczeniu i którego definicja odnosiła się do zupełnie innego pojęcia, mającego całkiem odmienny wydźwięk.

Słowo to zostało wypowiedziane w następujących okolicznościach:

W dniu, w którym po raz pierwszy użyto słowa „sztuka” i dokładnie zdefiniowano znaczenie tego rzeczywistego pojęcia, jednym z mówców był członek Klubu Legomonistów, bardzo znany wtedy chaldejski uczony o imieniu Akszarpancjara.

Ponieważ odczyt wygłoszony przez tego sędziwego chaldejskiego uczonego, wielkiego Akszarpancjara, był źródłem wszystkim późniejszych wydarzeń związanych z tą ich dzisiejszą sztuką, spróbuję teraz przypomnieć sobie jego wystąpienie i powtórzyć ci je jak najwierniej.

Zaczął on wtedy od następujących słów:

„Minione stulecia, a szczególnie dwa ostatnie, pokazały nam, że

w czasie nieuchronnych psychoz ludowych mas, niezmiennie prowadzących do wojen między państwami oraz do różnych buntów wewnątrz samych tych państw, zawsze niewinnymi ofiarami narodowego zezwierżenia są przede wszystkim ci ludzie, którzy dzięki swojej świątobliwości i narzuconym sobie świadomym wyrzeczeniom zasłużyli na tytuł wtajemniczonych i za których pośrednictwem są właśnie przekazywane świadomym istotom następnych pokoleń różne legomonizmy zawierające informacje o wszelkiego rodzaju prawdziwych wydarzeniach z przeszłości.

A to, że ofiarami narodowego zezwierżenia zawsze stają się akurat tacy pobożni ludzie, wynika moim zdaniem tylko z tego, że osiągnąwszy wewnętrzną wolność, już nie identyfikują się w pełni, jak cała reszta, z tym, co zwykle interesuje ich otoczenie i przez to nie mogą dzielić ani namiętności, ani zachwyty, ani wzruszeń, ani też żadnych innych tego rodzaju najwyraźniej szczerych przejawów istot z ich otoczenia. I chociaż w zwykłych czasach egzystują normalnie i zarówno wewnątrz, jak i zewnętrznie przejawiają zawsze życzliwość w stosunku do swego otoczenia – dzięki czemu w życiu codziennym zyskują szacunek i poważanie wszystkich wokół – to kiedy masa zwykłych ludzi wpada we wspomnianą psychozę i dzieli się z reguły na dwa przeciwstawne obozy, wówczas tacy ludzie, ze swoimi zezwierzconymi przez walkę rozumami, zaczynają żywić chorobliwe podejrzenia właśnie wobec tych, którzy w normalnych czasach zawsze zachowywali spokój i powagę.

Następnie zaś, jeśli przypadkowo uwaga istot ogarniętych psychozą nieco dłużej zatrzyma się na tych wyjątkowych osobach, to te pierwsze utwierdzają się w przekonaniu, że także w zwykłych i czasach owi poważni i zawsze spokojnie zachowujący się ludzie byli ni mniej, ni więcej, tylko «szpiegami» ich obecnych wrogów i przeciwników.

Takie zezwierzcone istoty dochodzą swoimi chorymi rozumami do kategoriycznego wniosku, że za wcześniejszą powagą i spokojem tych drugich nie kryło się nic innego, jak tylko «skrytość»

i «dwulicowość».

Potem zaś w wyniku tych swoich psychopatycznych postanowień owi zezwierzęceni ludzie, należący do jednej lub drugiej z wojujących stron, zabijają bez jakichkolwiek wyrzutów sumienia te poważne i spokojne osoby.

Oto co, moim zdaniem, jest najczęstszą przyczyną tego, że w trakcie przekazywania z pokolenia na pokolenie wiele legomonizmów o wydarzeniach, które rzeczywiście miały kiedyś miejsce na Ziemi, całkowicie znika z jej powierzchni.

Tak więc, moi dostojni koledzy, jeśli chcecie znać mój osobisty pogląd, to całym swoim jestestwem wyznam wam szczerze, że bez względu na to wszystko, co właśnie wam powiedziałem o przekazywaniu przez odpowiednich wtajemniczonych za pomocą legomonizmów prawdziwej wiedzy odległym pokoleniom, absolutnie niczego tutaj nie da się zmienić.

Niechaj więc ów sposób przekazu informacji pozostanie taki sam, w zgodzie z tym, co zostało ustalone na Ziemi od zarania wieków, zwłaszcza że taka forma przekazu informacji za pośrednictwem wtajemniczonych? posługująca się ich «mocą bycia», została całkiem niedawno wskrzeszona przez wielkiego proroka Asziate Szyjemasza.

Jeśli my, ludzie współcześni, pragniemy zrobić dzisiaj coś pożytecznego dla ludzi przyszłych epok, to powinniśmy jedynie dodać do tego istniejącego już sposobu przekazu jeszcze jakiś inny nowy sposób, podyktowany zarówno praktyką naszego teraźniejszego życia na Ziemi, jak i wielowiekowym doświadczeniem poprzednich pokoleń, znanym nam dzięki informacjom, które do nas dotarły.

Osobiście proponuję wam, aby owo przekazywanie wiedzy następnym pokoleniom dokonywało się za pomocą ludzkich «afalkalnów», czyli różnych stosowanych w życiu codziennym wytworów ludzkich rąk, a także ludzkich «soldżinochów», to znaczy rozmaitych praktyk oraz ceremonii, które już od wieków ugruntowały się w życiu rodzinnym i społecznym ludzi, a które prze-

chodzą automatycznie z pokolenia na pokolenie.

Ludzkie afalkalna, szczególnie te wytwarzane z materiałów trwałych, albo same dotrą – ocalawszy dzięki różnym zbiegom okoliczności – do ludzi z odległych pokoleń, albo też zaczną być przekazywane z pokolenia na pokolenie ich kopie, a to wskutek cechy zakorzenionej w esencji ludzi i polegającej na podawaniu się za twórców różnych wyrobów, które dotarły do nich od ludzi dawno minionych epok i w których oni sami zmieniają tylko kilka nieistotnych detali.

Jeśli zaś chodzi o ludzkie soldzinochy, na przykład różne «misteria», «ceremonie religijne», «obyczaje rodzinne i społeczne», «tańce religijne i ludowe» itd., to chociaż z upływem czasu ich forma zewnętrzna często się zmienia, jednak impulsy, które wzbudzają one w ludziach, jak również wynikające z tych impulsów ludzkie przejawy, pozostają zawsze takie same. A zatem jeżeli w wewnętrznych czynnikach, które rodzą tego typu impulsy oraz zwyczajowe ludzkie przejawy umieścimy różne pożyteczne informacje, a także zdobytą już przez nas prawdziwą wiedzę, to możemy w pełni liczyć na to, że dotrą one do naszych bardzo dalekich potomków i że niektórzy z nich zdołają je odszyfrować, dzięki czemu wszyscy pozostali będą mogli z nich korzystać dla własnego dobra.

Powinniśmy tylko zapytać: Jak można konkretnie zrealizować taki przekaz za pomocą różnych ludzkich afalkalnów i soldzinochów, na które wskazałem?

Ja sam proponuję zrobić to, opierając się na światowym prawie zwanym «Prawem Siedmiokrotności».

Prawo Siedmiokrotności istnieje na Ziemi i będzie na niej istnieć zawsze i we wszystkim.

Na przykład zgodnie z tym prawem biały promień składa się z siedmiu samodzielnych kolorów, każdy określony dźwięk zawiera siedem różnych samodzielnych tonów, dowolny stan człowieka cechuje siedem różnych samodzielnych doznań, każda określona forma ma tylko siedem różnych wymiarów, każdy cię-



zar utrzymuje się na Ziemi jedynie dzięki siedmiu «wzajemnym parciom» itd.

A zatem tę istniejącą obecnie wiedzę, którą jednomyślnie uważamy za pożyteczną dla naszych dalekich potomków – i to zarówno tę, którą zdobyliśmy sami, jak i tę, która dotarła do nas z minionych epok – powinniśmy w jakiś sposób zapisać we wspomnianych ludzkich afalkalnach i soldżinochach, tak by ludzie późniejszych epok, korzystając z pomocy tego wielkiego światowego prawa, dostrzegli ją swym czystym rozumem.

Powtarzam: Prawo Siedmiokrotności będzie istnieć na Ziemi tak długo, jak długo istnieje świat, i dopóki na Ziemi będzie istnieć ludzka myśl, dopóty ludzie wszystkich epok będą je dostrzegać i rozumieć; dlatego właśnie można śmiało stwierdzić, że również wiedza zapisana w taki sposób w różnych wytworach będzie istnieć na Ziemi wiecznie.

Co się zaś tyczy samej techniki, czyli sposobu przekazywania wiedzy za pomocą tego prawa, to moim zdaniem mogłaby ona przyjąć następującą formę:

We wszystkich wytworach, które na podstawie tego prawa celowo stworzymy, aby przekazać je następnym pokoleniom, dopuszczimy specjalnie pewne, także zgodne z prawem, nieścisłości i w tych zgodnych z prawem nieścisłościach umieścimy w czytelny sposób zawartość takiej czy innej prawdziwej wiedzy, która stała się własnością ludzi współczesnych.

Na wszelki wypadek, jako pomoc do rozszyfrowania owych nieścisłości tego wielkiego prawa czy też, jak można by rzec, w charakterze «klucza» do nich, nasze wytwory będą zawierać coś w rodzaju legomonizmu, którego przekazywanie z pokolenia na pokolenie powierzmy specjalnego rodzaju wtajemniczonym nazwanym przez nas «wtajemniczonymi w sztukę».

A będziemy ich w ten sposób nazywać, ponieważ cały proces takiego przekazywania wiedzy odległym pokoleniom za pomocą Prawa Siedmiokrotności nie będzie odbywał się naturalnie, lecz sztucznie.

Tak więc, moi prześwieceni i bezstronni koledzy!

Jak teraz sami już powinniście zrozumieć, nawet jeżeli z jakiegoś powodu te pożyteczne dla naszych potomków informacje, dotyczące zarówno wcześniej zdobytej przez ludzi wiedzy, jak i minionych wydarzeń na Ziemi, nie dotrą do nich za pośrednictwem autentycznych wtajemniczonych, to dzięki proponowanym przeze mnie nowym środkom przekazu ludzie przyszłych pokoleń zawsze będą mieli możliwość odkrycia i zrozumienia, nawet jeśli nie całości tego, co obecnie wiadomo, to przynajmniej tych znanych już fragmentów ogólnej wiedzy, które przypadkowo dotrą do nich we wspomnianych wytworach rąk ludzi współczesnych, a także w tych różnych istniejących obecnie ceremoniach, do których, korzystając z naszej «sztucznej» notacji, będziemy mogli wprowadzić za pomocą wielkiego Prawa Siedmiokrotności to, co potrzebne”.

Tymi słowami wielki Akszarpancjara zakończył swoje wystąpienie.

Po jego przemowie wielkie podniecenie ogarnęło wszystkich członków klubu „Adeptów Legomonizmu”, którzy zaczęli toczyć między sobą burzliwe dyskusje i ostatecznie postanowili jednogłośnie zastosować się do propozycji wielkiego Akszarpancjara.

Następnie zarządzili krótką przerwę na posiłek, po której wszyscy znów się zebrali i to już drugie tego dnia walne zgromadzenie ciągnęło się przez całą noc.

W jego trakcie jednomyślnie zdecydowali, że poczynając od następnego dnia, zabiorą się do robienia „miniobrazów” lub, jak mówią tamtejsze współczesne istoty trój mózgowe, „modeli” różnych wytworów, i że postarają się znaleźć najbardziej odpowiednią oraz praktyczną metodę wprowadzania do nich adnotacji zgodnych z zasadami, które wyłożył wielki Akszarpancjara, i jeszcze się zobowiązali, że te miniobrazy lub modele przyniosą potem do klubu, aby je pokazać i objaśnić pozostałym członkom.

Już po dwóch dniach wielu z nich zaczęło przychodzić wieczorem z takimi własnoręcznie wykonanymi miniobrazami i udzie-

lając stosownych wyjaśnień, pokazywać je, a także demonstrować g rozmaite działania, które w przeszłości istoty tej planety miały niekiedy zwyczaj wykonywać w procesie ich zwykłej egzystencji i które zresztą jeszcze do dzisiaj wykonują.

Niektóre z przyniesionych modeli przedstawiały różne kombinacje kolorów, inne zaś różnorakie formy gmachów i budowli, a jeśli chodzi o demonstracje przejawów istnieniowych, to należały do nich: gra na różnych instrumentach muzycznych, śpiewanie przeróżnych melodii, dokładne odtwarzanie rozmaitych cudzych przeżyć itd., itp.

Wkrótce członkowie klubu podzielili się dla większej wygody na kilka grup i każdą siódmą część odstępu czasu, który nazywa się u nich „tygodniem”, czyli każdy, jak sami mówią, „dzień” poświęcali na demonstrację i objaśnianie swoich wytworów związanych z którąś ze specjalnych gałęzi wiedzy.

Warto tu zauważyć, że zawsze taki określony odstęp czasu, mianowicie „tydzień”, dzielono na twojej planecie na siedem dni i że ów podział wprowadziły jeszcze istoty z kontynentu Atlantyda, które za jego pomocą wyrażały to samo, doskonale wówczas im znane, Prawo Siedmiokrotności.

Na kontynencie Atlantyda dni tygodnia nazywały się wtedy tak:

1. Adaszsikra
2. Ewosikra
3. Geworksikra
4. Midosikra
5. Majkosikra
6. Lukosikra
7. Soniasikra

Te nazwy wielokrotnie się zmieniały i obecnie tamtejsze istoty nazywają dni tygodnia następująco:

1. Poniedziałek

2. Wtorek
3. Środa
4. Czwartek
5. Piątek
6. Sobota
7. Niedziela

A więc, jak ci już mówiłem, każdy dzień tygodnia poświęcali wytworom z określonej dziedziny, będącym albo dziełem ich rąk, albo reprezentującym jakąś inną formę świadomie nakierowanych przejawów istnieniowych.

I tak, poniedziałek poświęcili pierwszej grupie i nazwali go „dniem ceremonii religijnych i świeckich”.

Druga grupa miała do dyspozycji wtorek zwany „dniem architektury”.

Środa była „dniem malarstwa”.

Czwartek „dniem tańców religijnych i ludowych”.

Piątek „dniem rzeźby”.

Sobota „dniem misteriów” lub, jak nazywano ją inaczej, „dniem teatru”.

Niedziela „dniem muzyki i śpiewu”.

W każdy poniedziałek, czyli „dzień ceremonii religijnych i świeckich” uczeni z pierwszej grupy przedstawiali różne ceremonie, w których przeznaczone do przekazu „fragmenty wiedzy” były zapisywane w nieścistościach Prawa Siedmiokrotności – głównie nieścistościach występujących w zgodnych z prawem ruchach uczestników owych ceremonii.

Zażółmy na przykład, że prowadzący daną ceremonię kapłan – lub po dzisiejszemu ksiądz – musi wyciągnąć ręce do nieba.

Zgodnie z Prawem Siedmiokrotności ta jego poza zawsze wymaga tego, by miał stopy ustawione w określony sposób; jednakże owi babilońscy uczeni umyślnie nakazywali prowadzącemu ceremonię ustawić stopy nie tak, jak wymagało tego to prawo,

lecz inaczej.

Mówiąc ogólnie, właśnie w tych wszystkich ruchach wykonywanych „inaczej” przez uczestników danej ceremonii religijnej uczeni z tej grupy zapisywali umownym „alfabetem” pojęcia, które chcieli przekazać istotom-ludziom z późniejszych pokoleń.

We wtorek, czyli „dzień architektury”, uczone istoty należące do drugiej grupy przynosiły projekty i różne modele takich gmachów oraz budowli, które mogłyby się okazać bardzo trwałe.

Jednakże plan konstrukcji owych budowli robiły niezupełnie w zgodzie z zasadą stabilności wynikającą z Prawa Siedmiokrotności ani też nie tak, jak przywykły to robić mechanicznie tamtejsze istoty, lecz „inaczej”.

Na przykład wszelkie dane wskazywały na to, że kopuła pewnej budowli powinna była spoczywać na czterech kolumnach wiadomej grubości i o określonej wytrzymałości.

One jednak umieszczały taką kopułę tylko na trzech kolumnach i szacowały wzajemne parcie lub, jak określa się to inaczej, „wzajemny opór” – który zgodnie z Prawem Siedmiokrotności pozwala ciężarowi utrzymać się nad powierzchnią planety – robiąc te swoje obliczenia nie tylko na podstawie samych kolumn, ale również stosując rozmaite niecodzienne kombinacje, które wynikały z tego samego Prawa Siedmiokrotności i były już znane całej masie zwykłych ówczesnych istot; innymi słowy, wymagany poziom oporu kolumn wyznaczały, biorąc przede wszystkim pod uwagę ciężar samej kopuły.

Albo drugi przykład: zgodnie ze wszystkimi danymi, które zostały tam utrwalone zarówno mechanicznie przez wielowiekową praktykę, jak i dzięki całkowicie świadomym obliczeniom pewnych tamtejszych rozumnych istot, każdy kamień węgielny powinien obowiązkowo mieć określoną masę odpowiadającą pewnej sile oporu; one jednak postępowały inaczej i ów kamień węgielny systematycznie cięły i stawiały w taki sposób, że zupełnie nie odpowiadał wspomnianym danym, natomiast masę i siłę oporu potrzebną do wsparcia leżącego na nim ciężaru wyznacza-

ły na podstawie Prawa Siedmiokrotności, biorąc pod uwagę rozłożenie znajdujących się pod tym ciężarem kamieni, które również układały nie tak, jak nakazywał zwyczaj, lecz znowu opierając obliczenia na warstwie jeszcze niżej położonych kamieni itd.

I właśnie układając kamienie w takie odbiegające od normy kombinacje, które wynikały z Prawa Siedmiokrotności, zapisywały – ponownie w umownym „alfabecie” – treść takich czy innych pożytecznych informacji.

Ponadto uczeni członkowie tej grupy klubu „Adeptów Legomizmu”, odnotowując to, co chcieli przekazać w swych mini-obrazach lub modelach zaprojektowanych budowli, korzystali z prawa zwanego „Dejwibrickar”, czyli prawa działania wibracji, które powstają w atmosferze pomieszczeń zamkniętych.

To prawo, z którego nic nie dotarło do współczesnych istot trój mózgowych twojej planety, było wówczas dobrze znane tamtejszym istotom, to znaczy doskonale zdawały sobie one sprawę, że wielkość i kształt zamkniętych pomieszczeń, a także objętość znajdującego się w nich powietrza mają na istoty określony wpływ.

Korzystając z tego prawa, odnotowywały różne swoje idee w następujący sposób:

Załóżmy, że ze względu na charakter i przeznaczenie danego budynku, zgodnie z Prawem Siedmiokrotności oraz wykształconymi mechanicznie od wieków przyzwyczajeniami, jego wewnętrzne pomieszczenia powinny wywoływać określone doznania w pewnej zgodnej z prawem kolejności.

Ale one, stosując prawo Dejwibrickar, tworzyły takie zestawienia, by wewnętrzne pomieszczenia projektowanego budynku wywoływały te oczekiwane doznania w istotach, które do nich wchodziły, nie w przewidzianej, znanej i zgodnej z prawem kolejności, ale w jakimś zupełnie innym porządku.

I właśnie za pomocą takich odstępstw od tej zgodnej z prawem kolejności doznań odnotowywały w wiadomy sobie sposób to, co chciały przekazać.

Środy, „dni malarstwa” były poświęcone studiowaniu różnych zestawień kolorów.

W te dni uczeni z tej grupy przynosili i demonstrowali wszelkiego rodzaju przedmioty użytku domowego zrobione z bardzo trwałych kolorowych materiałów, na przykład „dywany” „tkaniny” i „czinkruary”, czyli skóry ozdobione różnokolorowymi rysunkami i specjalnie przygotowane, aby mogły przetrwać wiele stuleci itd.

Na takich wytworach były namalowane lub wyhaftowane barwnymi nićmi rozmaite obrazy przyrody tej planety, a także różne formy zamieszkujących ją istot.

Zanim powiem ci więcej o tym, w jaki sposób ci ziemscy uczeni wpisywali wtedy różne fragmenty wiedzy w zestawienia kolorów, muszę podkreślić pewien fakt, który wiąże się z tym, o czym teraz mówię – fakt szczególnie bolesny dla twoich ulubieńców, a zaistniały w ich obecnościach jak zwykle z powodu ustalonych przez nich samych nienormalnych form ich powszedniej egzystencji.

Chcę ci mianowicie powiedzieć najpierw o stopniowym pogorszeniu się jakości „narządów percepcji”, które formują się w obecności wszystkich istot, a w szczególności o organie, który w danym wypadku nas interesuje, to znaczy organie postrzegania i rozróżniania, jak to się mówi, „fuzji wibracji środkociężkościowych”, docierających na ich planetę z przestrzeni Wszechświata.

Mam na myśli zarówno to, co nazywa się „wszechcałościową wibracją wszystkich źródeł urzeczywistniania”, czyli dokładnie to, co wspomniany wielki uczony Akszarpanciar nazwał „białym promieniem” jak również takie percepcje wrażeń, które otrzymuje się z poszczególnych „fuzji wibracji środkociężkościowych” i które są odbierane przez istoty jako odrębne „odcienie kolorów”.

Musisz wiedzieć, że na planecie Ziemia w chwili powstania trójmózgowych istot oraz w pierwszej fazie ich egzystencji, czyli zanim wszczepiono im organ kundabufor, jak również wtedy, gdy ów organ całkowicie usunięto z ich obecności, i nawet jeszcze

później, po drugiej tamtejszej katastrofie transapalnej, to znaczy niemalże do chwili naszego trzeciego osobistego przylotu na powierzchnię tej planety, kształtujący się w nich organ wzroku był obdarzony taką samą „wrażliwością percepcji” jak w zbiorczych obecnościach wszystkich zwykłych istot trójmózgowych całego naszego Wielkiego Wszechświata.

Uprzednio, w tych wymienionych przeze mnie okresach, ów organ, który kształtuje się we wszystkich trójmózgowych istotach powstających na tej planecie, cechowała taka wrażliwość, że potrafiły one nie tylko postrzegać wspomniane fuzje poszczególnych „wibracji środkociężkościowych białego promienia”, ale także rozróżniać jedną trzecią wszystkich „odcieni kolorów”, które występują w obecnościach planet oraz we wszelkich innych dużych i małych skupieniach kosmicznych.

Obiektywna nauka dokładnie ustaliła, że liczba odrębnych fuzji wibracji środkociężkościowych wchodzących w skład wszechcałościowej wibracji, a mianowicie liczba „odcieni kolorów” równa się dokładnie jednemu „hultanpanasowi”, czyli zgodnie z obliczeniami ziemskich istot trójmózgowych wynosi pięć milionów siedemset sześćdziesiąt cztery tysiące osiemset jeden odcieni.

Tylko jedna trzecia całkowitej liczby fuzji lub odcieni – wyłączając jeden odcień, dostępny tylko percepcji naszego wszechsamowładnego nieskończonego – czyli milion dziewięćset dwadzieścia jeden tysięcy sześćset odcieni, może być postrzegana jako „różne kolory” przez wszystkie zwykłe istoty powstające na dowolnej planecie naszego Wielkiego Wszechświata.

Gdyby jednak istoty trójmózgowe doprowadziły do końca doskonalenie swojej najwyższej części istnieniowej i ich organy postrzegające widzialność osiągnęły przez to wrażliwość „wzroku ołujestestochnego”, to mogłyby wtedy rozróżniać dwie trzecie wszystkich istniejących we Wszechświecie odcieni, czyli zgodnie z ziemskimi obliczeniami trzy miliony osiemset czterdzieści trzy tysiące dwieście różnych odcieni kolorów.

I tylko te istoty trójmózgowe, które udoskonalały swoją najwyższą część istnieniową do stanu zwanego „Izmech” mogły postrze-



gać i rozróżniać wszystkie fuzje lub odcienie z wyjątkiem jednego odcienia, który, jak już ci powiedziałem, jest dostępny jedynie NASZEMU WSZECHWŁADNEMU STWÓRCY.

Chociaż w przyszłości zamierzam ci szczegółowo wyjaśnić, jak i dlaczego w obecnościach „insapalnych skupień kosmicznych” każda określona formacja nabywa – wskutek procesów ewolucyjnych i inwolucyjnych – właściwości oddziaływania w różny sposób na wspomniany organ istot, sądzę jednak, że nie zaszkodzi, jeśli tę kwestię poruszę już teraz.

Przede wszystkim trzeba powiedzieć, że zgodnie z uzyskanym rezultatem podstawowego kosmicznego prawa świętego Heptaparaparszynoch, czyli tego kosmicznego prawa, które trójmózgowe istoty planety Ziemia okresu babilońskiego nazywały „Prawem Siedmiokrotności” „całościowa wibracja”, jak wszystkie ustalone już formacje kosmiczne, kształtuje się i składa z siedmiu „zespołów rezultatów” lub, jak się je czasem nazywa, „siedmiu klas wibracji” wypływających z takich kosmicznych źródeł, których powstanie i późniejsze oddziaływanie – w wypadku każdego z nich – również zależy od siedmiu innych źródeł, także pochodzących i zależnych od siedmiu jeszcze innych źródeł, i tak dalej, aż do pierwszej przeświętej „pojedynczosiedmiowłaściwościowej wibracji” wypływającej z Przenajświętszego Praźródła; a wszystkie one razem składają się na „wszechcałościową wibrację” wszystkich źródeł urzeczywistnienia wszystkiego, co istnieje w całym Wszechświecie, i dzięki transformacji tych ostatnich urzeczywistniają później w obecnościach „insapalnych skupień kosmicznych” wspomnianą liczbę różnych „odcieni kolorów”.

Jeśli zaś chodzi o szczegóły „przeświętej pojedynczosiedmiowłaściwościowej wibracji” to zrozumiesz je dopiero wtedy, gdy we właściwym czasie – jak już wielokrotnie obiecałem – dokładnie wyjaśnię ci wszystkie największe podstawowe prawa Powstania i Istnienia Świata.

Na razie w tej kwestii powinieneś wiedzieć, że kiedy wspomniana wszechcałościowa wibracja albo, jak mówią ziemskie istoty trójmózgowe, „biały promień” przenika z właściwą sobie

obecnością do sfer obecności planety insapalnej, w których możliwa jest jego transformacja, wtedy – tak samo jak każda inna już określona formacja kosmiczna, która dysponuje możliwością dalszej realizacji – ulega kosmicznemu procesowi o nazwie „Dżartkłom” to znaczy z punktu widzenia obecności pozostaje tym, czym jest, ale jego esencja poniekąd się rozpada i za pomocą poszczególnych „wibracji środkociężkościowych”, którym sama zawdzięcza swe powstanie, wywołuje procesy służące ewolucji i inwolucji; a te procesy urzeczywistniają się w taki sposób, że jedna grupa środkociężkościowych wibracji wypływa z drugiej i przekształca się w trzecią itd.

Podczas tego rodzaju transformacji rzeczona „wrzechcałościowa wibracja”, czyli „biały promień” oddziałuje swymi środkociężkościowymi wibracjami na inne zachodzące w pobliżu zwykłe wewnątrzplanetarne i naplanetarne procesy powstawania i rozpadu, i w zależności od otaczających warunków, a także w zgodzie z nimi, te środkociężkościowe wibracje łączą się wedle „pokrewieństwa wibracji” i stają integralną częścią zbiorczej obecności tych określonych wewnątrzplanetarnych i naplanetarnych formacji, w których toczą się wspomniane procesy.

Tak więc, mój chłopcze, w trakcie moich osobistych zstąpień na planetę Ziemia, najpierw bez świadomego zamiaru ze strony mojego rozumu, a później już całkiem celowo, zacząłem spostrzegać i w końcu wyraźnie stwierdziłem u nich wszystkich stopniową deteriorację takiego „narządu istnieniowego”.

„Wrażliwość percepcji” tego narządu – narządu, za pomocą którego w dużej mierze zachodzi w obecnościach trójmózgowych istot „automatyczne nasycenie się tym, co na zewnątrz”, stwarzające możliwość naturalnego samodoskonalenia – z każdym stuleciem tak się pogarszała, że w czasie naszego piątego pobytu tam, czyli w okresie zwanym przez tamtejsze współczesne istoty okresem „światności Babilonu” ów narząd mógł postrzegać i rozróżniać fuzje środkociężkościowych wibracji białego promienia najwyżej do trzeciego stopnia jego, jak to się mówi, „siedmiokrotnych nawarstwień” to znaczy zaledwie trzysta czterdzieści trzy

„odcienie kolorów”.

Warto w tym miejscu zauważyć, że wiele trójmózgowych istot wspomnianego okresu babilońskiego zaczęło się domyślać, iż wrażliwość tego ichniego narządu stopniowo słabnie, a niektóre z nich założyły nawet w Babilonie nowe towarzystwo, które zapoczątkowało wśród ówczesnych malarzy specyficzny „nurt”.

Ten specyficzny nurt ówczesnych malarzy miał następującą dewizę: „Poznać i wyjaśnić prawdę, używając tylko tych odcieni, które istnieją między bielą i czernią”.

Toteż w swojej twórczości zaczęli wtedy stosować wyłącznie odcienie występujące między czernią i bielą.

Gdy dowiedziałem się tam, w Babilonie, o tym szczególnym nurcie malarstwa, jego zwolennicy używali już w swoich dziełach około tysiąca pięciuset bardzo wyraźnie określonych odcieni koloru, który nazywano „szarym”.

Ten nowy nurt tamtejszego malarstwa narobił, jak to się mówi, „dużo szumu” wśród istot, które również dążyły do poznania prawdy choćby w takiej czy innej dziedzinie, i doprowadził nawet do powstania innego, jeszcze bardziej oryginalnego „nurtu”, tym razem wśród tych, których nazywano babilońskimi „węchami-stami”, czyli takich ówczesnych istot, które studiowały i tworzyły nowe „kombinacje skupień wibracji” oddziałujące w szczególny sposób na powonienie istot i wywołujące określone następstwa w ich zbiorczej psychice – to znaczy u tych tamtejszych istot, które postawiły sobie za cel odkrycie prawdy za pomocą zapachów.

Niektórzy entuzjaści takich badań, naśladowując zwolenników wspomnianej grupy malarzy, założyli podobne towarzystwo i hasłem tego nowego „nurtu” uczynili: „Poszukiwać prawdy w odcieniach zapachów wydzielających się pomiędzy chwilą, w której działanie zimna powoduje zamrożenie, a chwilą, w której działanie ciepła wywołuje rozkład”.

Podobnie jak malarze, oni także odkryli między tymi dwoma skrajnymi zapachami około siedmiuset wyraźnie określonych

odcieni, które wykorzystywali w swoich eksperymentach badawczych.

Nie wiem, do czego by ich doprowadziły i na czym się zatrzymały te dwa oryginalne „nurty”, gdyby nie to, że jeszcze w trakcie naszej bytności tam pewien nowo mianowany burmistrz Babilonu zaczął prześladować zwolenników tego drugiego nurtu za to, że swymi porządnie już wyostrzonymi zmysłami powonienia zaczęli dostrzegać i niechcący ujawniać pewne jego „ciemne interesy”, toteż przedsięwziął wszelkie możliwe środki, aby zlikwidować wszystko, co miało jakikolwiek związek nie tylko z tym drugim nowym nurtem, ale również z pierwszym.

Wracając do narządu, o którym zacząłem mówić, czyli organu służącego im do postrzegania widzialności innych kosmicznych formacji znajdujących się na zewnątrz, to także po okresie babilońskim jego wrażliwość dalej się pogarszała i doszło do tego, że podczas naszego ostatniego pobytu na powierzchni tej planety twoi ulubieńcy byli w stanie postrzegać i rozróżniać – zamiast miliona dziewięciuset dwudziestu jeden tysięcy sześciuset „odcieni kolorów”, które postrzegać i rozróżniać powinni – jedynie rezultat przedostatniej „siedmiokrotnej krystalizacji białego promienia”, to znaczy zaledwie czterdzieści dziewięć odcieni, i co więcej, tę zdolność wykazywała tylko część twoich ulubieńców, podczas gdy reszta, zapewne większość, pozbawiona była nawet tej możliwości.

Ale najciekawsze zjawisko związane z nieustannie postępującą degradacją tej najważniejszej części ich zbiorczej obecności to wynikała z niej żalosna farsa polegająca na tym, że te współczesne istoty trójmózgowe, które potrafią jeszcze rozróżnić ową wspomnianą mizerną cząstkę ogólnej liczby odcieni – czyli zaledwie czterdzieści dziewięć – traktują z pogardliwą zarozumiałością i domieszką impulsu dumy istoty, które straciły już umiejętność rozróżniania nawet takiej mizernej liczby, i twierdząc, że istoty te cierpią na anormalny niedorozwój wspomnianego narządu, zważają je chorymi podatnymi na „daltonizm”.

Siedem ostatnich fuzji „środkociężkościowych wibracji” białe-

go promienia nosiło wtedy w Babilonie i nadal nosi wśród tamtejszych współczesnych istot następujące nazwy:

1. Czerwień
2. Oranż
3. Żółć
4. Zielen
5. Błękit
6. Granat
7. Fiolet

Teraz zaś posłuchaj, w jaki sposób za pomocą kombinacji wspomnianych siedmiu określonych samodzielnych kolorów oraz wywodzących się z nich drugorzędnych odcieni uczeni, którzy należeli wtedy w Babilonie do grupy malarzy, odnotowywali te różne pożyteczne informacje, a także zdobyte przez siebie fragmenty wiedzy, w prawowitych nieścistościach wielkiego kosmicznego prawa nazwanego przez nich Prawem Siedmiokrotności.

Zgodnie z określoną właściwością białego promienia, czyli „całościowej wibracji”, w trakcie procesu jego przemiany, o którym przed chwilą mówiłem i który był już wtedy znany babilońskim uczonym malarzom, jego „środkociężkościowe wibracje” i – lub poszczególne kolory białego promienia – zawsze wypływają z drugiego koloru i zamieniają się w trzeci, na przykład kolor pomarańczowy, który uzyskuje się z czerwieni, sam przechodzi w żółć itd., itp.

Otóż babilońscy uczeni malarze, ilekroć tkali i haftowali kolorowymi nićmi lub kryli farbą swoje wytwory, zawsze rozmieszczali różnorodne odcienie kolorów – czy to wzdłuż, wszerz, czy też na skos – nie w prawidłowej kolejności, czyli takiej, w jakiej ów proces rzeczywiście zachodzi według Prawa Siedmiokrotności, ale inaczej; i właśnie w tych „inaczej”, również zgodnych z prawem, umieszczali zawartość takich czy innych informacji i nauk.

Z kolei w czwartek, czyli dzień przeznaczony na święte i ludowe tańce, uczeni należący do tej grupy prezentowali, udzielając należytych wyjaśnień, najróżniejsze formy tańców religijnych i ludowych, zarówno tych istniejących już wcześniej, których formę tylko trochę zmieniali, jak i zupełnie nowych, stworzonych przez nich samych.

Abyś mógł lepiej wyobrazić sobie i zrozumieć, w jaki sposób odnotowywali w tych tańcach to, co chcieli, musisz przede wszystkim wiedzieć, że ówczesni uczeni już od dawna doskonale zdawali sobie sprawę, iż zgodnie z Prawem Siedmiokrotności każda poza i dowolny ruch danej istoty składa się z siedmiu „wzajemnie równoważących się napięć”, które powstają w siedmiu niezależnych częściach jej łącznej całości; że każda z tych siedmiu części sama składa się z siedmiu różnych „linii ruchu”, a każda z tych linii ma siedem „punktów dynamicznego ześrodkowania” i że wszystko to powtarza się w tym samym duchu i w tym samym szyku – ale w coraz mniejszej skali – aż po najmniejsze cząstki całego ciała zwane „atomami”.

Tak więc podczas wspomnianych tańców owi uczeni-tancerze wprowadzali do swoich wzajemnie skoordynowanych i zgodnych z prawem ruchów tak samo zgodne z prawem zamierzone nieścistości, i właśnie w nich odnotowywali w pewnym porządku wiedzę oraz informacje, które chcieli przekazać.

W piątek, dzień poświęcony „rzeźbie”, uczone istoty należące do tej grupy przynosiły i demonstrowały, jak już mówiłem, swoje minioobrazy lub modele, które wykonywały z materiału zwanego tam „gliną”.

Te minioobrazy czy modele, które przynosiły po to, żeby pokazać je innym, z reguły przedstawiały pojedyncze i zebrane w rozmaite grupy istoty do nich podobne albo istoty o wszelkich innych formach zewnętrznych mające siedlisko na ich planecie.

Wśród tych prac można było znaleźć także różne „istoty alegoryczne”, które były przedstawiane z głową jednej formy istot, tułowiem drugiej, kończynami trzeciej itd.

Wszystko to, co należało koniecznie przekazać, uczone istoty należące do tej grupy odnotowywały w zgodnych z prawem nieścisłościach, jakie wprowadzały w odniesieniu do, jak mówiono wtedy, „prawa wymiarowości”.

Rzecz w tym, że wszystkie ówczesne ziemskie istoty trójmózgowe, a więc oczywiście również ci rzeźbiarze, wiedzieli już, iż w myśl wielkiego Prawa Siedmiokrotności rozmiar dowolnej określonej części całości każdej istoty jest pochodną siedmiu rozmiarów jej innych drugorzędnych części, które są z kolei pochodną siedmiu trzeciorzędnych części itd.

Skutkiem tego rozmiar każdej dużej lub małej części całości ciała planetarnego danej istoty zwiększa się lub zmniejsza ściśle proporcjonalnie do innych jego części.

To, co powiedziałem, można jasno zrozumieć na przykładzie twarzy dowolnej istoty trójmózgowej.

Ogólnie mówiąc, wielkość twarzy każdej trójmózgowej istoty, a więc także wielkość twarzy tych przypadłych ci do gustu ziemskich istot trój mózgowych, jest pochodną rozmiarów siedmiu odrębnych podstawowych części całego ich ciała, natomiast rozmiar każdej oddzielnej części twarzy jest pochodną siedmiu różnych rozmiarów całej twarzy. Na przykład wielkość nosa każdej y istoty zależy od rozmiarów innych części jej twarzy, a z kolei na tym nosie znajduje się siedem „wymiarowych powierzchni”, które też mają siedem zgodnych z prawem rozmiarów i tak dalej, aż do wspomnianego atomu ich twarzy, będącej, jak powiedziałem, jedną z siedmiu samodzielnych wielkości składających się na rozmiar całego ciała planetarnego.

Otóż właśnie w odchyleniach od takich zgodnych z prawem rozmiarów uczeni rzeźbiarze, członkowie klubu „Adeptów Legomizmu”, odnotowywali wtedy w mieście Babilon rozmaite pozytywne informacje oraz posiadane przez nich fragmenty wiedzy, które chcieli przekazać istotom przyszłych pokoleń.

W sobotę, dzień „misteriów” lub dzień „teatru”, pokazy prezentowane przez uczonych członków tej grupy były najbardziej inte-

resujące i, można by rzec, najbardziej „zatłoczone”.

Ja też przedkładałem soboty nad wszystkie inne dni tygodnia i starałem się żadnej nie opuścić.

A przedkładałem je, ponieważ pokazy organizowane w te dni przez uczone istoty ze wspomnianej grupy często wywoływały wśród pozostałych ziemskich istot trójmózgowych, które były członkami tej sekcji klubu, tak żywiołowy i szczery śmiech, że zdarzało się nawet, iż zapominałem, wśród jakich istot trójmózgowych się znajduję, i wówczas także we mnie manifestował się ów impuls istnieniowy, który normalnie pojawia się tylko wśród istot o tej samej naturze.

Uczeni należący do tej grupy najpierw odtwarzali przed pozostałymi członkami klubu różne formy istnieniowych przeżyć i przejawów, a następnie wszyscy wspólnie wybierali spośród nich te, które najlepiej odpowiadały różnym szczegółom któregoś z istniejących już wcześniej lub stworzonych przez nich samych misteriów; i dopiero później za pomocą umyślnie dopuszczonych odchyień od zasad Prawa Siedmiokrotności zapisywali w tych odtwarzanych przez siebie istnieniowych przeżyciach i przejawach to, co pragnęli przekazać.

Trzeba w tym miejscu zaznaczyć, że chociaż w poprzednich epokach misteria – zawierające niekiedy wiele pouczających pojęć, które przypadkowo poznali jacyś ichni antenaci – były przekazywane mechanicznie z pokolenia na pokolenie, i to czasem nawet aż do bardzo dalekich potomków, jednak akurat te misteria, w których uczeni członkowie klubu „Adeptów Legomonizmu” celowo umieścili różnorodną wiedzę, licząc na to, że przekażą ją istotom z o wiele późniejszych pokoleń, przestały tam ostatnimi czasy praktycznie istnieć.

Owe misteria, które od zarania dziejów przyjęły się w procesie ich zwykłej egzystencji, zaczęły stopniowo zanikać zaraz po okresie babilońskim. Początkowo ich miejsce zajęły „kesbaadzi” albo, jak nazywa się je teraz na kontynencie Europa, „widowiska kukielkowe” później zaś ostatecznie wyparły je istniejące do dzisiaj „przedstawienia teatralne”, czyli „spektakle” reprezentujące tam



obecnie jedną z form tejże ichniej współczesnej sztuki, która odgrywa szczególnie szkodliwą rolę w procesie postępującego „karłowacenia” ich psychiki.

Te „spektakle teatralne” zajęły miejsce misteriów zaraz po tym, jak pewne istoty z początków cywilizacji współczesnej, dowiedziawszy się tylko „piąte przez dziesiąte” o tym, co i jak robili ci uczeni babilońscy misteryści, postanowiły ich naśladować i rzekomo robić to samo.

Od tego czasu pozostałe tamtejsze istoty zaczęły nazywać tych naśladowców misterystów „wykonawcami” „komediantami” „aktorami”, a obecnie zwań ich nawet „artystami”, których zresztą namnożyło się tam w ostatnich czasach bez liku.

Otóż ci ówczesni uczeni należący do grupy misterystów odnotowywali różne pożyteczne informacje i zdobytą już przez siebie wiedzę za pomocą tego, co nazywa się „ciągiem ruchów skojarzeniowych” uczestników takich misteriów.

Mimo że w tamtym okresie trójmózgowe istoty twojej planety dobrze znały prawa „ciągu ruchów skojarzeniowych” to do współczesnych istot trójmózgowych nie dotarły absolutnie żadne informacje dotyczące tych praw.

Ponieważ w obecnościach przypadłych ci do gustu trójmózgowych istot ów „ciąg ruchów skojarzeniowych” nie przebiega tak, jak to generalnie wygląda w obecnościach innych istot trójmózgowych – i to z bardzo specyficznych, tylko im właściwych powodów – więc w pierwszej kolejności powinienem opowiedzieć ci o nim bardziej szczegółowo.

Jest to dokładnie ten sam proces, który zachodzi również w nas, tyle że w nas toczy się on wtedy, gdy celowo odpoczywamy, aby całościowe funkcjonowanie naszej zbiorczej obecności mogło swobodnie, bez ingerencji naszej woli, przekształcać wszelkiego rodzaju energię istnieniową potrzebną do dalszej wszechstronnej aktywnej egzystencji, podczas gdy w nich te same różnorodne energie istnieniowe powstają obecnie – i to oczywiście tylko „jak z łaski” – wyłącznie w trakcie zupełnej beczynności, czyli pod-

czas ich, jak to określają, „snu”.

A ponieważ, jak wszystkie pozostałe istoty trójmózgowe całego naszego Wielkiego Wszechświata, one też składają się z trzech odrębnych, samodzielnie uduchowionych części i centralnym miejscem skupiającym całokształt funkcjonowania każdej z tych samodzielnie uduchowionych części jest odpowiadająca jej lokalizacja nazywana przez nie „mózgiem”, więc również w ich zbiorczych obecnościach wszystkie wrażenia, czy to przychodzące z zewnątrz, czy też powstające wewnątrz, są postrzegane przez każdy z tych „mózgów” samodzielnie, zgodnie z naturą tych wrażeń. Potem zaś – co zresztą dzieje się w obecnościach wszystkich istot bez względu na ich układ mózgow – te wrażenia wraz z wcześniejszymi wrażeniami tworzą wspólny materiał, który pod wpływem przypadkowych wstrząsów wywołuje w każdym z tych oddzielnych „mózgów” niezależne skojarzenia.

Tak więc, mój chłopcze, odkąd twoi ulubieńcy całkowicie przestali świadomie realizować w swych zbiorczych obecnościach partkdołgpowinności istnieniowe – których rezultaty, i tylko one, mogą z różnorodnych skojarzeń wywołać w istotach to, co zwane jest zdrowym „myśleniem konfrontatywnym”, a także stworzyć tym istotom możliwość świadomych i aktywnych przejawów – i odkąd ich oddzielne „mózgi”, w których odpowiednie skojarzenia przebiegają już całkiem samodzielnie, zaczęły wzbudzać w jednej i tej samej zbiorczej obecności trzy różnoźródłowe impulsy istnieniowe, odtąd wskutek tego wszystkiego stopniowo wykształcili oni w sobie niejako trzy osobowości niemające ze sobą nic wspólnego: ani żadnych wspólnych potrzeb, ani zainteresowań.

Ponad połowa wszystkich nieporozumień, które zwłaszcza ostatnio powstają w zbiorczej psychice twoich ulubieńców, jest wynikiem, po pierwsze, tego, że w całej ich obecności toczy się proces trzech różnorodnych i samodzielnych skojarzeń, które wzbudzają w nich impulsy istnieniowe właściwe trzem zupełnie odmiennym pod względem zarówno natury, jak i właściwości lokalizacji, a po drugie, tego, że w nich, tak samo jak w obecno-

ściach wszystkich pozostałych istot trójmózgowych, istnieje między tymi trzema oddzielnymi lokalizacjami więź, którą Wielka Przyroda przeznaczyła do innych trybów funkcjonowania ich zbiorczej obecności, i na koniec, tego, że wszystko, co postrzegane lub doznawane, to znaczy, jak już mówiłem, wszelkiego rodzaju wstrząsy wywołują w każdej z trzech rzeczonych lokalizacji skojarzenia wypływające z trzech różnorodnych wrażeń, wskutek czego w tej samej zbiorczej obecności rodzą się trzy zupełnie różne impulsy istnieniowe, co w sumie powoduje, że prawie zawsze w tej samej chwili występuje w nich kilka przeżyć, a ponieważ każde takie przeżycie ze swej strony wywołuje w całym ich jestestwie wezwanie do odpowiedniego przejawu, toteż w zgodzie z określonymi częściami całej ich obecności urzeczywistnia się odpowiedni ruch.

Otóż również takie różnoźródłowe przeżycia skojarzeniowe toczą się w ich zbiorczych obecnościach i wypływają z siebie nawzajem zgodnie z Prawem Siedmiokrotności.

Wtedy w Babilonie uczeni członkowie klubu „Adeptów Legomonizmu”, którzy należeli do tej grupy; zaznaczali w ruchach i działaniach uczestników misterium to, co chcieli przekazać, w następujący sposób:

Na przykład jeśli uczestnik danego misterium, aby odegrać swoją rolę wedle zgodnego z prawem skojarzenia, wywołanego w którymś z jego „mózgów” przez jakieś nowe wrażenie, musiał obowiązkowo zareagować takim czy innym określonym ruchem lub przejawem, to specjalnie manifestował się lub wykonywał ów ruch nie tak, jak to należało zrobić zgodnie z Prawem Siedmiokrotności, lecz inaczej – i właśnie w tych „inaczej” uczeni należący do tej grupy umieszczali w pewien sposób to, co uważali, że należy przekazać przyszłym pokoleniom.

Abyś mógł, mój chłopcze, konkretnie wyobrazić sobie te sobotnie pokazy, na które zawsze z chęcią przychodziłem, żeby odpocząć od mojej ówczesnej intensywnej działalności, zilustruję ci; je na przykładzie tego, jak ci uczeni misteryści odtwarzali przed innymi uczonymi członkami klubu „Adeptów Legomonizmu” róż-

ne zgodne z przepływem skojarzeń przeżycia i przejawy istnie-  
niowe, spośród których wybierano elementy do przyszłych mi-  
steriów.

W jednym z dużych pomieszczeń klubu zbudowano do tych po-  
kazów specjalne podwyższenie, nazywane przez nich wtedy „od-  
zwierciedlaczem rzeczywistości”, a istoty z późniejszych epok, do  
których przypadkowo dotarła informacja o tych babilońskich  
uczonych misterystach i które zaczęły ich naśladować i rzekomo  
robić to samo, podobnego rodzaju konstrukcję nazwały i wciąż  
nazywają „sceną”.

Otóż na taki „odzwierciedlacz rzeczywistości” lub scenę zawsze  
wchodziło najpierw dwóch uczestników, po czym jeden z nich za-  
czynał od tego, że przez pewien czas stał w miejscu i poniekąd  
wśluchiwał się we własny stan „dartchelchlustny” lub, jak to się  
czasem inaczej określa, stan swoich wewnętrznych „ogólno-psy-  
chicznych przeżyć skojarzeniowych”.

Załóżmy, że wśluchując się w ten sposób, dostrzegł swoim ro-  
zumem, iż całokształt jego przeżyć skojarzeniowych przyjął for-  
mę nieodpartej chęci wymierzenia policzka pewnej innej istocie,  
której widok za każdym razem powodował w nim skojarzenia  
obejmujące serię takich obecnych już w nim wrażeń, jakie nie-  
zmiennie wywołują w jego zbiorczej psychice niepożądane i ob-  
rażliwe dla jego własnej samoświadomości przeżycia.

Przypuśćmy, że takie nieprzyjemne przeżycia pojawiają się  
w nim, ilekroć widzi tego, na kogo mówiono w owym czasie „he-  
rodochachun”, czyli tamtejszego fachowca, którego współczesne  
istoty zwą teraz „dzielnicowym”.

A więc wyjaśnwszy swojemu rozumowi ów dartchelchlustny  
stan psychiczny, równocześnie zdawał sobie doskonale sprawę,  
że w istniejących warunkach zewnętrznego życia publicznego  
nie wolno mu będzie w pełni zaspokoić tej niepohamowanej chę-  
ci; z drugiej strony, będąc już udoskonalonym w rozumie i świa-  
domym tego, że podlega automatycznemu funkcjonowaniu in-  
nych części swej zbiorczej obecności, dobrze wiedział, że od za-  
spokojenia owej wewnętrznej potrzeby i wywiązania się dzięki

temu ze swojego obowiązku istnieniowego będzie zależało spełnienie czegoś pilnego, ważnego i znaczącego dla otoczenia.

Toteż przemyślałszy wszystko w ten sposób, postanawiał zaspokoić tę neodpartą potrzebę w jakiejś dopuszczalnej formie, sprawiając herodochachunowi przynajmniej „moralny ból” poprzez wywołanie w nim skojarzeń rodzących uczucie zniewagi.

W tym celu zwracał się do drugiej uczonej istoty, która razem z nim weszła na scenę, i traktując ją teraz jak herodochachuna, czyli dzielnicowego, mówił do niej:

„Ej, ty! Czy nie znasz swoich obowiązków? Nie widzisz, że tam... – w tym momencie wskazywał ręką w kierunku innego małego pomieszczenia klubu, w którym tego dnia znajdowali się pozostali uczestnicy pokazu, a następnie kontynuował: – ...że tam dwóch obywateli tego miasta, «żołnierz» i «szewc», bije się na ulicy i zakłóca spokój publiczny. A ty spokojnie sobie tutaj spacerujesz i uważając się za Bóg wie kogo, spoglądasz ukradkiem na przechodzące żony uczciwych i zacnych obywateli miasta...

Poczekaj tylko, ty szelmo jerychońska! Przez mojego szefa, który jest w tym mieście głównym lekarzem, doniosę twojemu naczelnikowi o niedbalstwie i beztrosce, z jaką wypełniasz swoje obowiązki!”

Od tego momentu wypowiadająca te słowa uczona istota, przypadkowo nazwawszy głównego miejskiego lekarza swoim szefem, wcielała się w rolę lekarza, a druga uczona istota, którą ta pierwsza nazwała „dzielnicowym”, odgrywała rolę policjanta, natomiast dwóch pozostałychuczonych uczestników, których dzielnicowy przywołał z innego pomieszczenia, interpretowało odpowiednio rolę „szewca” i „żołnierza”.

Ci dwaj ostatni przyjmowali te role – jeden „żołnierza”, a drugi „szewca” – i musieli je bardzo dokładnie odtwarzać, tylko dlatego, że pierwszy uczyony, który zgodnie ze swym darczelchlustnym stanem obsadził się w roli lekarza, nazwał jednego z nich żołnierzem, a drugiego szewcem.

W ten sposób tych trzechuczonych – którym czwarty narzucił

naprędce odtwarzanie różnych percepcji oraz przejawów przebiegających zgodnie z prawem i właściwych typom, które były im obce, czyli, jak mówią twoi ulubieńcy, granie „cudzych ról”, a mianowicie roli „szewca” „żołnierza” i „dzielnicowego” – kierowało zarówno swoimi przeżyciami, jak i wywołanymi przez nie odruchowymi przejawami, opierając się na obecnej w nich właściwości istnieniowej o nazwie „ikriltackakra”, także bardzo dobrze znanej ówczesnym uczonym istotom planety Ziemia, które już wystarczająco udoskonaliły swą obecność, by móc urzeczywistnić taką właściwość.

Istoty trójcentrowe mogą nabyć takiej właściwości istnieniowej zwanej „ikriltackakra” tylko pod warunkiem że już wcześniej zgromadzą w swej obecności „wolę esoajeriturasną”, którą z kolei można zdobyć jedynie dzięki partkdołgpowinnościom istnieniowym, czyli świadomym trudom i zamierzonym cierpieniom.

Otóż w ten właśnie sposób uczeni członkowie grupy misterystów stawali się odtwórcami „cudzych ról” i demonstrowali innym uczonym członkom klubu przeżycia i wywoływane przez nie działania, które rodziły się i toczyły zgodnie ze wskazaniem ich dobrze zorientowanego rozumu.

Następnie zaś, jak już mówiłem, spośród zademonstrowanych w ten sposób istnieniowych impulsów wybierali wraz z innymi uczonymi członkami klubu te, które najlepiej nadawały się do ich celu i które zgodnie z prawem przepływu różnoźródłowych skojarzeń powinny być przeżywane przez istoty i przejawiać się w ich określonych działaniach – i dopiero potem włączali te wybrane elementy do szczegółów jakiegoś misterium.

W tym miejscu trzeba koniecznie podkreślić, że trójmózgowe uczone istoty, które należały wtedy w Babilonie do grupy misterystów, rzeczywiście nad podziw dobrze i dokładnie odtwarzały w swych działaniach subiektywne osobliwości percepcji i przejawów różnych obcych im typów.

A przedstawiały je dobrze i dokładnie nie tylko dlatego, że nabyły, jak wcześniej mówiłem, właściwości istnieniowej „ikriltackakra”, ale również dlatego, że tak samo jak wszyscy ówcześni

uczni z planety Ziemia, już bardzo dobrze uświadomiły sobie prawo zwane „prawem typizacji” to znaczy doskonale znały dwadzieścia siedem trwale ukształtowanych na ich planecie typów oraz wiedziały, co w takiej czy innej sytuacji każdy z nich powinien postrzegać, w jaki sposób to postrzega i jak w takim razie powinien się przejawiać.

W odniesieniu do wspomnianej właściwości istnieniowej „ikriltackakra”, muszę jeszcze dodać, że tylko ona pozwala istotom pozostawać w obrębie takich impulsów i pobudek, które w danym momencie powstają w ich zbiorczych obecnościach pod wpływem skojarzeń płynących w tym z ich mózgów, gdzie one same świadomie wprowadziły je w ruch za pomocą takiej czy innej serii obecnych już w nich wrażeń; to wyłącznie dzięki tej właściwości istoty mogą postrzegać wszystkie szczegóły psychiki typu, który już wcześniej dobrze przestudiowały a następnie manifestować się tak jak on, czyli poniekąd w pełni się w niego wcielić.

Moim zdaniem to właśnie brak tej właściwości stanowi przyczynę prawie wszystkich nieporozumień, które doprowadziły do tego, że te przypadłe ci do gustu trójmózgowe istoty z planety Ziemia stały się posiadaczami tak dziwacznej psychiki.

Rzecz w tym, że w obecnościach tamtejszych współczesnych istot trójmózgowych, tak samo jak w obecności każdej innej trójmózgowej istoty, wszystkie nowe wrażenia gromadzą się najpierw w ich trzech oddzielnych „mózgach” wedle, jak to się mówi, „pokrewieństwa”, a następnie współuczestniczą – wraz z wcześniej utrwalonymi wrażeniami – w skojarzeniach, które każda nowa percepcja wywołuje w tych trzech oddzielnych mózgach stosownie do i w zależności od „środkociężkościowych impulsów” występujących w danej chwili w ich zbiorczej obecności.

A więc, mój chłopcze, skoro także w obecnościach twoich J współczesnych ulubieńców ciągle płyną trzy rodzaje samodzielnych skojarzeń, które nieustannie wywołują różnorodne impulsy istnieniowe, i skoro już całkowicie przestali oni świadomie urzeczywistniać w swych obecnościach te wszystkie rezultaty ko-

smiczne, które jako jedyne pozwalają trójmózgowym istotom na być wspomnianej właściwości istnieniowej „ikriltackakra” to rezultat jest taki, że zbiorcza obecność dowolnego z twoich współczesnych ulubieńców składa się w procesie jego egzystencji niejako z trzech całkiem odrębnych osobowości – osobowości, które nie mają i nie mogą mieć ze sobą nic wspólnego ani pod względem natury swojego powstania, ani przejawów.

Stąd właśnie bierze się ta osobliwa cecha ich zbiorczej obecności, która przejawia się w ten sposób, że pierwszą częścią swojej esencji chcą jednej rzeczy, równocześnie drugą częścią pragną czegoś całkiem innego, a trzecia z kolei powoduje, że ostatecznie robią coś jeszcze zupełnie przeciwnego.

Krótko mówiąc, w ich psychice panuje dokładnie to, co nasz drogi nauczyciel Mułła Nasr Eddin określa słowem „rozgardiasz”.

Wracając do pokazów ówczesnych babilońskich uczonych, którzy należeli do grupy misterystów, powinienem dodać, że w miarę jak rozwijała się akcja, inni ich koledzy, w zależności od tego, czego wymagały różne umyślnie wywoływane skojarzeniowe zdarzenia, stopniowo powiększali grono jej uczestników.

Co więcej, każdy taki uczestnik, oprócz odtwarzania zgodnie z przypadkowo narzuconą mu rolą percepcji i precyzyjnych automatycznych przejawów właściwych osobowości typu, który był mu zupełnie obcy, musiał zdążyć wyjść pod jakimś dopuszczalnym pretekstem i przebrać się w odpowiedni strój.

A przebierali się po to, by móc jeszcze wyraźniej i bardziej sugestywnie zmanifestować się w odgrywanej przez siebie roli, pomagając w ten sposób innym uczniom członkom klubu „Adeptów Legomonizmu”, którzy sprawdzali i wybierali fragmenty do przyszłych misterii, łatwiej zorientować się w przebiegu akcji i dokonać jak najlepszego wyboru spośród tego wszystkiego, co widzieli.

W niedzielę, czyli dzień przeznaczony na muzykę i śpiewanie, uczeni należący do tej grupy odtwarzali najpierw na różnych „dźwiękotwórczych instrumentach”, a także swymi głosami roz-



maite, jak tam mówią, „melodie”, po czym wyjaśniali wszystkim pozostałym uczonym, w jaki sposób w tych utworach zostało odnotowane przez nich to, co pragnęli przekazać.

Oni także nosili się z zamiarem wprowadzenia tych swoich utworów do zwyczajów ludzi różnych narodowości, bo liczyli na to, że stworzone przez nich „melodie”, przechodząc z pokolenia na pokolenie, dotrą do dalekich potomków, którzy po ich odszyfrowaniu odkryją zawartą w nich zdobytą już wcześniej na Ziemi wiedzę i spożytkują ją dla dobra swej codziennej egzystencji.

Zanim opowiem, w jaki sposób tamtejsi uczeni umieszczali takie informacje w swych utworach „muzycznych” i „wokalnych”, muszę ci najpierw wyjaśnić pewne specyficzne właściwości cechujące percepcyjny organ słuchu w zbiorczych obecnościach wszelkiego rodzaju istot.

Do tych specjalnych właściwości zalicza się także ta, która znana jest pod nazwą „wibroechonitanko”.

Chodzi o to, że te części mózgow istot, które obiektywna nauka nazywa „chlodistomatikułami” – a „uczeni lekarze” na twojej planecie niektóre z tych chlodistomatikuł zwą „mózgowymi zwojami nerwowymi” – kształtują się ze „skryzalizowanych wibracji niriunośnych” powstających zazwyczaj wskutek procesu, któremu ulegają w trakcie ostatecznego formowania się każdej istoty najprzeróżniejsze percepcje ich narządu słuchu; później te chlodistomatikuły, działając pod wpływem podobnych, ale jeszcze nieskryzalizowanych wibracji, wywołują w odpowiedniej strefie, która podlega danemu mózgowi, wspomniane „wibroechonitanko” lub, jak się czasem mówi, „wyrzut”.

Zrządzeniem opatrzości Wielkiej Przyrody te chlodistomatikuły służą w obecnościach istot jako efektywne czynniki mające zdolność wywoływania procesu skojarzeń w chwilach, kiedy brak jest jakichkolwiek wewnętrznych bodźców, albo wtedy, gdy do mózgow istot nie docierają z zewnątrz żadne „wstrząsy”.

A jeśli chodzi o nieskryzalizowane jeszcze „wibracje niriunośne”, które przenikają do zbiorczych obecności istot, to general-

nie są one wywoływane albo przez „struny głosowe” rozmaitych istot, albo przez pewne wymyślone przez te istoty „instrumenty dźwiękotwórcze”.

To właśnie takie wibracje, powstałe z rzeczonych źródeł, przenikając do obecności istot, stykają się – w zależności od ogólnego funkcjonowania całej istoty – z chlodistomatikułami tego czy innego mózgu i wywołują wspomniany proces „wibroechonitanko”.

Druga osobliwość funkcjonowania percepcyjnego organu słuchu polega na tym, że wibracje pochodzące z sekwencji dźwięków dowolnej melodii wywołują na ogół w obecnościach istot skojarzenia w jednym z ich trzech mózgów – mianowicie w tym, w którym w danej chwili „siła inercji tego, co zostało przeżyte” ma największą intensywność – i seria impulsów wywołanych w celu doświadczenia przeżyć przebiega już zazwyczaj w automatycznym porządku.

Ówczesni uczeni muzycy i śpiewacy komponowali swe melodie w mieście Babilon w taki sposób, żeby sekwencja wibracji dźwięków mogła wywołać w istotach ciąg skojarzeń – i w konsekwencji impulsy do przeżywania – nie w zwykłym automatycznym porządku, to znaczy, żeby sekwencja wibracji przenikających do zbiorczej obecności istot powodowała powstanie „wibroechonitanko” nie tylko, jak to się na ogół dzieje, w chlodistomatikułach tego mózgu, w którym w danej chwili jest najwięcej skojarzeń, lecz raz w jednym, raz w drugim, a kiedy indziej w trzecim mózgu, i co więcej, potrafili także przewidzieć jakość albo, jak sami mówili, liczbę wibracji dźwięków, które powinny oddziaływać na ten lub inny mózg.

Ów ostatni punkt, mianowicie jakie wibracje i w którym z mózgów istot powodują powstanie odrębnych danych, a także w stosunku do jakich nowych percepcji te dane mogą spełniać rolę, by tak rzec, „wymuszaczy nowych rezultatów” – wszystko to było im doskonale znane.

Dzięki takim układanym przez nich sekwencjom dźwięków w obecnościach istot powstawały równocześnie różnorodne im-

pulsy budzące całkiem przeciwstawne doznania, które z kolei wywoływały niezwykle przeżycia i nietypowe dla nich odruchy.

I faktycznie, mój chłopcze, po przeniknięciu do obecności danej istoty te ułożone przez nich sekwencje dźwięków oddziaływały na nią w sposób niezwykle dziwny.

Nawet we mnie, istocie ulepionej, jak by one powiedziały, „z innej gliny”, rodziły się i przeplatały w nietypowej kolejności różne impulsy istnieniowe.

A działo się tak, ponieważ ułożone w określonym porządku dźwięki ich melodii, przenikając do mojej zbiorczej obecności, ulegały w niej Dżartkłomowi lub, jak to się inaczej określa, „rozdzielały się na grupy” i oddziaływały z jednakową siłą na moje trzy różnoźródłowe chlodistomatikuły, powodując, że skojarzenia, które powstawały z podobnych, lecz zarazem różniących się naturą serii wrażeń i które toczyły się równocześnie z taką samą intensywnością w moich trzech samodzielnych mózgach, wzbudzały w mojej obecności trzy całkiem różne impulsy.

Na przykład kiedy lokalizacja mojej świadomości czy, jak powiedzieliby twoi ulubieńcy, „centrum myślowe” wywoływało w mojej zbiorczej obecności impuls radości, wtedy druga znajdująca się we mnie lokalizacja, czyli „centrum czuciowe” rodziło impuls zwany „zgryzotą” natomiast lokalizacja ciała lub, jak mówią twoi ulubieńcy, moje „centrum ruchowe” wzbudzało impuls „religijności”.

I właśnie w takich powstających inaczej niż zwykle impulsach, wzbudzanych w istotach przez te ich instrumentalne i wokalne melodie, odnotowywali oni to, o co im chodziło.

A więc, mój chłopcze, sądzę, że wszystko, co ci powiedziałem o tej sławetnej współczesnej ziemskiej „sztuce”, wystarczy, abyś zrozumiał, dlaczego i w jaki sposób w czasie mojego piątego osobistego pobytu na twojej planecie stałem się świadkiem wydarzeń.., które przyczyniły się do powstania owej sztuki, oraz z jakiego powodu i w jakim znaczeniu po raz pierwszy słowa tego użyto właśnie wtedy, w okresie, który twoi współcześni ulubieńcy na-

zywają „cywilizacją babilońską”.

Teraz zaś opowiem ci o pewnych tamtejszych faktach, których znajomość pozwoli ci jasno wyobrazić sobie i mniej więcej zrozumieć, w jakim tempie w tych wszystkich przypadkach ci do gustu trójmózgowych istotach podupadło „logiczne myślenie” i to do tego stopnia, że bez najmniejszego oporu ze strony ich własnej indywidualności przyzwolili na to, by stać się „niewolnikami” w rękach kilku egzystujących wśród nich „kompletnych zer”, które utraciwszy do cna boski impuls sumienia, z tego pustego słowa „sztuka” – słowa, które dotarło do nich tylko przypadkiem – potrafili dla swoich egoistycznych celów uczynić działający „bez pudła” czynnik całkowitego zaniku wszelkich ocalałych w nich jeszcze danych służących do „świadomego bycia”.

W czasie mojego szóstego i ostatniego osobistego pobytu na twojej planecie nasłuchiwałem się wszędzie o tej ich współczesnej sztuce, a także natknąłem się na jej rezultaty, i kiedy w końcu stało się dla mnie jasne, o co w tym wszystkim chodzi, i przypomniałem sobie moich dawnych babilońskich przyjaciół oraz ich szlachetne intencje wobec dalekich potomków, wtedy zainteresowałem się tą kwestią i gdy tylko pozwalały na to okoliczności, zacząłem bardziej szczegółowo badać, jakie efekty przyniosło to wszystko, czego przypadkowo byłem świadkiem i o czym przed chwilą ci opowiedziałem.

Wtajemniczając cię teraz w te skrywane przed obcymi i ugruntowane w mojej zbiorczej obecności wrażenia, które były rezultatem moich świadomych percepcji podczas ostatniego osobistego pobytu na powierzchni twojej planety i które dotyczą tej ich współczesnej sztuki, moje „Ja” z rozbudzonym i bardzo intensywnie działającym impulsem istnieniowego ubolewania uważa za konieczne podkreślić, że ze wszystkich fragmentów wiedzy znanych już istotom cywilizacji babilońskiej – fragmentów, w których, trzeba przyznać, znajdowało się wiele pożytecznych informacji służących dobru zwykłej egzystencji istnieniowej – do istot cywilizacji współczesnej nie dotarło absolutnie nic, prócz kilku „pustych słów” pozbawionych jakiegokolwiek wewnętrznej treści.

Nie tylko absolutnie nic nie dotarło do nich z tych rozmaitych fragmentów powszechnej wiedzy, znanych już wówczas na Ziemi i odnotowywanych przez uczonych Adeptów Legomonizmu za pomocą zgodnych z prawem odchyień od świętego prawa Heptaparaparszynoch lub, jak je wtedy nazywano, Prawa Siedmiokrotności, ale także w okresie dzielącym te dwie cywilizacje ichnia istnieniowa pojętność tak się pogorszyła, że obecnie ani nie znają takiego wszechświatowego prawa, ani nawet nie podejrzewają, że występuje na ich planecie.

A jeśli chodzi o samo słowo „sztuka” o którym z powodu osobliwości ich rozumu nafantazjowano przez ten czas, jak by same powiedziały, „diabeł wie co” to moje specjalne badania pokazały, że pośród rozmaitych słów i odrębnych wyrażeń, z których korzystały uczone istoty z okresu rozkwitu Babilonu i które zaczęły automatycznie przechodzić z pokolenia na pokolenie, także słowo „sztuka” weszło przypadkowo do leksyki pewnych tamtejszych istot trój mózgowych, w których zbiorczych obecnościach, na skutek różnych okoliczności towarzyszących, krystalizacja następstw właściwości organu kundabufor zachodziła akurat w takiej kolejności, że „wzajemne oddziaływanie” tych krystalizacji umożliwiło pojawienie się w nich danych znamionujących bycie „Indywidualium Hasnamus” Otóż właśnie takie tamtejsze istoty trójmózgowe, które nie wiadomo dlaczego upodobały sobie słowo „sztuka” zaczęły wykorzystywać je do swoich egoistycznych celów i stopniowo zrobiły z niego „coś takiego” co – chociaż dalej zawiera, jak to się mówi, „kompletną pustkę” – powolutku oblekło się w feeryczną szatę zewnętrzną, „oślepiającą” do reszty dowolnego z twoich ulubieńców, który poświęci jej nieco więcej uwagi niż zwykle.

Spośród słów, których uczone istoty zaliczane w poczet członków klubu „Adeptów Legomonizmu” używały w Babilonie w swoich dyskusjach, oprócz słowa „sztuka” jeszcze wiele innych zostało przekazanych automatycznie z pokolenia na pokolenie, w tym nawet parę, jak to się mówi, „mglistych wyobrażeń” o niektórych ówczesnych określonych pojęciach.

Do tych ostatnich, zarówno ze względu na nazwę, jak i karykaturalne imitacje, należy istniejący tam obecnie „teatr”.

Pamiętasz, mówiłem ci już, że uczeni należący do grupy misterystów określali w Babilonie słowem „teatr” zarówno pomieszczenie, jak i same swoje pokazy.

Opowiem ci teraz nieco bardziej szczegółowo o tym ichnim współczesnym teatrze, bo być może zgromadzisz dzięki temu wystarczająco dużo materiału, by zrozumieć, po pierwsze, jaki był rezultat wszystkich dobrych zamiarów i starań uczonych istot okresu babilońskiego, po drugie, co z osiągnięć prawdziwej wiedzy z czasów „kultury babilońskiej” przeniknęło do istot współczesnej „kultury europejskiej” – której owa sztuka zawdzięcza w dużej mierze wspomnianą szatę – a po trzecie, sam odczujesz pewne aspekty szkodliwości tej ich sławetnej współczesnej sztuki.

Otóż istoty epoki współczesnej, do których także, jak ci przed chwilą powiedziałem, dotarło trochę informacji o działalności uczonych członków klubu „Adeptów Legomonizmu” należących do grupy misterystów, wbiły sobie do głowy, że będą ich naśladować, i w tym celu zaczęły budować specjalne pomieszczenia, które one również nazwały „teatrami”.

Trójmózgowe istoty współczesnej cywilizacji bardzo często i licznie gromadzą się w tych swoich teatrach, aby obserwować, a także – podobnie jak to wyglądało w Babilonie, gdzie inni uczeni członkowie klubu „Adeptów Legomonizmu” studiowali przedstawienia uczonych z grupy misterystów – rzekomo studiować różne zamierzone przejawy swoich, jak ich dopiero całkiem niedawno nazwali, „artystów”.

W dzisiejszych czasach, takie teatry zajmują niezmiernie ważne miejsce w zwykłym procesie egzystencji twoich ulubieńców, toteż z myślą o nich zaczęli oni wznosić wyjątkowo duże gmachy, które prawie w każdym z ich współczesnych miast urastają do rangi budowli godnych największej uwagi.

Sądę, że nie zaszkodzi, jeśli w tym miejscu powiem ci coś o nie-

porozumieniu, jakie powstało wokół słowa „artysta”.

Muszę o tym koniecznie wspomnieć, ponieważ to słowo, które również dotarło do twoich współczesnych ulubieńców z epoki babilońskiej, nie zostało im jednak przekazane tak jak inne wyrazy, to znaczy tylko jako „puste słowo” pozbawione wszelkiego sensu, lecz jako resztką brzmienia pewnego słowa, którego w tamtym czasie używano.

Otóż we wspomnianej epoce uczone istoty przyjęte w poczet członków klubu „Adeptów Legomonizmu” określane były w Babilonie przez innych życzliwych im uczonych mianem, które same sobie nadały, a które twoi współcześni ulubieńcy napisaliby tak: „o-r-p-h-e-i-s-t-a”.

To słowo składało się z dwóch określonych rdzeni oznaczających w tamtym czasie dwa pojęcia, które dzisiaj można by wyrazić słowami: „prawidłowo” i „esencja”. A zatem jeśli kogoś w ten sposób nazywano, znaczyło to, że on „prawidłowo odczuwa esencję”.

Po okresie babilońskim także to wyrażenie było automatycznie przekazywane z pokolenia na pokolenie w prawie takim samym znaczeniu, ale jakieś dwa wieki temu ówczesne istoty ze wspomnianymi „tendencjami hasnamuskimi” zaczęły się na temat tego pustego słowa „sztuka” wymądrzać i kiedy pojawiły się tam rozmaite „szkoły sztuki” i każda z tych istot zaczęła się uważać za zwolennika którejś ze szkół, nie rozumiejąc już prawdziwego znaczenia tego słowa, otóż właśnie wtedy postanowiły – głównie dlatego; że jedna ze wspomnianych „szkół sztuki” nosiła imię niejakiego, jak go dzisiaj zwa, „Orfeusza” postaci wymyślonej przez starożytnych Greków – utworzyć nowe słowo, dokładniej oddające sens ich „powołania” i zamiast słowa „orpheista” wydumały słowo „artysta”, które miało oznaczać „tego, kto zajmuje się sztuką”.

Abyś mógł lepiej wyobrazić sobie wszystkie przyczyny, które doprowadziły do tego tamtejszego nieporozumienia, powinieneś wiedzieć również, że przed drugą katastrofą transapalną twoi ulubieńcy, którzy wtedy jeszcze normalnie przygotowywali się

do odpowiedzialnej egzystencji, w swojej „mowie”, czyli we wzajemnych kontaktach utrzymywanych za pomocą odpowiednich umyślnie wydawanych z siebie współbrzmień, mieli i potrafili wymówić, jak wszystkie trójmózgowe istoty całego Wielkiego Wszechświata, do trzystu czterdziestu jeden różnych, jak oni je nazywają, „liter”.

Później jednak, kiedy stopniowo – jak zwykle z powodu nienormalnie ustanowionych przez nie same warunków zwykłej egzystencji istnieniowej – wszystkie właściwości przynależne obecności trójmózgowych istot się wypaczyły, także ta „umiejętność istnieniowa” zaczęła w nich słabnąć, i to w takim tempie, że istoty okresu babilońskiego używały w rozmowach już tylko siedemdziesięciu siedmiu określonych brzmień, a zaledwie pięć wieków później tamtejsze istoty umiały wymówić najwyżej trzydzieści sześć różnych „liter”, przy czym w niektórych społeczeństwach nie potrafiono wówczas odtworzyć już nawet tak znikomej liczby artykułowanych dźwięków.

Niemniej jednak, mój chłopcze, ponieważ informacje o okresie babilońskim przechodziły z pokolenia na pokolenie nie tylko drogą „ustnego przekazu”, ale również za pomocą znaków wyrytych w materiałach trwałych lub, jak by tam powiedziano, za pomocą „napisów” składających się z umownych znaków czy liter wyrażających określone „artykułowane dźwięki istnieniowe” tamtej epoki, więc na początku współczesnej cywilizacji niektóre tamtejsze istoty, odczytawszy te napisy „piąte przez dziesiąte” i uświadomiwszy sobie, że nie potrafią już wymówić wielu z tych liter, wymyśliły tak zwany pisany kompromis.

Ów pisany kompromis polegał na tym, że zamiast znaku lub litery, której „smak” wymowy był im jeszcze znany, ale której same nie umiały już wymówić, postanowiły pisać jakąś trochę do niej podobną literę spośród tych należących do ich ówczesnego alfabetu; żeby jednak każdy wiedziały iż tak naprawdę chodzi nie o tę, tylko o całkiem inną literę, zawsze stawiały obok niej pewną nic już nieznaczącą, ale wciąż istniejącą literę starożytnych Rzymian, która nazwa się „ha”, a którą współcześni Francuzi wyma-



wiają „asz”.

Tak więc od tej pory wszyscy pozostali twoi ulubieńcy zaczęli robić to samo, to znaczy do każdej takiej podejrzanej litery dodawali tę rzymską „spuściznę”.

W okresie, gdy wymyślono ów pisany kompromis, takich podejrzanych liter było około dwudziestu pięciu, ale z biegiem czasu – równolegle z pogarszaniem się ichniej zdolności wymowy i nasilaniem ich wymądrzania – liczba liter sztucznie wymyślonych do ćwiczenia takiej „umiejętności istnieniowej” się zmniejszała i w okresie, gdy wymyślono słowo „artysta” pozostało ich już tylko osiem, z tym że przed tym sławetnym „asz” pisano wtedy w części starogreckie, a w części starołacińskie litery, co dawało następujący rezultat: „th” „ph” „gh” „ch” „sch” „kh”, „dh” i „oh”.

Otóż za podstawę wspomnianego nieporozumienia posłużył kompromisowy znak „ph”.

A posłużył za taką podstawę dlatego, że występował zarówno w słowie, którym określano uczonych misterystów, jak i w słowie, które oznaczało postać wymyśloną przez starożytnych Greków. Z imieniem tej postaci związana była, jak już powiedziałem, pewna ówczesna „szkoła sztuki” toteż przedstawiciele tej ziemskiej sztuki pomyśleli wtedy swoim całkiem już kusym rozumem, że to pierwsze słowo nie mogło oznaczać nic innego, jak zwolenników tej „historycznej postaci” Orfeusza; a ponieważ wielu z nich za takich się nie uważało, to w miejsce wspomnianego słowa wymyślili słowo „artysta”.

Jak widzisz, mój chłopcze, nie cała spuścizna starożytnych Rzymian okazała się szkodliwa dla ich potomków i w danym wypadku ta ichnia malutka literka „h” stała się nawet czynnikiem inspirowującym, który w obecnościach istot późniejszych pokoleń, pozbawionych już własnej inicjatywy oraz potrzebnego do niej „zasobu mocy” rozbudził taką „istnieniową moc” że zapragnęły i doprowadziły do tego, by egzystujące już od dawna precyzyjne słowo „orpheista” zastąpiono nowym słowem „artysta”.

W tym miejscu muszę koniecznie poinformować cię o pewnym

tamtejszym wielkim dziwactwie, a mianowicie o stopniowym zaniku w obecnościach wszystkich trójmózgowych istot tej planety nawet takiej „mocy istnieniowej” jak umiejętność wymawiania „spółgłosek” potrzebnych do utrzymywania wzajemnych stosunków.

Rzecz w tym, że pogłębiające się z każdym pokoleniem osłabienie tej umiejętności w zbiorczych obecnościach istot nie zawsze i nie u każdej przebiega – z punktu widzenia psychicznego i organicznego funkcjonowania ich ciała planetarnego – w jednakowym tempie; w różnych epokach i na różnych częściach powierzchni t planety tempo takiego pogarszania się ulega zmianie, raz oddziałując bardziej na psychiczną, innym znów razem na organiczną stronę funkcjonowania ciała planetarnego.

Bardzo dobrze można to wyjaśnić na przykładzie zarówno odczucia „smaku” jak i zdolności wymawiania dwóch określonych spółgłosek czy liter, których używają tam prawie wszystkie współczesne istoty mające siedlisko na wszystkich częściach powierzchni twojej planety, a które dotarły do nich z bardzo dawnych czasów za pośrednictwem starożytnych Greków.

Te dwie litery zwane były przez starożytnych Greków „Θήτα” i „Δέλτα”.

Przy okazji chcę ci zwrócić uwagę, że w bardzo odległych dla twoich ulubieńców czasach te dwie litery były specjalnie używane przez istoty do tworzenia dwóch rodzajów nazw wskazujących na dwa określone i zupełnie przeciwstawne znaczenia.

Litery „Θήτα” używano w słowach, które wyrażały idee związane z pojęciem „dobra”, natomiast litery „Δέλτα” w słowach odnoszących się do pojęcia „zła”; na przykład „Θεός” – „Bóg” i „Δαίμων” – „Demon”.

Znaczenie obu tych liter, a także „smak” ich współbrzmienia dotarły do wszystkich istot cywilizacji współczesnej, które nie wiadomo dlaczego zapisują te dwie odmienne i kompletnie różniące się esencją litery za pomocą tego samego znaku, czyli „th”.

Na przykład istoty tamtejszego dużego współczesnego społec-

czeństwa zwanego Rosją nie są już w stanie, nawet przy największych chęciach i staraniach, wymówić wspomnianych dwóch liter; jednakże bardzo wyraźnie odczuwają istniejącą między nimi różnicę i za każdym razem, gdy używają ich w słowach odnoszących się do określonych pojęć, to mimo że wymawiane przez nie dźwięki w ogóle tym pojęciom nie odpowiadają, prawidłowo przestrzegają wspomnianą różnicę i nigdy ich ze sobą nie mylą.

Za to istoty współczesnego społeczeństwa zwanego „Anglią” odwrotnie, nadal wymawiają każdą oddzielną literę nieomalże tak, jak wymawiali ją starożytni Grecy, ale nie odczuwają przy tym w sobie żadnej różnicy i bez najmniejszego skrupowania używają tego samego umownego znaku, czyli ich sławetnego „th”, w słowach wyrażających całkiem odmienne pojęcia.

Na przykład kiedy istoty współczesnej Anglii wypowiadają swój ulubiony i często używany przez nie zwrot „thank you”, bardzo wyraźnie można wtedy usłyszeć starożytną literę „Θ”, a kiedy wymawiają nie mniej lubiane i również często wypowiadane przez nie słowo „there”, całkiem dobrze i czytelnie można usłyszeć starożytną literę „Δ”. Niemniej jednak dla obu tych liter bez żadnych „wyrzutów sumienia” używają tego samego ichniego „uniwersalnie-paradoksalnego th”.

Ale sądzę, że chyba nie warto już się dłużej rozwodzić nad tą tamtejszą filologiczną kwestią!

Wróćmy lepiej do wyjaśnienia przyczyny tego, że wśród twoich współczesnych ulubieńców rozpowszechnił się zwyczaj budowania wszędzie teatrów, a następnie zajmijmy się tym, cóż takiego w tych teatrach robią ci ich współcześni artyści i w jaki sposób się tam manifestują.

Jeśli chodzi o ichni zwyczaj gromadzenia się w teatrach – często w całkiem licznych grupach – to moim zdaniem można go wytłumaczyć tym, że te współczesne teatry i wszystko, co się w nich dzieje, dziwnym trafem znakomicie pasują do nienormalnie ukształtowanych zbiorczych obecności większości współczesnych istot trójmózgowych, a mianowicie tych istot, które już ostatecznie przestały odczuwać w swojej obecności właściwą

trójmózgowym istotom potrzebę przejawiania we wszystkim własnej inicjatywy i egzystują albo wyłącznie dzięki przypadkowym wstrząsom zewnętrznym, albo pod dyktando skryzalizowanych w nich następstw tej czy innej właściwości organu kundabufor.

Od samego początku, gdy tylko pojawiły się takie teatry, o: zaczęły się w nich gromadzić i gromadzą do dzisiaj nie po to, by oglądać i studiować przedstawienia ich „współczesnych artystów”, nie... zbierają się tam tylko dlatego, że chcą zadośćuczynić jednemu z następstw właściwości organu kundabufor, które z łatwością skryzalizowało się w zbiorczych obecnościach większości z nich i które nosi nazwę „urneł”, a przez istoty współczesne zwane jest „kabotyństwem”.

Wskutek tego następstwa właściwości organu kundabufor w obecności większości współczesnych istot powstaje bardzo dziwna potrzeba, mianowicie potrzeba wywoływania u innych w stosunku do siebie wyrazu istnieniowego impulsu „zdumienia” lub przynajmniej wyłapania go na twarzach otaczających istot.

Dziwaczność tej ich potrzeby polega na tym, że odczuwają satysfakcję tylko wtedy, gdy innych wprawia w zdumienie ich aspekt zewnętrzny odpowiadający ściśle wymogom tamtejszej, jak one mówią, „mody”, czyli temu ich szkodliwemu zwyczajowi sięgającemu czasów cywilizacji tiklamyszyckiej i będącemu obecnie jednym z takich czynników istnieniowych, które automatycznie powodują, iż nie starcza im czasu ani możliwości, by widzieć i odczuwać rzeczywistość.

Ów szkodliwy zwyczaj sprowadza się do tego, że okresowo zmieniają one formę zewnętrzną tego, co zwie się „okryciem własnej nicości”.

W tym miejscu chcę zaznaczyć, że w zbiorczym procesie zwykłej egzystencji tych przypadłych ci do gustu trójmózgowych istot stopniowo utrwalił się zwyczaj, wedle którego zmianami w wyglądzie wspomnianego „okrycia” zarządzają te tamtejsze istoty obojga pici, które stały się już „godne” kandydowania do

tytułu „Indywidualium Hasnamus”.

Pod tym względem współczesne teatry znakomicie nadają się dla twoich ulubieńców, ponieważ bardzo łatwo i wygodnie mogą tam innym pokazać swoją, jak sami lubią mówić, „budzącą powszechne zdumienie fryzurę” „węzeł krawata zawiązany w specjalny sposób”, „zgrabnie wydekoltowaną tak zwaną kupajtarną część swojego ciała” itd., itp.; a poza tym same mogą tam popatrzyć na nowe „kreacje” mody lansowane zgodnie z ostatnimi wskazówkami owych kandydatów na „Indywidualia Hasnamus”.

Jeśli zaś chodzi o to, co podczas takich „popisów” robią w tych teatrach ich współcześni „artyści” to abyś mógł lepiej to sobie wyobrazić, muszę najpierw opowiedzieć ci o pewnej nadzwyczaj dziwnej chorobie istniejącej tam pod nazwą „dramaturgizowanie” na którą szczególnie łatwo zapada obecność niektórych z nich, i to wyłącznie z powodu nieostrożności ichnich, jak to się mówi, „akuszerek”.

Taka kryminalna nieostrożność ze strony akuszerki najczęściej polega na tym, że przed spełnieniem swego obowiązku mimochodem wstępują po drodze do domu którejś z klientek i są tam częstowane „winem”, a gdy wypiją go trochę więcej niż zwykle, to potem, już w trakcie wypełniania swoich obowiązków, nieświadomie wykrzykują pewne słowa pełniące w procesie zwykłej egzystencji twoich ulubieńców rolę „zaklęcia” ichnich „czarowników”, przez co ta nowa nieszczęsna istota już w pierwszej chwili, jak oni mówią, „pojawienia się na bożym świecie” wchłania w siebie słowa tego szkodliwego zaklęcia.

A formuła tego zaklęcia jest następująca: „Patrzcie go, co za niedorajda!”

Tak więc, mój chłopcze, przez taką kryminalną nieostrożność akuszerki pojawia się w obecności owej nieszczęsnej nowo narodzonej istoty skłonność do zapadania na tę dziwną chorobę.

A kiedy taka tamtejsza trójmózgowa istota, która w chwili przyścia na świat nabyła rzeczony skłonności do choroby „dramaturgizowania”, osiągnąwszy wiek istoty odpowiedzialnej, na-

uczy się pisać i ma chęć cokolwiek napisać, wtedy od razu zapada na tę dziwną chorobę i zaczyna „mądrzyć się” na papierze lub, jak się tam mówi, „tworzyć” różne tak zwane sztuki teatralne.

Zwykle tematem tego rodzaju dzieł są rozmaite wydarzenia, które albo rzekomo miały miejsce w przeszłości, albo ponoć mogą nastąpić w przyszłości, lub też po prostu wydarzenia z ich własnej „współczesnej nierzeczywistości”.

Ponadto w zbiorczej obecności istoty, która nabawiła się tej oryginalnej choroby, wśród wielu innych objawów można dostrzec siedem bardzo specyficznych właściwości.

Pierwsza z nich polega na tym, że kiedy ta dziwna choroba pojawia się i postępuje w zbiorczej obecności danej istoty, stopniowo zaczynają się wokół niej rozchodzić szczególne wibracje, które dokładnie tak oddziałują na jej otoczenie jak – zgodnie z tamtejszym wyrażeniem – „woń starej kozy”.

Druga związana jest z tym, że zmiana w wewnętrznym funkcjonowaniu takiej istoty powoduje, iż zewnętrzna forma jej ciała planetarnego także się zmienia, i to w następujący sposób: nos zadarty do góry, dłonie podparte – jak to się mówi – pod boki, mowa przerywana specyficznym chrząknięciem itp.

Trzecia właściwość objawia się tym, że taka istota zawsze czuje strach przed pewnymi zupełnie nieszkodliwymi naturalnymi lub sztucznymi tworam, takimi jak na przykład „mysz”, „dłoń zaciśnięta w pięść”, „żona głównego reżysera teatru” „pryszcz na swoim nosie”, „lewy pantofel własnej żony” i jeszcze wiele innych rzeczy, które znajdują się na zewnątrz niej.

Czwarta pojawiająca się w niej osobliwość prowadzi do tego, że już całkowicie traci ona zdolność rozumienia i odgadywania psychiki podobnych do niej istot z otoczenia.

Piąta sprowadza się do tego, że zarówno wewnątrz siebie, jak i w przejawach zewnętrznych zaczyna krytykować wszystkich i wszystko prócz tego, co sama zrobiła.

Szosta powoduje, że szybciej niż u wszystkich innych ziemskich istot trójmózgowych zanikają w niej dane, które służą do

postrzegania czegokolwiek, co jest obiektywne.

Siódma i ostatnia osobliwość polega na tym, że w jej obecności pojawiają się tak zwane hemoroidy które, nawiasem mówiąc, są jedyną rzeczą, z którą się nie obnosi.

A potem zazwyczaj dzieje się tak, że jeżeli ta chora istota ma wuja, który jest członkiem jednego z ich „parlamentów” bądź jeśli sama poznaje wdowę po „niegdysiejszym przedsiębiorcy”, bądź też z jakiegoś powodu spędza okres przygotowawczy do stania się istotą odpowiedzialną w takich okolicznościach i takich warunkach, że automatycznie nabywa właściwości zwanej „wkręcaniem się bez mydła”, to ichni „antreprenerzy” czy, jak też się na nich mówi, „właściciele owieczek” przejmują wtedy jej dzieło i każą współczesnym „artystom” zaprezentować je dokładnie tak, jak wymądrzyła je owa istota cierpiąca na tę dziwną chorobę „dramaturgizowania”.

Następnie tamtejsi współcześni artyści prezentują wpierw to dzieło sami, bez osób postronnych, czyniąc to tak długo, aż wygląda ono dokładnie tak, jak wskazała im sama chora istota oraz jak zażyczył sobie tego antreprener. A kiedy w końcu to wszystko zaczyna już im wychodzić bez udziału świadomości i odczuwania, wtedy przeistoczywszy się całkowicie w „żywe automaty”, sięgają po pomoc tych spośród nich, którzy jeszcze niezupełnie stali się takimi żywymi automatami, dzięki czemu zyskali sobie miano „reżyserów”, i pod ich kierunkiem robią dokładnie to samo, tyle że tym razem już w obecności innych zwykłych istot, które gromadzą się w tych ich współczesnych teatrach.

Otóż ze wszystkiego, co ci przed chwilą powiedziałem, sam łątwo wywnioskujesz, że takie teatry, oprócz wielu szczególnie zgubnych następstw, które wkrótce dokładnie ci wyjaśnię, nie mogą oczywiście dać niczego, co przyczyniłoby się do osiągnięcia owego wzniosłego celu, jaki babilońskie uczone istoty miały na uwadze, kiedy po raz pierwszy stworzyły tę formę świadomego przedstawiania percepcji oraz skojarzeniowego odreagowywania na nie innych podobnych do nich istot.

Trzeba zresztą przyznać, że przez te ich teatry z ich współcze-

snymi artystami udało się im, oczywiście przypadkiem, uzyskać w procesie zwykłej egzystencji istnieniowej jeden „niegłupi rezultat”.

Abyś mógł zrozumieć, na czym ten „niegłupi rezultat” polega, powinienem wyjaśnić ci najpierw jeszcze jedną osobliwość, która staje się cechą przynależną zbiorczej obecności istot powstających według zasady Itoklanoc.

Zgodnie z tą zasadą wytwarzanie w obecności takich istot energii niezbędnej do ich „stanu jawy” zależy od jakości skojarzeń, które przebiegają w ich zbiorczej obecności w czasie „całkowita bierności” lub, jak mówią twoi ulubieńcy, „w trakcie snu”; i odwrotnie, energia zapewniająca „produktywność” tego ich „snu” jest wytwarzana w wyniku procesu skojarzeniowego, który zachodzi w nich w czasie stanu jawy i zależy tym razem od tego, jaka jest jakość lub intensywność ich aktywności.

Ta sama zasada zaczęła stosować się również do tych ziemskich trójmózgowych istot od czasu, gdy Wielka Przyroda została zmuszona, jak już ci kiedyś powiedziałem, zastąpić przynależną dotąd ich obecności zasadę fulasnitamną zasadą Itoklanoc. To właśnie wtedy ugruntowała się w procesie ich egzystencji właściwość, która działa w nich do dzisiaj i polega na tym, że jeśli, jak to się mówi wśród nich, „dobrze śpią”, to będą także „dobrze czuwać”, i na odwrót, jeśli „źle czuwają” to będą „źle spać”.

Otóż, mój chłopcze, ponieważ w ostatnim okresie zaczęły one egzystować już zbyt nienormalnie, zmieniło się więc także ustalone automatyczne tempo, które do tej pory mniej więcej sprzyjało pojawianiu się w nich wymaganych skojarzeń, i rezultat jest taki, że obecnie śpią źle i czuwają jeszcze gorzej niż dawniej.

A to, że te ichnie współczesne teatry z ich współczesnymi artystami pomogły przypadkowo polepszyć jakość ich snu, spowodowały następujące okoliczności:

Po tym, jak z obecności prawie wszystkich twoich ulubieńców całkowicie znikła potrzeba realizowania partkdołgpowinności istnieniowych i wszelkie skojarzenia, wywoływane w procesie



ich stanu jawy przez nieuchronne wstrząsy zaczęły płynąć wyłączenie z kilku „zautomatyzowanych już serii wcześniejszych odbitek” składających się z powtarzanych w nieskończoność „dawno temu przeżytych wrażeń” otóż właśnie wtedy zaczęła w nich zanikać i do dzisiaj zanika instynktowna potrzeba otrzymywania jakichkolwiek nieodzownych dla trójmózgowych istot nowych wstrząsów, których źródłem są albo ich oddzielnie uduchowione wewnętrzne części istnieniowe, albo też odpowiednie zewnętrzne percepcje nakierowane na wywołanie świadomych skojarzeń, to znaczy dokładnie takich istnieniowych skojarzeń, od których zależy w obecnościach istot intensywność przemiany wszelkiego rodzaju „energii istnieniowej”.

W trakcie ostatnich trzech stuleci sam proces ich egzystencji tak się przeobraził, że w obecnościach większości z nich prawie nie powstają już w toku powszedniej egzystencji „konfrontatywne skojarzenia istnieniowe”, które zwykle pojawiają się w trójmózgowych istotach dzięki wszelkiego rodzaju nowym percepcjom i jako jedyne stwarzają możliwość krystalizacji w zbiorczych obecnościach tych istot danych dla ich własnej indywidualności.

Otóż kiedy twoi ulubieńcy, którzy właśnie w ten sposób egzystują „na co dzień”, idą do tych współczesnych teatrów i śledząc bezmyślne manipulacje współczesnych artystów, otrzymują kolejne „wstrząsy” powodujące, że odżywają w nich przeróżne wspomnienia postrzeżonych już wcześniej, nie mniej bezmyślnych i absurdalnych obrazów, wtedy chcąc nie chcąc otrzymują w trakcie takiego ich stanu jawy w miarę znośne skojarzenia istnieniowe i gdy po powrocie do domu kładą się spać, śpią dużo lepiej niż zwykle.

Mimo że współczesne teatry i wszystko, co się w nich wydarza, rzeczywiście przypadkowo okazały się znakomitym środkiem na polepszenie – oczywiście tylko „na dzisiaj” – snu twoich ulubieńców, to jednocześnie powodują niezliczone, obiektywnie szkodliwe następstwa, które są szczególnie przykre dla istot dorastającego pokolenia.

Te ichnie teatry największą szkodę wyrządzają im przez to, że

stały się dodatkowym czynnikiem ostatecznie pozbawiającym ich całkowicie możliwości pojawienia się w nich kiedykolwiek tej przynależnej trójmózgowym istotom potrzeby która nazywa się „potrzebą realnych percepcji”.

A stały się takim szkodliwym czynnikiem głównie z następującego powodu:

Kiedy tamtejsze istoty przychodzą do tych swoich teatrów i siedząc spokojnie, patrzą na bezsensowne, ale za to urozmaicone „manipulacje” i przejawy swoich współczesnych aktorów, wówczas, mimo że znajdują się w swoim zwykłym stanie jawy, wszelkie skojarzenia, zarówno „myślowe” jak i „czuciowe”, przebiegają w nich dokładnie tak, jak powinny przebiegać w okresach ich zupełnej bierności, czyli podczas snu.

A mianowicie, kiedy otrzymują wiele przypadkowych wstrząsów odpowiednio stymulujących te wstrząsy, które już się utrwaliły na skutek wrażeń odebranych uprzednio i automatycznie układających się w serie, i kiedy oddziałuje na to wszystko funkcjonowanie ich „organów trawiennych oraz płciowych”, wówczas w ich obecnościach zahamowany zostaje przepływ nawet tych żałosnych świadomych skojarzeń istnieniowych, jakie z trudem zaczęły już automatycznie wyznaczać w nich mniej więcej prawidłowe tempo przemiany substancji potrzebnych do ich pasywnej egzystencji, podczas której powinna z kolei toczyć się przemiana substancji potrzebnych do ich egzystencji aktywnej.

Innymi słowy, w czasie, który spędzają w owych teatrach, niezupełnie znajdują się w tym swoim pasywnym stanie, w którym proces przemiany substancji potrzebnych do ich zwykłego stanu jawy przebiega w nich już także w miarę automatycznie, wskutek czego te ich współczesne teatry stały się dla nich tylko jeszcze jednym szkodliwym czynnikiem prowadzącym do unicestwienia wspomnianej wcześniej „potrzeby realnych percepcji”.

Wśród wielu innych aspektów szkodliwości tej ich współczesnej sztuki jednym z „najwyraźniej niedostrzeganych”, ale zarazem wyjątkowo zgubnym dla wszystkich tamtejszych istot trój-

mózgowych, jeśli chodzi o możliwość osiągnięcia tego, co zwie się „świadomym indywidualnym byciem” jest promieniowanie samych przedstawicieli ich obecnej sztuki.

Chociaż to szkodliwe promieniowanie stopniowo stało się tam udziałem lub specyficznym atrybutem przedstawicieli wszystkich gałęzi ich sztuki, jednak moje szczegółowe „badania fizykochemiczne” jednoznacznie wykazały, że zdecydowanie jest ono najszkodliwsze właśnie w przypadku tych dzisiejszych „artystów” lub „aktorów”, którzy występują w ich współczesnych teatrach.

Ujemny wpływ, jaki ma na wszystkich innych twoich ulubieńców całokształt promieniowań emitowanych przez tych artystów, stał się szczególnie widoczny w ostatnim okresie ich obecnej cywilizacji.

Choć już od dawna niektóre zwykłe istoty poświęcały się tam takiej profesji, to uprzednio, z jednej strony, w obecności nie każdego z takich profesjonalistów krystalizowały się „do cna” wszelkie dane ku temu, by nabyć „właściwości hasnamuskich”, a z drugiej – pozostali twoi ulubieńcy najwyraźniej instynktownie odczuwali wywierany przez tych zawodowców zgubny wpływ, toteż mieli się na baczności, przyjmując w stosunku do nich odpowiednią postawę i zachowując wielką ostrożność.

W minionych stuleciach pozostałe istoty zawsze zaliczały takich artystów lub aktorów do najniższej kasty i spoglądały na nich z obrzydzeniem. Nawet jeszcze dzisiaj w wielu społeczeństwach, na przykład na kontynencie Azja, nie wypada ścisnąć im dłoni, chociaż zgodnie z panującym tam zwyczajem robi się to praktycznie zawsze, kiedy spotyka się inną podobną do siebie istotę.

We wspomnianych społeczeństwach siedzenie z takimi artystami przy jednym stole i wspólne spożywanie posiłków nadal przynosi hańbę.

Za to współczesne istoty z kontynentu, który stał się teraz głównym miejscem ich, jak to się mówi, „życia kulturalnego” nie

dość, że w duchu traktują tych dzisiejszych artystów na równi ze sobą, to jeszcze zaczęły się wzorować na ich wyglądzie i obecnie już we wszystkim ich naśladowają.

Bardzo dobrym przykładem na potwierdzenie tego, co właśnie powiedziałem, jest panujący dzisiaj powszechnie wśród wszystkich twoich ulubieńców zwyczaj golenia brody i wąsów.

Powinieneś wiedzieć, że w minionych epokach ci ziemscy profesjonalnie artyści musieli zawsze w zwykłym procesie ich egzystencji mieć zgolone wąsy i brodę.

A byli zmuszeni golić tych „wyrazicieli” swojej męskości i werwy po pierwsze dlatego, że grając bez przerwy role innych istot, często musieli zmieniać wygląd i w tym celu nie tylko robili sobie na twarzy odpowiedni „makijaż”, ale też zakładali peruki oraz doklejali sztuczne wąsy i brody – czego w żaden sposób nie można zrobić, jeśli się ma własną brodę i wąsy – a po drugie, ponieważ zwykle istoty z wszystkich tamtejszych dawnych społeczeństw, uważając tych artystów za brudnych i wywierających szkodliwy wpływ, a także czując obawę, że w normalnych warunkach egzystencji nie będą potrafiły ich rozpoznać przy przypadkowym spotkaniu i niechcący ich dotkną, ogłosiły wszędzie dekret, który surowo nakazywał istotom wykonującym zawód artysty lub aktora chodzić ze zgolonymi wąsami i brodą, by w ten sposób zawsze można je było odróżnić.

Wyjaśniając ci przyczynę pojawienia się zwyczaju golenia wąsów i bród wśród tamtejszych aktorów, przypomniałem sobie przed chwilą bardzo mądry, ekonomiczny i „sprawiedliwy” zabieg trójmózgowych istot z epoki cywilizacji tiklamyszyckiej, który także dotyczył golenia włosów, tym razem jednak włosów rosnących na głowach tamtejszych istot.

Otóż wprowadzono tam wówczas i surowo egzekwowano prawo, na mocy którego drobni przestępcy zaliczeni w wyniku dochodzenia i werdyktu siedmiu starszych istot danego okręgu do jednej z czterech ustalonych zawczasu kategorii „niemoralności” oraz „przestępczości” – czyli tacy przestępcy, jakimi także dzisiaj przepełnione są wszystkie ich, jak tam mówią, „więzienia” – mu-

sieli przez określony czas chodzić zawsze i wszędzie z ogoloną odpowiednią czwartą częścią głowy, i co więcej, ci wszyscy skazańcy byli zobowiązani w czasie spotkań lub rozmów z innymi istotami mieć głowę odkrytą.

Warto zauważyć, że istniało wówczas także inne prawo, analogiczne do prawa nakazującego golenie głowy, które stosowało się do niemoralnych zachowań kobiet.

Rozporządzenie dotyczące kobiet egzekwowano równie surowo, tyle tylko że w tym wypadku podlegało ono kompetencji siedmiu starszych kobiet z danego okręgu, które swoim dotychczasowym postępowaniem zasłużyły na szacunek, i to one na jego mocy wymierzały karę za cztery przejawy uważane w tamtym czasie u kobiet za akt największej rozwiązłości i niemoralności.

Na przykład jeśli całe otoczenie widziało, że dana kobieta traktuje swoje obowiązki rodzinne niechlujnie i bez należytnej uwagi, i jeżeli potwierdziło to siedem wspomnianych starszych kobiet, to zgodnie z obowiązującym prawem musiała ona przez określony czas pokazywać się wszędzie z pomalowanymi ustami.

Jeśli zauważono, że u którejkolwiek z ówczesnych kobiet osłabł instynkt macierzyński w stosunku do własnych dzieci, to stosując te same zasady, skazywano ją na pokazywanie się wszędzie, również przez określony czas, z lewą połową twarzy pokrytą makijażem i pomalowaną na biało-różowo.

Jeżeli natomiast u którejś z kobiet wykryto skłonność do zapobiegania możliwości poczęcia nowej istoty w celu kontynuacji jej rodu, wówczas takim samym trybem skazywano ją na pokazywanie się z twarzą pokrytą makijażem i pomalowaną na biało-różowo, tym razem jednak tylko z prawej strony.

Jeśli zaś chodzi o kobiety, które targnęły się na swój główny „obowiązek małżeński”, czyli zdradziły lub tylko nosiły się z zamiarem zdradzenia prawowitego męża, albo też próbowały zniszczyć poczętą w nich nową istotę, to zgodnie z tą samą procedurą i także przez określony czas musiały pokazywać się wszędzie

z całą twarzą pokrytą makijażem i pomalowaną na biało-różowo.

W tym miejscu Ahun przerwał opowieść Belzebuba, mówiąc:

– Wasza Przewielebność! Wszystkie twoje wyjaśnienia dotyczące ziemskiej sztuki i tych tamtejszych istot trój mózgowych, które się nią parają oraz są, by tak rzec, jej przedstawicielami, a szczególnie te odnoszące się do tamtejszych współczesnych „komedianów” lub „artystów” podsunęły mi myśl, by skorzystać ze wszystkich ugruntowanych w mojej zbiorczej obecności wrażeń, które otrzymałem podczas ostatniego pobytu na powierzchni tej przypadłej do gustu naszemu drogiemu Hassinowi planety Ziemia, i przekazać mu jedną dobrą i bardzo praktyczną radę.

Wypowiedziawszy te słowa, Ahun zamierzał skierować wyciekający wzrok na twarz Belzebuba, rzucając mu jak zwykle długie i nieruchome spojrzenie, ale kiedy na ustach tego ostatniego zauważył znany mu, zawsze zasmucony, niemniej dobry i pobłażliwy uśmiech, wtedy lekko zmieszany, nie czekając już na pozwolenie, zwrócił się prosto do Hassina:

– Kto wie, nasz drogi Hassinie, być może ty także znajdziesz się kiedyś na planecie Ziemia i będziesz musiał egzystować wśród tych oryginalnych istot trój mózgowych, które przypadły ci do gustu...

Następnie, wciąż zachowując styl i intonację samego Belzebuba, powiedział:

– Oto dlaczego chcę cię teraz wtajemniczyć w rezultaty różnych mimowolnie odebranych przeze mnie wrażeń, odnoszących się do typologii tych współczesnych przedstawicieli sztuki, a także osobliwego sposobu, w jaki się ona wśród nich przejawia.

Musisz wiedzieć, że szczególnie w ciągu kilku ostatnich dziesięcioleci trójmózgowe istoty obecnej cywilizacji nie tylko otoczyły tę współczesną sztukę fałszywym nimbem, ale także traktują jej tak zwanych adeptów jak równych sobie i naśladują ich zewnętrzne przejawy, nie wahając się przy tym nawet ich dopingować oraz niezasłużenie wywyższać; z kolei w tych samych współczesnych przedstawicielach sztuki, którzy pod względem swojej

prawdziwej esencji są niemalże całkowitymi zerami, formuje się samoczynnie, bez żadnego udziału ich istnieniowej świadomości, fałszywe przekonanie, że nie są tacy jak cała otaczająca ich reszta, lecz, jak sami mówią, są „istotami wyższej rangi”, a to powoduje, że w zbiorczej obecności takich typów krystalizacja następstw właściwości organu kundabufor zachodzi bardziej intensywnie niż w obecnościach wszystkich innych tamtejszych istot trójmózgowych.

Konkretnie mówiąc, w przypadku tych nieszczęsnych istot trójmózgowych nienormalne warunki, które towarzyszą ich zwykłej egzystencji istnieniowej, są już tak ugruntowane, że w ich zbiorczych obecnościach nieuchronnie krystalizują się i stają nieodłączną częścią ich zbiorczej psychiki te następstwa właściwości organu kundabufor, które one same zważają dzisiaj „kabotyństwem”, „dumą” „miłością własną” „próżnością” „zarozumiałstwem” „zapatrzeniem w siebie” „zawiścią” „nienawiścią” „obraźliwością” itd., itp.

Te wyliczone następstwa szczególnie wyraziście i silnie się tam krystalizują akurat w tych współczesnych przedstawicielach sztuki, którzy okazali się „manipulatorami” tamtejszych współczesnych teatrów. A krystalizują się w nich z taką siłą, ponieważ owi manipulatorzy zawsze grają role innych podobnych do nich istot, które poziomem istnieniowego bycia oraz znaczeniem w procesie tamtejszej egzystencji niewątpliwie ich przerastają, i sami będąc, jak mówiłem, istotami w gruncie rzeczy bezwartościowymi, stopniowo budują swym w pełni już zautomatyzowanym rozumem zupełnie fałszywe pojęcie o sobie.

A mianowicie przez tę ich całkiem już zautomatyzowaną „świadomość” i zupełnie „bzdurne” odczucia mają wrażenie, że są czymś nieporównanie lepszym niż to, czym są naprawdę.

Muszę ci wyznać, drogi Hassinie, że chociaż w trakcie naszych wcześniejszych wizyt na powierzchni twojej planety, jak również na początku ostatniego pobytu tam spotykałem się i nawiązywałem rozmaite kontakty z tymi trójmózgowymi istotami, które przypadły ci do gustu, prawie nigdy jednak nie doznałem w mej

zbiorczej obecności szczerego impulsu istnieniowej litości w obliczu bezgranicznie nieszczęśliwego losu, jaki czeka tych twoich ulubieńców z powodu okoliczności niemalże od nich niezależnych.

Wszelako pod koniec naszego szóstego pobytu, kiedy w niektórych z nich zaczęła się wykształcać taka wewnętrzna obecność, jaką mają teraz przedstawiciele niemal każdej gałęzi ich sztuki, i kiedy te nowo powstałe „typy” znajdując się wśród innych tamtejszych trójmózgowych istot i uczestnicząc z nimi na równych prawach w procesie zwykłej egzystencji istnieniowej, zaczęły wpadać w sferę postrzegania mojego wzroku wraz ze swoją już przesadnie nienormalną wewnętrzną „samooceną istnieniową” otóż właśnie wtedy doznałem dzięki nim wstrząsu, który obudził we mnie impuls litości nie tylko dla nich samych, ale też ogólnie dla każdego z twoich nieszczęsnych ulubieńców.

Spróbuj więc teraz skupić uwagę nie na wszystkich trójmózgowych istotach ani też nie na poszczególnych przedstawicielach ich współczesnej sztuki, ale tylko na tych, którzy zasłużyli na miano „artystów” lub „aktorów”.

Mimo że pod względem ich prawdziwej esencji są tak naprawdę niemal zupełnymi, jak to się mówi, „zerami”, czyli czymś kompletnie pustym, otoczonym tylko fasadą, stopniowo jednak, powtarzając w kółko i wszędzie swoje ulubione eksklamacje w rodzaju „geniusz” „talent” „dar” i jeszcze parę innych wyrażeń tak samo pustych jak oni, doszli do przekonania, że pośród podobnych do nich istot z otoczenia tylko oni mają „boskie pochodzenie” i już niewiele brakuje, by sami zamienili się w „bóstwo”.

Teraz słuchaj mnie i spróbuj przeistoczyć w odpowiednich częściach swojej zbiorczej obecności moją naprawdę bardzo praktyczną radę, tak byś we właściwym czasie mógł z niej skorzystać.

Ta praktyczna rada brzmi następująco:

Jeśli z jakiegoś powodu faktycznie przyjdzie ci egzystować, szczególnie w niedalekiej przyszłości, pośród trójmózgowych istot tej przypadłej ci do gustu planety Ziemia – mówię w „nieda-



lekiej przyszłości” ponieważ zarówno sama obecność przypadłych ci do gustu trójmózgowych istot, jak i wszystkie już ustanowione zewnętrzne warunki ich zwykłej egzystencji istnieniowej często się tam wynaturzają – i jeśli, jak przystoi każdej świadomej trójmózgowej istocie, poświęcisz się tam takiej czy innej sprawie, której podstawowym celem jest dobro otaczających cię istot i której realizacja będzie częściowo zależała także od nich samych, to w jakimkolwiek społeczeństwie współczesnej cywilizacji się znajdziesz i, zabiegając o tę sprawę, jakiegokolwiek „kręgi” będziesz odwiedzał, ilekroć spotkasz te współczesne tamtejsze typy, obowiązkowo bądź zawsze wobec nich bardzo ostrożny i podejmij wszelkie niezbędne starania, by utrzymywać z nimi dobre relacje.

Abyś uświadomił sobie, dlaczego właśnie w stosunku do nich musisz być tak ostrożny, a także byś mógł generalnie lepiej sobie wyobrazić i wszechstronnie zrozumieć te współczesne typy, musisz koniecznie wspomnieć jeszcze o dwóch faktach, które stały się tam całkiem oczywiste.

Pierwszy sprowadza się do tego, że z powodu zawsze tych samych nienormalnie ustalonych warunków tamtejszej zwykłej egzystencji istnieniowej, a także wskutek „chimerycznie nadętego” i szkodliwego mniemania o tej ich sławetnej sztuce, stopniowo sami jej przedstawiciele – jak już powiedziałem – zostali otoczeni w przyjętych z góry wyobrażeniach i pojęciach, jakie wyrobiły sobie o nich inne tamtejsze istoty trójmózgowe, nieistniejącym nimbem i w ten sposób automatycznie zdobyli niezасłużony autorytet, skutkiem czego cała reszta twoich ulubieńców zawsze liczy się z wyrażoną przez nich opinią i przyjmuje ją za jakoby zupełnie niepodważalną.

Natomiast drugi fakt wypływa z tego, że w okresie kształtowania się te nowo powstałe współczesne typy zdobywają na własność odpowiednią wewnętrzną obecność, która pozwala im albo całkiem rozmyślnie stać się czyimś niewolnikiem, albo samoczynnie, tylko dzięki przypadkowemu zbiegowi zewnętrznych okoliczności, zamienić się równie łatwo w jego najbardziej zacie-

kłego wroga.

Oto dlaczego radzę ci zachować wielką ostrożność i nie narobić sobie wśród nich wrogów, bo dzięki temu unikniesz poważnych przeszkód na drodze do realizacji twoich planów.

A zatem, drogi Hassinie, jeśli rzeczywiście przyszłoby ci egzystować wśród istot planety Ziemia i stykać się z przedstawicielami ich współczesnej sztuki, to sam „cymes” mojej rady sprowadza się do tego, że przede wszystkim nigdy nie powinienes im mówić prawdy prosto w twarz.

Oby los ci tego oszczędził!

Za każdą taką prawdę oni bardzo, ale to bardzo się obrażają i właśnie tego rodzaju obraza niemal zawsze staje się przyczyną ich wrogości w stosunku do innych.

Tym ziemskim typom należy zawsze mówić w twarz tylko to, co może „połechtać” te niechybnie skrytalizowane w nich następstwa właściwości organu kundabufor, które wcześniej wyliczyłem, a mianowicie: „zawiść”, „dumę”, „miłość własną”, „próżność”, „zakłamanie” itd.

Takie sposoby łechtania, które – jak zauważyłem w trakcie mojej bytności tam – oddziałują „bez pudła” na psychikę twoich nieszczęsnych ulubieńców, to między innymi:

Jeśli twarz któregoś z tych przedstawicieli sztuki przywodzi na myśl pysk krokodyla, musisz koniecznie mu powiedzieć, że przypomina z wyglądu ni mniej, ni więcej, tylko rajskiego ptaka.

Jeżeli któryś z nich jest głupi jak trąba, powiedz mu, że ma umysł jak Pitagoras.

Jeśli w jakiejś sprawie zachowa się jak „arcyidiota”, to powiedz mu, że nawet sam wielki i chytry Lucyfer niczego lepszego nie potrafiłby wymyślić.

A jeżeli z jego wyglądu wywnioskujesz ponad wszelką wątpliwość, że jest nosicielem paru takich tamtejszych chorób, wskutek których z dnia na dzień coraz bardziej gnije, to z wielce zdumioną miną zapytaj go:

„Proszę, zdradź mi, na czym polega twój sekret, że zawsze wy-

glądasz tak młodo i rumiano, można by powiedzieć krew z mlekiem” itd., itp. Pamiętaj tylko o jednym... nigdy nie mów prawdy.

Chociaż tak należy się zachowywać w stosunku do wszystkich istot tej planety, jednak jest to szczególnie niezbędne wobec przedstawicieli dowolnej gałęzi ich współczesnej sztuki.

Po tych słowach Ahun, krygując się jak podmoskiewska swatka na ślubie swoich klientów albo jak właściciel paryskiego domu mody siedzący w „high-life owej kawiarni”, zaczął wygłądać pukle ogona.

Hassin zaś, spoglądając na niego jak zwykle z uśmiechem przepełnionym szczerą wdzięcznością, powiedział:

– Wielkie dzięki, drogi Ahunie, za twą radę i generalnie wszystkie wyjaśnienia dotyczące niektórych niuansów dziwaczności psychiki trójmózgowych istot tej tak sponiewieranej pod każdym względem planety naszego Wielkiego Wszechświata.

Następnie zwrócił się już do samego Belzebuba:

– Powiedz mi, proszę, drogi dziadku, jak to możliwe, że rzeczywiście nic nie wyszło z zamiarów i wysiłków babilońskich uczonych i absolutnie żadne fragmenty wiedzy, które znane były wówczas na Ziemi, nie dotarły do współczesnych istot trójmózgowych tej dziwnej planety?

Na to pytanie wnuka Belzebub odpowiedział tak:

– Ku wielkiemu żalowi wszystkiego, co istnieje we Wszechświecie, z rezultatów ich pracy nie ocalało, mój chłopcze, prawie nic i tym samym nic nie przypadło w spadku twoim współczesnym ulubieńcom.

Informacje umieszczane w opisanym przeze mnie wcześniej sposób przechodziły z pokolenia na pokolenie zaledwie przez kilka tamtejszych stuleci.

Wkrótce po okresie „świątyni babilońskiej”, znowu z powodu ich głównej osobliwości, czyli „okresowego procesu unicestwienia się nawzajem”, wśród tamtejszych zwykłych istot nie tylko przepadł ślad po legomonizmach, które zawierały klucze do zrozumienia prawidłowych odchyień od Prawa Siedmiokrotności

wprowadzonych do wszystkich gałęzi „istnieniowych afalkal-nów i soldzinochów” lecz także, jak już ci mówiłem, z czasem zatarła się nawet wszelka pamięć o tym wszechświatowym prawie świętego Heptaparaparszynoch, wcześniej znanym w Babilonie jako „Prawo Siedmiokrotności”.

Wszystkie świadome dzieła istot okresu babilońskiego obróciły się stopniowo wniwecz, częściowo samorzutnie, nadgryzione zębem czasu, a częściowo z powodu tego ichniego procesu unicestwiania się nawzajem, czyli mówiąc dokładniej, wtedy, gdy owa psychoza przybrała postać zwaną „unicestwianiem wszystkiego, co pojawia się w zasięgu wzroku”.

Takie właśnie były dwie podstawowe przyczyny tego, że z czasem zniknęły z powierzchni tej nieszczęsnej planety niemal wszystkie świadomie zrealizowane osiągnięcia uczonych istot epoki babilońskiej, i to w takim tempie, że po trzech tamtejszych stuleciach nie ocalało z nich prawie nic.

Trzeba jeszcze dodać, że druga z tych przyczyn doprowadziła wprawdzie do osłabnięcia, a następnie również niemal całkowitego zaniku stworzonej i stosowanej od czasów Babilonu nowej formy przekazywania późniejszym pokoleniom informacji i różnych fragmentów wiedzy za pośrednictwem istot zwanych tam „wtajemniczonymi w sztukę”.

Tak się składa, że akurat doskonale znam historię zniknięcia tam tego zwyczaju, zgodnie z którym pewne istoty stawały się „wtajemniczonymi w sztukę” – a znam go, ponieważ tuż przed opuszczeniem na zawsze ich planety musiałem dla innych swoich celów bardzo skrupulatnie tę sprawę wyjaśnić.

Specjalnie po to, żeby ją wyjaśnić, przysposobiłem nawet pewną bardzo dobrą „tiklunię” wybraną spośród tamtejszych istot płci żeńskiej, i za jej pośrednictwem prowadziłem moje badania.

Dawniej tiklunię określano tam słowem „pytia” natomiast istoty współczesne mówią na nią „medium”.

Otóż udało mi się ustalić, że w ostatnich czasach pozostały jeszcze tylko cztery takie „wtajemniczone w sztukę” istoty, dzięki

którym klucze do zrozumienia starożytnej sztuki wciąż są „dziedziczone w linii prostej”, i że taki dziedziczny przekaz dokonuje się tam teraz w bardzo złożonych i trzymany w sekrecie warunkach.

Z tych czterech wtajemniczonych istot, które żyją do dzisiaj, jedna jest potomkiem osiadłych na kontynencie Ameryka istot zwanych „czerwonoskórymi” druga – istot zamieszkujących Archipelag Filipiński, trzecia – istot kontynentu Azja, które pochodzą z obszaru położonego w górnym biegu rzeki Piandź, a czwarta i ostatnia – istot zwanych „Eskimosami”.

Teraz posłuchaj, dlaczego użyłem właśnie słowa „prawie” mówiąc, że trzy ichnie stulecia po okresie babilońskim „prawie” całkowicie zniknęły wszelkie świadome i automatyczne reprodukcje istnieniowych afalkalnów i soldzinochów.

Chodzi o to, że dwie gałęzie świadomej wytwórczości istot okresu babilońskiego trafiły przypadkowo na podatny grunt i pewne ich elementy zaczęły przechodzić z pokolenia na pokolenie, częściowo dzięki świadomie podejmującym się tego istotom, a częściowo automatycznie.

Jedna z tych dwóch gałęzi niedawno znikła, za to druga dotarła do niektórych istot współczesnych, i to nawet w prawie niezmięnionej formie.

Ta gałąź, która dotarła do istot współczesnych, zwana jest tam „świętymi tańcami”.

Otóż tylko dzięki tej gałęzi, która ocalała z czasów uczonych babilońskich, bardzo ograniczona liczba tamtejszych istot trójmózgowych ma teraz możliwość – pod warunkiem że poniesie pewne świadome trudy – rozszyfrowania i poznania ukrytych w niej informacji pożytecznych dla ich własnego bycia.

Druga z wymienionych gałęzi, która niedawno przestała istnieć, to ta gałąź wiedzy babilońskich uczonych, która zajmowała się „zestawianiem różnych tonacji kolorów” i którą współczesne istoty zwą teraz „malarstwem”.

Przekazywana była z pokolenia na pokolenie niemalże wszę-

dzie i chociaż tak samo wszędzie zaczęła z upływem czasu stopniowo zanikać, to do niedawna wśród istot społeczeństwa zwanego „Persją” zarówno jej świadomy, jak i automatyczny przekaz następował w całym regularnym tempie.

Dopiero tuż przed tym, jak na zawsze opuściłem twoją planetę – to znaczy kiedy również w Persji zaczęto odczuwać wpływ istot parających się podobnym zawodem, tyle że wywodzących się już ze współczesnej „kultury europejskiej” i kiedy istoty społeczeństwa Persji trudniące się tym samym rzemiosłem także zaczęły się wymądrzać – ów przekaz całkowicie zanikł.

Warto jednak zauważyć, że pomimo tego wszystkiego wiele wytworów ocalałych z czasów babilońskich dotarło do istot cywilizacji współczesnej, zwłaszcza istot zamieszkujących kontynent Europa. Ale owe istoty, nawet nie podejrzewając, jaka „skarbnica mądrości” kryje się w tych dziełach – nie będących „oryginałami”, a jedynie na poły zbutwiały kopiami wykonanymi przez ich bliskich przodków, którzy nie zdążyli jeszcze całym się zamienić w „plagiatorów” wytworów epoki babilońskiej – zamiast przedsięwziąć odpowiednie środki, po prostu zmagazynowały je w swoich, jak mówią, „muzeach”. A tam te kopie uległy z czasem zupełnemu zniszczeniu lub zostały uszkodzone wskutek częstej obróbki kolejnych kopistów, którzy stosowali różne żrące i utleniające mieszanki, takie jak „gips modelarski” „klej rybi” itd., wyłącznie po to, by popisać się przed kolegami lub oszukać swoich nauczycieli, albo jeszcze dla jakichś innych hasnamuskich celów.

Po sprawiedliwości trzeba dodać, że od czasu do czasu, stojąc w obliczu dzieł, które przypadkowo dotarły do nich bądź w oryginalnej formie stworzonej specjalnie w Babilonie przez członków klubu „Adeptów Legomonizmu” bądź też w formie kopii wykonywanych, w celu przekazywania ich następnym pokoleniom, przez różnych sumiennych fachowców – czyli takich fachowców, którym, jak już powiedziałem, plagiatorstwo nie weszło jeszcze całym w krew i którzy dzięki temu nie zmieniali detali cudzych wytworów tylko po to, by podawać je za własne – także niektóre

istoty cywilizacji współczesnej zaczęły podejrzewać, że w tych dziełach kryje się „coś” i kiedy następnie bardzo poważnie zabrały się do szukania tego „czegoś”, zdarzało się nawet, że takie do- ciekliwe istoty cywilizacji europejskiej rzeczywiście odnajdywały coś konkretnego, ukrytego w tych dziełach.

Na przykład na początku współczesnej cywilizacji europejskiej jedna z tych istot, a mianowicie pewien mnich, były architekt imieniem Ignatius, doszedł do tego, że potrafił odszyfrować wie- dzę i pożyteczne informacje kryjące się w dziełach, które należały do prawie wszystkich gałęzi tej, jak ją już wtedy nazywano, „sztu- ki starożytnej”, i które dotarły do niego z czasów epoki babiloń- skiej.

Ale kiedy mnich Ignatius chciał się podzielić swoim „odkry- ciem” z innymi podobnymi do niego tamtejszymi istotami, a mianowicie z dwoma „kolegami mnichami” – z którymi został wysłany przez swego przełożonego, aby w roli specjalisty pokie- rować, jak to się mówi, „położeniem fundamentów” pod świąty- nię, która stała się później sławna – wtedy z jakiegoś błahego po- wodu, będącego wynikiem skryzalizowanego w nich następ- stwa właściwości organu kundabufor zwanego „zawiścią” owi mnisi zamordowali go podczas snu, a jego ciało planetarne wrzu- cili do wody opływającej małą wyspę, na której zamierzano wzniesć wspomnianą świątynię.

Ów mnich Ignatius przyszedł na świat i ukształtował się jako odpowiedzialna istota na kontynencie Europa; ale kiedy osiągnął wiek istoty odpowiedzialnej, kierowany pragnieniem wzbogace- nia wiedzy o zawodzie, który uczynił celem swej egzystencji, to znaczy zawodzie architekta, wyjechał na kontynent Afryka. Tam wstąpił do bractwa, które istniało na tym kontynencie pod na- zwą „Poszukiwacze Prawdy”. Później zaś, kiedy po przeniesieniu się na kontynent Europa rzeczne bractwo się rozrosło, a samych braci zaczęto nazywać „benedyktynami” stał się już jednym z „pełnoprawnych braci” tego bractwa.

Świątynia, o której wspomniałem, istnieje tam do dziś i teraz nazywa się chyba „Mont Saint-Michel”.

Na tym samym kontynencie Europa także kilka innych dociekliwych istot zauważyło zgodne z prawem nieściskości w dziełach różnych gałęzi sztuki, które dotarły do nich z czasów starożytnych; ale dokładnie w chwili, gdy odnajdowały klucz do zrozumienia tych nieściskości, ich egzystencja dobiegała końca.

Jeszcze inna istota z kontynentu Europa, spostrzegłszy to samo, zaczęła się tym bardzo interesować i dzięki autentycznym wysiłkom zdołała bezbłędnie rozszyfrować dzieła prawie wszystkich gałęzi sztuki.

Ta mądra ziemską istotą trójmózgową nazywała się Leonardo da Vinci.

Sądzę, że nie zaszkodzi, jeśli na zakończenie mojej obecnej opowieści o współczesnej ziemskiej sztuce wspomnę o jeszcze jednej z wielu specyficznych cech tych istot obecnej cywilizacji, które zajmują się właśnie tą sławetną sztuką.

Ta ich specyficzna cecha polega na tym; że ilekroć któraś z tych istot – zauważywszy w różnych dziełach, które dotarły do nich z czasów starożytnych, pewną całkiem „zgodną z prawem nielogiczność” – zaczyna zajmować się daną gałęzią sztuki w zupełnie nowy sposób, być może pragnąc zbadać w praktyce taką zgodną z prawem nielogiczność, wówczas od razu większość istot z jej otoczenia, które zawodowo trudnią się tą dziedziną, zaczyna tę istotę naśladować i rzekomo robić dokładnie to samo, tylko oczywiście bez żadnego sensu ani celu.

To właśnie ta „specyfika” psychiki tamtejszych istot będących przedstawicielami współczesnej sztuki sprawia, że wśród twoi ulubieńców nieustannie powstają nowe „kierunki artystyczne”, a jednocześnie coraz bardziej podupadają te, które zostały w miarę normalnie, choć także „aby-aby” ustanowione przez poprzednie pokolenia.

Wprawdzie dotyczy to przedstawicieli wszystkich gałęzi obecnej sztuki, ale z jakiegoś powodu takiej pokusie najczęściej ulegają istoty, które zajmują się dziedziną zwaną przez nie „malarstwem”.



To dlatego obecnie wśród tych tamtejszych współczesnych profesjonalistów istnieje wiele powstałych w ten sposób „nowych kierunków malarskich”, które nie mają ze sobą nic wspólnego i nazywają się: „kubizm”, „futuryzm”, „syntetyzm”, „imaginizm”, „koloryzm”, „formalizm”, „surrealizm”, a także jeszcze wiele innych tego rodzaju nurtów o nazwach również kończących się na „izm”.

W tym miejscu opowieści Belzebuba z kopyt wszystkich pasażerów międzyukładowego statku „Karnak” zaczęło nagle promieniować „coś fosforyzującego”.

Znaczyło to, że statek „Karnak” zbliża się do miejsca swego przeznaczenia, czyli do planety Rewozwradendr, i wśród pasażerów zaczęły się gorączkowe przygotowania do opuszczenia statku.

Belzebub, Hassin i Ahun przerwali swą rozmowę i także w pośpiechu zaczęli się szykować.

Ów fosforyzujący odbłysek kopyt był wynikiem tego, że do tej części statku wysłano z maszynowni stężone w odpowiednich proporcjach święte części świętego wszechobecnego Okidanocha.

## **Część Druga**

## Rozdział 31

### ***Szósty i ostatni pobyt Belzebuba na powierzchni naszej Ziemi***

Kiedy po dwóch „ornakrach”\* międzyukładowy statek kosmiczny „Karnak” opuścił strefy atmosfery planety Rewozwradendr i zmierzając ku planecie Karataz, zaczął z powrotem opaść w kierunku układu słonecznego Pandecnoch, Hassin, usadowiwszy się na swoim miejscu, zwrócił się do Belzebuba z następującymi słowami:

\* „Ornakr” równa się w przybliżeniu temu okresowi upływu czasu; który na Ziemi przyjmujemy za „miesiąc”.

– Drogi i kochany dziadku!

Bądź jak zawsze miły i powiedz mi jeszcze coś o trójcentrowych istotach mających siedlisko na tej planecie, która nazywa się „Ziemia”.

W odpowiedzi Belzebub zaczął opowiadać o swej szóstej i ostatniej wizycie na planecie Ziemia.

Rozpoczął tak:

– Po raz szósty udałem się na tę planetę tuż przed otrzymaniem pełnego ułaskawienia, dzięki któremu mogłem opuścić ów znajdujący się na drugim krańcu, prawie poza zasięgiem bezpośrednich emanacji Przenajświętszego Słońca Absolut, układ słoneczny, czyli niedługo przed moim powrotem tutaj, do centrum Wszechświata, do miejsca mojego powstania, na samo łono NASZEGO WSPÓLNEGO JEDNOBYTNEGO NIESKOŃCZONEGO.

Tym razem nieoczekiwany zbieg okoliczności sprawił, że byłem zmuszony egzystować wśród tych oryginalnych istot dość długo, to jest prawie cały nasz rok lub, według tamtejszej rachuby czasu, ponad trzysta lat.

A jeśli chodzi o okoliczności, które stały się główną przyczyną

mojej ostatniej wizyty na powierzchni tej przypadłej ci do gustu planety, to wyglądały one następująco:

Powinienem ci powiedzieć, że po moim piątym pobycie na powierzchni twojej planety znowu zacząłem, jak to czyniłem już wcześniej, obserwować od czasu do czasu egzystencję tych przypadłych ci do gustu trójmózgowych istot.

Ze szczególną uwagą obserwowałem je w okresach, kiedy manifestowała się ich główna osobliwość, a mianowicie ichnie procesy „unicestwiania się nawzajem”.

Prowadziłem obserwacje z wielką uwagą, ponieważ koniecznie chciałem wtedy wyjaśnić przyczyny okresowego przejawiania się tej wyjątkowo okropnej potrzeby ich niewiarygodnie dziwnej psychiki.

Kiedy więc miałem trochę wolnego czasu, zdarzało się, że spędzałem cały marsjański dzień lub całą noc, śledząc ich rozmaite przejawy w trakcie wspomnianych procesów.

A zatem, mój chłopcze, któregoś dnia, obserwując taki proces przez moje wielkie teskuano z planety Mars, zauważyłem nagle coś całkiem nowego. Otóż zobaczyłem, że nie ruszając się w ogóle z miejsca, robiły one coś z pewnym przedmiotem, z którego unosił się dymek, i ten dymek powodował, że ta czy inna istota należąca do przeciwnej strony momentalnie padała bezpowrotnie unicestwiona albo przynajmniej z okaleczoną lub zniszczoną na zawsze jakąś częścią swego planetarnego ciała.

To nieoczekiwane spostrzeżenie wprawiło mnie w wielkie zdumienie, ponieważ nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałem i w moim myśleniu nie było jeszcze żadnych danych, które pozwoliłyby mi znaleźć konfrontatywne logiczne wyjaśnienie możliwości zastosowania przez nie takiego sposobu unicestwiania egzystencji innych podobnych do nich istot.

Chodzi o to, że dzięki specjalnym obserwacjom, które prowadziłem wcześniej zarówno z planety Mars, jak i podczas osobistych wizyt u nich, w moim myśleniu skryształizowały się dane umożliwiające w miarę dokładne wyobrażenie sobie oraz logicz-

ne skonfrontowanie stosowanych przez nie sposobów i środków wzajemnego unicestwiania się, i w odniesieniu do każdego z takich środków powstało już we mnie określone logiczne zestawienie, pozwalające mi zrozumieć, jakie przypadkowo powstałe czynniki zewnętrzne wywołują w nich impulsy i skłonności, które powodują, że ich esencja stopniowo osiąga tak fenomenalną moc istnieniową, iż potrafią ni stąd, ni zowąd unicestwić egzystencję innych podobnych do nich istot.

Jednakże tych moich uprzednich logicznych i psychologicznych wyjaśnień nie dało się w żaden sposób zastosować do tego nowego sposobu unicestwiania egzystencji innych istot, który ujrzałem teraz po raz pierwszy.

Ów nowy sposób wzbudził we mnie zdziwienie głównie dlatego, że do tej pory we wszystkich moich wywodach na temat różnych faktów, które wynikały z tej ich tak dziwnej właściwości, wyraźnie, jak czerwona nić, przewijało się następujące rozumowanie:

Otóż tłumaczyłem sobie, że ta nienormalna cecha ich psychiki nie została nabyta bezpośrednio przez istoty danej epoki, lecz że taka przeraźliwa potrzeba gromadziła się i, można by rzec, „harmonijnie” zakorzeniła w ich zbiorczych obecnościach stopniowo w ciągu wielu ichnich stuleci – i to jak zwykle dzięki ustanowionym przez istoty poprzednich pokoleń nienormalnym warunkom ich egzystencji – wskutek czego ta okresowa potrzeba niejako weszła już w krew współczesnym istotom trójmózgowym, które z powodu okoliczności praktycznie od nich niezależnych nie mają teraz wyjścia i muszą zajmować się taką działalnością.

Wiedz, mój chłopcze, że na samym początku tych procesów one z reguły instynktownie powstrzymują się jeszcze od takiego, zadającego gwałt naturze, przejawu, ale później, już w toku samego procesu, kiedy każda z nich chcąc nie chcąc widzi i przekonuje się, że unicestwienie egzystencji bliźnich istot jest takie proste i że liczba ofiar wciąż wzrasta, wtedy mimo woli zaczyna instynktownie odczuwać i mechanicznie szacować wartość własnej egzystencji. A przekonawszy się na własne oczy, że w danej

chwili możliwość utraty własnej egzystencji zależy wyłącznie od liczby niezniszczonych istot po stronie „wroga” to taka istota – wskutek wzmożonego działania w jej wyobraźni impulsu zwanego „tchórzostwem”, a także z powodu niemożności dokonania w takich chwilach rozsądnej oceny swym już i tak osłabionym myśleniem istnieniowym – zaczyna pod wpływem naturalnego instynktu samozachowawczego dążyć całym swym jestestwem do zniszczenia jak największej liczby egzystencji istot po stronie przeciwnika, aby w ten sposób zwiększyć szansę na uratowanie własnej. Tak właśnie, stopniowo umacniając ten swój instynkt samozachowawczy, udaje im się osiągnąć stan, jak same by powiedziały, „bestialstwa”.

Jednakże w wypadku tego nowego sposobu unicestwiania innych istot nie dało się do niego zastosować owego logicznego zestawienia, które przeprowadziłem przed chwilą, a to tylko dlatego, iż wyraźnie widziałem, że dwie wrogie strony były od siebie wystarczająco oddalone, że każda wojująca istota znajdowała się wśród swoich i że w takich w miarę sprzyjających warunkach spokojnie, z absolutnie zimną krwią i jakby z nudów, robiły coś za pomocą pewnego „czegoś”, unicestwiając w ten sposób egzystencję innych podobnych do nich istot.

Ten ich nowy sposób unicestwiania się nawzajem wzmógł w mojej esencji nieodpartą potrzebę wyjaśnienia i zrozumienia wszystkich prawdziwych przyczyn niewiarygodnej dziwaczności owej psychiki, która stała się właściwa wyłącznie obecnościom tych oryginalnych istot trójmózgowych.

Ponieważ w tym okresie nie miałem na planecie Mars nic specjalnie do zrobienia, postanowiłem bezzwłocznie uregulować wszystkie bieżące sprawy i osobiście udać się na twoją planetę, by tam, na miejscu, za wszelką cenę wyjaśnić tę kwestię, która nie dawała mi spokoju, i już nigdy więcej nie musieć myśleć o tego rodzaju zjawiskach w naszym Wielkim Wszechświecie.

A więc kilka marsjańskich dni później poleciałem tam jak zwykle na statku „Okazja”.

Tym razem postanowiliśmy wylądować na kontynencie Azja,

w pobliżu kraju zwanego „Afganistanem”, ponieważ jeszcze przed odlotem zobaczyliśmy przez nasze teleskopy, że kolejny z rzędu proces unicestwiania się nawzajem toczył się wtedy właśnie tam.

Po wylądowaniu w pobliżu Afganistanu postanowiliśmy odesłać nasz statek „Okazja”, aby zacumować go z dala od obszarów, na których niedawno osiedlili się twoi ulubieńcy.

Muszę ci powiedzieć, że w ostatnich czasach wcale nie tak łatwo było znaleźć na powierzchni twojej planety odpowiednie miejsce postoju dla naszego statku, a to dlatego, że twoi ulubieńcy zaopatrzyli się w różne urządzenia do tak zwanej żeglugi morskiej, nazywane także „statkami”, które nieustannie przemieszczają się we wszystkich kierunkach, przeważnie dookoła kontynentów.

Prawdą jest, że mogliśmy nasz statek uczynić niewidzialnym dla ich organów postrzegających widzialność, ale nie byliśmy w stanie pozbyć się samej ich obecności, a bez tego nasza „Okazja” nie mogła spokojnie stacjonować na wodzie, gdyż zawsze groziło niebezpieczeństwo, że któryś z ich statków na nią wpadnie.

Tym razem postanowiliśmy więc odesłać nasz statek na postój na tak zwany biegun północny, do którego ichnie statki nie potrafiły jeszcze dopłynąć.

W trakcie naszego zstępowania na powierzchnię twojej planety proces „unicestwiania się nawzajem” dobiegł już w Afganistanie końca. Wszelako zdecydowałem się pozostać w pobliżu tego kraju, gdyż właśnie w tej części kontynentu Azja takie procesy występowały wtedy najczęściej.

Ze względu na to, że podczas tego ostatniego osobistego przylotu na powierzchnię twojej planety miałem zamiar w pełni uświadomić sobie źródła problemu, który nieustannie niepokoił moją esencję – mianowicie pragnąłem wyjaśnić wszystkie aspekty różnych powodów tego, że psychika tych przypadłych ci do gustu trójmózgowych istot stała się tak dziwaczna – nie tak szybko jak przy poprzednich okazjach powróciłem do siebie na planetę

Mars, lecz tym razem egzystowałem tam wśród twoich ulubieńców, jak już wspominałem, około trzystu ichnich lat.

Teraz, kiedy zabieram się do przedstawiania informacji mających rzucić światło na rezultaty danych, które z rozmaitych przyczyn zgromadziły się w zbiorczych obecnościach trójmózgowych istot tej przypadłej ci do gustu planety Ziemia, moja esencja podpowiada mi i pobudza moje „Ja” oraz wszystkie oddzielnie uduchowione części mojej zbiorczej obecności, abym przede wszystkim podkreślił, że podczas mojego ostatniego osobistego pobytu na powierzchni twojej planety musiałem bardzo poważnie przestudiować i doświadczalnie ustalić nie tylko szczegóły psychiki twoich ulubieńców jako oddzielnych jednostek, lecz również ich percepcje i przejawy w sytuacji, kiedy wzajemnie reagują na siebie w masie, i to uwzględniając różne kombinacje warunków środowiskowych oraz rezultaty, jakie one przynoszą.

Tym razem, aby przeprowadzić takie doświadczenia poznawcze, musiałem nawet skorzystać z pomocy owych gałęzi wiedzy powszechnej, które my nazywamy „samonolturiko” „gazometronolturiko” i „sakukinolturiko” to znaczy dziedzin mających odpowiedniki w specjalnościach twoich ulubieńców nazywanych przez nich „medycyną”, „fizjologią” i „hipnotyzmem”.

Dzięki eksperymentalnym badaniom bardzo szybko, bo już na samym początku mojego szóstego osobistego pobytu tam, jednoznacznie ustaliłem, że większość przyczyn dziwaczności ichniej psychiki nie tkwi w tej świadomości, z którą przywykli oni automatycznie egzystować w tak zwanym stanie jawy, lecz w tej, którą ich nienormalna zwykła egzystencja istnieniowa stopniowo zagnała do środka ich zbiorczej obecności i która – choć powinna być ich rzeczywistą świadomością – pozostaje w nich w pierwotnym stanie i jest nazywana przez nich „podświadomością”.

Owa podświadomość to dokładnie ta część ich zbiorczej psychiki, w której – jak pierwszy zauważył to, jeśli pamiętasz, Prześwięty Asziata Szyjemasz – nie zanikły jeszcze dane do czwartego świętego impulsu zwanego „obiektywnym sumieniem”.

Po tym, jak na główne miejsce egzystencji wybrałem położony



w centrum kontynentu Azja rejon o nazwie „Turkiestan”, zacząłem wyruszać stamtąd nie tylko w te miejsca, gdzie zachodziły interesujące mnie procesy, lecz także, w trakcie przerw lub zastojów w tych procesach, dużo podróżowałem, odwiedzając praktycznie wszystkie kontynenty – poza kontynentem, który istnieje tam dzisiaj pod nazwą „Ameryka” – i obcując z istotami prawie wszystkich, jak oni mówią, „narodowości”.

Podczas moich podróży nigdzie nie zatrzymywałem się na długo, z wyjątkiem paru niezależnych krajów na kontynencie Azja, noszących nazwy „Chiny”, „Indie” i „Tybet” no i oczywiście tego ostatnimi czasy największego, półazjatyckiego i półeuropejskiego społeczeństwa, które nazywa się „Rosja”.

Na początku cały czas wolny od obserwacji i badań związanych z moim głównym celem poświęcałem nauce tamtejszych języków, aby w ten sposób ułatwić sobie wszędzie nawiązywanie odpowiednich stosunków ze wszystkimi „typami” istot, które należały do różnych tamtejszych narodowości.

Pewnie nie wiesz jeszcze, mój chłopcze, o tym niewiarygodnym absurdzie, który po raz kolejny występuje tylko na tej nieszczęsnej planecie i polega na tym, że tamtejsze istoty – jak zwykle z powodu nienormalnych zewnętrznych warunków ich zwykłej egzystencji istnieniowej – do wzajemnych „kontaktów słownych” używają tylu różnych niemających ze sobą nic wspólnego języków czy narzeczy, ile jest tam oddzielnych i niezależnych grup, na które stopniowo same się podzieliły, podczas gdy na wszystkich innych planetach naszego Wielkiego Wszechświata zamieszkałych przez istoty trójmózgowe spotyka się tylko jeden, wspólny dla wszystkich rodzaj „wzajemnego kontaktu przejawiającego się w dźwiękach”.

Tak... również owa „wielojęzyczność” jest jedną z charakterystycznych i wyjątkowych osobliwości tych przypadłych ci do gustu dziwnych istot trójmózgowych.

Otóż na każdym skrawku stałego lądu, a nawet w każdej niewielkiej samodzielnej grupie, która na tym skrawku przypadkowo odłączyła się od pozostałych, te dziwne istoty stworzyły

i zresztą dalej tworzą do swych „kontaktów słownych” zupełnie odrębny język.

Z tego powodu na planecie Ziemia, jeśli jakiś mieszkaniec jej dowolnego obszaru znajdzie się dzisiaj przypadkiem w innym miejscu tejże swojej planety, to nie ma absolutnie żadnej możliwości nawiązania kontaktu z podobnymi do niego tamtejszymi istotami, o ile nie nauczy się ich języka.

Nawet ja, który opanowałem wtedy biegle osiemnaście ich różnych języków, czasami w trakcie podróży znajdowałem się w takim położeniu, że nijak nie mogłem zdobyć paszy dla mojego konia, choć miałem kieszenie wypchane ich, jak oni na nie mówią, „pieniędzmi”, za które na ogół z wielką radością dają ci tam wszystko, co zechcesz.

Tak więc jeśli którejs z tych nieszczęsnych istot, żyjącej w tym czy innym mieście i znającej wszystkie używane w nim języki, przyjdzie z jakiegoś powodu udać się w podróż do innego miejsca, czasami odległego zaledwie o sto ichnich „kilometrów” – czyli w przybliżeniu o jeden nasz „klintrana” – to ta niefortunna trójmózgowa istota, znajdująca się przecież w tak niedużej odległości od miejsca swej w miarę ustabilizowanej egzystencji, staje się z powodu wspomnianej tamtejszej nienormalności, a także oczywiście dlatego, że dane służące do instynktownych percepcji już dawno temu całkowicie zanikły w zbiorczych obecnościach tych nieszczęśników, zupełnie bezradna i nie może ani poprosić o to, co jest jej bardzo potrzebne, ani absolutnie niczego zrozumieć z tego, co się do niej mówi.

Te ich liczne języki nie tylko nie mają ze sobą nic wspólnego, ale też niektóre z nich są tak zbudowane, że zupełnie nie odpowiadają możliwościom narządów, specjalnie do tego celu przystosowanych przez Przyrodę w zbiorczej obecności istot i nazywanych „strunami głosowymi”, skutkiem czego nawet ja, który mam pod tym względem znacznie większe możliwości, nie potrafiłem wymówić na poczekaniu niektórych słów.

Zresztą same istoty planety Ziemia zdały sobie w końcu sprawę z tego absurdu i niedawno, jeszcze w czasie mojego pobytu, liczni

przedstawiciele ich różnych „solidnych” społeczeństw zebrali się w jednym miejscu, aby znaleźć razem sposób wyjścia z tego ambarasu.

Podstawowym zadaniem tych przedstawicieli „ważnych” współczesnych społeczeństw było wybranie jednego z istniejących tam języków i uczynienie go wspólnym językiem dla całej planety.

Ale z tego ich rzeczywiście rozsądnego zamiaru jak zwykle nic nie wyszło, i to oczywiście z powodu, jak sami mówią, „różnicy zdań”, która zawsze niweczy nawet ich najlepsze przedsięwzięcia.

Sądzę, że będzie dla ciebie z pożytkiem, jeśli nieco bardziej szczegółowo opowiem ci, skąd się wzięła ta ich różnica zdań, ponieważ posłuży to za bardzo charakterystyczny przykład wszystkich „rozbieżności”, które zazwyczaj powstają między nimi.

Już na samym początku ci przedstawiciele współczesnych „solidnych” społeczeństw, nie wiadomo dlaczego, ograniczyli wybór wspólnego języka planetarnego do jednego z trzech istniejących obecnie języków, a mianowicie: „starożytnej greki”, „łaciny” oraz... języka o nazwie „esperanto” dopiero niedawno wymyślonego przez istoty współczesne.

Pierwszy z trzech wymienionych języków wypracowały do swoich „kontaktów słownych” istoty tamtejszego starożytnego społeczeństwa, które się wywodziło, jak ci już mówiłem, z małej grupy azjatyckich rybaków i później rozrosło się, a jego istoty przez długi czas były specjalistami w zakresie „wymyślania nauk”.

Od istot tego społeczeństwa, czyli od starożytnych Greków, oprócz wielu rozmaitych „nauk” dotarł do istot współczesnych także ichni język.

Z kolei drugi język kandydujący do roli języka ogólnoplanetarnego, to znaczy łacina, był językiem używanym przez istoty innego pokaźnego starożytnego społeczeństwa, utworzonego, jak również ci wspominałem, z małej grupy azjatyckich pasterzy,

których potomkowie przyczynili się później do stopniowego ukształtowania w obecnościach wszystkich następných pokoleń tamtejszych istot tej wynaturzonej funkcji – już ostatecznie ugruntowanej w istotach współczesnych i teraz obowiązkowo im przynależnej – z powodu której wszystkie powstające w nich impulsy, związane z dążeniem do ewolucji, są już u samego źródła automatycznie sparaliżowane, a którą one same zwa „seksualizmem”.

Tak więc kiedy przedstawiciele różnych współczesnych „silnych” społeczeństw zebrali się, aby wspólnie wybrać jeden z tych trzech języków, nie potrafili zdecydować się na żaden z nich, a to z następujących powodów:

Otóż większość z nich uznała, że łacina jest uboga pod względem liczby słów.

Fakt faktem, mój chłopcze, wspomniani pasterze ze swoimi ograniczonymi potrzebami nie mogli stworzyć bogatego słownictwa i chociaż później ich język stał się językiem dużego społeczeństwa, to poza specjalnymi słowami przydatnymi w czasie orgii, nie wnieśli do niego nic takiego, z czego mogłyby skorzystać współczesne istoty twojej planety.

Za to język grecki dzięki swojemu bogatemu słownictwu mógłby posłużyć rzeczywiście za język uniwersalny dla całej planety, bowiem ci niegdysiejsi rybacy, wymyślając najprzeróżniejsze fantastyczne nauki, wymyślili też bardzo dużo odpowiednich słów, które zachowały się w tym języku, lecz paru przedstawicieli współczesnych „silnych” społeczeństw nie mogło się na niego zdecydować z powodu jednej szczególnej właściwości, która również wypływa z ich dziwnej psychiki.

Chodzi o to, że wszystkie istoty zgromadzone w celu wybrania jednego ogólnoplanetarnego języka były przedstawicielami takich społeczeństw, które w okresie tamtejszej cywilizacji współczesnej stały się „silne” lub, jak to się jeszcze określa, „wielkie”.

A tym starożytnym językiem greckim mówią obecnie tylko istoty małego współczesnego społeczeństwa zwanego „Grecją”

one zaś, chociaż są potomkami dawnych „wielkich Greków” nie mają dzisiaj do dyspozycji tylu „armat” i „parowców” iloma rozporządza każde z tych „ważnych” społeczeństw, których przedstawiciele zebrali się po to, aby za powszechną zgodą wybrać dla całej planety jeden wspólny język.

Toteż ci ichni przedstawiciele, którzy odrzucili ten język, najprawdopodobniej rozumowali w następujący sposób:

„Niby dlaczego wszyscy mieliby mówić językiem, którym posługują się obecnie istoty społeczeństwa znaczącego tak mało, że nie ma ono nawet wystarczająco dużo armat, aby jego przedstawiciele mogli być równoprawnymi uczestnikami naszych międzynarodowych «five o'clocków»!”.

Takie współczesne istoty, które zostały tam przedstawicielami „ważnych” społeczeństw, z pewnością nic nie wiedzą o prawdziwych przyczynach tego, że istoty do nich podobne, zamieszkujące tę czy inną część powierzchni ich planety bądź tworzące tę lub inną społeczność, stają się na jakiś czas „ważne” lub „wielkie”.

One w najmniejszym stopniu nie podejrzewają, że dzieje się tak nie z powodu jakichś szczególnych przymiotów istot danego społeczeństwa, lecz wyłącznie w zależności od tego, na której części powierzchni ich planety przeogromny wszechświatowy proces trogoautoegokratyczny potrzebuje w danym momencie, zgodnie z wymaganiami harmonijnego ruchu całego ich układu słonecznego, więcej wibracji wytwarzanych czy to przez ich promieniotwórczość, czy też przez proces ich świętego Raskuarno.

Jeśli zaś chodzi o trzeci język, który ci zgromadzeni przedstawiciele również proponowali uczynić językiem ogólnoplanetarnym, mianowicie język, który nazywali „esperanto”, to w tej sprawie nie doszło między nimi nawet do tradycyjnego sporu prowadzonego, jak oni to określają, „z pianą na ustach” gdyż sami z siebie, bez względu na swój przykusek rozum, natychmiast się zorientowali, że ów język w żaden sposób nie nadaje się do ich celu.

Najwyraźniej wynalazcy tego nowego języka wyobrażali sobie,

że język to coś w rodzaju ich współczesnej nauki, którą można wymyślić, siedząc w gabinecie, i oczywiście nigdy nie przyszło im do głowy, że każdy w miarę „sensowny” język może się wykształcić tylko w ciągu wielu stuleci, i to w procesie mniej więcej normalnej egzystencji istnieniowej.

Ten nowy tamtejszy wymysł, czyli język esperanto, nadaje się najwyżej dla kur naszego wielce czcigodnego Mułły Nasr Eddina, aby mogły w nim układać swoje rozśmieszające anegdoty.

Krótko mówiąc, także to ich chwalebne przedsięwzięcie, którego celem było ustanowienie jednego ogólnoplanetarnego języka, nic nie zmieniło w ich „niewiarygodnym absurdzie” i wszystko dalej wygląda tam po staremu, to znaczy ta stosunkowo mała planeta ze swoimi niewielkimi „na pół wymarłymi lądami” pozostaje do dzisiaj, cytując znowu naszego drogiego nauczyciela Mułłę Nasr Eddina, „tysiącjęzyczną hydrą”.

A więc, mój chłopcze... Kiedy rozpoczynałem badania związane z podstawowym, wyznaczonym sobie tym razem celem, mianowicie zrozumieniem za wszelką cenę wszystkich przyczyn powstania tak swoistej psychiki w obecnościach trójmózgowych istot tej przypadłej ci do gustu planety, i kiedy musiałem wobec tego szybko wyjaśnić pewne, że tak powiem, „ukryte” w ich zbiorczej obecności szczegóły ichniej psychiki, wtedy nieoczekiwanie, już na samym początku mojego ostatniego osobistego pobytu wśród nich, stanąłem w obliczu bardzo poważnej trudności, polegającej na tym, że wyjaśnienie takich ukrytych cech, to znaczy cech znajdujących się w ich podświadomości, było możliwe tylko przy ich dobrowolnym udziale, czyli udziale tej świadomości, która z upływem czasu stała się im właściwa w trakcie stanu jawy Co więcej, zrozumiałem, że jest rzeczą niezbędną, aby taką dobrowolną pomoc okazały mi tamtejsze istoty trójmózgowe reprezentujące wszystkie typy, jakie ostatnimi czasy już definitywnie się wśród nich wykształciły.

A tymczasem okazało się, że wszelkie dane do powstania w ich obecnościach impulsu istnieniowego zwanego „szczerością” już niemal zupełnie w nich zanikły, i na dobitkę zanikły do tego stop-

nia, że choćby tego chciały, to i tak nie potrafią już być szczerze, i to nie tylko z innymi podobnymi do nich istotami, ale nawet wobec siebie, to znaczy nie są w stanie jedną ze swych uduchowionych części bezstronnie krytykować i osądzać części innej.

Trzeba przy okazji dodać, że moje ostatnie specjalne badania wykazały, iż zanik danych, które powinny się w nich znajdować i pozwalać im na szczerłość wobec siebie, miał jedną przyczynę, podczas gdy utrata możliwości bycia szczerym z innymi – całkiem odmienną.

Zanik tych pierwszych był spowodowany zakłóceniami w koordynacji ich zbiorczej psychiki.

Chodzi o to, że na początku mojego szóstego pobytu tam w zbiorczych obecnościach twoich ulubieńców wciąż krystalizowały się dane wywołujące w nich, tak jak we wszystkich trójmózgowych istotach, impuls istnieniowy, który nazywany jest „samowyrzutem”, a który oni zwą „wyrzutem sumienia”, ale jednocześnie wszystkie ich wewnętrzne i zewnętrzne przejawy w zwykłym procesie ich egzystencji istnieniowej stawały się coraz mniej godne istot trój mózgowych.

Skutkiem tego w ich obecnościach częściej zaczęły się pojawiać powody do przejawiania istnieniowego impulsu „wyrzutu sumienia”. A ponieważ towarzyszące mu doznania, podobne do tych, jakie wywołują partkdołgpowinności istnieniowe, prowadzą nieuchronnie do zahamowania i ujarznienia przynależnej zbiorczym obecnościom istot trójmózgowych „zasady przeczącej” zwanej „samospokojeniem” więc w trakcie wszelkich wewnętrznych i zewnętrznych przejawów ich zbiorczej obecności – wynikających z naturalnych dyspozycji tej czy innej z oddzielnie uduchowionych niezależnych lokalizacji, których występowanie cechuje istoty trójcentrowe – za każdym razem, gdy pojawiało się takie zresztą nieprzyjemne dla nich doznanie „samowyrzutu”, zaczęli oni, początkowo umyślnie, pod wpływem swojej najlepiej zorientowanej części, a potem już tylko wskutek przyzwyczajenia, dławić i stopniowo eliminować wszelką „samokrytykę”.

To właśnie ta przejawiająca się coraz silniej w ich wewnętrznej

organizacji „niemoc” przez swoje ciągłe nawroty spowodowała ogólną dysharmonię funkcjonowania ich psychiki, co sprawiło, że stopniowo niemal zupełnie znikły z ich zbiorczej obecności dane obowiązkowo przynależne każdej trójmózgowej istocie naszego Wielkiego Wszechświata, a służące do przejawiania szczerości, i to także wobec samego siebie.

Jeśli chodzi o przyczyny zniknięcia z ich zbiorczej obecności danych określanych jako „zdolność bycia szczerym wobec istot do nich podobnych” to leżą one po prostu w tej nienormalnej, już od dawna ustanowionej tam formie wzajemnych stosunków, która, jak ci wcześniej mówiłem, opiera się na ich podziale na różne „kasty” lub „warstwy”.

Odkąd zwyczaj dzielenia się na te różne feralne kasty już nieodwołalnie się tam przyjął, w zbiorczej obecności każdego z nich zaczęły się stopniowo krystalizować dwie szczególne, zupełnie przeciwstawne „organiczne właściwości”, których przejawy pomą uniezależniły się zarówno od ich zwykłej świadomości, jak i od podświadomości.

Te dwie właściwości powodują, że zawsze odnoszą się oni do siebie nawzajem albo „wyniośle” albo „uniżenie”.

Dopóki manifestują się w nich te dwie właściwości, wszystkie ich kontakty „jak równy z równym” ogarnia paraliż, przez co – szczególnie w ostatnich czasach – wewnętrzne i szczerze, a nawet tylko czysto zewnętrzne i kołtuńskie relacje tak się między nimi ustaliły, że jeśli ktoś z nich należy do kasty uznawanej za wyższą niż kasta jakiejś innej osoby, to jest rzeczą zupełnie normalną, że w stosunku do tej osoby pojawiają się w nim zawsze i we wszystkim impulsy zwane tam „pychą” „pogardą” „protekcjonalnością”, „wyższością” itd.

Jeśli zaś ktoś uważa własną kastę za niższą od kasty kogoś innego, to niezawodnie powstają w nim impulsy, zwane przez nich „samoponizaniem” „fałszywą pokorą” „wazeliniarstwem” „lizusostwem”, „cmokierstwem” oraz jeszcze parę innych tego rodzaju specyficznych impulsów, których całokształt bezustannie trzebi w ich obecnościach to, co nieodłącznie powinno im towarzyszyć,



a co nazywa się „uświadomieniem sobie własnej indywidualności”.

Wspomniane właściwości, które stały się już przynależne ich zbiorczym obecnościom, spowodowały, że stopniowo odwykli od bycia szczerymi wobec innych podobnych do nich istot i automatycznie przestali być zdolni do tego nawet wobec istot należących do ich własnej kasty.

Właśnie z tej przyczyny, mój chłopcze, egzystując wśród twoich ulubieńców, postanowiłem tym razem wybrać spośród istniejących tam zawodów ten, który stwarza czasami możliwość automatycznego nawiązania takich stosunków, jakie do pewnego stopnia wzbudzają w nich szczerść – a wszystko po to, by móc zadać im niezbędne pytania i w ten sposób zebrać materiał potrzebny do moich wyjaśnień.

Oto dlaczego stałem się wtedy jednym z tych profesjonalów, których nazywa się tam dzisiaj „lekarzami”.

Ten tamtejszy zawód odpowiada mniej więcej zawodowi, który wykonują nasi, jak ich nazywamy, „cyrliknerzy”.

Oprócz tego fachu istnieje tam jeszcze inny zawód, z którego przedstawicielami twoi ulubieńcy automatycznie stają się pewnie nawet bardziej szczerzy niż z lekarzami, szczególnie gdy w grę wchodzi ichnie, jak je nazywają, „przeżycia wewnętrzne”, które akurat najbardziej były mi wtedy potrzebne do moich wyjaśnień.

Chociaż ów zawód – obierany przez tych, których najczęściej nazywa się „spowiednikami” – mógł dostarczyć mi więcej materiału do badań, jednak go nie wybrałem, a to dlatego, że zmusza stale do grania na zewnątrz jakiejś roli i nigdy nie pozwala na uwzględnianie własnych prawdziwych wewnętrznych impulsów.

Zanim będę kontynuować tę opowieść, sądzę, że powinienem wyjaśnić ci pokrótce, kim są ci tamtejsi współcześni lekarze, którzy powinni odpowiadać naszym cyrliknerom.

Z pewnością już dobrze wiesz, że u nas, na planecie Karataz, cyrliknerzy – jak zresztą wszystkie podobne do nich istoty na in-

nych planetach naszego Wielkiego Wszechświata, gdzie mają siedzisko uformowane już istoty trójmózgowe, spośród których część, nosząc różną nazwę na różnych planetach, bierze na siebie esencjalne zobowiązania cyrliknera w stosunku do podobnych istot z ich otoczenia – to te odpowiedzialne indywidua, które dobrowolnie poświęcają całą swą egzystencję na niesienie każdej istocie mieszkającej w ich rejonie pomocy w wypełnianiu jej obowiązków istnieniowych w sytuacji, gdy ta istota z jakiegokolwiek przyczyny lub po prostu z powodu chwilowo nieprawidłowego funkcjonowania jej planetarnego ciała traci zdolność do wypełniania swoich wewnętrznych lub zewnętrznych powinności istnieniowych.

Trzeba sprawiedliwie zaznaczyć, że dawniej również na twojej planecie ci fachowcy, nazywani tam teraz „lekarzami”, odpowiadali niemal dokładnie naszym cyrliknerom i robili u siebie praktycznie to samo; ale z upływem czasu tamtejsze odpowiedzialne istoty, które poświęciły się temu zawodowi, czyli wypełnianiu takiej wzniosłej, dobrowolnie wziętej na siebie powinności istnieniowej, stopniowo, jak wszystko na tej dziwnej planecie, wynaturzyły się i też stały całkiem osobliwe.

Obecnie, gdy funkcjonowanie ciała planetarnego któregoś z twoich współczesnych ulubieńców popsuje się w ten czy inny sposób i nie może on wypełniać swych obowiązków istnieniowych, także wzywają tam na pomoc swoich współczesnych lekarzy i ci lekarze tak samo, bez wahania, przychodzą; ale to, jak służą t pomocą i w jaki sposób manifestują wewnętrzną esencją wzięte na siebie zobowiązania, otóż właśnie tu, jak mówi nasz czcigodny Mułła Nasr Eddin, „jest pogrzebany zdechły wielbłąd kupca Wemasana Zerunana Alarama”.

Musisz przede wszystkim wiedzieć, że w dzisiejszych czasach lekarzami zostają tam te trójmózgowe istoty, którym w okresie przygotowawczym do stania się istotą odpowiedzialną udało się „wkuć” dużo różnych informacji dotyczących takich sposobów pozbywania się najróżniejszych ichnich, jak je nazywają, „chorób”, jakie na ich planecie od zawsze zalecały tamtejszym istotom

trójmózgowym oraz same stosowały zbzikowane staruchy.

Do tych sposobów pozbywania się wspomnianych chorób trzeba zaliczyć przede wszystkim różne środki, które istnieją tam pod nazwą „lekarstwa”.

A więc kiedy jakaś młoda istota zostaje takim odpowiedzialnym fachowcem i inne istoty zgłaszają się do niej po pomoc, ona radzi im zastosować te „wkute” przez siebie sposoby i użyć rzeczonych środków leczniczych.

Nawiasem mówiąc, bardzo korzystnie wpłynie to na rozwój twojego rozumu, jeśli twoja zbiorcza obecność wzbogaci się teraz o nowy „wszczep logiknestorny”, czyli informację o pewnej niezwykle oryginalnej właściwości, której nabiera psychika tych współczesnych profesjonalistów z planety Ziemia.

Tę oryginalną psychiczną właściwość owi ziemscy fachowcy przyswajają sobie zaraz po tym, jak zdobędą oficjalny tytuł „lekarza”, a manifestuje się ona w nich właśnie wtedy, gdy okazują pomoc istotom, które tej pomocy potrzebują.

Z powodu tej przynależnej im właściwości, usankcjonowanej pod przymusem przez Przyrodę, w ich zbiorczych obecnościach zarówno intensywność pragnienia niesienia pomocy, jak i jakość samej pomocy udzielanej bliźniemu zawsze zależą wyłącznie od „zapachu” rozchodzącego się w domu, do którego ich wezwano.

A mianowicie jeśli dom, do którego został wezwany taki współczesny fachowiec, pachnie, jak to się mówi, „angielskimi funtami” to dzięki temu zapachowi nie tylko jego wewnętrzne „pragnienie istnieniowe” niesienia pomocy cierpiącej istocie osiąga, by tak rzec, „nec plus ultra”, ale także zewnętrzne przejawy jego ciała planetarnego przyjmują od razu formę „dzieddzaczuna”, to znaczy „zbitego psa”.

Od takiego zapachu u większości tamtejszych współczesnych lekarzy pojawiają się na twarzach nawet „ślady oblizywania się”, a ich „kusy ogon” robi się wtedy zupełnie stulony, niemalże przylepiony do ciała.

Jeśli zaś w domu, do którego taki ziemski cyrlikner został we-

zwany, żeby udzielić pomocy istocie potrzebującej, unosi się zapach „zdewaluowanych niemieckich marek” to jego wewnętrzna istnieniowa chęć niesienia pomocy cierpiącemu pacjentowi również wzrasta, ale tylko po to, żeby jak najszybciej wypisać tak zwaną receptę – będącą niemieckim wynalazkiem – i czym prędzej ów dom opuścić.

Muszę ci jeszcze powiedzieć, że w tym drugim wypadku, kiedy współczesne ziemskie istoty wykonujące zawód lekarza wychodzą z domu, gdzie potrzebowano ich pomocy, i idą ulicą, wtedy cała ich nia aparycja, nawet mięśnie twarzy, niezmiennie wyrażają coś w rodzaju: „Ej wy, stado mułów! Uważajcie, bo zadepczę was jak karaluchy. Czyż nie widzicie, że przechodzi tu nie byle kto, tylko prawdziwy przedstawiciel nauki, który przyswoił sobie całą wiedzę, jaką mają do zaoferowania najlepsze współczesne ogniska nauk!”

W tym miejscu chcę ci także powiedzieć coś o tych wspomnianych już przeze mnie „środkach leczniczych”, które istnieją tam w ogromnych ilościach i pod wszelkimi możliwymi nazwami, a które, za radą tych współczesnych lekarzy, zwykłe istoty wprowadzają w siebie, aby rzekomo przyniosły im ulgę w ich różnych chorobach.

Muszę cię koniecznie co do tej sprawy uświadomić, bo... kto wie?... może i tobie przyjdzie kiedyś egzystować wśród owych dziwaków na tej oryginalnej planecie i a nuż się zdarzy, że nie będziesz wiedział, jak używać tych niezliczonych środków leczniczych ani jak dalece można na nich polegać.

Przede wszystkim powinieneś więc wiedzieć i pamiętać, że w ostatnich czasach każda tamtejsza młoda istota trójmózgowa, która po osiągnięciu wieku odpowiedzialnej egzystencji przygotowuje się do objęcia zawodu lekarza, nie robi nic innego, tylko wkuwa jak najwięcej nazw różnych środków leczniczych zaliczanych do wielu tysięcy tych znanych tam teraz lekarstw.

Potem zaś, stawszy się już odpowiedzialną istotą wykonującą taki zawód, czyli otrzymawszy oficjalny tytuł „lekarza” kiedy ten nasz lekarz zostaje wezwany do osoby, która potrzebuje jego po-

mocy, cała ta pomoc sprowadza się do tego, że zdobywa się on na w miarę intensywny wysiłek istnieniowy, aby przypomnieć sobie nazwy paru takich środków leczniczych, a następnie wypisuje je na skrawku papieru zwanym przez niego „receptą” ordynując w ten sposób miksturę, która powinna zostać wprowadzona do planetarnego ciała, jak sam mówi, „chorego”.

A intensywność jego wysiłku zależy, po pierwsze, od „pozycji społecznej” osoby potrzebującej jego pomocy, a po drugie, od liczby spojrzeń, które wpiły w niego istoty otaczające chorego.

Następnie bliscy tej osoby, która szuka pomocy tamtejszego współczesnego cyrliknera, przynoszą wypisaną przez niego receptę do jednej z ich współczesnych, jak na nie mówią, „aptek”, gdzie ichni „aptekarze” przygotowują wskazaną „miksturę”.

Jeśli zaś chodzi o to, w jaki sposób i z czego dokładnie sporządza się owe mikstury w takich aptekach, bardzo dobrze to zrozumiesz; gdy przekażę ci tylko jedną z licznych informacji; jakie otrzymałem od pewnej tamtejszej istoty wykonującej właśnie zawód aptekarza.

Moja opowieść będzie dotyczyć teraz okresu, kiedy już często zacząłem odwiedzać to duże społeczeństwo zwane „Rosją”.

W jednej z dwóch stolic owego największego ze społeczeństw, mianowicie w tej, która nazywa się „Moskwa”, przypadkowo nawiązałem przyjacielskie stosunki z jednym takim zawodowym aptekarzem.

Ów aptekarz był – zgodnie z tamtejszymi pojęciami – istotą już sędziwą i miał bardzo dobry charakter, a nawet, można rzec, był uczynny.

Należał do, jak się tam mówi, „wyznania mojżeszowego”.

Trzeba ci wiedzieć, że obecnie na prawie wszystkich tamtejszych kontynentach aptekarzami, nie wiadomo dlaczego, zostają w większości istoty, które wyznają właśnie „religię mojżeszową”.

Tak więc... za każdym razem, gdy odwiedzałem tę drugą stolicę Rosji, gdzie mieszkał mój znajomy aptekarz, zaglądałem do niego i na zapleczu apteki, z jakiegoś powodu zawsze nazywanego tam

„laboratorium” gawędziłem z nim na różne tematy.

Któregoś razu, kiedy jak zwykle wszedłem do jego laboratorium, zobaczyłem, że akurat uciera coś w moździerzu i, zgodnie z przyjętym w takiej sytuacji zwyczajem, zapytałem go, co robi.

Odpowiedział:

„Ucieram palony cukier potrzebny do tej receptury” – i wręczył mi kartkę z receptą na bardzo rozpowszechniony tam środek leczniczy, nazywany „proszkiem Dovera”.

Ów proszek nazywa się tak, ponieważ wymyślił go pewien Anglik o nazwisku Dover, a stosuje się go tam głównie na kaszel.

Przeczytawszy pokazaną mi receptę i zauważywszy, że lek nie zawiera cukru – nie wspominając już nawet o cukrze palonym... – zdziwiony wyraziłem swoje zakłopotanie.

On na to, z dobrodusznym uśmiechem, odpowiedział: „Zgadza się, w tym proszku nie ma żadnego cukru, ale za to zawiera pewien procent opium”.

Potem zaś wyjaśnił mi, co następuje:

„Z jakiegoś nieznanego powodu proszek Dovera stał się w Rosji ulubionym lekarstwem, którego używają prawie wszystkie narodości naszego olbrzymiego imperium.

Każdego dnia w całym kraju spożywa się setki tysięcy torebek tego proszku, a jak pan sam wie, opium, które powinno się w nim znajdować, nie jest wcale tanie; jeśli mielibyśmy dodawać prawdziwego opium, to tylko ono kosztowałoby nas, aptekarzy, sześć czy osiem kopiejek za torebkę, którą przecież musimy sprzedawać za trzy albo pięć kopiejek. Ponadto, nawet gdyby zebrać opium z całej kuli ziemskiej, i tak nie starczyłoby go dla naszej jednej Rosji.

W tej sytuacji my, aptekarze, zamiast receptury doktora Dove-ra, wymyśliliśmy inny przepis zawierający substancje, które są łatwo dostępne i na które wszystkich stać.

Przygotowujemy więc ów proszek z sody, palonego cukru i niewielkiej ilości chininy. Wszystkie te substancje są tanie. Chinina co prawda kosztuje trochę więcej... ale znowu nie potrzeba jej aż

tak dużo. W skład całego tego proszku wchodzi w przybliżeniu 7 zaledwie dwa procent chininy”.

W tym miejscu nie wytrzymałem i przerywając, zapytałem go: „Jak to możliwe? Czyżby naprawdę nikt nie odkrył, że zamiast proszku Dovera dajecie mu taki «zlepek»?”

„Oczywiście, że nie – odparł, śmiejąc się, mój dobry znajomy. – Tego rodzaju rzeczy można rozpoznać tylko wzrokiem lub przez smak, a proszek Dovera naszej roboty, choćby obracał go pan na wszystkie strony, zawsze i pod każdym mikroskopem będzie miał kolor taki, jaki powinien mieć według autentycznej recepty doktora Dovera. Jeśli zaś chodzi o smak, to głównie dzięki porcji chininy, którą do niego dodajemy, w ogóle nie da się go odróżnić od oryginalnego proszku zawierającego prawdziwe opium”.

„A analiza?” – spytałem.

„Jaka tam analiza! – odpowiedział z drwiną, uśmiechając się jednak bardzo serdecznie. – Prawdziwa analiza jednej torebki kosztowałaby tyle, że za te pieniądze można by nie tylko kupić tonę tego proszku, ale pewnie nawet otworzyć całą aptekę. A kto dla trzech lub pięciu kopiejek będzie się bawił w takie głupstwa?”

Szczerze mówiąc, wątpię, żeby można było gdzieś przeprowadzić taką «analizę», o jakiej pan mówi.

Owszem, każde miasto ma swoich «chemików-analityków» i każdy zarząd miejski zatrudnia nawet tego rodzaju «specjalistów».

Ale co to za specjaliści i cóż takiego ci chemicy-analitycy wiedzą?

Być może nie zdaje też sobie pan sprawy w jaki sposób są kształceni specjaliści zajmujący tak odpowiedzialne stanowiska ani co później z tego wszystkiego rozumieją?

Czyż nie tak?...

Niech więc pozwoli mi pan, że mu o tym opowiem.

Weźmy na przykład jakiegoś maminsynka, młodzieńca obojętnie z pryszczatą twarzą, a pryszczatą dlatego, że jego matunia, która uważa się za inteligentną, uznała mówienie swoje-

mu synowi o pewnych sprawach za rzecz «nieprzyzwoitą». Otóż ów syn, który nie wykształcił jeszcze własnej świadomości, zaczyna robić to, co się w nim «samo robi», a rezultaty tych jego «działań», jak u wszystkich młodych ludzi tego rodzaju, pojawiają się na jego twarzy w postaci pryszczycy, znanych zresztą bardzo dobrze nawet współczesnej medycynie...

Tak więc, czcigodny doktorze...” – kontynuował aptekarz.

Zanim przekażę ci, mój chłopcze, co mówił dalej ów poczciwy aptekarz, muszę zaznaczyć, że gdy stałem się tam zawodowym lekarzem, twoi ulubieńcy mnie także tytułowali wszędzie „doktorem”.

Przy innej okazji opowiem ci na pewno o tym tamtejszym tytule, ponieważ właśnie z powodu słowa „doktor” nasz drogi Ahun stał się tam kiedyś ofiarą bardzo nieprzyjemnego i smutnego nieporozumienia.

Na razie wróćmy jednak do tego, co mówił nasz życzliwy aptekarz.

„Taki młodzieniec, ów maminsynek z pryszczatą twarzą, studiuje potem na jakimś uniwersytecie, by stać się specjalistą chemikiem-analitikiem. Oczywiście uczy się na tym uniwersytecie ze specjalnych książek, które z reguły fabrykują w Niemczech tamtejsi, jak to się mówi, «uczni»”.

Faktycznie, mój chłopcze, wśród tych współczesnych niemieckich „darmozjadów” szczególnie w ostatnich czasach bardzo rozpowszechnił się zwyczaj wymyślania „książek naukowych” z dowolnej dziedziny.

A ponieważ przeprowadzanie analizy to też pewnego rodzaju dziedzina nauki, ci niemieccy uczeni również na ten temat wyprodukowali całą masę „naukowych” książek, z których korzystają teraz prawie wszystkie narody Europy i innych kontynentów.

„Otóż – mówił dalej dobry aptekarz – nasz młody człowiek, skończywszy studia uniwersyteckie i zaczerpnąwszy przeto wiedzy o «budowie substancji» z książek skleconych przez niemieckichuczonych, musi teraz poddać analizie nasz proszek Dovera.



W tych niemieckich książkach, będących źródłem jego wiedzy o budowie substancji, można oczywiście znaleźć informację o tym, z jakich elementów składają się rzeczony substancje, a oprócz tego obowiązkowo przytoczone wzory chemiczne owych elementów.

Prócz tego wyjaśnia się tam, jak takie substancje wyglądają wtedy, gdy obecne są w nich wszystkie właściwe elementy, i jak zmienia się ich aspekt zewnętrzny, jeśli tych elementów w nich nie ma. We wspomnianych niemieckich książkach podaje się również kilka chałupniczych metod rozpoznawania substancji, jak na przykład: przez ogląd, smak, spalenie, a także w pewien sposób, o którym stara babcia słyszała w dawnych dobrych czasach itd.

Po ukończeniu takich studiów nasz młodzieniec otrzymuje tytuł «chemika-analityka». Zdarza się czasami, że jeszcze zanim zajmie odpowiedzialne stanowisko, musi najpierw odbyć «praktykę», która najczęściej polega na tym, że przez pewien czas pracuje w rzeźni, gdzie pomaga tamtejszemu chemikowi – również byłemu maminsynkowi – zbadać pod mikroskopem, w im tylko wiadomy sposób, czy w wieprzowinie nie ma włosów. A potem, kiedy zwolni się gdzieś miejsce, zostaje powołany na oficjalne stanowisko chemika-analityka.

Tak więc, drogi doktorze, ów oficjalny chemik-analityk dostaje do analizy nasz proszek Dovera. Po otrzymaniu go uznaje, że jest to autentyk, albo spojrzawszy na niego gołym okiem, bądź, jak robią to zwykli śmiertelnicy, skosztowawszy go, albo też dlatego, że sam nadawca przesyłki twierdzi, iż jest to właśnie proszek Dovera.

Następnie bierze ze swego stołu «poradnik farmaceutyczny» – również sporządzony przez Niemców – który obowiązkowo powinien mieć u siebie każdy oficjalny chemik-analityk, i w tym poradniku szuka fragmentu zawierającego wzory chemiczne przeróżnych proszków. A ponieważ proszek Dovera znany jest wszędzie, to niewątpliwie figuruje również w tej książce.

Potem nasz wielce szanowny «chemik-analityk» bierze ze stołu

formularz opatrzony jego oficjalnym tytułem i pisze:

«Zgodnie ze wszystkimi uzyskanymi danymi, przesłany mi do analizy proszek okazał się proszkiem Dovera. Analiza wykazała, że...», i w tym miejscu kopiuje ze swojego niemieckiego poradnika farmaceutycznego znaną tam recepturę, umyślnie zwiększając lub zmniejszając zawartość niektórych składników, ale oczywiście tylko bardzo nieznacznie, tak by nie rzucały się w oczy.

Postępuje w ten sposób po pierwsze dlatego, by wszystkim było wiadomo, że wyniki swojej «analizy» opracował nie tyle jak, tylko po przeprowadzeniu prawdziwych badań, a po drugie dlatego, że aptekarz miejski to wszak osoba publiczna i przecież nikt, jak sądzę, nie chce robić sobie wrogów we własnym mieście.

Wypełniony w ten sposób formularz zostaje wysłany do nadawcy proszku Dovera, a sam słynny chemik-analityk jest zupełnie spokojny, bo nikt się nie dowie, że nie przeprowadził żadnej analizy, ani też nikt nie może go skontrolować, gdyż, po pierwsze, w tym mieście jest jedynym oficjalnym chemikiem-analitykiem, a po drugie, nawet jeśli nasz proszek zostanie zawieziony do jakiegoś innego fenomenalnego chemika w drugim mieście, to też nic się nie stanie. Czyż nie ma na świecie wystarczająco dużo różnych proszków Dovera! Zresztą próbka, którą poddał analizie, już nie istnieje, bo w trakcie badania musiał ją zniszczyć.

Prawdę mówiąc, nie znajdzie się nikt, kto z powodu tego proszku Dovera, wartego trzy kopiejki, chciałby nawarzyć sobie takiego poważnego piwa.

Co by nie powiedzieć, czcigodny doktorze, sam od trzydziestu lat robię ten proszek według «naszego przepisu» i oczywiście sprzedaję go, ale jeszcze ani razu z powodu naszego proszku nie wyniknęło żadne nieporozumienie. I bez obawy można stwierdzić, że nigdy żadne nieporozumienie nie wyniknie, ponieważ proszek Dovera jest wszędzie doskonale znany i wszyscy są przekonani, że to znakomity środek na kaszel.

Jedyna rzecz, jakiej się wymaga od każdego lekarstwa, to żeby

wiadomo było, iż działa skutecznie.

A czyż nie wszystko jedno, w jaki sposób się je przygotowuje i co zawiera?

Jeśli chodzi o mnie, to z tymi lekami miałem do czynienia przez tyle lat, że wyrobiłem sobie stanowczą opinię, iż ani jedno lekarstwo znane współczesnej medycynie nie przyniesie samo z siebie żadnej korzyści, jeżeli człowiek, który je zażywa, w nie nie wierzy.

A człowiek zaczyna wierzyć w jakiś lek tylko wtedy, gdy ów lek jest znany i wielu ludzi twierdzi, że bardzo pomaga na tę czy inną chorobę.

Dokładnie tak samo rzecz się ma z naszym proszkiem; wystarczy, że nazywa się «proszek Dovera» i nic więcej już nie trzeba, ponieważ wszyscy go znają i często słyszą, że jest doskonały na kaszel.

Zresztą, mówiąc szczerze, nasz nowy przepis na ten proszek jest o wiele lepszy od tego oryginalnego, przygotowanego według receptury samego Dovera, a to choćby tylko dlatego, że nie zawiera żadnych substancji szkodliwych dla organizmu.

Na przykład zgodnie z przepisem doktora Dovera w skład tego proszku powinno wchodzić opium.

A przecież zna pan właściwości opium!... Jeśli człowiek zacznie zażywać je często, nawet w małych dawkach, jego organizm wkrótce tak się do niego przyzwyczai, że gdy któregoś dnia przestanie je brać, będzie strasznie cierpieć.

Proszek zrobiony według naszej recepty nigdy czegoś takiego nie spowoduje, albowiem nie zawiera ani opium, ani żadnej innej substancji szkodliwej dla organizmu.

Jednym słowem, mój szanowny doktorze, wszyscy powinni wyjść na ulicę i krzyczyć z głębi serca: «Niech żyje nowy przepis na proszek Dovera!»”.

Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale właśnie wtedy wszedł chłopiec, który przyniósł mu z apteki cały stos różnych recept, a on, widząc to, wstał i rzekł do mnie:

„Niech mi pan wybaczy, drogi doktorze. Muszę przerwać naszą

przyjacielską pogawędkę i zająć się przygotowywaniem tych wszystkich zamówień.

Jak na złość obaj moi pomocnicy są dzisiaj nieobecni: jeden, bo jego lepsza połowa ma właśnie dziś wydać na świat boży jeszcze jedną gębę do nakarmienia, a drugi dlatego, że musiał pójść na proces kierowcy oskarżonego o porwanie jego córki”.

Ale starczy już na ten temat...

Myślę, mój chłopcze, że jeśli naprawdę przyszłoby ci teraz żyć , wśród tych twoich ulubieńców, to dzięki mojej ostatniej opowieści będziesz już wiedział, że chociaż tamtejsi lekarze wypisują na swoich receptach dziesiątki wymyślnych nazw, to w tych oficjalnych placówkach zwanych „aptekami” prawie wszystkie lekarstwa sporządza się na wzór proszku Dovera.

Zdarza się nawet, że już z samego rana ci uczynni aptekarze przygotowują całą beczkę byle jakiego płynu oraz pudło pełne byle jakiego proszku, a następnie przez cały dzień czynią zadość potrzebom każdego, kto przyniesie im receptę, bądź to nalewając z tej beczki, bądź to nasypując z tego wspólnego pudła.

Aby te sporządzone zawczasu mikstury nie wyglądały zawsze tak samo, ci dobrzy fachowcy dodają do nich czegoś, co zabarwia je na różne kolory, a także zmienia ich smak i zapach.

W każdym razie, niezależnie od wszystkiego, co powiedziałem, stanowczo radzę ci, byś podchodził z ogromną ostrożnością do jednego rodzaju tamtejszych leków, ponieważ zdarza się, że ci życzliwi aptekarze dodają do tych swoich mikstur, oczywiście przez pomyłkę, czegoś trującego dla planetarnego ciała.

Zresztą na użytek istot obdarzonych normalnym rozumem wprowadzono tam, oczywiście także przez przypadek, zwyczaj rysowania na etykietkach tego typu mikstur „trupiej czaszki” i „dwóch piszczeli” żeby można było takie trujące lekarstwa odróżnić od zwykłych środków leczniczych.

Na wszelki wypadek pamiętaj jednak, że spośród wielu tysięcy znanych „środków leczniczych” przepisywanych przez tamtejszych współczesnych lekarzy tylko trzy, i zresztą nie zawsze, wy-

wołują jakieś realne rezultaty w ciałach planetarnych twoich współczesnych zwykłych trójmózgowych istot.

Jednym z tych trzech środków leczniczych, który czasem przynosi nawet pożyteczny skutek, jest substancja – a mówiąc dokładniej, pewne wchodzące w jej skład elementy aktywne – którą istoty z Maralplejsi nauczyły się otrzymywać z maku i jako pierwsze nazwały „opium”.

Druga substancja zwana jest tam „olejem rycynowym”. Ta substancja już dawno temu znana była istotom z Egiptu, które używały jej do balsamowania swoich mumii, i to właśnie one zauważyły, że olej ten ma między innymi takie działanie, dla którego stosuje się go obecnie.

Wcześniej wiedzę o oleju rycynowym przekazały istotom Egiptu istoty z kontynentu Atlantyda, które należały do uczonego towarzystwa Achldan.

Natomiast trzecia substancja to ta, którą tamtejsze istoty, także od zarania dziejów, otrzymują z drzewa zwanego „chinowcem”.

Teraz zaś, mój chłopcze, wysłuchaj informacji o tytule „doktor”, który wymyślono niedawno, określając nim współczesnych ziemskich lekarzy.

Wygląda to na kolejny „wynałazek” istot tamtejszego „ważnego” społeczeństwa Niemiec, które wymyśliły to słowo, aby podkreślić pewne zasługi niektórych spośród nich; ów wymysł szybko jednak rozpowszechnił się na całej ichniej planecie i z jakiegoś powodu stał się teraz ogólnie przyjętym tytułem wszystkich tamtejszych współczesnych lekarzy.

Należałoby jeszcze podkreślić, że wymysł ten zwiększył o jeden liczbę tych czynników; których całokształt zawsze je wprowadza w błąd i powoduje; że ich myślenie istnieniowe, już i tak nieźle osłabione, z roku na rok staje się coraz bardziej „galaretowate”.

Z powodu tego ich nowego słowa nawet nasz Ahun, choć ma obecność nieporównywalnie bardziej normalną niż one i rozum istnieniowy o wiele wyższej jakości, podczas naszego pobytu tam padł ofiarą bardzo nieprzyjemnego, bez mała idiotycznego niepo-

rozumienia.

Sądzę zresztą, że najlepiej będzie, jeśli sam ci o tym opowie.

Powiedziawszy to, Belzebub zwrócił się do Ahuna w taki sposób:

– Mój stary druhu, opowiedz nam, jak doszło do tego i co sprawiło, że przez kilka dni musiałeś bez przerwy „skomlaczyć” i „cyrikuachtywać” lub, jak powiedziałyby trójmózgowe istoty z planety Ziemia, „warczałeś” i „denerwowałeś się” tak samo jak twoja tamtejsza przyjaciółka „Donna Gilda”.

Na to Ahun, ponownie naśladowując styl Belzebuba, i tym razem imitując nawet jego intonację, zaczął opowiadać:

– Ofiarą tego nieporozumienia stałem się w następujących okolicznościach:

Podczas naszej szóstej wizyty na planecie Ziemia, pod sam koniec pobytu, przyszło nam przez krótki czas egzystować w stolicy owych niemieckich istot, które, jak Wasza Przewielebność raczył powiedzieć, wymyśliły to przekłete dla mnie słowo, „doktor”.

W hotelu, gdzie się zatrzymaliśmy, pod sąsiednim „numerem” mieszkała bardzo sympatyczna para istot, które dopiero niedawno dopełniły sakramentu zespolenia aktywnego z pasywnym, aby służyć przeogromnemu wszechświatowemu procesowi trogoautoegokratycznemu poprzez zapewnienie przetrwania gatunku, czy też, jak powiedziałyby one same, które „wzięły ślub” i uchodziły wciąż za „nowożeńców”.

Tę młodą parę poznałem kiedyś przypadkiem w domu moich przyjaciół i od tamtej pory często zapraszali mnie do swojego pokoju na, jak się tam mówi; „filiżankę herbaty”, a zdarzało się nawet, że ja sam, bez zaproszenia, wstępowałem do nich, żeby skrócić sobie nudne „niemieckie wieczory”.

Pasywna połowa tej pary była, jak to oni nazywają, „w odmiennym stanie” i oczekiwała swego pierwородnego.

Podobnie jak ja, przybyli do stolicy tego społeczeństwa na czas nieokreślony, wezwani w sprawach zawodowych aktywnej połowy owej młodej pary, i tak się złożyło, że przyszło im egzystować

w tym samym hotelu co nam.

Nawiasem mówiąc, nasz młodożeniec wykonywał zawód bardzo oryginalny – oryginalny nawet w pojęciu istot wszystkich innych społeczeństw tej niezrównanej planety.

Otóż był wszędzie w swym kraju uważany za jednego z największych specjalistów od robienia na twarzy swoich klientów pewnych „nacięć” szczególnie popularnych wśród niemieckich studentów.

Któregoś dnia usłyszałem nagle bardzo nerwowe stukanie w ścianę mojego pokoju.

Natychmiast pobiegłem do nich. Tam się okazało, że „męża” akurat nie było, bo musiał tego dnia gdzieś wyjechać, a jej tymczasem zrobiło się niedobrze i tracąc świadomość, odruchowo zastukała do mnie przez ścianę.

Gdy wszedłem, czuła się już trochę lepiej, ale błagalnie prosiła mnie, żebym szybko poszedł po „doktora”.

Oczywiście od razu wybiegłem na ulicę i dopiero tam zacząłem się zastanawiać, dokąd mam teraz iść?

Raptem przypomniałem sobie, że niedaleko naszego hotelu mieszka pewna istota, którą wszyscy nazywają „doktorem”. Na drzwiach jej domu przymocowana była nawet metalowa tabliczka, na której widniało nazwisko poprzedzone słowem „doktor”. Jak najszybciej pobiegłem więc do tego „doktora”.

Okazało się jednak; że jadł akurat obiad i jego służąca, wyjaśnwszy, że doktor i jego goście za chwilę wstaną od stołu, poprosiła mnie, abym poczekał w salonie.

Tak więc, czekając na przyjście tego doktora, usiadłem w salonie, ale nie można powiedzieć, żebym był bardzo spokojny.

Siedziałem, wedle wyrażenia tamtejszych istot, „jak na rozżarzonych węglach”, ponieważ bardzo niepokoiłem się o stan mojej sąsiadki.

„Czcigodny pan doktor” ciągle jednak nie przychodził; po upływie prawie dwudziestu minut nie wytrzymałem i nacisnąłem na dzwonek.

Kiedy weszła służąca, poprosiłem ją, żeby przypomniała o mnie doktorowi i powiedziała mu, że bardzo się spieszę i nie mogę już dłużej na niego czekać.

Wyszła.

Minęło kolejnych pięć minut.

W końcu pojawił się sam doktor.

W pośpiechu wyjaśniłem mu, czego od niego oczekuję, lecz ku memu zdumieniu moja prośba wywołała w nim niepoahamowany wybuch śmiechu.

Pomyślałem sobie: najwyraźniej podczas obiadu z przyjaciółmi ów doktor wypił kapkę za dużo „niemieckiego piwa”.

Dopiero kiedy trochę opanował histeryczny śmiech, zdołał mi powiedzieć, że przykro mu, ale nie jest „doktorem medycyny” tylko „doktorem filozofii”.

W tamtej chwili doświadczyłem takiego stanu, jakbym po raz drugi usłyszał wyrok naszego nieskończonego, skazujący Jego Przewielebność oraz jego najbliższych, to znaczy także mnie, na wygnanie.

A więc, nasz drogi Hassinie... opuściłem bawialnię tego „doktora” i znalazłem się na ulicy w tej samej sytuacji co wcześniej.

Przypadkowo przejeżdżała właśnie tamtędy taksówka.

Wsiadłem do niej i ponownie zacząłem się zastanawiać: dokąd teraz?

Tym razem przypomniłem sobie, że w kawiarni, do której czasami zaglądałem, prawie zawsze spotykałem pewną istotę, którą wszyscy nazywali „doktorem”.

Kazałem więc szoferowi jak najszybciej zawieść mnie tam.

Na miejscu znajomy kelner powiedział mi, że wspomniany doktor rzeczywiście był tam przed chwilą, ale teraz poszedł już gdzieś ze swoimi znajomymi i że on, czyli ów kelner, usłyszał przypadkiem, do której restauracji się wybierali, i następnie podał mi nazwę tej restauracji.

Wprawdzie owa restauracja znajdowała się dosyć daleko, lecz



nie znając żadnego innego doktora, kazałem szoferowi, żeby mnie tam zawiózł.

W końcu, po półgodzinie jazdy, dotarliśmy do wskazanego lokalu, w którym bardzo szybko odnalazłem mojego doktora.

Jeszcze raz okazało się jednak, że nie był to „lekarz”, a jedynie... „doktor jurysta”.

Tak więc znalazłem się już na dobre, jak się tam mówi, „w kropce”.

Ostatecznie wpadłem na pomysł, żeby zwrócić się w restauracji do starszego kelnera, wyjaśniając mu szczegółowo, o co mi chodzi.

Kelner okazał się istotą bardzo uprzejmą i nie tylko wyjaśnił mi, co powinienem zrobić, ale nawet pojechał ze mną do pewnego doktora, który nosił tym razem miano „doktora akuszer”.

Mieliśmy szczęście zastać go w domu i był tak dobry, że od razu zgodził się ze mną pojechać. Jednakże moja biedna sąsiadka, jeszcze zanim przybyliśmy na miejsce, urodziła swego pierworodnego syna i bez niczyjej pomocy opatuliwszy jakoś niemowlę, spała teraz głębokim snem po potwornych męczarniach, które musiała cierpieć w samotności.

Oto dlaczego od tamtego dnia całym swoim jestestwem nienawidzę brzmienia słowa „doktor” i każdej istocie na planecie Ziemia radziłbym używać tego słowa tylko wtedy, gdy wzbiera w niej duży, naprawdę bardzo duży gniew.

Wysłuchawszy opowieści Ahuna, Belzebub dodał z uśmiechem:

– Aby w pełni oddać rangę, do jakiej urosli na twojej planecie współcześni lekarze, muszę, mój chłopcze, przytoczyć jeszcze jedno powiedzenie naszego czcigodnego Mułły Nasr Eddina, które właśnie do nich się odnosi.

A brzmi ono tak:

„Za nasze grzechy Bóg zesłał nam dwa rodzaje lekarzy: tych, którzy pomagają nam umrzeć, i tych, którzy nie pozwalają nam żyć”.

## Rozdział 32

### **Hipnotyzm**

Tak więc w czasie mojego szóstego i ostatniego osobistego pobytu na powierzchni twojej planety Ziemia, zatrzymawszy się tam na dłużej, postanowiłem zostać jednym z ich zawodowych lekarzy. I faktycznie zostałem lekarzem, tyle że nie takim jak większość z nich, a to z tej przyczyny, że wybrałem dla siebie profesję, którą oni nazywają „lekarz hipnotyzer”.

Zdecydowałem się zostać jednym z takich tamtejszych specjalistów po pierwsze dlatego, że w ciągu ostatnich wieków to właśnie oni, bardziej niż inni lekarze, zdobyli dostęp do wszystkich tamtejszych „warstw” czy „kast”, o których wcześniej wspominałem, a po drugie dlatego, że ciesząc się dużym zaufaniem i autorytetem, usposabiają zwykłe istoty do szczerości, dzięki czemu mogą wnikać w ich, jak się tam mówi, „świat wewnętrzny”.

Obrałem ten zawód także z tego powodu, że stwarzał mi możliwość nie tylko osiągnięcia osobistych celów, lecz także udzielania autentycznej pomocy lekarskiej niektórym z tych nieszczęśników.

Rzeczywiście, mój chłopcze, ostatnimi czasy na wszystkich kontynentach i wśród wszystkich istot należących do dowolnej warstwy społecznej coraz bardziej zaczęło tam rosnać zapotrzebowanie na takich lekarzy.

Wspomnę przy okazji, że już wcześniej nabyłem ogromnego doświadczenia w tej specjalności, ponieważ dawniej, próbując wyjaśnić niektóre subtelności psychiki poszczególnych twoich ulubieńców, niejednokrotnie sięgałem po metody, które stosują tam tego typu lekarze.

Muszę ci powiedzieć, że w przeszłości twoi ulubieńcy, podobnie jak wszystkie inne trójmózgowe istoty całego Wszechświata, nie

mieli tej szczególnej właściwości psychicznej, która pozwala wprowadzać ich w stan zwany „hipnotycznym”. Owa właściwość stała się im przynależna dzięki pewnym kombinacjom, które wykształciły się w ich psychice w wyniku dysharmonijnego funkcjonowania ich zbiorczej obecności.

Ta dziwna właściwość psychiczna pojawiła się wkrótce po zagładzie Atlantydy i ugruntowała się na dobre w obecności każdego z nich od chwili, gdy ich „zustata” – czyli funkcjonowanie ich „świadomości istnieniowej” – rozdziwiła się w nich, formując z czasem dwie całkowicie odmienne, niemające ze sobą nic wspólnego świadomości, z których pierwszą sami nazwali po prostu „świadomością”, drugą zaś – kiedy wreszcie dostrzegli ją w sobie – zaczęli nazywać i do dzisiaj zwać „podświadomością”.

Jeśli spróbujesz należycie wyobrazić sobie i przeistoczyć w odpowiednich częściach twej zbiorczej obecności wszystko, co zamierzam ci teraz wyjaśnić, to pewnie będziesz mógł zrozumieć już prawie połowę ogółu przyczyn tego, że psychika twoich ulubieńców, tych trójmózgowych istot, które mają siedlisko na planecie Ziemia, stała się w końcu tak bezprecedensowo dziwaczna.

Owa psychiczna osobliwość polegająca na wpadaniu w „stan hipnotyczny” jest, jak już powiedziałem, przynależna tylko trójmózgowym istotom z twojej planety i dlatego można śmiało powiedzieć, że gdyby nie one, to w całym naszym Wielkim Wszechświecie istnieniowe pojęcie „hipnotyzmu” nie miałyby w ogóle racji bytu.

Nim udzielę ci na ten temat dalszych wyjaśnień, powinienem w tym miejscu podkreślić, że choć w ciągu ostatnich dwudziestu stuleci prawie cały proces zwykłej egzystencji na jawie większości tych przypadłych ci do gustu trójmózgowych istot, a szczególnie istot współczesnych, przebiega pod wpływem tej przynależnej im cechy, to one same nazywają stanem hipnotycznym tylko taki stan, w trakcie którego proces wywołany przez tę szczególną właściwość toczy się w nich w tempie przyspieszonym i daje skoncentrowane rezultaty.

Natomiast niedorzeczne rezultaty, które ta przynależna im

i niedawno ugruntowana w nich właściwość powoduje w procesie ich zwykłej egzystencji, nie przyciągnęły ich uwagi lub, jak same mówią, nie rzuciły się im w oczy, ponieważ, z jednej strony, ze względu na ogólny brak normalnego samodoskonalenia nie mają one, by tak rzec, „szerokich horyzontów”, a z drugiej; powstając i egzystując według zasady Itoklanoc, przyzwyczyły się już jak najszybciej zapominać to, co postrzegają. Niemniej jednak, kiedy rezultaty tej przynależnej im cechy powstają wskutek „przyspieszonej koncentracji”, wszelkie nedorzeczne przejawy, zarówno ich własne, jak i innych, stają się tak realne, że również dla ich kusego rozumu te rezultaty okazują się rażąco oczywiste i przez to nieuchronnie odczuwalne.

Nawet jeśli niektóre z nich przypadkiem zauważą w swoich przejawach lub w przejawach innych istot coś nielogicznego, to wskutek nieznamości prawa „typów” w najlepszym razie przypisują to specyfice charakteru danej osoby.

Uczone istoty z miasta Gob w kraju Maralplejsi jako pierwsze spostrzegły tę nienormalną osobliwość ichniej psychiki i poświęciły jej nawet poważną i szczegółową gałąź nauki, która stała się znana na całej planecie pod nazwą „nieodpowiedzialne przejawy osobowości”.

Jednakże później, kiedy znowu zaczęły się tam toczyć „regularne procesy unicestwiania się nawzajem” ta szczegółowa gałąź ich wtedy jeszcze w miarę normalnej nauki stopniowo, jak wszystkie inne ich pożyteczne osiągnięcia, poszła w zapomnienie i w końcu także po niej nie został żaden ślad.

Dopiero wiele wieków później owa dziedzina ich nauki znowu zaczęła się poniekąd odradzać.

Ale ze względu na to, że większość tamtejszych uczonych istot stała się do tego czasu uczonymi „nowej formacji” one ten jej renesans tak zadręczyły, że zanim biedaczka miała czas się rozwinąć, trafiła już na ich wspólny „śmietnik”.

A oto jak do tego doszło:

Pewna skromna tamtejsza uczona istota o nazwisku Mesmer –

rodem z kraju zwanego „Austrią” – która w niczym nie przypominała współczesnych jej istot, w trakcie swoich eksperymentów przypadkowo zauważyła w podobnych do siebie istotach wyraźną dwoistość świadomości.

Bardzo ją to zafascynowało i postanowiła się całkowicie poświęcić tej interesującej ją kwestii.

Kontynuując swoje obserwacje i badania, niemalże udało się jej ją wyjaśnić.

Ale później, kiedy zaczęła przeprowadzać eksperymenty praktyczne, aby lepiej zbadać niektóre szczegóły, stała się ofiarą pewnej osobliwości, która charakteryzuje tamtejsze uczone istoty „nowej formacji”.

Ta osobliwość ziemskich uczonych „nowej formacji” nazywa się „zadziobywanie”.

Owa uczciwa austriacka uczona istota, tylko dlatego, że zaczęła prowadzić swe eksperymenty badawcze nie tak, jak mechanicznie przyzwyczajali się robić to na Ziemi wszyscy uczeni „nowej formacji” została należycie i skrupulatnie „zadziobana na śmierć”.

Proces tego „zadziobywania” biednego Mesmera był tak intensywny, że z rozpędu już prawie od dwóch wieków ziemscy uczeni kontynuują go z pokolenia na pokolenie.

Na przykład wszystkie istniejące tam obecnie książki, które zajmują się hipnotyzmem – a są ich tysiące – zawsze zaczynają się od stwierdzenia, że Mesmer był ni mniej, ni więcej, tylko pierwszej wody oszustem i najwyższej klasy szarlatanem, lecz że nasi „uczciwi” i „wielcy” uczeni bardzo szybko jakoby go rozgryźli i nie pozwolili mu wyrządzić większych szkód.

Ostatnimi czasy uczeni z tej oryginalnej planety im bardziej sami są „idiotami do kwadratu” tym zacieklej krytykują Mesmera i opowiadają lub wypisują o nim wszelkie możliwe bujdy, żeby go zdyskredytować.

A przecież to właśnie ten tak krytykowany przez nich, skromny i uczciwy uczonej ich planety mógł, gdyby go nie zadziobali,

wskrzесиć jedyną niezbędną im naukę, dzięki której – i tylko dzięki niej – być może potrafiliby się uwolnić od następstw właściwości organu kundabufor.

Nie zaszkodzi przy okazji nadmienić, że tuż przed tym, jak opuściłem tę planetę na zawsze, miałem okazję zobaczyć dokładną powtórkę tego, co spotkało Mesmera. Tym razem chodziło o uczciwą i skromną uczonego istotę należącą do społeczeństwa Francji która to istota, po wytrwałych i świadomych trudach; wpadła na sposób wyleczenia pewnej straszliwej choroby, której rozprzestrzenianie się także przybrało ostatnio charakter ogólnoplanetarny.

Ta straszliwa choroba zwana jest tam „rakiem”.

Ponieważ także ów Francuz, chcąc lepiej wyjaśnić szczegóły swego odkrycia, zaczął przeprowadzać eksperymenty praktyczne nie tak, jak to się tam przyjęło, więc pozostali tamtejsi współcześni uczeni również w stosunku do niego przejawili tę samą osobliwość, to znaczy „zadziobywanie”.

Być może, mój chłopcze, w twojej obecności już się zaczęły, jak zawsze w tego rodzaju przypadkach, krystalizować dane potrafiące wzbudzić istnieniowy impuls „niezachwianego przekonania” o tym, że w obecnościach trójmózgowych istot tej twojej nieszczęsnej planety Ziemia – tylko dzięki tamtejszym uczonym istotom „nowej formacji”, w których nieodwołalnie zakorzeniła się wspomniana osobliwość polegająca na obowiązkowym „zadziobywaniu” każdego kolegi postępującego nie tak, jak nakazują panujące tam, nienormalnie ustalone warunki zwykłej egzystencji istnieniowej – już nigdy nie zajdzie to, co zwane jest świętym „Antkuano”, a na co liczył między innymi Prześwięty Asziata Szyjemasz.

O tej jego „esencję miłującej nadziei” dowiedziałem się tam przypadkowo w trakcie moich badań poświęconych przeświętej działalności Asziaty Szyjemasza.

Być może nie wiesz jeszcze, mój chłopcze, na czym dokładnie polega kosmiczny proces świętego Antkuano?

Otóż świętym Antkuano nazywa się proces doskonalenia obiektywnego rozumu zachodzący w trój centrowych istotach samorzutnie, jedynie wskutek „upływu czasu”.

Z reguły na wszystkich planetach naszego Wielkiego Wszechświata, gdzie mają siedlisko trójmózgowe istoty, doskonalenie obiektywnego rozumu dokonuje się wyłącznie dzięki osobistym świadomym trudom i zamierzonym cierpieniom.

Ów święty Antkuano może zająć tylko na tych planetach, na których wszystkim istotom udało się poznać wszystkie prawdy kosmiczne.

A wszystkie kosmiczne prawdy są na tych planetach znane wszystkim, ponieważ na każdej z nich te istoty, które dzięki swym świadomym trudom poznały jakąś prawdę, dzielą się nią z innymi istotami, wskutek czego stopniowo wszystkie prawdy kosmiczne stają się znane wszystkim bez wyjątku istotom danej planety, i to niezależnie od ich własnej dążności do samodoskonalenia.

Ten święty proces kosmiczny Antkuano, celowo urzeczywistniany w trójmózgowych istotach z takich planet przez NASZEGO WSZECHPRZEWIDUJĄCEGO NIESKOŃCZONEGO WSPÓLNEGO OJCA, zakłada, że w trakcie występowania w ich obecnościach procesu podstawowego kosmicznego świętego prawa Triamazikamno nadmiar jego trzeciej świętej siły, czyli „Świętego Pojednania” uzyskany w czasie przyswajania we wspomniany sposób kosmicznych prawd, samoczynnie powoduje w nich krystalizację danych, które wzbudzają to coś, co zwane jest „istnieniową wolą egoajturasną”.

A zatem... ta szczególna właściwość, o której wspominałem i która dopiero niedawno utrwalała się w zbiorczych obecnościach twoich ulubieńców, polega na tym, że funkcjonowanie ich „zustaty” lub, jak powiedzieliby sami, „części duchowej” zaczyna podlegać temu funkcjonowaniu ich zbiorczej całości, które normalnie występuje podczas ich całkowicie pasywnego stanu, czyli w czasie „snu”, przy czym w czasie takiego snu całe funkcjonowanie ich ciała planetarnego nadal odpowiada pod każdym wzglę-

dem funkcjonowaniu, jakie charakteryzuje ich stan jawy.

Abyś mógł sobie lepiej wyobrazić i uświadomić rezultaty owej tak zdumiewającej „właściwości psychicznej”, musisz przede wszystkim poznać dwa fakty, które urzeczywistniają się w zbiorczych osobowościach twoich ulubieńców.

Jeden z nich pojawia się w ich zbiorczych obecnościach dzięki kosmicznemu prawu „przystosowywania się Przyrody”, drugi zaś jest wynikiem nienormalnych warunków zwykłej egzystencji istnieniowej, które sami ustanowili i o których już wielokrotnie wspominałem.

Pierwszy fakt polega na tym, że odkąd, z powodu nienormalnej egzystencji, wykształciła się w nich „zustata dwuukładowa”, czyli dwie niezależne świadomości, Wielka Przyroda stopniowo zaczęła się przystosowywać i w końcu jest tak, że kiedy osiągną pewien wiek, pojawiają się w nich dwa różne tempa „inkliacaniszana”, to znaczy, jak powiedzieliby sami, dwa różne „krwiobiegi”.

Od wspomnianego wieku każdy z tych różniących się tempem „inkliacaniszanów” lub „krwiobiegów” pobudza w nich funkcjonowanie jednej z dwu świadomości; i na odwrót, intensywne funkcjonowanie jednej z tych świadomości wywołuje w nich szczególny, odpowiadający jej rodzaj krwiobiegu.

Podstawowa różnica między tymi dwoma samodzielnymi rodzajami krwiobiegu w ich zbiorczych obecnościach wiąże się z tym, co zwane jest „cyrkulacją tempodawlakszerną” lub, zgodnie z określeniem tamtejszej, jak mówią, medycyny, „różnicą w napełnieniu naczyń krwionośnych”; innymi słowy, w warunkach stanu jawy „środek ciężkości ciśnienia krwi” znajduje się w ich zbiorczych obecnościach w jednej części ogólnego układu naczyń krwionośnych, a w warunkach stanu biernego – w innej.

Z kolei drugi fakt wynikający z nienormalnych warunków egzystencji istnieniowej twoich ulubieńców polega na tym, że kiedy, od przyjscia na świat ich potomków, chcąc przystosować tych potomków do nienormalnych warunków otoczenia, umyślnie



starają się na wszystkie sposoby utrwalić w ich „lokalizacjach logiknestornych” jak najwięcej wrażeń płynących wyłącznie ze sztucznych percepcji, będących również następstwem rezultatów ich nienormalnej egzystencji – i to swoje szkodliwe oddziaływanie na własne potomstwo nazywają „wychowaniem” – wtedy całość owych sztucznych percepcji stopniowo wyodrębnia się w zbiorczych obecnościach ich podopiecznych i zaczyna funkcjonować samodzielnie, ograniczając swój związek z funkcjonowaniem ich ciała planetarnego jedynie do tego, czego wymagają automatyczne przejawy tego ciała. I to właśnie całość takich sztucznych percepcji oni naiwnie uważają obecnie za swoją prawdziwą „świadomość” Jeśli zaś chodzi o święte dane zdeponowane w nich przez Wielką Przyrodę na rzecz prawdziwej świadomości istnieniowej – świadomości, którą już od samego początku przygotowywania się do odpowiedzialnej egzystencji oni także w sobie mieć powinni wespół z przynależnymi tym danym właściwościami służącymi do wzbudzania w nich autentycznych świętych impulsów istnieniowych „Wiary” „Nadziei” „Miłości” i „Sumienia” – to te dane również stopniowo się oddzielają i, pozostawione samopas, ewoluują niezależnie od intencji otaczających ich odpowiedzialnych istot, a także oczywiście od samego nosiciela owych danych, i są uznawane przez nich za tak zwaną podświadomość.

Tylko z powodu takiego ich oddziaływania na potomków – oddziaływania z obiektywnego punktu widzenia szkodliwego, ale w ich naiwno-subiektywnym rozumieniu jakoby dobroczynnego – wszystkie święte dane przekazane im przez Wielką Przyrodę po to, by mogli ukształtować w sobie autentyczną świadomość istnieniową, natychmiast się oddzielają i w trakcie całej ich egzystencji pozostają niemalże w prymitywnym staniej natomiast wszelkie wrażenia nieuchronnie odbierane za pomocą sześciu (nawiasem mówiąc, one same twierdzą, że jest ich pięć) istnieniowych „skernalicjonników” lub, zgodnie z ich terminologią, „narządów zmysłów”, które służą w ich obecnościach do specyficznej percepcji wszystkiego, co na zewnątrz, sytuują się osobno

i po rozpoczęciu samodzielnego funkcjonowania stopniowo zaczynają dominować nad całą ich zbiorczą obecnością.

Mimo że twoi ulubienicy mają w sobie taką lokalizację przypadkowo postrzeganych wrażeń i mimo że odczuwają jej działanie, to nie uczestniczy ona ani w jakimkolwiek funkcjonowaniu przynależnym ich ciału planetarnemu, ani też w pozyskiwaniu przez ich zbiorczą obecność obiektywnego rozumu.

Także w nich te wszystkie zamierzone lub przypadkiem postrzegane wrażenia, z jakich wykształca się taka lokalizacja, winny służyć jedynie za materiał do konfrontatywnej logiki rzeczywistej świadomości istnieniowej, którą oni również w sobie mieć powinni i z której przypadkowo wymykają się czasami takie rezultaty, jakie oni, w swej naiwności, uznają obecnie z całym przekonaniem po prostu za refleksy ich „zwierzęcego instynktu” nie przywiązując zresztą do nich żadnej wagi.

Tylko wskutek tego, że twoi ulubieńcy, szczególnie ci współcześni, w ogóle nie wiedzą i nawet nie podejrzewają, że przynajmniej to ich sławetne wychowanie należy dostosować do rzeczony podświadomości potomstwa, i zawsze oraz we wszystkim sprzyjają temu, żeby źródłem nowych wrażeń dla każdego z tych dorastających potomków było jedynie to, co nienormalnie sztuczne, wszystkie sądy istnieniowe i wszelkie wyciągnięte na ich podstawie wnioski stają się w przypadku dowolnego z nich, kiedy osiąga on wiek istoty odpowiedzialnej, niezmiennie „czysto-swoiście-subiektywne” i nie mają żadnego związku ani z autentycznymi, powstającymi także w nich impulsami istnieniowymi, ani z tymi zgodnymi z prawem ogólnokosmicznymi zjawiskami, których doznawanie jest właściwe rozumowi każdej trójmózgowej istoty i które przyczyniają się do ustalenia więzi między wszystkimi trójmózgowymi istotami całego naszego Wielkiego Wszechświata, aby dzięki niej wspólnie urzeczywistniać ogólnokosmiczne funkcjonowanie stanowiące cel istnienia wszystkiego, co istnieje we Wszechświecie.

Chcąc poszerzyć twoją wiedzę o tym osobliwym i tak szkodliwym dla twoich ulubieńców „stanie psychicznym” muszę ci jesz-

cze powiedzieć, że po dziś dzień przychodzą oni na świat, mając wszelkie dane ku temu, by osiąść prawdziwy rozum istnieniowy, i że w chwili narodzin w ich obecnościach nie ma jeszcze żadnych „wszczepów logiknestornych”, z których tworzy się później lokalizacja ich „fałszywej świadomości” wraz z jej wyizolowanym funkcjonowaniem. To dopiero potem, kiedy w czasie swojego rozwoju i przygotowywania się do bycia istotami odpowiedzialnymi sami z siebie bądź też dzięki celowym wskazówkom swoich, jak się tam mówi, „rodziców” lub „nauczycieli” – czyli odpowiedzialnych istot, które podjęły się przygotowania ich do odpowiedzialnej egzystencji – zaczynają, jak już mówiłem, odbierać i utrwalają jedynie takie wrażenia, jakie później dostarczają im danych wzbudzających impulsy odpowiadające nienormalnie ustalonym warunkom otoczenia, stopniowo się formuje i zaczyna dominować w ich zbiorczej obecności ta sztucznie wykształcona „fałszywa świadomość”.

Natomiast znajdująca się w ich obecnościach i uduchowiona na użytek prawdziwej świadomości istnieniowej całościowa lokalizacja danych, którą nazywają „podświadomością” i która nie zawiera i nie nabywa żadnych „wszczepów logiknestornych” pozwalających porównywać i krytykować, lecz ma w sobie od samego początku jedynie możliwość wzbudzania świętych impulsów zwanych „Wiarą”, „Miłością”, „Nadzieją” i „Sumieniem”, zawsze wierzy, kocha i pokłada nadzieję w odniesieniu do wszystkich nowych percepcji.

A zatem, kiedy dzięki zmianie tempa ich krwioobiegu udaje się czasowo zawiesić działanie lokalizacji fałszywej świadomości – która w ich zbiorczych obecnościach zamieniła się już w „autokratycznego władcę” – i stworzyć przez to możliwość swobodnego scalenia się podczas stanu jawy świętych danych ich prawdziwej świadomości z całością funkcjonowania ciała planetarnego, wtedy faktycznie, mój chłopcze, jeżeli w odpowiedni sposób sprzyja się krystalizacji danych, które powodują powstanie w owej lokalizacji dowolnej idei sprzecznej z tym, co się już w nich ukształtowało i poniekąd utrzymało, i jednocześnie nakie-

rowuje się działanie spowodowane przez tę ideę na zdyszarmozowaną część ich ciała planetarnego, wówczas można wywołać w tej części szybką zmianę.

W okresie cywilizacji tiklamyszyckiej, kiedy uczone istoty z kraju Maralplejsi po raz pierwszy odkryły w swej zbiorczej psychice możliwość tego rodzaju specjalnych „kombinacji” i zaczęły szukać sposobów umyślnego wprowadzania się nawzajem w ów szczególny stan, szybko udało im się zrozumieć, na czym on polega, a także odkryć możliwość wywoływania go za pomocą tego, co zwie się „hanbledzoinem istnieniowym” to znaczy korzystając z tej samej substancji kosmicznej, której esencji o mało co nie uchwyciły tamtejsze trójmózgowe istoty cywilizacji współczesnej i którą nazwały „magnetyzmem zwierzęcym”.

Jako że zrozumienie zarówno tego faktu, jak i być może moich dalszych wyjaśnień, wymaga, byś zaznajomił się bardziej szczegółowo z hanbledzoinem istnieniowym, uważam teraz, zanim będę kontynuował, za konieczne poinformować cię o tej kosmicznej substancji.

Hanbledzoin to ni mniej, ni więcej tylko „krew” ciała kesdzańskiego danej istoty; i tak jak suma substancji kosmicznych zwana krwią służy do karmienia i odnawiania ciała planetarnego istoty, tak samo hanbledzoin służy do odżywiania i doskonalenia jej ciała kesdżan.

Musisz wiedzieć, że w zbiorczych obecnościach twoich ulubieńców – jak zresztą we wszystkich istotach trójmózgowych – jakość składu krwi zależy generalnie od liczby już całkowicie uformowanych w nich ciał istnieniowych.

Krew w obecnościach istot trójmózgowych może składać się z substancji, które powstają na skutek przemiany trzech oddzielnych i niezależnych „ogólnokosmicznych źródeł realizacji”.

Substancje znajdujące się w tej części krwi istnieniowej, którą Przyroda przeznaczyła do obsługi ciała planetarnego istoty, pochodzą z transformacji substancji planety, na której owa istota się ukształtowała i egzystuje.

Z kolei substancje przeznaczone do obsługi ciała kesdańskiego istoty, których całość nosi nazwę „hanbledzoin” uzyskiwane są z przemiany elementów innych planet oraz słońca tego samego układu słonecznego, gdzie powstała i egzystuje dana istota trójmózgowa.

I w końcu ta część krwi istnieniowej, która prawie wszędzie nazywa się „święty hanbledzoin istnieniowy”, a tylko na niektórych planetach nosi miano „świętego Aijesachladonu” i która obsługuje najwyższą część istoty, zwaną „duszą” jest wytwarzana z bezpośrednich emanacji naszego Przenajświętszego Słońca Absolut.

Substancje, których potrzebuje krew ciała planetarnego istot, przenikają tam za pomocą pierwszego pokarmu istnieniowego czy też, jak mówią twoi ulubieńcy, „poprzez jedzenie”.

Za to substancje potrzebne do oblekania oraz doskonalenia wyższego ciała istnieniowego kesdań dostają się do ich zbiorczych obecności z powietrza albo za pomocą, jak oni mówią, „oddechu” albo przez niektóre „pory” ich skóry.

A jeśli chodzi o święte substancje kosmiczne potrzebne do oblekania najwyższego ciała istnieniowego, czyli tej ich świętej części istnieniowej, którą, jak ci mówiłem, oni sami nazywają „duszą”, to zarówno w nich, jak i w nas te substancje mogą być przyswajane i odpowiednio przekształcane, a następnie wykorzystane w celu oblekania, wyłącznie w wyniku procesu zwanego „kontemplacją aijesiriturasną”, której urzeczywistnienie dokonuje się w zbiorczej obecności dzięki świadomemu udziałowi każdej z ich trzech uduchowionych i samodzielnych części.

Chociaż wszystko, co wiąże się z substancjami kosmicznymi, w które się oblekają i za pomocą których doskonalą w zbiorczych obecnościach niektórych twoich ulubieńców trzy samodzielne ciała istnieniowe, będziesz mógł dokładnie zrozumieć dopiero wtedy, gdy, jak już obiecałem, wyjaśnię ci podstawowe kosmiczne prawa Stworzenia i Istnienia Świata, to jednak, żeby wyświetlić do końca nasz aktualny temat, powinniśmy już teraz tę kwestię poruszyć i przynajmniej pokrótce wyjaśnić, w jaki sposób zmieniła się w zbiorczej obecności twoich ulubieńców forma

urzeczywistniania drugiego pokarmu istnieniowego, który jest przez nich pobierany automatycznie.

Otóż na początku, zaraz po zniszczeniu organu kundabufor, kiedy także oni, jak wszystkie inne trójmózgowe istoty naszego Wielkiego Wszechświata, zaczęli toczyć „egzystencję fulasnitamną” i egzystowali w sposób, jaki takim istotom przystoi, ten drugi pokarm istnieniowy przekształcał się w nich normalnie i wszystkie przynależne mu podstawowe elementy – zarówno te powstające w wyniku transformacji zachodzących na ich własnej planecie, jaki te wpływające do ich atmosfery z transformacji zachodzących w innych skupieniach tego samego układu słonecznego – były przyswajane przez ich zbiorczą obecność zgodnie z określonymi danymi; które już wcześniej się w nich ukształtowały, a jeśli chodzi o elementy składowe owego pokarmu, których pojedyncze istoty nie zużywały, to część owej nadwyżki, tak samo zresztą jak u nas, automatycznie stawała się własnością podobnych do nich zasłużonych istot z ich otoczenia.

Jednakże później, kiedy, jak już mówiłem, większość z nich zaczęła egzystować w sposób niegodny istot trój mózgowych, Wielka Przyroda była zmuszona zamienić ich „egzystencję fulasnitamną” na egzystencję zgodną z zasadą Itoklanoc i odtąd przewidziane przez Wielką Przyrodę określone krystalizacje – które są najważniejszą częścią drugiego pokarmu istnieniowego i po przyswojeniu przez istoty przekształcają się w substancje służące do oblekania i doskonalenia ich wyższego ciała istnieniowego kesdżan – z powodu ichniej nienormalnej egzystencji istnieniowej stopniowo przestały być przyswajane we wskazanym celu przez obecności większości z nich, i to zarówno świadomie, jak i automatycznie. Z tej przyczyny, a także dlatego, że substancje przekształcane w innych skupieniach kosmicznych dalej napływały do atmosfery tej niefortunnej planety, pojawiła się tam wśród twoich nieszczęsnych ulubieńców jeszcze jedna „choroba”, która w ostatnich stulę ciach zaczęła na nich wyjątkowo szkodliwie oddziaływać.

Rzecz w tym, że te określone krystalizacje kosmiczne, które nie

zostały zużyte w przewidzianym dla nich celu, skupiają się w czasie pewnych przemieszczeń tamtejszej atmosfery w niektórych jej warstwach i niekiedy, w zależności od rozmaitych panujących na zewnątrz warunków, a także od wewnętrznego stanu zbiorczej obecności twoich ulubieńców, który, nawiasem mówiąc, wynika przede wszystkim z form ich wzajemnych stosunków, przenikają do nich – właśnie do nich, to znaczy do tych aparatów, które generalnie są predestynowane przez Przyrodę do transformacji substancji kosmicznych i które mają służyć celom przeogromnego ogólnokosmicznego Trogoautoegokrata – i nie znajdując stosownego „substratu”, odpowiadającego wymaganiom zgodnego z prawem procesu Dżartkłom, owe krystalizacje w trakcie kolejnych, swobodnie dokonywanych ewolucyjnych i inwolucyjnych przekształceń w nowe, właściwe tej planecie krystalizacje, jeszcze zanim te transformacje dobiegną końca i pod działaniem już innych, przypadkowych czynników, wywierają na ich ciała planetarne właśnie ów wpływ, który znamionuje tę nowo powstałą tam specyficzną chorobę.

Warto tu zauważyć, że twoi ulubieńcy nadawali tej tamtejszej chorobie – mającej tę wskazaną przeze mnie specyficzną przyczynę – nazwy, które zmieniały się w zależności od epoki lub określonej części powierzchni ich planety, i nawet istoty współczesne nazywają ją obecnie rozmaicie i „wymądrzają” najprzeróżniejsze opisy przyczyn jej powstania.

Wśród licznych nazw, które nosi ta choroba, najbardziej tam teraz rozpowszechnione to: „grypa”, „influenca”, „hiszpanka”, „denga” itd.

Jeśli zaś chodzi o drugi rodzaj pokarmu istnieniowego, który do dzisiaj jest wchłaniany przez istoty, to odkąd straciły one możliwość egzystencji według zasady fulasnitamnej, odtąd tworzące go substancje, dzięki pewnym składnikom, służą już tylko do ułatwiania transformacji pierwszego pokarmu istnieniowego i do wydalania pewnych zużytych elementów z ich ciał planetarnych.

Wróćmy jednak teraz do szczególnej właściwości psychicznej twoich ulubieńców, a także do mojej działalności tam w charak-

terze „lekarza specjalisty” oddziałującego na nich właśnie za pomocą tej ich osobliwej właściwości psychicznej.

Chociaż ów „hipnotyzm” lub, jak lubią się oni wyrażać, taka gałąź ich „nauki” powstała i zdobyła oficjalne uznanie dopiero niedawno, zdążyła się już jednak stać jednym z tych niezwykle poważnych czynników, które pociągają za sobą jeszcze większe otumanienie już i tak u większości z nich wystarczająco pokręconej psychiki, i jeszcze bardziej rozstroić funkcjonowanie ich planetarnego ciała.

Kiedy stałem się już takim ziemskim specjalistą, na którego mówi się tam „lekarz hipnotyzer”, bardzo zainteresowałem się tą ich oficjalną „nauką” i gdy później, prowadząc normalne badania dotyczące różnych poważnych kwestii, jak na przykład rezultatów działalności Przenajświętszego Asziaty Szyjemasa, natknąłem się na różne punkty związane z tą gałęzią ich nauki, udało mi się wtedy wyjaśnić przy okazji swemu rozumowi również to tamtejsze „pokrętne zagadnienie”.

Ponieważ przyczyny, które spowodowały tylko automatycznie – co zresztą jest już, dzisiaj regułą – odrodzenie się tej dziedziny ich współczesnej nauki, można odnieść do dwóch nadzwyczaj oryginalnych, a nawet, jak one same by powiedziały, „pikantnych” faktów, sądzę, że z pewnością nie zaszkodzi, jeśli opowiem ci teraz nieco dokładniej o tym „odrodzeniu”.

Wprawdzie tamtejsi współcześni „uczeni” twierdzą, że inicjatorem tej gałęzi ich nauki był pewien angielski profesor o nazwisku Braid, a następnie rozwinął ją francuski profesor Charcot, w rzeczywistości było jednak całkiem inaczej.

Moje szczegółowe badania tej kwestii jasno mi między innymi pokazały, że u pierwszego z nich, to znaczy Braida, występowały wyraźne objawy właściwości hasnamuskich, natomiast drugi, Charcot, miał typowe cechy maminsynka.

A przecież takie ziemskie typy nigdy nie mogłyby odkryć czegoś faktycznie nowego.

Jak się okazało, tak naprawdę rzeczy potoczyły się tam w nastę-



pujący sposób:

Pewien włoski opat nazwiskiem Pedrini był w swoim mieście tak zwanym spowiednikiem w jednym żeńskim klasztorze.

Często spowiadała się u niego zakonnica imieniem Eufrozyna.

Otóż chodziły słuchy, że owa zakonnica wpadała nieraz w pewien szczególny stan i będąc w tym stanie, przejawiała zachowania nietypowe dla jej otoczenia.

W trakcie spowiedzi sama użalała się opatowi Pedrinemu, że najwyraźniej czasem „wstępuje w nią diabeł”.

Wszystko, co ta zakonnica mówiła, a także „słuchy”, które o niej chodziły, tak bardzo zainteresowały opata Pedriniego, że zaprzagnął przekonać się o tym z pierwszej ręki.

Pewnego razu podczas spowiedzi, próbując wszystkimi możliwymi sposobami skłonić zakonnice do szczerości, zdołał między innymi się dowiedzieć, że to „klasztorne dziecko” miało ongiś „kochanka”, który podarował jej swój portret oprawiony w bardzo piękną ramę, i że w chwilach „odpoczynku” od modlitw syci ona swój wzrok wizerunkiem „ukochanego”. No i właśnie w tych okresach „odpoczynku” zaczęły dziać się z nią, jak się jej zdawało, wspomniane „diabelstwa”.

To szczere wyznanie zakownicy jeszcze bardziej wzmogło zainteresowanie opata Pedriniego, który postanowił za wszelką cenę odkryć przyczynę tego zjawiska i w tym celu poprosił siostrę Eufrozyne, by na kolejną spowiedź koniecznie przyniosła ów oprawiony w ramę portret ukochanego.

Tak więc następnym razem, idąc do spowiedzi, zakonnica zabrała ze sobą wspomniany portret.

Sam obraz niczym specjalnym się nie wyróżniał, ale ramę miał rzeczywiście niezwykłą, całą inkrustowaną masą perłową i różnobarwnymi kamieniami.

Oglądając razem z zakonnice ten oprawiony portret, opat nagle zauważył, że dzieje się z nią coś szczególnego.

Najpierw zbladła i na chwilę jakby skamieniała, a potem zniecka zaczęła manifestować się w sposób, który w najdrobniej-

szych szczegółach przypominał zachowanie tamtejszych nowożeńców w tak zwaną noc poślubną.

Widząc to, opat Pedrini zapałał jeszcze większym pragnieniem wyjaśnienia wszystkich przyczyn tego niezwykłego przejawu.

Jeśli zaś chodzi o samą zakonnicę, to dwie godziny po pojawieniu się pierwszych oznak tego dziwnego stanu jakby nigdy nic się ocknęła i wtedy wyszło na jaw, że ani niczego nie wie, ani nie pamięta, co się z nią działo.

A ponieważ opat Pedrini sam nie był w stanie wyjaśnić tego zjawiska, zwrócił się więc o pomoc do swego znajomego, niejakiego „doktora Bambini”.

Kiedy opat Pedrini szczegółowo opowiedział o wszystkim doktorowi Bambiniemu, ów także bardzo się tym zainteresował i od-tąd razem zabrali się do wyjaśniania tej sprawy.

Najpierw przeprowadzili na zakonnicy Eufrozynie różne eksperymenty badawcze i już po kilku, jak tam mówią, „seansach” spostrzegli, że wpada ona w swój szczególny stan wyłącznie wtedy, kiedy jej wzrok przez dłuższy czas zatrzymuje się na jednym z połyskujących barwnych kamieni zdobiących ramę tego portretu, a mianowicie na tym, który zwie się „perskim turkusem”.

Kontynuując badania, zaczęli eksperymentować z tym perskim turkusem na innych osobach i wkrótce doszli do niezbitego przekonania, że bez względu na płeć, niemalże każda trójmózgowa istota, która przez wystarczająco długi czas wpatruje się w jaskrawe i mieniające się przedmioty pewnego rodzaju, wpada w staj. podobny do tego, jakiemu ulegał pierwszy obiekt ich eksperymentów; oprócz tego zauważyli, że przejawy występujące w tym stanie wyglądają u każdego inaczej i zależą od dominujących przeżyć istnieniowych, jakich dana osoba doświadczyła w przeszłości, a także od lśniących przedmiotów, z którymi podczas takich przeżyć przypadkiem ustanowiona została więź.

A więc, mój chłopcze...

Gdy wieść o obserwacjach, eksperymentach i wnioskach tych dwóch istot należących do społeczeństwa Włoch rozeszła się

wśród współczesnych uczonych „nowej formacji” wielu z nich zaczęło się wymądrzać na ten temat i w końcu, kiedy zupełnie przypadkowo, jak to się zwykle dzieje wśród nich, odkryli, że w tym stanie można błyskawicznie zamieniać wcześniej utrwalone wrażenia na nowe, niektórzy zaczęli wykorzystywać tę osobliwą, przynależną im właściwość psychiczną w celach leczniczych.

Od tamtej pory taki sposób leczenia nazywają oni „kuracją hipnotyczną”, natomiast istoty, które stosują ów rodzaj leczenia, „lekarzami hipnotyzerami”.

Ale na pytanie, na czym ten stan polega i dlaczego on w nich zachodzi, do dzisiaj nie potrafią odpowiedzieć.

Od samego początku pojawiły się tam i wciąż jeszcze krążą setki najprzeróżniejszych teorii oraz tysiące opasłych tomów poświęconych tej kwestii, które w sumie spowodowały, że już i tak wystarczająco pokręcone umysły zwykłych trójmózgowych istot tej nieszczęsnej planety zrobiły się jeszcze bardziej mętne.

Być może owa gałąź ich nauki okazała się dla nich nawet bardziej szkodliwa niż fantastyczne wymysły starożytnych helleńskich rybaków czy współczesnych istot społeczeństwa Niemiec.

Psychika zwyczajnych istot tej nieszczęsnej planety wzbogaciła się dzięki tej gałęzi ich „nauki” jedynie o kilka nowych form „istnieniowych kalkali”, czyli „esencjalnych dążeń”, które przybrały formę określonych „nauczań” występujących tam pod nazwą „anoklinizmu”, „darwinizmu”, „antropozofizmu”, „teozofizmu” – a także wielu innych o nazwach również kończących się na „izm” – i będących powodem całkowitego zaniku w ich obecnościach nawet tych dwóch danych, które pozwalały im być choć trochę takimi, jak przystoi istotom trój centrowym.

Te esencjalne dane, którymi jeszcze do niedawna dysponowały, wzbudzały w nich istnieniowe impulsy zwane przez nie „patriarchalnością” i „religijnością”.

Otóż wspomniana gałąź ich współczesnej „nauki” była nie tylko przyczyną pojawienia się w ich zbiorczych obecnościach kilku nowych szkodliwych kalkali, lecz również u wielu z nich spowo-

dowała rozstrojenie psychiki, której funkcjonowanie nawet bez tego było już całkiem nienormalne i której dysharmonia od dawna, na ich wielkie nieszczęście, osiągnęła poziom zwany „kakofonią alnokurną”.

Doskonale to zrozumiesz, jeśli powiem ci, że w okresie tej mojej praktyki lekarskiej, już długo po tym, jak zostałem tam lekarzem hipnotyzerem i zacząłem egzystować głównie na kontynencie zwanym „Europą”, prawie połowa moich pacjentów zawdzięczała swe dolegliwości gwałtownemu rozpowszechnieniu się tej ich szkodliwej nauki.

A działo się tak, ponieważ liczne tamtejsze zwykłe istoty, które naczytały się przeróżnych fantastycznych teorii w książkach napisanych przez „uczonych nowej formacji”, zaczęły się tak pasjonować tymi fantazjami i próbować wywoływać w sobie nawzajem stan hipnotyczny, że w końcu wiele z nich zostało moimi pacjentami.

Do takich pacjentów należały zarówno żony, których mężowie, przeczytawszy przypadkiem któreś z tych dzieł, chcieli zasugerować im swoje egoistyczne pragnienia, jak i dzieci bezrozumnych rodziców, a także różni mężczyźni, którzy znaleźli się pod kontrolą lub, jak się tam mówi, „pod pantoflem” swych utrzymanek itd., itp.

A wszystko to tylko dlatego, że ci marni uczeni „nowej formacji” zaczęli snuć swoje hasnamuskie teorie na temat tej ich osobliwej właściwości psychicznej.

Żadna z istniejących tam obecnie teorii, które zajmują się kwestią hipnotyzmu, nie ma nic wspólnego z rzeczywistością.

Nawiasem mówiąc, kiedy ostatnio odwiedziłem tę nieszczęsną planetę, akurat zaczął tam rozkwitać jeszcze jeden szkodliwy sposób robienia z psychiką tamtejszych istot dokładnie tego samego, co już zrobiła z nią i dalej robi owa gałąź ich nauki zwana hipnotyzmem.

Ten nowy szkodliwy środek oni sami nazwali „psychoanalizą”. Musisz koniecznie wiedzieć, że kiedy istoty z okresu cywilizacji

tiklamyszyckiej po raz pierwszy spostrzegły w sobie tę szczególną psychiczną właściwość i szybko zrozumiały, że mogą dzięki niej usuwać z siebie nawzajem pewne szczególnie niegodne ich cechy, uznały wówczas proces polegający na wprowadzaniu kogoś innego w taki stan za święty i wywoływały go jedynie w swoich świątyniach, i to tylko wtedy, gdy zgromadzili się tam wierni.

Za to twoi współcześni ulubieńcy nie odczuwają już w swoich obecnościach żadnego „istnieniowego impulsu skruchy” wobec tej nieodłącznej im właściwości i nie dość, że nie uważają jej skoncentrowanego przejawu – kiedy w razie potrzeby umyślnie go wytwarzają – za „święty” to jeszcze nauczyli się wykorzystywać tę właściwość i wywoływany przez nią proces, a także przypadkowo uzyskane w jego wyniku rezultaty, jako środek do „łechtania” pewnych, już nieodwołalnie utrwalonych w nich następstw właściwości organu kundabufor.

Na przykład kiedy się spotykają, żeby wspólnie świętować jakiś ustalony „patriarchalny rytuał” w rodzaju „wesela”, „chrzcin”, „imienin” itd., jedną z ich ulubionych rozrywek jest próba wprowadzenia się nawzajem we wspomniany stan.

Całe szczęście, że jeszcze nie znają – i miejmy nadzieję, iż nigdy nie poznają – żadnych innych sposobów oprócz tego, który jako pierwsze odkryły istoty społeczeństwa Włoch, opat Pedrini i doktor Bambini, a który polega na wpatrywaniu się w błyszczący lub jaskrawy przedmiot, co rzeczywiście, jak już ci mówiłem, powoduje, że niektóre z nich popadają we wspomniany „stan skoncentrowanych przejawów”.

## Rozdział 33

### ***Belzebub jako zawodowy hipnotyzer***

Belzebub kontynuował swoją opowieść:

– Odkąd zacząłem egzystować wśród twoich ulubieńców jako zawodowy hipnotyzer, moje eksperymenty badawcze na ich psychice przeprowadzałem głównie za pomocą tego ich szczególnego stanu, który tamtejsze istoty współczesne zwa „stanem hipnotycznym”.

Na początku wprowadzałem ich w ów stan, używając tego samego sposobu, który w tym celu wzajemnie stosowały na sobie istoty okresu cywilizacji tiklamyszyckiej, to znaczy oddziaływałem na nich własnym hanbledzoinem.

Ale później, kiedy w mojej zbiorczej obecności zaczął się często pojawiać impuls zwany „miłością bliźniego” i kiedy, nie bacząc na osobiste cele, musiałem ten stan wytwarzać w wielu tamtejszych istotach trójmózgowych dla ich własnego dobra, wspomniany sposób okazał się dla mojej egzystencji istnieniowej bardzo szkodliwy, toteż wymyśliłem inny, dzięki któremu uzyskiwałem to samo, nie zużywając jednak przy tym własnego hanbledzoina.

Ów wynalazek, w którego stosowaniu wkrótce nabyłem dużej wprawy, polegał na szybkim zmienianiu rzeczonyj „różnicy w napełnieniu naczyń krwionośnych” poprzez utrudnianie w pewien sposób swobodnego krążenia krwi w niektórych z tych naczyń.

Dzięki temu zabiegowi, zachowując zmechanizowane już tempo krwioobiegu odpowiadające ich stanowi jawy, potrafiłem jednocześnie rozbudzić w istotach funkcjonowanie ich autentycznej świadomości, to znaczy tej świadomości, którą one same zwa „podświadomością”.

Ten mój nowy sposób okazał się oczywiście nieporównanie lep-

szy od tego, który stosują do dzisiaj istoty twojej planety, a który polega na tym, że każą osobie wprowadzanej w stan hipnozy wpatrywać się w jakiś lśniący lub jaskrawy przedmiot.

Jak ci już powiedziałem, nie da się zaprzeczyć, że istnieje możliwość wprowadzenia ich w taki stan psychiczny, jeżeli się im nakáže, by wpatrywały się w jakiś błyszczący albo jaskrawy przedmiot – ale na pewno nie skutkuje to u wszystkich tamtejszych istot.

Rzecz w tym, że nawet jeśli w wyniku wpatrywania się w błyszczący przedmiot następuje w ich ogólnym krwiobiegu zmiana w „napełnianiu naczyń krwionośnych”, to i tak głównym czynnikiem warunkującym tego rodzaju zmianę powinno być bądź zamierzone z ich strony, bądź automatyczne skupienie myśli i uczucia.

A takie skupienie można osiągnąć albo w wyniku napiętego oczekiwania, albo dzięki pewnemu procesowi, który zachodzi w nich i określany jest tam słowem „wiara” albo też poprzez wywołanie uczucia strachu przed czymś, co ma nastąpić, lub w końcu wzbudzając pewne „namiętności”, których funkcjonowanie stało się już przynależne obecności tych istot, jak na przykład „nienawiść”, „miłość”, „lubieżność”, „ciekawość” itd.

To właśnie dlatego w krwiobiegu tych istot, które nazywa się tam „histerycznymi”, a które czasowo lub na zawsze utraciły zdolność skupiania myśli i uczucia, nie można spowodować „różnicy w napełnieniu naczyń krwionośnych”, skłaniając je do wpatrywania się w błyszczący przedmiot i tym samym nie można ich wprowadzić w stan hipnotyczny.

Jednakże korzystając z mojego wymysłu, który polegał na określonym oddziaływaniu na naczynia krwionośne, mogłem w ten stan wprowadzić nie tylko dowolną z przypadłych ci do gustu trójmózgowych istot, lecz także wiele mających tam siedlisko istot jednomózgowych i dwumózgowych, między innymi różne, jak oni mówią, „czworonogi”, „ryby”, „ptaki” itd.

Jeśli zaś chodzi o impuls „miłości bliźniego”, który zmusił mnie

do szukania nowego sposobu wprowadzania twoich ulubieńców w ów właściwy im już stan, to pojawił się on we mnie i stopniowo stał się przez jakiś czas impulsem dominującym głównie dlatego, że w okresie mojej działalności lekarskiej tamtejsze zwykłe istoty trójmózgowe należące do wszystkich kast szybko zaczęły okazywać mi na każdym kroku wyrazy miłości i szacunku, a także patrzeć na mnie; jakby zesłano mnie z Góry po to, bym choć w części pomógł im uwolnić się od zgubnych nawyków; jednym słowem, zaczęły przejawiać w stosunku do mnie swój najszczerzy, niemal autentyczny impuls istnieniowy, który wyraża „oskulniku” lub, jak one same mówią, „wdzięczność” i „podziękowanie”.

I takie oskulniki istnieniowe, czyli podziękowanie, okazywały mi nie tylko ocalone przeze mnie istoty oraz ich najbliżsi, ale także prawie wszyscy, którzy mieli ze mną do czynienia lub o mnie słyszeli, z wyjątkiem tamtejszych specjalistów pełniących teraz rolę ich lekarzy.

Ci ostatni, wręcz odwrotnie, potwornie mnie nienawidzili i „wychodzili ze skóry” żeby jakoś osłabić życzliwość, z jaką traktowały mnie zwykłe istoty; przy czym zaczęli mnie nienawidzić tylko dlatego, że bardzo szybko stałem się ich poważnym rywalem.

Szczerze mówiąc, rzeczywiście mieli za co mnie nienawidzić, ponieważ wszędzie tam, gdzie podejmowałem działalność lekarską, już po kilku dniach przychodziły codziennie setki pacjentów, a setki innych istot robiły, co mogły, żeby zamówić u mnie wizytę, podczas gdy moi biedni rywale musieli wysiadywać godzinami w swych słynnych „gabinetach” i niecierpliwie czekać, aż jakiś pacjent trafi do nich jak „zbłąkana owieczka”.

Zresztą na te zbłąkane owieczki czekali z wielką niecierpliwością, ponieważ część z nich zamienia się w tak zwane dojne krowy, z których wspomniani lekarze, jak to weszło już tam w nawyk, doją to coś, co określają słowem „ecie-pecie”.

W ich obronie trzeba powiedzieć, że ostatnio bez tego ecie-pecie rzeczywiście nie da się tam już w ogóle żyć, szczególnie takim trójmózgowym istotom jak ci współcześni „znakomici lekarze”.



Tak więc, mój chłopcze, jak ci już powiedziałem, swą działalność jako lekarz hipnotyzer prowadziłem początkowo w środkowej części kontynentu Azja, w różnych miastach Turkiestanu.

Najpierw odwiedzałem miasta tej części Turkiestanu, którą później nazwano „Chińskim Turkiestanem” w odróżnieniu od tej części, która po podbiciu jej przez istoty należące do wielkiego społeczeństwa Rosji została nazwana „Rosyjskim Turkiestanem”.

W miastach Chińskiego Turkiestanu występowało wtedy duże zapotrzebowanie na lekarzy takich jak ja, ponieważ wśród trójmózgowych istot mających siedlisko na tej części powierzchni twojej planety bardziej niż zwykle rozwinęły się w tym okresie dwie formy ich niesłychanie zgubnych „organicznych nawyków”, których nabywanie także stało się właściwe obecnościom istot tej nieszczęsnej planety.

Pierwszy z tych zgubnych organicznych nawyków to, jak się tam mówi, „palenie opium”, a drugi to „żucie anaszy” lub, jak czasami się ją nazywa, „haszyszu”.

Jak sam już wiesz, opium otrzymuje się z owoców maku, a haszysz z formacji naplanetarnej, która nosi tam nazwę „czakła” lub „konopie”.

W tamtym okresie mojej działalności, jak ci przed chwilą mówiłem, moja egzystencja toczyła się wpierw w różnych miastach Chińskiego Turkiestanu, ale później okoliczności sprawiły, że zacząłem spędzać coraz więcej czasu w miastach Rosyjskiego Turkiestanu.

Pierwszy ze wspomnianych „zgubnych nałogów” lub, jak one same mówią czasami, pierwsza z tych „zgubnych przywar”, mianowicie „palenie opium” występowała bardzo rzadko wśród istot Rosyjskiego Turkiestanu, a „żucie anaszy” jeszcze rzadziej, natomiast w pełni kwitło tam spożywanie tak zwanej rosyjskiej wódki.

Ten szkodliwy środek otrzymuje się tam przeważnie z naplanetarnej formacji o nazwie „ziemniak”.

Konsumpcja wspomnianej wódki nie tylko powoduje – tak jak

opium i anasza – że psychika tamtejszych nieszczęsnych istot trójmózgowych staje się zupełnie „bzurna”, ale też prowadzi do stopniowego zwyrodnienia pewnych ważnych części ich ciała planetarnego.

Nawiasem mówiąc, mój chłopcze, to właśnie wtedy, na początku tej mojej działalności wśród twoich ulubieńców, chcąc pogłębić badania nad ich psychiką, zacząłem prowadzić „statystykę”, którą później bardzo zainteresowały się pewne Przenajświętsze Indywidua Kosmiczne o najwyższym stopniu rozumu.

A zatem, egzystując jako lekarz wśród istot zamieszkujących miasta Turkiestanu, musiałem, szczególnie pod sam koniec pobytu, pracować tak intensywnie, że ostatecznie pewne funkcje mojego ciała planetarnego zupełnie się rozregulowały.

Toteż zacząłem zastanawiać się nad tym, co należy zrobić, żebym przynajmniej przez pewien czas miał możliwość niczym się nie zajmować, tylko odpoczywać.

Oczywiście mogłem w tym celu powrócić do siebie, na planetę Mars, ale stanęło temu na przeszkodzie moje istnieniowe „dymconiro”, czyli moja istnieniowa powinność wobec danego sobie „słowa esencji”.

Takie „słowo esencji” dałem sobie zaraz po szóstym zstąpieniu, kiedy przyrzekłem, że tak długo pozostanę wśród twoich ulubieńców, aż całkowicie wyjaśnię w moim rozumie wszystkie fakty, które stały się przyczyną stopniowego uformowania się w ich zbiorczej obecności wspomnianej, wyjątkowo osobliwej psychiki istnieniowej.

A ponieważ tego „słowa esencji” jeszcze nie dotrzymałem, to znaczy nie zdążyłem do tego czasu poznać wszystkich niezbędnych do pełnego wyjaśnienia owej kwestii szczegółów, uznałem więc w tej sytuacji powrót na planetę Mars za przedwczesny.

Jednocześnie dalszy pobyt w Turkiestanie i zorganizowanie sobie tam egzystencji w taki sposób, by zapewnić mojemu ciału planetarnemu potrzebny mu pełny odpoczynek, okazały się niemożliwe, a to dlatego, że w prawie wszystkich istotach tej części po-

wierzchni twojej planety, zarówno tych żyjących w Chińskim, jak i Rosyjskim Turkiestanie, skryształizowały się już – dzięki osobistym percepcjom lub opisom pochodzącym od innych istot – dane pozwalające poznać mnie z wyglądu; na dodatek każda zwyczajna istota tego kraju czuła potrzebę, żeby pomówić ze mną o sobie albo o kimś ze swoich bliskich, a to z powodu jednej z tych zgubnych przywar, w wybawianiu od których stałem się tam przypadkowo niezrównanym specjalistą.

Wymyślony i zrealizowany przeze mnie plan wybrnięcia z tej zaistniałej podczas mojego ostatniego pobytu na twojej planecie sytuacji spowodował, że Turkiestan – na którego temat utrwaliły się w mojej zbiorczej obecności dane wzbudzające we mnie do dzisiaj przyjemne wspomnienia – przestał być wtedy stałym miejscem mojej egzystencji i od tamtej pory miasta „znamienitej” Europy i ich kawiarnie z „czarnym płynem” nieznanego pochodzenia całkowicie zastąpiły mi miasta Turkiestanu oraz tamtejsze czajchany z ich wykwintnymi aromatycznymi herbatami.

Postanowiłem udać się do kraju położonego na kontynencie Afryka i zwanego „Egiptem”.

Wybrałem właśnie Egipt, ponieważ kraj ten faktycznie był wtedy idealnym miejscem do odpoczynku i wiele tamtejszych istot trójmózgowych, które żyły, jak to się mówi, „w materialnym dostatku” przybywało tam w tym celu ze wszystkich innych kontynentów.

Przyjechawszy na miejsce, zatrzymałem się w mieście o nazwie „Kair” gdzie bardzo szybko zorganizowałem zewnętrzną formę mojej codziennej egzystencji w taki sposób, by móc zapewnić mojemu ciału planetarnemu niezbędny odpoczynek po wspomnianym okresie wzmożonych i wyczerpujących trudów.

Pamiętasz, mówiłem ci już, że pierwszy raz odwiedziłem Egipt w trakcie czwartego zstąpienia na powierzchnię twojej planety, kiedy przybyłem tam po to, by przy pomocy kilku egzystujących w tym miejscu istot naszego plemienia złapać parę tych powstałych przez przypadek „omyłkowych istot” nazywanych „małpami”; wspominałem ci też, że w tym samym kraju zwiedziłem wie-

le interesujących sztucznych konstrukcji będących dziełem tamtejszych istot, między innymi to szczególne obserwatorium, które służyło do obserwacji skupień kosmicznych i wzbudziło wtedy we mnie wielką ciekawość.

W chwili mojego szóstego zstąpienia ze wszystkich tych licznych i interesujących budowli nie zostało już prawie nic.

Częściowo zniszczyły je tamtejsze istoty w czasie ichnich „wojen” i „rewolucji”, a częściowo przysypały je piaski.

Owe piaski znalazły się tam bądź na skutek wielkich wiatrów, o których wspomniałem ci wcześniej, bądź też trzęsienia planetarnego, nazwanego później przez istoty Egiptu „alnepusnym trzęsieniem ziemi”.

Podczas tego planetarnego trzęsienia wyspa, która nazywała się wówczas „Siapura”, położona na północ od istniejącej do dzisiaj wyspy zwanej „Cyprem”, przez pięć tamtejszych lat stopniowo i w bardzo szczególny sposób zapadała się w głąb planety, i dopóki trwał ten proces, w otaczającej wielkiej przestrzeni saliakuriapnej występowały niezwykle „przyływy” i „odływy” powodujące, że spod saliakuriapy naniesione zostały na powierzchnię stałego ładu wielkie ilości piasku, które zmieszały się z piaskami nawianymi przez wiatry.

Ale czy wiesz, mój chłopcze, że kiedy opowiadałem ci o Egipcie i o tych wszystkich sprawach, pojawiła się we mnie wątpliwość, która stopniowo doprowadziła do tego, że już całym swoim jestwem uświadomiłem sobie teraz, iż w trakcie moich opowieści o trójmózgowych istotach mających siedlisko na planecie Ziemia popełniłem jeden niewybaczalny błąd.

Pamiętasz, powiedziałem ci kiedyś, że żadne z osiągnięć istot poprzednich pokoleń nie dotarło tam do istot pokoleń późniejszych.

Teraz zdałem sobie sprawę, że właśnie w tym miejscu się pomyliłem.

W czasie moich wcześniejszych opowieści o tych przypadłych ci do gustu istotach ani razu nie pojawiło się w moich skojarze-

niach istnieniowych wspomnienie wydarzenia, które miało miejsce w dzień przed odlotem na zawsze z powierzchni tej planety, a które dowodzi, że mimo wszystko pewne osiągnięcia istot z odległej przeszłości dotarły nawet do twoich współczesnych ulubieńców.

Najwyraźniej emanacja radości, którą wzbudziło wtedy we mnie przebaczenie udzielone mi przez NASZEGO WSZECHWSPIERAJĄCEGO I WSZECHSPRAWIEDLIWEGO NIESKOŃCZONEGO STWÓRCĘ, a także jego miłosierne zezwolenie na powrót na łono mojego powstania, przeszkodziły mi w odebraniu tego wrażenia z siłą wystarczającą, by w odpowiedniej części mojej zbiorczej całości definitywnie skryształizowały się takie dane, które w toku późniejszych skojarzeń istnieniowych, wytwarzanych przez rezultaty przejawów wypływających z tego samego źródła, mają właściwość wywoływania w istotach powtórzenia wcześniejszego przeżycia.

Ale teraz, kiedy zacząłem opowiadać o współczesnym Egipcie i kiedy przed „oczami mojej esencji” znów pojawiły się obrazy pewnych okolic tej budzącej ongiś moją sympatię lądowej części powierzchni twojej planety, stopniowo słabe wrażenia wywołane w owym czasie przez to tamtejsze wydarzenie samorzutnie oblekły się we mnie w określoną świadomość i jasno odżyły mi w pamięci.

Abyś choć w przybliżeniu mógł wyobrazić sobie to wydarzenie, którego nie da się określić inaczej niż tylko jako przygnębiająco tragiczne, muszę ci wpierw powiedzieć jeszcze coś o tych trójmózgowych istotach z kontynentu Atlantyda, które utworzyły towarzystwo naukowe pod nazwą Achldan.

Pewni członkowie tego towarzystwa, którzy mieli już pojęcie o świętym Wszechobecnym Okidanochu, odkryli dzięki swym autentycznym wysiłkom, w jaki sposób można otrzymać z ich własnej atmosfery i z niektórych formacji naplanetarnych każdą z jego oddzielnych świętych części, a także jak można przechowywać w postaci skoncentrowanej te „niosące siłę” święte substancje kosmiczne, aby móc je następnie wykorzystać do przeprowa-

dzania określonych naukowych eksperymentów badawczych.

Uczeni członkowie tego wielkiego towarzystwa naukowego doszli wówczas także do tego, że za pomocą oddzielnie zlokalizowanej trzeciej części Wszechobecnego Okidanocha, czyli za pomocą jego świętej „siły neutralizującej” lub „siły pojednania”, potrafili doprowadzić każdą tak zwaną organiczną formację planetarną do takiego stanu, że wszystkie zawarte w niej w danym momencie elementy aktywne pozostawały w jej obecności już na zawsze; inaczej mówiąc, umieli zahamować, a nawet całkowicie zatrzymać jej dalszy nieuchronny „rozkład”.

Wiedza o mocy takiej realizacji przekazana została dziedzicznie pewnym istotom ówczesnego Egiptu, a konkretnie tym wtajemniczonym istotom, które były bezpośrednimi potomkami uczonych członków towarzystwa Achldan.

Tak więc wiele wieków po zagładzie Atlantydy również istoty Egiptu nauczyły się na podstawie przekazanej im wiedzy przechowywać za pomocą tej samej „neutralizującej siły” świętego Okidanocha ciała planetarne niektórych z nich po tym, jak ulegli oni świętemu Raskuarno – czy też, jak się tam mówi, po ich śmierci – zabezpieczając je przed gniciem i rozkładem.

I rzeczywiście, do czasu mojej szóstej wizyty na tej planecie po istotach zamieszkujących Egipt w okresie poprzednich odwiedzin, a także po wszystkim, co było tam wcześniej, nie pozostał już ślad i nikt nie miał o rym nawet najmniejszego pojęcia. Ale ciała planetarne, wobec których zastosowały one wspomniane środki, ocalały i istnieją tam do dziś.

Takie ocalałe ciała planetarne istoty współczesne nazywają i „mumiami”.

Transformacja ciał planetarnych – albo innych organicznych, a czasami nawet nieorganicznych formacji – w owe mumie była przeprowadzana przez istoty z Egiptu w bardzo prosty sposób. ,t Mianowicie przeznaczone do mumifikacji ciało planetarne trzymały one przez około pół miesiąca w tak zwanym oleju rycynowym, a następnie wprowadzały w nie rozpuszczoną w odpowied-

ni sposób świętą „substancję-siłę”.

Jednakże, mój chłopcze, pewnego razu – o czym, już po opuszczeniu na zawsze powierzchni twojej planety, dowiedziałem się z eterogramu informującego mnie o poszukiwaniach i badaniach prowadzonych przez jednego z naszych ziomków, który egzystuje tam do dziś – gdy tylko zaczął się proces unicestwiania się nawzajem między istotami zamieszkującymi Egipt a istotami sąsiedniego społeczeństwa, egzystencja jednego z ichnich „faraonów” dobiegła końca i z powodu natarcia nieprzyjaciela osoby odpowiedzialne za przechowywanie ciał istot zasłużonych w stanie niezniszczalnym nie mogły trzymać ciała planetarnego tego faraona w oleju rycynowym wystarczająco długo, to znaczy pół miesiąca. Nie bacząc na to, włożyły jego ciało do oleju rycynowego i umieściły w hermetycznie zamkniętym pomieszczeniu, a następnie przygotowały w pewien sposób roztwór świętej substancji-siły i wpuściły ją do tego samego pomieszczenia, aby uzyskać pożądaną rezultat.

Otóż okazało się, że ta święta siła; faktycznie skuteczniejszy to, co było ich zamiarem, przetrwała w tym hermetycznie zamkniętym pomieszczeniu – podobnie jak się to odbywa pod wpływem działania tak zwanych katalizatorów – i całkiem do niedawna zachowała się tam w niezmienionej postaci.

To określone święte „coś” jeszcze przez wiele ich wieków mogłoby się przechować w czystej formie, i to niemalże pomiędzy owymi trójmózgowymi istotami, które już od dawna nie mają w swojej esencji żadnego poszanowania. Ale ponieważ w obecnościach tych współczesnych, jak można ich nazwać, „nieprzytomnych świętokradców” pojawiła się zbrodnicza namiętność rodząca w nich potrzebę szargania także świętości istot minionych pokoleń, to dokopały się one nawet do tego pomieszczenia – które powinny traktować jak godną najwyższej czci świątynię – i w ten sposób dopuściły się takiej profanacji, że mogłem całym jestestwem uświadomić sobie w tym momencie moją pomyłkę, a mianowicie pomyłkę popełnioną wtedy, gdy z takim przekonaniem cię zapewniałem, że jakoby absolutnie nic nie dotarło do istot

współczesnej cywilizacji od istot dawno minionych epok, podczas gdy to wydarzenie, które rozegrało się we współczesnym Egipcie, było przecież następstwem jednego z rezultatów osiągniętych przez ich dalekich przodków egzystujących kiedyś na kontynencie Atlantyda.

A powód tego, że ów rezultat naukowych osiągnięć istot dawno minionych epok dotarł do istot współczesnych i stał się ich własnością, był następujący:

Powinieneś już wiedzieć, mój drogi Hassinie – jak wiedzą o tym, bez względu na stopień ich inteligencji istnieniowej, wszystkie odpowiedzialne istoty naszego Wielkiego Wszechświata, i to nawet te, które dopiero są w połowie przygotowań do stania się takimi – że esencja obecności ciała planetarnego każdej istoty, jak również generalnie każdej małej czy dużej „względnie samodzielnej” jednostki kosmicznej, winna składać się ze wszystkich trzech zlokalizowanych w niej świętych substancji-sił świętego Triamzikamno, to znaczy z substancji-siły Świętego Twierdzenia, Świętego Zaprzeczenia i Świętego Pojednania, i że przez cały czas powinna być przez nie utrzymywana w stanie odpowiedniej równowagi. Jeśli zaś z takiego czy innego powodu wibracje jednej z tych trzech świętych sił przenikną do którejś obecności w nadmiarze, to nieodwołalnie i bezwarunkowo następuje w niej święte Raskuarno, czyli całkowite unicestwienie jej zwykłej egzystencji jako takiej.

Tak więc, mój chłopcze, ponieważ w obecnościach twoich, współczesnych ulubieńców powstała jeszcze jedna zbrodnicza potrzeba, tym razem, jak już ci powiedziałem, szargania świętości swoich przodków, i dla zaspokojenia tej swojej zbrodniczej potrzeby niektórzy z nich włamali się do tego hermetycznie zamkniętego pomieszczenia, to oddzielnie zlokalizowana w nim święta substancja-siła Świętego Pojednania, nie zdążywszy jeszcze scalić się z przestrzenią, przedostała się do ich obecności, gdzie zmanifestowała przynależną sobie i zgodną z prawem właściwość.

Przestanę już teraz mówić o tym, w jaki sposób psychika trój-



mózgowych istot mających siedlisko na tej części powierzchni lądowej twojej planety uległa zwyrodnieniu i jaką przyjęła formę.

To także być może będę miał okazję ci kiedyś później wyjaśnić; tymczasem wróćmy jednak do przerwane go wątku.

Program mojej zewnętrznej egzystencji w rzeczonym Egipcie codziennie obejmował między innymi poranny spacer w kierunku tak zwanych Piramid i Sfinksa.

Owe Piramidy oraz Sfinks to jedyne, przypadkowo ocalałe, marne pozostałości tych wspaniałych sztucznych konstrukcji, które wzniosły pokolenia znamienitych Achldan oraz wielcy przodkowie istot tegoż Egiptu, a których powstania sam byłem świadkiem w czasie czwartego pobytu na twojej planecie.

Nie udało mi się jednak wtedy w Egipcie należycie wypocząć, a to dlatego, że okoliczności bardzo szybko zmusiły mnie do opuszczenia tego kraju.

Zresztą te same okoliczności sprawiły, że miasta drogiego Turkiestanu z ich przytulnymi „czaj chanami” ustąpiły miejsca, jak już ci wspominałem; miastom ich słynnego współczesnego centrum kultury czyli kontynentu Europa z jego nie mniej słynnymi „kawiarniami-restauracjami” gdzie zamiast aromatycznej herbaty podaje się czarny płyn o nie wiadomo jakiej zawartości.

## Rozdział 34

### ***Belzebub w Rosji***

Wszystko, co się później wydarzyło w czasie tego mojego ostatniego osobistego pobytu na powierzchni planety Ziemia i było związane z nienormalną formą zwykłej egzystencji istnieniowej tych przypadłych ci do gustu trójmózgowych istot, w tym również mnóstwo najrozmaitszych drobnych perypetii rzucających światło na charakterystyczne szczegóły ich dziwnej psychiki, zaczęło się od tego, że:

Pewnego ranka, gdy spacerowałem obok wspomnianych Piramid, podeszła do mnie nieznana mi, nieprzypominająca z wyglądu tubylca starsza istota, która, wypowiedziawszy tamtejsze zwyczajowe pozdrowienie, zwróciła się do mnie tymi słowami:

„Panie doktorze! Być może będzie pan tak miły i pozwoli mi towarzyszyć sobie w porannych spacerach. Zauważyłem, że spaceruje pan tutaj zawsze sam. Ja również bardzo lubię rano się przechadzać, a poza tym także jestem w Egipcie zupełnie sam, ośmielam się więc zaproponować panu moje towarzystwo w trakcie tych spacerów”.

Ponieważ wibracje jego promieniowania nie były w stosunku do moich zbyt „otkaluparne” – lub, jak powiedzieliby w takim wypadku twoi ulubieńcy: „ponieważ wydał mi się sympatyczny” – a także dlatego, że sam nosiłem się z zamiarem nawiązania z kimś znajomości, dzięki której mógłbym od czasu do czasu odpocząć od aktywnego myślenia i podążając jedynie za biegiem luźnie płynących skojarzeń, uciąć sobie pogawędkę, od razu zgodziłem się na jego propozycję i począwszy od tego dnia, zacząłem wspólnie z nim spędzać czas moich porannych spacerów.

W toku naszej znajomości dowiedziałem się, że ów cudzoziemiec należał do tej dużej społeczności, która nazywa się „Rosja”,

i że wśród swych rodaków był ważną, dzierzącą władzę istotą.

Tak się jakoś złożyło, że podczas tych wspólnych spacerów rozmawialiśmy przede wszystkim o słabej woli trójmózgowych istot i o tych niegodnych ich słabościach, które one same zwą „przywarami”, a które bardzo szybko, szczególnie u istot współczesnych, przechodzą w nawyk, stając się w końcu podstawą wytyczającą cel ich istnienia i jakość przejawów istnieniowych.

Pewnego razu w trakcie jednej z takich rozmów, zwracając się do mnie, powiedział nagle:

„Mój drogi doktorze! Czy wie pan, że ostatnimi czasy w mojej ojczyźnie wśród ludzi wszystkich warstw społecznych bardzo się rozwija i szerzy zamiłowanie do alkoholu? A tego typu zamiłowanie, jak pan na pewno wie, prędzej czy później musi doprowadzić do tych form wzajemnych stosunków, które – jak uczy nas historia – pociągają za sobą zniszczenie wiekowych ostoj i osiągnięć danego społeczeństwa.

Oto dlatego kilku moich dalekowzrocznych rodaków, uświadomiwszy sobie w końcu całą powagę sytuacji, jaka zaistniała w naszym kraju, zebrało się niedawno, aby wspólnie poszukać jakichś środków mogących zapobiec tym wszystkim katastrofalnym konsekwencjom. Pragnąc przejść od razu do realizacji tego zadania, postanowili założyć stowarzyszenie pod nazwą «Komitet opieki nad trzeźwością narodową» i właśnie mnie postawili na czele tego przedsięwzięcia.

Obecnie działalność Komitetu, którego zadaniem jest organizacja środków do walki ze wspomnianą plagą narodową, toczy się pełną parą.

Dużo już zrobiliśmy i dużo mamy jeszcze do zrobienia”.

Powiedziawszy to, zamyślił się nieco, a następnie kontynuował:

„Gdyby jednak pan, mój drogi doktorze, zapytał mnie teraz, co sądzę o rezultatach, jakich można oczekiwać od naszego Komitetu, to szczerze mówiąc, chociaż stoję na jego czele, trudno byłoby mi powiedzieć coś dobrego.

Zresztą jeśli chodzi o ogólną sytuację naszego Komitetu, osobiście liczę już tylko na «łut szczęścia».

Moim zdaniem całe zło kryje się w tym, że protektorat nad pracami Komitetu objęło obecnie kilka grup, od których zależy udana realizacja naszego zadania, a ponieważ przy podejmowaniu każdej pojedynczej kwestii owe grupy dbają wyłącznie o własne specjalne interesy więc rozwiązywanie dowolnej sprawy związanej z podstawowym celem Komitetu prowadzi zawsze do niezgody. W rezultacie członkowie naszego Komitetu, zamiast polepszyć warunki do szybkiej realizacji zamierzeń leżących u podstaw tego tak nieodzownego dla mojej drogiej ojczyzny przedsięwzięcia, pozwalają na to, by z dnia na dzień pojawiało się wśród nich coraz więcej różnych nieporozumień, osobistych porachunków, plotek, intryg, podstępów itd.

Jeśli chodzi o mnie, to w ostatnich czasach, chcąc znaleźć jakieś wyjście z tej rozpaczliwej sytuacji, tak dużo i na różne sposoby o tym myślałem, tak często radziłem się w tej sprawie wielu ludzi z mniejszym lub większym «doświadczeniem życiowym», że omal się nie rozchorowałem i pod wpływem nalegań moich bliskich zmuszony byłem zgodzić się na tę podróż do Egiptu wyłącznie po to, żeby wypocząć. Lecz niestety! Nawet tutaj, w Egipcie, to mi w żaden sposób nie wychodzi, bo wciąż nie dają mi spokoju te same czarne myśli.

A zatem, szanowny doktorze, ponieważ zna już pan mniej więcej sedno sprawy, która stała się przyczyną obecnego zachwiania mojej moralnej równowagi, szczerze się teraz przyznam panu do pomysłów i skrytych nadziei, jakie zrodziła we mnie nasza znajomość.

Rzecz w tym – kontynuował – że podczas naszych częstych i długich rozmów o zgubnych przywarach ludzi i sposobach uwolnienia się od nich przekonałem się w pełni o pana wielkiej kompetencji zarówno w kwestii subtelnego rozumienia psychiki ludzi, jak i w tworzeniu warunków do walki z ich słabościami. Dlatego uważam, że jest pan jedynym człowiekiem zdolnym do tego, by zainicjować różne działania mogące usprawnić funkcjo-

nowanie oraz realizację planów owego Komitetu, który założyliśmy u siebie do walki z alkoholizmem.

Wczoraj rano przyszedł mi do głowy pewien pomysł, nad którym zastanawiałem się przez cały dzień i cały wieczór, i w końcu postanowiłem zadać panu takie pytanie:

Czy zgodziłby się pan przyjechać do mojego kraju, Rosji, i po zobaczeniu na miejscu, co się tam dzieje, pomóc nam tak zorganizować nasz Komitet, by jego działalność rzeczywiście zaczęła przynosić mojej ojczyźnie pożytki, jakie były celem jego powołania?”

Następnie dodał:

„Pańska sprawiedliwa miłość bliźniego pozwala mi z jednej strony zebrać się na odwagę i skierować tę prośbę, a z drugiej wzbudza we mnie przekonanie, że na pewno nie odmówi pan udziału w przedsięwzięciu, które być może ocali miliony ludzi”.

Gdy ten sympatyczny leciwy Rosjanin skończył mówić, po chwili zastanowienia odpowiedziałem mu, że najprawdopodobniej zgodzę się na jego propozycję przyjazdu do Rosji, ponieważ niewykluczone, że właśnie ów kraj będzie się doskonale nadawał do urzeczywistnienia mojego podstawowego celu.

Potem powiedziałem mu jeszcze:

„Obecnie mam tylko jeden cel, mianowicie znaleźć dokładne wytłumaczenie wszystkich szczegółów przejawów ludzkiej psychiki, i to zarówno w odizolowanych jednostkach, jak i wtedy, gdy przebywają w grupie.

Sądzę, że Rosja okaże się bardzo odpowiednim miejscem do wyjaśnienia stanu oraz przejawów psychiki człowieka w dużych grupach, a to dlatego że, jak wywnioskowałem z naszych rozmów, choroba o nazwie «zamiłowanie do alkoholu» rozprzeczniła się u was niemalże wśród całej ludności, dzięki czemu będę miał wiele okazji do prowadzenia doświadczeń z przedstawicielami rozmaitych «typów», czy to wziętymi z osobna, czy też w masie”.

Po rozmowie z tą ważną rosyjską istotą szybko przygotowałem się do wyjazdu i już kilka dni później opuściliśmy razem Egipt,

aby po dwóch tygodniach znaleźć się w mieście, które było głównym skupiskiem istot tego dużego społeczeństwa i wciąż jeszcze nazywało się „Sankt Petersburg”.

Zaraz po przyjeździe mój nowy znajomy poświęcił się zaległym sprawom, które nagromadziły się podczas jego długiej nieobecności.

Tak się akurat złożyło, że dobiegła wtedy końca budowa wielkiego gmachu przeznaczonego na siedzibę Komitetu do walki z alkoholizmem i mój znajomy zajął się na miejscu organizacją i przygotowywaniem wszystkiego do, jak one tam mówią, „inauguracji”, czyli rozpoczęcia w owym budynku odpowiedniej działalności.

Ja w tym czasie zacząłem swoim zwyczajem chodzić po mieście i zadawać się z miejscowymi istotami należącymi do rozmaitych, jak one to określają, „kręgów”, ponieważ chciałem poznać charakterystyczne osobliwości ich zachowań i obyczajów.

To właśnie wtedy po raz pierwszy zauważyłem w obecnych ciach istot należących do tego współczesnego społeczeństwa wyraźnie dwoisty charakter, jakiego nabrała w ciągu ostatnich stuleci ich „ego-indywidualność”.

Po stwierdzeniu tego faktu rozpocząłem specjalne badania owej kwestii i w końcu odkryłem, że uformowanie się w ich zbiorczych obecnościach takiej dwoistej indywidualności było przede wszystkim spowodowane niezgodnością „tempa odpowiadającego miejscu ich powstania i egzystencji” z „formą ich istnieniowego myślenia”.

Moim zdaniem, mój chłopcze, bardzo dobrze zrozumiesz taką rażącą dwoistość indywidualności istot tego wielkiego społeczeństwa, jeśli powtórzę ci słowo w słowo opinię o nich, którą osobiście podzielił się ze mną nasz czcigodny Mułła Nasr Eddin.

Muszę ci powiedzieć, że w drugiej połowie mojego ostatniego pobytu wśród twoich ulubieńców wielokrotnie spotykałem się z tym wyjątkowym ziemskim mędrce, Mułłą Nasr Eddinem, i wymieniałem z nim poglądy na temat różnych tamtejszych, jak

oni się wyrażają, „kwestii życiowych”.

Nasze spotkanie, w trakcie którego swym mądrym powiedzeniem uchwycił on prawdziwą esencję istot tego tamtejszego wielkiego społeczeństwa, odbyło się na jednej z części powierzchni twojej planety, zwanej „Persją”, w okolicach miejscowości o nazwie „Isfahan” dokąd przybyłem, aby prowadzić badania związane z Prześwietłą Działalnością Asziaty Szyjemasza i znaleźć na miejscu odpowiedź na interesujące mnie pytanie: w jaki sposób po raz pierwszy pojawiła się ta bardzo szkodliwa dla nich forma ichniej „uprzejmości”, na którą wszędzie teraz można się tam natknąć.

Jeszcze przed dotarciem do Isfahanu wiedziałem już, że czcigodny Mułła Nasr Eddin wybrał się właśnie do miasta „Tałajalnikum” w odwiedziny do pasierba najstarszej córki swojego ojca chrzestnego.

Zaraz po przyjeździe do tego miasta udało mi się go odszukać, tak że w trakcie całego pobytu tam często przychodziłem go odwiedzać i wtedy we dwójkę, siedząc na dachu, jak nakazywał panujący w tym kraju zwyczaj, gawędziliśmy o wszelkich „subtelno-życiowych kwestiach”.

Któregoś ranka – chyba drugiego lub trzeciego dnia po moim przyjeździe – zauważyłem w drodze do niego, że na ulicach panuje niezwykle poruszenie: wszędzie robiono porządki, zamiatano, rozwieszano „dywany”, „flagi”, „szale” itp.

Pomyślałem, że na pewno zaczęły się przygotowania do jednego z dwóch ważnych dorocznych świąt istot tego społeczeństwa.

Po wejściu na dach, wymieniwszy tradycyjne powitanie z naszym drogim, nadzwyczaj wielkim mędrcom Mułłą Nasr Eddinem, wskazałem ręką na to, co działo się na ulicy, i zapytałem, o co w tym wszystkim chodzi.

Na jego twarzy pojawił się charakterystyczny dobroduszny grymas, jak zawsze urzekający, aczkolwiek z lekkim odcieniem pogardy, i właśnie w chwili, gdy chciał coś powiedzieć, na ulicy pod nami rozległy się okrzyki „obwoływaczy” i tupot stada koni.

Nie mówiąc ani słowa, nasz mądry Mułła ciężko wstał i chwyciwszy mnie za rękaw, zaprowadził na krawędź dachu, a tam, mrugając chytrze do mnie lewym okiem, zwrócił moją uwagę na wielką „kawalkadę”, która pędziła galopem i, jak się później dowiedziałem, składała się głównie z istot zwanych „kozakami” należących do tego dużego społeczeństwa „Rosji”.

W środku owej kawalkady jechał „rosyjski faeton” zaprzężony w cztery konie powożone przez nadzwyczaj spasionego i „dzielnie” wyglądającego woźnicę. Swój dzielny wygląd, w czysto rosyjskim stylu, zawdzięczał poduszkom umieszczonym w odpowiednich miejscach pod ubraniem.

W faetonie siedziały dwie istoty: jedną z nich był typowy przedstawiciel kraju zwanego „Persją”, a drugą typowy „rosyjski generał”.

Kiedy rzeczona kawalkada już się oddaliła, Mułła, wypowiedziawszy najpierw swe ulubione powiedzenie:

„Tak i tak, i tak trzeba,  
nie rób tego, czego nie trzeba”,

i wydawszy równie drogi mu okrzyk, coś w rodzaju „Zrrt!” powrócił na miejsce, proponując, bym zrobił to samo, a następnego poprawiwszy w swoim „kalianie” tłący się jeszcze węgiel drzewny, westchnął głęboko i wygłosił następującą, jak zwykle niezrozumiałą w pierwszej chwili tyradę:

„Właśnie przejechała w towarzystwie wielu «rasowych indyków» jedna tubylcza «wrona», niewątpliwie najwyższej rangi, ale za to porządnie już wyliniała i sfatygowana.

Nie wiem, dlaczego ostatnimi czasy «wysokiej rangi wrony» z tego kraju nie ruszają się już praktycznie na krok bez tych «rasowych indyków»; najwyraźniej żywią nadzieję, że ich własne pióra, których żalosne resztki nieustannie pozostają dzięki temu w zasięgu silnego promieniowania indyków, wzmocnią się choć trochę i, kto wie, może przestaną wypadać”.

Nic a nic nie zrozumiałem z tego, co powiedział, ale znając już



dobrze jego zwyczaj wyrażania się najpierw aluzyjnie, wcale mnie to nie zdziwiło i o nic nie pytając, cierpliwie czekałem na jego dalsze mądre wyjaśnienia.

I rzeczywiście, po tej tyradzie, kiedy przestał już fachowo „rozbulgotywać” wodę w swoim „kalianie” wpierw sformułował z właściwą sobie „subtelną jadowitością” definicję całej obecności i samej esencji istot współczesnego społeczeństwa Persji, a następnie wyjaśnił mi, że właśnie istoty społeczeństwa Persji porównał do ptaków „wron” natomiast istoty dużego społeczeństwa Rosji, które tworzyły przemykający ulicą orszak, do ptaków „indyków”.

Swą myśl rozwinął w długim wywodzie:

„Jeśli dokonamy bezstronnej analizy i zrobimy statystyczny bilans wszystkich pojęć i wyobrażeń; które wyrobili sobie ludzie współczesnej cywilizacji, porównując narody zamieszkujące Europę z narodami z innych kontynentów, i jeśli przeprowadzimy paralelę między narodami i ptakami, to ludzi reprezentujących sam «cymes» współczesnej cywilizacji europejskiej, a więc tych, którzy się urodzili i żyją na kontynencie Europa, musimy oczywiście nazwać «pawiami», czyli ptakami, które mają najpiękniejszą i najbardziej okazałą powierzchowność, a ludzi żyjących na innych kontynentach powinniśmy nazwać «wronami», czyli zupełnie bezużytecznymi i najbrudniejszymi ze wszystkich ptaków.

Jednakże dla tych współczesnych ludzi, którzy podstawowe warunki niezbędne do ich powstania znajdują na kontynencie Europa i tam też się kształtują, lecz których dalsze życie, a więc także dalsze «faszerowanie», przebiega z jakiegoś powodu na innych kontynentach – i także na odwrót, to znaczy dla tych współczesnych ludzi, którzy przychodzą na «świat boży» na innym kontynencie, lecz ich późniejsze «faszerowanie» odbywa się w warunkach panujących na kontynencie Europa – nie można znaleźć lepszej analogii niż ptak «indyk».

Indyk najwierniej ze wszystkich ptaków wyraża to «coś», o czym można powiedzieć, że jest to «ni to, ni sio», a tylko, jak się mówi, «połowa i jedna czwarta plus trzy czwarte».

Najlepszymi przedstawicielami «indyków» są współcześni ludzie z Rosji, i to właśnie tego rodzaju indyki otaczały jedną z tutejszych naczelnych wron, która dopiero co przemknęła koło nas.

Rosjanie rzeczywiście idealnie odpowiadają temu oryginalnemu ptakowi zwanemu «indykiem», co zresztą zaraz ci udowodnię:

Fakt, że przyszli na świat i ukształtowali się na kontynencie Azja, a przede wszystkim to, że otrzymali czyste – zarówno organicznie, jak i psychicznie – dziedzictwo wykute w ciągu wielu stuleci w warunkach egzystencji, które panują na tym kontynencie, spowodowały, że pod każdym względem mają naturę Azjatów i wobec tego oni również powinni być teraz wronami. Ponieważ jednak z jednej strony w ostatnich czasach tak bardzo się starają zostać Europejczykami i celowo zaczynają na każdym kroku odpowiednio się zachowywać, że powoli przestali już być wronami, a z drugiej strony na skutek paru niewątpliwie zgodnych z prawem danych nie mogą się przekształcić w autentyczne pawię, zatem opuściwszy wrony i nie przyłączywszy się jeszcze do pawi, są, jak powiedziałem, idealnymi indykami.

Chociaż w gospodarstwie domowym indyk jest ptakiem bardzo pożytecznym, gdyż jego mięso – pod warunkiem że zarżnie się go w specjalny sposób, jakiego starożytne narody nauczyły się dzięki wielowiekowej praktyce – jest lepsze i smaczniejsze niż mięso innych ptaków, to jednocześnie za życia indyk jest ptakiem niezwykle dziwnym i ma bardzo osobliwą psychikę, która wymyka się wszelkiemu, nawet przybliżonemu rozumieniu, zwłaszcza naszych ludzi z ich na wpół biernymi umysłami.

Jedną z wielu specyficznych cech psychiki indyka jest to, że ten dziwny ptak z jakiegoś nieznanego powodu uważa zawsze za niezbędne puszyć się, i dlatego często ni stąd, ni zowąd robi się nadepty.

Puszy się i nadyma nawet wtedy, gdy nikt na niego nie patrzy, wyłącznie pod wpływem własnych rojeń i głupich marzeń”.

Powiedziawszy to, Mułła Nasr Eddin wstał ociężale i powoli,

a następnie, ponownie wypowiadając swe ulubione: „Tak i tak, i tak trzeba” uzupełnione tym razem o: „nie siedź długo tam, gdzie nie trzeba”, wziął mnie pod rękę i razem zeszliśmy z dachu.

W tym miejscu, mój drogi chłopcze, oddając hołd subtelności psychologicznej analizy naszego przemądrego Mułły Nasr Eddina, trzeba jednak po sprawiedliwości dodać, że jeśli owi Rosjanie stali się takimi wzorowymi „indykami”, to wina ponownie leży jedynie po stronie istot społeczeństwa Niemiec.

Ci współcześni „mistrzowie wymyślacze” są winni tego, że wynajdując swe słynne farby anilinowe, przegapili jedną specyficzną właściwość takich barwników.

Rzecz w tym, że za pomocą farb anilinowych można przefarbować na dowolny kolor wszystkie naturalne kolory z wyjątkiem jednego, mianowicie prawdziwej naturalnej czerni.

To właśnie z powodu tej nieprzezorności niemieckich istot spotkało biednych Rosjan takie skandaliczne nieszczęście.

Otóż „nieoczekiwanie i niespodziewanie” okazało się, że wronich piór, które Przyroda zabarwiła na autentyczną czerń, nie można przemalować na żaden inny kolor, nawet korzystając z tych wymyślonych przez nich farb anilinowych, i tylko wskutek tego ich haniebnego niedopatrzenia te nieszczęśliwe „rosyjskie wrony” nie mogą teraz w żaden sposób stać się pawiami. A co najgorsze, nie będąc już wronami i nie stawszy się jeszcze pawiami, chcąc nie chcąc, zamieniły się w indyki, które są doskonałym wyrazem tego, co nasz drogi nauczyciel wyraził słowami: „połowa i jedna czwarta plus trzy czwarte”.

Tak więc dzięki tej mądrej definicji, którą osobiście przekazał mi czcigodny Mułła Nasr Eddin, po raz pierwszy jasno zrozumiałem, dlaczego wszystkie istoty tego tamtejszego dużego społeczeństwa, osiągnąwszy wiek odpowiedzialny, stają się posiadaczami tak wyraźnie rozdwojonej indywidualności.

Ale dość już na ten temat. Chcę teraz, żebyś posłuchał o wydarzeniach, w których przyszło mi uczestniczyć po przyjeździe do tego głównego skupiska istot społeczeństwa Rosji, noszącego

wówczas nazwę „Sankt Petersburg”.

Jak ci już mówiłem, podczas gdy mój znajomy, wspomniany ważny Rosjanin, porządkował sprawy, które pod jego nieobecność uległy dezorganizacji, ja sam bywałem w wielu miejscach i stykałem się z tamtejszymi istotami reprezentującymi różny poziom rozwoju intelektualnego i żyjącymi w różnych warunkach bytowych, ponieważ chciałem przestudiować charakterystyczne osobliwości ich zachowań i obyczajów, a także wyjaśnić sobie przyczynę ich „organicznej potrzeby” alkoholu oraz zbadać widoczne następstwa rezultatu jego oddziaływania na ich zbiorcze obecności.

Warto zauważyć, że w czasie spotkań z różnymi istotami trójmózgowymi, które reprezentowały rozmaite, jak oni sami się wyrażają, „kasty” i „sytuacje życiowe” kilka razy stwierdziłem pewien fakt, który po wnikliwej obserwacji stał się dla mnie całkiem oczywisty, a mianowicie, że większość z nich nosiła w sobie załączek „osobliwego funkcjonowania ich zbiorczych obecności”, które już od dawna, na skutek pewnej kombinacji dwóch niezależnych przyczyn zewnętrznych, zaczęło systematycznie pojawiać się w twoich ulubieńcach.

Pierwsza z tych przyczyn to ogólnokosmiczne prawo, które istnieje pod nazwą „Soliunensius”, a druga – wyraźne pogorszenie się warunków zwykłej egzystencji istnieniowej na dowolnej części powierzchni twojej planety.

Mówię tu o tym załączku „osobliwego funkcjonowania ich zbiorczych obecności”, który od kilku tamtejszych lat wykształcił się w obecnościach wszystkich istot tego społeczeństwa i w pewnych określonych okresach przyjął tę już ogólnie przynależną im formę, która stała się „czynnikiem pobudzającym” dla ich specyficznych przejawów – właściwych jedynie trójmózgowym istotom planety Ziemia – jako całość różnie określanych w różnych epokach, a przez istoty współczesne zwanych „bolszewizmem”.

O tym osobliwym funkcjonowaniu ich zbiorczych obecności opowiem ci trochę później.

W tym miejscu poruszyłem tę kwestię jedynie po to, żebyś mógł wyobrazić sobie wyjątkowo nienormalne warunki egzystencji istnieniowej, w których prowadziłem działalność podczas mojego pobytu wśród istot tego wielkiego społeczeństwa w ich pierwszej stolicy, Sankt Petersburgu.

Sądzę, że najlepszym punktem wyjścia dla całego twojego dalszego rozumowania dotyczącego istot tego wielkiego społeczeństwa, będzie moja opowieść o tym, jak wkrótce po przyjeździe tam zapragnąłem założyć własne laboratorium chemiczne.

Jeszcze na długo przed przybyciem do tego miasta nosiłem się z zamiarem – do którego realizacji sporządziłem nawet konkretny plan i przygotowałem pewne niezbędne szczegóły – założenia w jakimś dużym skupisku miejskim czegoś w rodzaju „laboratorium chemicznego”, gdzie w ustalony wcześniej sposób chciałem prowadzić specjalne doświadczenia nad kilkoma głęboko ukrytymi aspektami tej ich jak zwykle dziwnej psychiki.

Tak więc, mój chłopcze, kiedy po przyjeździe do tego miasta okazało się, że mój czas jest tylko w połowie wypełniony, postanowiłem wykorzystać to przypadkowe chwilowe „pół-bezrobocie” i przystąpiłem do realizacji swego zamiaru.

Zasięgnąwszy informacji, dowiedziałem się, że aby założyć takie laboratorium, trzeba przede wszystkim mieć zezwolenie od lokalnych „istot dzierżących władzę” toteż szybko zacząłem się o nie starać.

Po podjęciu pierwszych kroków uświadomiłem sobie, że na skutek działania pewnych praw, od dawna ugruntowanych w procesie egzystencji tego społeczeństwa, taką zgodę na otwarcie prywatnego laboratorium chemicznego musiał wydać pewien „departament” jednego z ich „ministerstw”.

Udałem się więc do tego departamentu, ale tam się okazało, że jego pracownicy, choć przyznali, że wydanie tego rodzaju zezwolenia należy do ich obowiązków, zupełnie nie wiedzą, jak się do tego zabrać.

Zresztą, jak zrozumiałem później, ta ich niewiedza wynikała po

prostu z tego, że nikt dotąd nie zwrócił się do nich o takie zezwolenie, więc te nieszczęsne istoty nie miały jeszcze okazji wyrobić w sobie typowego dla nich „automatycznego nawyku”, potrzebnego do przejawiania tego rodzaju „istnieniowej powinności”.

Należałoby tutaj zaznaczyć, że generalnie od kilku stuleci w obecnościach istot dzierżących władzę prawie wszystkie „przejawy istnieniowe” związane z wypełnianiem ich powinności istnieniowej zachodzą jedynie dzięki funkcjonowaniu w nich danych, które są wynikiem wielokrotnego automatycznego powtarzania jednej i tej samej rzeczy.

Przy czym u istot dzierżących władzę w tym konkretnym społeczeństwie krystalizacja takich oryginalnych automatycznych „danych istnieniowych” następowała w owym okresie upływu czasu o wiele intensywniej niż gdziekolwiek indziej i osiągnęła nawet taki poziom, że wydawało się czasami, iż zupełnie brakuje im jakichkolwiek danych bezpośrednio wzbudzających te impulsy istnieniowe, które z zasady powinny znajdować się w istotach.

Taka krystalizacja, jak później ustaliłem, zachodziła w nich na skutek działania kosmicznego prawa Soliunensius, o którym już ci wcześniej wspominałem.

Ale sam fakt, że nikt nie zwracał się do pracowników wspomnianego departamentu o wydanie zezwolenia, wcale nie oznaczał, że żadnemu z mieszkańców tamtejszej stolicy nie było potrzebne laboratorium chemiczne; nie... przeciwnie, jeszcze nigdy nie było w tym mieście tylu laboratoriów chemicznych, co właśnie w tym okresie, i niewątpliwie wszyscy ich właściciele gdzieś i w jakiś sposób zdobyli wymagane zezwolenie.

Nie mogło być inaczej. Czyż nie po to istniał w ich stolicy, jak zresztą we wszystkich innych dużych i małych społeczeństwach, szczególny, jak oni mówią, „organ administracyjny” nazywany przez nich „żandarmerią” albo „policją”, z którym wiąże się „podstawowa nadzieja posiadaczy władzy na pełne szczęście”, a którego przedstawiciele stawiają sobie za jedno z głównych zadań pilnowanie, by każdy, kto zaczyna jakiegokolwiek przedsięwzięcie, miał na to odpowiednie zezwolenie? Trudno sobie wyobrazić,

żeby „wszechwidzące oko” istot reprezentujących tę „podstawową nadzieję posiadaczy władzy na pełne szczęście” mogło cokolwiek przegapić i dopuścić do powstania jakiegoś laboratorium bez odpowiednie go zezwolenia swoich patronów.

Głównym powodem tej pozornej sprzeczności było coś całkiem innego.

Trzeba powiedzieć, że stosunek istot tego społeczeństwa do praw i przepisów, które w przeszłości ustanowiono, aby zapewnić „normalne” – w ich pojęciu – wzajemne relacje, jak również by generalnie służyły ich zwykłej egzystencji, stał się wtedy już taki, że korzystać z tego, do czego miały obiektywne prawo, mogły tylko te zwykłe istoty, które potrafiły robić wszystko na odwrót, to znaczy wbrew obowiązującym tam prawom i przepisom.

Takich prywatnych laboratoriów jak to, które chciałem założyć, można było znaleźć tam tysiące; należało tylko uprzednio wiedzieć, jakich nienormalnych „znajomości” i „posunięć” wymaga to, żeby wystarać się o zezwolenie na otwarcie takiego laboratorium, a następnie działać w zgodzie z tymi anomaliami.

Ponieważ jednak byłem tam dopiero od niedawna, nie zdążyłem jeszcze pojąć wszystkich subtelności ich zwykłej egzystencji istnieniowej, która w tym kraju, jak powiedziałem, stała się wyjątkowo nienormalna.

Oto dlaczego, gdy przystąpiłem do załatwiania wymaganego zezwolenia, zaczęła się ta moja niekończąca się mordęga lub, jak sami mówią, „bezmyślna bieganina”, która także od dawna ugruntowała się w procesie ich egzystencji istnieniowej – i co więcej, wszystko to okazało się zupełnie bezowocne i niepotrzebne.

A zaczęło się od tego, że kiedy przyszedłem do rzeczonoego departamentu i zwróciłem się do tamtejszych urzędników, wszyscy popatrzyli na siebie z zakłopotaniem i zaczęli coś szeptać, po czym kilku z nich zabrało się do wertowania jakichś opasłych tomów, najwyraźniej z nadzieją, że uda im się znaleźć przepis odnoszący się do wydawania tego rodzaju zezwoleń. W końcu najstar-

szy z nich podszedł do mnie i z wielką powagą zażądał, żebym najpierw przyniósł mu z innego departamentu świadectwo, jak oni to określają, „wiarygodności” mojej osoby.

Od tego momentu zacząłem krążyć od jednego departamentu do drugiego, od jednego, jak oni mówią, urzędu do drugiego, od jednego oficjalnego specjalisty do drugiego... i tak dalej bez końca.

Doszło nawet do tego, że zacząłem kursować między „dzielnicowym”, a „proboszczem” i niewiele brakowało, a musiałbym jeszcze udać się do oficjalnej miejskiej położnej.

Oprócz tego któryś z tych „specjalnych urzędów” wymagał z jakiegoś powodu, by na zaświadczeniu wydanym przez drugi urząd widniał stempel trzeciego.

W jednym miejscu musiałem podpisywać jakieś papiery, w drugim odpowiadać na pytania niemające żadnego związku z chemią, a w trzecim wyjaśniano mi i radzono, jak się obchodzić ze sprzętem laboratoryjnym, abym przypadkiem się nie zatrzał itd., itp.

Jak się później dowiedziałem, zostałem wtedy przyjęty, nie zdając sobie z tego sprawy; przez urzędnika, którego obowiązkiem było odwodzenie osób chcących założyć laboratorium chemiczne od tak „paskudnego” zamiaru.

Najzabawniejsze było to, że aby uzyskać takie oficjalne zezwolenie, trzeba było się zwracać do kolejnych urzędników, którzy nie mieli zielonego pojęcia o tym, co to w ogóle jest laboratorium.

Nie wiem, czym by się to wszystko skończyło, gdyby nie to, że straciwszy prawie dwa miesiące, sam w końcu porzuciłem tę bezmyślną bieżącą.

A zaniechałem jej z powodu, który też nie był pozbawiony komizmu.

Zgodnie z zasadami owej bezsensownej biurokracji musiałem między innymi otrzymać od pewnego doktora „oficjalny papier” poświadczający, że praca w laboratorium nie stanowi zagrożenia dla mojego zdrowia.

Udałem się więc do tego oficjalnego doktora, ale gdy ów rzeczy-



wiecie zaczął mnie osłuchiwać i nawet poprosił, żebym zupełnie się rozebrał, bo chciał mnie opukać wszędzie swoim młoteczkim, oczywiście nie mogłem się pod żadnym pozorem na to zgodzić. A nie mogłem się zgodzić, ponieważ obnażając się, niechybnie ujawniłbym swój ogon, który tam, na twojej planecie, za wsze zρέcznie skrywałem w fałdach ubrań.

Sam przecież rozumiesz, że gdyby ktoś z nich zobaczył mój ogon, wszyscy szybko by się dowiedzieli, że nie jestem istotą z ich planety, a wtedy straciłbym wszelką możliwość pozostania wśród nich i kontynuowania interesujących mnie doświadczeń, które miały wyjaśnić dziwaczność ich psychiki.

Wszedłem więc od tego doktora bez potrzebnego „papieru” i od tamtego dnia rzuciłem to wszystko i nie próbowałem już więcej uzyskać zgody na założenie własnego laboratorium.

Mimo że wciąż chodziłem z miejsca do miejsca, chcąc osiągnąć mój specjalny cel i jednocześnie starając się o wspomniane zezwolenie, często jednak spotykałem się z moim pierwszym znajomym, tym ważnym Rosjaninem, który był co prawda, jak powiedziałem, bardzo zajęty własnymi sprawami, ale znajdował czas, żeby mnie odwiedzić lub przyjąć w swoim domu.

W trakcie tych spotkań niemal zawsze rozmawialiśmy o alkoholizmie w jego kraju i metodach walki z tym złem.

Do prowadzenia takiej wymiany zdań dysponowałem za każdym razem coraz większą ilością materiału, ponieważ moje bezstronne obserwacje i badania wszystkich aspektów psychiki miejscowych istot nieustannie krystalizowały we mnie nowe dane na ich temat.

Ów ważny Rosjanin przywiązywał wielką wagę do tych moich rozważań i uwag dotyczących zarówno dotychczasowej działalności, jak i dalszych planów „Komitetu opieki nad trzeźwością narodową” i zawsze był szczerze zachwycony trafnością moich obserwacji.

Początkowo praktycznie wszystkie moje propozycje, które on sam później przedkładał na walnych zebraniach Komitetu, były

przyjmowane i realizowane.

Ale odkąd paru członków Komitetu przypadkiem się dowiedziało, że inicjatywa zastosowania wielu pożytecznych środków wyszła od jakiegoś doktora obcokrajowca, i to nawet nie Europejczyka, znowu zaczęły się wszystkie ich tradycyjne „intrygi” i „protesty”.

Winnymi wszelkich nieporozumień, które w sumie doprowadziły do smutnego końca tak ważnej instytucji jak ów Komitet powołany dla dobra ogółu trójmózgowych istot tego wielomilionowego społeczeństwa, były – jak zawsze i we wszystkim – tamtejsze uczone istoty „nowej formacji”.

Rzecz w tym, że z powodu nacisków niektórych istot dziedzicznie dzierżących władzę głównymi członkami tej nowej instytucji zostało także kilku tak zwanych uczonych lekarzy.

A trafili do władz tego Komitetu, ponieważ w tamtym okresie w obecności istot dziedzicznie dzierżących władzę już się ostatecznie utrwalił i zamienił w nieodłączną część ich esencji ten ichni „wewnętrzny wszechwładca” – tak zgubny dla ziemskich istot trójmózgowych – którego nazywają „samospokojeniem”, a który samoczynnie stał się dla tych nieszczęśników sensem i celem ich egzystencji. Toteż chcąc oszczędzić sobie wszelkich wysiłków istnieniowych, nalegano, żeby tacy uczeni lekarze obowiązkowo uczestniczyli w pracach tej ważnej instytucji o wielkim znaczeniu społecznym.

Nie wiadomo dlaczego ostatnimi czasy uczonymi „nowej formacji” zostają najczęściej istoty wykonujące właśnie ten zawód.

Muszę ci również powiedzieć, że kiedy niektórzy z tych uczonych „nowej formacji” sami stają się istotami dzierżącymi władzę i przypadkowo zajmują w procesie zwykłej egzystencji ważne i odpowiedzialne stanowiska, o wiele częściej są wtedy źródłem wszelkich możliwych nieporozumień niż istoty dzierżące władzę dziedzicznie.

A są takim źródłem nieporozumień najwyraźniej dlatego, że w zbiorczych obecnościach tych istot gromadzą się – i w szczegól-

ny sposób splatają – charakterystyczne cechy, które stały się właściwe trzem całkiem odmiennym typom twoich współczesnych ulubieńców, mianowicie „istotom dzierżącym władzę”, „uczonym nowej formacji” i „zawodowym lekarzom”.

Tak więc, mój chłopcze, z inicjatywy i wskutek nacisku niektórych dziedzicznie dzierżących władzę istot tego społeczeństwa – które zewnętrznie nadal sprawowały władzę, ale wewnętrznie znaczyły już jedynie tyle, co „stare próchno” – realizację tak poważnego zadania jak „względne ocalenie” wielu milionów podobnych do nich istot, powierzono tym prawdziwym „nafaszerowanym indykom” lub, jak by ich tam nazwano, „dorobkiewiczom”.

Dopóki ci dorobkiewiczze, którzy przypadkiem doszli do władzy, wyłącznie między sobą snuli rozmaite, właściwe im drobne „intrygi” dopóty dla wspólnej sprawy było to jeszcze, jak się tam mówi, tylko „pół biedy”, ale kiedy z powodu wysyłanych przez nich „donosów” te intrygi rozniosły się wśród pozostałych członków Komitetu i wszyscy podzielili się na sławetne „frakcje” – szkodliwy i szeroko rozpowszechniony tam zwyczaj, który udaremnia skuteczną realizację każdego dobrze zapowiadającego się przedsięwzięcia – wtedy sam Komitet, owa pożyteczna instytucja służąca ogólnemu dobru współczesnych istot trójmózgowych, zaczął, jak sami mówią, „trzeszczeć w szwach”.

W chwili, gdy przybyłem z moim pierwszym rosyjskim znajomym do stolicy tego społeczeństwa, te ich drobne „intrygi” toczyły się już pełną parą, i to zarówno pomiędzy oddzielnymi frakcjami, jak i między poszczególnymi członkami tej absolutnie niezbędnej organizacji społecznej.

A kiedy ci dorobkiewiczze, którzy przypadkiem doszli do władzy, dowiedzieli się, że wiele rad i wskazówek mających na celu udoskonalenie ich organizacji pochodziło ode mnie, czyli od profesjonalisty takiego jak oni, ale nienależącego do ich „zrzeszenia”, dobrze wiedząc, że żadna z ich „intryg” ani żaden „donos” nic mi nie może zrobić, skierowali je wszystkie przeciw przewodniczącemu Komitetu, którego wcześniej sami wybrali.

Warto tu przy okazji zaznaczyć, że choć generalnie wszelkie

dane służące do budzenia różnych niezbędnych impulsów istniejących krystalizują się bardzo słabo w obecnościach takich tamtejszych współczesnych profesjonalistów, to z jakiegoś powodu dane, które wywołują impuls zwany „poczuciem wspólnoty” krystalizują się i funkcjonują w nich bardzo mocno.

Tak więc, mój chłopcze, dopóki nie wiedziałem, że zajmowanie się „intrygami” i „donosami” lub, jak czasem oni to określają, „wykańczaniem się nawzajem” stało się już nieodłączną cechą charakterystyczną istot dzierżących władzę w tym kraju, ciągle miałem nadzieję i cierpliwie czekałem, aż przyjdzie czas, gdy w końcu odpowiednie warunki pozwolą mi zająć się realizacją mojego podstawowego zamierzenia, to znaczy będę mógł prowadzić doświadczenia badawcze nad psychiką ziemskich istot w masie. Ale kiedy jasno sobie uświadomiłem, że w tym społeczeństwie, z powodu panujących tam wzajemnych stosunków, będzie to niemożliwe, i kiedy jednocześnie się przekonałem, że nie uda mi się założyć tam własnego laboratorium chemicznego w uczciwy sposób, to znaczy, ściśle przestrzegając praw obowiązujących w tym społeczeństwie, wówczas postanowiłem nie zatrzymywać się tam dłużej, tylko wyjechać do innego europejskiego społeczeństwa w poszukiwaniu odpowiednich warunków do osiągnięcia mojego celu.

Mój pierwszy znajomy; ów ważny Rosjanin, dowiedziawszy się o tej decyzji, bardzo się zasmucił, jak zresztą jeszcze parę innych rosyjskich istot, którym rzeczywiście dobro ojczyzny leżało na sercu i które zdążyły się do tego czasu przekonać, że moja wiedza i doświadczenie mogły się im okazać bardzo przydatne w dążeniu do ich podstawowego celu.

Kilka dni przed moim planowanym odjazdem Komitet przygotowywał się do otwarcia wielkiego gmachu, który wzniesiono, jak ci mówiłem, z myślą o walce z alkoholizmem i któremu w dniu inauguracji tamtejsze istoty nadały imię ich cara, nazywając go „Narodowym Domem Imperatora Mikołaja II”.

Otóż ów ważny znajomy Rosjanin nieoczekiwanie w przeddzień mojego wyjazdu złożył mi wizytę i wyraziwszy szczery żal

z jego powodu, zaczął nalegać, żebym odłożył go na kilka dni, tak by sam, po poświęceniu oraz otwarciu wspomnianego budynku, mógł towarzyszyć mi w podróży i przy okazji nieco odpocząć od niedawnej bieganiny, intryg i donosów.

Ponieważ nie miałem żadnego powodu do pośpiechu, zgodziłem się i na jakiś czas odłożyłem wyjazd.

Dwa dni później odbyło się otwarcie rzeczonoego gmachu, a ponieważ w przededniu otrzymałem tak zwane oficjalne zaproszenie, postanowiłem udać się na ową uroczystość.

To właśnie w trakcie tej państwowej ceremonii współczesnego wielomilionowego społeczeństwa, na którą osobiście przybył nawet „Jego Cesarska Mość”, zaczął się w stosunku do mojej osoby ów „urectakniłkaruz”, który, mówiąc ogólnie, zawsze wypływa z całokształtu otaczających anomalii i automatycznie formując się w psychice wszystkich współczesnych istot trójmózgowych tej nieszczęsnej planety, utrzymuje je, można by rzec, „w bezwyjściowo zaczarowanym kręgu”.

Dalsze wydarzenia potoczyły się w następującej kolejności:

W dniu tej ceremonii państwowej, jeszcze podczas samej uroczystości, tenże Rosjanin, mój pierwszy znajomy, przepychając się wśród istot, które zjawily się tam w pełnym „blasku swej wielkości” ubrane w różne „mundury” i obwieszane „orderami” podbiegł nagle do mnie i w pośpiechu oznajmił radosnym głosem, że będę „miał szczęście” być przedstawionym Jego Wielkiej Mości – po czym się szybko oddalił.

Okazało się, że na tej uroczystości rozmawiał o mnie z Imperatorem i postanowiono, że powinienem zostać mu przedstawiony.

Na wszystkich kontynentach tej nieszczęsnej planety takie bycie przedstawionym cesarzowi, carowi lub królowi uważa się za największe szczęście i dlatego również mój znajomy, uzyskawszy ową zgodę, nieopisanie ucieszył się w moim imieniu.

Najwyraźniej chciał mi w ten sposób sprawić wielką „przyjemność” i uspokoić przez to własne sumienie, ponieważ czuł, że to z jego winy nie udał się mój pobyt w stolicy.

Minęły dwa dni od tego zdarzenia.

Trzeciego dnia rano, wyglądając przypadkiem przez okno mieszkania, zobaczyłem na ulicy niezwykle poruszenie; wszyscy byli zajęci sprzątaniami, wszędzie zamiatano, wielu „żandarmów” i „policjantów” przechadzało się tam i z powrotem.

Na moje pytanie, jaki jest powód tego wszystkiego, nasz stary Ahun wyjaśnił mi, że spodziewano się dzisiaj na naszej ulicy wizyty bardzo ważnego tamtejszego generała.

Tego samego dnia popołudniem, kiedy rozmawiałem u siebie z pewnym moim nowym znajomym, przybiegł do mnie przejęty i zakłopotany portier, który, jękając się, wykrzyknął: „Je...je...je...go... Eks...ce...ce...lencja... ży...ży...ży...czy.”. Ale nie zdążył skończyć, gdyż do pokoju wszedł właśnie sam Jego Ekscelencja.

Na jego widok nieszczęsny portier zamilkł i stanął jak rażony gromem, a później, zebrawszy siły, wyszedł w pośpiechu z pokoju, jak się tam mówi, „na wstecznym biegu”. Natomiast Jego Wielbna Ekscelencja z bardzo przyjaznym uśmiechem, jednakowoż okraszonym cieniem, by tak rzec, wyniosłości, która w tamtym czasie cechowała wszystkie dzierżące władzę istoty tego społeczeństwa, podszedł do mnie i przyglądając się z wielkim zaciekawieniem „antykom” znajdującym się w pokoju, ucisnął w szczególny sposób kiść mojej ręki, a potem rozsiadł się w moim ulubionym fotelu.

Następnie, dalej przyglądając się wspomnianym przedmiotom, powiedział:

„W najbliższych dniach będzie pan przedstawiony naszemu «Wielkiemu Samodzierzcy», a ponieważ to ja właśnie zajmuję się tymi sprawami, przybyłem tu, aby wyjaśnić panu, jak i co powinien pan czynić w trakcie tak wielkiego i ważnego w pana życiu wydarzenia”.

Wypowiedziawszy te słowa, raptem się podniósł i podchodząc do starej chińskiej porcelanowej statuetki ustawionej w rogu mojego pokoju, z impulesem zachwyty, który zawładnął całą jego

obecnością, wykrzyknął: „Ależ to piękne! Gdzież zdobył pan to cudo starożytnej mądrości?”.

Nie odrywając wzroku od statuetki i ulegając uczuciu własnego zachwytu lub, mówiąc dokładniej, utożsamiając się z nim całym i swym jestestwem, kontynuował:

„Ja także bardzo interesuję się sztuką starożytną, a szczególnie chińską, i dlatego trzy z pięciu pomieszczeń przeznaczonych na moją kolekcję są całkowicie wypełnione dziełami starożytnej chińskiej roboty”.

Rozprawiając dalej w tym samym duchu o swoim podziwieniu dla dzieł starożytnych chińskich mistrzów, bez ceregieli usadów” się ponownie w moim fotelu i zaczął się rozwodzić nad tym, gdzie i za ile można znaleźć rozmaite zabytkowe przedmioty.

Nagle, w środku rozmowy, wyjął w pośpiechu z kieszeni zegarek, a następnie, popatrzawszy na niego machinalnie, szybko wstał i już na stojąco powiedział:

„Co za pech! Muszę niestety przerwać naszą pasjonującą rozmowę, ponieważ spieszę się do domu, gdzie niewątpliwie czeka już na mnie mój wielki przyjaciel z młodości i jego prześliczna żona.

Zawitał tutaj z prowincji tylko na krótko, w drodze za granicę, a ja nie widziałem go, odkąd służyliśmy w tym samym pułku. Później skierowano nas w różne miejsca, mnie na Dwór, a jego do służby cywilnej”.

Następnie dodał:

„Co się zaś tyczy instrukcji, które miałem panu przekazać i które były celem mojej wizyty, to jeszcze dziś wyślę mojego adiutanta i on panu wszystko wyjaśni na pewno nie gorzej niż ja”.

Po czym, przydając sobie ważności, opuścił mnie w pośpiechu.

I rzeczywiście, jak obiecał Jego Wielbna Eksceleńcja, tego samego dnia wieczorem pojawił się u mnie jeden z jego adiutantów, będący jeszcze, jak się tam mówi, „młodzieńcem”, czyli istotą, która dopiero niedawno osiągnęła wiek odpowiedzialny. Nosił on bardzo wyraźne cechy jednego z typów ziemskich istot trójmózgowych – typu, który ostatnio rozpowszechnił się wśród twoich

ulubieńców, a który można trafnie określić słowami: „tatusin i maminsynek”.

Ten był maminsynek, kiedy zaraz po przybyciu zaczął ze mną rozmawiać; zachowywał się w stosunku do mnie zupełnie automatycznie, zgodnie z danymi, które utrwaliły się w jego zbiorczej obecności wskutek wpojonych mu na siłę zasad bon tonu; jednakże nieco później, gdy jego dziwne „pojmowanie istnieniowe” jasno zdało sobie sprawę, że nie należę ani do jego własnej, ani do wyższej kasty i że sprawiaam wrażenie istoty, która zgodnie z nie-normalnym rozumieniem istot takich jak on jest tylko ciut wyżej od „dzikusów”, od razu zmienił ton i znowu zaczął zachowywać się w stosunku do mnie zupełnie automatycznie, tym razem jednak odwołując się do danych, które tak samo utrwaliły się w zbiorczych obecnościach ówczesnych istot tego społeczeństwa należących do jego kasty, a które służą do wydawania „komend” i „rozkazów”, i zaczął mi pokazywać, jak mam wchodzić, wychodzić i się poruszać, a także kiedy i jakie słowa powinienem wypowiadać.

Nie dość, że przez dwie godziny demonstrował mi na swoim przykładzie, jak mam się zachowywać, to jeszcze oświadczył, że wróci nazajutrz, i kazał mi ćwiczyć do jego przyjścia, aby nie doszło, jak się wyraził, do żadnych nieporozumień, które mogłyby zagnać mnie tam, gdzie nawet „Makary nie pędzi swych cieląt”.

W dniu mojej, jak oni ją zwa, „najwyższej prezentacji” przybyłem do siedziby przywódcy tego wielkiego społeczeństwa. Już na stacji kolejowej przywitał mnie osobiście Jego Wielebna Eksce-lencja, który przyjechał tam w towarzystwie pięciu czy sześciu swoich adiutantów i natychmiast zaczął – oczywiście bez żadnego udziału „subiektywnej osobistej inicjatywy”, a jedynie kierowany automatycznym nawykiem nabytym wskutek robienia w kółko tej samej rzeczy – podporządkowywać sobie zarówno wszystkie moje oddzielnie uduchowione części, jak i każdy z samoprzejawów mojej zbiorczej obecności, biorąc je razem poniekąd pod kuratelę własnego „ja”.

Jeśli więc chodzi o moje „zewnątrzne przejawy” to od tego mo-



mentu, jak powiedziała by nasz czcigodny Mułła Nasr Eddin, „miałem tańczyć tak, jak mi zagrał”.

Zaraz po opuszczeniu stacji, kiedy tylko usiedliśmy w pojeździe, zaczął mi tłumaczyć i pokazywać, co powinienem mówić i robić, a czego robić i mówić mi nie wolno.

To zaś, w jaki sposób później, już w pomieszczeniu, gdzie miała się odbyć ta słynna prezentacja, instruował mnie i kierował mą obecnością... tego nie da się ani wyrazić w języku Szeherezady, ani opisać piórem Pana Sukinsyna.

We wspomnianym pomieszczeniu każdy mój ruch, każdy krok, nawet mruganie powiek, były zawczasu przewidziane i podszeptywane mi przez tego ważnego generała.

Pomimo całej bzdurności owej procedury, jeśli weźmiemy pod uwagę, że doskonalenie istoty zależy od ilości i jakości jej wewnętrznych przeżyć, to obiektywna sprawiedliwość każe mi jednak przyznać, że tego dnia twoi ulubieńcy zmusili mnie, oczywiście nieświadomie, do tego, bym doświadczył i odczuł być może więcej niż to, czego doświadczyłem i co odczułem w czasie wszystkich stuleci moich osobistych pobytów wśród nich.

Jakkolwiek by było, chociaż sam zgodziłem się na tę sławetną prezentację po to, by mieć możliwość obserwowania oraz badania dziwnej i tak „zawiłej” psychiki twoich ulubieńców, muszę powiedzieć, że po tych wszystkich „ciężkich próbach” na które byłem wystawiony tamtego dnia, odetchnąłem swobodnie dopiero w przedziale wagonu, kiedy moi dręczyciele, a szczególnie ten ważny generał, zostawili mnie w końcu samego.

Przez cały ten dzień byłem do tego stopnia pochłonięty uleganiem niezliczonym idiotycznym manipulacjom; których ode mnie wymagano i które okazały się męczące z powodu mojego podeszłego wieku, że nawet nie zauważyłem, jak wyglądał ani jak zachowywał się w całej tej komedii ten nieszczęsny tamtejszy Imperator.

Teraz zaś, mój chłopcze, jeśli postarasz się dobrze przyswoić informacje o wydarzeniach, w których przyszło mi uczestniczyć

w rezultacie tego sławetnego zaprezentowania mnie ichniej „Cesarskiej Mości” to na pewno będziesz mógł jasno sobie wyobrazić i należycie zrozumieć, co jest powodem tego, że u większości twoich nieszczęsnych ulubieńców – szczególnie w tym wielkim społeczeństwie ówczesnej Rosji – to, co zwie się „prestizem indywidualnym” kształtuje się i jest oceniane wyłącznie na podstawie efemerycznych zewnętrznych „wiatrourecneł” jak zresztą w danym wypadku odbyło się to w stosunku do mnie.

Ów nawyk wydawania osądu o zasługach innych istot na podstawie ich efemerycznej szaty zewnętrznej, powoli zapuściwszy w nich korzenie, rozwijał się i nadal rozwija, umacniając ich złudne wyobrażenie, że uzyskanie „bycia-indywidualności” zależy wyłącznie od ich wyglądu, toteż wszyscy zaczęli się tylko o niego subiektywnie troszczyć.

Oto dlaczego obecnie każdy z nich od chwili przyjścia na świat traci stopniowo w swej zbiorczej obecności nawet sam „smak” i „zew” tego, co zwane jest „obiektywnym istnieniowym byciem”.

Przejawy wspomnianych „wiatrourecneł” w stosunku do mojej osoby stały się odczuwalne już następnego ranka, w tym sensie, że wszystkie dane do istnieniowego wyobrażenia o mojej osobowości, już mocno ugruntowane w obecnościach tych tamtejszych istot, które miały okazję mnie poznać, raptem się drastycznie zmieniły, i to tylko z powodu tego obiektywnie szkodliwego „oficjalnego przedstawienia mnie” ich najwyższej dzierżącej władzę istocie.

Z punktu widzenia ich indywidualności uległo zmianie zarówno znaczenie mojej osoby, jak i wyobrażenie o wszystkich moich przymiotach oraz zasługach, i nagle dla wszystkich stałem się kimś „ważnym”, „mądrym”, „niezwykłym”, „interesującym” itd., itp., to znaczy posiadaczem wszelkiego rodzaju urojonych cech istnieniowych, które same wymyśliły.

Aby właściwie zilustrować to, co przed chwilą powiedziałem, dam ci kilka charakterystycznych przykładów:

Właściciel sklepu, w którym zaopatrywałem się w żywność

przed wyjściem na miasto, pierwszego poranka po tej, jak się tam czasem mówi, „królewskiej audiencji” chciał za wszelką cenę sam przynieść mi do domu zakupy. Wszyscy policjanci, którzy stali na rogach ulic dzielnicy, gdzie postanowiłem przez jakiś czas zamieszkać, i którzy dobrze mnie znali jako przyjezdnego lekarza, już z daleka zaczęli salutować na mój widok, jakbym był najważniejszym z ich generałów.

Tego samego wieczoru naczelnik pierwszego z departamentów, które musiałem wcześniej odwiedzić, przyniósł mi osobiście do domu owo nieszczęsne zezwolenie na założenie laboratorium chemicznego, za którym biegałem przez trzy miesiące, pukając do drzwi przeróżnych oficjalnych i nieoficjalnych instytucji. A następnego dnia przekazano mi jeszcze cztery dodatkowe zezwolenia z różnych ministerialnych departamentów, w których kompetencji nie leżało wydanie takiej zgody, ale do których – z powodu ichniej biurokracji – musiałem się zwracać w czasie tej bezsensownej bieganiny.

Właściciele domów, sklepikarze, dzieci i ogólnie wszyscy mieszkańcy mojej ulicy stali się dla mnie tak mili, jakbym zamierzał każdemu z nich zostawić duży „amerykański spadek” itd., itp.

Po tym „pustokranialnym” zdarzeniu dowiedziałem się między innymi, że ich nieszczęsny car też zawsze przygotowuje się do takich oficjalnych spotkań z obcymi istotami.

A takich oficjalnych spotkań ma bardzo dużo, i to niemal codziennie, czasami wręcz kilka w ciągu jednego dnia: tu „parada wojskowa” tam „audiencja” udzielona ambasadorowi jakiegoś innego imperatora, rano „delegacja”, w południe „prezentacja” podobna do mojej, a jeszcze później „przyjmowanie” różnych, jak to się mówi, „przedstawicieli narodu” – i ze wszystkimi trzeba rozmawiać, a nawet wygłosić do nich całe przemówienie.

Ponieważ najmniejsze słowo takiego ziemskiego „cara” może mieć i często ma poważne następstwa nie tylko dla istot społeczeństwa, którym rządzi, ale też dla istot innych społeczeństw, więc każde wymówione przez niego słowo musi być wszech-

stronnie rozważone.

W tym celu w otoczeniu takich władców lub carów – którymi stają się oni dziedzicznie lub w drodze głosowania – znajduje się wielu specjalistów wybranych z grona zwykłych tamtejszych istot trój mózgowych; którzy mają za zadanie podpowiadać im, co należy robić i o czym mówić, i to dokładnie w którym momencie; co więcej, te podpowiedzi i wskazówki muszą być udzielane w taki sposób, aby inni nie zauważyli, że ich władca lub car manifestuje się nie z własnej, lecz cudzej inicjatywy.

Oczywiście, żeby to wszystko zapamiętać, także ten ich car musi dojść do wprawy.

A po tym, co ci przed chwilą powiedziałem, na pewno potrafisz już sobie dobrze wyobrazić, co znaczy takie nabieranie wprawy. Ja sam pojąłem to całym moim jestestwem, kiedy przygotowywałem się do tej swojej przesławnej prezentacji.

Zresztą w czasie całego mojego pobytu na ich planecie tylko jeden raz byłem ofiarą podobnych przygotowań, ale jeśli takie przygotowania miałbym robić dzień w dzień, i to na każdą okazję oddzielnie... oby nikogo nie spotkał tak bezlitosny los.

Ja osobiście za żadną cenę nie chciałbym znaleźć się w skórze takiego ziemskiego imperatora lub cara i nie życzyłbym czegoś takiego mojemu najgorszemu wrogowi ani nawet wrogowi moich najbliższych krewnych.

Zaraz po tej niezapomnianej „najwyższej prezentacji” opuściłem Sankt Petersburg i od tego czasu miejscem mojej egzystencji stały się różne miasta położone zarówno na kontynencie Europa, jak i na pozostałych kontynentach. Później jeszcze wielokrotnie, już z innych powodów, odwiedzałem społeczeństwo Rosji, gdzie toczył się w tamtym okresie ich wielki proces unicestwiania się nawzajem i unicestwiania wszystkiego, co wcześniej udało się im osiągnąć – proces, który tym razem, jak już mówiłem, oni sami nazwali „bolszewizmem”.

Pamiętasz, obiecałem ci wyjaśnić, jakie są naprawdę zasadnicze przyczyny powstania tego arcyfenomenalnego procesu.

Otóż to przykre zjawisko, jak wcześniej wspominałem, pojawia się tam pod wpływem dwóch niezależnych czynników, z których pierwszy to kosmiczne prawo Soliunensius, a drugi to jak zwykle ustalone przez nie same nienormalne warunki zwykłej egzystencji istnieniowej.

Abyś mógł lepiej zrozumieć te dwa czynniki, omówię każdy z osobna, zaczynając od kosmicznego prawa Soliunensius.

Przede wszystkim powinieneś wiedzieć, że wszystkie trójmówkowe istoty, bez względu na to, na której planecie powstają i niezależnie od swojej zewnętrznej powłoki, zawsze z wielką niecierpliwością i ogromną radością czekają na przejawy działania tego prawa, podobnie zresztą jak czynią to twoi ulubieńcy, gdy czekają na ichnie wielkie święta pod nazwą „Wielkanoc”, „Bajram”, „Zadik”, „Ramadan”, „Kajalana” itd., itp.

Jedyna różnica polega na tym, że twoi ulubieńcy czekają na te uroczystości z niecierpliwością, ponieważ utarło się wśród nich, że podczas tych „świętych dni” można „bawić się” bez umiaru i „upijać” do woli, natomiast istoty innych planet oczekują z niecierpliwością na przejawy działania Soliunensiusa, ponieważ dzięki niemu samorzutnie wzrasta w nich potrzeba rozwoju w sensie zdobywania przez nie obiektywnego rozumu.

Jeśli chodzi o bezpośrednie przyczyny, które wywołują działanie tego kosmicznego prawa, to choć są inne dla każdej planety, zawsze są wynikiem „harmonijnego ruchu ogólnokosmicznego” i od niego zależą., przy czym w przypadku twojej planety taką „środkociężkościową przyczyną” jest „okresowe napięcie” słońca jej własnego układu, powstające z kolei na skutek tego, że na to słońce oddziałuje sąsiedni układ słoneczny, istniejący pod nazwą „Baleauto”.

W tym ostatnim układzie taką środkociężkościową przyczynę stanowi to, że jednym z jego skupień jest wielka kometa „Solni”, która czasami, zgodnie z pewnymi kombinacjami „harmonijnego ruchu ogólnokosmicznego”, w trakcie spadania bardzo się zbliża do swojego słońca Baleauto, zmuszonego w takiej sytuacji znacznie zwiększyć swe „napięcie” po to, by utrzymać tor własnego

spadania. Owo napięcie powoduje z kolei napięcie słońc sąsiednich układów, do których zalicza się układ Ors, i kiedy słońce Ors zwiększa swoje napięcie, aby zachować trajektorię własnego spadania, wywołuje wtedy takie samo napięcie we wszystkich skupieniach swojego układu, a więc także w należącej do niego planecie Ziemia.

Napięcie każdej planety oddziałuje równocześnie na zbiorcze obecności wszystkich powstających i mających na niej siedlisko istot, wzbudzając w nich zawsze, bez względu na ich własne pragnienia i świadome zamiary, uczucie zwane „świętym jabolionozorem” lub, jak powiedzieliby twoi ulubieńcy, „uczucie religijne” – czyli to uczucie istnieniowe, które niekiedy, jak już mówiłem, objawia się w postaci zewu i dążenia do szybszego udoskonalenia się w sensie zdobycia obiektywnego rozumu.

Warto zauważyć, że kiedy to święte doznanie – lub jakieś inne do niego podobne, również wywołane przez pewną realizację ogólnokosmiczną – występuje w zbiorczych obecnościach twoich ulubieńców, ci biorą je za symptom jednej ze swych licznych chorób i na przykład w danym wypadku nazywają to doznanie „zderwowaniem”.

Trzeba jeszcze zaznaczyć, że taki impuls, przynależny obecnościom wszystkich trójmózgowych istot naszego Wielkiego Wszechświata, powstawał kiedyś i urzeczywistniał się u większości trójmózgowych istot planety Ziemia prawie normalnie, mianowicie od czasu usunięcia z ich zbiorczych obecności organu kundabufor aż do drugiej perturbacji transapalnej.

Potem jednak, szczególnie od chwili, gdy w obecności każdej ziemskiej istoty trójmózgowej zaczął dominować wspomniany przeze mnie ich „wewnętrzny zły bóg” zwany tam „samospokojeniem” wśród podstawowych rodzajów zła, mających źródło w ustalonych przez nie same warunkach zwykłej egzystencji istnieniowej, pojawiło się także to, że pod wpływem działania Soliunensiusa, zamiast zewu i dążenia do szybszego udoskonalenia się, zaczęło się w nich tworzyć coś, co one same określają słowami „potrzeba wolności”, a co jest główną przyczyną powstawania

tych ichnich godnych pożałowania procesów, z których ostatni zwie się „bolszewizm”.

Nieco później wyjaśnię ci, jak one wyobrażają sobie tę swoją słynną wolność, a na razie powiem tylko, że to doznanie, pojawiające się w wyniku działania Soliunensiusa, wzmacnia w nich na ogół potrzebę wprowadzenia jakiejś zmiany w warunkach ich zwykłej zewnętrznej egzystencji istnieniowej, które z trudem zdążyły się do tego czasu ugruntować.

Po tym, jak twoja nieszczęsna planeta uległa drugiej perturbacji transapalnej, czyli „po zagładzie Atlantydy” co najmniej czterdzieści razy kosmiczne prawo Soliunensius oddziaływało na zbiorcze obecności twoich ulubieńców i niemal od samego początku ta dziwna „potrzeba wolności”, która już się utrwaliła u większości z nich, powodowała za każdym razem praktycznie to samo, co w ostatnich latach dzieje się z ogółem grup zamieszkujących tę część powierzchni twojej planety zwaną „Rosją”.

Trzeba tutaj koniecznie zaznaczyć, że te straszliwe procesy nigdy nie mogłyby wystąpić wśród trójmózgowych istot planety Ziemia, gdyby dane służące do wzbudzania istnieniowego impulsu sumienia – które ocalały w ich podświadomości i na które zwrócił jako pierwszy uwagę Prześwięty Asziata Szyjemasz, licząc, że będzie mógł dzięki nim wypełnić swoją misję – uczestniczyły w funkcjonowaniu świadomości, jaka je cechuje w czasie ich stanu jawy.

To tylko dlatego, że dane wzbudzające święty impuls istnieniowego sumienia nie biorą udziału w funkcjonowaniu tej ichniej świadomości, działanie prawa Soliunensius, jak również innych nieodwołalnych praw kosmicznych, przybiera tak nienormalne i żałosne dla nich samych formy.

Jeśli zaś chodzi o drugi czynnik, to chociaż źródłem jego powstania jest całokształt przyczyn wynikających z nienormalnych warunków ich zwykłej egzystencji istnieniowej, jednakowoż moim zdaniem jego podstawową przyczyną jest znowu ów sławetny „podział na kasty”, który znamionuje ich wzajemne kontakty i który istniał tam zawsze, z wyjątkiem okresu, gdy na do-

bre zakorzeniły się w nich rezultaty przeświętych trudów Asziaty Szyjemasza.

Jedyna różnica polega na tym, że w minionych stuleciach podział na różne kasty odbywał się z całą świadomością i zgodnie z zamysłami niektórych odrębnych indywiduów, teraz natomiast następuje zupełnie mechanicznie, bez udziału czyjejkolwiek woli bądź świadomości.

W tym miejscu, mój chłopcze, uważam za stosowne wyjaśnić ci z grubsza, w jaki sposób i w jakiej kolejności dochodzi do automatycznego podziału twoich ulubieńców na te ich różne sławetne kasty, a także jak potem już oni sami przeprowadzają wśród siebie dalsze tego rodzaju podziały.

Za każdym razem, kiedy na skutek różnych przypadkowych okoliczności powstaje w jakimś miejscu duże skupisko twoich ulubieńców, którzy zaczynają wieść wspólną egzystencję, kilku z nich – mianowicie ci, u których, po pierwsze, z jakiegoś powodu mocno skryształizowały się już następstwa właściwości organu kundabufor, prowadzące w sumie do powstania w ich zbiorczych obecnościach impulsu zwanego „przebiegłością”, i którzy, po drugie, mają akurat w danym momencie w rękach dużo rozmaitych „środków zastraszania” lub, jak sami mówią, „broni” – odłącza się samorzutnie od pozostałych istot i stanąwszy na ich czele, tworzy zaczątki „klasy rządzącej”.

A ponieważ u wszystkich trójmózgowych istot planety Ziemia, zwłaszcza w ostatnich okresach, święty impuls istnieniowy zwany „sumieniem” przestał uczestniczyć w funkcjonowaniu ich zwykłej świadomości – co powoduje, że nie odczuwają najmniejszej potrzeby czynienia jakiegokolwiek świadomego wysiłku istnieniowego – to te istoty, które się oddzieliły i same wpisały w poczet klasy rządzącej, zmuszają za pomocą wspomnianych środków zastraszania inne istoty danej grupy do wykonywania za nie nawet tych wysiłków, na które koniecznie powinna się zdobyć każda istota w trakcie zwykłej egzystencji istnieniowej.

Z kolei pozostałe istoty tej zbiorowości, również nie chcąc, z tego samego powodu, robić takich wysiłków istnieniowych –



i to na dodatek dla innych – i jednocześnie obawiając się wspomnianych środków zastraszenia znajdujących się w rękach istot klasy rządzącej, używają wszelkich podstępów, żeby, jak się tam mówi, „zrzucić na cudze barki” owe wysiłki istnieniowe, których bezwzględnie wymagają od nich istoty klasy rządzącej.

Najczęściej kończy się tym, że istoty każdej takiej zbiorowości zaczynają się stopniowo dzielić i zależnie od stopnia przebiegłości swoich podstępów zostają zaliczone do różnych kategorii. To właśnie podział istot na tego rodzaju kategorie prowadzi w kolejnych pokoleniach do dalszych podpodziałów i zaliczania się nawzajem do tych ich sławetnych kast.

Takie zaliczanie się nawzajem do różnego rodzaju kast nieuchronnie powoduje, że w zbiorczej obecności każdej istoty już! samorzutnie zaczynają się krystalizować w stosunku do istot, które należą do innych kast, dane istnieniowe zwane „nienawiścią” – niespotykane u żadnych innych istot w całym naszym Wielkim Wszechświecie – wywołujące potem bezustannie w ich zbiorczej obecności impulsy przynoszące hańbę trójmózgowym istotom, a nazywane przez nie „zawiścią”, „zazdrością”, „cudzołóstwem”... i jeszcze wiele innych podobnych do nich impulsów.

A zatem, mój chłopcze, te straszliwe procesy unicestwiania się nawzajem oraz unicestwiania wszystkiego, co one same wcześniej osiągnęły, wynikają tam po części z tego, że w okresach, gdy działanie kosmicznego prawa Soliunensius zaczyna być odczuwalne w ich zbiorczych obecnościach, powodując w nich wspomnianą „potrzebę wolności” automatycznie maleje w nich intensywność działania danych wywołujących bezustannie impuls „nieśmiałości” w stosunku do istot dzierżących władzę – danych przynależnych już ich zbiorczym obecnościom – a jednocześnie wzrasta intensywność działania tych dziwnych danych istnieniowych, które w tym wypadku budzą w nich „nienawiść” do istot należących do innych kast.

Oto dlaczego powiedziałem, że ten ich podział na kasty – prowadzący oprócz innych rezultatów także do pojawienia się tych „wyjątkowo dziwnych danych istnieniowych”, których funkcjo-

nowanie nieustannie przybiera na sile, a które wynikają, jak bez wątpienia mogłeś wywnioskować ze wszystkiego, co ci powiedziałem, z warunków ich nienormalnej zwykłej egzystencji istnieniowej – stanowi w dużej mierze drugi czynnik warunkujący powstanie owych przeraźliwych procesów.

A takie przeraźliwe procesy powstają i przebiegają najczęściej w następującej kolejności:

Zawsze zaczyna się od tego, że w jednej z tych zbiorowości kilka istot, u których z jakiegoś powodu silniej niż u innych skryształizowały się dane budzące wspomniane dziwne impulsy w stosunku do istot należących do innych kast – szczególnie zaś do istot, które należą do kasty „klasy rządzącej” – widząc i odczuwając, pod wpływem działania Soliunensiusa, rzeczywistość lepiej niż reszta, zaczyna, jak się tam mówi, „krzyczeć” i tacy „krzykaczogłoci” stają się dla istot z ich otoczenia tymi, których nazywa się tam teraz „liderami”.

Następnie z powodu tego krzyku oraz działania kosmicznego prawa Soliunensius, tworzących w ich obecnościach nienormalną kombinację, inni również podnoszą krzyk. A kiedy te „krzyki” zwykłych istot zaczynają wpływać już zbyt kakofonicznie na „wydelikaczone nerwy lewej połowy” niektórych „istot dzierżących władzę” w danym społeczeństwie i te ostatnie rozkazują komu trzeba nasmarować „szkockim kremem” pępki kilku takich szczególnie hałaśliwych krzykaczy, otóż właśnie wtedy zaczynają się te wszystkie ich ekscesy, które, stopniowo narastając, osiągają apogeum, ale – na ichnie nieszczęście – nigdy do niczego nie prowadzą.

Gdyby owe procesy choć trochę polepszały egzystencję istot przyszłych pokoleń, to z punktu widzenia bezstronnego obserwatora może nie wyglądałyby aż tak przerażająco. Ale na nieszczęście wszystkich trójmózgowych istot naszego Wielkiego Wszechświata, gdy tylko ustaje „dobroczynne działanie” tego zgodnego z prawem kosmicznego przejawu i te straszliwe procesy dobiegają końca, wtedy znowu zaczyna się ta sama stara historia i ich zwykła egzystencja istnieniowa staje się jeszcze bardziej „gorzka”

niż przedtem, a zarazem słabnie w nich to, co nazywa się „zdrowym uświadomieniem sobie sensu i celu własnej egzystencji”.

A słabnie moim zdaniem głównie dlatego, że po zakończeniu takich procesów przywódcy poprzedniej klasy rządzącej są zwykle zastępowani przez istoty wywodzące się z innych kast, których przedstawiciele, należący do obecnego lub do poprzednich pokoleń, nie mieli do tej pory – ani świadomie, ani nieświadomie – nic wspólnego z przejawem istnieniowym polegającym na zdolności przewodzenia procesowi zewnętrznej, a czasem nawet wewnętrznej egzystencji istnieniowej istot z ich otoczenia, które, mimo że „do nich podobne”, nie osiągnęły jeszcze ich poziomu rozwoju.

Po sprawiedliwości trzeba stwierdzić, że wprowadzie w zbiorczych obecnościach tamtejszych istot trójmózgowych byłej klasy rządzącej dane, które znajdują się w ich podświadomości i służą do budzenia autentycznego istnieniowego sumienia, również nie uczestniczą w funkcjonowaniu ich „świadomości na jawie” to przynajmniej owe istoty mają w sobie nabyty dziedzicznie i automatycznie doskonalony z pokolenia na pokolenia nawyk rządzenia.

Za to w obecnościach istot, które po raz pierwszy dochodzą do władzy, nie dość, że brakuje prawdziwego istnieniowego sumienia – którego zresztą brakowało również istotom poprzedniej klasy rządzącej – to jeszcze bardzo gwałtownie zaczynają się w nich przejawiać, przynosząc nadzwyczajne i budzące przerażenie rezultaty, te „uroki”, które szczególnie ostatnimi czasy krystalizują się w obecnościach ziemskich istot trójmózgowych w postaci takich następstw właściwości organu kundabufor, jak: „próżność”, „duma”, „zarozumiałstwo” „samouwielbienie” i jeszcze innych, funkcjonujących w nich z wyjątkową werwą z powodu tego, że jak dotąd owe istoty nie miały prawie nigdy okazji zadośćuczynić w wystarczającym stopniu przejawom tych swoich urzekających właściwości.

Do tych ziemskich istot, które doszły do władzy bez przygotowania i nie mają w sobie żadnych dziedzicznych danych zapew-

niających przynajmniej automatyczną umiejętność rządzenia, znakomicie pasuje jedno z powiedzeń naszego drogiego nauczyciela, które brzmi następująco:

„Nigdy jeszcze nie spotkałem takiego idioty, który przyzwyczaiwszy się do chodzenia w starych buciorach, czułby się wygodnie w nowych modnych pantoflach”.

I faktycznie, mój chłopcze, ilekroć na planecie Ziemia ustaje działanie Soliunensiusa i twoi ulubieńcy zaczynają znowu egzystować „względnie normalne”, te „nowo upieczone dzierzące władzę istoty” wykręcają na ogół takie „numery”, że z ich powodu zwiększa się za każdym razem przyrost naturalny różnych „glist”, „ślimaków”, „wszy”, „podjadków” i jeszcze wielu innych podobnych pasożytów, które niszczą na tej planecie wszelkie dobro.

Ponieważ zacząłem już mówić o bolszewizmie, więc przy okazji – aby dać ci jeszcze jeden przykład oryginalności myślenia istnieniowego twoich ulubieńców, które stało się im już w pełni przynależne – opowiem ci o pewnym ich naiwnym wnioskowaniu, wcale nie pozbawionym humoru.

Ta ich naiwność, będąca wynikiem zbyt ubogiego logiczno-konfrontatywnego osądu istnieniowego, polega na tym, że chociaż od dwóch wieków wszystkie bez wyjątku tamtejsze zdarzenia mające wpływ na ich wzajemne stosunki dzieją się wyłącznie samorzutnie, bez żadnego udziału świadomości bądź inicjatywy którejkolwiek ze współczesnych istot, to oni sami z przekonaniem, a nawet z zazdrością, zawsze przypisują wszystkie rezultaty tych zdarzeń – zarówno te dobre, jak i złe – któregoś z istot do nich podobnych.

A do takiej anomalii, ugruntowanej w całokształcie ich uduchowionych części, doszło z następujących przyczyn:

Po pierwsze, w ich zbiorczych obecnościach stopniowo zanikły już w ogóle wszystkie dane istnieniowe, które w sumie potrafiły wytworzyć w nich właściwość zwaną „przeczuwaniem przyszłości”, wskutek czego stracili oni jakąkolwiek zdolność przewidy-

wania nadchodzących zdarzeń; po drugie, z ich „wąskim horyzontem” i „krótką pamięcią” nie tylko nie wiedzą nic o tym, co się wydarzyło dawno temu na ich planecie, ale nawet nie pamiętają, co zdarzyło się całkiem niedawno, niemalże wczoraj; a po trzecie, w ogóle nie znają kosmicznych praw, które są głównym powodem tych zachodzących wśród nich żałosnych wydarzeń. Wskutek tego ci twoi współcześni ulubieńcy są przekonani całą swą obecnością, że także ów przeraźliwy proces, który zwą „bolszewizmem”, wystąpił na ich planecie po raz pierwszy i że przed ich „ojej-cywilizacją” nigdy czegoś takiego tam nie było; ba, są wręcz pewni, że wydarzyło się to na ich planecie tylko dzięki stopniowo postępującej ewolucji rozumu istot do nich podobnych.

Konfrontacyjny wniosek, do którego doszli na podstawie analogicznych procesów – już wielokrotnie występujących w przeszłości na ich planecie – posłuży nam za bardzo dobry przykład ilustrujący oraz charakteryzujący fenomenalną tępotę i ociężałość ich osądu istnieniowego.

Zdrowy rozsądek każdej trójmózgowej istoty podpowie, że tego rodzaju procesy nie mogły nie występować. Odkąd zainteresowałem się dziwną psychiką twoich ulubieńców i zacząłem poddawać ich wszechstronnej obserwacji, sam byłem, jak wspominałem, świadkiem identycznych procesów – które nazwałbym „procesami unicestwiania wszystkiego, co wpada w pole widzenia” – co najmniej czterdzieści razy.

Warto zauważyć, że prawie połowa tych przeraźliwych procesów wystąpiła niedaleko miejsca, gdzie skupia się obecnie ich, jak mówią, „kulturalna egzystencja”, czyli na tej części powierzchni ich planety, którą zwą „Egiptem”.

Te straszliwe procesy występowały w Egipcie z taką częstotliwością, ponieważ przez długi czas owa część powierzchni twojej planety zajmowała w odniesieniu do „harmonijnego ruchu ogólnokosmicznego” pozycję tak zwanego promieniowania środkociężkościowego, co spowodowało, że wpływ kosmicznego prawa Soliunensius był wielokrotnie odczuwalny w obecnościach trójmózgowych istot, które się tam osiedliły, i za każdym razem wy-

woływał w nich tę samą anomalię.

Zestawiając autentyczne dane dotyczące wydarzeń, które miały miejsce w tymże Egipcie, z danymi na ten sam temat, utrwalonymi w wyobrażeniach istnieniowych oraz rozumieniu prawie każdej odpowiedzialnej istoty należącej do tamtejszej sławetnej „kultury” współczesnej – danymi, które ponoć udało się im zebrać dzięki ich „już udoskonalonemu rozumowi” – będziemy mieli dobitny przykład tego, z jakich danych tworzy się i na ogół składa ich „logiczne myślenie” w trakcie ich odpowiedzialnej egzystencji, a ponadto będę mógł znów zwrócić ci uwagę na całą szkodliwość, w sensie obiektywnym, ichniej praktyki, która już ostatecznie utrwalała się w procesie ich zwykłej egzystencji w stosunku do dorastającego pokolenia i którą one same określają wzniosłymi słowami „wychowanie” i „wykształcenie”.

Rzecz w tym, że do wszelkiego rodzaju efemerycznie-fantastycznych informacji, które w sumie kształtują ten osobliwy, tylko im właściwy rozum, zalicza się też historia Egiptu.

Tę fantastyczną historię, najwyraźniej wymyśloną przez jakiegoś kandydata na Indywiduum Hasnamus, uczyniono nawet tak zwanym przedmiotem obowiązkowym we wszystkich ichnich placówkach oświatowych, gdzie ową „historię” wraz z innymi podobnymi głupotami „wbija się” w ich oddzielne koncentracje zapewniające funkcjonowanie uduchowionych percepcji i przejawów, czyli, jak by one same powiedziały, w „mózgi” tych nieszczęsnych przyszłych odpowiedzialnych istot; a potem, kiedy te ostatecznie rzeczywiście osiągają wiek odpowiedzialny, takie przymusowo „wykute na pamięć” fantastyczne informacje służą im za materiał do istnieniowych skojarzeń i „logicznego myślenia konfrontatywnego”.

Oto dlaczego, mój chłopcze, na tej nieszczęsnej planecie każda współczesna istota, która osiągnęła już wiek odpowiedzialny, zamiast autentycznej wiedzy – jaką normalna istota trójmózgowa powinna posiadać o wydarzeniach, które zaszły w przeszłości na jej planecie – ma o wszystkim mniej więcej takie samo pojęcie, jakie w danym wypadku wyrabia sobie swoim istnieniowym rozu-

mem i „bezwiednie” uświadamia całym swoim jestestwem na temat tegoż Egiptu.

Rzecz jasna, że dzięki ich systemowi wykształcenia i wychowania każda odpowiedzialna, w ich wyobrażeniu, trójmózgowa istota z tej twojej oryginalnej planety zna historię istot, które egzystowały w przeszłości w owym Egipcie.

Ale jak ją zna w rezultacie wspomnianego sposobu przyswajania sobie informacji, który one same nazywają tam „wkuwaniem na pamięć” i jaki całokształt istnieniowych wyobrażeń powstaje wskutek tego we wszystkich jej trzech uduchowionych częściach istnieniowych; sam się łatwo domyślisz i jasno zrozumiesz, jeśli dam ci następujący przykład:

Prawie każda z nich „wie” że starożytni Egipcjanie mieli dwadzieścia cztery dynastie. Gdybyś jednak zapytał którąkolwiek z nich: „Dlaczego było tam aż tyle dynastii?” okazałoby się, że takie pytanie nigdy nawet nie przyszło jej do głowy.

Jeśli dalej będzie się nalegać, żeby dała jakąś odpowiedź, to ta sama istota, która dotąd wiedziała i całym swoim jestestwem była przekonana, że starożytni Egipcjanie mieli dwadzieścia cztery dynastie, w najlepszym wypadku zdradzi – oczywiście pod warunkiem że skłoni się ją do szczerości i pozwoli wypowiedzieć na głos skojarzenia płynące w jej myślach – następujący tok swego logicznego myślenia:

„Ci Egipcjanie mieli dwadzieścia cztery dynastie.

No właśnie...

Dowodzi to, że u Egipcjan istniał monarchiczny ustrój państwowy i że stanowisko «monarchy» przechodziło dziedzicznie z ojca na syna; a ponieważ, zgodnie z panującym zwyczajem, monarchowie jednego rodu nosili to samo nazwisko i wszyscy monarchowie, którzy mieli takie samo nazwisko, tworzyli jedną dynastię, więc dlatego było tam tyle dynastii, ilu było monarchów o różnym nazwisku...”

W pełni „zrozumiałe” i „jasne” jak „łata na szarawarach czcigodnego Mułły Nasr Eddina”.

Jeśli jednak któraś z istot współczesnej „kultury” naprawdę się uprze i dalej będzie „sapać”, żeby wyjaśnić swemu rozumowi, dlaczego u tych starożytnych Egipcjan tak często zmieniały się nazwiska rodowe ich władców, to jej myślenie istnieniowe – ponownie tylko w najlepszym razie – będzie asocjować mniej więcej w takiej kolejności:

„Najwidoczniej w tym Egipcie często się dawniej zdarzało, że tamtejsi «monarchowie» lub, jak ich tam nazywano, «faraonowie», czuli się zmęczeni panowaniem i oddawali władzę komuś innemu, a takie zrzeczenie się władzy przebiegało najprawdopodobniej w następujący sposób i w następujących okolicznościach:

Przypuśćmy; że jakiś faraon, nazwiskiem «Jerzy Nowak», żył spokojnie i z największą przyjemnością rządził wszystkimi Egipcjanami.

Otóż pewnego razu ów monarcha lub faraon «Jerzy Nowak» poczuł się bardzo «zmęczony» tym swoim rządem i którejś bezsennej nocy, rozważywszy swoje «monarsze położenie», po raz pierwszy stwierdził i całym swym jestestwem uświadomił sobie, że człowiek rad nierad od panowania się męczy, że takie zajęcie to w gruncie rzeczy nader kłopotliwa «rozrywka», a co więcej, nie da się powiedzieć, aby z punktu widzenia osobistej pomyślności było to specjalnie korzystne czy bezpieczne.

A zatem faraon «Jerzy Nowak», pod wrażeniem tego, co sobie uprzytomnił, i korzystając z doświadczenia całej swej dotychczasowej egzystencji, postanawia, że tak czy owak spróbuje «nakłonić» kogoś, by ten «ktoś» wybawił go od tego niepożądanego dlań zmęczenia.

W tym celu przypuszczalnie zaprasza do siebie jakiegoś innego, na razie jeszcze zwykłego, «Jerzego Nowaka» i bardzo uprzejmie zwraca się do niego, na przykład w taki sposób:

«Mój wielce szanowny i niezrównanie łaskawy Jerzy Nowaku, szczerze przyznaję się tobie, mojemu jednemu przyjacielowi i godnemu mego zaufania poddanemu, że królestwo, którym rządę, już mi się przejadło, i to chyba dlatego, że zanadto się zmę-



czyłem.

Jeśli zaś chodzi o mojego drogiego syna i następcę, któremu mógłbym teraz przekazać rządy, to – mówiąc między nami – choć wygląda on bardzo silnie i zdrowo, w istocie ani jedno, ani drugie nie jest prawdą.

Ty, jako ojciec, którego miłość do swych potomków jest powszechnie znana, z pewnością mnie zrozumiesz, jeśli powiem ci, że bardzo kocham mego syna i następcę i nie chciałbym, aby rządził i męczył się tak jak ja; toteż postanowiłem zaproponować właśnie tobie, wiernemu poddanemu i osobistemu przyjacielowi, abyś uwolnił mnie i mojego syna od rządzenia i wziął na siebie ów zaszczytny obowiązek».

Ponieważ ten drugi, na razie jeszcze zwykły „Jerzy Nowak” to najwyraźniej; jak się tam mówi; «równy chłop»; a zarazem łajdak niepozbowiony «próżności», więc ze łzami w oczach i machając ręką – «jak wisieć; to za obie nogi!» – godzi się i już od następnego dnia zaczyna panować.

A że rodowe nazwisko tego drugiego „Jerzego Nowaka” było już inne; nazajutrz liczba dynastii egipskich powiększyła się o jedną.

Tak więc dlatego, że wielu egipskich faraonów często ogarniało zmęczenie i z miłości do swych synów nie chcieli, by ich potomków spotkało to samo, właśnie w taki sposób zrzekali się panowania na rzecz innych i stąd nazbierało się tam aż tyle dynastii”.

W rzeczywistości zmiana dynastii w Egipcie wcale nie dokonywała się tak prosto i w przerwach między dwiema dynastiami dochodziło do takich perturbacji; że w porównaniu z nimi ów współczesny „bolszewizm” to po prostu dziecinna igraszka.

W okresie największego nasilenia tego ich współczesnego bolszewizmu kilkakrotnie miałem okazję być naocznym świadkiem szczerego oburzenia pewnych istot, które z jakichś, oczywiście niezależnych od nich powodów nie wzięły udziału w tym procesie i dzięki temu mogły obserwować wszystko półświadomie z boku, oburzając się całą swą obecnością na działania pojedynczych podobnych do nich istot, które uczestniczyły w tym prze-

rażliwym procesie i które nazywano tam wtedy, tak samo jak dziś, „bolszewikami”.

Moim zdaniem nie zaszkodzi, jeśli nadmienię przy okazji, że to ich „istnieniowe przeżycie” trafnie wyrażone słowami „daremne szczere oburzenie” to także jedna z niefortunnych osobliwości psychiki tych przypadłych ci do gustu nieszczęsnych istot trójmózgowych, zwłaszcza tych współczesnych.

Tylko z powodu takiej psychicznej anomalii stopniowo w ich zbiorczych obecnościach ulega zakłóceniu wiele już i tak wystarczająco zakłóconych funkcji zarówno ich ciała planetarnego, jak i ich ciała kesdżan – oczywiście zakładając, że to drugie ciało istnieniowe zdążyło się w nich oblec i osiągnąć wymaganą „indywidualność”.

Owa nieprawidłowość ich psychiki, czyli „daremne szczere oburzenie” lub, jak one mówią, „niepotrzebne denerwowanie się” wypływa z tego, że z ich zbiorczych obecności już dawno temu znikł „horyzont istnieniowy” oraz „instynktowne doznanie rzeczywistości w jej prawdziwym świetle”, które są właściwe wszystkim istotom trójmózgowych.

Z powodu braku w ich psychice tych dwóch właściwości w ogóle nie podejrzewają, że istoty takie jak one nie mają żadnego wpływu na te przerażające procesy i że takie procesy występują na ich nieszczęsnej planecie z dwóch ważkich i nieuniknionych przyczyn. Pierwsza z tych przyczyn to kosmiczne prawo Soliunensius, które jest całkowicie od nich niezależne, natomiast druga, częściowo od nich zależna, polega na tym, że suma rezultatów wpływających z nienormalnie ustalonych przez nie same warunków zwykłej egzystencji istnieniowej nie pozwala danym, które wciąż krystalizują się w ich zbiorczych obecnościach po to, by wzbudzać święty impuls sumienia, uczestniczyć w funkcjonowaniu ich zwykłego stanu jawy, wskutek czego oddziaływanie pierwszej z wymienionych przyczyn przybiera tak przeraźliwe formy.

Jak już powiedziałem, twoi ulubieńcy nie potrafią sobie wyobrazić, że poszczególne jednostki w żaden sposób nie są spraw-

camii tych przeraźliwych procesów ogólnoplanetarnych i że tylko przypadkiem trafiają na stanowiska, których piastowanie zmusza je, z powodu już ustalonych tam warunków wspólnej egzystencji, do odgrywania takiej lub innej roli – roli, której rezultaty, zgodnie z zupełnie niezależnymi od nich samymi prawidłowościami, przybierają tę czy inną formę.

W okresie największego nasilenia tego ich ostatniego procesu, to znaczy rosyjskiego bolszewizmu, współczesne istoty z innych społeczeństw były szczerze oburzone, gdy istoty odgrywające w tym żalonym procesie rzekomo „aktywną” rolę wydawały innym zwyczajnym istotom polecenie, by rozstrzelać jakiegoś „Jana Kowalskiego”.

Aby moje dalsze wyjaśnienia dotyczące tych przeraźliwych procesów, które występują wśród twoich nieszczęsnych ulubieńców; były bardziej zrozumiałe; muszę dodać, że z jednej strony ten ostatni proces wciąż jeszcze się toczy na stosunkowo dużym obszarze powierzchni ich nieszczęsnej planety, a z drugiej, że w ostatnich czasach liczba twoich ulubieńców bardzo się zwiększyła. Jeśli więc porównamy liczbę wszystkich trójmózgowych istot, które zostały unicestwione w czasie poprzednich procesów, z liczbą tych, które jak dotąd zginęły w trakcie obecnego procesu, ten ostatni wyda się zaprawdę dziecinną igraszką.

Żebyś zrozumiał to lepiej i mógł porównać poprzednie tego rodzaju procesy ze współczesnym bolszewizmem, opiszę ci teraz parę scen z niegdysiejszej historii – dajmy na to, właśnie tego Egiptu, o którym wcześniej wspominałem.

W czasie jednej z przerw pomiędzy kolejnymi dynastiami owych egipskich faraonów czy monarchów, kiedy w Egipcie toczył się proces podobny do współczesnego bolszewizmu, główny komitet „rewolucjonistów” ogłosił całej ludności tego kraju między innymi, że wkrótce odbędą się „wybory” naczelników dużych i małych ośrodków lub, jak oni mówią, „miast” i „wsi” i że te wybory będą przeprowadzone według następujących zasad:

Naczelnikami miast i wsi zostaną wybrani ci, którzy włożą najwięcej „kroanów” do swojej świętej „czaszy”, a kroanami nazywa-

no wówczas w Egipcie przedmioty ofiarne.

Otóż zgodnie z „religią” istot tego kraju, podczas „ceremonii religijnych” odprawianych w specjalnych pomieszczeniach wprowadzono tam zwyczaj stawiania przed dowolną zwykłą istotą przybyłą na taką ceremonię specjalnej glinianej czaszy, do której za każdym razem, po zmówieniu pewnej modlitwy, musiała ona włożyć warzywa lub owoce przeznaczone specjalnie na ten dzień.

Właśnie takie „godne” złożenia w ofierze przedmioty nazywano wtedy kroanami. Wszystko wskazuje na to, że ów „zabieg” był wymysłem ówczesnych „teokratów” i służył ich, jak to się mówi, „cmokierom” za źródło dochodów.

Ten sam dekret głosił, że tym razem kroany powinny się składać z oczu „krwiopijców”, a takim słowem tamtejsze zwykłe istoty trójmózgowe określały; za ich plecami, istoty należące do kasty „klasy rządzącej” i to wszystkie bez wyjątku, nie wyłączając istot „pasywnej połowy”, ani dzieci i starców.

Następnie podano do wiadomości, że ten, kto w dzień wyborów zbierze w swej świętej czaszy najwięcej kroanów, zostanie naczelnikiem całego Egiptu, natomiast naczelnikami miast i wiosek będą mianowani ci, którzy zgromadzą w swych świętych czaszach odpowiednio dużo kroanów.

Możesz sobie wyobrazić, mój chłopcze, co w ciągu tych paru dni zaczęto wyprawiać w całym Egipcie tylko po to, by zebrać do swojej świętej czaszy jak najwięcej oczu istot należących do ówczesnej klasy rządzącej.

Innym razem, również w Egipcie, byłem świadkiem nie mniej przeraźliwej sceny.

Aby lepiej opisać ten straszliwy obraz, muszę ci najpierw powiedzieć, że dawniej w Egipcie w każdym tamtejszym większym ośrodku czy mieście znajdował się duży plac, gdzie odbywały się wszelkiego rodzaju publiczne „religijne” i „wojskowe” uroczystości, na które przybywały masy istot z całego kraju.

Ponieważ taka masa istot, w większości należących do niskich kast, przeszkadzała w ceremonii, pewien faraon nakazał rozcią-

gnąć dookoła tych placów sznury, żeby istoty z „prostych” kast nie mogły już więcej zakłócać przebiegu uroczystości.

Jednakże po rozciągnięciu wspomnianych sznurów szybko się okazało, że nie wytrzymują one naporu tłumu i łatwo się przerywają. Faraon rozkazał wobec tego otoczyć place metalowymi powrozami, a następnie ci, których zwał tam „kapłanami” poświęcili je i nadali im miano „świętych lin”.

Owe święte liny, rozciągnięte wokół placów, na których odbywały się publiczne ceremonie, były – zwłaszcza w dużych miastach – nieprawdopodobnie długie i czasami miały aż jedno „centrotino” lub, jak powiedziałyby współczesne istoty twojej planety, ciągnęły się przez blisko piętnaście kilometrów.

Sam widziałem; jak tłum zwykłych egipskich istot zaczął nadziewać na jedną z tych świętych lin, jak na „azjatycki szaszłyk” istoty należące do byłej klasy rządzącej, bez względu na ich płeć i wiek.

Jeszcze tej samej nocy ów oryginalny „ruszt” zawleczono z pomocą czterdziestu par bawołów do rzeki Nil, a następnie wrzucono do niej.

Wiele razy widziałem takie „rozprawianie się”, i to zarówno w trakcie mojego osobistego pobytu na powierzchni twojej planety, jak i przez moje wielkie teskuano z planety Mars.

A ci twoi naiwni już do kwadratu współcześni ulubieńcy szczerze się oburzają, że ich obecni bolszewicy rozstrzelali jakiegoś „Jana Kowalskiego”.

Jeśli działania współczesnych bolszewików porównamy z działaniami wcześniejszych tamtejszych istot trójmózgowych, które uległy owemu „stanowi psychicznemu” to tych pierwszych powinno się nawet chwalić i dziękować im za to, że mimo różnych następstw właściwości organu kundabufor, już całkowicie skryształizowanych w ich zbiorczych obecnościach – jak zresztą w obecnościach wszystkich współczesnych istot trójmózgowych – nawet w największym wirze walki, kiedy byli wyłącznie mario-netkami działającymi pod wpływem nieodwracalnego kosmicz-

nego prawa Soliunensius, zachowywali się w taki sposób, że po trupie można było jeszcze poznać, iż ten, kogo rozstrzelali, to właśnie „Jan Kowalski”, a nie ktoś inny.

W tym miejscu swej opowieści Belzebub głęboko westchnął i utkwivszy wzrok w jednym punkcie, zamyślił się w skupieniu.

Hassin i Ahun z pewnym zdziwieniem, a także rysującym się na twarzach smutkiem, zastygli w bezruchu i wpatrywali się w niego z wyczekiwaniem.

Po chwili Hassin najpierw wykrzywił twarz w całkiem niezrozumiałym grymasie, a następnie zwrócił się do Belzebuba, który wciąż był pogrążony w myślach, tonem wyrażającym rzewne rozczulenie.

– Dziadku! Drogi dziadku!

Proszę, bądź tak dobry i wyjaw na głos informacje, które w trakcie długiej egzystencji zgromadziłeś w swej tak drogiej mi zbiorczej obecności, albowiem być może posłużą mi one za materiał do wyjaśnienia powstałego właśnie w mojej esencji pytania, z którym w ogóle nie potrafię sobie poradzić, ponieważ w żadnej z uduchowionych części mojej zbiorczej obecności nie mam jeszcze jakichkolwiek danych pozwalających na przeprowadzenie logicznego porównania.

To powstałe w mojej esencji pytanie, na które cała moja obecność pragnie znaleźć odpowiedź, brzmi: Nawet jeśli w okresie swojej odpowiedzialnej egzystencji owe nieszczęsne istoty trójmózgowe mające siedlisko na planecie Ziemia są pozbawione, z przyczyn od nich niezależnych, możliwości zdobycia Boskiego Obiektywnego Rozumu, to dlaczego, skoro powstały tak dawno temu i ich gatunek trwa już tyle wieków, do tej pory – choćby tylko dzięki upływowi czasu – nie wykształciły się stopniowo w procesie ich zwykłej egzystencji, nawet w tak nienormalnych warunkach, owe zwyczaje i „instynktownie-automatyczne nawyki”, które cechują na ogół obecności wszystkich istot i powodują, że ta ich powszednia egzystencja – bądź to „egoistycznie prywatna” bądź też „zbiorowo wspólna” – może upływać w miarę znośnie

z punktu widzenia działalności obiektywnej?

Powiedziawszy to, nasz biedny Hassin spojrział pytająco na przyczynę przyczyny swojego powstania.

Na takie pytanie swego ulubionego wnuka Belzebub dał następującą odpowiedź:

– Ależ skądże... mój drogi chłopcze. W ciągu długich wieków ich istnienia również wśród nich, jak na wszystkich planetach, gdzie powstają istoty, którym część egzystencji upływa na zwykłych procesach, stopniowo się utrwaliło – a w niektórych ich zbiorowiskach jeszcze do dzisiaj utrwała – wiele zwyczajów oraz „moralnych nawyków” nieraz bardzo dobrych i pożytecznych dla ich zwykłej egzystencji; zło jednak tkwi w tym, że nawet te istnieniowe dobrodziejstwa, które dzięki samemu upływowi czasu zakorzeniły się w procesie ich zwykłej egzystencji i przechodząc z pokolenia na pokolenie, zostały ulepszone, bardzo szybko przepadają bez śladu lub tak się zaczynają zmieniać, że te ichnie dobroczynne osiągnięcia same z siebie przekształcają się w „złoczynne”, zwiększając w ten sposób liczbę owych szkodliwych dla nich bzdurnych czynników, których całokształt z roku na rok coraz bardziej „rozrzedza” nie tylko ich psychikę, ale również samą ich esencję.

Jeśliby przynajmniej potrafiły – czego przecież wolno oczekiwać od istot trój mózgowych – zachować i wykorzystać takie „drobiazgi” to już tylko dzięki temu żyłoby im się trochę lepiej lub, jak same mówią, „byłoby to w każdym razie lepiej niż nic”.

Nie da się przecież ukryć, że gdyby chociaż te dobre zwyczaje, które czas utrwalił w procesie ich egzystencji, jak również wspomniane zautomatyzowane już moralne nawyki ocalały i były dziedzicznie przekazywane w sposobie bytowania kolejnych pokoleń, już nawet samo to spowodowałoby, że w oczach bezstronnego obserwatora ichnia „ponura” – w obiektywnym sensie – egzystencja wydałaby się trochę znośniejsza.

Przyczyny całkowitego zniszczenia lub przemiany również takich, służących im do zapewnienia znośnej egzystencji, dobro-

działstw istnieniowych, jak te dobre zwyczaje i moralne nawyki utrwalone wyłącznie dzięki upływowi czasu, wynikają oczywiście znowu z ustalonych przez nie same nienormalnych warunków ich zwykłej egzystencji istnieniowej.

Skoncentrowanym rezultatem tych nienormalnych warunków jest jedna szczególna właściwość, która dopiero niedawno pojawiła się w ich psychice i stała podstawową przyczyną wspomnianego wcześniej zła, a którą one same zwa „podatnością na sugestie”.

Z powodu tej dziwnej właściwości, która dopiero od niedawna utrzymywała się w ich psychice, stopniowo uległo zmianie całe funkcjonowanie ich zbiorczych obecności, skutkiem czego każda z nich – szczególnie zaś istoty, które przysły na świat i osiągnęły odpowiedzialny wiek w ostatnich stuleciach – stała się specyficzną formacją kosmiczną, potrafiącą manifestować się wyłącznie wtedy, gdy znajduje się pod ciągłym wpływem innej podobnej do niej formacji.

I faktycznie, mój chłopcze, wszystkie te przypadki ci do gustu współczesne istoty trójmózgowe, zarówno z osobna, jak i w małych oraz dużych grupach, muszą obowiązkowo albo same na kogoś „wpływać” albo znajdować się pod „wpływem” innych.

Abyś mógł lepiej sobie wyobrazić i wszechstronnie zrozumieć, w jaki sposób, z powodu wspomnianej właściwości ich dziwnej psychiki, znikają bez śladu lub zmieniają się na gorsze zwyczaje oraz nawyki przydatne w ich zwykłej egzystencji i nabyte automatycznie w ciągu wieków, weźmy za przykład te ziemskie istoty trójmózgowe nazywane przez wszystkie inne istoty twojej planety „Rosjanami” i reprezentujące większość ludności społeczeństwa zwanego „Rosją”.

Ponieważ egzystencja istot, które dały początek temu dużemu tamtejszemu współczesnemu społeczeństwu i jego przyszłym pokoleniom, przebiegała w ciągu wielu stuleci w sąsiedztwie istot należących do takich społeczeństw azjatyckich, gdzie wskutek różnych zbiegów okoliczności przez stosunkowo długie okresy zachowały się niezmiennione warunki bytowania i dzięki temu



wykształciło i niemal samorzutnie utrwaliło w procesie ich zwykłej egzystencji – jak to się zwykle dzieje w takich sytuacjach – bardzo dużo dobrych zwyczajów i moralnych nawyków, więc owi Rosjanie, często spotykając się z istotami tych „archaicznych” – z punktu widzenia ziemskich istot – społeczeństw; a czasami wręcz nawiązując z nimi przyjazne stosunki, stopniowo przyswoili sobie i zaczęli stosować w procesie swojej zwykłej egzystencji wiele takich pożytecznych zwyczajów i moralnych nawyków.

A zatem, mój chłopcze, z powodu wspomnianej oryginalnej właściwości trójmózgowych istot tej twojej planety, właściwości, która, jak już ci mówiłem, pojawiła się zaraz po cywilizacji tiklamszyckiej i stopniowo umacniała w ich zbiorczej psychice z intensywnością spowodowaną głównie pogorszeniem się ustalonych przez nie warunków ich zwykłej egzystencji istnieniowej – właściwości psychicznej już od samego początku obowiązkowo przynależnej zbiorczym obecnościom istot, które utworzyły później to największe społeczeństwo – wszystkie one w ciągu ostatnich stuleci stały się podatne na wpływ istot niektórych społeczeństw azjatyckich i cały „tryb zewnętrzny” oraz „psychiczna forma skojarzeniowa” ich zwykłej egzystencji zaczęły ulegać temu wpływowi.

Jednakże w rezultacie tego, że trójmózgowe istoty tej twojej planety Ziemia zamieszkujące ową część kontynentu Azja, która nazywała się i do dziś nazywa „Rosja” przestały już definitywnie urzeczywistniać w swych zbiorczych obecnościach partkdołgpowinności istnieniowe – wskutek czego stopniowo umocniła się ta najbardziej szkodliwa z ich właściwości, czyli „podatność na sugestie” – jak również z powodu zmiany okoliczności, będących jak zwykle wynikiem owego przeraźliwego i występującego tylko na tej nieszczęsnej planecie procesu „okresowego unicestwiania się nawzajem” zostały one pozbawione tego dotychczasowego wpływu i były zmuszone, nie mogąc egzystować samodzielnie, ulec nowemu wpływowi – tym razem wpływowi istot różnych społeczności europejskich, zwłaszcza zaś społeczności, która istnieje

tam pod nazwą „Francja”.

Od tej pory istoty społeczeństwa Francji zaczęły wpływać automatycznie na psychikę istot społeczeństwa Rosji i te ostatnie, starając się teraz we wszystkim je naśladować, doprowadziły do tego, że zarówno wszelkie dobre zwyczaje, które zakorzeniły się w procesie ich egzystencji, jak i tkwiące już w nich nawyki moralne, które półświadomie lub automatycznie udało im się przejąć od istot starożytnych społeczeństw azjatyckich, poszły stopniowo w zapomnienie i zostały zastąpione nowymi – francuskimi.

Wśród zdrowych zwyczajów i automatycznych nawyków moralnych, które istoty starożytnych społeczeństw azjatyckich przekazały istotom społeczeństwa Rosji, można było znaleźć tysiące naprawdę bardzo dobrych.

Z tych tysięcy dobrych zwyczajów i pożytecznych nawyków weźmy na przykład dwa: zwyczaj żucia „kewy” po spożyciu pierwszego pokarmu istnieniowego oraz nawyk regularnego mycia się w „hammamach”.

Kewa to rodzaj mastyksu przygotowanego z różnych korzeni, który żuje się po jedzeniu i który, dopóki się go żuje, nigdy się nie rozkłada, lecz przeciwnie, staje się coraz bardziej elastyczny.

Ów mastyks wynalazła kiedyś jakaś bardzo rozumna istota, która należała do jednego z tych starożytnych azjatyckich społeczeństw.

Przydatność kewy polega na tym, że jej żucie wytwarza w istotach dużo, jak mówią na nią na Ziemi, „śliny”, a także wiele innych substancji produkowanych przez ich ciała planetarne w celu lepszej i łatwiejszej przemiany ich pierwszego pokarmu istnieniowego lub, jak same się wyrażają, po to, by ten pokarm można było lepiej i łatwiej „trawić” oraz „przyswajać”.

Oprócz tego kewa wzmacnia zęby i oczyszcza jamę ustną z pozostałości „pierwszego pokarmu”; używanie kewy, szczególnie w tym drugim celu, jest dla twoich ulubieńców absolutnie niezbędne, ponieważ jej żucie powoduje, że wspomniane resztki się nie rozkładają i dzięki temu nie wydziela się z ich ust ten nieprzy-

jemny zapach, który stał się charakterystyczny dla tamtejszych istot, zwłaszcza tych współczesnych.

Drugi zwyczaj, czyli mycie się od czasu do czasu w specjalnych pomieszczeniach zwanych „hammamami” także wymyśliła pewna starożytna azjatycka istota.

Abyś mógł jasno zrozumieć, dlaczego ten drugi zwyczaj jest niezbędny w procesie egzystencji ziemskich istot, muszę ci wyjaśnić rzecz następującą:

Generalnie funkcjonowanie ciała planetarnego istot o dowolnej formie powłoki zewnętrznej zostało przystosowywane przez Przyrodę w taki sposób, by proces odżywiania się drugim pokarmem istnieniowym, nazywany przez twoich ulubieńców „oddychaniem powietrzem” przebiegał w nich nie tylko przez „organy oddychania”, ale też przez „pory” znajdujące się w ich skórze.

Nie dość, że przez pory skóry istot przenika do środka świeży drugi pokarm istnieniowy, to jeszcze przez niektóre z tych porów wydostają się na zewnątrz te elementy drugiego pokarmu istnieniowego, które są rezultatem jego przemiany i nie są już potrzebne ich ciału planetarnemu.

Takie niepotrzebne elementy powinny wydzielać się z porów ich skóry samorzutnie, stopniowo ułatwiając się pod wpływem czynników, które zależą od procesów zachodzących w środowisku, gdzie egzystuje dana istota, na przykład ruchów atmosferycznych, przypadkowego kontaktu itd.

Ale odkąd twoi ulubieńcy wymyślili, że będą się okrywać tak zwanym ubraniem, te ich ubrania zaczęły przeszkadzać w normalnym wydalaniu lub ułatwianiu się tych części drugiego pokarmu istnieniowego, które przestały być potrzebne ich ciału planetarnemu, i owe niepotrzebne substancje, nie mając możliwości rozejścia się w przestrzeni i jednocześnie wciąż się gromadząc, uległy zagęszczeniu i w niektórych porach ich skóry zaczęły tworzyć składy „czegoś oleistego”.

Od tamtego czasu, oprócz wielu innych czynników, również to „coś” zaczęło przyczyniać się do powstawania na tej nieszczęsnej

planecie niezliczonych i wielorakich chorób, które są w sumie główną przyczyną stopniowego skracania się długości egzystencji tych nieszczęśników.

Tak więc, mój chłopcze, w – jak mówią twoi współcześni ulubieńcy – „zamierzchłej przeszłości” pewna mądra i uczona azjatycka istota o imieniu „Amambachłutr” jednoznacznie stwierdziła w trakcie świadomych obserwacji różnych faktów zachodzących na zewnątrz niej, że to „coś oleistego” co gromadzi się w porach skóry, ma szkodliwy wpływ na ogólne funkcjonowanie całego ciała planetarnego, i zaczęła badać to zło, a także szukać sposobów, żeby jakoś się przed nim obronić.

W rezultacie badań oraz długich rozmyślań Amambachłutr i kilka innych uczonych istot, które stały się jego zwolennikami i zaczęły mu pomagać, przekonali się i doszli razem do wniosku, że skoro nie da się już nakłonić istot do nich podobnych, by przestały nosić ubrania, to należy zastosować sztuczny sposób usuwania z porów skóry wspomnianych resztek „drugiego pokarmu”, polegający na wszczępieniu w psychikę otaczających ich istot przyzwyczajenia istnieniowego, które z biegiem czasu zamieniłoby się w niezbędną potrzebę i tym samym przeobraziło w jeden z ichnich nawyków i obyczajów.

Otóż właśnie to, co te azjatyckie uczone istoty z wielkim Amambachłutrem na czele doświadczalnie wyjaśniły i zrealizowały wtedy w praktyce, dało początek tamtejszym hammamom, które gdzieś tam istnieją tam nawet do dzisiaj.

W trakcie tych naukowych eksperymentów udało im się między innymi ustalić, że rzeczonych osadów nie da się usunąć z porów skóry przez zwykłe mycie, nawet gorącą wodą, a to dlatego, że owe wydzieliny ciała planetarnego nie znajdują się na powierzchni skóry, lecz w głębi jej porów.

Ich dalsze badania doświadczalne pokazały, że pory skóry można oczyścić z tych osadów tylko przez powolne nagrzewanie, dzięki któremu to odłożone „oleiste coś” stopniowo się rozpuszcza i wytrąca z porów skóry danej istoty.

W tym celu zaprojektowały i zbudowały specjalnie wyposażone pomieszczenia, które później nazwano „hammamami” i których znaczenie oraz wagę potrafiły tak skutecznie rozpowszechnić wśród istot tego kontynentu, że w psychikę wszystkich ówczesnych istot azjatyckich została wszczepiona potrzeba korzystania w procesie ich egzystencji z takich pomieszczeń, aby poddać się tam rzeczonemu zabiegowi.

Ta potrzeba regularnego chodzenia do hammamów, która stała się przynależna obecnościom istot z kontynentu Azja, została potem przekazana również istotom społeczeństwa Rosji.

A jeśli chodzi o to „coś oleistego”, co gromadzi się w niektórych porach skóry twoich ulubieńców, muszę powiedzieć ci jeszcze rzecz następującą:

Ponieważ owa substancja, to znaczy to „oleiste coś” jak zresztą wszystko, co istnieje w naszym Wielkim Wszechświecie, nie może pozostawać bez końca w takim samym stanie, więc w niej także zachodzą nieuchronnie procesy tak zwanej ewolucji i inwolucji, których wymaga Wielka Przyroda. A skutkiem tego, że podczas tych procesów wszystkie, jak to się mówi, „czasowe” lub „przejściowe” twory kosmiczne wydzielają z siebie tak zwane drugorzędne elementy aktywne, które krystalizują się prowizorycznie dzięki „wibracjom inercyjnym” i, jak każdy wie, mają taką właściwość, że wchodząc w kontakt z narządem węchu istot, są odbierane bardzo „kakofonicznie” to ci z twoich ulubieńców na planecie Ziemia, którzy nie korzystają ze wspomnianych hammamów, zawsze wydzielają z siebie szczególne „rastropuniło” lub, jak to określają, taki „zapach”, jaki nawet oni sami uznają za „niespecjalnie przyjemny”.

Faktycznie, mój chłopcze, tam, na niektórych kontynentach, a zwłaszcza na kontynencie Europa, gdzie się nie przyjął zwyczaj chodzenia do hammamu, mnie, istocie o bardzo wyostrzonym węchu, wyjątkowo trudno było egzystować wśród tamtejszych istot trój mózgowych, i to właśnie z powodu owego specyficznego „rastropuniła” lub, jak one czasami na to mówią, zapachu, który nieustannie od nich bije.

Ta nieprzyjemna woń wydzielana przez istoty, których pory skóry nigdy nie są specjalnie czyszczone, jest tak silna, że dzięki niej bez trudu potrafię rozpoznać, do jakiego społeczeństwa należy dana istota, a nawet odróżnić jedną istotę od drugiej.

Rozmaitość tych specyficznych zapachów zależy od długości procesu rozkładu oleistych wydalin, które znajdują się w porach skóry.

Na ich szczęście te „nieprzyjemne zapachy” nie działają na nie same tak „dokuczliwie”.

A to dlatego, że ich powonienie jest bardzo słabo rozwinięte i co więcej, owe istoty, ciągle egzystując wśród tych zapachów, stopniowo się do nich przyzwyczajają.

Tak więc, mój chłopcze, Rosjanie, którzy przejęli od istot azjatyckich zwyczaj periodycznego mycia się w takich specjalnych hammamach, odkąd zaczęli ulegać wpływom istot europejskich, a przede wszystkim, jak wspominałem, istot społeczeństwa Francji, tylko wskutek tego, że te francuskie istoty nie mają zwyczaju chodzenia do hammamów, sami też przestali z czasem do nich chodzić, co sprawiło, że ten dobry, ugruntowany w nich od wieków zwyczaj powoli zaczął zanikać.

Wcześniej prawie każda rosyjska rodzina miała swój własny hammam, natomiast niedawno, w czasie mojego ostatniego pobytu w ich stolicy – dawnym „Sankt Petersburgu” – gdzie egzystowało wtedy już ponad dwa miliony tych rosyjskich istot, funkcjonowało tam zaledwie siedem czy osiem takich hammamów, do których uczęszczały wyłącznie istoty zwane „dozorcami” i „robotnikami”, czyli istoty przybyłe do stolicy z odległych wiosek, gdzie zwyczaj chodzenia do hammamu lub, jak czasem go nazywają, „łaźni”, jeszcze nie całkiem „wywietrzał”.

Jeśli zaś chodzi o podstawową grupę ludności owej stolicy, składającą się przede wszystkim z istot tak zwanej klasy rządzącej, to ostatnimi czasy takie istoty w ogóle przestały chodzić do hammamu i gdy jakiś „cudak” odwiedzi go czasami jeszcze ze starego nawyku, to robi, co może, żeby nikt z jego kasty się o tym nie

dowiedział.

„Niechajże strzeże go kusy!” bo inaczej na temat tego śmiałka rozejdą się „pogłoski”, które nieuchronnie „zrujnują” całą jego przyszłą karierę.

Wśród istot należących do klasy rządzącej chodzenie do hammamu uchodzi za bardzo „nieprzyzwoite” i „nieinteligentne”. A jest nieprzyzwoite i nieinteligentne tylko dlatego, że „najinteligentniejsze” współczesne istoty na ich planecie, którymi według nich są Francuzi, do hammamu nie chodzą.

Owi nieszczęśnicy oczywiście nie wiedzą, że jeszcze kilkadziesiąt lat temu, jak zawsze z powodu nienormalnie ustalonych warunków zwykłej egzystencji istnieniowej, ci sami Francuzi nie tylko nie chodzili do hammamu, ale nawet, szczególnie ci należący do tak zwanej inteligencji, rano się nie myli, aby nie popsuć swojej sztucznej i żmudnie doprowadzonej do ładu modnej preencji.

A co się tyczy drugiego z dwóch dobrych zwyczajów, który wzięliśmy za przykład i który jeszcze dwa wieki temu był organiczną potrzebą każdej istoty społeczeństwa Rosji, mianowicie zwyczaju żucia kawy po spożyciu pierwszego pokarmu istnieniowego, to wśród współczesnych Rosjan taki zwyczaj już w ogóle nie istnieje.

Muszę jednak zaznaczyć, że na własne oczy widziałem, jak zwyczaj żucia kawy przyjął się wśród istot zamieszkujących kontynent zwany „Ameryką”, gdzie – na razie bez uzmysłowienia sobie wagi tego przyzwyczajenia – żucie kawy lub, jak teraz tam na nią mówią, „chewing gum” bardzo się rozpowszechniło i doprowadziło do powstania ważnej gałęzi przemysłu i handlu. Warto zwrócić uwagę, że podstawowy składnik tej amerykańskiej gumy do żucia jest importowany właśnie z Rosji, z regionu zwanego „Kaukazem”. Z tym że istoty zamieszkujące ów region wcale nie wiedzą, dlaczego ci „pomyleni” Amerykanie wywożą ten nikomu i do niczego niepotrzebny korzeń.

Oczywiście żadnej z nich nie wpadnie do głowy, że nawet jeśli

Amerykanie importujący ten „bezużyteczny” korzeń są w subiektywnym sensie faktycznie „pomyleni”, to w sensie obiektywnym beczelnie dopuszczają się w stosunku do istot tejże Rosji, jak mówią twoi ulubieńcy, „grabieży w biały dzień”.

A zatem, mój chłopcze, dokładnie w taki sam sposób wiele innych dobrych zwyczajowi moralnych nawyków, przejętych przez te rosyjskie istoty na przestrzeni wieków i głęboko zakorzenionych w procesie ich zwykłej egzystencji, stopniowo zanikło w ciągu ostatnich dwóch stuleci – to znaczy od czasu, gdy Rosjanie zaczęli ulegać wpływom istot europejskich – i w ich miejsce pojawiły się tam obecnie nowe obyczaje oraz nowe moralne nawyki, w rodzaju „całowania damy w rękę”, „traktowania grzecznie wyłącznie pańienek”, „spoglądania na kobietę w towarzystwie męża tylko lewym okiem” itd., itp.

Z impulsem żalu muszę podkreślić, że identyczne zjawisko zachodzi obecnie w procesie zwykłej egzystencji istot wszystkich tamtejszych społeczeństw, i to na dowolnym kontynencie.

Mam nadzieję, mój chłopcze, że teraz potrafisz już w przybliżeniu odpowiedzieć sobie na pytanie, które zrodziło się w twoim jestestwie, i jasno pojąć, dlaczego, choć ich gatunek powstał i istnieje już od tak dawna, do tej pory nie mogły wykształcić się w twoich nieszczęsnych ulubieńcach takie automatyczne przyzwyczajenia istnieniowe i „instynktowne nawyki” dzięki którym ich egzystencja toczyłaby się w sposób w miarę znośny, i to nawet mimo braku w nich obiektywnej świadomości.

Powtarzam: z powodu wspomnianej, dopiero niedawno utrwalonej w ich zbiorczej psychice właściwości stało się tam już obecnie rzeczą zupełnie naturalną – jak gdyby zgodną z prawem – żeby albo zawsze wpływać na innych, albo znajdować się pod ich wpływem.

W obu wypadkach rezultaty działania tej oryginalnej cechy pojawiają się bez żadnego udziału ich świadomości i niezależnie od ich chęci.

Wszystko, co ci powiedziałem o tym, jak współcześni Rosjanie



biorą zawsze z kogoś przykład i zawsze kogoś naśladowają, pozwoli ci jasno zrozumieć, do jakiego stopnia popsuło się w obecnościach ziemskich istot trójmózgowych funkcjonowanie danych mających służyć do konfrontatywnego logicznego myślenia istnieniowego.

Na ogół branie przykładu z innych lub dawanie innym przykładu uważa się i uznaje wśród wszystkich trójmózgowych istot w całym Wszechświecie za rzecz zupełnie rozsądną i absolutnie niezbędną, a więc jeśli trójmózgowe istoty tego wielkiego społeczeństwa Rosji biorą przykład z istot społeczeństwa Francji, to jest to z ich strony bardzo sensowne: dlaczegoż miałyby nie iść za dobrym przykładem?!

Jednakże ci nieszczęśnicy z powodu owej szczególnej właściwości ich psychiki, a także wskutek jeszcze paru innych specyficznych cech ich dziwnego charakteru, które odkąd całkowicie zniknął z ich zbiorczych obecności zwyczaj urzeczywistniania – przynajmniej od czasu do czasu – partkdołgpowinności istnieniowych, już definitywnie się w nich ugruntowały, stali się, by tak rzec, „przymusowymi przyswajaczami” i zaczęli naśladować również to, co złe, odrzucając zarazem to, co było w nich dobre, i to tylko dlatego, że inni tego nie mają.

Na przykład nie potrafią nawet sobie wyobrazić, że warunki zwykłej egzystencji takich Francuzów kształtowały się być może nienormalnie i dlatego ci ostatni nie zdążyli jeszcze uświadomić sobie konieczności periodycznego mycia się w hammamach i żucia kawy po spożyciu pierwszego pokarmu istnieniowego.

No, ale żeby nabyte już dobre zwyczaje porzucić tylko dlatego, że brakuje ich tym francuskim istotom, na których się wzorują – to już doprawdy autentyczne „indykostwo”!

Chociaż ta oryginalna właściwość, którą nazwałem właśnie „indykostwem” tkwi w naturze prawie wszystkich trójmózgowych istot zamieszkujących twoją planetę, to jej przejawy oraz rezultaty najłatwiej można zauważyć wśród istot mających siedlisko na kontynencie Europa.

Spostrzegłem to i zrozumiałem dopiero wtedy, gdy opuściwszy Sankt Petersburg, udałem się w podróż po różnych krajach tego kontynentu i kiedy – w przeciwieństwie do moich poprzednich podróży – zatrzymałem się tam na dłużej, dzięki czemu miałem czas zaobserwować i szczególnie zbadać subtelności psychiki nie tylko pojedynczych istot, lecz także całych grup, i to we wszelkich możliwych okolicznościach.

Zewnętrzna forma egzystencji wszystkich społeczeństw kontynentu Europa praktycznie nie różni się od tej, która charakteryzuje istoty dużego społeczeństwa Rosji.

W rzeczy samej formy egzystencji rozmaitych zbiorowości istot tego kontynentu różnią się między sobą tylko w takim stopniu, w jakim przypadkowo dłuższy lub krótszy czas trwania danego społeczeństwa pozwala na automatyczne utrwalenie się pewnych dobrych zwyczajów oraz instynktownych nawyków, które stają się potem przynależne wyłącznie istotom tego społeczeństwa.

Trzeba przy okazji zaznaczyć, że czas trwania danego społeczeństwa rzeczywiście odgrywa tutaj dużą rolę, ponieważ właśnie od niego zależy, czy istoty mogą nabrać owych dobrych zwyczajów i instynktownych nawyków.

Niestety, na nieszczęście wszystkich trójmózgowych istot całego Wszechświata i niezależnie od poziomu ich rozumu egzystencja każdej w miarę już zorganizowanej ichniej zbiorowości jest generalnie krótka, a to oczywiście z powodu zawsze tej samej ich głównej osobliwości, a mianowicie „okresowego unicestwiania się nawzajem”.

Gdy tylko w zwykłym bytowaniu jakiejś zbiorowości zaczynają się zakorzeniać dobre przyzwyczajenia istnieniowe służące automatycznej egzystencji, od razu rozpoczyna się wtedy ów przeraźliwy proces, który albo całkowicie niszczy dobre zwyczaje i automatyczne nawyki nabyte w ciągu stuleci, albo też prowadzi do tego, że dzięki wspomnianej właściwości istoty danej grupy ulegają wpływowi istot innej grupy, niemających nic wspólnego z tymi, które wpływały na nie do tej pory, i w ten sposób wszyst-

kie zwyczaje i nawyki moralne nabyte w ciągu wieków bardzo szybko ustępują miejsca „nowym”, które w większości wypadków są sklecone naprędce i nadają się jedynie, jak to się mówi, „na dzień dzisiejszy”.

## Rozdział 35

### **Zmiana wyznaczonego kursu spadania międzyukładowego statku „Karnak”**

W tym miejscu rozmowy Belzebuba z jego bliskimi poinformowano go, że kapitan statku prosi, by pozwolono mu wymienić z nim osobiście parę słów.

Zaraz po tym, jak Belzebub wyraził zgodę, kapitan wszedł i zwracając się do niego z pełnym szacunku pokłonem, powiedział:

– Wasza Przewielebność, na początku naszej podróży raczyłeś wspomnieć, że w drodze powrotnej zechcesz być może zatrzymać się na świętej planecie Czyściec, aby odwiedzić tam rodzinę twego syna Tuiłana. Jeśli rzeczywiście taki jest twój zamiar, to najlepiej, żebyś już teraz wydał mi odpowiedni rozkaz, ponieważ wkrótce będziemy mijać układ słoneczny „Chałmiani” i jeżeli zaraz po minięciu tego układu nie zmienimy kursu spadania naszego statku, kierując go trochę bardziej w lewo, znacznie wydłużymy trajektorię jego spadania.

– Tak, drogi kapitanie – odparł Belzebub. – Nie zawadzi zajrzeć na tę świętą planetę. Kto wie, czy kiedyś jeszcze trafi mi się tak świetna okazja, żeby tam wpaść i zobaczyć rodzinę mojego drogiego syna Tuiłana.

Kapitan pokłonił się i właśnie zamierzał wyjść, gdy nagle Belzebub, najwyraźniej coś sobie przypominając, zatrzymał go i skierował do niego następujące słowa:

– Zaczekaj, mój drogi kapitanie. Mam do ciebie jeszcze jedną prośbę.

A kiedy kapitan podszedł bliżej i usiadł na wskazanym miejscu, Belzebub kontynuował:

– Chcę cię poprosić, żebyś zgodził się po naszej wizycie na świę-

tej planecie Czyściec nadać naszemu statkowi „Karnak” taki kurs spadania, byśmy po drodze mogli także zatrzymać się na powierzchni planety „Deskaldino”.

Chodzi o to, że w tym okresie upływu czasu ta planeta jest miejscem stałego pobytu Wielkiego Sarunuriszana, to znaczy mojego pierwszego wychowawcy i, można by rzec, podstawowej przyczyny uduchowienia wszystkich części zbiorczej obecności, która stała mi się teraz przynależna.

Chciałbym, nim wejdziemy w strefę, w której powstałem, skorzystać z okazji i jak dawniej paść raz jeszcze do stóp pierwotnego twórcy mojej prawdziwej esencji, tym bardziej że właśnie teraz, wracając z mojej ostatniej narady zarówno dla mnie samego, jak i dla większości indywiduów, które miały ze mną do czynienia, stało się jasne, iż funkcjonowanie wszystkich oddzielnych uduchowionych części mojej teraźniejszej zbiorczej obecności jest w pełni zadowalające, wskutek czego powstał we mnie niegasnący impuls istnieniowy głębokiej wdzięczności wobec Wielkiego Sarunuriszana.

Mój drogi kapitanie, doskonale wiem, iż wyznaczam ci niełatwe zadanie, bowiem sam byłem już świadkiem tego, jak trudno jest spełnić taką prośbę, kiedy przed zstąpieniem na miejsce mojego powstania, planetę Karataz, na którą wracaliśmy po otrzymaniu miłościwego przebaczenia, zapragnąłem odwiedzić powierzchnię planety Deskaldino po raz pierwszy i kiedy kapitan międzyukładowego statku „Wszędobyłski”, który wyraził na to zgodę, zaczął nakierowywać spadanie „Wszędobyłskiego” w kierunku atmosfery tej planety. Z wielkim trudem pokonawszy wszystkie przeszkody, zdołał jednak spełnić moją prośbę, dzięki czemu przed powrotem do ojczyzny mogłem spędzić trochę czasu na powierzchni planety Deskaldino i mieć szczęście pokłonić się Wielkiemu Sarunuriszanowi, twórcy mojej autentycznej esencji istnieniowej, i otrzymać od niego to, co jest mi najdroższe i najcenniejsze – jego „błogosławieństwo twórcy”.

Wysłuchawszy tej prośby Belzebuba, kapitan statku „Karnak” odpowiedział:

– Według rozkazu, wasza Przewielebność. Zastanowię się, w jaki sposób będzie można spełnić twoje życzenie. Nie wiem, jakie przeszkody napotkał wtedy kapitan statku „Wszędobylski”, ale jeśli chodzi o nas, to w linii prostej między świętą planetą Czyściec i planetą Deskaldino znajduje się układ słoneczny zwany „Salzmanino”, zawierający wiele kosmicznych skupień, które służą do transformacji i promieniowania substancji cylnotrągo na potrzeby ogólnokosmicznego procesu trogoautoegokratycznego, i dlatego chyba nie uda się naszemu statkowi „Karnak” spadać bez zakłóceń przez ten układ w linii prostej.

W każdym razie w taki czy inny sposób postaram się spełnić życzenie wyrażone przez waszą Przewielebność.

Po tych słowach kapitan wstał i oddawszy Belzebubowi pokłon pełen czci, wyszedł.

Kiedy kapitan statku opuścił pomieszczenie, w którym Belzebub toczył rozmowę ze swymi bliskimi, wnuk Hassin od razu podbiegł do niego, a następnie zasiadł jak zwykle u jego stóp i tułac się, zaczął prosić Belzebuba, żeby dalej opowiadał o tym, co mu się przydarzyło po opuszczeniu tej stolicy wielkiego społeczeństwa istot planety Ziemia, która nazywała się Sankt Petersburg.

## Rozdział 36

### ***Odrobinę więcej o Niemcach***

Belzebub rozpoczął tak:

– Z Sankt Petersburga wyruszyłem w podróż po tak zwanych krajach skandynawskich, a następnie zamieszkałem w głównym ośrodku istot należących do współczesnej europejskiej zbiorowości, która nazywa się „Niemcy”.

Powiedziawszy to, Belzebub poklepał Hassina po kędzierzawej czuprynie i z dobrodusznym, ale niepozbawionym dozy „przebiegłości” uśmiechem kontynuował:

– Tym razem, mój chłopcze, ponieważ chcę, żebyś wyrobił sobie pojęcie o dziwaczności psychiki trójmózgowych istot tej współczesnej zbiorowości europejskiej, nie będę, jak to mara w zwyczaj, wdawać się w szczegóły przy wtajemniczaniu cię w różne informacje i dam ci „zadanie”, którego rozwiązanie pozwoli ci dogłębnie zrozumieć specyfikę psychiki istot tej europejskiej zbiorowości, a zarazem będzie idealnym ćwiczeniem dla twojego aktywnego myślenia.

To oryginalne zadanie, które wymyśliłem dla ciebie, polega na tym, żebyś dzięki aktywnym rozważaniom wydedukował takie logiczne dane, które w sumie pozwolą ci zrozumieć, dlaczego istoty tej współczesnej europejskiej zbiorowości, niezależnie od tego, w której części ich, jak same mówią, „Vaterlandu” przebywają, mają pewien niewinny zwyczaj, a mianowicie kiedy zbierają się w kilka osób z okazji jakiegoś święta lub po prostu przy tak zwanej popijawie, zawsze śpiewają tę samą wymyśloną przez siebie piosenkę, w najwyższym stopniu oryginalną i brzmiącą tak:

Blödsinn, Blödsinn,  
Du mein Vergnügen,  
Stumpfsinn, Stumpfsinn,

## Du meine Lust.

Otóż, mój chłopcze, jeśli uda ci się rozwiązać tę zagadkę, twoja zbiorcza obecność zazna w pełni urzeczywistnienia się mądrej sentencji naszego drogiego nauczyciela, Mułły Nasr Eddina, wyrażonej następującymi słowami: „Szczyt radości polega na tym, żeby połączyć przyjemne z pożytecznym”.

A okaże się to dla ciebie pożyteczne, ponieważ będziesz miał idealne ćwiczenie dla twojego aktywnego myślenia, i przyjemne, albowiem zaspokoisz swoją ciekawość, gdy poznasz dogłębnie specyfikę psychiki interesujących cię trójmózgowych istot, które mają siedlisko na planecie Ziemia i należą do tej współczesnej zbiorowości europejskiej.

Ponieważ w domenie wymyślania najrozmaitszych tamtejszych „nauk” istoty tej europejskiej zbiorowości są, jak ci już kiedyś wspominałem, bezpośrednimi kontynuatorami starożytnych Greków, a postawione przeze mnie zadanie może cię doprowadzić do całkowicie sprzecznych wniosków, wymykających się wszelkiej logicznej konfrontacji, uważam, że powinienem nieco ci pomóc i uświadomić jeszcze dwa fakty.

Pierwszy z nich sprowadza się do tego, że niektóre słowa tej piosenki nie mają odpowiedników w żadnym innym języku twojej planety – chociaż istnieje ich tam tak wiele, że nazywa się ją „hydrą o tysiącu języków” – drugi zaś polega na tym, że w chwili, gdy ostatecznie ukształtował się u istot należących do tej zbiorowości impuls wynajdowania rozmaitych szkodliwych środków służących do osłabiania ich – i tak już „skąpego” – „logicznego myślenia istnieniowego” i gdy stał się im tak samo nieodłączny jak starożytnym Grekom, właśnie wtedy wymyśliły także pewną „regułę gramatyczną” zgodnie z którą w trakcie dowolnej „wymiany zdań” stawiają zawsze partykułę przeczącą po twierdzeniu, a więc zamiast powiedzieć: „Nie chcę tego”, mówią: „Chcę tego nie”.

Z powodu tej ich gramatycznej reguły osoba słuchająca zmuszona jest najpierw uznać każdą propozycję za nadającą się do re-



alizacji – co wywołuje w niej „istnieniowe diardukino” lub, jak by tam powiedziano, pewnego rodzaju „przeżycie” – i dopiero później, kiedy osoba mówiąca, stosując tę gramatyczną regułę, wymawia na końcu ich słynne „nicht”, każdorazowo zachodzi w ich zbiorczej obecności dokładnie to, co powoli, ale za to niezawodnie tworzy wspomnianą „specyfikę” ich zbiorczej psychiki, której wyjaśnienie jest celem postawionego ci przeze mnie zadania.

## Rozdział 37

### *Francja*

Belzebub kontynuował swoją opowieść:

– Po tym, jak opuściłem Niemcy, moja egzystencja na kontynencie Europa toczyła się najpierw przez bardzo krótki czas wśród istot społeczeństwa zwanego „Włochami”, a potem w społeczeństwie, które stało się dla istot społeczeństwa Rosji „źródłem karmicielem” owej przywary, utrwalonej w ostatnich stuleciach w nienormalnym procesie zwykłej egzystencji istnieniowej ziemskich istot trójmózgowych i zwanej „podatnością na sugestie”, czyli innymi słowy, zamieszkałem wśród istot społeczeństwa „Francji”.

Teraz, mój chłopcze, chcąc zapoznać cię ze specyficznymi aspektami psychiki tych francuskich istot trójmózgowych, zrobię to w taki sposób, abyś mógł z jednej strony uświadomić sobie, jak generalnie bardzo już osłabła u tych przypadłych ci do gustu trójmózgowych istot planety Ziemia normalna umiejętność kryształizowania wszelkich danych istnieniowych, które pozwalają na bezstronne i samodzielne rozumowanie, a z drugiej – zdać sobie sprawę, w jaki sposób obecnie formuje się w nich subiektywna esencjalna opinia o jakiegokolwiek rzeczywistości, czasami całkowicie sprzeczna z opinią, jaką by miały, gdyby tę samą rzeczywistość postrzegały bezpośrednio za pomocą swoich wrażeń.

To, co ci właśnie powiedziałem, można bardzo dobrze wyjaśnić na przykładzie owych francuskich istot.

W chwili obecnej w istotach wszystkich zbiorowości mających siedlisko zarówno na kontynencie Europa – gdzie, jak same mówią, skupia się ich „życie kulturalne” – jaki na pozostałych kontynentach obowiązkowo, od samego początku ich formowania się w istoty odpowiedzialne, krystalizują się dane stanowiące pod-

stawę ich wyobrażeń o indywidualności wspomnianych Francuzów i tworzące w nich ustalony pogląd, że ze wszystkich podobnych do nich istot Francuzi są na ich planecie najbardziej, jak się wyrażają, „rozpustni” i „nieskromni”.

Jeszcze zanim wybrałem społeczeństwo Francji na stałe miejsce egzystencji, również w mojej zbiorczej obecności uformowały się już dane do takiego wyobrażenia o nich, a to dlatego, że bywając tu i ówdzie i egzystując pośród tamtejszych istot z najprzeróżniejszych zbiorowości, zamieszkujących obecnie prawie wszystkie stałe lądy powierzchni twojej planety, w trakcie różnych rozmów często słyszałem taką opinię o francuskich istotach.

Chociaż wcześniej, jak już wspominałem, kilka razy odwiedziłem społeczeństwo Francji, jednak podczas moich poprzednich wizyt nie zwracałem szczególnej uwagi ani na osobliwości psychiki tych istot, ani na wiarygodność opinii, jaką wyrobiły sobie o nich niemal wszystkie pozostałe tamtejsze społeczności.

Ale tym razem, gdy zamieszkałem w jednym z tamtejszych prowincjonalnych miast i oczywiście instynktownie moja obecność oczekiwała natłoku wrażeń płynących z „niemoralnych” i „rozwiązanych” przejawów lokalnych istot trój mózgowych, ku mojemu wielkiemu i ciągle rosnącemu zdziwieniu od razu stwierdziłem że niczego takiego nie będę mógł tam zobaczyć.

Trochę później, kiedy zacząłem się obracać wśród nich, a nawet przyjaźnić z niektórymi i z ich rodzinami, nie dość, że zaczęły się we mnie dekrystalizować dane wywołujące taką „automatyczną opinię” o nich, to jeszcze równocześnie skryształizowały się we mnie „należyte dane istnieniowe” wzbudzające potrzebę dowiedzenia się, z jakiej dokładnie przyczyny w zbiorczych obecnościach istot innych społeczności mogły skryształizować się dane powodujące tak niezgodną z rzeczywistością opinię na ich temat.

Zainteresowanie tą kwestią rosło z dnia na dzień, ponieważ stopniowo w trakcie mojej egzystencji pośród nich zacząłem wyraźnie dostrzegać, że istoty tego społeczeństwa nie tylko nie są wcale najbardziej rozwiązłe i niemoralne, lecz wręcz przeciwnie, zdają się być najbardziej „patriarchalnymi” i „skromnymi” istota-

mi ze wszystkich trójmózgowych istot, jakie zgromadziły się na kontynencie Europa.

Otóż właśnie wtedy przystąpiłem do prowadzenia specjalnych obserwacji, a także zacząłem gromadzić odpowiednie informacje, aby wyjaśnić to nieporozumienie powstałe wśród twoich współczesnych ulubieńców.

Dopóki mieszkałem w tym prowincjonalnym mieście, nie mogłem niczego sobie wytłumaczyć, ale później, gdy udałem się do stolicy tych francuskich istot, już od pierwszego dnia podstawowe przyczyny tego nieporozumienia zaczęły stopniowo stawać się jasne dla mojego rozumu.

W wyjaśnieniu tych przyczyn pomogły mi moje obserwacje, bezstronny osąd, a także następujące fakty:

Tym razem po przybyciu do tej stolicy zwanej „Paryżem”.

– która, nawiasem mówiąc, w logiknestornych krystalizacjach współczesnych trójmózgowych istot twojej planety, mających siedlisko na wszystkich kontynentach, stała się teraz już w pełni takim samym centrum ich rzekomej kultury, jakimi dla istot poprzednich epok były kiedyś miasta Samlios, Kurkalaj, Babilon itd. – prosto z dworca kolejowego pojechałem do hotelu, który polecił mi jeszcze mój znajomy z Berlina.

Pierwsze, co spostrzegłem, to że cała obsługa tego hotelu składała się z cudzoziemców w większości mówiących po angielsku podczas gdy nie tak dawno, jak się dowiedziałem, wszyscy pracownicy tego samego hotelu mówili wyłącznie po rosyjsku.

Nazajutrz po przybyciu do tego współczesnego Samliosu od szukałem pewną istotę należącą do społeczeństwa zwanego „Persją”, którą zarekomendował mi mój dobry przyjaciel mieszkający w stolicy tego społeczeństwa.

Mój nowy perski znajomy jeszcze tego samego dnia wieczorem zaproponował, żebyśmy się przeszli po „Boulevard de Capucines” i posiedzieli chwilę w słynnej w tamtym czasie „Grand Café”.

Przybywszy do tej Grand Café, usiedliśmy przy jednym z wie lu stolików, które zgodnie z przyjętym w Paryżu zwyczajem zajmo-

wały połowę chodnika.

Jak ci już mówiłem, dla istot kontynentu Europa „kawiarnia spełnia taką samą rolę jak dla istot mających siedlisko na kontynencie Azja „czajchana”. Jedyna różnica polega na tym, że w czajchaniu na kontynencie Azja podaje się do picia czerwony płyn będący wyciągiem z dobrze znanego tam kwiatu, podczas gdy tu, na kontynencie Europa, chociaż w takich lokalach również serwuje się płyn, jednak jest on, po pierwsze, zupełnie czarny, a po drugie, nikt poza właścicielem lokalu nie wie, z czego został wyjęty.

Zaczelismy więc pić ten podany nam czarny płyn o nazwie „kawa”.

Także tu, w tej Grand Café, zauważyłem, że wszyscy służący lub, jak oni na nich mówią, „kelnerzy” byli istotami należącymi do innych zbiorowości, głównie do europejskiego społeczeństwa zwanego „Włochami”.

Musisz wiedzieć, że ogólnie w tej części miasta Paryż lub, mówiąc dokładniej, w tym „cudzoziemskim Paryżu” każdy fach to specjalność istot jakiegoś współczesnego społeczeństwa bądź to z kontynentu Europa, bądź też z innych kontynentów.

A zatem kiedy usiedliśmy przy stoliku w tej słynnej Grand Café, czy raczej na ulicy przed Grand Café, zaczelismy oglądać ludzi spacerujących drugą połowę chodnika.

Wśród tego przechadzającego się tłumu można było dostrzec istoty z prawie wszystkich odrębnych zbiorowości Europy, a także innych kontynentów, przede wszystkim należące oczywiście do społeczeństw, którym dane było wtedy żyć w dostatku, przy czym przeważały w owym tłumie istoty z kontynentu Ameryka.

Już nieodwołalnie istoty z kontynentu Ameryka zajęły w Paryżu miejsce istot wielkiego społeczeństwa Rosji – od czasu „śmierci” tego ostatniego.

Tak więc przechadzały się tam istoty należące głównie do kasty „klasy panującej”, które często odwiedzały tę, jak one mówią, „stolicę świata”, żeby trochę „się przewietrzyć”.

Wśród nich było również wielu handlowców przybyłych do Paryża po tak zwane modne towary, przeważnie perfumy i damską garderobę.

W tym różnorodnym tłumie spacerującym po Bulwarze Kapucynów można było zauważyć także wielu wyrostków, którzy przyjechali tam, żeby nauczyć się tańczyć „modne tańce” i robić „modne kapelusze”.

Gdy rozmawiając, obserwowaliśmy ten wymieszany tłum pełen twarzy, na których malował się wyraz satysfakcji ze spełnienia długo żywionych marzeń, mój nowy znajomy, młody Pers, wskazując palcem przechodzącą parę, wykrzyknął nagle ze zdziwieniem:

„Spójrz! Spójrz! Tam idą autentyczni Francuzi!”

Popatrzyłem i zobaczyłem, że faktycznie para ta bardzo przypomina istoty, które widywałem w prowincjonalnych miastach społeczeństwa Francji.

Kiedy zniknęli w tłumie, zaczęliśmy zastanawiać się nad tym, co spowodowało, że taka autentyczna francuska para znalazła się w tej części swojej „stolicy”.

Snując różne przypuszczenia, doszliśmy jednogłośnie do wniosku, że najprawdopodobniej owa para mieszka gdzieś na przedmieściach prawdziwego francuskiego Paryża i że z okazji jakiejś rodzinnej uroczystości złożyła właśnie wizytę krewnym mieszkającym w innej części tegoż Paryża, położonej dokładnie po przeciwnej stronie.

Najwidoczniej podczas tego rodzinnego święta trochę za dużo wypili i wracając do domu po zakończeniu uroczystości, nie chcieli nadkładać drogi, lecz postanowili pójść na przełaj. A najkrótsza droga, jak widać, biegła właśnie obok Grand Café.

Zapewne była to jedyna przyczyna tego, że ci autentyczni Francuzi znaleźli się w tej części Paryża.

Kontynuując rozmowę, przypatrywaliśmy się przez cały czas temu spacerującemu tłumowi, wystrojonemu według ostatniej mody.

Wprawdzie większość przechodniów miała na sobie najnowsze kreacje, wszystko jednak wskazywało na to, że ubrania te kupili właśnie dzisiaj lub najdalej wczoraj, i przy bliżej obserwacji oraz zestawieniu ich twarzy z odzieżą, można było nabrać niezachwianej pewności, że w zwykłym procesie ich egzystencji nieczęsto mieli u siebie w domu okazję ubierać się tak bogato i czuć tak bez-trosko.

Kiedy wśród tych „przyjezdnych zagranicznych ksiąząt” – jak nazywają ich niektórzy z „tubylców” – zrobiło się gęsto od wszelkiego rodzaju zagranicznych „profesjonalistów obojga płci” już dobrze „zaaklimatyzowanych” w tej części Paryża, mój nowy znajomy, młody Pers, zaproponował, że będzie moim paryskim cicerone i zaprowadzi mnie do „jaskiń rozpusty” Paryża, abyśmy mogli popatrzeć na „francuską rozwiązłość”.

Zgodziłem się i po wyjściu z Grand Café udaliśmy się najpierw do pobliskiego tak zwanego domu publicznego.

Tam dowiedziałem się, że właścicielem tej „szlachetnej placówki” jest pewien hiszpański Żyd.

W salonach tego domu pełno było kobiet: „Polek” „Wiedenek”, „Żydówek” i „Włoszek”, a nawet dwie „Murzynki”.

Chciałem zobaczyć, jak w takim otoczeniu prezentuje się autentyczna Francuzka, ale z odpowiedzi na moje pytania wywnioskowałem, że w tej instytucji nie było ani jednej „autentycznej Francuzki”.

Po wyjściu z owego domu publicznego poszliśmy znowu na „bulwary” i przechadzając się, oglądaliśmy zróżnicowany tłum spacerowiczów.

Także tam napotykaliliśmy bez przerwy masę istot płci żeńskiej, które nosiły na sobie wyraźne znamiona celu swoich „nocnych poszukiwań” na tych bulwarach.

Wszystkie te kobiety należały do wymienionych wcześniej narodowości, a także do jeszcze innych, mianowicie były tam „Szwedki” „Angielki”, „Rosjanki” „Hiszpanki” „Mołdawianki” itd., ale praktycznie żadnej autentycznej Francuzki.

Wkrótce zaczęły nas też nagabywać podejrzane istoty płci męskiej, które proponowały, abyśmy zrobili z nimi jakiegoś „Grand Diuka”.

Początkowo nie rozumiałem, co znaczy „Grand Diuk”, ale po kilku pytaniach wyjaśniło się, że całkiem niedawno, mianowicie w czasie rozkwitu – obecnie już martwej – „monarchii rosyjskiej”, te dziwne słowa nabrały w Paryżu całkiem określonego znaczenia.

Okazało się, że ówczesne istoty, należące do kasty „klasy rządzącej” tej nieboszczki Rosji, często lubiły przyjeżdżać do „stolicy świata” i prawie każda z nich „dla fasonu” podawała się za jakąś utytułowaną osobę: „hrabiego”, „barona” lub „księcia” najczęściej jednak za „wielkiego księcia” na którego mówi się po francusku „Grand Diuk”. A ponieważ wszystkie obowiązkowo składały „wizyty” w podejrzanych miejscach „cudzoziemskiego Paryża” więc tamtejsi zawodowi przewodnicy do dzisiaj nazywają taki „obchód” *turnée du Grand Duc*.

Wynająwszy jednego z tych przewodników, my także udaliśmy się na zwiedzanie nocnych „dziwów” tego współczesnego Kurkajaja.

Odwiedziliśmy przeróżne tamtejsze „szopki”; byliśmy w kawiarni „pederastów”, w klubie „lesbijek”, a także w wielu innych tego rodzaju „notorycznych ogniskach”, gdzie dzieją się wszelkiego rodzaju nienormalności, jakie od czasu do czasu pojawiają się we wszystkich głównych „centrach kultury” tych nieszczęsnych istot twojej planety.

Wstępując do takich „jaskiń rozpusty” dotarliśmy w końcu na ulice słynnego Montmartre’u, a mówiąc dokładniej, nie samego Montmartre’u, lecz dolnej części dzielnicy o tej nazwie, która obfituje we wszelkiego rodzaju niesławne „nocne lokale” przeznaczone jednakże nie dla istot społeczeństwa Francji, lecz wyłącznie dla istot, które przyjechały tam z innych samodzielnych zbiorowości, czyli, jak one same mówią, dla „obcokrajowców”.

Oprócz wielu takich „podejrzanych placówek” znajduje się tam



również masa nocnych restauracji, tak samo przeznaczonych wyłącznie dla zagranicznych gości i otwartych do samego rana.

Generalnie cała ta dzielnica ożywa tylko nocą, a w dzień jest praktycznie, jak mówią, „martwa” i żaden z przyjezdnych cudzoziemców tam wtedy nie chodzi.

Każda z wymienionych restauracji ma tak zwaną estradę, na której prezentowane są rozmaite „zadziwiające sceny” pochodzące ponoć z życia istot do nich podobnych, należących do różnych społeczności, które zamieszkują inne części powierzchni ich planety.

Można zobaczyć tam „taniec brzucha” istot afrykańskich, a także mieszkańców Kaukazu i ich „tańce z kindzałami”, jak również „mulatkę” z węzami – jednym słowem to, co tylko w danym sezonie uchodzi za „modną nowość”.

Ale wszystko, co pokazuje się w tych „teatrach Montmartre’u” rzekomo jako sceny z życia istot do nich podobnych, mających siedlisko na innych kontynentach tejże planety, nie ma w ogóle nic wspólnego z tym, co ja, który byłem wszędzie i z wielkim zainteresowaniem oglądałem i badałem wszystkie specyficzne przejawy istot każdego określonego regionu, faktycznie widziałem tam na miejscu.

Ostatnio otwarto na Montmartrze bardzo dużo tak zwanych specjalnych rosyjskich restauracji i zarówno w nich, jak i w innych lokalach występują w roli „artystów” lub „aktorów” istoty z wielkiego społeczeństwa Rosji, przeważnie należące do tamtejszej dawnej klasy rządzącej.

Warto, żebyś zwrócił uwagę na fakt, że w tych samych lokalach jeszcze całkiem niedawno ojcowie i dziadkowie owych „artystów” czy „aktorów” ze współczesnych „teatrów-restauracji” na Montmartrze wyśmiewali i poniewierali – oczywiście tylko dzięki „potowi swoich chłopów” – osobistą godność istot innych społeczeństw, teraz zaś ich własne dzieci i wnukowie sami się poniżają, zaspokajając „hasnamuskie kaprysy” przybyłych z innych społeczeństw istot z „wypchanymi kieszeniami”.

Do opisania takiego stanu rzeczy nasz mądry Mułła Nasr Eddin posługuje się jeszcze jednym bardzo mądrym powiedzeniem, a mianowicie mówi:

„Nawet jeśli tatuś lubi zjeżdżać na dziecięcych sankach, jego syn będzie musiał ciągnąć pod górę wielkie wiejskie sanie”.

Kiedy tak siedziałem w jednej z tych restauracji z moim nowym przyjacielem Persem, przywołali go jacyś jego perscy znajomi i zostałem przy stoliku sam z butelką szampana, którego w nocy trzeba obowiązkowo zamawiać w restauracjach na Montmartrze.

W tym miejscu swej opowieści Belzebub westchnął głęboko, a następnie kontynuował:

– Właśnie teraz, gdy opowiadam ci o tym wieczorze spędzonym w restauracji na Montmartrze wśród współczesnych istot trójmózgowych zamieszkujących tę przypadłą ci do gustu planetę Ziemia, mimowolnie ożyło we mnie „sarpitymne przeżycie istnieniowe”, którego doznałem wówczas, i obecnie wspomnienia wszystkiego, czego wtedy doświadczyłem, tak silnie i uporczywie asocjują się znowu w każdej z trzech uduchowionych części mojej zbiorczej obecności, że zmuszony jestem odejść od rozpoczętego tematu, by podzielić się z tobą smutnymi i przygnębiającymi refleksjami, do których pobudziła mnie samotność w tym upiornym otoczeniu na Montmartrze po oddaleniu się owego młodego Persa, pełniącego rolę mojego paryskiego cicerone.

Otóż właśnie wtedy po raz drugi w czasie całej mojej egzystencji zaczął przebiegać w moim jestestwie proces wspomnianego sarpitymnego przeżycia istnieniowego, wzbudzającego w mojej zbiorczej obecności oburzenie z powodu różnych niedopatrzeń naszych Najwyższych Przeświętych Kosmicznych Indywiduów i wynikających z nich wszelkich obiektywnych nieszczęść, które już się zdarzyły i być może dalej będą się zdarzać na planecie Ziemia, jak również w całym naszym Wielkim Wszechświecie.

Jak to możliwe, że w swoich obliczeniach harmonijnego ruchu skupień kosmicznych nie przewidziały one tego, że kometa Kondur zderzy się z tą nieszczęsną planetą Ziemia?

Gdyby ci, którzy mieli taki obowiązek, wzięli coś takiego w rachubę, nie doszłoby później do wszystkich wynikających z siebie nawzajem niefortunnych konsekwencji i nie byłoby potrzeby wszczepiania w pierwsze trójmózgowe istoty tej nieszczęsnej planety owego zgubnego dla nich organu kundabufor, który stał się przyczyną wszystkich dalszych dokuczliwych i przeraźliwych rezultatów.

Faktem jest, że potem, kiedy ten zgubny dla nich organ przestał już być potrzebny, został zniszczony, ale znowu nie przewidziano tego, że zniszczenie samego organu nie wystarczy, aby w przyszłości – przy wiadomym sposobie egzystencji istot – zapobiec łańcuchowi krystalizowaniu się następstw jego właściwości w obecnościach ich potomków.

Inaczej mówiąc, również tym razem nie przewidziały one, że nawet jeśli taki organ można zniszczyć, to przecież dla trójmózgowych istot planety Ziemia podstawowe kosmiczne prawo Heptaparaparszynoch z jego „mdnel-inami” pozostaje – w sensie procesu ewolucyjnego – takie samo jak dla wszystkiego, co istnieje w całym Wszechświecie.

Głównie z powodu tego drugiego, niemal zbrodniczego „niedopatrzania” powstała taka przeraźliwa dla tamtejszych istot trójmózgowych sytuacja, polegająca na tym, że choć z jednej strony ich zbiorcza obecność, tak samo jak obecność wszystkich trójmózgowych istot naszego Wielkiego Wszechświata, ma wszelkie możliwości oblekania wyższych ciał istnieniowych, to jednocześnie z powodu tkwiących już w nich krystalizacji różnych następstw właściwości organu kundabufor nie są one praktycznie w stanie doprowadzić tych oblekających się w nich wyższych świętych części do wymaganego stopnia udoskonalenia. Ponieważ jednak zgodnie z podstawowymi ogólnokosmicznymi prawami taka formacja jak „wyższa część istnieniowa”, która obleka się w zbiorczych obecnościach istot trójmózgowych, nie ulega już rozkładowi na planetach, a ciało planetarne istot nie może egzystować na planetach bez końca, lecz musi we właściwym czasie ulec procesowi świętego Raskuarno, więc te nieszczęsne wyższe

ciała ziemskich istot trójmózgowych zmuszone są poniewierać się niemal w nieskończoność w najróżniejszych zewnętrznych powłokach planetarnych.

Siedząc tak samotnie w restauracji na Montmartrze i patrząc na twoich współczesnych ulubieńców, którzy się tam zebrali, rozmyślałem dalej:

Ileż to wieków minęło, od kiedy zacząłem obserwować życie trójmózgowych istot tej nieszczęsnej planety!

W ciągu tych długich stuleci wysłano do nich z Góry całe mnóstwo świętych Indywiduów ze specjalną misją, by pomóc im uwolnić się od następstw właściwości organu kundabufor, a mimo to nic tu się nie zmieniło i cały proces zwykłej egzystencji istnieniowej wygląda tak samo jak przedtem.

Przez ten czas nie zarysowała się ani jedna różnica między trójmózgowymi istotami tej planety, które egzystowały prawie sto ichnich wieków temu, a tymi współczesnymi.

Czyż istoty, które siedzą tutaj teraz, nie są takie same i nie zachowują się równie niegodnie jak istoty z miasta Samlios na kontynencie Atlantyda – miasta uważanego przez wszystkie ówczesne istoty trójmózgowe za „źródło i skupisko rezultatów, które udało się uzyskać w domenie udoskonalenia ich rozumu” to znaczy, jak powiedziałyby istoty współczesne, za „główne centrum kultury” – gdzie również chodziłem do podobnych restauracji nazywanych wtedy przez nie „sakrupiakami”, aby posiedzieć wśród istot tamtej epoki?

A po zagładzie Atlantydy, kiedy po upływie wielu ichnich stuleci znalazłem się na kontynencie Azja w mieście Kurkalaj, nowym centrum kultury tego ich starożytnego społeczeństwa o nazwie „Tiklamysz” i czasami zasiadałem wśród nich w tamtejszych kątach, które też przypominały współczesne restauracje – czyż nie byłem tam świadkiem podobnych „scen”?

Na przykład tu, naprzeciw, w towarzystwie dwóch młodych ulicznic rozsiadł się utuczony współczesny jegomość z olbrzymim guzem na szyi... Gdyby tak ubrać go w strój „kafiriana” czyż

nie byłby wtedy całkiem podobny do tego typu, którego widziałem kiedyś w kałtanie w mieście Kurkalaj?

Lub tam, po lewej, siedzi przy innym stole współczesny młodzieniec, który piskliwym głosem tak przekonująco tłumaczy swoim kompanom od kielicha przyczyny zamieszek wywołanych w jakimś społeczeństwie... Gdyby włożyć mu na głowę „czambardach”, czyż nie można by go wziąć za prawdziwego, jak mówiono wtedy, „klianńskiego górala”?!

A ten wysoki mężczyzna, który przysiadł samotnie w kącie, udając wielkiego pana, i co chwila robi słodkie oczy do damy siedzącej w towarzystwie męża przy sąsiednim stoliku... czyż to nie prawdziwy „Werunk”?!

Albo ci kelnerzy usługujący klientom jak psy z podkulonymi ogonami... czyż nie można by powiedzieć, że to „askłajscy niewolnicy”?!

A w ich majestatycznym mieście Babilon, do którego trafiłem wiele ichnich stuleci później... czyż wszystko nie wyglądało tam dokładnie tak samo? Czyż trójmózgowe istoty miasta Babilon nie były takimi samymi Askłajami, Kafirianami, Werunkami, Klianami itd.?

Zmieniły się tylko ich ubrania i nazwy narodowości.

W czasach Babilonu zwano ich „Asyryjczykami”, „Persami”, „Sikirianami”, „Arabami” i jeszcze różnymi innymi „ami”.

Tak... i oto teraz po tylu wiekach znów znalazłem się tu, w ich współczesnym centrum kultury, mieście Paryż.

Nic się nie zmieniło: krzyk, hałas, śmiech, obelgi... takie same jak w mieście Babilon lub mieście Kurkalaj, czy też nawet w Samlios, ich pierwszym centrum kultury.

Również te dzisiejsze istoty gromadzą się, aby spędzić czas w sposób niegodny trójcentrowych istot, dokładnie tak samo, jak zwykły to czynić trójcentrowe istoty we wszystkich poprzednich okresach egzystencji tej nieszczęsnej planety.

Przez ten czas, gdy obserwowałem tych nieszczęśników, nie dość, że przepadły bez śladu całe narody wraz z ich centrami kul-

tury; to jeszcze same lądy, na których te narody egzystowały, albo całkowicie się zmieniły, albo znikły z powierzchni tej planety, jak to się stało na przykład z kontynentem Atlantyda.

Po Samlios ich kolejnym centrum był kontynent „Graboncy”. Czyż tamtejsze ludy nie przepadły dokładnie w ten sam sposób? A nawet jeśli kontynent Afryka nie został wchłonięty, to i tak miejsce, gdzie znajdowało się jego centrum, jest teraz tak zasypane piaskami, że nie zostało tam już nic prócz pustyni o nazwie „Sahara”.

Znowu minęło wiele stuleci i tym razem ich główny ośrodek powstał w Tiklamyszu. Co z niego zostało poza pustynią, która nazywa się teraz „Czerwone Piaski”?

Nawet jeśli jakiś sławny niegdyś naród ocalał do dzisiaj, to w tej chwili, w tysięcznym pokoleniu, w ogóle się już nie liczy i wegetuje gdzieś niedaleko miejsca, w którym mieszkała kiedyś ta sama narodowość.

Potem znów upłynęło wiele wieków.

Zobaczyłem ich centrum Babilon. Co się ostało z tego ich faktycznie wielkiego Babilonu? Parę kamieni w miejscu, gdzie znajdowało się kiedyś miasto, i jakieś resztki niegdyś wielkich narodów, które co prawda nadal istnieją, ale nic już nie znaczą w oczach współczesnych istot.

Cóż więc stanie się z tym ich współczesnym centrum kultury, miastem Paryż, i z tymi potężnymi dzisiaj narodami, które skupiają się wokół niego: Francuzami; Niemcami, Anglikami, Holendrami, Włochami, Amerykanami itd.?

Pokażą to przyszłe stulecia.

Na razie tylko jedno jest pewne: te nieszczęsne załączki wyższych ciał istnieniowych, które powstały i dalej powstają w niektórych tutejszych istotach trójmózgowych, są zmuszone, jak już powiedziałem, bezustannie „poniewierać się” w obecnościach wszelkiego rodzaju nienormalnych formacji, których urzeczywistnianie – z powodu niezgodnych z prawem następstw nieprzezorności pewnych naszych Najwyższych Przeświętych Ko-

smicznych Indywiduów – stało się charakterystyczne dla tej nie-  
szczęsnej planety Ziemia.

Wciąż byłem pogrążony w tych tak smutnych dla mojej esencji  
myślach, gdy zjawił się z powrotem mój nowy przyjaciel; młody  
Pers.

Po jakimś czasie, kiedy zrobiło się tam już zbyt głośno i duszno,  
postanowiliśmy opuścić to miejsce i udać się do innej restauracji,  
również na Montmartrze.

Ale kiedy wstaliśmy i chcieliśmy już wychodzić, istoty z grona  
siedzącego przy sąsiednim stoliku, usłyszawszy naszą rozmowę  
o miejscu, do którego mieliśmy zamiar pójść, poprosiły, abyśmy  
na chwilę usiedli przy ich stoliku i dopiero potem udali się tam  
wszyscy razem. Chodziło im o to, żebyśmy poczekał na ich przy-  
jaciela.

Ci nasi nowi znajomi okazali się istotami z kontynentu Amery-  
ka.

Chociaż atmosfera w restauracji robiła się coraz bardziej nie-  
przyjemna i rosła wrzawa podpitych głosów, początkowo zgodzi-  
liśmy się poczekać na ich przyjaciela; ale kiedy w drugim kącie  
sali wybuchła nagle awantura, postanowiliśmy wyjść, nie czeka-  
jąc już na amerykańskie istoty.

Jak się okazało, owa awantura po przeciwnej stronie sali wybu-  
chła z tego powodu, że pewna istota walnęła w łeb butelką szam-  
pana inną istotę z tej samej paczki, i to tylko dlatego, że ta ostat-  
nia nie zgodziła się wypić za zdrowie premiera jakiegoś tamtej-  
szego rządu, lecz chciała obowiązkowo pić za zdrowie „tugurskie-  
go sułtana”.

W drodze do drugiej restauracji towarzyszył nam jeden z Ame-  
rykanów, który nie chciał już dłużej czekać na swego przyjaciela.

Przy bliższym poznaniu owa amerykańska istota trójmózgowa  
okazała się wesołą, spostrzegawczą i gadatliwą.

Przez całą drogę, a potem już tam, w nowym lokalu, do którego  
przybyliśmy, bez przerwy mówiła i rozśmieszała nas, głównie  
swoimi bystrymi i trafnymi uwagami o różnych komicznych za-

chowaniach przechodniów oraz gości siedzących w restauracji.

Później, wypytując tego Amerykanina, dowiedziałem się, że jest on w Paryżu właścicielem dużej szkoły modnych tańców.

Ze wszystkiego, co opowiedział mi o tej swojej firmie, zrozumiałem, że do jego szkoły uczęszczają wyłącznie istoty amerykańskie, które uczą się tam przede wszystkim swojego ulubionego tańca, „fokstrot”.

Zrozumiałem też, że ów fokstrot jest produktem czysto amerykańskiego pochodzenia i że w głównej mierze robi furorę właśnie w Ameryce.

Toteż kiedy wspólnie wybieraliśmy nowy gatunek szampana i ten wesoły Amerykanin przerwał na chwilę paplaninę, zapytałem go:

„Proszę, niech mi drogi pan powie, skoro rzeczywiście tak jest, to dlaczego nie otworzy pan szkoły u siebie w Ameryce, zamiast tutaj, w Paryżu, tak daleko od własnego kraju i miejsca powstania tego «dobroczynnego fokstrot»?”

„Czy pan nie rozumie?... – wykrzyknął szczerze zaskoczony. – Przecież ja mam dużą rodzinę!

Gdybym miał prowadzić taką szkołę w mojej ojczyźnie, to nie tylko cała moja rodzina umarłaby z głodu, ale nawet nie mógłbym pozwolić sobie na wynajęcie wilgotnego nowojorskiego pokoju, gdzie w czasie niepogody moglibyśmy się schronić przed tamtejszymi arktycznymi wichrami.

Za to tutaj, w mieście Paryż – chwała Naszemu Stwórcy! – chętnych do nauki fokstrot, i to za grube pieniądze, jest zatrzęsienie”.

„Nie rozumiem – przerwałem. – Przecież powiedział pan, że pańskimi uczniami są tutaj wyłącznie przybysze z pana kraju, a jednocześnie twierdzi pan, że tam nikt by się do takiej szkoły nie zapisał. O co tutaj chodzi?”

„No właśnie o to – odpowiedział szacowny Amerykanin. – Cała tajemnica tkwi w małym psychologicznym haczyku, jednym z wielu takich specjalnych haczyków, które składają się ogółem



na głupotę moich rodaków.

Rzecz w tym, że moja szkoła znajduje się w Paryżu lub, jak mówią w Ameryce «tęgie głowy», we «współczesnym Babilonie».

Ten współczesny Babilon jest niezwykle popularny wśród Amerykanów i każdy z nich uważa za swój obowiązek odwiedzić «stolicę świata».

Wszyscy Amerykanie, nawet ci średnio zamożni, muszą tutaj koniecznie przyjechać.

A czy pan wie, że w Ameryce nie jest wcale tak łatwo się dorobić? To tylko tu, w Europie, panuje opinia, że dolary w Ameryce walają się po ulicach. Ale tak naprawdę, powtarzam, tym, którzy tam żyją, wcale nie tak łatwo przychodzi zdobyć te dolary. Na każdy cent trzeba zapracować własną fizyczną pracą.

U nas, w Ameryce, nikt nie płaci za różne efemeryczne wartości zwane «sławą», «nazwiskiem», «talentem» itd., jak to się dzieje w niektórych krajach europejskich.

Na przykład tu, w Europie, jeśli jakiś malarz namaluje przypadkowo dobry obraz i stanie się przez to sławny, to później, niezależnie od tego, jaką szmirę wyprodukuje, już zawsze ludzie będą płacić za takie barachło grube pieniądze tylko dlatego, że jest dziełem tego ponoć «wybitnego» malarza.

Pod tym względem w Ameryce rzecz wygląda całkiem inaczej. Tam wszystko przelicza się na gotówkę i każdy wysiłek mierzy się tylko w metrach albo kupuje na wagę. Nazwisko, talent, geniusz... tego rodzaju «towary» są u nas bardzo tanie, i dlatego tak trudno jest Amerykanom zdobywać dolary.

Na moje szczęście ci nasi Amerykanie mają wiele słabości, a wśród nich pasję «zwiedzania Europy».

Aby zaspokoić taką namiętność, każdy Amerykanin, czasem odmawiając sobie rzeczy niezbędnych, odkłada po trochu te z wielkim trudem zarobione dolary tylko po to, by móc odwiedzić Europę, no i oczywiście «stolicę świata» – Paryż.

Z tego głównie powodu tutejsze ulice są «zalane» moimi rodakami. A poza tym, ponieważ nasi Amerykanie mają jeszcze jedną

wielką słabość, mianowicie próżność, schlebia im, gdy ludzie mówią o nich, że nauczyli się fokstrota nie w jakiejś Filadelfii czy Bostonie, ale w samym Paryżu, skąd pochodzą wszystkie modne nowinki dla całej Ziemi. A skoro fokstrot to również taka modna nowinka, więc «paryski fokstrot» jest dla nich, by tak rzec, „rezultatem ostatniego słowa cywilizacji”.

Dlatego właśnie dzięki tym dwóm «bakcydom», którymi zaraził się nasi Amerykanie, ja, biedny nauczyciel tańca, zawsze znajduję tutaj wystarczającą liczbę rodaków gotowych dobrze mi zapłacić.

Faktem jest, że płacą mi we frankach, a nie w dolarach, ale właściciele kantorów też przecież muszą coś zarobić – oni także mają rodziny”.

Po tych wyjaśnieniach zapytałem go jeszcze:

„Proszę, niech mi szanowny pan powie, jak to możliwe, że pańscy rodacy przyjeżdżają do Paryża i zatrzymują się tutaj tak długo tylko po to, by nauczyć się tego waszego fokstrota?”

„Dlaczego tylko fokstrota? – odpowiedział. – Przecież przy okazji zwiedzają również Paryż i jego okolice, a zdarza się nawet, że wyprawiają się w całkiem dalekie podróże. Jednym słowem, w tym samym czasie «studiują» także Europę.

«Zwiedzają» i «studiują» Europę, aby, jak to się u nas określa, «uzupełnić swoje wychowanie i wykształcenie»; ale mówiąc między nami, to tylko jedna z wykutych formułek, powtarzana przez tych z nas, którzy chcą uchodzić za prawdziwych Anglików.

W rzeczywistości moi rodacy zwiedzają Paryż i Europę jedynie po to, by zaspokoić tę słabość zwaną «próżnością».

Zwiedzają je nie dlatego, że chcą powiększyć swoją wiedzę i zasób informacji, ale wyłącznie po to, by potem w domu przechwalać się w rozmowie ze znajomymi, że byli w Europie i widzieli tam ponoć to, to i to.

Tutaj; w Europie, właśnie w tym celu powstały w każdym dogodnym miejscu filie instytucji pod nazwą «Cook i Syn», która znakomicie zaspokaja tego rodzaju zapotrzebowanie; no i oczywi-

ście jeden taki oddział znajduje się także w Paryżu.

Otóż ci moi drodzy rodacy zbierają się jak «stado baranów» w grupy po kilkadziesiąt osób, a następnie cała taka zgraja «turyistów» zasiada w olbrzymim, jak to się mówi, «autobusie Cooka» i jadą tam, gdzie ich zawiozą.

W tym autobusie Cooka oprócz kierowcy jest jeszcze jeden «zaspany cookowski typ».

W trakcie przemieszczania się tego słynnego autobusu Cooka ów «zaspany typ» niemrawym głosem wymawia od czasu do czasu wykute na pamięć nazwy miejsc oraz różnych historycznych, a także niehistorycznych «atrakcji» Paryża i jego okolic, które znajdują się wzdłuż «trasy» ułożonej przez samego Cooka. Oto w jaki sposób moi drodzy rodacy «studiują» Europę.

Te «zaspane typy» mają bardzo słaby głos i wyglądają na poły suchotniczo, ponieważ zawsze są bardzo zmęczone i niewyspane, co pewnie wynika z tego, że wielu z nich nocą ciężko pracuje jeszcze gdzie indziej, aby starczyło im na utrzymanie rodziny, czego marna pensja u «Cooka i Syna» zapewnić im nie może, gdyż utrzymanie rodziny to wcale niełatwe zadanie, szczególnie w Paryżu.

A jakież to ma znaczenie, że moi drodzy rodacy niewiele słyszą z tego, co te «zaspane typy» mówią swymi słabymi głosami? Czyż im nie wszystko jedno, co i jakim głosem mamrocze taki «zaspany typ»? Przecież i tak nie potrzebują dokładnie wiedzieć, na co patrzą. Nieważne jest, co zobaczyli ani co to wszystko znaczy, liczy się tylko sam «fakt», że byli w tym miejscu i że, ogólnie rzecz biorąc, wszystko obejrżeli.

To już w zupełności im wystarcza, gdyż później w rozmowie mogą śmiało i z «czystym sumieniem» powiedzieć, że byli tu i tam, a wszyscy inni Amerykanie pomyślą wtedy, że rozmówca to nie jakiś «ośli łeb», lecz ktoś, kto rzeczywiście był w Europie, wszystko tam zwiedził i nie ominął żadnej «atrakcji», którą każdy współczesny «inteligent» powinien zobaczyć.

Ech! Mój drogi panie... Czy myśli pan, że tylko ja żyję z «głupo-

ty» moich rodaków?

Tak naprawdę kim ja jestem?... Tylko małym człowiekiem, prostym nauczycielem tańca.

Ale czy zauważył pan tego tęgiego gościa, który siedział ze mną w pierwszej restauracji? Z niego to dopiero jest prawdziwy «rekin». Nawiasem mówiąc, u nas, w Ameryce, szczególnie w ostatnich czasach, namnożyło się ich bez liku.

Ten otyły jegomość to zamerykanizowany angielski Żyd i jeden z głównych udziałowców pewnej znanej, bardzo solidnej amerykańskiej firmy.

Firma ta ma swoje oddziały w wielu amerykańskich i europejskich miastach, a wspomniany tęgi gość, który siedział ze mną w pierwszej restauracji, pełni właśnie obowiązki dyrektora paryskiego oddziału.

Niestety, owa spółka, która zbija kokosy na skutek głupoty moich rodaków, robi to z lekko przesadną «podłością».

Otóż ten ich «interes» kręci się w następujący sposób:

Tutejszy oddział tej firmy stał się szeroko znany wśród moich rodaków dzięki reklamie w amerykańskim stylu i teraz wielu z nich, przez wspomnianą «próżność» i jeszcze z powodu paru innych słabości, które, nawiasem mówiąc, są typowe dla takich istot, jakimi w większości są moi krajanie, zawsze zamawia «modne stroje» w tym tutejszym oddziale, który potem wysyła im te «autentyczne francuskie modele» prosto «ze stolicy świata».

Wszystko to odbywa się przepisowo, zgodnie z wszelkimi zasadami współczesnego handlu i w oparciu o «włoską księgowość» oraz «buchalterię szacher-macher».

Jeśli zaś chodzi o, by tak rzec, «intymną stronę handlową» tej naszej amerykańskiej «solidnej firmy» założonej przez różne amerykańskie «rekiny», to trzeba zobaczyć, jak te «rekiny» obrabiają wszystkich do cna, i to wyłącznie dlatego, żeby napchać sobie dziurawe kieszenie.

A zatem gdy ten paryski oddział otrzymuje z pierwszej ręki pi-

semne zamówienie od swych amerykańskich klientów, zamówienie to jest od razu wysyłane pro...sto do oddziału niemieckiego i tam, w Niemczech, gdzie materiały i koszt robocizny są dużo tańsze niż tu, w Paryżu, tamtejszy oddział po-ci-chut-ku i po-wolut-ku wykonuje to amerykańskie «pisemne zamówienie» zgodnie ze wszystkimi wymogami «paryskiej mody», a potem najspokojniej w świecie przyszywa do swojego wyrobu „paryską metkę” i pro...sto z Hamburga wysyła go statkiem do nowojorskiego oddziału, z którego klient odbiera swoje zamówienie szczęśliwy i dumny, że jutro założy na siebie «nie byle co», lecz autentyczną «kreację» uszytą w samym Paryżu podług «najnowszej paryskiej mody».

Najbardziej interesujące w całej tej historii jest to, że na tych «pośredniczych machlojkach» owej «solidnej firmy» nikt nie traci, a wręcz przeciwnie, są one dla wszystkich «wygodne», «łatwe» i «opłacalne». Nawet Francuzi, gospodarze «stolicy świata», zyskują na takim «handlu»., ale... oczywiście tylko tyle, ile są w stanie zarobić na sprzedaży znaczków, które paryski oddział musi nakleić na swoją korespondencję ze zleceniodawcami.

Jak pan widzi, wszyscy są zadowoleni, każdemu jest miło i nawet «na rękę», a najważniejsze, że w ten sposób sprawdza się ekonomiczno-polityczny aksjomat – fakt, że nie przez wszystkich uznawany – zgodnie z którym żadne państwo nie mogłoby istnieć bez międzynarodowej wymiany towarów.

A kimże takim jestem ja?! Tylko biednym nauczycielem tańca!''.

Ten wesoły Amerykanin chciał jeszcze coś powiedzieć, ale w tym momencie w sąsiedniej sali restauracyjnej zapanował popłoch i rozległy się zrozpaczone głosy siedzących tam mężczyzn i kobiet. Wstaliśmy, żeby wyjść, i dowiedzieliśmy się dopiero na ulicy, że istota pici żeńskiej ze społeczeństwa zwanego „Hiszpanią” oblała kwasem siarkowym twarz innej istoty również pici żeńskiej, ze społeczeństwa zwanego „Belgią” ponieważ ta ostatnia podarowała istocie płci męskiej ze społeczeństwa zwanego „Gruzją” – na której paryską egzystencję łożyła do tego dnia ta pierwsza – papierośnicę z wygrawerowanym napisem: „Zawsze do

pana usług”.

Gdy wyszliśmy na ulicę, zrobiło się późno, a nawet już świtało, toteż rozstawszy się z tym zabawnym Amerykaninem, rozeszliśmy się do swoich hoteli.

Wracając z tego słynnego Montmartre’u, rozmyślałem o wszystkim, co tam zobaczyłem i usłyszałem, i właśnie wtedy dokładnie pojąłem, dlaczego oraz w jaki sposób istoty należące do innych społeczeństw wyrobiły sobie tak niezgodną z rzeczywistością opinię o istotach społeczeństwa Francji.

Po tym wszystkim, co zobaczyłem i usłyszałem w tej części Paryża, stało się dla mnie jasne, że zaraz po przyjeździe do Francji istoty innych społeczeństw trafiają prosto do tej części Paryża i do innych tego rodzaju miejsc, gdzie wszystko bez wyjątku zostało zorganizowane i przystosowane specjalnie pod ich kątem, i to przez takich samych jak one obcokrajowców, którzy przybyli tu jednak dużo wcześniej i dzięki temu nauczyli się o wiele lepiej od nich mówić miejscowym językiem.

A ponieważ ogólnie zdolność istnieniowego rozeznania zanikła już u współczesnych istot i brak im, by tak rzec, „szerokich horyzontów istnieniowych” wszystko, co tam widzą, uznają one za „francuskie”, a potem, po powrocie do swego społeczeństwa, wciąż opowiadają rodakom o tym, co zobaczyły, usłyszały i czego doświadczyły w tej części Paryża, tak jakby wszystko to było czysto francuskie i pochodziło wyłącznie od francuskich istot.

Właśnie w ten sposób stopniowo kształtuje się w innych istotach taka niezgodna z rzeczywistością opinia o Francuzach.

Zresztą opinia o istotach społeczeństwa Francji, jaka uformowała się w oryginalnej świadomości istot innych społeczeństw, ma jeszcze jedną głębszą przyczynę, która w danym wypadku tkwi w pewnej osobliwości ich zbiorczej psychiki. Również i tę osobliwość zawdzięczają owej szkodliwej praktyce, którą same wymyśliły i zwą „wychowaniem”.

Rzecz w tym, że tam, od pierwszego dnia ich, jak to określają, „przyjścia na boży świat” gdy Przyroda jeszcze sama rozwija

w nich pierwotny zarodek przyszłej odpowiedzialnej istoty trójmózgowej, ich rodzice, przez to ichnie szkodliwe wychowanie, zaczynają Przyrodzie przeszkadzać w tym niezbędnym procesie.

Co więcej, wskutek tego swojego szkodliwego nawyku „wychowywania” zapełniają i zawalają rozmaitymi efemerycznie-fantastycznymi ideami tak zwane koncentracje specyjalistyczne lub, jak by tam powiedziano, „mózgi” tych nowo narodzonych istot – mózgi, które generalnie lokalizują się w istotach po to, by postrzegać i gromadzić wszelkiego rodzaju wrażenia i rezultaty świadomego istnieniowego pojmowania, i które są w tych noworodkach jeszcze zupełnie czyste, a także w najwyższym stopniu chłonne.

Ich największe nieszczęście polega na tym, że ten szkodliwy proces toczy się u większości z nich niemalże bez przerwy do chwili osiągnięcia przez nie wieku, w którym powinny stać się istotami odpowiedzialnymi.

W rezultacie tego wszystkiego pojawia się właśnie wspomniana osobliwość ich zbiorczej psychiki, która polega na tym, że po pierwsze, ogólne działanie niemal każdej ichniej funkcji służącej do aktywnych przejawów istnieniowych tak się z czasem przystosowuje, że reaguje jedynie na całokształt wspomnianych fałszywych i fantastycznych idei, a po drugie, że u każdej z nich cała obecność stopniowo przyzwyczajają się do postrzegania wszystkich nowych wrażeń zewnętrznych bez żadnego udziału tych czynników istnieniowych, jakimi Przyroda obdarzyła istoty, aby dać im możliwość nowych percepcji – to znaczy do postrzegania ich tylko na podstawie tych fałszywych i fantastycznych idei, które już wcześniej im wpojono.

Koniec końców tamtejsze współczesne istoty trójmózgowe tracą podczas tych swoich nowych percepcji nawet samą potrzebę uchwycenia w całości tego wszystkiego, co po raz pierwszy widzą i słyszą, i tym samym to, co nowo zobaczone i nowo usłyszane, powoduje wstrząs wywołujący w nich tylko takie skojarzenia, które odnoszą się do informacji wdrożonych im uprzednio i odpowiadających tym nowym percepcjom.

Tak więc kiedy twoi współcześni ulubieńcy stają się już istotami odpowiedzialnymi, wszystko, co widzą i słyszą po raz pierwszy, jest przez nich postrzegane zupełnie automatycznie, bez jakiegokolwiek wysiłku ze strony ich esencjalnych funkcji, i nie wywołuje to w nich, jak już powiedziałem, żadnej istnieniowej potrzeby doznawania oraz pojmowania tego wszystkiego, co dzieje się zarówno w nich samych, jak i na zewnątrz.

Jednym słowem, zadowolają się wyłącznie tym, co ktoś kiedyś, świadomie lub nieświadomie, im wpoił.

Mam nadzieję, mój drogi chłopcze, że po tym wszystkim, co ci teraz powiedziałem, sam już potrafisz zrozumieć, dlaczego wśród trójmózgowych istot należących do innych zbiorowości twojej planety skryzalizowały się w odniesieniu do istot tej odrębnej zbiorowości, która występuje tam pod nazwą „Francja”, dane do wyrobienia sobie takiej niezgodnej z rzeczywistością opinii.

Jakkolwiek by było, jest wielkim nieszczęściem dla zwykłych istot Francji, że współczesne istoty trójmózgowe należące do innych wyodrębnionych zbiorowości wybrały na ulubione miejsce swych „kulturalnych przejawów” stolicę tego społeczeństwa.

Ja osobiście w każdym razie współczuję całą swoją esencją zwykłym istotom tego społeczeństwa, że ich stolica – nawet jeśli tylko w jednej wyznaczonej części – została uznana za współczesne „centrum kultury” całej tej planety.

Aż dziw, że mimo zupełnie nienormalnych warunków zwykłej egzystencji istot społeczeństwa Francji, będących wynikiem tego, że na ich nieszczęście ichniejsza stolica, jak przed chwilą wspominałem, była i jest uznawana za współczesne „główne centrum kultury” całej tej nieszczęsnej planety, większość z nich – aczkolwiek zupełnie nieświadomie – potrafiła zachować w swych obecnościach dane niezbędne do dwóch impulsów istnieniowych, na których opiera się obiektywna moralność istnieniowa, a które zwane są „patriarchalnością”, czyli miłością do rodziny i „organicznym wstydem”.

Jednocześnie, ponieważ do tego współczesnego centrum kultu-



ry już od dawna napływają z całej planety istoty bez reszty oddane tamtejszemu „złemu bogowi” rządzącemu wszechwładnie wewnątrz każdej z nich, a konkretnie temu „złemu bogowi”, który stał się ich ideałem i którego można bardzo trafnie określić słowami: „całkowite uwolnienie się od potrzeby istnieniowego wysiłku i od wszelkiego esencjalnego niepokoju związanego z czymkolwiek” więc oczywiście po przyjeździe do Francji owe istoty, świadomie lub nieświadomie, muszą wywierać odpowiednio szkodliwy wpływ na istoty całego tamtejszego społeczeństwa.

Dobrze zrozumiesz, mój chłopcze, jak wielkim nieszczęściem dla zwykłych istot społeczeństwa Francji jest to, że współczesne centrum kultury znajduje się właśnie u nich, jeśli opowiem ci o pewnej wynikającej z tego konsekwencji. Dowiedziałem się o niej z informacji dotyczących trójcentrowych istot twojej planety, które przekazano mi w jednym z ostatnich eterogramów.

Musisz wiedzieć, iż stało się już rzeczą całkiem normalną, że kiedy tamtejsze istoty całkowicie oddane temu ich, wspomnianemu przeze mnie, „wewnętrznemu złemu bogowi” napływają do jednego z takich głównych centrów kultury, mają wtedy w zwyczaju – wśród innych szkodliwych czynności – wymyślać z nieróbstwa, tylko po to, by dogodzić swym zachciankom, „nowe formy przejawiania swego hasnamusostwa” lub, jak się tam mówi, „nowe mody”, które rozpowszechniają następnie po całej planecie.

Ten hasnamuski zwyczaj „tworzenia nowych mód” istniał już w poprzednich cywilizacjach i w okresie cywilizacji tiklamyszyckiej znany był pod nazwą „adjat”, a w okresie babilońskim – „hajdia”.

„Adjat” „hajdia” lub „moda” polega na wymyślaniu przez istoty nowych sposobów istnieniowego przejawiania się w trakcie zwykłej egzystencji, a także sposobów zmieniania i kamuflowania faktycznego stanu ich własnej obecności.

Adjat, hajdia lub moda odgrywają w ich codziennej egzystencji istnieniowej taką samą rolę jak nasze zwyczaje, przy czym te ostatnie zostały wprowadzone w życie powszednie trójmózgo-

wych istot w celu złagodzenia nieuniknionych, niezależnych od nich zewnętrznych warunków egzystencji i zazwyczaj stopniowo przenikają wszędzie do codziennej praktyki istot jako ich niezbędna i esencjalna potrzeba. Za to te ich współczesne zwyczaje czy mody są, po pierwsze, przejściowe i służą jedynie zaspokojeniu osobistych, już fenomenalnie nienormalnych, małostkowo egoistycznych i banalnych potrzeb tych obecnych oraz przyszłych Hasnamusów, a po drugie, są ni mniej, ni więcej, tylko rezultatami automatycznego rozumu opierającego się na względnych pojęciach, będących najczęściej wytworem nienormalnie ustalonych tam warunków zwykłej egzystencji istnieniowej.

Otóż około półtora ich wieku temu w tym samym mieście Paryżu kilku ichnich kandydatów na Hasnamusów „wymyśliło” wpierw, że tamtejsze istoty płci żeńskiej powinny chodzić z obciętymi włosami, a następnie zaczęło rozpowszechniać wszędzie ten szkodliwy wymysł za pomocą wypróbowanych już przez siebie środków i metod.

Ponieważ jednak w istotach płci żeńskiej społeczeństwa Francji uczucia moralności i patriarchalności były w tamtym okresie wciąż bardzo silne, nie zastosowały się one do tego szkodliwego wymysłu, ale za to istoty płci żeńskiej społeczeństw zwanych „Anglią” i „Ameryką” zrobiły z niego użytek i zaczęły obcinać sobie włosy.

Przy okazji warto zaznaczyć, że na takie dobrowolne pozbawianie się przez istoty płci żeńskiej – należące do obu wymienionych społeczeństw – tej swojej części, którą Wielka Przyroda przystosowała do określonej wymiany substancji kosmicznych, nie omieszkała zareagować ta sama Przyroda i zaczęła wywoływać odpowiednie rezultaty, które z pewnością przybiorą w przyszłości formy, jakie już dwukrotnie wystąpiły na tej planecie: po raz pierwszy w kraju „Uneano”, obecnym „Kafirystanie”, gdzie pojawiły się tak zwane Amazonki, a po raz drugi w starożytnej Grecji, gdzie powstała „religia poetki Safony”.

Jak dotąd strzyżenie kobiecych włosów doprowadziło w tych dwóch współczesnych społeczeństwach, mianowicie społeczeń-

stwie Anglii i Ameryki, do pojawienia się w pierwszym z nich „sufrażystek”, a w drugim członkiń „Christian Science” oraz „teozofek”, a ponadto, kiedy ta „hasnamuska moda” obcinania włosów nieszczęsnych istot płci żeńskiej już wszędzie szeroko się wśród nich rozpowszechniła, o czym zresztą opowiem ci później, zaczęto wtedy odnotowywać – jak dowiedziałem się z przekazanego mi eterogramu – proporcjonalny wzrost liczby tak zwanych chorób kobiecych, czyli różnego rodzaju wenerycznych zapaleń organów płciowych, jak na przykład „vaginitis”, „uteritis”, „ovarytis”, a także „fibromy” oraz „raka”.

Tak więc, mój chłopcze, chociaż ta „moda” obcinania włosów istot płci żeńskiej, którą wymyśliły w Paryżu istoty o właściwościach hasnamuskich, na początku w ogóle nie przyjęła się w społeczeństwie Francji, to wskutek tego, że tamtejsza stolica stała się skupiskiem istot o właściwościach hasnamuskich z różnych krajów, te ostatnie, upierając się przy tym szkodliwym wymyśle, dopięły w końcu swego, tak że również we Francji istoty płci żeńskiej zaczęły obcinać włosy i tego rodzaju strzyżenie stało się tam już nagminne. Ze wspomnianego eterogramu dowiedziałem się jeszcze, że u fryzjerów; oczywiście przede wszystkim tych paryskich, trzeba zamówić sobie kolejkę, dokładnie tak, jak niedawno temu ludzie ze społeczeństwa Rosji musieli zapisywać się do kolejki po „amerykańską mąkę”. Taki zaraźliwy pęd kobiet do obcinania włosów doprowadził już do procesów sądowych, które wytoczyli fryzjerom ojcowie, mężowie oraz bracia tych „strzyżonych owieczek”, a także do licznych, jak one mówią, „rozwodów”.

Jest rzeczą ciekawą, że tamtejsi sędziowie – o czym poinformowano mnie w tym samym eterogramie – za każdym razem uniewinniali fryzjerów, kierując się tym, że istoty płci żeńskiej, które się do nich zwróciły, miały ponad szesnaście lat i osiągnęły już, zgodnie z obowiązującym prawem, pełnoletność, a to znaczy, że wolno im robić wszystko, na co mają ochotę.

Ale oczywiście gdyby ci francuscy sędziowie i w ogóle sędziowie z całej planety wiedzieli, że we Wszechświecie istnieje określone prawo stosujące się do wszystkich bez wyjątku form życia,

które służą wielkiemu Trogoautoegokratowi do przekształcania substancji kosmicznych; na pewno wyrobiliby sobie zupełnie inną opinię na temat pojęcia określanego przez nich słowem „pełnoletność”.

Chodzi o to, że zgodnie z tym określonym prawem kosmicznym wszystkie takie osobne indywidua, jak zresztą wszelkie kesczapmartne istoty płci żeńskiej, stanowią podczas transformacji substancji kosmicznych źródła tych elementów aktywnych, które w kolejnych formacjach kosmicznych muszą w trakcie fuzji w procesie Wielkiego Świętego Prawa Triamazikamno występować jako jego druga święta siła, to znaczy, że te istoty są zawsze, jak to się mówi, zasadą „przeczącą” lub „pasywną”.

A zatem, dzięki wspomnianemu przeze mnie przed chwilą określonymu prawu kosmicznemu, takie źródła, których zadaniem jest przekształcanie elementów aktywnych pełniących rolę zasady pasywnej, nigdy nie mogą mieć żadnych niezależnych przejawów. Tego rodzaju samodzielnością mogą się cieszyć tylko te źródła, które przekształcają elementy aktywne służące Świętemu Triamazikamno za „twierdzenie” lub „zasadę aktywną”.

To dlatego źródła, które pełnią rolę zasady pasywnej, nie mogą odpowiadać za swoje przejawy, czyli nie mogą być, jak one mówią, „pełnoletnie”.

W mojej opowieści o tej osobliwej zbiorowości trójmózgowych istot Francji nie zaszkodzi, jeśli dla dopełnienia jej charakterystyki dodam jeszcze, że również w niej egzystują istoty klasy rządzącej i że te istoty też wymyśliły bardzo „dobry środek” na uspokajanie umysłów zwykłych istot ich społeczeństwa, podobny zresztą do tego, jakim dla istot dzierżących władzę w wielkim społeczeństwie Rosji było zwiększenie spożycia słynnej rosyjskiej wódki – natomiast w Anglii istoty dzierżące władzę uzyskują obecnie dokładnie ten sam skutek poprzez ich nie mniej słynny „sport”.

Trzeba jednak przyznać, że choć istoty dzierżące władzę w społeczeństwie Francji także stosują taki „dobry środek” i z powodzeniem osiągają swe egoistyczne cele, to mimo wszystko ich środek – niczego nie ujmując istotom dzierżącym władzę w społeczeń-

stwach Anglii i Rosji – nie czyni prawie żadnej szkody ciałom planetarnym zwykłych istot.

Mało tego, dzięki temu środkowi nieświadomie przynoszą zwykłym istotom swojego społeczeństwa pewną korzyść, ponieważ odwraca on ichnią uwagę i daje chwilowe wytchnienie od idiotycznej fascynacji „modą”, która jest wymysłem obecnych i przyszłych Hasnamusów ściągających do ich stolicy z różnych krajów i która pewnie działa jeszcze bardziej zniewalająco na zwykłe istoty Francji niż na istoty wszystkich innych społeczeństw.

Ten „dobry środek” zwany jest u nich „festynem” i obecnie takie festyny urządza się tam na głównych placach wszystkich po kolei miast i wsi – zresztą na tych samych placach, na których dwieście lat temu tamtejsze trójmózgowe istoty miały zwyczaj toczyć dysputy na tak zwane tematy religijno-moralne.

Trzeba, mój chłopcze, oddać im sprawiedliwość i powiedzieć, że te francuskie festyny to niezwykle wesołe imprezy.

Przyznam, że sam nawet lubiłem na nie chodzić i spędzać tam godzinkę lub dwie, o niczym nie myśląc.

Na tych francuskich festynach wszystko jest „tanie” i „porządne”.

Na przykład za marne pięć albo dziesięć centymów każda tamtejsza istota może „kręcić się”, aż do całkowitego „ogłupienia” na różnych, jak tam mówią, „świniach”, „kameleonach”, „wielorybach” itp., a także na rozmaitych amerykańskich i nieamerykańskich nowych wynalazkach, służących specjalnie do ogłupiania.

Jeśli zaś po wszystkich tych tamtejszych „ogłupiających” środkach zbyt szybko przyjdzie do siebie, to za kilka dodatkowych centymów może skusić się na coś bardzo smacznego, przygotowanego przeważnie na miejscu.

To prawda, że od tych smakołyków często w brzuchach istot robi się niewesoło, ale cóż to znaczy w porównaniu z przyjemnością, jakiej dostarcza im ich spożycie!

A w razie gdyby przypadkiem któraś ze zwykłych tamtejszych istot zechciała, jak one mówią, „spróbować szczęścia” to za parę

kolejnych centymów owo pragnienie także będzie mogła zaspokoić na miejscu i spróbować tego swojego szczęścia na wszystkie możliwe sposoby – czy to dla sportu, czy dla pieniędzy – ponieważ na owych słynnych francuskich festynach można znaleźć dowolną grę, jaka tylko istnieje na planecie Ziemia, poczynając od „ruletki z Monte Carlo”, a kończąc na „sopockim bakaracie”.

## *Rozdział 38*

### *Religia*

Belzebub kontynuował:

Teraz udzielę ci też paru wyjaśnień na temat tego „haczyka”, który stał się jedną z głównych przyczyn stopniowego rozcieńczenia psychiki twoich nieszczęsnych ulubieńców, a mianowicie opowiem ci o tych istniejących u nich od zawsze szczególnych „hawatwernoni”, których całokształt funkcjonowania i oddziaływania na zbiorcze obecności istot one same zwać „religijnością”.

Taki w obiektywnym sensie naprawdę „arcyszkodliwy” czynnik, który stopniowo prowadzi do automatycznego „rozdrobnienia” ich psychiki, występuje tam, na tej pechowej planecie, od czasu, gdy rozmaite następstwa właściwości przekłętego dla nich organu kundabufor zaczęły się w nich krystalizować i przybierając różne formy zewnętrzne, przechodzić z pokolenia na pokolenie.

Otóż odkąd na skutek takich krystalizacji zaczęły się pojawiać w zbiorczych obecnościach niektórych ziemskich istot trójmózgowych pierwsze zalążki tak zwanych właściwości hasnamuskich, budzące w nich skłonność do osiągnięcia egoistycznych celów za pomocą wymyślania – po to, by „omotać” podobne do nich istoty z ich otoczenia – różnych niestworzonych rzeczy, w tym także rozmaitych fantastycznych, jak tam mówią, „nauczań religijnych” i jednocześnie pozostali twoi ulubieńcy zaczęli wierzyć w te fantastyczne nauczania religijne, stopniowo zatracając, z powodu tych samych krystalizacji, „zdrowe myślenie” odtąd w procesie zwykłej egzystencji owych oryginalnych trójmózgowych istot zaczęło powstawać mnóstwo niemających ze sobą nic wspólnego „hawatwernoni” czy „religii”.

Chociaż te ich rozmaite hawatwernoni albo religie nie mają ze

sobą zupełnie nic wspólnego, wszystkie jednak zbudowane są na doktrynach religijnych, które same opierają się wyłącznie na tej w obiektywnym sensie „szkodliwej idei”, wyrażanej przez nie same słowami „Dobro i Zło” – idei, która istotnie okazała się jednym z głównych czynników stopniowego „rozcieńczenia” ich zbiorczej psychiki i jeszcze całkiem niedawno doprowadziła do doniosłych wydarzeń wśród „błogosławionych najwyższych ciał istnieniowych” lub, jak się tam mówi, „dusz” zamieszkujących tę świętą planetę, w której kierunku w tym momencie spadamy.

Sądzę, że powinienem ci opowiedzieć w całości historię tego, co wydarzyło się ostatnio na tej świętej planecie Czyściec, po pierwsze dlatego, że wydarzenia te mają charakter ogólnokosmiczny i wiążą się ze zbiorczą indywidualnością każdego odpowiedzialnego, względnie samodzielnie ukształtowanego Indywiduum, a po drugie dlatego, że pewni członkowie twojego „drzewa genealogicznego” byli mimowolnymi sprawcami tych wydarzeń.

Ale zrelacjonuję ci je dopiero na końcu obecnej opowieści, bo mam ku temu bardzo ważny powód związany z rozwojem twojego istnieniowego myślenia. Zarówno ów ważny powód, jaki względy, którymi kieruję się w tym wypadku, z pewnością także wyjaśnię ci we właściwym czasie.

Tymczasem wiedz, że tam, wśród tych przypadłych ci do gustu ziemskich istot trójmózgowych, istniało i nadal istnieje mnóstwo wszelkiego rodzaju „doktryn religijnych” stanowiących podstawę ich licznych „religii” i że te doktryny powstają zwykle w następujący sposób:

Mówiłem ci już, że z powodu nieprzezorności pewnych Najwyższych Świętych Indywiduów Kosmicznych rezultaty następstw organu kundabufor – będącego ich wymysłem i potem przez nie same usuniętego – zaczęły się krystalizować w zbiorczych obecnościach tych nieszczęsnych istot, pozbawiając je w gruncie rzeczy możliwości prawidłowego udoskonalenia się do takiego poziomu Bycia, który przystoi istotom trójmózgowym. Właśnie wtedy nasz miłości pełen wspólny ojciec raczył polecić tym samym Najwyższym Świętym Indywiduom, aby częściej urzeczy-



wistniały w zbiorczych obecnościach niektórych ziemskich istot, bez względu na miejsce ich powstania, załączek Świętego Indywiduum, tak by te ostatnie, ukształtowały się w pełni do chwili doróżnienia do wieku odpowiedzialnego i osiągnęły właściwy poziom rozumu w warunkach, które już się utrwaliły w zwykłym procesie egzystencji trójmózgowych istot tej planety, mogły uświadomić sobie rzeczywistość i wskazać podobnym do nich istotom z ich otoczenia, w jaki sposób powinny kierować za pomocą swego rozumu procesem funkcjonowania ich oddzielnych uduchowionych części, aby zdekrystalizować następstwa właściwości organu kundabufor, a także skutecznie zniszczyć w sobie skłonność do nowych tego rodzaju krystalizacji.

A więc, mój chłopcze, po świętym Raskuarno lub, jak się tam mówi, „po śmierci” tych ziemskich istot trójmózgowych, w których obecnościach zostały urzeczywistnione zarodki Świętych Indywiduów, ich współcześni, aby zapamiętać wszystkie wskazówki i wyjaśnienia, jakich po osiągnięciu przez nie wieku odpowiedzialnego udzieliły im te Święte Indywidua, a także przekazać je istotom kolejnych pokoleń, zbierają na ogół to wszystko w jedną całość i właśnie to „wszystko zebrane w jedną całość” staje się zazwyczaj początkiem najróżniejszych tamtejszych nauczania religijnych.

Dziwaczność psychiki twoich ulubieńców w odniesieniu do tego rodzaju nauczania religijnych przejawia się w tym, że już od samego początku wszystko, co powiedziały i wyjaśniły im te autentyczne, urzeczywistnione z Góry Święte Indywidua, rozumieją oni w sposób dosłowny i nigdy nie biorą pod uwagę, w jakich okolicznościach i z jakiej okazji to czy tamto zostało im powiedziane lub wytłumaczone.

Ponadto owe religijne nauczania, których sens od samego początku został zniekształcony, wywołują w trakcie przekazywania ich z pokolenia na pokolenie dwa typy zachowań ugruntowanych już w zwykłej egzystencji tych osobliwych istot trójmózgowych. Pierwsze z nich polega na tym, że istoty, które w danym okresie upływu czasu należą do kasty zwanej „klasą rządzącą”,

natychmiast doczepiają do tych nauczania religijnych pewną wyjątkowo szkodliwą „kwestię”, która na tej nieszczęsnej planecie zwie się „religia dla państwa czy państwo dla religii?”, a następnie, używając rozmaitych wybiegów, odpowiednio przetasowują ustalone już uprzednio fakty, aby usprawiedliwić swoje egoistyczne cele; jeśli zaś chodzi o drugie zachowanie, to występuje ono u pewnych tamtejszych zwykłych istot, które z winy ich producentów już w chwili powstania, a także w trakcie kształtowania się w odpowiedzialne istoty nabyły w swych zbiorczych obecnościach właściwości zwanych „psychopatią” i „pasożytnictwem” – skutkiem czego nie mają i nie mogą mieć w sobie żadnych danych służących do manifestowania dowolnej z powinności istnieniowych – i które, stając się rzekomo znawcami wszystkich drobnych szczegółów tych powstałych we wspomniany sposób nowych nauczania religijnych, zaczynają, jak to się mówi, „dziobać jak kruki ścierwo szakala” ów i tak już od samego początku „wydziobany” całokształt tego, co powiedziały i na co wskazały te autentyczne, specjalnie urzeczywistnione z Góry Święte Indywidua.

Krótko mówiąc, z powodu owych dwóch czynników psychiki trójmózgowych istot tej dziwnej planety, które utrwaliły się w procesie ich zwykłej egzystencji, mianowicie hasnamuskich właściwości istot należących do kasty „klasy rządzącej” oraz psychopatii pewnych zwykłych istot, one zawsze – od momentu powstania dowolnej religii i niezależnie od tego, jaka doktryna stanowi jej podstawę – dzielą się na ich słynne „sekty”, które z kolei rozpadają się na inne sekty, wskutek czego we wszystkich epokach na tej stosunkowo niewielkiej planecie rzecz z ich religiami ma się dokładnie tak samo jak z bezlikiem tamtejszych języków, z powodu którego nasz wielce czcigodny Mułła Nasr Eddin nazwał ją „hydrą o tysiącu językach”, a w danym wypadku powiedziałby: „wielolechtliwa lechtanina”.

Częstokroć w czasie moich obserwacji procesu egzystencji tych oryginalnych trójmózgowych istot miałem okazję zobaczyć, jak w zbiorczej obecności którejs z nich urzeczywistniany był z Góry

załączek takiego Świętego Indywiduum, i niemal za każdym razem – z wyjątkiem Przeświętego Asziaty Szyjemasa i wszystkiego, co było rezultatem Jego wielkich trudów – po wypełnieniu wyznaczonej im z Góry misji, gdy dobiega! w nich końca proces świętego Raskuarno, takie nauczanie religijne pojawiało się u tych oryginałów w opisany wcześniej sposób, który zawsze polega na tym, że zbierają najpierw w jedną całość – oczywiście już od samego początku skleconą, jak to się mówi, „pięte przez dziesiąte” – wszystkie wskazówki i szczegółowe wyjaśnienia tych specjalnie urzeczywistnionych z Góry Świętych Indywiduów, aby móc je dzięki temu zapamiętać i przekazać następnym pokoleniom, a potem, kiedy cały ten zbiór wpada w ręce dwóch wymienionych przeze mnie typów tamtejszych istot, które zaczynają to wszystko, jak się wyraziłem, „dziobać” rozpadają się na swoje sławetne „sekty”, tworząc już nowe, wymyślone przez siebie fantastyczne nauczania religijne, skutkiem czego na twojej planecie powstaje tyle religii, ile jest wszystkich odcieni „tęczy”, a poza tym, jak to się mówi, „w koło Macieju”.

W ciągu ostatnich wieków wśród twoich ulubieńców można było spotkać w ogólnoplanetarnym procesie ich egzystencji istnieniowej setki tego rodzaju odrębnych nauczania religijnych, a każde opierało się na ocalałych resztkach wspomnianego zbioru wskazówek i wyjaśnień udzielonych im przez Święte Indywidua, celowo urzeczywistnione pośród nich z Góry.

Na podstawie takich zebranych w całość resztek, do których w ostatnich stuleciach twoi ulubieńcy dziwnie się jakoś zapalili i z których swym kusym rozumem czerpią idee do wymyślania coraz to nowych nauczania religijnych, powstało pięć religii, które istnieją tam do dzisiaj, a mianowicie religie pod nazwą:

1. buddyjska
2. żydowska
3. chrześcijańska
5. mahometańska
6. lamaistyczna

O pierwszej z nich, czyli religii buddyjskiej, już ci kiedyś mówiłem.

Druga, to znaczy religia żydowska, ponoć się wiernie opiera na naukach Świętego Mojżesza, jednego z takich autentycznych, celowo urzeczywistnionych z Góry Świętych Indywiduów.

To Święte Indywiduum urzeczywistniło się tam w planetarnym ciele chłopca, który przyszedł na świat w kraju zwanym obecnie „Egiptem” niedługo po moim czwartym osobistym pobycie na powierzchni twojej planety.

„Święty Mojżesz”, jak twoi ulubieńcy zwą obecnie to Święte Indywiduum, bardzo dużo dla nich uczynił i zostawił im tyle dokładnych i odnoszących się do zwykłej egzystencji wskazówek, że gdyby ich wysłuchali i zastosowali je w miarę normalnie, to rzeczywiście mogliby stopniowo zdekrytalizować w sobie wszystkie następstwa właściwości tego absolutnie zgubnego dla nich organu kundabufor, a nawet pozbyć się skłonności do nowych krytalizacji.

Ale na wspólne nieszczęście wszystkich stosunkowo pojętnych istot całego naszego Wielkiego Wszechświata, do każdej porady i wskazówki tego „kochającego normalność” Świętego Mojżesza stopniowo zaczęły, jak to się już stało dla nich typowe, dodawać taką masę „przypraw” że przy najlepszych chęciach sam święty autor nie mógłby odnaleźć nic własnego w tej kompilacji, która zawiera rzekomo wszystko, co im wyjaśnił i wskazał.

Ci z twoich ulubieńców, którzy byli pierwszymi potomkami współczesnych Świętego Mojżesza, wsadzili już do tego nauczania religijnego – uznając najwidoczniej, że będzie to wygodne dla ich specjalnych celów – niemal całą ową fantastyczną doktrynę, o której wspominałem ci przy okazji opowieści o starożytnych istotach trójmózgowych z drugiej grupy kontynentu Aszcharch, czyli współczesnej Azji, a którą wymyślił król o imieniu Koniucjon, późniejszy święty, aby uwolnić swych poddanych od zgubnego nawyku żucia nasion maku.

Po Świętym Mojżeszu urzeczywistnione zostało tam to Święte

Indywidualność, które stworzyło fundament religii zwanej przez twoich współczesnych ulubieńców „chrześcijaństwem”.

Owo Święte Indywidualność, które otrzymało tam imię „Jezusa Chrystusa” zostało urzeczywistnione w ciele planetarnym małego chłopca wywodzącego się z rodu tych ziemskich istot trójmózgowych, które Święty Mojżesz na polecenie z Góry poprowadził z kraju Egipt do „Ziemi Kanaan”.

Po wspomnianym Jezusie tamże, na kontynencie Azja, zostały urzeczywistnione jeszcze dwa inne Święte Indywidualności i tamtejsze istoty stworzyły na podstawie ich nauczania dwie z wymienionych wcześniej, istniejących do dziś religii.

Pierwsze z nich, Święty Mahomet, pojawiło się wśród tak zwanych Arabów, a drugie, Święty Lama, wśród istot zamieszkujących kraj o nazwie „Tybet”.

W obecnym czasie pierwsze z wymienionych przez mnie pięciu nauczania religijnych, czyli buddyzm, rozpowszechniony jest głównie wśród istot zamieszkujących Indie – była „Perłanie” – oraz kraje zwane „Chinami” i „Japonią”.

Z kolei wyznawcy drugiego nauczania religijnego, mianowicie religii żydowskiej, rozproszeni są teraz po całej planecie.

W tym miejscu moich opowieści nie zaszkodzi, jeśli wyjaśnię ci, dlaczego wyznawcy nauczania owego Mojżesza są dziś rozproszeni po całej planecie, ponieważ będziesz mógł wtedy lepiej zrozumieć pewną oryginalną właściwość organu kundabufor, a mianowicie tę, która rodzi uczucie zwane „zazdrością”, i jednocześnie uświadomisz sobie, w jaki sposób każda, choćby najbardziej błaha właściwość tego organu może pociągnąć za sobą niezwykle poważne następstwa.

Chodzi o to, że istoty, które wyznawały tę mojżeszową doktrynę, bardzo dobrze się zorganizowały w swym społeczeństwie, skutkiem czego w psychice istot wszystkich pozostałych społeczeństw tamtej epoki zaczęła się krystalizować w stosunku do nich owa właściwość zwana „zazdrością”.

Ta właściwość tak mocno się w nich skryzjalizowała, że nawet

po upływie wielu ichnich stuleci, gdy społeczeństwo żydowskie przestało już być silne oraz dobrze zorganizowane i ostatecznie upadło – dzieląc, zgodnie z prawem, los wszystkich innych tamtejszych silnych społeczeństw – nie dość, że stosunek istot z innych społeczeństw do potomków społeczeństwa żydowskiego się nie zmienił, to jeszcze u większości z nich uczucie zazdrości w odniesieniu do tych ostatnich okazało się już organiczne.

Trzecia z wymienionych religii, zbudowana na nauczaniach Jezusa Chrystusa, tak szybko się rozprzestrzeniła w swej pierwotnej formie, że prawie jedna trzecia wszystkich trój centrowych istot tej planety stała się jej wyznawcami.

Ale później one same zaczęły stopniowo „targać” to religijne nauczanie, którego podstawą była „światlista miłość” i zmieniły je w coś równie „światlistego” tyle że będącego już, jak mówi nasz drogi nauczyciel Mułła Nasr Eddin, „światlistą terazachaburą z feerii Kazoಾದိ”.

Początek był taki, że wyznawcy tego naprawdę wielkiego nauczania religijnego podzielili się z powodu zupełnie nieistotnych zewnętrznych detali na rozliczne sekty i przestali mówić o sobie po prostu „chrześcijanie”, jak czynili to pierwsi wyznawcy tej doktryny, lecz zaczęli się nazywać „ortodoksami”, „zeurodoksami”, „ipsylodoksami”, „hamilodoksami” i jeszcze inaczej, używając rozmaitych przezwisk, także kończących się na „doksi”.

Jednocześnie z różnych egoistycznych i politycznych przyczyn zaczęli dorzucać do tego nauczania, głoszącego rzeczywistość i prawdę, kawałki wzięte z innych istniejących już tam doktryn religijnych, i to takie kawałki, które nie tylko nie miały nic wspólnego z naukami Jezusa Chrystusa, lecz czasem wprost przeczyły prawdom nauczonym przez tego Boskiego Nauczyciela.

Najpierw dorzucili wiele elementów z całkowicie już wtedy wypaczonego nauczania Świętego Mojżesza, a o wiele później, to znaczy w okresie nazywanym przez tamtejsze współczesne istoty „średniowieczem” tak zwani Ojcowie Kościoła włączyli do tej chrześcijańskiej religii prawie całą fantastyczną doktrynę, wymyśloną swego czasu w mieście Babilon przez uczone istoty nale-

żące do nurtu dualistycznego, o którym już ci kiedyś mówiłem.

Średniowieczni „Ojcowie Kościoła” dołączyli tę ostatnią doktrynę, najprawdopodobniej licząc na uzyskanie ulg dla własnej „sittwy” i „sitwy” swoich pomocników, a to z racji znajdującego się w tej doktrynie sławetnego „Raju” i sławetnego „Piekła”.

Tak oto zamiast nauczania Boskiego Nauczyciela Jezusa Chrystusa, ukazującego między innymi w jasnym świetle potęgę Miłości i Nieskończonego Miłosierdzia NASZEGO STWÓRCY cierpiącego za istoty, istnieje tam teraz nauczanie, według którego NASZ STWÓRCA gnębi dusze wyznawców owej nauki.

– Mój drogi i miły dziadku, bardzo cię proszę, wyjaśnij mi, co to znaczy „Ojcowie Kościoła”? – zapytał Hassin.

– Ojcami Kościoła nazywa się tam te istoty, które stały się wyższej rangi zawodowymi urzędnikami dowolnej doktryny religijnej.

Po tej lakonicznej odpowiedzi Belzebub kontynuował:

– Przy okazji powinienes wiedzieć, że nauczanie Jezusa Chrystusa przetrwało w niezmienionej postaci wśród pewnej małej grupy ziemskich istot i przekazywane z pokolenia na pokolenie dotarło w pierwotnej formie nawet do czasów współczesnych.

Ta mała grupa ziemskich istot nazywa się „Bractwo Esseńczyków”. Najpierw istotom z tego bractwa udało się wcielić nauczanie tego Boskiego Nauczyciela do swojej egzystencji istnieniowej, a następnie przekazać je późniejszym pokoleniom jako bardzo dobry sposób na uwolnienie się od następstw właściwości organu kundabufor.

Chociaż z biegiem czasu istoty należące do tego bractwa także się zmieniły i ostatnio już tylko automatycznie pozostają mu wierne, trzeba jednak sprawiedliwie przyznać, że w odróżnieniu od innych tego rodzaju starodawnych bractw nie naruszają swoimi wymądrzaniemami fundamentów ustanowionych przez ich przodków i uznawanych przez nie same za boskie.

Jeśli chodzi o czwartą wielką religię, która istnieje tam do dzisiaj i która powstała kilka stuleci po religii chrześcijańskiej na

podstawie nauczania Nadziei Pełnego Świętego Mahometa, to ona bardzo się tam rozprzestrzeniła i być może stałaby się wreszcie dla nich wszystkich „ogniskiem nadziei i pojednania”, gdyby nie to, że te dziwne istoty także do niej wrzuciły wszystko, co popadnie.

Z jednej strony jej wyznawcy włączyli do niej niektóre fantastyczne teorie babilońskich dualistów, a z drugiej Ojcowie Kościoła tej religii, zwani w tym wypadku „szejkami-islamistami” sami wymyślili i dodali do niej wiele informacji o takich dobrodziejstwach tego istniejącego rzekomo „na tamtym świecie” sławetnego Raju, jakie pewnie nigdy nie przyszłyby na myśl głównemu Władcy Czyścica, Jego Wszechstois Jednej Strony Świata Arcycherubinowi Helkgematiosowi, i to nawet gdyby specjalnie chciał o nich zamarzyć.

Mimo że wyznawcy tej religii również od samego początku podzielili się na wiele różnych „odłamów” i „pododłamów” – które, nawiasem mówiąc, istnieją tam do dziś – jednak wszyscy należą do jednego z dwóch samodzielnych „nurtów”, które ukształtowały się już w chwili jej powstania.

Te dwa nurty religii mahometańskiej zwane są tam „sunnickim” i „szyickim”.

Warto zauważyć, że na skutek częstych starć między istotami należącymi do tych dwóch samodzielnych nurtów tej samej religii psychiczna nienawiść, jaką czują one do siebie nawzajem, stała się już obecnie całkiem organiczna.

Do takiej oryginalnej przemiany tej osobliwej funkcji istnienia w wielkim stopniu przyczynili się w ciągu ostatnich stuleci podżegacze z niektórych społeczeństw europejskich.

Owi wichrzyciele sieli i nadal sieją zamęt po to, by między zwolennikami tych dwóch samodzielnych nurtów tej samej religii rosła wrogość i by przypadkiem nigdy się ze sobą nie połączyli, albowiem w takim wypadku szybko mógłby, jak oni mówią, „nadejść koniec” tych europejskich społeczeństw.

Rzecz w tym, że wyznawcami tego mahometańskiego naucza-



nia jest prawie połowa zwykłych tamtejszych istot trój mózgowych, i tylko dopóki pałają oni do siebie taką wzajemną nienawiścią, dopóty nie stanowią poważnego zagrożenia – w sensie „unicestwienia się nawzajem” – dla europejskich społeczeństw.

Toteż niektóre przypadkowo powstałe „świeżo upieczone” społeczeństwa zawsze się cieszą i zacierają ręce, gdy między sunnitami i szyitami szerzy się nienawiść, ponieważ same mogą liczyć wtedy na długą i bezpieczną egzystencję.

A jeśli chodzi o piąte nauczanie, czyli doktrynę Świętego Lamy – także autentycznego posłańca naszego nieskończonego – to nauczanie tego Świętego Indywiduum rozpowszechniło się tylko wśród tych tamtejszych istot trój mózgowych, które ze względu na warunki geograficzne nie utrzymywały prawie żadnych kontaktów z innymi istotami tej nieszczęsnej planety, skutkiem czego praktycznie nie miały do czynienia z nienormalnie ustalonymi warunkami tamtejszej zwykłej egzystencji istnieniowej.

Wprawdzie jedna część tego nauczania także bardzo szybko została zmieniona, a nawet zniszczona przez jego wyznawców, jednakże druga część zdążyła już w większym lub mniejszym stopniu przeniknąć do egzystencji tej małej grupy istot, oddziałując na nie zgodnie z oczekiwaniami, wskutek czego Najwyższe Święte Indywidua zaczęły nawet żywić coraz większą nadzieję, że owo nauczanie – owoc świętych trudów Świętego Lamy – pozwoli któregoś dnia urzeczywistnić to, co w Megalokosmosie stało się już niezbędne dla wszystkiego, co istnieje.

Ale twoi ulubieńcy również tym razem na to nie pozwolili i specjalnie się nie zastanawiając, swoją „przejażdżką wojenną” – to znaczy wojną „angielsko-tybetańską” – fachowo ukreśli takiej możliwości łeb.

Nieco później zrelacjonuję ci tę „przejażdżkę wojenną”, a zrobię to głównie dlatego, że przypadkowo sam byłem świadkiem tych wszystkich żalosnych tamtejszych wydarzeń.

Najpierw jednak muszę opowiedzieć ci o tym, jak na twojej planecie chce się obecnie „pałaszować” do końca, oczywiście z po-

mocą ich „Kusego Generała”, ocalałe jeszcze resztki tych dwóch istniejących tam wciąż – jakkolwiek zmienionych nie do poznania – religii, dzięki którym w ciągu ostatnich stuleci zwykła egzystencja tamtejszych istot trój mózgowych upodobniła się choć trochę do zwykłej egzystencji trójmózgowych istot mających siedlisko na pozostałych planetach naszego Wielkiego Wszechświata, i ta ich niewiarygodnie chaotyczna egzystencja w wypadku niektórych z nich stała się w pewien sposób obiektywnie znośna.

Opowiem ci więc o tym, jak toczy się tam teraz proces doszczętnego „pałaszowania” tych dwu z pięciu wymienionych, istniejących do dziś wielkich religii, które tworzą, fakt, że „piąte przez dziesiąte” niemniej jednak na podstawie nauk autentycznych posłańców samego naszego nieskończonego – pierwszą, opierając się na nauczaniu Świętego Jezusa, a drugą na doktrynie Świętego Mahometa.

Mimo że tamtejsze trójmózgowe istoty minionych stuleci oba te nauczania „targały” tak, jak „Rosjanin Sidor targał swoje kozy” to dzięki tym nauczaniom jeszcze do niedawna niektóre z nich w coś wierzyły i miały na coś nadzieję, czyniąc przez to swą ponurą egzystencję w miarę znośną.

Ale te arcydziwne tamtejsze współczesne istoty trójmózgowe postanowiły całkowicie zmieść z powierzchni swojej planety nawet takie pozostałości.

Wprawdzie proces dziwaczenia ich oryginalnej psychiki, to znaczy proces ostatecznego unicestwienia tych dwóch wielkich religii, zaczął się już po tym, jak opuściłem ich układ słoneczny, ale dzięki treści pewnego eterogramu, który dotyczył istot tej dziwnej planety i który otrzymałem tuż przed naszym odlotem z planety Karataz, udało mi się zrozumieć, o co tam poszło, i teraz z pełnym przekonaniem mogę powiedzieć, że owych nauczania nie będą już więcej „targać”, ponieważ właśnie postanowiły zniszczyć każdy, nawet najmniejszy ich ślad.

Ze wspomnianego eterogramu dowiedziałem się między innymi, że na twojej planecie, po pierwsze, otworzono uniwersytet dla młodzieży żydowskiej w mieście Jerozolima, a po drugie,

w społeczeństwie Turcji nakazano zamknąć wszystkie „klasztory derwiszów” i zabroniono mężczyznom noszenia „fezu”, a kobietom „czarczafa”.

Pierwsza połowa tej wiadomości, dotycząca otwarcia uniwersytetu dla młodzieży żydowskiej, uświadomiła mi, że także religia chrześcijańska chyli się już tam ku ruinie.

Abyś mógł to zrozumieć, musisz wpieryw wiedzieć, że całkiem niedawno z powodu tegoż samego miasta Jerozolima wszystkie tamtejsze społeczeństwa na kontynencie Europa – których istoty stanowią większość wyznawców tej religii – rozpętały wspólnie wielkie wojny przeciw wyznawcom innych religii i te swoje wielkie wojny nazwały „krucjatami”.

Takie „wojny” czy „krucjaty” prowadziły tylko po to, by miasto Jerozolima – w którym egzystował, cierpiał i umarł Boski Nauczyciel Jezus Chrystus – stało się wyłącznie chrześcijańskie, przy czym podczas owych krucjat została unicestwiona prawie połowa istot płci męskiej tego kontynentu.

A teraz w tym samym mieście Jerozolima otworzyły one ichni współczesny uniwersytet dla młodzieży żydowskiej, i to z pewnością za jednomyślną zgodą wszystkich tych chrześcijańskich społeczeństw europejskich.

„Żydami” nazywa się tam istoty należące do narodu, wśród którego pojawił się oraz egzystował Boski Jezus, i to właśnie jego przedstawiciele zamęczyli go i ukrzyżowali.

Chociaż obecne pokolenie Żydów nie żywi jawnej wrogości do Jezusa Chrystusa, to każdy z nich tkwi do dzisiaj w przekonaniu, że ów Jezus, który pojawił się pośród ich przodków i został uznany przez wszystkich wyznawców religii chrześcijańskiej za Osobę Świętą, był po prostu chorobliwie zapalonym „fantastą”.

Natomiast „uniwersytet” to u współczesnych istot planety Ziemia taki „piec”, w którym pali się wszystkim, co w ciągu dziesiątek stuleci zgromadziły istoty minionych pokoleń, i na którym pichci się tam w pośpiechu półtoradniową smaczną polewkę z soczewicy, mającą im zastąpić to wszystko, co ich nieszczęśni

przodkowie osiągnęli przez wieki świadomych oraz nieświadomych starań i trudów.

Już samo to w zupełności wystarczy, żebym mógł sobie wyobrazić i całym swym jestestwem uprzytomnić, co stanie się teraz z tą Jerozolimą po tym, jak utworzono tam ten ich słynny uniwersytet, i to na dodatek dla młodzieży żydowskiej.

Oczami wyobraźni widzę już, że upłynie niewiele ichnich lat, a na miejscu, w którym pochowano ciało planetarne Boskiego Jezusa, powstanie giełda samochodowa, czyli targ właśnie tych „cudownych maszyn” na których punkcie zupełnie oszalały współczesne istoty.

Nie dość, że ci świętokradcy stopniowo wypaczyli dla swych egoistycznych i politycznych celów nauczanie tego Boskiego Nauczyciela, to teraz zaczęli jeszcze niszczyć wszelkie wspomnienie o nim.

Zresztą to także już od dawna leży w naturze twoich ulubieńców.

Przy okazji dodam, że cała tamtejsza współczesna, jak to się mówi, „cywilizacja” dąży wyłącznie do zwiększenia prędkości owych maszyn, które oni sami wymyślili i które przynoszą im tyle szkody.

Faktycznie, z ostatniego otrzymanego przeze mnie eterogramu, który dotyczył trójmózgowych istot tej nieszczęsnej planety, dowiedziałem się między innymi, że właśnie został tam ustalony „rekord” prędkości takiej maszyny i wynosi on obecnie 650 kilometrów na godzinę.

Ów rekord doprowadzi oczywiście tylko do tego, że już i tak wystarczająco skarłowaciały rozmiar ich nieszczęsnej planety stanie się – nawet w ich kusych wyobrażeniach istnieniowych o rzeczywistości – zupełnie mikroskopijny.

No cóż, mój chłopcze, stwórca z nimi!

Bez względu na prędkość, jaką osiągną tą swoją maszyną, jeżeli sami się nie zmieniają, to i tak ani oni, ani nawet ich myśli nie wyjdą nigdy poza ich atmosferę.

Jeśli zaś chodzi o drugą wielką religię, którą, jak ci mówiłem, stworzono „piąte przez dziesiąte” na podstawie nauczania Nadziei Pełnego Świętego Mahometa, to już od samego jej początku tamtejsze istoty z właściwościami hasnamuskimi zaczęły ją stosować i wykorzystywać do swych egoistycznych i politycznych celów, skutkiem czego została najbardziej ze wszystkich „postrzępiona”.

Dla wspomnianych hasnamuskich celów istoty dzierżące władzę w niektórych tamtejszych społeczeństwach zaczęły stopniowo dosypywać do tego boskiego nauczania takich wynalezionych przez siebie „przypraw” że wyszła z tego „szerachurna mikstura”, której sekretu pozazdrościliby w Europie wszyscy słynni współcześni „cukiernicy” i „kuchmistrze”.

Tak więc...

Wnioskując z końcowej części tego eterogramu, lada chwila będzie musiał nastąpić – o ile już nie nastąpił – proces całkowitego zniszczenia tej drugiej wielkiej religii z powodu rozporządzenia które wydały w społeczeństwie Turcji istoty dzierżące tam władzę i o którym jest właśnie mowa w rzeczonym eterogramie.

Rzecz w tym, że społeczeństwo Turcji to największe ze wszystkich społeczeństw, w których tamtejsze istoty wyznają tę religię.

Muszę ci najpierw powiedzieć, że pewne istoty tego społeczeństwa już od samego powstania religii mahometańskiej bardzo dobrze przyswoiły sobie jej nauczanie w jego pierwotnej formie i stopniowo zaczęły je wcielać do swej zwykłej egzystencji – tak jak Bracia Esseńscy zrobili to z nauczaniem chrześcijańskim.

I nawet później, kiedy nauczanie tej religii stopniowo się zmieniło pod wpływem istot dzierżących tam władzę, wśród tych pewnych tamtejszych istot owo nauczanie było dalej przekazywane z pokolenia na pokolenie w niezminionej formie.

Dlatego jeszcze do niedawna tliła się iskra nadziei, że jeśli któregoś dnia te dziwne istoty nagle się ustatkują, to owo nauczanie naprawdę się wówczas odrodzi i osiągnie cele, dla których zostało stworzone przez Nadziei Pełnego Świętego Mahometa.

Otóż, mój chłopcze, te pewne tamtejsze istoty nazywano „derwiszami” i pech chciał, że to właśnie ich klasztory kazano teraz zamknąć na mocy rozporządzenia, które wydano we współczesnym społeczeństwie Turcji.

Niewątpliwie wraz ze zniszczeniem w Turcji „derwiszyzmu” zgasną już na zawsze ostatnie iskry, które mogłyby jeszcze kiedyś rozniecić na nowo – jak żarzące się w popiele węgielki – płomień możliwości, na które liczył i z którymi wiązał nadzieję Święty Mahomet.

Jeśli zaś chodzi o drugie ze wspomnianych w tym eterogramie rozporządzeń wydanych w społeczeństwie Turcji, czyli zakaz noszenia przez istoty płci męskiej słynnego niegdyś fezu, a przez istoty płci żeńskiej czarczafa, to mam bardzo jasne wyobrażenie istnieniowe o tym, do czego w przyszłości doprowadzą te innowacje.

Niewątpliwie z powodu owych innowacji powtórzy się w Turcji dokładnie to, co stało się z istotami wielkiego społeczeństwa Rosji, kiedy zaczęły naśladować wszystko, co europejskie.

Na przykład jeszcze sto czy dwieście lat temu – zanim istoty tego wielkiego społeczeństwa Rosji zaczęły naśladować wszystko, co europejskie – każda z nich miała w sobie dwie istnieniowe funkcje zwane „martaadamlik” i „namuslik” lub, jak się inaczej nazywa te istnieniowe uczucia, „uczucie religijności” i „uczucie patriarchalności”.

To właśnie te dwa uczucia istnieniowe powodowały; że niepełna dwa wieki temu istoty tego wielkiego społeczeństwa słyneły wśród pozostałych istot całej planety z moralności oraz patriarchalności swojego kodeksu rodzinnego.

Ale później, kiedy zaczęły naśladować wszystko, co europejskie, oba te ocalałe w nich jeszcze uczucia istnieniowe zaczęły stopniowo zanikać i obecnie u prawie każdej istoty tego społeczeństwa uczucia religijności i patriarchalności przypominają to, co nasz mądry nauczyciel Mułła Nasr Eddin wyraża okrzykiem:

„Oj przestań, bo pękne!...”.

Zresztą w Rosji to wszystko nie zaczęło się od czarczafa czy fezu.

Nie.

Takich nakryć głowy nikt tam przecież nie nosił.

Otóż zaczęło się tam od „brody” istot płci męskiej. Dla tamtejszych trójmózgowych istot płci męskiej „broda” jest tym samym, czym dla nas ogon, który naszym istotom płci męskiej, jak już wiesz, dodaje animuszu i męskości.

Teraz przyszła kolej na tych nieszczęsnych Turków.

Wystarczy, że zgodzą się zamienić swoje fezy na europejskie meloniki, a dalej wszystko potoczy się już samo.

Naturalnie również psychika tych tureckich istot ulegnie szybko takiemu zwyrodnieniu, jakiemu uległa psychika istot społeczeństwa Rosji.

Jedyna różnica między istotami rosyjskimi a tureckimi będzie polegała na tym, że u Rosjan tylko jedna istota, mianowicie ich car, spowodowała takie przeobrażenie ich psychiki, natomiast jeśli chodzi o istoty społeczeństwa Turcji, to przyczyni się do tego kilka istot.

A jest ich kilka, ponieważ owi Turcy zastąpili ostatnio swój ustalony od wieków ustrój państwowy nowym, który ma jakąś osobliwą „republikańską” formę, i zamiast jednego władcy, jak to było poprzednio, rządzi nimi teraz kilku.

Nawet jeśli ich dawny ustrój państwowy był zły, to przynajmniej mieli tam jednego władcę, który wprowadzał tylko sporadyczne i do tego utrzymane w starym duchu patriarchalnym innowacje.

Teraz zaś na czele społeczeństwa Turcji stoi kilku takich głównych przywódców, a każdy z nich się wymądrza i narzuca nieszczęsnym zwykłym istotom całego tego społeczeństwa swoje niedojrzałe idee, które wcale nie odpowiadają ani skryzalizowanym od dawna potrzebom psychiki tych istot, ani ustalonym zasadom ich istnieniowej moralności.

Warto ponadto zaznaczyć, że tak jak dawniej w Rosji staro-

świeccy patriarchami dygnitarze zaopatrywali swojego cara w dużą ilość tak zwanych pieniędzy – zapracowanych w pocie chłopskiego czoła – i wysyłali go na kontynent Europa, aby w różnych tamtejszych społeczeństwach poznał jak najlepiej metod sprawowania władzy i miał dzięki temu po powrocie lepsze rozeznanie w rządzeniu własnym społeczeństwem, podobnie „patriarchalni” ojcowie tych obecnych młodych tureckich władców zaopatrzyli swych synów w dużą ilość „pieniędzy” – tym razem zarobionych w pocie czoła „chajwansanansaków” – i również wysłali ich na kontynent Europa, aby odebrali tam, jak mówią, „dobre wykształcenie” gwoli zapewnienia przyszłej pomyślności swej ojczyzny.

A więc, mój chłopcze, ponieważ w obu wypadkach ci przyszli władcy dwóch wielkich wielomilionowych społeczeństw pojechali na kontynent Europa w bardzo młodym wieku i zupełnie nieświadomi spoczywającej na nich odpowiedzialności, a przede wszystkim ponieważ zostali zaopatrzeni w pieniądze rzeczonoego pochodzenia, egzystencja istot na kontynencie Europa sprawiła na nich wrażenie – które skryzalizowało się w nich na zawsze – tak „wspaniałej i zbawiennej”, że później, kiedy z powodu nienormalnie ustalonych w ich kraju warunków egzystencji stali się przywódcami tych wielomilionowych społeczeństw, nie mogli postąpić inaczej, jak tylko dążyć do tego, by egzystencja ich rodaków stałą się, w pojęciu ich kusego rozumu, równie szczęśliwa.

Obecni przywódcy społeczeństwa Turcji widzieli i przyswoili sobie wiele dobrego w społeczeństwie Niemiec, gdzie wysłano ich, aby studiowali tak zwany militarizm, czyli specjalne subtelności w sposobach przeprowadzania procesów unicestwiania się nawzajem.

Oto dlaczego ci aktualni przywódcy społeczeństwa Turcji długo przebywali w społeczeństwie Niemiec i przez wiele lat byli nawet, jak to się mówi, „niemieckimi junkrami”.

A w Niemczech najlepiej dobrego zobaczyli i przyswoili sobie w tamtejszej stolicy, Berlinie, na ulicy zwanej „Unter den Linden”.



Nie wiem, jakimi dobrodziejstwami obdarzą w przyszłości swoich rodaków ci nowi tureccy władcy, w każdym razie już dokonali dla swej ojczyzny jednego wielce „patriotycznego” czynu.

Abyś mógł właściwie zrozumieć istotę tego wielce patriotycznego czynu, musisz wiedzieć, że w stolicy społeczeństwa Turcji, na ulicach i w zaułkach dzielnic zwanych „Galata” i „Pera” wszystkie istoty płci żeńskiej „specjalnego przeznaczenia” należały do obcych społeczeństw i zarabiałały oraz wydawały tam „prawdziwe tureckie liry”.

Ale teraz, dzięki najświeższym innowacjom, zrodziła się w tej zbiorowości twoich ulubieńców pełna i niezachwiana nadzieja, że już wkrótce tymi ich autentycznymi „patriotycznymi tureckimi lirami” nie będą mogły dysponować istoty płci żeńskiej jakiegoś obcego społeczeństwa, lecz będą korzystać z nich wyłącznie ich „drogie czarnobrewne rodaczki”.

Nie na próżno nasz czcigodny Hadzi Nasr Eddin mówi: „Najważniejsze to mieć dużo pieniędzy, a niech tam nasz «namus» nawet szlag trafi!”.

Kiedy indziej mówi on w takich wypadkach po turecku: „Dünyamn işi, pekmezli pişi, yiyenin burnunda busar eşegin dişi”.

Co znaczy: „Sprawy świata są jak miodowe ciastka, od których każdemu, kto je zje, wyrasta w gębie ośli ząb”.

A teraz przejdźmy do tego, o czym obiecałem opowiedzieć ci nieco bardziej szczegółowo, mianowicie do nauczania Świętego Lamy – ostatniego Świętego Indywiduum, które pojawiło się wśród istot Tybetu – i do przyczyn, które spowodowały, że nauczanie to również zakończyło się pełnym fiaskiem.

Nauki i kazania tego świętego nie rozpowszechniły się tam zbyt szeroko, a to ze względu na warunki geograficzne miejsca, w którym się pojawił i w którym także nauczał te nieszczęsne trójcentrowe istoty, co powinny zrobić, aby pozbyć się następstw właściwości organu kundabufor.

Jak ci już wspominałem, z powodu panujących tam warunków geograficznych istoty tego kraju bardzo rzadko stykały się z nie-

normalnymi warunkami zwykłej egzystencji istnieniowej istot z pozostałych społeczeństw, tak że niektóre z nich okazały się bardziej podatne na nauczanie tego ostatniego Świętego Indywiduum, dzięki czemu owo nauczanie mogło przeniknąć do ich esencji i stopniowo być wprowadzane w życie.

A zatem na przestrzeni wielu lat, mój chłopcze, w owym kraju zwanym Tybetem wszystko po trochu tak się ułożyło, że miejscowe istoty zaczęły się tam dzielić na grupy wedle stopnia przetworzenia w sobie nauczania Świętego Lamy oraz zgodnie z intensywnością potrzeby pracy nad sobą, i odpowiednio zorganizowały swoją zwykłą egzystencję, wskutek izolacji ich kraju, który był niedostępny dla istot innych społeczeństw, mogły pracować bez przeszkód – opierając się na instrukcjach Świętego Lamy – nad uwolnieniem się od następstw właściwości owego organu, który na ich wspólne nieszczęście musiał być wszczepiony ich protoplastom.

Niektórym z nich udało się z tych następstw wyzwolić, wiele innych było już na prowadzącej do tego drodze, a jeszcze inne przepełniała nadzieja, że pewnego dnia one również odnajdą drogę zmierzającą do takiego celu.

Ale akurat wtedy, gdy udało się w końcu stworzyć w Tybecie odpowiednie warunki do produktywniej pracy w tym kierunku i sprzyjała temu panująca tam sytuacja, wydarzyło się coś, co spowodowało, że istoty tego kraju zostały całkiem pozbawione możliwości uwolnienia się któregoś dnia od gnębiącego je nieszczęścia lub, w każdym razie, że taka możliwość została znowu odwleczona na wiele lat.

Zanim jednak opowiem ci, co takiego się tam wydarzyło, musisz najpierw wiedzieć rzecz następującą:

Zaledwie kilka wieków temu stanowiące główną osobliwość tych budzących twoją sympatię trójmózgowych istot procesy ich „okresowego unicestwiania się nawzajem” toczyły się na twojej planecie przeważnie między istotami należącymi do różnych społeczeństw, które zamieszkiwały ten sam kontynent; a jeśli wyjątkowo takie procesy zachodziły między istotami z różnych

kontynentów, to obejmowały jedynie istoty zamieszkałe na pograniczu dwóch przylegających do siebie kontynentów. Działo się tak dlatego, że jeszcze kilka wieków temu poruszanie się po wodzie sprawiało ziemskim istotom bardzo dużo trudności.

Jednakże kiedy przypadkowo pewna tamtejsza współczesna istota odkryła możliwość wykorzystania do transportu morskiego siły sztucznie rozrzedzonej wody lub, jak one mówią, „siły pary”, i zbudowała statek nadający się do tego rodzaju podróży, wtedy owe ziemskie istoty zaczęły wyruszać w celu przeprowadzenia tych swoich procesów do wybrzeży sąsiednich kontynentów, a nawet na inne kontynenty.

Spośród takich miejsc na innych kontynentach istoty tej oryginalnej planety szczególnie upodobały sobie w ostatnich stuleciach była „Perłanię” lub, jak nazywają ją tamtejsze współczesne istoty, „Indie”.

Pamiętasz, mówiłem ci kiedyś, że właśnie do owej Perłanii na kontynencie Aszcharch, obecnej Azji, istoty z kontynentu Atlantyda przyplęły najpierw w poszukiwaniu pereł i że później jako pierwsze zaludniły ów kraj.

Tak więc, mój chłopcze...

W ciągu ostatnich stuleci ta sama nieszczęsna dawna Perłania, czyli dzisiejsze „Indie”, stała się również ulubionym miejscem współczesnych istot kontynentu Europa, tyle że tym razem do toczenia ichnich procesów unicestwiania się nawzajem.

Otóż zaczęły one do niej przyplęwać i przeprowadzać na miejscu takie procesy zarówno między sobą, jak i z istotami zamieszkującymi ów kraj, to znaczy albo istoty jednego społeczeństwa europejskiego starały się zniszczyć egzystencję istot należących do innego, również europejskiego społeczeństwa, albo też podobne procesy zachodziły między miejscowymi istotami i w takim wypadku istoty europejskie służyły pomocą bądź jednej, bądź drugiej stronie.

W tej nieszczęsnej Perłanii, szczególnie w ciągu ostatnich dzieśiąciu czy piętnastu stuleci, procesy unicestwiania się nawzajem

o charakterze lokalnym występowały bardzo często.

A działo się tak po pierwsze dlatego, że tamtejsze istoty, które wcześniej należały tylko do dwóch oddzielnych społeczeństw, podzieliły się w rezultacie jednego z tych wielkich procesów na wiele małych samodzielnych społeczeństw, a po drugie dlatego, że w ich zbiorczej psychice powstała pewna kombinacja, wskutek której „paroksyzmy” owej właściwości – czyli dążenia do uniecznawiania się nawzajem – występowały wśród istot tej części powierzchni planety Ziemia co prawda wszędzie, ale nie jednocześnie, tylko w różnym czasie.

Ta ostatnia, jeszcze całkiem nowa kombinacja ich zbiorczej psychiki była wynikiem pewnego nieprzewidzianego małego nieporozumienia związanego z ogólnoharmonijnym ruchem całego tego układu słonecznego.

Kiedy indziej wyjaśnię ci także szczegóły tego nieporozumienia.

Na razie wróćmy jednak do naszej opowieści.

Otóż...

Ten kawałek powierzchni planety Ziemia, który zajmują Indie, pod względem ilości bogactw naturalnych pozostał w ciągu ostatnich stuleci niezmienny.

Toteż kiedy w dziwnej psychice europejskich istot, które przybywały do tego kraju z zamiarem przeprowadzenia procesu uniecznawiania się nawzajem, ustępowała potrzeba zajmowania się tą okropnością, owe istoty osiedlały się tam i albo przygotowywały się do następnych tego rodzaju procesów, albo też starały się, jak same mówią, „zarobić”, aby mieć możliwość wysłania swoim rodzinom, które zostały na kontynencie Europa, artykułów niezbędnych do zwykłej egzystencji.

Przeważnie „zarabiali” na te rozmaite artykuły, wykonując swoje zawody, które polegały z reguły na wytwarzaniu różnych przedmiotów w rodzaju „miedzianych guzików”, „lusterek” „koralików” „kolczyków”, „bransoletek” i innych tego typu błyskotek, do których, jak się okazało, także miejscowe istoty miały wielką słabość.

Od samego początku tego okresu istoty z kontynentu Europa zaczęły różnymi sposobami zabierać istotom z Perłami także ich ziemię, dzieląc się jednocześnie, tak jak na kontynencie Europa, na oddzielne grupy, w zależności od społeczeństwa, z którego wyemigrowały.

Te wywodzące się z różnych społeczeństw Europy istoty nadal we wzajemnych stosunkach zachowywały się zgodnie z dziwnymi relacjami istnieniowymi, jakie panowały i do dzisiaj panują między istotami jednego społeczeństwa europejskiego a istotami należącymi do innych społeczeństw tego samego kontynentu, mianowicie – jak zwykle z powodu następstw właściwości organu kundabufor – żywiły do siebie uczucia, które skryształizowały się w nich w postaci szczególnych funkcji znanych tam jako „zawiść”, „zazdrość”, „sandur” (czyli życzenie innym śmierci lub upośledzenia) itd.

Tak więc również tam, w Perłanii, istoty jednego społeczeństwa zaczęły na cały regulator puszczać przeciw istotom innego społeczeństwa tę „hasnamuską muzykę”, którą nazywają „polityką” to znaczy zaczęły się nawzajem „krytykować”, „poniżać”, „wykańczać” itd., chcąc w ten sposób podnieść wśród miejscowych istot, jak to się mówi, „prestiz” ich własnego społeczeństwa.

W trakcie trwania procesu takiej „polityki”, któremuś z przywódców jednego z europejskich społeczeństw udało się jakoś odkryć „sekret” tego, w jaki sposób należy oddziaływać na psychikę istot innych społeczeństw, aby te ostatnie uznały autorytet i wyższość istot jego własnego społeczeństwa.

A kiedy potem ta istota wtajemniczyła w ów sekret – którego zasada działania nazywa się „krwacneł” lub „nagonka” – innych przywódców swego społeczeństwa i wszyscy oni oparli na nim swoją „politykę”, wtedy istoty tego społeczeństwa faktycznie zaczęły dominować wszędzie i we wszystkim.

Chociaż zarówno istota, która przypadkowo odkryła sekret „krwacneł”, jak i inni przywódcy tego społeczeństwa zginęli już dawno temu, jednak pokolenia, które po nich nastąpiły – dalej

stosując, oczywiście już automatycznie, ów „sekret” – stopniowo nie tylko zagarnęły prawie całą Perłanię, lecz także podporządkowały swemu wpływowi samą esencję wszystkich istot mających siedlisko na tej części planety Ziemia.

Wprawdzie od tamtej pory minęły dwa wieki, ale w okresie, którego dotyczy dalszy ciąg mojej opowieści o unicestwieniu przez współczesne istoty trudów Świętego Lamy, wszystko przebiegało tam dokładnie w taki sam sposób.

Aktualni władcy wspomnianego europejskiego społeczeństwa, którym stopniowo udało się – oczywiście tylko dzięki sekretowi „krwacneł” – podporządkować wszystko swemu wpływowi i przechwycić we własne ręce, odczuli z tego powodu dumę i zapragnęli położyć „łapę” także na tym, co do tej pory uważano za nieosiągalne.

Innymi słowy, postanowili zawładnąć sąsiednim krajem, który nazywał się „Tybet” i był wówczas uznawany za niedostępny. Tak więc pewnego, dla nich na razie pięknego, lecz dla pozostałych istot tej planety smutnego dnia zgromadzili wiele istot swego społeczeństwa i jeszcze więcej istot z różnych małych podbi-tych przez nich miejscowych społeczeństw i przy użyciu najroz-maitszych nowych wynalazków współczesnej cywilizacji euro-pejskiej, służących do procesów unicestwiania się nawzajem, ru-szyli powoli na ten uważany dotąd za niedostępny kraj.

Mimo współdziałania tych przeróżnych europejskich „nowych wynalazków” ich marsz w górę okazał się bardzo trudny i okupili go bardzo drogo nie tylko tak zwanymi funtami, ale też, jak sami mówią, „przypadkowymi ofiarami”.

Podczas gdy ta zgraja rozmaitych ziemskich istot trójmózgo-wych powolutku i z wielkim móżem się wspinała, istoty miesz-kające na wyżynach Tybetu jeszcze nie podejrzewały, że przeciw ich krajowi wyruszyła tam taka – cytując wyrażenie europejskich istot – „przejażdżka wojenna”.

Dowiedziały się o tym dopiero wtedy gdy ta cała zgraja wspięła się już na szczyt.

Na wieść o takim niezwykłym wydarzeniu istoty z tej górskiej krainy bardzo się wystraszyły i zaniepokoiły ponieważ przez wiele stuleci przywykły do myśli, że miejsce ich egzystencji jest dla wszystkich niedostępne i istoty innych społeczeństw, bez względu na to, jakimi dysponują środkami do procesu unicestwiania się nawzajem, w żaden sposób nie są w stanie do nich dotrzeć.

Były tak o tym przekonane, że ani razu nie spojrzwały w dół, aby zobaczyć, co tam w tym czasie zrobiono w celu wdarcia się do ich niedostępnego kraju, toteż nie przedsięwzięły zawczasu żadnych odpowiednich kroków.

Oto jak wyglądał początek tych smutnych wydarzeń, które doprowadziły do ostatecznego zniszczenia wszystkich rezultatów, jakie stworzyło to Wiary Pełne Świąte Indywiduum Świąte Lamy.

Powinieneś wiedzieć, że ta sama górską krainą była miejscem egzystencji małej grupy siedmiu tamtejszych istot, które na podstawie ustalonych już na samym początku zasad stały się strażnikami najbardziej poufnych wskazówek i przykazań Świątego Lamy.

Owa grupa składała się z takich siedmiu istot, które, pracując zgodnie ze wskazówkami Świątego Lamy, osiągnęły – jeśli chodzi o uwolnienie się od następstw właściwości organu kundabufor – najwyższy stopień samodoskonalenia.

Dowiedziawszy się o tym, co się wydarzyło, „grupa siedmiu” wysłała swego przełożonego do stolicy, aby razem z zaniepokojonymi przywódcami całego kraju wziął udział w naradzie, która odbywała się tam w dniu przybycia z dołu owych nieproszonych gości.

Na tej pierwszej naradzie zgromadzeni przywódcy tybetańskich istot jednogłośnie postanowili bardzo spokojnie i uprzejmie poprosić tych nieproszonych przybyszów, by po dobroci wrócili tam, skąd przyszli, i zostawili w spokoju zarówno ich samych, jak i ich cichy nikomu niezawadzający kraj.

Kiedy po kilku dniach stało się jasne, że ci nieproszeni goście nie zgodzili się wrócić do siebie, a wręcz przeciwnie, w odpowie-

dzi na tę prośbę pośpiesznie ruszyli w głąb kraju, członkowie pierwszej rady zaniepokoiли się jeszcze bardziej i zebrawszy się ponownie, zaczęli rozważać, co należy zrobić, żeby przeszkodzić tym istotom w wejściu, jak to się mówi, „bez zaproszenia do cudzego domu”.

Zaproponowano cały szereg rozmaitych sposobów usunięcia z ich kraju tych istot, które wdarły się jak kruki do obcego gniazda, ale największe poparcie zyskała następująca idea: wszystkich tych nieproszonych gburów unicestwić co do jednego.

A to, mój chłopcze, rzeczywiście dało się łatwo zrobić, ponieważ ukształtowanie terenu w ich kraju było takie, że bez żadnych dodatkowych środków, a jedynie za pomocą kamieni zrzucanych z gór, jedna istota mogła unieszkodliwić tysiące wrogich, idących dolinami istot – tym bardziej że każdy znał tam rzeźbę powierzchni swego kraju jak własną dłoń.

Pod koniec narady wszyscy przywódcy Tybetu byli tak podekscytowani, że z pewnością przystaliby na tę popieraną przez większość propozycję, gdyby nie to, że do ich burzliwych obrad wtrącił się przełożony malutkiej „grupy siedmiu”, którego, jak ci wcześniej mówiłem, wysłali tam pozostali członkowie tej grupy.

Ów przełożony, prawie już święty, chcąc przekonać resztę uczestników narady, by odstąpili od swoich zamiarów, powiedział między innymi:

„Egzystencja każdej istoty jest równie droga i cenna dla NASZEGO WSPÓLNEGO STWÓRCY BOGA, toteż unicestwienie owych istot, i to tak wielkiej ich liczby, sprawi dużą przykrość temu, który jest już i tak przepełniony troską i smutkiem w obliczu wszystkiego, co się dzieje u nas na Ziemi”.

Każde słowo, które ów przyszyły święty wypowiedział wtedy na naradzie tybetańskich przywódców, było tak przekonujące, że nie tylko zdecydowano się nic nie robić przeciw tym nowym przybyszom, lecz nawet postanowiono przedsięwziąć wszelkie środki zaradcze, aby nikt nie mógł zakłócić aktualnego biegu wydarzeń.



A zatem istoty, które przybyły z dołu jako nieproszeni goście, nie natrafiając nigdzie na żadne przeszkody, wyruszyły do samego serca tego jedyne tamtejszego kraju, który wciąż jeszcze żył w izolacji od wszelkich, stale pogarszających się tam, na twojej planecie, warunków zwykłej egzystencji.

Otóż właśnie wtedy nastąpiło wydarzenie, które ściągnęło wielkie nieszczęście nie tylko na wszystkie obecne i przyszłe istoty tego niefortunnego kraju, lecz być może również na wszystkie obecne i przyszłe trój mózgowe istoty całej tej nieszczęsnej planety.

Rzecz w tym, że na końcowej naradzie przywódców całego Tybetu uchwalono między innymi, że niektórzy członkowie rady, wybrani w drodze losowania, udadzą się w miejsca, przez które miały przechodzić te obce istoty, aby uprzedzić tubylców o decyzji podjętej przez ich przywódców, a także nakłonić ich, by nikt, pod żadnym pozorem, nie przeszkadzał tym obcokrajowcom w przemarszu.

Wśród tych, którzy w wyniku losowania mieli się udać w rejon zbrojnego przemarszu obcych istot, znalazł się również przełożony owej małej „grupy siedmiu”.

Kiedy ów przyszły święty przybył we wspomnianym celu do dużego skupiska, w którego pobliżu uzbrojona zgraja obcych istot urządziła postój, by zażyć niezbędnego odpoczynku, na ulicy tej dużej miejscowości zbłąkana kula, wystrzelona – celowo lub przypadkiem – przez jednego z nowych przybyszów, „zabiła na miejscu” tego przyszłego świętego.

Tak oto dobiegła kresu egzystencja przełożonego małej grupy braci, którzy już niemal w pełni się udoskonalili i którym – onie miałym z przerażenia w obliczu tego, co się wydarzyło - nie pozostawało nic innego, jak tylko podjąć wszelkie niezbędne kroki, aby przetransportować do siebie planetarne ciało ich byłego przywódcy.

Żebyś mógł lepiej wyobrazić sobie prawdziwą grozę sytuacji, w jakiej znalazło się tych sześciu pozbawionych swojego przeło-

zonego braci, a także dobrze zrozumiał wszystkie zgubne następstwa tego wydarzenia, wpiery muszę ci przedstawić, choćby w skrócie, historię powstania i egzystencji w kraju o nazwie Tybet tej małej grupy, która zawsze składała się z siedmiu trójmózgowych istot twojej planety.

Grupa ta powstała na długo przed pojawieniem się na planecie Ziemia ostatniego Świętego Indywiduum, Świętego Lamy.

Na samym początku tworzyło ją siedem istot, wtajemniczonych bezpośrednio przez Świętego Krisznatcharnę – także posłańca NASZEGO NIESKOŃCZONEGO – który specjalnie został wysłany do trój centrowych istot planety Ziemia mających siedlisko w krainie Perłanii.

Później, kiedy w Perłanii pojawił się Święty Budda i stwierdził, że wiele wskazówek Świętego Krisznatcharny dotyczących psychiki istot tego kraju wcale się nie zestarzało i że stosowanie się do nich powoduje w tamtejszych istotach zanik następstw właściwości organu kundabufor, od których on także miał za zadanie pomóc im się uwolnić, i kiedy te wybrane wskazówki Świętego Krisznatcharny postanowił przejąć w całości, czyniąc z nich podstawę własnego nauczania, otóż wtedy tych siedem wtajemniczonych bezpośrednio przez Świętego Krisznatcharnę istot – po tym, jak Budda uzasadnił cel i niezbędną ich egzystencję, a one wyraźnie to odczuły i nabrały przekonania, że wskazówki Świętego Buddy nie tylko nie przeczą w niczym instrukcjom Świętego Krisznatcharny, lecz nawet lepiej odpowiadają psychice istot danego okresu i wręcz owe instrukcje uzupełniają – stało się wyznawcami Świętego Buddy.

Jeszcze później, gdy wśród istot Tybetu pojawił się specjalnie Święty Lama i podobnie stwierdził, że wiele wskazówek Świętego Buddy nadal bardzo dobrze pasuje do psychiki istot tego kraju – pod warunkiem że zmieni się w nich odpowiednio do przemian w zewnętrznych warunkach egzystencji, jakie zaszły na skutek upływu czasu, pewne szczegóły – i gdy w związku z tym postanowił włączyć do podstaw swego nauczania wiele takich wskazówek zawartych w prawdach, które najpierw objawił Święty

Krisznatcharna, a następnie odnowił Święty Budda, właśnie wtedy zarówno ta mała grupa wtajemniczonych istot, jak i inne grupy wyznawców Buddy, poczuwszy wyraźnie, że uzupełnienia i zmiany wniesione do jego nauk przez Świętego Lamę lepiej odpowiadają współczesnej psychice, stały się wyznawcami Świętego Lamy.

Istoty tej małej grupy obowiązywała jedna surowo przestrzegana przez nie reguła, według której pewne poufne wskazówki Świętego Lamy, dotyczące istot tej grupy, były przekazywane z pokolenia na pokolenie tylko za pośrednictwem ich przełożonego, który miał prawo wtajemniczyć w nie pozostałe sześć istot dopiero wtedy, gdy już zapisały na swym koncie pewne osiągnięcia.

To z tego powodu tych sześciu członków owej niewielkiej organizacji, którzy zdążyli zasłużyć sobie i byli gotowi na otrzymanie w niedalekiej przyszłości wtajemniczenia, poczuło, jak powiedziałem, takie przerażenie, gdy dowiedziało się o unicestwieniu ich przełożonego. Wraz z utratą tej wówczas jedynej wtajemniczonej istoty oni sami zostali pozbawieni na zawsze możliwości bycia wtajemniczonymi w najskrytsze wskazówki Świętego Lamy.

Ich przełożony zginął tak nieoczekiwanie, że problematyczna okazała się nawet jedyna pozostała im możliwość „otrzymania tych wskazówek” polegająca na nawiązaniu kontaktu z rozumem zabitego przełożonego za pomocą procesu „świętego Ałmcnoszину” – możliwość, o której istnieniu wiedzieli i do której urzeczywistnienia mieli już w sobie wszystkie potrzebne dane.

Zapewne, mój drogi chłopcze, nic jeszcze nie wiesz o tym świętym procesie?

Święty Ałmcnoszину to proces pozwalający trójcentrowym istotom, które zdążyły już oblec i doprowadzić własne ciało kędzan do stanu pełnego funkcjonowania, a także określonego stopnia rozumu, umyślnie sprawiać, że powłoka lub, jak się mówi inaczej, „materializacja” ciała kędzan dowolnej unicestwionej już na zawsze istoty osiąga gęstość, dzięki której to ciało

ponownie ma możliwość manifestowania się jakiś czas poprzez pewne funkcje właściwe jej niegdysiejszemu ciału planetarnemu.

Temu świętemu procesowi można więc poddać ciało kesdań takiej istoty która to wyższe ciało istnieniowe doprowadziła w czasie swej egzystencji do pełnego funkcjonowania i w której rozum tego ciała osiągnął ponadto stopień zwany „esencjalnym świętym Mirocynu”.

W naszym Wielkim Wszechświecie, oprócz procesu celowego oblekania ciała istnieniowego kesdań takiej unicestwionej już istoty, występuje jeszcze inny proces, zwany „przeświętym Dżerimetli”.

Ten prześwięty proces polega na tym, że najpierw umyślnie obleka się najwyższe ciało istnieniowe, czyli ciało duszy, i dopiero potem przeprowadza się – jak w pierwszym wypadku – święte Ałmcnoszinu.

Oczywiście oba te procesy można przeprowadzić tylko wtedy, gdy wyższe ciała istnieniowe znajdują się jeszcze w strefach pozostających w kontakcie z atmosferą planety, na której odbywa się tego rodzaju „święty sakrament”.

Na dodatek takie umyślnie i świadomie wywołane przez określone istoty „materializacje” mogą trwać i można z nimi utrzymywać kontakt oraz obcować tylko tak długo, jak długo istoty, które je wytwarzają, świadomie karmią ciało kesdań danej istoty swym własnym „świętym Aijesachladonem”.

Tak więc tych sześciu ocalałych członków malutkiej „grupy siedmiu” mogłoby się posłużyć właśnie tym świętym procesem Ałmcnoszinu i nawiązać łączność z rozumem ich przełożonego, gdyby jeszcze za jego życia przewidzieli możliwość jego nagłego końca i poczynili pewne niezbędne do realizacji tego procesu przygotowania.

Abyś mógł zrozumieć samą istotę takiego przygotowania do świętego procesu „sakramentu Ałmcnoszinu” musisz koniecznie poznać dwie szczególne właściwości „hanbledzoina istnieniowe-

go” to znaczy „krwi” ciała istnieniowego kesdżan.

Pierwsza z tych właściwości hanbledzoina istnieniowego polega na tym, że jeśli jakąś jego część się wyizoluje i od niego odłączy, to między tą częścią – gdziekolwiek i jakkolwiek daleko by się znajdowała – a podstawowym skupieniem całej tej kosmicznej substancji tworzy się „połączenie nitkowate” przy czym to połączenie zbudowane jest z tej samej substancji, natomiast jego gęstość i grubość wzrasta lub maleje proporcjonalnie do odległości między podstawowym skupieniem tej substancji a ową częścią, która została od niego oddzielona.

Z kolei druga specjalna właściwość hanbledzoina polega na tym, że po ponownym wprowadzeniu go do podstawowego skupienia owej substancji, miesza się on z tym swoim pierwotnym skupieniem i zarówno pod względem gęstości, jak i ilości rozchodzi w nim wszędzie równomiernie, niezależnie od tego, gdzie dane skupienie się znajduje oraz w jakiej ilości ów hanbledzoin został do niego, zamierzenie lub przypadkowo, wprowadzony.

Na skutek tego, że ciało kesdżan danej istoty obleka się w substancje, które w sumie czynią tę kosmiczną formację o wiele lżejszą od masy substancji kosmicznych otaczającej planety i zwanej atmosferą planetarną, takie ciało kesdżan, gdy tylko się oddzieli od ciała planetarnego danej istoty, wznosi się – zgodnie z kosmicznym prawem zwanym „Tenikdoa” lub, jak też się mówi, „prawem grawitacji” – do strefy, w której właściwy mu ciężar zostaje zrównoważony i która jest wobec tego odpowiednim miejscem dla tego rodzaju tworów kosmicznych.

Tak więc opierając się na tym wszystkim, można stwierdzić, że wstępne przygotowanie polega na pobraniu zawczasu – to znaczy jeszcze w trakcie egzystencji planetarnej istoty, na której ciele kesdżan zamierza się, po jej śmierci, dokonać sakramentu świętego Ałmcnoszinu – cząstki jej hanbledzoina i ta cząstka jest następnie albo przechowywana w jakiejś odpowiedniej formacji naplanetarnej, albo użyta przez istoty dokonujące owego „rytuału”, które wprowadzają ją w siebie i celowo łączą z hanbledzoinem własnego ciała kesdżan.

W ten sposób, kiedy trójmózgowa istota, która z racji osiągniętego stopnia samodoskonalenia ma przyjąć sakrament Ałmcnoszinu, kończy swą planetarną egzystencję i jej ciało kesdżan odziera się od jej ciała planetarnego, wówczas dzięki pierwszej specjalnej właściwości hanbledzoina istnieniowego tworzy się „połączenie” – o którym ci przed chwilą mówiłem – między tym ciałem kesdżan i miejscem, gdzie zawczasu przechowano część jego hanbledzoina, lub istotami, które celowo oblekły w nią własne ciało kesdżan.

Aby w naszych dalszych rozmowach nie było w tej kwestii żadnych niejasności, muszę ci teraz powiedzieć, że wspomniane połączenie – z jednym końcem w ciele kesdżan, które uniosło się już do odpowiedniej strefy, a drugim albo w formacjach naplanetarnych, gdzie umieszczono część ogólnej masy hanbledzoina danego ciała kesdżan, albo w istotach, które celowo zespoliły ją z hanbledzoinem ich własnego ciała kesdżan – może istnieć w przestrzeni jedynie przez określony czas, to znaczy tylko do chwili, gdy planeta, na której powstała dana istota, zatoczy pełny krąg wokół swojego słońca.

W momencie, kiedy zaczyna się następny obrót, takie połączenie całkowicie zanika.

A zanika, ponieważ w atmosferze, która otacza każdą planetę, ewolucja i involucja substancji kosmicznych niezbędnych – zgodnie z podstawowym świętym kosmicznym prawem Heptaparaparszynoch – do wielkiego kosmicznego Trogoautoegokrata, zaczyna znowu służyć tylko do procesu trogoautoegokratycznego o charakterze lokalnym, to znaczy przebiegającego w granicach „własnej aktywności” danego układu słonecznego, skutkiem czego wszystkie bez wyjątku substancje kosmiczne, które znalazły się w danej atmosferze w okresie trwania tego ruchu, a wśród nich również wspomniane połączenie, przekształcają się natychmiast w takie substancje kosmiczne, jakie powinny występować w tej atmosferze.

Tak więc, mój chłopcze!...

Dopóki jeden pełny obrót nie dobiegnie końca, dopóty egzystu-

jące na dowolnej planecie istoty, które mają w sobie cząstkę hanbledzoina danego ciała kesdżan albo dysponują formacją naplanetarną, gdzie taką cząstkę umieszczono, mogą w każdej chwili – oczywiście pod warunkiem że posiadają wszystkie potrzebne do tego dane – przyciągnąć z powrotem to ciało do strefy znajdującej się nad częścią lądową ich planety, a potem, „nasyciwszy” je własnym hanbledzoinem do odpowiedniego stopnia gęstości, nawiązać łączność z rozumem tej w pełni ukształtowanej, już samodzielnej jednostki kosmicznej.

A takie przyciąganie lub, jak się czasem mówi, „materializowanie” jest wytwarzane – o czym już wspominałem – za pomocą „Walikrynu”, czyli przez świadome wstrzykiwanie w pewien sposób własnego hanbledzoina w koniec wspomnianego połączenia.

Jeszcze przed tym tybetańskim zdarzeniem parokrotnie udało się na twojej planecie trójcentrowym istotom różnych epok przeprowadzić taki święty proces Ałmcnoszinu i nawet zachowało się tam kilka legomonizmów, które zawierają informacje związane z tego rodzaju świętymi procesami minionych epok.

Właśnie dzięki tym legomonizmom ta mała grupa tybetańskich istot знаła już każdy szczegół przebiegu owego świętego procesu i oczywiście wiedziała, że wymaga on specjalnego przygotowania.

Nie mając jednak żadnej innej możliwości poznania wszystkich najgłębszych tajemnic, oprócz próby nawiązania kontaktu z rozumem ich zmarłego przełożonego, postanowiły przeprowadzić taki święty sakrament na ciele kesdżan ich byłego zwierzchnika nawet bez rzeczonych przygotowań.

To właśnie ten ich ryzykowny krok stał się źródłem wspomnianego tamtejszego wielkiego nieszczęścia.

Jak wykazały moje dalsze badania, do tego wielkiego nieszczęścia doszło w następujący sposób:

Kiedy tych sześciu „wielkich wtajemniczonych”, którzy nadal jeszcze wiedli swoją planetarną egzystencją, zaczęło na dwie

zmiany nieustannie przez trzy dni i trzy noce przeprowadzać na planetarnym ciele byłego przełożonego proces Walikryn – czyli wstrzykiwać do tego ciała własny hanbledzoin – wtedy z powodu braku odpowiedniego przygotowania owego połączenia z jego ciałem kesdżan ten ich hanbledzoin nie urzeczywistniał tego, co powinien, lecz tylko chaotycznie się gromadził nad planetarnym ciałem ich dawnego przełożonego, a ponieważ, tak się niefortunnie złożyło, że w tych dniach w atmosferze tego miejsca przebiegała wzmożona fuzja świętego elementu aktywnego Okidanoch lub, jak mówią tamtejsze istoty, przetaczały się tamtędy „gwałtowne burze”, więc między tymi dwoma kosmicznymi „rezultatkami”, wciąż jeszcze podlegającymi procesowi przechodzenia od jednego określonego kosmicznego zjawiska do drugiego, nastąpił, jak to się mówi, „kontakt sobriozerne”.

Z powodu tego kontaktu na tej małej powierzchni owej niefortunnej planety doszło do przyspieszonego zjawiska kosmicznego zwanego „nicunicowaniem”, czyli nagłej i natychmiastowej ewolucji wszystkich ukształtowanych krystalizacji kosmicznych, a konkretnie wszelkie znajdujące się w pobliżu formacje naplanetarne momentalnie z powrotem przekształciły się w pierwoźródłową substancję Eternokrilno.

Ów kontakt sobriozerne lub, jak by powiedziano na twojej planecie Ziemia, ten „wybuch”, był tak silny, że podczas takiego „nicunicowania” wszystko bez wyjątku zamieniło się w Eternokrilno: zarówno ciało planetarne przełożonego tej małej grupy istot, jak i cała szóstka braci, którzy odprawiali ów święty sakrament, a także absolutnie wszystkie już uduchowione czy tylko skoncentrowane formacje naplanetarne, które znajdowały się w obrębie jednego „szmana” lub, jak powiedzieliby twoi ulubieńcy, „jednego kilometra kwadratowego” od tego miejsca.

Wśród tych zniszczonych formacji, które powstały w sposób naturalny bądź zostały stworzone sztucznie przez istoty, znajdowały się też wszystkie „księgi” należące do tych siedmiu autentycznych ziemskich wielkich wtajemniczonych istot, a także inne przedmioty, które służyły im do zapamiętywania wszystkie-



go, co wiązało się z trzema autentycznymi Świętymi Indywiduami celowo urzeczywistnionymi z Góry, czyli Świętym Krisznatcharną, Świętym Buddą i Świętym Lamą.

Myślę, mój chłopcze, że już się stał dla ciebie jasny sens słów, którymi określiłem znaczenie tej czarującej przejażdżki wojennej, stwierdzając, że była wielkim nieszczęściem nie tylko dla istot tego kraju, ale być może również dla wszystkich trójmózgowych istot całej planety.

Tak więc, mój chłopcze, teraz już wiesz, w jaki sposób tych pięć istniejących do dzisiaj i wymienionych przeze mnie religii – które powstały na twojej planecie na podstawie nauczania pięciu różnych autentycznych świętych, posłanych z Góry, by pomogli twoim ulubieńcom uwolnić się od następstw właściwości organu kundabufor – mimo że stopniowo, z powodu zawsze tych samych nienormalnie ustalonych przez nich warunków zwykłej egzystencji istnieniowej, tak się zaczęło przeobrażać, że w końcu zamieniło się, z punktu widzenia zdrowego myślenia, w bajki dla dzieci, to jednak tych samych pięć religii mogło wciąż służyć niektórym z nich za wsparcie dla ich wewnętrznych motywacji moralnych, dzięki czemu jeszcze do niedawna ich wspólna egzystencja stawała się w pewnych okresach w miarę godna istot trójcentrowych.

Ale obecnie, kiedy ostatnie pozostałości tych religii uległy już całkowitemu zniszczeniu, trudno jest nawet przewidzieć, czym się to wszystko może skończyć.

Ostatnią z tych pięciu religii, powstałą na podstawie nauczania autentycznego posłańca, Świętego Lamy, udało się im ostatecznie zniszczyć, i to nawet „z trzaskiem” przez tę swoją czarującą przejażdżkę wojenną.

Natomiast przedostatnią, czyli religię stworzoną na podstawie nauczania Świętego Mahometa, niszczą właśnie w tej chwili przez zakaz noszenia słynnych niegdyś fezów i czarczafów, a także z „życzliwą” pomocą „niemieckich junkrów”.

Jeśli zaś chodzi o religię powstałą jeszcze wcześniej i opierającą

się na nauczaniu Jezusa Chrystusa – czyli religię i nauczanie, w których tak wielkie nadzieje pokładały najwyższe Indywidua – to obecnie te już całkiem arcydziwne tamtejsze istoty trójmózgowe doszczętnie ją rujnują, organizując w mieście Jerozolimie uniwersytet dla współczesnej młodzieży żydowskiej.

Religia oparta na nauczaniu Świętego Mojżesza, chociaż istnieje od dawna i tylko ledwo ledwo utrzymuje się jeszcze wśród swoich wyznawców, to niewątpliwie z powodu organicznej nienawiści, jaką żywią do nich istoty innych społeczeństw, te ostatnie, owładnięte szkodliwą ideą istniejącą tam pod nazwą „polityka”, prędzej czy później ją również „zatłuką” i to także „z trzaskiem”.

I wreszcie, co się tyczy tej tamtejszej religii, która rzekomo powstała na podstawie nauczania Buddy, to mówiłem ci wcześniej, że wskutek ich sławetnego cierpienia zbudowanego w oparciu o błędnie zrozumianą ideę, już od samego początku przerobili oni to jego nauczanie na środek służący do ich, jak sami mówią, „myślowego porubstwa”.

Przy okazji warto nadmienić, że takim „myślowym porubstwem” jako pierwsi parali się „tanguorzy”, po nich zaś „bramaniści”, „szueniści” itd., a obecnie zajmują się nim tak zwani teozofowie i inne tamtejsze „pseudonauki”.

Po tych słowach Belzebub na chwilę zamilkł i widać było, że w skupieniu się nad czymś zastanawia, po czym powiedział:

– Właśnie pomyślałem, że byłoby rzeczą niezwykle korzystną dla twojego rozumu, gdybym opowiedział ci o jeszcze jednym tamtejszym wydarzeniu związanym z sakramentem świętego Ałmcnoszinu, a dotyczącym Świętego Indywiduum, którego poczęcie urzeczywistniło się wśród twoich ulubieńców i które, uformowawszy się, otrzymało imię „Jezusa Chrystusa”.

Opowiem ci więc o tym ważnym wydarzeniu związanym z urzeczywistnieniem pośród nich tego Świętego Indywiduum i w rozumieniu twoich współczesnych ulubieńców określanym słowami: „Śmierć i Zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa”.

Oprócz tego, że zapoznanie się z tym tamtejszym epizodem

uświadomi ci w jeszcze inny sposób wagę i esencjalne znaczenie świętego sakramentu Ałmcnoszinu, da ci ono zarazem uderzający przykład tego, jak już pierwsi potomkowie współczesnych owego Świętego Indywiduum – tylko z powodu tej dziwnej cechy ich zbiorczej psychiki zwanej „mądrzeniem się” – tak wypaczyli sens nawet tych „pięte przez dziesiąte” zebranych w jedną całość okruchów wypowiedzi i wskazówek autentycznych Świętych Indywiduów, celowo urzeczywistnionych pośród nich z Góry, że do istot następnych pokoleń z tego wszystkiego, co oni nazywają nauczaniem religijnym, nie dotarło nic prócz informacji; które nadają się jedynie do wymyślania, jak to się mówi, „bajek dla dzieci”.

Chodzi o to, że kiedy Jezus Chrystus, to Święte Indywiduum, które urzeczywistniło się w planetarnym ciele ziemskiej istoty trójmózgowej, musiał się oddzielić od swej zewnętrznej powłoki planetarnej, pewne ziemskie istoty trójmózgowe przeprowadziły na jego ciele kesdań wspomniany święty proces Ałmcnoszinu po to, by w razie nagłego przerwania jego egzystencji planetarnej móc dalej komunikować się z jego Boskim Rozumem i w ten sposób otrzymać informacje o pewnych kosmicznych prawdach, jak również wskazówki na przyszłość, których nie zdążył im wcześniej przekazać.

Świadectwa o tym wielkim wydarzeniu zostały skrupulatnie spisane przez pewne istoty, które brały udział w realizacji tego świętego procesu, a następnie specjalnie przekazane zwykłym istotom z ich otoczenia w określonym celu.

Jednakże, mój chłopcze, ponieważ ów okres zbiegł się, jak już wspominałem, ze „szczególnie zaostrożonym funkcjonowaniem” dziwnego rozumu tych przypadłych ci do gustu trójmózgowych istot – w znaczeniu periodycznego nasilenia się owej przynależnej już im od dawna potrzeby „wprowadzania w błąd podobnych do nich istot z ich otoczenia” – wielu z nich, starając się otrzymać tytuł uczonego, naturalnie „nowej formacji”, a także pod wpływem tego, że w owym czasie można było spotkać mnóstwo takich istot wśród wspomnianych zwykłych istot z ich otoczenia,

„powstawiało” wszelkiego rodzaju „brednie” do prawie wszystkich opisowych notatek zrobionych przez świadków tego świętego procesu w celu przekazania ich następnym pokoleniom. Na przykład obok uznania niezaprzeczalnego faktu, że Jezus Chrystus był przybity do krzyża i potem pochowany, oni z takim samym przekonaniem dowodzili, że po ukrzyżowaniu i pogrzebie Jezus Chrystus zmartwychwstał i dalej egzystował wśród nich, a także uczył ich rozmaitych rzeczy, i że dopiero później wzniósł się ze swym planetarnym ciałem do Nieba.

Na skutek takiego ich, w obiektywnym sensie, „kryminalnego mądrzenia się” istoty kolejnych pokoleń zupełnie straciły prawdziwą wiarę w całe to boskie, zbawienne i jedyne możliwe dla nich do zrealizowania nauczanie Miłości Pełnego Jezusa Chrystusa.

Owe zapisane brednie zaczęły stopniowo rodzić w obecności niektórych istot następných pokoleń impuls powątpiewania nie tylko w to, o czym przed chwilą ci powiedziałem, ale także generalnie we wszystkie prawdziwe informacje zawierające dokładne wskazówki i wyjaśnienia udzielone właśnie przez to Święte Indywiduum, które zostało celowo urzeczywistnione pośród nich z Góry.

Owe dane budzące powątpiewanie w tych niektórych ziemskich istotach trójmózgowych następných pokoleń zaczęły się krystalizować i stały nieodłączną częścią ich zbiorczych obecności głównie dlatego, że one też – pomimo typowego dla nich procesu niemal automatycznej egzystencji – w czasie długiego okresu, trwającego wiele ichnich stuleci, stopniowo z tych automatycznych krystalizacji zgromadziły w sobie dane, które pozwalają im w miarę poprawnie instynktownie odczuwać pewne kosmiczne prawdy, jak na przykład niewątpliwy fakt, że jeśli jakaś istota podlega procesowi świętego Raskuarno lub, jak one mówią, „jeśli ktoś umrze” i jeszcze do tego zostanie pochowany, to ta istota nigdy nie będzie już egzystować, a tym bardziej mówić i nauczać.

Tak więc ci spośród tych nieszczęśników, w których wciąż funkcjonowało – wprawdzie w bardzo nieznacznym stopniu –

myślenie istnieniowe zgodne z prawami zdrowej logiki, nie uznając tak niedorzecznych i niebywałych bzdur, stracili w końcu wszelką wiarę w jakąkolwiek prawdę faktycznie ukazaną i objaśnioną przez to Święte Indywiduum, Jezusa Chrystusa.

A jeśli chodzi o pozostałe ziemskie istoty trójmózgowe, które stanowią zresztą większość, to najczęściej po osiągnięciu odpowiedzialnego wieku zamieniają się – i to z wielu powodów, ale przede wszystkim dlatego, że już od najwcześniejszych lat egzystencji wchodzi im w nawyk zajmowanie się „murdurtenem” – w tak zwanych psychopatów akceptujących ślepo, słowo w słowo i bez jakiegokolwiek udziału logicznego istnieniowego myślenia, wszystkie „fantastyczne brednie”, które do nich dotarły, skutkiem czego automatycznie formuje się w nich bardzo szczególny rodzaj „wiary” w całe to nauczanie religijne, przedstawiające jakoby ogół wszystkich „prawd” związanych właśnie z tym zaiste celowo urzeczywistnionym pośród nich z Góry Świętym Indywiduum, Jezusem Chrystusem.

Informacje o tak zwanej Wieczery Pańskiej, znajdujące się w znanym twoim współczesnym ulubieńcom „zbiorze zapisków”, który przedstawia ponoć rzeczywistą i wierną historię tego Świętego Indywiduum i zwany jest przez nich „Pismem Świętym” to nic innego, jak relacja z przygotowań do wielkiego sakramentu Ałmcnoszinu przeprowadzonego na ciele kędzian Świętego Jezusa Chrystusa.

Warto zauważyć, że nawet w tej spisanej „piąte przez dziesiąte” całości, zwanej przez twoich ulubieńców „Pismem Świętym” można znaleźć wiele autentycznych słów i wręcz całych zdań wypowiedzianych podczas Wieczery Pańskiej zarówno przez Świętego Jezusa Chrystusa, jak i przez tych, których On sam bezpośrednio wtajemniczył, a których nazywa się w tymże Piśmie Świętym „uczniami” lub „apostołami” – słów i zdań, które twoi ulubieńcy; szczególnie ci współcześni, rozumieją, jak zawsze i wszystko, wyłącznie „dosłownie”, nie mając w ogóle świadomości zawartego w nich wewnętrznego znaczenia.

Przy czym to ich bezmyślne „dosłowne” rozumienie zawsze jest

oczywiście wynikiem tego, że w swych zbiorczych obecnościach zupełnie przestali urzeczywistniać partkdołgpowinności, które należy wypełniać za pomocą wysiłków istnieniowych, a te z kolei jako jedyne mają możliwość skryształizowania w trójmózgowych istotach danych pozwalających na wyrobienie sobie autentycznej opinii istnieniowej.

Oto dlaczego, mój chłopcze, nie potrafią oni zrozumieć nawet tego, że ani wtedy, gdy to Święte Indywiduum, Jezus Chrystus, egzystowało pośród nich, ani w czasach, gdy układano ich obecne Pismo Święte, podobne do nich istoty nie używały tylu dobrych słów, z ilu sami dzisiaj korzystają.

Nie potrafią sobie wyobrazić, że w tamtym okresie myślenie istnieniowe istot tej planety było bliższe normalnemu, właściwemu istotom trójmózgowym myśleniu i że dzięki temu przekaz idei i myśli był wtedy jeszcze „podobnizowany” lub, jak się też mówi, „alegoryczny”.

Innymi słowy, ówczesne trójmózgowe istoty planety Ziemia, aby wyjaśnić sobie lub komuś innemu dowolną czynność, odwoływały się zawsze do utrwalonego w nich już wcześniej rozumienia podobnych czynności.

Podczas gdy dzisiaj dokładnie to samo odbywa się u nich zgodnie z zasadą „łańcuchowania”.

A stało się tak, ponieważ ich myślenie istnieniowe – jak zwykle z powodu nienormalnie ustalonych warunków zwykłej egzystencji – zachodzi bez żadnego udziału ich „lokalizacji odczuwania”, czyli, zgodnie z tamtejszą terminologią, „centrum czuciowego”, i zrobiło się przez to zupełnie automatyczne.

Oto dlaczego od tamtego czasu, aby móc coś zrozumieć lub choćby tylko w przybliżeniu wytłumaczyć to komuś innemu, one same zaczęły się automatycznie zmuszać i nadal zmuszają do wymyślenia wielu niemalże pozbawionych znaczenia nazw, i to zarówno dla różnych przedmiotów, jak i dla swoich wielkich i małych idei, skutkiem czego proces ich myślenia zaczął stopniowo przebiegać, jak już ci powiedziałem, zgodnie z zasadą „łańcuchowania”.

wania”.

To właśnie za pomocą takiego myślenia twoi współcześni ulubieńcy rozszyfrowują i próbują zrozumieć teksty, które zostały napisane pod kątem myślenia istot współczesnych boskiemu Jezusowi Chrystusowi, a więc jeszcze w sposób „podobnizowany”.

W związku z tym, mój chłopcze, muszę ci wyjaśnić pewien w najwyższym stopniu absurdalny i w sensie obiektywnym bluźnierczy fakt, wskazujący na autentyczną bezużyteczność tego istniejącego do dzisiaj wśród twoich ulubieńców Pisma Świętego, które, nawiasem mówiąc, stało się szczególnie popularne po ich ostatnim procesie unicestwiania się nawzajem i w którym, jak się już domyślasz, jest wszystko, co zechcesz, z wyjątkiem rzeczywistości i prawdy.

Otóż chcę ci uświadomić, co w tym Piśmie Świętym – które rzekomo dotarło do nich w niezmienionej formie – mówi się o najważniejszej, najrozsądniejszej i najbardziej oddanej z tych wszystkich istot wtajemniczonych bezpośrednio przez owe Święte Indywiduum, to znaczy jak one same by powiedziały o jednym z Jego apostołów.

Ów wtajemniczony oddany i umiłowany apostoł Jezusa Chrystusa nazywał się „Judasz”.

Zgodnie z obecną wersją ich Pisma Świętego każdy kto chce czerpać z niego prawdziwą wiedzę, dowiadyuje się i utrwala w sobie przekonanie, że Judasz był najbardziej podłą, pozbawioną sumienia istotą, która okazała się dwulicowym i podstępny zdrajcą.

W rzeczywistości jednak Judasz nie tylko był najwierniejszym i najbardziej oddanym ze wszystkich bliskich uczniów Jezusa Chrystusa, lecz również to jedynie dzięki jego rozsądkowi i pomyślności owo Święte Indywiduum mogło dopełnić wszystkich działań, których rezultat, nawet jeśli nie zdołał zniszczyć do końca w tych nieszczęśnikach następstw właściwości organu kundabufor, to przynajmniej w ciągu dwudziestu wieków był dla większości z nich źródłem strawy i inspiracji w ich ponurej egzysten-

cji, czyniąc ją przez to choć trochę znośniejszą.

Abyś mógł lepiej wyobrazić sobie prawdziwą indywidualność Judasza, a także znaczenie jego przejawów dla tego, co miało stać się później, musisz wpierw wiedzieć, że po ostatecznym uformowaniu się Jezusa Chrystusa w istotę odpowiedzialną to Święte Indywiduum, celowo urzeczywistnione z Góry w planetarnym cieple ziemskiej istoty, postanowiło wypełnić misję powierzoną Mu z Góry, oświecając rozum owych ziemskich istot trójmózgowych za pośrednictwem dwunastu wybranych spośród nich i różniących się typem istot, które On sam specjalnie wtajemniczył i osobiście przygotował.

Otóż dokładnie w okresie największego nasilenia jego boskiej działalności okoliczności, na które nie miał wpływu, sprawiły, że jeszcze nim doprowadził do skutku swoje zamierzenie – to znaczy zanim zdążył wyjaśnić pewne prawdy kosmiczne i udzielić niezbędnych wskazówek na przyszłość – zmuszony był dopuścić do przedwczesnego przerwania swojej egzystencji planetarnej.

Właśnie wtedy postanowił razem z tymi dwunastoma, celowo przez Niego wtajemniczonymi, ziemskimi istotami zastosować ów święty sakrament Ałmcnoszinu – którego proces realizacji był im wszystkim dobrze znany i do którego dopełnienia zgromadzili już w swych obecnościach wszystkie potrzebne dane – aby w ten sposób, dopóki pozostawał jeszcze w takim kosmicznym indywidualnym stanie, mógł dokończyć rozpoczęte przez Siebie przygotowania do realizacji planu, który nakreślił, by spełnić misję powierzoną Mu z Góry.

A zatem, mój chłopcze, po podjęciu takiej decyzji, kiedy wszyscy oni byli już gotowi przystąpić do niezbędnych działań przygotowawczych do tego świętego sakramentu, okazało się, że nie da się tego zrobić, gdyż jest już za późno, a to dlatego, że zostali otoczeni przez istoty zwane „żołnierzami” i w każdej chwili spodziewali się aresztowania wraz ze wszystkimi jego następstwami. Właśnie wtedy Judasz – teraz święty, a przedtem nieodłączny i oddany pomocnik Jezusa Chrystusa, „nienawidzony” i „przeklinany” przez te dziwne trójmózgowe istoty twojej planety z powo-



du ich naiwnej głupoty – zainterweniował i wyświadczył im wielką obiektywną przysługę, za którą ziemskie istoty trójmózgowe wszystkich następnych pokoleń powinny okazywać mu wdzięczność.

Ten mądry i przejmujący czyn, którego podjął się z bezinteresownym oddaniem, polegał na tym, że w chwili największej rozpaczki spowodowanej uświadomieniem sobie, że nie uda się doprowadzić do końca przygotowań koniecznych do przeprowadzenia świętego Ałmcnoszinu, ów Judasz, obecnie już święty, zerwał się z miejsca i w pośpiechu powiedział:

„Pójdę i zrobię wszystko, co trzeba, żebyście te święte przygotowania mogli poczynić bez przeszkód, a wy tymczasem nie zwlekajcie, tylko zabierajcie się do nich od razu”.

Gdy skończył mówić, podszedł do Jezusa Chrystusa i w tajemnicy wymienił z nim kilka słów, a następnie, otrzymawszy jego błogosławieństwo, wybiegł na dwór.

I faktycznie ci, którzy pozostali w środku, bez przeszkód przeprowadzili do końca to wszystko, co było konieczne, aby uzyskać możliwość urzeczywistnienia świętego procesu Ałmcnoszinu.

Po tym, co właśnie powiedziałem, sam już niewątpliwie rozumiesz, do jakiego stopnia dwa wskazane przeze mnie typy trójmózgowych istot z tej przypadłej ci do gustu planety Ziemia wypaczają – dla różnych swoich egoistycznych celów – wszystkie prawdy, skutkiem czego w obecnościach istot każdego kolejnego pokolenia skryształizowało się to niesłychanie niesprawiedliwe wyobrażenie o Judaszu, tym obecnym Świętym, którego wyłączną zasługą jest to, że w wirze ich ponurej egzystencji powstało i służyło im przez dwadzieścia wieków takie dobroczynne ognisko uspokojenia.

Sądzę nawet, że fakt, iż w ich Piśmie Świętym Judasz został przedstawiony w taki sposób, wynika zapewne z tego, że z jakiegoś powodu komuś – też reprezentującemu jeden z dwóch wspomnianych typów – zależało na pomniejszeniu znaczenia samego Jezusa Chrystusa.

W przeciwnym razie wychodzi na to, że był On rzekomo tak naiwny, tak nieprzewidujący i pozbawiony wszelkiej intuicji, słowem, tak niedoskonały, że chociaż bardzo długo znał Judasza i wspólnie z nim egzystował, to nie potrafił wyczuć i uświadomić sobie, że ten jego bliski uczeń jest perfidnym zdrajcą, który sprzeda go za trzydzieści bezwartościowych srebrników.

W tym miejscu opowieści Belzebub i wszyscy pasażerowie międzyukładowego statku „Karnak” poczuli nagle w swych organach smakowych szczególny kwaśno-gorzkawy smak.

Oznaczało to, że ich statek zbliża się do miejsca przeznaczenia, czyli w danym wypadku do świętej planety Czyściec.

Ów kwaśno-gorzkawy smak poczuli dlatego, że z kabiny pilota został wypuszczony specjalny prąd magnetyczny, aby poinformować wszystkich pasażerów o zbliżaniu się do celu podróży.

Belzebub przerwał więc swą opowieść i spoglądając z czułością na wnuka, powiedział:

– Chcąc nie chcąc, musimy teraz uciąć naszą rozmowę o Świętym Indywiduum, Jezusie Chrystusie, ale kiedy dotrzemy do domu, na nasz drogi Karataz, któregoś dnia, gdy będziemy mieli wolną chwilę, przypomnij mi, mój chłopcze, bym szczegółowo opowiedział ci o tym wszystkim do końca.

Cała historia urzeczywistnienia w ciele planetarnym jednego z twoich ulubieńców tego Świętego Indywiduum, zarówno jeśli chodzi o Jego egzystencję wśród istot różnych zbiorowości twojej planety; jak i Jego gwałtowną śmierć, jest niezwykle interesująca, a dla ciebie, ponieważ pragniesz uświadomić swojemu rozumowi wszystkie subtelności dziwnej psychiki tych oryginalnych istot trójmózgowych, szczególnie fascynująca powinna się okazać ta część dziejów owego Świętego Jezusa Chrystusa, która – według ichniej rachuby czasu – odnosi się do okresu Jego egzystencji tam od dwunastego do dwudziestego ósmego roku życia.

## Rozdział 39

### *Święta planeta Czyściec*

Po kilku dionoskach statek kosmiczny „Karnak” opuścił świętą planetę i zaczął spadać ponownie w kierunku swojej stacji docelowej, czyli w kierunku planety; która była miejscem przyjscia na świat Belzebuba i dokąd ów teraz powracał, aby zakończyć swą długą egzystencję. Zakończyć, nawiasem mówiąc, tę długą egzystencję, którą z powodu pewnych określonych okoliczności przyszło mu wieść na różnych kosmicznych skupieniach naszego Wielkiego Wszechświata w warunkach zawsze dla niego nader nieprzychylnych, a którą mimo to, obiektywnie biorąc, spędził bardzo chwalebnie.

Tak więc kiedy tempo spadania statku już się ustabilizowało, wnuk Belzebuba, Hassin, zasiadł z powrotem u jego stóp i zwracając się do niego, powiedział:

– Dziadku, drogi dziadku! Proszę, wyjaśnij mi, dlaczego na tej świętej planecie, którą dopiero co odwiedziliśmy, tak często, jak mówił mi wujek Tuiłan, pojawia się NASZ WSPÓLNY WSZECH-OBEJMUJACY JEDNOBYTNY I SAMOWŁADNY NIESKOŃCZONY?

Na to pytanie wnuka Belzebub, tym razem zamyśliwszy się nieco dłużej i z większym niż zwykle skupieniem, odpowiedział powoli:

– Tak... mój drogi chłopcze, nie wiem, od czego mam teraz zacząć, aby odpowiedź na twoje pytanie przyjęła taką formę, jaka mnie również by zadowoliła, bowiem wśród wielu innych zadań, które postawiłem sobie w związku z twoim „oskiano” znajduje się także to, żebyś już w tym wieku posiadał gruntowną wiedzę o tej świętej planecie.

W każdym razie muszę ci powiedzieć na samym początku, że ta święta planeta, zwana „Czyścem”, jest dla całego naszego Wiel-

kiego Wszechświata niejako sercem i skupieniem wszystkich końcowych rezultatów pulsacji wszystkiego, co funkcjonuje i istnieje we Wszechświecie.

NASZ WSPÓLNY OJCIEC, NIESKOŃCZONY STWÓRCA pojawia się tam tak często tylko dlatego, że ta święta planeta jest miejscem egzystencji wyjątkowo nieszczęśliwych „najwyższych ciał istnieniowych”, które otrzymały swe powłoki na różnych planetach całego naszego Wielkiego Wszechświata.

Najwyższe ciała istnieniowe, które już zasłużyły na to, by przebywać na tej świętej planecie, najprawdopodobniej tak cierpią, jak nikt ani nic nie cierpi w całym naszym Wielkim Wszechświecie.

Z tego powodu NASZ PEŁEN MIŁOŚCI, NIESKOŃCZENIE MIŁOSIERNY I ABSOLUTNIE SPRAWIEDLIWY NIESKOŃCZONY STWORZYCIEL, nie mogąc w żaden inny sposób pomóc tym nieszczęsnym najwyższym ciałom istnieniowym, często się tam pojawia, ażeby SWOJĄ obecnością choć trochę ulżyć im w ich potwornym i nieuchronnym stanie niewysłowionego smutku.

Owa planeta zaczęła spełniać cel, dla którego teraz istnieje, już długo po tym, jak dobiegł końca proces „tworzenia” tego trwającego dzisiaj „świata”.

Na początku wszystkie takie najwyższe ciała istnieniowe, które znajdują się obecnie na tej świętej planecie, trafiały prosto na nasze Przenajświętsze Słońce Absolut; później jednak, po tym, jak w naszym Wielkim Wszechświecie wydarzyło się to przeraźliwe nieszczęście ogólnokosmiczne zwane dziś „okresem ciutbólitanicznym”, najwyższe ciała istnieniowe, mieszkające teraz na tej świętej planecie, straciły możliwość bezpośredniego zespolenia się z Przenajświętszym Słońcem Absolut.

A więc dopiero po tym „okresie ciutbólitanicznym” zaistniała konieczność tego rodzaju funkcjonowania ogólnokosmicznego jak to, które urzeczywistnia obecnie święta planeta Czyściec.

To właśnie od tamtej pory cała powierzchnia tej świętej planety została odpowiednio zorganizowana i przystosowana w taki spo-

sób, żeby mogła się stać miejscem tej już nieuniknionej egzystencji owych najwyższych ciał istnieniowych.

Powiedziawszy to, Belzebub zamyślił się nieco, a następnie z lekkim uśmiechem kontynuował:

– Owa święta planeta nie tylko stanowi centrum skupiające rezultaty funkcjonowania wszystkiego, co istnieje, lecz jest zarazem najlepszą, najbogatszą i najpiękniejszą ze wszystkich planet naszego Wszechświata.

W trakcie naszego pobytu na pewno zwróciłeś uwagę na to, że nieustannie widzieliśmy i odczuwaliśmy tam, jak od całej przestrzeni naszego Wielkiego Wszechświata lub, zgodnie ze słowami twoich ulubieńców, od całego „firmamentu” poniekąd odbija się blask słynnego i niezrównanego „almaurnowego turkusa” Natomiast jeśli chodzi o atmosferę tej planety, to jest zawsze czysta jak „fenomenalny sakralny kryształ”.

Gdzie tylko spojrzeć każde indywiduum całą swą obecnością odczuwa tam wszystko, co na zewnątrz, w sposób „iskolunicy-nerny” lub, jak powiedzieliby twoi ulubieńcy, „błogo-upajający”.

Na tej świętej planecie samych tylko mineralnych i krynicznych źródeł, które pod względem czystości i klarowności, jak mówią znawcy, nie mają sobie równych na żadnej innej planecie naszego Wszechświata, jest około dziesięciu tysięcy.

Z całego naszego Wszechświata zebrano tam najpiękniejsze i najlepiej śpiewające ptaki w liczbie – również wedle opinii znawców – około dwunastu tysięcy gatunków.

Co się zaś tyczy formacji naplanetarnych, takich jak „kwiaty” „owoce” „jagody” itp., to nawet brak słów, żeby je opisać. Można tylko powiedzieć, że udało się tam zgromadzić i zaaklimatyzować prawie całą „florę”, „faunę”, a także rozmaite „fosylia” ze wszystkich planet naszego Wielkiego Wszechświata.

Na tej świętej planecie wszędzie w odpowiednio uformowanych wąwozach spotyka się wygodne pieczary o najróżniejszych wewnętrznych kształtach – częściowo stworzone przez samą Przyrodę, a częściowo sztucznie – skąd roztaczają się zachwycają-

ce widoki i gdzie można znaleźć wszystko, co potrzebne do błogiej i beztrudnej egzystencji, zapewniającej każdej części obecności dowolnego samodzielnego Indywiduum kosmicznego, jakim stać się mogą również najwyższe ciała istnieniowe, uwolnienie się od jakiegokolwiek esencjalnego niepokoju.

W owych pieczarach egzystują z własnego wyboru najwyższe ciała istnieniowe, które dzięki swym zasługom przybyły na tę świętą planetę z całego naszego Wielkiego Wszechświata, aby kontynuować tu swoje bytowanie.

Oprócz wszystkiego, co już wymieniłem, można tam znaleźć też najlepsze, najwygodniejsze i najszybsze „egolionoptie” lub, jak się czasem na nie mówi, „wszędobylskie pomosty”.

Owe egolionoptie swobodnie poruszają się z dowolną szybkością we wszystkich kierunkach atmosfery świętej planety, osiągając nawet taką prędkość, z jaką spadają Słońca Drugiego Rzędu naszego Wszechświata.

Zdaje się, że system tego typu egolionopti wymyślił specjalnie dla tej świętej planety słynny anioł, teraz już Archanioł, Herkission.

Wypowiedziawszy te ostatnie słowa, Belzebub niespodziewanie zamilkł i znów się głęboko zamyślił, a Hassin z Ahunem, wprawieni w zdumienie, utkwili w nim pytający wzrok.

Dopiero po dłuższym milczeniu, potrząsając w szczególny sposób głową, Belzebub zwrócił się ponownie do Hassina i rzekł:

– Pomyślałem w tej chwili, że byłoby nader rozsądnie z mojej strony, gdybym na twoje pytanie: „Dlaczego NASZ NIESKOŃCZONY tak często uszczęśliwia SWĄ obecnością świętą planetę Czyściec?”, odpowiedział w taki sposób, by przy okazji wyjaśnić ci również to, co już kilkakrotnie obiecałem ci wytłumaczyć.

Chcę mianowicie wyłożyć ci podstawowe prawa kosmiczne, na których opiera się i zgodnie z którymi istnieje nasz teraźniejszy świat. Co więcej, powinienem tak postąpić, ponieważ tylko łącząc ze sobą te dwie kwestie, będziesz mógł zebrać obszerny materiał, który da ci pełny obraz i umożliwi wszechstronne zrozumienie

owej świętej planety Czyściec, a jednocześnie pozwoli dowiedzieć się czegoś więcej o tych interesujących cię trójmózgowych istotach, które powstają na planecie Ziemia.

Pragnę już teraz udzielić ci jak najbardziej szczegółowych i zrozumiałych wyjaśnień odnoszących się do tej świętej planety, bo wiem prędzej czy później i tak będziesz musiał się z nimi zaznajomić, a to ze względu na fakt, że każda odpowiedzialna trójmózgowa istota naszego Wszechświata, niezależnie od przyczyny i miejsca swego powstania oraz formy powłoki zewnętrznej, powinna się zapoznać ze wszystkim, co dotyczy tej świętej planety.

Taka wiedza jest jej niezbędna do tego, by mogła nadać swej egzystencji kierunek odpowiadający właśnie tej świętej planecie, będącej obiektywną częścią składową celu i sensu egzystencji tych wszystkich trójmózgowych istot, które z jakiegokolwiek przyczyny noszą w sobie załączek powłoki najwyższego ciała istnieniowego.

A zatem... mój chłopcze, w pierwszej kolejności muszę ci znowu przypomnieć, że NASZ NIESKOŃCZONY stworzył cały ten istniejący teraz świat tylko dlatego, że został do tego zmuszony.

Na początku, kiedy nie istniało jeszcze nic i cały nasz Wszechświat był nieskończoną pustą przestrzenią wypełnioną jedynie obecnością pierwotnej substancji kosmicznej Eternokrillo, w tej pustej przestrzeni istniało tylko nasze Największe i Przenajświętsze Słońce Absolut, i to na tym jedynym ówczesnym skupieniu kosmicznym NASZ JEDNOBYTNY STWORZYCIEL ustanowił wspólną ze SWOIMI Cherubinami i Serafinami siedzibę SWOJEGO Przesławnego Bycia.

Dokładnie w tym okresie upływu czasu NASZ WSZECHWŁADNY STWÓRCA stanął w obliczu bezwzględnej konieczności stworzenia tego istniejącego dzisiaj naszego „Megalokosmosu”, czyli naszego Świata.

Z trzeciego przeświątego kantyku naszych Cherubinów i Serafinów mieliśmy zaszczyt się dowiedzieć, że któregoś dnia NASZ WSZECHMOGĄCY STWORZYCIEL stwierdził, iż Słońce Absolut,

na którym przebywał ze swymi Cherubinami i Serafinami, chociaż prawie niedostrzegalnie, stopniowo jednak zmniejsza swą objętość.

Ponieważ uznał tę boską konstatację za fakt wielkiej wagi, postanowił natychmiast dokonać przeglądu wszystkich praw stanowiących podstawę egzystencji tego wówczas jeszcze jedyne kosmicznego skupienia.

W trakcie owego przeglądu NASZ WSZECHMOGĄCY STWORZYCIEL po raz pierwszy zdał SOBIE sprawę, że przyczyną stopniowego zmniejszania się objętości Słońca Absolut jest po prostu „Heropas”, czyli sam upływ czasu.

NASZ NIESKOŃCZONY zamyślił się wtedy, bowiem w swych boskich rozważaniach jasno SOBIE uświadomił; że jeśli Heropas dalej będzie zmniejszał objętość Słońca Absolut, prędzej czy później to jedyne miejsce jego Bycia ulegnie całkowitej zagładzie.

Tak więc, mój chłopcze, NASZ NIESKOŃCZONY zmuszony był wówczas podjąć jakieś kroki zaradcze i nie pozwolić na to, by przez tego Heropasa doszło do unicestwienia naszego Przenajświętszego Słońca Absolut.

Ponadto mieliśmy zaszczyt się dowiedzieć – także ze świętego, tym razem piątego kantyku naszych Cherubinów i Serafinów – że po tej swojej boskiej konstatacji NASZ NIESKOŃCZONY, całkowicie poświęciwszy się poszukiwaniu sposobu zapobieżenia takiemu nieuniknionemu końcowi, który miał nastąpić na zgodne z prawem polecenie bezlitosnego Heropasa, zdecydował się po swych długich boskich rozmyślaniach na stworzenie naszego dzisiejszego „Megalokosmosu”.

Abyś mógł lepiej zrozumieć, w jaki sposób NASZ NIESKOŃCZONY postanowił unieszkodliwić to zgubne działanie bezlitosnego Heropasa, a także jak w końcu rzeczywiście tego dokonał, musisz przede wszystkim wiedzieć, że pierwotnie Przenajświętsze Słońce Absolut trwało i egzystowało zgodnie z systemem zwanym „Autoegokratem” wedle którego wewnętrzne siły wspierające istnienie tego kosmicznego skupienia funkcjonowały samodzielnie,



czyli niezależnie od jakichkolwiek sił zewnętrznych. Podstawą tego systemu sił były te same dwa fundamentalne święte prawa kosmiczne, na których opiera się i dzięki którym istnieje dzisiaj nasz Megalokosmos, a mianowicie dwa pierwotne podstawowe święte prawa kosmiczne, noszące nazwę „święty Heptaparaparszynoch” i „święte Triamazikamno”.

Już kiedyś wspominałem ci o tych pierwotnych podstawowych świętych prawach kosmicznych, teraz jednak postaram się wyjaśnić ci je trochę bardziej szczegółowo.

Pierwsze z tych podstawowych pierwotnych świętych praw kosmicznych, czyli prawo Heptaparaparszynoch, współczesna obiektywna nauka kosmiczna definiuje tak:

„Linia przepływu sił, która nieustannie zgodnie z prawem się załamuje, a jej końce na nowo się łączą”.

Linia wyrażająca to święte pierwotne prawo kosmiczne ma siedem punktów załamania lub, jak mówi się inaczej, siedem „środków ciężkości” i odległość między dwoma takimi punktami lub dwoma „środkami ciężkości” zwana jest „stopinderem świętego Heptaparaparszynoch”.

Całościowy proces tego świętego prawa, któremu podlega wszystko, co w danym momencie powstaje, i wszystko, co już istnieje, przebiega zawsze przez każdy z tych siedmiu stopinderów.

Jeśli zaś chodzi o drugie pierwotne podstawowe prawo kosmiczne, czyli święte Triamazikamno, to obiektywna nauka ogólnokosmiczna formułuje je w następujący sposób:

„Nowo powstające z wcześniej powstałych przez «Harnelmiacneł» – proces, którego urzeczywistnienie polega na tym, że wyższe łączy się z niższym, aby razem urzeczywistnić środkowe i w ten sposób stać się albo wyższym dla poprzedniego niższego, albo niższym dla następnego wyższego”.

Mówiłem ci już, że to święte Triamazikamno składa się z trzech niezależnych sił noszących nazwy:

pierwsza – „Surp-Oteos”,  
druga – „Surp-Skiros”,

trzecia – „Surp-Atanatos”.

Tym trzem siłom świętego Triamazikamno nauka obiektywna nadała następujące nazwy:

pierwszej – „siła twierdząca” lub „siła pchająca” czy też po prostu „siła plus”;

drugiej – „siła przecząca” lub „siła oporu” czy też po prostu „siła minus”;

i trzeciej – „siła pojednawcza” bądź „siła równoważąca” bądź też „siła neutralizująca”.

W tym miejscu moich wyjaśnień dotyczących podstawowych praw „Stworzenia Świata” i „Wspierania Świata” powinienem zaznaczyć, że trójmózgowe istoty tej przypadłej ci do gustu planety w okresie, kiedy jeszcze nie skryształizowały się w ich zbiorczych obecnościach następstwa właściwości organu kundabufor, zaczęły zdawać sobie sprawę z istnienia tych trzech świętych sił świętego Triamazikamno i nazwały je:

pierwszą – „Bóg Ojciec”,  
drugą – „Bóg Syn”,  
trzecią – „Bóg Duch Święty”,

a ukryte znaczenie tych sił, jak również dążenie do poddania własnej indywidualności ich dobroczynnemu oddziaływaniu wyrażały w różnych sytuacjach za pomocą następujących modlitw:

„Źródła boskich  
Radości, wzburzeń i cierpień,  
Skierujcie na nas swe działania”.

Lub:

„Święte Twierdzenie,  
Święte Zaprzeczenie,  
Święte Pojednanie,  
Przeistoczcie się we mnie  
Dla mojego bycia”.

Albo:

„Święty Boże,  
Święty Mocny,  
Święty a Nieśmiertelny,  
Zmiłuj się nad nami”.

Teraz, mój chłopcze, słuchaj dalej bardzo uważnie.

Otóż, jak ci już mówiłem, na początku nasze Przenajświętsze Słońce Absolut utrzymywało się wyłącznie dzięki tym dwu pierwotnym świętym prawom, przy czym owe prawa działały wtedy niezależnie, bez pomocy jakiegokolwiek siły zewnętrznej, i taki system był zwany jeszcze tylko „Autoegokratem”.

Następnie NASZ WSZECHWSPIERAJĄCY NIESKOŃCZONY postanowił zmienić zasadę systemu funkcjonowania obu tych podstawowych świętych praw, uzależniając ich – do tej pory samodzielne – funkcjonowanie od sił pochodzących z zewnątrz.

Ze względu na to, że ten nowy system funkcjonowania sił, które zapewniały dotąd istnienie Przenajświętszego Słońca Absolut, wymagał odpowiednich źródeł znajdujących się poza nim, gdzie mogłyby powstawać i skąd mogłyby płynąć w kierunku obecności Przenajświętszego Słońca Absolut wspomniane siły, NASZ WSZECHMOGĄCY NIESKOŃCZONY był wtedy zmuszony stworzyć nasz terazniejszy Megalokosmos wraz ze wszystkimi zawartymi w nim kosmosami różnej skali oraz względnie samodzielnymi formacjami kosmicznymi, i to właśnie od tamtego czasu system zapewniający istnienie Słońca Absolut zaczęto nazywać „Trogoautoegokratem”.

NASZ NIESKOŃCZONY JEDNOBYTNY wspólny ojciec, podjąwszy decyzję o zmianie zasady zapewniającej istnienie tego w owym czasie bezprecedensowego skupienia kosmicznego i jedyne miejsce jego Przesławnego Bycia, w pierwszej kolejności wprowadził zmiany w samym procesie funkcjonowania tych dwóch pierwotnych podstawowych świętych praw, a w szczególności świętego prawa Heptaparaparszynoch.

Te zmiany w funkcjonowaniu świętego Heptaparaparszynoch

polegały na tym, że w jego trzech stopinderach ustawił on inaczej ich dotychczasowe „subiektywne działanie”, to znaczy zgodny z prawem czas przebiegu jednego z nich wydłużył, drugiego skrócił, a trzeciego zdysharmonizował.

A konkretnie, żeby nadać stopinderowi umiejscowionemu między trzecim a czwartym punktem załamania „niezbędną właściwość” dzięki której ów mógł wchłaniać na potrzeby własnego funkcjonowania automatyczny napływ wszystkich znajdujących się w pobliżu sił, wydłużył jego trwanie.

To właśnie ów stopinder świętego Heptaparaparszynoch zwany jest do dzisiaj „mdnel-inem mechanicznie-zbieżnym”.

Jeśli zaś chodzi o stopinder, który został przez NIEGO skrócony, to znajduje się on między ostatnim „punktem załamania”, a początkiem nowego cyklu całościowego procesu tego świętego prawa. Dzięki takiemu skróceniu, którego celem było ułatwienie rozpoczęcia nowego cyklu, spowodował ON, że funkcjonowanie tego stopindera zaczęło zależeć wyłącznie od wpływających do niego z zewnątrz sił, powstałych w wyniku działania tego samego skupienia kosmicznego, w którym zachodzi całościowy proces owego pierwotnego podstawowego świętego prawa.

I taki stopinder świętego Heptaparaparszynoch zwany jest do dzisiaj „mdnel-inem urzeczywistniającym się celowo”.

Co się zaś tyczy ostatniego z trzech stopinderów, których „subiektywne działanie” zostało wtedy przez niego zmienione – to znaczy piątego w kolejności i noszącego nazwę „harnel-aut” – to jego dysharmonia powstała samorzutnie na skutek zmiany dwóch rzeczonych stopinderów.

Owa dysharmonia występująca w jego subiektywnym działaniu i będąca następstwem, by tak rzec, jego asymetrii w odniesieniu do całościowego procesu świętego Heptaparaparszynoch, polega na rzeczy następującej:

Jeśli całościowy proces tego świętego prawa zachodzi w takich warunkach, że towarzyszy mu wiele wibracji „obcego pochodzenia”, to całe jego funkcjonowanie przynosi jedynie rezultaty ze-

wewnętrzne.

Ale jeśli ten sam proces zachodzi w absolutnym spokoju, bez jakichkolwiek wibracji „obcego pochodzenia”, to wszystkie rezultaty funkcjonowania tego stopindera pozostają wewnątrz skupienia, w którym ów proces dobiega końca, i te rezultaty są dostrzegalne z zewnątrz tylko przy bardzo bliskim bezpośrednim kontakcie z nim.

Jeżeli natomiast w trakcie jego funkcjonowania nie występują żadne z tych dwu całkowicie przeciwstawnych warunków, to rezultaty działania takiego procesu rozdzielają się z reguły na zewnętrzne i wewnętrzne.

Tak więc we wszystkich – od największych do najmniejszych – skupieniach kosmicznych proces realizacji zaczął od tamtej pory przebiegać z tego rodzaju zmianami w subiektywnym działaniu stopinderów pierwotnego świętego prawa Heptaparaparszynoch.

Powtarzam, mój chłopcze, postaraj się dokładnie zrozumieć wszystko, co wiąże się z tymi dwoma podstawowymi prawami kosmicznymi, ponieważ znajomość obu tych świętych praw, a zwłaszcza szczegółów świętego Heptaparaparszynoch, ułatwi ci w przyszłości pełne zrozumienie wszystkich drugorzędnych i trzeciorzędnych praw Stworzenia i Istnienia Świata.

Co więcej, dzięki takiej wszechstronnej znajomości tych świętych praw trójmózgowe istoty, bez względu na formę ich zewnętrznej powłoki, zdobywają na ogół umiejętność rozmyślenia nad sensem swojej egzystencji w obliczu dowolnych – zarówno dla nich korzystnych, jak i niekorzystnych – niezależnych od nich i powstających wokół czynników kosmicznych, i uzyskują w sobie dane potrzebne do wyjaśnienia i zaakceptowania „indywidualnej kolizji”, do której dochodzi całkiem często w trójmózgowych istotach na skutek sprzeczności między konkretnymi rezultatami wpływającymi z procesów wszystkich praw kosmicznych a rezultatami, których ichnia tak zwana zdrowa logika każe się im domyślać czy wręcz z ufnością oczekiwać, co z kolei prowadzi je do tego, że prawidłowo oceniając esencjalne zna-

czenie własnej obecności, zaczynają uświadamiać sobie, jakie miejsce faktycznie przysługuje im w tych ogólnokosmicznych realizacjach.

Krótko mówiąc, przetworzenie w sobie wszechstronnego zrozumienia sposobu funkcjonowania obu tych podstawowych świętych praw powoduje w zbiorczych obecnościach trójmózgowych istot krystalizację danych wywołujących tę boską właściwość – nieodzownie potrzebną każdej normalnej istocie trójmózgowej – która istnieje pod nazwą „semuniranus”. Twoi ulubieńcy mają zresztą o niej przybliżone pojęcie i nazywają ją „bezstronnością”.

A więc, mój drogi chłopcze, NASZ WSPÓLNY OJCIEC, wszechmocny stwórcy, zmieniawszy funkcjonowanie obu tych pierwotnych świętych praw, skierował następnie działanie ich sił z wnętrza Przenajświętszego Słońca Absolut w przestrzeń Wszechświata, tworząc w ten sposób „Emanację Słońca Absolut”, którą dzisiaj nazywa się „Teomertmalogosem”, czyli „Bogiem-Słowem”.

Aby pewne moje dalsze wyjaśnienia okazały się zrozumiałe, powinieniem w tym miejscu zaznaczyć, że boska „Siła Woli” NASZEGO NIESKOŃCZONEGO tylko na samym początku uczestniczyła w procesie stworzenia obecnego świata.

Potem ów proces potoczył się już automatycznie, sam przez się, bez żadnego udziału JEGO boskiej „Siły Woli”, a tylko dzięki tym dwu zmienionym pierwotnym podstawowym prawom kosmicznym.

Taki proces stworzenia przebiegał w następującej kolejności:

Wskutek nowej szczególnej właściwości piątego stopindera świętego Heptaparaparszynoch emanacje wydobywające się ze Słońca Absolut zaczęły oddziaływać w pewnych określonych punktach przestrzeni Wszechświata na praźródłową substancję kosmiczną Eternokrilno, która zgodnie z całokształtem dawnych i nowych właściwości pierwotnych świętych praw uległa stężeniu, tworząc pewne określone skupienia.

Następnie z powodu tych samych czynników, a także z racji tego, że w owych skupieniach pojawiły się ich własne wzajemnie oddziałujące prawa Heptaparaparszynoch i Triamazikamno, skryształizowało się w nich stopniowo wszystko, co było potrzebne do powstania dużych skupień, które istnieją do dziś i które nazywamy „Słońcami Drugiego Rzędu”.

Kiedy dobiegła końca realizacja tych nowo powstałych słońc i funkcjonowanie obu podstawowych praw już ostatecznie się w nich ustabilizowało, wtedy one same, podobnie jak Przenajświętsze Słońce Absolut, zaczęły przekształcać i promieniować własne rezultaty, które, łącząc się w przestrzeni Wszechświata z emanacjami Przenajświętszego Słońca Absolut, stały się czynnikami umożliwiającymi realizację ogólnokosmicznego podstawowego procesu świętego prawa Triamazikamno, a mianowicie:

Przenajświętszy Teomertmalogos zaczął się manifestować jako trzecia święta siła świętego Triamazikamno, z kolei rezultaty wpływające z któregośkolwiek z nowo powstałych Słońc Drugiego Rzędu służyły jako pierwsza święta siła, natomiast rezultaty wszystkich pozostałych nowo powstałych Słońc Drugiego Rzędu przejawiały się w odniesieniu do rzeczonego nowo powstałego słońca jako druga święta siła tego świętego prawa.

Kiedy taki proces ogólnokosmicznego świętego Triamazikamno został ustanowiony w przestrzeni Wszechświata; wówczas z praźródłowego Eternokrilno zaczęły się stopniowo formować krystalizacje różnej „gęstości” i grupując się wokół każdego ze Słońc Drugiego Rzędu, wytworzyły nowe skupienia, czyli nowe słońca, zwane tym razem „Słońcami Trzeciego Rzędu”.

To właśnie te trzeciorzędne skupienia kosmiczne nazywamy obecnie „planetami”.

Na tym etapie procesu pierwszego zewnętrznego cyklu podstawowego świętego Heptaparaparszynoch, to znaczy po ukształtowaniu się Słońc Trzeciego Rzędu – czyli planet – i zgodnie ze zmienionym piątym „punktem załamania” świętego Heptaparaparszynoch zwanym, jak już ci mówiłem, harnel-aut, ów początkowy impet, jakiego nabrał całościowy podstawowy proces, stra-

ciwszy połowę swej życiodajnej siły, w dalszym funkcjonowaniu przejawiał na zewnątrz zaledwie połowę swego działania, zachowując drugą połowę dla siebie, to znaczy na potrzeby własnego funkcjonowania, skutkiem czego na tych ostatnich dużych rezultatach, czyli na wspomnianych Słońcach Trzeciego Rzędu lub planetach, zaczęły powstawać „podobieństwa tego, co już powstało”.

A ponieważ potem ustaliły się wszędzie warunki towarzyszące urzeczywistnieniu zgodne z przejawem drugiej właściwości piątego stopindera podstawowego świętego Heptaparaparszynoch, przebieg zewnętrznego cyklu świętego Heptaparaparszynoch dobiegł więc końca i cały przebieg jego funkcjonowania przeniósł się do środka uprzednio przejawionych przez niego rezultatów, w których od tego momentu zaczęły się toczyć nieustające procesy przemiany zwane „ewolucją” i „inwolucją”.

To właśnie wtedy – tym razem już zgodnie z kosmicznym prawem drugiego stopnia, noszącym nazwę „Licwrcy” albo „gromadzenie się tego, co jednorodne” – te „względnie samodzielne” nowo powstałe formacje zwane „podobieństwami tego, co już powstało” zaczęły się na planetach grupować, tworząc jeszcze inne, również „względnie samodzielne” formacje.

Dzięki takim przynależnym świętemu Heptaparaparszynoch procesom „ewolucji” i „inwolucji” w obecnościach wszystkich największych i najmniejszych skupień kosmicznych zaczęły się krystalizować oraz dekrystalizować wszelkiego rodzaju określone substancje kosmiczne wraz z przynależnymi im specyficznymi subiektywnymi właściwościami, a mianowicie substancje kosmiczne, które obiektywna nauka zwie „elementami aktywnymi”.

Otóż wszystkie rezultaty ewolucji i inwolucji owych elementów aktywnych, urzeczywistniając – za pomocą karmienia i wspierania się nawzajem – trogoautoegokratyczną zasadę egzystencji wszystkiego, co istnieje we Wszechświecie, wytwarzają ogólnokosmiczny proces „Iraniranumanż” lub to, co nauka obiektywna nazywa „ogólnokosmiczną wymianą substancji”.



Tak więc, mój chłopcze, dzięki temu nowemu systemowi karmienia się nawzajem wszystkiego, co istnieje, w którym uczestniczyło samo nasze Przenajświętsze Słońce Absolut, zapanowała we Wszechświecie taka równowaga, która nie daje już teraz bezlitosnemu Heropasowi możliwości sprawiania jakichkolwiek niespodzianek w stosunku do naszego Przenajwiększego i Przenajświętszego Słońca Absolut, i tym samym znikły na zawsze wszelkie powody do boskiego niepokoju NASZEGO WSZECHMOGAĆCEGO JEDNOBYTNEGO nieskończonego o nienaruszalność jego miejsca wieczystego przebywania.

Muszę ci tu powiedzieć, że kiedy ta przemądra boska realizacja dobiegła końca, wtedy po raz pierwszy nasi triumfujący Cherubini i Serafini nadali wszystkim nowo powstałym realizacjom nazwy, które przetrwały aż do dziś. Każde względnie samodzielne skupienie określili słowem „kosmos” i dla rozróżnienia kolejności powstania tych kosmosów dodali do tego pojęcia odpowiednią oddzielną nazwę.

Tak więc samo Przenajświętsze Praźródło Słońce Absolut nazwali „Protokosmosem”.

Każde nowo powstałe Słońce Drugiego Rzędu wraz ze wszystkimi jego dalszymi określonymi rezultatami nazwali „Deuterokosmosem”.

Słońca Trzeciego Rzędu, które my dzisiaj nazywamy „planetami” zostały przez nich nazwane „Tritokosmosami”.

Z kolei najmniejsze „względnie samodzielne formacje”, które powstały na planetach wskutek nowej właściwości piątego stopni pindera świętego Heptaparaparszynoch i są najmniejszymi podobieństwami Całości, otrzymały nazwę „Mikrokosmosów”. I wreszcie te formacje Mikrokosmosów, które również skupiły się na planetach, ale już dzięki prawu kosmicznemu drugiego stopnia zwanemu „wzajemnym przyciąganiem się tego, co podobne”, nazwano „Tetartokosmosami”.

A wszystkie te kosmosy – tworzące razem nasz obecny świat – zostały nazwane „Megalokosmosem”.

Także wtedy nasi Cherubini nadali nazwy – zachowane zresztą do dziś – emanacjom i promieniowaniom, które są wysyłane z tych wszystkich kosmosów różnych skal i za pomocą których dokonuje się proces przeogromnego kosmicznego Trogoautoego-krata.

1. Emanację samego Przenajświętszego Słońca Absolut nazwali, jak już mówiłem, „Teomertmalogos” lub „Bóg-Słowo”.
2. Promieniowanie każdego ze Słońc Drugiego Rzędu nazwali „mentokitezoin”.
3. Promieniowanie każdej poszczególnej planety – „dynamoum-zoin”.
4. Substancje wydzielane przez Mikrokosmosy – „fotoinzoin”.
5. Promieniowania wysyłane z Tetartokosmosów – „hanbledzo-in”.
6. Promieniowanie wszystkich planet dowolnego układu słonecznego – „astrololuszoin”.
7. Sumę promieniowań wszystkich nowo powstałych Słońc Drugiego Rzędu – „poloroteoparl”.

A ogół rezultatów wypływających ze wszystkich dużych i małych kosmicznych źródeł nazwali wtedy „ogólnokosmicznym Ansambluiazarem”.

Warto zauważyć, że współczesna nauka obiektywna określiła ów ogólnokosmiczny Ansambluiazar za pomocą następującej formuły: „Wszystko, co ze wszystkiego wychodzi i znowu do wszystkiego powraca”.

W tym samym czasie nadano również oddzielne nazwy każdej „czasowo samodzielnej krystalizacji”, która powstaje w dowolnym z wyliczonych kosmosów w trakcie ewolucyjnych i inwolucyjnych procesów tych podstawowych świętych praw.

Nie będę wymieniał nazw wielkiej liczby takich samodzielnych „środków ciężkości”, które krystalizują się w każdym poszczególnym kosmosie, lecz podam jedynie nazwy tych określonych

„środkociężkościowych elementów aktywnych” ulegających krystalizacji w każdym z owych poszczególnych kosmosów, które bezpośrednio wiążą się z moimi dalszymi wyjaśnieniami, a mianowicie tych, które krystalizują się w obecnościach Tetartokosmosów i mają taki „czasowo samodzielny środek ciężkości”.

Tym samodzielnym twórcom nadano w Tetartokosmosach następujące nazwy:

1. Protoechari
2. Deuteroechari
3. Tritoechari
4. Tetartoechari
5. Piandzoechari
6. Heksjoechari
7. Rezulzarion

A więc, mój chłopcze, teraz, po tych wszystkich udzielonych ci przeze mnie wyjaśnieniach, możemy wrócić do pytania: Dlaczego i w jaki sposób w naszym Wszechświecie zaczęły powstawać najwyższe ciała istnieniowe lub, jak nazywają je twoi ulubieńcy, „dusze”, a także dlaczego na te kosmiczne twory specjalnie zwrócił swa boską uwagę NASZ JEDNOBYTNY WSPÓLNY OJCIEC?

Rzecz w tym, że kiedy w tych wszystkich różniących się skalą kosmosach zapanowała i ustabilizowała się „harmonijna równowaga ogólnokosmiczna”, wtedy powstałe na powierzchni planet Tetartokosmosy natrafiły tam na warunki środowiskowe przypadkowo odpowiadające niektórym obecnym w nich danym i dzięki temu mogły egzystować przez pewien czas bez „sekruano”, to znaczy bez ciągłego „indywidualnego napięcia” skutkiem czego w każdym z tych Tetartokosmosów – czyli pojedynczo uformowanym, „względnie samodzielnym zbiorze Mikrokosmosów” – pojawiła się możliwość samodzielnego automatycznego przemieszczania się po powierzchni danej planety z jednego miejsca w drugie.

A zatem kiedy NASZ WSPÓLNY NIESKOŃCZONY OJCIEC spostrzegł ten ich automatyczny ruch; po raz pierwszy zrodziła się w nim boska idea, by użyć go do pomagania sobie w zarządzaniu powiększającym się światem.

Od tamtego czasu zaczął więc kierować realizacją wszystkiego, co było przeznaczone dla tych Tetartokosmosów, starając się, by nieuniknione „okrualnie” – czyli okresowe powtarzanie się w nich całościowego procesu świętego Heptaparaparszynoch – dokonywało się w taki sposób, aby przy pewnej zmianie w funkcjonowaniu zbiorczych obecności niektórych z tych Tetartokosmosów, oprócz krystalizacji niezbędnych do nowej ogólnokosmicznej wymiany substancji, mogły się również przekształcać i krystalizować takie elementy aktywne, które służyłyby do oblekania w nich nowych samodzielnych formacji obdarzonych możliwością nabywania „indywidualnego rozumu”.

Także o tym, że ta idea właśnie wtedy po raz pierwszy zrodziła się w NASZYM NIESKOŃCZONYM, możemy dowiedzieć się ze słów świętego kantyku, którymi w czasie każdej boskiej uroczystości nasi Cherubini i Serafini sławią obecnie cudowne dzieła NASZEGO STWÓRCY.

Zanim będę kontynuować moją opowieść o tym, jak się udało to urzeczywistnić, powinienem ci powiedzieć, że harmonizacja funkcjonowania wspomnianego ogólnokosmicznego Iraniranumanż odbywa się w taki sposób, iż w pierw wszystkie rezultaty transformacji, które zachodzą w różnych kosmosach, grupują się według „jakości wibracji”, a następnie takie kosmiczne lokalizacje przenikają do całego Wszechświata i pełnią odpowiednią rolę zarówno w planetarnych, jak i naplanetarnych formacjach, przy czym najczęściej na czasowe miejsce swojej swobodnej koncentracji obierają tak zwaną atmosferę, która otacza każdą z planet naszego Megalokosmosu i poprzez którą ustanawiana jest więź potrzebna do ogólnokosmicznego Iraniranumanż.

Tak więc dalsze rezultaty boskiej uwagi udzielonej Tetartokosmosom polegały na tym, że te ostatnie, spełniając rolę aparatów do ogromnego kosmicznego Trogoautoegokrata, uzyskały szansę

na to, by wśród substancji kosmicznych przetwarzanych przez nie we wspomnianych warunkach na potrzeby przeogromnego ogólnokosmicznego świętego Trogoautoegokrata, jak również w celu uzupełnienia tego, co same zużyły w trakcie procesu własnej egzystencji – substancji złożonych wyłącznie z krystalizacji kosmicznych będących wynikiem transformacji tejże planety, na której powstały dane Tetartokosmosy – pojawiły się w ich zbiorczych obecnościach rezultaty w rodzaju tych, jakie wypływają z kosmicznych źródeł wyższego rzędu i tym samym składają się z „bardziej życiodajnych” wibracji.

Otóż z takich kosmicznych rezultatów zaczęły się oblekać w ich zbiorczych obecnościach całkiem podobne formy, wytwarzane na początku z substancji „mentokitezoin” to znaczy substancji kosmicznych przekształcanych przez słońce oraz inne planety tego samego układu słonecznego, w którego granicach powstały dane Tetartokosmosy, i docierających na każdą planetę poprzez promieniowania wspomnianych skupień kosmicznych.

W ten sposób zbiorcza obecność niektórych Tetartokosmosów zaczęła się składać z dwóch różnych – jakby umieszczonych jedna w drugiej – samodzielnych formacji, które powstały z dwu całkowicie odmiennych kosmicznych źródeł i dalej już współistniały.

A więc, mój chłopcze, kiedy te nowe powłoki ukształtowały się i zaczęły odpowiednio funkcjonować w obecnościach Tetartokosmosów, wtedy te ostatnie przestano zwać Tetartokosmosami i nazywano od tej pory „istotami” – co w tamtym czasie znaczyło „mające dwie natury” – przy czym samej tej ich wtórnej powłoce nadano oddzielną nazwę: „ciało kesdżan”.

Potem, gdy w tej nowej części owych „formacji o podwójnej naturze” zostało zgromadzone wszystko, co potrzebne, i ostatecznie uregulowało się funkcjonowanie właściwe tego rodzaju tworom kosmicznym, te formacje zaczęły same – na identycznych zasadach jak w pierwszym wypadku, to znaczy pod warunkiem pewnej zmiany w całościowym funkcjonowaniu – przyjmować i przyswajać kosmiczne substancje powstałe bezpośrednio z Przenajświętszego Teomertmalogosu, i wtedy też rozpoczęło się

w nich oblekanie trzeciego rodzaju podobieństw, czyli tych „najwyższych świętych części” istot, które my nazywamy teraz „najwyższymi ciałami istnieniowymi”.

Jeszcze później, kiedy te ich najwyższe ciała istnieniowe w pełni się oblekły i przyswoiły sobie wszystkie odpowiednie dla nich funkcje, a przede wszystkim kiedy mogły już skryzalizować w sobie dane służące do wytwarzania świętej funkcji zwanej „obiektywnym rozumem” – dane, których krystalizacja jest możliwa jedynie w obecnościach tego rodzaju kosmicznych tworów – i gdy takie Tetartokosmosy lub „istoty” ulegały tak zwanemu Raskuarno, to znaczy odłączeniu się od siebie tych „trzech zawartych w jednej całości” formacji o różnej naturze, dopiero wtedy owe najwyższe części istnieniowe uzyskały możliwość zespolenia się z naszym Przenajświętszym Słońcem Absolut, Przyczyną Przyczyn wszystkiego, co obecnie istnieje, i zaczęły spełniać posłannictwo, z którym wiązał swą nadzieję NASZ WSZECHOBEJMUJĄCY NIESKOŃCZONY.

Teraz muszę ci szczegółowo wyjaśnić kolejne fazy tego wstępnego świętego Raskuarno, któremu uległy wtedy pierwsze Tetartokosmosy i któremu zresztą w ten sam sposób ulegają dzisiaj istoty zwane już „trójmózgowymi”.

Otóż najpierw, jeszcze na planetach, „drugie ciało istnieniowe”, czyli „ciało kesdań” i „trzecie ciało istnieniowe” oddzielają się od „podstawowego ciała planetarnego” i zostawiwszy to ostatnie na planecie, wznoszą się razem do sfery, gdzie skupiają się te substancje kosmiczne, z których formuje się ciało kesdań istot.

I dopiero tam, po upływie pewnego czasu, te twory o podwójnej naturze przechodzą główne i ostateczne święte Raskuarno, po którym taka „najwyższa część istnieniowa” staje się samodzielnym Indywiduum posiadającym własny indywidualny rozum.

Dawniej – to znaczy przed „okresem ciutbóglitanicznym” – dopiero po zakończeniu tego drugiego procesu świętego Raskuarno taka święta realizacja kosmiczna była uznawana za godną zespolenia się z obecnością naszego Przenajświętszego Słońca Absolut lub trafiała na inne skupienia kosmiczne, gdzie istniało zapotrze-

bowanie na takie samodzielne święte Indywidua.

Jeśli jednak do czasu ostatecznego zakończenia procesu świętego Raskuarno te kosmiczne twory nie osiągnęły jeszcze wymaganego stopnia na świętej skali rozumu, to tego rodzaju najwyższa część istnieniowa musiała egzystować we wspomnianej sferze tak długo, aż udoskonaliała swój rozum do wymaganego poziomu.

Nie można nie wspomnieć tutaj o obiektywnej grozie, jaka ogarnia te już powstałe najwyższe części istnieniowe, które z powodu najróżniejszych nieprzewidzianych z Góry rezultatów, jakie przynoszą nowe procesy kosmiczne, nie udoskonaliły się jeszcze do niezbędnego stopnia rozumu.

Chodzi o to, że zgodnie z różnymi drugorzędnymi prawami kosmicznymi „ciało istnieniowe kesdżan” nie może zbyt długo egzystować w tej sferze i po upływie pewnego czasu owa druga część istnieniowa musi ulec rozkładowi, i to nawet jeśli znajdująca się w niej najwyższa część istnieniowa nie zdążyła jeszcze osiągnąć wymaganego stopnia rozumu. A ponieważ ta najwyższa część istnieniowa, dopóki nie udoskonali się do wymaganego stopnia rozumu, musi zawsze zależeć od jakiegoś kesdżańskiego tworu, więc każda taka jeszcze nieudoskonalona najwyższa część istnieniowa natychmiast po drugim świętym Raskuarno wpada w stan zwany „techgekdnę”, czyli „poszukiwanie dla siebie odpowiedniego tworu, który ma taką samą podwójną naturę”, z nadzieją, że uda się jej – gdy najwyższa część tego drugiego tworu o podwójnej naturze, udoskonaliwszy się do wymaganego stopnia rozumu, ulegnie już ostatecznemu procesowi świętego Raskuarno, ale zanim jeszcze szybki rozkład jego ciała kesdżan stanie się wyraźnie odczuwalny – wejść momentalnie w to cudze ciało kesdżan i kontynuować w nim swoją egzystencję w celu dalszego doskonalenia się, któremu prędzej czy później musi sprostać każda powstała najwyższa część istnieniowa.

Oto dlaczego w tej sferze, do której po pierwszym świętym Raskuarno trafia każda najwyższa część istnieniowa, zachodzi proces zwany „okipachalewną zamianą zewnętrznego części duszy” lub „zamianą starego ciała istnieniowego kesdżan na nowe”.

Nawiasem mówiąc, warto przy okazji wspomnieć, że twoi ulubieńcy także rzekomo mają podobne wyobrażenie o zamianie okipachalewnej i nawet wymyślili dla niej bardzo wyszukaną nazwę, a mianowicie „metempsychoza” lub „reinkarnacja” i co więcej, w ostatnich stuleciach uczynili z tej kwestii ową gałąź ich sławetnej „nauki”, która z biegiem lat stała się i pozostaje do dzisiaj jednym z takich szkodliwych drobnych czynników, jakie wespół czynią stopniowo ich rozum – już bez tego wystarczająco dziwny – coraz bardziej, jak powiedziałyby nasz drogi Mułła Nasr Eddin, „szurumburumnym”.

Zgodnie z fantastyczną teorią owej gałęzi ich „nauki” zwanej obecnie „spirytyzmem” przyjmują oni między innymi, że w każdym z nich znajduje się już taka najwyższa część istnieniowa czy, jak ją nazywają, „dusza” i że ta dusza musi nieustannie zmieniać wcielenia, to znaczy doświadczać czegoś w rodzaju wspomnianej przeze mnie przed chwilą zamiany okipachalewnej.

Oczywiście gdyby ci nieszczęśnicy wzięli tylko pod uwagę fakt, że zgodnie z drugorzędnym prawem kosmicznym zwanym „Tenikdoa” albo „prawem grawitacji”, owa część istnieniowa – w tych rzadkich wypadkach, gdy się w nich pojawia – unosi się z powierzchni ich planety zaraz po pierwszym Raskuarno lub, jak tam mówią, po śmierci danej istoty, i gdyby jeszcze zrozumieli, że wyjaśnienia i dowody postulowane przez tę samą gałąź ich „nauki” w odniesieniu do wszelkiego rodzaju zjawisk, które rzekomo zachodzą wśród nich dzięki tym ich fantastycznym duszom, są tylko owocami ich próżnej fantazji, to uświadomiliby sobie w końcu, że także wszystkie inne „dowody” tej ichniej nauki to nic innego, jak „dyrdymały” mówiąc słowami Mułły Nasr Eddina.

A jeśli chodzi o dwa niższe ciała istnieniowe, czyli ciało planetarne i ciało kesdżan, to po pierwszym świętym Raskuarno ciało planetarne istoty, będąc zbudowane z Mikrokosmosów, czyli z krystalizacji przetworzonych przez daną planetę, stopniowo tam, na tej samej planecie, ulega rozkładowi i zgodnie z drugorzędnym prawem kosmicznym o nazwie „Znówtarnotoltur” rozpada się na te same pierwotne substancje, z których powstało.



Z kolei drugie ciało istnieniowe, ciało kesdżan, będąc uformowane z promieniowań innych skupień Tritokosmosów, jak również słońca danego układu słonecznego, unosi się do wspomnianej przed chwilą sfery i po drugim procesie świętego Raskuarno również zaczyna się stopniowo rozkładać w taki sposób, że tworzące je krystalizacje powracają do sfery, w której pierwotnie powstały.

Jednakże samo najwyższe ciało istnieniowe, ponieważ zostało utworzone z krystalizacji pochodzących bezpośrednio ze świętego Teomertmalogosu, nigdy nie może się rozłożyć w obrębie układu słonecznego, gdzie powstała dana istota i toczyła się jej egzystencja; owa „najwyższa część” musi istnieć w tym układzie słonecznym tak długo, aż udoskonali się do wymaganego poziomu rozumu, to znaczy rozumu czyniącego z tego rodzaju formacji kosmicznych formacje „irankipaech”, czyli takie formacje utworzone ze wspomnianych przenajświętszych substancji, które mogą egzystować, nie będąc zależne od formacji kesdżańskich i jednocześnie nie będąc narażone na „dotkliwe” wpływy jakichkolwiek zewnętrznych czynników kosmicznych.

A więc, mój chłopcze, jak ci już mówiłem, tego rodzaju kosmiczne twory, udoskonaliwszy swój rozum do wymaganego poziomu świętego miernika rozumu, trafiały na początku na Słońce Absolut, aby spełniać tam rolę, jaką wyznaczył im NASZ NIESKOŃCZONY STWÓRCA.

Powiniennem ci jeszcze powiedzieć, że również wtedy, już na samym początku, nasi Cherubini i Serafini do określania stopnia indywidualności zaczęli stosować ten istniejący do dzisiaj święty „Wyznacznik Rozumu”, który służy zarówno do wskazywania poziomu rozumu wszystkich trójmózgowych istot, jak i rozumu lub, mówiąc dokładniej, „całokształtu samoświadomości” wszelkich poszczególnych dużych i małych skupień kosmicznych, i który nie tylko pozwala zmierzyć stopień ich rozumu, lecz wskazuje też na „poziom uzasadnienia sensu i celu ich egzystencji”, a ponadto wyznacza przyszłą rolę każdego oddzielnego Indywiduum w stosunku do wszystkiego, co istnieje w naszym wiel-

kim Megalokosmosie.

Ten święty wyznacznik „czystego rozumu” to nic innego jak rodzaj miarki, czyli linia podzielona na równe części, z tym że na jednym jej końcu zaznaczony jest brak jakiegokolwiek rozumu, to znaczy „kamienny spokój” natomiast drugi koniec wskazuje Absolutny Rozum, czyli rozum NASZEGO NIEZRÓWNANEGO NIESKOŃCZONEGO STWÓRCY.

Sądzę, że nie zaszkodzi, jeśli w tym miejscu opowiem ci również o różnorodnych źródłach przejawiania się rozumu istnieniowego, które znajdują się w zbiorczych obecnościach wszystkich trójmózgowych istot.

Generalnie w każdej trójmózgowej istocie, bez względu na jej miejsce powstania i formę powłoki zewnętrznej, mogą krystalizować się dane do trzech samodzielnych rodzajów myślenia istnieniowego, którego rezultaty wyznaczają w sumie poziom jej rozumu.

Dane odpowiadające tym trzem rodzajom istnieniowego rozumu krystalizują się w obecności wszystkich istot trójmózgowych w zależności od tego, w jakim stopniu oblekły się i udoskonaliły w nich – za pomocą partkdołgpowinności istnieniowych – odpowiednie wyższe części istnieniowe, bez których ich zbiorcza obecność nigdy nie będzie tworzyć całości.

Pierwszym i najwyższym rodzajem rozumu istnieniowego jest „czysty” lub „obiektywny rozum” z reguły występujący jedynie w obecności najwyższego ciała istnieniowego bądź w zbiorczej obecności tych trójmózgowych istot, w których wykształciła się już i udoskonaliła ta ich najwyższa część – i to tylko wtedy, gdy jest ona tak zwanym środkociężkościowym inicjatorem indywidualnego funkcjonowania całej obecności danej istoty.

Drugi rozum istnieniowy, zwany „okiartaajtochksa” może występować w obecnościach tych trójmózgowych istot, w których już w pełni oblekło się i samodzielnie funkcjonuje ich drugie ciało istnieniowe, czyli ciało kesdzan.

Natomiast jeśli chodzi o trzeci rodzaj rozumu istnieniowego, to

jest to po prostu przebieg tego automatycznego funkcjonowania zachodzącego zarówno w zbiorczej obecności każdej istoty, jak i w obecnościach wszystkich określonych formacji naplanetarnych wskutek powtórnych wstrząsów napływających z zewnątrz i wywołujących nawykową reakcję skryzalizowanych w nich danych, które odpowiadają odebranych wcześniej przypadkowo wrażeniom.

Teraz, mój chłopcze, zanim przystąpię do udzielenia ci bardziej szczegółowych wyjaśnień dotyczących tego, w jaki sposób te ich wyższe części oblekły się i udoskonaliły w zbiorczych obecnościach pierwszych Tetartokosmosów i w zbiorczych obecnościach tych, które nazwano później „istotami” powinienem, jak sądzę, uświadomić ci fakt, że my, istoty powstałe na planecie Karataz, tak samo jak istoty powstałe na twojej planecie zwanej „Ziemią”, nie jesteśmy już takimi „połormedechtycznymi” istotami, jakimi były pierwsze istoty, które wykształciły się bezpośrednio z Tetartokosmosów – czyli istoty nazywane do dzisiaj „monotnititami” – wskutek czego całościowy proces świętego Heptaparaparszynoch nie zachodził w nich dokładnie w ten sam sposób, w jaki zachodzi teraz w nas i w twoich ulubieńcach, tych trójmózgowych istotach z planety Ziemia. My jesteśmy istotami zwanymi „kesczarmartnymi”, czyli zaledwie półistotami.

A jesteśmy takimi istotami kesczarmartnymi, ponieważ ostatni podstawowy stopinder świętego Heptaparaparszynoch, zwany obecnie przez prawie wszystkie istoty Megalokosmosu „świętym Aszagyprotoechari”, nie znajduje się w środku planety, na której powstaliśmy – jak to się dzieje w wypadku większości planet naszego wielkiego Megalokosmosu – ale w środku jej satelity, tej małej planety naszego układu słonecznego, którą nazywamy „Prnochpajoch” i która jest dla naszej planety Karataz tym, czym dla planety Ziemia są jej byłe fragmenty zwane teraz „Księżycem” i „Anuliosem”.

To dlatego całościowy proces świętego Heptaparaparszynoch, zapewniający na przykład przetrwanie gatunku, nie dokonuje się już za pośrednictwem jednej istoty, jak to było u Tetartokosmo-

sów, lecz dwóch istot różnej płci, które nazywają się u nas „aktawas” i „passawas”, a na planecie Ziemia „mężczyzna” i „kobieta”.

Nawiasem mówiąc, w naszym wielkim Megalokosmosie istnieje nawet taka planeta, gdzie święte prawo Heptaparaparszynoch urzeczywistnia swój całościowy proces, mający zapewnić przetrwanie gatunku istot trój mózgowych, za pomocą trzech samodzielnych indywiduów. Tę niezwykłą planetę powinieneś zresztą poznać trochę dokładniej.

Nazywa się ona „Modikteo” i należy do układu Protokosmosu.

Na tej planecie powstają takie same istoty trójmózgowe jak te, które można spotkać na wszystkich innych planetach naszego wielkiego Megalokosmosu. Ich zewnętrzny wygląd jest bardzo podobny do naszego, ale jednocześnie – co potwierdza opinia wszystkich innych istot – jest najbardziej idealny i najdoskonalszy spośród wszystkich niezliczonych form powłok zewnętrznych, w jakie oblekają się trójmózgowe istoty całego naszego Wielkiego Wszechświata, i wszyscy nasi obecni Aniołowie i Archaniołowie, a także większość Świętych Indywiduów, z grona tych najbliższych NASZEGO NIESKOŃCZONEGO WSPÓLNEGO OJCA, powstała właśnie na tej precudownej planecie.

Transformacja substancji kosmicznych potrzebnych – zgodnie ze świętym prawem Heptaparaparszynoch – do ogólnokosmicznego procesu trogoautoegokratycznego odbywa się za pośrednictwem tych istot na identycznych zasadach, na jakich zachodzi w naszych zbiorczych obecnościach i w obecnościach twoich ulubieńców, trójmózgowych istot mających siedlisko na planecie Ziemia. To święte prawo – wyłącznie wtedy, gdy chodzi o zapewnienie przetrwania ich gatunku – urzeczywistnia swój całościowy proces za pomocą trzech rodzajów trójmózgowych istot, które właśnie dlatego określa się wspólnym mianem „triakrkomne”; natomiast z osobna – podobnie, jak istoty różnej płci noszą u nas nazwę „aktawas” i „passawas”, a na twojej planecie „mężczyzna” i „kobieta” – tam, na planecie Modikteo, istoty reprezentujące różne płci nazywane są „martna”, „spirna” i „okina” i chociaż z zewnątrz wyglądają wszystkie jednakowo, to pod względem budo-

wy wewnętrznej bardzo się od siebie różnią.

Proces kontynuacji gatunku zachodzi u nich w następujący sposób:

Te trzy istoty różnej płci urzeczywistniają wspólnie „święte Elmuarno” lub, jak mówią twoi ulubieńcy, „poczęcie”. Po realizacji owego świętego Elmuarno, czyli poczęcia, przez pewien czas ich egzystencja toczy się wprawdzie oddzielnie, całkowicie niezależnie, ale każdej z nich towarzyszą w jej trakcie wyraźnie określone zamierzone percepcje i świadome przejawy.

Później zaś, gdy nadchodzi chwila, w której rezultaty takich poczęć powinny się przejawiać lub, jak mówią twoi ulubieńcy, kiedy zbliża się czas „narodzin”, te trzy oryginalne istoty zaczynają ujawniać wzajemne dążenie „aklonoatystyczne”, czyli, jak powiedzieliby twoi ulubieńcy, „fizyczno-organiczne przyciąganie”. I im bliższy jest czas tego przejawu istnieniowego, to znaczy narodzin, tym bardziej się do siebie przytulają, aż w końcu prawie się zra-  
stają, by następnie w jednej chwili urzeczywistnić w wiadomy sposób te swoje poczęcia.

Otóż w trakcie urzeczywistniania przez nie owych poczęć wszystkie te trzy poczęcia łączą się w jedną całość i w ten sposób pojawia się w naszym Megalokosmosie tak oryginalnie zbudowana nowa istota trójmózgowa.

Trójcentrowe istoty tego typu uchodzą w naszym Megalokosmosie za ideał, bo już w chwili powstania mają w sobie wszystkie trzy ciała istnieniowe.

A dzieje się tak, ponieważ każdy z osobna producent takiej istoty – martna, spirna i okina – daje początek powstaniu jednemu z trzech ciał istnieniowych i dzięki swojej wyjątkowo odpowiedniej egzystencji istnieniowej pomaga świętemu Heptaparaparaszynoch ukształtować w nich owo ciało istnieniowe w sposób doskonały, a potem, już w chwili narodzin, zespolić je z pozostałymi ciałami.

Przy okazji, mój chłopcze, zwróć uwagę na to, że istoty zamieszkujące tę niezrównaną i cudowną planetę, w przeciwieństwie do

trójmózgowych istot powstających na zwykłych planetach naszego Megalokosmosu, nie muszą do oblekania swych wyższych ciał istnieniowych korzystać z pomocy tych czynników, które NASZ STWÓRCA przeznaczył na środki do samodoskonalenia, a mianowicie czynników nazywanych przez nas obecnie „świadomym trudem” i „zamierzonym cierpieniem”.

Teraz zaś, mój chłopcze, kontynuując to coraz bardziej szczegółowe wyjaśnienie procesu przemiany substancji kosmicznych przez ogół istot, posłużę się przykładem zbiorczej obecności twoich ulubieńców.

Mimo że proces przemiany substancji gwoili zapewnienia przetrwania gatunku nie przebiega ani w nas, ani w zbiorczych obecnościach ziemskich istot trójmózgowych w taki sposób, w jaki przebiegał u pierwszych „istot”, które powstały bezpośrednio z Tetartokosmosów, odwołam się jednak do przykładu twoich ulubieńców, ponieważ jeśli chodzi o proces przemiany substancji kosmicznych w celu zaspokojenia potrzeb przeogromnego ogólnokosmicznego Trogoautoegokrata, to odbywa się on w nich dokładnie tak samo jak u pierwszych Tetartokosmosów. Przy okazji będziesz mógł też uzyskać informacje o pewnych drobnych szczegółach dziwnej właściwości ich psychiki, a także uświadomisz sobie, w jaki sposób oni generalnie rozumieją i jak traktują swój obowiązek istnieniowy w znaczeniu służenia ogólnokosmicznemu procesowi Iraniranumanż, niszcząc – tylko po to, żeby dogodzić swoim trzewiom – wszelkiego rodzaju realizacje przewidziane zgodnie z prawem dla dobra całego naszego Megalokosmosu.

Co się zaś tyczy tych szczególnych właściwości przemiany substancji kosmicznych, które powodują, że u różnego rodzaju istot kontynuacja gatunku przebiega dzisiaj w sposób odmienny, powiem tylko, że przyczyna tego wiąże się z miejscem, gdzie skupia się święty Aszagyprotoechari, to znaczy miejscem koncentracji tych substancji kosmicznych, które są rezultatami ostatniego sto pindera ogólnokosmicznego Ansambluiazara.

A zatem, mój chłopcze, zacznę od tego, że powtórzę: wszyscy

twoi ulubieńcy, nawet ci współcześni, są, podobnie jak my i wszystkie inne trójcentrowe istoty naszego Megalokosmosu, takimi samymi aparatami do ogromnego kosmicznego Trogoautoegokrata, jakimi były Tetartokosmosy, od których się wywodzą zarówno praprzodkowie egzystujących obecnie istot, jak i same te egzystujące dzisiaj wszędzie istoty.

Tak więc każdy z nich mógłby przekształcać w sobie kosmiczne substancje, które powstają we wszystkich siedmiu stopniach świętego Heptaparaparszynoch, i każdy z nich, nawet dzisiaj; mógłby służyć nie tylko jako aparat do ogromnego kosmicznego Trogoautoegokrata, lecz także przyswajać z przetwarzanych przez siebie substancji kosmicznych to wszystko, co jest potrzebne do oblekania i doskonalenia obu wyższych ciał istnieniowych, albowiem dowolna trójmózgowa istota powstała na twojej planecie – jak zresztą wszystkie trójmózgowe istoty całego naszego Wszechświata – stanowi pod każdym względem dokładne podobieństwo całego Megalokosmosu. Jedyna różnica między dowolną z nich a naszym wspólnym Wielkim Megalokosmosem polega na różnicy skali.

Nawiasem mówiąc, powinieneś jeszcze wiedzieć, że twoi współcześni ulubieńcy bardzo często używają pewnego pojęcia – które, sam nie wiem, czy odczuwają instynktownie, czy też machinalnie skądś przejęli – wyrażanego przez nich słowami: „my, ludzie, jesteśmy podobni do Boga”.

Ci nieszczęśnicy nawet nie podejrzewają, że ze wszystkiego, co większość z nich wie o prawdach kosmicznych, tylko to, co wyrażają te słowa, jest zgodne z rzeczywistością.

I faktycznie, każdy z nich jest podobny do Boga, ale nie tego „boga” z ich kusių wyobrażeń, lecz do prawdziwego boga, jak czasem nazywamy nasz wspólny Megalokosmos.

Każdy z nich jest w najdrobniejszym szczególe dokładnym obrazem, oczywiście w miniaturze, całego naszego Megalokosmosu i w każdym z nich obecne są wszystkie oddzielne funkcje rzeczywistnie istniejące w Megalokosmosie harmonijny kosmiczny Irani-  
ranumanż, czyli „wymianę substancji”, dzięki której wszystko, co

istnieje w Megalokosmosie, może egzystować jako jedna całość.

Otóż to ich wyrażenie: „Jesteśmy podobni do Boga” pozwoli nam teraz jeszcze lepiej zilustrować, do jakiego stopnia wypaczyła się w nich „spozstrzegawcza logika istnieniowa” lub, jak się czasem mówi, „myślenie celnofne”.

Wprawdzie można napotkać tam wśród nich takie zgodne z prawdą wyrażenie, niemniej jednak gdyby sami mieli spróbować wyjaśnić jego dokładny sens – jak zresztą sens dowolnego innego zwięzłego sformułowania – to nawet zakładając, że zapragnęliby całą swą zbiorczą obecnością aktywnie i szczerze przedstawić swe wewnętrzne pojęcie o tym wyrażeniu albo jego esencjalne zrozumienie, to ze swym dziwnym i krótkowzrocznym myśleniem w najlepszym razie powiedzieliby pewnie coś w rodzaju:

„Dobrze... jeśli jesteśmy «podobni do Boga»... to znaczy... znaczy, że «Bóg» jest do nas podobny i wygląda tak jak my... i znaczy, że nasz «Bóg» ma tak jak my wąsy brodę i nos, no i że również ubiera się tak samo jak my. A ubiera się tak jak my, bo niewątpliwie tak jak my upodobał sobie pruderię. Nie na darmo Adama i Ewę wygnał z Raju tylko za to, że parę razy nie mieli na sobie listka figowego”.

Szczególnie ostatnimi czasy u niektórych tamtejszych istot to ich „celnofne myślenie istnieniowe”, czyli „logika spozstrzegawcza”, przybrało już taką formę, że niewiele brakuje, a w swoich wyobrażeniach zobaczą bardzo wyraźnie tego swojego „Boga” z wystającym z lewej bocznej kieszeni grzebieniem, którym rozczesuje niekiedy swą słynną brodę.

Takie niebywale oryginalne celnofne myślenie istnieniowe o ich „Bogu” pojawiło się wśród twoich ulubieńców głównie z powodu hasnamuskich przejawów „uczonych” istot, które zgromadziły się, jeśli pamiętasz, w mieście Babilon, aby wspólnie powymyślać na temat tego swojego „Boga” różne szkodliwe niestworzone rzeczy, rozpowszechnione później przez przypadek na całej tej nieszczęsnej planecie. A ponieważ tak się złożyło, że tamtejsze istoty trójmózgowe właśnie w tym samym okresie zaczęły, pod



względem wysiłków istnieniowych właściwych trójcentrowym istotom, egzystować szczególnie „sielzielnualnie”, czyli wyjątkowo „biernie” więc te szkodliwe wymysły zostały przez nie już na trwałe przejęte i przyswojone.

Później zaś, w trakcie dziedzicznego przekazywania ich z pokolenia na pokolenie, stopniowo zaczął się wykrystalizowywać z nich bardzo szkodny „materiał logiknestorny” skutkiem czego w psychice tamtejszych współczesnych istot trójmózgowych pojawiło się tak wyjątkowo wypaczone „celnofne myślenie istnieniowe”.

A jeśli chodzi o to, że tego swojego „Boga” wyobrażają sobie akurat z długą brodą, to dzieje się tak dlatego, że w tych szkodliwych wymysłach babilońskich „uczonych” znalazła się między innymi wzmianka o tym, iż ten ich sławetny „Bóg” przypomina rzekomo dostojnego starca z bujną brodą.

Ale wyobrażenia twoich współczesnych ulubieńców sięgnęła jeszcze dalej. Oni tworzą sobie wyraźny obraz tego swojego sławetnego „Boga” jako „starego Żyda” ponieważ w ich kusym rozumie wszystkie święte postaci należą do tego narodu.

Jakkolwiek by było, mój chłopcze, dowolny z twoich ulubieńców jest pod każdym względem w całej swej zbiorczej obecności dokładnym odbiciem naszego Megalokosmosu.

Kiedyś ci już mówiłem, że u nich, tak samo jak u nas, głowa jest miejscem, gdzie skupiają się pewne substancje kosmiczne, których całościowe funkcjonowanie dokładnie odpowiada wszystkim funkcjom i zadaniom, jakie nasz Przenajświętszy Protokosmos wypełnia w stosunku do całego Megalokosmosu.

Tę lokalizację substancji, które skupiają się w ich głowie, nazywają tam „mózgiem głowowym”. Natomiast poszczególne „osaniaki” lub „poptoplasty”, czy też, jak mówią na nie ziemscy uczeni, „komórki mózgowe” owej znajdującej się w ich głowie lokalizacji, pełnią dokładnie tę samą rolę w stosunku do całej obecności każdego z nich, jaką w stosunku do całego naszego Wielkiego Wszechświata spełniają obecnie te „udoskonalone najwyższe cia-

ła” istot trójmózgowych, które zespoliły się już z Przenajświęt-  
szym Słońcem Absolut, czyli z Protokosmosem.

Kiedy docierają tam owe udoskonalone do odpowiedniego stopnia obiektywnego rozumu najwyższe części trójmózgowych istot, wtedy pełnią dokładnie tę samą funkcję co „osianiaki” lub komórki mózgowe, to znaczy funkcję, którą, jak ci już mówiłem, NASZ JEDNOBYTNY NIESKOŃCZONY WSPÓLNY OJCIEC przewi-  
dział w trakcie tworzenia obecnego świata, gdy łaskawie posta-  
nowił, że w przyszłości użyje tych powłok, które uzyskają niezal-  
eżną indywidualność w Tetartokosmosach, do pomagania sobie  
w zarządzaniu powiększającym się światem.

Dalej, w tak zwanym kręgosłupie, zostało zlokalizowane u każ-  
dego z nich inne skupienie, noszące tam nazwę „rdzenia kręgo-  
wego”, a będące siedzibą dokładnie tych „źródeł zaprzeczenia”,  
które w swoim funkcjonowaniu pełnią w stosunku do umiejscowio-  
nionego w głowie mózgu taką samą rolę jak ta, którą w odniesie-  
niu do Przenajświętszego Protokosmosu spełniają nowo powstałe  
Słońca Drugiego Rzędu naszego Megalokosmosu.

Trzeba koniecznie zaznaczyć, że na twojej planecie w poprzed-  
nich epokach twoi ulubieńcy mieli pewną wiedzę o specyficznym  
funkcjonowaniu różnych części ich rdzenia kręgowego i znali na-  
wet rozmaite „mechaniczne sposoby” oddziaływania na odpo-  
wiednie części tego ich rdzenia kręgowego, po które sięgali  
w tych okresach, gdy w ich, jak to oni określają, „stanie psychicz-  
nym” pojawiała się pewna dysharmonia; stopniowo jednak rów-  
nież informacje dotyczące tego rodzaju wiedzy „wyparowały”  
i twoi współcześni ulubieńcy, chociaż zdają sobie sprawę, że  
w ich rdzeniu kręgowym występują jakieś szczególne koncentra-  
cje, to oczywiście nie mają najmniejszego pojęcia o tym, jakie  
funkcje wyznaczyła im Wielka Przyroda, i w większości wypad-  
ków nazywają je po prostu „pęczkami włókien nerwowych” ich  
rdzenia kręgowego.

Otóż właśnie te poszczególne pęczki włókien nerwowych ich  
rdzenia kręgowego są źródłami zaprzeczenia w stosunku do róż-  
nych odcieni twierdzenia, które pochodzą z mózgu umiejscowio-

nego w ich głowie, dokładnie tak samo jak poszczególne Słońca Drugiego Rzędu są źródłami zaprzeczenia w stosunku do rozmaitych odcieni twierdzenia Przenajświętszego Protokosmosu.

I wreszcie, tak jak ogół rezultatów uzyskanych w trakcie podstawowego procesu świętego Heptaparaparszynoch z twierdzenia Przenajświętszego Protokosmosu i z różnych odcieni zaprzeczenia nowo stworzonych Słońc stał się później w Megalokosmosie „zasadą pojednawczą” dla wszystkiego, co dopiero powstaje i co już istnieje, tak samo i w nich znajduje się odpowiednio zlokalizowane skupienie wszystkich rezultatów uzyskanych zarówno z twierdzenia mózgu głowowego, jak i z wszelkich odcieni zaprzeczenia rdzenia kręgowego – rezultatów, które służą potem jako zasada regulująca czy pojednawcza w funkcjonowaniu całej zbiorczej obecności każdego z nich.

A jeśli chodzi o to, gdzie skupia się owa lokalizacja służąca za zasadę regulującą i pojednawczą w zbiorczej obecności ziemskich istot trójmózgowych, to musisz wiedzieć, że na samym początku także te przypadły ci do gustu trójmózgowe istoty planety Ziemia miały to trzecie skupienie, które występowało w nich, tak samo jak u nas, w postaci samodzielnego mózgu zlokalizowanego w okolicach tak zwanej klatki piersiowej.

Ale od czasu, gdy proces ich zwykłej egzystencji istnieniowej zaczął się drastycznie pogarszać, tamtejsza Przyroda – z pewnych przyczyn wynikających z ogólnokosmicznego procesu trogoautokratycznego – musiała zmienić system lokalizacji tego mózgu, nie niszcząc jednak przy tym samego jego funkcjonowania.

Innymi słowy, ów organ, który był zlokalizowany w jednym miejscu, Przyroda przeniosła stopniowo do różnych małych lokalizacji w całej ich zbiorczej obecności, a przede wszystkim w okolicę „dołka podsercowego”. Obecnie całokształt tych małych lokalizacji one same nazywają „plexus solaris” lub „zespołem zwojów nerwowych układu współczulnego”.

W takich rozrzuconych po całym ich ciele planetarnym zwojach nerwowych gromadzą się teraz wszystkie rezultaty twierdzących przejawów ich mózgu i zaprzeczających przejawów rdze-

nia kręgowego, i te rezultaty, utrwaliwszy się w tych rozproszonych po całej ich zbiorczej obecności zwojach nerwowych, stają się następnie zasadą neutralizującą w dalszym procesie „Twierdzenia i Zaprzeczenia”, który zachodzi między mózgiem a rdzeniem kręgowym, tak samo zresztą jak to wszystko, co powstaje w Megalokosmosie, jest tego rodzaju „siłą neutralizującą” w procesie zachodzącym między twierdzeniem Protokosmosu a różnymi postaciami zaprzeczeń wszystkich nowo powstałych Słońc.

A zatem trójmózgowe istoty planety Ziemia nie dość, że są, tak samo zresztą jak my, aparatami do przetwarzania substancji kosmicznych potrzebnych do ogromnego Trogoautoegokrata i mających właściwości wszystkich trzech sił podstawowego ogólnokosmicznego Triamazikamno, to jeszcze dysponują, przyjmując w celu transformacji substancje powstałe z tych trzech różnych niezależnych źródeł, wszystkimi możliwościami przyswajania nie tylko substancji niezbędnych dla ich własnej egzystencji, lecz także pewnych substancji przeznaczonych do oblekania i doskonalenia ich własnych wyższych ciał istnieniowych.

W ten sposób te trójźródłowe substancje, które przenikają do ich zbiorczych obecności, aby ulec tam potem przemianie, stają się dla nich, tak samo jak dla nas, trzema rodzajami pokarmu istnieniowego.

A konkretnie substancje, które na drodze swego ewolucyjnego wspinania się z powrotem od świętego Aszagyprotoechari – to znaczy od ostatniego stopindera podstawowego świętego Heptaparaparszynoch ku Przenajświętszemu Protokosmosowi – przekształciły się z pomocą ich własnej planety w odpowiednie wyższe formacje naplanetarne, przedostają się w głąb nich – aby ulec tam dalszej przemianie – jako ich „pierwszy pokarm istnieniowy”, to znaczy w postaci zwykłego „jedzenia” i „picia”.

Z kolei substancje „drugoźródłowe”, które powstały z przemiany ich własnego słońca i pozostałych planet tego samego układu słonecznego, a które trafiają do atmosfery ich planety dzięki promieniowaniom tych ostatnich, przenikają do nich – znowu tak samo jak w naszym wypadku – aby poddać się dalszej przemianie

ewolucyjnej w postaci „drugiego pokarmu istnieniowego”, to znaczy, jak się tam mówi, w postaci „powietrza”, którym one oddychają, i to właśnie te powietrzne substancje służą do oblekania i wspierania egzystencji ich „drugiego ciała istnieniowego”.

I na koniec, „pierwoźródłowe” substancje, które dla nich, tak samo jak dla nas, stanowią trzeci rodzaj pokarmu istnieniowego, służą do oblekania i doskonalenia ich najwyższego ciała istnieniowego.

To właśnie te święte substancje kosmiczne muszą znosić opłakane skutki wszystkich wprowadzonych przez twoich nieszczęsnych ulubieńców byłych i obecnych anomalii, które występują w zwykłym procesie ich egzystencji istnieniowej.

Wprawdzie substancje składające się na ten najwyższy pokarm istnieniowy nigdy nie przestały do nich przenikać, ale – szczególnie u istot współczesnych – odbywa się to już wyłącznie samoczynnie, bez żadnego świadomego zamysłu z ich strony, i jedynie w takim stopniu, w jakim te święte substancje są nieodzowne do transformacji, które zachodzą przy udziale owych istot, a które są konieczne zarówno do zapewnienia ogólnokosmicznej harmonii trogoautoegokratycznej, jaki wymaganej przez Przyrodę automatycznej kontynuacji ich gatunku.

Gdy już ostatecznie ugruntowały się tam nienormalne warunki zwykłej egzystencji istnieniowej – wskutek czego znikło z ich esencji instynktowne, a także zamierzone dążenie do samodoskonalenia – twoi ulubieńcy nie tylko przestali odczuwać potrzebę świadomego przyswajania substancji kosmicznych, ale też nie mają już żadnej wiedzy ani nawet pojęcia o występowaniu i znaczeniu wyższych pokarmów istnieniowych.

Dziś znają już tylko pierwszy z tych pokarmów istnieniowych, a to dlatego, że nawet czy się chce, czy nie chce, nie da się o nim nie wiedzieć, jak również dlatego, że jego spożycie stało się już ich przywarą i zajmuje równorzędne miejsce z innymi słabościami, które się stopniowo w nich skryształizowały w postaci następstw właściwości tego zgubnego dla nich organu kundabufor.

Do tej pory nikt tam nawet sobie nie uświadomił, że ów pierwszy pokarm istnieniowy składa się niemal wyłącznie z substancji potrzebnych do zapewnienia egzystencji ich „grubego” ciała planetarnego, które stanowi zasadę przeczącą, i że wyższym częściami ich obecności ten pierwszy pokarm istnieniowy nie może dać prawie nic.

A jeśli chodzi o te wyższe substancje kosmiczne, których pewna ilość obowiązkowo musi być przez nich przetworzona, aby, jak wspominałem, zapewnić kontynuację ich gatunku i powszechną harmonię ogólnokosmicznego Ansambluiazara, to nie ma obecnej potrzeby, by twoi ulubieńcy kłopotali tym swego wewnętrznego boga, „samospokojenie” ponieważ, jak ci już mówiłem, owa transformacja dokonuje się w nich całkiem samoczynnie, bez udziału ich własnej świadomej inicjatywy.

Warto jednak zaznaczyć, że na początku, mianowicie wkrótce po zniszczeniu w trójmózgowych istotach, które mają siedlisko na twojej planecie, funkcjonowania organu kundabufor, twoi ulubieńcy wiedzieli też o tych dwóch wyższych pokarmach istnieniowych i zaczęli ich świadomie używać, a niedługo przed zagładą kontynentu Atlantyda niektóre tamtejsze istoty uważały nawet proces przyswajania tych wyższych pokarmów istnieniowych za główny cel swej egzystencji.

Istoty z kontynentu Atlantyda nazywały wówczas drugi pokarm istnieniowy „Amarlus” co znaczyło „pomoc dla Księżyca”, natomiast trzeciemu pokarmowi istnieniowemu nadały nazwę „święty Amarchudan”, co znaczyło u nich „pomoc dla Boga”.

Co się tyczy braku w psychice twoich ulubieńców świadomej potrzeby przyswajania tych wyższych świętych substancji kosmicznych, to chcę zwrócić ci uwagę na jedno bardzo ważne i przykre wynikające z tego następstwo.

A mianowicie, zaprzestawszy celowego przyswajania takich określonych substancji kosmicznych, niezbędnych do powstania i egzystencji ich wyższych części istnieniowych, oni nie tylko usunęli ze swej zbiorczej obecności dążenie do samodoskonalenia, ale też utracili możliwość „zamierzonej kontemplacji”, która

jest głównym czynnikiem warunkującym przyswajanie tych świętych substancji kosmicznych, toteż Przyroda, aby zapewnić pobieranie i przyswajanie wymaganej ilości takich substancji, musiała od tamtego czasu stopniowo się przystosować, co spowodowało, że w trakcie procesu ich egzystencji zaczęły samoczynnie spotykać tam każdego takie „niespodzianki” jakie nie powinny się w ogóle przytrafić i nigdy ani nigdzie się nie przytrafiają żadnej trójmózgowej istocie naszego Wielkiego Megalokosmosu.

Tamtejsza nieszczęsna Przyroda musiała się przystosować do takiej anomalii i doprowadzić do tego, żeby wskutek tych „niespodzianek” automatycznie, niezależne od nich samych, pojawiały się w nich pewne intensywne przeżycia istnieniowe oraz „aktywne przemyślenia” i żeby dzięki takim aktywnym przemyśleniom mogła zachodzić w nich automatycznie zarówno potrzebna transformacja, jak i przyswajanie tych niezbędnych świętych cząstek wyższych pokarmów istnieniowych.

Teraz, mój chłopcze, jeśli chodzi o same procesy przemiany zachodzące w ewolucyjnych i inwolucyjnych ruchach tych wszystkich substancji kosmicznych, a odbywające się za pośrednictwem takich aparatów do przeogromnego ogólnokosmicznego Trogoautoegokrata, jakimi są wszyscy twoi ulubieńcy, to zarówno w nich, jak i w nas – jak zresztą we wszystkich dużych i małych kosmosach naszego wspólnego Megalokosmosu – owe przemiany zachodzą, opierając się ściśle na dwóch podstawowych prawach kosmicznych, mianowicie świętym Heptaparaparszynoch i świętym Triamazikamno.

Zanim ci wyjaśnię, w jaki sposób przekształcają się w istotach substancje kosmiczne, które przenikają do nich w postaci pierwszego pokarmu istnieniowego i służą do ogólnokosmicznego procesu trogoautoegokratycznego, a w wypadku istot trójmózgowych – pod warunkiem że mają do takiego procesu właściwy stosunek – także do oblekania i doskonalenia ich wyższych części, musisz wpierw, żeby te procesy stały się dla ciebie jasne, uzmysłowić sobie, że w naszym Megalokosmosie wskutek wszelkiego

rodzaju procesów trogoautoegokratycznych, które zaszły w nim już wcześniej, istnieją i uczestniczą w powstawaniu nowych formacji setki samodzielnych „elementów aktywnych” obdarzonych specyficznymi subiektywnymi właściwościami.

Te setki elementów aktywnych o różnych właściwościach, niezależnie od tego, gdzie się znajdują, powstają z siedmiu stopindarów podstawowego ogólnokosmicznego świętego Heptaparaparszynoch i rozlokowując się, dzielą – w zależności od stopindera, dzięki któremu pierwotnie powstały a także wedle „pokrewieństwa wibracji” – na siedem „klas ochtapanacachnych”. I wszystkie bez wyjątku duże oraz małe określone skupienia całego naszego Megalokosmosu kształtują się z elementów aktywnych, które należą do tych siedmiu samodzielnych klas, i, jak ci już mówiłem, mają własne subiektywne właściwości.

Owe subiektywne właściwości, w tym także ich, by tak rzec, „proporcje życiodajności” zależą, po pierwsze, od tego, jaką formę miało funkcjonowanie piątego stopindera świętego Heptaparaparszynoch w trakcie ich powstawania, a po drugie, od tego, czy dane elementy aktywne kształtują się w wyniku świadomego zamysłu jakiegoś samodzielnego indywiduum, czy też pojawiają się automatycznie, tylko dzięki drugorzędnemu prawu kosmicznemu o nazwie „przyciąganie i fuzja podobieństw”.

Właśnie te setki określonych elementów aktywnych, należących do siedmiu różnych klas ochtapanacachnych i mających siedem różnych subiektywnych właściwości – wśród których największe znaczenie mają „życiodajność” i „rozkładalność” – tworzą razem podstawowy ogólnokosmiczny Ansambluiazar służący do urzeczywistnienia przeogromnego kosmicznego Trogoautoegokrata, wiernego wybawcy od zgodnego z prawem działania bezlitosnego Heropasa.

Muszę ci też powiedzieć, że pierwotne ukształtowanie się dowolnego skupienia z obecnego wszędzie we Wszechświecie Eternokrilno odbywa się – zgodnie z drugorzędnym prawem kosmicznym „przyciągania i fuzji podobieństw” – w następujący sposób:



Jeśli cząstki Eternokrilno, które znajdują się już w różnych sferach siedmiu stopinderów fundamentalnego ogólnokosmicznego Ansambluiazara, z jakiegokolwiek powodu zderzą się ze sobą, to powstają wtedy rozmaite „krystalizacje” pozbawione jeszcze wszelkich właściwości subiektywnych, ale później, gdy te stykające się cząstki Eternokrilno z jakiegoś powodu natrafiają na warunki, w których zachodzi dowolny proces „Harnelmiacneł”, wówczas łączą się ze sobą i zgodnie z nabytą „konstytucją wibracji” przekształcają w elementy aktywne mające już określone specyficzne właściwości.

Potem zaś, jeżeli te już określone elementy aktywne ze swymi specyficznymi subiektywnymi właściwościami podlegają innym i toczącym się w odmiennych warunkach procesom Harnelmiacneł, to – zgodnie z tym samym prawem pokrewieństwa wibracji – znowu się ze sobą łączą i nabywszy w ten sposób innych właściwości, przekształcają w elementy aktywne innej klasy ochtapnacachnej itd, itp.

Oto dlaczego w naszym Megalokosmosie istnieje aż tyle samodzielnych elementów aktywnych o różnych specyficznych subiektywnych właściwościach.

Jeżeli teraz, mój chłopcze, wystarczająco dobrze zrozumiesz, w jakiej kolejności przebiega proces przemiany substancji kosmicznych za pośrednictwem „istot-aparatów” do których owe substancje przenikają w postaci pierwszego pokarmu istnieniowego, to jednocześnie stanie się dla ciebie stosunkowo jasne to wszystko, co dotyczy głównych osobliwości prawa Heptapaparszynoch, jak również same procesy ewolucji i inwolucji wyższych pokarmów istnieniowych.

Te ewoluujące elementy aktywne, wspinając się z powrotem od ostatniego stopindera podstawowego ogólnokosmicznego świętego Heptapaparszynoch, przenikają do zbiorczych obecności istot-aparatów w postaci pierwszego pokarmu istnieniowego i już w samych ustach – wskutek procesów drugorzędowego prawa „Harnelmiacneł”, czyli mieszając się i scalając wedle „podobieństwa wibracji” z elementami aktywnymi, które przeszły już ewo-

lucję w obecnościach istot i osiągnęły jakość wibracji odpowiadającą następnym stopinderom istnieniowego procesu Heptaparaparszynoch – zaczynają się stopniowo zmieniać, a następnie, już po dotarciu do żołądka istot, przekształcają się w inne określone elementy aktywne o nazwie „istnieniowe protoechari”, które odpowiadają wibracjami czwartemu w porządku rosnącym stopinderowi podstawowego ogólnokosmicznego Heptaparaparszynoch.

Od tego miejsca ów całokształt elementów aktywnych, który ma tę samą „środkociężkościową wibrację” co istnieniowe protoechari, stopniowo ewoluuje i w rezultacie – znów tylko dzięki procesowi Harnelmiacneł – uzyskuje odpowiednie wibracje, a już w samej „dwunastnicy” przeobraża się całkowicie w „istnieniowe deuteroechari”.

Następnie jedna część tych określonych substancji istnieniowego deuteroechari, przechodząc przez cały, jak to się mówi, „przewód jelitowy” zaspokaja potrzeby ciała planetarnego, a także obsługuje lokalny Harnelmiacneł, któremu poddawany jest nowo wprowadzany pokarm, podczas gdy pozostała część kontynuuje samodzielną ewolucję – również z pomocą procesu Harnelmiacneł o charakterze lokalnym – i w końcu przekształca się w istotach w jeszcze wyższe określone substancje, tym razem zwane „istnieniowym tritoechari”.

Takim środkociężkościowym miejscem, gdzie skupia się ten całokształt substancji kosmicznych, który czasowo krystalizuje się w zbiorczych obecnościach istot-aparatów i którego wibracje odpowiadają wibracjom istnieniowego tritoechari, jest „wątroba”.

To właśnie w tym punkcie istnieniowego Ansambluiazara znajduje się dolny mdnel-in świętego Heptaparaparszynoch, zwany „mdnel-inem mechanicznie-zbieżnym”, toteż substancje istnieniowego tritoechari nie mogą już dalej ewoluować samodzielnie, opierając się wyłącznie na procesie Harnelmiacneł.

Otóż w danym wypadku, ze względu na wspomnianą zmianę w generalnym funkcjonowaniu pierwotnego ogólnokosmicznego świętego prawa Heptaparaparszynoch, ów całokształt sub-

stancji zwany „istnieniowym tritoechari” może kontynuować swoją ewolucję od tego stanu wyłącznie z pomocą sił napływających z zewnątrz.

A jeśli ten całokształt substancji istnieniowego tritoechari nie otrzyma żadnej zewnętrznej pomocy która umożliwiłaby mu dalszą ewolucję w zbiorczych obecnościach istot, to zarówno on sam, jak i wszystkie skryzalizowane do tego czasu określone środki ciężkości istnieniowego Ansambluiazara będą musiały nieuchronnie ulec inwolucji i przyjąć z powrotem postać tych samych określonych krystalizacji kosmicznych, od których zaczęła się ich ewolucja.

Aby zapewnić istotom tę przychodzącą z zewnątrz pomoc, Wielka Przyroda w danym wypadku tak mądrze przystosowała ich wewnętrzną organizację, że substancje, które muszą przenikać do ich zbiorczej obecności w celu oblekania i karmienia drugiego ciała istnieniowego kesdżan – czyli ogół substancji kosmicznych nazywany przez twoich ulubieńców „powietrzem” – mogą równocześnie stanowić taką niezbędną pomoc zewnętrzną w ewolucji substancji pierwszego pokarmu istnieniowego.

Elementy aktywne, które tworzą ten drugi pokarm istnieniowy – czyli powietrze – i przenikają do obecności istot także po to, by w postaci tego drugiego pokarmu istnieniowego ulec w niej ewolucji, stopniowo, poczynając od nosa istot, ewoluują pod wpływem różnych procesów Harnelmiacneł o charakterze lokalnym, a następnie, gdy dotrą do tego, co nazywa się „płucami” istot, przemieniają się również w protoechari, tym razem jednak w protoechari zwane „astralnomonnym”.

Otóż substancje tego astralnomonnego protoechari, które przenikają do obecności istot, aby ulec tam dalszej ewolucji, i zgodnie ze świętym Heptaparaparszynoch wciąż zawierają w sobie wszystkie możliwości ewoluowania od ich obecnego środka ciężkości za pomocą samego tylko procesu Harnelmiacneł, mieszają się z całokształtem tych substancji pierwszego pokarmu istnieniowego, które w swej ewolucji osiągnęły już trzeci stopinder świętego istnieniowego Heptaparaparszynoch, i ewoluując dalej

razem z tymi substancjami pierwszego pokarmu istnieniowego, pomagają im pokonać niższy „mdnel-in mechanicznie-zbieżny” i przekształcić się w inne określone substancje zwane „istnieniowym tetartoechari” podczas gdy samo astralnomonne protoechari przeobraża się w substancje istnieniowe zwane „astralnomonym deuteroechari”.

W tym punkcie moich wyjaśnień mogę dać ci jeszcze jeden przykład ukazujący w pełni różnicę między Autoegokratem i Trogoautoegokratem, czyli różnicę między poprzednim systemem autoegokratycznym, który zapewniał istnienie Słońca Absolut, a systemem trogoautoegokratycznym, który nastąpił po stworzeniu Megalokosmosu.

Gdyby przemiana substancji za pośrednictwem istot-aparatów zachodziła zgodnie z takim prawem świętego Heptaparaparszynoch, jakim było, zanim jeszcze zostały wprowadzone modyfikacje niektórych jego stopinderów – to znaczy takim, jakie funkcjonowało przed stworzeniem naszego obecnego Megalokosmosu – to substancje kosmiczne, które tworzą pierwszy pokarm istnieniowy, dostawszy się do środka tych „aparatów-kosmosów”, aby ulec w nich lokalnemu procesowi ewolucji, wspięłyby się do samego końca i przeobraziły całkowicie w inne określone wyższe elementy aktywne bez jakichkolwiek przeszkód i bez żadnej zewnętrznej pomocy, wyłącznie na skutek procesu Harnelmiacneń; teraz jednak, odkąd samodzielne funkcjonowanie tego pierwotnego świętego prawa zostało zastąpione przez funkcjonowanie zależne, ewolucja lub inwolucja w tych miejscach, gdzie jego stopindery uległy zmianie, już nieodwołalnie uwarunkowana jest zewnętrznymi przejawami „obcego pochodzenia”.

W danym wypadku taką pomoc „obcego pochodzenia” – niezbędną do tego, aby istoty mogły w pełni przemienić krystalizacje kosmiczne w „wyższe krystalizacje” – niesie drugi pokarm istnieniowy, który powstał z zupełnie innych przyczyn i jest przeznaczony do realizacji całkiem innych kosmicznych rezultatów.

Kiedyś przy okazji wyjaśnię ci szczegółowo, jak się dokonuje w istotach przemiana substancji drugiego i trzeciego pokarmu

istnieniowego, tymczasem jednak powinieneś wiedzieć tylko, że te wyższe substancje kosmiczne przekształcają się w istotach dokładnie według tych samych zasad, co substancje pierwszego pokarmu istnieniowego.

Teraz wróćmy do naszych rozważań nad sposobem, w jaki – zgodnie ze świętym Heptaparaparszynoch – przebiega dalej w obecnościach istot-aparatów całościowy proces przemiany substancji ich pierwszego pokarmu istnieniowego.

Otóż... zwyczajny pierwszy pokarm istnieniowy stopniowo przekształca się w istotach w określone substancje zwane „istnieniowym tetartoechari”, a ich głównym skupiskiem w istotach, więc oczywiście także w twoich ulubieńcach, są obie „półkule mózgowe”.

Jedna część tego istnieniowego tetartoechari jest pobierana w niezmienionej formie z obu półkul mózgowych na potrzeby ciała planetarnej danej istoty, a pozostała część, która ma w sobie – znów zgodnie ze świętym Heptaparaparszynoch – wszelkie możliwości samodzielnej ewolucji, ewoluuje dalej bez żadnej pomocy z zewnątrz i połączywszy się, w wyniku procesu Harnelmiacneł, z wcześniej ukształtowanymi wyższymi substancjami, które są już obecne w istotach, stopniowo przeistacza się w jeszcze wyższe określone aktywne elementy istnieniowe zwane „istnieniowym piandzoechari”.

Centralnym miejscem skupienia tych substancji w istotach jest „sianurinam” lub, jak twoi ulubieńcy nazywają tę część swego ciała planetarnej, „mózdzek”, który również znajduje się w głowie istot.

To właśnie te substancje – zgodnie z piątym „załamaniem” świętego Heptaparaparszynoch – mają taką swobodę działania, że mogą nieustannie wywoływać w przejawach zbiorczej obecności istot trójmózgowych nie tylko odmienne, lecz wręcz przeciwstawne rezultaty.

Tak więc, aby uniknąć niepożądanych konsekwencji dla wszystkich części swojej całości, istoty powinny zawsze zachować

wywać wobec tych substancji istnieniowych ogromną ostrożność.

Jedną część owych określonych substancji jest tak samo pobierana z mózdzka istot na potrzeby samego ciała planetarnego, natomiast pozostała część, w „szczególny sposób” przemieszczając się w dół przez sploty nerwowe pleców i klatki piersiowej, skupia się albo w „jądrach”, albo w tym, co większość twoich ulubieńców nazywa jajnikami” to znaczy w tych miejscach zbiorczej obecności istot, gdzie koncentruje się istnieniowe heksjoechari, czyli to, co jest ich najświętszą własnością. Zapamiętaj przy okazji, że rzeczony „szczególny sposób” nazywa się „trnłwa”.

Dopiero potem te kosmiczne substancje, które przeniknęły do istot-aparatów, by ulec w nich ewolucji, czyli uzyskać możliwość pokonania dolnego mdnel-ina podstawowej ogólnokosmicznej „wymiany substancji”, przekształcają się w określony całokształt substancji kosmicznych, które uczestniczą w automatycznym uzasadnianiu sensu oraz celu istnienia wszystkich istot w ogóle – a w szczególności współczesnych istot trójmózgowych mających siedlisko na planecie Ziemia – i ów całokształt substancji kosmicznych nazywa się wszędzie „heksjoechari istnieniowym”.

A więc, mój chłopcze, ten całokształt substancji kosmicznych zwany „heksjoechari”, który jest rezultatem ewolucji w istotach-aparatach pierwszego pokarmu istnieniowego, odpowiada wibracjami ostatniemu stopinderowi istnieniowego Heptaparaparszynoch i trafia – zgodnie z właściwością tego stopindera – do „ureczywistniającego się celowo wyższego mdnel-ina” prawa Heptaparaparszynoch; aby jednak ów całokształt mógł się w pełni przemienić w nowe wyższe substancje i przejąć wibracje odpowiadające wibracjom następnego, wyższego poziomu życiodajności, czyli piątemu stopinderowi podstawowego ogólnokosmicznego procesu świętego Heptaparaparszynoch, jest mu bezwzględnie potrzebna pomoc z zewnątrz, której w obecnościach trójmózgowych istot mogą udzielić mu wyłącznie te wielokrotnie wymieniane przeze mnie czynniki przejawiające się w postaci partkdołgpowinności istnieniowych – czyli te, na które zawczasu

NASZ NIESKOŃCZONY WSPÓLNY OJCIEC łaskawie wskazał jako na środki pozwalające niektórym Tetartokosmosom, na zakończenie ich służby na rzecz ogólnokosmicznego Iranirumanż, stać się pomocnikami w zarządzaniu powiększającym się światem – a mianowicie czynniki, które do dzisiaj reprezentują jedyny możliwy sposób przyswajania kosmicznych substancji potrzebnych do oblekania i doskonalenia wyższych ciał istnieniowych, a które my obecnie nazywamy „świadomym trudem” i „zamierzonym cierpieniem”.

Warto tutaj zauważyć, a nawet podkreślić, że ze wszystkich określonych substancji kosmicznych, które kształtują się i stale występują w zbiorczych obecnościach twoich ulubieńców, oni sami znają dobrze – i z mistrzostwem poddają wszelkiego rodzaju „manipulacjom” – tylko to istnieniowe heksjoechari zwane przez nich „sperma”.

Tyle że oni nazywają w ten sposób jedynie całokształt określonych substancji wytwarzanych w obecnościach istot płci męskiej, zupełnie lekceważąc i pozostawiając bez nazwy podobny całokształt „substancji końcowych”, które powstają w istotach płci żeńskiej.

Otóż kiedy twoi ulubieńcy przestali realizować w swych zbiorczych obecnościach partkdołgpowinności istnieniowe, wówczas ów całokształt substancji kosmicznych, które niezawodnie krystalizują się w obecnościach wszystkich istot jako końcowy rezultat przemiany pierwszego pokarmu istnieniowego, nie otrzymując już z zewnątrz potrzebnej mu – zgodnie ze świętym Heptapaparszynoch – pomocy do zakończenia swojej ewolucji, to znacząco do przemiany w inne określone wyższe elementy aktywne, zaczął ulegać w nich inwolucji i wracając do punktu wyjścia, zamieniać się znowu w te krystalizacje, od których zaczęła się jego ewolucja. Od tamtej pory takie inwolucyjne procesy stały się czynnikami decydującymi o występowaniu w ich zbiorczych obecnościach danych, które przyczyniają się do powstawania ich niezliczonych, jak na nie mówią, „chorób”, i które przez to „oddoskonalają” ich ukształtowaną już do tego czasu esencjalną in-

dywidualność, skracając jednocześnie przeciętną długość ich egzystencji.

Twoi ulubieńcy z planety Ziemia, a szczególnie istoty współczesne, już zupełnie przestali świadomie używać substancji istnieniowego heksjoechari, i to zarówno w celu samodoskonalenia, jak i do świadomego produkowania na zewnątrz nowej podobnej do nich istoty.

Tak więc te święte substancje kosmiczne, powstałe w nich w opisany wcześniej sposób, służą albo tylko na potrzeby ogromnego kosmicznego Trogoautoegokrata – bez żadnego udziału ich własnej świadomości istnieniowej ani indywidualnego pragnienia – albo do nieumyślnego poczęcia nowej podobnej do nich istoty, która jest jedynie żalnym i nieświadomym rezultatem fuzji tych świętych substancji dwóch przeciwnych płci – będących urzeczywistnieniem dwóch przeciwstawnych sił świętego Triamazikamno – zachodzącej w czasie czerpania przez nich zadowolenia z owej funkcji, która wskutek „spadku” po starożytnych Rzymianach stała się główną przywarą współczesnych istot trójmózgowych.

Muszę tutaj ze smutkiem zauważyć, że owa naganna skłonność, już na dobre utrwalona w ich zbiorczej obecności, jest dla nich, a zwłaszcza dla twoich współczesnych ulubieńców, „automatycznie działającym” środkiem do całkowitego wykorzenienia nawet tych impulsów, które jeszcze z rzadka wywołują w nich przejawy godne istot trójmózgowych i wzbudzają to, co nazywa się „pragnieniem bycia”.

Powtarzam, mój chłopcze, twoi ulubieńcy, szczególnie ci współcześni, nie tylko przestali świadomie używać tych świętych substancji – które nieuchronnie są w nich wytwarzane – do oblekania i doskonalenia swoich wyższych części, a także do wypełniania przewidzianego przez samą Przyrodę obowiązku istnieniowego polegającego na zapewnieniu przetrwania gatunku, lecz także, gdy przypadkowo zdarzy się to ostatnie, przyjmują i uznają ów fakt za wielkie nieszczęście, a to głównie dlatego, że następstwa, jakie on za sobą pociąga, na pewno przeszkadzają im przez



pewien czas w swobodnym zaspokajaniu niezliczonych i wielorakich przywar, które ugruntowały się już w ich jestestwie.

Właśnie z tego powodu twoi ulubieńcy, a zwłaszcza ci współcześni, starają się w takich sytuacjach całą swą obecnością i wszelkimi sposobami zapobiec realizacji tego przypadkowego i niezamierzonego przez nie, ale za to przewidzianego przez Wielką Przyrodę świętego przejawu.

W ostatnich stuleciach wielu z nich – mianowicie ci, w których silniej skryzalizowały się dane do najróżniejszych właściwości hasnamuskich – wyspecjalizowało się w unicestwianiu takich świętych, przypadkowo urzeczywistnionych spełnień istnieniowych i owi specjaliści zwani są tam „fabrykantami aniołów”.

A tymczasem w całym naszym Wielkim Wszechświecie ten sam „akt istnieniowy”, który twoi ulubieńcy uczynili swoją główną przywarą, uważany jest przez wszystkie istoty, niezależnie od ich natury, za najświętszy ze wszystkich świętych boskich sakramentów.

Nawet wiele tych dwumózgowych i jednomózgowych istot z ichniej planety, których „zgodna z prawem obecność” pozbawiona jest wszelkich danych do stosowania „logiki konfrontatywnej” – jak na przykład istoty zwane tam „hienami” „kotami” „wilkami” „lwami”, „tygrysami” „dzikimi psami” „bajguszami” „żabami” i jeszcze wiele innych – po dzień dzisiejszy odczuwają ten akt, oczywiście tylko instynktownie, jako święty i manifestują go jedynie w okresach, które Wielka Przyroda przeznaczyła na ów święty sakrament, to znaczy przeważnie na początku nowego pełnego obrotu skupienia kosmicznego, na którym powstały i egzystują, czyli w okresach nazywanych wszędzie przez trójmózgowe istoty „dionoskami świętych sakramentów Seruazara”, a na tej interesującej cię planecie zwanych „dniami wiosny”.

Być może, mój chłopcze, nie wiesz jeszcze nic o „świętych sakramentach Wielkiego Seruazara”? – Belzebub zapytał wnuka.

Jego wnuk Hassin odpowiedział na to pytanie następująco:

– Nie, drogi dziadku, nie znam jeszcze ich szczegółów; wiem tyl-

ko, że te dionoski uważane są wśród nas, na planecie Karataz, za dni wielkiego święta i zwane są „dionoskami niosącymi pomoc Bogu” i wiem jeszcze, że wszystkie nasze istoty, zarówno „aktawasy” jak i „passawasy” gdy tylko skończy się jedno z tych wielkich świąt, od razu zaczynają się przygotowywać do następnego i że przez „lunias”, który poprzedza te święte sakramenty, starzy i młodzi wstrzymują się od przyjmowania pierwszego pokarmu istnieniowego, a także składają w myślach podczas różnych świętych ceremonii dziękczynienie NASZEMU WSPÓLNEMU STWÓRCY za swą egzystencję.

Wiem również, że ostatnie dwa z tych uroczystych dionosków nazywają się u nas „dionoskami wysławiania protoplasty każdej rodziny”.

Oto dlaczego, mój drogi dziadku, co roku podczas tych dionosków wszyscy snuliśmy wspomnienia i rozmawialiśmy tylko o tobie, i każdy z nas starał się całym swym jestestwem przejawić szczerą pragnienie, by los stwarzał ci zawsze takie warunki egzystencji istnieniowej, które pomogłyby ci szybko i łatwo doprowadzić twój rozum do wymaganego świętego poziomu, tak byś już wkrótce mógł się uwolnić od tej obecnej, dla ciebie osobiście uciążliwej, „zwykłej egzystencji istnieniowej”.

Tymi uroczyście wymówionymi słowami Hassin zakończył swą odpowiedź.

– No dobrze, mój chłopcze – rzekł Belzebub. – Po powrocie na nasz drogi Karataz porozmawiamy także o świętym sakramencie Seruazara.

Wyjaśnię ci wtedy szczegółowo, gdzie i jak odprawia się święty sakrament Seruazara z substancją istnieniowego heksjoechari w celu kontynuacji gatunku, a także w jakich sytuacjach oraz w jaki sposób zachodzi fuzja i uzyskiwane są dalsze rezultaty dwóch rodzajów heksjoechari: pierwszego – przekształcanego jako zasada twierdząca przez takie istoty-aparaty jak te, którymi na naszej planecie Karataz są „aktawasy”, a na planecie Ziemia istoty płci męskiej, oraz drugiego – przekształcanego jako zasada przecząca przez takie istoty-aparaty jak te, którymi na naszej pla-

necie Karataz są „passawasy”, a na planecie Ziemia istoty płci żeńskiej.

Teraz pomówmy o tych „udoskonalonych najwyższych ciałach istnieniowych”, czyli o „duszach”, które trafiły na świętą planetę Czyściec i do których odnosiły się wszystkie moje uprzednie wyjaśnienia.

Otóż... na samym początku, kiedy te najwyższe części istnieniowe powstawały w istotach w opisany przeze mnie sposób i udoskonalowały się do wymaganego świętego stopnia obiektywnego rozumu, to znaczy kiedy zgodnie z niższym mdnel-inem świętego Heptaparaparszynoch ciało kesdań formowało się w istotach za pomocą drugiego pokarmu istnieniowego, natomiast trzecie, najwyższe ciało istnieniowe oblekało się w nich i doskonaliło – zgodnie z wyższym mdnel-inem tego samego świętego prawa – za pomocą trzeciego pokarmu istnieniowego, wtedy zaraz po odłączeniu się od niższych części istnieniowych te całkowicie udoskonalone najwyższe części istnieniowe były uznawane za godne zespolenia się z Przenajświętszym Praźródłem i zaczynały spełniać swoje boskie przeznaczenie.

I działo się tak aż do chwili, w której nastąpiło to przerażające kosmiczne wydarzenie, zwane obecnie, jak ci już mówiłem, „okresem ciutbólitanicznym”.

Przed tym ogólnokosmicznym nieszczęściem wszystkie najwyższe ciała istnieniowe, które powstawały i doskonaliły się w niektórych Tetartokosmosach oraz w ich pierwszych potomkach, natychmiast łączyły się z samym Przenajświętszym Protokosmosem, ponieważ ich zbiorcze obecności urzeczywistniały wciąż takie rezultaty, jakie Mu w pełni odpowiadały.

Chodzi o to, że przed tym przerażającym wydarzeniem kosmicznym, o którym ci teraz mówię, wypływający z Przenajświętszego Słońca Absolut święty Teomertmalogos znajdował się ciągle w stanie czystym, bez jakiegokolwiek domieszki formacji obcego pochodzenia obdarzonych własnymi subiektywnymi właściwościami, i kiedy ów święty Teomertmalogos przenikał do sfer tych planet, gdzie powstawały święte krystalizacje, które po

przekształceniu przez istoty-aparaty tworzyły rezultaty służące do oblekania i doskonalenia najwyższych ciał istnieniowych, wtedy obecności tych ostatnich stawały się dokładnie takie, jakimi być powinny, żeby odpowiadać warunkom egzystencji wymaganym w sferze Przenajświętszego Słońca Absolut.

Później jednak, po tym, gdy wydarzyło się wspomniane ogólnokosmiczne nieszczęście, na skutek którego święty Teomertmalogos zaczął wydzielać się z Przenajświętszego Słońca Absolut z domieszką subiektywnych właściwości przejętych od skupień obcego pochodzenia, otóż wtedy te święte formacje kosmiczne nie mogły już spełniać warunków, jakich wymaga egzystencja w sferze Przenajświętszego Praźródła.

A rzeczona domieszka tworców obcego pochodzenia pojawiła się w świętym Teomertmalogosie z następujących i, trzeba zaznaczyć, całkiem nieprzewidzianych przyczyn:

Ponieważ każde z tych udoskonalonych najwyższych ciał istnieniowych, stawszy się już samodzielny Indywiduum, przyswaja sobie własne prawo świętego Triamazikamno i przeobraża się w źródło emanacji podobne, w miniaturze, do Przenajświętszego Słońca Absolut, więc kiedy na Przenajświętszym Słońcu Absolut zebrało się wiele takich udoskonalonych samodzielnych świętych Indywiduów, między ich emanacjami a atmosferą Przenajświętszego Słońca Absolut nawiązał się „kontakt geneatriamazikamniański”, którego rezultaty ściągnęły na najwyższe udoskonalone części istnieniowe to wspomniane przeze mnie przerażające nieszczęście.

Chociaż oddziaływanie rezultatów owego kontaktu geneatriamazikamniańskiego szybko się zharmonizowało z istniejącym już oddziaływaniem naszego Przenajświętszego Słońca Absolut, jednak emanacje świętego Teomertmalogosu musiały od tamtej pory ulec zmianie i pierwotne następstwa rezultatów tego fatalnego kontaktu zdążyły po pewnym czasie zmodyfikować harmonijny ruch wielu układów słonecznych, a także wywołać dysharmonię w wewnętrznym funkcjonowaniu niektórych należących do nich planet.

To właśnie wtedy oddzieliła się od układu słonecznego „Chłartumano” ta słynna planeta, obdarzona zupełnie wyjątkowymi właściwościami, która istnieje odtąd samotnie w przestrzeni i nazywa się teraz „Wyrzut Sumienia”.

Powodem takiego kontaktu geneatriamazikamniańskiego było to, że te najwyższe ciała istnieniowe zaczęły, jak ci już mówiłem, wytwarzać w atmosferze samego Przenajświętszego Słońca Absolut szczególne wieloźródłowe wibracje, które połączywszy się z emanacjami Przenajświętszego Słońca Absolut, przeniknęły wraz z nimi do całego Megalokosmosu i dotarły do pewnych planet, gdzie wciąż jeszcze tworzyły się w istotach najwyższe ciała istnieniowe, i to właśnie te szczególne wibracje zaczęły ulegać przemianie i krystalizacji razem ze świętym Teomertmalogosem, a także uczestniczyć w oblekaniu w istotach ich najwyższych części.

Od tamtej pory obecności tych świętych realizacji zaczęły wykazywać osobliwe właściwości wynikające z tego, że pewne przejawy innych części danej istoty, w której te święte realizacje się oblekały, zaczynały brać udział w kształtowaniu tych ostatnich i asymilując się w obecnościach owych najwyższych części, wywoływać także bardzo szczególne rezultaty, nazwane później „grzechami ciała duszy” i nazywane tak do dziś.

Te same różnorodne rezultaty spowodowały też, że tego rodzaju formacje kosmiczne – i to nawet jeśli udoskonalily się do wymaganego stopnia obiektywnego rozumu – przestały już pod względem swojej zbiorczej obecności odpowiadać warunkom egzystencji w sferze Przenajświętszego Protokosmosu i od tamtej pory straciły możliwość stania się godnymi zespolenia z Nim.

A zatem gdy po raz pierwszy wyszło na jaw beznadziejne położenie tych udoskonalonych w rozumie najwyższych ciał istnieniowych, które stały się „samodzielnymi świętymi Indywiduami kosmicznymi”, ale ich obecność nie odpowiadała już Przenajświętszemu Słońcu Absolut, NASZ MIŁOŚCI PEŁEN STWÓRCA, stojąc w obliczu takiego nieprzewidzianego oraz godnego pożalowania zjawiska, kierowany swą nieskończoną sprawiedliwością

i miłosierdziem szybko przedsięwziął wszelkie należyte środki.

Rzeczywiście to przykre zjawisko postawiło owe święte Indywidua w beznadziejnej sytuacji, ponieważ nie dość, że zostały pozbawione – z powodu występowania w ich obecnościach wspomnianych „grzechów” – możliwości zespolenia się z Łonem Praźródła Wszystkiego, to jeszcze, osiągnąwszy taki stopień miernika rozumu, który prowadzi do podporządkowania się prawu kosmicznemu drugiego rzędu o nazwie „Tetetzendr” nie mogły już dłużej egzystować swobodnie na powierzchni zwykłych planet.

Wśród różnych boskich środków, jakie wtedy zastosowano, był też wydany przez niego dekret, w którym nakazywał wybrać najlepszą planetę w całym naszym Wielkim Megalokosmosie, a potem specjalnie przygotować jej powierzchnię i udostępnić ją do dalszej swobodnej egzystencji takim udoskonalonym w rozumie najwyższym ciałom istnieniowym, aby w ten sposób stworzyć im wszelkie możliwości samooczyszczenia z tych niepożądanych elementów, które znalazły się w ich obecnościach.

Od tamtej pory ta święta planeta zaczęła się nazywać „Czyściec”, a jej organizacji i zarządzania nią podjęła się na własne życzenie nasza Wszechostoja Jednej Strony Świata Wielki Arcyche Rubin Helkgematios, ten sam wielki Helkgematios, który jako pierwszy po stworzeniu świata zasłużył na „święty Ankład” to znaczy jako pierwszy osiągnął najwyższy stopień rozumu, jaki może osiągnąć samodzielne Indywiduum o dowolnej naturze – stopień będący trzecim z kolei po Absolutnym Rozumie naszego nieskończonego.

Chociaż faktycznie ta święta planeta – jak sam zresztą się mógłś przekonać – jest pod każdym względem najlepsza i na zewnątrz wszystko tam wygląda tak, że dowolne samodzielne Indywiduum odbiera to w sposób, jak już powiedziałem, „iskolunicynerny”, czyli „błogo-upajający”, jednakże dla tych egzystujących tam udoskonalonych najwyższych ciał istnieniowych nie ma to żadnego znaczenia, ponieważ są zawsze całkowicie pochłonięte ciężką pracą nad oczyszczaniem się z owych niepożądanych elementów, które do ich obecności trafiły z przyczyn zupełnie

niezwiązanych z ich indywidualnością.

W zbiorczych obecnościach tych nieszczęsnych najwyższych ciał istnieniowych, które egzystują teraz na tej świętej planecie i udoskonalily się w rozumie do najwyższego stopnia, jaki może osiągnąć zwykłe wyższe Indywiduum kosmiczne, znajdują się wyłącznie dane wzbudzające w nich co jakiś czas impuls nadziei na to, że się któregoś dnia oczyszczą i zazną szczęścia przyłączenia się i stania częścią tego „Majestatu”, który NASZ WSZECHMOGĄCY WSZECHSPRAWIEDLIWY NIESKOŃCZONY WSPÓLNY OJCIEC urzeczywistnia dla dobra i szczęścia wszystkiego, co istnieje w naszym Wielkim Megalokosmosie.

Warto tu zauważyć, że prawie wszystkie trój mózgowe istoty, które powstają na najróżniejszych planetach naszego Wielkiego Megalokosmosu, albo wiedzą o istnieniu tej świętej planety Czyścic, albo instynktownie ją odczuwają; nie wiedzą o niej tylko trójmózgowe istoty powstające na twojej planecie, a w każdym razie większość tych, które przysły na świat przed samym zniknięciem kontynentu Atlantyda i już po jego zagładzie.

Wszystkie trójmózgowe istoty naszego Megalokosmosu, bez względu na swoją powłokę zewnętrzną, natychmiast po osiągnięciu dowolnego stopnia samoświadomości zaczynają świadomie lub instynktownie marzyć o dotarciu na tę świętą planetę, aby móc potem, w przyszłości, zakosztować szczęścia, jakim jest stanie się częścią tego Majestatu, z którym zespolenie się powinno prędzej czy później przypaść w udziale każdej powstałej esencji; natomiast jeśli chodzi o te trójmózgowe istoty, które osiągnęły już wysoki poziom samoświadomości, to kierowane pragnieniem zrealizowania swych marzeń, zawsze chętnie i nawet z radością godzą się na to, żeby w trakcie zwykłej egzystencji istnieniowej ich obecność znosiła nieprzyjemności związane z wyrzeczeniami, jakie same narzuciły swemu ciału planetarnemu, albowiem już dobrze rozumieją i instynktownie odczuwają, że w obrębie ich własnego świętego kosmicznego prawa Triamazikamno ich niższe ciało istnieniowe jest nieodzownym źródłem wszelkiego rodzaju przejawów zaprzeczających i jako takie musi się oczywiście

zawsze manifestować w postaci zaprzeczenia w stosunku do ich części twierdzącej, to znaczy przejawy tej niższej części muszą zawsze przeciwstawiać się temu, czego wymaga ich najwyższa część istnieniowa.

Inaczej mówiąc, najwyższa boska część – która powinna się oblec i udoskonalić – uznaje każde pragnienie ciała planetarnego za niepożądane, toteż wszystkie trójcentrowe istoty naszego Wielkiego Megalokosmosu nieustannie toczą bezlitosną walkę z zachciankami swoich ciał planetarnych, dążąc do tego, by wywołane przez tę walkę „tarcie spornokrialne” pozwoliło na wytworzenie się w nich tych świętych krystalizacji, z których powstaje i dzięki którym doskonali się w nich owa najwyższa boska część istnieniowa.

W tej bezustannej walce zasadą równoważącą i harmonizującą jest ich drugie ciało istnieniowe, które w ich własnym indywidualnym prawie Triamazikamno jest źródłem neutralizującym, i ta druga część istnieniowa pozostaje zawsze obojętna na ich mechaniczne przejawy, a w trakcie wszystkich aktywnych przejawów niezmiennie dąży – zgodnie z drugorzędnym kosmicznym prawem „Urdechplifata” – do zespolenia się z tymi pragnieniami, które akurat przeważają w jednej lub drugiej z tych dwu wymienionych przeciwstawnych części istnieniowych.

Jak już wspominałem, również trójmózgowe istoty twojej planety miały na początku – to znaczy przed zagładą kontynentu Atlantyda – przybliżone pojęcie o świętej planecie Czyściec i nawet istniało tam wtedy kilka związanych z tym legomonizmów. Niektóre fragmenty tych legomonizmów zostały przechowane po zagładzie Atlantydy przez pewne ówczesne uczone istoty którym udało się przypadkowo ocaleć, i te fragmenty były dalej przekazywane z pokolenia na pokolenie. Później jednak, gdy w psychice tamtejszych dziwnych istot trójmózgowych pojawiła się ta szczególna choroba, którą określiłem słowami „mądrzenie się” one tak się zaczęły wymądrzać na temat tych wyrywkowych informacji o świętej planecie Czyściec, które do nich dotarły, że z owych częściowo autentycznych informacji w psychice istot



następnych pokoleń zaczęły się tworzyć i utrwałać dane warunkujące powstanie takich wyobrażeń i pojęć, jakie idealnie określa pewien okrzyk naszego wielce szanownego niezrównanego Mułły Nasr Eddina, składający się z następujących istnieniowych współbrzmień: „Czchrta-Zuurrt!”.

Jeśli zaś chodzi o fragmenty legomonizmów dotyczące świętej planety, które były nadal przekazywane z pokolenia na pokolenie przez autentycznych tamtejszych wtajemniczonych, to choć przetrwały niemal w niezmienionej formie aż do znacznie późniejszej epoki zwanej „epoką babilońską” jednakże wskutek tego, co nazwałem „wzburzeniem umysłów” – które ogarnęło wtedy w Babilonie wszystkich i było wywołane, jak ci już opowiadałem, przez tamtejsze uczone istoty „nowej formacji” obdarzone różnymi niegodnymi trójmózgowych istot cechami charakteru – również te fragmenty zaczęły być stopniowo zniekształcane i w końcu zostały całkowicie, jak to się mówi, „przeinaczone”.

Rzecz w tym, że chociaż ówczesni wtajemniczeni wciąż byli względnie normalnymi i odpowiedzialnymi istotami, które nie zmieniały swoich ideałów tak łatwo, jak czyni to ostatnio większość współczesnych istot wedle tego, jak – zgodnie z ich wyrażeniem – „londyński goguś zmienia rękawiczki” to jednak psychoza, która ogarnęła w tamtym okresie wszystkie te dziwne trójmózgowe istoty pragnące się za wszelką cenę dowiedzieć, czy mają „duszę” i czy jest ona nieśmiertelna, była tak silna i tak masowa, że owa chorobliwa potrzeba ich psychiki nawiedziła i zaraziła nawet umysły ówczesnych autentycznych wtajemniczonych, którzy pod wpływem tej psychozy wprowadzili do legomonizmów o świętej planecie Czyściec i potem przekazywali taki „galimatias” że ogon naszego Lucyfera nabrał z rozczulenia koloru „tango”.

Moim zdaniem główną przyczyną pomieszania zmysłów ówczesnych wtajemniczonych istot planety Ziemia była ta piękna teoria babilońskich dualistów, która głosiła, że na jakimś innym świecie istnieje ponoć „Raj” i „Piekło”.

Jak sądzę, to właśnie te dwa określenia, „Raj” i „Piekło” były po-

wodem wszystkich późniejszych „bredni”.

Chodzi o to, że w jednym z legomonizmów o świętej planecie Czyściec faktycznie użyto obu tych słów: „Raj” i „Piekło”.

Nie wiem, czy słowa te wzięto bezpośrednio z tego legomonizmu, czy też był to przypadkowy zbieg okoliczności.

W legomonizmie dotyczącym świętej planety Czyściec owe słowa wyrażały dwa następujące pojęcia: słowo „Raj” oznaczało wspaniałość i bogactwo tej świętej planety, a słowo „Piekło” ów wewnętrzny stan, którego rzeczywiście doświadczają przebywające tam najwyższe ciała istnieniowe, to znaczy stan nieustającego żalu, zgryzoty i przygnębienia.

Jeden z tych legomonizmów zawierał nawet szczegółowe wyjaśnienie przyczyn takiego ich stanu, a mianowicie było w nim powiedziane, że te najwyższe części istnieniowe lub dusze, które po niewyobrażalnych, pełnych świadomych cierpień trudach dotarły w końcu na tę świętą planetę, zobaczywszy i zrozumiałwszy rzeczywistość, jak również sens wszystkiego, co istnieje, a przede wszystkim widząc z tak bliska i tak często samego naszego nieskończonego wspólnego ojca, uświadomiły sobie, że z powodu niepożądanych elementów, jakie zawiera ich obecność, wciąż nie są w stanie pomagać mu w wypełnianiu jego Przenajświętszych Zadań służących dobru całego naszego Megalokosmosu.

Najwyraźniej te dwa słowa spowodowały, że ci ówczesni biedni wtajemniczeni, zarażeni powszechną psychozą, zaczęli sobie wyobrażać, iż owa fantastyczna i piękna teoria przyszłych babilońskich Hasnamusów mówi praktycznie to samo, tyle że bardziej drobiazgowo, i półświadomie włączyli pewne szczegóły tej fantastycznej teorii do legomonizmów dotyczących świętej planety. Potem owe informacje, przechodząc z pokolenia na pokolenie, wzbogaciły się jeszcze o takie fantazyjne ozdobniki, jakie nasz zawsze drogi Mułła Nasr Eddin określa jednym słowem: „chralka-natanachachamach”.

Wyłącznie na podstawie tego, co ci teraz powiedziałem, już sam, mój chłopcze, możesz ocenić, jakiego rodzaju pojęcia i wy-

obrażenia mają ci twoi współcześni ulubieńcy o tak zwanych zaświatowych kwestiach. Można z przekonaniem stwierdzić, że gdyby o tych pojęciach i wyobrażeniach twoich oryginałów usłyszały nasze kury, to zaczęłyby tak chichotać, że od tego rechotu mogłoby się im przytrafić to samo, co spotyka twoich ulubieńców po zażyciu oleju rycynowego.

Żebyś lepiej poczuł i pojął, a zarazem żeby feerycznie oświecić sens tych wyrażen, których dopiero co użyłem: „kurzy rechot” i „olej rycynowy” muszę ci powiedzieć o jeszcze jednym następstwie całego tego szczwanego wymądrzania się twoich ulubieńców – w danym wypadku dotyczącego kwestii „istnieniowego heksjoechari” – tym bardziej że dzięki temu będziesz mógł zrozumieć na konkretnym przykładzie niektóre wymienione już przeze mnie właściwości podstawowego świętego kosmicznego prawa Heptaparaparszynoch.

Otóż po zagładzie Atlantydy ocalały także fragmenty wiedzy o pochodzeniu i znaczeniu tego istnieniowego heksjoechari i one również były przekazywane z pokolenia na pokolenie.

Jakieś trzydzieści lub trzydzieści pięć ichnich wieków temu, po jednym z dużych procesów unicestwiania się nawzajem, większość z nich – jak to się zwykle dzieje tam po takich potwornych ekscesach – znowu zaczęła często dostrzegać rzeczywistość i odczuwać mniejsze zadowolenie z warunków swojej zwykłej egzystencji, wskutek czego niektórym z nich, mianowicie tym, którzy szczególnie mocno poczuli pustkę owej egzystencji i szukali sposobu na jej zapełnienie, udało się wtedy natrafić na zachowane w nienaruszonej formie fragmenty wiedzy o znaczeniu istnieniowego heksjoechari.

Te niepełne, lecz Wiarygodne informacje bardzo przekonująco wykazywały, że istnieje możliwość samodoskonalenia za pomocą substancji heksjoechari, czyli wytwarzanej w nich „spermy”, ale – na ich nieszczęście – w tych ocalałych informacjach, które do nich dotarły, nie było w ogóle mowy o tym, co i jak powinno się w tym celu robić.

Niektórzy zaczęli wówczas rozmyślać i uporczywie starali się

zrozumieć, cóż takiego należy zrobić, żeby za pomocą tych substancji, które są nieuchronnie wytwarzane w ich obecnościach, móc się udoskonalić.

A ponieważ te poważne rozmyślenia utwierdziły ich w przekonaniu, że takie doskonalenie na pewno znacznie przebiegać samorzutnie, pod warunkiem że powstrzymają się od wydzielania z siebie w tradycyjny sposób owej wytwarzanej w ich obecnościach substancji zwanej „sperma”, część z nich postanowiła wtedy, że się połączą w grupy, aby wspólnie egzystować i przekonać się w praktyce, czy taka wstrzemięźliwość rzeczywiście przyniesie oczekiwane rezultaty.

Chociaż istoty z twojej planety, które jako pierwsze zainteresowały się tą kwestią, starały się z uporem ją rozwiązać, nic jednak nie wskórały i dopiero następne ich pokolenie, po długotrwałych świadomych obserwacjach i intensywnych aktywnych rozmyśleniach, zrozumiało w końcu, że coś takiego jest możliwe, wyłącznie pod warunkiem że będzie się nieustannie wypełniać partkdołgpowinności istnieniowe, i tym spośród nich – należącym do tego pokolenia, a także pewnym istotom z dwóch następnych pokoleń – które poważnie się do tego zabrały, faktycznie udało się uzyskać oczekiwane rezultaty.

Ale już od czwartego pokolenia istoty, które nadal interesowały się tą kwestią, mimo że również zaczęły wspólnie egzystować i niejako robiły to samo, nie zajmowały się nią z przekonania wpływającego z ich esencji, lecz jedynie z powodu właściwości zwanej „naśladownictwem”, która do tego czasu stała się już przynależna ziemskim istotom trój mózgowym.

Tak więc od tamtej pory zapoczątkowana została i automatycznie ciągnie się do dzisiaj praktyka polegająca na tym, że tacy adepci po zorganizowaniu się w oddzielne grupy tworzą czasem pokaźne sekty o najprzeróżniejszych nazwach i stawiając sobie za cel ową „wstrzemięźliwość”, egzystują razem w odosobnieniu od świata.

Owe miejsca ich wyizolowanej wspólnej egzystencji zwane są tam „klasztorami”, a poszczególne istoty, które należą do takich

sekt, „mnichami”.

Obecnie istnieje tam bardzo dużo tego rodzaju „klasztorów” i liczni „mnisi”, którzy do nich wstępują, faktycznie surowo powstrzymują się od wydzielania z siebie w tradycyjny sposób istnieniowego heksjoechari, czyli wytwarzanej w nich spermy, ale oczywiście ta ich wstrzeźliwość nigdy nie daje żadnych sensownych rezultatów, a nie daje ich, bo tym nieszczęsnym współczesnym mnichom nie przychodzi już do głowy myśl, że nawet jeśli rzeczywiście można się doskonalić za pomocą tej formującej się w nich substancji, to wyłącznie pod warunkiem że intencjonalnie pobiera się oraz świadomie przetrawia w swojej obecności drugi i trzeci pokarm istnieniowy – a to może zrobić tylko ten, kto wcześniej przyzwyczył wszystkie części swej obecności do świadomego wypełniania obu świętych partkdołgpowinności istnieniowych, to znaczy do „świadomego trudu” i „zamierzonego cierpienia”.

Byłoby jednak rzeczą niesprawiedliwą stwierdzić, że ci tamtejsi mnisi nie uzyskują żadnych „sensownych rezultatów”. Oni takie „sensowne rezultaty” osiągną i to nawet dwojakiego rodzaju.

Abyś mógł zrozumieć, dlaczego wstrzeźliwość współczesnych mnichów daje te dwa niezależne od siebie rodzaje rezultatów, muszę ci jeszcze raz powtórzyć, że zgodnie z podstawowym kosmicznym prawem świętego Heptaparaparszynoch wszystko – zarówno wielkie, jak i małe – co istnieje w naszym Megalokosmosie, jeśli w procesie ewolucji nie otrzyma w chwili pokonywania obu „mdnel-inów” świętego Heptaparaparszynoch odpowiedniej pomocy z zewnątrz, zaczyna inwoluować, powracając do tych samych określonych stanów, od których zaczęło swą ewolucję.

Naturalnie dokładnie to samo dzieje się z tą określoną substancją kosmiczną, która wytwarzana jest w obecnościach tych wstrzeźliwych ziemskich mnichów.

A zatem, mój chłopcze, ponieważ owi ziemscy mnisi, szczególnie ci współcześni, przestali intencjonalnie wspomagać dalszą ewolucję tych substancji, które nieuchronnie wytwarzane są w nich na skutek ciągłego spożywania pierwszego pokarmu ist-

nieniowego – to znaczy nie wypełniają już w swoich zbiorczych obecnościach ani zamierzenie, ani nawet tylko automatycznie żadnej z partkdołgpowinności istnieniowych – a jednocześnie nie usuwają ich z siebie w normalny, przewidziany przez Przyrodę sposób, więc owe substancje zaczynają w nich inwoluować i w trakcie takiej inwolucji istnieniowego heksjoechari lub spermy, oprócz wielu innych określonych substancji przejściowych wytwarzanych podczas tego rodzaju procesu inwolucyjnego, formuje się w ich zbiorczych obecnościach pewna specyficzna substancja, która charakteryzuje się dwojakim oddziaływaniem na ogólne funkcjonowanie ciała planetarnej istoty.

Pierwszy sposób, w jaki przejawia się działanie tej określonej substancji, sprzyja odkładaniu się zbędnego „karacjaga” lub, jak mówią tam, „tłuszczu”. A z kolei drugi sposób przyczynia się do powstawania i rozprzestrzeniania w całym ciele planetarnym tak zwanych wibracji jadojunoskirnych.

Rezultat jest taki, że w pierwszym wypadku ci ziemscy wstrzemięźliwi mnisi stają się nadzwyczaj, jak się tam przyjęło mówić, „tłusci” i rzeczywiście pośród tych utuczonych mnichów można czasem spotkać egzemplarze z tak obfitym złożem tłuszczu, że tacy mnisi mogliby pobić na głowę ów rodzaj tamtejszych istot, które sami specjalnie karmią, aby zwiększyć w ich planetarnych ciałach zawartość tłuszczu, i nazywają „świniami”.

W drugim wypadku, przeciwnie, ci wstrzemięźliwi mnisi stają się, zgodnie z innym przyjętym tam wyrażeniem, „suchotniczo chudzi” i działanie tych przenikających ich wibracji jadojunoskirnych odbija się przede wszystkim na ich zbiorczej psychice, która wyraźnie się rozdwa, wskutek czego jej przejawy przyjmują dwie zupełnie przeciwstawne postaci: jedną – zewnętrzną, na pokaz, widzianą i odczuwaną przez całe otoczenie, i drugą – wewnętrzną, ukrytą, której tamtejsze zwykłe istoty, zwłaszcza te współczesne, zupełnie nie potrafią wyczuć ani dostrzec, a mianowicie ci „jadojunoskirni mnisi” są w swych widzialnych przejawach zewnętrznych, jak powiedzieliby twoi ulubieńcy, „pierwszej klasy świętoszkami” natomiast w swych wewnętrznych, nie-

dostrzegalnych dla innych skrytych manifestacjach w takim samym stopniu, jak nazwaliby ich twoi ulubieńcy, „wyrafinowanymi cynnikami”.

Jeśli chodzi o to, dlaczego u niektórych z tych wstrzemięźliwych mnichów inwolucyjny proces heksjoechari zamiast pokładów tłuszczu wytwarza wibracje jadojunoskirne, to istnieje tam na ten temat nawet bardzo szczegółowa „teoria” opracowana przez pewnego „katolickiego mnicha”, który kilka wieków temu dowiódł niezwykle skrupulatnie, że dzieje się tak, ponieważ ci „mnisi chudzielcy” w pierwszych latach swej egzystencji bardzo gorliwie oddają się zajęciu, od którego zwykle na twarzach ziemskich młodych istot pojawiają się, dobrze znane nawet tamtejszej medycynie, „pryszczki”.

Abyś mógł w pełni wyobrazić sobie i pojąć znaczenie tego rodzaju wstrzemięźliwości wśród tamtejszych współczesnych mnichów, powinienem jeszcze podzielić się z tobą przekonaniem, którego nabrałem podczas mojego ostatniego pobytu wśród nich, a mianowicie, że już same tylko konsekwencje, jakie pociąga za sobą taki inwolucyjny proces heksjoechari, powodują, że ugruntowywanie różnych następstw właściwości organu kundabufor w zbiorczej obecności tych nieszczęsnych ziemskich wstrzemięźliwych mnichów staje się o wiele łatwiejsze i przez to się potęgują.

W tym miejscu opowieści Belzebubowi przerwał sługa okrętowy, który wręczył mu lejtuczambros. Belzebub natychmiast przyłożył go do ucha i zaczął słuchać jego treści.

## *Rozdział 40*

### ***Opowieść Belzebuba o tym, jak ludzie się dowiadawali i na nowo zapominali o podstawowym światowym prawie Heptaparaparszynoch***

Gdy Belzebub wysłuchał treści wręczonego mu lejtuczanbrosa, jego wnuk Hassin znowu zwrócił się do niego:

– Mój drogi i miły dziadku! Pomóż mi, proszę, rozwiązać jedną sprzeczność, której nie rozumiem i która wymyka się moim logicznym zestawieniom.

Kiedy zacząłeś udzielać wyjaśnień na temat świętej planety Czyściec, poleciłeś mi, bym starał się przyswoić sobie wszystko, o czym powiesz, niczego nie opuszczając, a także nakazałeś mi utrzymywać przez cały czas moje aktywne myślenie w intensywnym napięciu, żeby odpowiednie dane, potrzebne do wyrobienia sobie pojęcia o wszystkim, co dotyczy szczegółów obu pierwotnych podstawowych świętych praw kosmicznych, mogły się we mnie całkowicie skryształizować. W trakcie wszystkich twoich wyjaśnień rzeczywiście starałem się to robić i wydaje mi się, że te święte kosmiczne prawa stały się dla mnie na tyle jasne, że bez trudu mógłbym nawet wytłumaczyć je komuś innemu.

W każdym razie mam już całkiem niezły obraz świętego prawa Triamazikamno oraz właściwości wszystkich trzech jego świętych samodzielnych sił i mogę powiedzieć, że dla mojej własnej esencji uświadomiłem je sobie w pełni zadowalająco. Co się zaś dotyczy świętego prawa Heptaparaparszynoch, to pewne szczegóły, które zresztą wydają mi się mało istotne, pozostają jeszcze trochę niejasne dla mojego rozumu, ale mam nadzieję, że jeśli dalej będę aktywnie rozmyślał, to już niedługo one także staną się dla mnie



zrozumiały.

Teraz jednak, po tym, jak już dobrze sobie przyswoiłem te święte prawa, a także jasno odczułem i pojąłem, jak bardzo są złożone i jak trudno jest je „do cna” zrozumieć, powstało we mnie nagle pytanie, które zdziwiło mnie i wciąż dziwi oraz budzi moje zainteresowanie: Jak to możliwe, że trójmózgowe istoty, które powstają i egzystują na planecie Ziemia, nie dość, że potrafiły zrozumieć te święte kosmiczne prawa, to jeszcze dostrzegły owe prawa w otaczających je rezultatach kosmicznych, chociaż słuchając wszystkich twoich opowieści, odniosłem silne wrażenie, że od czasu tamtejszej drugiej perturbacji transapalnej każda z nich po osiągnięciu wieku odpowiedzialnego staje się – wskutek nienormalnie przebiegającego „oskiano”, jakie otrzymują nowo powstałe ichnie rezultaty – posiadaczem wyłącznie „automatycznego rozumu”?

A o tym, że takim rozumem tych dwóch świętych praw kosmicznych pojąć się nie da, przekonałem się całą swoją esencją, gdy sam usiłowałem je zrozumieć.

Wypowiedziawszy te słowa, podeksycytowany Hassin spojrział pytająco na swego ukochanego dziadka.

Po chwili namysłu Belzebub zaczął mówić:

– Dobrze, mój drogi chłopcze, postaram się rozwikłać także zagadkę tej naturalnej i całkiem prawidłowo powstałej w tobie konsternacji.

O ile dobrze pamiętam, już kiedyś mówiłem ci, że chociaż od czasu wspomnianej perturbacji prawie wszystkie tamtejsze istoty trójmózgowe mają – z powodu nienormalnie ustalonych warunków zwykłej egzystencji istnieniowej – tylko automatyczny rozum, to jednak zdarza się, że niektóre z nich przypadkowo unikają tej wspólnej doli i zamiast tego typowego automatycznego rozumu wykształca się w nich czasem autentyczny „obiektywny rozum istnieniowy”, taki sam, jaki mają wszystkie trójcentrowe istoty naszego Wielkiego Megalokosmosu.

Mimo że takie wyjątki, szczególnie w ostatnich stuleciach, są

tam wielką rzadkością, jednakowoż, powtarzam, zdarzają się.

Abyś mógł w przybliżeniu wyobrazić sobie i zrozumieć, w jaki sposób pojawiają się wśród nich takie wyjątki, musisz przede wszystkim wiedzieć, że chociaż od czasu, gdy skryształizowały się w nich przeróżne następstwa właściwości organu kundabufor, ich rozum w trakcie ich odpowiedzialnej egzystencji stał się całkiem automatyczny, to jednak nawet dzisiaj obecność każdej z nich, zarówno w chwili przyjścia na świat, jak i na początku jej kształtowania się, ma w sobie zawsze zaczątek wszystkich możliwości ku temu, by podczas całościowego formowania się w istotę odpowiedzialną skryształizowały się odpowiednie dane istnieniowe, dzięki którym później – w ciągu tej odpowiedzialnej egzystencji – może się wykształcić i funkcjonować obiektywny rozum, jaki powinny mieć w swej zbiorczej obecności trójmózgowe istoty o dowolnej naturze i formie zewnętrznej, rozum będący ni mniej, ni więcej, tylko „przedstawicielem samej Esencji Boskości”.

Ich największe, w obiektywnym tego słowa znaczeniu, nieszczęście, które już sam – jak wykazało twoje pytanie, a szczególnie wzmianka o oskiano – „z zakłopotaniem instynktownie przeczułeś” polega na tym, że wprowadzie faktycznie w chwili powstania mają one takie możliwości, to anomalie utrwalone w procesie zwykłej egzystencji tych istot z ich otoczenia, które osiągnęły wiek odpowiedzialny, powodują, że już od pierwszych dni po wyjściu z łona matki ulegają dokuczliwemu wpływowi owego szkodliwego środka, który same dla siebie wymyśliły, a który, jak ci już mówiłem, przypomina coś w rodzaju oskiano i jest przez nie nazywany „wychowaniem”.

W taki oto sposób w tych nieszczęsnych nowo powstałych i, by tak rzec, „całkiem jeszcze niewinnych” istotach wszelkie możliwości swobodnego kształtowania się tego wszystkiego, co prowadzi do wytworzenia obiektywnego rozumu istnieniowego, stopniowo słabną i ostatecznie, w okresie ich „wieku przygotowawczego”, już całkowicie i na zawsze zanikają. Tak więc później, kiedy te nowo powstałe istoty osiągają wiek odpowiedzialny, mają w „środku ciężkości swojej esencji” zamiast przysługującego

im obiektywnego rozumu, ten dziwny całokształt automatycznie postrzeganych, sztucznych, a nawet zafałszowanych wrażeń, które mimo że nie mają nic wspólnego z lokalizacjami ich uduchowionych części istnieniowych, nawiązują jednak łączność z poszczególnymi funkcjami ich zbiorczej obecności. Skutkiem tego nie dość, że cały proces ich egzystencji przebiega automatycznie, to jeszcze prawie cały proces funkcjonowania ich ciała planetarnego zaczyna zależeć jedynie od przypadkowo i automatycznie postrzeganych wrażeń zewnętrznych.

Tylko w bardzo rzadkich przypadkach niektórzy z twoich ulubieńców stają się po osiągnięciu wieku odpowiedzialnego posiadaczami autentycznego „czystego rozumu”, jaki przysługuje odpowiedzialnym istotom trójmózgowym.

A dzieje się to najczęściej w następujący sposób:

Na przykład zdarza się, że któraś z takich nowo powstałych istot zaraz po wyjściu z łona matki w procesie dalszego kształtowania się napotyka wokół siebie warunki, które pozwalają jej uniknąć automatycznego i szkodliwego wpływu najrozmaitszych anomalii – wypełniających już po brzegi cały proces zewnętrznej egzystencji trójmózgowych istot mających siedlisko na tej nieszczęsnej planecie – wskutek czego znajdujące się w niej zaczątki możliwości uzyskania czystego rozumu jeszcze nie do końca zanikają w procesie jej dalszego formowania się. Ponadto może się też zdarzyć, że w okresie przygotowawczym do odpowiedzialnej egzystencji istnieniowej owej nowo powstałej w tych względnie normalnych warunkach młodej trójmózgowej istoty jej odpowiedzialnym przewodnikiem, służącym pomocą w jej całościowym formowaniu się, zostaje taka istota trójmózgowa, która sama wcześniej – także oczywiście przypadkiem – cała ukształtowała się w ten sam sposób i której świadomość wstanie jawy, w wyniku częstego spełniania w jej obecności partkdołgpowinności istnieniowych, funkcjonuje z udziałem ocalałych w jej podświadomości danych, które rodzą w niej boski impuls „sumienia”.

A więc ów przewodnik, uświadamiając sobie całym swym je-

stestwem wagę odpowiedzialności, jaką wziął na siebie w stosunku do tej nowej istoty – która we wspomnianych wyżej warunkach dopiero co osiągnęła wiek przygotowawczy – zaczyna w zgodzie ze swoim sumieniem i zupełnie bezstronnie tworzyć dla jej oskiano rozmaite wewnętrzne i zewnętrzne czynniki warunkujące postrzeganie odpowiednich wrażeń w celu krystalizacji w je zbiorczej obecności tych wszystkich danych stanowiących w sumie jedyną możliwość wyrobienia w trójmózgowej istocie, która osiągnęła już wiek odpowiedzialny, zdolności bycia „swolibrunolną” lub, jak powiedzieliby tam, na Ziemi, twoi ulubieńcy, „mocy nieliczenia się i nieutożsamiania z tym, co na zewnątrz, swoimi niechybnie inherentnymi namiętnościami”, albowiem tylko taki impuls istnieniowy, wzbudzony w istocie dzięki tego rodzaju danym, może pozwolić jej na swobodne i bezstronne postrzeganie wszystkich prawdziwych zjawisk, które zachodzą w otaczających ją kosmicznych rezultatach.

Warto przy okazji zauważyć, że na większości planet naszego Megalokosmosu, gdzie powstają i egzystują istoty trójmózgowe, spotyka się tę samą, często powtarzaną maksymę, która brzmi:

„NASZ NIESKOŃCZONY WSPÓLNY OJCIEC jest tylko Stwórcą istoty trójcentrowej, ale prawdziwym twórcą jej esencji w okresie egzystencji przygotowawczej jest jej «oskianocner», czyli ten, którego twoi ulubieńcy nazywają «wychowawcą» lub «nauczycielem»”.

Otóż czasami, i to nawet w ostatnich stuleciach, zdarza się tam, że jeden z twoich ulubieńców, który, osiągnąwszy wiek odpowiedzialny, już w pełni się ukształtował i we wspomniany sposób został przygotowany do otrzymywania zewnętrznych percepcji, zauważa przypadkowo w otaczających rezultatach kosmicznych pewną prawidłowość, a następnie zaczyna ją szczegółowo i wszechstronnie badać, i kiedy w końcu po długich i wytrwałych trudach uświadamia sobie jakąś obiektywną prawdę, wtajemnicza w nią inne podobne do niego istoty ze swego otoczenia.

Teraz zaś, mój chłopcze, posłuchaj o tym, w jaki sposób te osobliwe istoty trójmózgowe odkryły po raz pierwszy podstawowe

kosmiczne prawo świętego Heptaparaparszynoch, a także jak doszło do tego, że przekazywany z pokolenia na pokolenie całości kształt informacji o różnych szczegółach tego prawa, które uświadomiły sobie niegdysiejsze istoty, stał się później dziedzictwem każdej trójmózgowej istoty twojej planety i sprawił, że ta wiedza stała się dostępna, no i jeszcze posłuchaj o tym, kiedy i co z tym wszystkim zdołały zrobić zawsze te same dziwactwa ichniej psychiki.

Chcę ci to wyjaśnić najdokładniej jak można, w kolejności, która w pełni odpowiada historycznej linii rozwoju – zarówno jeśli chodzi o uprzytamnianie sobie istnienia tego świętego prawa, jak i stopniowe zapomnianie o nim – a to dlatego, że po pierwsze, takie informacje pomogą ci zrozumieć, jak je określiłeś, „mało istotne” szczegóły, które jeszcze niezupełnie przetworzyłeś w swoim rozumie, a po drugie, dzięki tym wyjaśnieniom dowiesz się również, że wśród twoich ulubieńców, i to nawet tych współczesnych, do grona prawdziwych uczonych trafiają czasami takie odpowiedzialne istoty, które poprzez swoje bezstronne i wolne od zarozumiałości świadome trudy mogłyby – pod warunkiem że egzystencja pozostałych tamtejszych istot trójmózgowych wyglądałaby w miarę normalnie – doprowadzić do powstania i stopniowego rozwoju na tej nieszczęsnej planecie autentycznej nauki obiektywnej, skutkiem czego oni także mogliby w końcu otrzymać te dobra, z których już od dawna zasłużenie korzystają trójmózgowe istoty z wszystkich innych planet naszego Wielkiego Wszechświata.

Oczywiście na początku, w okresie, gdy trójmózgowe istoty twojej planety miały jeszcze w sobie organ kundabufor, nie było mowy o tym, żeby ziemskie istoty mogły poznać jakiegokolwiek prawdy kosmiczne.

Ale później, kiedy w ich obecnościach funkcjonowanie tego pechowego organu zostało zniszczone, dzięki czemu ich psychika stała się wolna oraz, można by rzec, ich własna i „indywidualna” otóż właśnie od tego momentu zaczęły się wszystkie historie związane z ich „względnie zdrowym” myśleniem istnieniowym.

Te przypadłe ci do gustu trójmózgowe istoty po raz pierwszy spostrzegły i całą swą obecnością uświadomiły sobie podstawowe kosmiczne prawo świętego Heptaparaparszynoch w okresie, gdy na kontynencie Atlantyda niektóre z nich pojęły – o czym, pamiętasz, już ci kiedyś mówiłem – że coś się w nich dzieje „nie tak”, i same odkryły, że mają w sobie pewne możliwości zniszczenia tego czegoś „nie tak” i stania się takimi, jakimi być powinny.

Właśnie w tym okresie upływu czasu, gdy niektóre z nich zaczęły obserwować to „nienormalne” – z punktu widzenia zdrowego myślenia istnieniowego – funkcjonowanie, jakie występowało w ich zbiorczej obecności, i szukać zarówno przyczyn tych anomalii, jak i wszelkich możliwych sposobów usunięcia ich z siebie, wiele gałęzi prawdziwej nauki osiągnęło wysoki stopień rozwoju. Wśród tych, którzy poważnie zainteresowali się owym, jak mówiono wówczas, „najistotniejszym zajęciem rozumu”, była też ziemską trójmózgowa istota o imieniu Teofani, która pierwsza położyła racjonalne podwaliny pod dalszy rozwój tej gałęzi prawdziwej nauki.

Jak się później przypadkowo dowiedziałem, ów Teofani któregoś dnia suszył na marmurowej płycie pewną rozlaną przez siebie miksturę – w której skład wchodziły: wyciąg z rośliny zwanej wtedy „patetuk”, żywica sosny oraz śmietana z mleka słynnych onegdaj „cheniońskich kóz” – aby po jej utwardzeniu otrzymać mastyks używany do żucia po spożyciu posiłku, i pierwszy raz wtedy zauważył, że wspomniana mieszanka, niezależnie od ilości i sposobu wylewania jej na marmurową płytę, krzepła zawsze w ten sam sposób i po ostatecznym wystygnięciu przybierała niezmiennie formę złożoną z siedmiu określonych płaszczyzn.

Ten nieoczekiwanie stwierdzony przez Teofaniego fakt szalenie go zdumiał, a ponieważ w jego zbiorczej obecności powstało intensywne pragnienie wyjaśnienia swojemu rozumowi zasadniczych powodów takiej nieznanego mu dotąd prawidłowości, zaczął od tamtego dnia powtarzać ten sam zabieg, ale już w świadomym celu.

Zaraz na początku badań prowadzonych przez Teofaniego jego

przyjaciele, to znaczy inni ówcześni uczeni, z którymi podzielił się swoim spostrzeżeniem oraz przedmiotem podjętych przez siebie rozmaitych eksperymentów poznawczych, również bardzo się tym zainteresowali i zaczęli uczestniczyć w jego dalszych poszukiwaniach.

Po długich i szczegółowych badaniach ta grupa uczonych istot trójmózgowych z twojej planety po raz pierwszy uświadomiła sobie i nabrała całkowitej pewności, że prawie wszystkie obserwowane wokół nich urzeczywistniające się rezultaty kosmiczne, kiedy manifestują się w zewnętrznych stanach przejściowych, które są postrzegane przez organy istot w takiej czy innej określonej formie, zawsze kryją w sobie siedem niezależnych aspektów.

Tak więc w wyniku świadomych trudów tych kilku uczonych istot trójmózgowych z twojej planety powstała i zaczęła się rozwijać na kontynencie Atlantyda owa gałąź prawie normalnej nauki, która nosiła nazwę „tazalurinono”, co znaczy „siedmioaspektowość każdego całkowitego zjawiska”.

Jednakże po zagładzie tego kontynentu zupełnie nic nie ocalało z owej gałęzi prawdziwej nauki i przez wiele stuleci istoty tej planety znów nie miały żadnego pojęcia o tym świętym kosmicznym prawie.

Najwidoczniej ta gałąź nauki była tak dobrze znana na kontynencie Atlantyda, że nie widziano potrzeby włączenia czegokolwiek na jej temat do legomonizmów, mimo że tamtejsze uczone istoty – jak ci już mówiłem – czyniły to na ogół w odniesieniu do wszystkich takich pojęć, o których wiedzę chciały przekazać istotom przyszłych pokoleń w stanie nienaruszonym.

Gdyby istniał legomonizm poświęcony tej gałęzi nauki, to z pewnością tym, którzy przypadkowo ocaleli z katastrofy Atlantydy, udałoby się coś z niej przechować, jak to się stało z innymi dziedzinami wiedzy zdobytej już przez istoty tego kontynentu.

Dopiero po upływie wielu ichnich stuleci nauka o świętym Heptaparaparszynoch znowu zyskała rozgłos, a to dzięki dwóm wielkim ziemskim uczonym, braciom „Czun-Kil-Tez” i „Czun-

Tro-Peł”, późniejszym świętym, teraz przebywającym już na tej świętej planecie Czyściec, którą niedawno odwiedziliśmy.

Pamiętasz, mówiłem ci kiedyś, że na kontynencie Azja istniał kraj Maralplejsi, gdzie żył król imieniem Koniucjon – potomek uczonego członka Towarzystwa Achldan, który przybył tam z Atlantydy, aby na miejscu obserwować wszelkiego rodzaju przejawy przyrody ichtniej planety – i że ten władca, chcąc ocalić swych poddanych od zgubnego nawyku żucia nasion kwiatu o nazwie „gulgulian”, wymyślił dla nich „mądrą bajkę” o której także ci już wspominałem.

Otóż wnukowi króla Koniucjona, który później również został władcą istot tej grupy, urodziły się dwa rezultaty płci męskiej; bliźniaki: pierwszy nazywał się „Czun-Kil-Tez”, a drugi „Czun-Tro-Peł”. Samo słowo „czun” znaczyło wtedy w kraju Maralplejsi „królewicz”.

Ponieważ z jednej strony otoczenie, w którym znaleźli się ci dwaj bracia, bezpośredni potomkowie jednego z głównych członków wielkiego towarzystwa naukowego, przypadkowo odpowiadało wymaganiom ich „wieku przygotowawczego”, a z drugiej sami starali się nie dopuścić do tego, by zanikła w nich dziedziczna zdolność – właściwa im, tak jak wszystkim innym nowo powstałym istotom trójmózgowym tej planety – do krystalizacji danych, które wzbudzają w nich moc realizowania partkdołgpowinności istnieniowych, a także ponieważ ich, jak mówią tam, „ojciec”, czyli „twierdzące źródło” przyczyny ich powstania, postanowił nakierować ich odpowiedzialną egzystencję na niwę nauki i przedsięwziął wszelkie kroki, by zapewnić im do tego należyte przygotowanie, więc już od samego początku wieku odpowiedzialnego byli niemal takimi, jakimi na wszystkich planetach naszego Wielkiego Megalokosmosu stają się te trójmózgowe istoty, które zmierzają do tego samego celu, to znaczy prowadzą poszukiwania badawcze nie dla zaspokojenia swoich słabości zwanych „próżnością”, „dumą” i „miłością własną” – jak to robią, zwłaszcza w dzisiejszych czasach, te tamtejsze istoty, które poświęcają się tej dziedzinie – lecz dla osiągnięcia wyższego stopnia



bycia.

Najpierw więc zostali, jak się tam mówi, „uczonymi specjalistami w zakresie medycyny”, a później po prostu uczonymi.

Okres wieku przygotowawczego i wczesne lata swojej odpowiedzialnej egzystencji spędzili w mieście Gob w kraju Maralplejsi, lecz kiedy tę część powierzchni twojej planety zaczęły zasypywać piaski, obaj znaleźli się wśród uchodźców, którzy podążyli na Wschód.

Owa grupa trójmózgowych istot uciekających z kraju Maralplejsi, wśród których byli też ci bracia bliźniacy, późniejsi wielcy uczeni, pokonała wschodnie wzniesienia Maralplejsi i osiedliła się na brzegu wielkiej przestrzeni wodnej.

To od nich wzięła swój początek owa solidna zbiorowość ziemskich istot trój mózgowych, która istnieje do dzisiaj i zamieszkuje kraj zwany obecnie „Chinami”.

Otóż właśnie w tym nowym miejscu ich stałego pobytu, noszącym nazwę „Chiny” ci sami dwaj bracia jako pierwsi od czasu zagłady kontynentu Atlantyda spostrzegli i uświadomili sobie podstawowe prawo kosmiczne świętego Heptaparaparszynoch.

Warto zwrócić uwagę na pewną niezwykle interesującą i ciekawą okoliczność, a mianowicie na to, że ich pierwsze spostrzeżenia dotyczyły całokształtu kosmicznych substancji zlokalizowanych w tej formacji naplanetarnej, która jest tam znana teraz pod nazwą „papaverum” lub, jak mówi się inaczej, mak, i to właśnie z powodu rozpowszechnienia się szkodliwego nawyku żucia jego nasion ich pradziadek, wielki król Koniucjon, wymyślił to „nauczenie religijne” o którym kiedyś już wspominałem.

Najwidoczniej tych dwóch wielkich ziemskich uczonych odziedziczyło po pradziadku, wielkim królu Koniucjonie, nie tylko zdolność odpowiedniego pojmowania i uświadamiania sobie własnych powinności istnieniowych w stosunku do innych podobnych istot z ich otoczenia, lecz również pasję i zamiłowanie do badań nad owym produktem od zawsze stanowiącym dla twoich ulubieńców jeden z tych licznych i szkodliwych środków,

które doprowadziły ich już i tak osłabioną psychikę do całkowitego zwyrodnienia.

Abyś mógł lepiej sobie wyobrazić i dobrze zrozumieć, dlaczego i w jaki sposób ta mała naplanetarna formacja nosząca nazwę „gulgulian” lub „mak” przyczyniła się do tego, że ci dwaj znamienici ziemscy uczeni dostrzegli to wielkie prawo kosmiczne, musisz przede wszystkim wiedzieć, że na wszystkich planetach – jak zresztą we wszelkiego rodzaju naplanetarnych i wewnątrzplanetarnych formacjach, a w szczególności w tych zwanych „florą” – podczas procesu Iraniranumanż powstają w celu transformacji substancji ogólnokosmicznych trzy klasy krystalizacji.

Krystalizacje należące do pierwszej klasy zwane są „tworami unastralnymi” te należące do drugiej – „tworami ochtastralnymi” natomiast te, które należą do trzeciej klasy – „tworami połormedechtycznymi”.

Transformacji poprzez twory unastralne ulegają w trakcie swoich procesów ewolucyjnych lub inwolucyjnych te krystalizacje kosmiczne lub „elementy aktywne”, które powstanie zawdzięczają jedynie substancjom przekształcanym przez tę samą planetę, na której ów rodzaj naplanetarnej lub wewnątrzplanetarnej formacji jest wytwarzany na potrzeby ogólnokosmicznego Iraniranumanż.

Transformacji za pomocą tworów ochtastralnych ulegają, oprócz elementów wymienionych przed chwilą, również te elementy aktywne, które zawdzięczają powstanie substancjom przekształcanym przez słońce i inne planety danego układu słonecznego.

Natomiast transformacji poprzez twory trzeciej klasy, zwane „połormedechtycznymi”, prócz dwóch pierwszych klas, ulegają także te wszystkie elementy aktywne, które powstają w wyniku przemiany substancji różnych skupień kosmicznych należących do innych układów słonecznych naszego wspólnego Megalokosmosu.

Naplanetarna formacja znana na twojej planecie pod nazwą

„roślina maku” należy właśnie do klasy tworów półmedechnicznych i za jej pomocą ewoluuje lub inwoluuje „ogół rezultatów transformacji” wszystkich pozostałych „środkociężkościowych skupień kosmicznych”, które przenikają do atmosfery twojej planety w wyniku ogólnokosmicznego procesu zwanego „powszechnym rozchodzeniem się promieniowań wszelkich skupień kosmicznych”.

A więc, mój chłopcze, ci dwaj wielcy ziemscy uczeni, Czun-Kil-Tez i Czun-Tro-Peł, urządziwszy się już mniej więcej w nowym miejscu ich stałego pobytu, to znaczy w tych całkiem jeszcze młodych Chinach, ponownie przystąpili w swych zbiorczych obecnościach do – przerwanej nie z ich winy – zamierzonej realizacji partkdołgpowinności istnieniowych na tej niwie zawodowej, jaką obrali dla swej odpowiedzialnej egzystencji, a mianowicie zajęli się „poszukiwaniami naukowymi” w dziedzinie zwanej tam „medycyną”.

To właśnie wtedy zaczęli też badać ten całokształt substancji kosmicznych, który twoi ulubieńcy nauczyli się już wcześniej uzyskiwać tam ze wspomnianej rośliny półmedechnicznej i któremu nadali nazwę „opium” co w języku istot tej grupy znaczyło „ziszczający marzenia”.

Ci dwaj wielcy bracia poświęcili się badaniom nad opium, bowiem – podobnie jak wiele innych ówczesnych istot trójmózgowych – zauważyli, że wprowadzenie w siebie pewnego wyciągu z tej substancji usuwa na jakiś czas wszelkie doznanie bólu.

W pierwszej kolejności zajęli się więc wyjaśnieniem działania wszystkich jej właściwości, licząc na to, że być może uda im się wykorzystać jedną z nich do zniszczenia lub złagodzenia objawów szczególnej formy „choroby psychicznej”, która była w tamtym czasie bardzo rozpowszechniona wśród trójmózgowych istot z ich otoczenia, to znaczy takich samych jak oni uchodźców.

W trakcie swoich poszukiwań zauważyli najpierw, że opium składa się z siedmiu samodzielnych krystalizacji o określonych subiektywnych właściwościach.

Dalsze i bardziej szczegółowe badania wyraźnie pokazały im, że każda z owych siedmiu samodzielnych krystalizacji tej „jednej całości” składa się z siedmiu innych, również określonych krystalizacji mających siedem niezależnych subiektywnych właściwości i że te krystalizacje też składają się z siedmiu innych krystalizacji, i tak dalej, prawie bez końca.

Wzbudziło to w nich wtedy tak wielkie zdumienie i zainteresowanie, że odłożyli na bok wszystkie postawione sobie wcześniej zadania i odtąd poświęcili się wyłącznie wytrwałemu badaniu tego zadziwiającego faktu, który spostrzegli jako pierwsi, aż w końcu osiągnęli rezultaty niespotykane wśród trójmózgowych istot twojej planety, i to zarówno uprzednio – nawet w okresie istnienia kontynentu Atlantyda – jak i w każdej późniejszej epoce.

Wiele stuleci po okresie planetarnej egzystencji tych wielkich ziemskich uczonych, teraz już świętych, Czun-Kil-Teza i Czun-Tro-Peła, w ramach pewnych moich badań szczegółowo się zaznajomiłem z historią ich działalności i dowiedziałem, że kiedy już ponad wszelką wątpliwość udało się im ustalić, iż całokształt substancji kosmicznych zwany „opium” składa się z szeregu kombinacji siedmiu elementów aktywnych o różnych subiektywnych właściwościach, zaczęli przeprowadzać pod tym samym kątem badania wielu innych kosmicznych rezultatów czy, jak się tam mówi, „zjawisk”, które zachodziły wokół nich. Później jednak ograniczyli swoje poszukiwania tylko do trzech, a mianowicie: „opium”, „białego promienia” i „dźwięku”.

Badając te trzy różne przejawy procesów kosmicznych, bezsprzecznie ustalili i nabrali całkowitej pewności, że owe trzy rezultaty, chociaż nie mają ze sobą nic wspólnego zarówno jeśli chodzi o przyczyny ich powstania, jak i przejawy zewnętrzne, to ich wewnętrzna konstrukcja i funkcjonowanie są w każdym najdrobniejszym szczególe dokładnie takie same.

Krótko mówiąc, właśnie wtedy, już po zagładzie kontynentu Atlantyda, w tych całkiem jeszcze młodych Chinach po raz drugi na twojej planecie owi bracia bliźniacy znowu stwierdzili i bezspornie udowodnili, że każde oddzielne i zewnętrznie niezależne

zjawisko – jeśli potraktujemy je jako samodzielną jednostkę – zawiera w całości swoich przejawów siedem drugorzędnych samodzielnych jednostek mających własne subiektywne właściwości i że te drugorzędne samodzielne jednostki składają się z kolei z siedmiu trzeciorzędnych jednostek, i tak dalej w nieskończoność, a także że w każdej z tych pierwszorzędnych, drugorzędnych, trzeciorzędnych itd. jednostek procesy obejmujące ich wzajemne relacje i wzajemne oddziaływania zachodzą w najmniejszych szczegółach dokładnie tak samo i mają identyczne następstwa.

W trakcie badań udało się im wtedy po raz pierwszy wyodrębnić i określić siedem niezależnych aspektów każdego całościowego rezultatu, jak również ich drugorzędne i trzeciorzędne pochodne.

I tak siedem pierwszych podstawowych aspektów każdej całości nazwali:

1. Erti-Pikan-On
2. Ori-Pikan-On
3. Sami-Pikan-On
4. Otchi-Pikan-On
5. Chuti-Pikan-On
6. Ekwsi-Pikan-On
7. Szwidi-Pikan-On

a drugorzędne aspekty:

1. Erti-Nura-Czaka
2. Ori-Nura-Czaka
3. Sami-Nura- Czaka
4. Otchi-Nura-Czaka
5. Chuti-Nura-Czaka
6. Ekwsi-Nura-Czaka

## 7. Szwidi-Nura-Czaka

Aby móc rozróżnić, do którego ze wspomnianych trzech rezultatów procesów kosmicznych odnosi się każda z tych definicji, uzupełnili je w następujący sposób:

Definiując odcienie dźwięku, do odnotowanej liczby wibracji zawsze dodawali słowo „alil”.

Definiując właściwości kompozytu „białego promienia” dodawali wyrażenie „nar-chra-nura”.

Natomiast żeby zdefiniować elementy aktywne produktu półmedechnicznego noszącego nazwę „opium”, dodawali tylko liczbę wskazującą na ich „ciężar właściwy”.

Ponadto ci wielcy ziemscy uczeni za podstawową jednostkę pomiaru „wibracji właściwych” i „ciężaru właściwego” przyjęli wibrację dźwięku, który po raz pierwszy nazwali wtedy „światowym dźwiękiem niriunośnym”.

Nieco później wyjaśnię ci znaczenie określenia „światowy dźwięk niriunośny”, którego ci dwaj wielcy ziemscy uczeni użyli wówczas po raz pierwszy, a tymczasem, byś mógł jasno zrozumieć moje dalsze wyjaśnienia dotyczące tej kwestii, powinienes jeszcze wiedzieć, że na wszystkich planetach autentyczni uczeni za podstawową jednostkę do swoich porównawczych obliczeń ciężaru właściwego i wibracji właściwych przyjmują to, co nauka obiektywna określa jako najmniejszą cząstkę Przenajświętszego Teomertmalogosu, zawierającą wciąż pełnię „życiodajności” wszystkich trzech świętych sil świętego Triamazikamno, natomiast na twojej planecie zarówno autentyczni uczeni, jak i uczeni „nowej formacji” wszystkich epok w tym samym celu – mianowicie do obliczeń porównawczych wszelkich poznanych przez siebie określonych części dowolnej całości o różnych właściwościach, na przykład po to, by ustalić ciężar właściwy różnych elementów aktywnych, jakie potrafili zidentyfikować spośród tych, które winny znajdować się w sferach ich egzystencji – za taką podstawową jednostkę przyjmowali i do dziś przyjmują to, co nazywają „atomem wodoru”, i nie wiadomo dlaczego uważają, że

jest on niepodzielny i ze wszystkich najmniejszy.

Nie można tutaj nie wspomnieć, że ci „uczni od siedmiu boleści” należący do grona twoich ulubieńców, nie podejrzewają, że nawet jeśli we wszystkich sferach ich planety ten ich atom wodoru jest faktycznie niepodzielny i stanowi najmniejszą jednostkę, to jeszcze nie znaczy, że nie da się go wielokrotnie podzielić w obrębie innych układów słonecznych lub choćby w sferach niektórych innych planet ich własnego układu słonecznego.

Nawiasem mówiąc, powinieneś wiedzieć, że ten ichni wodór jest właśnie jedną z tych siedmiu substancji kosmicznych, których całość specjalnie urzeczywistnia dla danego układu słonecznego to, co nazywa się „wewnętrzną oktawą ansapalną” substancji kosmicznych, i że ta niezależna oktawa sama jest z kolei jedną z siedmiu samodzielnych części podstawowej „ogólnokosmicznej oktawy ansapalnej”.

W układzie słonecznym, do którego należy nasz drogi Karataz, także istnieje taka samodzielna wewnętrzna oktawa ansapalną i tych siedem różnorodnych substancji kosmicznych o odmiennych właściwościach my nazywamy następująco:

1. Planekurab – czyli właśnie ichni wodór
2. Alillonofarab
3. Krylnomolnifarab
4. Talkoprafarab
5. Chrytofalmonofarab
6. Syriunorifarab
7. Klananoicufarab

A na twojej planecie tamtejsze autentyczne uczone istoty w różnych okresach różnie nazywały tych siedem względnie samodzielnych krystalizacji o odmiennych właściwościach lub, zgodnie z ich określeniem, tych siedem elementów aktywnych, które tworzą wewnętrzną oktawę ansapalną ich własnego układu słonecznego, natomiast obecnie tamtejsi, jak to się mówi,

„uczni chemicy”, którzy stali się już rasowymi uczonymi „nowej formacji” nazywają je:

1. Wodór
2. Fluor
3. Chlor
4. Brom
5. Jod

Jeśli zaś chodzi o dwie ostatnie określone krystalizacje, to w ogóle ich nie nazywają, ponieważ nazwy, które nadali im ich przodkowie, do nich nie dotarły i teraz oni nawet nie podejrzewają, że na ich planecie istnieją te dwie substancje kosmiczne, stanowiące przecież podstawowe i niezbędne czynniki ich własnej egzystencji.

Te dwie ostatnie substancje kosmiczne, całkiem namacalne i łatwo dostępne we wszystkich sferach ich planety, jeszcze jakieś dwieście lat temu znane były tamtejszym uczonym istotom zwanym wtedy wciąż „alchemikami” – tym samym, których współcześnie „śmiechu warci naukowcy” określają po prostu jako „okultystycznych szarlatanów” i uważają za zwykłych „eksploatatorów ludzkiej naiwności” – i nazywały się „hydroumiak” i „piotr-karmak”.

A więc, mój chłopcze, bracia bliźniacy Czun-Kil-Tez i Czun-Tro-Peł, ci wielcy ziemscy uczeni, teraz już święci, jako pierwsi po zagładzie Atlantydy stworzyli podstawy owej wiedzy. I nie tylko na nowo stworzyli podstawy takiego „całokształtu specjalnych informacji” lecz także jako pierwsi na Ziemi spostrzegli tam dwie z trzech zgodnych z prawem głównych osobliwości tego wielkiego prawa, o których ci już mówiłem, a mianowicie po raz pierwszy stwierdzili istnienie jego dwóch mdnel-inów i taką gałąź prawdziwej wiedzy, podobną do tej, którą na kontynencie Atlantyda zwano „siedmioaspektowością każdego całkowitego zjawiska” nazwali wtedy „Prawem Dziewięciokrotności”, a to dlatego, że do siedmiu wyraźnie odróżnialnych przejawów – zwa-



nych przez nich „duscakami” – tego wielkiego prawa dodali jeszcze te dwie jego osobliwości, które spostrzegli jako pierwsi i nazwali „suanso-turabico” co znaczyło „obowiązkowe aspekty przerywania spontanicznego przepływu całości” Prawo to nazwali we wspomniany sposób głównie dlatego, że w trakcie szczegółowych poszukiwań nabrali całkowitej pewności, iż także we wszystkich zbadanych przez siebie „przejściowych rezultatach kosmicznych” te osobliwości, na które pierwsi zwrócili uwagę, występują zawsze nieodzownie w pewnych punktach procesu owego wielkiego prawa.

Ci dwaj wielcy ziemscy uczeni chińscy przeprowadzali w ramach swych prac badawczych wszelkiego rodzaju chemiczne, fizyczne i mechaniczne doświadczenia i z czasem udało się im skonstruować bardzo skomplikowany i niezwykle pomysłowy aparat doświadczalny, który nazwali „alla-atapan”.

Za pomocą tego aparatu mogli wtedy przekonująco dowieść sobie i innym, że te przejściowe rezultaty procesów kosmicznych, czyli półormedechtyczny produkt zwany tam „opium”, jak również „biały promień” i „dźwięk” w samej swojej esencji wszystkie mają takie same właściwości lub, innymi słowy, że te trzy zewnętrznie całkiem odmienne zjawiska kosmiczne charakteryzuje dokładnie taka sama „struktura urzeczywistniania”, to znaczy źródłem ich przejawów są identyczne „wzajemnie oddziałujące na siebie prawidłowości”, i to wskutek tych wzajemnie oddziałujących na siebie prawidłowości te trzy pozornie niezależne i zewnętrznie różniące się manifestacje oddziałują na siebie nawzajem dokładnie tak, jak to zachodzi w nich samych, czyli, mówiąc inaczej, duscako dowolnego z tych rezultatów oddziałuje na odpowiednie duscako innego rezultatu w taki sam sposób, jak to się dzieje właśnie w tym duscako, które jest jednym z siedmiu aspektów tego innego całościowego rezultatu kosmicznego.

Wspomniany aparat, używany przez tych wielkich braci do prowadzenia eksperymentów badawczych, miałem okazję zobaczyć na własne oczy i bardzo dobrze zaznajomić się z jego budową już wiele wieków po okresie, w którym oni tam egzystowali.

Ponieważ sama konstrukcja, jak również działanie tego imponującego aparatu doświadczalnego alla-atapan, z którym mogłem się zapoznać we wszystkich szczegółach dzięki przypadkowym okolicznościom związanym z moim esencjalnym przyjacielem Gornahurem Harcharchem, z pewnością bardzo cię zainteresują, a jednocześnie okażą się nadzwyczaj pouczające, opiszę ci go więc bardziej drobiazgowo.

Moje wnikliwe zaznajomienie się z tym zdumiewającym aparatem alla-atapan, który dzięki Gornahurowi Harcharchowi zyskał sławę wśród autentycznych uczonych prawie całego naszego Megalokosmosu, odbyło się w następujących przypadkowych okolicznościach:

Któregoś dnia, w czasie jednej z wizyt na planecie Saturn u mojego esencjalnego przyjaciela Gornahura Harcharcha, on sam, już wcześniej dowiedziawszy się w jakiś sposób o istnieniu tego aparatu, poprosił mnie w trakcie rozmowy, bym przywiózł mu z planety Ziemia jeden taki egzemplarz, jeśli trafi mi się okazja, by odwiedzić ją ponownie.

Później więc, kiedy znowu zstąpiłem na powierzchnię twojej planety, udało mi się tam znaleźć tego rodzaju aparat, który przywiozłem ze sobą na planetę Mars, aby przy najbliższej sposobności wysłać go do Gornahura Harcharcha na planetę Saturn.

A ponieważ tak się akurat złożyło, że nasz statek „Okazja” przez długi czas nie leciał na planetę Saturn, więc aparat alla-atapan stał wtedy u mnie w domu na planecie Mars i wchodził często w pole automatycznej percepcji mojego organu wzroku, ja zaś w chwilach odpoczynku od aktywnego myślenia przyglądałem się mu tak uważnie, że zdołałem w końcu poznać wszystkie szczegóły jego budowy i działania.

Ów słynny aparat doświadczalny alla-atapan składał się z trzech samodzielnych części.

Przednia część nazywała się „lusoczepana”, środkowa „dzen-dwoch”, a ostatnia, tylna, „riank-pochotarc”.

Z kolei każda z tych trzech części sama składała się z kilku spe-

cialnie przystosowanych oddzielnych urządzeń.

W przedniej części, zwanej „lusoczepaną” znajdował się rodzaj stożkowatej rurki; której szerszy koniec był hermetycznie dopasowany do ramy jedyne go okna w pomieszczeniu, gdzie przeprowadzano eksperymenty, natomiast drugi koniec miał kształt ma-  
lutkiej szczeliny ze „skupiającą tarczą” i kiedy przechodziły przez nią wpadające przez wspomniane okno promienie „światła  
dziennego” przemieniały się, jak powiedzieliby twoi ulubieńcy, w „skoncentrowany biały promień”.

Ten skoncentrowany biały promień przechodził następnie przez kryształ o szczególnej formie i był rozszczepiany na siedem „różnobarwnych promieni”, które padały na niedużą płytkę z ko-  
ści słoniowej o nazwie „pirindzijeł”.

Owa płytką pirindzijeł była tak skonstruowana i regulowana, że padające na nią różnobarwne promienie skupiały się powtór-  
nie – tym razem już jednak inaczej – i potem, po przejściu przez kolejny kryształ o specjalnej formie, padały na drugą, większą  
płytkę, także z kości słoniowej, zwaną „poloriszpurdą”.

Naprzeciw poloriszpurdy znajdował się mały przyrząd szcze-  
gólnej konstrukcji, za pomocą którego można było – jeśli ustawiło się go w odpowiedniej pozycji – wyodrębnić dowolny z różno-  
barwnych promieni padających na poloriszpurdę i skierować go dalej, do trzeciej części alla-atapanu zwanej „riank-pochotarc”.

Nie zaszkodzi, jeśli w tym miejscu powiem ci, że wiedza o budo-  
wie pierwszego kryształu tej części aparatu alla-atapan dotarła również do twoich współczesnych ulubieńców, którzy obecnie nazywają ów kryształ „pryzmatem”.

Za pomocą tego pryzmatu współcześni ziemscy uczeni także uzyskują z białego promienia siedem różnobarwnych promieni i ciągle się im marzy, że poznają dzięki temu jakieś inne zjawiska kosmiczne.

Ale oczywiście nic nigdy nie wyniknie ani z tych mrzonek, ani z wszelkich innych form ich „naukowego łechtania” choćby dla-  
tego, że przez ten swój pryzmat uzyskują z białego promienia wy-

łącznie „negatywne barwne promienie”, a do tego, by zrozumieć jakiegokolwiek inne zjawisko kosmiczne związane z przejściowymi zmianami tego białego promienia, są absolutnie niezbędne jego „pozytywne barwne promienie”.

Twoi współcześni ulubieńcy wyobrażają sobie, że barwne promienie uzyskane za pomocą tej ich dziecinnej zabawki zwanej przez nich „pryzmatem” to dokładnie takie same „pozytywne promienie” jak te, które uzyskiwali wielcy uczeni, i w swej naiwności myślą, że to otrzymane przez nich z białego promienia – jak mówią – „widmo” ukazuje dokładnie taką samą kolejność pojawiania się promieni, w jakiej powstają one ze swych źródeł.

Jednym słowem, jeśli chodzi o tych „marnych ziemskich naukowców nowej formacji” to nie pozostaje nic innego, jak tylko powtórzyć wyrażenie, często używane przez twoich ulubieńców: „Czort z nimi!”

Nie na darmo niektóre z naszych Świętych Indywiduów w ogóle nie potrafią inaczej nazywać twoich współczesnych ulubieńców, jak tylko „dziwakami”.

A zatem ci wielcy uczeni dzięki tym dwóm kryształom wyodrębnili z białego promienia jego „pozytywne barwne promienie” i potem za pomocą płytki poloriszpurdy, stanowiącej część lusoczepany, kierowali dowolny z tych barwnych promieni do trzeciej i głównej części pokazowej tego zdumiewającego aparatu, czyli do riank-pochotarca.

Ta główna część składała się ze zwykłego trójnogu, na którego szczycie umocowane były w pewien sposób, jedna nad drugą, dwie kule też zrobione z kości słoniowej, przy czym górna kula była o wiele większa niż dolna.

W dolnej kulce, dokładnie naprzeciw tej części lusoczepany, przez którą przechodziły „pozytywne barwne promienie” znajdowało się wgłębienie o specjalnym kształcie, gdzie w czasie doświadczeń wkładano albo znajdujący się w stanie nienaruszonym wspomniany produkt połornedechtyczny o nazwie „opium” albo wyodrębniony jeden z jego oddzielnych elementów

aktywnych, potrzebny akurat do eksperymentu.

Górna kula była przewiercona wzdłuż osi poziomej na wysokości lusoczepany, a prostopadle do tego przebitego na wylot dużego otworu wydrążono mniejszy otwór, sięgający tylko do jej środka i położony dokładnie na wprost lusoczepany.

Ten drugi, wywiercony tylko do połowy otwór był zrobiony w taki sposób, że można było kierować do niego barwne promienie wedle życzenia, bądź to bezpośrednio z lusoczepany, bądź też po odbiciu od wspomnianego wgłębienia w dolnej kulce.

Natomiast przewiercony na wylot otwór dużej kuli służył do tego, aby móc swobodnie przesuwac przez niego specjalnie uprzednio przygotowany „bambus”.

Otóż na długo przed przeprowadzeniem eksperymentów wiele takich bambusów moczo w absolutnej ciemności lub przy pomarańczowym, jak się mówi na Ziemi, „świetle” palącego się „simkałasza”, otrzymywanego z pewnego rodzaju „gliny”, której złoża znajdują się w glebie twojej planety na ogół w pobliżu nagromadzenia „kwasów saluniłownych” uzyskiwanych z „mamzolinu” albo, jak mówią twoi ulubieńcy, z „nafty”.

W skład płynu, w którym zanurzone były te bambusy, wchodziły:

1. Biało jaj ptaka zwanego wówczas „amersamarskanara”
2. Sok rośliny nazywanej „cziltunach”
3. Wydzielina pewnej czworonożnej istoty o nazwie „kezmaral”
4. Specjalnie przygotowany amalgamat rtęci.

Kiedy owe bambusy już nasiąkły, wkładano je pojedynczo do innych, grubszych bambusów, których nie poddano takiej obróbce i których końce były potem hermetycznie zamykane.

Oczywiście ten zabieg także odbywał się w absolutnej ciemności lub przy pomarańczowym świetle simkałasza.

Później, kiedy taki nasączony bambus był potrzebny do doświadczeń, jeden koniec grubego nienamoczonego bambusa

w specjalny sposób wkładano do przewierconego wylotu dużej kuli riank-pochotarca, a następnie otwierano go haczykiem przy-mocowanym do cienkiego pręta, który pozwalał przesuwać na-moczony bambus z dowolną prędkością.

Co się zaś tyczy działania płynu, w którym zanurzano bambu-sy, to polegało ono na tym, że ta część nasączonego bambusa, gdzie padał barwny promień – wychodzący bezpośrednio z luso-czepany albo odbity od wgłębienia w dolnej kulce – momentalnie i na zawsze przyjmowała kolor tego promienia.

Takie nieosłonięte części nasączonych bambusów zabarwiały się w podobny sposób na odpowiedni kolor w kontakcie z wibra-cjami dźwiękowymi, wytwarzanymi przez, jak to się mówi, „stru-ny” naciągnięte na środkową część aparatu noszącą nazwę „dzen-dwoch”.

Dzendwoch składał się z bardzo mocnej, zrobionej z kłów „ma-muta” ramy o specjalnym kształcie, na której rozpiętych było wiele strun rozmaitej długości i grubości, wykonanych części-wo ze skręconych „kozich jelit”, a częściowo z włosów ogonów tamtejszych istot o różnych formach zewnętrznych.

– Powiedz mi, proszę, mój drogi dziadku, co to jest „mamut”? – zapytał Hassin.

– Mamut – odpowiedział Belzebub – to istota dwumózgowa; ona także na samym początku miała siedlisko na twojej planecie i w porównaniu z innymi tamtejszymi istotami o wszystkich ukła-dach mózgów jej forma zewnętrzna była wyjątkowo duża.

Również istoty tego rodzaju padły ofiarą następstw oderwania się od planety Ziemia dużego kawałka zwanego teraz „Księży-cem”, który stał się samodzielnym, jak to określiłem, „planetar-nym dorobkiewiczem” układu słonecznego Ors i głównym nośni-kiem zła dla tej twojej nieszczęsnej planety.

Chodzi o to, że kiedy atmosfera owej małej „dorobkiewiczow-skiej” planety już się uformowała i zaczęła stopniowo harmonizo-wać, w atmosferze planety Ziemia, jak ci już mówiłem, pojawiły się wielkie wiatry, które zamieniły pewne części jej powierzchni

w piaszczyste pustynie, podczas gdy w rejonach „północnego” i „południowego” bieguna padał wtedy nieustannie śnieg, który przysypał wszystkie zagłębienia powierzchni tych północnych i południowych terenów polarnych.

Otóż głównie na tych terenach stałego lądu powierzchni twojej planety miały siedlisko istoty o wspomnianej formie zewnętrznej i w czasie takich niebywałych, jak się tam mówi, „zamieci śnieżnych” zostały wszystkie zasypane śniegiem; od tamtej pory ów gatunek istot już nigdy się tam nie odrodził.

Warto zaznaczyć, że do dzisiaj w tych zagłębieniach – pokrytych kiedyś śniegiem, a później „kaszymanem”, czyli substancjami, z których na stałych lądach powierzchni planet formuje się tak zwana gleba – napotyka się czasem ciała planetarne mamutów zachowane w bardzo dobrym stanie.

Te ciała planetarne mamutów zachowały się tak dobrze i przez tak długi czas, ponieważ śniegi, o których mówiłem, bardzo szybko zostały pokryte kaszymanem, wskutek czego wytworzyły się tam warunki „izolochronności”, czyli, jak powiedzieliby twoi ulubieńcy, warunki hermetycznie zamkniętej sfery, w której ciała planetarne mamutów nigdy, jak mówią tam, „się nie rozłożyły” to znaczy elementy aktywne, z jakich generalnie kształtują się takie ciała planetarne, nie przeszły całkowitej inwolucji i nie wróciły do swych pierwotnych źródeł.

Tak więc, mój chłopcze, ten opisany przeze mnie zdumiewający aparat alla-atapan demonstrował nie tylko to, że trzy wymienione „rezultaty przejściowe” procesów kosmicznych przyjmują w swych wewnętrznych przejawach te same formy, lecz także że są tworzone przez te same czynniki.

Za pomocą tego urządzenia można było sprawdzić i przekonać się, że po pierwsze, w każdym ze wspomnianych trzech zewnętrznie niemających ze sobą nic wspólnego rezultatów przejściowych procesów ogólnokosmicznych zachodzą dokładnie takie same, jak to się mówi, „wzajemne oddziaływania, które wynikają z siebie nawzajem i składają się na jedno wspólne funkcjonowanie”, a po drugie, że z punktu widzenia ewolucyjnych i inwo-

lucyjnych właściwości prawa Heptaparaparszynoch działanie każdego ze stadiów pośrednich w ogólnym funkcjonowaniu jednego z tych rezultatów wpływa na działanie poszczególnych stadiów pośrednich w ogólnym funkcjonowaniu drugiego dokładnie tak samo, jak to się dzieje w obrębie jego własnego funkcjonowania, i co więcej, że te przejściowe rezultaty kosmiczne są – pod względem specyficznych właściwości wibracji, które się na nie składają – ściśle spokrewnione.

Taka pełna zgodność wzajemnych relacji wewnętrznych tych trzech z zewnątrz zupełnie sobie obcych rezultatów przejściowych została dowiedziona w następujący sposób:

Kiedy na przykład określony barwny promień padał na dowolny pierwiastek aktywny opium, przekształcał go w inny pierwiastek aktywny, którego nowo nabyte wibracje odpowiadały wibracjom tego barwnego promienia.

Taki sam rezultat osiągnano, jeśli w miejsce barwnych promieni wysyłano w kierunku tego elementu aktywnego odpowiednie wibracje dźwiękowe strun dzendwocha.

Co więcej, jeśli dowolny barwny promień przepuszczano przez element aktywny opium, to po przejściu przez niego ów promień miał już inny kolor, mianowicie taki, którego wibracje odpowiadały wibracjom tego elementu aktywnego; albo jeśli jakiś barwny promień przebiegał przez „falę wibracji dźwiękowych” rozchodzącą się z odpowiedniej struny dzendwocha, to przechodząc przez tę falę, przybierał inny kolor, odpowiadający wibracjom wytwarzanym przez daną strunę.

I na koniec, jeżeli określony barwny promień i określone wibracje dźwiękowe kierowane były równocześnie na dowolny element aktywny opium – wybrany spośród tych składników tego produktu półomedecytrycznego, które mają mniejszą liczbę wibracji niż suma wibracji danego barwnego promienia i wspomnianego dźwięku – to przeobrażał się on w inny element aktywny opium charakteryzujący się liczbą wibracji ściśle odpowiadającą sumie tych dwóch, wywołanych w różny sposób wibracji itd., itp.



Ów niezrównany aparat doświadczalny demonstrował również, że wszystkie wyższe vibracje danego rezultatu zawsze wytyczały kierunek każdej z niższych wibracji innych „przejsiowych rezultatów kosmicznych”.

Po tym wszystkim, czego się przed chwilą dowiedziałeś, mogę teraz, mój chłopcze, przystąpić do przekazywania ci informacji, dzięki którym będą się mogły skryształizować w twoim myśleniu dane potrzebne do wyobrażenia sobie z jednej strony ogólnej formy, jaką przyjęły wtedy w Chinach rezultaty wytrwałych, bezstronnych i świadomych trudów tych świętych bliźniaków, wielkich ziemskich uczonych, a z drugiej strony stopnia degradacji rozumu istnieniowego i obecności owych nieszczęsnych ziemskich istot trójmózgowych.

A więc kiedy dzięki wspomnianym braciom bliźniakom, wielkim ziemskim uczonym, po raz drugi w trakcie moich obserwacji egzystencji przypadłych ci do gustu istot trójmózgowych powstała w tych całkiem jeszcze młodych Chinach samodzielna gałąź prawdziwej nauki – to znaczy „całokształt informacji dotyczących specjalnej kwestii w pełni uświadomionej sobie przez udoskonalony rozum trójmózgowych istot minionych epok”, a w danym wypadku odnoszących się do podstawowego kosmicznego prawa świętego Heptaparaparszynoch zwanego wówczas „Prawem Dziewięciokrotności” – wtedy nie dość, że przez pierwsze dwa albo trzy wieki po świętym Raskuarno wielkich braci bliźniaków ta gałąź nauki była przekazywana z pokolenia na pokolenie prawie normalnie i w niezmienionej formie, to jeszcze dzięki ich następcom, innym prawdziwym uczonym istotom tamtego okresu, stopniowo, jak to się mówi, „uszczegółowiła się” i stała przystępna nawet dla zwykłych istot.

Było to możliwe przede wszystkim dlatego, że wciąż zachował się wśród nich zwyczaj ustalony przez uczone istoty kontynentu Atlantyda, a polegający na przekazywaniu tego rodzaju informacji istotom kolejnych wyłącznie za pośrednictwem autentycznych wtajemniczonych.

W tym miejscu, mój chłopcze, nie mogę nie wspomnieć i nie

stwierdzić z przekonaniem, że faktycznie, gdyby ten długowieczny zwyczaj zachował się przynajmniej automatycznie w procesie egzystencji tych nieszczęsnych przypadłych ci do gustu trójmózgowych istot, to w takim wypadku ów całokształt prawdziwych informacji, które w pełni uświadomił sobie rozum ich jeszcze „względnie normalnych” przodków, mógłby ocaleć i też stać się własnością twoich współczesnych ulubieńców, a wtedy ci spośród nich, którzy wciąż jeszcze robią, co w ich mocy, żeby nie stać się całkowitymi ofiarami następstw tego przekłętego dla nich organu kundabufor, mieliby szansę te informacje wykorzystać do złagodzenia swojej już nieomal przewyższającej ich siły „walki wewnętrznej”.

Ku rozżaleniu wszystkich względnie samodzielnych i w miarę świadomych Indywiduów naszego Wielkiego Megalokosmosu, a także na nieszczęście wszystkich przyszłych istot trójmózgowych powstających na tej twojej pechowej planecie, po dwu albo trzech ichnich stuleciach to dobrodziejstwo, które ich wielcy przodkowie stworzyli dla nich dzięki swym świadomym trudom i zamierzonym cierpieniom, stopniowo zaczęto tam wypaczać, aż w końcu prawie całkowicie zniszczono.

A doszło do tego z dwóch powodów.

Pierwszy z nich był taki, że jak zwykle na skutek ustalonych przez nie same nienormalnych warunków zewnętrznej egzystencji istnieniowej niektóre z nich, stawszy się istotami odpowiedzialnymi, rozwinęły w sobie tę szczególną „psychoorganiczną potrzebę”, którą w ich języku można określić następująco:

„Nieprzeparate pragnienie, by podobne do nich istoty z ich otoczenia nadały im miano uczonych”.

I taka psychoorganiczną potrzeba zaczęła rodzić w nich tę dziwną przynależną im właściwość, o której już wielokrotnie mówiłem, a którą one same nazywają „szczwanym mądrzeniem się”.

Przy okazji, mój chłopcze, zapamiętaj raz na zawsze, że gdy używam określenia „uczeni nowej formacji” mam na myśli właśnie tych z twoich ulubieńców, którzy wykazują tę specyficzną wła-

ściwość.

Drugi powód wiązał się z pewnymi niezależnymi od nich zewnętrznymi okolicznościami, które w tamtym okresie były wynikiem procesów ogólnokosmicznych, przede wszystkim zaś działania prawa Soliunensius, i pod których wpływem zaczęły słabnąć w zbiorczej obecności tamtejszych autentycznych wtajemniczonych dane istnieniowe skryształizowane w nich w celu wzbudzania impulsów „intuicji” oraz „przewidywania” skutkiem czego zaczęli oni traktować te opisane przeze mnie przed chwilą typy „nowej formacji” jak „swoich” i wtajemniczać je w pewien, do tej pory tylko im znany ogół prawdziwych informacji, co z kolei spowodowało, że od tamtego czasu także ta gałąź prawdziwej wiedzy – która stała się tam już własnością większości – stopniowo zaczęła się samoczynnie wypaczać, aż w końcu poszła znowu w prawie całkowitą niepamięć.

Mówiąc: „aż w końcu poszła znowu w prawie całkowitą niepamięć” użyłem słowa „prawie” ponieważ kiedy wspomniany okres dobiegł końca i proces ich egzystencji istnieniowej toczył się znowu względnie normalnie, niektóre urywki całokształtu tych obiektywnie ważnych i prawdziwych informacji na nowo zaczęły być przekazywane kolejnym pokoleniom wyłącznie przez autentycznych wtajemniczonych i przechodząc z pokolenia na pokolenie, dotarły nawet niezmienione do pewnej – co prawda bardzo ograniczonej – liczby twoich współczesnych ulubieńców.

Po całej tej prawdziwej wiedzy, uświadomionej sobie przez ich odległych wielkich przodków, większość z nich otrzymała w spadku tylko kilka automatycznie przekazanych im nieistotnych elementów praktycznych, które we wspomnianym okresie zamętu szeroko się rozpowszechniły wśród przeważającej liczby zwykłych istot tych wtedy jeszcze całkiem młodych Chin.

Do owych błahych i wyrywkowych informacji, które automatycznie dotarły do większości twoich współczesnych ulubieńców, można zaliczyć, po pierwsze, kilka metod wydzielenia z produktu połornedecznego zwanego „opium” pewnych jego samodzielnych elementów aktywnych, po drugie, „prawo łączenia

kolorów”, a po trzecie, „siedmiotonową skalę dźwięków”.

Jeśli chodzi o pierwszą z tych fragmentarycznych informacji dotyczących praktycznych rezultatów, jakie osiągnął rozum trój-mózgowych istot starożytnych Chin, to muszę ci powiedzieć, że pewne części składowe tego całościowego produktu, który nazywany jest tam „opium” – z powodu ich szczególnych własności wywierania przyjemnego wpływu na nienormalną zbiorczą psychikę twoich ulubieńców – zaczęły być od tamtej pory nieustannie przez nich używane i dlatego wiedzę o różnych sposobach uzyskiwania niektórych jego samodzielnych elementów aktywnych przekazywano z pokolenia na pokolenie, aż dotarła do twoich współczesnych ulubieńców.

Jeszcze dzisiaj uzyskują oni wiele takich jego specyficznych części i z wielkim zapałem używają ich do zaspokojenia zawsze tych samych, skryzalizowanych w nich następstw właściwości organu kundabufor.

Oczywiście takie elementy, które zostały wyodrębnione z ogólnego składu owego produktu połormedecyjskiego, twoi współcześni ulubieńcy nazywają już zupełnie inaczej.

Pewien współczesny „śmiechu warty uczony chemik” niejaki Mendelejew, zebrał nawet nazwy wszystkich uzyskiwanych obecnie elementów aktywnych i jakoby sklasyfikował je według ich „ciężaru atomowego”.

Chociaż jego klasyfikacja zupełnie nie odpowiada rzeczywistości, to w oparciu o te jego „ciężary atomowe” możemy jednak w przybliżeniu odtworzyć klasyfikację sporządzoną przez owych wielkich ziemskich uczonych z przyszlých Chin.

Z liczby około czterystu elementów aktywnych opium, które stały się wtedy znane tym wielkim braciom, współcześni „chemicy Ziemi” potrafią uzyskać tylko czterdzieści dwa elementy aktywne noszące tam teraz następujące nazwy:

1. Morfina
2. Protopina

3. Lantopina
4. Porfiroksyna
5. Opium lub narkotyna
6. Paramorfina lub tebaina
7. Formina lub pseudomorfina
8. Metamorfina
9. Gnoskopina
10. Oleopina
11. Atropina
12. Pirydyna
13. Readyna
14. Tiktutyna
15. Kolotyna
16. Ksantalina
17. Zutyna
18. Tritopina
19. Laudanina
20. Laudanozyna
21. Podotoryna
22. Archatozyna
23. Tokitozyna
24. Liktonozyna
25. Mekonidyna
26. Papaweryna
27. Kryptopina
28. Kodamina
29. Kolomonina

30. Koilononina
31. Kotarnina
32. Hydrokotarnina
33. Opianina lub mekonina
34. Mekonizyna
35. Listotoryna
36. Fichtonozyna
37. Kodeina
38. Narceina
39. Pseudokodeina
40. Mikroparaina
41. Mikrotebaina
42. Messaina

W czasie mojego ostatniego pobytu na twojej planecie dowiedziałem się, że współczesne uczone istoty społeczeństwa Niemiec odkryły ponoć metody uzyskiwania z opium jeszcze kilku innych samodzielnych elementów aktywnych.

Ponieważ jednak poprzednio mogłem się przekonać, że współcześni „uczni” tego społeczeństwa w większości tylko fantazjują i, podobnie jak istoty starożytnej Grecji, nie przygotowują niczego dobrego ani pożytecznego dla przyszłych pokoleń, nie przejawiałem zainteresowania tymi, jak oni je zważy, „osiągnięciami naukowymi” i nie znam nazw tych nowych dzisiejszych elementów aktywnych.

Jeśli chodzi o drugą fragmentaryczną informację, która dotarła do współczesnych istot i wiązała się z praktycznymi rezultatami, jakie osiągnął rozum istot starożytnych Chin, a mianowicie o wiedzę dotyczącą „prawa łączenia kolorów”, to mimo że była ona niemal bez przerwy przekazywana z pokolenia na pokolenie, z każdym rokiem przybierała jednak coraz bardziej wypaczoną formę, aż w końcu niespełna dwieście lat temu poszła w całkowity-

te zapomnienie.

Obecnie pewne informacje dotyczące tego prawa są nadal przekazywane i przyswajane jedynie przez niektóre tamtejsze istoty trójmózgowe należące do społeczeństwa zwanego „Persją”, ale odkąd również w tej grupie zaczął się automatycznie szerzyć wpływ sławetnego „współczesnego malarstwa europejskiego” należy się oczywiście spodziewać, że także tam te informacje, jak mówi nasz czcigodny nauczyciel, „szybko i całkowicie wyparują”.

Co się zaś tyczy „siedmiotonowej skali dźwięków”, która dotarła do nich od istot starożytnych Chin, to muszę cię poinformować o niej jak najdokładniej, po pierwsze dlatego, że lepiej zrozumiesz wtedy prawa wibracji pozwalające bardzo wyraźnie wychwycić i poznać wszystkie właściwości świętego Heptaparaparaszynoch, a po drugie dlatego, że wraz z innymi przedmiotami, wykonanymi celowo przez te przypadłe ci do gustu trójmózgowe istoty na codzienny użytek w ich zwykłej egzystencji, zabrałem stamtąd do siebie także jeden „instrument dźwiękotwórczy”, nazywany tam „fortepianem”, w którym „struny” wytwarzające wibracje są rozmieszczone i mogą być nastrojone dokładnie tak samo jak struny dzendwocha – to znaczy drugiej podstawowej części słynnego aparatu doświadczalnego alla-atapan skonstruowanego przez wielkich braci bliźniaków – i na którym, kiedy wrócimy na nasz drogi Karataz, zademonstruję ci bezpośrednio „kolejność procesu wzajemnej fuzji wibracji”, a ty, dzięki takim praktycznym wyjaśnieniom, będziesz mógł wtedy jeszcze łatwiej sobie wyobrazić i w przybliżeniu pojąć, w jaki sposób i w jakiej kolejności zachodzi w naszym Wielkim Megalokosmosie proces przeogromnego Trogoautoegokrata, a także jak powstają duże oraz małe skupienia kosmiczne.

W trakcie mojej opowieści o tym, jak to się stało, że ów fragment „praktycznych rezultatów” starożytnej prawdziwej wiedzy ocalał i automatycznie dotarł do twoich współczesnych ulubieńców, będę chciał ci przede wszystkim dokładniej wyjaśnić to określone prawo wibracji, które wielcy bracia po raz pierwszy sformułowali następująco: „siedmiośrodkościowość wi-

bracji dźwięku”.

Mówiłem ci już, że na początku, kiedy ten całokształt prawdziwych informacji lub ów fragment autentycznej wiedzy był przekazywany z pokolenia na pokolenie wyłącznie przez tamtejszych autentycznych wtajemniczonych, wtedy nie tylko ściśle znaczenie, które było w nim zawarte, pozostawało w stanie nietkniętym, lecz także, dzięki innym prawdziwym uczonym należącym do grona ich kontynuatorów w następnych pokoleniach, informacje te zaczęto „uszczegóławiać”, aż stały się przystępne nawet dla zwykłych ówczesnych ziemskich istot trój mózgowych.

Półtora wieku po świętym Raskuarno świętych braci pojawił się wśród tych kontynuatorów pewien autentyczny uczony imieniem King-Tu-Toz, który na podstawie zasad konstrukcji środkowej części aparatu alla-atapan zwanej „dzendwoch” stworzył bardzo dokładną teorię o nazwie „ewolucja i inwolucja wibracji”, a następnie, żeby ją potwierdzić, zbudował specjalny aparat oglądowy, nazwany przez niego „law-merc-noch”, później, nawiasem mówiąc, cieszący się rozgłosem wśród prawie wszystkich uczonych naszego Wielkiego Megalokosmosu.

Rzeczony aparat law-merc-noch, podobnie jak środkowa część alla-atapanu, składał się z bardzo mocnej ramy, na którą naciągnięto liczne struny zrobione z jelit i włosia ogonów różnych tamtejszych czworonożnych istot.

Jeden koniec każdej struny przymocowany był do brzegu ramy, a drugi do kołków umieszczonych na przeciwległym brzegu.

Te kołki dopasowano w taki sposób, że obracały się swobodnie w swoich „gniazdkach” dzięki czemu przymocowane do nich struny mogły być dowolnie naciągane lub poluzowywane po to, by uzyskać wymaganą liczbę wibracji.

Spośród tych licznych strun naciągniętych na law-merc-noch czterdzieści dziewięć było pomalowanych na biało, przy czym całokształt wibracji otrzymany z drgań każdej z nich – czyli określony dźwięk – nazwano „środkiem ciężkości oktawy” i ten określony dźwięk odpowiadał temu, co twoi ulubieńcy nazywają obec-



nie „całym tonem”.

Każda grupa siedmiu strun tworzących te „środkociężkościowe dźwięki”, czyli całe tony, nazywała się wtedy i do dzisiaj nazywa „oktawą”.

W ten sposób na aparat law-merc-noch naciągniętych było siedem oktaw całych tonów, których współbrzmienie dawało razem tak zwane Święte Chalcjano, czyli właśnie to, co przeczuwali dwaj wielcy bracia i co niemal dokładnie pokrywało się z tym, co nazywali, jak ci już powiedziałem, „światowym dźwiękiem niriuńskim”.

Każda taka oktawa strun law-merc-nocha dawała sumę wibracji odpowiadającą – zgodnie z obliczeniami wielkich braci bliźniaków – sumie wibracji wszystkich tych substancji kosmicznych, które same powstały z siedmiu oddzielnych niezależnych źródeł, tworzą jeden z siedmiu środków ciężkości „podstawowej ogólnokosmicznej oktawy ansapalnej”.

Ów chiński uczony King-Tu-Toz w taki sposób oddzielnie nastroił każdą białą strunę law-merc-nocha, że dawała tę przeciętną liczbę wibracji, jaka – zgodnie z obliczeniami wielkich braci – powinna występować także w owych substancjach, które stanowią jeden z siedmiu środków ciężkości danego całokształtu substancji, będącego z kolei jednym z siedmiu środków ciężkości podstawowej kosmicznej oktawy substancji.

Na law-merc-nochu wszystkie oktawy i każdy cały ton danej oktawy miały swoje własne nazwy.

A mianowicie najwyższa oktawa strun nazywała się „Araczyjapłmysz”,

druga od góry – „Erkrordiapan”,

trzecia – „Erordiapan”,

czwarta – „Czorordiapan”,

piąta – „Piandżapan”,

szósta – „Wecerordiapan”,

siódma – „Ochterordiapan”.

Jeśli zaś chodzi o „środkociężkościowe struny”, które były pomalowane na biało, to we wszystkich oktavach nosiły takie same nazwy, uzupełnione o nazwę danej oktawy.

A konkretnie te całe tony nazywały się:

pierwszy od góry – „Adasztanas”

drugi – „Ewotanas”,

trzeci – „Goworktanas”,

czwarty – „Majkitanas”,

piąty – „Midotanas”,

szósty – „Lukotanas”,

siódmy – „Sonitanas”.

Natomiast współczesne ziemskie istoty te same całe tony nazywają teraz: „do”, „si”, „la”, „sol”, „fa”, „mi”, „re”.

Nawiasem mówiąc, mój chłopcze, aby wielkość tych dwóch świętych braci stała się dla ciebie jeszcze bardziej oczywista, zwracam ci uwagę na fakt, że wykonane przez nich obliczenia określające jakość „życiodajności wibracji” dźwięku – która zgodnie z ich przewidywaniami odpowiadała życiodajności kosmicznych źródeł substancji – okazały się prawie całkowicie zgodne z rzeczywistością.

Ich zasługa była tym większa, że będąc ziemskimi istotami, nie mieli na ten temat żadnych prawdziwych informacji i tylko dzięki własnym świadomym trudom i zamierzonym cierpieniom zdołali wysnuć słuszne przypuszczenia, jak również nieomal dokładnie obliczyć wiele obiektywnych kosmicznych praw.

Następnie na ów law-merc-noch, między białymi strunami odpowiadającymi całym tonom, uczoney King-Tu-Toz naciągnął w pewnych miejscach każdej oktawy pięć kolejnych strun, pomalowanych tym razem na czarno.

Te czarne struny nazwał „demisachsachsa”, co w terminologii współczesnych ziemskich istot odpowiada ichnim „półtonom”

z tym że żadna z tych „strun półtonowych” nie była naciągnięta na law-merc-noch w przestrzeniach rozdzielających te „struny całotonowe”, pomiędzy którymi – według wskazówek świętych Czun-Kil-Teza i Czun-Tro-Peła, a także zgodnie ze świętym Hep-taparaparszynoch – nie istnieje możliwość samodzielnej ani ewolucji, ani inwolucji wibracji dźwięku, czyli tam, gdzie występowały, jak oni je pierwotnie nazwali, „interwały”. Natomiast w tych miejscach oktawy, gdzie te „interwały” powinny się znajdować, uczone King-Tu-Toz rozpiął między całymi tonami specjalne struny, zrobione z włosa pochodzącego z ogonów istot zwanych tam „końmi”.

Te włosiane struny nie zawsze dawały takie same wibracje i King-Tu-Toz nazwał owe wibracje „chaotycznymi”.

Liczba wibracji wytwarzanych przez te włosiane struny nie zależała – jak w wypadku pozostałych strun – od ich naciągnięcia, lecz od innych przyczyn, a przede wszystkim trzech czynników wynikających z otaczających rezultatów kosmicznych, to znaczy oddziaływania rozprzestrzeniających się wokół nich wibracji wytwarzanych przez inne struny law-merc-nocha, poziomu, jak to się mówi, „temperatury atmosfery” w danej chwili, a także promieniowań istot znajdujących się w pobliżu, bez względu na ich układ mózgow.

Oprócz tego na ten law-merc-noch między białymi, czarnymi i włosianymi strunami naciągnięto w każdej oktawie również czternaście strun ze skreconych jelit, które były pomalowane na czerwono i nazywały się „kisukesczur”, a które współczesne ziemskie istoty, gdyby miały ich użyć, nazwałyby „ćwierćtonowymi”.

Przy czym wszystkie „struny ćwierćtonowe” – naciągnięte po obu stronach włosianych strun – zostały tak przystosowane, że napinając je lub poluzowując, można było w każdej chwili regulować wytwarzane przez nie wibracje i łączyć je „na słuch” ze zmiennymi wibracjami wytwarzanymi przez struny włosiane.

A zrobiono to w ten sposób, ponieważ częste zmiany wibracji strun włosianych – których jakoś, jak ci już mówiłem, zależała

od temperatury atmosfery, promieniowań istot znajdujących się w pobliżu i jeszcze wielu innych czynników – nadawały wibracjom tych czerwonych strun taką właściwość, że kiedy te ostatnie nie łączyły się z wibracjami strun włosianych, działały wtedy bardzo „kakofonicznie-szkodliwie” na wszystkie obecne istoty i mogły wręcz doprowadzić do ich całkowitego unicestwienia.

Jednakże zmieniając często napięcie czerwonych strun i łącząc ich wibracje z pozostałymi wibracjami rozchodzącymi się z law-merc-nocha, udawało się je unieszkodliwić, to znaczy ogół wibracji wydostających się z law-merc-nocha stawał się dla odbierających je istot „potokiem harmonii” i przestawał na nie szkodliwie oddziaływać.

Tak więc, mój chłopcze, zarówno aparat law-merc-noch, jak i szczegółowa teoria tego sumiennego starożytnego uczonego King-Tu-Toza podzieliły los niezrównanego aparatu alla-atapan, a także ogół prawdziwych informacji, które uświadomili sobie wielcy bracia.

Z powodu ciągłego – i to coraz liczniejszego – pojawiania się wśród twoich ulubieńców tych wspomnianych przeze mnie uczonych nowego typu, których cechuje „szczone mądrzenie się” informacje te zaczęto przeinaczać i ich prawdziwy sens oraz znaczenie stopniowo poszły w niepamięć.

Co się zaś tyczy faktu, że podstawowa zasada ułożenia strun w aparacie law-merc-noch i w środkowej części alla-atapanu, czyli dzendwochu, automatycznie dotarła do twoich współczesnych ulubieńców, to stało się tak z następujących powodów:

Kiedy apogeum wspomnianego „okresu zamętu” już minęło i niektóre ocalałe fragmenty wszystkich tych wielkich osiągnięć – będących zasługą rozumu jeszcze „względnie normalnych” istot trójmózgowych twojej planety – zaczęły znowu być przekazywane następnym pokoleniom w taki sposób, jaki ugruntował się uprzednio w procesie ich zwykłej egzystencji, to znaczy tylko za pośrednictwem istot, które już zasłużyły sobie na stanie się prawdziwymi wtajemniczonymi i otrzymanie należytej wiedzy, i kiedy zarazem z każdym rokiem pośród tych ostatnich kształtowało

się coraz więcej odpowiedzialnych istot ze wspomnianą przynależną im cechą, otóż akurat wtedy w tych samych Chinach pojawiła się trójmózgowa istota imieniem Czaj-Ju, która po osiągnięciu wieku odpowiedzialnego również została uczonym „nowej formacji”, i to właśnie ów Czaj-Ju sprawił, że znajomość „siedmionowej skali dźwięków” oraz jej praktyczne zastosowanie stały się ogólnodostępne i zaczęły być automatycznie przekazywane z pokolenia na pokolenie, docierając aż do twoich współczesnych ulubieńców.

We wczesnych latach swej odpowiedzialnej egzystencji Czaj-Ju – dzięki pewnym właściwym subiektywnym zasługom – został kandydatem na „wtajemniczonego pierwszego stopnia” wskutek czego, sam o tym nie wiedząc, on także zgodnie z panującym tam od dawna zwyczajem otrzymał od niektórych tamtejszych prawdziwych wtajemniczonych pomoc w zdobywaniu wszelkich informacji o różnych autentycznych wydarzeniach, które rozegrały się w przeszłości na ich planecie.

Jak wykazały później moje szczegółowe badania, okazał się między innymi godzien poznania wszystkich szczegółów budowy wielkiego aparatu law-merc-noch.

I właśnie wtedy, tylko po to, by podobne do niego istoty z jego otoczenia uznały go za „uczonego” ów Czaj-Ju, który był tam jednym z pierwszych, by tak rzec, „idealnie ukształtowanych uczonych nowej formacji”, czyli istotą z „nieodłączną i w pełni rozwiniętą właściwością mądrzenia się” nie tylko „wymądrzył” na podstawie otrzymanych we wspomniany sposób informacji o detalach wielkiego aparatu law-merc-noch własną nową teorię – teorię, która w kwestii praw wibracji ani niczego nie potwierdzała, ani niczemu nie zaprzeczała – lecz również skonstruował nowy uproszczony instrument dźwiękotwórczy o nazwie „king”.

To jego uproszczenie polegało na tym, że w ogóle nie biorąc pod uwagę czerwonych i włosianych strun naciągniętych na law-merc-noch, podstawą swego instrumentu dźwiękotwórczego uczynił tylko struny białe i czarne, i co więcej, zachował jedynie liczbę strun odpowiadającą dwóm oktawom, rozmieszczając je

tak, że znajdująca się w środku pełna oktawa mogła w swoim dalszym ewolucyjnym i involucyjnym przebiegu dysponować połową następną, wyższą oktawy i połową poprzednią, niższą oktawy.

Wprawdzie teoria, którą „wymądrzył” Czaj-Ju, również nie przetrwała długo, ale za to skonstruowany przez niego instrument dźwiękotwórczy „king” dzięki swej prostocie stał się dostępny dla wszystkich, a ponieważ rezultaty, jakie udawało im się osiągnąć za jego pomocą przy celowym użyciu, okazały się bardzo dobre i nadawały się znakomicie do „łechtania” rozmaitych danych skryzalizowanych już w ich zbiorczych obecnościach wskutek następstw właściwości organu kundabufor, zaczął być automatycznie przekazywany z pokolenia na pokolenie.

Chociaż zewnętrzna forma tego instrumentu, budowa jego trzonu, naprężenie strun, a nawet same ich nazwy były wielokrotnie zmieniane przez istoty następnych pokoleń, aż w końcu przekształciły się u twoich współczesnych ulubieńców w takie ciężkie instrumenty dźwiękotwórcze – skomplikowane do granic idiotyzmu i nieproporcjonalne do ichniej siły fizycznej, zwyrodniałej już do poziomu dziecka – jak „klawicymbał”, „kławikord”, „organy”, „fortepian”, „piano”, „fisharmonia” itp., niemniej podstawowa zasada „przeplatania środkociężkościowych dźwięków” pozostała do dzisiaj dokładnie taka sama, jaką zastosowali święci bracia Czun-Kil-Tez i Czun-Tro-Peł na dzendwochu, to znaczy środkowej samodzielnej części tego skonstruowanego przez nich niezrównanego aparatu badawczego alla-atapan.

Oto dlaczego, mój chłopcze, ów, jak się tam teraz mówi, „chiński podział oktawy dźwięku na siedem tonów” – uproszczony przez wspomnianego Czaj-Ju i znany twoim współczesnym ulubieńcom, którzy stosują go we wszystkich wymienionych przeze mnie instrumentach dźwiękotwórczych – może dalej, jak już powiedziałem, służyć po części do przeprowadzenia „bezpośrednich studiów konfrontatywnych” i do orientacyjnego zapoznania się z tym, w jaki sposób w procesie przeogromnego Trogoautoego-krata, na skutek „wyływania z siebie nawzajem wibracji” po-

wstają substancje kosmiczne o różnej gęstości i życiodajności, a także jak te substancje potem się łączą i rozdzielają, aby tworzyć duże i małe względnie samodzielne skupienia, urzeczywistniając przez to ogólnokosmiczny Iraniranumanż.

Zresztą wkrótce sam się o tym naocznie przekonasz, kiedy po powrocie na nasz drogi Karataz, jak już obiecałem, zademonstruję ci zasadę i wyjaśnię w praktyce znaczenie strojenia „fortepianu” to znaczy tego współczesnego instrumentu dźwiękotwórczego, który przywiozłem z powierzchni twojej planety razem z innymi przedmiotami, aby za jego pomocą w wolnych chwilach móc doświadczalnie wyjaśnić u siebie w domu – bo nie zdążyłem zrobić tego tam, na miejscu – jedną właściwość związaną z dziwną psychiką tych przypadłych ci do gustu trójmózgowych istot, jak również z wytwarzanymi wokół nich wibracjami o różnym stopniu życiodajności.

A jeśli teraz jeszcze dodam, co takiego skonstatowałem w odniesieniu do dziwnej psychiki twoich ulubieńców podczas mojego ostatniego pobytu wśród nich – mianowicie, że współczesne istoty trójmózgowe twojej planety, chociaż z tego „chińskiego podziału oktawy dźwięku na siedem tonów” uczyniły podstawę wszystkich swoich instrumentów dźwiękotwórczych i niemal codziennie postrzegają jego rezultaty, to nie dość, że nie budzi to w nich, jak obiektywnie dziać się powinno, żadnego entuzjazmu, lecz wręcz przeciwnie, z powodu oddziaływania tego rodzaju współbrzmień one celowo, bez jakichkolwiek wyrzutów sumienia, a nawet z impulsem zadowolenia podtrzymują w sobie przepływ tych skojarzeń wszystkich ich uduchowionych części, które powstają w ich zbiorczej obecności pod wpływem takich czy innych danych skryzalizowanych w nich wskutek następstw właściwości owego przekłętego dla nich organu kundabufor – to jest pewien, że po takiej praktycznej demonstracji na fortepianie nie tylko będziesz mógł wyobrazić sobie w przybliżeniu wszystkie, jak to się mówi, „powstające jedna z drugiej i harmonijnie łączące się wibracje środkociężkościowe”, ale też ponownie z impulsem zdumienia uprzytomnisz sobie, w jakim stopniu

w zbiorczych obecnościach twoich ulubieńców osłabła esencja działania tych istnieniowych danych, które generalnie powinny krystalizować się w obecnościach wszystkich trójmózgowych istot i których całokształt określany jest mianem „wrażliwość instynktu”.

Tak więc, mój chłopcze, na skutek z jednej strony ciągłego pogarszania się w zbiorczych obecnościach twoich ulubieńców jakości funkcjonowania danych, które skryształizowały się w nich gwoli zdrowego myślenia istnieniowego, a z drugiej nieustannie wzrastającej liczby istot ukształtowanych w odpowiedzialne istoty nowego typu, to znaczy w „uczonych nowej formacji” z tego prawie niespotykanego we Wszechświecie wśród zwykłych istot trójmózgowych „ogółu szczegółowych informacji”, które rozum istot do nich podobnych już kiedyś sobie w pełni uświadomił – to znaczy z tego całokształtu prawdziwych informacji wykorzystywanego dziś dla dobra zwykłych istot trójmózgowych na wszystkich planetach naszego Wielkiego Megalokosmosu, jedynie z wyjątkiem istot planety, na której ów ogół informacji powstał – ostatecznie, z powodu stopniowo zachodzących zmian, do współczesnych istot trójmózgowych tej nieszczęsnej planety dotarło tylko to, co nasz zawsze czcigodny Mułła Nasr Eddin określa następującymi słowami:

„Chwała Ci, Stwórco, za to, że nie uczyniłeś wilczych kłów na podobieństwo rogów mojego drogiego bawołu, bo dzięki temu mogę teraz zrobić kilka znakomitych grzebieni dla mojej ukochanej żony”.

A co się tyczy samego „chińskiego podziału oktawy na siedem tonów” to chociaż dotarł on do twoich współczesnych ulubieńców i, jak już powiedziałem, znalazł szerokie zastosowanie w procesie ich zwykłej egzystencji, mimo to oni nawet nie podejrzewają, że taki poddział został specjalnie stworzony i zbudowany w oparciu o te niezbywalne zasady, które są podstawą wszystkiego, co istnieje w całym naszym Wielkim Megalokosmosie.

Jeśli pominąć nieznaczącą liczbę trójmózgowych istot z pewnych małych zbiorowości mających siedlisko na kontynencie



Azja – istot, które instynktownie wyczuły ukryte znaczenie tego chińskiego podziału całego dźwięku na siedem określonych środków ciężkości i ograniczyły jego praktyczne zastosowanie wyłącznie do takich przejawów istnieniowych, jakie uważają za święte – to śmiało można powiedzieć, że w ciągu ostatnich stuleci w obecnościach prawie wszystkich trójmózgowych istot twojej planety zupełnie przestały się krystalizować dane pozwalające uprzytomnić sobie całą zawartą w tym podziale wzniosłość idei oraz jego znaczenie. Współczesne istoty trójmózgowe mające siedlisko na tymże kontynencie Azja, jak również na wszystkich innych stałych lądach powierzchni twojej planety, straciwszy już wszelką instynktowną wrażliwość, używają go teraz wyłącznie do zaspokojenia swoich niskich, niegodnych istot trójmózgowych potrzeb.

Najbardziej interesujące w całej tej opowiedzianej ci właśnie historii o uświadamianiu sobie świętego prawa Heptaparaparszy-noch przez trójmózgowe istoty, które mają siedlisko na twojej planecie, jest to, co odnosi się przede wszystkim do istot współczesnych, a mianowicie, że mimo ogromnej liczby najróżniejszych „całokształtów specjalnych informacji” lub, jak one same mówią, „odrębnych gałęzi wiedzy naukowej”, które ostatnio znów pojawiły się wśród nich i są, że tak powiem, wkuwane przez nie na pamięć, „prawo wibracji” – reprezentujące przecież gałąź najważniejszą, pozwalającą poznać choćby w przybliżeniu rzeczywistość – nie jest im w ogóle znane, oczywiście jeśli nie brać pod uwagę tej powstałej stosunkowo niedawno sławetnej „teorii dźwięku”, którą z taką „powagą” studiują i jakoby „znają” ich współcześni „uczni fizycy” i „uczni muzycy”.

Żebyś miał „jaskrawy obraz” esencji twoich współczesnych ulubieńców i jednocześnie poznał przyczyny różnych nieporozumień, które powstały w obrębie tej gałęzi wiedzy i wśród niektórych z nich bardzo się rozpowszechniły – nieporozumień niezwykle charakterystycznych i ogólnie mogących ci dostarczyć doskonałego materiału do tego, byś mógł wyobrazić sobie i ocenić znaczenie i obiektywną wartość wszystkich innych współczesnych

samodzielnych gałęzi ich tak zwanych nauk ścisłych – uważam za potrzebne wyjaśnić ci bardziej szczegółowo, cóż to za teorię „wibracji dźwięku” studiują i rzekomo znają ci współcześni ziemscy „uczni od siedmiu boleści”.

Ale zanim zacznę o tym mówić, moja esencja ponownie nakazuje całej mej zbiorczej obecności wyrazić szczerze ubolewanie z powodu losu wszystkich współczesnych ziemskich istot trójmózgowych, które, wypełniając z niespożytą energią swoje partkdołgpowinności istnieniowe, osiągają w końcu stopień rozumu niezbędnie wymagający tego, by ich obecność otrzymała także dane zawierające prawdziwe informacje o prawie wibracji.

Przez skojarzenie przypomniałem sobie o tym w tej chwili z impulsem żalu, ponieważ wielokrotnie w czasie mojego ostatniego pobytu wśród nich miałem okazję spotkać tam takie trójmózgowe istoty, które z powodu stanu ich, by tak rzec, „psychicznej doskonałości” odczuwały nieodzowną potrzebę otrzymania i przetworzenia w sobie prawdziwych wiadomości o prawie wibracji, a jednocześnie jasno zdawałem sobie sprawę, że nie miały skąd takich informacji zaczerpnąć.

Co prawda jest tam teraz dostępny tego rodzaju „całokształt informacji” lub, jak one same to określają, „teoria wibracji”, ale te nieszczęsne współczesne istoty, którym taka wiedza jest potrzebna, mimo wszystkich swych chęci i starań, oprócz różnych nieporozumień i sprzeczności nie mogą w tych informacjach znaleźć niczego w miarę przydatnego do swoich poszukiwań.

Otóż, mój chłopcze, przyczyną powstania tych ziemskich nieporozumień było to, że różne wyrywkowe informacje na temat „prawa wibracji” dotarły do istot współczesnych z dwóch niezależnych źródeł, to znaczy od starożytnych Chińczyków i od starożytnych Greków, których społeczeństwo, jak zapewne pamiętasz, zostało tam założone dawno temu pomiędzy kontynentem Azja i kontynentem Europa przez azjatyckich rybaków parających się podczas złej pogody wymyślaniem z nudów różnych „nauk”, w tym także także owej „nauki o wibracjach dźwięku”.

Później ta ichnia nauka, przechodząc z pokolenia na pokolenie,

trafiła do twoich współczesnych ulubieńców niemalże w tym samym czasie co nauka chińska.

Wszystkie dalsze nieporozumienia wzięły się stąd, że w przekazach, które dotarły do nich od starożytnych Chińczyków, dowiedzono, że „całkowita oktawa wibracji” ma siedem „restoriałów”, to znaczy, że oktawa składa się z siedmiu „środkociężkościowych dźwięków”, za to z greckich przekazów wynikało, że „całkowita oktawa wibracji” ma pięć „restoriałów” – czyli, że w skład oktawy wchodzi pięć środków ciężkości lub pięć całych tonów.

Tak więc tylko dlatego, że funkcjonowanie wszelkich danych, które w ciągu ostatnich stuleci skryształizowały się w obecnościach twoich ulubieńców na potrzeby „logicznego pojmowania istnieniowego”, zaczęło przebiegać, jak to się mówi, „na opak”, a także wskutek tego, że zgodnie z ich „kusym” logicznym myśleniem te dwie informacje, pochodzące z całkowicie różnych źródeł, wydały się im równie prawdopodobne, istoty współczesnej cywilizacji, gdy znowu zaczęły naprędce „smażyć jak placki” przeróżne samodzielne dziedziny ich sławetnej „nauki” popadły w stan „niezręcznego zakłopotania” i w ciągu kilku lat w żaden sposób nie mogły zdecydować, której z tych dwóch całkowicie sprzecznych informacji dać pierwszeństwo i ją zaaprobować, włączając do gałęzi ich „oficjalnej nauki”.

Po długim, jak one czasem mówią, „suszeniu śliny”, zdecydowały w końcu – aby nikogo nie urazić, a zarazem umieścić w swej nauce taką dyscyplinę – połączyć w całość te dwie niemające ze sobą nic wspólnego teorie, które dotarły do nich z czasów starożytnych.

A nieco później, kiedy jeden z nich, zwany Gajdoropulo, wymyślił bardzo długie „matematyczne” wyjaśnienie tego nieporozumienia, tłumacząc, dlaczego jedna teoria mówi o podziale oktawy na siedem „całych dźwięków”, a druga tylko na pięć, jak również skąd wzięła się tak poważna sprzeczność, te matematyczne wywody całkowicie uspokoiły wszystkich zainteresowanych przedstawicieli współczesnej cywilizacji, którzy obecnie już ze spokojnym sumieniem produkują wszelkie „wymądrzania” na temat

wibracji, przyjmując za podstawę „matematyczne wyjaśnienia” tego czynnego Gajdoropulo.

A te matematyczne wyjaśnienia opierały się na następujących wywodach:

Najpierw ten czynny Gajdoropulo obliczył w pewien – znany tylko sobie – sposób liczbę wibracji wszystkich siedmiu chińskich całych tonów, a potem wytłumaczył, że w chińskiej „oktawie siedmiotonowej” całe tony zwane „mi” i „si” nie są wcale całymi tonami, lecz tylko półtonami, a to dlatego, że ich liczba wibracji niemal pokrywa się z liczbą wibracji greckich półtonów, które zgodnie z podziałem greckiej oktawy znajdują się akurat między chińskimi całymi tonami „mi” i „fa” oraz między „si” i „do”.

Następnie postawił hipotezę, że Chińczykom najwyraźniej było wygodnie umieścić na tych półtonach również restoriały, czyli „środki ciężkości” głosu, i dlatego podzielili swoją oktawę nie na pięć całych tonów, jak Grecy, ale na siedem itd., itp.

Po tych wyjaśnieniach pana Gajdoropulo, jak ci już mówiłem, wszyscy inni współcześni naukowcy „nowej formacji” ostatecznie się uspokoili, opatrzywszy etykietką także tę nową gałąź ich „oficjalnej nauki”.

Od tamtej pory owa gałąź istnieje wśród nich pod nazwą „teoria praw wibracji” i, jak powiedziała by nasz mądry nauczyciel Muła Nasr Eddin, „przeżywa pełny rozkwit”.

W związku z tym przypomniałem sobie jeszcze jedno mądre sformułowanie naszego zawsze czcigodnego Muły Nasr Eddina, które samo mi się teraz ciśnie na usta, a które brzmi:

„Ech... wy, kurfurystańskie cudaki! Co to za różnica, czy do pracy w polu weźmiecie muła, czy zająca? Przecież każdy z nich ma cztery nogi?”

Z pewnością twoi współcześni ulubieńcy nie wiedzą ani nawet nie podejrzewają, że te ich dwa odrębne podziały oktawy na całe tony, które nazywają „chińskim” i „greckim”, powstały z dwóch całkowicie odmiennych przyczyn: pierwszy, czyli podział chiński, jest, jak już powiedziałem, rezultatem gruntownego poznania

prawa Heptaparaparszynoch przez wielkich braci bliźniaków, uczonych niemających sobie do tej pory równych na Ziemi, a drugi, czyli podział grecki, został zrobiony jedynie na podstawie tak zwanych restoriałów głosu, które występowały w głosach greckich istot w okresie, gdy tworzono tę „pięciotonową grecką oktawę”.

Tych restoriałów głosu lub, jak się je czasem określa, „łatwych dźwięków głosu”, wykształciło się i do dziś wykształca wśród twoich ulubieńców prawie tyle, ile jest tam różnych samodzielnych grup, na które się podzielili i wciąż dzielą; a wynika to z tego, że na ogół te łatwe dźwięki głosu formują się u istot wskutek wewnętrznych i zewnętrznych okoliczności, które są od nich niezależne, takich jak na przykład: warunki geograficzne, dziedziczne i religijne, a nawet „jakość pokarmu” oraz „jakość wzajemnych oddziaływań” itd., itp.

Oczywiście twoi współcześni ulubieńcy nie są w stanie zrozumieć, że ci sami starożytni Grecy mimo wszystkich swoich chęci i starań, to znaczy bez względu na to, „jak bardzo sumiennie podchodziliby do tej sprawy” w podziale oktawy dźwięku na określone tony mogli znaleźć ni mniej, ni więcej, tylko tych pięć całych tonów, a to dlatego, że całokształt wszystkich niezależnych od nich wewnętrznych i zewnętrznych warunków pozwalał im w trakcie wykonywania swoich śpiewów opierać się tylko na tych ichnich pięciu „restoriałach głosu”.

W głosach istot „restoriałami” lub „dźwiękami środkociężkościami” nazywane są takie tony, które te istoty podczas wytwarzania różnych dźwięków za pomocą odpowiednich organów wydają – zgodnie z ustalonymi właściwościami wynikającymi ze zbiorczego funkcjonowania ich obecności i będącymi rezultatem dziedzictwa lub nabytych zdolności – swobodnie, łatwo i przez długi czas, nie wywołując przy tym żadnego napięcia w jakimś innym swoim odrębnym funkcjonowaniu, to znaczy, mówiąc inaczej, restoriały uzyskuje się wtedy, gdy tempo rezultatu takiego ich przejawu harmonizuje się w pełni z każdym innym funkcjonowaniem ich zbiorczej obecności, którego własne tempo już

dobrze się w nich utrwaliło wskutek wewnętrznych i zewnętrznych warunków ich zwykłej egzystencji istnieniowej.

Z powodu zróżnicowanych warunków lokalnych, a także rozmaitych cech dziedzicznych w istotach prawie każdej zbiorowości i każdego geograficznego obszaru formują się tam odmienne restoriały głosu lub „nuty środkokiężkościowe” i dlatego podział oktawy na całe tony może wyglądać zupełnie inaczej wśród istot, które zamieszkują różne części powierzchni twojej planety.

Obecnie istnieją wśród twoich ulubieńców takie zbiorowości, gdzie spotyka się umiejętność odtwarzania nut środkokiężkościowych w oktawie dźwięków nie tylko w postaci pięciu czy siedmiu „dźwięków środkokiężkościowych”, lecz nawet trzynastu lub siedemnastu całych tonów.

Za dobry przykład ilustrujący to, co właśnie powiedziałem, posłużą nam istoty należące do pewnej małej zbiorowości z kontynentu Azja, których śpiewu osobiście bardzo lubiłem słuchać i które miały takie możliwości fizjologiczne, że chociaż dysponowały danymi do przejawiania tylko trzech restoriałów, to w swoim śpiewie potrafiły wytworzyć nawet czterdzieści oddzielnych, wyraźnie określonych dźwięków.

Ich śpiew był zachwycający, ale jednocześnie, jakby się one tym śpiewem nie zanosily, to spokojne i przeciągłe wibracje rozchodzących się dźwięków miały zawsze za podstawę tylko jeden z ich trzech „organicznych restoriałów”.

Ową osobliwą cechą fizjologiczną istot tej małej grupy – polegającą na tym, że niezależnie od liczby wytwarzanych dźwięków pełna oktawa ich głosu dawała zawsze „niezmienną sumę wibracji” otrzymywaną wyłącznie z tych trzech przynależnych im restoriałów, które, przejawiając się, miały właściwość wywoływania nieustannie w całej obecności istoty tego, co zwie się „centralizacją” lub „echem” – zrozumiałem bardzo jasno, gdy zainteresowany się ich śpiewem, zacząłem badać ową niezwykle rzadką wśród twoich współczesnych ulubieńców właściwość za pomocą trzech specjalnie zamówionych, jak się tam mówi, „kamertonów”, a także kilku bardzo czułych „wibrometrów”, które były

moją własnością i zostały specjalnie dla mnie zaprojektowane przez mojego esencjalnego przyjaciela Gornahura Harcharcha.

W chińskim podziale oktawy na całe tony ta właściwość istnienia w ogóle nie była brana pod uwagę.

Podstawą chińskiego „poddziału oktawy na siedem całych tonów” jak również wszystkich informacji tworzących całość specjalnej gałęzi wiedzy o Prawie Dziewięciokrotności były rezultaty świadomych trudów i zamierzonych cierpień wielkich braci bliźniaków, dzięki którym ich najwyższe ciała zostały przyjęte w poczet błogosławionych i teraz przebywają już na tej świętej planecie, którą mieliśmy szczęście ostatnio odwiedzić.

Jakkolwiek by było, mój chłopcze, bardzo teraz żałuję, że za pomocą tego współczesnego instrumentu dźwiękotwórczego, fortepianu, który przywiozłem z powierzchni twojej planety, nie będę mógł ci w pełni wyjaśnić praw wibracji rozchodzących się ze wszystkich źródeł i urzeczywistniających ogólnokosmiczny Ansambluiazar, co można było idealnie zrobić na wspaniałym law-merc-nochu, zbudowanym przez następcę wielkich braci bliźniaków, nie mniej wielkiego i również chińskiego uczonego King-Tu-Toza.

Na tym wspaniałym aparacie pogładowym law-merc-noch ów King-Tu-Toz rozmieścił i nastroił zgodnie z odpowiednimi obliczeniami wielkich braci dokładnie tyle strun wytwarzających wibracje, ile faktycznie istnieje we Wszechświecie kolejnych źródeł – poczynając od dowolnej planety, aż do Protokosmosu – w których obecności wibracje substancji kosmicznych ulegają podczas procesów trogoautoegokratycznych zgodnym z prawem zmianom i w odpowiedni sposób się łączą, aby urzeczywistnić to wszystko, co ma się wydarzyć.

W każdym razie, mój chłopcze, nawet jeśli fortepian, ów dźwiękotwórczy instrument, który przywiozłem z powierzchni twojej planety, jest bardzo typowym wymysłem twoich współczesnych ulubieńców, to przynajmniej dzięki temu, że sposób nastrojenia strun wytwarzających całe tony i półtony pozostał w nim niezmieniony, daje on możliwość – gdy śledzi się kolejność, w jakiej

łączą się wibracje wytwarzane w odpowiedni sposób przez jego struny – doświadczalnego zademonstrowania choćby tych praw, które rządzą wibracjami powstającymi z dowolnej podstawowej ogólnokosmicznej oktawy substancji, to znaczy rozchodzącymi się z jednego z siedmiu podstawowych całościowych źródeł; a to pozwala w przybliżeniu wyobrazić sobie i uświadomić, w jaki sposób wszystkie wibracje płynące z dowolnego źródła powstają jedna z drugiej i wzajemnie na siebie oddziałują, ponieważ, jak ci już powiedziałem, wszystkie kosmosy różnych skal – tak samo jak dowolna z ich siedmiu niezależnych części – są prawie w całości podobne do Megalokosmosu i w każdym z nich siedmiorakie źródła wibracji podlegają takiemu samemu wzajemnemu oddziaływaniu, jakie występuje w Megalokosmosie, z czego wynika, że rozumiawszy prawa wibracji dowolnego środka ciężkości, można również mniej więcej zrozumieć prawa wibracji wszystkich pozostałych środków ciężkości, oczywiście pod warunkiem że weźmie się pod uwagę różnicę ich skali.

Powtarzam, jeśli struny tego fortepianu są nastrojone prawidłowo i odpowiednie struny wytwarzają odpowiednie wibracje, to otrzymana fuzja wibracji, nawet z matematycznego punktu widzenia, pokrywa się niemal dokładnie z faktycznym i zgodnym z prawem całokształtem wibracji substancji urzeczywistnionych przez odpowiednie kosmiczne źródła na podstawie świętego Heptaparaparszynoch.

We wspomnianym fortepianie wibracje każdego „całego tonu” oraz każdego „półtonu” dowolnej oktawy przechodzą jedna w drugą dokładnie w zgodzie z prawem świętego Heptaparaparszynoch, dzięki czemu owe wibracje – jak to się dzieje wszędzie i zawsze we Wszechświecie – pomagają sobie nawzajem w swojej ewolucji i inwokacji.

Warto tutaj przy okazji zauważyć, że jeśli wyliczenia i rachunki tych wielkich ziemskich uczonych okazały się nieomal precyzyjne, to stało się tak tylko dlatego, że przypadkowo przyjęli oni za podstawę obliczeń tę samą jednostkę umowną, jakiej używa się wszędzie w Megalokosmosie, to znaczy tę najmniejszą częśćkę



przenajświętszej substancji Teomertmalogos, która wciąż zawiera pełnię właściwej jej życiodajności.

Teraz nadszedł odpowiedni moment, żeby zgodnie z obietnicą udzielić ci wyjaśnień dotyczących wspomnianego już wcześniej przeze mnie „światowego dźwięku niriunośnego”.

Światowy dźwięk niriunośny to dokładnie ten dźwięk, którego wibracje od czasów starożytnych aż po dzień dzisiejszy – wprawdzie już tylko dla bardzo małej liczby twoich ulubieńców, i to oczywiście w tych samych Chinach – przyjmuje się dla ich instrumentów dźwiękotwórczych za „absolutne wibracje” nuty „do”.

Istnienie tego dźwięku na twojej planecie stwierdzono tam w następujący sposób:

Pierwotnie odkrył go ów członek założonego na kontynencie Atlantyda towarzystwa Achldan, który był przodkiem wspomnianych wielkich uczonych braci bliźniaków i – pamiętasz, mówiłem ci już – przypadkowo spotkał pierwszych osadników z kraju Maralplejsi, a później został przez nich wybrany na przywódcę.

W tamtym czasie ten sam członek towarzystwa Achldan, prowadząc obserwacje różnych zjawisk kosmicznych występujących zarówno na ich planecie, jak i poza nią, stwierdził, że w określonym rejonie tego kraju – w pobliżu miejsca, gdzie powstało później miasto Gob – dwa razy w roku, po pewnych perturbacjach atmosferycznych, można było usłyszeć zawsze ten sam określony dźwięk, który rozchodził się dość długo.

Toteż właśnie w tym miejscu postanowił zbudować odpowiednie podwyższenie potrzebne mu do obserwacji, jak się tam mówi, „ciał niebieskich”. A zaprojektował to potrzebne mu podwyższenie w taki sposób, by w czasie tych swoich obserwacji móc jednocześnie prześledzić i zbadać wspomniany „rezultat kosmiczny”, który wydał mu się na początku zupełnie niezrozumiały.

Później zaś, kiedy dwaj wielcy bracia, przyszli święci, dostrzegli i zaczęli badać święte prawo kosmiczne Heptaparaparszynoch, wówczas – dowiedziawszy się już wcześniej o istnieniu tego kosmicznego rezultatu – udali się specjalnie do wspomnianego

miejsca i po wyjaśnieniu charakteru oraz natury tego dziwnego dźwięku postanowili przyjąć go we wszystkich swych obliczeniach za „jednostkę umowną”.

Ponadto muszę ci powiedzieć, że w takim fortepianie „wibracje obcego pochodzenia” biorą się z różnych „stuknięć” „hałasów” i „szmerów”, a przede wszystkim z „inercyjnych wibracji powietrznych”, które powstają zwykle w przestrzeni atmosferycznej z istniejących już naturalnych wibracji.

Nawiasem mówiąc, należałoby w tym miejscu przeprowadzić paralełę odnoszącą się także do identycznej realizacji piątego stopindera świętego Heptaparaparszynoch w dwóch procesach, które zewnętrznie nie mają ze sobą nic wspólnego, a mianowicie: tak jak pierwszy pokarm istnieniowy nabiera w istotach życiodajności dopiero po przeobrażeniu się w istnieniowe piandzoechari, tak samo na tym fortepianie wibracje dowolnej struny nabierają takiej życiodajności jedynie po połączeniu się z powstałymi wcześniej wibracjami, których źródłem jest środkociężkościowy całościowy kształt wibracji nuty „soi”.

Niewątpliwie o istnieniu tej ostatniej szczególnej właściwości świętego prawa Heptaparaparszynoch można się przekonać także w danym przypadku, to znaczy za pomocą tego fortepianu, albowiem wystarczy zauważyć, że jeśli wibracje nut „mi” i „si” wytwarza się w hermetycznie zamkniętym pomieszczeniu, to one albo momentalnie zanikają, albo wskutek siły bezwładu wywołanej przez pierwszy wstrząs, który spowodował ich powstanie, przechodzą inwolucję i także od razu przestają się rozchodzić, to znaczy nuta „mi” powraca do nuty „do”, a nuta „si” do dolnej nuty „fa”.

Kończąc wyjaśnienia dotyczące owego podziału oktawy dźwięku na siedem tonów, który występuje wśród twoich ulubieńców, muszę jeszcze raz z ubolewaniem podkreślić, że tylko wskutek porzucenia zwyczaju urzeczywistniania w ich zbiorczych obecnościach partkdołgpowinności istnieniowych – co doprowadziło do stopniowej degradacji w nich takiego myślenia, jakie jest właściwe trójmózgowym istotom – nawet te nadzwyczajne i praw-

dziwe informacje, które posiadał rozum ich dalekich przodków, z czasem poszły tam w zapomnienie i do tych współczesnych nieszczęśników nie dotarło prawie nic z tego, co powinno do nich dotrzeć.

W tym miejscu opowieści Belzebub po raz kolejny głęboko się zamyślił i zatrzymał spojrzenie na nasadzie nosa swojego wnuka.

Po dość długim milczeniu, ponownie zwracając się do niego, powiedział:

– Ech! Mój drogi chłopcze!...

Rad nierad będę musiał teraz powiedzieć ci o pewnych eksperymentach, które wiążą się z prawem wibracji i które miałem okazję zobaczyć na planecie Ziemia.

A opowiem ci o nich, i to jak najbardziej szczegółowo, z dwóch powodów:

Naprzód; bo powiedziałem ci już tak dużo o tym pierwszym podstawowym świętym prawie Heptaparaparszynoch, że byłoby mi teraz bardzo przykro, gdybyś z jakiegoś powodu nie mógł zrozumieć wszystkich jego specyficznych właściwości, i jestem przekonany, że moja relacja o tych eksperymentach pozwoli ci wyczerpująco zapoznać się z każdym szczegółem tego prawa. A po wtóre, chcę ci opowiedzieć jak najdokładniej o tych doświadczeniach, ponieważ przeprowadzająca je ziemską istotą dzięki swojej wiedzy o wibracjach kosmicznych stała się pierwszą i jedyką, która w ciągu wielu stuleci spędzonych przeze mnie na Ziemi poznała moją prawdziwą naturę.

## **Część Trzecia**

## Rozdział 41

### ***Bucharski derwisz Hadzi-Aswac-Truw***

Ponieważ moje pierwsze spotkanie z tą współczesną ziemską istotą trójmózgową, u której widziałem wspomniane eksperymenty i dzięki której informacje o podstawowym świętym prawie kosmicznym Heptaparaparszynoch najprawdopodobniej znowu się tam pojawią i staną dostępne dla każdej, nawet zwykłej spragnionej wiedzy współczesnej istoty wzbudzi zapewne twoje zainteresowanie i może okazać się niezwykle pouczające, postaram się opowiedzieć ci jak najdokładniej o wszystkim, co miało z nim związek.

To moje pierwsze spotkanie odbyło się trzy ziemskie lata przed tym, jak na zawsze opuściłem ów układ słoneczny.

Któregoś razu, podróżując po kontynencie Azja, napotkałem przypadkowo w rejonie noszącym nazwę „Buchara” pewną trójmózgową istotę, z którą się zaprzyjaźniłem. Należała do zbiorowości zamieszkującej właśnie tę część powierzchni twojej planety, wykonywała zawód, jak mówią tam, „derwisza” i nazywała się „Hadzi-Zefir-Boga-Eddin”.

Była typową współczesną ziemską istotą trójmózgową, która miała skłonność do pasjonowania się, jak się tam wyrażają, „wyższymi materiałami” i która – bez uświadomienia sobie ich esencji – nabrała automatycznego nawyku rozmawiania o nich z pierwszym lepszym, i to przy każdej odpowiedniej czy nieodpowiedniej okazji. A więc również w trakcie naszych spotkań niezmiennie lubiła rozmawiać ze mną, tak samo jak z innymi, wyłącznie o tego rodzaju kwestiach.

Pewnego dnia zaczęliśmy mówić o starożytnej nauce chińskiej zwanej „Szat-czaj-mernis”.

Ta nauka to nic innego jak urywki wspomnianego ogółu praw-

dziwych informacji dotyczących świętego Heptaparaparszynoch – informacji, które przyswoili sobie wielcy chińscy bracia bliźniacy oraz inni prawdziwi starożytni uczeni i które ongiś zostały nazwane przez nich „całokształtem prawdziwych informacji o Prawie Dziewięciokrotności”.

Wspominałem ci już, że pewne fragmenty tej wiedzy przypadkowo ocalały i były przekazywane z pokolenia na pokolenie przez bardzo ograniczoną liczbę tamtejszych wtajemniczonych istot.

Nawiasem mówiąc, jeśli te ocalałe przypadkiem fragmenty, które były i są przekazywane z pokolenia na pokolenie przez takie nieliczne wtajemniczone istoty, nie wpadną w ręce tamtejszych współczesnych „uczonych” to będzie znaczyło, że do przyszłych trójmózgowych istot twojej planety uśmiechnęło się wielkie szczęście.

A będzie to oznaczało wielkie szczęście, gdyż jeśli, odwrotnie, te ocalałe urywki autentycznej wiedzy wpadną w ręce tamtejszych współczesnych „uczonych”, to oni na pewno, kierowani swoją nieodłączną właściwością „wymądrzania się” nawarzą ze znaczenia zawartego w tych fragmentach takiej „naukowej kaszy” że rozum wszystkich pozostałych trójmózgowych istot, już i tak tłący się tylko ledwo ledwo, zgaśnie na zawsze, a ponadto także te ostatnie pozostałości wielkich osiągnięć ich odległych przodków zostaną przez to całkowicie starte z powierzchni owej nieszczęsnej planety.

Tak więc, mój chłopcze, w trakcie naszej rozmowy o starożytnej chińskiej nauce Szat-czaj-mernis derwisz Hadzi-Zefir-Boga-Eddin zaproponował, że zaprowadzi mnie do innego derwisza, swojego przyjaciela i wielkiego znawcy owej staro chińskiej nauki, abym mógł z nim o niej pomówić.

Powiedział mi, że jego przyjaciel mieszka z dala od wszystkich w „Górnej Bucharze” i zajmuje się tam pewnymi doświadczeniami związanymi z tą nauką.

Ponieważ nic specjalnie nie zatrzymywało mnie w tym mieście, gdzie się wtedy znajdowaliśmy, a ponadto jego przyjaciel żył aku-

rat w górach, których przyroda od dawna mnie interesowała, więc od razu się zgodziłem i już następnego dnia wyruszyliśmy w drogę.

Po wyjściu z tego miasta szliśmy przez trzy dni.

W końcu zatrzymaliśmy się w małym wąwozie, wysoko w górach „Górnej Buchary”.

Ów rejon nosi nazwę „Górna Buchara” dlatego, że jest bardzo górzysty i położony o wiele wyżej niż „Dolna Buchara”.

W rzeczonym wąwozie mój znajomy derwisz Hadzi-Zefir-Boga-Eddin poprosił mnie, żebym pomógł mu przesunąć niedużą kamienną bryłę, a kiedy to zrobiliśmy ukazał się pod nią mały otwór, z którego brzegów sterczały dwa żelazne pręty.

Zbliżył je do siebie i wyteżył słuch.

Wkrótce wydobyły się stamtąd dziwne dźwięki i ku mojemu zdumieniu Hadzi-Zefir-Boga-Eddin zaczął przez wspomniany otwór mówić coś w nieznanym mi języku.

Gdy skończył, położyliśmy tę kamienną bryłę z powrotem na miejsce i ruszyliśmy dalej.

Po pokonaniu znacznej odległości zatrzymaliśmy się przed pewną skałą. Hadzi-Zefir-Boga-Eddin znowu zaczął z wielkim wyteżeniem na coś czekać, aż zniecka olbrzymi głaz, który się tam znajdował, rozstał się, odsłaniając wejście do jaskini.

Weszliśmy do środka i kiedy posuwaliśmy się naprzód, zauważyłem, że naszą drogę rozjaśniało na przemian tak zwane gazowe i elektryczne oświetlenie.

Wprawdzie owo oświetlenie zadziwiło mnie i nasunęło szereg pytań, nie potrafiłem jednak zdobyć się na to, by zakłócić skupioną uwagę mojego towarzysza.

Po przejściu sporego odcinka na jednym z zakrętów zobaczyliśmy idącą nam naprzeciw inną ziemską istotę trójmózgową, która powitała nas zgodnie z przyjętym tam zwyczajem i poprowadziła dalej.

Okazało się, że był to właśnie przyjaciel mojego pierwszego zna-

jomego derwisza.

W pojęciu twoich ulubieńców był już bardzo stary, a ponieważ górował wzrostem nad całym otoczeniem, wydawał się więc niezwykle chudy.

Nazywał się Hadzi-Aswac-Truw.

Przez cały czas rozmawiając z nami, poprowadził nas do małej sali wewnątrz jaskini, gdzie wszyscy usiedliśmy na posadzce pokrytej wołokiem i nie przerywając rozmowy, zaczęliśmy jeść zimny bucharski „szila-pilaw”, który ta sędziwa istota przyniosła z sąsiedniego pomieszczenia i podała nam w glinianych naczy- niach.

Podczas posiłku mój pierwszy znajomy derwisz wspomniał swemu przyjacielowi o tym, że ja również bardzo interesuję się nauką Szat-czaj-mernis, a następnie wyjaśnił mu pokrótce, które kwestie są mi już dobrze znane, i także ogólnie co było tematem naszych dotychczasowych rozmów.

Potem derwisz Hadzi-Aswac-Truw już sam zaczął zadawać mi pytania, a ja za każdym razem udzielałem mu stosownych od- powiedzi, oczywiście w takiej nawykowej już dla mnie formie, pod którą zawsze potrafiłem ukryć moją prawdziwą naturę.

W czasie pobytu na twojej planecie nauczyłem się mówić w taki sposób, że twoi ulubieńcy zawsze brali mnie za pobratym- ca, tyle tylko że należącego do grona uczonych.

Z dalszej rozmowy wywnioskowałem, że ten czcigodny Hadzi-Aswac-Truw już od dawna interesuje się wspomnianą nauką i od dziesięciu lat prowadzi w tej dziedzinie wyłącznie badania prak- tyczne.

Zrozumiałem też, że w trakcie owych badań osiągnął takie re- zultaty, jakie w tej chwili są już poza zasięgiem ziemskich istot trójmózgowych.

Kiedy to sobie uświadomiłem, ogarnęło mnie ogromne zdumie- nie i bardzo się chciałem dowiedzieć, jak mu się to udało, ponie- waż doskonale zdawałem sobie sprawę, że już dawno temu wie- dza ta zniknęła z rozumów trójmózgowych istot Ziemi, a więc



było rzeczą wątpliwą, by ten czcigodny Hadzi często o niej słyszał i wskutek tego – jak to się zwykle u nich dzieje – mógł stopniowo rozbudzić w sobie zainteresowanie nią.

I faktycznie, mój chłopcze, te przypadłe ci do gustu trój mózgo-  
we istoty już od dawna mają w zwyczaju interesować się tylko tym, co często widzą i o czym często słyszą; a kiedy już coś je zainteresuje, ta ciekawość zagłusza w nich wszystkie inne potrzeby istnieniowe i wydaje im się wtedy, że właśnie dzięki temu, co w danym momencie je interesuje, „świat się kręci”.

Kiedy między mną i tym sympatycznym derwiszem Hadzi-Aswac-Truwem nawiązały się już odpowiednie stosunki i zaczął rozmawiać ze mną mniej więcej normalnie, bez „maski” za którą zawsze się chowają – zwłaszcza przy pierwszym spotkaniu – współczesne istoty w swoich relacjach z istotami do nich podobnymi, zapytałem go, oczywiście w odpowiedniej przyjętej tam formie, dlaczego i w jaki sposób zainteresował się tą gałęzią prawdziwej wiedzy.

Nie zaszkodzi, nawiasem mówiąc, jeśli dowiesz się w tym miejscu, że generalnie na każdej części powierzchni twojej planety ukształtowały się stopniowo w procesie zwykłej egzystencji tych dziwnych trójmózgowych istot szczególne formy wzajemnych stosunków zewnętrznych, które są przekazywane z pokolenia na pokolenie.

Te różne formy wzajemnych stosunków ukształtowały się samorzutnie po tym, jak w psychice twoich ulubieńców całkowicie zanikła owa właściwość istnieniowa, która pozwala na doznawanie wewnętrznych uczuć innej podobnej do nich istoty i która powinna cechować każdą istotę naszego Wielkiego Wszechświata, bez względu na jej formę i miejsce powstania.

Obecnie zarówno te dobre, jak i złe stosunki wzajemne kształtują się wyłącznie poprzez wymuszone przejawy zewnętrzne i opierają się w głównej mierze na tym, co one same nazywają „grzecznościami”, czyli na pustych słowach, w których nie ma ani jednego atomu „rezultatu życzliwego impulsu wewnętrznego” jaki powstaje normalnie w obecnościach wszystkich istot

w chwili spotkania „istot do nich podobnych”.

Dzisiaj, bez względu na to, jak dobrze jedna istota wewnętrznie życzy drugiej, jeśli z jakiegokolwiek powodu wypowie do niej słowa, które przyjęło się uważać za niestosowne, to koniec kropka, albowiem we wszystkich oddzielnych i uduchowionych lokalizacjach tej drugiej istoty nieuchronnie krystalizują się wtedy dane budzące przez skojarzenie w jej zbiorczej obecności przekonanie, że owa istota, która w rzeczywistości wewnętrznie życzy jej bardzo dobrze, przyszła na świat tylko po to, by zawsze i wszędzie robić jej wszelkiego rodzaju, jak one mówią, „świństwa”.

W ostatnich czasach doszło nawet do tego, że znajomość najprzeróżniejszych „zwrotów grzecznościowych” stała się tam niezbędna, jeśli chce się mieć przyjaciół i nie chce się narobić sobie „wrogów”.

Nienormalna egzystencja tych dziwnych trójmózgowych istot nie dość, że zniszczyła ich własną psychikę, to jeszcze pociągnęła za sobą takie następstwa, że psychika prawie wszystkich tamtejszych jednomózgowych i dwumózgowych istot także uległa zniszczeniu.

Również dane wywołujące wspomniany wewnętrzny impuls istnieniowy już przestały się kształtować w obecnościach tych wszystkich jednomózgowych i dwumózgowych istot, z którymi te dziwne przypadłe ci do gustu trójmózgowe istoty utrzymywały i do dzisiaj utrzymują częste kontakty oraz stosunki.

Chociaż takie dane istnieniowe nadal się tam kształtują w obecnościach tych różniących się formą zewnętrzną jednomózgowych i dwumózgowych istot, których tryb egzystencji nie wymaga żadnego kontaktu ani związku z twoimi dwunożnymi ulubieńcami – na przykład w tych zwanych tam „tygrysami”, „lwami”, „niedźwiedziami”, „hienami”, „węzami”, „solfugami”, „skorpionami” itd. – mimo to także w zbiorczych obecnościach wymienionych przeze mnie istot już się uformowała, oczywiście na skutek nienormalnie ustalonych warunków zwykłej egzystencji twoich ulubieńców, pewna bardzo dziwna i nadzwyczaj ciekawa właściwość polegająca na tym, że owe tygrysy, lwy, niedźwie-

dzie, hieny, węże, solfugi, skorpiony itd. odbierają wewnętrzne uczucie strachu, który ogarnia na ich widok inne istoty, jako wrogość wobec nich i starają się unicestwić te ostatnie, aby oddalić od siebie takie „zagrożenie”.

A doszło tam do tego, ponieważ twoi ulubieńcy, wskutek zawsze tych samych nienormalnych warunków egzystencji, stopniowo stali się, jak sami mówią, „tchórzami od czubka głowy do pięt” i równocześnie zakorzeniła się w nich – tak samo „od czubka głowy do pięt” – potrzeba unicestwiania egzystencji innych istot. Tak więc kiedy twoi ulubieńcy, którzy zamienili się już w tchórze „pierwszej klasy”, organizują wyprawę, żeby unicestwić egzystencję tych istot o innych formach, lub kiedy przypadkowo natrafiają na takie istoty – które, trzeba przyznać, na nieszczęście tych pierwszych i ku naszemu ubolewaniu stały się już teraz o wiele silniejsze od nich zarówno fizycznie, jak i pod względem innych zalet istnieniowych – to mają wtedy takiego cykora, że aż, jak się tam mówi w takich wypadkach, „robią w portki”.

Jednocześnie z powodu zakorzenionej w ich obecnościach potrzeby unicestwiania egzystencji innych istot, które mają siedlisko na ich planecie, całym swoim jestestwem myślą w takich chwilach tylko o tym, jak by te istoty o innych formach zniszczyć.

Rezultat jest taki, że w zbiorczych obecnościach tych istot o różnych formach zamiast danych, jakie winny w nich występować i wywoływać wspomniany impuls „instynktownego okazania szacunku i sympatii” stopniowo pod wpływem promieniowań wysyłanych przez osobliwe obecności twoich ulubieńców formują się inne dane, których specyficzne działanie polega na tym, że uczucie tchórzliwości pojawiające się w zbiorczych obecnościach pozostałych istot, a szczególnie twoich ulubieńców; odbierają jako „zagrożenie”.

Oto dlaczego te jednomózgowe i dwumózgowe istoty kiedy spotykają tam twoich ulubieńców; zawsze starają się ich zniszczyć, aby uniknąć w ten sposób zagrożenia dla własnej egzystencji.

Na samym początku także na twojej planecie wszystkie istoty – mimo że miały różne formy zewnętrzne i odmienne układy mózgów – egzystowały razem w pokoju i zgodzie. I nawet dzisiaj zdarza się jeszcze, że któryś z twoich ulubieńców udoskonali się do takiego stopnia, że odczuwa wszystkimi swoimi uduchowionymi częściami, iż każda istota lub, jak to się mówi, każde „tchnienie” jest dla NASZEGO WSPÓLNEGO OJCA STWÓRCY równie bliskie i cenne, a co więcej, potrafi dzięki wypełnianiu partkdołgpowinności istnieniowych całkowicie zniszczyć dane, które wzbudzają w jego obecności impuls tchórzostwa wobec istot o innych formach, wskutek czego te ostatnie nie tylko nie próbują zniszczyć jego egzystencji, lecz wręcz usługują mu z szacunkiem jako istocie mającej obiektywnie większe możliwości.

Krótko mówiąc, wszystko to i mnóstwo innych drobnych czynników, również spowodowanych nienormalną egzystencją twoich ulubieńców, doprowadziło w końcu do tego, że wykształcili oni we wzajemnych stosunkach przeróżne formy, jak to określają, „zwrotów grzecznościowych” przy czym każdy region, jak ci już powiedziałem, wytworzył własną specjalną formę.

Ta sympatyczna ziemską istota trójmózgowa, Hadzi-Aswac-Truw, odnosiła się do mnie z życzliwością przede wszystkim dlatego, że byłem przyjacielem jej dobrego przyjaciela.

Trzeba tu zresztą nadmienić, że trójmózgowe istoty tej części powierzchni twojej planety są już ostatnimi, wśród których panują jeszcze prawdziwe stosunki przyjacielskie.

U nich – jak to ogólnie dzieje się wszędzie wśród istot trójmózgowych i jak zresztą wyglądało to w minionych epokach także na twojej planecie – przyjacielem jest nie tylko sam przyjaciel, lecz także jego bliscy oraz przyjaciele, których traktuje się na równi z nim.

Ponieważ pragnąłem, by moje stosunki z Hadzi-Aswac-Truwem stały się jeszcze bardziej serdeczne, a to dlatego, że chciałem się dowiedzieć, jak to się stało, że zainteresował się tą wiedzą i w jaki sposób osiągnął takie niespotykane na Ziemi rezultaty naukowe, w trakcie naszej rozmowy celowo używałem wielu zwro-

tów grzecznościowych przyjętych w tamtej okolicy.

Kiedy podczas owej rozmowy, poświęconej w całości nauce zwanej tam wówczas Szat-czaj-mernis, zaczęliśmy mówić ogólnie o naturze i znaczeniu wibracji, a następnie przeszliśmy do oktawy dźwięków, Hadzi-Aswac-Truw powiedział wtedy, że nie tylko każda oktawa dźwięków zawiera siedem aspektów względnie samodzielnych całościowych przejawów, lecz również że wibracje dowolnej z tych względnie niezależnych całości podlegają, zarówno jeśli chodzi o ich powstawanie, jak i manifestowanie się, temu samemu prawu.

Mówiąc dalej o prawach wibracji dźwięku, dodał jeszcze:

„Ja sam zainteresowałem się nauką Szat-czaj-mernis z powodu tychże praw wibracji dźwięku, i to one sprawiły, że postanowiłem poświęcić jej resztę mojego życia”.

Po chwili namysłu kontynuował:

„Przede wszystkim muszę powiedzieć wam, moi przyjaciele, że chociaż przed wstąpieniem do bractwa derwiszów byłem człowiekiem bardzo bogatym, lubiłem mimo to od czasu do czasu zajmować się pewnym rzemiosłem, mianowicie robiłem różne instrumenty strunowe, jak na przykład «saz», «tar», «kemocze», «cymbały» itp.

Nawet po wstąpieniu do bractwa cały wolny czas nadal poświęcałem temu zajęciu, budując instrumenty muzyczne dla naszych derwiszów.

Powodem tego, że na serio zainteresowałem się prawami wibracji, było następujące zdarzenie:

Któregoś dnia szejk naszego klasztoru wezwał mnie do siebie i powiedział:

«Hadzi! W klasztorze, w którym byłem jeszcze zwykłym derwiszem, kiedy nasi bracia muzycy grali podczas pewnych misterii melodie świętych kantyków, my, pozostali derwisze, słuchając tych świętych melodii, doznawaliśmy wszyscy specjalnych wrażeń, które były zbieżne z tekstem danego kantyku.

Tutaj jednak – mimo długich i uważnych obserwacji – nigdy

jeszcze nie zauważyłem, żeby te święte kantyki oddziaływały w jakiś szczególny sposób na naszych braci derwiszów.

Co się tutaj nie zgadza? Jaka jest tego przyczyna? Poznanie owej przyczyny stało się ostatnio moim celem i wezwałem cię właśnie dlatego, że chcę z tobą o tym pomówić; być może ty, jako wielki miłośnik i specjalista od budowania instrumentów muzycznych, pomożesz mi wyjaśnić tę interesującą mnie kwestię».

Następnie zaczęliśmy wszechstronnie badać to zagadnienie i po długich rozważaniach doszliśmy w końcu do wniosku, że cała przyczyna kryje się prawdopodobnie w samej naturze wibracji dźwięków.

Nabraliśmy takiego przekonania, ponieważ w trakcie rozmowy okazało się, że w klasztorze, w którym nasz szejk był jeszcze prostym derwiszem, oprócz bębna używano także instrumentów strunowych, podczas gdy tutaj, w naszym klasztorze, te same święte melodie grano wyłącznie na instrumentach dętych.

Postanowiliśmy więc od razu zastąpić wszystkie klasztorne instrumenty dęte instrumentami strunowymi. Wiązał się z tym jednak jeden bardzo poważny problem, a mianowicie niemożność znalezienia wśród naszych derwiszów wymaganej liczby specjalistów od gry na instrumentach strunowych.

Wówczas nasz szejk, po chwili zastanowienia, rzekł do mnie:

«Hadzi, ty jako specjalista od instrumentów strunowych, spróbuj! Może uda ci się zbudować taki instrument strunowy, na którym każdy derwisz, nie będący specjalistą, mógłby produkować dźwięki odpowiedniej melodii tylko poprzez jakieś mechaniczne działanie, na przykład obracanie, uderzanie, naciskanie itd.».

Propozycja naszego szejka od razu niezmiernie mnie zainteresowała i z wielką przyjemnością podjąłem się tego zadania.

Powziąwszy taką decyzję, wstałem i po otrzymaniu jego błogosławieństwa poszedłem do siebie.

Po powrocie do domu usiadłem i zacząłem bardzo długo i poważnie się zastanawiać. W rezultacie tych rozmyślań postanowiłem zbudować zwykłe cymbały, a następnie zaprojektować – przy

pomocy mojego przyjaciela derwisza Kerbalaj-Azis-Nuarana – mechanizm małych młoteczków, których uderzenia wytwarzałyby odpowiednie dźwięki.

Tego samego wieczoru odwiedziłem mojego przyjaciela derwisza Kerbalaj-Azis-Nuarana.

Chociaż jego koledzy i znajomi uważali go za wielkiego dziwaka, wszyscy jednak go szanowali i cenili, ponieważ był bardzo rozumny i uczony i często poruszał takie kwestie, które rad nierad zmuszały każdego do poważnego zastanowienia.

Przed wstąpieniem do bractwa derwiszów był prawdziwym zawodowym «saatczy», czyli zegarmistrzem.

Również w klasztorze cały wolny czas poświęcał swemu ulubionemu rzemiosłu.

Warto wspomnieć, że całkiem niedawno mojego przyjaciela derwisza Kerbalaj-Azis-Nuarana pochłonęła pewna nader dziwna idea, a mianowicie postanowił zbudować mechaniczny zegar, który bez pomocy żadnej sprężyny wskazywałby bardzo dokładnie czas.

Tę swoją nietypową ideę tłumaczył zwięźle i bardzo prosto:

«Nic na Ziemi nie jest w stanie całkowitego spoczynku, ponieważ sama Ziemia się porusza. Jeśli istnieje na Ziemi coś, co się nie rusza, to tylko ciężkość, i to jedynie w miejscu równym połowie zajmowanej przez siebie objętości. A zatem chcę uzyskać absolutną równowagę dźwigni, tak by sama prędkość obrotu Ziemi wprawiała te dźwignie w ruch, który będzie dokładnie odpowiadał wymaganemu przesuwaniu się wskazówek zegara».

Kiedy przyszedłem do tego mojego przyjaciela dziwaka i wyjaśniłem mu, co chcę osiągnąć oraz jakiego wsparcia od niego oczekuję, od razu bardzo się tym zainteresował i obiecał udzielić mi wszelkiej możliwej pomocy.

Już nazajutrz zabraliśmy się do roboty.

Dzięki naszej współpracy trzon zaprojektowanego przeze mnie mechanicznego instrumentu muzycznego był wkrótce gotowy. Następnie ja zająłem się zakładaniem strun we właściwych miej-

scach i w odpowiednich odległościach, podczas gdy mój przyjaciel dziwak kontynuował pracę nad mechanizmem młoteczków.

Kiedy skończyłem naciąganie strun i zacząłem je odpowiednio stroić, spostrzegłem coś, co wzbudziło we mnie wtedy tak wielkie zainteresowanie, że zacząłem przeprowadzać doświadczenia nad prawami wibracji, które kontynuuję zresztą do dzisiaj.

A zaczęło się to w następujący sposób:

Przede wszystkim muszę wam powiedzieć, że już wcześniej bardzo dobrze wiedziałem, iż połowa długości dowolnej struny daje podwójną liczbę wibracji całej struny o tej samej średnicy i masie właściwej, i w myśl tej zasady umieściłem na cymbałach pod strunami «mostki», a potem wszystkie struny nastroiłem w taki sposób, żeby odpowiadały pewnej starożytnej świętej melodii, która w całości składa się z dźwięków «jednej ósmej tonu», oczywiście posługując się w tym celu moim «perambarsasidawaniem» lub, jak mówi się w Europie, «kamertonem» produkującym wibracje chińskiego «absolutnego do».

W czasie strojenia po raz pierwszy jasno stwierdziłem, że zasada, w myśl której liczba wibracji struny jest odwrotnie proporcjonalna do jej długości, nie zawsze, a tylko czasem pozwala na uzyskanie «ogólnoscalającego się harmonicznego współbrzmienia».

To spostrzeżenie wzbudziło we mnie taką ciekawość, że zacząłem poświęcać całą uwagę badaniu owego zjawiska i zupełnie przestałem zajmować się samymi cymbałami.

Tak się złożyło, że mój przyjaciel dziwak również bardzo się tym zainteresował i zaczęliśmy razem zgłębiać ten fakt, który wprowadził nas obu w zdumienie.

Dopiero po kilku dniach ja i mój przyjaciel zdaliśmy sobie sprawę, że zaniechaliśmy naszej podstawowej pracy i odtąd postanowiliśmy więc poświęcać połowę czasu na dokończenie cymbałów, a resztę na wspomniane badania.

Rzeczywiście szybko nabraliśmy takiej wprawy w wykonywaniu obu naszych zadań, że jedno nie przeszkadzało drugiemu.

Wymyślone przeze mnie mechaniczne cymbały już niebawem



były gotowe i w pełni nas zadowalały. W ostatecznej formie przypominały trochę «nowogrecką katarynkę», tyle że z ćwierć-tonami, no i rozmiar miały nieco większy.

Wprawiane były w ruch przez obracanie powodujące, że małe młoteczki uderzały w odpowiednie struny, przy czym taka zgodność uzyskiwana była dzięki wiązkom spłaszczonych trzciny, w których zrobiliśmy wgłębienia, gdzie podczas obrotu trafiały końce młoteczków, wywołując drganie odpowiedniej struny.

Dla każdej świętej melodii przygotowaliśmy oddzielną wiązkę takich spłaszczonych trzciny, tak że zależnie od wymaganej melodii można było je swobodnie zmieniać.

Kiedy wreszcie przekazaliśmy te oryginalne cymbały naszemu szejkowi i opowiedzieliśmy mu, co nas teraz najbardziej interesuje, on nie dość, że udzielił nam błogosławieństwa i zezwolił na to, byśmy na pewien czas opuścili klasztor i poświęcili się pasjonującej nas kwestii, to jeszcze oddał nam do dyspozycji dużą sumę pieniędzy z rezerwy klasztornej.

Wtedy właśnie przenieśliśmy się tutaj, aby żyć na zewnątrz naszego bractwa i z dala od innych ludzi.

Nasze życie toczyło się tu w wiecznym spokoju i w pełnej zgodzie aż do chwili, gdy całkiem niedawno straciłem na zawsze tego niezapomnianego i niezastąpionego przyjaciela.

A straciłem go w następujących smutnych okolicznościach:

Kilka tygodni temu wyruszył on na dół do miasta X położonego na brzegu rzeki Amu-daria, aby nabyć różne materiały i instrumenty.

Gdy już opuszczał to miasto i szedł do drogi powrotnej, «zbłąkana kula» ze strzelaniny, jaka wywiązała się między Rosjanami i Angloafgańczykami, zabiła go na miejscu – o czym zresztą od razu poinformował mnie nasz wspólny znajomy Sart, który akurat tamtędy przechodził.

Kilka dni później udało mi się sprowadzić jego szczątki i pochowałem je tam” – powiedział, wskazując ręką róg jaskini, gdzie wiść było dziwnego kształtu występ.

Po tych słowach Hadzi-Aswac-Truw wstał i odprawiając modlitewne gesty, najwyraźniej za spokój duszy swego przyjaciela, skinął na nas głową, abyśmy za nim podążyli.

Ruszyliśmy przed siebie i ponownie znaleźliśmy się w głównym przejściu jaskini, gdzie ta czcigodna ziemską istotą zatrzymała się przed pewnym wybrzuszeniem i na coś nacisnęła, skutkiem czego rozstała się skała, odsłaniając wejście do innej części jaskini.

Pomieszczenie, w którym się znaleźliśmy, zarówno jeśli chodzi o jego naturalną strukturę, jak i sposób, w jaki zostało urządzone, było z punktu widzenia przejawów rozumu twoich współczesnych ulubieńców tak oryginalne, że chcę ci je opisać jak najdokładniej.

Jego ściany, strop, a nawet posadzka były obite kilkoma warstwami bardzo grubego wołoku. Jak mi później wyjaśniono, to naturalne wydrążenie zostało wykorzystane i tak przystosowane, żeby nie mogła do niego przeniknąć – czy to z innych pomieszczeń, czy też ogólnie z zewnątrz – nawet najmniejsza wibracja powstała w rezultacie jakiegokolwiek przejawu, ruchu, szelestu czy szmeru, ani też żadna z wibracji wytwarzanych w pobliżu przez oddech różnych dużych i małych „stworzeń”.

W tym niezwykłym pomieszczeniu znajdowało się kilka dziwnie wyglądających „aparatów doświadczalnych” w tym także instrument dźwiękotwórczy, podobny do tego, który przywiozłem ze sobą z powierzchni twojej planety, a który twoi ulubieńcy zwa „fortepianem”.

Kłapa tego fortepianu była otwarta i mogłem pod nią zobaczyć, że do każdej serii strun przymocowano oddzielny mały przyrząd zwany „wibrometrem” służący do pomiaru „stopnia życiodajności różnoźródłowych wibracji”.

Na widok tylu wibrometrów istnieniowy impuls zdumienia osiągnął w mojej zbiorczej obecności taką intensywność, jaką nasz Mułła Nasr Eddin określa słowami: „Granice nasycenia wyznacza pęknięcie”.

Ów impuls zdumienia nieustannie narastał we mnie od chwili, gdy w przejściach jaskini zobaczyłem gazowe i elektryczne oświetlenie. Od razu zadałem sobie wtedy pytanie, skąd i w jaki sposób to wszystko się tam znalazło.

Już wcześniej bardzo dobrze zdawałem sobie sprawę, że chociaż te dziwne istoty trójmózgowe ponownie nauczyły się wykorzystywać takie źródła, pochodzące z formacji kosmicznych, do ich, jak one mówią, „oświetlenia” to materiał potrzebny do tego rodzaju oświetlenia mogły uzyskać tylko za pomocą bardzo skomplikowanych urządzeń, dostępnych jedynie tam, gdzie znajdują się duże zbiorowiska tych istot.

A tu ni stąd, ni zowąd takie oświetlenie pojawiło się z dala od wspomnianych miejsc, i to bez żadnych widocznych oznak, które u współczesnych istot towarzyszą na ogół tego rodzaju możliwościom.

Tak więc kiedy ujrzałem wspomniane wibrometry służące do mierzenia „stopnia życiodajności wibracji” mój impuls zdumienia, jak już powiedziałem, sięgnął granic.

Moje zdziwienie było tym większe, że doskonale wiedziałem, iż w tamtym czasie już nigdzie nie istniały tego rodzaju przyrządy do pomiaru dowolnego typu wibracji, i dlatego raz jeszcze zadałem sobie pytanie: Skąd ten czcigodny starzec, który mieszkał w tych dzikich górach, w oddaleniu od istot reprezentujących współczesną cywilizację, zdobył takie urządzenia?

Chociaż paliła mnie ciekawość, znowu nie odważyłem się poprosić czcigodnego Hadzi-Aswac-Truwa, żeby mi to wyjaśnił; a nie zdobyłem się na to z obawy, że takie odbiegnięcie od tematu zmieni tok rozpoczętej rozmowy, która, jak liczyłem, mogła rzucić światło na podstawową i najbardziej interesującą mnie kwestię.

W tej samej części jaskini znajdowało się jeszcze wiele innych nieznanymi mi dotąd aparatów, a wśród nich także jeden bardzo dziwny przyrząd z doczepionymi do niego kilkoma, jak je nazywano, „maskami”, od których odchodziły w kierunku stropu ja-

skini przewody w kształcie rur, zrobione z przełyków krów.

Przez te rury, o czym również dowiedziałem się później, wpływało z zewnątrz powietrze niezbędne do oddychania istotom asystującym przy eksperymentach, w trakcie których to pomieszczenie było zamykane hermetycznie ze wszystkich stron.

Podczas doświadczeń znajdujące się w środku istoty zakładały na twarze te przymocowane do owego dziwnego aparatu maski.

Kiedy we wspomnianej części jaskini wszyscy usiedliśmy już na ziemi, czcigodny Hadzi-Aswac-Truw dodał między innymi, że w ramach badań prowadzonych razem ze swoim przyjacielem derwiszem Kerbalaj-Azis-Nuaranem musiał gruntownie przestudiować wszystkie istniejące na Ziemi teorie wibracji, które w różnych epokach stworzyli różni poważni ziemscy uczeni.

„Studiowaliśmy – powiedział nam – asyryjską teorię wielkiego Małmanasza, arabską teorię słynnego Selne-E-Awaza, a także grecką filozofa Pitagorasa, no i oczywiście wszystkie teorie chińskie.

Zbudowaliśmy dokładnie takie same przyrządy jak te, za pomocą których ci starożytni mędrcy przeprowadzali eksperymenty. Jeden z nich nawet udoskonaliliśmy i teraz jest on głównym aparatem do moich doświadczeń.

Posługiwał się nim Pitagoras, przeprowadzając swoje eksperymenty, i w owym czasie ten aparat nosił nazwę «monochord», a teraz, po wprowadzeniu modyfikacji, ja sam nazwałem go «wibroshow».

Powiedziawszy to, jedną ręką przycisnął coś na podłodze, a drugą wskazał na aparat o bardzo dziwnym kształcie, dodając, że jest to właśnie ów przerobiony monochord.

Wskazane przez niego urządzenie składało się z dwumetrowej deski, której cała przednia połowa była podzielona na „progi” – tak jak gryf instrumentu dźwiękotwórczego noszącego nazwę „gitara” – i rozpięta na niej była tylko jedna struna.

Do drugiej połowy przytwierdzono wiele wibrometrów, które przypominały wibrometry umocowane na strunach fortepianu

i były umieszczone w taki sposób, że ich wskazówki znajdowały się dokładnie nad wspomnianymi progami przedniej części deski.

Z tyłu deski przymocowana była cała sieć różnych szklanych i metalowych rurek, również służących do wytwarzania dźwięków, tym razem jednak dźwięków otrzymywanych z wibracji wytwarzanych przez pewne ruchy oraz strumienie zwykłego bądź sztucznie sprężonego, bądź też rozrzedzonego powietrza. Do pomiaru wibracji takich dźwięków używano tych samych wibrometrów, które służyły do pomiaru wibracji rozchodzących się ze strun.

Czcigodny Hadzi-Aswac-Truw chciał coś jeszcze powiedzieć, lecz akurat w tym momencie przyszedł z innej części jaskini mały chłopiec, podobny w typie do „Uzbecka” i przyniósł na tacy zieloną herbatę wraz z zastawą.

Kiedy chłopiec, postawiwszy przed nami tacę, wyszedł, czcigodny Hadzi zaczął nalewać herbatę do filiżanek i zwracając się do nas, wygłosił żartem sentencję, którą powtarza się w tamtym regionie przy takich okazjach:

„Przyjmijmy ów dar Przyrody w zbożnej nadziei, że pomoże nam dobrze służyć ku Jej chwale!”

A następnie dodał:

„Czuję, że właśnie słabną krzepiące mnie siły, toteż muszę wprowadzić teraz w siebie kolejną porcję tego czegoś, co będzie mogło utrzymać mnie całego w stanie pobudzenia aż do następnej takiej dawki”.

I z błogim uśmiechem zaczął pić herbatę. Kiedy ją popijał, postanowiłem, korzystając z okazji, zadać mu kilka pytań, które przez cały czas mnie dręczyły.

W pierwszej kolejności zapytałem:

„Dostojny Hadzi! Dotychczas byłem całkowicie przekonany, że nigdzie na Ziemi nie istnieje urządzenie do dokładnego pomiaru wibracji. A w tej chwili widzę tutaj całą masę tych aparatów pomiarowych. Jak to wytłumaczyć? Skąd się one tu wzięły?”

Czcigodny Hadzi-Aswac-Truw odpowiedział na to:

„Te aparaty służące do naszych doświadczeń zbudował mój przyjaciel nieboszczyk Kerbalaj-Azis-Nuaran i to im zawdzięczam w głównej mierze wszystkie moje osiągnięcia w zakresie nauki o prawach wibracji.

Prawdą jest – kontynuował – że dawno temu, w okresie rozkwitu wielkiego Tiklamysza, istniały na Ziemi najróżniejsze aparaty tego rodzaju, ale dzisiaj przepadły one bez śladu, oczywiście jeśli nie brać pod uwagę tej «dziecinnej fidrygałki», która znana jest obecnie w Europie pod nazwą «syrena» i za pomocą której można jakoby obliczyć wibracje. Taką syrenę miałem nawet u siebie, kiedy przeprowadzałem pierwsze doświadczenia badawcze.

Wynalazł ją dwa wieki temu pewien uczony fizyk nazwiskiem Seebeck i w połowie ostatniego stulecia rzekomo udoskonalił ją niejaki Cagniard de la Tour.

Owa dziecinna fidrygałka funkcjonuje na tej zasadzie, że strumień zagęszczonego powietrza kierowany jest z rury na obracającą się tarczę z wywierconymi dziurkami, z których każda ma dokładnie taką samą średnicę jak wylot rury z powietrzem i w trakcie obracania się tarczy ów wylot na przemian zamyka się i otwiera.

Otóż podczas szybkiego obrotu tarczy kolejne uderzenia powietrza przechodzą przez dziurki, tworząc zawsze dźwięk tej samej wysokości, i odmierzana przez mechanizm zegarowy liczba obrotów pomnożona przez liczbę dziurek płytki daje liczbę wibracji tego dźwięku w danym przedziale czasu.

Na nieszczęście Europejczyków ani pierwszy wynalazca syreny, ani ten, który ją udoskonalił, nie wiedzieli, że dźwięk otrzymuje się zarówno wskutek działania naturalnych wibracji, jak i pod wpływem zwykłego strumienia powietrza; toteż ta ich syrena; która wydaje dźwięki wywoływane jedynie przez strumień powietrza; bez żadnego udziału naturalnych wibracji, zupełnie nie nadaje się do dokładnego pomiaru liczby wibracji.

A ów zaspokajający ciekawość fakt, mianowicie to, że powsta-

nie dźwięku może mieć dwie przyczyny: same naturalne wibracje świata, jak również po prostu przepływ powietrza, zademonstruję wam teraz w praktyce”.

Wypowiedziawszy te słowa, czcigodny Hadzi wstał i przyniósł z innej części jaskini doniczkę z kwiatami, którą postawił pośrodku pomieszczenia, a sam usiadł przy wibroshow, czyli niegdysiejszym monochordzie słynnego Pitagorasa.

Zwracając się do nas, powiedział:

„Z tych połączonych rurek zacznę teraz emitować tylko pięć różnych tonów, a wy, proszę, uważnie obserwujcie doniczkę z kwiatami i sprawdźcie na zegarkach, jak długo będę produkował te dźwięki, a także zapamiętajcie liczby wskazywane przez strzałki wibrometrów”.

Następnie za pomocą małych miechów zaczął tłoczyć powietrze do odpowiednich rur, z których wydobyła się jednostajna pięciotonowa melodia.

Ta monotonna melodia trwała dziesięć minut. Nie dość, że zapamiętaliśmy liczby pokazywane przez strzałki wibrometrów, to jeszcze każdy z tych pięciu dźwięków bardzo dobrze utrwalił się w naszych narządach słuchu.

Gdy Hadzi skończył grać swoją jednostajną muzykę, kwiaty w doniczce wyglądały równie rześko jak przedtem.

Hadzi wstał wtedy od niegdysiejszego monochordu, przesiadł się do instrumentu dźwiękotwórczego zwanego „fortepianem” i skierowawszy ponownie naszą uwagę na wskazówki wibrometrów, zaczął uderzać kolejno w odpowiednie klawisze fortepianu, z którego popłynęła identyczna monotonna melodia, składająca się z tych samych pięciu tonów.

Także tym razem strzałki wibrometrów wskazywały te same liczby.

Nie minęło nawet pięć minut, gdy na znak dany nam głową przez Hadziego popatrzyliśmy na doniczkę i zobaczyliśmy, że znajdujące się w niej kwiaty zaczęły wyraźnie więdnąć, a kiedy po dziesięciu minutach czcigodny Hadzi przestał już grać swoją

muzykę, z tych kwitnących jeszcze przed chwilą roślin pozostały w doniczce tylko kompletnie zwiędłe i gołe łodygi.

Następnie Hadzi znowu się do nas przysiadł i powiedział:

„Jak przekonałem się dzięki moim wieloletnim badaniom i jak twierdzi nauka Szat-czaj-mernis, w świecie istnieją rzeczywiście dwa rodzaje wibracji: «wibracje twórcze» i «wibracje inercyjne».

Doświadczalnie ustaliłem, że do wytwarzania wibracji twórczych najlepiej nadają się struny zrobione z pewnego określonego metalu albo z kozich jelit.

Struny wykonane z innych materiałów nie mają takiej właściwości. Rozchodzące się z nich wibracje – tak samo jak wibracje uzyskane z przepływu powietrza – są czysto inercyjne. W tym wypadku dźwięki są wywoływane przez wibracje, które powstają w wyniku tarcia tego przepływającego powietrza, a także na skutek mechanicznego działania pojawiającej się przy tym siły bezwładności”.

Hadzi-Aswac-Truw kontynuował:

„Dawniej do naszych doświadczeń używaliśmy tylko tego wibroshaw. Ale któregoś dnia, gdy mój przyjaciel Kerbalaj-Azis-Nu-aran wybrał się na zakupy do bucharskiego miasta X, wśród wielu rzeczy wystawionych tam na licytację i należących do opuszczającego to miasto rosyjskiego generała zobaczył właśnie ten fortepian, a spostrzegłszy przypadkowo, że jego struny zrobione są z metalu, którego potrzebowaliśmy do naszych eksperymentów, kupił go i – oczywiście nie bez wielkich przeszkód – przytaszczył tutaj w góry.

Kiedy ów fortepian postawiliśmy już na miejscu, nastroiliśmy go dokładnie w zgodzie z prawami wibracji sformułowanymi przez starochińską naukę Szat-czaj-mernis.

Aby prawidłowo nastroić struny, nie tylko wzięliśmy za podstawę «do absolutne» starożytnej skali chińskiej, lecz także, jak zalecała ta nauka, uwzględniliśmy tutejsze warunki geograficzne, ciśnienie atmosferyczne, kształt i rozmiary tego pomieszczenia, przeciętną temperaturę otaczającej przestrzeni oraz samego



wnętrza itd., biorąc nawet pod uwagę, ile osób emitujących ludzkie promieniowania miało asystować później w tym pomieszczeniu przy naszych eksperymentach.

Po takim precyzyjnym nastrojeniu fortepianu płynące z niego wibracje rzeczywiście od razu nabrały tych wszystkich właściwości, o których jest mowa w owej wielkiej nauce.

A teraz pokażę wam, co takiego można osiągnąć – na podstawie wiedzy o prawach wibracji, jaką zdobyli ludzie – za pomocą wibracji rozchodzących się z tego zwykłego fortepianu”.

Po tych słowach znowu wstał.

Tym razem z innej części jaskini przyniósł kopertę, papier i ołówki.

Potem napisał coś na papierze i tę zapisaną kartkę umieścił w kopercie, którą zaczepił na haku zwisającym ze stropu pośrodku pomieszczenia, a następnie usiadł z powrotem przy fortepianie i nic nie mówiąc, zaczął jak przedtem uderzać w określone klawisze, wygrywając znowu jednostajną melodię.

Tyle że teraz w owej melodii nieustannie i równomiernie powtarzały się dwa dźwięki najniższej oktawy fortepianu.

Po krótkiej chwili zauważyłem, że mojemu przyjacielowi derwiszowi Hadzi-Boga-Eddinowi musiała sprawiać niewygodę pozycja siedząca, gdyż przestawiał lewą nogę z miejsca na miejsce.

Nieco później zaczął ją pocierać i z grymasów na jego twarzy widać było, że ta noga go boli.

Czcigodny derwisz Hadzi-Aswac-Truw w ogóle nie zwracał na to uwagi i dalej uderzał w określone klawisze.

Kiedy nareszcie skończył, odwrócił się do nas i powiedział do mnie:

„Proszę cię, przyjacielu mojego przyjaciela, wstań, zdejmij kopertę z haka i przeczytaj, co jest napisane w środku”.

Wstałem więc, wziąłem kopertę, otworzyłem ją i przeczytałem, co następuje:

„Pod wpływem wibracji rozchodzących się z fortepianu na le-

wej nodze każdego z was, trzy centymetry poniżej kolana i półtora centymetra na lewo od środka nogi, powinien się uformować «czyrak»”.

Kiedy skończyłem czytać, czcigodny Hadzi poprosił nas obu o odsłonięcie wspomnianych miejsc na naszych lewych nogach.

Gdy je pokazaliśmy, na lewej nodze derwisza Boga-Eddina zobaczyliśmy dokładnie we wskazanym miejscu autentycznego „czyraka”, ale na mojej nodze, ku ogromnemu zdumieniu czcigodnego Hadzi-Aswac-Truwa, nic takiego się nie pojawiło.

Stwierdziwszy to, Hadzi-Aswac-Truw natychmiast zerwał się ze swego miejsca jak wyrostek i z wielkim przejęciem wykrzyknął:

„To niemożliwe!...” – a następnie wbił w moją lewą nogę obłąkane spojrzenie.

Minęło tak prawie pięć minut. Wyznaję, że po raz pierwszy na tej planecie straciłem głowę i nie potrafiłem znaleźć na poczekaniu wyjścia z tej sytuacji.

Wreszcie on sam podszedł do mnie i właśnie chciał coś powiedzieć, gdy jego nogi z wrażenia zaczęły się bardzo gwałtownie trząść, tak że musiał usiąść na ziemi i dał mi znak, bym zrobił to samo.

Kiedy usiedliśmy, spojrzął na mnie bardzo smutnym wzrokiem i z przejęciem powiedział:

„Przyjacielu mojego przyjaciela! W młodości byłem człowiekiem ogromnie bogatym, tak bogatym, że co najmniej dziesięć moich karawan, każda licząca nie mniej niż tysiąc wielbłądów, podróżowało bez przerwy po całej naszej wielkiej Azji.

Wszyscy koneserzy uważali mój harem za najwytworniejszy i najlepszy na ziemi, i zresztą cała reszta mojego życia toczyła się w tym samym duchu; jednym słowem, miałem pod dostatkiem wszystkiego, czego może nam dostarczyć nasza zwykła egzystencja.

Ale stopniowo tak mi się to sprzykrzyło i poczułem taki prześyt, że kiedy w nocy kładłem się spać, z przerażeniem myślałem,

że nazajutrz powtórzy się to samo i znowu będę musiał taszczyć to obrzydłe mi «brzemie».

Ów stan wewnętrzny uczynił w końcu moje życie nieznośnym.

Pewnego razu, gdy szczególnie mocno odczuwałem pustkę zwykłej egzystencji; po raz pierwszy przyszło mi do głowy, żeby odebrać sobie życie.

Przez kilka dni rozmyślałem nad tym na zimno i w rezultacie stanowczo postanowiłem to zrobić.

Ostatniego wieczoru, gdy wszedłem do pokoju, gdzie zamierzałem zrealizować swoje postanowienie, przypomniałem sobie nagle, że nie poszedłem zobaczyć po raz ostatni tej, która w połowie była przyczyną stworzenia i ukształtowania się mojego życia.

Przywołałem na pamięć moją matkę, która wówczas jeszcze żyła. I na to wspomnienie wszystko się we mnie poruszyło.

Raptem wyobraziłem sobie, jak ona będzie cierpieć, gdy dowie się o mojej śmierci, na dodatek w takich okolicznościach.

Kiedy ją wspominałem, stanął mi przed oczami obraz kochanej starej matki zupełnie osamotnionej, wzdychającej z rezygnacją i omdlewającej z bólu w nieukojonych cierpieniach, i na myśl o tym zdjęła mnie taka litość, że szlochając, omal się nie udusiłem.

Dopiero wtedy całym swoim jestestwem uświadomiłem sobie, kim jest dla mnie matka i jakim niegasnącym uczuciem powinienem ją darzyć.

Od tamtej pory matka stała się źródłem, z którego czerpałem sens mojego życia.

W dowolnej chwili, czy za dnia, czy w nocy, gdy wspominałem jej drogą mi twarz, nabierałem natychmiast nowych sił i czułem, jak odradza się we mnie chęć do życia oraz uczynienia wszystkiego, co możliwe, aby tylko jej życie mogło płynąć gładko.

Trwało to przez dziesięć lat, aż w końcu, z powodu pewnej bezlitosnej choroby, matka umarła i po raz kolejny zostałem sam.

Po jej śmierci moja wewnętrzna pustka znowu stawiała się każ-

dego dnia coraz bardziej dokuczliwa...”.

W tym miejscu opowieści czcigodny Hadzi-Aswac-Truw, przypadkiem zatrzymawszy wzrok na derwiszu Boga-Eddinie, ponownie zerwał się z miejsca i zwracając się do niego, powiedział:

„Drogi przyjacielu! W imię naszej przyjaźni wybac mi, starcowi, że zapomniałem uśmierzyć ból, który wywołały w tobie złoczynne wibracje fortepianu”.

Powiedziawszy to, usiadł do fortepianu i znowu zaczął uderzać w klawisze; tym razem grał na przemian tylko dwie nuty, jedną z wyższej oktawy, drugą z niższej, i już na samym początku powiedział, niemalże wykrzykując:

„A teraz, dzięki płynącym z dźwięków tego fortepianu – w tej chwili już dobroczynnym – wibracjom, niechaj skończą się cierpienia mojego starego wiernego przyjaciela!”.

I rzeczywiście, nie minęło nawet pięć minut, a twarz derwisza Boga-Eddina znowu się rozjaśniła i po okropnym wielkim czyraku, który jeszcze przed chwilą zdobił jego lewą nogę, nie było już ani śladu.

Derwisz Hadzi-Aswac-Truw ponownie usiadł koło nas i odzyskawszy zewnętrzny spokój, mówił dalej:

„Czwartego dnia po śmierci mojej drogiej matki siedziałem w pokoju ogarnięty rozpaczą, myśląc, co się ze mną teraz stanie.

Właśnie wtedy na ulicy, tuż obok mojego okna, wędrowny derwisz zaczął śpiewać swe święte pieśni.

Gdy wyjrzałem przez okno i zobaczyłem, że śpiewający derwisz ma sędziwą i bardzo dostojną twarz, postanowiłem nagle spytać go o radę i od razu posłałem służącego, aby go do mnie zaprosił.

Kiedy derwisz wszedł do środka i po zwyczajowym powitaniu usiadł na «mindari», opisałem mu stan mojej duszy, niczego przed nim nie tając.

Gdy skończyłem, wędrowny derwisz pogrążył się w zadumie i dopiero po długiej chwili, bacznie mi się przyglądając, wstał z miejsca i powiedział:

«Masz tylko jedno wyjście: poświęcić się religii».

Powiedziawszy to, zaczął iść do drzwi, odmawiając jakąś modlitwę, po czym opuścił mój dom na zawsze.

Po jego odejściu znowu oddałem się rozmyślaniom.

Tym razem rezultatem moich refleksji było to, że jeszcze tego samego dnia postanowiłem nieodwołalnie wstąpić do jakiegoś «bractwa derwiszów», ale nie w rodzinnym kraju, lecz gdzieś dalej.

Już nazajutrz zacząłem dzielić i rozdawać cały mój majątek krewnym oraz ubogim, a po dwóch tygodniach opuściłem na zawsze ojczyznę i dotarłem tutaj, do Buchary.

Zaraz po przybyciu wstąpiłem do jednego z wielu istniejących w tym rejonie bractw derwiszów. Wybrałem to, które słynęło na całą okolicę z surowego trybu życia.

Na moje nieszczęście szybko zawiodłem się na derwiszach tego bractwa i dlatego przenieśliem się do innego bractwa, ale tam powtórzyła się ta sama historia i w końcu wstąpiłem do tego klasztoru, gdzie szejk wyznaczył mi zadanie wymyślenia mechanicznego instrumentu strunowego, o którym mówiłem wam wcześniej.

A jeszcze później – o czym również już wam opowiedziałem – zupełnie pochłonęła mnie nauka o prawach wibracji, którą zajmowałem się aż do dzisiejszego dnia.

Ale teraz ta sama nauka zmusza mnie do przeżywania takiego stanu wewnętrznego, jakiego po raz pierwszy doświadczyłem w przeddzień śmierci mojej matki, do której miłość była dla mnie jedynym ogniskiem ciepła, utrzymującym mnie przez tyle lat przy tym próżnym i obrzydłym mi życiu.

Nawet dzisiaj na myśl o chwili, w której nasi lekarze powiedzieli mi, że moja matka przeżyje najwyżej do jutra, cały zaczynam się trząść.

Wtedy, w tym straszliwym stanie, pierwsze pytanie, jakie sobie zadałem, brzmiało: Jakże będę mógł dalej żyć?!

Co się działo ze mną później, również w przybliżeniu już wam

opowiedziałem.

Jednym słowem, kiedy poświęciłem się nauce o wibracjach, stopniowo odnalazłem swoje nowe bóstwo.

Ta nauka zastąpiła mi matkę. Przez wiele lat była tak samo opiekuńcza, wierna i niezawodna jak moja matka i do dziś żyłem i entuzjazmowałem się wyłącznie jej prawdami.

Do tej pory ani razu się nie zdarzyło, żeby odkryte przeze mnie prawdy o prawach wibracji dały w swych przejawach jakieś inne rezultaty niż dokładnie te, jakich oczekiwałem.

Dzisiaj jednak po raz pierwszy rezultaty, na które czekałem z ufnością, nie pojawiły się.

Najbardziej przeraża mnie to, że akurat dzisiaj wyjątkowo uważnie obliczyłem potrzebne w danym wypadku wibracje, czyli te, które są niezbędne do tego, by zaplanowany czyrak utworzył się na twoim ciele właśnie w tym, a nie innym miejscu.

I oto dzieje się rzecz niewiarygodna. Nie dość, że nie ma go w wyznaczonym miejscu, to jeszcze nie formuje się na żadnej innej części twojego ciała.

Ta nauka, która zastępowała mi dotąd moją wierną matkę, dziś po raz pierwszy mnie zawiodła i w tej chwili czuję w sobie z tego powodu nieopisany smutek.

Dzisiaj mogę jeszcze pogodzić się z tym moim wielkim nieszczęściem, ale co będzie jutro?... tego już zupełnie nie umiem sobie wyobrazić.

A fakt, że dzisiaj potrafię się jeszcze jakoś z tym pogodzić, zawdzięczam jedynie temu, że bardzo mocno utkwily mi w pamięci słowa naszego dawnego wielkiego proroka, «Izajasza-Nura», który powiedział: «Jednostka tylko wtedy nie odpowiada za swe przejawy, gdy jest w agonii».

Najwyraźniej moja nauka, to moje bóstwo i moja druga matka, również «leży w agonii», skoro mnie dzisiaj zawiodła.

Doskonale wiem, że po agonii musi nastąpić śmierć.

A ty, drogi przyjacielu mojego przyjaciela, mimowolnie stałeś

się dziś dla mnie kimś takim jak ci lekarze, którzy w przeddzień śmierci mojej drogiej matki oznajmili mi, że przeżyje ona jeszcze najwyżej jedną dobę.

Jesteś zwiastunem, który obwieszcza mi, że jutro to moje nowe źródło ciepła tak samo wygaśnie.

Znowu ogarniają mnie teraz te same straszne uczucia i doznania, których bez przerwy doświadczałem od chwili, gdy nasi lekarze przepowiedzieli rychłą śmierć matki, aż do jej zgonu.

Tak jak wtedy, tonąc w tych strasznych uczuciach i doznaniach, nie traciłem do końca nadziei, że może jednak ona nie umrze, również w tej chwili tli się we mnie jeszcze coś, co przypomina tamtą nadzieję.

Ech, przyjacielu mojego przyjaciela! Teraz, kiedy poznałeś już stan mojej duszy, szczerze proszę cię, wytłumacz mi, jaka nadprzyrodzona siła sprawiła, że czyrak, który niechybnie powinien utworzyć się na twojej lewej nodze, tam się nie pojawił?

Albowiem wiara w to, że niechybnie powinien się tam utworzyć, już dawno temu stała się we mnie tak niezłomna jak «tuklunajski kamień».

A zrobiła się tak silna i niewzruszona, ponieważ przez blisko czterdzieści lat dniem i nocą badałem te wielkie prawa wibracji świata, i to tak wytrwale, że zrozumienie ich znaczenia oraz warunków ich realizacji stało się niejako moją drugą naturą”.

Wypowiedziawszy te słowa, ten być może już ostatni wielki ziemski mędrzec zaczął wyczekująco patrzeć mi w oczy.

Czy potrafisz sobie wyobrazić, mój drogi chłopcze, sytuację, w jakiej się wtedy znalazłem? Cóż mogłem mu odpowiedzieć?

Ta ziemiska istota już po raz drugi tego dnia postawiła mnie w położeniu, z którego nie umiałem znaleźć żadnego wyjścia.

Do tego nietypowego dla mnie stanu doszła wtedy jeszcze moja istnieniowa „hikdżnapar”, czyli, jak mówią twoi ulubieńcy, „liłość” dla tej ziemskiej istoty trójmózgowej, zwłaszcza że to ja byłem powodem jej cierpienia.

Jednocześnie w pełni zdawałem sobie sprawę, że wystarczyło-

by, abym powiedział starcowi kilka słów, a nie tylko by się uspokoił, lecz także zrozumiałby, że brak czyraka na mojej lewej nodze jeszcze bardziej dowodzi słuszności i wiarygodności uwielbianej przez niego nauki.

Miałem pełne moralne prawo powiedzieć mu prawdę o sobie, ponieważ dzięki swym osiągnięciom stał się już „kalmenuiorem”, czyli taką trójmózgową istotą tej planety, z którą nie zabroniono nam z Góry być szczerymi.

Ale w tamtej chwili nijak nie mogłem tego zrobić w obecności derwisza Hadzi-Boga-Eddina, który ciągle jeszcze był zwykłą ziemską istotą trójmózgową, a członkowie naszego plemienia już od dawna byli zobowiązani z Góry pod przysięgą, nie przekazywać takim istotom żadnych prawdziwych informacji, i to bez względu na okoliczności.

Ów zakaz został wydany, o ile dobrze pamiętani; z inicjatywy Przeświętego Asziaty Szyjemasza.

Obowiązuje on nas przede wszystkim dlatego, że dla trójmózgowych istot twojej planety jedyną niezbędną im rzeczą jest uzyskanie „wiedzy bycia”.

Natomiast każda informacja, nawet prawdziwa, daje z reguły istotom tylko „wiedzę umysłową”, a taka wiedza, jak już ci kiedyś powiedziałem, stanowi zawsze i wyłącznie czynnik ograniczający ich możliwość uzyskania owej „wiedzy bycia”.

A skoro jedynym pozostałym środkiem, który pozwala tym niešťczęsnym trójmózgowym istotom twojej planety całkowicie uwolnić się od następstw właściwości organu kundabufor, jest właśnie „wiedza bycia”, przeto istoty naszego plemienia obowiązane są pod przysięgą przestrzegać takiego zakazu w stosunku do ziemskich istot.

Oto dlaczego, mój chłopcze, nie zdecydowałem się wtedy w obecności derwisza Hadzi-Boga-Eddina wyjaśnić temu szlachetnemu ziemskiemu mędrcomu Hadzi-Aswac-Truwowi prawdziwej przyczyny jego niepowodzenia.

Ponieważ jednak obaj derwisze czekali cały czas na moją odpo-



wieść, musiałem im coś odrzec, toteż zwracając się do Hadzi-Aswac-Truwa, powiedziałem mu na razie tylko tyle:

„Czcigodny Hadzi-Aswac-Truwie! Jeśli się zgodzisz, żebym odpowiedział ci nie teraz, lecz nieco później, to przysięgam na przyczynę mojego powstania, że udzielię ci odpowiedzi, która cię w pełni zadowoli. Przekonasz się wtedy nie tylko, że twoja ukochana nauka jest najprawdziwszą ze wszystkich nauk, ale również że od czasu świętego Czun-Kil-Teza i świętego Czun-Tro-Peła jesteś największym ziemskim uczniem”.

Wysłuchawszy mojej odpowiedzi, czcigodny derwisz Hadzi-Aswac-Truw przyłożył tylko prawą rękę do miejsca, gdzie u ziemskich istot znajduje się serce, a taki gest w tamtym regionie oznacza: „Mam nadzieję i wierzę ponad wszelką wątpliwość”.

Następnie jakby nigdy nic zwrócił się do derwisza Boga-Eddina i znów zaczął mówić o nauce Szat-czaj-mernis, a wtedy ja, żeby ostatecznie zatuszować całe nieporozumienie, wskazując na niszę jaskini, w której wisały wielobarwne zwoje jedwabiu, zapytałem go:

„Wielce czcigodny Hadzi! Co to za materiały są rozwieszane tam w niszy?”.

Odpowiedział mi, że te kolorowe tkaniny także służą do jego doświadczeń z wibracjami, a potem dodał:

„Całkiem niedawno udało mi się zrozumieć, które kolory i w jakim stopniu szkodzą swoimi wibracjami zarówno ludziom, jak i zwierzętom.

Jeśli chcecie, to zademonstruję wam również to niezwykle interesujące doświadczenie”.

Powiedziawszy to, wstał i znowu poszedł do sąsiedniej części jaskini, z której wkrótce przyprowadził – tym razem przy pomocy małego chłopca – tamtejsze czworonożne istoty o nazwie „pies”, „baran” i „koza”, a po chwili przyniósł jeszcze kilka dziwnie wyglądających przyrządów, przypominających bransolety.

Jedną z tych szczególnych bransolet włożył na ramię derwisza Boga-Eddina, a drugą na własne ramię i zwracając się do mnie,

dodał mimochodem:

„Na ciebie nic nie wkładam... bo mam ku temu pewne istotne powody”.

Następnie na szyję kozy, barana i psa założył, jak obroże, po jednym z tych dziwnych aparatów i pokazując umieszczone na nich wibrometry, poprosił, żebyśmy zapamiętali lub zapisali wszystkie liczby wskazywane przez strzałki wibrometrów u każdej z tych odmiennie wyglądających istot.

Odczytaliśmy więc pomiary z pięciu wibrometrów i zapisaliśmy je na zszytych kartkach lub, jak mówią tam, w „zeszytach”, które wręczył nam chłopiec.

Potem derwisz Hadzi-Aswac-Truw znowu usiadł na wojłoku i powiedział:

„Każda forma «życia» ma właściwą tylko sobie «sumę» wibracji, która reprezentuje całokształt wibracji wytwarzanych we wszystkich określonych organach danej formy życia. W każdym «życiu» ta suma nieustannie się zmienia i zależy od tego, z jaką intensywnością te różnorodne wibracje są przekształcane przez odpowiednie źródła lub narządy.

W obrębie jednego całego życia wszystkie te niejednorodne i powstałe z różnych przyczyn wibracje zlewają się zawsze w ogólny subiektywny jak to się mówi, «akord wibracji» danego życia.

Weźmy choćby za przykład mojego przyjaciela Boga-Eddina i mnie samego.

Zobacz..? – i pokazując mi odczyt wibrometru, który trzymał w ręce, kontynuował:

„Ja mam w sumie taką liczbę wibracji, a mój przyjaciel Boga-Eddin ma ich o tyle więcej.

Dzieje się tak, ponieważ jest ode mnie o wiele młodszy i niektóre jego narządy funkcjonują znacznie intensywniej niż moje, a to powoduje, że powstają w nim odpowiednie wibracje, które są także intensywniejsze od moich.

Spójrz teraz na liczby na wibrometrach psa, barana i kozy.

Suma wibracji psa jest trzy razy większa niż u barana i półtora raza większa niż u kozy, podczas gdy liczba wibracji w ogólnym akordzie wibracji tego psa jest tylko nieznacznie mniejsza od mojej i mojego przyjaciela.

Muszę przy okazji zaznaczyć, że szczególnie ostatnimi czasy można spotkać wielu ludzi, którzy w subiektywnym akordzie wibracji swojej zbiorczej obecności nie mają nawet takiej liczby wibracji jak ta stwierdzona w obecności tego psa.

A stało się tak, ponieważ u większości z nich jedna z funkcji – mianowicie funkcja emocji wytwarzająca największą liczbę subiektywnych wibracji – już prawie zupełnie zanikła i ich suma akordu wibracji jest przez to mniejsza niż u tego psa”.

Wypowiedziawszy te słowa, czcigodny Hadzi-Aswac-Truw znowu wstał i ruszył w kierunku miejsca, gdzie wisiły wielobarwne materiały.

Następnie zaczął po kolei rozwijać te różnobarwne zwoje „bucharskiego jedwabiu” przy czym, wzięwszy tkaninę określonego koloru, pokrywał nią za pomocą specjalnie skonstruowanych wałków nie tylko ściany i strop tej części jaskini, lecz nawet posadzkę, wskutek czego całe pomieszczenie zdawało się być udrapowane w materiał tego koloru. I każdy z tych kolorowych materiałów zmieniał sumę wibracji wszystkich form „życia”.

Po doświadczeniach z barwnymi tkaninami ten wielki współczesny ziemski uczoney poprosił, abyśmy podążyli za nim, i kiedy opuściliśmy już tę część jaskini, wpięrow znaleźliśmy się ponownie w głównym przejściu, a następnie weszliśmy do małego bocznego korytarza.

Za nami wlokły się koza, baran i pies ze swymi zaimprovizowanymi obrożami.

Szliśmy dość długo, aż w końcu dotarliśmy do głównej części tych podziemnych obszarów.

Tam czcigodny Hadzi-Aswac-Truw podszedł do jednej z nisz owego wielkiego pomieszczenia i wskazując na ogromną stertę materiału w bardzo dziwnym kolorze, rzekł:

„Ów materiał został specjalnie utkany z włókien rośliny «czał-tanrd» i zachował naturalny kolor.

Roślina czał-tanrd to jedna z nielicznych formacji na Ziemi, której kolor nie tylko nie powoduje zmiany w wibracjach pobliskich źródeł, lecz także ona sama jest całkowicie obojętna na wszystkie inne wibracje.

To dlatego specjalnie zamówiłem ten materiał do moich doświadczeń z wibracjami, które powstają z innych źródeł niż barwy, i zrobiłem z niego coś w rodzaju dużego «namiotu», przystosowanego w taki sposób, żeby zajmował całą tę powierzchnię albo żeby można go było przestawiać we wszystkie strony i układać w dowolny kształt.

Korzystając z tego oryginalnego namiotu, przeprowadzam obecnie doświadczenia, które nazywam «architektonicznymi». Dzięki nim mogę ustalić, jakiego rodzaju pomieszczenia i w jakim stopniu oddziałują szkodliwie na ludzi oraz na zwierzęta.

Te eksperymenty architektoniczne w pełni przekonały mnie nie tylko o tym, że zarówno rozmiar, jak i ogólny kształt pomieszczenia wywierają faktycznie ogromny wpływ na ludzi i zwierzęta, lecz również że wszystkie «wygięcia», «kąty», «występy», «załamania» ścian itp. wywołują zmianę w wibracjach pojawiających się w atmosferze danego wnętrza i zawsze przyczyniają się do polepszenia lub pogorszenia subiektywnych wibracji zwierząt i ludzi, którzy się w nim znajdują”.

Kiedy więc zaczął już przeprowadzać doświadczenia z tym dużym namiotem, odnotowałem między innymi, że dookolne wibracje, które ulegają zmianom pod wpływem różnych lokalnych przyczyn, o wiele silniej oddziałują na zbiorcze obecności owych przypadłych ci do gustu trójmózgowych istot niż na tamtejsze istoty jednomózgowe i dwumózgowe.

Oczywiście to również jest wynikiem tych wszystkich nienormalnych wewnętrznych i zewnętrznych warunków ich zwykłej egzystencji istnieniowej.

Po tych doświadczeniach architektonicznych zaprowadził nas

jeszcze do innego małego pomieszczenia, gdzie zademonstrował nam wiele eksperymentów, dzięki którym mogliśmy wyraźnie zobaczyć i zrozumieć, jakie różnorodny przyczynowe wibracje – i w jaki sposób – oddziałują na „subiektywne akordy wibracji” twoich ulubieńców.

W trakcie tych samych doświadczeń mogliśmy również przyjąć się rezultatom wibracji wytwarzanych przez promieniowania zarówno różnego typu istot trójmózgowych, jak i istot dwumózgowych oraz jednomózgowych, a także wibracji wywołanych przez ich głosy i przez wiele innych czynników przyczynowych.

Między innymi pokazał nam i wyjaśnił kilka eksperymentów dowodzących szkodliwego działania na tamtejsze współczesne istoty takich czynników, które szczególnie w ostatnich czasach one same, jak gdyby naumyślnie, tworzą w dużej ilości, a mianowicie tego, co nazywają „dziełami sztuki”.

Wśród tych ostatnich znajdowały się „obrazy”, „posążki” i oczywiście ich słynne „kompozycje muzyczne”.

Ze wszystkich eksperymentów zaprezentowanych przez tego mędrca jasno jednak wynikało, że najbardziej szkodliwe dla tamtejszych współczesnych istot trójmózgowych są wibracje wytwarzane w nich przez tak zwane lekarstwa.

W podziemnych posiadłościach tej naprawdę uczonej istoty gościłem cztery ziemskie dni, po czym powróciłem z derwiszem Boga-Eddinem do tego samego bucharskiego miasta, z którego pierwotnie wyruszyliśmy, i w ten sposób dobiegło końca moje pierwsze spotkanie z tym, można by rzec, nadzwyczajnym dla twojej „Ziemi” człowiekiem.

W ciągu owych czterech dni pokazał nam i wyjaśnił jeszcze wiele innych rzeczy związanych z „prawami wibracji” Jednakże mnie najbardziej zainteresowało wyjaśnienie, którego udzielił nam na samym końcu, a które miało związek z tym, jak i dlaczego w tych jego podziemnych posiadłościach – położonych w tak dziwnej okolicy i z dala od jakiegokolwiek zbiorowości tamtejszych

współczesnych istot – znalazło się oświetlenie gazowe i elektryczne.

W czasie tej opowieści owa niezwykle sympatyczna ziemska istota trójmózgowa, wyjaśniając nam pewien fakt, nie mogła nad sobą zapanować i nagle popłynęły jej z oczu szczerze łzy, co tak mnie wtedy poruszyło, że do dziś nie potrafię tego zapomnieć.

Informacje o pewnych danych, które w pełnym świetle ukazała jego opowieść, mogą ci posłużyć w trakcie dalszej egzystencji za dobry materiał do przeprowadzania odpowiednich zestawień, a także pomóc zrozumieć wszystkie rezultaty tego, co zwie się „losem subiektywnym”, to znaczy takie rezultaty, które generalnie występują w naszym Wielkim Megalokosmosie wszędzie tam, gdzie powstaje i egzystuje razem duża liczba względnie samodzielnych indywiduów.

W tego rodzaju wspólnotach często się zdarza, że dla niektórych indywiduów w procesie ich osobistej egzystencji „los” okazuje się absolutnie niesprawiedliwy, ale to właśnie dzięki temu pozostałe istoty, które z nimi współżyją, mogą zbierać – w sensie obiektywnym – obfite i sprawiedliwe plony.

Dlatego też chcę ci jak najdokładniej zrelacjonować jego opowieść i postaram się nawet powtórzyć ją słowo w słowo, niczego nie zmieniając.

Wydarzyło się to tuż przed opuszczeniem przez nas owych podziemnych przestrzeni, czyli tego miejsca na twojej planecie, gdzie przekonałem się między innymi, że rezultaty osiągnięć rozumu przodków współczesnych istot trój mózgowych nie zostały jeszcze do końca zaprzepaszczone. Chociaż kolejne pokolenia istot tej dziwnej planety przestały świadomie przetwarzać w sobie kosmiczne prawdy odkryte przez ich przodków, jednak owe prawdy – które zresztą, z powodu ich nienormalnej egzystencji istnieniowej, nie rozwijały się dalej, jak to się dzieje wszędzie indziej – skupiły się automatycznie w tym dziwnym podziemnym królestwie twojej planety, czekając na to, aż trójmózgowe istoty przyszłych pokoleń jeszcze bardziej je udoskonalą i uszczegółowią.

Kiedy więc zapytałem czcigodnego Hadzi, w jaki sposób to gazowe i elektryczne oświetlenie znalazło się w jego podziemnym królestwie, odpowiedział mi tak:

„Te dwa rodzaje oświetlenia pochodzą z zupełnie różnych źródeł i każde z tych oświetleń ma własną oddzielną historię.

Oświetlenie gazowe istniało tu od samego początku i zostało zainstalowane z inicjatywy mojej oraz mojego starego przyjaciela derwisza Kerbalaj-Azis-Nuarana.

Jeśli zaś chodzi o oświetlenie elektryczne, to pojawiło się tu całkiem niedawno i inicjatorem jego założenia był również jeden z moich przyjaciół, pewien całkiem jeszcze młody Europejczyk.

Sądzę, że najlepiej będzie, jeśli każdą z tych historii opowiem ci oddzielnie.

Zacznę od oświetlenia gazowego.

Na samym początku, zaraz po tym, jak się tutaj przenieśliśmy, niedaleko stąd znajdowało się pewne święte miejsce zwane «Świątą Grotą», do którego w tamtym czasie ściągali z całego Turkiestanu rozmaici «pielgrzymi» i «pątnicy».

Podanie ludowe o tym świętym miejscu głosiło, że ponoć kiedyś żył w owej grocie słynny «Chidreliasz», który został później wzięty «żywcem» do nieba.

W tym samym podaniu była jeszcze mowa o tym, że został on wzięty do nieba tak nieoczekiwanie, iż nawet nie zdążył zgasić ognia oświetlającego jego grotę.

Moc tego ostatniego wierzenia potęgował fakt, że w owej grocie rzeczywiście palił się «niegasnący ogień».

Tak więc, przyjacielu mojego przyjaciela!

Ani ja, ani mój przyjaciel derwisz Kerbalaj-Azis-Nuaran nie mogliśmy dać wiary temu popularnemu wierzeniu i postanowiliśmy sami odkryć prawdziwą przyczynę tego wyjątkowego zjawiska.

Dysponując zarówno wystarczającymi środkami materialnymi, jak i odpowiednimi warunkami, aby zbadać to zjawisko bez

ingerencji osób postronnych, zaczęliśmy szukać źródła jego powstania.

Okazało się, że w pobliżu grotty przepływał podziemny strumień obmywający złożę minerałów i to właśnie połączone działanie tych minerałów powodowało w kontakcie z wodą wydzielanie się gazu palnego, który jakimś trafem znalazł ujście przez szczeliny w podłożu grotty.

A zatem niewątpliwie to właśnie ów gaz, który przypadkowo się zapalił, był przyczyną tego odkrytego tam «niegasnącego ognia».

Gdy z moim przyjacielem zdaliśmy sobie z tego sprawę i jednocześnie udało się nam ustalić, że źródło tego strumienia leży niedaleko naszej jaskini, postanowiliśmy, że także do niej doprowadzimy sztucznie ów gaz.

Od tamtej pory płynie on przez ceramiczne rury, które sami przeprowadziliśmy, i dociera do głównej części naszej jaskini, skąd rozprowadzany jest dalej za pomocą «bambusów» zgodnie z istniejącym tutaj zapotrzebowaniem.

Jeśli zaś chodzi o pojawienie się w naszej jaskini oświetlenia elektrycznego, to jego historia jest następująca:

Pewnego dnia, wkrótce po tym, jak się tutaj urządziliśmy, odwiedził mnie z polecenia mojego starego przyjaciela, również derwisza, bardzo młody europejski podróżnik, który chciał mnie poznać i porozmawiać o tej interesującej mnie kwestii praw wibracji.

Szybko się z nim zaprzyjaźniłem, gdyż okazało się, że bardzo poważnie zajmował się poszukiwaniem prawdy, a ponadto był niezwykle miły i «wrażliwy na słabości każdego bez wyjątku».

Zajmował się badaniem praw wibracji w ogóle, ale jego studia skupiały się głównie na wibracjach, które przyczyniają się do powstawania u ludzi różnych chorób.

W trakcie tych prac badawczych udało mu się wyjaśnić między innymi, jakie są przyczyny powstawania u ludzi choroby, znanej tam pod nazwą «rak», i znalazł również sposób na zniszczenie



w nich tego złośliwego tworu.

Otóż stwierdził, a następnie udowodnił w praktyce, że każdy człowiek, zakładając, że będzie prowadził ustalony tryb życia i poczyni pewne przygotowania, może świadomie wytworzyć w sobie wibracje, które potrafią – pod warunkiem że chorego będzie się nasycać nimi w określony sposób i w wyznaczonych chwilach – całkowicie zniszczyć tę straszną chorobę.

Przez długi czas po naszym rozstaniu nie mieliśmy okazji do ponownego spotkania, ale pozostawaliśmy zawsze w kontakcie.

W ten sposób dowiedziałem się, że mój młody przyjaciel, wkrótce po tym, jak mnie odwiedził, ożenił się w swoim rodzinnym kraju i przez następne lata żył ze swoją żoną w atmosferze, jak się mówi u nas w Azji, «miłości rodzinnej i wzajemnego moralnego wsparcia».

Szczególnie interesowały mnie te wieści od niego, które dotyczyły rezultatów, jakie osiągnął, szukając sposobu zniszczenia w ludziach bezpośrednich przyczyn powstawania wibracji będących źródłem krystalizowania się danych wywołujących wspomnianą chorobę, a to dlatego, że owe przyczyny miały ścisły związek z tymi przyczynami tworzenia się wibracji, których wyjaśnienie stało się w ostatnim czasie główną pasją mojego życia.

Chociaż wiedziałem, że nie znalazł jeszcze ogólnie dostępnego remedium na tę chorobę, to jednocześnie często przez ten czas docierały do mnie wiarygodne słuchy, że do leczenia osób dotkniętych ową chorobą stosował pewien wynaleziony przez siebie sposób – na razie dla innych niedostępny – dzięki któremu udawało mu się za każdym razem całkowicie zniszczyć tę strasliwą ludzką zarazę.

Otrzymałem wtedy bardzo rzetelne informacje o pomyślnych rezultatach, jakie uzyskał w kilkudziesięciu przypadkach.

Później tak jakoś wyszło, że z przyczyn od nas obu niezależnych przez mniej więcej dziesięć lat nie docierały do mnie żadne wieści o tym młodym Europejczyku.

Już niemal zupełnie zapomniałem o jego istnieniu, gdy pewne-

go dnia, kiedy byłem szczególnie pochłonięty swoimi zajęciami, usłyszałem, że ktoś użył naszego tajnego sygnału, a kiedy wykrzyknąłem: kto tam?, od razu rozpoznałem jego głos. Prosił, żebym otworzył mu drogę prowadzącą do naszych podziemnych posiadłości.

Nie muszę dodawać, że obaj bardzo się ucieszyliśmy z powtórnego spotkania i z tego, że znowu możemy wymieniać opinie na temat naszej ukochanej wiedzy o «prawach wibracji».

Gdy podniecenie wywołane ponownym spotkaniem opadło i rozpakowaliśmy już wszystkie rzeczy przywiezione na wielbłądach przez mojego przyjaciela – wśród których, warto wspomnieć, znajdował się słynny współczesny europejski «aparat Roentgena», prawie pięćdziesiąt «ogniw bunsenowskich», kilka «akumulatorów» i parę beli różnych materiałów do «instalacji elektrycznej» – zaczęliśmy spokojnie rozmawiać i z opowieści o jego życiu dowiedziałem się z wielkim smutkiem rzeczy następującej:

Kilka lat wcześniej, gdy zgodnie z ogólnoswiatowymi prawami, niemal wszędzie na Ziemi zaistniały takie lokalne warunki i okoliczności, że ludzie przestali być pewni jutra i nie mogli liczyć na dach nad głową, niespodziewanie zauważył on u swojej ukochanej żony symptomy tej straszliwej choroby, której leczenie stało się w ostatnim czasie jednym z głównych celów jego egzystencji.

Najbardziej przeraziło go to, że panujące dookoła warunki nie dawały mu żadnej możliwości wykorzystania w celu zniszczenia tej straszliwej choroby metody leczenia, którą odkrył i jak dotąd tylko sam mógł zastosować.

Kiedy po tym upiornym spostrzeżeniu doszedł trochę do siebie, podjął jedyną możliwą decyzję: cierpliwie czekać na lepsze czasy, a tymczasem starać się stworzyć żonie takie warunki, w jakich ta straszna choroba postępowałaby w jak najwolniejszym tempie.

Minęły ponad dwa lata. W tym czasie ogólna sytuacja polepszyła się i mój młody przyjaciel mógł w końcu przygotować się do zastosowania tej, jemu tylko znanej, metody leczenia owej strasznej

choroby.

Ale w trakcie tych przygotowań, pewnego smutnego dlań dnia, przechodząc przez ulicę jednego z wielkich europejskich miast, na której panował ścisk z powodu jakiejś demonstracji, wpadł pod samochód i chociaż nie zginął na miejscu, to doznał bardzo poważnych obrażeń ciała.

Wskutek tych obrażeń przez kilka miesięcy pozostawał w «stanie nieprzytomności», a ponieważ nie mógł świadomie i celowo kierować zwykłym życiem swojej żony, ta straszliwa choroba zaczęła wtedy postępować w niej w przyspieszonym tempie – zwłaszcza że w okresie jego rekonwalescencji żona, ogarnięta ciągłym niepokojem, opiekowała się nim, w ogóle się nie oszczędzając.

A więc kiedy mój biedny przyjaciel odzyskał w końcu świadomość, przerażony od razu zauważył, że proces choroby jego żony osiągnął już końcowe stadium.

Cóż tu począć?... Co jeszcze można zrobić?... Skutki odniesionych obrażeń nadal nie pozwalały mu na przygotowanie się i wypracowanie w sobie wibracji o takiej jakości, jakie były niezbędne do tego, by mógł zastosować wynaleziony przez siebie sposób unicestwienia w człowieku tej straszliwej choroby.

Nie widząc innej możliwości, postanowił uciec się do metody, którą leczyli tę chorobę przedstawiciele współczesnej medycyny europejskiej i dzięki której rzekomo można, ich zdaniem, tę chorobę w człowieku zniszczyć.

Innymi słowy, postanowił użyć tak zwanych promieni X.

Zaczął się więc leczenie tymi promieniami.

W trakcie kuracji zauważył, że chociaż główna «koncentracja», czyli «środek ciężkości» choroby w ciele jego żony, zaczęła jakby «ulegać atrofii», to jednocześnie podobna koncentracja utworzyła się w zupełnie innej części jej ciała.

Po kilku miesiącach regularnych, jak je zwą w Europie, «seansów», jeszcze jedna taka samodzielna koncentracja pojawiła się w kolejnym miejscu jej ciała.

Aż w końcu któregoś smutnego dnia okazało się, że dni chorej są już policzone.

W obliczu takiej okropności mój młody przyjaciel postanowił całkowicie zrezygnować ze wszystkich tych „wymądrzań” współczesnej medycyny europejskiej i nie bacząc na własny stan, zaczął wytwarzać w sobie odpowiednie wibracje, a następnie nasycać nimi ciało chorej.

Chociaż – na przekór niemal nieprzezwyciężalnym trudnościom – udało mu się przedłużyć egzystencję żony o prawie dwa lata, w końcu jednak zmarła ona na tę straszliwą ludzką chorobę.

Warto zaznaczyć, że w ostatnim stadium choroby, kiedy przestał już stosować wymądrzenia medycyny europejskiej, odkrył w ciele żony jeszcze dwie inne takie samodzielne koncentracje.

Gdy po tym straszliwym epilogu mój młody przyjaciel doszedł trochę do siebie, znowu zaczął poświęcać część czasu swym ukochanym studiom i badaniom wielkich praw ogólnoświatowych, próbując przede wszystkim się dowiedzieć, dlaczego w trakcie leczenia raka promieniami X pojawiły się w ciele jego żony te zauważone przez niego samodzielne koncentracje, które normalnie nie powinny tam występować i których w ciągu wieloletnich obserwacji nigdy wcześniej nie widział.

Ponieważ w warunkach, które panowały w miejscu jego zamieszkania, rozwiązanie tej interesującej go kwestii okazało się skomplikowane czy wręcz niewykonalne, postanowił przyjechać do mnie, aby z moją pomocą wyjaśnić ją tutaj doświadczalnie.

Oto dlaczego przywiózł ze sobą te wszystkie materiały niezbędne do tego rodzaju eksperymentów badawczych.

Już następnego dnia oddałem mu do dyspozycji część naszych podziemnych posiadłości oraz kilka tak zwanych salkamurskich kóz, a także wszystko, co mogło mu się przydać do prowadzenia doświadczeń.

W ramach różnych przygotowań już na wstępie uruchomił za pomocą ogniów bunsenowskich aparat Roentgena.

I tak zaledwie trzy dni po jego przybyciu zainicjowane zostało

to, co stało się przyczyną pojawienia się w naszych jaskiniach stałego oświetlenia elektrycznego.

A zaczęło się to w następujący sposób:

W trakcie prowadzenia pewnych eksperymentów, gdy obliczaliśmy za pomocą moich wibrometrów wibracje prądu elektrycznego, który wytwarza promienie X w aparacie Roentgena, zauważyliśmy od razu, że liczba wibracji prądu elektrycznego produkowanego przez ogniwa bunsenowskie ciągle wzrasta lub maleje, a ponieważ dla naszych badań rzeczą niezwykle istotną było uzyskanie stałej liczby wibracji w danym przedziale czasowym przepływu prądu, zdaliśmy sobie sprawę, że ten rodzaj prądu elektrycznego zupełnie nie nadaje się do naszych doświadczeń.

To spostrzeżenie bardzo zniechęciło i zmartwiło mojego młodego przyjaciela.

Z miejsca przerwał rozpoczęte eksperymenty i zaczął rozmyślać.

Przez następne dwa dni nie przestawał myśleć i to nawet wtedy, gdy jadł.

Pod koniec trzeciego dnia szliśmy razem do miejsca, w którym zwykle spożywaliśmy posiłki, i właśnie przechodziliśmy przez mały most zbudowany nad podziemnym strumieniem w głównej części naszej jaskini, gdy nagle on zatrzymał się i waląc się w głowę, wykrzyknął w podnieceniu: «Eureka!»...

Następstwem tego jego okrzyku było to, że nazajutrz z pomocą kilku wynajętych Tadżyków zaczął transportować z różnych starych i opuszczonych pobliskich kopalni bryły trzech rodzajów «rud» – wybrane spośród największych, jakie dało się jeszcze przenieść – aby rozmieścić je w pewnym porządku na dnie naszego podziemnego strumienia.

Potem, gdy te rudy znalazły się już na dnie, zainstalował w strumieniu dwa bieguny i w bardzo prosty sposób połączył je z przywiezionymi przez siebie akumulatorami, które trochę zmodyfikował. W rezultacie do tych akumulatorów zaczął płynąć prąd elektryczny o pewnym natężeniu.

Kiedy zaś po dwudziestu czterech godzinach podłączyliśmy nasze wibrometry do uzyskanego w ten sposób prądu elektrycznego, okazało się, że choć jego natężenie wciąż było niewystarczające, to w trakcie jego przepływu przez wibrometry liczba wytwarzanych przez niego wibracji nie uległa w ogóle żadnym zmianom.

Aby zwiększyć siłę prądu elektrycznego otrzymywanego w ten oryginalny sposób, mój przyjaciel zbudował z różnych materiałów – a konkretnie z kozich skór, określonego rodzaju «gliny», rozkruszonej «rudy cynku» oraz «żywicy sosnowej» – «kondensatory» i dzięki nim uzyskał prąd elektryczny o natężeniu i napięciu nadającym się do obsługi aparatu Roentgena, który przywiózł ze sobą.

Korzystając z tego nietypowego źródła prądu elektrycznego, ostatecznie ustaliliśmy, co następuje:

Chociaż zastosowanie tego współczesnego wymysłu do leczenia wspomnianej strasznej choroby prowadzi do zaniku w całym ciele człowieka jej „środków ciężkości” niemniej taka kuracja bardzo sprzyja powstawaniu «przerzutów» w niektórych gruczołach, a także ułatwia rozsianie i szybki rozwój nowych ognisk choroby.

A zatem, przyjacielu mojego przyjaciela!

Usatysfakcjonowany tymi wyjaśnieniami mój młody przyjaciel przestał interesować się kwestią, która do tej pory nieustannie go pochłaniała, i powrócił do domu, do Europy, zostawiwszy nam do użytku stworzone przez siebie źródło światła, które nie wymagało żadnego doglądu ani dodatkowego materiału z zewnątrz, my natomiast od tego czasu, wszędzie tam, gdzie było to nam potrzebne, zaczęliśmy po trochu instalować w naszych jaskiniach lampy elektryczne.

Wprawdzie to oryginalne źródło nie jest w stanie wytworzyć wystarczającej energii dla wszystkich lamp, które zainstalowaliśmy w naszych pieczarach, ale dzięki temu, że wszędzie umieściliśmy wyłączniki, korzystamy z tej energii tylko wtedy, gdy jest

nam potrzebna, i nigdy jej nie marnujemy, lecz stopniowo gromadzimy ją w akumulatorach, czasem w takiej ilości, że zamontowaliśmy już nawet specjalne urządzenia, aby móc wykorzystać jej nadwyżkę na różne nasze domowe potrzeby”.

W tym miejscu opowieści Belzebuba wszyscy pasażerowie międzyukładowego statku „Karnak” poczuli wewnątrz ust coś w rodzaju słodko-gorzkiego smaku.

Oznaczało to, że statek „Karnak” zbliża się właśnie do pewnej planety, a mianowicie planety Deskaldino, miejsca swego nieoczekiwanego postoj.

Belzebub przerwał więc opowieść i, podobnie jak Ahun i Hassin, poszedł do swojego „keszu”, aby przygotować się do lądowania na planecie Deskaldino.

**PRZYPIS AUTORA:** Jeśli przypadkiem ktoś zainteresuje się ideami, które poruszyłem w tym rozdziale – i to zainteresuje się nimi poważnie, a nie „po łebkach”, jak to mają w zwyczaju ludzie współcześni – i jeśli owa osoba ma psychiczne, moralne, fizyczne i materialne dane, których jakość jest w moim pojęciu zadowalająca, to radzę jej i nalegam, by w pierwszej kolejności postarała się ze wszystkich sił spełnić wszelkie warunki stawiane temu, kto chce mieć możliwość zasłużenia na tytuł „pełnoprawnego ucznia” w moim „uniwersalnym laboratorium”, które po ukończeniu wszystkich moich pism zamierzam otworzyć przy głównym oddziale placówki związanej z ostatnią fazą mojej aktywnej działalności dla ogólnoludzkiego dobra.

## Rozdział 42

### *Belzebub w Ameryce*

Dwa dionoski później, gdy międzyukładowy statek „Karnak” znowu zaczął opuszczać się coraz niżej i żarliwi adepci naszego czcigodnego Mułły Nasr Eddina usiedli na swych stałych miejscach, Hassin zwrócił się ponownie do Belzebuba następującymi słowami:

– Mój drogi dziadku! Pozwól, że zgodnie z twoją prośbą przypomnę ci o... trójmózgowych istotach... planety Ziemia... no tych... jak im tam? ...o tych istotach, które powstają i egzystują po zupełnie przeciwległej stronie tego miejsca, gdzie kwitnie tamtejsza współczesna cywilizacja i po mistrzowsku, jak mówiłeś, tańczą „fokstrota”.

– Masz na myśli Amerykanów?

– Otóż to, właśnie o tych Amerykanach! – z radością wykrzyknął Hassin.

– Tak, przypominam sobie... faktycznie przyrzekłem, że opowiem ci też co nieco o tych tamtejszych współczesnych wesołkach.

I Belzebub rozpoczął tak:

– Tę część powierzchni twojej planety zwaną obecnie „Ameryką Północną” odwiedziłem tuż przed tym, jak po raz ostatni opuściłem ów układ słoneczny.

Udałem się tam z miasta Paryż na kontynencie Europa, które w ostatnim okresie stało się miejscem mojej egzystencji.

Z kontynentu Europa odpłynąłem na komfortowym parowcu, jak czynią to zresztą wszyscy współcześni „posiadacze dolarów”, i przybyłem do stolicy Ameryki Północnej, miasta Nowy Jork lub, jak czasem się tam mówi, „miasta-tygla wszystkich ziemskich narodowości”.



Z portu udałem się prosto do hotelu zwanego „Majestic”, który zarekomendował mi jeden z moich paryskich znajomych i który z jakiegoś powodu był także nazywany, wprawdzie nieoficjalnie, „hotelem żydowskim”.

Ulokowawszy się w „Majesticu”, czyli „hotelu żydowskim”, jeszcze tego samego dnia zacząłem poszukiwania pewnego tamtejszego „mistera”, którego polecił mi inny paryski znajomy.

Słowem „mister” określa się na tym kontynencie każdą istotę płci męskiej, która nie nosi tak zwanej spódnicy.

Kiedy stawilem się u tego mistera, do którego miałem list polecający, on, jak przystało na każdego prawdziwego amerykańskiego biznesmena, był zavalony niezliczonymi, jak się tam mówi, „dolarowymi interesami”.

Myślę, że nie zaszkodzi, jeśli już na samym początku moich wyjaśnień dotyczących owych Amerykanów zaznaczę, że prawie wszystkie współczesne istoty trójmózgowe, które reprezentują rdzenną ludność tej części powierzchni twojej planety, zajmują się wyłącznie takimi dolarowymi interesami.

A co się tyczy innych rzemiosł i „fachów” niezbędnie potrzebnych w procesie egzystencji istnieniowej, to wykonują je wyłącznie te istoty, które na jakiś czas przybyły tam z innych kontynentów w celach, jak to się mówi, „zarobkowych”.

Pod tym względem warunki zwykłej egzystencji istnieniowej twoich współczesnych ulubieńców, zwłaszcza tych mających siedlisko na tym kontynencie, przekształciły się, by tak rzec, w „tralalualalala” czy, jak powiedziała by nasz szacowny nauczyciel Mułła Nasr Eddin, w „bańkę mydlaną, która może przetrwać długo tylko w spokojnym środowisku”.

Obecnie tamtejsze warunki zwykłej zbiorowej egzystencji wyglądają u nich tak, że gdyby z jakiegoś powodu ci „zawodowi specjaliści” wszystkich kategorii, którzy do tej zbiorowej egzystencji są niezbędni, przestali przyjeżdżać do nich z innych kontynentów „na zarobek”, to można śmiało stwierdzić, że w ciągu miesiąca załamałby się cały ustalony porządek ich zwykłego bytowania,

bo nawet nie byłoby komu upiec chleba.

Głównej przyczyny stopniowego pojawienia się wśród nich takiej anomalii można się dopatrywać z jednej strony w ustanowionym przez nich samych prawie, które reguluje zasady postępowania rodziców w stosunku do swoich dzieci, a z drugiej strony w zakładaniu w każdej szkole „kasy oszczędności dolarowych” mającej zaszczepić w dzieciach miłość do dolarów.

To właśnie dlatego i jeszcze z powodu paru innych, także ustanowionych przez nich samych, szczególnych warunków zewnętrznych ich zwykłej egzystencji w zbiorczej obecności każdego mieszkańca tego kontynentu od chwili osiągnięcia odpowiedzialnego wieku podstawową siłą napędową jego „gorączkowej egzystencji” staje się miłość do „robienia dolarowych interesów” i do samego dolara.

Oto dlatego każdy z nich jest zawsze zajęty robieniem co najmniej kilku dolarowych interesów naraz.

Tak więc wspomniany mister, do którego miałem list polecający, też był bardzo zajęty takimi dolarowymi interesami, ale mimo to przywitał mnie niezwykle serdecznie. Kiedy przeczytał przedłożony mu list, od razu rozpoczął się w nim dziwny proces – na który nawet zwróciło już uwagę paru twoich ulubieńców i który stał się nieodłączną cechą istot współczesnych – zwany przez nich samych „nieświadomym nadymaniem się”.

Ów proces zaszedł w nim dlatego, że w przekazanym mu przeze mnie liście powoływano się na pewnego mistera, jednego z moich znajomych, który w opinii wielu, w tym także adresata, uważany był za, jak mówi się tam za plecami, „spryciarza pierwszej wody”, to znaczy „dolarowego machera”.

Wprawdzie wspomniana właściwość charakteryzująca twoich współczesnych ulubieńców całkowicie nim owładnęła, jednakże, rozmawiając ze mną, stopniowo się uspokoił i w końcu poinformował mnie, że „gotów jest oddać się całkowicie do mojej dyspozycji”. Następnie, coś sobie nagle przypominając, dodał, że niestety, z powodu okoliczności zupełnie od niego niezależnych, będzie

mógł to zrobić dopiero od jutra, bo dzisiaj jest bardzo zajęty niezwykle ważnymi sprawami.

I rzeczywiście, nawet przy najlepszych chęciach nie mógł się mną zająć, ponieważ ci nieszczęśni Amerykanie, którymi zawsze rządzą te ich dolarowe interesy, mogą robić to, na co mają ochotę, tylko w niedzielę, a ja akurat przyszedłem do niego w inny dzień tygodnia.

Tam, na tym kontynencie, wszystkie zarówno dolarowe, jak i inne interesy nie zależą nigdy od samych istot, lecz odwrotnie, to twoi tamtejsi ulubieńcy zawsze są całkowicie zależni od tych swoich „interesów”.

Krótko mówiąc, ponieważ nie była to niedziela, ów prawdziwy „amerykański mister” nie mógł zrobić tego, na co miał ochotę, czyli pójść ze mną i przedstawić mnie komu należy. Umówiliśmy się więc na spotkanie następnego ranka, w określonym miejscu na słynnej tamtejszej ulicy o nazwie „Broadway”.

Broadway jest nie tylko główną ulicą Nowego Jorku, ale także najdłuższą spośród wszystkich ulic współczesnych dużych miast twojej planety.

A zatem nazajutrz udałem się na umówione miejsce.

Ponieważ tak się złożyło, że „taksówka”, którą tam pojechałem, nie wyszła z fabryki mistera Forda, przybyłem na miejsce za wcześnie i dlatego mojego mistera jeszcze tam nie było.

Czekając na niego, wybrałem się na spacer. Jednakże na skutek tego, że akurat w tej części ulicy Broadway wszyscy nowojorscy, jak to się mówi, „brokerzy” odbywają „promenady” przed swoimi słynnymi „lunchami”, zrobił się tam taki ścisk, że aby go uniknąć, postanowiłem usiąść gdzieś z boku, w miejscu, z którego mógłbym widzieć, jak nadchodzi mój mister.

Takim miejscem okazała się znajdująca się w pobliżu typowa tamtejsza restauracja, z której okien widać było wszystkich przechodniów.

Powinienem jeszcze dodać, że nigdzie na twojej planecie, w żadnej innej zbiorowości twoich ulubieńców, nie ma tylu restauracji

co w Nowym Jorku.

Jest ich szczególnie dużo w dzielnicach śródmiejskich, a ich właścicielami są głównie „Ormianie” „Grecy” i „rosyjscy Żydzi”.

Teraz więc, mój chłopcze, abyś mógł trochę odpocząć od aktywnego myślenia, chcę przez jakiś czas posłużyć się wyłącznie formą myślenia naszego drogiego nauczyciela Mułły Nasr Eddina i przedstawić ci pewien niezwykle oryginalny zwyczaj praktykowany od kilku lat w tych współczesnych nowojorskich restauracjach.

Chociaż całkiem niedawno istoty dzierżące władzę w tej zbiorowości surowo zakazały zwykłym istotom produkcji, przywozu i konsumpcji wszelkich „płynów alkoholowych”, a także wydały odpowiednie polecenia tym tamtejszym istotom; z którymi wiąże się ich nadzieja na pomyślność, wskutek czego kupno takich płynów stało się tam dla zwykłych istot praktycznie niemożliwe, to jednak w tych nowojorskich restauracjach napoje alkoholowe o nazwie „arak”, „duziko”, „szkocka whisky”, „benedyktynka”, „wódka”, „Grand Marnier” – i jeszcze wiele innych płynów noszących najprzeróżniejsze nazwy, produkowanych wyłącznie na „starych barkach” na przybrzeżu tego kontynentu – można znaleźć w dowolnej ilości.

Cały „cymes” tej historii kryje się w tym, że jeśli pokażesz serdeczny palec i zakrywając połowę ust prawą dłonią, wymówisz nazwę dowolnego płynu, to natychmiast, bez zbędnych słów, ów napój trafia na stół – tyle że w butelce po oranżadzie lub słynnej francuskiej wodzie „Vichy”.

Postaraj się teraz maksymalnie napiąć wolę i przeprowadzić w swej obecności powszechną mobilizację „narządów percepcji”, byś mógł – niczego nie pomijając – przyswoić i przetworzyć w sobie wszystko, co ci powiem o tym, jak przygotowuje się na morzu, na starych barkach u brzegów tego kontynentu, te amerykańskie „płyny alkoholowe”, które przed chwilą wyliczyłem.

Osobiście bardzo żałuję, że nie miałem okazji należycie zapoznać się ze wszystkimi szczegółami tej współczesnej ziemskiej

„nauki”.

Udało mi się tylko dowiedzieć, że w skład każdej ichniej receptury wchodzi kwas „siarkowy”, „azotowy” i „solny”, a przede wszystkim „zakłęcie” bardzo słynnego współczesnego niemieckiego profesora „Kishmenhofa”.

To ostatnie, mianowicie zakłęcie profesora Kishmenhofa używane do amerykańskich płynów alkoholowych, jest nad podziw interesujące i stosuje się je, jak wieść niesie, w taki oto sposób:

W pierwszej kolejności trzeba przygotować zgodnie z jakąś starą recepturą, znaną specjalistom w tej materii, tysiąc butelek z ciecżą. I musi być ich dokładnie tysiąc, bo jeśli przygotuje się choćby o jedną butelkę za dużo lub za mało, zakłęcie nie zadziała.

Następnie te tysiąc butelek należy ułożyć na podłodze i w milczeniu postawić obok nich jedną butelkę autentycznego „płynu alkoholowego”, jaki można znaleźć tam wszędzie. Po dziesięciu minutach; drapiąc prawe ucho lewą ręką, bardzo powoli i koniecznie z przerwami trzeba wypowiedzieć to alkoholowe zakłęcie.

Wtedy ciecz wypełniająca wspomniane tysiąc butelek nie tylko momentalnie zamieni się w płyn alkoholowy zawarty w tej jednej jedynej butelce, ale także otrzyma tę samą nazwę.

Jak się dowiedziałem, wśród zaklęć tego niezrównanego niemieckiego profesora Kishmenhofa jest też kilka doprawdy zadziwiających.

Ów niemiecki profesor, słynny specjalista w tej dziedzinie, zaczął „wymyślać” te wyborne zaklęcia ponoć całkiem niedawno, to znaczy w pierwszych latach ostatniego wielkiego ogólnoeuropejskiego procesu unicestwiania się nawzajem.

Kiedy jego ojczyzna, Niemcy, przeżywała kryzys żywnościowy, on, wczuwając się w sytuację rodaków, wymyślił swoje pierwsze zakłęcie, które służyło do przygotowania bardzo taniej i prostej „zupy z kury”.

To jego pierwsze zakłęcie pod nazwą „niemiecka zupa z kury” jest również nader interesujące i wygląda tak:

Do bardzo dużego garnka postawionego na piecu wlewa się zwykłą wodę, a następnie wrzuca do niej kilka drobno posiekanych listków pietruszki.

Potem trzeba otworzyć na oścież dwoje kuchennych drzwi, a jeśli są tylko jedno, to należy szeroko otworzyć któreś z okien i bardzo głośno wymawiając to zaklęcie, przepędzić kurę galopem przez kuchnię.

Po tym zabiegu w garnku będzie już gotowa przepyszna „zupa z kury”.

Słyszałem także, że w latach tego wielkiego procesu unicestwiania się nawzajem istoty Niemiec bardzo często korzystały z tego zaklęcia, bowiem taki sposób przygotowania zupy z kury okazał się w praktyce całkiem dobry, a w każdym razie nadzwyczaj ekonomiczny.

Rzecz w tym, że jedna kura wystarcza na bardzo długo, ponieważ można ją przeganiać do czasu, aż z jakiegoś powodu, jak się tam mówi, „zastrajkuje” i nie zechce dalej „oddychać powietrzem”.

A na wypadek gdyby owa kura, która egzystowała wśród twoich ulubieńców, nie zdążyła się jeszcze zarazić ich obłudą i faktycznie przestała chcieć oddychać powietrzem, istoty tej zbiorowości zwanej Niemcami wprowadziły, jak się dowiedziałem, pewien wspólny zwyczaj.

Mianowicie, kiedy taka kura ogłaszała strajk, jej właściciele bardzo uroczyście piekli ją wtedy w piekarniku i na ów odświętny posiłek zapraszali obowiązkowo wszystkich swoich krewnych.

Warto zaznaczyć, że jeszcze jeden, tak samo słynny, ichni profesor o nazwisku Steiner matematycznie ustalił w trakcie swych „naukowych badań nad zjawiskami nadprzyrodzonymi” że kiedy podczas tych „proszonych obiadów” podawano owe kury na stół, ich właściciele zawsze mówili to samo.

Otóż każda tamtejsza gospodyni, wywracając oczami i wskazując ręką kurę, oznajmiała z rozczeniem, że to „słynny bażant pamiński” specjalnie przysłany przez umyślnego od drogiego bra-

tanka z Pamiru, który jest tam konsulem ich wielkiego „Vaterlandu”.

Mówiąc ogólnie, na tej planecie można znaleźć zaklęcia na każdą możliwą okazję.

Takie zaklęcia zaczęły się tam mnożyć szczególnie po tym, jak wiele istot tej oryginalnej planety stało się specjalistami od zjawisk nadprzyrodzonych i zaczęło nazywać się „okultystami”, „spirytystami”, „teozofami”, „fioletowymi magami”, „chiromantami” itp.

Ci „specjaliści” prócz umiejętności wytwarzania „zjawisk nadprzyrodzonych” mają też niezwykle dar „mydlenia do oślepiającego blasku mętnych oczu”.

Ten sam amerykański zakaz konsumpcji alkoholu może posłużyć nam za jeszcze jeden dobry przykład pozwalający zrozumieć, do jakiego stopnia w tych współczesnych dzierżących władzę odpowiedzialnych istotach zanikły możliwości krystalizacji danych potrzebnych do dokonania oceny istnieniowej, bo przecież taki nonsens powtarza się tam nie po raz pierwszy.

Z powodu owego zakazu teraz na tym kontynencie wszyscy bez wyjątku spożywają alkohol, i to nawet ci którzy w innych okolicznościach prawdopodobnie nigdy by go nie pili.

Dzisiaj w Ameryce z konsumpcją alkoholu dzieje się dokładnie to samo, co działo się w kraju Maralplejsi z żuciem nasion maku.

Różnica polega na tym, że w kraju Maralplejsi istoty uzależniały się tylko od prawdziwych nasion maku, podczas gdy obecnie w Ameryce istoty spożywają pierwszy lepszy płyn, byleby nosił nazwę dowolnego napoju alkoholowego, jaki istnieje gdziekolwiek na ich planecie.

No i kolejna różnica jest taka, że jeśli chodzi o wymykanie się spod nadzoru władz przy spożyciu zakazanego produktu, to współczesne istoty mające siedlisko na kontynencie Ameryka nie są już tak naiwne jak istoty w epoce Maralplejsi.

A jak daleko zaszli pod tym względem twoi współcześni ulubieńcy, sam bardzo dobrze zrozumiesz dzięki następującym przy-

kładom.

Obecnie każdy młody człowiek, któremu już mniej więcej obeschło na ustach „mleko matki” nosi tam zawsze przy sobie coś w rodzaju zwyczajnej, całkiem niewinnie wyglądającej papierośnicy lub cygarnicy i kiedy siedzi w restauracji czy na jednym z ich słynnych dansingów i wyjmuje swoją papierośnicę albo cygarnicę z kieszeni, wtedy wszyscy wokół myślą naturalnie, że ma ochotę zapalić.

Nic z tych rzeczy! On tylko w wiadomy sposób obraca tę papierośnicę lub cygarnicę i w mgnieniu oka w jego lewej ręce pojawia się miniaturowy kieliszek, do którego prawą ręką po-wo-lutku i po-ci-chut-ku nalewa z tej papierośnicy pewien płyn, prawdopodobnie szkocką whisky, tyle że wyprodukowaną, jak ci już mówiłem, na jakiejś barce u brzegów Ameryki.

Otóż w owym czasie, prowadząc moje obserwacje, byłem świadkiem jeszcze innej sceny.

W jednej z tych tamtejszych restauracji dwie młode Amerykanki usiadły niedaleko mojego stolika.

Ktoś z obsługi tej restauracji czy jak oni mówią, „kelner” przyniósł im butelkę wody mineralnej i dwie szklanki.

Jedna z kobiet przekręciła w pewien sposób rączkę swojej modnej parasolki i z tej „rączki, też pomalutku i spokojniutko, zaczął się lać do ich szklanek jakiś płyn, zapewne również szkocka whisky lub coś innego w tym rodzaju.

Krótko mówiąc, mój chłopcze, na kontynencie Ameryka dzieje się teraz to samo, co całkiem niedawno zdarzyło się w wielkim społeczeństwie zwanym Rosją, gdzie odpowiedzialne istoty dzierżące władzę także zabroniły spożywania słynnej „rosyjskiej wódki” i gdzie wskutek tego zakazu tamtejsze istoty bardzo szybko nauczyły się pić zamiast wódki nie mniej słynną „hanżę”, której spożycie do dzisiaj uśmierca tam codziennie tysiące tych niebezpieczników.

Ale również w tym wypadku musimy oddać sprawiedliwość współczesnym amerykańskim istotom: ich umiejętność skrywa-



nia przed władzami konsumpcji alkoholu dowodzi, że są o wiele bardziej „ucywilizowane” niż istoty społeczeństwa Rosji.

Tak więc, mój chłopcze, by uniknąć ścisku panującego na ulicy, wszedłem do typowej nowojorskiej restauracji i usiadłszy przy jednym ze stolików, zacząłem patrzeć przez okno na tłum.

Ponieważ wszędzie na twojej planecie istnieje zwyczaj, że ilekroć siada się w restauracji lub w innym miejscu publicznym, trzeba zawsze obowiązkowo – przynosząc zysk właścicielowi danego lokalu – za coś zapłacić ichniejszymi, jak je tam nazywają „pieniędzmi” postanowiłem więc uczynić to samo i zamówiłem szklanekę ich przesławnej „oranżady”.

Ten głośny amerykański napój składa się z soku wyciśniętego z pomarańczy lub tamtejszych słynnych, jak to się mówi, „grejfrutów” i istoty tego kontynentu piją go zawsze i wszędzie w nieprawdopodobnie wielkich ilościach.

Nie da się zaprzeczyć, że w trakcie upałów ta ichnia przesławna oranżada faktycznie czasem ich orzeźwia, jednakże jej działanie na „błony śluzowe” ich żołądka i jelit powoduje, że jest ona jeszcze jednym z wielu tamtejszych czynników, które w sumie prowadzą być może powoli, za to nieuchronnie do zniszczenia tej „niepotrzebnej” i „bezużytecznej” funkcji zwanej „funkcją trawienną żołądka”.

Siedząc więc we wspomnianej restauracji przy tej słynnej oranżadzie i obserwując przechodniów w nadziei, że ujrzę wśród nich mistera, na którego czekałem, z nudów zacząłem się przyglądać również różnym rzeczom znajdującym się w tej restauracji.

Wśród rozmaitych przedmiotów leżących na stoliku, przy którym siedziałem, zobaczyłem „menu” owej restauracji.

„Menu” nazywa się na twojej planecie kawałek papieru, na którym wypisane są wszystkie potrawy i napoje podawane w danej restauracji.

Czytając, co było napisane na tej kartce, zauważyłem między innymi, że tego dnia można było tam zamówić siedemdziesiąt osiem różnych dań.

Bardzo mnie to zdziwiło i pomyślałam sobie, cóż za piec kuchenny muszą mieć ci Amerykanie, skoro jednego dnia potrafią przygotować na nim siedemdziesiąt osiem dań.

Rzecz w tym, że odwiedziłem tam wszystkie kontynenty i byłem gościem ogromnej liczby istot należących do różnych klas.

Wiele razy miałem okazję zobaczyć też u mnie w domu, jak przygotowuje się posiłki, i dlatego wiedziałem już orientacyjnie, że aby ugotować jedną potrawę, potrzeba co najmniej dwóch lub trzech rondli. Wyliczyłem więc, że skoro ci Amerykanie przygotowywali w jednej kuchni siedemdziesiąt osiem dań, to na pewno potrzebowali do tego około trzystu garnków.

Chciałem sam się przekonać, w jaki sposób można na jednej płycie kuchennej pomieścić trzysta garnków, toteż postanowiłem dać duży, jak tam mówią, „tip” kelnerowi, który przyniósł oranżadę, i poprosić, by pozwolił mi na własne oczy zobaczyć kuchnię tej restauracji.

Kelnerowi udało się to jakoś zorganizować, więc ruszyłem do kuchni.

Kiedy wszedłem do środka, jak myślisz, co za obrazek ukazał się moim oczom? Piec z trzystoma garnkami?

Nic z tych rzeczy...

Zobaczyłem tam tylko małą gazową „bzdet-kuchenkę” jaką zwykle mają w swoich pokojach „pryncypialni kawalerowie” lub „kobiety nienawidzące mężczyzn”, czyli „niezdatne do niczego stare panny”.

Przy tej bzdet-kuchence siedział kucharz „szkockiego pochodzenia” o byczym karku i – jak wszyscy Amerykanie – czytał obowiązkowo gazetę, jeśli się nie mylę, „The Times”.

Ze zdumieniem zacząłem rozglądać się wokół, a także spoglądać na byczy kark kucharza.

Gdy trwałem w tym osłupieniu, z sali restauracyjnej wszedł do kuchni kelner i dziwną angielszczyzną zamówił u kucharza o tłustym karku pewne bardzo skomplikowane danie.

Na marginesie powiem ci, że po akcencie kelnera, który zamówi-

wił to bardzo oryginalnie nazywające się danie, domyśliłem się, że dopiero niedawno przybył tam z kontynentu Europa, najwyraźniej z marzeniami o wypchaniu sobie kieszeni „amerykańskimi dolarami” – marzeniami, jakim generalnie oddają się wszyscy Europejczycy, którzy nigdy jeszcze nie byli w Ameryce, i jakie teraz w Europie nie dają nikomu spokojnie spać.

Kiedy ów kandydat na „amerykańskiego miliardera” zamówił to wymyślne danie u kucharza o byczym karku, ten ostatni bardzo ociężale i bez pośpiechu wstał ze swego miejsca i najpierw zdjął ze ściany małą, jak się tam mówi, „kawalerską patelnię”.

Następnie zapalił swoją miniaturową bzdet-kuchenkę i postawił na niej tę małą patelnię; cały czas ospale się poruszając, podszedł do jednej z wielu stojących tam szafek, wyjął z niej jakąś puszkę, którą otworzył i wrzucił jej zawartość na patelnię.

Potem w ten sam sposób podszedł do drugiej szafki, z której także wziął jakąś konserwę, ale tym razem wrzucił na patelnię tylko niewielką część jej zawartości i wymieszawszy otrzymaną miksturę, bardzo starannie nałożył ją na talerz, który postawił na stole. Później usiadł na swym starym miejscu i wrócił do lektury gazety.

Ów kucharz o tłustym karku robił to wszystko z zupełną obojętnością, jak prawdziwy automat. Z każdego ruchu widać było, że myślami jest gdzieś daleka, zapewne w miejscach, gdzie toczyły się wydarzenia, o których dopiero co przeczytał w tej amerykańskiej gazecie.

Wkrótce kelner, który zamówił to wymyślne danie, wrócił do kuchni, niosąc wielką miedzianą tacę pełną „modnych sztucców” z dętego metalu, po czym postawił na niej talerz z tym dziwnym jedzeniem i zaniósł wszystko do sali restauracyjnej.

Kiedy ja też wróciłem do sali i ponownie usiadłem na swoim miejscu, zobaczyłem, że przy stoliku obok siedzi pewien mister i oblizując się, zajada właśnie to danie, które przyrządzono w kuchni przypadkowo w mojej obecności.

Gdy zaś znowu popatrzyłem przez okno na ulicę, dostrzegłem

w końcu w tłumie mistera, na którego czekałem, toteż od razu uregulowałem rachunek i wyszedłem z tej restauracji.

A teraz, mój chłopcze, nadał trzymając się formy myślenia naszego drogiego nauczyciela, chcę ci opowiedzieć co nieco o „mowie” tych amerykańskich istot.

Chodzi o to, że jeszcze przed przybyciem na ten kontynent mówiłem już językiem istot, które go zamieszkują, czyli „językiem angielskim”.

Jednakże od pierwszego dnia pobytu w stolicy Ameryki Północnej odczuwałem duże skrępowanie w rozmowach, ponieważ okazało się, że chociaż Amerykanie używają do „komunikacji werbalnej” języka angielskiego, to ten ich język jest jakiś szczególny i bardzo osobliwy.

W obliczu takich trudności postanowiłem więc nauczyć się tego ich osobliwego „angielskiego”.

Trzeciego dnia po przyjeździe, udając się do mojego nowo poznanego mistera specjalnie po to, by polecił mi nauczyciela takiego „języka angielskiego”, zobaczyłem nagle wyświetloną na niebie rzutnikami „amerykańską reklamę” następującej treści:

# **SZKOŁA JĘZYKÓW WEDŁUG SYSTEMU MI- STERA CHATTERLITZA**

## **13 North 293rd Street**

Dalej wyliczone były języki oraz czas, jakiego wymagało ich opanowanie. W szczególności informowano, że nauczenie się „języka angloamerykańskiego” zajmuje od pięciu minut do dwudziestu czterech godzin.

Nie od razu zrozumiałem, o co w tym wszystkim chodzi, mimo to postanowiłem pójść następnego dnia rano pod wskazany adres.

Nazajutrz, gdy stawiłem się u tego mistera Chatterlitz, przyjął mnie osobiście, a kiedy usłyszał, że chcę się nauczyć „języka angloamerykańskiego” według jego systemu, wyjaśnił mi wpierw, że tego języka można się nauczyć na trzy różne sposoby, a każdy z nich jego zdaniem odpowiada szczególnym potrzebom.

„Pierwszy sposób – powiedział – odpowiada potrzebom ludzi, którzy koniecznie muszą zarobić tu u nas nasze amerykańskie dolary.

Drugi sposób przyda się temu, kto mimo że nie cierpi na brak naszych dolarów, to jednak lubi robić dolarowe interesy i jednocześnie chce, obracając się wśród naszych Amerykanów, uchodzić nie za «byle kogo», lecz za prawdziwego «dzentelmena», wychowanego «po angielsku».

Jeśli chodzi o trzeci sposób, to jest on przeznaczony dla tych, którzy chcą mieć możliwość zdobycia wszędzie i o dowolnej porze szkockiej whisky”.

Ponieważ czas, jakiego wymagało uczenie się języka angielskiego drugim z wymienionych „sposobów”, najbardziej mi odpowiadał, postanowiłem od ręki zapłacić Chatterlitzowi należne dolary, aby poznać sekret jego systemu uczenia się tej drugiej odmiany „języka angielskiego”.

Gdy zapłaciłem te należne dolary, włożył je do ukrytej kieszeni na pozór niedbale, lecz faktycznie z chciwością, która stała się już właściwa wszystkim istotom twojej planety, a następnie wyjaśnił mi, że do nauki według drugiej metody wystarczy zapamiętać pięć słów:

1. Meybe
2. Perheps
3. Tomorrow
4. Oh, I see
5. All right

Dodał że jeśli będę miał potrzebę porozmawiać z jednym czy paroma ichnimi misterami, to powinienem tylko od czasu do czasu użyć któregoś z tych pięciu słów.

„To zupełnie wystarczy – powiedział – żeby wszyscy myśleli, że po pierwsze, zna pan dobrze angielski, a po drugie, że jest pan specem od prowadzenia «dolarowych interesów»”.

Wprawdzie „system” tego wielce dostojnego Chatterlitzta okazał się bardzo oryginalny i całkiem niezły, nie dane mi było jednak zastosować go w praktyce.

A nie miałem takiej okazji, ponieważ następnego dnia spotkałem przypadkiem na ulicy starego znajomego, redaktora gazety z kontynentu Europa, który w rozmowie wyjawiał mi jeszcze lepszy sekret nauki języka amerykańskiego.

Kiedy wspomniałem mu mimochodem, że poprzedniego dnia odwiedziłem mistera Chatterlitzta, a także opowiedziałem mu trochę o jego systemie, odrzekł:

„Wie pan co, mój szanowny doktorze? Skoro prenumeruje pan naszą gazetę, muszę zdradzić panu pewną tajemnicę tutejszego języka”.

A następnie dodał:

„Ponieważ zna pan już kilka naszych europejskich języków, to po zastosowaniu mojego sekretu opanuje pan w pełni także tutej-

szy język i będzie pan mógł naprawdę rozmawiać na wszystkie tematy, a nie tylko sprawiać przed innymi wrażenie, że zna pan angielski – do czego system owego Chatterlitzza faktycznie nadaje się znakomicie”.

Potem wyjaśnił mi, że wymawiając dowolne słowo wzięte z któregoś języka europejskiego, wystarczy wyobrazić sobie, że ma się w ustach gorący ziemniak, a wtedy prawdopodobnie wyjdzie z tego jakieś angielskie słowo.

„Jeżeli jeszcze do tego wyobrazi pan sobie, że ten gorący ziemniak jest grubo posypany zmieloną «czerwoną papryką», to zdobędzie pan już klucz do doskonałej wymowy lokalnego języka angloamerykańskiego”.

Poza tym poradził mi, żebym nie krępował się przy wyborze słów, bowiem język angielski generalnie składa się z beładnej mieszaniny prawie wszystkich europejskich języków i dlatego każde zwykłe pojęcie można w nim wyrazić za pomocą kilku różnych słów, „co sprawia, że niemal zawsze trafia pan na właściwe słowo”.

„Jeśli zaś, wbrew oczekiwaniu, użyje pan słowa nieistniejącego w tym języku, to też pół biedy; w najgorszym razie pana słuchacz pomyśli, że to on nie zna tego słowa.

Z pańskiej strony ważne jest tylko, żeby dobrze wyobrazić sobie ów gorący kartofel... i nic więcej, żadnych tam babskich widzimi się.

A co się tyczy mojego sekretu, to gwarantuję i wręcz bez obawy mówię, że będzie pan mógł cofnąć prenumeratę w wypadku, gdy ściśle zastosuje się pan do mojej rady, a mimo to pana «miejscowy język» nie okaże się bezbłędny”.

Kilka dni później musiałem pojechać do miasta Chicago.

Pod względem wielkości miasto to zajmuje na kontynencie Ameryka Północna drugie miejsce i jest niejako jego drugą stolicą.

Odprowadzając mnie na dworzec, mój nowojorski znajomy mister dał mi list polecający do jednego tamtejszego mistera.

Od razu po przybyciu do Chicago udałem się wprost do owego

mistera.

Ten chicagowski mister okazał się bardzo mity i uprzedzająco grzeczny.

Nazywał się „mister Pępek”.

Pierwszego dnia wieczorem ów grzeczny i uczynny mister Pępek zaproponował mi wspólną wizytę w domu jego przyjaciół, bym, jak się wyraził, „nie zanudził się” w tym zupełnie obcym mieście.

Oczywiście przystałem na to.

Na miejscu zastaliśmy sporo młodych amerykańskich istot, gości takich jak my.

Ci wszyscy goście okazali się nadzwyczaj weseli i bardzo „swawolni”.

Po kolei opowiadali „prześmieszne historie”, a wywołany przez nie śmiech unosił się w pokoju jak dym buchający z kominów amerykańskich fabryk, w których produkuje się kiełbaski zwane „hot dogami” gdy wieje tam południowy wiatr.

Ponieważ sam lubię się pośmiać, słuchając zabawnych historii, więc ten mój pierwszy wieczór w mieście Chicago minął doprawdy bardzo wesoło.

Wszystko to byłoby całkiem rozsądne i przyjemne, gdyby nie jedna „cecha” wspólna owym historiom, która niesłychanie mnie wtedy, tego pierwszego wieczoru, zdziwiła i wprawiła w zakłopotanie.

Otóż moje zdumienie wywołała ich „dwuznaczność” i „sprośność”.

Owe historie były tak dwuznaczne i sprośne, że każdy z tych amerykańskich opowiadaczy pobiłby na głowę słynnego na planecie Ziemia „Boccaccia”.

Boccaccio to nazwisko pewnego pisarza, który napisał dla ziemskich istot niezmiernie pouczającą książkę pod tytułem „Dekameron”, obecnie bardzo rozpowszechnioną na wszystkich kontynentach i uważaną za ulubioną lekturę współczesnych istot nale-



żących do prawie wszystkich tamtejszych społeczeństw.

Następnego dnia, jak zwykle wieczorem, ten poczciwy mister Pępek zaprowadził mnie do innych swoich przyjaciół.

Znowu było tam wiele młodych amerykańskich istot płci męskiej i żeńskiej, które siedziały w różnych kątach ogromnego pokoju i po cichu bardzo spokojnie rozmawiały.

My też usiedliśmy, a już po chwili przysiadła się do mnie młodziutka ładniutka Amerykanka i wdała się ze mną w pogawędkę.

Zgodnie z panującym tam zwyczajem podjąłem rozmowę. Konwersowaliśmy o różnych różnościach i między innymi zadała mi wiele pytań dotyczących Paryża.

Nagle w trakcie rozmowy ta młoda Amerykanka czy, jak oni mówią, „panienka” ni stąd, ni zowąd zaczęła głaszczyć mi na szyi.

Pomyślałem wtedy: Ależ ona jest uczynna. Niewątpliwie zauważyła na mojej szyi „pchłę” i teraz głaszcze to miejsce, żeby jak najszybciej minęło podrażnienie spowodowane ugryzieniem.

Kiedy jednak spostrzegłem, że wszystkie obecne tam młode amerykańskie istoty także się głaszczą nawzajem, bardzo mnie to zdziwiło i w żaden sposób nie mogłem pojąć, o co tutaj chodzi.

Moje pierwotne przypuszczenie odpadło w przedbiegach, bo trudno było sobie wyobrazić, żeby u każdego na szyi siedziała pchła.

Zacząłem się zastanawiać, co to wszystko znaczy, ale nijak nie potrafiłem sobie tego wytłumaczyć.

Kiedy trochę później, wychodząc stamtąd na ulicę, zapytałem o to mistera Pępka, najpierw parsknął śmiechem, wyzywając mnie od „gburów” i „zacofanych wieśniaków”, a następnie, uspokoiwszy się trochę, powiedział:

„Co z pana za dziwak! Przecież byliśmy właśnie na «petting party»”.

I śmiejąc się dalej z mojej naiwności, wyjaśnił mi, że poprzedniego dnia również byliśmy na „party”, tyle że na „story party”.

„A jutro – kontynuował – zamierzałem zabrać pana na «swimming party», gdzie młodzież razem się kąpie, ale oczywiście w specjalnych kostiumach kąpielowych”.

Gdy zauważył, że na mojej twarzy ciągle maluje się pełne zakłopotania zdziwienie, dodał: „Ale jeśli z jakiejś przyczyny nie odpowiadają panu te «skromne» prywatki, to możemy spróbować zabawić się na innych, które nie są dla wszystkich dostępne. Mamy tutaj dużo tego rodzaju «klubów» i sam jestem członkiem paru z nich. Na tych elitarnych przyjęciach, jeśli tylko pan zechce, będziemy mogli znaleźć coś «bardziej siarczystego»”.

Nie skorzystałem jednak z uprzejmości tego uczynnego i nadzwyczaj „grzecznego” mistera Pępka, ponieważ następnego ranka otrzymałem telegram, w którym wzywano mnie do powrotu do Nowego Jorku.

W tym miejscu swojej opowieści Belzebub nagle się zamyślił i dopiero po dość długiej przerwie, głęboko westchnąwszy, kontynuował:

– Nazajutrz, zamiast pojechać porannym pociągiem, jak postanowiłem zrobić po otrzymaniu telegramu, przełożyłem wyjazd na wieczór.

Ponieważ to, co stało się przyczyną opóźnienia mojego wyjazdu, posłuży ci za doskonałą ilustrację tego, jak szkodliwe rezultaty przynosi pewien wymysł tych amerykańskich istot – wymysł bardzo rozpowszechniony na całej twojej planecie i będący jednym z podstawowych powodów, jakbym to określił, „spłylenia psychiki” wszystkich pozostałych istot trójmózgowych tej nieszczęsnej planety – opowiem ci o tym trochę bardziej szczegółowo.

Mówiąc konkretnie, ów szkodliwy wymysł istot kontynentu Ameryka, z którym chcę cię teraz zaznajomić, stał się główną przyczyną nie tylko coraz większego tempa „spłylenia” psychiki trójmózgowych istot tej twojej nieszczęsnej planety, lecz także całkowitego zniszczenia w istotach innych kontynentów niepowtarzalnej funkcji istnieniowej, właściwej wszystkim istotom

trójmózgowym, która jeszcze do niedawna pojawiała się w ich obecnościach sama z siebie, a która zwana jest wszędzie „zdrowym instynktem podejrzewania, że prawda kryje się w rzeczywistości”.

Zamiast tej funkcji, niezbędnej dla każdej trójmózgowej istoty, stopniowo skryzystalizowała się w twoich ulubieńcach inna bardzo specyficzna funkcja, której działanie powoduje, że ciągle mają co do wszystkiego wątpliwości.

Ten ich szkodliwy wymysł nazywany jest tam „reklamą”.

Żebyś mógł lepiej zrozumieć dalszy ciąg mojej opowieści, muszę ci wpieryw powiedzieć, że kilka lat przed przyjazdem do Ameryki, podróżując po Europie, kupiłem do czytania w pociągu kilka książek, aby skrócić sobie czas długiej i nieciekawej jazdy. W jednej z tych książek, autorstwa bardzo znanego tamtejszego pisarza, przeczytałem rozdział o Ameryce, w którym obszernie rozwiódził się on nad pewną „rzeźnią” znajdującą się właśnie w mieście Chicago.

Rzeźnią nazywa się tam specjalne miejsce, gdzie ziemskie istoty trójmózgowe unicestwiają egzystencję tych istot o różnych innych formach, których ciała planetarne – jak zwykle z powodu nienormalnie ustalonych warunków zwykłej egzystencji istnieniowej – są przez nie spożywane z zamiłowaniem jako pierwszy pokarm istnieniowy.

Na dodatek, kiedy w tych specjalnych placówkach dopuszczają się tego rodzaju przejawów, wówczas mówią, a nawet wyobrażają sobie, że robią, to wyłącznie z konieczności i w sposób najbardziej; jak się same wyrażają, „humanitarny”.

Ów sławny tamtejszy współczesny autor z zachwytem opisywał jako „naoczny świadek” jedną taką, jego zdaniem, świetnie zorganizowaną rzeźnię w mieście Chicago.

Wychwalał jej niesamowitą czystość oraz doskonałość wszelkiego rodzaju używanych tam maszyn. Pisał, że nie tylko humanitaryzm w stosunku do istot o innych formach osiągnął w tej rzeźni stopień „boskości”, lecz również maszyny zostały tam tak

udoskonalone, że jeśli przez jedne drzwi zagna się do środka żywego byka, to po dziesięciu minutach, o ile się tylko tego zapragnie, można odebrać przez drugie drzwi gotowe gorące kiełbaski. Na koniec szczególnie podkreślał, że dzieje się to w całości bez udziału ludzkich rąk, wyłącznie za pomocą tych „udoskonolonych” maszyn, i dlatego niby wszystko jest tam tak czyste i schludne, że nic czystsze ani schludniejsze nie można sobie nawet wyobrazić.

Kilka lat po przeczytaniu tej książki wpadł mi w ręce artykuł wydrukowany w pewnym poważnym rosyjskim czasopiśmie, który w tym samym duchu wychwalał tę chicagowską rzeźnię.

Później słyszałem o niej jeszcze od tysiąca różnych istot, z których wiele było podobno naocznymi świadkami opisywanych przez siebie dziwów.

Jednym słowem, przed przybyciem do Chicago wiedziałem już, że istnieje tam to niespotykane na Ziemi „cudo”.

Powinieneś wiedzieć, że zawsze bardzo interesowały mnie owe placówki, w których twoi ulubieńcy unicestwiają egzystencję różnych form ziemskich istot, a ponadto, od kiedy urządziłem swoje obserwatorium na planecie Mars i zainstalowałem w nim różne maszyny, tak samo zawsze i wszędzie zaczęły wzbudzać moją ciekawość wszelkie inne typy maszyn.

Oto dlaczego, znalazłszy się przypadkowo w mieście Chicago, pomyślałem, że byłoby niewybaczalne, gdybym nie skorzystał z okazji i nie obejrzał tej słynnej „chicagowskiej rzeźni”, toteż rano w dniu wyjazdu postanowiłem wybrać się tam w towarzystwie jednego z moich nowych chicagowskich znajomych i zwiedzić tę unikalną konstrukcję będącą dziełem twoich ulubieńców.

Po przybyciu na miejsce, stosując się do wskazówek jednego z asystentów dyrektora generalnego, wzięliśmy na przewodnika przedstawiciela pewnego tamtejszego banku, który był zatrudniony w oddziale mającym siedzibę właśnie w tej rzeźni, i wraz z nim rozpoczęliśmy zwiedzanie.

Najpierw poszliśmy razem na plac, gdzie zagania się nieszczę-

sne czworonożne istoty przed przystąpieniem do ich uboju.

Plac ten przypominał inne takie miejsca w dowolnej placówce tego rodzaju na twojej planecie i różnił się od nich tylko rozmiarem, choć zarazem był o wiele brudniejszy niż wszystkie rzeźnie, które widziałem wcześniej w innych krajach.

Później przeszliśmy jeszcze przez kilka tak zwanych skrzydeł. W pierwszym znajdowała się „chłodnia” w której trzymano gotowe mięso, natomiast w drugim unicestwiano egzystencję czworonożnych istot zwykłymi młotami i obdzierano je na miejscu ze skóry – dokładnie w taki sam sposób jak we wszystkich innych rzeźniach.

Nawiasem mówiąc, pamiętam, że przechodząc przez to ostatnie skrzydło, pomyślałem: najprawdopodobniej właśnie w tym miejscu odbywa się ubój bydła przeznaczonego specjalnie dla Żydów, którym, jak już wtedy wiedziałem, kodeks religijny nakazuje unicestwiać czworonożne istoty w szczególny sposób.

Zwiedzanie tych skrzydeł zajęło nam dość dużo czasu, a ja ciągle czekałem na chwilę, gdy w końcu dojdziemy do tej części, o której tyle słyszałem i którą postanowiłem koniecznie zobaczyć.

Ale kiedy zwierzyłem się naszemu przewodnikowi, że chciałbym ją jak najszybciej obejrzeć, dowiedziałem się, że zobaczyliśmy już wszystko, co było do zobaczenia w tej słynnej chicagowskiej rzeźni, i że żadnych innych działów w niej nie ma.

Tak więc, mój drogi chłopcze, nie dane mi tam było ujrzeć ani jednej maszyny, jeśli nie liczyć transporterów wałkowych, które służą do przenoszenia ciężkich tusz i które można spotkać w każdej rzeźni, za to na brud napatrzyłem się w tej chicagowskiej rzeźni do woli.

Pod względem czystości i ogólnej organizacji miejska ubojnia w Tyflisie, którą widziałem dwa lata wcześniej, biła na głowę rzeźnię miasta Chicago.

Na przykład w tyfliskiej rzeźni nie ujrzałybyś nigdzie na ziemi ani jednej kropli krwi, podczas gdy tutaj, w Chicago, na każdym kroku widać było całe jej kałuże.

Najwidoczniej jakaś grupa amerykańskich biznesmenów, którym weszło już w nawyk podpieranie każdego swojego interesu „reklamą”, postanowiła zareklamować również tę chicagowską rzeźnię, aby po całej planecie rozeszło się takie fałszywe, niemające żadnego związku z rzeczywistością wyobrażenie o niej.

Na pewno zgodnie z ich zwyczajem także w tym przypadku nie pożałowali swoich dolarów, a ponieważ święta istnieniowa funkcja „sumienie” już zupełnie zanikła u współczesnych ziemskich „pisarzy” i „reporterów” więc u większości twoich ulubieńców mających siedlisko na wszystkich kontynentach skryształizował się mocno przesadzony obraz rzeźni miasta Chicago.

Faktycznie, można powiedzieć, że zrobili to czysto po amerykańsku.

Na kontynencie Ameryka trójmózgowe istoty nabyły takiej wprawy w tworzeniu reklamy, że w pełni można zastosować do nich powiedzenie naszego drogiego Mułły Nasr Eddina, które brzmi:

„Ten zostanie przyjacielem rogatego licha, kto udoskonali się do takiego stopnia rozumu i bycia, że zdoła zamienić zwykłą muchę w słońca”.

Rzeczywiście doszły one do takiej wprawy w „robieniu z muchy słońca” i czynią to tak często, że obecnie na widok prawdziwego amerykańskiego słońca trzeba, jak to się mówi, „pamiętać siebie całym swoim jestestwem” by nie ulec wrażeniu, że to mucha.

Z Chicago wróciłem do Nowego Jorku, a ponieważ niespodziewanie szybko i w miarę pomyślnie zrealizowałem wszystkie zamierzenia, które postanowiłem doprowadzić do skutku podczas mojej wyprawy na ten kontynent – a ponadto panująca tam sytuacja i warunki zwykłej egzystencji mogły mi w pełni zapewnić całkowity wypoczynek, którego co pewien czas potrzebowałem w trakcie ostatniego osobistego pobytu na powierzchni twojej planety – postanowiłem więc zatrzymać się tam na dłużej i wieść swą egzystencję, opierając relacje z tamtejszymi istotami wyłącznie na nieuchronnie powstających we mnie skojarzeniach istnie-

niowych.

Egzystując w ten sposób w głównym ośrodku istot tej dużej współczesnej zbiorowości i z rozmaitych powodów stykając się z istotami najróżniejszego typu, pewnego dnia bez żadnej premedytacji – wyłącznie dzięki nawykowi zbierania, by tak rzec, „mimo chodem” materiału do mojej statystyki konfrontatywnej, którą, jak już ci mówiłem, prowadziłem przez cały okres mojego ostatniego osobistego pobytu wśród twoich ulubieńców głównie po to, by obserwować wśród istot różnych zbiorowości rozprze-strzenianie się chorób istnieniowych i dziwnych „subiektywnych przywar” – zaobserwowałem niezmiernie interesujące zjawisko, a mianowicie, że w zbiorczej obecności prawie połowy spotkanych przeze mnie istot trójmózgowych funkcje służące do transformacji pierwszego pokarmu istnieniowego były zdysharmonizowane – lub, jak one same by powiedziały, ich organy trawienne były popsute – i że niemal jedna czwarta z nich już się nabawiła lub jest na dobrej drodze do nabawienia się specyficznej choroby, typowej dla tamtejszych istot i zwanej przez nie „impotencją”, która na zawsze pozbawia wiele istot twojej planety możliwości pomnażania swojego gatunku.

Gdy przypadkiem to skonstatowałem, tak bardzo zainteresowałem się istotami tej nowej zbiorowości, że postanowiłem zmienić uprzednio obraną formę mojej egzystencji wśród nich i od tej pory połowę czasu przeznaczanego na wypoczynek poświęcałem na prowadzenie specjalnych obserwacji i badań nad przyczynami tego tak osobliwego dla mnie, a dla nich tak godnego pożałowania zjawiska. W tym celu musiałem nawet odwiedzić różne inne prowincjonalne ośrodki istot tej nowej współczesnej zbiorowości, nigdy jednak nie zatrzymywałem się w nich dłużej niż dzień lub dwa, z wyjątkiem miasta „Boston” lub, jak czasem jest ono nazywane, „miasta ludzi, których ominęła degeneracja narodu” gdzie spędziłem cały tydzień.

Otóż w rezultacie tych moich obserwacji i statystycznych badań ustaliłem, że obie wymienione choroby – występujące z wiadomą częstotliwością wśród współczesnych istot mających sie-

dlisko na wszystkich kontynentach – szerzą się na tym kontynencie na taką skalę, że w niedalekiej przyszłości pociągną za sobą następstwa, które stały się dla mnie natychmiast oczywiste, a mianowicie: jeśli owe choroby będą się dalej nasilać w obecnym tempie, to tę dużą samodzielną współczesną zbiorowość tych przypadłych ci do gustu trójmózgowych istot spotka dokładnie to samo, co ostatnio stało się udziałem tamtejszego społeczeństwa zwanego dawniej „monarchiczną Rosją”, czyli ta zbiorowość także zostanie unicestwiona.

Różnica będzie polegała tylko na samym procesie unicestwienia. Podczas gdy wyniszczenie dużego społeczeństwa „monarchicznej Rosji” nastąpiło wskutek, by tak rzec, nienormalności rozumu tamtejszych istot dzierżących władzę, to proces unicestwienia społeczeństwa Ameryki będzie spowodowany przez organiczne nieprawidłowości. Innymi słowy, „śmierć” tego pierwszego społeczeństwa nadeszła, jak one mówią, poprzez „umysł”, natomiast do śmierci drugiego doprowadzą „żołądek i seks” jego istot.

Rzecz w tym, że wiadomo już od dawna, iż ogólnie możliwość długiej egzystencji współczesnych istot trójmózgowych twojej planety zależy tylko od normalnego działania tych dwóch wspomnianych funkcji istnieniowych, czyli od stanu ich, jak one mówią, „narządów trawiennych” oraz od funkcjonowania ich „organów płciowych”.

A tymczasem właśnie te dwie niezbędne dla ich zbiorczej obecności funkcje zmierzają obecnie ku całkowitemu zanikowi, i to na dodatek w bardzo szybkim tempie.

Spółeczeństwo Ameryki j est jeszcze zupełnie młode; jak się mówi na twojej planecie: to ciągle niemowlę, sama „krew z mlekiem”.

Skoro więc w istotach tak młodego społeczeństwa te dwa główne motory egzystencji już teraz cofają się w rozwoju, to moim zdaniem również w tym przypadku – jak to ogólnie dzieje się ze wszystkim, co istnieje w Megalokosmosie – dalsza droga do ponownego zespolenia się z Nieskończonością będzie zależała od



kierunku i natężenia sił wytworzonych przez impuls początkowy.

W naszym Wielkim Megalokosmosie dla wszystkich rozumnych istot zostało nawet ustanowione coś w rodzaju prawa, zgodnie z którym zawsze i we wszystkim należy uważać na impuls początkowy, ponieważ nabrawszy rozpędu, staje się on siłą będącą podstawowym motorem wszystkiego, co istnieje we Wszechświecie, i przywodzącą to wszystko z powrotem do prabytu.

W tym miejscu opowieści wręczono Belzebubowi lejtuczanos, a kiedy ów wysłuchał jego treści, zwracając się ponownie do Hassina, powiedział:

– Sądzę, mój chłopcze, że jeśli bardziej szczegółowo wyjaśnię ci przyczyny dysharmonii obu tych podstawowych funkcji w zbiorczych obecnościach amerykańskich istot trójmózgowych, to będziesz mógł lepiej sobie wyobrazić i zrozumieć dziwaczność psychiki wszystkich tych przypadłych ci do gustu trójmózgowych istot, które powstają na planecie Ziemia.

Aby ułatwić sobie prowadzenie wywodów, wytłumaczę ci oddzielnie przyczyny dysharmonii każdej z tych dwóch podstawowych funkcji, a zacznę od przedstawienia przyczyn dysharmonii funkcji przemiany ich pierwszego pokarmu istnieniowego, czyli przyczyn, jak powiedziałyby one same, „popsucia się ich żołądków”.

Dysharmonia tej funkcji ma kilka określonych i występujących już od jakiegoś czasu przyczyn, które są zrozumiałe nawet dla normalnego rozumu zwykłych istot trójmózgowych. Najważniejsza z nich jest taka, że od samego początku kształtowania się ich społeczeństwa stopniowo – wskutek wszelkiego rodzaju okoliczności zewnętrznych oraz wpływów wywieranych przez jakiś nie-normalnie i samorzutnie wykreowany autorytet – nabrały one nawyku, który teraz już całkowicie się w nich zakorzenił i który polega na nieprzyjmowaniu w charakterze pierwszego pokarmu istnieniowego absolutnie niczego świeżego, lecz spożywaniu wyłącznie produktów już rozłożonych.

Obecnie istoty tej zbiorowości praktycznie nigdy nie używają jako swojego pierwszego pokarmu istnieniowego świeżych produktów żywnościowych, to znaczy produktów zawierających jeszcze wszystkie aktywne elementy, którymi obdarzyła je sama Wielka Przyroda i które są niezbędnie potrzebne każdej istocie do jej normalnej egzystencji; one najpierw te wszystkie produkty „konserwują”, „zamrażają” lub „esencjonują” i spożywają dopiero wtedy gdy większość tych potrzebnych do normalnej egzystencji aktywnych elementów już się z nich ulotniła.

Również taka anomalia pojawiła się w zwykłym procesie egzystencji istnieniowej trójmózgowych istot – należących w danym wypadku do tej nowej zbiorowości – i do dzisiaj wszędzie się rozpowszechnia i utrwała głównie dlatego, że kiedy one, to znaczy wszystkie trójmózgowe istoty twojej planety, zaniechały niezbędnych wysiłków istnieniowych, wówczas stopniowo straciły wszelką możliwość krystalizowania w swych zbiorczych obecnościach takich danych istnieniowych, dzięki którym, nawet gdy nie mają w sobie przewodnictwa prawdziwej wiedzy, szkodliwość tego czy innego ich przejawu może być odczuwana instynktownie.

Gdyby przynajmniej kilku z tych nieszczęśników miało taki właściwy trójmózgowym istotom instynkt, to bodaj wskutek zwykłych przypadkowych skojarzeń i zestawień istnieniowych mogliby najpierw sami zdać sobie sprawę, a później uświadomić reszcie, że w chwili, gdy zostaje przerwany pierwotny związek między produktami służącymi za pierwszy pokarm istnieniowy i Wspólną Przyrodą – niezależnie od tego, że te produkty przechowuje się w całkowitej izolacji, czyli „hermetycznie zamknięte”, „zamrożone” lub „wyesencjonowane” – muszą one, jak wszystko inne we Wszechświecie, zmieniać postać na skutek upływu czasu, rozkładając się zgodnie z tą samą zasadą i w tej samej kolejności co w trakcie ich powstawania.

Zresztą powinieneś wiedzieć, że aktywne elementy, z których Przyroda generalnie kształtuje wszystkie formacje kosmiczne – zarówno te ulegające transformacji poprzez Tetartokosmosy i re-

prezentujące produkty pierwszego pokarmu istot, jak i ogólnie wszystkie inne całkowicie i na wpeł uduchowione twory – muszą, gdy tylko nadejdzie odpowiednia chwila i bez względu na panujące warunki, oddzielić się w pewnej kolejności od masy, w której podczas procesu trogoautoegokratycznego dokonała się ich fuzja.

Otóż to samo dzieje się oczywiście z tymi ulubionymi produktami amerykańskich istot, przechowywanymi przez nie w „hermetycznie zamkniętych puszkach”.

Jakkolwiek „hermetycznie” te puszki są zamykane, znajdujące się w nich produkty, gdy tylko nastanie po temu pora, „rozkładają się” i nieuchronnie odpowiednie elementy aktywne zaczynają się oddzielać od ogólnej masy, przy czym takie odłączone elementy aktywne z reguły grupują się wedle swego pochodzenia, przyjmując postać „kropli” lub „bąbelków”, które po otwarciu puszki w celu spożycia zawartych w niej produktów natychmiast się rozpraszają i ulatując w przestrzeń, rozchodzą do odpowiednich miejsc.

Jedyny świeży pokarm, jaki czasami spożywają istoty tego kontynentu, to owoce, ale te ich owoce to nie żadne owoce, tylko jedno wielkie, jak powiedziałby nasz drogi nauczyciel, „nieporozumienie”.

Dzięki swoim wymądrzaniom na temat drzew owocowych, występujących na tym kontynencie w obfitości, różni „uczeni nowej formacji” sprawili, że dzisiaj te amerykańskie owoce nadają się już tylko do tego, by „cieszyć oczy”, a nie żeby służyć za pokarm istnieniowy.

Tamtejsze owoce hoduje się teraz w taki sposób, że nie ma w nich prawie nic z tego, co Wielka Przyroda przeznaczyła dla istot na potrzeby normalnej egzystencji istnieniowej.

Oczywiście ci tamtejsi uczeni „nowej formacji” nawet nie podejrzewają, że dowolny sztucznie zaszczepiony lub w podobny sposób manipulowany twór naplanetarny zostaje doprowadzony do stanu nazywanego przez naukę obiektywną „absoizomozą”

i w tym stanie przyswaja z otaczającego środowiska jedynie te kosmiczne substancje, które nadają się do obleczenia jego „automatycznie reprodukującej się subiektywnej obecności”.

Chodzi o to, że od samego początku tej ich najnowszej cywilizacji istoty wszystkich niezliczonych tamtejszych zbiorowości zaczęły z jakiegoś powodu przyswajać sobie tylko jeden z siedmiu aspektów podstawowego przykazania, danego istotom trójmózgowym z Góry, i brzmiącego tak: „Dąż do uzyskania wewnętrznej i zewnętrznej czystości”. Ów jedyny aspekt, który sobie przyswoiły – i to też w zniekształconej formie – czyniąc z niego swój ideał, można wyrazić tak:

„Pomagaj wszystkiemu wokół, zarówno ożywionemu, jak i jeszcze nieożywionemu, w nabieraniu pięknego wyglądu”.

I rzeczywiście, szczególnie w ciągu ostatnich dwóch tamtejszych stuleci one starają się o taki „piękny wygląd”, ale oczywiście wyłącznie wtedy, gdy w grę wchodzi te znajdujące się na zewnątrz nich różne przedmioty, które przypadkowo stają się w danym momencie, jak same mówią, „modne”.

W ciągu wspomnianego okresu fakt, że te zewnętrzne przedmioty są pozbawione wszelkiej esencji, przestał mieć dla nich jakiegokolwiek znaczenie; liczy się tylko to, żeby, jak się wyrażają, „wyglądały uderzająco”.

Wracając do dokonań współczesnych istot tego kontynentu w zakresie uzyskiwania „pięknego wyglądu” ich owoców, muszę przyznać, mój chłopcze, że nigdzie, i to nie tylko na pozostałych kontynentach tej planety, ale nawet na innych planetach tego układu słonecznego, nie widziałem owoców wyglądających tak pięknie jak te na kontynencie Ameryka; z drugiej strony, jeśli chodzi o wewnętrzną esencję owych amerykańskich owoców, można jedynie powtórzyć ulubione wyrażenie naszego drogiego nauczyciela, które brzmi:

„Dla człowieka największym dobrodziejstwem jest działanie oleju rycynowego”.

A do jakiej wprawy doszły one w robieniu swych słynnych kon-

serw owocowych, tego „ani język nie wyrazi, ani pióro nie opisze” Trzeba to samemu zobaczyć, aby doświadczyć w swej zbiorczej obecności takiego stopnia impulsu „zachwytu” jaki można osiągnąć, postrzegając narządem wzroku zewnętrzne piękno tych amerykańskich przetworów owocowych.

Przechadzając się głównymi ulicami któregoś z miast tego kontynentu, a zwłaszcza miasta Nowy Jork, i spoglądając na wystawę dowolnego sklepu z owocami, trudno w pierwszej chwili powiedzieć, co takiego rysuje się przed oczami: czy jest to wystawa obrazów futurystów z miasta Berlin na kontynencie Europa, czy też witryna słynnych perfumerii dla cudzoziemców w „stolicy świata” to znaczy mieście Paryż?

Dopiero po jakimś czasie, kiedy uda ci się w końcu dostrzec poszczególne detale wystroju takiej wystawy i dojdiesz już mniej więcej do siebie, wyraźnie zauważysz, jak bardzo te amerykańskie wystawy przetworów owocowych przewyższają różnorodnością kolorów, a także kształtem „flakonów” i „słoików” podobne wystawy na kontynencie Europa. Najwyraźniej owa różnorodność kolorów i form jest wynikiem kombinacji powstającej w zbiorczej psychice istot tej nowej społeczności na skutek pomieszania się niegdyś samodzielnych ras i przypadkowo umożliwiającej lepszą percepcję i pełne uświadomienie sobie sensu oraz wagi dobrodziejstw, które są dziełem rozumu, z jednej strony, istot współczesnego społeczeństwa Niemiec – gdy chodzi o wynalezienie przez nie substancje chemiczne zwane tam „aniliną” i „alizaryną” – a z drugiej strony istot społeczeństwa Francji w zakresie „perfumerii”.

Ja sam, kiedy pierwszy raz zobaczyłem tam taką wystawę, nie wytrzymałem... i wszedłem do jednego z tych sklepów, by zakupić około czterdziestu różnokształtnych słoików zawierających przetworzone owoce we wszystkich możliwych gamach kolorów.

Nabyłem je, żeby sprawić przyjemność towarzyszącym mi istotom pochodzącym z kontynentów Azja i Europa, gdzie tak pięknie wyglądające owoce wtedy jeszcze nie dotarły. Rzeczywiście,

kiedy przyniosłem zakupy do domu i je porozdawałem, wspomniane istoty były nie mniej zachwycone i zdumione ich wyglądem niż ja; później jednak; gdy spożyły je jako swój pierwszy pokarm, wystarczyło zobaczyć grymasy i zmianę karnacji ich twarzy, aby pojąć, w jaki sposób te owoce oddziałują na organizmy istot.

Sprawa wygląda jeszcze gorzej, jeśli chodzi o to, co się porobiło na tym kontynencie z produktem z punktu widzenia pierwszego pokarmu istnieniowego najważniejszym, i to zarówno dla nich, jak i dla prawie wszystkich trójmózgowych istot Wszechświata, a mianowicie z „prosforą”, którą oni sami nazywają „chlebem”.

Zanim wyjaśnię, na czym polega problem z tym amerykańskim chlebem, muszę ci powiedzieć, że owa część stałego lądu powierzchni twojej planety zwana „Ameryką Północną i Południową” jest pokryta – dzięki licznym przypadkowym kombinacjom będącym wynikiem drugiego wielkiego „niezgodnego z prawem kataklizmu”, który spotkał tę nieszczęsną planetę, a także dzięki pozycji zajmowanej przez ów stały ląd w procesie „ruchu ogólnoukładowego” – warstwą tak zwanej gleby sprzyjającą od zawsze uprawie tego „boskiego zboża”, z którego robi się wspomnianą prosforę. Gleba na powierzchni tych kontynentów, jeśli umie się ją świadomie wykorzystać, może dać w jednym „okresie urodzaju” pełnię całościowego procesu świętego Heptaparapszynoch lub, inaczej mówiąc, potrafi dać plon „czterdzieści dziewięć z jednego”, i nawet jeśli wykorzystuje się tę glebę jedynie półświadomie – jak to się dzieje obecnie – zbiór tego boskiego zboża jest tam w porównaniu z innymi kontynentami bardzo obfity.

A zatem, mój chłopcze, gdy dzięki różnym szczęśliwym zbiegom okoliczności istoty wspomnianego kontynentu stały się posiadaczami dużej ilości tego, co jest przedmiotem marzeń dziwnej psychiki twoich współczesnych ulubieńców, a na co wszędzie mówi się „dolary” i gdy zgodnie z panującym tam od dawna zwyczajem zyskały przez to w „istnieniowych wyobrażeniach” istot wszystkich pozostałych kontynentów tak zwany autorytet, wtedy dążąc do osiągnięcia wspomnianego przeze mnie wcześniej

współczesnego ideału, zaczęły się też wymądrzać na każdy temat, również na temat tego boskiego zboża, z którego robi się prosforę.

Na wszystkie możliwe sposoby zaczęły, że tak powiem, „znęcać się” nad tym boskim zbożem, aby otrzymywany z niego produkt nabrał „uderzająco pięknego wyglądu”.

W tym celu powymyślały najróżniejsze maszyny którymi tak długo „skrobą” „czeszą” „wygładzają” i „polerują” tę mającą pecha wschodząc na ich kontynencie pszenicę, aż uda im się doprowadzić do całkowitego zniszczenia wszystkich elementów aktywnych gromadzących się na powierzchni ziaren tuż pod tak zwanymi łuskami i akurat przeznaczonych przez Wielką Przyrodę do uzupełniania w zbiorczych obecnościach trójmózgowych istot tego, co spożytkowały, by godnie jej służyć.

Oto dlaczego, mój chłopcze, prosfora, czyli chleb robiony z pszenicy występującej tak obficie na tym kontynencie, nie zawiera dzisiaj niczego pożytecznego dla istot, które ją spożywają, i z jej spożycia ich zbiorcza obecność nie odnosi żadnej korzyści prócz szkodliwych gazów oraz czerwi zwanych tam „glistami”.

Zresztą trzeba po sprawiedliwości zaznaczyć, że nawet jeśli owa pszenica nie daje niczego, co pozwoliłoby im lepiej i bardziej świadomie służyć Wielkiej Przyrodzie, to jednak produkując w sobie wspomniane glisty, nieświadomie bardzo pomagają swej planecie w zaszczytnej służbie przeogromnemu ogólnokosmicznemu Trogoautoegokratowi. Przecież glisty to też istoty i za ich pośrednictwem również dokonuje się transformacja substancji kosmicznych.

W każdym razie dzięki tym swoim wymądrzaniom na temat chleba istoty mające siedlisko na tym kontynencie osiągnęły już to, czego bardzo pragnęły i do czego usilnie dążyły, albowiem teraz istoty wszystkich innych kontynentów zawsze mówią o nich rzeczy w rodzaju:

„Ci Amerykanie to dopiero mają głowę. Nawet chleb wychodzi im jakoś inaczej: taki «pyszny» i taki «biały», istne cudo! Wszak to szczyt wspaniałości cywilizacji współczesnej”.

Jednak sam fakt, że wskutek tego znęcania się nad pszenicą ich chleb jest nie tylko „do niczego”, lecz także stał się kolejnym z wielu czynników powodujących popsucie się ich żołądków, nie ma dla nich żadnego znaczenia. Przecież w zamian za to kroczą w pierwszym rzędzie współczesnej „cywilizacji europejskiej”.

Najbardziej osobliwe w tej ich naiwności jest to, że wszystko, co najlepsze i najbardziej pożyteczne z tego, co Przyroda produkuje w tym boskim ziarnie na potrzeby ich normalnej egzystencji, oni oddają... świniom lub po prostu palą, a sami wykorzystują tylko tę substancję, którą Przyroda wytwarza w pszenicy wyłącznie po to, by wiązać i zabezpieczać aktywne elementy znajdujące się, jak już powiedziałem, głównie pod łuskami ziarna.

Drugim ważnym czynnikiem dysharmonii funkcji trawiennej tych nieszczęsnych amerykańskich istot trójmózgowych jest system, który same ostatnio wymyśliły do wydalania z siebie przetworzonych resztek ich pierwszego pokarmu, a mianowicie „wygodne siedzenia” ich „waterklozetów”.

Ten szkodliwy wynalazek nie tylko był i jest jednym z głównych czynników wspomnianej dysharmonii występującej w nich samych, jak również u prawie wszystkich istot na pozostałych kontynentach – istot, które ostatnio, nawiasem mówiąc, bardzo gorliwie zaczęły naśladować te wszelkie ichnie oryginalne sposoby „wspomagania” własnego funkcjonowania transformacyjnego – lecz także pozwolił twoim ulubieńcom, obecnie znowu starającym się spełniać tę nieuniknioną funkcję istnieniową z jak największym poczuciem słodkiego spokoju, znaleźć nowy bodziec, by z jeszcze większym zapałem służyć ich bogu „samouspokojeniu”, który, jak już ci wielokrotnie wspominałem, reprezentował i do dzisiaj reprezentuje chyba największe zło, rodzące i powodujące wszystkie anomalie zarówno ich psychiki, jak i zwykłej egzystencji istnieniowej.

Bardzo dobrym przykładem, a nawet, by tak rzec, „olśniewająco rozświetlonym obrazem dla twojego istnieniowego wyobrażenia” o tym, jakie nadzwyczajne perspektywy na przyszłość otwiera ten ich wymysł, może być tu fakt, że już teraz niektóre z tych



współczesnych amerykańskich istot, zdobywszy, oczywiście zbiegiem okoliczności, dużą ilość ich słynnych dolarów, instalując w swoich „waterklozetach z wygodnymi siedzeniami” takie akcesoria, jak mały stolik, telefon i „aparat radiowy”, aby wygodnie siedząc, móc dalej prowadzić „korespondencję” omawiać ze znajomymi przez telefon rozmaite dolarowe interesy, spokojnie czytać absolutnie niezbędne im gazety czy w końcu słuchać utworów muzycznych, które wymyślili różni tamtejsi Hasnamusi, i teraz, gdy tylko staną się „modne”, musi je obowiązkowo znać każdy współczesny amerykański biznesmen.

Z punktu widzenia dysharmonii funkcji trawiennych wszystkich współczesnych istot trójmózgowych twojej planety przyczyną głównej szkody wyrządzanej przez ten amerykański wymysł są następujące:

Dawniej, gdy w zbiorczych obecnościach twoich ulubieńców jeszcze w miarę normalnie krystalizowały się dane ku temu, by mógł wytworzyć się w nich obiektywny rozum, i gdy sami mieli jeszcze jakieś rozeznanie albo rozumieли wyjaśnienia udzielane im przez inne dobrze zorientowane w tej kwestii i podobne do nich istoty, otóż wówczas przybierali wspomnianą pozycję w sposób prawidłowy i nawet potem, kiedy te istnieniowe dane definitywnie przestały się w nich krystalizować i zaczęli wykonywać tę swoją funkcję wyłącznie automatycznie, ich ciało planetarne – dzięki systemowi stosowanemu przed pojawieniem się tego amerykańskiego wymysłu – wciąż potrafiło samo, kierując się jedynie „instynktem zwierzęcym” przyjąć właściwą pozycję; ale odkąd do wypełniania tej niezbędnej funkcji wszystkie amerykańskie istoty zaczęły używać wymyślonych przez siebie „wygodnych siedzeń” ich ciało planetarne straciło już nawet umiejętność instynktownego przybierania wymaganej pozycji, skutkiem czego u twoich ulubieńców korzystających z tych amerykańskich wygodnych siedzeń pewne, jak to się mówi, „mięśnie”, których zadaniem jest urzeczywistnianie tej niezbędnej funkcji istnieniowej, zaczęły stopniowo zanikać, powodując w nich, by tak rzec, „zaparca” i przyczyniając się do powstania paru nowych specy-

ficznych chorób, które w całym naszym Wielkim Wszechświecie występują tylko w obecnościach tych dziwnych istot trójmózgowych.

Wśród wielu ważnych oraz drugoplanowych przyczyn, które w sumie powodują w zbiorczych obecnościach twoich współczesnych ulubieńców mających siedlisko na kontynencie Ameryka Północna stopniową dysharmonię tej podstawowej funkcji, jest jedna niezwykle oryginalna przyczyna, która choć „bije po oczach” to z powodu ich „kurzej bystrości istnieniowej” rozkwita z impulsem egoistycznego zadowolenia jakby pod „czapką niewidką”.

Ta oryginalna przyczyna powstała, a następnie zaczęła w nich po cichutku i pomalutku wciąż dysharmonizować wspomnianą funkcję tylko dlatego, że w osobliwych obecnościach istot tej nowej zbiorowości rozbudziła się „nieprzeparta pasja” do jak najczęstszego odwiedzania kontynentu Europa.

Z tą oryginalną przyczyną powinieneś się zaznajomić głównie dlatego, że dzięki niej zdasz sobie sprawę z jeszcze jednego szkodliwego dla wszystkich twoich ulubieńców rezultatu „złomadrzenia się” ich współczesnych „uczonych”.

Abyś lepiej sobie wyobraził i zrozumiał powód takiej stopniowej dysharmonii w zbiorczych obecnościach amerykańskich istot, musisz najpierw poznać pewne szczegóły dotyczące narządów, które urzeczywistniają tę niezbędną funkcję istnieniową.

Jednym z takich narządów służących do całkowitej przemiany „pierwszego pokarmu” jest organ występujący prawie wszędzie pod nazwą „tuspusoch”, a przez nie nazywany „ślepą kiszka”, czyli w ichniej terminologii naukowej „wyrostek robaczkowy”.

Przewidziane przez Wielką Przyrodę urzeczywistnienie tego narządu polega na tym, że gromadzą się w nim pod postacią „gazów” różne wiążące substancje kosmiczne, które wydzielają się w trakcie transformacji wielorakich krystalizacji naplanetarnych wchodzących w skład pierwszego pokarmu istnieniowego, aby następnie, w trakcie wydalania ze zbiorczej obecności istot prze-

tworzonych już resztek wspomnianego pokarmu, owe „gazy” wywierając ciśnienie, ułatwiały wykonywanie tej czynności.

Gazy gromadzące się w tym organie urzeczywistniają za pomocą, że tak powiem, „wyładowywania się” swoje, przewidziane przez Przyrodę, mechaniczne działanie niezależnie od ogólnego funkcjonowania transformacyjnego, które zachodzi w istotach, to znaczy tylko w określonych przedziałach czasowych, różniących się ze względu na subiektywne przyzwyczajenia każdej z nich.

Tak więc, mój chłopcze, w czasie ich częstych podróży na kontynent Europa – które trwają, tam i z powrotem, od dwunastu dni do miesiąca – panujące warunki zmuszają je do codziennej zmiany pory wypełniania tej utrwalonej w nich funkcji, skutkiem czego pojawia się właśnie ów ważki czynnik wywołujący stopniową dysharmonię w procesie ich podstawowego ogólnego funkcjonowania transformacyjnego. Mówiąc dokładniej, kiedy z powodu takiego zakłócenia ustalonego rytmu nie wypełniają przez wiele dni tej niezbędnej funkcji i tym samym nie wykorzystują automatycznie oraz zgodnie z przeznaczeniem „gazów” gromadzących się w tym organie, te ostatnie, nie spełniając przewidzianych przez Przyrodę celów, stopniowo uchodzą bezproduktywnie z ich obecności w przestrzeń, wywołując przejawy, których całokształt, nawiasem mówiąc, dla istoty z normalnie rozwiniętym organem węchu czyni pobyt na statkach pasażerskich prawie nieznośnym. W rezultacie tego wszystkiego często cierpią one na „mechaniczne zaparcie”, które z kolei powoduje wspomnianą stopniową dysharmonię tej ich podstawowej funkcji transformacyjnej.

Gdy zacząłem ci wyjaśniać, mój chłopcze, przyczyny dysharmonii funkcji, której zadaniem jest transformacja pierwszego pokarmu istnieniowego w obecnościach tych amerykańskich istot, wspomniałem ci, mówiąc o wymyślonych przez nie „wygodnych siedzeniach” że owe przypadłe ci do gustu dziwne istoty trójmózgowe mające siedlisko na planecie Ziemia znowu starają się wykonywać tę ich niezbędną funkcję istnieniową z największym

możliwym poczuciem samozadowolenia. Powiedziałem „znowu” ponieważ już kilka razy wcześniej, w różnych okresach upływu czasu, te dziwne przypadłe ci do gustu istoty trójmózgowe wprowadzały na potrzeby ich zwykłej egzystencji podobnego rodzaju ulepszenia.

Pamiętam bardzo dobrze jeden z tych okresów, kiedy to ówczesne istoty – które, nawiasem mówiąc, twoi współcześni ulubieńcy uznaliby teraz tylko za starożytnych „dzikusów” – wymyślały wszelkiego rodzaju wygody służące do spełniania tej wprawdzie prozaicznej, ale niezbędnej potrzeby istnieniowej, to znaczy tej samej potrzeby, do której zaspokajania współcześni Amerykanie, przekonani w naiwności ducha, że osiągnęli już „nec plus ultra” cywilizacji, wymyślili owe wygodne siedzenia w swych waterklozetach.

Działo się to dokładnie w czasie, gdy głównym centrum kultury całej twojej planety był kraj Tiklamysz, przeżywającej wówczas okres największego rozkwitu.

Do spełniania tej funkcji istnieniowej istoty kraju Tiklamysz wymyśliły wtedy coś w rodzaju amerykańskich wygodnych siedzeń i ten szkodliwy wymysł także szeroko się rozpowszechnił wśród wszystkich innych trójmózgowych istot tej nieszczęsnej planety.

Gdyby wymysł istot cywilizacji tiklamyszyckiej porównać z wynalazkiem współczesnych Amerykanów, to można by ten ostatni nazwać, stosując porównanie, jakiego sami czasem używają, „dziecinną igraszka”.

Istoty cywilizacji tiklamyszyckiej wymyśliły wtedy coś na kształt „wygodnej leżanki”, która nadawała się do spania i do wszelakiego „błogiego nieróbstwa”, a oprócz tego można było jeszcze, leżąc na tym „cudo-wynalazku” i nie przejawiając najmniejszego istnieniowego wysiłku, spełniać ów nieunikniony obowiązek istnieniowy, z myślą o którym współczesne istoty kontynentu Ameryka stworzyły swoje „wygodne siedzenia”.

Te „cudo-łóżka” były tak przystosowane, że wystarczyło tylko

lekką dotknąć bocznej dźwigni, aby móc natychmiast, nawet nie wstając, zaspokoić tę niezbędną potrzebę, oczywiście w „przysłonej atmosferze” i z imponującym, by tak rzec, „szykiem”.

Nie zaszkodzi, mój chłopcze, jeśli przy okazji dodam, że owe słynne leżanki stały się przyczyną wielkich i doniosłych wydarzeń w procesie ich zwykłej egzystencji.

Dopóki tamtejsze istoty używały do załatwiania tych potrzeb istnieniowych poprzedniego, względnie normalnego systemu, wszystko przebiegało cicho i spokojnie, ale gdy tylko niektóre ówczesne, jak to się mówi, „istoty dzierżące władzę i opływające w dostatki” wymyśliły do tego samego celu te słynne wygodne leżanki, które otrzymały nazwę: „jak się rozkoszować, to z hukiem” wtedy wśród zwykłych ówczesnych istot zaczęło się to, co pociągnęło za sobą wspomniane poważne i żałosne następstwa.

Muszę ci powiedzieć, że w tym samym czasie, kiedy istoty Tikkamysza wymyślały te „cudo-leżanki”, twoja planeta podlegała ogólnokosmicznemu procesowi „Czirnuanowo”, to znaczy wraz z przemieszczeniem się w harmonijnym ruchu ogólnokosmicznym środka ciężkości owego układu słonecznego przemieścił się także środek ciężkości samej tej planety.

W trakcie takich lat, jak już wiesz, w psychice istot zamieszkujących planetę, która ulega „Czirnuanowo” nasilają się doznania „błogonuarirnowe” lub, jak inaczej się je określa, „wyrzuty sumienia” z powodu dawnych złych postępów popełnionych wbrew własnym przekonaniom.

Jednakże z różnych przyczyn, zarówno zewnętrznych, jak i takich, którym twoi ulubieńcy sami są winni, ich zbiorcza obecność stała się tak osobliwa, że skutki oddziaływania na nią tej ogólnokosmicznej realizacji są zupełnie inne niż w przypadku trójmózgowych istot, które w czasie „Czirnuanowo” znajdują się na innych planetach, a mianowicie tam z reguły zamiast „wyrzutów sumienia” powstają i rozpowszechniają się na wielką skalę specyficzne procesy zwane „unicestwianiem się nawzajem Mikrokosmosów w Tetartokosmosach” – procesy, które oni sami, kiedy im ulegają, uważają za „choroby epidemiczne”, a które

w czasach starożytnych znane były jako „kalunium”, „morkoch”, „selnoano” itd., natomiast dzisiaj nazywane są „dżumą”, „cholera”, „hiszpanką” itp.

Ponieważ większość istot korzystających z tych już nazbyt wygodnych leżanek zapadała na liczne choroby zwane wówczas „kolbana”, „tirdiank”, „majasul”, „czamparnach” itp., a przez istoty współczesne określane jako „tabes” „stwardnienie rozsiane” „hemoroidy”, „ischias”, „porażenie połowicze” itp., niektóre istoty Tiklamysza, mianowicie te, u których w zbiorczych obecnościach – dlatego że całkowicie zaprzestały wypełniać partkdołg-powinności istnieniowe – zaczęły krystalizować się z większą niż zwykle intensywnością dane wywołujące właściwości hasnamuskie i wśród których na dobitkę znajdowali się tak zwani rewolucjoniści, zauważywszy taką specyfikę, postanowiły wykorzystać ją do własnych celów. A konkretnie tego rodzaju tamtejsze typy wymyśliły i zaczęły uporczywie rozgłaszać ówczesnym istotom, że winnymi wszystkich wyżej wymienionych chorób epidemicznych są „burżuje darmozjady”, którzy, korzystając z leżanek „jak się rozkoszować, to z hukiem”, nabawiają się rozmaitych chorób i następnie zarażają nimi masy.

Z powodu oryginalnej cechy ich zbiorczej obecności, o której wspomniałem już wcześniej, a która zwana jest „podatnością na sugestie”, wszystkie zwykłe istoty z ich otoczenia uwierzyły oczywiście w tę „propagandę”, a potem, po długich rozmowach między sobą – jak to się zawsze tam dzieje w takich sytuacjach – w każdej z nich skrytalizował się z czasem okresowo występujący czynnik, urzeczywistniający w ich zbiorczych obecnościach ów dziwny i stosunkowo długotrwały „stan psychiczny”, który nazwałbym „utrata poczucia samego siebie” wskutek czego zaczęły one, jak zresztą też jest tam w zwyczaju, niszczyć wszędzie nie tylko te „cudo-leżanki” lecz również egzystencję istot, które ich używały.

Chociaż niebawem w obecnościach większości zwykłych ówczesnych istot nastąpiło przesilenie takiego swoistego szau, niemniej „zajadłe prześladowanie” tego rodzaju łózek oraz tych, któ-

rzy z nich korzystali, trwało z rozpędu jeszcze kilka tamtejszych lat, aż w końcu ów szkodliwy wymysł całkowicie wyszedł z użycia i szybko zapomniano nawet, że takie łóżka istniały kiedyś na ich planecie.

Jakkolwiek by było, można z całą pewnością stwierdzić, że jeśli wśród istot należących do zbiorowości, która ma obecnie siedlisko na kontynencie Ameryka, współczesna „cywilizacja” będzie się dalej rozwijała w tym samym duchu i w takim samym tempie, to już wkrótce one same dostatecznie „się ucywilizują”, aby mieć u siebie leżanki równie zadziwiające jak owe dawne łoża o nazwie „jak się rozkoszować, to z hukiem”.

Teraz zaś, mój chłopcze, nie zaszkodzi, jeśli dam ci kilka przykładów dotyczących wynalezienia „konserw z pierwszym pokarmem istnieniowym”, a także użytkowania ich w procesie egzystencji istnieniowej przez istoty tej współczesnej zbiorowości, którą w ostatnim czasie dziwny rozum istot wszystkich innych kontynentów uznał za „wzór do naśladowania”, i to tylko z tej prostej przyczyny, że ponoć jako pierwsze wymyśliły na ich planecie takie dobroczynne i funkcjonalne zwyczaje istnieniowe, jak w tym wypadku żywienie się konserwami, pozwalające rzekomo zaoszczędzić czas.

Oczywiście nieszczęsne współczesne istoty trójmózgowe mające siedlisko na twojej planecie nie wiedzą ani nawet, z powodów już ci wyjaśnionych, nie są w stanie sobie wyobrazić, że w różnych minionych epokach ich odlegli przodkowie, którzy o wiele normalniej niż one ukształtowali się w istoty odpowiedzialne, nieźle już, jak to się mówi, „nałamali sobie głowę” żeby znaleźć jakiś sposób skrócenia czasu potrzebnego do zaspokojenia tej nieodzownej istnieniowej potrzeby spożywania pokarmów. Jednakże za każdym razem po odkryciu takich ponoć funkcjonalnych metod i po ich krótkim stosowaniu przekonywali się, że wszystkie produkty, niezależnie od rodzaju i sposobu konserwowania, z czasem się psuły i nie nadawały na ich pierwszy pokarm, toteż przestawali stosować takie metody w procesie ich zwykłej egzystencji.

Weźmy na przykład sposób analogiczny do współczesnej metody przechowywania w hermetycznie zamkniętych naczyniach produktów służących za pierwszy pokarm istnieniowy, którego zastosowanie widziałem na własne oczy w kraju Maralplejsi.

Działo się to w epoce, gdy istoty regionu Maralplejsi konkurowały we wszystkim z istotami kraju Tiklamysz i toczyły z nimi zacieklą rywalizację, chcąc przekonać istoty pozostałych krajów, że to ich kraj jest pierwszym i „głównym centrum kultury”.

Otóż właśnie wtedy wymyśliły między innymi coś w rodzaju tych amerykańskich konserw.

Z tym że istoty z Maralplejsi nie przechowywały swoich produktów spożywczych w „toksycznych blaszanych puszkach”, jakich używają współczesne istoty kontynentu Ameryka, lecz w zamkniętych hermetycznie naczyniach „sicharenennych”.

Takie naczynia sicharenenne wykonywano w Maralplejsi z drobno zmielonej „masy perłowej” z „żółtek kurzych jaj” oraz kleju otrzymanego z grzbietu ryby zwanej „jesiotrem czuzneńskim”.

Naczynia te miały identyczny wygląd i właściwości jak matowe szklane słoiki, które spotyka się dzisiaj na twojej planecie.

Pomimo wszystkich oczywistych zalet przechowywania produktów w takich naczyniach pewne rozumne istoty kraju Maralplejsi stwierdziły, że w istotach, które regularnie spożywają tego rodzaju produkty, stopniowo zanika to, co zwie się „organicznym wstydem”, a więc kiedy udało się im szeroko rozpowszechnić wśród pozostałych zwykłych istot wieść o tym swoim spostrzeżeniu, wszystkie istoty do nich podobne z ich otoczenia przestały stosować ową metodę i w końcu do tego stopnia wyszła ona z powszedniego użycia, że pięć czy sześć pokoleń później nie wiedzianno już nawet o tym, że kiedykolwiek istniała.

Tam, na owym kontynencie Azja, praktycznie od zawsze istniały rozmaite metody przechowywania przez długi czas produktów spożywczych i tamtejsze współczesne istoty wciąż znają kilka takich sposobów, które dotarły do nich od bardzo dalekich przed-



ków.

Ale żadna z tych metod nie jest tak szkodliwa jak ta, którą wymyśliły współczesne istoty kontynentu Ameryka, a która polega na przechowywaniu produktów w toksycznych blaszanych puszkach.

Dokładnie ta sama idea, mianowicie przechowywanie produktów w „hermetycznie zamkniętych” pojemnikach, by nie podlegały działaniu atmosfery i rzekomo uniknęły procesu rozkładu, jest także znana pewnym współczesnym społeczeństwom azjatyckim, tyle że żadne z nich nie stosuje w tym celu owych toksycznych amerykańskich blaszanek.

Na kontynencie Azja używa się dzisiaj do tego wyłącznie „kurdiuka”.

Kurdiuk to złogi tłuszczowe gromadzące się obficie u nasady ogona jednej formy dwumózgowej czworonożnej istoty, która zwana jest tam „owcą” i którą można spotkać wszędzie na tym kontynencie.

Ów tłuszcz nie zawiera żadnych kosmicznych krystalizacji szkodliwych dla zbiorczej obecności trójmózgowych istot i jest jednym z głównych produktów żywnościowych na kontynencie Azja. Podczas gdy metale, z których współczesne istoty kontynentu Ameryka robią puszki do przechowywania swych produktów – jakkolwiek byłyby izolowane w środku od wpływu atmosfery – zaczynają z czasem wydzielać różne aktywne elementy, w tym niektóre ogólnie bardzo, jak one to określają, „trujące” dla zbiorczej obecności istot.

Ponieważ owe trujące elementy aktywne, które wydzielają się z blachy lub podobnych wyrobów metalowych, znajdują się w hermetycznie zamkniętych puszkach, nie mogą więc rozejść się w przestrzeni i z czasem, zgodnie z kosmicznym prawem zwanym „fuzją” napotykać w produktach umieszczonych w tych puszkach elementy odpowiadające im pod względem „pokrewieństwa klasy wedle liczby wibracji” i po połączeniu z nimi już się od nich nie oddzielają, a później wraz z tymi produktami tra-

fiają oczywiście do organizmu konsumujących je istot.

Twoi współcześni ulubieńcy zgromadzeni na kontynencie Ameryka nie dość, że przechowują swoje produkty w takich szkodliwych dla nich, „toksycznych naczyniach”, to jeszcze najczęściej przechowują je w stanie surowym.

Za to istoty kontynentu Azja przechowują wszystkie produkty żywnościowe dopiero po ich upieczeniu lub ugotowaniu, ponieważ zgodnie z informacjami, które dotarły do nich od odległych przodków, produkty przechowywane w ten sposób nie rozkładają się tak szybko jak surowe.

Rzecz w tym, że kiedy dany produkt jest gotowany lub pieczony, między pewnymi elementami aktywnymi składającymi się na podstawową masę tego produktu zachodzi tak zwana sztuczna fuzja chemiczna, dzięki której wiele pożytecznych dla istot elementów aktywnych zachowuje się w tych produktach o wiele dłużej.

Raz jeszcze radzę ci, żebyś wyjątkowo dokładnie zapoznał się ze wszystkimi rodzajami fuzji zachodzącymi w Megalokosmosie, i to zarówno tymi, które nazywane są „chemicznymi”, jak i „mechanicznymi”.

Znajomość tego kosmicznego prawa bardzo pomoże ci między innymi wyraźnie zobaczyć i zrozumieć, dlaczego i jak pojawiają się ogólnie w Przyrodzie te liczne i różnorodne formacje.

A co się tyczy sposobu uzyskiwania „długotrwałej fuzji elementów” w produktach gotowanych lub pieczonych, to będziesz mógł to doskonale zrozumieć, jeśli wyobrazisz sobie proces zachodzący w trakcie sztucznego przygotowywania prosfory.

Praktycznie wszędzie istoty, które robią prosforę lub chleb, są świadome jego świętego znaczenia i tylko twoi współcześni ulubieńcy przygotowują go zupełnie nieświadomi tego, co robią, kierując się jedynie siłą odziedziczonego, automatycznie przekazanego im nawyku.

Także w chlebie krystalizacja substancji kosmicznych następuje zgodnie z prawem Triamazikamno, którego trzy święte siły są

w tym przypadku reprezentowane przez substancje pochodzące z trzech względnie samodzielnych źródeł, a mianowicie: Święte Twierdzenie lub zasadę aktywną reprezentuje całokształt substancji kosmicznych składających się na to, co twoi ulubieńcy zwą „wodą” Święte Zaprzeczenie lub zasadę pasywną – całokształt substancji wchodzących w skład otrzymanej z boskiego ziarna pszenicy, jak mówią twoi ulubieńcy, „mąki”, a Święte Pojednanie lub zasadę neutralizującą – substancje powstające w wyniku wszelkiego spalania się lub, jak by to określili twoi ulubieńcy, od „ognia”.

Aby uczynić jaśniejszym to, co powiedziałem o znaczeniu długotrwałej fuzji różnoźródłowych substancji kosmicznych, weźmy dla przykładu względnie samodzielny ogół substancji służący za zasadę aktywną przy wytwarzaniu prosfory lub chleba, czyli ów całokształt, który twoi ulubieńcy nazywają „wodą”.

Ten względnie samodzielny całokształt substancji kosmicznych, zwany na Ziemi „wodą” i reprezentujący, by tak rzec, „naturalną mieszankę mechaniczną” może zachować się w stanie nienaruszonym wyłącznie pod warunkiem, że będzie utrzymywał związek z Przyrodą. Jeśli więź wody z ogółem Przyrody zostanie przerwana, na przykład jeżeli zaczerpnie się trochę wody z rzeki i przeleje do jakiegoś naczynia, to nieuchronnie po pewnym czasie woda jako taka zacznie ulegać stopniowemu zniszczeniu lub, mówiąc inaczej, zacznie się rozkładać, a taki proces wpływa zazwyczaj na organy percepcji istot bardzo „kakodorowo” lub, jak powiedzieliby twoi ulubieńcy, „ta woda zaczyna cuchnąć”.

To samo będzie się działo, gdy zmieszamy wodę z mąką i otrzymamy tylko prowizoryczną mieszankę mechaniczną zwaną „ciastem” w której ta woda, również po dość krótkim czasie, zacznie się na pewno rozkładać.

Ale jeżeli to ciasto, czyli wodę zmieszaną z mąką, upiecze się na ogniu, wówczas dzięki substancjom pochodzącym z ognia lub wytworzonym za jego pomocą – substancjom, które w danym wypadku, jak już powiedziałem, są trzecią neutralizującą świętą siłą świętego prawa Triamazikamno – nastąpi fuzja chemiczna,

to znaczy „długotrwała fuzja substancji” dająca w rezultacie nowy całokształt substancji powstały z wody i mąki, mianowicie prosforę lub chleb, który będzie się już opierał bezlitosnemu Heropasowi, czyli przez długi czas nie ulegnie rozkładowi.

Otrzymany w ten sposób chleb może „schnąć”, „kruszyć się”, a nawet stopniowo na pozór całkowicie się rozpaść, ale wskutek tego procesu transformacji elementy wody nie będą ulegać rozkładowi przez wystarczająco długi czas i każdy z nich pozostanie czynny jako „długotrwały prosforny element aktywny”.

Także w tym wypadku, mój chłopcze, powtarzam jeszcze raz, że jeżeli współczesne istoty mające siedlisko na kontynencie Azja przechowują swe produkty dopiero po ich upieczeniu lub ugotowaniu, a nie w stanie surowym, jak czynią to zwykle współczesne istoty amerykańskie, to dzieje się tak również dlatego, że ten zwyczaj dotarł do istot azjatyckich od ich przodków; którzy należeli do społeczeństw mających za sobą wielowiekowy staż i tym samym długie praktyczne doświadczenie, podczas gdy społeczeństwo amerykańskich istot istnieje, jak powiedziałyby nasz mądry nauczyciel, „zaledwie od przedwczoraj”.

Abyś mógł lepiej ocenić realne znaczenie takiego – reprezentującego ponoć autentyczny owoc współczesnej cywilizacji – wymysłu owych współczesnych istot, które mają siedlisko na kontynencie Ameryka, nie zaszkodzi, jeśli poinformuję cię także o stosowanych do dziś przez istoty kontynentu Azja sposobach długotrwałego przechowywania niektórych produktów.

Weźmy dla przykładu metodę przygotowywania „kowurmy”, produktu bardzo lubianego przez istoty należące do wielu zbiorowości kontynentu Azja.

Taką kowurmę przygotowuje się na kontynencie Azja w niezwykle prosty sposób: małe kawałki bardzo dobrze upieczonego mięsa pakuje się ciasno do glinianych dzbanów lub „burdiuków”<sup>\*</sup>.

<sup>\*</sup> „Burdiuk” to skóra zdzierana w specjalny sposób z istoty zwanej „kozą”.

Następnie te upieczone kawałki mięsa zalewa się przetopionym

kurdiukiem.

Oczywiście z czasem również takie kawałki pieczonego mięsa, pokryte we wspomniany sposób tłuszczem, zaczynają się psuć, ale stosunkowo długo nie wydzielają żadnej trucizny.

Istoty kontynentu Azja spożywają kowurmę na zimno lub na ciepło.

W tym drugim przypadku mięso sprawia wrażenie, jakby pochodziło z dzisiejszego uboju.

Innym takim bardzo lubianym i konserwującym się przez długi czas produktem jest tam „jagli-jemisz”, czyli po prostu rozmaite świeżo zebrane z drzewa owoce, które nawleka się na sznurek w formie naszyjnika i starannie gotuje w wodzie; następnie te na wpół wystygłe osobliwe naszyjniki zanurza się kilka razy w przetopionym kurdiuku, a na koniec wiesza w jakimś miejscu, gdzie są wystawione na działanie silnego przeciągu.

Owoce przygotowane w ten sposób, choćby nie wiem jak długo miały wisieć, prawie nigdy się nie psują, a kiedy chce się skorzystać z tych osobliwych „pożywnych naszyjników” wkłada się je na krótko do gorącej wody, wskutek czego oblepiający je tłuszcz rozgrzewa się i całkowicie rozplływa, a same owoce smakują tak, jakby świeżo zerwano je z drzewa.

Mimo że przyszykowane tą metodą owoce prawie nie różnią się smakiem od świeżych i bardzo długo się nie psują, wszystkie w miarę zamożne istoty kontynentu Azja wolą jednak jeść owoce świeże.

A wynika to na pewno stąd, że są bezpośrednimi potomkami istot należących do wielowiekowych społeczeństw i dzięki przekazanym im dziedziczenie umiejętnościom u większości z nich krystalizacja danych, które pozwalają instynktownie doznawać rzeczy realnych, zachodzi przeważnie o wiele intensywniej niż u pozostałych twoich współczesnych ulubieńców.

Powtarzam, mój chłopcze, na tej twojej planecie istoty minionych epok, szczególnie te mające siedlisko na kontynencie Azja, już wiele razy próbowały stosować różne sposoby długotrwałego

przechowywania produktów, ale zawsze kończyło się to tym samym: najpierw pojedyncze osoby odkrywały dzięki swym świadomym lub przypadkowym obserwacjom niepożądane i szkodliwe następstwa tego rodzaju praktyki zarówno dla nich samych, jak i dla ich bliskich, a potem uświadamiały to wszystkim pozostałym istotom, te zaś po przeprowadzeniu możliwie najbardziej bezstronnych obserwacji przekonywały się o słuszności wywodów tych pierwszych i koniec końców zupełnie zaprzestawały takich praktyk w procesie swojej egzystencji.

Jeszcze całkiem niedawno właśnie na kontynencie Azja pewne istoty próbowały znaleźć nie tylko sposób długotrwałego przechowywania produktów spożywczych, ale także jakąś całkiem nową metodę, która pozwoliłaby im tracić jak najmniej czasu na tę niezbędną istnieniową potrzebę żywienia się pierwszym pokarmem, i byty nawet bardzo bliskie odkrycia wysoce zadowalającego rozwiązania.

Mogę zresztą szczegółowo opisać ci interesujące rezultaty ich nowatorskich poszukiwań w tej dziedzinie, ponieważ osobiście znałem ziemską istotę trójmózgową, która dzięki swym świadomym trudom odkryła wspomnianą metodę; i byłem nawet obecny przy kilku rozstrzygających eksperymentach mających zbadać możliwości zastosowania tej metody u istot – eksperymentach przeprowadzonych przez samego inicjatora owych, by tak rzec, „nowych poszukiwań”.

Nazywał się Asiman i był członkiem grupy współczesnych azjatyckich istot trójmózgowych, które, uświadomiwszy sobie niewolniczą zależność od pewnych tkwiących w nich samych przyczyn, zorganizowały wspólną egzystencję, aby pracować nad sobą i uwolnić się od tej zależności.

Co ciekawe, najpierw owa grupa współczesnych ziemskich istot trój mózgowych, do której należał brat Asiman, istniała w kraju Perłania, zwanym teraz „Hindustanem”, później jednak, kiedy pojawiły się tam istoty z kontynentu Europa i zaczęły im przeszkadzać w spokojnej pracy, cała grupa przedostała się przez, jak się teraz mówi, „Himalaje” i osiedliła częściowo na terytorium

Tybetu, a częściowo w tak zwanych dolinach Hindukuszu.

Brat Asiman należał do tych, którzy osiedlili się w dolinach Hindukuszu.

Ponieważ dla członków tego bractwa pracujących nad samodoskonaleniem czas był niezwykle cenny, a proces jedzenia pochłaniał go dużo, brat Asiman, biegły w nauce zwanej wówczas „alchemią”, bardzo poważnie zajął się szukaniem „chemicznego środka”, którego przyswojenie pozwoliłoby stosującej go istocie egzystować tak, by nie traciła tyle czasu na przygotowywanie i spożycie przeróżnych produktów służących jej za pierwszy pokarm.

Po długich i intensywnych wysiłkach brat Asiman wypracował w tym celu kombinację substancji chemicznych w postaci „proszku”, który – wchłaniany przez istotę raz na dwadzieścia cztery godziny w ilości jednego malutkiego naparstka – pozwalał jej egzystować tak, że nie musiała już korzystać z żadnego innego pokarmu prócz wody i mogła wypełniać bez żadnego uszczerbku wszystkie obowiązki istnieniowe.

Gdy przypadkowo trafiłem do klasztoru, gdzie brat Asiman egzystował z innymi braćmi tej małej grupy twoich współczesnych ulubieńców, wszyscy od pięciu miesięcy stosowali ów środek, a brat Asiman wraz z innymi braćmi, także obeznanymi z owym proszkiem, był bardzo zajęty prowadzeniem doświadczeń, tym razem już na dużą skalę.

Otóż eksperymenty te pokazały im, że koniec końców ów środek nie mógł wystarczyć do normalnej egzystencji istot.

Kiedy to ustalili, nie tylko całkowicie przestali go stosować, lecz nawet zniszczyli jego recepturę opracowaną przez brata Asimana.

Kilka miesięcy później miałem okazję znowu znaleźć się w tym klasztorze i sam zaznajomiłem się wtedy z dokumentem, który bracia sporządzili dokładnie w dniu, w którym przestali ostatecznie używać tego rzeczywiście zdumiewającego środka.

Ów dokument zawierał między innymi kilka bardzo interesują-

cych szczegółów działania tego asimanowego środka. Była w nim mowa o tym, że po wprowadzeniu go do obecności istot środek ten, oprócz właściwości odżywczych, miał także szczególny wpływ na „nerwy błędne” żołądka, a więc nie tylko natychmiast usuwał wszelką potrzebę jedzenia, ale też powodował całkowity zanik chęci przyswajania jakiegokolwiek innego produktu żywnościowego, a gdyby któryś z braci przyswoił coś na siłę, na bardzo długi czas ogarniał go wtedy nieprzyjemny stan wywołany takim przymusowym pobraniem produktu.

Była tam jeszcze mowa o tym, że na samym początku nie uważano żadnej zmiany w obecnościach istot, które żywiły się tym środkiem, że nawet ich waga się nie zmniejszała i dopiero po pięciu miesiącach jego szkodliwe skutki zaczęły się przejawiać w zbiorczej obecności istot w postaci stopniowej utraty mocy i wrażliwości niektórych narządów percepcji oraz manifestowania się. Na przykład ich głosy słabły, wzrok i słuch pogarszały się, itd., a ponadto u niektórych z nich rozstrój wymienionych funkcji istnieniowych poprzedzały zmiany w ich, że tak powiem, stanie ogólnopsychicznym.

Dokument sporządzony przez tych braci zawierał między innymi bardzo obszerny – opatrzone wyjątkowo trafnymi i udanymi porównaniami – opis zmian w charakterze istot, które przez pięć miesięcy stosowały ten niezwykle asimanowy środek.

Chociaż nie zapamiętałem żadnego z przytoczonych w tym dokumencie przykładów, jednakże „smak” jaki mi po nich pozostał, pozwala mi przekazać ci ich sens, pod warunkiem że ponownie użyję w tym celu języka naszego szacownego Mułły Nasr Eddina.

Na przykład zwykły poczciwiec o charakterze, jak one mówią, „bożego anioła” wpadał nagle w irytację i przypominał kogoś takiego, o kim sam nasz drogi Mułła Nasr Eddin powiedział kiedyś:

„Jest tak rozsierdzony jak człowiek, który przeszedł właśnie pełną kurację u słynnego europejskiego specjalisty od chorób nerwowych”.

Albo istoty, które jeszcze wczoraj były łagodne jak „maślane ba-



rania” stawiane przez pobożnych ludzi w czasie ich największego święta religijnego na uroczyscie zastawionym stole, robiły się tak wściekłe jak niemieccy profesorowie, kiedy dowiadują się, że jakiś Francuz, również profesor, odkrył coś nowego w dziedzinie współczesnej nauki.

Albo też ktoś, kto wczoraj kochał taką miłością, jaką współczesny ziemski zalotnik kocha bogatą wdowę – oczywiście dopóki nie dostanie od niej przynajmniej jednego centa – zaczynał nagle odczuwać taką wrogość, że wyglądał dokładnie jak jeden z tych nienawistników, którzy z pianą na dolnej wardze będą mścić się na biednym autorze piszącym teraz o mnie i o tobie książkę zatytułowaną „Bezstronna krytyka życia ludzi”.

Tego nieszczęsnego autora dorobkiewicza znienawidzą zresztą zarówno „czystej krwi materialści” jak i „dziewięćdziesięciosześciokaratowi deści”, a nawet ci z twoich trójmózgowych ulubieńców, którzy pozostają „niepoprawnymi optymistami” dopóki mają pełne żołądki i ich „właścicielki” nie robią im „scen”, a którzy na czczo, wprost przeciwnie, zamieniają się w „niepocieszonych pesymistów”.

Ponieważ tak się złożyło, mój chłopcze, że wspomnieliśmy o tym tamtejszym „dziwaku pisarzu dorobkiewiczu” więc nie ma rady, muszę ci powiedzieć, że już od dawna wprawia mnie on w coraz większe zakłopotanie, które wiąże się z jego naiwnością.

Chodzi o to, że od samego początku swojej odpowiedzialnej egzystencji – sam nie wiem, czy przez przypadek, czy też zrzędzeniem losu – on również stał się zwolennikiem, zresztą bardzo żarliwym, naszego mądrego i szacownego Mułły Nasr Eddina, tak że w zwykłym procesie swojej egzystencji istnieniowej nie przepuścił nigdy najdrobniejszej okazji, by postąpić w absolutnej zgodzie z niebywale mądrymi i niedościgłymi powiedzeniami naszego czcigodnego nauczyciela. Okazuje się jednak – jeśli wierzyć informacjom, które otrzymałem eterogramicznie – że zaczął teraz regularnie działać wbrew jednej z najbardziej poważnych i wyjątkowo praktycznych porad, na dodatek nie dla każdego dostępnej, a przez tego nauczyciela nad nauczycielami wyrażonej słowami:

„Ech, bracie! U nas na Ziemi, jeśli mówisz prawdę, jesteś wielkim głupcem, ale jeśli jesteś nieszczerzy, to wychodzisz tylko na łajdaka, i to równie wielkiego. Najlepiej więc nic nie rób, tylko wylegaj się na kanapie i ucz się śpiewać jak wróbelek, którego nie przerobiono jeszcze na amerykańskiego kanarka”.

Teraz, mój chłopcze, posłuchaj uważnie informacji o przyczynach stopniowej dysharmonii w obecnościach współczesnych istot kontynentu Ameryka ich drugiej podstawowej funkcji istnieniowej, mianowicie funkcji płciowej.

Dysharmonia tej funkcji ma u nich tylko kilka różniących się charakterem przyczyn, ale moim zdaniem najważniejszą z nich jest „zakorzenione w ich esencji i już na dobre tkwiące w ich naturze” niechlujstwo, jeśli chodzi o utrzymywanie w czystości swoich narządów płciowych.

Oni, podobnie zresztą jak istoty kontynentu Europa, w takim samym stopniu troszczą się o swe twarze, stosując najrozmaitsze „kosmetyki” w jakim lekceważą wspomniane organy; a przecież to właśnie te organy powinny być utrzymywane w największej czystości przez wszystkie w miarę świadome istoty trójmózgowe.

Ale nie cała wina leży po ich stronie, ponieważ najbardziej winne są tu istoty kontynentu Europa, a to ze względu na zwyczaje, jakie wprowadziły do procesu swojej zwykłej egzystencji istnieniowej.

Rzecz w tym, że tę powstałą całkiem niedawno dużą współczesną zbiorowość tworzą niemal wyłącznie istoty, które napływają do niej bez przerwy z różnych dużych i małych grup zaludniających kontynent Europa.

Tak więc nawet jeśli większość trójmózgowych istot wchodzących dzisiaj w skład tej nowo powstałej dużej zbiorowości, sama nie wyemigrowała z kontynentu Europa, to takimi uchodźcami byli ich ojcowie i dziadkowie, którzy, przybywając na ten kontynent, przywieźli ze sobą wszystkie swoje europejskie zwyczaje, a wśród nich te stanowiące przyczynę takiego braku dbałości o własne narządy płciowe.

Dlatego też, mój chłopcze, zapamiętaj, że kiedy będę ci teraz opisywał, jak wyglądają sprawy płci wśród Amerykanów, wszystko, co ci powiem, będzie się również odnosiło do istot kontynentu Europa.

Prowadzona przeze mnie statystyka jasno wykazuje, jakie są skutki owego niechlujstwa tych przypadłych ci do gustu współczesnych istot trójmózgowych planety Ziemia, które mają siedlisko na kontynentach Europa i Ameryka.

Weźmy na przykład tamtejsze tak zwane choroby weneryczne. Na tych dwóch kontynentach są one tak szeroko rozpowszechnione, że trudno byłoby dzisiaj spotkać tam istotę, która nie cierpi na taką chorobę w tej czy innej postaci.

Nawiasem mówiąc, nie zaszkodzi, jeśli zapoznasz się po trochu z interesującymi i osobliwymi danymi liczbowymi z moich statystyk, które pokazują, o ile częściej te choroby występują wśród istot kontynentów Europa i Ameryka niż wśród istot z kontynentu Azja.

Wiele z tych chorób wenerycznych w ogóle nie występuje wśród istot należących do wiekowych społeczeństw kontynentu Azja, podczas gdy wśród istot zaludniających kontynenty Europa i Ameryka stały się one prawie nagminne.

Posłużmy się przykładem „trypra” czy, jak go określają tamtejsi naukowcy, „gonorei”. Na kontynentach Europa i Ameryka prawie wszystkie istoty – zarówno płci męskiej, jaki żeńskiej – cierpią na tę chorobę w takim czy innym jej stadium, gdy tymczasem na kontynencie Azja spotyka się ją tylko w tych rejonach pogranicznych, w których tamtejsze istoty utrzymują częste kontakty z istotami kontynentu Europa.

Dobrze można to zilustrować na przykładzie istot należących do zbiorowości nazywanej tam „Persją” i zajmującej sporą część kontynentu Azja.

Wśród istot zamieszkujących ten względnie duży obszar wspomniane choroby nie występują w ogóle w okręgu centralnym, na wschodzie, południu i na zachodzie.

Za to na północy, szczególnie w rejonie zwanym „Azerbejdżanem”, który ma bezpośredni kontakt z dużym półeuropejskim, półazjatyckim społeczeństwem zwanym Rosją, liczba istot zarażonych tą chorobą rośnie w miarę zbliżania się do granic tego ostatniego kraju.

Sytuacja wygląda dokładnie tak samo we wschodnich krajach kontynentu Azja, gdzie liczba zarażeń tą chorobą jest wprost proporcjonalna do częstotliwości kontaktów utrzymywanych przez istoty tych krajów z istotami kontynentu Europa; na przykład w krajach zwanych „Indiami” i „Chinami” choroba ta szczególnie się rozpowszechniła w miejscach, gdzie tamtejsze istoty stykają się z istotami europejskimi ze społeczeństwa Anglii.

Można więc przyjąć, że głównymi roznośicielami tej choroby wśród istot kontynentu Azja są od strony północno-zachodniej istoty dużej zbiorowości Rosji, a od strony wschodniej istoty społeczeństwa Anglii.

Fakt, że zarówno ta choroba, jak i jeszcze wiele innego zła w ogóle nie występuje na pozostałej części kontynentu Azja, moim zdaniem jest spowodowany tym, że większość istot tego kontynentu zachowała w swej codziennej egzystencji kilka bardzo dobrych zwyczajów, które dotarły do nich jak zwykle od ich odległych przodków.

Dzięki ichniej religii te zwyczaje tak głęboko zakorzeniły się tam w powszedniej zwykłej egzystencji, że obecnie, przestrzegając ich mechanicznie i bez żadnych wymądrzań, potrafią się z grubsza zabezpieczyć przed pewnymi złymi rzeczami, które stopniowo powstały i wciąż masowo powstają na tej nieszczęsnej planecie wskutek nienormalnie ustalonych warunków tamtejszej egzystencji istnieniowej.

To, że istoty większości grup kontynentu Azja uchroniły się od licznych chorób wenerycznych i od wielu innych „anomalii płciowych” jest zasługą choćby takich zwyczajów, jak te znane tam pod nazwą „sunnat” i „abdest”.

Pierwszy z nich, mianowicie sunnat lub, jak się czasem mówi,

„obrzezanie”, nie tylko zabezpiecza prawie wszystkie istoty azjatyckie, które osiągnęły wiek odpowiedzialny, przed wieloma chorobami wenerycznymi, lecz także chroni tam większość dzieci i młodzieży przed tym „biczem” znanym pod nazwą „onanizm” szerzącym się bezlitośnie wśród dzieci i młodzieży kontynentów Europa i Ameryka.

Zgodnie z owym zwyczajem dorosłe istoty prawie wszystkich współczesnych zbiorowości kontynentu Azja praktykują na swych rezultatach, to znaczy dzieciach, po osiągnięciu przez nie pewnego wieku, rytuał, który u chłopców polega na obcięciu tak zwanego wędzidełka oraz napletka penisa.

Dzieci trójmózgowych ziemskich istot poddane – oczywiście już tylko automatycznie – temu zabiegowi, są dzisiaj prawie całkowicie zabezpieczone przed nieuniknionymi skutkami pewnych form zła już na dobre utrwalonych w procesie egzystencji twoich ulubieńców.

Na przykład, według moich statystyk, ów wspomniany „bicz”, czyli „onanizm dziecięcy” spotyka się bardzo rzadko wśród dzieci tych trój mózgowych istot, które przestrzegają zwyczaju „obrzezania” podczas gdy dzieci istot, które tego zwyczaju nie znają, są wszystkie bez wyjątku narażone na tę płciową anomalię.

Drugi ze wspomnianych zwyczajów, czyli abdest – nawiasem mówiąc, różnie nazywany przez istoty z różnych zbiorowości na kontynencie Azja – to po prostu obowiązkowe obmywanie narządów płciowych po każdej wizycie w tak zwanym WC.

Otóż właśnie głównie dzięki temu drugiemu zwyczajowi większość twoich ulubieńców, którzy mają siedlisko na kontynencie Azja, uodporniła się na wiele chorób wenerycznych oraz wiele innych tamtejszych płciowych anomalii.

Powiedziawszy to, Belzebub zamyślił się i dopiero po dość długiej pauzie rzekł:

– Temat tej naszej pogawędki przywołał mi na pamięć pewną bardzo interesującą rozmowę, którą przeprowadziłem z jedną młodą i sympatyczną trójmózgową istotą podczas mojego pobytu

we Francji.

Abyś mógł lepiej zrozumieć to, co przed chwilą powiedziałem, sądzę, że najlepiej będzie, jeśli przytoczę ci tę rozmowę w całości, ponieważ dzięki niej dobrze uzmysłowisz sobie nie tylko znaczenie zwyczaju abdestu, czyli „ablucji”, ale też wiele innych kwestii związanych z oryginalną psychiką twoich ulubieńców.

Istotą, z którą odbyłem tę przypominaną sobie i mającą posłużyć teraz za temat mojej relacji rozmowę, był ów młody Pers towarzyszący mi na prośbę naszych wspólnych znajomych – jeśli pamiętasz – jako „cicerone” w mieście Paryż, gdzie rezydowałem przed wyjazdem na kontynent Ameryka.

Pewnego dnia czekałem na tego młodego Persa już tradycyjnie na tarasie słynnej Grand Café miasta Paryż.

Gdy przyszedł, poznałem po jego oczach, że tym razem jest bardziej niż zazwyczaj, jak się tam mówi, „pijany”.

Właściwie zawsze spożywał sporo tamtejszych „płynów alkoholowych” i kiedy odwiedzaliśmy razem restauracje na paryskim Montmartrze, gdzie trzeba było obowiązkowo zamawiać szampna, którego ja nie lubiłem ani nie piłem; on za każdym razem z wielkim zadowoleniem wypijał go sam.

Nie dość, że stale chodził podpity, to jeszcze był, jak się tam mówi, wielkim „babiarem”.

Zdarzało się, że gdy tylko ujrzał „uroczą buzię” istoty płci żeńskiej, cała jego postać, a nawet oddech, od razu się zmieniały.

Ponieważ tego dnia spostrzegłem, że jest bardziej pijany niż zwykle, więc kiedy już przysiadł się do mnie i zamówił kawę z „aperitifem” zapytałem go:

„Wyjaśnij mi, proszę, mój młody przyjacielu, dlaczego zawsze pijesz tę «truciznę?»”.

Na moje pytanie odpowiedział:

”Ech! Mój drogi doktorze! Piję tę «truciznę» przede wszystkim dlatego, że przyzwyczałem się do niej i teraz nie mogę już przestać pić, nie cierpiąc z tego powodu, a po drugie dlatego, że tylko pod wpływem alkoholu potrafię spokojnie patrzeć na tę ohydę,

która się tutaj dzieje”. – I zatoczył ręką krąg.

„Zacząłem pić tę, jak ją nazywałeś, truciznę, gdyż przypadkowe, niefortunne i niepomyślne okoliczności mojego życia spowodowały, że musiałem przyjechać i egzystować przez długi czas w tej feralnej Europie.

Najpierw zacząłem pić, ponieważ wszyscy, z którymi przyszło mi się tutaj zadawać, również piją, a abstynenta przezywają «babą», «paniusią», «lalunią», «kochaneczką», «mięczakiem», «bałwanem» i jeszcze innymi obraźliwymi epitetami. A więc nie chcąc, żeby moi znajomi od interesów ublizali mi w tak obraźliwy sposób, sam też zacząłem pić.

Ponadto kiedy po raz pierwszy przybyłem do Europy, zdałem sobie sprawę, jak bardzo warunki tutejszego życia przeczą – z punktu widzenia moralności i patriarchalności – tym, w których się urodziłem i wychowałem, toteż na widok tego wszystkiego zaczęło mnie ogarniać bolesne uczucie wstydu i niewytłumaczalnego skrępowania. Jednocześnie zauważyłem, że alkohol nie tylko zagłusza to przykre dla mnie uczucie, lecz także pozwala mi spokojnie na to wszystko patrzeć, a nawet nabierałem dzięki niemu ochoty do uczestniczenia w tym nienormalnym życiu, tak sprzecznym z moją naturą i poglądami, które wcześniej sobie wyrobiłem.

A więc od tamtej pory za każdym razem, gdy ogarniało mnie to nieprzyjemne doznanie, niemal z uczuciem pewnego samousprawiedliwienia zaczynałem pić alkohol i w ten sposób stopniowo przywykłem do tej, jak ją słusznie nazwałeś, trucizny”.

Wypowiedziawszy te słowa z dostrzegalnym impulsem szczerego żalu, przerwał na chwilę, żeby zapalić papierosa z domieszką „tambaku”, a ja, korzystając z okazji, spytałem go:

„No dobrze... Przyjmijmy, że mniej więcej wyjaśniłeś mi powód tego twojego niewybaczalnego pijaństwa i mogę postawić się w twojej sytuacji, ale co powiesz o tej drugiej, z mojego punktu widzenia tak samo niewybaczalnej przywarze, czyli o «uganianiu się za spódniczkami»?

Czyż nie latasz za każdą spódniczką? Przecież wystarczy tylko, żeby kołysała się na jakiejś właścicielce długich włosów!”

Słyszając to moje pytanie, westchnął głęboko i odpowiedział tak:

„Wydaje mi się, że ten nawyk ma częściowo tę samą przyczynę, o której mówiłem wcześniej, ale myślę, że mogę dać jeszcze inne, bardzo interesujące psychologiczne wyjaśnienie tej mojej słabości.

Jeśli sobie życzysz, mój drogi doktorze, to opowiem ci trochę bardziej szczegółowo o tym, jak sam pojmuję ową psychologiczną przyczynę”.

Oczywiście wyraziłem chęć wysłuchania go, ale najpierw zaproponowałem, żebyśmy przenieśli się do wewnątrz, do sali restauracyjnej Grand Café, ponieważ na dworze zrobiło się wilgotno.

Gdy zasiedliśmy w środku i zamówiliśmy butelkę słynnego tamtejszego „szampana” ciągnął dalej:

„Być może w czasie pobytu u nas w Persji przypadkowo zwróciłeś uwagę, mój drogi doktorze, na bardzo specyficzną postawę Persów wobec kobiet.

Otóż u nas w Persji mężczyźni mają w stosunku do kobiet dwie określone, można by rzec, «organiczne postawy», które sprawiają, że nawet nieświadomie dzielimy kobiety na dwie odrębne kategorie.

Pierwsza postawa to postawa wobec kobiety jako obecnej lub przyszłej matki, a druga wobec kobiety, jeśli można tak powiedzieć, «samicy».

Owa specyficzna cecha Persów polegająca na tym, że nasi mężczyźni mają w swej naturze dane wywołujące te dwie niezależne postawy i takie instynktowne odczucie, zaczęła się kształtować zaledwie dwa i pół wieku temu.

Zgodnie z wyjaśnieniami, które otrzymałem kiedyś od mojego wujka mułły – nazywanego za plecami przez istoty z jego otoczenia «mułłą starej daty» – na całej Ziemi, a szczególnie u nas w Azji, dwa lub trzy wieki temu, najwidoczniej z przyczyn wyni-



kających z pewnych wyższych światowych praw, ludzie zaczęli prowadzić wojny bardziej agresywne niż zwykle i jednocześnie u większości mężczyzn, też z jakiegoś powodu, zdecydowanie osłabły uczucia religijne, a u niektórych wręcz zupełnie zanikły.

Właśnie w tym okresie szerzyła się wśród mężczyzn pewna szczególna forma choroby psychicznej, która doprowadziła wielu z nich do kompletnego obłądu lub samobójstwa.

Otóż pewni rozsądni ludzie należący do różnych samodzielnych zbiorowości na kontynencie Azja, korzystając z pomocy przedstawicieli ówczesnej medycyny – która, nawiasem mówiąc, znacznie przewyższała medycynę współczesną – bardzo poważnie zajęli się wtedy poszukiwaniem przyczyn tego ludzkiego nieszczęścia.

Po długotrwałych i bezinteresownych wysiłkach odkryli z jednej strony, że na tę chorobę cierpieli wyłącznie mężczyźni, u których z jakiejś przyczyny nie powstawał już w podświadomości impuls wiary w kogokolwiek lub cokolwiek, a z drugiej strony, że dorośli mężczyźni, którzy okresowo wykonywali normalny rytuał spółkowania z kobietą, na tę chorobę nie zapadali.

Kiedy po całym kontynencie Azja rozeszła się wieść o wysnutych przez nich wnioskach, ówcześni władcy i przywódcy różnych azjatyckich zbiorowości bardzo się wystraszyli, albowiem prawie wszystkie regularne wojska znajdujące się pod ich dowództwem składały się właśnie z takich dorosłych mężczyzn, którym ciągle wojny uniemożliwiały prowadzenie normalnego życia ze swoją rodziną.

A ponieważ w tym okresie wszyscy władcy poszczególnych państw azjatyckich bardzo potrzebowali zdrowych i silnych armii, zmuszeni więc byli zawrzeć rozejm i udać się osobiście albo wysłać swoich przedstawicieli w pewne miejsce, mianowicie do stolicy ówczesnego «chanatu kilmantuszyckiego», aby tam na miejscu wspólnie znaleźć wyjście z zaistniałej sytuacji.

Po poważnych przemyśleniach i dyskusjach ci władcy różnych samodzielnych azjatyckich zbiorowości czy też ichni wysłannicy

doszli do wniosku, naturalnie po konsultacji z przedstawicielami ówczesnej medycyny, że jedynym wyjściem z tej sytuacji jest zaprowadzenie wszędzie na kontynencie Azja – jak to stało się już na kontynencie Europa – tego, co zwie się «prostytucją», do której uprawiania ludzie dzierżący władzę powinni zachęcać wszelkimi możliwymi sposobami, aby zapewnić jej pełny rozkwit.

Prawie wszystkie głowy ówczesnych państw w pełni zgodziły się z wnioskiem przedstawicieli różnych narodów kontynentu Azja, którzy zebrali się w stolicy chanatu kilmantuszyckiego, i odtąd bez żadnych wyrzutów sumienia zaczęły zachęcać wszystkie kobiety, z wyjątkiem własnych córek, by oddały się temu tak obrzydliwemu i sprzecznemu z naturą każdego normalnego człowieka zajęciu, a także udzielać z uczuciem rewerencji, jakby chodziło o najbardziej szlachetny i wielkoduszny przejaw człowieka, wszelkiej możliwej pomocy kobietom – bez względu na kastę i wyznanie – gotowym pojechać lub przyjechać gdziekolwiek w tym niegodziwym celu.

Skoro poruszyliśmy już ten temat, pozwól, szacowny doktorze, że zrobię dygresję i przytoczę bardzo interesujące i mądre, według mnie, rozważania mojego wujka mułły o ogólnych przyczynach powstania tego zła i bicza współczesnej cywilizacji.

Pewnego dnia, w czasie ramadanu, gdy w oczekiwaniu na obwieszczające godzinę posiłku wołanie mułły naszego okręgu rozmawialiśmy i przypadkowo znowu poruszyliśmy temat owego «ludzkiego bicza», mój wuj powiedział między innymi:

«Niesprawiedliwie obwiniasz wszystkie kobiety tego rodzaju i niepotrzebnie nimi gardzisz.

W większości one same nie są winne temu, że spotkał je tak ponury los; winić o to należy tylko ich rodziców, mężów i opiekunów.

To wyłącznie ich rodzice, mężowie oraz opiekunowie są winni i zasługują na pogardę, ponieważ dopuszczają do tego, by w wieku, kiedy szykują się one do dorosłej egzystencji, czyli wtedy, gdy brakuje im jeszcze własnego rozsądku, pojawiła się w nich wła-

ściwość zwana 'lenistwem'.

Chociaż we wspomnianym wieku takie lenistwo jest w nich tylko automatyczne i młode osoby są w stanie je pokonać bez większego wysiłku, a to znaczy, że nabrawszy własnego zdrowego rozsądku, mogłyby nie dopuścić do tego, by całkowicie nimi owładnęło, ale struktura psychiki kobiet – której podstawą są rezultaty niezależne od naszej woli, lecz wynikające ze światowych praw – funkcjonuje w taki sposób, że we wszystkich ich inicjatywach i dobrych przejawach powinna nieodzownie uczestniczyć zasada aktywna.

Jednakże na skutek różnych idei przyświecających ludziom współczesnej cywilizacji, związanych z kwestią 'równouprawnienia kobiet' i szerzących się obecnie na Ziemi pod hasłami typu 'emancypacja', 'equal opportunity' itp., idei naiwnych w pojęciu każdego człowieka, który normalnie dożył swych lat, za to nieświadomie aprobowanych przez większość współczesnych mężczyzn, te nieszczęsne kobiety, czyli nie w pełni jeszcze ukształtowane przyszłe matki, z jednej strony nie znajdując w swym otoczeniu w okresie pierwszych lat dorosłego życia niezbędnych i zgodnych z prawem źródeł zasady aktywnej – którymi powinni być wpieryw ich rodzice lub opiekunowie, a później mężowie przejmujący ów obowiązek od momentu ślubu – a z drugiej strony, ulegając nasilonemu procesowi fantazjowania i zauroczenia, typowego dla tego wieku przejściowego i tak samo zgodnemu z prawem oraz przewidzianemu przez Przyrodę gwoli lepszemu urzeczywistniania danych potrzebnych do rozwoju ich rozsądku, stopniowo nasycają się tym automatycznym lenistwem, które niejako przesiąka ich naturę i staje się coraz bardziej nieodzowną potrzebą.

Oczywiście kobieta o takim usposobieniu nie chce spełniać obowiązków prawdziwej 'kobiety matki', a skoro prostytutka pozwala jej nic nie robić i zarazem często doznawać wielkiej rozkoszy – która generalnie stała się już człowiekowi przynależna – to stopniowo zarówno w jej naturze, jak i w charakteryzującej ją 'pasywnej świadomości' formuje się czynnik nieodpartego dążenia

do bycia 'kobietą samicą'.

Ale wskutek tego, że obecne we wszystkich kobietach dane wywołujące impuls 'wstydu' nie zanikają od razu w instynkcie takich kobiet i żadna z nich, jakkolwiek by tego pragnęła w myślach, nie potrafi 'na zimno' stać się prostytutką w swym rodzinnym kraju, to instynktownie i półświadomie wszystkie one starają się zawsze wyjechać do jakiegoś innego kraju, gdzie z dala od ojczyzny i wolne od wewnętrznego niepokoju mogą całkowicie oddać się tej profesji, która nie wymaga żadnego wysiłku, a jednocześnie sprawia im niemal pod każdym względem przyjemność.

Przyczyna tego, że w obecnym czasie takie ludzkie nieszczęście rozprzestrzeniło się po całej Ziemi, tkwi moim zdaniem jedynie w tym, że współcześni mężczyźni, tak samo jak te młode kobiety, przyszłe prostytutki, i z tych samych co one powodów, odczuwają 'organiczno-esencjalną potrzebę nierobienia niczego prócz zażywania rozkoszy'. Otóż jedną z form, w jakiej ta współczesna ludzka 'hołota' zaspokaja tę swoją karygodną potrzebę, jest właśnie uwodzenie takich kobiet i pomaganie im w wyjeździe z ojczyzny do obcego kraju.

Wielu współczesnych rozsądnych ludzi już dawno temu zauważyło, że te dwie różne płci, ofiary tej samej choroby, zawsze potrafią świadomie lub instynktownie się odnaleźć, potwierdzając jeszcze raz słuszność znanego od dawien dawna przysłowia: 'Trafił swój na swego'».

Tak więc, mój szanowny doktorze, te wszystkie wyżej wymienione przyczyny, które tak mądrze pojął mój wuj, doprowadziły do tego, że kilka lat później także u nas w Persji pojawiło się wiele kobiet prostytutek przybyłych z różnych obcych krajów.

Ale ponieważ w Persji miejscowe kobiety – niezależnie od wyznania – wyrobiły sobie na przestrzeni wieków instynktowne poglądy na moralność i patriarchalność w związkach rodzinnych, więc wszystkie te cudzoziemki nie potrafiły wtopić się w ogólną masę perskich kobiet i w rezultacie mamy od tej pory u siebie dwie wspomniane wcześniej przeze mnie kategorie kobiet.

Większość tych przyjezdnych kobiet żyła u nas w Persji zupełnie swobodnie i można było spotkać je wszędzie, czy to na bazarach, czy też w innych miejscach publicznych, toteż często w trakcie tego, co zwie się «funkcjonowaniem płciowego środka ciężkości», przyciągały wzrok naszych perskich mężczyzn, i w ten sposób w tych ostatnich, obok istniejącej już postawy wobec kobiety jako matki, uformowała się stopniowo, oczywiście nieświadomie, inna postawa względem kobiety jako po prostu samicy.

Ta specyficzna cecha, przekazywana dziedzicznie z pokolenia na pokolenie, a polegająca na przyjmowaniu wobec kobiet tych dwóch zdecydowanie różnych postaw, u nas też tak mocno się zakorzeniła, że obecnie nasi mężczyźni nie tylko odróżniają te dwie kategorie kobiet po wyglądzie – tak jak można odróżnić mężczyznę od barana, psa, osła itd. – ale nawet wykształciło się w nich coś, co instynktownie nie pozwala im pomylić kobiety należącej do jednej kategorii z kobietą należącą do drugiej.

Nawet ja sam potrafiłem zawsze z daleka bezbłędnie rozpoznać, do której kategorii należy przechodząca kobieta. Ale mimo najszerszych chęci nie potrafiłbym teraz wyjaśnić, czy identyfikowałem je po chodzie, czy po czymś innym; faktem jest, że je rozpoznawałem i nigdy się nie myliłem, chociaż, jak już powiedziałem, kobiety obu kategorii chodzą przykryte jednakowymi czadorami.

Tak samo każdy normalny Pers – normalny, to znaczy niebędący pod wpływem tambaku, alkoholu lub opium, których spożycie w ostatnich czasach niestety coraz bardziej się u nas rozpowszechnia – zawsze potrafi nieomylnie odróżnić «kobietę matkę» od «kobiety samicy», czyli prostytutki.

U nas kobieta matka niezależnie od religii, jaką wyznaje, a także bez względu na stosunki osobiste i rodzinne, jest traktowana przez każdego normalnego Persa jak rodzona siostra, podczas gdy kobiety drugiej kategorii są dla niego po prostu zwierzętami i nieuchronnie budzą uczucie obrzydzenia.

Umiejętność takiego instynktownego zachowania wobec ko-

biet jest w nas bardzo silna i zupełnie nie zależy od naszej świadomości.

Wyobraźmy sobie na przykład, że z jakiejś przyczyny najpiękniejsza panna w całej okolicy znalazła się w łóżku z mężczyzną z tego samego rejonu; otóż ów mężczyzna, pod warunkiem, powtarzam, że nie jest pod wpływem opium lub alkoholu, cokolwiek by w myślach postanowił, będzie organicznie niezdolny do traktowania jej jako samicy.

Potraktuje tę kobietę jak rodzoną siostrę i nawet gdyby ona sama zaczęła przejawiać w stosunku do niego «organiczne impulsy», to uznawszy, że «opętała ją siła nieczysta», będzie jej jeszcze bardziej żałował i uczyni wszystko, aby pomóc jej uwolnić się od takiego nieszczęścia.

Zresztą ten sam Pers, pod warunkiem że znajduje się w normalnym stanie, również do kobiety drugiej kategorii, czyli prostytutki, nie będzie umiał odnosić się jak do kobiety samicy, bo nieważne jak bardzo jest piękna i młoda, nieuchronnie ogarnie go organiczne obrzydzenie do niej; będzie mógł popatrzeć na nią jak na kobietę tylko wtedy, gdy wprowadzi do swego organizmu te wyliczone już przeze mnie szkodliwe dla ludzi środki odurzające.

A zatem, szanowny doktorze, do dwudziestego roku życia mieszkałem w Persji i jak każdy normalny Pers przestrzegałem wspomnianych obyczajów i tradycji.

W wieku dwudziestu lat otrzymałem w spadku pakiet akcji, dzięki czemu stałem się współnikiem pewnej dużej firmy zajmującej się eksportem perskich suszonych owoców do różnych krajów Europy.

Później, wskutek różnych niezależnych ode mnie okoliczności, zdobyłem w tej firmie pozycję głównego przedstawiciela w owych krajach kontynentu Europa, do których dostarczane były te owoce.

Najpierw; jak już wspominałem, pojechałem do Rosji, potem do Niemiec, Włoch i innych krajów europejskich, a teraz już od siedmiu lat mieszkam tutaj, we Francji.

U ludzi żyjących w tych wszystkich obcych mi krajach nie ma tak wyraźnie zarysowanego podziału na te dwa typy kobiet: kobietę matkę i kobietę prostytutkę, jak ten, który widziałem i odczuwałem w ojczyźnie przez cały okres mojej młodości.

U nich stosunek do kobiet jest wszędzie czysto umysłowy, to znaczy tylko wyimaginowany, a nie organiczny.

Na przykład tutaj mąż, bez względu na to, jak często żona będzie go zdradzać, nigdy się nie dowie o jej niewierności, dopóki sam tego nie zobaczy lub o tym nie usłyszy.

Za to u nas, w Persji, każdy mąż, niczego nie widząc i nie słysząc, potrafi instynktownie wyczuć, czy żona go zdradza; to samo zresztą dotyczy kobiet – każda z nich od razu poczuje, jeśli mąż jest niewierny.

Nad tym szczególnym instynktownym doznaniem kilku uczonych z kontynentu Europa ostatnio przeprowadziło u nas nawet bardzo poważne specjalne badania.

Jak się przypadkowo dowiedziałem, w wyniku tych badań ustalili, że ogólnie tam, gdzie dozwolona jest «poliandria» i «poligamia» – czyli tam, gdzie lokalne obyczaje pozwalają na «wielomęstwo» i «wielożeństwo» – w stosunkach między małżonkami wytwarza się szczególna «organiczno-psychiczna» właściwość.

Taka organiczno-psychiczna właściwość cechuje także nas, Persów, ponieważ, jak wiesz, jesteśmy wyznawcami religii maho-metańskiej i praktykujemy zwyczaj wielożeństwa, to znaczy nasze prawo zezwala każdemu mężczyźnie na posiadanie siedmiu żon.

Otóż ta organiczno-psychiczna właściwość wyraża się u nas między innymi tym, że żadna z prawowitych żon nie czuje się zdradzana przez męża, gdy w grę wchodzi jego inne prawowite żony.

Tego rodzaju uczucie pojawia się w niej tylko wtedy, gdy mąż zdradza ją z całkiem obcą kobietą.

Dopiero teraz, szanowny doktorze, żyjąc w Europie i widząc to wszystko, co się tutaj dzieje między małżonkami, zacząłem w peł-

ni doceniać nasz zwyczaj wielożeństwa ustalony w sposób niezmiernie rozsądny, z pożytkiem zarówno dla mężczyzn, jak i kobiet.

Chociaż każdy mężczyzna ma u nas prawo do wielu żon, a nie jednej – jak tutaj, w Europie, gdzie dominuje wiara chrześcijańska, która zezwala na posiadanie tylko jednej żony – to czyż można porównać tę uczciwość i sumienność, jakie cechują naszych mężczyzn w stosunku do małżonek, z uczciwością i sumiennością, jakie tutejsi mężowie okazują swoim jedynym żonom i ogólnie swoim rodzinom.

Rozejrzyj się tylko wokół i popatrz, co się tutaj wyprawia.

Przebiegnij wzrokiem po wszystkich salach Grand Café, gdzie oprócz zwykłych, zatrudnionych tu na stałe prostytutek i «alfonsów», przy stolikach siedzą setki mężczyzn oraz kobiet, którzy wesoło ze sobą rozmawiają.

Na pierwszy rzut oka wydaje się, że ci mężczyźni i kobiety to pary małżeńskie, które przyjechały tu w sprawach rodzinnych albo żeby zwiedzić Paryż.

Ale tak naprawdę jest rzeczą niemal pewną, że spośród tych mężczyzn i kobiet, którzy tak wesoło rozmawiają we wszystkich salach Grand Café i za chwilę pójdą razem do hotelu, ani jedna para nie jest parą małżeńską, mimo że na papierze każdy z nich to czyjś prawowity mąż lub czyjaś prawowita żona.

Podczas gdy ci mężczyźni i kobiety siedzą sobie tutaj, ich «prawowite połowy», które zostały w domu na prowincji, z pewnością myślą teraz i opowiadają swoim znajomym, że ich «prawowita żona» lub «prawowity mąż» udał się do stolicy świata, Paryża, aby zrobić jakieś bardzo «ważne» rodzinne zakupy lub zobaczyć się tam z kimś, kto może się okazać dla ich rodziny niezwykle przydatny, albo jeszcze coś innego w tym rodzaju.

W rzeczywistości jednak owi przyjezdni przez cały rok kręcili i na wszystkie sposoby kombinowali, żeby móc się tutaj znaleźć, przekonując swoje «prawowite połowy» o niezbędności takiej podróży; a teraz, już na miejscu, w towarzystwie takich samych jak



oni krętaczy i kombinatorów, ku czci i coraz większej chwale pieśni weselnej «Raduj się, Izajaszu!» i z wyrafinowanym «kunsztem», jaki osiągnęła w tym względzie wielka cywilizacja współczesna, wspólnie przyprawiają swym «prawowitym połowom», które pozostały w domu, możliwie największe «artystyczne rogi».

W Europie życie rodzinne tak się układa, że jeśli spotykasz mężczyznę w towarzystwie kobiety i podczas rozmowy usłyszysz w ich głosach wesołą nutę, a na ich twarzach pojawi się uśmiech, to możesz być bez cienia wątpliwości pewien, że wkrótce, o ile już tego nie zrobili, z wielką gorliwością i tak jak się należy, przypną swojej prawowitej połowie przepiękne i przeogromne rogi.

Dlatego też każdy w miarę przebiegły mężczyzna uchodzi tutaj za bardzo «uczciwego męża» i «patriarchalnego ojca rodziny».

Jego otoczenia w ogóle nie obchodzi, że ten «uczciwy» i «patriarchalny» ojciec rodziny może równocześnie mieć na boku – oczywiście jeśli jest wystarczająco bogaty – tyle «utrzymanek», ile tylko zapragnie; wprost przeciwnie, cieszy się on zazwyczaj nawet większym szacunkiem niż mężczyźni, którzy nie mają na boku żadnej utrzymania.

Tutaj tacy zamożni «uczciwi mężowie» oprócz jedynej prawowitej żony mają na lewo nie siedem, ale czasem wręcz siedem razy siedem «nieprawowitych żon».

Natomiast ci europejscy mężowie, których nie stać na utrzymanie prócz jedynej prawowitej żony jeszcze kilku nieprawowitych żon, prawie cały swój czas spędzają na «łykaniu śliny», to znaczy całymi dniami gapią się i niejako «pożerają oczami» każdą napotkaną lub przecinającą im drogę kobietę.

Inaczej mówiąc, przez cały dzień niezliczoną ilość razy zdradzają w myślach i uczuciach swoje jedyne prawowite żony.

U nas, w Persji, mężczyzna może mieć wprawdzie aż siedem prawowitych żon, ale za to wszystkie jego myśli i uczucia są przez cały dzień i całą noc zaabsorbowane tym, żeby zorganizować jak najlepiej zarówno ich wewnętrzne, jak i zewnętrzne życie. One

zaś są mu całym sercem oddane i ze wszystkich sił, także dniem i nocą, starają się mu pomóc w życiowych obowiązkach.

Tutaj u małżonków wewnętrzne stosunki wyglądają z obu stron identycznie: prawie całe życie wewnętrzne męża skupia się na zdradzaniu swojej jedynej prawowitej żony i tak samo życie wewnętrzne tej jedynej żony już od pierwszego dnia po ślubie toczy się zawsze z dala od rodziny.

Na ogół europejska żona od chwili zawarcia małżeństwa uważa w głębi ducha swego męża za, jak to się mówi, «prywatną własność».

Zaraz po pierwszej nocy, zaopatrzywszy się w ową własność, całe swe życie wewnętrzne poświęca na poszukiwanie «czegoś», co stanowi niesprecyzowany «ideał», jaki od wczesnych lat kształtuje się stopniowo w każdym europejskim dziewczęciu na skutek tego sławetnego «wychowania», które z coraz większą finezją wymyślają dla nich pewni bezwstydni współcześni pisarze.

Podczas mojego pobytu w tych europejskich krajach zauważyłem, że w jestestwie tamtejszych kobiet już zupełnie przestało formować się to coś, co powinno – zarówno w nich, jak i w naszych kobietach – nieustannie wspomagać tak zwany organiczny wstyd lub przynajmniej potrzebę takiego wstydu, czyli uczucia, które, moim zdaniem, jest podstawą tego, co zwie się «kobiecą powinnością», i pomaga im instynktownie powstrzymać się od takich postępów, jakie czynią kobietę niemoralną.

To dlatego wszystkie tutejsze kobiety mogą bardzo łatwo przy pierwszej lepszej okazji, bez żadnych cierpień czy wyrzutów sumienia, zdradzać swoich prawowitych mężów.

Jak sądzę, właśnie brak takiego wstydu spowodował stopniowe zatarcie się w Europie granicy oddzielającej kobiety matki od kobiet prostytutek, a także to, że te dwie kategorie kobiet już dawno temu się wymieszały i tutejsi mężczyźni ani w umyśle, ani w uczuciach nie rozgraniczają kobiet w taki sposób, w jaki czyni to prawie każdy Pers.

Obecnie kobietę matkę można tutaj odróżnić od kobiety samicy

tylko wtedy, gdy widzi się na własne oczy wszystkie jej przejawy.

W europejskich warunkach życia rodzinnego brak dobroczynnej instytucji wielożeństwa – instytucji, która według mnie już dawno temu powinna zostać tutaj wprowadzona choćby tylko dlatego, że, jak pokazują statystyki, liczba kobiet znacznie przewyższa tu liczbę mężczyzn – powoduje jeszcze tysiące innych niedogodności i spięć, które mogłyby się w ogóle nie pojawić.

A więc, szanowny doktorze, podstawowym powodem tej mojej drugiej przywary jest to, że dorastałem i wychowałem się zgodnie z nakazami moralności, którym całkowicie przeczą tutejsze obyczaje, oraz to, że przybyłem tu, będąc w wieku, gdy szczególnie silnie kotłują się w mężczyźnie zwierzęce namiętności. Całe moje nieszczęście polegało na tym, że przyjechałem do Europy jako człowiek jeszcze bardzo młody i według tutejszych pojęć przystojny; a ponieważ reprezentuję typ prawdziwego południowca, więc szybko zaczęło zaciekle na mnie polować wiele tutejszych młodych kobiet, dla których uosabiałem nowy i oryginalny typ samca.

Polowały na mnie jak na «rzadką zwierzynę».

Zresztą faktycznie byłem dla nich rzadką zwierzyną, i to nie tylko ze względu na to, że reprezentowałem ten specyficzny typ prawdziwego południowca, lecz także z powodu mojej łagodności i uprzejmości wobec kobiet – przymiotów, które od dzieciństwa zostały mi wpojone w kontaktach z naszymi perskimi kobietami matkami.

Kiedy po przybyciu tu zacząłem się spotykać z miejscowymi kobietami, naturalnie przejawiałem w stosunku do nich, nawet nieświadomie, taką samą łagodność i uprzejmość.

A zatem już na samym początku, gdy podczas takich spotkań byliśmy zajęci wyłącznie rozmową – głównie o współczesnej cywilizacji i o naszej, w porównaniu z nią rzekomo zacofanej cywilizacji perskiej – pewnego dnia, oczywiście pod wpływem alkoholu, który spożywałem już wtedy w znacznych ilościach, po raz pierwszy można powiedzieć, upadłem, to znaczy ja, przyszły od-

powiedzialny ojciec rodziny, zachowałem się podle.

Chociaż przysporzyło mi to wtedy dużo cierpień i wyrzutów sumienia, niemniej wpływ środowiska, a także ponownie działanie alkoholu sprawiły, że upadłem po raz drugi, a potem wszystko już się potoczyło, by tak rzec, po równi pochyłej i doprowadziło do tego, że stałem się teraz pod tym względem faktycznie najbrudniejszym bydlęciem.

Ostatnimi czasy, zwłaszcza gdy zdarzy mi się zupełnie uwolnić od wpływu alkoholu, cierpię moralne katusze i całym swoim jestestwem nienawidzę siebie, no i właśnie w takich chwilach znowu w pośpiechu wlewam w siebie alkohol, aby o wszystkim zapomnieć i w ten sposób położyć kres moim cierpieniom.

Po okresie takiego ohydneho życia w tych wymienionych wcześniej europejskich krajach osiedliłem się na koniec w Paryżu, czyli mieście, do którego z najodleglejszych zakątków Europy, a także z innych kontynentów zjeżdżają kobiety z jawnym zamiarem przyprawienia «rogów» swoim prawowitym połówkom. I już tutaj, w Paryżu, uległem w pełni tym dwu ludzkim przywarom, to znaczy alkoholowi oraz, jak powiedziałaś, uganianiu się za każdą spódniczką, i zacząłem biegać na prawo i lewo pozbawiony wszelkiego zdrowego rozsądku. W rezultacie folgowanie obu tym przywarom stało się teraz dla mnie bardziej niezbędne niż zaspokajanie głodu.

Jeśli więc chodzi o mnie, to do dzisiaj wszystko toczy się w taki właśnie sposób, a co będzie dalej, nie wiem i nie chcę wiedzieć.

Sam zresztą ciągle się staram i zmagam ze sobą, aby o tym nie myśleć”.

Wypowiedziawszy te słowa, szczerze westchnął i z przygnębieniem spuścił głowę. Wtedy zapytałem go:

„No to teraz powiedz mi, proszę, czy naprawdę nie boisz się zarazić tymi straszliwymi chorobami trapiącymi zazwyczaj kobiety, za którymi uganiają się tacy jak ty «łowcy spódniczek»?w.

Słyszając to pytanie, znów westchnął głęboko i po krótkiej przerwie powiedział:

„Ech!... mój szanowny i czcigodny doktorze!

W ostatnich latach sam dużo rozmyślałem nad tą kwestią i do tego stopnia zacząłem się nią interesować, że nawet w pewnym sensie stała się zbawiennym środkiem, któremu zawdzięczam to, iż moje «paskudne życie wewnętrzne» płynęło mimo wszystko w miarę znośnie.

Sądzę, że jako lekarz z wielką ciekawością dowiesz się, jak i dlaczego kilka lat temu ta kwestia tak bardzo mnie pochłonięła i do jakich wniosków doszedłem dzięki nader poważnym obserwacjom i badaniom, które sam, znajdując się we względnie normalnym stanie, zacząłem wtedy w tej sprawie prowadzić.

Pięć lat temu wpadłem w taką chandrę, że alkohol praktycznie przestał na mnie działać i nie koił już mojego stanu psychicznego.

Właśnie w tym okresie często spotykałem się z pewnymi znajomymi i przyjaciółmi, którzy dużo rozmawiali o tych ohydnych chorobach i o tym, jak łatwo można się nimi zarazić.

Dzięki tym rozmowom zacząłem na siebie uważać i powoli stałem się prawie takim samym hipochondrykiem jak niektóre kobiety histeryczki.

Często mówiłem sobie, że skoro niemal zawsze jestem pijany i ciągle mam do czynienia z takimi zarażonymi kobietami, to nawet jeśli z jakiegoś powodu nie pojawiły się u mnie na razie widoczne symptomy tych chorób, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa musiałem się którąś z nich zarazić.

Te myśli sprawiły, że zacząłem odwiedzać różnych specjalistów, aby się dowiedzieć, która z tych chorób już się we mnie rozwija.

Chociaż żaden z miejscowych specjalistów niczego takiego u mnie nie znalazł, wciąż miałem jednak wątpliwości, ponieważ zarówno moja hipochondria, jak i zdrowy rozsądek sprawiały, iż trwałem w przekonaniu, że z pewnością zaraziłem się już którąś z tych straszliwych chorób.

Postanowiłem więc, nie bacząc na koszty, zwołać «konsylium» specjalistów wybranych spośród największych europejskich zna-

komitości. Mogłem sobie na to pozwolić, bo kiedy w owym roku wojna światowa spowodowała zakłócenie dróg komunikacyjnych i wszystkie ceny poszły w górę, nasza firma, mając wszędzie na składzie duże zapasy suszonych owoców, osiągnęła znaczne zyski i mnie również przypadła wtedy w udziale grubsza gotówka.

Kiedy zwołałem te europejskie sławy, one po rozmaitych bardzo «szczegółowych» badaniach i tylko im znanych «chemicznych analizach» jednogłośnie stwierdziły, że w moim organizmie nie ma najmniejszego śladu którejkolwiek z chorób wenerycznych.

Takie stwierdzenie wprawdzie złagodziło gwałtownie wzmagałą się we mnie do tego czasu hipochondrię, ale jednocześnie do tego stopnia zaostrzyło moją ciekawość, że chęć wyjaśnienia tej kwestii przerodziła się w prawdziwą obsesję, w rodzaj «idee fixe».

Zatem od tamtej pory zacząłem prowadzić poważne obserwacje i studia nad wszystkim, co dotyczyło tych chorób, i te poszukiwania rozbudziły we mnie zapał, a także nadały sens temu, co nazywałem moim «paskudnym życiem».

W tym okresie owe obserwacje i studia prowadziłem z udziałem całego mojego prawdziwego wewnętrznego «Ja», i to zarówno wtedy, kiedy byłem pijany, na wpół pijany, jak i zupełnie trzeźwy.

Między innymi zacząłem czytać nałogowo wszelką dostępną w Europie literaturę poświęconą tym chorobom i przewertowałem prawie wszystkie książki na ten temat w języku francuskim i niemieckim.

Nie miałem z tym żadnych kłopotów, ponieważ, jak widzisz, francuskim władam tak, że trudno się domyślić, iż nie jestem prawdziwym francuskim inteligentem, a z niemieckim radzę sobie równie dobrze, bo dość długo żyłem w Niemczech i w wolnych chwilach studiowałem z nudów ów język, czytając tamtejszą literaturę.

Tak więc, zainteresowawszy się tą kwestią, mogłem wszech-

stronnie zaznajomić się z całą wiedzą o chorobach wenerycznych, jaką zdobyli już ludzie współczesnej cywilizacji.

Wspomniane książki zawierały setki teorii i setki domysłów na temat przyczyn zarażania się chorobami wenerycznymi, ale nie mogłem znaleźć w nich ani jednego całkowicie przekonującego wytłumaczenia, dlaczego i w jaki sposób niektórzy ludzie tymi chorobami się zarażają, a inni nie – zresztą wkrótce się upewniłem, że aktualna europejska wiedza z tej dziedziny takiego wyjaśnienia mi nie dostarczy.

Cała ta literatura – oczywiście pomijając masę opasłych «naukowych opracowań», których zawartość natychmiast pokazuje każdemu w miarę normalnemu człowiekowi, że ich autorzy są w tych kwestiach, jak to się mówi, «kompletnymi laikami», czyli dyletantami nie mającymi pojęcia o żadnej ludzkiej chorobie – utwierdziła mnie w mniemaniu, że ludzie zarażają się i zapadają na choroby weneryczne wyłącznie z powodu własnego niechlujstwa.

Po wysnuciu takiego stanowczego wniosku nie pozostało mi nic innego, jak skupić całą uwagę na odkryciu przyczyny tego, że ta moja osobista schludność dotychczas uchroniła mnie od zarażania.

Zacząłem wtedy snuć takie oto rozważania:

Nie ubieram się schludniej niż pozostali ludzie, którzy żyją tutaj w Europie; jak wszyscy obmywam się każdego ranka i obowiązkowo, chyba też jak wszyscy, raz w tygodniu chodzę do łaźni tureckiej – i w ten sam sposób zrobiłem przegląd jeszcze wielu innych moich zachowań, ale nie znalazłem niczego, co czyniłoby ze mnie jakiś wyjątek. A jednocześnie przecież pozostawało faktem, że prowadząc tak obmierzłe życie, miałem o wiele więcej okazji do zarażenia się niż inni.

Moimi myślami zaczęły odtąd kierować dwa, już mocno we mnie ugruntowane, bezstronne przekonania: po pierwsze, że każdy, kto utrzymuje kontakty z takimi kobietami, niechybnie musi się prędzej czy później zarazić, a po drugie, że przed zarażeniem

się uchroni człowieka tylko schludność.

Kontynuowałem tego rodzaju rozmyślania przez blisko tydzień, aż nagle przypomniałem sobie o pewnym swoim przyzwyczajeniu, które tu, w Europie, zawsze skrupulatnie ukrywałem przed znajomymi, mianowicie o zwyczaju zwanym u nas, w Persji, «abdestem».

W Persji obrzęd abdestu lub, jak można by go jeszcze nazwać zgodnie z tutejszymi pojęciami, „ablucji” zajmuje naczelne miejsce wśród różnych naszych zwyczajów.

Prawdę mówiąc, każdy wyznawca religii mahometańskiej powinien przestrzegać tego zwyczaju, ale tylko muzułmanie odłamu szyckiego surowo się do niego stosują; a ponieważ w Persji zdecydowana większość to szyici, więc ów zwyczaj nigdzie nie jest tak szeroko rozpowszechniony jak właśnie u nas.

Zwyczaj ten polega na tym, że wszyscy wyznawcy szyizmu, płci męskiej czy żeńskiej, obowiązkowo po każdej wizycie w «WC» muszą obmyć swoje narządy płciowe. W tym celu każda rodzina ma u siebie odpowiednie naczynia, to znaczy specjalne dzbany o szczególnym kształcie zwane «ibrik», które uważa się u nas za sprzęt absolutnie niezbędny. Im rodzina jest bogatsza, tym więcej musi mieć takich dzbanów, ponieważ każdy nowo przybyły gość powinien koniecznie dostać do dyspozycji jeden taki ibrik.

Również mnie wpajano to przyzwyczajenie już od wczesnego dzieciństwa i stopniowo stało się tak nieodłączną częścią mojego codziennego życia, że nawet po przybyciu do Europy, gdzie ów zwyczaj w ogóle nie istnieje, nie potrafiłem przeżyć jednego dnia bez dokonania tego rodzaju ablucji.

Prawdę mówiąc, o wiele łatwiej jest mi chodzić z nieumytą twarzą, nawet po przepiciu, niż nie obmyć pewnych części ciała zimną wodą po wizycie w «WC».

Odkąd znalazłem się w Europie, z powodu tego przyzwyczajenia muszę znosić całą masę nieprzyjemności i nawet rezygnować z pewnych nowoczesnych wygod, na które bez trudu byłoby



mnie stać.

Na przykład, żyjąc teraz w Paryżu, mógłbym pozwolić sobie na zamieszkanie w najlepszym hotelu ze wszystkimi nowoczesnymi wygodami, jednakże ze względu na to przyzwyczajenie nie mogę tego zrobić i zmuszony jestem kwaterować w jakimś brudnym hotelu położonym z dala od «centrum» i wszystkich miejsc, które prawie codziennie muszę odwiedzać.

Hotel, w którym obecnie mieszkam, ma tylko jedną, ale za to najważniejszą dla mnie wygodę. Chodzi o to, że mieści się on w budynku starej konstrukcji i zamiast tych nowych amerykańskich wymysłów ma wciąż ubikacje starego typu, a to właśnie ten stary system najlepiej odpowiada wymogom mojego zwyczajów.

Kto wie? Być może półświadomie wybrałem Francję na miejsce stałego pobytu, ponieważ ciągle można tu znaleźć, szczególnie na prowincji, «WC» starego typu, dokładnie takie same jak u nas w Persji.

W innych krajach Europy ten, jak go teraz nazywają, «system azjatycki» wyszedł już praktycznie z użytku i niemal wszędzie zastąpił go system amerykański, z wygodnymi wypolerowanymi «fotelowymi siedzeniami», na których ja osobiście mógłbym co najwyżej odpoczywać i czytać książkę zatytułowaną «Dekameron».

A więc, mój czcigodny doktorze, kiedy niespodziewanie przypomniałem sobie o tym moim przyzwyczajeniu, od razu zrozumiałem, że jeśli dotąd uniknąłem zarażenia się którąś z tych ohydnych chorób, to stało się tak niewątpliwie tylko dlatego, że bardzo często obmywam zimną wodą narządy płciowe”.

Po tych słowach ów sympatyczny młody Pers wyciągnął ręce w górę i całym swoim jestestwem przemówił:

„Niechaj przetrwa na wieki wieków pamięć o ludziach, którzy wprowadzili ów dobroczynny dla nas zwyczaj!”.

Potem nie odzywał się przez dłuższą chwilę, tylko patrzył w zadumie na siedzącą obok grupę Amerykanów, którzy spierali się

właśnie o to, czy kobiety ubierają się lepiej w Anglii, czy też u nich, w Ameryce, a potem nagle zwrócił się do mnie tymi słowami:

„Wielce szacowny i czcigodny doktorze!

Dzięki naszej znajomości mogłem się przekonać, że jesteś człowiekiem dobrze wykształconym i, jak to się mówi, niezwykle czytany.

Czy byłbyś tak dobry i podzielił się ze mną swą ważką opinią, pomagając mi w ten sposób zrozumieć i rozwiązać w końcu problem, który przez ostatnie lata często budzi moją ciekawość i w chwilach, gdy jestem w miarę trzeźwy, wzbudza myśli niedające mi spokoju.

Rzecz w tym, że nie potrafię pojąć, jak to możliwe, że odkąd żyję tutaj, w Europie, wśród adeptów religii wyznawanej przez prawie połowę ludzkości, nie spotkałem jeszcze w ich codziennym życiu żadnego dobrego zwyczaju, podczas gdy u nas, wyznawców religii mahometańskiej, jest ich bardzo dużo.

Skąd się to bierze? Jaka jest tego przyczyna? Czyżby twórcy tej wielkiej religii nie wydali żadnych sensownych dyspozycji co do zwykłego życia jej wyznawców...?”

Otóż, mój chłopcze, ponieważ w trakcie naszej znajomości ten młody Pers zaskarbił sobie moją sympatię, nie mogłem odmówić odpowiedzi na to pytanie i postanowiłem udzielić mu stosownych wyjaśnień, ale oczywiście w takiej formie, żeby nie zaczął nawet podejrzewać, kim jestem i jaka jest moja prawdziwa natura.

Powiedziałem mu:

„Twierdzisz, że w religii, którą wyznaje pół świata – prawdopodobnie masz na myśli «religię chrześcijańską» – nie ma takich dobrych zwyczajów jak te, które przyjęły się u was, w religii mahometańskiej?”

Jak to nie ma? Wprost przeciwnie! Ta religia wprowadziła o wiele więcej dobrych zwyczajów niż jakakolwiek inna istniejąca dzisiaj religia; żadne starożytne nauczanie religijne nie zawierało

tylu pożytecznych wskazówek dotyczących zwykłego codziennego życia, jak właśnie to nauczanie, na którego podstawie powstała religia chrześcijańska.

A że sami wyznawcy tej wielkiej religii, zwłaszcza ci, których w średniowieczu nazwano «Ojcami Kościoła», krok po kroku zaczęli tak traktować tę religię, jak Sinobrody traktował swe żony – to znaczy tak się nad nią znęcali, aż pozbawili ją całego piękna i uroku – to już całkiem inna kwestia.

Muszę ci powiedzieć, że generalnie wszystkie istniejące do dzisiaj autentyczne wielkie religie – stworzone, jak poświadcza sama historia, przez ludzi, którzy mieli jednakowe osiągnięcia w zakresie doskonalenia swojego czystego rozumu – opierają się zawsze na tych samych prawdach. Jedyna różnica między tymi religiami polega na określonych wskazówkach dotyczących przestrzegania pewnych szczegółów związanych z tak zwanymi obrzędami, i owa różnica wynika ze sposobu, w jaki ci wielcy założyciele celowo dostosowali te wskazówki do poziomu udoskonalenia umysłów ludzi danej epoki.

U podstaw każdej nowej doktryny, na której opiera się jakaś duża religia, umieszcza się zawsze dogmaty zaczerpnięte z religii istniejących wcześniej i mocno już ugruntowane w życiu ludzi.

Zatem także w tym wypadku całkowicie sprawdza się sentencja, znana ludziom od zarania wieków: «nie ma nic nowego pod słońcem».

Jedyne, co nowe w takich religijnych nauczaniach, to, jak powiedziałem przed chwilą, tylko drobne szczegóły celowo dopasowane przez wielkich założycieli do poziomu udoskonalenia umysłów ludzi danej epoki.

I tak u podstaw doktryny, na której opiera się religia chrześcijańska, legła prawie w całości inna, istniejąca już wcześniej wielka doktryna, nazywana obecnie judaizmem i wyznawana kiedyś przez ludzi również reprezentujących prawie połowę, jak to się mówi, «świata».

Wielcy twórcy religii chrześcijańskiej, wzięwszy za podstawę

doktrynę judaistyczną, zmienili w niej tylko zewnętrzne szczegóły, dostosowując je do stopnia rozwoju umysłów ludzi współczesnych Jezusowi Chrystusowi, i naturalnie ci wielcy twórcy bardzo trafnie przewidzieli w tym religijnym nauczaniu to wszystko, co było potrzebne, aby zapewnić ludziom pomyślność.

Przezornie uwzględnili w nim różne zalecenia, jak to się mówi, dla duszy i ciała oraz wszelkie wskazówki niezbędne do spokojnej i szczęśliwej zwykłej egzystencji. A uczynili to wszystko z niebywałą mądrością, tak by owa religia mogła odpowiadać również potrzebom ludzi w dalekiej przyszłości.

Gdyby nauczanie tej religii pozostało niezmienione, to pewnie nadawałoby się nawet dla tych współczesnych ludzi, których, nawiasem mówiąc, nasz Mułła Nasr Eddin określa tak: «Mrugnie tylko wtedy, gdy wsadzisz mu w oko kłódę z grubymi sękami».

Na początku, oprócz nowych wskazówek specjalnie przeznaczonych do codziennej egzystencji i odpowiadających wymaganiom współczesnych Jezusa Chrystusa, do owej chrześcijańskiej religii włączono też wiele dobrych zwyczajów, które już wcześniej mocno się utrwaliły w życiu wyznawców religii judaistycznej.

Nawet te wasze dobre obyczaje, takie jak «sunnat» czy «obrzezanie», zapożyczone przez religię mahometańską z religii judaistycznej, istniały też we wczesnej religii chrześcijańskiej. Praktykowanie sunnatu było na początku obowiązkowe i wszyscy jej wyznawcy ściśle go przestrzegali, i dopiero później, nie wiadomo dlaczego, znikło nagle całkowicie z tej religii.

Jeśli chcesz, mój młody przyjacielu, to opowiem ci szczegółowo o powstaniu tego zwyczaju, ponieważ będziesz mógł dzięki temu zrozumieć, dlaczego religia judaistyczna uwzględniła praktykę tak dobrą dla zdrowia i normalnej egzystencji ludzi, a także dlaczego – gdy nauczanie tej religii stało się podstawą religii chrześcijańskiej – praktyka ta musiała obowiązkowo zostać przejęta i włączona do procesu codziennego życia wyznawców religii chrześcijańskiej.

Ów zwyczaj, który nazywacie «sunnatem», stworzył i po raz pierwszy włączył do judaistycznej doktryny religijnej wielki Mojżesz.

A jeśli chodzi o samą przyczynę tego, że wprowadził ów zwyczaj do religii narodu żydowskiego, to dowiedziałem się o niej z bardzo starego chaldejskiego rękopisu.

W tym rękopisie wspomina się, że wielki Mojżesz, kiedy stanął na czele narodu żydowskiego i prowadził go z ziemi egipskiej do krainy Kanaan, stwierdził, że wśród dzieci i młodzieży tego powierzonego mu z Góry ludu gwałtownie się szerzy choroba, która nosiła wówczas nazwę «murdurten», a którą współcześni ludzie zwą «onanizmem».

Jak podaje ten sam rękopis, wielki Mojżesz niezmiernie się tym zaniepokoił i od razu zaczął prowadzić uważne obserwacje, aby odkryć przyczynę tego zła, a także znaleźć jakiś sposób na jego wykorzenie.

Po zakończeniu tych poszukiwań ów niezrównany mędrzec napisał księgę pod tytułem «Tucha tes nalul pan», co w języku współczesnym znaczy «kwintesencja moich rozmyślań».

Ja również miałem okazję zapoznać się kiedyś z treścią tej wspaniałej księgi.

Na początku wyjaśnień dotyczących choroby «murdurten» powiedziane było tam między innymi, że Wielka Przyroda doprowadziła organizm ludzki do takiej doskonałości, iż każdy narząd ma możliwość obrony przed wszelkimi niespodziankami przychodzącymi z zewnątrz. Jeśli więc jakiś narząd funkcjonuje w ludziach nieprawidłowo, to wina leży zawsze po stronie ludzi i ustalonych przez nich warunków codziennego życia.

A co się tyczy konkretnych przyczyn pojawienia się murdurtenu wśród dzieci, to w rozdziale 6 wiersz XI tej niezrównanej księgi była mowa o tym, że dzieci zapadają na tę chorobę z następujących powodów:

Wśród określonych substancji, wytwarzanych i nieustannie wydalanych przez ludzki organizm jako niepotrzebne odpady,

znajduje się też substancja zwana «kulnabo».

Owa substancja jest z reguły wytwarzana w organizmie istot w celu neutralizowania innych, również określonych substancji potrzebnych do funkcjonowania ich narządów płciowych i zaczyna się formować oraz uczestniczyć w funkcjonowaniu wspomnianych narządów u istot obojga płci już od samego ich powstania, to znaczy od niemowlęctwa.

Wielka Przyroda tak wszystko przygotowała, że po wykorzystaniu tej substancji jej niepotrzebne resztki są wydalane z organizmu chłopców przez miejsce położone pomiędzy «tulchtotino» i «sarnuonino», a u dziewczynek miejsce między «wzgórkami kartotachnymi».

Części organizmu, nazwane w tej niezrównanej księdze «tulchtotino» i «sarnuonino», odpowiadają tym częściom znajdującym się na końcu «członka rozrodczego», które współczesna medycyna nazywa «glans penis» i «praeputium penis»; natomiast «pagórki kartotachne», które u dziewcząt przykrywają «łechtaczkę», noszą nazwy «labra majora» i «labra minora» lub, jak mówi się potocznie, «większe i mniejsze wargi sromowe».

We współczesnej medycynie substancja kulnabo nie ma żadnej nazwy, ponieważ jest jej w ogóle nieznana jako samodzielna substancja.

Tutejsza współczesna medycyna wie tylko o istnieniu ogólnej masy różnych substancji, do których należy także substancja kulnabo.

Ta całościowa masa, nazywana przez nią «mastką»; składa się z różnorodnych substancji wydzielanych przez rozmaite gruczoły, które nie mają ze sobą nic wspólnego, jak na przykład gruczoły «łojowe», «Bartholina», «Cowpera», «nolniolne» i inne.

Wydzielanie i ulatnianie się we wspomnianych miejscach tych niepotrzebnych już organizmowi substancji powinno następować, jak przewidziała Wielka Przyroda, wskutek wszelkiego rodzaju przypadkowych dotknięć oraz różnych ruchów zachodzących w atmosferze.

Jednakże nieprzewidziane przez Przyrodę ubrania, które wymyślili dla siebie ludzie, nie pozwalają owym czynnikom swobodnie uczestniczyć w procesie wydzielania się i ulatniania owych substancji, co powoduje, że kulnabo, pozostając przez długi czas we wspomnianych miejscach, bądź przyczynia się do procesu rozkładu, bądź też ogólnie substancja ta okazuje się najlepszym środowiskiem do rozmnażania tak zwanych bakterii znajdujących się zarówno w atmosferze, jak i w «subiektywnych sferach» wszystkich przedmiotów, z którymi dzieci mają bezpośredni kontakt – i to właśnie ten ich proces rozmnażania wywołuje w danych częściach organizmu dzieci proces zwany «swędzeniem».

Z powodu tego swędzenia dzieci zaczynają wpierw nieświadomie pocierać lub drapać te miejsca, a później – ponieważ w owych częściach ludzkiego organizmu skupiają się wszystkie końcówki nerwów stworzonych przez Przyrodę w celu szczególnego doznania niezbędnego do zwieńczenia świętego procesu Elmuarno i pojawiającego się normalnie u ludzi dorosłych na końcu, jak to się mówi, spółkowania, a także ponieważ wskutek owego pocierania lub drapania się, szczególnie w okresach, gdy, jak przewidziała Wielka Przyroda, w narządach dzieci zachodzi proces przygotowawczy do przyszłego funkcjonowania płciowego, odczuwają one pewne specyficzne przyjemne doznanie – zaczynają już umyślnie, instynktownie uświadomiwszy sobie, co muszą zrobić, żeby wywołać w sobie to przyjemne doznanie, pocierać owe miejsca nawet wtedy, gdy nie czują żadnego swędzenia, i w taki oto sposób z dnia na dzień rosną na Ziemi szeregi małych «murdurtenistów».

A jeśli chodzi o środki, po które sięgnął wielki Mojżesz, by wykorzystać takie zło, to dowiedziałem się o nich nie ze wspomnianej wspaniałej księgi «Tucha tes nalul pan», lecz z pewnego również bardzo starego papirusu.

Z treści tego papirusu jasno wynikało, że wielki Mojżesz, wyciągając praktyczne wnioski z myśli wyłożonych w księdze «Tu-chates nalul pan», stworzył dla swojego narodu dwa obrzędy religij-

ne, z których pierwszy nazywał się «sikt-ner-czorn», a drugi «cel-puc-kan».

Święty «sikt-ner-czorn» został specjalnie stworzony dla chłopców, natomiast święty «cel-puc-kan» dla dziewcząt, i obowiązkowo poddawano im wszystkie dzieci obu płci.

Na przykład obrzęd «sikt-ner-czorn» wyglądał dokładnie tak samo jak wasz sunnat. Polegał mianowicie na obcięciu u chłopców «wożyano», czyli «frenulum praeputii», skutkiem czego od czubka penisa odłączała się pokrywająca go skóra, czyli «praeputium penis», i w ten sposób ta ostatnia mogła swobodnie się przesuwac.

Z informacji, które dotarły do nas z czasów starożytnych, a co zresztą dyktuje nam także zdrowy rozsądek, jasno i niezbitie wynika, że wielki Mojżesz, będący – jak wiemy z innego źródła – wielkim znawcą medycyny, chciał za pomocą tego zabiegu sprawić, by wszelkie przypadkowe dotknięcia pomagały mechanicznie usuwać zgromadzony w danych miejscach ogół substancji, który rym samym przestałby stanowić czynnik wywołujący wspomniane szkodliwe swędzenie.

Co się tyczy znakomitego rozeznania wielkiego Mojżesza w domenie medycyny, to potwierdzają je liczne źródła historyczne podające zgodnie, że swą wiedzę zawdzięczał egipskim kapłanom, u których pobierał nauki w czasie pobytu w Egipcie, a którzy sami otrzymali ją od swych przodków z kontynentu Atlantyda, pierwszych i ostatnich na Ziemi prawdziwych uczonych, członków towarzystwa noszącego wówczas nazwę «Achldan».

Jeszcze dzisiaj można całkiem wyraźnie dostrzec w praktyce dobroczynne skutki zwyczajów wprowadzonych wtedy przez wielkiego Mojżesza.

A konkretnie, jeśli chodzi o zwyczaj obrzezania, to ja sam – będąc doskonałym diagnostą, zdolnym rozpoznać po jednym spojrzeniu na twarz człowieka, na jaką dysharmonię cierpi jego organizm – mogę śmiało stwierdzić, że ta okropna choroba dziecięca zwana «onanizmem» prawie nie występuje wśród dzieci podda-



nych takiemu obrzędowi, podczas gdy niemal wszystkie dzieci rodziców, którzy tego zwyczaju nie przestrzegają, są na nią podatne.

Wyjątek stanowią tu tylko te nieobrzezane dzieci, których rodzice mają wysoką, w pełnym tego słowa znaczeniu, kulturę i świetnie rozumieją, że normalne myślenie ich dzieci będzie w przyszłości zależało wyłącznie od tego, czy w dzieciństwie lub młodości cierpiały na tę chorobę, czy nie.

Tacy kulturalni rodzice doskonale wiedzą, że jeśli ich dzieci choć raz przed osiągnięciem pełnoletności doświadczą w swoim «systemie nerwowym» finalnego doznania «procesu uamonusnego», to kiedy dorosną, stracą już bezpowrotnie wszelką możliwość, by normalnie myśleć, toteż ci kulturalni rodzice zawsze poczytują za swój pierwszy i główny obowiązek wychowanie dzieci we właściwym kierunku.

W przeciwieństwie do większości współczesnych rodziców nie uważają, że wychowywanie dzieci polega na ciągłym zmuszaniu ich do wkuwania na pamięć jak największej liczby wierszy różnych «murdurtenistycznych psychopatów» lub uczeniu ich «grzecznie dygać» przed znajomymi – a niestety w ostatnich czasach właśnie do tego ogranicza się w pojęciu ludzi całe wychowanie.

Tak więc, mój drogi, bardzo zepsuty, aczkolwiek sympatyczny młody człowieku i przyjacielu...

Te dwa obrzędy, stworzone przez wielkiego Mojżesza i od tamtej pory zakorzenione na dobre w życiu narodu żydowskiego po to, by przeciwdziałać szkodliwemu ludzkiemu wymysłowi noszenia ubrań – wymysłowi, który doprowadził do zniszczenia czynników przewidzianych przez Przyrodę dla ochrony wspomnianych organów przed szkodliwym działaniem wydzielanych przez nie substancji – były przekazywane z pokolenia na pokolenie zarówno przez samych wyznawców religii żydowskiej, jak i przez inne narody, które przejęły te pożyteczne rytuały prawie bez zmian. Dopiero po śmierci wielkiego króla Salomona obrzęd «cel-puc-kan» przestał być z jakichś powodów praktykowany

przez wyznawców religii żydowskiej i tylko obrzęd «sikt-nerczorn» zachował się wśród nich automatycznie i dotarł nawet do współczesnych przedstawicieli tej rasy.

Zwyczaj ten, jak wiele innych starożydowskich zwyczajów, został przekazany wyznawcom religii chrześcijańskiej, którzy początkowo surowo przestrzegali go w życiu codziennym, ale wkrótce także zniknął z tej wtedy jeszcze nowej religii, a wraz z nim przepadły wszelkie informacje o tym, że kiedykolwiek wśród nich istniał.

Tak... mój drogi przyjacielu! Gdyby tylko nauczanie boskiego Jezusa Chrystusa było w pełni realizowane w oryginalnej postaci, to oparta na nim religia, stworzona z niebywałą mądrością, byłaby najlepsza nie tylko ze wszystkich przyjętych już religii, lecz nawet ze wszystkich tych, które mogą jeszcze powstać i istnieć w przyszłości.

Wracając do twojej religii mahometańskiej, to z wyjątkiem obyczaju wielożeństwa nie ma tam nic takiego, czego nie można by znaleźć także w doktrynie judaistycznej i chrześcijańskiej.

Obyczaj wielożeństwa, ustanowiony na podstawie naukowych wywodów słynnego w swym czasie arabskiego uczonego «Naulana El Aula», został wprowadzony do codziennego życia ludzi już po ukształtowaniu się religii chrześcijańskiej.

Twoja religia powstała o wiele później i jej wielcy twórcy specjalnie nadali jej formę bardziej zwięzłą, kładąc przy tym szczególny nacisk na pewne ogólnie przyjęte zwyczaje.

Powodem tego były dwa fakty, które w tamtym czasie stały się bardzo widoczne: upadek religii chrześcijańskiej i zanik u zwykłych ludzi zdolności do «kontemplacji» – jedyne go stanu, w jakim można zrozumieć prawdy szczegółowo wyłożone w autentycznych nauczaniach religijnych.

Zauważywszy to, wielcy twórcy religii mahometańskiej postanowili z jednej strony uprościć samo nauczanie, a z drugiej położyć nacisk na pewne obyczaje, aby życie powszednie adeptów tego nowego nauczania, którzy utracili zdolność kontemplacji

i tym samym możliwość świadomego rozumienia prawd, mogło przynajmniej mechanicznie toczyć się w miarę znośnie.

To właśnie wtedy między innymi wprowadzili i uznali za szczególnie ważne wspomniane przez ciebie zwyczaje sunnatu, abdestu i wielożeństwa – zwyczaje, których dobroczynne rezultaty możemy zaobserwować w praktyce nawet dzisiaj.

Na przykład, jak sam słusznie zauważyłeś, dzięki obrzezaniu i ablucji wśród wyznawców tej religii nie występują praktycznie onanizm ani niektóre choroby weneryczne, natomiast dzięki wielożeństwu można u nich zaobserwować takie wzajemne, by tak rzec, psychoorganiczne wspieranie podwalin życia rodzinnego, prawie niespotykane wśród wyznawców religii chrześcijańskiej.

Ze wszystkich pożytecznych zwyczajów, które wielcy twórcy religii chrześcijańskiej wprowadzili do życia jej wyznawców w trosce o ochronę zdrowia i umocnienie fundamentów moralności niezbędnych do szczęśliwej egzystencji, nie zostało teraz już nic prócz zwyczaju regularnego poszczenia, czyli powstrzymywania się w ustalonych okresach roku od spożywania pewnych produktów żywnościowych.

Ale nawet ten jedyny ocalały dobry zwyczaj albo zupełnie przestaje być obecny w codziennym życiu wyznawców tej religii, albo też co roku ulega takim zmianom, że poszczącym nie przynosi już tego pożytku, z myślą o którym ów «post» został specjalnie ustanowiony.

Zmiany zachodzące obecnie w procesie takiego poszczenia są bardzo charakterystyczne i mogą posłużyć za doskonały przykład tego, jak generalnie wszystkie «dobre chrześcijańskie zwyczaje» stopniowo się zmieniały, aż w końcu zupełnie od nich odstąpiło.

Sposób, w jaki «rosyjscy prawosławni chrześcijanie» przestrzegają dzisiaj postu, znakomicie zilustruje to, o czym mówię.

Ci rosyjscy prawosławni chrześcijanie w całości przejęli swą religię od tak zwanych prawosławnych Greków, którzy oprócz wie-

lu innych chrześcijańskich zwyczajów przekazali im również zwyczaj postzenia.

Do dzisiaj większość spośród milionów rosyjskich prawosławnych chrześcijan pości, by tak rzec, «jak trzeba», stosując się do obowiązującego teraz «kodeksu prawosławia».

Ale jeśli chodzi o sam sposób przestrzegania tego postu, to nieuchronnie przywołuje on na pamięć pewne powiedzenie naszego drogiego Mułły Nasr Eddina, który zawsze w takich wypadkach mówi:

«Przecież to wszystko jedno, że śpiewam jak osioł, byleby tylko nazywali mnie słowikiem».

To samo dotyczy postu rosyjskich prawosławnych chrześcijan: byleby tylko nazywano ich «chrześcijanami», i co najważniejsze, «prawosławnymi», a wtedy czyż to nie wszystko jedno, że ten ich post nie przynosi im żadnego pożytku?

Jak już powiedziałem, nawet obecnie ci rosyjscy prawosławni chrześcijanie bardzo surowo, zgodnie ze wskazówkami zawartymi w ichnich «kodeksach», przestrzegają okresów i dni postu.

Ale co takiego wolno, a czego nie wolno spożywać podczas postu? – otóż tu właśnie jest pogrzebana lewa łapa kudłatego psa ekscesarza Wilhelma.

Doskonale zrozumiesz, jak obecnie wygląda to ich poszczenie, jeśli powtórzę ci słowo w słowo to, co powiedział mi ostatnio w Rosji jeden z tych autentycznych rosyjskich prawosławnych chrześcijan.

Ponieważ spotykałem się z tym Rosjaninem w różnych interesach, więc trochę się nawet z nim zaprzyjaźniłem i czasami odwiedzałem go w domu.

Całe jego otoczenie uważało go za bardzo dobrego chrześcijanina i patriarchalnego ojca rodziny. On sam należał do tak zwanych starowierców.

Starowiercy to prawosławni chrześcijanie, których przodkowie kilka wieków temu nie chcieli podporządkować się nowym zasadom wymyślonym dla rosyjskich prawosławnych chrześcijan

przez «jakiegoś kogoś» i pozostali wiernymi wyznawcami starych zasad, które również wymyślił «jakiś ktoś», tyle że wiek lub dwa wieki przed tym, jak nastąpił ten kolejny, systematycznie pojawiający się wśród nich «rozłam religijny».

A zatem ów czcigodny starowiec – opowiadałem dalej młodemu Persowi – któregoś dnia, kiedy jadłem u niego obiad w towarzystwie kilku innych rosyjskich prawosławnych chrześcijan, zwrócił się do mnie, mówiąc:

«Ech, mój milutki!».

Chcę tutaj dodać, że istoty tej zbiorowości po drugim kieliszku prawdziwej rosyjskiej wódki mają w zwyczaju, zwracając się do znajomych, używać różnych przezwisk w rodzaju «mój milutki», «moje cacuszko», «moja pyzata ślicznotko», «moje złotko» itd., itp.

Tak więc ten dostojny autentyczny prawosławny chrześcijanin, tytułując mnie «mój milutki», powiedział:

«Nie przejmuj się, mój milutki! Wkrótce będziemy mieć Wielki Post, a wtedy najemy się razem do syta prawdziwych rosyjskich dań!

Prawdę mówiąc, u nas, w Rosji, w ‘tłuste dni’ prawie zawsze jemy to samo.

Ale za to w czasie postów jest zupełnie inaczej! A już zwłaszcza w trakcie Wielkiego Postu!

Każdego dnia będziesz godny tego, by skosztować kilku najwyborniejszych dań.

Wiesz co, mój milutki?

Niedawno właśnie dokonałem w tym zakresie pewnego zadziwiającego ‘odkrycia’.

To moje nowe odkrycie jest tysiąc razy lepsze niż odkrycie tego starego marudy Kopernika, który leżał kiedyś kompletnie pijany na ziemi i ponoć wyraźnie poczuł, że nasza Ziemia się kręci.

Ładne mi odkrycie!

Na pewno w samej tylko naszej matce Moskwie takich odkryć

robi się każdego dnia setki tysięcy.

Nie!... Moje odkrycie jest 'autentyczne', niezwykle pouczające i konkretne.

Otóż odkryłem, że do tej pory wszyscy byliśmy kompletnymi głupcami i skończonymi idiotami, wyobrażając sobie i wręcz nabierając niezachwianego przekonania, że tę obfitość przeróżnych najsmaczniejszych dań, którymi zastawione są nasze stoły w czasie Wielkiego Postu, zawdzięczamy przesławnej sztuce naszych kucharzy i kucharek.

W tym szczególnie błogosławionym dla moich bliskich dniu, kiedy stałem się godny zrozumienia owej prawdy, czyli w dniu, gdy naszej niezrównanej Duniaszy udało się w warstwach płatów pieroga podawanego do 'uchy z jazgarza z wątróbkami miętusa' uzyskać w końcu podwarstwy, pojąłem całym swym jestestwem, na czym polegał nasz wielki błąd.

Najpierw zrozumiałem to sam, a następnie udowodniłem wszystkim moim domownikom, że jeśli w czasie postu delectujemy się taką ilością różnorodnych i przepysznych dań, to zawdzięczamy to wyłącznie naszym błogosławionym i wybornym rybom.

Wszak w czasie postów, a szczególnie Wielkiego Postu, uszczęśliwiają nasze domy swoimi częstymi wizytami:

czcigodna 'Siewruga', i  
dostojna 'Sterleta', i  
szanowny 'Jesiotr', i  
niezapomniany 'Miętus', i  
Jego Ekscelencja 'Łosoś', i  
delikatnie ciągliwa 'Makrela', i  
muzykalna 'Bieługa', i  
wiecznie rozzłoszczony 'Szczipak', i  
zawsze cichutka 'Sieja', i  
żwawy 'Pstrąg', i  
dorodna 'Białorybica', i

dumna 'Szemaja', i  
silna osobowość 'Leszcz', i  
wszyscy pozostali nasi dobroczyńcy oraz opiekunowie.

Już same tylko imiona tych naszych łaskawców i rozkoszodawców są dla nas wielkimi hojnym darem.

Na ich dźwięk nasze rozczulone serca o mało nie wyskoczą nam z piersi.

Te imiona to nie jakieś pospolite nazwy, lecz prawdziwa muzyka. Czyż da się porównać dźwięki muzyki wymyślonej przez różne Beethoveństwo, Szopenieństwo i innych tego rodzaju nierobów z brzmieniem imion tych błogosławionych ryb?

Ilekcroć słyszymy nazwy tych wspaniałych stworzeń, ogarnia nas uczucie błogości, które wypełnia nasze żyły i nerwy.

O błogosławione ryby! Pierwsze dzieło naszego Stwórcy! Zmiłujcie się nad nami i wspomóżcie nas również w 'tłuste dni'! Amen».

Po tej modlitwie ów dostojny prawosławny rosyjski chrześcijanin opróżnił okazałą szklaneczkę autentycznej destylowanej rosyjskiej wódki i z czułością popatrzył na stojącą obok statuetkę «Wenus i Psyche»...

W rzeczy samej, mój przyjacielu, prawie każdy rosyjski prawosławny chrześcijanin tak właśnie wyobraża sobie post i w ten sposób się do niego odnosi.

W czasie tych «chrześcijańskich postów», przejętych od prawosławnych Greków, wszyscy jedzą tam rybie mięso.

Spożywanie takiego mięsa nie jest uważane przez nich za «grzech», a więc objadają się nim jako «potrawą postną».

Jednego tylko nie potrafię zrozumieć: Skąd ci rosyjscy «prawosławni od siedmiu boleści» wzięli ideę, że podczas chrześcijańskich postów, a zwłaszcza w trakcie Wielkiego Postu, można spożywać mięso ryb?

Pozostaje to dla mnie zagadką, ponieważ prawosławni chrze-

ścian, od których przejęli swoją religię, to znaczy Grecy, nigdy w czasie postów rybiego mięsa nie jedli i nadal nie jedzą.

Zgodnie z kodeksem Kościoła prawosławnego współcześni Grecy podczas Wielkiego Postu jedzą rybę tylko raz, aby uczcić pamięć jednego dnia z życia Boskiego Jezusa Chrystusa.

Post, który dopuszcza spożycie rybiego mięsa, nie tylko nie przynosi poszczającym żadnej korzyści, ale też całkowicie zaprzecza zarówno temu, czego pragnął i nauczał Sam Boski Jezus Chrystus, jak i temu, co było celem wielkich twórców religii chrześcijańskiej, którzy ów zwyczaj wprowadzili.

Na potwierdzenie moich słów zacytuję ci teraz, młody przyjacielu, co przeczytałem kiedyś o chrześcijańskim poście w pewnym starym rękopisie żydowsko-esseńskim.

Ten starożytny rękopis żydowsko-esseński zawierał informację o tym, że specjalnie ustanowiony dla wyznawców nauczania Jezusa Chrystusa zwyczaj poszczenia w pewnych porach roku został wprowadzony długo po jego śmierci, a mianowicie dwieście czternaście lat po jego narodzeniu.

Zwyczaj poszczenia uchwalono i wprowadzono do religii chrześcijańskiej w czasie wielkiego tajnego Soboru Kelnuckiego.

Ów tajny Sobór Kelnucki został zwołany przez wszystkich wyznawców tego – wtedy jeszcze całkiem nowego – nauczania w miejscowości Kelnuk położonej nad brzegiem Morza Martwego, toteż znany jest w historii religii chrześcijańskiej jako Sobór Kelnucki.

A utrzymywano go w tajemnicy dlatego, że w tamtym czasie wyznawcy nauczania Jezusa Chrystusa byli wszędzie bezwzględnie prześladowani przez ludzi dzierżących władzę.

Tacy dzierżący władzę ludzie prześladowali ich, ponieważ bardzo się bali, że jeśli wszyscy zaczną żyć zgodnie z tym nauczaniem, to mimo że oni sami mogliby wtedy także żyć naprawdę dobrze, stracą jednak wszelkie powody do okazywania swojej władzy i w rezultacie znikną w nich impulsy, których zaspakajanie łączy ich z wewnętrznym bogiem pod nazwą «miłość własna».



Tak więc podczas wspomnianego Soboru Kelnuckiego jego członkowie po raz pierwszy wprowadzili zwyczaj, zgodnie z którym wyznawcy nauczania Jezusa Chrystusa mieli w określonych dniach powstrzymać się od jedzenia pewnych produktów żywnościowych.

Pierwotną przyczyną ustanowienia takiego postu był spór prowadzony w czasie Soboru Kelnuckiego przez dwóch słynnych wtedy ludzi, mianowicie wielkiego Hertunano i wielkiego greckiego filozofa Wegendiadiego.

Wielki Hertunano reprezentował wszystkich wyznawców nauk Jezusa Chrystusa mieszkających na wybrzeżu Morza Czerwonego, a filozof Wegendiadi był przedstawicielem wszystkich wyznawców tego nauczania w ówczesnej Grecji.

Filozof Wegendiadi zasłynął jako uczonego tylko we własnym kraju, za to Hertunano był sławny na całej Ziemi i uchodził za równo za największego znawcę praw wewnętrznej organizacji człowieka, jak i za autorytet w dziedzinie nauki zwanej wtedy «alchemią» – niemającej oczywiście nic wspólnego z tą nauką, którą ludzie współcześni określają tym słowem.

Ta słynna dysputa między wielkim Hertunano i Wegendiadim wywiązała się w następujących okolicznościach:

Jak wieść niesie, filozof Wegendiadi przez dwa dni przekonywał i dowodził, że należy obowiązkowo i bezwzględnie rozpoznać wśród wszystkich wyznawców nauczania Jezusa pogląd, iż zabijanie zwierząt w celu spożywania ich mięsa jest ciężkim grzechem, zwłaszcza dlatego, że mięso jest niezwykle szkodliwe dla zdrowia itd.

Po filozofie Wegendiadim przemawiało z trybuny kilku innych przedstawicieli, którzy albo bronili jego dowodów, albo je krytykowali.

W końcu, jak podaje wspomniany rękopis, dostojnym i nieśpiesznym krokiem wszedł na katedrę wielki Hertunano i zgodnie ze swoim zwyczajem zaczął przemawiać jasno i spokojnie.

Z tekstu owego rękopisu dowiedziałem się, że powiedział wów-

czas, co następuje:

«W pełni zgadzam się z całą argumentacją i ze wszystkimi dowodami, które przeprowadził tu nasz brat w Chrystusie, filozof Wegendiadi.

Do tego, co powiedział, dodam nawet, że pozbawianie innej istoty życia jedynie po to, żeby napchać własny żołądek, to największa podłość, do jakiej zdolny jest tylko człowiek.

Gdybym ja także nie interesował się tą kwestią od wielu lat i nie doszedł do zupełnie odmiennych wniosków, to po tym wszystkim, co powiedział tutaj nasz brat w Chrystusie, Wegendiadi, nie zawahałbym się ani przez chwilę i od razu zacząłbym namawiać i przekonywać was wszystkich, byście, nie zwlekając do jutra i na nic się nie oglądając, biegiem wrócili do swoich miast i tam na wielkich placach głośno krzyczeli: 'Opamiętajcie się! Ludzie, opamiętajcie się! Przestańcie się żywić mięsem! To wasze przyzwyczajenie nie tylko przeczy wszystkim przykazaniom Boga, lecz także jest przyczyną wszelkich waszych chorób'.

Jak sami widzicie, nic takiego teraz nie robię. A nie robię tego jedynie dlatego, że, jak już wam powiedziałem, wieloletnie intensywne studia nad tą kwestią doprowadziły mnie do zgoła innych wniosków.

Co się zaś tyczy samych tych wniosków, to w tej chwili mogę wam tylko powiedzieć, że nigdy na Ziemi nie uda się doprowadzić do tego, by wszyscy ludzie wyznawali jedną i tę samą religię. Dlatego oprócz naszej religii chrześcijańskiej będą zawsze istnieć inne religie. A któż jest w stanie przewidzieć, czy ich wyznawcy również nie będą spożywać mięsa?

Skoro nie mamy dzisiaj pewności, że wszyscy ludzie na Ziemi przestaną kiedyś jeść mięso, to musimy sięgnąć teraz w tej sprawie po całkiem inne i bardziej realne środki, jeśli bowiem jedna część ludzi będzie jeść mięso, a inna nie, to zgodnie z rezultatami moich doświadczalnych badań tych ostatnich spotka największe zło, jakie tylko można sobie wyobrazić.

Moje szczegółowe eksperymenty wykazały, że u ludzi, którzy

sami mięsa nie jedzą, ale żyją wśród tych, którzy je spożywają, przestaje się kształtować to, co zwane jest 'siłą woli'.

Owe eksperymenty także dowiodły, że wprawdzie u tych, którzy mięsa nie jedzą, zdrowie fizyczne się poprawia, jednak wskutek kontaktu z tymi, którzy je jedzą, ich stan psychiczny nieuchronnie się pogarsza, i to bez względu na to, że stan ich organizmu czasami może się nawet wciąż polepszać.

Wynika z tego, że dla nich jedyną szansą na uzyskanie dobrego rezultatu jest życie w całkowitej i ciągłej izolacji.

Jeśli zaś chodzi o ludzi, którzy stale spożywają mięso lub inne produkty zawierające element zwany 'eknoch', to chociaż pozornie stan ich organizmu się nie zmienia, jednakże ich psychika – szczególnie jej główny rys określany czasem ogólnikowym słowem 'charakter' – stopniowo traci swe pozytywne oraz moralne właściwości i zmienia się nie do poznania.

Muszę tu zaznaczyć, że wszystkie te wnioski wysnułem z eksperymentów, które mogłem prowadzić przez wiele lat dzięki dwóm szczodrym dobroczyńcom, mianowicie wspomagającemu mnie materialnie bogatemu pasterzowi Alla Ek Linachowi, a także poważanemu przez wszystkich uczonemu El Kuna Nasowi, który udostępnił mi swój wspaniały wynalazek, to znaczy aparat 'arostodesoch'.

Za pomocą tego wspaniałego aparatu mogłem przez kilka lat monitorować codziennie ogólny stan organizmu tysięcy ludzi, którzy żyli w odpowiednich warunkach na koszt dobrego pasterza Alla Ek Linacha.

Niechaj NASZ STWORZYCIEL nadal pomnaża jego stada!

Otóż dzięki tym badaniom doświadczalnym niezbicie się przekonałem, że z jednej strony, jeśli ludzie będą dalej jeść mięso, pociągnie to za sobą opłakane dla nich skutki, a z drugiej strony, jeśli niektórzy z nich przestaną je spożywać, to też nic dobrego z tego nie wyniknie. Toteż potem przez pewien czas poświęciłem się wyłącznie szukaniu odpowiedzi na pytanie: Co takiego mimo wszystko można jeszcze zrobić, żeby zapewnić większości ludzi

pomyślność?

Najpierw ustaliłem niezbicie dwie rzeczy: po pierwsze, że ludzie od wieków już tak się przyzwyczaili do spożywania mięsa, że przy ich słabej woli nigdy nie będą w stanie przestać go jeść, aby wyzbyć się tej karygodnej żądz; a po drugie, że nawet gdyby ludzie postanowili nie jeść mięsa i, odzwyczajając się od niego, faktycznie przez pewien czas trwali w tym postanowieniu, to i tak nigdy nie zdołają się powstrzymać od spożywania mięsa wystarczająco długo, aby poczuć do niego nieprzezwyrodniony wstręt. Nie uda się im to, ponieważ nigdy na Ziemi ludzie nie będą mieli tej samej religii ani nie utworzą jednego wspólnego państwa, a bez tego nie może się pojawić żadne oparte na perswazji, zakazie lub zastraszaniu odgórne oddziaływanie, na które byliby podatni w tej samej mierze wszyscy ludzie – generalnie skłonni ciągle iść za przykładem, kierować się zazdrością albo ulegać magnetycznym wpływom – i dzięki któremu zyskaliby bodaj już na zawsze moc trwania w powziętym postanowieniu.

Pomimo tych dwóch, w moim przekonaniu bezspornych i oczywistych faktów, które przyjąłem za podstawę własnych badań, dalej usilnie poszukiwałem jakiegoś wyjścia z owej ponurej sytuacji, w jakiej znaleźli się ludzie.

Naturalnie także tym razem mogłem kontynuować na wielką skalę wszystkie moje badania dzięki niewyczerpanym bogactwom pasterza Alla Ek Linacha i zdumiewającemu aparatowi mądrego El Kuna Nasa.

Te nowe poszukiwania wyjaśniły mi, że chociaż ogólnie psychika ludzka rzeczywiście się degeneruje od ciągłego wprowadzania do organizmu substancji 'eknoch', to oddziaływanie tej substancji jest szczególnie szkodliwe tylko w pewnych porach roku.

A zatem, moi bracia w Chrystusie, na podstawie wszystkiego, co wam powiedziałem, głównie zaś obserwacji, którym przez ostatni rok codziennie poddawałem wielu ludzi i które jasno mi pokazały, że w pewnych porach roku szkodliwość działania eknocha się zmniejsza, śmiało mogę wam teraz powiedzieć, że moim zdaniem, gdyby się udało rozpowszechnić i utrwalić wśród wy-

znawców Jezusa Chrystusa zwyczaj powstrzymywania się przynajmniej w ustalonych okresach roku od spożywania tych produktów, w których formowaniu substancja eknoch odgrywa szczególnie ważną rolę, to być może do takiego zwyczaju ludzie potrafiliby się stosować i odnieść z niego jakiś pożytek.

Moje rozmaite badania alchemiczne wykazały, że substancja eknoch uczestniczy w formowaniu się wszystkich bez wyjątku żywych organizmów, niezależnie od tego, czy egzystują na powierzchni Ziemi, czy w różnych jej sferach, na przykład w jej wnętrzu, w wodzie, w atmosferze itd.

Tę substancję można odnaleźć również w tym wszystkim, co przyczynia się do formowania takich organizmów, a mianowicie wpłynie owodniowym ciężarnych samic – niezależnie od gatunku – oraz w takich produktach jak mleko, jaja, ikra itp...».

Idee wielkiego Hertunano wywołały u wszystkich członków Soboru Kelnuckiego tak wielkie zdumienie i podniecenie, że wrzawa, która zapanowała, uniemożliwiła mu kontynuowanie wystąpienia, toteż zmuszony był je przerwać i zejść z mównicy.

W dalszej części przytoczonego rękopisu była mowa o tym, że pod koniec dnia wszyscy członkowie Soboru Kelnuckiego jednomyślnie postanowili wyznaczyć wpierw z pomocą wielkiego Hertunano pory roku, kiedy substancja eknoch wpływa na ludzi najbardziej szkodliwie, a następnie wytrwałe rozpowszechniać wśród wyznawców Jezusa Chrystusa zwyczaj poszczenia w tych porach, to znaczy powstrzymania się od jedzenia produktów zawierających szkodliwą dla nich substancję eknoch.

Na tym kończył się ów żydowsko-esseński rękopis.

Jak sam widzisz, twórcom tego zwyczaju chodziło o to, żeby wyznawcy religii chrześcijańskiej unikali we wskazanych okresach spożywania produktów zawierających substancję bardzo szkodliwą dla ich zdrowia, a zwłaszcza dla ich psychiki.

Ale ci rosyjscy «prawosławni chrześcijanie od siedmiu boleści», chociaż uważają się za prawdziwych wyznawców tej wielkiej religii i także poszczą, to w trakcie tego postu jedzą jednak mięso ryb,

czyli spożywają dokładnie te organizmy, w których – wedle badań wielkiego Hertunano – występuje substancja eknoch, a to właśnie przed jej szkodliwym działaniem ten mądry i zbawienny zwyczaj miał ich chronić”.

Tak oto, mój chłopcze, zakończyłem wtedy rozmowę z tym sympatycznym młodym Persem.

Na temat niszczenia lub modyfikowania przez współczesne istoty przekazanych im z odległej przeszłości dobrych zwyczajów ich mądrych przodków nasz niezrównany Mułła Nasr Eddin także tym razem ma jedno bardzo trafne i mądre porzekadło:

„Oj, ludzie; ludzie! Dlaczego jesteście ludźmi? Gdybyście nie byli ludźmi, może bylibyście bardziej inteligentni”.

Ulubione powiedzenie amerykańskiego Wuja Sama również doskonale wyraża tę ideę.

Wieść głosi, że Wuj Sam z Ameryki, kiedy wypijał o jedną butelkę tamtejszego dżinu za dużo, zawsze w przerwie między jednym a drugim kieliszkiem mówił:

„When nothing is right then all is right”.

Ja sam w tej sytuacji powiedziałbym po prostu: „Wredny księżyc!”

Tak czy inaczej, mój drogi chłopcze, trzeba przyznać, że pewne zwyczaje, które dotarły z odległej przeszłości do twoich współczesnych ulubieńców, wyśmienicie sprawdzają się w zwykłej egzystencji istot tamtejszych społeczeństw.

Owe zwyczaje okazały się dobre, ponieważ stworzyły je i wprowadziły do procesu egzystencji istot te tamtejsze istoty trójmózgowe, które udoskonaliły swój rozum do tak wysokiego stopnia, jakiego niestety dzisiaj już żadna ze współczesnych istot tam nie osiąga.

Współczesne istoty-ludzie potrafią zaprowadzać jedynie takie zwyczaje, które jeszcze bardziej pogarszają jakość ich psychiki.

Na przykład ostatnio wprowadziły zwyczaj tańczenia zawsze i absolutnie wszędzie pewnego tańca zwanego „fokstrotem”.

Tego fokstrota „wywijają” obecnie w dowolnym miejscu i o każdej porze dnia i nocy nie tylko na wpół ukształtowane młode istoty, które nawet w przybliżeniu nie uświadomiły sobie jeszcze znaczenia ani celu swojego powstania i egzystencji, lecz także wiele innych istot, na których twarzach jasno widać – co może stwierdzić każda normalna, w miarę rozumna istota trójmózgowa – że jeśli chodzi o długość ich egzystencji, to, jak powiedziała by nasz nauczyciel, „stoją już w grobie nie jedną, ale dwoma nogami”. Efekt jest taki, że proces, jaki „przeżywa” istota tańcząca wspomnianego fokstrota, odpowiada dokładnie temu, co dzieje się w dzieciach cierpiących na chorobę nazwaną przez wielkiego Mojżesza „murdurten”.

Wielki Mojżesz poświęcił pół życia na to, żeby wyplenić u dzieci tę chorobę, a teraz wielu twoich współczesnych ulubieńców, którzy osiągnęli już, wiek odpowiedzialny, niemal całkiem umyślnie wskrzesza ją i rozpowszechnia nie tylko wśród dzieci i ogółu dorosłych, lecz nawet wśród starców.

Wiele z tych dobrych dla zwykłej egzystencji zwyczajów, które dotarły od starożytnych istot trójmózgowych twojej planety do twych współczesnych ulubieńców, można dzisiaj spotkać wśród istot z różnych społeczeństw kontynentu Azja.

Na pierwszy rzut oka niektóre wydają się dziwne i prymitywne do granic absurdu, ale przy bliższym i bezstronnym zbadaniu prawdziwego znaczenia dowolnego z tych obyczajów, uderza zrzeczność, z jaką włączono do nich rozmaite – czy to moralne, czy też związane z higieną ogólną – korzyści dla ludzi, którzy się do nich stosują.

Weźmy na przykład jeden taki na pozór najbardziej bezmyślny tamtejszy zwyczaj spotykany wśród istot zwanych „Lurami Koleńskimi” lub „Koleńskimi Cyganami”, a należącymi do pewnego plemienia azjatyckiego zamieszkującego obszar między Persją i Afganistanem.

Ów zwyczaj, który inne tamtejsze istoty zwa „cygańskim samokopceniem”, mimo że wydaje się zupełnie niedorzeczny, przynosi jednak dokładnie taki sam skutek jak u Persów ablucja lub

abdest.

To cygańskie plemię ma sławę najbardziej brudnego i niechlujnego ze wszystkich plemion, jakie istnieją na Ziemi. I faktycznie są oni tak brudni, że ich ubrania zawsze roją się od robactwa zwanego „wszami”.

Nawiasem mówiąc, ich zwyczaj samookopcenia służy również do unicestwiania tych insektów.

Chociaż członkowie owego plemienia rzeczywiście są nadzwyczaj brudni, to nie tylko nie występują wśród nich żadne choroby weneryczne, lecz oni sami nic o nich nie wiedzą i w ogóle nie słyszeli, że ludzie mogą się takich chorób nabawić.

Moim zdaniem jest to wyłącznie zasługą tego zwyczaju, który wymyśliła w dawnych czasach w trosce o dobro swoich współczesnych jakaś rozumna istota, a który później, przechodząc z pokolenia na pokolenie, przypadkowo dotarł także do tych współczesnych brudnych istot z plemienia Koleńskich Cyganów.

Do obrzędu samookopcenia służy Cyganom „ateszkajni”, czyli specjalny rodzaj taboretu, który każda rodzina ma w domu i który jest przez nich uznawany za bardzo święty, i właśnie korzystając z tego świętego taboretu, odprawiają oni cały ów rytuał.

Każda rodzina tych Cyganów ma u siebie także „tandur”, czyli gliniany dół o szczególnym kształcie, spotykany prawie we wszystkich domach na kontynencie Azja i służący za palenisko, gdzie zazwyczaj piecze się chleb i przygotowuje jedzenie.

W Azji w tych tandurach pali się przeważnie „kiziakiem” to znaczy rodzajem opału uzyskiwanego z łajna czworonożnych zwierząt.

Sam obrzęd polega na tym, że kiedy cała rodzina Cyganów zbiera się wieczorem w domu, wszyscy zdejmują wpierw ubrania, a następnie wytrzepują je w tandurze.

Temperatura w tandurze jest prawie zawsze wysoka, albowiem łajno pali się wyjątkowo wolno i dzięki popiołowi gromadzącemu się naokoło kiziaka żar utrzymuje się przez bardzo długi czas.

Warto zauważyć, że w chwili, gdy owi Cyganie trzepią swoje



ubrania w tandurze, zachodzi nadzwyczaj interesujące zjawisko, mianowicie z ich ubrań wyłazą wszy i kiedy wpadną do ognia, jeszcze nim spłoną, „wybuchają”, a wielorakie dźwięki wytwarzane w momencie wybuchu przez te różnej wielkości wszy układają się w zdumiewającą „symfonię muzyczną”.

Czasem takie wybuchające wszy wywołują u słuchacza wrażenie, jakby gdzieś niedaleko wywiązała się strzelanina z udziałem kilkudziesięciu tak zwanych karabinów maszynowych.

A zatem ci „czcigodni Cyganie”, wytrzepawszy swoje nie mniej czcigodne ubrania, przystępują do samego świętego rytuału.

W tym celu uroczyście i z ustaloną celebrą umieszczają swój rodzinny „święty taboret” w tandurze, a następnie po kolei, wedle wieku, wchodzą na niego.

Ów święty taboret to po prostu mała deska, do której przymocowane są cztery żelazne nogi. Dzięki takiemu świętemu taboretowi mogą więc stać w tandurze, nie dotykając stopami gorącego popiołu.

Kiedy któryś z członków rodziny wejdzie już na ten święty taboret, pozostali intonują świętą pieśń, a ten, który zajął miejsce na taborecie, zginając kolana, powoli i uroczyście przykuca i wstaje, recytując przez cały czas modlitwy, i czyni to tak długo, aż po wszystkich częściach jego narządów płciowych rozejdzie się ciepło tandura.

Drugi zwyczaj, bardzo podobny i na pozór równie niedorzeczny, miałem okazję zobaczyć w innym małym plemienu, mianowicie u „Kurdów Tusuli”, którzy mieszkają na Zakaukaziu, nieopodal góry Ararat.

Plemię to nie jest tak brudne jak plemię Koleńskich Cyganów, wprost przeciwnie, dzięki codziennym kąpielom w rzece Araks i temu, że wiodą życie głównie na świeżym powietrzu – ponieważ prawie wszyscy zajmują się pasterstwem – członkowie tego plemina są nie tylko bardzo czyści, lecz nawet nie wydzielają specyficznej woni, typowej dla ludzi z prawie wszystkich małych plemion zaludniających tę wielką Azję.

Każda rodzina z tego plemienia ma własną „saklę”, czyli chatę służącą jej za mieszkanie, jak również miejsce, gdzie przyjmuje się gości, albowiem tradycja składania sobie wizyt jest bardzo rozpowszechniona wśród rodzin tego plemienia.

Tak więc zgodnie z panującym wśród nich zwyczajem, w narożniku sieni każdej sakli znajduje się „święty mangał”, to znaczy palenisko, w którym stale pali się ogień podsycany węglem drzewnym lub wspomnianym kiziakiem, a obok każdego świętego mangała wisi małe drewniane pudełko zwane „ktałnoc”, nieodzownie zawierające zawsze korzenie pewnej rośliny.

W tym wypadku „obrzęd samookopcenia” wymaga tego, by przed wejściem do głównej części sakli każdy członek rodziny i każdy gość, bez względu na płeć, podszedł obowiązkowo do tego świętego mangała i, jak oni mówią, oczyścił się z wpływu złych duchów, które zawsze otaczają człowieka, gdy oddaje się uczciwej pracy.

Takie „oczyszczenie” odbywa się w następujący sposób:

Każdy, kto wchodzi do sakli, musi podejść najpierw do zawieszzonego pudełka, wyjąć z niego kilka korzeni i wrzucić je do ognia, a następnie dymem palących się korzeni okadzić swoje narządy płciowe. Jeśli robi to kobieta, to po prostu rozpościera spódnicę i staje nad mangałem, natomiast mężczyzna zdejmuje albo opuszcza szarawary i potem tak samo staje nad dymem.

Dopiero po takim oczyszczeniu wolno im wejść do głównego pomieszczenia; w przeciwnym razie, jak wierzą, nie tylko złe wpływy dostaną się do domu, lecz również wskutek nagromadzenia się tych wpływów człowiek może się nabawić bardzo paśkudnych chorób.

Takie święte mangały są zwykle osłonięte najlepszymi „dzedzi-mami”, to znaczy specjalnymi materiałami, które tkają wyłącznie Kurdowie.

Powtarzam, mój chłopcze, na kontynencie Azja jeszcze do dzisiaj istnieje mnóstwo tego rodzaju zwyczajów.

Sam miałem okazję zobaczyć paręset takich, które na pierwszy

rzut oka wydawały się nie mniej dziwne i barbarzyńskie, ale po poważnym i bezstronnym zbadaniu ujawniały ukryte znaczenie, zawsze związane z tymi samymi celami, mianowicie zniszczeniem szkodliwych nosicieli różnych chorób lub umocnieniem moralnego wstydu.

Za to na kontynencie Europa nie spotkałem prawie żadnego zwyczaju, który byłby specjalnie stworzony w trosce o higienę czy też po to, aby wpoić masom poczucie moralności.

Nie da się zaprzeczyć, że na kontynencie Europa także istnieją różne zwyczaje i są ich nawet tysiące, ale wszystkie zostały wprowadzone jedynie po to, żeby można było się sobie nawzajem bardziej podobać lub lepiej ukrywać prawdziwy stan rzeczy, czyli maskować niepożądane formy swojej powierzchowności – niepożądane oczywiście tylko w pojęciu subiektywnym – jak również nicość własnej wartości wewnętrznej.

Panujące tam obecnie zwyczaje z roku na rok powodują coraz większe „rozdzielenie” osobowości i umysłu tamtejszych istot.

Główne zło tkwi w tym, że dzisiaj cały „oskianocneł”, to znaczy wychowanie dorastającego pokolenia, ogranicza się i sprowadza do narzucania dzieciom tych niezliczonych zwyczajów, które się ją jedynie amoralność, wskutek czego z jednej strony z każdym rokiem dane skryzystalizowane w nich przez dziesiątki stuleci i umożliwiające bycie „istotą bogopodobną”, a nie jedynie, jak by sami powiedzieli, „zwierzęciem” coraz bardziej się dekrystalizują, z drugiej zaś strony ich psychika staje się już niemal taka jak ta, którą nasz drogi nauczyciel określa słowami: „Można w nim znaleźć wszystko z wyjątkiem niego samego”.

I rzeczywiście, mój chłopcze, z powodu całkowitego braku dobrych patriarchalnych obyczajów, a także na skutek ich sławetnego „wychowania” współczesne istoty tego kontynentu przekształciły się już do reszty w tak zwane automaty lub w żywe mechaniczne kukły.

Obecnie tylko wtedy potrafią się ożywić i przejawiać na zewnątrz, gdy przez przypadek naciska się na „guziki” odpowiadające

jące odciśniętym już w nich wrażeniom, które przez cały ich wiek przygotowawczy były odbierane przez nie mechanicznie.

A jeśli na te „guziki” się nie naciska, to każda z tamtejszych istot zamienia się wtedy po prostu, jak znowu mówi nasz wielce szanowny Mułła Nasr Eddin, „w kawałek zebranego do kupy mięsa”.

Trzeba tu zresztą koniecznie zaznaczyć, że jedną z głównych przyczyn stanu, w jaki popadły istoty współczesnej cywilizacji, jest ponownie onanizm – choroba, która osiągnęła ostatnio niemal rozmiary epidemii i jest następstwem ichniego wychowywania dzieci opartego na wpajaniu szkodliwej idei, głęboko zakorzonionej w świadomości każdej z nich, że „z dziećmi absolutnie nie wolno rozmawiać o sprawach płci”.

Ponadto chcę jeszcze raz podkreślić, że właśnie to tak zubożone przez ich naiwny rozum zagadnienie – z którego wagi nikt tam sobie nie zdaje sprawy, albowiem traktuje się je tylko jako kwestię „przyzwoitości” lub „nieprzyzwoitości” – jest podstawowym powodem tego, że udało im się osiągnąć tak fenomenalny, można by rzec, „automatyzm psychiczny”.

W owym całokształcie ustalonych pojęć, nazywanym tam „wychowaniem”, istnieje nawet specjalny dział zajmujący się ścisłym i szczegółowym wyjaśnieniem tego, co w ich pojęciu „wypada”, a czego „nie wypada” mówić dzieciom.

Chcę ci powiedzieć, że pod koniec mojego ostatniego pobytu na powierzchni twojej planety byłem zmuszony specjalnie się przyrzec tej szkodliwej ziemskiej kwestii, a nawet bardzo szczegółowo ją przestudiować.

Żebyś wiedział mniej więcej, do jakich rezultatów prowadzi tamtejsze współczesne wychowanie dzieci, opowiem ci o jednym zdarzeniu, które spowodowało, że ta ziemską pomyłką kwestia wzbudziła później we mnie tak wielkie zainteresowanie.

Co prawda „historia”, którą ci teraz zrelacjonuję, zdarzyła się w dużym społeczeństwie Rosji, ale jest bardzo znamienna i daje wierny obraz tego, w jaki sposób generalnie we współczesnej cywilizacji wychowuje się dzieci.

Jest znamienna, gdyż w tym dużym społeczeństwie Rosji współczesne odpowiedzialne istoty, a zwłaszcza te należące do wyższej „klasy rządzącej” wychowują dzieci dokładnie tak samo jak współczesne odpowiedzialne istoty innych społeczeństw mających siedzisko na kontynentach Europa i Ameryka.

Zanim opiszę ci samo zdarzenie, które dostarczyło mi bodźca do zajęcia się właśnie sprawą tamtejszego wychowania dzieci, opowiem ci najpierw historię, która wydarzyła się tuż przedtem i znakomicie ilustruje znaczenie tego ichniego wychowania – i to ona stała się kolejnym, by tak rzec, „ogniwem” w procesie mojego rosnącego zainteresowania tą kwestią.

Tak się złożyło, że pewnego razu musiałem pozostać nieprzerwanie przez kilka miesięcy w stolicy tego społeczeństwa, mieście Sankt Petersburg.

W tym czasie zaprzyjaźniłem się z pewnym starszym małżeństwem.

On był „senatorem”, a jego żona, która obracała się w „wysokich sferach”; patronką kilku „dobroczyńnych placówek”.

Często odwiedzałem ich w domu i zgodnie z panującym tam wśród „ludzi cieszących się szacunkiem” zwyczajem lubiłem grywać z senatorem w szachy.

To leciwe małżeństwo miało kilka córek.

Starsze córki wszystkie były już „urządzone”, czyli wydane za mąż, i tylko najmłodsza, dwunastolatka, mieszkała nadal w domu.

Ponieważ wspomniana para nie musiała się już troszczyć o pozostałe córki, oboje postanowili więc dać najmłodszej latorośli jak najlepsze, w ówczesnym pojęciu, wychowanie i w tym celu umieścili ją w specjalnej „bursie” przy pewnej wyższej placówce oświatowo-wychowawczej zwanej „instytutem”.

Ta najmłodsza córka przychodziła do domu tylko w niedziele i duże święta, a raz w tygodniu, w ustalony dzień, ojciec lub matka odwiedzali ją w internacie.

A że bywałem u nich prawie zawsze w dni świąteczne, spotyka-

łem tam tę miłą, jeszcze niezepsutą dziewczynkę, i czasem nawet wybierałem się z nią na spacer do pobliskiego, jak to się mówi, parku.

Podczas tych spacerów żartowaliśmy albo ona opowiadała mi o swoich lekcjach i nowych wrażeniach.

Te spotkania i rozmowy sprawiły, że powoli zawiązało się między nami coś na kształt przyjaźni.

W swych spostrzeżeniach i przejawach okazała się nader bystra, czyli była dziewczyną, jak twoi ulubieńcy określają takie osoby, „żywą i zaradną”.

Któregoś razu mój znajomy senator miał pojechać w delegację gdzieś daleko na Syberię, aby przeprowadzić tam na miejscu tak zwaną lustrację.

Ponieważ senator cierpiał na, jak to się mówi, „dolegliwości wątrobowe” i potrzebował stałej opieki, żona chciała mu towarzyszyć, ale ze względu na najmłodszą córkę taka wspólna podróż nie mogła dojść do skutku, bo nikt by jej wtedy nie odwiedzał w instytucie ani nie zabierał w święta do domu.

Oto dlaczego pewnego poranka jej rodzice, moi starzy znajomi, pojawili się u mnie, aby zapytać, czy zgodziłbym się pod ich nieobecność ich zastąpić i zająć się najmłodszą córką, to znaczy raz w tygodniu odwiedzać ją w instytucie i zabierać do siebie do domu na święta.

Oczywiście natychmiast wyraziłem zgodę na tę propozycję i zaraz po tym, jak senator z żoną wyjechali na Syberię, zacząłem rzetelnie wypełniać zobowiązania wobec ich córki, która do tego czasu stała się na dobre moją ulubienicą.

Już w trakcie pierwszej wizyty w tej placówce oświatowej, stworzonej specjalnie w celu wychowywania dzieci, zauważyłem pewną dziwną rzecz, która później stała się jednym z głównych powodów podjęcia przez mnie obserwacji i badania następstw, jakie to wymyślone przez nich samych „przekleństwo” powoduje u twoich współczesnych ulubieńców.

W dniu mojej wizyty w tej, jak oni mówią, „szlachetnej placów-

ce”, pokój przyjęć, gdzie odbywały się spotkania rodziców i opiekunów z dziećmi lub podopiecznymi, był pełen odwiedzających.

Niektórzy rodzice lub opiekunowie właśnie wchodzili, inni rozmawiali już ze swymi dziećmi bądź wychowankami, a jeszcze inni siedzieli i czekali na ich przybycie, skupiając całą uwagę na drzwiach, przez które wchodziły zazwyczaj do pokoju uczennice tej placówki.

Kiedy znalazłem się w środku i wyjaśniłem dyżurującej nadzorczyńni, z kim chcę się zobaczyć, ja także usiadłem i oczekując przyścia mojej chwilowej podopiecznej, zacząłem się rozglądać dookoła. Wszystkie uczennice tej „szlachetnej placówki” nosiły jednakowe mundurki, a włosy miały zaplecione w dwa warkoczki opadające im na plecy i związane na końcu wstążkami.

Natychmiast dostrzegłem coś osobliwego w tych warkoczach. U niektórych uczennic wstążki zwisały na plecach swobodnie, podczas gdy u innych końce tych wstążek były związane w pewien szczególny sposób.

W najbliższy dzień świąteczny, kiedy zabrałem moją podopieczną do domu, w trakcie rozmowy przy tak zwanym samowarze zapytałem ją:

„Soniu, powiedz mi, proszę, dlaczego wychowanki twojego instytutu, które ściśle przestrzegają zasady, żeby ubierać się pod każdym względem identycznie, okazują taką pomysłowość przy związywaniu warkoczy?”

Najpierw się zaczerwieniła i milczała, wpatrując się z zadumą w swoją herbatę, i dopiero po pewnym czasie odpowiedziała nerwowo:

„Tak, rzeczywiście. Ale to nie jest u nas takie proste. Wprawdzie to wielka tajemnica naszego instytutu, ale nie mogę jej przed tobą skrywać, ponieważ jesteś moim przyjacielem i mam absolutną pewność, że nikomu nie zdradzisz tego naszego wielkiego sekretu”.

Następnie otwarcie mi powiedziała:

„Nasze uczennice celowo wymyśliły taki sposób wiązania

wstążek, byśmy mogły się wzajemnie rozpoznać, to znaczy żeby było wiadomo, do którego klubu należy każda z nas, i żeby zarazem nauczycielki, nadzorcynie czy w ogóle ktokolwiek poza uczennicami instytutu nie mógł się niczego domyślić ani odkryć tej tajemnicy.

Wszystkie wychowankę naszego instytutu dzielą się dwie kategorie: jedne należą do «klubu męskiego», inne zaś do «klubu żeńskiego», i rozpoznajemy się właśnie po sposobie wiązania wstążek”.

Potem szczegółowo wyjaśniła, czym różnią się te dwa kluby.

Powiedziała mi, że w instytucie każda nowo przybyła uczennica automatycznie staje się członkinią klubu żeńskiego i dopiero później, jeśli da dowód swojej śmiałości wobec nauczycielek albo ogólnie wykaże się jakąś inicjatywą, to za zgodą wszystkich uczennic może zostać przyjęta do klubu męskiego i od tej pory zaczyna wiązać razem końce wstążek swych dwóch warkoczy.

„Nasz klub spotyka się zwykle w jakiejś pustej klasie albo w dormitorium, a najczęściej w ubikacji.

Ogólnie członkinie klubu męskiego korzystają z przywileju polegającego na tym, że mają prawo wybrać i mieć do dyspozycji tyle członkiń klubu żeńskiego, ile im się spodoba, natomiast te ostatnie muszą spełniać każde życzenie członkini klubu męskiego i dokładać wszelkich starań, by ułatwić jej pobyt w naszej «pensji», na przykład ścieląc rano jej łóżko, odrabiając za nią lekcje, dzieląc się z nią prezentami przysłanymi przez rodziców itd., itp.

Podstawowym zajęciem w obu klubach jest wspólne czytanie zakazanych książek zdobytych przez którąś z uczennic, a zwłaszcza jednego bardzo rzadkiego rękopisu – kupionego za wspólnie złożone pieniądze – w którym szczegółowo i w całości zostało wyłożone nauczanie słynnej poetki Safony”.

Muszę ci powiedzieć, mój chłopcze, że Safona to imię greckiej poetki, która jako pierwsza na twojej planecie odkryła „drogę do prawdziwego szczęścia” dla wielu kobiet grecko-rzymskiej, jak również współczesnej cywilizacji.



Ta wielka twórczyni „kobiecego szczęścia” mieszkała na wyspie „Lesbos” i właśnie od nazwy tej wyspy pochodzi miano nadawane kobietom, które stały się już godne zrozumienia i urzeczywistnienia w procesie swojej egzystencji nauczania tej wybitnej poetki i które nazywa się tam obecnie „lesbijkami”.

Moja podopieczna, po tym jak przypadkowo wtajemniczyła mnie w subtelności psychiki istot płci żeńskiej twojej planety, wyjaśniła mi również, że każda wychowanka instytutu należąca do klubu męskiego może wybrać sobie dowolną liczbę partnerek do wspólnego spędzania czasu, oczywiście w sposób całkowicie zgodny z nauczaniem poetki Safony.

Sądzę, że już to jedno zjawisko, o którym ci opowiedziałem, wybrawszy go z tysiąca innych moich obserwacji, pozwoli ci w pełni uświadomić sobie, że tak koszmarnie zjawisko nigdy nie pojawiłoby się wśród dorastającego pokolenia, gdyby nie panowało tam przeświadczenie, że rozmowa z dziećmi o „sprawach płci” to rzecz naprawdę „nieprzyzwoita”.

Takie pojęcie „przyzwoitości” istoty cywilizacji współczesnej otrzymały w spuściźnie po istotach epoki zwanej „średniowieczem”.

Ci średniowieczni kandydaci na Hasnamusów, jedni z głównych sprawców zniszczenia prawdziwego sensu nauczania Boskiego Nauczyciela Jezusa Chrystusa, również wymyślili wtedy i wprowadzili do powszedniej egzystencji ten szkodliwy wynalazek nazwany przez nich „bon tonem”. Ów szkodliwy wymysł tak mocno utrwalił się w psychice mas, że stał się tam czymś organicznym i zaczął przechodzić z pokolenia na pokolenie, powodując, że twoi współcześni ulubieńcy, których już nieodwracalnie cechuje słaba wola, są niezdolni – mimo całego ich świadomego postanowienia – uwolnić się od takiej nienormalnej psychicznej fiksacji, polegającej w tym wypadku na przekonaniu, że rozmawianie z dziećmi o „sprawach płci” jest nieprzyzwoite.

Jak można rozmawiać ze swoimi dziećmi o sprawach płci? Przecież to takie „nieprzyzwoite”.

Dzisiaj ludzie współczesnej cywilizacji, kiedy chcą pouczać swoje dzieci, tylko o tym z nimi rozmawiają i tylko to im wpajają, co dawni i obecni kandydaci na „Indywidualia Hasnamus” wymyślili w różnych wspomnianych przeze mnie „podręcznikach bon tonu”.

A ponieważ według tych wszystkich podręczników rozmawianie o sprawach płci jest bardzo nieprzyzwoite i w przypadku dzieci wręcz „niemoralne” więc ludzie współcześni, nawet jeśli widzą, że ich ukochany syn czy córka gnuśnieje, po prostu nie mogą i choćby, jak ci mówiłem, z całych sił pragnęli tego w myślach, nie ośmielą się otwarcie wyjaśnić swemu dziecku, na czym polega szkodliwość i grzeszność takiego karygodnego przyzwyczajenia.

Otóż, mój chłopcze, właśnie wtedy, gdy mój dobry znajomy senator i jego żona wrócili z Syberii i uwolnili mnie od obowiązków względem mojej ulubienicy, ich najmłodszej córki, zdarzył się wypadek, który skłonił mnie, jak ci już wspominałem, do podjęcia specjalnych obserwacji i studiów poświęconych tej współczesnej ziemskiej kwestii przynoszącej im tyle szkody.

To smutne wydarzenie miało miejsce także w Sankt Petersburgu, winnej tego rodzaju placówce wychowawczej, i polegało na tym, że przełożona tej instytucji, dowiedziawszy się, iż jedna z wychowanek postąpiła wbrew ich sławetnym „zasadom przyzwoitości” udzieliła jej tak surowej i nietaktownej nagany, że w rezultacie winowajczyni oraz jej koleżanka – dwie dorastające dziewczyny mające zaczątek wszelkich danych, by stać się w przyszłości normalnymi kobietami matkami – powiesiły się.

Badania, które przeprowadziłem w związku z tym wydarzeniem, wyjaśniły mi rzecz następującą:

Jedną z wychowanek wspomnianej placówki była niejaka Elżbieta, którą rodzice przywieźli do stolicy prosto ze swej odległej wiejskiej posiadłości, aby tu, w tej specjalnej instytucji edukacyjnej, mogła otrzymać najbardziej współczesne „wychowanie”.

W Sankt Petersburgu ta trzynastoletnia Ela bardzo się zaprzy-

jaźniła w internacie z inną nie w pełni jeszcze uformowaną dziewczyną imieniem Marysia.

Tegoż samego roku w dniu „święta wiosny” lub, jak mówi się tam inaczej, „1 Maja”, wszystkie uczennice owej placówki wychowawczej zostały zabrane zgodnie ze zwyczajem na spacer po polach i te „serdeczne przyjaciółki” znalazły się w dwóch różnych grupach, które szły w pewnej odległości od siebie.

Idąc po polu, Ela zobaczyła nagle przechodzące przypadkiem niedaleko niej czworonożne zwierzę zwane tam „buhajem”. Czując z jakiegoś powodu wielką potrzebę zwrócenia uwagi swojej serdecznej przyjaciółki na to sympatyczne zwierzę, krzyknęła na cały głos: „Marysiu! Marysiu! Zobacz, tam idzie buhaj!”

Ledwo wymówiła słowo „buhaj”, a wszystkie „belferki” ruszyły biegiem w kierunku tej biednej Eli i zaczęły ją zamęczać, surowo pouczając:

„Kto to słyszał, żeby wymawiać słowo «buhaj»! Przecież to czworonożne zwierzę robi takie rzeczy, o jakich w żadnym wypadku nie powinna mówić dobrze wychowana osoba, a tym bardziej wychowanka takiej «szlachetnej placówki»”

W czasie, gdy nauczycielki znęcały się nad tą biedną Elą, dookoła zdążyły się już zebrać wszystkie uczennice instytutu. Wtedy też pojawiła się we własnej osobie dyrektorka, która dowiedziawszy się, o co poszło, sama z kolei zaczęła ganić Elę:

„Jak ci nie wstyd! Wymawiać takie słowo... uważane za tak nieprzyzwoite”.

W końcu Ela nie mogła już tego dłużej wytrzymać i cała w łzach zapytała:

„To jak miałam nazwać to czworonożne zwierzę, skoro naprawdę był to buhaj?”

Dyrektorka odpowiedziała: „Określiłaś je słowem, którego używa tylko motłoch. Ale ty, choćby dlatego, że znalazłaś się w instytucie, do motłochu już nie należysz, więc musisz umieć się zawsze zachować i nazywać nieprzyzwoite rzeczy takimi słowami, jakie dla ucha nie brzmią nieprzyzwoicie.

Na przykład kiedy zobaczyłaś to nieprzyzwoite zwierzę i zapragnęłaś, żeby spojrzała na nie także twoja przyjaciółka, mogłaś krzyknąć: «Marysiu, spójrz, idzie befszytk!». Albo: «Marysiu, spójrz, tam idzie coś, co bardzo nam smakuje, kiedy jesteśmy głodne!» itp.”

Biedna Ela tak się tym wszystkim zdenerwowała – zwłaszcza że to „karcenie” odbywało się w obecności wszystkich koleżanek – że nie wytrzymała i z głębi serca krzyknęła:

„O wy, niepocieszone stare panny! Pokraczne straszdyła! Potiomoty z piekła rodem! Tylko dlatego, że nazwałam rzecz po imieniu, rzuciłyście się na mnie, żeby pić moją krew. Bądźcie po trzykroć przeklęte!”

Wypowiedziawszy te słowa, jak to określają tam, „zemdłała”. Następnie, pod wpływem tych samych słów, zemdłała również dyrektorka, a także kilka nauczycielek i nadzorczyń.

Jeśli zaś chodzi o te nauczycielki oraz nadzorczyńie owej „szlachetnej placówki”, które nie zemdlały, to narobiły one takiego harmideru, jaki można spotkać tylko w mieście Berdyczów, gdy na bazarze targują się same Żydówki.

Koniec końców, kiedy zemdlone nauczycielki i nadzorczyńie już się ocknęły, od razu zwołały w polu, pod przewodnictwem dyrektorki; tak zwaną radę pedagogiczną, która uchwaliła, że natychmiast po powrocie do miasta należy wysłać telegram do ojca Elżbiety, aby przyjechał po córkę, ponieważ została nieodwołalnie usunięta z instytutu i pozbawiona prawa wstępu do jakiegokolwiek innej tego rodzaju placówki w imperium rosyjskim.

Tego samego dnia, godzinę po tym, jak uczennice wróciły do siebie, jeden z tak zwanych dozorców instytutu przypadkowo zobaczył te dwie dorastające dziewczyny, potencjalne przyszłe matki, dyndające w drewnutni na sznurach przywiązanych do belek stropowych.

W kieszeni Marysi znaleziono kartkę, na której było napisane:

„Na znak solidarności z moją kochaną Elą nie chcę już dłużej żyć z takimi zerami jak wy i odchodzę z nią do lepszego świata”.

To zdarzenie tak mnie wtedy zainteresowało, że zacząłem prowadzić, oczywiście prywatnie, wszechstronne psychoanalityczne badania psychiki wszystkich uczestniczek tej smutnej historii. W szczególności udało mi się ustalić, że w chwili, gdy przejawiał się ów gwałtowny wybuch, w psychice biednej Eli panował całkowity „zamęt”.

Zresztą byłoby rzeczą zdumiewającą, gdyby taki zamęt nie powstał w psychice tej jeszcze nie w pełni świadomej siebie trzynastoletniej dziewczynki, która przed tym nieszczęśliwym zdarzeniem żyła w rozległej posiadłości ojca i obcowała tam z takim bogactwem natury jak to, które zobaczyła i poczuła owego dnia na polu niedaleko miasta Sankt Petersburg.

Przywieziono ją do tej dusznej i hałaśliwej stolicy, gdzie przez długi czas była trzymana w zaimprovizowanej klatce, aż tu nagle znalazła się w otoczeniu, w którym każde nowe wrażenie budziło w niej przeróżne wspomnienia minionych przyjemnych doznań.

Rzeczywiście w pierwszych dniach wiosny można zobaczyć czasami na twojej planecie tak urzekające obrazy, że nie sposób się im oprzeć.

Wyobraź sobie coś takiego:

W oddali pasą się krowy... Koło twoich stóp dyskretnie wychodzą z ziemi przebiśniegi... Ocierając się o twoje ucho, przelatuje ptaszek... Na prawo słychać świergot jakiegoś innego zupełnie nieznanego ptaka... Na lewo unosi się odurzający zapach tak samo nieznanego kwiatu...

Krótko mówiąc, w owych chwilach tamtejsze istoty, szczególnie nie tak młode jak Ela, znalazłszy się nagle – po długim okresie męczącej egzystencji w dusznym mieście – w otoczeniu takiego bogactwa niezwykłych wrażeń, muszą odczuwać naturalną istniejącą radość, która wywołuje w ich myślach mnóstwo skojarzeń.

Ela tym mocniej musiała odczuwać coś takiego, ponieważ przed wstąpieniem do instytutu całe swoje życie, jak już powiedziałem, spędziła w rozległych włościach ojca, z dala od zbyt już

nienormalnych warunków wielkowiejskiego zgiełku.

Stąd też każde odbierane przez nią nowe wrażenie naturalnie przywoływało wspomnienia minionego dzieciństwa, te zaś z kolei wiązały się z różnymi innymi przyjemnymi przeżyciami.

Nietrudno więc sobie wyobrazić, że niespodziewane pojawienie się takiego czworonożnego zwierzęcia zwanego „buhajem”, którego mieli także u siebie we włościach – i którego wszystkie dzieci tak tam uwielbiały, że nawet po kryjomu zabierały dla niego ze stołu chleb – wywołało w tej jeszcze niedorośleńczej wrażliwej dziewczynie wstrząs budzący odpowiednie skojarzenia, i to pod ich wpływem, przepełniona uczuciem szczerego szczęścia i wciąż niezepsuta przez nienormalnie ustalone warunki tamtejszej egzystencji istnieniowej, chciała się jak najszybciej podzielić tym szczęściem ze swoją serdeczną przyjaciółką idącą w pewnej odległości, toteż krzyknęła do niej, żeby zwrócić jej uwagę na tego miłego buhaja.

Teraz pytam się ciebie, jak miała nazwać tę czworonożną istotę, skoro był to faktycznie buhaj?

Czy naprawdę „befsztykiem” jak radziła „czcigodna” dyrektorka tej „czcigodnej placówki oświatowej”, stworzonej specjalnie w celu „wychowywania dzieci” zgodnie z barbarzyńskim systemem, który na ich nieszczęście obecnie się tam stosuje?

Jak widzisz, mój chłopcze, chcąc powiedzieć ci coś więcej o tych interesujących cię trójmózgowych istotach mających siedlisko na kontynencie Ameryka Północna, mimo woli zacząłem się obszernie rozwodzić nad trójmózgowymi istotami, które powstają i egzystują na wszystkich kontynentach tej oryginalnej planety.

Sądzę, że nie masz do mnie o to pretensji, ponieważ mogłeś dzięki temu zapoznać się z wieloma faktami rzucającymi światło na szczegóły tej ich dziwnej psychiki.

Co się zaś tyczy „stopnia zwyrodnienia” zbiorczej obecności istot tworzących tę dużą współczesną zbiorowość na kontynencie Ameryka, to z punktu widzenia możliwości pozyskania takiego bycia, jakie jest bliższe normalnemu byciu istot trójmózgo-

wych, mogę powiedzieć ci coś, co okaże się dla nich pewnym pocieszeniem: otóż, moim zdaniem, liczba istot, w których obecności taka możliwość nie została jeszcze całkowicie stracona, jest u nich procentowo wyższa niż gdzie indziej.

Choć ta nowa zbiorowość powstała wskutek wciąż rosnącego napływu trójmózgowych istot z kontynentu Europa – gdzie istot o wspomnianych możliwościach, zwłaszcza w ostatnich czasach, trzeba już, jak mówi w takich sytuacjach nasz mądry nauczyciel Mułła Nasr Eddin, „specjalnie szukać reflektorami zaopatrzonymi w najsilniejsze lampy łukowe” – to jednak, powtarzam, w tej dużej zbiorowości ów procent jest wyższy niż na kontynencie Europa.

A stało się tak, jak sędzę, ponieważ istoty, które przesiedliły się tam i wciąż przesiedlają z kontynentu Europa, to w większości ludzie prości, niebędący, by tak rzec, „latoroślami” europejskich istot należących do „kasty rządzącej”, w których przekazywane od wieków dziedzicznie z pokolenia na pokolenie skłonności do nabywania cech hasnamuskich przeobraziły się obecnie w taką „wewnętrzzną butę”, że nigdy nie pozwoli im ona mieszać się z ogólną masą, aby spróbować wspólnym wysiłkiem stać się takimi, jakimi trójmózgowe istoty być powinny.

Wyłącznie dzięki temu, że wśród trójmózgowych istot mających siedlisko na kontynencie Ameryka znalazło się bardzo niewiele takich „latorośli kasty rządzącej” i ogólna masa tamtejszych istot stworzyła środowisko, w którym „tacy jak my” mogą jeszcze egzystować, nie będąc narażeni na wpływ lokalnych promieniowań emitowanych przez otoczenie i oddziałujących szkodliwie na „naturalne subiektywne siły wewnętrzne” każdej istoty, udało mi się wtedy w trakcie mojej bytności wśród nich, odpocząć tak, jak chciałem.

Skoro, mój chłopcze, poświęciłem tyle czasu, żeby wyjaśnić ci znaczenie przeróżnych szkodliwych zwyczajów, które istoty tej dużej nowej współczesnej zbiorowości bądź same wymyśliły, bądź też wskrzesiły – i które w przeszłości już wiele razy panowały na twojej planecie i okazały się obiektywnie zgubne nie tylko

dla nich samych, lecz także dla wszystkich interesujących cię trójmózgowych istot mających siedlisko na pozostałych kontynentach – to teraz, w postaci, by tak rzec, „końcowego akordu”, muszę już chyba obowiązkowo podzielić się z tobą myślami, które pojawiły się we mnie ostatniego dnia mojego pobytu wśród nich w mieście Nowy Jork i ustały dopiero na parowcu, gdy płynąc na wschód, oddalałem się od tego kontynentu.

Owego dnia siedziałem w jednej z tamtejszych osobliwych kawiarni, noszącej nazwę „Childs” i znajdującej się na tak zwanym Columbus Circle, i czekałem na istoty z kontynentu Europa, które towarzyszyły mi w Ameryce i z którymi miałem później pojechać do portu, skąd wypływał nasz parowiec. Patrzyłem przez okno na przechodzących mieszkańców tego miasta, którzy, nawiasem mówiąc, chociaż dla zautomatyzowanej percepcji zdawali się różnić wyglądem zewnętrznym – oczywiście głównie z powodu tego szkodliwego wymysłu zwanego „modą”, który ostatnimi czasy przyjął się wśród nich bardziej niż wśród istot pozostałych kontynentów i uczynił z nich „niewolników” – to pod względem zawartości wewnętrznej wszyscy sprawiali wrażenie zadziwiająco do siebie podobnych.

Obserwując ich, wracałem myślami do definitywnego wniosku, który wysnułem poprzedniego dnia, o tym, że w obecnym okresie „upływu Heropasa” istoty należące do tej nowej zbiorowości są w ogólnoplanetarnym procesie zwykłej egzystencji owych dziwnych istot trójmózgowych ogniskiem intensywnego przejawiania się pewnej osobliwości, która już od dawna zakorzeniła się w całokształcie ich dziwnej psychiki, a o której jeden z najwyższych Świętych Indywiduów powiedział kiedyś, że jest „podstawowym okresowym źródłem powstawania nowych anomalii”.

Za punkt wyjścia zarówno do tych skojarzeń, jak i do moich dalszych aktywnych rozmyślań posłużyło mi przypadkowo uczynione spostrzeżenie związane z faktem, że to, co tworzy „całokształt subiektywnej powierzchowności” każdej z nich – na przykład ubranie, gesty, maniery i ogólnie wszystkie przyzwyczaj-



nia, jakich trój mózgowie istoty nabywają w zwykłym procesie ich wspólnej egzystencji – jest tylko wierną imitacją tego wszystkiego, co istnieje u istot różnych samodzielnych zbiorowości mających siedlisko na innych kontynentach, a konkretnie imitacją tego, co istoty wolne z tych społeczności – wolne, to znaczy te, które zdobyły już doświadczenie i wskutek tego pozbyły się złudzeń w stosunku do wszystkiego, co może przynieść proces zwykłej egzystencji – uważają za przejawy niegodne istot do nich podobnych.

Ta moja przypadkowa konstatacja od razu wzbudziła we mnie duże zdziwienie głównie dlatego, że zdążyłem się już wszechstronnie rozeznac i całkowicie utwierdzić w przekonaniu, że obecnie istoty należące do prawie wszystkich – czy to uformowanych dopiero niedawno, czy też mających już bardzo długi staż – pozostałych zbiorowości tej planety przejmują wszędzie i wprowadzają z entuzjazmem do procesu swojej zwykłej egzystencji wszelkie innowacje istot tej całkiem niedawno ukształtowanej zbiorowości, a jednocześnie wszystkie zewnętrzne przejawy tych ostatnich, więc także i to, co stanowi „wewnętrzne subiektywne poczucie wartości” owych istot wywołujące tego rodzaju przejawy, składa się przecież wyłącznie ze złych nawyków, które, jak już mówiłem, ku wielkiemu żalowi wolnych istot z innych samodzielnych grup, utrwaliły się i stały integralną częścią zbiorczej obecności zwykłych istot z tych ich społeczeństw.

To nieoczekiwane spostrzeżenie wzbudziło we mnie bardzo silne pragnienie odnalezienia logicznych przyczyn tego ziemskiego absurdu.

Przez cały ów dzień; zarówno kiedy siedziałem w „Childs” w oczekiwaniu na przybycie towarzyszących mi istot z kontynentu Europa, jak i w „taksówce osobowej”, a nawet już na samym statku, nie przestawałem bardzo aktywnie myśleć i szukać rozwiązania tej kwestii, jednocześnie oczywiście sprawiając na obcych wrażenie, że tylko automatycznie obserwuję wszystko, co dzieje się wokół; zresztą tam, na Ziemi, stałem się ekspertem czy wręcz prawdziwym „wirtuozem”, jeśli chodzi o zdolność upodob-

niania się do nich pod względem zewnętrznego wyglądu i niezwracania na siebie uwagi lub, jak oni mówią, „nierzucania się w oczy”.

Siedząc na pokładzie i obserwując, jak migotanie nadbrzeżnych świateł słabnie w miarę oddalania się parowca na wschód, rozmyślałem dalej i kiedy zestawiałem logicznie wszystkie wynikające jeden z drugiego fakty, udało mi się ostatecznie niemal w pełni wyjaśnić, dlaczego i w jaki sposób taki absurd miał szansę powstać na tej nieszczęsnej planecie.

Najpierw ustaliłem całą serię faktów, które mogły sprzyjać jego pojawieniu się, a następnie, kolejno wykluczając – jak to się robi w takich wypadkach – te, które były po prostu nieubłagane, odkryłem w końcu jeden fakt, na pierwszy rzut oka zupełnie nieistotny i co więcej, bardzo dla mnie zaskakujący, który jednak, jak się okazało, przez cały czas był i do dzisiaj jest podstawową przyczyną tej tamtejszej anomalii.

Otóż zdałem sobie sprawę, że to ich sławetne „wychowanie” o którym już tyle razy wspominałem, powoduje między innymi, że w okresie przygotowywania się do odpowiedzialnej egzystencji w zbiorczej obecności każdej z nich – niezależnie od tego, do której samodzielnej zbiorowości należy – nieuchronnie powstają dane utwierdzające je w takim ugruntowanym przekonaniu, że w poprzednich epokach na ich planecie podobne do nich istoty nigdy nie zdołały się udoskonalić do poziomu takiego rozumu, jaki osiągnęli i jaki mogą dalej doskonalić ich współcześni.

Skupiając więc myśli na tym fakcie i przypominając sobie moje wcześniejsze, zarówno świadome, jak i automatyczne wrażenia związane z tą kwestią, które przyswoiłem sobie podczas poprzednich obserwacji twoich ulubieńców, stopniowo ustaliłem, że wszyscy oni, szczególnie w ciągu ostatnich trzydziestu wieków; nabrali w trakcie całej swojej odpowiedzialnej egzystencji pełnego przekonania, że ich współczesna, jak mówią, „cywilizacja” jest po prostu rezultatem nieustannego rozwoju rozumu, trwającego od chwili powstania trójmózgowych istot na ich planecie.

A zatem kiedy w dowolnej zbiorowości pewne istoty, przypad-

kowo stawszy się posiadaczami czegoś, co w danym okresie uważa się za rzecz pożądaną, i nabrawszy dzięki temu autorytetu, dowiadują się, oczywiście także przypadkiem, o jakiejś idei, która już wielokrotnie nasunęła się istotom minionych epok i którą one teraz, podając za własny wymysł, rozprzestrzeniają wokół siebie, wówczas istoty z innych zbiorowości – pod wpływem danych powstałych w nich w wieku przygotowawczym i wywołujących wspomniane fałszywe przekonanie, a także z powodu zupełnego braku w ich zbiorczych obecnościach, na skutek nieprawidłowego wychowania, czynników właściwych wszystkim dorosłym istotom trójmózgowym i rodzących „instynktowne doznanie rzeczywistości” oraz „otwarty światopogląd” – wierzą, że po pierwsze, ta idea powstała na ich planecie dopiero teraz, a po drugie, że skoro stosują ją w praktyce istoty, które mają już tę „pożądaną rzecz”, to z całą pewnością jest ona znakomita, i zaczynają naśladować je pod każdym względem, zarówno dobrym, jak i złym – nawet jeśli jest to całkowicie sprzeczne ze wszystkim, co już solidnie utrwaliło się w ich zwykłej egzystencji – i to jedynie, aby stać się właścicielami tego, co „w dniu dzisiejszym” uważa się za rzecz pożądaną.

Nawet przypomniałem sobie wtedy, że już raz, dawno temu, bardzo poważnie rozmyślałem nad tą sprawą, kiedy w trakcie mojego piątego pobytu na powierzchni twojej planety, to znaczy w okresie, gdy miasto Babilon uważane było za centrum kultury twoich ulubieńców, musiałem, badając jakąś podobną kwestię, przeprowadzić „logiczną analizę” właśnie tej dziwnej cechy psychiki tych oryginalnych istot trójmózgowych.

Rozumowałem wtedy między innymi w następujący sposób:

Pewnie dałoby się jakoś usprawiedliwić ich sposób myślenia, gdyby wziąć pod uwagę nienormalne warunki zwykłej egzystencji ustalone w poprzednich epokach i uniemożliwiające im otrzymywanie jakichkolwiek dokładnych informacji o wydarzeniach, które miały miejsce na tej planecie w procesie egzystencji istot trójmózgowych minionych epok; ale czym można wytłumaczyć fakt, że do tej pory żadnej z nich – mimo że do dzisiaj zachodzi

czasem w ich myśleniu „coś”, co przypomina proces „logiki konfrontatywnej” – nie przyszła do głowy przynajmniej ta prosta i niemal, zgodnie z ich wyrażeniem, „dziecinna idea”?

Mianowicie jeśli, jak same twierdzą i są nawet o tym przekonane, ich planeta, a wraz z nią ich gatunek, istnieje już od tylu wieków i wiele milionów istot takich jak one, czyli zdolnych do myślenia, musiało powstać i egzystować przed nimi, to czy naprawdę jest możliwe, żeby wśród tych wielu milionów nie znalazło się choć kilka takich istot, które również potrafiły wymyślić dla dobra swoich współczesnych rozmaite wygody, analogiczne do tych, jakie wymyślają obecnie współczesne istoty amerykańskie, a cała reszta bezkrytycznie lub wręcz z entuzjazmem imituje, na przykład „wygodne siedzenia” do waterklozetów, konserwy itd., itp.?

Ten niewybaczalny brak pomysłu jest tym dziwniejszy, że przecież same potwierdzają istnienie wielu, jak ich teraz nazywają, „starożytnych mędrców” i nie zaprzeczają, że otrzymały liczne i różnorodne informacje o wyjawionych przez tych mędrców obiektywnych prawdach, pod którymi, nawiasem mówiąc, niektórzy twoi współcześni ulubieńcy bez żadnych wyrzutów sumienia sami się podpisują, wykorzystując je do różnych egoistycznych celów i w ogóle nie podejrzewając, że prędzej czy później wszystkie rezultaty tych ichnich wymądrzań nieuchronnie doprowadzą ich potomków do całkowitej ruiny.

Ta osobliwość ich myślenia, którą tak trudno jest pojąć za pomocą „logicznej analizy”, a która zrodziła w nich wspomniane wcześniej fałszywe przekonanie, pozostawała przez cały czas moich obserwacji nad nimi, poczynając od końca istnienia kontynentu Atlantyda, by tak rzec, „środkociężkością przyczyną” niemal wszystkich, mniej lub bardziej niepomyślnych dla każdego z nich wydarzeń w procesie ich zbiorowej egzystencji.

Z powodu tego fałszywego przekonania, będącego rezultatem zarówno ich dziwnego myślenia, jaki oddziaływania na całość kształt funkcjonowania ich odczuć tych następstw właściwości organu kundabufor, które nieuchronnie powstają w ich obecno-

ściach w wieku odpowiedzialnym i nazywają się „zawiść” „chciwość” i „zazdrość” jest tam już regułą, że kiedy istoty jakiejś zbiorowości stają się właścicielami czegoś, co w danym okresie uważa się za rzecz pożądaną, wtedy na wszystkich kontynentach istoty innych społeczeństw, dowiadując się o tym, zaczynają odczuwać w swej zbiorczej obecności – głównie z powodu szkodliwego przyzwyczajenia, które utrwaliło się w ich życiu codziennym i które można określić ich własnymi słowami: „kroczyć z postępem” – chęć posiadania tego samego i od tego momentu w każdej z nich rodzi się potrzeba naśladowania tych pierwszych, jak również „niezachwiana pewność” że sposób egzystencji istot tamtej zbiorowości musi być całkiem prawidłowy, skoro udało się im zdobyć to, co uważa się w danym okresie za rzecz pożądaną.

Pod tym względem najbardziej, by tak rzec, „pikantny szczegół” dziwnego myślenia twoich ulubieńców polega na tym, że w tym ich myśleniu nigdy nie zachodzi proces zwany „zastanawianiem się”, dzięki któremu mogliby choć w przybliżeniu zrozumieć, jakie są prawdziwe przyczyny tego, że pewne istoty mają to coś, co budzi u innych „zawiść” „chciwość”, „zazdrość” itd.

Otóż, mój chłopcze, mimo że istoty tej nowej zbiorowości same nie osiągnęły i nie są właścicielami żadnego z tych rezultatów, które udało się uzyskać na ich planecie dzięki świadomym trudom i zamierzonym cierpieniom trójmózgowych istot minionych epok, i mimo że ich wewnętrzna zawartość oraz zewnętrzne przejawy składają się wyłącznie z tego, co najgorsze u współczesnych istot innych samodzielnych zbiorowości, te ostatnie naśladują, jak tylko mogą, wszystkie ich pomysły, i to jedynie dlatego, że istoty tej nowej zbiorowości dziwnym trafem stały się ostatnio posiadaczami tego, co w obiektywnym sensie jest godne największej pogardy, ale co wskutek nienormalnie ustalonych warunków zwykłej egzystencji owych nieszczęśników uważa się za pożądane.

Ze wszystkich szkodliwych wymysłów będących dziełem istot tego przypadkowo cieszącego się autorytetem współczesnego

społeczeństwa za najbardziej szkodliwy dla ich zbiorczych obecności, to znaczy ten, którego zgubne rezultaty będzie najtrudniej naprawić w przyszłości, należy uznać wprowadzony przez nie zwyczaj spędzania prawie całej egzystencji w wysokich budynkach.

Abyś mógł jasno sobie wyobrazić, jak wielką szkodę wyrządza im ten ich wymysł, muszę ci najpierw wyjaśnić rzecz następującą:

Pamiętasz, kiedy mówiłem o tym „szkodliwym środku”, który istnieje tam obecnie i nosi nazwę „sport” powiedziałem ci, że także egzystencja twoich ulubieńców miała na początku długość fulasnitamną – to znaczy musiała obowiązkowo trwać tak długo, aż ciało kesdań w pełni się w nich oblekło i udoskonaliło do wymaganego stopnia rozumu – ale że później, gdy zaczęły panować tam bardzo nienormalne warunki zwykłej egzystencji istnieniowej, Wielka Przyroda była zmuszona urzeczywistnić zarówno ich obecność, jak i dalszy proces ich egzystencji według zasady Ito-klanoc, czyli zgodnie z rezultatami pewnych występujących w otoczeniu przyczyn.

Od tamtej pory jedną z takich przyczyn stał się także „stopień zagęszczenia wibracji” ich drugiego pokarmu istnieniowego, czyli, jak powiedzieliby sami, „stopień stężenia powietrza”, którym oddychają.

Chodzi o to, że formacja kosmiczna służąca istotom za drugi pokarm również powstaje zgodnie z drugim podstawowym ogólnokosmicznym prawem świętego Triamazikamno i jest urzeczywistniana za pomocą trzech rodzajów substancji kosmicznych odpowiadających trzem samodzielnym świętym siłom.

Pierwszy rodzaj substancji to emanacje słońca tego samego układu, w którym ta formacja kosmiczna służy istotom za „drugi pokarm”.

Drugi to substancje przekształcane przez tę planetę, gdzie egzystują istoty, które ów pokarm spożywają.

A trzeci to substancje przekształcane przez inne planety tego

układu i trafiające na daną planetę poprzez ich promieniowania.

Otóż proces fuzji wszystkich substancji potrzebnych do normalnego kształtowania się i egzystencji istot – substancji przekształcanych przez samą planetę i urzeczywistniających drugą świętą siłę świętego Triamazikamno – może zachodzić, zachowując określone i należyte proporcje, jedynie w obszarach atmosfery znajdujących się odpowiednio blisko powierzchni planet, a to dlatego, że na mocy prawa kosmicznego drugiego stopnia zwanego „Tenikdoa” lub, jak powiedzieliby twoi ulubieńcy, „prawa ciążenia”, owe substancje są pozbawione możliwości wychodzenia ponad określony pułap atmosfery.

Moim zdaniem, sam już potrafisz wyobrazić sobie wszystkie następstwa tej dopiero co wyjaśnionej przeze mnie kwestii, a także jesteś w stanie zgromadzić w sobie dane, dzięki którym będziesz mógł mieć własną opinię o znaczeniu takiego ich wymysłu.

Sądzę więc, mój chłopcze, że teraz już w pełni zaspokoilem twoją ciekawość dotyczącą tych „dolarowo-fokstrotowych” adeptów „Christian Science”.

Obiektywna sprawiedliwość nakazuje mi jeszcze tylko przyznać, że bez względu na to, jacy są dzisiaj ci twoi amerykańscy ulubieńcy i jacy stać się mogą w przyszłości, ja sam w czasie, gdy egzystowałem wśród nich, miałem okazję wewnątrznie odpocząć i powinienem im teraz wyrazić za to moje szczere podziękowanie.

A więc właśnie tobie, mój spadkobierco, który zacząłeś już otrzymywać w spuściźnie i jeszcze otrzymasz wszystko, co osiągnąłem w trakcie mojego długiego życia – oczywiście tylko w takim stopniu, w jakim zasłużysz na to swoją świadomą egzystencją istnieniową i rzetelną służbą WSZECHOGÓLNEMU OJCU WSPOMOŻYCIELOWI, NASZEMU NIESKOŃCZONEMU – nakazuję, żebyś, jeśli trafisz na planetę Ziemia, udał się koniecznie do miasta Nowy Jork, a gdyby do tego czasu to miasto przestało istnieć, do miejsca, w którym się znajdowało, i zatrzymawszy się tam, głośno wypowiedział całym swoim jestestwem:

„W tym miejscu przyjemnie spędził kilka chwil swojej egzystencji mój ukochany dziadek, mój sprawiedliwy nauczyciel Belzebub”.

Polecam ci nawet – jako spadkobiercy na którego zgodnie z przyjętą zasadą przechodzi zadanie dotrzymania zobowiązań wziętych na siebie przez poprzednika i przez niego, z jakichś przyczyn, niewykonanych – poświęcić szczególną uwagę kwestii, która bardzo mnie zainteresowała, a której osobiście nie byłem w stanie wyjaśnić, ponieważ było wtedy na to jeszcze za wcześnie, a mianowicie chcę, żebyś odkrył, jaką „szkodliwą formę” dla ich potomków – oczywiście zakładając, że będą wtedy jeszcze mieli jakichś potomków – przyjmą rezultaty tej bardzo rozpowszechnionej teraz „choroby”, którą niejaki ichni mister Onanson nazwał „świerzbieniem pisarskim”.

I rzeczywiście, mój chłopcze, podczas mojego pobytu tam, nawiązawszy z wieloma z nich dość bliskie kontakty, bardzo szybko się dowiedziałem, że prawie każdy z nich albo już napisał jakąś książkę, albo właśnie ją pisze, albo też nosi się z zamiarem napisania.

Chociaż na tę swoistą „chorobę” cierpiały, jak już powiedziałem, prawie wszystkie istoty tego kontynentu, bez względu na wiek czy płeć, to z jakiegoś powodu wśród „młodzieży”, czyli istot wkraczających w wiek odpowiedzialny, a zwłaszcza wśród tych, którzy mieli twarze obsypane pryszczami i którym z nozdrzy obficie spływała wydzielina, stała się ona „chorobą epidemiczną”.

Powinienem jeszcze zwrócić uwagę na jedną kwitnącą tam dzisiaj i mającą z tym związek specyficzną cechę dziwnej zbiorczej psychiki tych przypadłych ci do gustu oryginałów, już od dawna występującą w ich zbiorowej egzystencji, a sformułowaną tak: „skupianie całego zainteresowania na idei, która przypadkowo stała się modna”.

A więc wielu z nich, ci „chyttrzejsi” od innych, u których w większym stopniu zanikły dane wywołujące istnieniowy impuls zwany „intensywnym powstrzymywaniem się od wszelkich przejawów mogących wprowadzić w błąd podobne do nich istoty



z otoczenia”, pozakładali „szkoły” i stworzyli wszelkiego rodzaju „podręczniki”, w których dokładnie i ze szczególną troską wyjaśnili, w jakiej kolejności należy ułożyć słowa, aby cały wywód został lepiej odebrany i przyswojony przez czytelnika.

I tak oto na podstawie tych wskazówek wszyscy uczęszczający do tych „szkół” i czytający takie „podręczniki” – sami z punktu widzenia bycia i uświadomienia sobie rzeczywistości reprezentujący dokładnie takie typy, jakie nasz nauczyciel Mułła Nasr Eddin określa słowami: „zera wytwarzające atmosferę nieznośnych wi-bracji” – zaczęli się wtedy wymądrzać, a ponieważ, po pierwsze, już wcześniej pod wpływem różnych innych anomalii, które utrwaliły się w warunkach zwykłej egzystencji istot tej nowej zbiorowości, proces czytania stał się ich organiczną potrzebą, a po drugie, zawartość dowolnego utworu można ocenić tylko po jego przeczytaniu, więc wszystkie istoty tego kontynentu, dając się zwabić rozmaitym, jak oni mówią, „szumnym” tytułom, nic, tylko czytały i czytały, a równocześnie – co można było wyraźnie zauważyć – ich już i tak „rozcieńczone” myślenie coraz bardziej „się rozcieńczało i rozcieńczało”.

Nie bez powodu powiedziałem: „zakładając, że będą wtedy jeszcze mieli jakichś potomków” ponieważ między innymi zauważyłem wówczas jedną niezwykłą osobliwość wynikającą ze zmiany w kształtowaniu się ciała planetarnego istot płci żeńskiej – osobliwość, którą już wiele wieków temu dostrzegłem w procesie zwykłej egzystencji tych dziwnych istot trójmózgowych i której następstwa ustaliłem przy okazji innych prowadzonych przeze mnie specjalnych obserwacji.

Ten zadziwiający fakt zdarzył się tam przed zagładą kontynentu Atlantyda i dotyczył procesu egzystencji małej zbiorowości tamtejszych istot trójmózgowych wywodzących się z różnych ówczesnych dużych społeczeństw. Istoty te żyły w izolacji na słynnej niegdyś wyspie o nazwie „Bałachanira”, która leżała na zachód od Atlantydy i została wchłonięta przez planetę w tym samym czasie co ona.

Ta mała zbiorowość wymarła z powodu dziwnej właściwości

związanej z kształtowaniem się ciała planetarnego istot płci żeńskiej, a sam sposób, w jaki doszło do wyginięcia ich szczepu, uczeni członkowie towarzystwa Achldan nazwali wówczas „dezsupsentoziroso”.

Owa niezwykła osobliwość polegała na tym, że kilka wieków przed ich wymarciem u istot płci żeńskiej stopniowo zaczęła się zwężać tak zwana miednica.

To zwężanie się miednicy następowało w takim tempie, że już dwa wieki przed ostatecznym zanikiem tego szczepu przyjdzie „na świat Boży” ich przypadkowo poczętych i że tak powiem, z trudem ukształtowanych zarodków, dokonywało się za pomocą zabiegu, który nazywał się wówczas „sitrik”, to znaczy za pomocą tego, co oni teraz określają jako „cesarskie cięcie”.

W tym miejscu opowieści Belzebuba w eterze wypełniającym cały statek „Karnak” wytworzył się tak zwany przeciwprąd lub gwałtowny wir. Znaczyło to, że pasażerowie byli wzywani do „dżamdżampału”, czyli „refektarza” statku, gdzie zbierali się co jakiś czas, żeby wspólnie spożyć drugi i pierwszy pokarm istniejący.

Belzebub, Hassin i Ahun przerwali więc rozmowę i w pośpiechu udali się do dżamdżampału.

## *Rozdział 43*

### ***Pogląd Belzebuba na proces okresowego wzajemnego unicestwiania się ludzi***

Gdy Belzebub, Hassin i Ahun wrócili z dżamdżampału i zajęli swoje miejsca, Hassin, zwracając się ponownie do Belzebuba, powiedział:

– Drogi dziadku! Chociaż dzięki twoim wszechstronnym wyjaśnieniom dotyczącym różnych epizodów z procesu egzystencji trójmózgowych istot na planecie Ziemia uzyskałem pełny obraz, jak również wystarczające zrozumienie ich zdumiewająco dziwnej psychiki, niemniej mam jeszcze pytanie odnoszące się do jednej osobliwości, której wciąż nie umiem w żaden sposób pojąć i która, nawet biorąc pod uwagę dziwaczność ich psychiki, wydaje mi się nielogiczna. Moje myśli wciąż wracają do tego kłopotliwego pytania i także w trakcie świętego misterium w dżamdżampale bez przerwy się na nim skupiały.

Chodzi o to, że wszystkie twoje wyjaśnienia dotyczące procesu egzystencji tych tamtejszych trójmózgowych istot, które osiągnęły już wiek odpowiedzialny, pozwoliły mi bardzo jasno zrozumieć, że nawet jeśli większość z nich w trakcie swej egzystencji – szczególnie po trzeciej perturbacji transapalnej – dysponuje niemal wyłącznie automatycznym rozumem, mimo to dość często, używając takiego automatycznego rozumu, potrafią wykazać się wystarczającą inteligencją, by z mniejszą lub większą precyzją odnotować na swojej planecie wszelkiego rodzaju prawa Przyrody, i opierając się na nich, wymyślają nawet pewne udogodnienia służące ich zwykłej egzystencji.

Ale równocześnie we wszystkich twoich dotychczasowych opowieściach przewijała się jak szkarłatny wątek wzmianka o tej im tylko właściwej osobliwości, a mianowicie okresowej potrze-

bie zajmowania się unicestwianiem nawzajem swojej egzystencji.

Otóż, mój drogi dziadku, zupełnie nie potrafię zrozumieć, jak to się dzieje, że chociaż istnieją już tak długo, to do tej pory nie uświadomiły sobie i wciąż nie są świadome okropności tej swojej cechy.

Czyżby naprawdę nigdy nie dostrzegły, że owe procesy to największe okropieństwo ze wszystkich okropności, jakie mogą istnieć w całym Wszechświecie, a nawet uświadomiwszy to sobie, czyżby nigdy nie zastanowiły się nad tym, jak można je wykorzenić?

Proszę cię, dziadku, wyjaśnij mi, dlaczego tak się dzieje, a także konkretnie mi powiedz, które z aspektów składających się w sumie na dziwaczność ich psychiki są przyczyną tej osobliwości.

Wymówiwszy te słowa, Hassin znowu zatrzymał na swoim ukochanym dziadku wyczekujące i przepojone pragnieniem wiedzy spojrzenie.

Belzebub w odpowiedzi na taką prośbę wnuka długo mu się przyglądał z „doskwierającym uśmiechem”, a potem, głęboko wzdychając, rzekł:

– Ech!... mój drogi chłopcze!

Owa osobliwość wraz ze wszystkimi skutkami, jakie za sobą pociąga, to podstawowa przyczyna wszelkich ichnich anomalii oraz, że tak powiem, ich „logicznego mętliku”.

Następnie zrobił jeszcze jedną krótką pauzę, po czym kontynuował:

– Dobrze, pomogę ci znaleźć odpowiedź na to pytanie, tym bardziej że już wcześniej obiecałem, że wyjaśnię ci szczegółowo tamtejszy proces okresowego unicestwiania się nawzajem.

Oczywiście również w danym wypadku, mając na względzie rozwój twojego aktywnego myślenia, nie zdradzę ci własnej opinii na ten temat, a tylko będę o tym opowiadał w taki sposób, żebyś zebrał materiał niezbędny do przygotowania logicznego zestawienia, dzięki któremu będą się mogły skryształizować w tobie dane służące do wyrobienia sobie indywidualnego poglądu na tę

kwestię.

Zapytałeś mnie między innymi, czy tamtejsze istoty trójmózgowe same nigdy się nie zastanawiają nad tą swoją wyjątkowo okropną, im tylko przynależną skłonnością.

No przecież, jak mogą się nie zastanawiać? Jak mogą jej nie dostrzegać?...

Niektóre z nich nawet bardzo często się zastanawiają i pomimo automatyzmu swojego rozumu w pełni pojmują, że ta ich osobliwa właściwość, mianowicie skłonność do okresowego unieczniania się nawzajem, jest tak niewyobrażalnie okropna i tak ohydna, że nie da się w żaden sposób tego nazwać.

Ale, niestety, te ich rozmyślania nigdy do niczego nie prowadzą.

Nawet jeśli czasami jakieś pojedyncze istoty poważnie tę kwestię rozważają i udaje się im coś sensownego zauważyć, to takie spostrzeżenia nie mają jakiegokolwiek szansy szeroko się rozpropagować i przeniknąć do świadomości innych istot, a to dlatego, że brakuje tam jednej ogólnoplanetarnej organizacji, która wyznaczałaby dla wszystkich tę samą linię działania. Zresztą jeśli chodzi o takie „szczerze zastanawianie się” nad tego rodzaju pytaniami, to sytuacja, jaka panuje wśród tamtejszych istot, jest bardzo przygnębiająca.

Muszę ci powiedzieć, że z powodu nienormalnie ustalonych tam warunków egzystencji istnieniowej, już od samego początku odpowiedzialnej egzystencji u każdej z nich, jak się wyrażają, „psychika w stanie jawy” krok po kroku osiąga taki punkt, że potrafią „myśleć szczerze” i widzieć rzeczy w prawdziwym świetle wyłącznie wtedy, gdy ich żołądek jest tak wypełniony pierwszym pokarmem istnieniowym, że jego „nerwy błędne” nie mogą się ruszać, to znaczy kiedy, jak one same mówią, „najedzą się do syta” i oprócz tego w pełni zaspokoją – oczywiście tylko chwilowo – wszystkie swoje niegodne trójmózgowych istot potrzeby, które są już im przynależne i stały się dominującymi czynnikami całej ich obecności.

Ponieważ jednak te same nieprawidłowo ustalone warunki nie pozwalają na to, by wszystkie istoty mogły zaspokoić te swoje potrzeby, więc większość z nich z tego, jak również jeszcze wielu innych powodów, nie może nawet przy najlepszych chęciach ani szczerze myśleć, ani widzieć lub odczuwać rzeczywistości, i dlatego już od dawna „szczerze myślenie” i „odczuwanie rzeczywistości” stały się na twojej planecie niebywale rzadkim i dla większości istot niedostępnym luksusem.

Taką możliwość zaspokojenia w pełni swoich potrzeb mają jedynie niektóre; jak to się mówi, „ważne” i „dzierżące władzę” istoty; fakt faktem, że z racji swej pozycji to właśnie te ziemskie istoty powinny móc coś zrobić, aby nawet jeśli nie zniszczyć, to przynajmniej choć trochę pomniejszyć to zło.

Ale te „ważne” i „dzierżące władzę” istoty, które mają możliwość napełnienia się do syta i mogłyby coś w tej sprawie zdziałać, nie robią zupełnie nic, i to zresztą już z całkiem innych powodów.

Także w tym wypadku podstawowych przyczyn trzeba jak zawsze szukać w owym ugruntowanym w procesie ich zwykłej egzystencji istnieniowej szkodliwym zwyczaju zwanym przez nie same „wychowaniem”.

Ten szkodliwy środek stosuje się tam w wieku przygotowawczym wobec wszystkich młodych istot, a szczególnie wobec tych, które z zasady niemal zawsze stają się później istotami dzierżącymi władzę.

Ponieważ te mające w przyszłości dzierżyć władzę istoty nie wykorzystują czasu przeznaczanego przez Wielką Przyrodę na przygotowanie danych przynależnych istotom trójmózgowym i potrzebnych do godnej oraz odpowiedzialnej egzystencji, a tylko marnują go na rozwijanie w sobie właściwości będących rezultatem całokształtu tego ich sławetnego wychowania – które z reguły podsuwa im jedynie najlepsze sposoby oddawania się tak zwanemu samouspokojeniu – więc oczywiście, kiedy takie młode istoty stają się odpowiedzialne i przystępują do wypełniania swoich obowiązków, nie mają w sobie żadnych danych ku temu, by przejawiać logiczną bystrość czy bezstronnie traktować inne po-

dobne do nich istoty, które z powodu panujących tam warunków stały się ich poddanymi.

Wskutek tego ich nienormalnego wychowania nie dość, że nie gromadzi się w nich nic, co umożliwiłoby im pojmowanie i realizowanie czegokolwiek sensownego, to jeszcze, wprost przeciwnie, stopniowo wykształcają się w nich liczne następstwa właściwości owego przekłętego dla nich organu kundabufor – wymyślonego przez Wielkiego Anioła, teraz już Archanioła, Luizosa – które przekazywane dziedzicznie z pokolenia na pokolenie kryształizują się w psychice tych nieszczęśników i stają ich organicznymi funkcjami.

Najczęściej spotykane z tych następstw to te istniejące tam pod nazwą „egoizm” „stronniczość” „próżność” „miłość własna” itd., itp.

W stosunku do takich ważnych lub dzierżących tam władzę istot nasz mądry Mułła Nasr Eddin używa bardzo interesującego określenia, a mianowicie mówi:

„Stopień ważności takich ludzi zależy wyłącznie od tego, ile mają nagniotków”.

Tak więc, mój chłopcze...

Te współczesne istoty trójmózgowe twojej planety, które mogą się najeść do syta i zaspokoić w pełni wszystkie swoje pozostałe potrzeby i które mogłyby coś zrobić, by podjąć walkę z tym panującym na ich planecie fenomenalnym złem, nie wykorzystują nawet tych tak sprzyjających szczeremu myśleniu chwil, kiedy te ich potrzeby są zaspokojone i mają możliwość zasiąść syte na swych „miękkich angielskich kanapach”, żeby, jak się tam mówi, „dobrze wszystko strawić”, lecz zamiast tego oddają się tylko swojemu złemu bogowi „samospokojeniu”.

A skoro żadne trójmózgowe istoty we Wszechświecie – czyli także żadne istoty twojej planety – nie mogą egzystować bez procesu myślenia i zarazem twoi ulubieńcy chcą mieć pełną swobodę oddawania się swojemu wewnętrznemu „złemu bogowi samospokojeniu” więc stopniowo po mistrzowsku opanowali sztukę

czysto automatycznego myślenia, które nie wymaga od nich jakiegokolwiek istnieniowego wysiłku.

Trzeba oddać im sprawiedliwość – doszli w tym do takiej perfekcji, że ich myśli płyną obecnie we wszystkich kierunkach bez żadnego zamierzonego naprężenia którejkolwiek części ich obecności.

Na przykład gdy te ważne dzierzące władzę ziemskie istoty siedzą najedzone i ukontentowane na wspomnianych kanapach, ich myślowe skojarzenia – które bez przerwy muszą w nich płynąć – otrzymują wtedy impulsy pochodzące wyłącznie z odruchów ich żołądka oraz narządów płciowych i rozchodzą się swobodnie we wszystkich kierunkach lub, jak oni tam mówią, „gdzie tylko dusza zapagnie” i to z tak ujmującą niewymuszonością, jakby te ich myśli prze chadzały 9 się wieczorem w Paryżu po Bulwarze Kapucynów.

Kiedy jedna z tych dzierzących władzę istot twojej planety rozsiada się na swojej miękkiej kanapie, wówczas same z siebie myślą się w niej rzeczy w rodzaju:

„Jak by się tu zemścić na moim znajomym Janie Kowalskim, który parę dni temu spojrział na «kochaną» przeze mnie kobietę nie prawym, lecz lewym okiem?”

Albo ta ważna dzierząca władzę ziemską istota, trawiąc swój posiłek, zastanawia się:

„Dlaczego wczoraj na wyścigach wygrał nie mój koń, tylko jakiś inny?”

Lub: „Dlaczego pewne akcje, które w istocie nie mają żadnej wartości, codziennie coraz bardziej zwyżkują na giełdzie?”

Albo też w końcu nachodzi ją tego rodzaju myśl: „Gdybym znalazł się na miejscu tego Piotra Wiśniewskiego, który odkrywając nową metodę hodowli much, wytwarza z ich szkieletów kość słoniową, to zarobione w ten sposób pieniądze wydałbym na to, na to i jeszcze na to, a nie jak ten głupiec, który niczym pies ogrodnika ani sam nie je, ani innym nie daje zjeść” i tak dalej w tym samym duchu.



Prawdę powiedziawszy, od czasu do czasu zdarza się tam, że nagle jakaś dzierżąca władzę lub ważna ziemską istota zaczyna przypadkowo myśleć – nie pod wpływem odruchów swego żołądka i narządów płciowych, lecz szczerze i całkiem poważnie – o jakichś sprawach związanych z tą przerażającą ziemską kwestią.

Ale również takie szczerze rozmyślenia owej dzierżącej władzę istoty najczęściej powstają w niej automatycznie, pod wpływem różnych przypadkowych czynników zewnętrznych. Na przykład: w czasie ostatniego procesu unicestwiania się nawzajem egzystencja kogoś bardzo jej bliskiego raptownie dobiegła końca; albo ktoś ją bardzo dotkliwie obraził; lub ktoś inny, wyświadczając jej wielką przysługę czy ofiarowując coś, czego się w ogóle nie spodziewała, wywołał jej wzruszenie; lub wreszcie, któraś z nich rzeczywiście poczuje, że zbliża się kres jej własnej egzystencji.

Otóż w takich przypadkach, ilekroć jedna z tych dzierżących władzę istot szczerze się zastanawia nad tą fenomenalną, panoszącą się na ich planecie okropnością, zawsze wzbudza to w niej całkiem szczerze oburzenie i oczywiście w tym stanie obiecuje sobie, że nie zważając na cenę, podejmie i zrealizuje wszystko, co jest konieczne, aby wykorzenić to pieniące się zło.

Ale cała bieda z tym, że gdy tylko żołądek takiej „szczerze oburzonej” istoty robi się pusty albo kiedy te mocne wrażenia zewnętrzne choć trochę osłabną, wtedy natychmiast zapomina o danym sobie słowie i znowu, świadomie lub nieświadomie, zaczyna robić dokładnie to wszystko, co zwykle wywołuje takie procesy między społeczeństwami.

Tam, mój chłopcze, bardzo często bywa tak, że te dzierżące władzę istoty zupełnie mimowolnie, a czasami nawet na wpuł rozmyślnie same starają się wszystko robić tak, żeby jak najszybciej doszło do kolejnego procesu unicestwiania się nawzajem, i niekiedy wręcz marzy im się, by ów następny proces miał jak największy zasięg.

Taka potworna potrzeba powstaje w ich nienormalnej psychice, ponieważ egoistycznie oczekują, że owe procesy przyniosą im i ich bliskim pewne korzyści i w swoim zdegenerowanym myśle-

niu liczą nawet na to, że im większa będzie skala takiego kolejnego procesu, tym większe odniosą z niego korzyści, czy to dla siebie, czy też dla swoich bliskich.

W procesie zbiorowej egzystencji tych dziwaków często się zdarza, że niektóre z takich ważnych i dzierżących władzę istot jednoczą się i powołują specjalne stowarzyszenia, aby wspólnie znaleźć i w praktyce zastosować jakiś sposób pozbycia się tej ich właściwości.

Kiedy już na zawsze opuściłem ów układ słoneczny, znowu dużo się mówiło na twojej planecie o powołaniu tego rodzaju stowarzyszenia i, jeśli dobrze pamiętam, zamierzano nadać mu nazwę „Liga Narodów”.

Powiedziałem „znowu” bo już wiele razy zakładały one podobne stowarzyszenia; które zawsze umierały w taki sam dziwny sposób; mianowicie „bez agonii”.

Bardzo dobrze pamiętam powstanie tego rodzaju stowarzyszenia w mieście „Samoniks” w kraju Tiklamysz, dokładnie w czasie; gdy ów kraj był uważany za główne centrum kultury wszystkich trójmózgowych istot twojej oryginalnej planety.

Właśnie wtedy „ważne” istoty wywodzące się spośród zwykłych istot należących do większości społeczeństw kontynentu Azja zebrały się po raz pierwszy we wspomnianym miejscu z zamiarem zawarcia wspólnego porozumienia; dzięki któremu w tych różnych azjatyckich społeczeństwach już miały się nigdy więcej nie pojawić żadne powody do takich „procesów unicestwiania się nawzajem”.

Motto tego stowarzyszenia brzmiało wówczas: „Bóg jest tam, gdzie nie leje się ludzka krew”.

Ale wskutek różnych osobistych, egoistycznych i próżnych celów te ważne i dzierżące władzę zwyczajne ziemskie istoty bardzo szybko skłóciły się ze sobą i; niczego nie osiągnąwszy rozeszły do domów.

Kilka wieków po upadku Tiklamysza jeszcze jedno podobne stowarzyszenie powstało na tym samym kontynencie Azja, tym

razem w kraju, który nazywał się wtedy „Mongolplancura”.

Stowarzyszenie to działało pod następującym hasłem: „Kochaj bliźniego; a Bóg cię pokocha”.

Ono także; nie osiągnąwszy żadnych pozytywnych rezultatów; przestało istnieć dokładnie w ten sam sposób.

Potem inne tego rodzaju stowarzyszenie powstało w kraju, który zwany jest dziś „Egiptem” i jego dewizą było: „Naucz się wpierw stworzyć pchłę, zanim ośmielisz się zabić drugiego człowieka”.

A jeszcze później identyczne stowarzyszenie założono w kraju „Persja” gdzie zjednoczyło się ono pod hasłem: „Wszyscy ludzie mają w sobie Boga, ale jeśli choć jeden z nich zostanie gwałtem zabity przez drugiego, to wszyscy obrócą się wniwecz”.

Ostatnie takie stowarzyszenie zostało utworzone na kontynencie Azja całkiem niedawno, zaledwie około czterech lub pięciu ichnich wieków temu, w mieście, które nazywało się chyba „Mosulopoli”, i w chwili powstania owo stowarzyszenie znane było pod nazwą: „Ziemia należy do Wspólnego Stworzyciela i jest jednakowo wolna dla każdego Jego stworzenia”.

Ale już wkrótce, kiedy wśród jego członków wynikło jakieś nieporozumienie, otrzymało ono nową nazwę, pod którą działało aż do samego końca swego istnienia, a która brzmiała: „Ziemia należy tylko do ludzi”.

Członkowie stowarzyszenia „Ziemia należy do Wspólnego Stworzyciela i jest jednakowo wolna dla każdego Jego stworzenia” mieli nawet szansę dokonać czegoś sensownego, ponieważ, po pierwsze, ich podstawowy program był możliwy do zrealizowania, a po drugie, wszyscy bez wyjątku byli sędziwymi i czcigodnymi istotami, które w czasie swojej planetarnej egzystencji wiele doświadczyły, a więc zdążyły się już rozczarować do wszystkiego, co ogólnie może dać ta zwykła egzystencja planetarna.

Dzięki temu mieli w sobie mniej takich właściwości jak egoizm, próżność itp., będących tam z reguły przyczyną rozpadu tego ro-

dzaju stowarzyszeń.

Owo stowarzyszenie faktycznie mogło coś sensownego zdziałać przede wszystkim dlatego, że nie było w nim ani jednej tamtejszej istoty dzierżącej władzę, czyli ani jednej takiej istoty, która powodowana swoimi egoistycznymi i próżnymi celami zawsze prędzej czy później odsyła – i to na dodatek, jak one mówią, „w takt muzyki” – wszelkie dokonania dowolnego stowarzyszenia o charakterze ogólnoplanetarnym, którego sama jest członkiem, do słynnej świni naszego Mułły Nasr Eddina, pożerającej zawsze wszystko bez żadnych „ceregeli”.

Te ważne i dzierżące władzę ziemskie istoty, zwłaszcza te współczesne, oszczędzają jedynie takie przedsięwzięcia społeczne, jakie mogą przynieść duże zyski albo im samym, albo istotom z ich własnej kasty.

Zresztą nawet jeśli realizacja zadań tego rodzaju stowarzyszenia mogłaby przynieść pożytek wszystkim istotom ich planety, bez względu na kastę, to gdy tylko w działaniu danego stowarzyszenia pojawiają się małe trudności lub zaczyna ono przeżywać, jak to się mówi, kryzys, te zadania momentalnie przykrzą się ziemskim istotom dzierżącym władzę i wystarczy, że ktoś o nich napomknie lub same je sobie przypomną przez skojarzenie, a na ich twarzach pojawia się od razu cierpiętnicza mina.

A dlaczego także trudy owych istot, które nazwały swe stowarzyszenie „Ziemia należy do Wspólnego Stworzyciela i jest jednako wolna dla każdego Jego stworzenia” poszły na marne – mimo że zrobiły one prawie wszystko, co można było zrobić w takich warunkach, jakie panują niemal zawsze na tej niezrównanej planecie – to opowiem ci o tym trochę później i nawet szczegółowo, ponieważ informacje o przyczynach upadku tego stowarzyszenia powołanego przez twoich ulubieńców gwoli wykorzenienia lub przynajmniej osłabienia tej najkarygodniejszej właściwości, jaka się wśród nich utrzymała, rzucą więcej światła na dziwaczność ichniej psychiki w ogóle, a zarazem posłużą za materiał, który pozwoli ci zrozumieć główną obiektywną przyczynę występowania wśród nich owych przerażających procesów.

Wracając do tego współczesnego stowarzyszenia, o którym już wspominałem i które również zostało tam założone w celu wspólnego znalezienia i zastosowania w praktyce odpowiednich środków mających położyć kres tym przerażającym procesom na ich planecie – stowarzyszenia, które otrzyma nazwę lub już się zwie „Liga Narodów” – to jeśli chcesz znać moją szczerą opinię, jestem bardziej niż pewny, że i tym razem nie wyniknie z tego nic sensownego, a to choćby z dwóch powodów.

Pierwszy z nich stanie się dla ciebie jasny dopiero pod koniec mojej opowieści, natomiast drugi sprowadza się do tego, że owa właściwość weszła już, jak to się mówi, „w krew” trójmózgowym istotom planety Ziemia. A skoro niczego nie mogły dokonać na tej planecie istoty minionych epok, które, stawszy się istotami odpowiedzialnymi, osiągały pod względem bycia przynajmniej poziom zwany „pamiętaniem siebie” to tym bardziej nie zdołają wymyślić ani zrealizować niczego sensownego istoty z tego współczesnego stowarzyszenia, które są posiadaczami takiego samego rozumu jak większość istot współczesnych w wieku odpowiedzialnym, to znaczy które pod względem istnieniowego bycia udoskonalają się tylko do poziomu określanego przez naszego Mułę Nasr Eddina słowami:

„Popatrz, popatrz! On już zaczyna odróżniać mamusię od tatusia!”

Nawiasem mówiąc, trzeba zauważyć, że chociaż te współczesne ważne i dzierzące władzę istoty z twojej planety, które są lub będą członkami tego nowego stowarzyszenia, nie osiągną świadomości niczego pożytecznego, to jednak dzięki temu swojemu wymysłowi nieświadomie odniosą pewną ogromną i niezwykle praktyczną „korzyść”, ponieważ to ich „oficjalne stowarzyszenie” posłuży im za jeszcze jedną, jak to się mówi, wymówkę, żeby doskonale mydląc oczy swoim „właścicielkom”, którymi w przypadku takich współczesnych istot dzierżących władzę są tam albo ich „żony”, albo „utrzymania”, albo „teściowe”, albo też „ekspedientki” w jakimś dużym sklepie.

Dzięki tej swojej nowej „oficjalnej kopalni złota” owe istoty

będą mogły spokojnie przebywać w towarzystwie przyjaciół – istot tak samo ważnych i również dzierżących władzę – i na oficjalnych „fajfach”, które z pewnością będą często organizowane pod pretekstem różnych spraw rzekomo związanych z celami ich „ważnego oficjalnego stowarzyszenia”, uda im się spędzić czas z dala od milczących, lecz groźnych spojrzeń swych „właścicieli”.

Takie stowarzyszenia istot dzierżących władzę powstają tam najczęściej pod koniec ich wielkich procesów unicestwiania się nawzajem i niemal zawsze odbywa się to w następujący sposób:

U części z nich, mianowicie u tych, które podczas ostatniego takiego procesu osobiście poniosły „dotkliwe straty” te straty „siłą rozpędu” dalej wpływają na ich zbiorczą obecność i w całym funkcjonowaniu ich psychiki wytwarzają pewną kombinację, co powoduje, że dane zgromadzone w ich podświadomości w celu wzbudzenia istnieniowego impulsu zwanego „sumieniem” same z siebie zaczynają uczestniczyć w funkcjonowaniu owej cechującej je już od dawna „automatycznej świadomości”, czyli, inaczej mówiąc, w ich zbiorczej psychice samoczynnie tworzy się ta kombinacja, o której marzył, z myślą o wszystkich trójmózgowych istotach tej nieszczęsnej planety, Przenajświętszy Asziata Szyjemasz.

A zatem, mój chłopcze, kiedy te dzierżące władzę istoty spotykają się i długo dyskutują o tej ich przeraźliwej ziemskiej własności, stopniowo zaczynają ją wtedy widzieć niemalże w prawdziwym świetle i faktycznie pojawia się w nich szczerze pragnienie zrobienia wszystkiego, co w ich mocy, aby doprowadzić do likwidacji tego wstrząsającego okropieństwa, jakie dzieje się na ich planecie.

Jeżeli więc przypadkowo dochodzi do spotkania kilku takich dzierżących władzę ziemskich istot, które mają, by tak rzec, „wskrzeszone sumienie” i widzą oraz odczuwają rzeczywistość w niemal prawdziwym świetle, to na skutek wpływu wywieranego na siebie nawzajem przez długi czas one jednoczą się i wspólnie próbują znaleźć jakąś możliwość urzeczywistnienia

tych swoich szczerych pragnień.

Zazwyczaj to właśnie tak wyglądają tam początki wszystkich tego rodzaju stowarzyszeń.

Być może koniec końców takie istoty osiągnęłyby nawet jakieś dobroczynne rezultaty, ale nieszczęście polega na tym, że z reguły do takich stowarzyszeń bardzo szybko dołączają inne ważne i dzierzące władzę ziemskie istoty i zaczynają uczestniczyć w ich działalności.

Istoty te biorą udział w pracach owych stowarzyszeń nie dlatego, że w nich także odezwało się sumienie – nic z tych rzeczy – lecz wyłącznie dlatego, że zgodnie z zawsze tymi samymi nienormalnie ustalonymi warunkami zwykłej egzystencji one, jako ważne i dzierzące władzę, muszą zostać członkami wszystkich takich „ważnych” stowarzyszeń.

Otóż kiedy te inne ważne i dzierzące władzę ziemskie istoty wstępują do tego rodzaju stowarzyszeń i zaczynają uczestniczyć w ich pracach, wówczas z powodu swoich osobistych egoistycznych i próżnych celów ukazują zazwyczaj w pełnym blasku tę wspomnianą przeze mnie charakterystyczną cechę, czyli nie dość, że bardzo szybko „puszczają w trąbę” wszystkie zadania, które udało się już zrealizować istotom ze „wskrzeszonym sumieniem” to jeszcze, jak to się tam, określa, podkładają założycielom takich stowarzyszeń prawdziwe „szagalińskie świnię”.

Właśnie dlatego takie tamtejsze stowarzyszenia powoływane dla ogólnoplanetarnego dobra zawsze prędko umierają, i to umierają, jak ci już powiedziałem, „bez agonii”.

A jeśli chodzi o konkretne rezultaty, które po tych wszystkich niezłych początkach osiągają te ważne istoty, to nasz czcigodny Mułła Nasr Eddin ma jeszcze jedno bardzo mądre powiedzenie:

„Minione stulecia udowodniły nam, że karabaskie osły nigdy nie będą śpiewały jak słowiki ani też nigdy nie przestaną dogadzać swojemu szlachetnemu zamiłowaniu do prawdziwych szuzuńskich ostów”.

Nawiasem mówiąc, w tym miejscu powinieneś się dowiedzieć

również o tym, że w ciągu moich wielowiekowych wnikliwych obserwacji trójmózgowych istot planety Ziemia ani razu nie udało mi się zauważyć wśród członków stowarzyszeń zakładanych po to, by wspólnie szukać sposobu zapewnienia szczęśliwej egzystencji masom – stowarzyszeń, które sporadycznie tam także się pojawiają – istot mających w miarę obiektywny rozum, mimo że, jak ci już mówiłem, sporo istot potrafi tam osiągnąć taki rezultat dzięki własnym wytrwałym wysiłkom podjętym w celu samodoskonalenia.

Obserwacje, które poczyniłem w trakcie mojego ostatniego pobytu tam, pozwoliły mi między innymi zrozumieć, dlaczego do takich stowarzyszeń nie wstępują istoty odznaczające się obiektywnym rozumem.

Przede wszystkim, aby wstąpić do jakiegoś stowarzyszenia, trzeba obowiązkowo być „kimś ważnym”, a w nienormalnie ustalonych warunkach tamtejszej egzystencji za kogoś ważnego uważa się tylko te istoty, które albo mają dużo pieniędzy, albo też, jak to się mówi, „cieszą się sławą” wśród innych tamtejszych istot.

A ponieważ od jakiegoś czasu „sławnymi” lub „ważnymi” mogą się stać jedynie istoty całkowicie pozbawione wspomnianej świętej funkcji, czyli istnieniowego sumienia, więc – biorąc pod uwagę, że w obecnościach istot owa święta funkcja niezmiennie wiąże się z tym wszystkim, co reprezentuje i czym jest obiektywny rozum – te trójmózgowe istoty, które mają obiektywny rozum, oczywiście zawsze mają również sumienie i w konsekwencji nigdy nie staną się wśród pozostałych istot „ważnymi”.

Oto dlaczego istoty obdarzone czystym rozumem nigdy tam nie mogły i nie będą mogły wstąpić do stowarzyszeń, do których należą istoty ważne i dzierżące władzę.

Cała ta kwestia sprowadza się więc na twojej planecie do tego, o czym już mówił nam drogi Mułła Nasr Eddin, a mianowicie:

„To naprawdę jakaś najcięższa kara: kiedy ciągniesz za ogon, utyka grzywa, a gdy ciągniesz za grzywę, ogon utyka w miejscu”.

Jakkolwiek by było, twoi współcześni ulubieńcy znowu chcą



znaleźć jakiś sposób na zniszczenie tej przeraźliwej właściwości, która stała się im przynależna i zakorzeniła się w ich psychice równie mocno jak następstwa właściwości organu kundabufor.

Oczywiście członkowie współczesnego stowarzyszenia o nazwie „Liga Narodów” będą do tego dążyć, posługując się wszelkiego rodzaju wymyślonymi przez siebie przepisami i różnymi umowami podobnymi do tych, jakie w tym samym celu wprowadzały i zawierały istoty w czasach starożytnych, to znaczy takimi środkami i sposobami, którymi, moim zdaniem, nie da się dzisiaj osiągnąć absolutnie niczego „sensownego”.

Na tego typu przedsięwzięciu twoich współczesnych ulubieńców mogą skorzystać, i to nawet całkiem dużo, tylko ich nieodłączne gazety oraz salonowe rozmowy, no i oczywiście różne hasnamuskie afery tamtejszych „giełdowychmacherów”.

Jeśli zaś chodzi o to przerażające tamtejsze zło, to obecnie sytuacja wygląda tak, że natychmiastowe i całkowite usunięcie z powierzchni ich planety owej potwornej właściwości, która, jak już powiedziałem, weszła im w krew, jest dla ich ubożego rozumu nie tylko zadaniem trudnym do wyobrażenia, lecz generalnie prawie niewykonalnym.

Jednakowoż, mój chłopcze, według mnie nawet istoty należące do tego współczesnego ogólnoplanetarnego stowarzyszenia „Liga Narodów” – niezależnie od tego, że brakuje im bezstronnego rozumu, który powinien cechować obecność wszystkich trójmózgowych istot po osiągnięciu przez nie wieku odpowiedzialnego – mogłyby uzyskać jakieś pozytywne rezultaty, dążąc do postawionego sobie podstawowego celu, gdyby zajęły się podejmowaniem i rozwiązywaniem w praktyce tylko takich kwestii, jakie leżą w zasięgu ich kompetencji i możliwości.

Znając jednak ich „maniery” mam całkowitą pewność, że sprawami, które są dostępne dla ich rozumienia, zajmować się nie będą.

One zapragną i zrobią wszystko, żeby takie procesy unicestwienia się nawzajem ustały natychmiast i na zawsze.

Gdyby rzeczywiście całym swoim jestestwem uświadomiły sobie obiektywną grozę takich procesów i szczerze zapragnęły wykorzenić wspólnie to zło z powierzchni ich planety, to siłą rzeczy dotarłyby do sedna tej kwestii i zrozumiały, że aby zdekryzalizować tę ich nieodłączną właściwość, która ugruntowała się w ich psychice w ciągu setek stuleci, nie wystarczy kilkadziesiąt lat.

A jeżeliby to zrozumiały, wówczas zamiast usiłować cokolwiek postanawiać lub przedsięwziąć w tym względzie dla dobra swych współczesnych, całą uwagę i wszystkie siły oraz możliwości poświęciłyby wyłącznie pracy dla dobra istot przyszłych pokoleń.

Na przykład zamiast wszelkich wymądrzań lub, jak się tam mówi, „donkiszoterii” nawołujących do natychmiastowego i całkowitego zaprzestania tych procesów, zajęłyby się wykorzeniem utrwalonego w zwykłym procesie ich egzystencji przekonania o szlachetności dwóch występujących wśród nich pojęć, mianowicie ukróciłyby zwyczaj robienia z niektórych uczestników tych procesów „bohaterów” i obsypywania ich zaszczytami oraz tak zwanymi orderami, a także obaliłyby przynajmniej tę sławetną, wymyśloną przez jakąś pryszczatą istotę gałąź ich „hasnamuskich nauk”, gdzie udowadnia się z lekceważeniem, że okresowe wzajemne unicestwianie się jest na Ziemi absolutnie niezbędne, ponieważ bez niego doszłoby do nieprawdopodobnego przeludnienia i nastąpiłby tak przeraźliwy kryzys ekonomiczny, że istoty-ludzie zaczęłyby się wzajemnie pożerać.

Otóż gdyby udało im się doprowadzić do zaprzestania pierwszej z tych dwu ugruntowanych już na trwałe w procesie ich nie-normalnej zwykłej egzystencji istnieniowej praktyk, to w ten sposób raz na zawsze wykorzeniłyby większość „automatycznych czynników” predysponujących psychikę dorastającego pokolenia do podlegania tej szczególnej właściwości prowadzącej do tego; że zawsze wpadają one w ów osobliwy stan, który już nieuchronnie charakteryzuje je w czasie takich procesów; natomiast zaprzestanie drugiej praktyki oszczędziłoby ich potomnym przynajmniej części z tych niezliczonych, ciągle powstających tam idiotycznych idei, które przekazywane z pokolenia na pokolenie

jako niepodważalne dogmaty przyczyniają się w dużej mierze do uformowania w ich obecnościach różnych cech, z których żadna nie przystoi trójcentrowym istotom naszego Wielkiego Megalokosmosu, w tym także tej im tylko przynależnej cechy wzbudzającej w nich nawet „wątpliwość co do istnienia Boskości” i będącej główną przyczyną tego, że w ich zbiorczych obecnościach nastąpił niemal całkowity zanik możliwości gromadzenia tych danych, które powinny się bezwzględnie gromadzić w zbiorczych obecnościach wszystkich istot trójmózgowych i których całością wywołuje w nich impuls zwany „instynktownym doznaniem” pewnych prawd kosmicznych odczuwanych zawsze i wszędzie w całym Wszechświecie przez każdą, nawet jednocentrową i dwucentrową istotę.

Ale niefart wszystkich twoich pozostałych zwykłych ulubieńców polega na tym, że te przybyłe z całej planety ważne i dzierżące władzę istoty nie będą się zajmowały takimi sprawami, uznawszy, że są poniżej ich godności.

Kto to widział, żeby tacy „ważni” członkowie takiego „ważnego” stowarzyszenia zajmowali się nagle takimi błahostkami!

Mówiąc ogólnie, u większości przypadłych ci do gustu współczesnych istot trójmózgowych przestały się zupełnie krystalizować wszelkie dane potrzebne do indywidualnych przejawów, więc przejawiają się one już tylko pod dyktando następstw właściwości organu kundabufor, a ponieważ same nie lubią się zajmować sprawami znajdującymi się w zasięgu ich rozumu i możliwości, poświęcają się wyłącznie rozwiązywaniu takich kwestii, które nieporównanie przewyższają ich rozum.

Z powodu takiej „cechy” ich osobliwej psychiki wykształciła się w nich w ciągu ostatnich dwudziestu stuleci jeszcze jedna oryginalna i w najwyższym stopniu dziwaczna „psychoorganiczna potrzeba”.

Podstawowym przejawem tej ich psychoorganicznej potrzeby jest to, że każda z nich czuje się zawsze zobowiązana, jak one mówią, „uczyć innych rozumu” czy „naprowadzać ich na właściwą drogę”.

Wiesz co, mój chłopcze, mówiąc o tej wyjątkowej cesze ich charakteru, przynależnej im wszystkim bez wyjątku, pomyślałem, że byłoby dobrze, żebym w tym miejscu udzielił ci rady dotyczącej ich dziwnej psychiki i podobnej do tej, jaką otrzymałeś od naszego poczciwego starego Ahuna pod koniec moich wyjaśnień na temat ich sławetnej współczesnej „sztuki”.

Otóż wtedy powiedział ci on między innymi, że jeśli z jakiegoś powodu miałbyś egzystować na planecie Ziemia i zadawać się z tymi dziwnymi istotami trójmózgowymi, to powinieneś zawsze bardzo uważać na tamtejsze współczesne typy zwane „przedstawicielami sztuki” i piklować się, aby przypadkiem nigdy ich nie urazić i tym samym nie zrobić sobie z nich „śmiertelnych” wrogów.

Nasz drogi Ahun, mając wówczas na względzie ich liczne słabości, takie jak na przykład „miłość własna” „duma” „próżność” i jeszcze wiele innych, wskazał ci, którą z tych ich specyficznych cech i w jakich sytuacjach należy, jak to określił, „połechtać”.

Nawet drobiazgowo wyjaśnił ci wtedy, o czym i jak trzeba z nimi rozmawiać, żeby zawsze byli do ciebie życzliwie nastawieni i przy każdej okazji cię wychwalali, mówiąc o tobie same dobre rzeczy.

Tej jego radzie nic nie mogę zarzucić; bez dwóch zdań sprawdza się idealnie w stosunku do typów, o których mówił.

Fakt faktem tamtejsi współcześni przedstawiciele sztuki mają mnóstwo takich wyliczonych przez naszego drogiego Ahuna specyficznych właściwości i jeśli za każdym razem uda ci się „połechtać” te ich osobliwe cechy, to naprawdę będą cię ubóstwiali i zawsze zachowywali się wobec ciebie jak prawdziwi „askłajscy niewolnicy”.

Ale mimo że jego rada jest doskonała i wręcz niezbędna dla kogoś, komu przyjdzie wśród nich egzystować, osobiście uważam, że w twoim przypadku jest ona niepraktyczna; a jest niepraktyczna dlatego, że po pierwsze, nie każda istota na Ziemi to przedstawiciel sztuki, więc nie da się tej rady zastosować ogólnie do

wszystkich, a po drugie, byłoby trudno wymagać od ciebie, żebyś zawsze pamiętał o tym, w jakiej sytuacji i którą z tych ich licznych słabości powinienes „połechtać”.

Wyjawię ci więc wielki „sekret” ich psychiki i wskażę na jedną, im tylko właściwą osobliwość, która, pod warunkiem że będziesz umiał się nią posłużyć, wywoła w przejawach prawie każdej z nich ten sam efekt, wspomniany wcześniej przez Ahuna.

Jeśli zaczniesz oddziaływać na nie, wykorzystując tę osobliwość, to nie tylko będziesz ze wszystkimi w bardzo dobrych stosunkach, lecz nawet, znając ów „sekret” ich psychiki, jeżeli zapragniesz, zapewnisz sobie tam całkowity spokój i błogą egzystencję, zarówno jeśli chodzi o posiadanie niezbędnych „środków płatniczych” jak i inne tamtejsze wygody, których smak i zbawienny charakter nasz drogi nauczyciel określił słowem „sielanka”.

Niewątpliwie, mój chłopcze, domyśliłeś się już, że za tym sekretem ich psychiki kryje się właśnie ta, jak ją nazwałem, „psychoorganiczna potrzeba uczenia innych rozumem i naprowadzania ich na drogę prawdy”.

Ta osobliwa właściwość, która wykształciła się w ich psychice jak zwykle z powodu nienormalnie ustalonych warunków zwykłej egzystencji istnieniowej, w momencie osiągnięcia przez każdą z nich wieku odpowiedzialnego staje się niejako nieodłączną częścią ich obecności.

Taką psychoorganiczną potrzebę odczuwają tam wszyscy bez wyjątku: starzy i młodzi, mężczyźni i kobiety, a nawet istoty nazywane przez nie „wcześniakami”.

Owa wspomniana „szczególna potrzeba” powstaje w nich wskutek jeszcze innej ich osobliwej właściwości, która polega na tym, że każda z nich od chwili, gdy rozwinie zdolność odróżniania „suchego” od „mokrego” oszołomiona swoim osiągnięciem raz na zawsze przestaje widzieć i zauważać własne anomalie i wady, a widzi i dostrzega je wyłącznie u innych.

Dzisiaj każdemu z twoich ulubieńców weszło już w nawyk nieustanne uczenie innych podobnych do niego istot takich rzeczy,

o których on sam nawet we śnie nie ma bladego pojęcia, a najśmieszniejsze jest to, że jeśli ci inni nie uczą się od niego lub przynajmniej nie udają, że chcą się nauczyć, to nie tylko się obraża, ale wręcz czuje w głębi szczerą oburzenie; i odwrotnie, jeśli któryś z tych „innych” będzie się uczył od niego „rozumu” lub choćby udawał, że bardzo chce się go nauczyć, to nie tylko będzie tego innego „kochał” i „szanował” lecz sam dozna wtedy pełni szczęścia i zadowolenia.

Nawiasem mówiąc, trzeba zaznaczyć, że jedynie w takiej sytuacji twoi ulubieńcy potrafią mówić o innych bez nienawiści i krytycyzmu.

A więc, mój chłopcze, oto moja rada:

Gdyby z jakiegoś powodu przyszło ci egzystować wśród nich, zawsze udawaj, że chcesz się od nich czegoś nauczyć. Postępuj w ten sposób również z ich dziećmi, a wtedy nie tylko będziesz z nimi wszystkimi w najlepszych stosunkach, ale też każda rodzina uzna cię nawet za przyjaciela domu.

Pamiętaj zawsze, że każdy z nich, bez względu na to, jakim w swej esencji jest zerem, z powodu swej zarozumiałości, która wypływa z tej szczególnej cechy, pogardliwie patrzy z góry na działania i zachowanie innych, szczególnie jeśli są one w jaskrawej sprzeczności z jego własnymi, subiektywnie ustalonymi poglądami; w tym ostatnim przypadku, jak ci już mówiłem, czują oni na ogół wewnętrzną obrazę i szczerą oburzenie.

Warto tu również zauważyć, że owa właściwość twoich ulubieńców, to znaczy nieustanne oburzanie się na wady innych istot z otoczenia, czyni ich własną egzystencją – już i tak wystarczająco żalosną i nienormalną – obiektywnie nieznośną.

Wskutek tego ciągłego oburzania się zwykła egzystencja istniejąca tych nieszczęśników prawie w całości upływa na jałowych „cierpieniach moralnych” i na ogół te ich daremne „cierpienia moralne” siłą inercji bardzo długo oddziałują na ich psychikę w sposób, by tak rzec, „semcekcjonalny” lub, jak by powiedziano na twojej planecie, „przytłaczająco” powodując, że koniec końców

robią się oni, oczywiście bez udziału ich świadomości, „instruarni” albo, jak sami by to określili, „nerwowi”.

A wtedy w procesie zwykłej egzystencji istnieniowej stają się już zupełnie „nieopanowani” i to nawet w tych swoich przejawach istnieniowych, które nie mają nic wspólnego z pierwotnymi przyczynami ich „instruarności”.

Otóż tylko ta jedna ich właściwość, mianowicie „oburzanie się na wady innych” wystarczyła, żeby ich egzystencja stała się stopniowo arcytragikomiczna.

Na przykład na każdym kroku można tam spotkać następujący obrazek:

Oto któryś z nich trafia dosłownie, jak oni mówią, „pod czyjś pantofel” to znaczy zrzuca przed tym kimś tę jedyną rzecz, którą większość przybiera pod wpływem ich szkodliwego środka zwanego „wychowaniem”, a która nosi tam miano „maski” i pod którą, trzeba sprawiedliwie przyznać, nauczyli się świetnie ukrywać przed innymi swoje prawdziwe, zarówno wewnętrzne, jak i zewnętrzne oczywiste defekty, i właśnie taki ktoś, kto siedzi „pod pantoflem” żony lub kochanki, czy też jeszcze innej istoty, która w jakiś sposób go rozgryzła, i kto w rezultacie stał się unizonym sługą tych wyliczonych „patronów”, z reguły oburza się bardziej niż inni, jeśli z takiego czy innego powodu jakiś władca nie potrafi podporządkować sobie dziesiątek lub setek tysięcy istot swojej społeczności.

Najciekawsze jest to, że przeważnie właśnie tacy trzymani pod pantoflem ziemscy dziwacy piszą dla całej reszty rozmaite podręczniki, w których szczegółowo tłumaczą, jak i co trzeba zrobić, żeby dobrze „kierować” innymi.

Albo jeśli jedna z tych współczesnych istot, której, jak one mówią, „dusza ucieka w pięty” kiedy przebiega koło niej mysz, dowie się, że ktoś inny lekko stchórzył na widok tygrysa, to ogarnia ją bardzo silne wewnętrzne oburzenie i niechybnie w rozmowie ze swoimi przyjaciółmi zaczyna „z pianą na ustach” tego kogoś potępiać oraz dowodzić, że to podły i karygodny „tchórz” skoro

przestraszył się jakiegoś „marnego” tygrysa.

Również w tym wypadku rozmaite książki oraz podręczniki wyjaśniające, co i jak trzeba, a czego nie trzeba robić przy spotkaniu z tygrysem lub inną podobną istotą, piszą wyłącznie tacy „lękający się myszy” tamtejsi „bohaterowie”.

Czy też:

Ktoś, kto jest dotknięty dziesiątkami rozmaitych, jak się tam mówi, „chronicznych chorób” i jego żołądek na przykład czasami przez wiele tygodni nie funkcjonuje, a ciało pokryte jest wszelkiego rodzaju złośliwymi i niezłośliwymi pryszczami, i kto cierpi naturalnie z tego powodu dniem i nocą – jednym słowem taka tamtejsza istota, która od wielu lat jest prawdziwym „chodzącym muzeum anatomicznym” wszelkich istniejących na tej planecie chorób – zawsze najbardziej ze wszystkich się oburza, gdy ktoś inny z jakiejś niezależnej od siebie przyczyny dostanie, powiedzmy, kataru.

Także w tym wypadku to tylko takie „patentowane chodzące muzea anatomiczne” piszą tam wszelakie książki i podręczniki o najrozmaitszych chorobach, autorytatywnie pouczając innych, jak tych chorób unikać.

Bardzo często można zaobserwować tam kuriozalne sytuacje w rodzaju:

Jedna z nich, nie mając zielonego pojęcia, jak naprawdę wygląda ta zwykła malutka istota zwana „pchłą”, która tak często ją gryzie, pisze „opasłe tomisko” albo wygłasza specjalny „odczyt publiczny” o tym, że pchła, której ugryzienie było przyczyną spuchnięcia szyi pewnego króla, znanego w historii jako „Nauchan”, miała na lewej łapie „anormalną pomarańczowo-malinową narośl o szczególnie dziwnym kształcie”.

Otóż taki „znawca pcheł” piszący gruby tom o „pomarańczowo-malinowej narośli” na odnózu pchły, która ugryzła w szyję czcigodnego króla Nauchana, albo wygłaszający całowieczny odczyt publiczny na ten sam temat obrazi się i poczuje wręcz mocno urażony; jeśli ktoś mu nie uwierzy i prosto w oczy wyrazi swoje



wątpliwości; a będzie oburzony głównie dlatego, że ten ktoś okazał się tak wielkim „ignorantem” skoro jeszcze do tej pory nie słyszał o „prawdach”, które on mu teraz przekazuje.

W rezultacie tego wszystkiego, o czym wspominałem wcześniej, podobne scenki z egzystencji tych dziwnych istot trójmózgowych spotyka się na twojej planecie co krok i gdyby tylko każda tamtejsza normalna istota zaczęła je obserwować, a następnie uważnie zbadała swoje percepcje i wrażenia, to mogłaby gruntownie poznać wszystkie gałęzie całej nauki obiektywnej.

Twoi ulubieńcy, jeśli chcą się ustrzec udręki, muszą dla zaspokojenia tej ich dziwnej psychoorganicznej potrzeby mieć przynajmniej jedną „ofiara”, aby móc ją pouczać; przy czym u tych, którzy dzięki takim przejawom zyskali z jakichś powodów w swoim środowisku pewien autorytet i pod wpływem nasilającego się przyzwyczajenia zrobili się jeszcze bardziej chamscy, apetyt rośnie i domaga się coraz większej liczby takich „ofiar”.

Zresztą, mój chłopcze, gdyby kiedyś przyszło ci żyć między nimi i być świadkiem takich niedorzecznych przejawów istniejących, to nawet dobrze znając przyczynę tych niedorzeczności, nie zdołasz, jak one mówią, „powstrzymać się wewnątrz od śmiechu”. Ale jednocześnie całym twoim jestestwem będzie ci tych nieszczęśników żal i ten twój „wewnętrzny śmiech” stopniowo sam z siebie zleje się z „esencjalnym smutkiem palnasurnym”.

Owa osobliwa cecha psychiki tamtejszych istot trójmózgowych rozwinęła się najsilniej u tych spośród nich, które należą do kategorii ludzi nazywanych tam „inteligencją”.

Pod słowem „inteligencja” kryje się prawie to samo pojęcie, które my określamy wyrażeniem „siła w sobie”.

Chociaż to słowo przez wiele wieków zachowało tam właśnie takie znaczenie, współczesne istoty twojej planety zaczęły bez żenady określać nim istoty reprezentujące dokładne przeciwieństwo tego, co to słowo oznacza.

Słowo „inteligencja” pochodzi od starożytnego greckiego słowa

»

Warto zauważyć; że tego samego słowa – „entelechia” – używali także starożytni Rzymianie, którzy jednak od Greków przejęli nie jego sens, lecz tylko brzmienie, i później nawet wyobrażali sobie, że rdzeń słów „intelligens” i „intellectus” pochodzi z ich własnego języka.

Słowo to u starożytnych Greków oznaczało istotę, która udoskonaliła się do tego stopnia, że mogła kierować swoimi funkcjami zgodnie z własnym życzeniem, czyli odwrotnie, niż dzieje się to w przypadku wszystkich nieuduchowionych formacji kosmicznych, u których każde działanie jest jedynie reakcją na bodźce zewnętrzne.

Wprawdzie do dzisiaj spotyka się na twojej planecie istoty mniej więcej odpowiadające znaczeniu tego słowa, ale tylko wśród tych tamtejszych istot, które są uważane przez większość za „nieinteligentne”.

Moim zdaniem byłoby rzeczą właściwszą, gdyby owe istoty, zwane tam teraz „inteligencją”, określono po prostu „mechanikencją”.

A byłoby to właściwsze nie tylko dlatego, że tamtejsi współcześni „inteligenci” nie są w stanie kierować swoimi funkcjami istnieniowymi, lecz także dlatego, że już na dobre zanikły w nich również te potrzebne w codziennej egzystencji istnieniowej impulsy do podjęcia esencjalnej inicjatywy, którymi generalnie Wielka Przyroda zawsze obdarza wszystkie trójcentrowe istoty w chwili ich powstania.

Tamtejsze „inteligentne” istoty przejawiają się w trakcie swojej odpowiedzialnej egzystencji automatycznie, czyli działają jedynie wtedy, gdy otrzymują z zewnątrz przypadkowe lub celowo wywołane przez innych wstrząsy, i to właśnie te wstrząsy wywołują w nich coś w rodzaju pobudzenia, jak również odpowiednie przeżycia opierające się wyłącznie na tych danych, które one zgromadziły już w sobie dzięki o wiele wcześniejszym, tak samo przypadkowo i automatycznie odebranym wrażeniom.

Zatem w procesie ich odpowiedzialnego życia różne skojarzenia myślowe, przeżycia emocjonalne, a nawet organiczne ruchy pojawiają się w nich zupełnie niezależnie od ich chęci i zamiarów.

Z reguły rolę takich zewnętrznych wstrząsów – wywołujących w ich zbiorczej obecności przeżycia właściwe wszystkim istotom bez względu na układ mózgow – spełniają: po pierwsze, ożywiona lub nieożywiona materia, która przypadkowo znajduje się w zasięgu ich organów percepcji wzrokowej; po drugie, spotkania z różnymi istotami; po trzecie, przypadkowo usłyszane dźwięki lub słowa; po czwarte, zapachy, tak samo przypadkowo odebrane przez ich zmysł powonienia; i wreszcie niecodzienne doznania, które czasami pojawiają się w trakcie funkcjonowania ich ciała planetarnego lub, jak one mówią, ich „organizmu” itd.

Ale ogólnie nigdy ich zewnętrzne przejawy i wewnętrzne impulsy istnieniowe, nad którymi powinno sprawować nadzór istnieniowe „Ja”, nie są zgodne z ich własnym życzeniem wpływającym z całej ich obecności.

Muszę ci jeszcze powiedzieć, że tacy ziemscy inteligenci, u których pewne ustalone wcześniej i rozpoznawalne dla otoczenia formy przejawów psychicznych ulegają zmianom już w trakcie ich odpowiedzialnego życia, przestają być nazywani przez pozostałe ziemskie istoty „inteligentnymi” lecz otrzymują inne miana składające się z różnych słów, a raczej, mówiąc dokładniej, z rdzeni słów również zapożyczonych ze starożytnej greki.

Na przykład nazywa się ich:

„Biurokratami”,

„Plutokratami”,

„Teokratami”,

„Demokratami”,

„Zeurokratami”,

„Arystokratami”, itd.

Pierwsza z wymienionych nazw, czyli „biurokraci” nadawana jest tym inteligentom, u których serie zwykłych automatycznych

skojarzeń wywołujących określone przeżycia uległy już skróceniu; innymi słowy, niezależnie od tego, jak bardzo zróżnicowane są wstrząsy zewnętrzne, zawsze wywołują one w tych biurokratach skojarzenia, które odnoszą się do tych samych przeżyć i które dzięki wielokrotnemu powtarzaniu nabierają własnego specyficznego charakteru oraz manifestują się już zupełnie samodzielnie, bez udziału którejkolwiek z oddzielnie uduchowionych części istnieniowych ichniej zbiorczej obecności.

Jeśli zaś chodzi o drugą z tych nazw, czyli „plutokratów” to nadaje się ją tym inteligentom, którzy w okresie odpowiedzialnej egzystencji okazali się – wskutek pewnej transformacji ich psychiki – zdolni do misternego wyrolowania wszystkich uczciwych, to znaczy „naiwnych” ziomków, na jakich tylko się natknęli, i w ten sposób stali się właścicielami wielkiej ilości tego, co nazywa się tam „pieniędzmi” oraz „niewolnikami”.

Weź tutaj pod uwagę, że to właśnie z tych ziemskich typów wywodzi się większość Indywidualiów Hasnamus.

Podczas mojej bytności na planecie Ziemia, kiedy prowadziłem badania niektórych interesujących mnie kwestii, przypadkowo zapoznałem się także z „ezoteryką” dotyczącą powstania słowa „plutokrata”.

Jak ci już mówiłem, w ciągu ostatnich dwudziestu pięciu wieków każde podejrzanе pojęcie i każdy podejrzaný przedmiot określa się tam, z niewiadomych powodów, słowami zaczerpniętymi ze starożytnej greki, więc również takie nazwy jak „biurokrata” „arystokrata” „demokrata” itd., które wyrażają takie podejrzanе pojęcia, składają się z dwóch starogreckich słów.

Na przykład słowo „biurokrata” pochodzi od pary słów: „biuro”, co znaczy „kancelaria” i „krateo”, co znaczy „trzymam” lub „sprawuję pieczę”.

Zatem te dwa słowa wzięte razem oznaczają tego „kto zarządza lub opiekuje się całą kancelarią”.

Otóż w wypadku słowa „plutokrata” historia jego powstania jest trochę inna i nie sięga daleko wstecz.

Słowo to zostało utworzone zaledwie siedem lub osiem wieków temu.

Co prawda istoty tego typu istniały już w starożytnej Grecji, ale nazywano je wtedy „plusiokratami”.

Parę wieków temu, gdy takie „typy” bardzo się tam rozpleniły i stało się jasne, że inne ziemskie istoty powinny je jakoś tytułować, istoty, które w tamtym okresie zajmowały się takimi sprawami, wymyśliły dla nich nazwę „plutokrata”.

Okazuje się, że zanim wymyśliły tę nazwę, bardzo długo się zastanawiały i rozmyślały. A zastanawiały się i rozmyślały przez długi czas, ponieważ już wtedy doskonale rozumiały, że takie typy to spryciarze kuci na cztery nogi, przesiąknięci do szpiku kości wszelkiego rodzaju hasnamusostwem, i że w związku z tym należy wymyślić dla nich najodpowiedniejszą nazwę.

Początkowo chciały tytułować je jakimś bardzo „dosadnym” słowem, które oddawałoby ich wewnętrzną wartość, ale po zastanowieniu przestraszyły się tego, bowiem owe ziemskie typy dzięki swoim „łupom” zdobyły już wtedy o wiele większą „siłę i władzę” niż ich suwereni, dlatego obawiano się, że jeśli nada im się tytuł odpowiadający ich prawdziwemu znaczeniu, mogłyby się poczuć bardzo urażone i zacząć wyrządzać pozostałym istotom jeszcze więcej zła. Ostatecznie postanowiły więc je przechrzyć i wymyśliły słowo, dzięki któremu można było je określać odpowiednim mianem, sprawiając przy tym wrażenie, że nadaje się im „zaszczytną godność”.

A osiągnęły to w następujący sposób:

Ponieważ oczywiście tytuł tych ziemskich typów musiał się składać z dwóch starogreckich słów, a jednocześnie wszystkie tego rodzaju nazwy kończyły się zapożyczonym z greki wyrazem „krata” to żeby takie nowe słowo nie rzucało się w oczy, pozostały w nim to starogreckie współbrzmienie „krata”.

Tyle że pierwszej części tego słowa nie zaczerpnęły, wbrew tradycji, ze starożytnej greki, lecz z rosyjskiego, mianowicie wzięły rosyjskie słowo „плут”, które znaczy „szachraj”, i w ten sposób

wyszedł im „plutokrata”.

Ci twoi ówcześni mądrzy ulubieńcy istotnie dopięli zamierzonego celu, ponieważ do dzisiaj wszyscy są z tego tytułu bardzo zadowoleni, i to zarówno same te pasożyty, jak i pozostałe ziemskie istoty.

Same pasożyty są tak zadowolone z tego swojego tytułu, że nawet w dni powszednie paradują w cylindrach.

Natomiast jeśli chodzi o pozostałe ziemskie istoty, to one też są usatysfakcjonowane, bo nazywają te koczokodany ich prawdziwym imieniem, a te ostatnie nie dość, że się nie złością, to jeszcze nawet na dźwięk takiego tytułu puszą się niczym „indory”.

Trzecia z wyliczonych nazw, mianowicie „teokrata” służy tam do tytułowania tych inteligentów, u których w zbiorczej obecności zachodzi nieomal identyczna, w sensie psychoorganicznym, „perturbacja” jak u tych, którzy stają się plutokratami.

Jedyna różnica między owymi plutokratami i teokratami polega na tym, że dla zaspokojenia swoich hasnamuskich potrzeb ci pierwsi oddziałują na otoczenie, wykorzystując funkcję zwaną przez nich „zaufaniem” podczas gdy drudzy posługują się tą funkcją, która stopniowo zastąpiła w twoich ulubieńcach świętą funkcję służącą wszystkim trójmózgowym istotom za jedną z trzech świętych dróg samodoskonalenia, a którą oni nazywają „wiarą”.

Żebyś mógł lepiej zrozumieć różnicę między tamtejszymi teokratami a plutokratami, wystarczy, jeśli ponownie przytoczę ci jedno z powiedzeń naszego wielce szanownego Mułły Nasr Eddina.

Pewnego dnia, mówiąc o olbrzymiej liczbie różnych autorytarnych wpływów, którym ulega na Ziemi zbiorcza psychika zwykłych ludzi, powiedział ni stąd, ni zowąd:

„Czyż biednym muchom nie jest wszystko jedno, w jaki sposób się je zabija: kopnięciem kopyt rogatych diabłów czy trzepotem czarownych skrzydeł boskich aniołów?”

A co się tyczy tych tamtejszych typów, których wszyscy inni

nazywają „demokratami” to przede wszystkim powinieneś wiedzieć, że nie zawsze są „dziedzicznymi inteligentami”; przeważnie najpierw są zwykłymi ziemskimi istotami i dopiero później, gdy dzięki jakiemuś „majstersztykowi” zostają zaliczeni do inteligencji, zamieniają się w tychże „demokratów”.

W trakcie procesu tej przemiany występująca w nich funkcja – która, rozumie się samo przez się, jest także zwyrodnieniem świętej funkcji „sumienia” – przynosi w nich niemal te same rezultaty co w przeszłych plutokratach i teokratach.

Koniecznien trzeba w tym miejscu jeszcze dodać, że kiedy z jakiegoś powodu któryś z tych ziemskich demokratów trafi przypadkiem na stanowisko istoty dzierżącej władzę, jego poczynania wywołują czasami niezwykle rzadkie zjawisko kosmiczne polegające na tym, że „same nagniotki zmieniają się w pedikiurzystów”.

Moim zdaniem to rzadkie zjawisko zachodzi tam dlatego, że owi demokraci, którzy przypadkowo zajęli miejsca istot dzierżących władzę, nie odziedziczyli żadnych umiejętności instynktownego rządzenia innymi i są przez to zupełnie niezdolni do kierowania egzystencją istot, które dostały się pod ich panowanie.

Nasz nieoceniony nauczyciel Mułła Nasr Eddin także dla tych ziemskich typów ma odpowiednią sentencję, z tym że za każdym razem, kiedy ją wygłasza, wznosi najpierw ręce do nieba i dopiero potem z ogromną rewerencją mówi:

„Bądź pochwalony Wielki i Sprawiedliwy STWORZYCIELU, żeś okazał tak wielką i sprawiedliwą łaskę i nie dopuścił do tego, by krowy fruwały jak malutkie i milutkie ptaszki”.

A zatem, mój chłopcze, z wyliczonych przeze mnie typów ziemskich inteligentów pozostaje mi jeszcze tylko wspomnieć o tych, których inne istoty nazywają „zeurokratami” oraz „arystokratami” i dla rozróżnienia nadają im zazwyczaj rozmaite przyzwiska – takie jak „emir” „hrabia”, „chan” „książę”, „melik” „baron” itd. – o brzmieniu mającym z jakichś powodów nadzwyczaj przyjemny wpływ na tę funkcję twoich ulubieńców, która zawsze się manifestuje niezwykle silnie aż do ich śmierci i nazywa „próżność”.

Muszę ci szczerze wyznać, że bardzo trudno jest prawidłowo określić takie tamtejsze typy i to nie tylko w zwykłej mowie, lecz nawet w języku naszego wielce mądrego Mułły Nasr Eddina.

Można o nich najwyżej powiedzieć, że są po prostu „wybrykami natury”.

Prawdę mówiąc, chociaż twoi ulubieńcy różnie ich nazywają, to zarówno arystokraci, jak i zeurokraci są pod każdym względem do siebie podobni i cechują ich identyczne właściwości wewnętrzne.

Pamiętasz, opowiadałem ci już kiedyś, że w różnych społeczeństwach na twojej planecie istnieją dwa rodzaje, jak się tam mówi, „ustrój ów państwowych”.

Jeden nazywa się „ustrojem monarchicznym”, a drugi „republikańskim”.

Otóż w społeczeństwach; gdzie panuje ustrój republikański, takie typy zwane są „zeurokratami”, a tam, gdzie panuje ustrój monarchiczny, „arystokratami”.

Abyś miał jakieś wyobrażenie o tych dwóch ziemskich typach, sądzę, że najlepiej będzie, jeśli opowiem ci o tym, jakie zdumienie ogarniało mnie za każdym razem na twojej planecie, gdy przypadkowo napotykałem te „nieporozumienia”. Przy takich okazjach zawsze zadawałem sobie pytanie: „Jak to możliwe, że tego rodzaju ziemskie typy są w stanie egzystować na tej oryginalnej planecie prawie tak długo jak wszystkie inne tamtejsze istoty trój mózgowe?”

Podobne pytanie budziły już we mnie istoty należące tam do kasty biurokratów, lecz w ich przypadku potrafiłem jeszcze znaleźć jakąś odpowiedź. Fakt faktem, że ich „serie przeżyć” są bardzo ograniczone, ale przynajmniej mogą na nie liczyć o każdej porze dnia i nocy.

Otóż, jak wykazały moje obserwacje, wszystkie przeżycia tamtejszych arystokratów i zeurokratów sprowadzają się tylko do trzech serii.

Pierwsza dotyczy kwestii jedzenia, druga składa się ze wspo-



mnień związanych z niegdysiejszym funkcjonowaniem ich narządów płciowych, trzecią zaś tworzą wspominki o ich pierwszej niani.

A jak to się dzieje, że istoty, które w sumie mają do dyspozycji tylko te trzy serie przeżyć, cechuje taka sama długość egzystencji jak pozostałe istoty na powierzchni twojej planety, pozostanie dla mnie na zawsze nierozwiązaną zagadką.

Mówi się, że nad tą samą zdumiewającą kwestią, to znaczy nad pytaniem: „Jak to możliwe, że te ziemskie typy są w stanie egzystować na powierzchni planety?” zaczął kiedyś głęboko rozmyślać nawet wielki chytrus Lucyfer i tak bardzo pograżył się w tych rozmyślaniach, że wszystkie włosy na końcu ogona mu posiwiały.

Po tym, co już powiedziałem o tych, nazwijmy to, „wybrykach natury” mogę jeszcze tylko spróbować ci wyjaśnić, dlaczego istoty tego samego pokroju noszą tam tak odmienne nazwy.

Powiedziałem „spróbować” ponieważ sam nie wiem, jaka jest tego dokładna przyczyna, ale biorąc pod uwagę rdzenie obu słów, z których te nazwy zostały utworzone, chyba się nie pomylę, jeśli stwierdzę, iż ta różnica wzięła się z pewnego tamtejszego zwyczaju.

Powinieneś wiedzieć, że twoi ulubieńcy z jakichś powodów bardzo lubią od czasu do czasu organizować tam tak zwane widowiska lalkowe.

Również z jakichś powodów bardzo zależy im na tym, żeby w tych „teatrykach kukiełkowych” uczestniczyli zeurokraci lub arystokraci i dlatego zawsze wciągają ich do swoich „przedstawień”.

Jednakże ze względu na to, że takie tamtejsze istoty są w środku zupełnie puste i wskutek tego słabe, inne istoty danego społeczeństwa muszą je w trakcie tych „widowisk lalkowych” podtrzymywać.

Otóż właśnie sposób ich podtrzymywania, czy raczej wybór ręki, którą się je podtrzymuje, spowodował ową różnicę w na-

zwach, a mianowicie: w społeczeństwach, gdzie istnieje „ustrój monarchiczny” przyjęło się od dawna podierać je prawą ręką, stąd takie typy zwane są w tych społeczeństwach „arystokratami”.

Natomiast w społeczeństwach, gdzie panuje „ustrój republikański” są one podtrzymywane lewą ręką i nazywane „zeurokratami”.

W związku z tą różnicą w nazwach ziemskich istot przypomniało mi się jeszcze jedno wyborne stwierdzenie naszego mądrego Mułły Nasr Eddina.

Któregoś dnia, kiedy rozmawialiśmy o tym, czym różnią się rozprawy sądowe i wyroki wydawane przez tureckich i perskich „kazi”, czyli sędziów, powiedział mi, nawiązując do waloru ich sprawiedliwości:

„Ech! Mój drogi przyjacielu!

Czy gdziekolwiek na Ziemi istnieje taki sąd, który potrafi mądrze rozpatrzyć winy człowieka?

Kazi są wszędzie tacy sami, tylko mówi się na nich inaczej. W Persji nazywa się ich «perskimi», a w Turcji «tureckimi».

Tak samo jest ze wszystkim na Ziemi; osioł jest zawsze osłem, jedynie różnie się go nazywa.

Na przykład gatunek osła, który na Kaukazie zwany jest «karabaskim», w Turkiestanie nazywa się «chorasańskim»”.

Te jego rozsądne słowa utkwily mi na zawsze w mózgu i miałem je w pamięci za każdym razem, gdy w trakcie mojej egzystencji na twojej planecie musiałem dokonać jakiegoś porównania.

Niechaj jego imię będzie wiecznie sławione na owej planecie, gdzie przyszedł na świat i został ukształtowany!

A zatem, mój chłopcze!...

Powtarzam jeszcze raz: gdyby z jakichś powodów przyszło ci egzystować na ich planecie, miej zawsze na uwadze, że wspomniana przeze mnie słabość rozwija się zarówno w zwykłych

tamtejszych inteligentach, jak i wśród tych, którzy się od nich wywodzą i należą do jednej z tych wyliczonych kast noszących nazwy kończące się na „kraci”.

Teraz zaś, po tej dygresji, którą zrobiłem, abys mógł odnieść z niej praktyczny pożytek, wróćmy do poruszonej przez nas poważnej kwestii.

Zacznę od obiecannej opowieści o tym, jak powstało, a potem rozpadło się stowarzyszenie ziemskich istot, które wysunęło hasło: „Ziemia należy do Wspólnego Stworzyciela i jest jednakowo wolna dla każdego Jego stworzenia” gdyż informacje na ten temat pozwolą ci dobrze zrozumieć pierwszą i główną przyczynę tego, że tam, na twojej planecie, stało się już rzeczą prawie nieuchronną, iż te nieszczęsne trójmózgowe istoty naszego Wielkiego Megalokosmosu muszą przeprowadzać takie procesy okresowego unicestwiania się nawzajem.

Zarazem się także dowiesz, w jaki sposób miejscowa Przyroda w sytuacji, gdy jakieś nieprzewidziane zdarzenie zakłóca jej prawidłowe funkcjonowanie na potrzeby ogólnokosmicznego Trogoautoegokrata, sama tak się, można by powiedzieć, przystosowuje, by jej rezultaty odpowiednio zespoliły się z harmonią tego przeogromnego kosmicznego prawa.

Wspomniane stowarzyszenie ziemskich istot-ludzi powstało, jak ci już mówiłem, sześć lub siedem wieków temu na kontynencie Azja, w mieście, które nazywało się wtedy „Mosulopoli”.

A przyczyna jego powstania była następująca:

Tak się złożyło, że w owym okresie wyjątkowo często występowały na tym kontynencie wspomniane przeze mnie procesy.

Niektóre zachodziły między różnymi społeczeństwami, a inne w obrębie tych samych społeczeństw.

Te drugie zaczęto tam później nazywać „wojnami domowymi”.

Jedną z głównych przyczyn owych przeraźliwych procesów, które w tamtym okresie zaczęły coraz częściej występować na kontynencie Azja, i to zarówno między poszczególnymi społeczeństwami, jak i wewnątrz nich, była stosunkowo niedawno po-

wstała religia, wyfantazjowana na podstawie nauczania posłańca naszego nieskończonego, a mianowicie świętego Mahometa.

Stowarzyszenie, o którym mówiłem, utworzono z inicjatywy członków bractwa istniejącego wówczas w Azji Środkowej pod nazwą „Sobór Oświeconych”.

Trzeba zresztą zaznaczyć, że w tamtych czasach pozostałe trójmózgowe istoty prawie całej ich planety otaczały tych braci wielką czcią, toteż owo bractwo niekiedy nazywano również „Soborem wszystkich żywych świętych Ziemi”.

To bractwo ziemskich istot trójmózgowych zostało założone już dawno temu przez istoty, które, dostrzegłszy w sobie następstwa właściwości organu kundabufor, zjednoczyły się, aby pracować wspólnie nad uwolnieniem się od nich.

Tak więc gdy te przeraźliwe procesy unicestwiania się nawzajem zaczęły coraz częściej występować na ich własnym kontynencie Azja, niektórzy członkowie wspomnianego bractwa, z sędziwym Bratem Olmantaburem na czele, jako pierwsi postanowili zbadać, czy na ich planecie można w jakiś sposób doprowadzić, nawet jeśli nie do ostatecznego zlikwidowania tego okropnego zjawiska, to przynajmniej do pomniejszenia tak rażącego zła.

Poświęciwszy się realizacji tego postanowienia, zaczęli odwiedzać różne kraje kontynentu Azja i głosząc wszędzie, jak potworną zbrodnią i grzechem są takie działania, „przemówili do sumienia” wielu ludzi, którzy zaczęli się z nimi solidaryzować.

Rezultatem wszystkich ich bezstronnych i prawdziwie humanitarnych trudów było utworzenie w mieście Mosulopoli tego liczego i poważnego stowarzyszenia istot-ludzi noszącego nazwę „Ziemia należy do Wspólnego Stworzyciela i jest jednakowo wolna dla każdego Jego stworzenia”.

We wspomnianym celu członkowie tego stowarzyszenia istot-ludzi już od samego początku podjęli się realizacji wielu rzeczy, których żadne istoty na Ziemi ani wcześniej, ani później nie były w stanie zrealizować.

A udało im się to tylko dlatego, że prawie cały ich program już na starcie był bardzo dobrze opracowany z punktu widzenia jego wykonalności w istniejących tam warunkach.

Ów podstawowy program zawierał między innymi serię posunięć, które zmierzały do osiągnięcia następujących rezultatów: po pierwsze, ustanowienia dla wszystkich istot kontynentu Azja jednej wspólnej religii, którą mieli zamiar stworzyć na podstawie nieco zmienionego nauczania sekty „parsów”; po drugie, używania przez wszystkich jednego wspólnego języka, czyli zgodnie z ich zamysłem „turkijskiego” – najstarszego na tym kontynencie języka, którego rdzenie trafiły już do wielu języków azjatyckich; a po trzecie, podstawowy program ich stowarzyszenia zakładał utworzenie w centrum Azji, w mieście Margelan, czyli stolicy „chanatu fergańskiego”, jednego wspólnego rządu dla wszystkich krajów Azji, który miał się nazywać „Rada Starców” i składać z powszechnie szanowanych istot wszystkich społeczeństw tego kontynentu.

Jak wskazywała sama nazwa, w skład tej rady mogły wchodzić tylko najbardziej sędziwe i zasłużone istoty, ponieważ, jak sądzili, jedynie takie istoty na ich planecie miały szansę okazać się bezstronne i sprawiedliwe wobec wszystkich innych ziemskich istot, bez względu na ich religię czy narodowość.

Już wtedy w mieście Mosulopoli członkami tego stowarzyszenia były istoty należące do prawie wszystkich społeczeństw azjatyckich.

Można było spotkać wśród nich „Mongołów”, „Arabów”, „Kirgizów”, „Gruzinów”, „Małorusinów” i „Tamilów”, a nawet osobistego przedstawiciela słynnego ówczesnego zdobywcy Tamerlana.

Dzięki ich prężnej, naprawdę bezstronnej i pozbawionej egoizmu działalności wojny oraz wojny domowe, które szerzyły się wówczas na kontynencie Azja, zaczęły przycichać i żywiono nadzieję, że uda się zrobić jeszcze wiele innych dobrych rzeczy z myślą o tym samym celu.

Ale właśnie wtedy zdarzyło się coś, co zainicjowało upadek tak-

że tego stowarzyszenia skutecznych istot-ludzi z owej nieprześcignionej planety.

Na te wszystkie dalsze wydarzenia wywarł wpływ bardzo słynny ówczesny filozof Atarnach, a także jego teoria, którą wyłożył w traktacie zatytułowanym „Dlaczego na Ziemi wybuchają wojny?”

Pojawienie się tego filozofa w gronie członków stowarzyszenia spowodowało, że wszystkie ich pojęcia zostały wywrócone do góry nogami.

Historię filozofa Atarnacha znam także doskonale, albowiem w trakcie badań, które prowadziłem nad rezultatami dokonań Przenajświętszego Asziaty Szyjemasza, musiałem zebrać szczegółowe informacje zarówno o działalności tego filozofa, jaki oczywiście o nim samym.

Filozof Atarnach urodził się w mieście Mosulopoli w rodzinie tak zwanych Kurdów.

Po osiągnięciu wieku odpowiedzialnego faktycznie stał się, jak na planetę Ziemia, bardzo wielkim uczonym.

Kurd Atarnach zaczął od tego, że poświęcił wiele ziemskich lat na wytrwałe przestudiowanie każdej możliwej kwestii, która, jak się mu wydawało, mogła dostarczyć odpowiedzi na pytanie: „Jaki jest generalnie sens egzystencji człowieka?” Właśnie w czasie tych studiów wpadł mu w ręce pewien bardzo stary, dobrze jednak zachowany „sumeryjski rękopis”.

Rękopis ten był w dobrym stanie, ponieważ został napisany krwią istoty „czirman” na skórkach istot-węży zwanych „kalian-dzesz”.

Jak wykazały moje badania, treść tego rękopisu, autorstwa jakiegoś starożytnego uczonego, nadzwyczaj zainteresowała filozofa Atarnacha; szczególnie uderzył go fragment, w którym tamten uczoney stawiał następującą hipotezę:

„Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa w świecie działa jakieś prawo wspierania się nawzajem wszystkiego, co istnieje. A zatem najwyraźniej również nasze życie służy w świecie do

wspierania czegoś wielkiego lub małego”.

Ta myśl, wyrażona w tym starożytnym rękopisie, tak zafascynowała filozofa Atarnacha, że od tamtej pory całkowicie poświęcił się badaniu interesującej go kwestii wyłącznie od tej strony.

Otóż właśnie ta idea posłużyła za podstawę całej jego hipotetycznej teorii, którą – po kilku latach żmudnych badań oraz skomplikowanych testów pozwalających na wyprowadzenie własnych wniosków – wyłożył w swym głównym dziele „Dlaczego na Ziemi wybuchają wojny?”

Z tą jego teorią także udało mi się zapoznać.

Trzeba przyznać, że była bliska rzeczywistości.

Wszystkie założenia Kurda Atarnacha zgadzały się z esencją istniejącego w naszym Wszechświecie wielkiego podstawowego kosmicznego prawa Trogoautoegokrat, które wyjaśniłem ci w miarę szczegółowo, kiedy mówiłem o świętej planecie Czyściec.

W swej teorii filozof Atarnach stanowczo dowodził, że w świecie z pewnością musi działać prawo „wspierania się nawzajem wszystkiego, co istnieje” że do tego wzajemnego wspierania się służą pewne substancje chemiczne, dzięki którym zachodzi proces uduchawiania istot, czyli „życie” i że te substancje chemiczne zaczynają wspierać wszystko, co istnieje, dopiero po ustaniu danego życia, to znaczy kiedy dana istota umiera.

W tej samej teorii szczegółowo udowadniał za pomocą wielu logicznych zestawień, że w wiadomych okresach musi koniecznie następować na Ziemi taka określona liczba śmierci, jaka jest w sumie potrzebna do wytworzenia wibracji, by tak rzec, „określonej mocy”.

Pewnego dnia w trakcie walnego zebrania członków wspomnianego stowarzyszenia Kurd Atarnach – ta niepospolita ziemska istota trójmózgowa wybrana na przedstawiciela przez całą ludność kraju noszącego nazwę „Kurdystan” – na prośbę pozostałych członków bardzo szczegółowo i tak porywająco zaprezentował swoją teorię, że wywołała ona wśród działaczy tego stowarzyszenia wielkie zamieszanie i popłoch.

Owa teoria wstrząsnęła nimi do tego stopnia, że początkowo zapanowała wśród nich długa, jak mówią tam, „grobowa cisza” i z powodu tego osłupienia wszyscy zastygli w bezruchu. Dopiero po dłuższej chwili podniosła się nagle taka wrzawa i jazgot, jakby życie każdego z nich zależało od stopnia jego podniecenia i gwałtowności, z jaką wyrażał je na zewnątrz.

Skończyło się tym, że jeszcze tego samego dnia późno w nocy jednomyślnie postanowili wybrać spośród siebie kilka uczonych istot, których zadaniem miało być gruntowne zapoznanie się ze szczegółami tej wywołującej w nich zdumienie teorii, a następnie złożenie na walnym zebraniu dokładnego raportu w tej sprawie.

Już od następnego dnia ci wybrani uczeni-członkowie stowarzyszenia „Ziemia należy do Wspólnego Stworzyciela i jest jednako wolna dla każdego Jego stworzenia” zaczęli zaznajamiać się z teorią Atarnacha.

Ale na nieszczęście wszystkich trójmózgowych istot mających powstać w przyszłości na tej nieszczęsnej planecie okazało się, że chociaż wybrani uczeni-członkowie byli wszyscy co do jednego istotami sędziwymi i już niemal całkowicie zanikły w nich te szkodliwe funkcje, które sprawiają, że ziemskie istoty w swym byciu stają się, by tak rzec, „zazdrosne i chciwe”, jednak niektórzy z nich, z różnych przyczyn, a głównie z powodu wychowania otrzymanego w dzieciństwie, wciąż nie mieli wystarczającej podstawy do tego, by przekonać się o niemożności zrealizowania marzeń, jakie podsuwało im to nienormalne wychowanie, toteż nie byli jeszcze dostatecznie rozczarowani, by okazać w pełni bezstronność i sprawiedliwość.

Z tego powodu już od pierwszego dnia, zapoznając się krok po kroku ze szczegółami owej zdumiewającej teorii, zaczęli popadać w stan rasowych ziemskich istot – to znaczy zapominać o tych niezwykłych hipotezach, które zawierała teoria Atarnacha, a które tak ich uderzyły – i powoli wracając, co jest charakterystyczne dla tamtejszych istot trójmózgowych, do swoich wcześniejszych, typowo subiektywnych i przez to stale zmieniających się przekonań, szybko podzielili się na dwa przeciwstawne ugrupowania.



Część z nich prostodusznie, bez żadnej logicznej krytyki, przyjęła na wiarę wszystkie hipotezy zawarte w tej teorii, podczas gdy inni, co zresztą też jest typowe dla większości ziemskich „uczonych”, zaczęli dyskutować i stawiać tezy będące dokładnym zaprzeczeniem tych samych hipotez, aż w końcu stali się wrogami nie tylko teorii Atarnacha, lecz nawet jego samego.

Jednym słowem, mój chłopcze, uczeni, których wybrano, aby szczegółowo zbadali teorię Atarnacha, zamiast pomóc pozostałym członkom tego stowarzyszenia i wyprowadzić ich ze stanu podniecenia oraz konsternacji, a także spróbować ich pojednać, swoimi sporami spowodowali w ich poglądach jeszcze większy zamęt, tak że stopniowo w zbiorczej obecności każdego członka tego poważnego stowarzyszenia zaczęły się automatycznie kształtować dane prowadzące do dwóch zupełnie przeciwstawnych przekonań.

Pierwsze sprowadzało się do tego, że wszystko rzeczywiście dzieje się tak, jak głosi teoria filozofa Atarnacha, to znaczy, że na Ziemi zupełnie niezależnie od intencji samych ludzi muszą co jakiś czas wybuchać „wojny” i „wojny domowe”. Natomiast drugie przekonanie pokrywało się z tym, które wcześniej podzielał ogół członków stowarzyszenia, mianowicie, że jeśli uda się im zrealizować swój program, to będzie można całkowicie wykorzenić to szerzące się na ich planecie zło, a wtedy wszystko potoczy się w pożądanym kierunku.

Od tego momentu między członkami tego stowarzyszenia zaczęły wybuchać spory, kłótnie oraz scysje i znowu zdarzyło się to, co, jak już wspominałem, od dawna stało się tam zwyczajem, a mianowicie te ich spory i zatargi stopniowo przeniosły się również na tamtejsze zwykłe istoty, w tym wypadku mieszkańców miasta Mosulopoli, powodując, że ich nienormalną psychikę ogarnęło wzburzenie.

Nie wiadomo, czym by się to wszystko skończyło, gdyby nie to, że właśnie wtedy przybyli tam bracia z „Soboru Oświeconych” i wmieszali się w ten spór.

Pod ich wpływem wszyscy członkowie tego poważnego stowa-

rzyszenia stopniowo się opanowali i odzyskawszy spokój oraz powagę, zaczęli rozmyślać, a następnie rozstrzygać o tym, co mają dalej robić.

Te rozważania i debaty doprowadziły do tego, że jednomyślnie wybrali Kurda Atarnacha na swojego przywódcę i poprosili go, żeby pomógł im znaleźć wyjście z tej beznadziejnej dla ludzi sytuacji.

Po kilku zebraniach, które odbyły się już pod kierownictwem filozofa Atarnacha, doszli jednogłośnie do następujących stanowczych wniosków:

„Zgodnie z prawami Przyrody i niezależnie od woli ludzi zawsze będą musiały cyklicznie wybuchać na Ziemi «wojny» i «wojny domowe», a to dlatego, że w pewnych okresach upływu czasu Przyrodzie potrzebna jest większa liczba śmierci.

Tak więc z wielkim żalem i nieuchronną wewnętrzną rezygnacją wszyscy jesteśmy zmuszeni uznać, że żadne postanowienia ludzkiego rozumu nie są w stanie zapobiec rozlewowi krwi – i to zarówno między państwami, jak i wewnątrz państw. A zatem jednomyślnie postanawiamy zamknąć sprawy bieżące oraz zlikwidować cały dorobek naszego stowarzyszenia i chcąc nie chcąc rozejść się do domów, by znowu dźwigać tam nieuniknione «brzemie codziennego życia»”.

Dopiero po powzięciu tej stanowczej uchwały, kiedy wszyscy bez wyjątku członkowie tego rzeczywiście poważnego stowarzyszenia postanowili, że jeszcze tego samego dnia zabiorą się do zamykania wszystkich swoich spraw, Atarnach, którego uważano tam wprawdzie za autentycznego uczonego, ale który był przy tym bardzo dumnym i samolubnym Kurdem, wszedł na katedrę i powiedział:

„Moi czcigodni koledzy!

Bardzo szczerze żałuję, że mimowolnie stałem się przyczyną likwidacji tego wielkiego filantropijnego przedsięwzięcia, w które wy, najczcigodniejsi i najmądrzejsi ludzie ze wszystkich krajów na Ziemi, wkładaliście przez kilka lat wiele takich bezstronnych

i nieegoistycznych trudów, jakich nigdy na Ziemi ludzie nie byli i nie będą zdolni podjąć na rzecz innych – to znaczy ludzi całkiem im obcych i obojętnych.

Przez wiele lat nieprzerwanie pracowaliście, aby osiągnąć najistotniejsze dla was dobro, i teraz ta moja teoria, nad którą sam trudziłem się sporo lat, czyniąc to też dla pożytku ludzi zupełnie mi obcych, stała się przyczyną unicestwienia waszych wytrwałych trudów i szlachetnych dążeń.

W ciągu kilku ostatnich dni świadomość, że w pewien sposób jestem winny wszystkim powstałym wśród was nieporozumień, nie dawała mi spokoju i bez przerwy się zastanawiałem, czy nie dałoby się jakoś zmyć tej mojej niezamierzonej winy.

A zatem, mądrzy koledzy, wybrani ze wszystkich krajów Ziemi, chcę się teraz podzielić z wami ostatecznym wnioskiem, który wysnułem dzięki moim rozmyśleniom.

Nawet jeśli odkryte przeze mnie uniwersalne prawa stanęły na przeszkodzie użyciu środków, które, zgodnie z waszymi oczekiwaniami, miały zapewnić ludziom określoną pomyślność, to – jakkolwiek dziwne wyda się to wam w pierwszej chwili – te same prawa, wykorzystane w inny sposób, mogą się przyczynić do osiągnięcia postawionego sobie przez nas celu.

Oto co należy zrobić:

Rezultaty wszystkich moich badań jasno dowodzą, że Przyroda wymaga tego, by w niektórych okresach występowała na Ziemi pewna liczba śmierci; ale jednocześnie udało mi się ustalić, że z punktu widzenia potrzeb Przyrody nie ma znaczenia, jakie to będą śmierci – śmierci ludzi czy śmierci innych form życia.

Bezpośrednio wynika więc z tego, że jeśli zapotrzebowanie Przyrody na taką liczbę śmierci zaspokoi śmierć innych form życia na Ziemi, to oczywiście odpowiednio zmniejszy się wtedy liczba wymaganych śmierci samych ludzi.

A można to w pełni osiągnąć, pod warunkiem że wszyscy członkowie naszego stowarzyszenia będą pracować dalej z taką samą intensywnością, tyle że nie po to, aby realizować nasz do-

tychczasowy program, lecz żeby na większą niż przedtem skalę wskrzesić wśród ludzi na Ziemi prastary zwyczaj składania ofiar ichnim bogom i świętym poprzez zabijanie innych form życia”.

Kiedy ten dumny Kurd skończył przemowę, członków stowarzyszenia ogarnęło nie mniejsze zdumienie i zakłopotanie niż wtedy, gdy po raz pierwszy wygłosił swoją słynną teorię.

Po tym doniosłym wystąpieniu przez prawie trzy dni i noce się nie rozchodzili, a pomieszczenia oddane do dyspozycji temu ogólnoplanetarnemu stowarzyszeniu istot-ludzi przez mieszkańców Mosulopoli wypełniał nieprzerwany gwar ożywionych sporów i wystąpień; czwartego dnia zwołano w końcu oficjalne walne zebranie, na którym jednomyślnie podjęto rezolucję, by odtąd postępować tak, jak wskaże im wielki Kurd, filozof Atarnach.

Jeszcze tego samego dnia zmieniono nazwę stowarzyszenia.

Kilka dni później członkowie tego stowarzyszenia, zjednoczeni już pod nowym hasłem: „Ziemia należy tylko do ludzi” opuścili miasto Mosulopoli i rozjechali się do swych rodzinnych krajów, gdzie zgodnie z ogólnymi wytycznymi filozofa Atarnacha zajęli się wskrzeszaniem i ponownym wpajaniem ludziom zamieszkującym kontynent Azja idei „sprawiania przyjemności” ichnim bogom i bożyszczom przez zabijanie istot o różnych formach.

I rzeczywiście, kiedy zaczęli wprowadzać w życie ten swój nowy program, na całym kontynencie Azja bardzo szybko odrodził się zwyczaj składania ofiar tym ich wyimaginowanym „świętym” przez unicestwianie egzystencji różnych słabych albo głupich jednomózgowych i dwumózgowych istot.

Członkowie tego nowego stowarzyszenia „Ziemia należy tylko do ludzi” od samego początku realizowali to swoje zadanie przede wszystkim za pośrednictwem „duchowieństwa” owej religii, która została stworzona na podstawie nauczania świętego Mahometa i była w tamtym okresie bardzo popularna na całym kontynencie Azja.

Tym razem ów zwyczaj rozpowszechnił się jeszcze bardziej niż wtedy, gdy zstąpiłem tam na prośbę Anioła Luizosa, aby podjąć

próbę wyplenienia wśród trójmózgowych istot tego właśnie zwyczaju, który wydał się wówczas Jego Zgodności bardzo niepożądany z punktu widzenia zjawisk kosmicznych o dużym zasięgu, a to dlatego, że w tamtym czasie bardzo już wzrosła liczba twoich ulubieńców, a wraz z nią liczba tych, którzy chcieli „sprawić przyjemność” swoim fantastycznym bożyszczom.

Tak więc znowu zaczęto tam unicestwiać egzystencję istot o innych formach, ale już nie tylko u siebie w domu, w atmosferze rodzinnej, lecz także publicznie, w specjalnie przeznaczonych do tego miejscach.

Większość tych specjalnych miejsc tym razem upamiętniało w ten czy inny sposób świętego Mahometa lub jego współtowarzyszy.

Liczba tego rodzaju zabójstw z roku na rok wzrastała tam w takim tempie, że zaledwie sto tamtejszych lat po powstaniu stowarzyszenia „Ziemia należy tylko do ludzi” w jednym bodaj miejscu unicestwiano corocznie nawet sto tysięcy istot takich samych jak te, które ofiarowywano również w dawnych czasach, czyli „byków” „owiec”, „wielbłądów” itd.

W ciągu ostatnich dwóch wieków takimi szczególnie czczonymi i ulubionymi miejscami stały się miasta Mekka i Medyna w Arabii, miasta Meszhed i Bagdad, okolice Jenikiszłaku w Turkiestanie i jeszcze kilka innych.

Jednym słowem tam, na kontynencie Azja, znowu „krew się lała strumieniami”.

Najwięcej ofiar składano w trakcie świąt muzułmańskich zwanych „Bajram” i „Kurban”, a także podczas świąt chrześcijańskich występujących tam pod nazwami „Zapusty” „Dzień św. Jerzego” itd.

W taki sposób, mój chłopcze, kiedy dzięki usilnym staraniom członków stowarzyszenia „Ziemia należy tylko do ludzi” owa anomalia ponownie przyjęła się wśród tamtejszych istot trójmózgowych, faktycznie te ich przeraźliwe procesy zaczęły zachodzić rzadziej i na mniejszą skalę, wskutek czego „śmiertelność” wywo-

łana tymi procesami też się zmniejszyła, ale ogólnie śmiertelność trójmózgowych istot wcale nie zmalała, wprost przeciwnie, wzrosła, ponieważ przy ciągłej degradacji ich egzystencji istnie- niowej i spowodowanym przez to pogorszeniu jakości wibracji, które są emitowane przez ich obecność i których wymaga od nich Przyroda, z jednej strony długość ich egzystencji jeszcze bardziej się skróciła, a z drugiej – wzrósł tak zwany współczynnik uro- dzeń.

Tak to wyglądało aż do czasu, gdy na tym samym kontynencie niejaki Assadulla Ibrahim Ogly, słynny perski derwisz, który przyszedł tam na świat i stał się odpowiedzialną istotą, nadał temu wszystkiemu inny kierunek.

Derwisz Assadulla Ibrahim Ogly rozpoczął swą działalność za- ledwie trzydzieści lub czterdzieści ziemskich lat temu.

Będąc tylko prostym i gorliwym wyznawcą religii mahometań- skiej i nie mając tak solidnej i głębokiej wiedzy jak Kurd Atarnach, widział w zwyczaju składania ofiar jedynie przerażającą niespra- wiedliwość, jakiej ludzie się dopuszczają wobec istot o innych formach, toteż celem swojej egzystencji uczynił doprowadzenie za wszelką cenę do wytepienia na Ziemi tego, jego zdaniem, anty- religijnego obyczaju.

Odtąd zaczął więc podróżować po kontynencie Azja – głównie po krajach, gdzie wśród trójmózgowych istot wyznawcy religii mahometańskiej stanowili większość – i działał tam najczęściej poprzez takich samych jak on derwiszów, których na kontynen- cie Azja można spotkać prawie we wszystkich społeczeństwach.

Ten zaradny i energiczny perski derwisz Assadulla Ibrahim Ogly bardzo zręcznie przekonywał wszędzie owych derwiszów o „prawdzie” swojej idei, a ci z kolei przekonywali potem zwykłe istoty całego kontynentu Azja, że nie tylko Bóg nie życzy sobie unicestwienia egzystencji istot o innych formach, ale jeszcze jego sprawców spotka na tamtym świecie, w Piekło, podwójna kara: jedna za własne „grzechy”, a druga za „grzechy” istot, które uni- cestwili, itd.

Dzięki tego rodzaju kazaniom o „tamnym świecie” głoszonym przez derwiszów, uważanych w tej kwestii za wielkie autorytety, rzeczywiście istoty Azji zaczęły z roku na rok składać coraz mniej ofiar.

Końcowym rezultatem całej działalności tego „dobrego” perskiego derwisza był ostatni tamtejszy wielki proces unicestwiania się nawzajem, czyli, jak nazwali go twoi ulubieńcy, „wielka wojna światowa”.

Tak więc, mój chłopcze, chociaż ten niepospolity uczony Kurd Atarnach postawił w swojej teorii hipotezy, jak ci już powiedziałem, bardzo bliskie rzeczywistości, to jednak nie zdołał zrozumieć rzeczy najważniejszej, mianowicie, że w przypadku wymaganych przez Przyrodę wibracji, które powinny być wytwarzane przez promieniowania istot zarówno w czasie ich egzystencji, jak i wskutek procesu ich Raskuarno, nie liczy się ilość tych wibracji, lecz wyłącznie jakość.

Najprawdopodobniej Kurd Atarnach, który był przecież na Ziemi istotą niecodzienną, także i to zdołałby zrozumieć, gdyby miał możliwość poznać szczegóły rezultatów uzyskanych tam po tym, gdy na jego planecie ustaliły się już mniej więcej warunki egzystencji istnieniowej specjalnie stworzone – dzięki przenajświętszym trudom Esencję Miłującego Przenajświętszego Asziaty Szjemasza – dla powstających na tej planecie istot trójmózgowych.

We wspomnianym okresie odnotowano u nich spadek nie tylko „śmiertelności”, ale także „wskaźnika urodzeń”.

Powodem zmniejszenia się ich wskaźnika urodzeń było to, że kiedy tamtejsze istoty trójmózgowe zaczęły egzystować prawie tak, jak istotom trójcentrowym przystoi, i rozchodzące się od nich promieniowania tworzyły wibracje bliższe tym, jakich wymaga od nich Przyroda na potrzeby przeogromnego ogólnokosmicznego Trogoautoegokrata, a w szczególności do wspierania Księżyca i Anuliosa, Wielka Przyroda nie omieszkała się dostosować do spadku ich przyrostu naturalnego, tym bardziej że w nadchodzącym okresie zapotrzebowanie na owe wibracje wspierające istnienie planety Księżyca miało się zmniejszyć.

Ów aspekt tej zasadniczej kwestii związanej ze znaczeniem i celem egzystencji twoich ulubieńców jest tak ważny i pozwala zrozumieć tyle dziejących się tam, na Ziemi, rzeczy – w tym także przyczyny wybuchania wojen – że sądzę, iż powinienem poruszyć go jeszcze raz.

Jak zapewne pamiętasz, o tym, że przeznaczeniem istot, które powstają na twojej planecie, jest przede wszystkim wytwarzanie – poprzez sam proces ich egzystencji – wibracji potrzebnych Przyrodzie do wspierania niegdysiejszych części tej planety, zwanych obecnie „Księżycem” i „Anuliosem”, dowiedziałem się po raz pierwszy w czasie drugiej, osobistej rozmowy, którą miałem zaszczyt odbyć z Jego Zgodnością, wówczas jeszcze Aniołem, a dziś Archaniołem Luizosem.

Jego Zgodność powiedział mi wtedy, że wprawdzie ruch obu byłych części planety Ziemia w ramach ruchu ogólnej harmonii został już ostatecznie wyregulowany i na najbliższe lata całkowicie udało się zażegnać wszelkie niebezpieczeństwo niespodzianek, niemniej, aby uniknąć w dalekiej przyszłości jakichkolwiek komplikacji, Najwyższe i Najświętsze Indywidua stanowczo postanowiły urzeczywistnić na tej planecie odpowiednie środki pozwalające na przejawienie się tego, co zwie się „Askokinem”, tak by owa święta substancja kosmiczna – niezbędna do wspierania Księżyca i Anuliosa – mogła nieustannie uchodzić z twojej planety.

Jego Zgodność wyjaśnił mi jeszcze, że ogólnie owa substancja kosmiczna, święty Askokin, istnieje w całym Wszechświecie w połączeniu ze świętymi substancjami „Abrustdonis” i „Helkdonis”, więc aby ta święta substancja Askokin mogła się okazać życiodajna z punktu widzenia udzielania tego rodzaju wsparcia, musi ona przede wszystkim odłączyć się od dwóch wymienionych świętych substancji.

Szczerze mówiąc, mój chłopcze, nie od razu zrozumiałem wszystko, co mi wtedy powiedział; stało się to dla mnie jasne dopiero później, kiedy w trakcie moich studiów nad podstawowymi prawami kosmicznymi dowiedziałem się, że ów święty Abrust-



donis i święty Helkdonis to właśnie te substancje, które w istotach trójmózgowych generalnie służą do kształtowania i doskonalenia wyższych ciał istnieniowych, czyli „ciała kesdżan” i „ciała duszy” i że na ogół oddzielenie się świętego Askokina od tych świętych substancji następuje po tym, jak trójmózgowe istoty z dowolnej planety przetworzą je w sobie dzięki świadomym trudom i zamierzonym cierpieniom, aby wykształcić i udoskonalić swoje wyższe ciała.

Dopiero wówczas, gdy twoi ulubieńcy wzbudzili moje zainteresowanie i zacząłem obserwować oraz badać ich dziwną psychikę, ostatecznie zrozumiałem, dlaczego i w jakim celu sama Wielka Przyroda, a także Najwyższe i Najświętsze Indywidua cierpliwie się zawsze do wszystkiego przystosowują, i wyrobiłem sobie w tej sprawie następującą opinię:

Gdyby ci twoi ulubieńcy należycie pomyśleli bodaj o tej jednej rzeczy i zaczęli w tym względzie uczciwie służyć Przyrodzie, to być może ich istnieniowe doskonalenie mogłoby zachodzić automatycznie, nawet bez udziału ich świadomości, a w każdym razie ta biedna Przyroda ich nieszczęsnej planety nie musiałaby wówczas tak „ciężko sapać” i nieustannie się dostosowywać, aby nie wypaść z ogólnokosmicznej harmonii.

Ale na nieszczęście wszystkiego, co istnieje w Megalokosmosie, twoi ulubieńcy nie wypełniają uczciwie swojej powinności nawet wobec owej Przyrody, której przecież zawdzięczają własną egzystencję.

W związku z tym brakiem uczciwości twoich ulubieńców w wypełnianiu obowiązku wobec własnej Przyrody przypomniałem sobie w tym momencie bardzo mądrą sentencję naszego niezrównanego nauczyciela Mułły Nasr Eddina, której ukryty sens znajduje w tym wypadku potwierdzenie.

Otóż powiedział on kiedyś:

„Dżuma i cholera są jednak mniej perfidne niż ludzka uczciwość, bo ludzie, którzy mają sumienie, mogą z nimi jeszcze jakoś żyć w spokoju”.

A więc, mój drogi Hassinie, kiedy się okazało, że instynktowna potrzeba świadomego trudzenia się i zamierzonego znoszenia cierpień w celu przyswojenia oraz przekształcenia w sobie świętych substancji Abrustdonis i Helkdonis – i tym samym wyodrębnienia świętego Askokina potrzebnego do wspierania Księżyca i Anuliosa – ostatecznie znikła z psychiki twoich ulubieńców, wtedy Wielka Przyroda sama musiała się dostosować i zaczęła wydobywać tę świętą substancję innymi sposobami, a jednym z nich są właśnie te tamtejsze przerażające okresowe procesy unicestwiania się nawzajem.

Abyś mógł właściwie ocenić twoich współczesnych ulubieńców, chcę ci przypomnieć, że po tym, jak w trójmózgowych istotach twojej planety uległo zniszczeniu działanie organu kundabufor, już ich pierwsze pokolenia bardzo szybko się dowiedziały, że muszą przekształcać pewną substancję kosmiczną i że pomaganie w tym przekształcaniu jest jednym z ich głównych obowiązków istnieniowych.

Pamiętasz, mówiłem ci, że trójmózgowe istoty kontynentu Atlantyda uważały nawet ten istnieniowy obowiązek za święty i nazywały go „Amarlus”, co w ich języku znaczyło „pomoc dla Księżyca”.

W tamtym czasie, to znaczy w okresie zwanym wówczas „cywilizacją samlioską”, wprowadziły nawet pewne zwyczaje, których rygorystycznie przestrzegały, a które bardzo im pomagały w jak najskuteczniejszym wypełnianiu tego rodzaju obowiązków istnieniowych.

Istoty kontynentu Atlantyda wymyśliły wtedy nawet nader mądry i praktyczny sposób wypełniania tych dwóch powinności istnieniowych – czyli obowiązku doskonalenia swoich wyższych ciał i obowiązku służenia przeogromnemu kosmicznemu Trogoautoegokratowi – łącząc je ze sobą i spełniając je równocześnie.

Takiego połączenia udało się im dokonać w następujący sposób:

W owym czasie na każdym zasiedlonym obszarze, a nawet

w poszczególnych rejonach tych zasiedlonych obszarów, obowiązkowo znajdowały się trzy specjalne bardzo solidne budynki.

Pierwszy, dla istot płci męskiej, zwany był „agurochrostini”.

Drugi, dla istot płci żeńskiej, nazywał się „ginekochrostini”.

A trzeci, dla istot, które były, jak wówczas mówiono, „płci pośredniej” nosił nazwę „anoroparionikima”.

Pierwsze dwa z tych solidnych budynków uchodziły wśród istot kontynentu Atlantyda za święte i były dla nich tym samym, czym dla współczesnych istot na Ziemi są ich „świątynie” „cerkwie” „kaplice” i inne święte miejsca.

Gdy po raz pierwszy zstąpiłem na tę planetę, osobiście zwiedziłem kilka takich budynków na kontynencie Atlantyda i bardzo dobrze zapoznałem się wtedy z ich przeznaczeniem.

W świątyniach męskich, czyli agurochrostiniach, istoty płci męskiej z danego obszaru lub rejonu, znajdując się w szczególnym stanie zwanym „pamiętaniem siebie”, odprawiały po kolei odpowiednie „misteria”.

Istoty kontynentu Atlantyda głosiły określony pogląd, że istoty płci męskiej są źródłem przejawów aktywnych, toteż w tych agurochrostiniach nieprzerwanie oddawały się aktywnej i świadomej kontemplacji i w takim stanie odprawiały odpowiednie święte „misteria”, aby przetworzyć w sobie święte substancje Abrustdonis i Helkdonis.

Robiły to z rozmysłem i w pełni świadomie po to, by pewna święta substancja, która się w nich uwalniała i poprzez ich emanacje rozchodziła, nabierając dalszej życiodajności, mogła się stać aktywną częścią owego świętego prawa zwanego przez nie „Świątą Trójcą”.

W świątyniach ginekochrostiniach zbudowanych dla istot płci żeńskiej, każda kobieta musiała pozostawać przez cały czas trwania pewnych swoich cykli, a mianowicie tych cykli, które współczesne istoty nazywają „menstruacjami”. Przy czym kobiety, zdając sobie sprawę, że są istotami pasywnymi, przez cały okres tego swojego odosobnienia starały się być pasywne, aby wibracje roz-

chodzące się z nich poprzez promieniowanie mogły w dalszym ciągu nabierać życiodajności i służyć w procesie rzeczoności świętego prawa jako jego część pasywna.

To dlatego znajdowały się w owych ginekochroscyniach w stanie całkowitej bierności, świadomie dążąc do tego, żeby o niczym nie myśleć.

W tym celu starały się nie doświadczać w trakcie swoich miesiączek żadnych aktywnych przeżyć i po to, by strumień myślowych skojarzeń nie przeszkadzał się im skupić, wszystko było tam tak zorganizowane, żeby nieustannie przywodziło im na myśl pomyślność ich obecnych lub przyszłych dzieci.

Jeśli zaś chodzi o trzeci rodzaj ówczesnych budynków, zwanych „anoroparionikimami”, to wzniesiono je, jak ci już powiedziałem, dla istot, które nazywano wtedy „płcią pośrednią”, a które nasz Mułła Nasr Eddin nazwałby „nieporozumieniami” lub ludźmi „ni to, ni sio”.

Do istot płci pośredniej należały zarówno istoty płci męskiej, jak i żeńskiej.

Były to istoty, które z różnych powodów straciły już możliwość doskonalenia się lub służenia Przyrodzie, to znaczy, jak wyraził się w jednym ze swoich porzekadeł nasz Mułła Nasr Eddin, „nie były ani dla anioła świeczką, ani dla diabła ogarkiem”.

W tych specjalnych domach trzymano okresowo w odosobnieniu istoty płci męskiej, które z takiej czy innej przyczyny straciły wszelką umiejętność świadomej kontemplacji, bądź istoty płci żeńskiej, które albo nigdy nie miały menstruacji, albo u których menstruacja przebiegała nienormalnie, lub jeszcze te kobiety, które pod względem pożądania seksualnego w pewnych okresach zamieniały się, jak tam mówiono, w „chaneomenie” czy, jak powiedziałaby nasz drogi Mułła, w „autentyczne klacze na wiosnę”.

Istoty kontynentu Atlantyda wiedziały wtedy o kilku określonych i bardzo oryginalnych objawach, na podstawie których rozpoznawano i w konsekwencji zamykano takie istoty w anoropa-

rionikimach.

Te objawy wyglądały tak:

1. Jeśli jakaś istota wierzyła we wszystkie bzdury.
2. Jeśli zaczynała udowadniać innym coś, o czym sama nie miała żadnego pojęcia albo czego nie była pewna.
3. Jeśli nie dotrzymywała danego słowa honoru lub niepotrzebnie się zaklinała.
4. I na koniec, jeśli pojawiała się w niej skłonność do „szpiegowania” i zajmowania się „tiuk-siu-kefem”.

Ale najbardziej bezspornym objawem było pojawienie się u danej istoty tego, na co mówiono wówczas „majasul”, a co współczesne istoty uważają za chorobę i zwa „hemoroidami”.

Tego rodzaju istoty miały obowiązek w okresach wyznaczonych przez istoty z ich otoczenia przebywać non stop w owych anoroparionikimach i nic specjalnego nie musiały tam robić, tylko żyły tak, jak chciały. Chodziło jedynie o to, żeby nie spotykały się ani nie rozmawiały z normalnymi istotami z danej okolicy.

Takie istoty zamykano .wtedy we wspomnianych budynkach, ponieważ zgodnie z ówczesnymi pojęciami w pewnych okresach miesiąca właśnie z powodu tych wymienionych wielorakich „skaz” zakłócały one swoimi emanacjami bardzo spokojną i regularną egzystencję otaczających je istot.

Tak, mój drogi chłopcze!...

W okresie schyłkowym kontynentu Atlantyda tamtejsze istoty miały już wiele doskonałych zwyczajów służących normalnej egzystencji istnieniowej i nie pozostaje nic innego, jak tylko bardzo ubolewać nad twoimi współczesnymi ulubieńcami, ponieważ z powodu drugiej wielkiej katastrofy, którą przeżyła ich nieszczęsna planeta, wspomniany kontynent zapadł się do jej wnętrza wraz ze wszystkim, co się na nim znajdowało, zabierając ze sobą także te dobre zwyczaje, które w ciągu długich wieków stopniowo przeniknęły do procesu ich zwykłej egzystencji.

Nawiasem mówiąc, po zagładzie kontynentu Atlantyda został

tam wskrzeszony wśród późniejszych istot trójmózgowych zwyczaj korzystania w procesie zwykłej egzystencji ze specjalnych budynków, podobnych do tych, o których ci przed chwilą opowiadałem.

Nieodzowną potrzebę istnienia tego rodzaju budowli ponownie zrozumiał i zaczął je stawiać pewien mądry hebrajski król o imieniu Salomon.

Ów specjalny gmach, który postanowił zbudować ten mądry hebrajski król i z którego jeszcze długo po nim korzystali jego poddani, nazywał się „tak-czan-nan”.

Przypominał on ginekochroście z kontynentu Atlantyda i tak jak one przeznaczony był dla istot płci żeńskiej zmuszonych pozostać w nim przez cały czas swoich menstruacji.

Król Salomon szybko ustanowił taki zwyczaj w trakcie swojego mądrego panowania, ponieważ wielokrotnie zauważył, że kiedy istoty płci żeńskiej doświadczały stanu „menstruacji” ich charakter stawał się dla otoczenia, a szczególnie dla mężów, nie tylko nieznośny, lecz także psychoorganicznie szkodliwy, bowiem ich zachowanie i relacje z innymi podobnymi do nich istotami były wtedy labilne, toteż niezwłocznie zdecydował się zaprowadzić wśród poddanych surowe prawo nakazujące im wzniesienie w pobliżu każdego zaludnionego obszaru specjalnych pomieszczeń, w których można by zamykać istoty płci żeńskiej na cały czas trwania wspomnianego stanu.

Miałem nawet okazję przeczytać to uchwalone przez niego prawo.

Głosiło ono między innymi, że kobiety w okresie menstruacji są, w świętym znaczeniu tego słowa, nieczyste i że dla innych, a zwłaszcza dla ich mężów, nie tylko dotykanie ich oznacza wtedy wielki grzech, ale samo rozmawianie z nimi jest naruszeniem świętych praw.

W mężów czy w ogóle w mężczyzn, którzy w tym czasie obcują lub nawet tylko rozmawiają z nimi, wstępuje nieczysta siła lub zły duch, wskutek czego zarówno w codziennych relacjach mię-

dzy mężczyznami, jak i w interesach wynikają z tego jedynie nieporozumienia, kłótnie i wrogość.

Ta ostatnia teza wielkiego ziemskiego mędrca króla Salomona pozostaje do dziś niepodważalną prawdą.

Faktycznie, ta sama przyczyna stanowi do dzisiaj jedną z licznych podstaw tego, że zwykła egzystencja – wzięwszy pod uwagę całą jej zawiłość – stała się dla istot twojej planety zupełnie absurdalna.

U współczesnych ziemskich istot płci żeńskiej w trakcie tego ich stanu jeszcze bardziej nasila się owa specyficzna cecha, której nabyły w ciągu ostatnich stuleci i którą nazywa się tam „histerią”. Ilekroć znajdują się we wspomnianym stanie, zawsze powodują, że istoty z ich otoczenia, a zwłaszcza mężowie, zamieniają się w takie tamtejsze istoty, o których nasz wielki Mułła Nasr Ed-din powiada:

„Cel ich egzystencji sprowadza się do tego, żeby być ofiarą pijawek”.

W rzeczy samej tylko dlatego, że współczesne istoty płci żeńskiej mogą w czasie menstruacji swobodnie się poruszać, wiele współczesnych istot płci męskiej nie dość, że w ogóle nie może utrzymywać między sobą dobrych i przyjacielskich stosunków, to jeszcze bardzo często staje się na skutek tego prawdziwymi „kajającymi się po fakcie bluźniercami”.

Ów dobroczynny zwyczaj wprowadzony przez mądrego króla Salomona długo przetrwał wśród narodu żydowskiego i z pewnością rozpowszechniłby się na całej Ziemi, gdyby nie pewna specyficzna tamtejsza właściwość, o której ci już kiedyś mówiłem.

A mianowicie, gdy naród ten stracił swą wielkość i – jak to się zwykle tam dzieje – chylił się ku upadkowi, istoty z innych społeczeństw, które wskutek nieodłącznych już trójmózgowym istotom twojej planety impulsów zazdrości i zawiści wobec wszystkiego, co je przewyższa, znienawidziły go w okresie jego świetności i potęgi, zaczęły teraz nim gardzić i go prześladować, a na dodatek oczywiście szydziły ze wszystkich dobrych zwyczajów za-

korzenionych w tym narodzie.

Oto dlaczego ten dobry zwyczaj nie tylko się nie rozpowszechnił, lecz stopniowo – wskutek drugiej charakterystycznej cechy, o której kiedyś ci już wystarczająco dużo powiedziałem, to znaczy wskutek tego, że naród żydowski uległ oddziaływaniom innych społeczeństw przeżywających okres rozkwitu, i zaczął się na nich wzorować – ów zwyczaj został zlekceważony, a w końcu porzucony i zapomniany nawet przez tych, którzy sami go stworzyli.

Obecnie zachował się już tylko w górach Kaukazu wśród istot należących do pewnej bardzo małej społeczności i zwanych „Chewsurami”, czyli właśnie u tych samych Chewsurów, którzy z powodu nierozwiązanej zagadki ich pochodzenia spędzają sen z powiek wielu tamtejszym uczonym.

Natomiast jeśli chodzi o to, że twoi ulubieńcy niszczą dobre, służące powszedniej egzystencji zwyczaje utrwalone już na ich planecie dzięki wysiłkom przodków, to chcąc nie chcąc trzeba znów okazać współczucie tamtejszej biednej Przyrodzie, która zawsze musi się od nowa do wszystkiego przystosowywać.

Także na temat tego rodzaju nieszczęścia, jakie spotyka ich Przyrodę, nasz drogi nauczyciel, niezrównany Mułła Nasr Eddin, ma kilka bardzo mądrych porzekadeł.

W podobnych sytuacjach mówi na przykład:

„Ech! Jeśli ci się w życiu nie wiedzie, to nawet od swojej chrzestnej możesz się zarazić chorobą weneryczną!”

Albo jeszcze:

„O nieszczęśniku! Twoja matka, kiedy cię rodziła, zawodziła ormiańską pieśń”.

Nawet wyraziciel rosyjskiej mądrości ludowej, Koźma Prutkow, ma na taką okazję dobre powiedzenie:

„Najnieszczęśliwsza z nas wszystkich jest szyszka świerkowa, bo potyka się o nią każdy Makar!”

Powtarzam, ta biedna Przyroda planety Ziemia musi się nieustannie i bez wytchnienia przystosowywać, ciągle zmieniając swoje przejawy, aby nie wypaść z ogólnej harmonii kosmicznej.



Byś mógł sobie dobrze wyobrazić i pojąć, w jaki sposób tamtejsza nieszczęsna Przyroda musi się przystosowywać, żeby osiągnąć „równowagę wibracji” wymaganą od tej planety w celu zachowania harmonii ogólnokosmicznej, wystarczy, że powiem ci o czymś, co wydarza się tam właśnie teraz w następstwie tego ich procesu, który oni sami nazwali „wojną światową”.

Otóż najwyraźniej wskutek tego, że podczas wspomnianego procesu istoty zwane „Niemcami” wymyśliły „gaz trujący”, a istoty zwane „Anglikami” specjalne „szybkostrzelne karabiny maszynowe” liczba Raskuarno, to znaczy śmierci, nieoczekiwanie dla samej Przyrody znacznie przekroczyła jej zapotrzebowanie lub, jak powiedzieliby tamtejsi kandydaci na Hasnamusów, czyli współcześni handlowcy, wystąpiła „nadprodukcja” śmierci istot trójmózgowych.

To z kolei spowodowało, że tamtejsza Przyroda znowu musiała zacząć „ciężko sapać” i, jak się tam mówi, „wyłazić ze skóry”, aby wybrnąć z tej nieprzewidzianej sytuacji i ponownie w odpowiedni sposób się przystosować.

Tym razem, jak się dowiedziałem pod sam koniec mojego pobytu tam i co potwierdziły informacje przekazane mi później w eterogramie, tamtejsza Przyroda nosi się z zamiarem zwiększenia w przyszłości wskaźnika urodzeń istot o innych formach.

Sam zresztą zauważyłem w miastach Piotrogród i Tyflis – których mieszkańcy należą do dużego społeczeństwa Rosji, gdzie w czasie tej ich wojny światowej zginęło więcej istot niż w jakimkolwiek innym społeczeństwie – że nienawidzące ludzi czworonożne istoty zwane „wilkami”, które normalnie nigdy nie pojawiają się na obszarach zasiedlonych; już się tam panoszą po ulicach.

A co się tyczy informacji otrzymanych przeze mnie w eterogramie, to dowiedziałem się z nich między innymi, że w tym samym dużym społeczeństwie Rosji przyrost naturalny istot gryzoni zwanych „myszami” i „szczurami” osiągnął takie rozmiary, iż w tej chwili zaczęły one zżerać prawie wszystkie zapasy zebrane przez istoty należące do tej społeczności.

Ten sam eterogram zawierał także wiadomość o tym, że dzierżące władzę istoty społeczeństwa Rosji zwróciły się do istot jakiegoś innego społeczeństwa europejskiego z prośbą o pomoc w unicestwieniu egzystencji owych małych istot – myszy i szczurów – które się u nich rozpleniły, i że były gotowe zapłacić za to każdą sumę pieniędzy.

Oczywiście taką czasową redukcję liczby tych biednych myszy i szczurów można osiągnąć, wykorzystując do tego różne środki, jakimi dysponują owi specjaliści od niszczenia egzystencji innych, ale wątpię, żeby zgodzili się to zrobić „za darmo” Z kolei istot Rosji, które obiecały zapłacić pieniędzmi, naturalnie nie będzie na to stać, ponieważ kosztowałyby to je o wiele drożej niż ostatnia wojna.

A żeby dostać pieniądze z tych źródeł, z których je czerpały podczas tego wielkiego procesu... to, jak mówi nasz drogi Mułła Nasr Eddin:

„Chyba żartujesz! Nawet osioł potrafi zrozumieć, że w czasie pokoju chłopskie mięso jest nic niewarte”.

Powiedziawszy to, Belzebub zamilkł i zaczął patrzeć wyczekująco na wnuka. Ten zaś, jakby mówiąc do siebie, rzekł ze smutkiem i rozpaczą w głosie:

– Jak to się wszystko skończy? Czy naprawdę nie ma żadnego wyjścia?

Czy to możliwe, że te nieszczęśliwe dusze, które uformowały się na tej nieszczęśliwej planecie, już nigdy się nie udoskonalą? Czy to możliwe, że będą się bez końca oblekać w różne planetarne formy i gnuśnieć po wsze czasy z powodu następstw właściwości tego przeklętego organu kundabufor, dorobionego do ciał planetarnych pierwszych istot trój centrowych tej nieszczęsnej planety z przyczyn zupełnie im obcych?

Gdzież podział się ów filar, na którym ponoć spoczywa cały nasz Megalokosmos i który zwie się „sprawiedliwość”?

Nie! Tak być nie może! Coś tutaj jest nie tak, bo jeszcze ani razu w ciągu całej mojej egzystencji nie pojawiła się we mnie wątpli-

wość co do istnienia obiektywnej Sprawiedliwości.

Trzeba tylko wyjaśnić i zrozumieć, o co tutaj chodzi!

W każdym razie od tej chwili za cel mojej egzystencji stawiam sobie jasne zrozumienie tego, dlaczego dusze, które powstają w tych ziemskich trójcentrowych istotach, znajdują się w tak wyjątkowo przeraźliwym położeniu!

Wypowiedziawszy te słowa, biedny Hassin zwiesił przygnębioną głowę i pograżył się w myślach.

Belzebub zaś zaczął patrzeć na niego bardzo dziwnym wzrokiem – dziwnym, bo można było w nim dostrzec miłość do Hassina, a zarazem wyczuć, jak bardzo się cieszy z tego, że jego wnuka trapi taki smutek.

Obaj długo milczeli. W końcu Belzebub westchnął głęboko, można by rzec, całym swoim jestestwem, i zwracając się do wnuka, wypowiedział następujące słowa:

– Tak, mój drogi Hassinie!

Z pewnością coś tutaj nie gra!

Ale skoro dla istot tej planety nic nie mógł zrobić ten, który ma teraz rozum świętego „Podkułada” i jest jednym z pierwszych pomocników NASZEGO NIESKOŃCZONEGO w zarządzaniu światem, mianowicie Przenajświętszy Asziata Szyjemasz, skoro on nic nie mógł tutaj wskórać, to co możemy powiedzieć my, istoty z rozumem niemal takim samym jak rozum zwykłych istot?

Pamiętasz, Przenajświętszy Asziata Szyjemasz powiedział w swych rozważaniach zatytułowanych „Groza sytuacji”:

„Jeśli da się jeszcze ocalić istoty Ziemi, to dokonać tego potrafi tylko czas”.

My ze swojej strony możemy jedynie powtórzyć to samo w odniesieniu do tej ich okropnej właściwości, o której teraz rozmawialiśmy, czyli do ich okresowych procesów unicestwiania się nawzajem.

W tej chwili możemy tylko stwierdzić, że jeśli ta właściwość ziemskich istot miałaby zniknąć z tej nieszczęsnej planety, to sta-

nie się to wyłącznie z biegiem czasu dzięki przewodnictwu jakiejś istoty o bardzo wysokim poziomie rozumu albo wskutek jakichś wyjątkowych wydarzeń kosmicznych.

Wypowiedziawszy te słowa, Belzebub znowu zaczął patrzeć na Hassina tym samym dziwnym wzrokiem.

## Rozdział 44

### ***Zdaniem Belzebuba pojęcie, jakie ludzie sobie wyrobili o sprawiedliwości, jest dla nich samych, w sensie obiektywnym, „przeklętą uludą”***

Uśmiechając się i wciąż spoglądając z czułością na swojego wnuka Hassina, Belzebub powiedział:

– Dopiero teraz, mój drogi następcu, gdy już z grubsza przyswoiłeś sobie wszystko, co ci powiedziałem o trój mózgowych istotach mających siedlisko na planecie Ziemia, nadszedł, jak sądzę, właściwy moment, żeby dokładniej się zająć tą tamtejszą „kwestią” w którą obiecałem cię wtajemniczyć pod sam koniec moich opowieści.

Mianowicie chcę ci opowiedzieć o tej szeroko rozpowszechnionej wśród nich szkodliwej idei, o której, jeśli sobie przypominasz, napomknąłem, mówiąc o głównym „haczyku” ich psychiki – to znaczy o ich rozmaitych i osobliwych „hawatwernoni” lub, jak one same to określają, „religiach” – a która stanowi podstawę tych wszystkich ich religii i nazywa się „Dobro i Zło”.

Wspominałem ci też, że niedawno z powodu tej szkodliwej, szerzącej się wśród ziemskich istot trójmózgowych idei doszło na świętej planecie Czyściec do wielkich wydarzeń czy też, jak powiedzieliby twoi ulubieńcy, wybuchł tam ogromny „skandal” i że mimowolną przyczyną tego skandalu byli niektórzy członkowi twojego „hernaszinsu” lub, jak się mówi na Ziemi, twojego „drzewa genealogicznego”.

Abyś mógł lepiej sobie wyobrazić i łatwiej przyswoić to wszystko, co zamierzam ci teraz wyjaśnić, sądzę, że powinienem wpród wrócić pamięcią do pewnych wydarzeń z dawnej przeszłości, któ-

re na pierwszy rzut oka nie mają żadnego związku z tą tamtejszą ideą.

Otóż... mówiłem ci już, że kiedy po raz piąty zstąpiłem na powierzchnię twojej planety, zatrzymałem się tam tylko niedługo i szybko wróciłem do domu, na planetę Mars.

A stało się tak, ponieważ moi przyjaciele powiadomili mnie z Centrum, że tam, to znaczy na planecie Mars, miał się wkrótce zjawić jeden z zaufanych Cherubinów NASZEGO WSZECHOBEJMUJĄCEGO NIESKOŃCZONEGO, aby przekazać pewne dotyczące mnie osobiście rozporządzenie.

Niedługo po moim powrocie na planetę Mars faktycznie pojawił się tam wspomniany Cherubin, a przekazane mu z Góry rozporządzenie mówiło o tym, że za moje świadome trudy, które przyniosły rezultaty służące ogólnokosmicznej pomyślności i doprowadziły do wykorzenia wśród przypadłych ci do gustu trójmózgowych istot zwyczaju „składania ofiar”, a także na skutek osobistych błagań Jego Zgodności Anioła Luizosa skierowanych do NASZEGO WSPÓLNEGO NIESKOŃCZONEGO OJCA, kara, jaką wymierzono mi za indywidualne wykroczenia, została na tyle złagodzona, że odtąd przestała już obejmować moje potomstwo.

Tak więc od tamtej chwili moje dzieci, to znaczy twój ojciec i twój wuj Tuiłan, mogły na własne życzenie i w dowolnym momencie wrócić tutaj, do Centrum, aby wziąć na siebie stosowne obowiązki związane z niezliczonymi realizacjami NASZEGO WSPÓLNEGO OJCA.

Po tym wydarzeniu, tak ważnym dla naszej rodziny, moje dzieci rzeczywiście szybko opuściły planetę Mars i wróciły tutaj, do Centrum, gdzie zaraz po przybyciu – z racji tego, że były już wybitnymi znawcami w pewnych dziedzinach obiektywnej nauki i umiały się w praktyce dobrze stosować do jej praw – powierzono im pełnienie odpowiednich obowiązków.

Twój ojciec, jak ci już mówiłem, został z miejsca powołany na stanowisko „cyrliknera” na jednej z części powierzchni naszego

drogiego Karataza, a potem stopniowo zasłużył na to, by przejąć obowiązki głównego cyrliknera wszystkich trójmózgowych istot mających siedlisko na naszej planecie i zresztą pełni tę funkcję do dzisiaj.

Natomiast twój wuj Tuiłan, jak już ci też wspominałem, został zatrudniony na świętej planecie Czyściec jako jeden z pomocników kierownika stacji eterograficznej, która wtedy – tak samo jak teraz – utrzymywała „łączność eterograficzną” z prawie wszystkimi planetami naszego Wielkiego Wszechświata.

On także zasłużył później na objęcie funkcji głównego dyrektora, którą piastuje do dziś.

Muszę ci jeszcze wyjaśnić, dlaczego zaraz po przybyciu do Centrum moje rezultaty czy, używając określenia twoich ulubieńców, moi „synowie” zostali uznani za godnych awansowania na tak odpowiedzialne stanowiska.

Abyś mógł zrozumieć, jak do tego doszło, powinieneś wiedzieć, że jedną z istot towarzyszących mi od samego początku w czasie mojego zesłania był główny cyrlikner naszej planety Karataz, wówczas jeszcze młody, ale już bardzo uczony Pułudżistius, który potem, po wszechmiłosiernym darowaniu naszej winy, zasłużył na funkcję – i pełni ją do dziś – pomocnika Wielkiego Obserwatora ruchu wszystkich skupień Megalokosmosu, Jego Samopieczności Arcyserafina Kształarna.

Tak więc kiedy zacząłem organizować obserwatorium na planecie Mars, ów uczony Pułudżistius zaproponował mi, żebym przyjął go w charakterze nadzorcy i kierownika tej mojej nowej placówki.

Oczywiście od razu na to przystałem, ponieważ doskonale znał położenie wszystkich małych i dużych skupień kosmicznych, jak również prawa ich wzajemnego wspierania się, i od tamtej pory ten wielki uczony Pułudżistius wiódł egzystencję w moim domu na planecie Mars.

Później zaś, kiedy pojawiły się i, osiągnąwszy odpowiedni wiek, uformowały rezultaty mojego aktywnego pierwiastka, poprosi-

łem tego wielkiego uczonego Pułudżistiusa, żeby wziął na siebie również obowiązek „oskianocnera” lub, jak mówią twoi ulubieńcy, „wychowawcy” moich dzieci, na co zgodził się z wielką chęcią, albowiem egzystując tam w nietypowych warunkach, nie miał możliwości wykorzystania swej wszechstronnej wiedzy w sposób, który by go zadowalał, i moja propozycja otwierała mu pod tym względem, jak to się mówi, „szerokie pole do popisu”.

Odtąd oprócz wypełniania podstawowych obowiązków, których na początku nie miał zbyt dużo, poświęcił się bez reszty tworzeniu zewnętrznych i wewnętrznych warunków, dzięki którym moi synowie mogli otrzymywać odpowiednie wrażenia pozwalające na skryształizowanie się w nich takich danych istnieniowych, jakie są niezbędne do odpowiedzialnej, godnej istot trójmózgowych egzystencji.

Już wkrótce moi synowie tak się do niego przywiązali, że nie opuszczali go nawet wtedy, gdy w moim obserwatorium wypełniał swoje podstawowe obowiązki, i dobry Pułudżistius również w takich warunkach nieustannie oświecał ich rozum i udzielał im praktycznych wyjaśnień dotyczących obserwacji różnych skupień, sposobów badania ich wzajemnych wpływów oraz samego znaczenia tych wpływów.

Zawsze im tłumaczył, w jaki sposób i po co określone skupienie kosmiczne znalazło się w tym, a nie innym miejscu, jak również przekazywał im informacje o szczególnych właściwościach wzajemnych wpływów wywieranych przez owe skupienia w trakcie ogólnokosmicznego procesu trogoautoegokratycznego.

Dzięki temu w zbiorczej obecności moich rezultatów skryształizowały się pod kierunkiem tego znakomitego uczonego nie tylko wszystkie dane potrzebne każdej odpowiedzialnej istocie trójmózgowej, lecz także mnóstwo innych danych umożliwiających uświadomienie sobie i odczucie prawdziwych informacji o kosmicznych koncentracjach oraz ich funkcjonowaniu.

Nawiasem mówiąc, to właśnie w tym okresie stopniowo się ukształtowało u obu moich synów subiektywne zainteresowanie tą materią, która miała się stać ulubionym przedmiotem ich ob-



serwacji i studiów.

Na przykład twój ojciec lubił obserwować i badać wzajemne wpływy oraz wspieranie się kosmicznych skupień znajdujących się w sferach najbliższych Pierwoźródła, Przenajświętszego Słońca-Absolut, za to twój wuj Tuiłan przejawiał zainteresowanie obserwacją planety Ziemia i toczącego się na niej procesu egzystencji istnieniowej tych budzących twoją ciekawość trój mózgowych istot. Sam zresztą częściowo zaszczepiłem w nim to zainteresowanie, ponieważ w trakcie obserwacji egzystencji twoich ulubieńców często, gdy sam byłem zajęty czymś innym, zlecałem mu odnotowywanie wszelkich zmian zachodzących w zauważonych już wcześniej przeze mnie stanach.

A to, jak się dalej potoczyły sprawy, było wynikiem następujących zdarzeń:

Kiedy moi synowie, udając się tutaj, do Centrum, opuszczali na zawsze planetę Mars, twój wuj Tuiłan w chwili otrzymania mojego błogosławieństwa usilnie nalegał, żebym regularnie informował go o rezultatach moich obserwacji i badań dziwnej psychiki tych przypadłych ci do gustu dwunożnych istot trój mózgowych, które mają siedlisko na planecie Ziemia.

I już po przybyciu na miejsce, gdy szybko się okazało, że obaj mają dużą wiedzę zarówno o położeniu skupień kosmicznych, jak i o ich właściwościach i osobliwościach, a także długą praktykę w obliczaniu całokształtu wzajemnych wpływów, w uznaniu za to wszystko od razu powierzono im wspomniane odpowiedzialne funkcje.

Odkąd dowiedziałem się o stałym miejscu ich egzystencji i stanowiskach, których pełnienia okazali się godni, raz na kwartał naszego roku wysyłałem Tuiłanowi, zgodnie z obietnicą, dokładną kopię wszystkich notatek z prowadzonych wciąż przeze mnie obserwacji.

Minęło wiele lat, od kiedy zacząłem wysyłać Tuiłanowi takie eterogramy, i prawdę mówiąc, nie miałem pojęcia, co z nimi robił, aż któregoś dnia otrzymałem informacje o tych wstrząsają-

cych wydarzeniach na planecie Czyściec.

Okazało się, że wielki rządca świętej planety Czyściec, Wszechostoja Jednej Strony Świata Arcycherubin Helkgematios, przypadkowo się dowiedział, że jeden z pomocników kierownika stacji eterograficznej, Tułan, regularnie otrzymuje długie eterogramy od swojego ojca z układu słonecznego Ors, wyraził życzenie zaznajomienia się z ich treścią i w rezultacie sam bardzo się nimi zainteresował, a na do datek polecił twojemu wujowi Tułanowi transmitować ich zawartość przez ogólnoplanetarny „tuluchtercynek”\*, tak by niektóre „najwyższe ciała istnieniowe” mieszkające na świętej planecie mogły, jeśli tylko będą chciały, posłuchać w ramach odpoczynku informacji o psychice takich oryginalnych trójmózgowych istot mających siedlisko na jednej z najbardziej odległych planet naszego Wielkiego Megalokosmosu.

\* „Tuluchtercynek” przypomina, oczywiście tylko do pewnego stopnia, to, co na Ziemi zwane jest „telegrafem bezprzewodowym” lub „radiem”.

Twój wuj Tułan zrobił to, co mu nakazano. Za każdym razem, gdy otrzymywał ode mnie eterogram, nadawał jego treść przez ogólnoplanetarny tuluchtercynek i w ten sposób wszystkie sprawiedliwe dusze mieszkające na świętej planecie były informowane na bieżąco o wszelkich moich obserwacjach i badaniach wszystkiego, co wiązało się z tą ichnią dziwną psychiką.

Od tamtej pory niektóre sprawiedliwe najwyższe ciała istnieniowe nie tylko zaczęły tam, na świętej planecie, bardzo uważnie śledzić każdą moją obserwację, ale też rozmyślać nad dziwacznością owej psychiki.

W efekcie tych rozmyślań błogosławione najwyższe ciała istnieniowe zdały sobie sprawę, iż coś niedobrego dzieje się z psychiką istot trójmózgowych na planecie Ziemia, a nawet udało im się dostrzec podstawowe przyczyny tego podejrzanego „czegoś”, i wtedy wiele z nich poważnie się oburzyło na taką, jak im się na początku wydawało, pochodzącą z Góry niesprawiedliwość.

W miarę jak dzieliły się coraz częściej wrażeniami zarówno między sobą, jak i z innymi, tych oburzonych sprawiedliwych

„dusz” stale przybywało, aż w końcu wszędzie w „caruaryjach”\* świętej planety myślano i rozprawiano już wyłącznie o tym.

\* „Caruaryje” świętej planety odpowiadają w przybliżeniu temu, co na planecie Ziemia określa się jako „miasta” i „wioski”.

W wyniku tego wszystkiego mieszkańcy świętej planety wybrali spośród siebie pięćdziesiąt sprawiedliwych dusz, które miały przeprowadzić wspólnie dochodzenie i odkryć prawdziwą przyczynę tego, że na owej planecie Ziemia do psychiki istot trójmózgowych zakradł się taki nonsens uniemożliwiający wręcz wszelkie doskonalenie się tej ich „najwyższej części istnieniowej”, która z różnych powodów powstaje czasem także w niektórych z nich.

Tych pięćdziesiąt wybranych sprawiedliwych dusz to były akurat te dusze, które już zasłużyły na to, by stać się kandydatami czekającymi na przenosiny do Przenajświętszego Źródła wszystkiego, co istnieje.

W tej sytuacji sam zarządca świętej planety, Wszechostoja Jedynej Strony Świata Arcycherubin Helkgematios, nie tylko usankcjonował wybór tych pięćdziesięciu błogosławionych dusz, lecz także poinformował je o swojej wspaniałomyślnej decyzji udzielenia wszelkiej pomocy w wypełnianiu powierzonego im zadania.

A więc, mój chłopcze, owych pięćdziesięciu kandydatów do przeniesienia na Słońce-Absolut rozpoczęło swoje poszukiwania i po długich i skomplikowanych dociekaniach ustaliło, że podstawową przyczyną wszystkich anomalii w psychice trójmózgowych istot powstających na owej planecie było pojawienie się wśród nich ściśle określonego poglądu, że jakoby na zewnątrz esencji istot znajdują się dwa krańcowo różne czynniki – pierwiastek „Dobra” i pierwiastek „Zła” – będące motorem wszystkich ich dobrych oraz złych przejawów.

Następnie stwierdzili, że ta rozpowszechniona i szkodliwa idea, na którą składają się dane krystalizujące się stopniowo w każdej z tych istot jeszcze w trakcie jej kształtowania się w wieku przygotowawczym, opanowuje ich zbiorczą psychikę w momencie,

gdy osiągają one już wiek odpowiedzialny, i z jednej strony służy jako uspokajacz i usprawiedliwiciel wszelkich ich przejawów, a z drugiej jest głównym czynnikiem uniemożliwiającym doskonalenie się najwyższych części istnieniowych powstających w niektórych z nich.

Kiedy sprawiedliwi mieszkańcy świętej planety już to sobie wyjaśnili, zaczęli rozmyślać i zastanawiać się razem nad wyjściem z takiej sytuacji oraz nad tym, co sami mogliby w tej sprawie zrobić.

Jak mi później opowiadano, we wszystkich caruaryjach zaczęli organizować zebrania i konferencje, aby wspólnym wysiłkiem powziąć jakąś decyzję, i po długich rozważaniach oraz skomplikowanych „balotażach” wśród sprawiedliwych dusz w poszczególnych caruaryjach, jak również między różnymi caruaryjami, ostatecznie niemal jednogłośnie przyjęto następującą rezolucję:

„Przede wszystkim złożyć u stóp NASZEGO TWÓRCY STWORZYCIELA błagalną prośbę o to, by zrządzeniem swej Opatrzności zesłał z Góry do trójmózgowych istot planety Ziemia posłańca do nich podobnego i obdarzonego danymi, które będą odpowiadać takiemu rozumowi, jaki umożliwiłby mu znalezienie na miejscu sposobu wykorzenia tej szkodliwej idei, a następnie – ze względu na to, że pojawienie się na powierzchni planety Ziemia takiej idei było i wciąż jest podstawową przyczyną wszystkich potwornych nieszczęść, które spadają na powstające tam święte najwyższe części istnieniowe – ze skruczą ośmielić się poprosić NASZEGO WSPÓLNEGO OJCA, aby nie dopuścił do tego, by najwyższe ciało istnieniowe ziemskiej istoty trójmózgowej, która stała się powodem pojawienia się tej idei, było zabrane na świętą planetę, i to nawet jeśli zdążyło się już udoskonalić do wymaganego stopnia świętego rozumu, lecz by on skazał je na wieczystą egzystencję na planecie «Wyrzut Sumienia»”.

Otóż, mój chłopcze, zaraz po tym, jak mieszkańcy świętej planety uchwalili tę rezolucję, wybuchł tam taki, jak się wyraziłem, „skandal”, że na wspomnienie o nim niejedno święte Indywiduum, które zna tę epopeję, do dziś „chwytają dreszcze”.

Ów skandal został wywołany w następujący sposób:

Z inicjatywy tych samych pięćdziesięciu wybranych kandydatów do przeniesienia na Słońce-Absolut natychmiast po przyjęciu wspomnianej rezolucji postanowiono się dowiedzieć, która ziemską istotą trójmózgową, być może posiadającą już najwyższą część istnieniową, przyczyniła się do powstania na twojej planecie takiej szkodliwej idei.

Owe dociekania ujawniły, że trójmózgową istotą będącą inicjatorem skryształizowania się takiej szkodliwej idei jest niejaki Makary Krochbernkcion, którego najwyższa część istnieniowa, udoskonalona do wymaganego stopnia rozumu, nie tylko stała się już godna przebywania na świętej planecie, lecz także kandyduje jako jedna z pierwszych do zabrania na Przenajświętsze Słońce-Absolut.

Kiedy wyszło to na jaw, po całej świętej planecie – jak mi opowiadano później – rozszedł się, by tak rzec, „jęk” i nie było tam ani jednej sprawiedliwej duszy, która potrafiłaby bez wyrzutów sumienia myśleć o takim zatrważającym stanie rzeczy.

Przez prawie ćwierć roku wszędzie tylko się naradzano, roztrząsając kwestię tego niebywałego „skandalu”, i we wszystkich tamtejszych caruaryjach znowu zaczęły działać wszelkiego rodzaju komisje oraz podkomisje, które miały za zadanie znaleźć wyjście z tej nietypowej sytuacji.

W wyniku tego wszystkiego powzięto tym razem – opierając się na tych samych co uprzednio zasadach – następującą rezolucję:

„Utrzymać w mocy pierwszy ogólnoplanetarny wyrok w sprawie najwyższej części Makarego Krochbernkciona, ale równocześnie złożyć u stóp WSPANIAŁOMYŚLNEGO NIESKOŃCZONEGO prośbę wszystkich mieszkańców świętej planety o złagodzenie takiego straszliwego wyroku”.

Tak więc, gdy NASZ NIESKOŃCZONY WSPANIAŁOMYŚLNY STWORZYCIEL pojawił się na świętej planecie po raz kolejny, taka prośba została złożona u jego stóp.

Wieść niesie, że WSPANIAŁOMYŚLNY STWORZYCIEL tylko chwilę się wtedy namyślał, po czym raczył wydać rozkaz, by tej zasłużonej duszy zezwolić na egzystencję na świętej planecie aż do wyjaśnienia dalszych rezultatów jej karygodnego postępu.

Chociaż ta w pełni ukształtowana najwyższa część istnieniowa była podstawową przyczyną tego, że wszystkie najwyższe części istnieniowe powstające w obecnościach niektórych istot trójmózgowych twojej planety straciły możliwość całkowitego udoskonalenia się, nasz wspólny ojciec najwyraźniej wydał to swoje łaskawe polecenie, ponieważ miał nadzieję, że być może w końcu owe istoty same uświadomią sobie swój błąd i zaczną egzystować jak przystało istotom trój centrowym. A wtedy nie byłoby już potrzeby ukarania w tak straszliwy sposób najwyższej części istnieniowej owej istoty, która – nie poddając się niezależnym od niej i znacznie przerastającym jej możliwości niesprzyjającym warunkom, a także bezlitośnie walcząc z nieubłaganą własną zasadą przeczącą – zdołała udoskonalić tę swoją najwyższą część istnieniową do wystarczającego poziomu, by móc stanąć w przedsiönku Podstawy wszystkiego, co istnieje we Wszechświecie.

Dzięki wspomnianemu rozkazowi NASZEGO WSPANIAŁOMYŚLNEGO najwyższa część tego biednego Makarego Krochbernkjona do dzisiaj egzystuje na świętej planecie i teraz jej przyszłe losy zależą już wyłącznie od przypadłych ci do gustu istot trójmózgowych.

Po dość długiej pauzie Belzebub kontynuował:

– Pierwsze informacje o tych wydarzeniach na świętej planecie dotarły do mnie dokładnie w trakcie mojego szóstego zstąpienia na powierzchnię twojej planety i oczywiście bardzo się tym wszystkim zainteresowałem, wskutek czego sam też zacząłem szczegółowo badać na miejscu tę żalösną historię, w którą wpłatali się twoi ulubieńcy.

Najpierw, mój chłopcze, muszę ci szczerze wyznać – właśnie tobie, mojemu bezpośredniemu następcy – że chociaż wszyscy sprawiedliwi mieszkańcy świętej planety ustalili za pomocą najróżniejszych i do tego bardzo skomplikowanych środków, że pod-

stawową przyczyną wszystkich anomalii w psychice tych przypadłych ci do gustu trójmózgowych istot była i wciąż jest ta zgubna idea, ja osobiście nie mogę tego kategorycznie potwierdzić.

Oczywiście nie da się zaprzeczyć, że ta fantastyczna idea odegrała dużą rolę w stopniowym, że tak powiem, „rozcieńczeniu” psychiki tych nieszczęśników.

Sam wchłonałem bardzo dużo wrażeń, a także skryzalizowały się we mnie dane potrzebne do wyrobienia sobie subiektywnej opinii, kiedy zainteresowawszy się całą tą sprawą, zacząłem prowadzić między innymi poszukiwania, żeby wyjaśnić sobie historię pojawienia się i ukształtowania indywidualności owego Makarego Krochbernkjona.

Te specjalne poszukiwania jasno mi pokazały, że chociaż, faktycznie, to on jako pierwszy użył pojęć „Dobro” i „Zło” sam jednak nie miał żadnego wpływu na to, że później w procesie egzystencji wszystkich następnych pokoleń twoich ulubieńców słowa te nabrały dla nich tak zgubnego znaczenia.

Jeśli teraz, mój chłopcze, wtajemniczę cię w zebrane przez siebie informacje dotyczące historii powstania oraz procesu egzystencji Makarego Krochbernkjona, to pewnie już samoczynnie skryzalizują się w tobie odpowiednie dane, dzięki którym uzyskasz przybliżone wyobrażenie o tym bolesnym ziemskim fakcie.

Zacznę od tego, że odkąd postanowiłem zająć się tą sprawą, przy każdym spotkaniu z dowolnym kompetentnym indywiduum starałem się dowiedzieć wszystkiego, co mogłoby rzucić światło na któryś z aspektów indywidualności onego Makarego Krochbernkjona.

Na pewno zainteresuje cię fakt, że jednym z pierwszych spotkanych indywiduów potrafiących udzielić mi na ten temat jakichś informacji była pewna sędziwa istota naszego plemienia, która okazała się niezwykle pomocna i w trakcie naszej rozmowy wyjaśniła mi wiele rzeczy, a także wskazała kilka bardzo dobrych źródeł, z których zaczerpnąłem później nader pożyteczne i szczegółowe informacje.

Wspomniana sędziwa istota to nikt inny, jak wuj owej młodej istoty z naszego plemienia, która była powodem mojego pierwszego przylotu na twoją planetę i która później sprawowała funkcję starosty wszystkich istot naszego plemienia zesłanych do układu Ors.

Owa sędziwa istota egzystowała na twojej planecie na kontynencie Atlantyda dokładnie w tym samym okresie co Makary Krochbernkcion.

Na podstawie zebranych przeze mnie informacji oraz dzięki wszystkim innym moim specjalnym metodom badawczym dowiedziałem się, że ta ziemską trójmózgową istotą imieniem Makary Krochbernkcion powstała i zaczęła egzystować na kontynencie Atlantyda w następstwie świętego procesu Elmuarno, który zaszedł między dwoma tamtejszymi trójmózgowymi istotami płci odmiennej zaraz po osiągnięciu przez nie wieku odpowiedzialnego.

Ponieważ dziedziczność tej pary była pod każdym względem zdrowa, a co więcej, zewnętrzne warunki zwykłej egzystencji istnieniowej były tam jeszcze w miarę normalne i akurat okazały się dla nich wyjątkowo sprzyjające, więc rezultat ich świętego procesu, to znaczy ich „syn” zwany później Makarym Krochbernkcionem, już w chwili swego powstania i w pierwszych latach dzieciństwa otrzymał w swej obecności prawie takie same dane stanowiące o przebiegu jego przyszłej odpowiedzialnej egzystencji, jak te, którymi dysponują w momencie pojawienia się na którejkolwiek z planet naszego Wielkiego Megalokosmosu wszystkie kesczampmartne istoty trójmózgowe, a że ponadto jego producenci, czyli, jak to się tam określa, jego „rodzice” przypadkowo zapragnęli przygotować ten swój „rezultat” do stania się odpowiedzialną istotą wykonującą zawód „uczonego” i trafem znaleźli dla niego właściwych przewodników, ów rezultat, osiągnąwszy wiek odpowiedzialny, został bardzo dobrym, oczywiście jak na planetę Ziemia, „uczonym”.

Niebawem, podnosząc jakieś jego naukowe zasługi, uznano, że jest godzien stania się pełnoprawnym członkiem uczonego towa-



rzystwa Achldan.

W czasie, gdy proces jego odpowiedzialnej egzystencji toczył się na niwie nauki, on pewnego razu jasno ocenił swoją wartość i szczerze zdał sobie sprawę z własnej nicości.

Od tego momentu ze skrucą i powagą zaczął medytować nad swoim stanem. Rezultatem tych medytacji było to, że w każdej części jego całej obecności stopniowo zaczęła się pojawiać nadzieja i ostatecznie ustaliło się nawet przekonanie, że świadomy trud i zamierzone cierpienie mogą przemienić go z nicości w „coś”.

Wtedy też zaczął się świadomie trudzić i bez żadnej litości dla swej części przeczącej tworzyć celowo takie warunki, które jej nie sprzyjały – przy czym te swoje świadome trudy i celowo tworzone warunki odnosił jedynie do przejawów i percepcji wchodzących w zakres obowiązków, które wziął na siebie jako istota odpowiedzialna, to znaczy obejmujących wyłącznie dziedzinę poszukiwań naukowych.

To właśnie w tym okresie egzystencji udało mu się zrozumieć niektóre prawa kosmiczne.

A ponieważ w nim – jak zresztą w większości ówczesnych ziemskich istot trójmózgowych – wciąż jeszcze krystalizowały się dane wzbudzające istnieniowy impuls zwany „miłością bliźniego” więc żeby się podzielić odkrytymi przez siebie prawdami z innymi znajdującymi się w pobliżu podobnymi do niego istotami z jego planety, postanowił wyryć w marmurze „bulmarszano” pod tytułem „Pozytywne i negatywne wpływy wywierane na człowieka”.

Na kontynencie Atlantyda nazwą „bulmarszano” określano to, na co współczesne ziemskie istoty mówią „książka”.

Później, mianowicie podczas mojego szóstego zstąpienia tam, miałem okazję zobaczyć na własne oczy wierną kopię tego bulmarszano – zrobioną już z kłów tak zwanych czirniano – i wtedy też w miarę dokładnie rozszyfrowałem jego treść.

Jako że informacje związane z pytaniem: „W jaki sposób kopia bulmarszano – które własnoręcznie wyrył Makary Krochbernk-

cjon i które udało mi się odcyfrować w czasie ostatniego pobytu na twojej planecie – zachowała się do czasów współczesnych?” okazały się dla ciebie bardzo pouczające i ciekawe, pokrótce więc ci o tym opowiem.

Kiedy oryginał owego bulmarszono został już ukończony i zaprobowany przez wprawionych w szczerzy podziw pozostałych uczonych członków towarzystwa Achldan, umieszczono go wtedy w środku tak zwanej głównej katedry istot należących do tego towarzystwa.

A ponieważ treścią tego bulmarszono zaczęło się interesować coraz więcej ówczesnych istot, więc przełożeni wspomnianego towarzystwa postanowili sporządzić kilka jego kopii, by tak samo ulokować je w środku wszystkich filii katedralnych, które znajdowały się wówczas w innych miastach tego samego kontynentu Atlantyda oraz na pozostałych kontynentach.

W tym celu wykonano siedem wiernych kopii, używając wspomnianych kłów czirniano.

Jedną z tych kopii, jak się dowiedziałem dzięki moim „badaniom śpipsychunalnym” była przeznaczona dla katedry na małym kontynencie zwanym „Sinkraga” i położonym niedaleko istniejącego do dziś kontynentu Graboncy.

Podczas drugiej perturbacji transapalnej, której uległa ta niebezpieczna planeta, ów nieduży kontynent Sinkraga, tak samo jak kontynent Atlantyda, zapadł się wraz z całą swoją zawartością do jej środka.

Jeśli zaś chodzi o kontynent Graboncy lub, jak się teraz mówi, „Afrykę”, to należy zaznaczyć, że wprawdzie ów kontynent nie zapadł się wówczas w całości do środka planety, ale spotkał go ten sam los co inne istniejące wtedy kontynenty, na przykład kontynent Azja, a mianowicie niektóre jego części zostały wchłonięte i na ich miejsce wynurzyły się z wody inne, które po przyłączeniu się do ocalałych fragmentów utworzyły kontynent w jego dzisiejszej formie.

Otóż okazuje się, że wspomniana kopia została przywieziona na

kontynent Graboncy – skąd miała być przetransportowana dalej – dokładnie wtedy, gdy tą niefortunną planetą wstrząsnęło drugie wielkie nieszczęście, a ponieważ tak się złożyło, że kopia ta znajdowała się na tym kawałku powierzchni kontynentu Graboncy, który przypadkowo się uchował, więc ona sama także nie zapadła się do środka planety.

Po tym przeraźliwym zdarzeniu dzieło tego – na razie jeszcze świętego – Makarego Krochbernkcyjona długo przeleżało pod ruinami i stopniowo zostało pokryte „kaszymanem”. Dopiero jakieś trzydzieści wieków później, kiedy przypadłe ci do gustu istoty znowu się rozmnożyły i nieopodal tego miejsca wybuchł proces unicestwiania się nawzajem między społeczeństwami noszącymi nazwy „Filnuancy” i „Plitazurali”, istoty ze społeczeństwa „Filnuancy” kopiąc doły w poszukiwaniu wody pitnej dla siebie i swoich wielbłądów, natrafiły na tę kopię i ją wydobyły.

Wkrótce potem, kiedy istoty należące do tych dwóch społeczeństw zawarły, jak to się stało tam zwyczajem, „przyjacielski pokój” i zaczęły się dzielić tym wszystkim, co w trakcie tego procesu zdobyły za pomocą przyjętych tam środków zwanych przez nie „zagarnianiem”, „grabieżą”, „konfiskatą”, „haraczem” itd., wówczas także to znalezisko podzieliły na pół i istoty każdego z tych dwóch społeczeństw zabrały ze sobą połówkę owego autentycznie wielkiego dzieła, które w pojęciu ziemskich istot tamtego okresu miało wartość jedynie jako drogocenne tworzywo.

Pierwsza połowa tej kopii, z różnych powodów przekazywana z jednej grupy istot do drugiej, po siedmiu wiekach wpadła w końcu w ręce egipskich kapłanów.

Ów dziwny i oryginalny zbiór kilku kłów, dla nich już zupełnie niezrozumiały, stał się ich świętą relikwią i pełnił tę rolę do czasu, gdy perski król, o którym ci wspominałem, przybył tam ze swoimi zastępami i wyczyścił ten nieszczęsny Egipt, jak to się mówi, „na połysk”.

Później ta sama połówka kopii bulmarszano trafiła na kontynent Azja i, przechodząc z rąk do rąk, przypadła w spadku ajsorskiemu kapłanowi, u którego zobaczyłem ją po raz pierwszy

w połowie mojego szóstego pobytu tam.

Jeśli zaś chodzi o drugą połówkę tego dzieła, które nie ma i już nigdy nie będzie miało sobie równych, to ona także z najróżniejszych przyczyn przechodziła z rąk do rąk i w końcu trafiła do jednego z centralnych rejonów kontynentu Azja, gdzie podczas, jak tam mówią, „trzęsienia ziemi” zapadła się do środka planety, niezbyt jednak głęboko.

Nawiasem mówiąc, powinienem ci w tym miejscu wytłumaczyć, w jaki sposób w czasie mojego szóstego zstąpienia zdobywałem tam wszystkie te wymienione, jak również pewne inne informacje o dawno minionych wydarzeniach.

Mówiłem ci już, że w trakcie mojego szóstego zstąpienia na Ziemi stałem się zawodowym „lekarzem-hipnotyzerem” i że do badań dziwnej psychiki twoich ulubieńców wykorzystywałem wtedy między innymi „hipnotyzm”, to znaczy posługiwałem się pewną specyficzną, tkwiącą już w ich psychice właściwością.

W okresie tej mojej działalności wśród twoich ulubieńców niektórych z nich przygotowałem w pewien specjalny sposób, czyniąc z nich takich osobników, jakich w dawnych epokach nazywano tam „pytiami”, a istoty współczesne określają słowem „media”.

W pytie lub media zamieniają się tam takie istoty trójmózgowe; u których wewnętrzne funkcjonowanie ciała planetarnego – czy to samo z siebie, tylko pod wpływem przypadkowego zbiegu okoliczności, czy też w wyniku zamierzonego działania innej świadomości – łatwo się dostosowuje do wszelkich modyfikacji, jakim ulega wewnętrzna zbiorcza psychika w momencie gwałtownej zmiany w ich krwiobiegu; dzięki temu w takich tamtejszych podmiotach nic nie zakłóca ani swobodnego funkcjonowania różnych – świadomie lub nieświadomie kierowanych z zewnątrz – osobliwości ich zbiorczej psychiki, ani też automatycznej przewagi wciąż obecnych w nich danych tworzących prawdziwą świadomość istnieniową, czyli tych osobliwości oraz danych, których funkcjonowanie w sumie składa się w nich na to, co nazwali „podświadomością”.

To właśnie w tej ich podświadomości, wskutek wielu wykształconych w niej czynników, ocalała przypadkowo także ta osobliwość zbiorczej psychiki trójmózgowych istot, która funkcjonuje zazwyczaj w określonych warunkach i zwana jest „widzeniem i doznawaniem tego, co zdarzyło się dawno temu”.

Tak więc, mój chłopcze, kiedy w trakcie mojego szóstego zstąpienia dowiedziałem się, co tam, na twojej planecie, dało początek tej żalosnej ogólnokosmicznej historii, postanowiłem zbadać tę sprawę na miejscu i samemu rozgryźć indywidualność tego Makarego Krochbernkcyjona, a ponieważ od owego zdarzenia upłynęło już bardzo dużo czasu i nawet „kalcanurne” ślady związane z „byciem” tego, który ponosił winę za to wszystko, już się zupełnie zatarły, zdecydowałem więc, że nie będę się ograniczał do tradycyjnych metod badawczych i posłużę się również środkami „śpipsychunalnymi”.

Spośród takich środków śpipsychunalnych użyłem między innymi „mediumizmu” to znaczy wykorzystałem wspomnianą specyficzną właściwość specjalnie przygotowanych przeze mnie mediów.

Ponieważ moje poszukiwania związane z osobowością i działalnością Makarego Krochbernkcyjona ujawniły, że najprawdopodobniej na powierzchni owej planety istnieje wciąż „coś”, co miało z nim bliski związek, zacząłem więc szukać tego „czegoś” posługując się tą wspomnianą już metodą.

Dowiedziawszy się w ten sposób, że połowa kopii oryginału bulmarszano, wykonanego własnoręcznie przez Makarego Krochbernkcyjona, była własnością ajsorskiego kapłana i że ów kapłan egzystuje na kontynencie Azja w miejscowości o nazwie „Urmia” wyruszyłem tam i odnalazwszy go, szybko ustaliłem, że faktycznie ma u siebie taką bardzo starą, jak sam się wyraził, „bezkształtną bryłę kości słoniowej”, którą uważa za drogocenny zabytek.

Po krótkiej dyskusji zgodził się mi ją pokazać, ale za żadne skarby nie chciał jej sprzedać; ostatecznie jednak, po kilku dniach przekonywania i nakłaniania, pozwolił mi zrobić z niej gipsową

kopię, którą zabrałem ze sobą.

Co się zaś tyczy drugiej połówki, to chociaż stosując tę samą metodę, równie szybko się dowiedziałem, gdzie ją można znaleźć, musiałem jednak włożyć dużo wysiłku i starań, aby ją zdobyć i móc odczytać jej treść.

Wprawdzie ta druga połowa, jak wspominałem, nie zdążyła się zapaść głęboko do środka planety, mimo to nie dało się jej wydobyć zwykłymi metodami.

Główna trudność polegała na tym, że znajdowała się w pobliżu miejsca zamieszkanego przez twoich ulubieńców, toteż musiałem bardzo uważać i podjąć odpowiednie kroki, żeby żaden z nich się nie dowiedział ani nawet nie podejrzewał, o co w tym wszystkim chodzi.

Jednym z takich przedsięwziętych przeze mnie środków było nawet to, że interesującą mnie parcelę wraz z przyległymi działkami wykupiłem od różnych dużych i małych właścicieli, a następnie, korzystając wyłącznie z pomocy cudzoziemskich robotników, przekopałem ją pod pretekstem prowadzenia szybu do kopalni miedzi.

A zatem, mój chłopcze, po odnalezieniu takimi metodami obu połówek kopii dzieła tego, na razie jeszcze świętego, Makarego Krochbernkcyjona, zabrałem je do miasta w kraju nazywanym teraz „Turkiestanem”, gdzie wówczas znajdowało się główne miejsce mojej egzystencji, i zacząłem rozszyfrowywać inskrypcje i znaki wyryte na tym bulmarszanie zawierającym naukowe tezy Makarego Krochbernkcyjona opatrzone tytułem „Pozytywne i negatywne wpływy wywierane na człowieka”.

Po powrocie do domu koniecznie postaram się pamiętać o tym, żeby jak najdosłowniej przekazać ci całą treść tego wielkiego dzieła rozumu i, jak się to określa, „rąk” istoty trójmózgowej, a tymczasem wyłożę ci tylko tę jego część, w której Makary Krochbernkcyjon użył po raz pierwszy pojęć „Dobro” i „Zło”, mających symbolizować siły będące podstawą kształtowania się obecności oraz bieżącego stanu każdej pojedynczej „względnie samodziel-

nej” formacji kosmicznej; a więc oczywiście także każdej istoty.

Jeśli chciałoby się przełożyć na język potoczny pojęcia odnotowane na tym bulmarszanie, to można by je wyrazić w sposób następujący:

„Nie ulega wątpliwości, że my, ludzie, jak wszystkie jednostki egzystujące we Wszechświecie, kształtujemy się i zawsze składamy z tych samych trzech samodzielnych sił, dzięki którym zachodzi proces wspierania się nawzajem wszystkiego, co istnieje, a konkretnie z następujących trzech samodzielnych światowych sił:

Pierwsza z nich powstaje nieustannie z przyczyn, które pojawiają się w samym Pierwoźródle dzięki presji nowo powstałych rezultatów, i wypływając z niego, wydostaje się skutek inercji na zewnątrz tego Pierwoźródła.

Drugą światową siłą staje się ta sama pierwsza siła, gdy straciwszy początkowy rozpęd, zaczyna dążyć – pod wpływem działania podstawowego światowego prawa, które głosi, że «skutki przyczyn muszą powrócić do przyczyn» – do ponownej fuzji ze źródłem swojego powstania.

Obie te siły są zupełnie samodzielne w ogólnym procesie wzajemnie wspierających się sił i w swych przejawach zawsze i wszędzie zachowują indywidualne właściwości oraz specyficzne cechy.

Pierwsza z tych dwóch podstawowych sił, mianowicie ta, która zmuszona jest stale przejawiać się na zewnątrz źródła swego powstania, musi ulegać nieustannej inwolucji, natomiast druga siła, odwrotnie, dążąc do fuzji z przyczyną swojego powstania, musi zawsze i we wszystkim ewoluować.

Pierwszą ze wspomnianych trzech samodzielnych sił – w następstwie tego, że powstaje z życiodajnych działań toczących się u samej podstawy Przyczyny wszystkiego, co istnieje, i tym samym otrzymuje w swojej obecności załączek podobnej mocy, to znaczy ma również możliwość przejawiania życiodajności – należy przyjąć za «Dobro», czyli czynnik urzeczywistniania rezultatu

płynącego wstecz, który w odniesieniu do tej pierwszej siły można i trzeba w takim razie uznać za «Zło».

Ponadto ta pierwsza siła przejawiająca się z nieuniknionych i koniecznych przyczyn powstających w samym Pierwoźródle może być z tego punktu widzenia uznawana za pasywną. Z kolei drugą siłę, tę skierowaną wstecz, należy uznać za aktywną, ponieważ musi wciąż stawiać opór, aby móc zawrócić lub przynajmniej nie ulec parciu pierwszej, pasywnej siły, która nabrała rozpędu w Pierwoźródle i płynie w odwrotnym kierunku.

Jeśli zaś chodzi o trzecią światową siłę, to jest nią nic innego, jak sam proces oraz rezultat zderzania się wszędzie i we wszystkim tych dwu podstawowych – opadającej i wstępującej – samodzielnych sił.

Chociaż ta trzecia samodzielna siła jest tylko rezultatem dwóch pierwszych podstawowych sił, jednakże to właśnie ona jest uduchawiającą i pojednawczą zasadą wszystkich światowych formacji.

A jest ona uduchawiającą zasadą wszystkich światowych formacji, ponieważ powstaje i musi w nich egzystować jako obecność dopóty, dopóki istnieją rezultaty rozmaitych nietypowych oporów, które stawiają sobie nawzajem te dwie wymienione podstawowe siły, skierowane w zupełnie przeciwne strony”.

Otóż, mój chłopcze, to w takim właśnie sensie i w takim znaczeniu zostały użyte po raz pierwszy przez tego nieszczęsnego Makarego Krochbernkcyjona słowa „Dobro” i „Zło”.

Dzięki jego bulmarszaniu, a także innym danym, które udało mi się wyjaśnić tam na miejscu, skryształizowała się we mnie własna opinia zarówno o samym Makarym Krochbernkcyjonie, jak i o całej reszcie – opinia w niczym nieprzypominająca tej, którą wyrobili sobie sprawiedliwi mieszkańcy świętej planety na podstawie swoich rozmaitych, być może bardzo mądrych, ale tylko pośrednich badań.

Powtarzam, chociaż faktycznie źródłem idei „zewnątrznego Dobra i Zła” była indywidualność Makarego Krochbernkcyjona, to,



moim zdaniem, on sam nie miał żadnego wpływu na to, że idea ta przybrała tak szkodliwą formę.

Jakkolwiek było, mój chłopcze, szczegółowe i bezstronne poszukiwania, które przeprowadziłem na miejscu, ukazały w pełnym świetle następujące fakty:

Odkąd ta szkodliwa tamtejsza idea, przybrawszy stopniowo taką określoną formę, stała się dla psychiki twoich ulubieńców tym, co można by nazwać „decydującym czynnikiem” skryształizowania się w ich zbiorczej obecności danych służących do tego rodzaju fantastycznej interpretacji, zgodnie z którą na zewnątrz nich istnieją jakoby obiektywne, oddziałujące na ich esencję źródła „Dobra” i „Zła” odtąd w ich zbiorczej psychice zaczęły się kryształizować, najpierw same z siebie, a potem już z udziałem ich dziwnej świadomości, swoiste drugorzędne dane, które wskutek automatycznych skojarzeń istnieniowych wytwarzają przekonanie, że przyczynami wszystkich ich przejawów, zarówno tych dobrych, jak i złych, nie są oni sami ani ich własny karygodny esencjonalny egoizm, lecz jakieś zewnętrzne, zupełnie od nich niezależne obce wpływy.

Największa szkoda, jaką wyrządziła tym wszystkim nieszczęśnikom owa fantastyczna idea, polega na tym, że do tego czasu – oczywiście jak zwykle z powodu ustalonych przez nich samych nienormalnych warunków zwykłej egzystencji istnieniowej – przestały się już kryształizować w nich dane potrafiące stworzyć to, co nazywa się „wieloaspektowym światopoglądem istnieniowym”, a na ich miejsce zaczął się w nich kształtować „światopogląd” opierający się wyłącznie na tej szkodliwej idei.

I rzeczywiście, obecnie twoi tamtejsi ulubieńcy już wszystkie bez wyjątku kwestie dotyczące zarówno zwykłej egzystencji istnieniowej, jak i samodoskonalenia oraz pojawiające się tam rozmaite ichnie „filozofie” i wszelkie, jak mówią, „nauki”, a także oczywiście niezliczone „nauczania religijne” i nawet ich sławetną „moralność” „politykę” „prawo” „etykę” itd., budują wyłącznie w oparciu o tę fantastyczną i w obiektywnym sensie niezwykle dla nich szkodliwą ideę.

A teraz, mój chłopcze, jeśli w uzupełnieniu do tego wszystkiego, czego się ode mnie dowiedziałeś o tej szkodliwej idei, opowiem ci jeszcze, w jaki sposób istoty naszego plemienia, które zostały zesłane na tę oryginalną planetę, stały się mimowolnymi uczestnikami takiego splotu kosmicznych wydarzeń, to jestem przekonany, że będziesz miał już prawie pełne wyobrażenie o tym sławetnym pojęciu twoich ulubieńców, czyli o ich koncepcji „Dobra” i „Zła”.

Oto jak doszło do tego, że istoty naszego plemienia niezamierzenie spowodowały ostateczne ugruntowanie się owej kosmicznej idei w procesie zwykłej egzystencji tych dziwnych trójmózgowych istot:

Już kilka razy wspominałem ci, że na początku wielu istotom naszego plemienia przyszło tam egzystować i zadawać się z przodkami twoich ulubieńców, a z niektórymi nawiązać nawet przyjacielskie stosunki.

Trzeba zaznaczyć, że w owym czasie nic jeszcze nie pozwalało przewidzieć pewnej „tragikomicznej historii”, o której chcę ci teraz opowiedzieć, jeśli nie liczyć faktu, że tuż przed opuszczeniem przez naszych owej planety wśród pewnych tamtejszych istot, i to tylko tych najbardziej naiwnych, pojawiła się idea, że istoty naszego plemienia są rzekomo „nieśmiertelne”.

Taka idea powstała najwyraźniej dlatego, że istoty naszego plemienia egzystowały o wiele dłużej od nich, wskutek czego wypadki świętego Raskuarno były wśród nas rzadkością. Chyba przez cały ten okres ów święty proces nie spotkał żadnego z nas.

Powtarzam: oprócz tego, o czym właśnie powiedziałem, w czasie, gdy nasi egzystowali wśród nich, nic specjalnego tam się nie wydarzyło.

Jednakże później, kiedy z pewnych powodów zostało wyrażone z Góry życzenie, żeby na tej planecie egzystowało jak najmniej istot naszego plemienia, i w związku z tym większość naszych przesiedliła się na inne planety tego samego układu – w następstwie czego nie został tam już prawie nikt z nas – otóż właśnie

wtedy zaczęła się tam wspomniana komiczna historia, w którą do dziś wplątane są prawdziwe imiona pewnych istot naszego plemienia.

Wydarzenia prowadzące do takiego oryginalnego zbiegu okoliczności, który spowodował, że te dziwne istoty trójmózgowe związały wiele imion istot naszego plemienia z tą swoją fantastyczną ideą, potoczyły się w sposób następujący:

Wkrótce po opuszczeniu przez naszych tej planety niejaki Armanaturga – który egzystował w epoce rozkwitu cywilizacji tiklamyszyckiej i wykonywał zawód „kapłana”, a nawet był uważany za jednego z „uczonych kapłanów” – stworzył jako pierwszy całe „religijne nauczanie” zasadzające się na tej szkodliwej idei.

W tym swoim „religijnym nauczaniu” wyjaśniał między innymi, że jakieś istniejące wśród nich niewidzialne duchy rozpowszechniają „zewnątrzne Dobro i Zło” oraz zmuszają ludzi do przyjmowania i przejawiania go, przy czym duchy, które rozprze-strzeniają „Dobro”, nazywane są „Aniołami” te zaś, które szerzą „Zło” – „Diabłami”.

„Anioły”, nosiciele i propagatorzy „Dobra”, to znaczy tego, co najwyższe i najbardziej boskie, skoro same są niebosiężne i boskie, nigdy nie mogą być przez ludzi widziane ani odczuwane.

Natomiast „Diabły”, przeciwnie, jako że mają najniższe pochodzenie, to znaczy wywodzą się z samego „dna czeluści”, mogą być przez ludzi widziane.

A jeśli faktycznie czasem się zdarza, że my Diabłów nie widzimy, to dzieje się tak tylko z powodu ich „diabelstwa”, z czego wynika, że im bardziej człowiek staje się „sprawiedliwy” tym większą jego narządy wzroku mają zdolność widzenia Diabłów.

Kiedy to nowe religijne nauczanie już się szeroko rozpowszechniło, niektórzy z twoich ulubieńców, dowiedziawszy się z przekazu przodków, że kiedyś w przeszłości istniały wśród nich istoty rzekomo nieśmiertelne, które niespodziewanie zniknęły, postanowili rozpuścić pogłoski o tym, że najwyraźniej chodziło o Diabły, a te, przewidując pojawienie się prawdziwego religijnego na-

uczania i obawiając się, że dzięki niemu ludzie będą je mogli „rozgryźć”, stały się niewidzialne, choć tak naprawdę dalej egzystują wśród nich.

To właśnie wtedy prawdziwe imiona wielu istot naszego plemienia – przypadkiem przekazane również w opisany sposób istotom, które były świadkami pojawienia się wspomnianego nauczania religijnego – nabrały wyjątkowego znaczenia i przechodząc z pokolenia na pokolenie, dotarły nawet do twoich współczesnych ulubieńców.

Oni do dzisiaj przypisują tym imionom najprzeróżniejsze fantastyczne „role”, które zgodnie z ich wyobrażeniami powinna odgrywać taka „kadra” istot-diabłów, jakoby specjalnie zorganizowana przez samego naszego stwórcę i posłana na ich planetę, aby się z nich naigrywać.

Jednym słowem w pojęciu owych trójmózgowych oryginałów naszego Megalokosmosu „Diabłem” jest taki niewidzialny i rzekomo egzystujący wśród nich „ktoś”, kto na rozkaz NASZEGO WSZECHWSPIERAJACEGO STWÓRCY mieszka na ich planecie, aby osiągnąć tam jakieś JEGO, WSZECHWSPIERAJACEGO, cele.

Obowiązkiem tych Diabłów jest jakoby podsuwać istotom-ludziom wszelkiego rodzaju prawdy i nieprawdy, a także zmuszać je do przejawiania na każdym kroku tych licznych „podłości”, które poniekąd cechują już ich obecność.

Oczywiście nikt tam nie podejrzewa, że jedynym powodem popełniania wśród nich wszelkiego rodzaju podłości jest to, że swoją niewłaściwą egzystencją same dopuściły do tego, by wykształcił się w nich ten wewnętrzny „zły bóg” nazwany przeze mnie „samospokojeniem”, który sprawuje absolutną władzę nad całą ich psychiką, i tylko jemu jednemu potrzebna jest taka idea „zewnątrznego Dobra i Zła”.

W każdym razie ta ich fantastyczna idea zrobiła wielką reklamę naszemu niezrównanemu Lucyferowi, przynosząc chwałę i sławę jego imieniu, ponieważ nigdzie we Wszechświecie jego zdolności nie są tak wysławiane i wychwalane jak wśród twoich

ulubieńców.

W tym miejscu opowieści Belzebuba do pomieszczenia statku kosmicznego „Karnak”, gdzie toczyły się rozmowy, wszedł jeden ze służących, który wręczył Belzebubowi zaadresowany do niego, odebrany przed chwilą lejtuczanbros, po czym skierował się ku wyjściu i zwracając się tym razem do wszystkich, radośnie oznajmił, że widać już odblaski sfery planety Karataz.

## Rozdział 45

### ***Zdaniem Belzebuba fakt, że ludzie czerpią z Przyrody elektryczność i niszczą ją podczas użytkowania, to jedna z głównych przyczyn skrócenia się długości ich życia***

Po wysłuchaniu treści lejtuczانبrosa Belzebub odłożył go na stojącą obok „sinurę”, czyli coś w rodzaju etażerki, i znowu głęboko westchnął, a następnie kontynuował swoją opowieść:

– Dla naszego Wspólnego Megalokosmosu byłoby to tylko pół biedy, gdyby nienormalne warunki zwykłej egzystencji trójmózgowych istot twojej planety miały jakieś ujemne skutki jedynie dla nich samych jako istot trójmózgowych i dla możliwości pełnego udoskonalenia się tych najwyższych ciał istnieniowych, które na swoje wielkie nieszczęście powstały już w nich lub powstaną w przyszłości.

Obecnie jednak cała okropność polega na tym, że ta ich nienormalna egzystencja zaczyna wywierać także szkodliwy wpływ na normalną egzystencję trójmózgowych istot mających siedlisko na zupełnie innej planecie – choć jak dotąd należącej do tego samego układu słonecznego – i uniemożliwiać normalne doskonalenie najwyższych ciał istnieniowych, które oblekają się w ich zbiorczej obecności.

O tym żalonym fakcie mającym charakter ogólnokosmiczny dowiedziałem się zupełnie przypadkowo, tuż przed opuszczeniem na zawsze układu słonecznego Ors.

Ze wszystkiego, co wiąże się z wydarzeniami, które pozwoliły mi jasno uzmysłwić sobie ów żalony ogólnokosmiczny fakt, a także skryształizować w mojej zbiorczej obecności „niezniszczal-

ne” istnieniowe dane, utwierdzające mnie w przekonaniu o jego prawdziwości, najbardziej zainteresuje cię to, że niezwykle pomógł mi w tym nie kto inny, a sam „rezultat” lub, jak powiedzieliby twoi ulubieńcy, syn mojego esencjalnego przyjaciela Gornahura Harcharcha, to młode świadome Indywiduum, Gornahur Rahrurch, który – tak samo jak jego producent – uczynił celem swej egzystencji zbadanie wszystkich szczegółów właściwości wszechobecnej substancji kosmicznej Okidanoch i z czasem również został uznany za jedną z ogólnokosmicznych uczonych istot trójmózgowych „najwyższej rangi”.

Wiesz co, mój chłopcze? Ponieważ wszystkie wydarzenia i rozmowy, które stopniowo pozwoliły mi pojąć i zgromadzić w sobie czynniki kształtujące niezachwianą pewność co do tego ogólnokosmicznego żalosnego faktu, są arcyciekawe i mogą się okazać dla ciebie bardzo pouczające, a także ponieważ na razie widać tylko odblaski sfery naszego drogiego Karataza, opowiem ci więc o tym wszystkim trochę bardziej szczegółowo.

Aby ukazać ci w pełni, jak to się stało, że w moim jestestwie skryształizowały się dane, które pozwoliły mi stwierdzić i bez cienia wątpliwości uświadomić sobie taki fakt, opowiem ci po kolei o tym, co zdarzyło się wcześniej, zaczynając od chwili, gdy jeszcze za mojej bytności na twojej planecie dowiedziałem się po raz pierwszy o otrzymaniu całkowitego przebaczenia.

Oczywiście zaraz po tym, gdy poinformowano mnie o tym akcie najwyższej łaski w stosunku do mojej osoby postanowiłem jak najszybciej powrócić do drogiego mojej esencji miejsca mojego powstania.

W tym celu musiałem jednak najpierw wznieść się na planetę Mars, aby tam należycie się przygotować do tak długiej podróży.

Kilka dni później, opuściwszy na zawsze twoją planetę, powróciłem – jak zwykle na naszej „Okazji” – na planetę Mars.

I już tam, na planecie Mars, zaraz po przybyciu otrzymaliśmy rozkaz z Góry nakazujący mi, jak również wszystkim pozostałym istotom naszego plemienia, które pragnęły powrócić do miejsca

swojego powstania, udać się statkiem „Okazja” na planetę Saturn, gdzie miał przylecieć wielki statek międzyukładowy „Wszędobylski”, aby zabrać nas wszystkich do miejsca przeznaczenia.

Najpierw jednak musiałem zatrzymać się na jakiś czas na planecie Mars, żeby pozamykać tam wszystkie moje sprawy osobiste i wydać różne dyspozycje dotyczące istot naszego plemienia. Właśnie wtedy poinformowano mnie, że tamtejszy „tuf-nef-tef” bardzo chce się ze mną zobaczyć.

Tytuł „tuf-nef-tef” otrzymuje na Marsie istota, która jest przywódcą wszystkich trójmózgowych istot mających siedlisko na tej planecie, czyli taka istota, którą ze względu na pełnioną funkcję nazwano by na twojej planecie „królem”.

Owego tuf-nef-tefa lub króla poznałem w jego młodości, kiedy był jeszcze tylko „plef-perf-nufem” – a plef-perf-nuf to ktoś zajmujący się niemal tym samym co u nas cyrlikner albo na planecie Ziemia lekarz.

Nawiasem mówiąc, powinieneś wiedzieć, że prawie na wszystkich planetach naszego Wielkiego Wszechświata, a więc także na pozostałych planetach układu słonecznego Ors, istota staje się przywódcą innych istot dzięki swoim zasługom i to najczęściej zasługom, które położyła, wykonując zawód plef-perf-nufa lub lekarza, oczywiście lekarza zarówno ciała, jak i ducha.

Moje pierwsze spotkanie z owym marsjańskim tuf-nef-tefem odbyło się wkrótce po tym, jak przybyliśmy do tego układu słonecznego i zainstalowaliśmy się na planecie Mars. Był on wtedy plef-perf-nufem właśnie na tej części powierzchni planety, gdzie postanowiłem się osiedlić wraz ze wszystkimi, którzy towarzyszyli mi w podróży.

Od tamtej pory egzystował jako plef-perf-nuf na różnych częściach powierzchni Marsa i właśnie dzięki swoim zasługom stał się przywódcą wszystkich istot mających siedlisko na tej planecie. Kiedy jednak zaczął się zbliżać do stanu świętego „Izmecha” zapragnął powrócić na tę część powierzchni planety, gdzie spędził młodość. Oto dlaczego ten był plef-perf-nuf, a teraz już tuf-



nef-tef znalazł się wtedy niedaleko miejsca mojego pobytu na Marsie.

W pojęciu twoich ulubieńców ów marsjański tuf-nef-tef był już istotą bardzo sędziwą; według rachuby czasu planety Mars miał wtedy jakieś dwanaście tysięcy marsjańskich lat, co zgodnie z ziemską rachubą wynosi tylko niewiele mniej.

Muszę ci powiedzieć, że na planecie Mars długość egzystencji istot generalnie jest prawie taka sama jak w przypadku trójcentrowych istot wszystkich innych planet naszego Megalokosmosu, oczywiście z wyjątkiem tych istot, które uformowały się bezpośrednio z pierwszych Tetartokosmosów i których egzystencja może być niemal trzy razy dłuższa.

Trójmózgowe istoty, które powstają i egzystują na planecie Mars, jak również na tych wszystkich planetach naszego Megalokosmosu, gdzie toczy się normalna egzystencja istot trójcentrowych, mogą w pełni osiągnąć stan świętego Iszmecha, to znaczy taki stan, w którym egzystencja istoty, z punktu widzenia przeogromnego kosmicznego Iraniranumanż, zależy już tylko od substancji powstających z przejawów samego Przenajświętszego Pierwoźródła, podczas gdy w wypadku innych istot owa egzystencja zależy od substancji kosmicznych, które powstają z rezultatów wszystkich odpowiednich koncentracji środkociężkościowych podstawowego ogólnokosmicznego Ansambluiazara.

Otóż kiedy udaje się im osiągnąć stan świętego Iszmecha i rozum ich najwyższej części jest już udoskonalony do wymaganego stopnia świętego miernika rozumu, wtedy, po pierwsze, proces świętego Raskuarno zachodzi w nich tylko na ich własne życzenie, a po drugie, ich najwyższe ciało istnieniowe trafia bezpośrednio na świętą planetę Czyściec.

A zatem, gdy wróciłem z planety Ziemia na planetę Mars i w pośpiechu zamykałem tam swoje sprawy, poinformowano mnie, że sam tuf-nef-tef tej planety pragnie mnie osobiście zobaczyć.

Tę prośbę tamtejszego czcigodnego tuf-nef-tefa przekazał mi nasz Ahun za pomocą, jak się tam mówiło, „kele-e-ofu”\*.

\* „Kele-e-ofu” na planecie Mars odpowiada temu, co na planecie Ziemia nazywa się „bilecikiem”.

A treść tego kele-e-ofu była następująca:

„Wasza Przewielebność, właśnie się dowiedziałem, że stałeś się godzien uzyskania od NASZEGO WSPÓLNEGO OJCA STWÓRCY całkowitego przebaczenia Twoich grzechów młodości i masz opuścić na zawsze moją ziemię rodzinną. Dlatego ja, istota już stara, bardzo Cię pragnę zobaczyć i po raz ostatni pobłogosławić, a także za Twoim pośrednictwem podziękować wszystkim istotom Twojego plemienia za to, że przez tyle długich lat zawsze utrzymywały dobre stosunki z istotami mojego kraju”.

Na końcu owego kele-e-ofu był jeszcze dopisek:

„Sam bym Cię odwiedził w Twoim domu, ale, jak Ci wiadomo, rozmiary mojego ciała planetarnego zupełnie na to nie pozwalają i dlatego jestem zmuszony prosić Cię, abyś mi nie odmówił i sam przyszedł do mojej «fal-fe-fuf»\*”.

\* „Fal-fe-fuf” w języku Marsjan oznacza „siedzibę”.

Należy dodać, że trójmózgowe istoty planety Mars od samego początku znały naszą prawdziwą naturę oraz dokładne przyczyny naszego przymusowego pobytu na ich planecie.

Czyli odwrotnie niż trójmózgowe istoty twojej planety, które nigdy o niczym nie wiedziały ani nawet nie podejrzewały, kim jesteśmy i dlaczego tam się znaleźliśmy.

Tak więc, mój chłopcze, kiedy otrzymałem to zaproszenie od czcigodnego tuf-nef-tefa, oczywiście od razu postanowiłem udać się do niego. Po przybyciu na miejsce i odprawieniu wszystkich obowiązujących tam ceremonii, a także po wymianie grzeczności, ten wielki, w pełnym tego słowa znaczeniu, tuf-nef-tef zwrócił się do mnie w trakcie naszej rozmowy z prośbą, która później przyczyniła się do skryzalizowania się we mnie danych wzbudzających niezachwiane przekonanie, że rezultaty wpływające z nienormalnej egzystencji trójmózgowych istot twojej planety zaczęły już szkodliwie oddziaływać także na zwykłą egzystencję trójmózgowych istot, które powstają i egzystują na planecie

Mars, a to w znaczeniu mocy posiadanej przez te ostatnie i stwarzającej im możliwość udoskonalenia się tak jak przystoi wszystkim istotom trójmózgowym.

Postaram się niemal dosłownie przekazać ci w naszym języku tę prośbę wielkiego tuf-nef-tefa.

Powiedział on wtedy co następuje:

„Wasza Przewielebność!

Dzięki wspaniałomyślnemu przebaczeniu udzielonemu Ci z Góry odzyskałeś prawo do swobodnego spełnienia wszystkich swoich pragnień, na które sprawiedliwie zasłużyłeś. Teraz, wskutek takiej wszechobejmującej łaski, możesz znowu w pełni być tym, kim mogłeś się stać już dawno temu dzięki swoim wcześniejszym osiągnięciom na polu rozumu, i oczywiście nie ulega wątpliwości, Wasza Przewielebność, że od tej pory będziesz się spotykał z różnymi Indywiduami, które odpowiadają twojemu byciu i osiągnęły już najwyższe stopnie rozumu.

Pozwalam więc sobie zwrócić się do Ciebie, jako do starego przyjaciela, z prośbą, żebyś przy spotkaniach z tymi Indywiduami pomyślał o starcu takim jak ja i nie zapomniał ich spytać, co sądzą o pewnym fakcie, który w ostatnich latach niemal bezustannie wywołuje we wszystkich moich uduchowionych częściach niepokojące skojarzenia, a potem, kiedy poznasz już ich opinię na ten temat, żebyś nie omieszkał przy nadarzającej się okazji w jakiś sposób mnie o tym poinformować”.

Następnie dodał jeszcze:

„Rzecz w tym, że przez kilka ostatnich «ftofu» bardzo wyraźnie zaobserwowałem, iż u istot naszej planety z każdym «ftofu» wzrasta ich «nurfuftafaf»\* i równocześnie proporcjonalnie zmniejsza się intensywność mocy ich aktywnego myślenia.

\* Wyrażenie „nurfuftafaf” oznacza na tej planecie coś podobnego do tego, co na Ziemi zwie się „bezwolnością”.

Kiedy po raz pierwszy odkryłem to tak niepożądane dla istot naszej planety zjawisko, zacząłem się bardzo intensywnie zastanawiać i szukać jego przyczyny, aby móc przekazać istotom, któ-

re obdarzyły mnie zaufaniem, odpowiednie wskazówki pozwalające im podjąć walkę w celu wykorzenienia tego powstałego niedawno w ich zbiorczej obecności niepożądanego czynnika, lecz choć bardzo często i długo rozmyślałem aktywnie nad tą niepokojącą mnie kwestią, do dzisiaj nie udało mi się nawet w przybliżeniu pojąć, o co w tym wszystkim chodzi ani jakie właściwe starania należy poczynić, aby zniszczyć to zło”.

Tak zakończył swoją prośbę czcigodny tuf-nef-tef planety Mars, a ja, mój chłopcze, oczywiście z miejsca obiecałem mojemu staremu przyjacielowi, że przy pierwszym spotkaniu z odpowiednimi Indywiduami wypytam o to wszystko i potem przekażę mu na pewno ich odpowiedź.

Kilka marsjańskich dni po tych odwiedzinach opuściliśmy na zawsze tę gościnną planetę i poleciliśmy na planetę Saturn.

Zaraz po przybyciu na planetę Saturn tamtejszy starosta naszego plemienia przyszedł przekazać nam treść otrzymanego właśnie eterogramu, w którym była mowa o tym, że wielki międzyukładowy statek „Wszędobylski” wyląduje na planecie Saturn dopiero na początku następnego „hre-hri-hra”.

Nazwę „hre-hri-hra” nosi tam odcinek czasu, który wyznacza się na podstawie wiadomej pozycji owej planety w stosunku, po pierwsze, do słońca jej układu, a po drugie – do innej planety tego samego układu, noszącej nazwę „Neptun”.

Na Saturnie jeden rok składa się z siedmiu takich okresów i każdy z nich ma własną nazwę.

Ponieważ zgodnie z marsjańską rachubą czasu do następnego hre-hri-hra zostało jeszcze prawie pół „fus”, czyli według rachuby czasu twoich ulubieńców około półtora miesiąca, postanowiliśmy w trakcie tego oczekiwania odpowiednio zorganizować naszą zwykłą egzystencję istnieniową.

Niektórzy z nas zostali na statku „Okazja” inni urządzili się w pomieszczeniach, które oddały nam do dyspozycji uprzejmie istoty planety Saturn, a ja i Ahun udaliśmy się do „Rirch”, to znaczy do tego dużego ośrodka tamtejszych istot trójmózgowych,

gdzie egzystował mój przyjaciel Gornahur Harcharch.

Wieczorem w dniu naszego przybycia, podczas przyjacielskiej pogawędki z tym moim esencjalnym przyjacielem, zapytałem go między innymi o to, jak przebiega proces egzystencji jego następcy, a mojego drogiego „zewnątrznego rezultatu kesdżańskiego” lub, jak powiedzieliby twoi ulubieńcy, mojego „chrześniaka”, Gornahura Rahurcha.

Wyraziwszy wdzięczność; odpowiedział, że egzystencja Rahurcha toczy się bardzo pomyślnie i że pod każdym względem stał się on już jego następcą, ponieważ idąc w jego ślady, obrał za cel swojej odpowiedzialnej egzystencji szczegółowe badanie wszechobecnej substancji Okidanoch.

Po krótkiej pauzie dodał, że jego następcą, zgłębiając wiedzę o kosmicznej substancji Okidanoch, „wyniuchał już samą jej esencję”.

Dalej powiedział mi, że obecnie – dzięki rezultatom osiągnięć naukowych jego następcy – nie dość, że w jego własnym jeststwie już całkowicie zdekrystalizowały się wszystkie skryształizowane uprzednio w ciągu długich lat wytrwałych trudów dane potrzebne do formowania wszelkich przekonań, to jeszcze zniszczył on co do jednego wszystkie swoje wynalazki służące do badania owej wszechobecnej substancji kosmicznej, wliczając w to słynną „lampę niewydzielającą promieniowania” i potem, westchnąwszy głęboko, stwierdził na zakończenie:

„Teraz w pełni zgadzam się z opinią «rezultatu mojej całości», że popełniłem wielki błąd, oddając się przez tak długi czas temu zajęciu, które, w obiektywnym sensie, jest absolutnie «grzechem nie do odkupienia»”.

W trakcie dalszej rozmowy na różne przypadkowe tematy zaczęliśmy mówić, idąc skojarzeniowym torem myślenia istnieniowego, także o trójmózgowych istotach, które mają siedlisko na planecie Ziemia.

Pamiętasz, wspominałem ci już, że mój przyjaciel Gornahur Harcharch śledził zawsze na bieżąco moje obserwacje ich dziwnej

psychiki i że tak samo jak wujowi Tuiłanowi wysyłałem mu kopie niektórych moich notatek.

To dlatego, gdy rozmawialiśmy o tych przypadkach ci do gustu trójmózgowych istotach, Gornahur Harcharch zapytał mnie między innymi:

„Powiedz mi, proszę, mój przyjacielu, czy to możliwe, że średnia długość egzystencji tych nieszczęśników wciąż się skraca?”.

Właśnie zacząłem mu wyjaśniać panujący tam obecnie, jeśli chodzi o tę kwestię, stan rzeczy, a także przekazywać zebrane przeze mnie nowe dane, dotyczące tej tamtejszej anomalii, gdy do pokoju wszedł jego „rezultat” we własnej osobie, Gornahur Rahrurch.

Wprawdzie nowy przybysz aparycją praktycznie nie różnił się od swego „producenta”, ale był ponadto bardzo dzielną i pełną młodzieńczej werwy istotą.

Zająwszy miejsce na żerdzi, jak czynią to trójmózgowe istoty tej planety, przywitał mnie swoim „anielsko-muzykalnym” głosem i zgodnie z ichnim zwyczajem złożył mi bardzo serdeczne i wywołujące samozadowolenie w doznaniach istnieniowych życzenia.

Na zakończenie trochę patetycznie powiedział:

„Aczkolwiek jesteś tylko moim «kesdzańskim ojcem», ale dzięki temu, że z całą świadomością spełniłeś wobec mnie boski obowiązek, który wzięłeś na siebie w czasie mojego «hrihrahri»\*, skryzalizowały się we mnie w stosunku do ciebie dane mające taką samą siłę jak te, które powinny występować w zbiorczej obecności każdej trójmózgowej istoty w stosunku do swojego rodzzonego producenta, i niewątpliwie właśnie z tego powodu tak często o tobie pamiętam, życząc ci za każdym razem w myślach, by zawsze towarzyszyły ci takie okoliczności, które wiodą w sumie do dobrej, w sensie obiektywnym, i szczęśliwej przyszłości”.

\* „Hrihrahri” to na planecie Saturn nazwa tej świętej ceremonii, która przypomina ceremonię zwaną na planecie Ziemia „chrzcinami”.

Zapewne, mój chłopcze, nie zrozumiałeś, co miałem na myśli,

gdy powiedziałem, że Gornahur Rahurch zajął miejsce na żerdzi.

Chodzi o to, że trójmózgowe istoty tej planety, stosownie do swojej zewnętrznej powłoki, stopniowo przyzwyczyły się odpoczywać wyłącznie w jednej pozie, a mianowicie, schyliwszy się wpierw w szczególny sposób, przenoszą cały ciężar planetarnego ciała na dolne kończyny, przy czym okazało się z czasem, że ten rodzaj odpoczynku wymaga, by znajdowały się odpowiednio wysoko i dlatego tamtejsze istoty trójmózgowe mają zwyczaj przymocowywać na pewnej wysokości w pomieszczeniach, gdzie egzystują, specjalne tyczki zwane „żerdziami”.

Dodam w tym miejscu, że te swoje żerdzie upiększają zazwyczaj różnymi świecidełkami lub rzeźbią w nich najprzeróżniejsze wzory podobnie zresztą jak twoi ulubieńcy; którzy okazują taką samą słabość, jeśli chodzi o ozdabianie swoich „mebli”.

A zatem mój drogi „zewnątrzny rezultat kesdzański” lub „chrześniak” Gornahur Rahurch, usadowiwszy się na żerdzi i wygłosiwszy powitanie, dołączył do naszej rozmowy.

Kiedy tak gawędziliśmy na różne tematy, postanowiłem, mój chłopcze, zapytać przy okazji mojego chrześniaka, co było powodem skryzalizowania się w jego obecności danych, które dostarczyły mu bodźca do zajęcia się serio wyjaśnieniem szczegółów wszechobecnej substancji kosmicznej Okidanoch i dzięki którym, w ślad za swoim producentem, stał się godzien dokonania wielkich odkryć kosmicznych. Precyzyjna odpowiedź młodego Rahurcha unaoczniała mi przede wszystkim, że nienormalna egzystencja twoich ulubieńców zaczęła już szkodliwie oddziaływać na normalną egzystencję i świadome doskonalenie się istot mających siedlisko na planecie Mars, a jednocześnie z tej ściślej, opartej na naukowych podstawach odpowiedzi udało mi się zaczerpnąć dane potrzebne do rozwikłania owej kwestii, o której rozwiązanie poprosił mnie mój stary marsjański przyjaciel, wielki tufnef-tef.

Postaram się, mój chłopcze, najdokładniej, jak to możliwe, przekazać ci w naszym języku cały sens jego odpowiedzi.

Gornahur Rahurch zastanowił się przez chwilę nad pytaniem, które mu zadałem, i z wielką powagą odrzekł:

„Na początku mojej egzystencji, czyli w okresie, gdy wciąż szykowałem się do stania się istotą odpowiedzialną, większość czasu – jak to jest powszechnie przyjęte wśród wszystkich trójmózgowych istot w tym wieku – poświęcałem na ćwiczenia rozwijające moc «długotrwałego aktywnego rozmyślenia», i tak jakoś wyszło, że podczas przerw na niezbędny odpoczynek weszło mi w nawyk majstrowanie przy różnych aparatach doświadczalnych mojego producenta.

Właśnie w tym okresie mojej egzystencji wielokrotnie zauważyłem, że w niektóre dni siła i poziom mojego aktywnego myślenia wyraźnie się obniżały.

To spostrzeżenie wzbudziło we mnie subiektywne zainteresowanie, które przerodziło się w mojej obecności w pilną potrzebę poznania przyczyny tego zjawiska. Od tamtej pory zacząłem więc szukać tej przyczyny, skupiając uwagę na samym sobie, jak również na tym, co działo się wokół mnie, i już po jednym «rhi» nabrałem absolutnego przekonania, że ów niepożądany stan pojawia się we mnie za każdym razem, gdy wprawiany jest w ruch nasz wielki «życieczakan\*».

\* „Życieczakan” odpowiada w przybliżeniu temu, na co na Ziemi mówi się „dynamo”.

To właśnie ów fakt, który uświadomiłem sobie wtedy po raz pierwszy, spowodował, że od tamtej pory poważnie zainteresowałem się tą wszechobecną substancją kosmiczną i zacząłem ją badać, zagłębiając się w jej szczegóły.

Otóż już na samym początku moje eksperymenty dostarczyły niezliczonych dowodów, które wykazały zarówno mi, jak i innym, że wszechobecna substancja Okidanoch to cząstka zbiorczej obecności atmosfery naszej planety – i naturalnie obecności oraz atmosfer innych planet – uczestnicząca zarówno w powstawaniu wszystkich planetarnych i naplanetarnych formacji, w tym oczywiście «hraprchalnichrochnej» części każdej istoty, jak i we wspieraniu ich egzystencji.



W trakcie moich dalszych badań doświadczalnych nabrałem też niezachwianego przekonania, że chociaż nasz układ słoneczny, jak wszystkie inne układy słoneczne Wielkiego Wszechświata, ma własny Ansambluiazar i każda planeta ze swoją atmosferą to specjalne skupienie takiej czy innej klasy substancji kosmicznych danego «układowego Ansambluiazara», niemniej kosmiczna substancja Okidanoch pozostaje niezbędną i podstawową częścią obecności każdej planety.

Później zaś moje doświadczenia pokazały mi, że owa substancja kosmiczna skupia się w każdym układzie w proporcji ściśle określonej przez równowagę ogólnokosmiczną i, tak samo według ściśle ustalonej proporcji, jest rozprowadzana w atmosferach wszystkich planet danego układu słonecznego oraz że za każdym razem, gdy w dowolnym miejscu przestrzeni atmosferycznej ta uniwersalna substancja jest przypadkowo lub zamierzenie zużywana, musi zostać bezwzględnie uzupełniona w celu utrzymania w równowadze jej ogólnej proporcjonalności w atmosferze, a to można uzyskać wskutek jej napływu z innych miejsc, przy czym takie równoważące przemieszczanie się Okidanocha z jednej przestrzeni do drugiej powinno zachodzić nie tylko w obrębie atmosfery danej planety, lecz także pomiędzy atmosferą jednej planety a drugiej, jeśli w tej ostatniej zużycie owej substancji przekroczyło z jakiegoś powodu ustaloną normę.

I wreszcie, jeszcze skrupulatniej i wszechstronniej wyjaśniłem swojemu rozumowi, a następnie udowodniłem innym, że wszechobecna substancja kosmiczna Okidanoch – występująca w naszej atmosferze i stale uzupełniana – jest nie tylko niezbędnie potrzebna zbiorczej obecności naszej planety i odgrywa główną rolę w powstawaniu i wspomaganiu istnienia, lecz także że to od tej substancji jest uzależniona esencja każdej wewnątrzplanetarnej i naplanetarnej „względnie samodzielnej” formacji oraz esencja istot o dowolnym układzie mózgowi dowolnej powłoce zewnętrznej, i że w przypadku istot trójmózgowych możliwość udoskonalenia się i ostatecznej fuzji z Praprzączyną wszystkiego, co istnieje, zależy tak samo wyłącznie od niej.

Powtarzam, w rezultacie wszystkich moich badań doświadczalnych jasno sobie uświadomiłem i zgromadziłem bezsporne dane, dzięki którym mogłem wszechstronnie udowodnić wszystkim podobnym do mnie istotom z mojego otoczenia, że zniszczenie w obecności planety i w jej atmosferze wszechobecnej substancji kosmicznej Okidanoch praktycznie równa się świadomemu unicestwieniu wszystkich trudów i rezultatów Przenajświętszej Praprzyczyny wszystkiego, co istnieje”.

Tymi słowami, cały przejęty tematem swojej wypowiedzi, mój drogi chrześniak, młody i pełen zapału Gornahur Rahurch, zakończył przemowę.

Jeszcze w trakcie wyjaśnień Gornahura Rahurcha dotyczących właściwości wszechobecnej substancji kosmicznej Okidanoch i nieuchronnych skutków czerpania jej ze zbiorczej obecności swojej planety, a następnie jej niszczenia zrodziło się we mnie pewne podejrzenie i stopniowo w mojej pamięci zaczęły się pojawiać przeróżne obrazy przywołujące wcześniejsze, związane ze zwykłą egzystencją istnieniową twoich ulubieńców wrażenia, które zebrałem w czasie, gdy sam przebywałem wśród nich, a także w okresach, kiedy uważnie obserwowałem tę ich egzystencję z planety Mars – a mianowicie obrazy przedstawiające to, jak wielokrotnie w różnych okresach czerpali oni z przyrody swojej planety ową substancję lub jej poszczególne części i wykorzystywali do rozmaitych swoich naiwnie egoistycznych celów.

Kiedy więc w trakcie kolejnych wyjaśnień Gornahura Rahurcha przypomniałem sobie przez skojarzenie o prośbie wielkiego tuf-nef-tefa planety Mars, wtedy całym swoim jestestwem i bezcienia wątpliwości uświadomiłem sobie wszystkie zgubne następstwa tego przejawu trójmózgowych istot twojej planety.

W różnych epokach one same różnie nazywały całość i poszczególne części owej dla nich również świętej substancji, przy czym w chwili obecnej rezultat fuzji i unicestwiania się nawzajem dwóch części tej wszechobecnej substancji określają mianem „elektryczności”.

I faktycznie, chociaż już wielokrotnie we wcześniejszych epo-

kach odkryły – oczywiście zawsze dzięki przypadkowemu zbiegowi okoliczności – jak mogą czerpać z przyrody swojej planety i w jaki sposób wykorzystywać do przeróżnych swoich, powtarzam, „naiwnie egoistycznych” celów poszczególne części tej absolutnie niezbędnej do normalnych procesów kosmicznych wszechobecnej substancji, jednak nigdy jeszcze nie niszczyły jej w takiej ilości jak ostatnimi czasy.

A zatem dzięki wyjaśnieniom mojego „zewnątrznego rezultatu kesdańskiego” po pierwsze, nabrałem niezachwianego przekonania o zgubnym charakterze wpływu, jaki zaczęły już wywierać rezultaty nienormalnej zwykłej egzystencji istnieniowej tych przypadłych ci do gustu trójmózgowych istot, a po drugie, sama z siebie znalazła się odpowiedź na pytanie, które nurtowało mojego starego przyjaciela, a mianowicie: Dlaczego ostatnio trójmózgowym istotom planety Mars jest coraz trudniej się udoskonalić?

Jeśli zaś chodzi o sposób, w jaki tę kwestię udało się wyjaśnić, to można powiedzieć, że wszystko się potoczyło dokładnie tak, jak opisał to w swoim rzadko cytowanym porzekadle nasz dostojny Mułła Nasr Eddin:

„Nigdy nie wiadomo, kto ci pomoże wygrzebać się z kaloszy”.

A potoczyło się właśnie tak, ponieważ mój stary przyjaciel, prosząc o znalezienie odpowiedzi na to pytanie, miał na myśli Indywidua dysponujące całkiem innymi danymi i możliwościami niż moi przyjaciele z Saturna, którzy byli tylko zwykłymi istotami trójmózgowymi. Mój przyjaciel zapewne nawet nie podejrzewał, że w większości przypadków, gdy w grę wchodzi tego rodzaju pytania, zwykłe istoty trójmózgowe, uzyskujące informacje o wszelkich prawdziwych faktach kosmicznych wyłącznie dzięki swoim partkdołgpowinnościom istnieniowym, mogą być bardziej kompetentne niż jakiś Anioł czy Cherubin, który co prawda, ze swym gotowym już byciem, ma rozum udoskoniony do wysokiego stopnia, ale jeśli chodzi o sporządzanie praktycznych zestawień, może się okazać zaledwie takim Indywiduum jak to, które nasz zawsze czcigodny Mułła Nasr Eddin określa następująco-

mi słowami:

„Nigdy nie zrozumie cierpień drugiego ten, kto sam ich jeszcze nie doświadczył, i to choćby miał boski rozum i naturę prawdziwego diabła”.

W tym miejscu opowieści Belzebuba po całym międzyukładowym statku „Karnak” rozeszły się sztucznie wytworzone wibracje mające właściwość przenikania do zbiorczej obecności wszystkich pasażerów statku i oddziaływania na „nerwy błędne” żołądka.

To sztucznie wywołane zjawisko obwieszczało pasażerom, że czas już się zebrać w „dżamiczunatrze”, czyli czymś w rodzaju ziemskiego „refektarza klasztornego”, gdzie wspólnie przyjmowano drugi pokarm istnieniowy.

## Rozdział 46

### ***Belzebub wyjaśnia wnukowi znaczenie formy oraz kolejności, w jakiej postanowił przedstawić informacje dotyczące ludzi***

Po procesie przyjęcia drugiego pokarmu istnieniowego Belzebub nie od razu wrócił z dżamiczunatra do miejsca, gdzie zwykł prowadzić rozmowy z bliskimi, lecz udał się wpierw do swojego „kesza”.

„Kesz” to nazwa takiego pomieszczenia na statkach kosmicznych jak to, które na ziemskich parowcach nazywa się „kajuta”.

Belzebub wstąpił najpierw do kesza, aby odświeżyć tam w pewnym płynie swój bardzo już zmurszały ogon – zabieg, do którego musiał się uciekać od czasu do czasu z powodu starości.

Kiedy wracając ze swego kesza, wszedł po cichu do tej części statku „Karnak” gdzie miał zwyczaj spędzać czas ze swoimi bliskimi, nieoczekiwanie zobaczył następujący niezwykły obraz:

Jego ukochany wnuk Hassin stał w rogu odwrócony tyłem i płakał, zakrywając twarz rękami. Belzebub, bardzo wzruszony, szybko podszedł do Hassina i z dużym niepokojem w głosie zapytał:

– Co ci się stało, mój drogi chłopcze? Czyżbyś naprawdę płakał?

Hassin chciał coś odpowiedzieć, ale widać było, że łkania jego planetarnego ciała przeszkadzały mu w mówieniu.

Dopiero po jakimś czasie, kiedy jego ciało planetarne trochę się uspokoiło, spojrzął na dziadka smutnymi oczami i jednocześnie czule się uśmiechając, powiedział:

– Nie martw się o mnie, mój drogi dziadku, ten stan szybko minie.

Widocznie w ciągu ostatnich dionosków dużo aktywnie myśla-

łem i najwyraźniej wskutek takiego nietypowo wydłużonego funkcjonowania „w nowym tempie” zmieniło się ogólne tempo funkcjonowania całej mojej zbiorczej obecności.

Teraz więc dopóki to nowe tempo mojego myślenia nie zharmonizuje się z innymi ustalonymi już tempami mojego ogólnego funkcjonowania, będą się we mnie prawdopodobnie pojawiały różne anomalie w rodzaju tego płaczu.

Muszę przyznać, drogi dziadku, że podstawowa przyczyna takiego stanu mojej zbiorczej obecności leży w istnieniowym wyobrażeniu, jakie powstało w moich myślach przez skojarzenie i dotyczy sytuacji oraz losu tych niefortunnych najwyższych ciał istnieniowych, które z różnych przypadkowych powodów powstają i na wespół się formują w zbiorczej obecności ziemskich istot trójmózgowych.

Takie skojarzenie myślowe – wraz z rosnącym proporcjonalnie impulsem smutku – zrodziło się we mnie jeszcze w dżamiczuna-trze podczas świętego spożywania drugiego pokarmu istnieniowego; pomyślałem o nich przez skojarzenie dokładnie wtedy, gdy sam byłem wypełniony szczęściem z powodu wszystkiego, co się tam działo.

Otóż gdy wspominałem te niefortunne istoty trójmózgowe, o których w ostatnim czasie przekazałeś mi tyle informacji, naszała mnie myśl, że wyłącznie z powodu następstw właściwości tego przekłętego dla nich „czegoś” – wszczepionego w zbiorczą obecność ich przodków z przyczyn zupełnie niezależnych od ich esencji, a wynikających jedynie z nieprzezorności pewnych Najwyższych Świętych Indywiduów – nie tylko najwyższe ciała istnieniowe, które się w nich oblekają, lecz także one same jako zwykłe istoty straciły na zawsze możliwość doznawania owej błogości doświadczanej przez obecność każdego względnie samodzielnego indywiduum w czasie tego rodzaju świętego wspólnego spożywania drugiego pokarmu istnieniowego, w jakim sami przed chwilą uczestniczyliśmy.

Kiedy Hassin skończył mówić, Belzebub dość długo popatrzył mu w oczy, a następnie z uśmiechem, który wyraźnie zdradzał

istnieniowy impuls miłości, powiedział:

– Widzę teraz, że w ciągu ostatnich dionosków rzeczywiście bardzo aktywnie rozmyślałeś, to znaczy, jak wyraziliby się niektórzy z twoich współczesnych ulubieńców, „nie przespałeś wewnętrznie tego czasu”. Wróćmy więc na nasze miejsca i porozmawiajmy na temat, który obiecałem już kiedyś poruszyć i który, nawiasem mówiąc, jak najbardziej odnosi się do obecnej sytuacji.

Kiedy zasiedli i dołączył do nich również Ahun, Belzebub kontynuował:

– Przede wszystkim zacznę od tego, że wyrażę na zewnątrz w słowach impuls radości, jakiego doświadcza moja zbiorcza obecność z twojego powodu. Naprawdę bardzo się cieszę, że wystąpił u ciebie taki kryzys i że ciągle go jeszcze przeżywasz.

A cieszę się głównie dlatego, że to szczere łkanie, które zobaczyłem, a które przejawiało się dokładnie w tym okresie twojej egzystencji, gdy zgodnie z prawami Wielkiego Heropasa znalazłeś się na progu bycia odpowiedzialnej istoty – to znaczy w takim wieku, gdy w ogólnym funkcjonowaniu krystalizują się i nabierają harmonijnego „tempa” wszystkie dane potrzebne do różnych rodzajów funkcjonowania, składających się na indywidualność każdej trójmózgowej istoty w czasie jej odpowiedzialnej egzystencji – daje mi pewność, że częściowe uświadomienie sobie lub choćby tylko, by tak rzec, „posmakowanie” tej mojej, na pierwszy rzut oka nielogicznej, radości istnieniowej okaże się dla ciebie, tak samo zresztą jak dla każdej trójmózgowej istoty, która osiągnęła wiek odpowiedzialny, nie tylko bardzo przydatne, ale wręcz niezbędne. Zacznę więc od tego, że ci to wyjaśnię.

Otóż widząc twój płacz, nabrałem przekonania, że także twoja zbiorcza obecność w trakcie przyszłej odpowiedzialnej egzystencji będzie zawierała te służące odczuwaniu cenne dane istnieniowe, które są podstawą esencji każdego nosiciela boskiego rozumu, a które nasz wspólny ojciec ujął nawet w słowa umieszczone nad głównym wejściem na świętą planetę Czyściec i oznajmiające:

„Wejdzie tutaj tylko ten, kto postawi się w położeniu innych rezultatów moich trudów”.

W danym wypadku twoja esencja zachowała się zgodnie z tym boskim przykazaniem, kiedy w momencie, gdy sam doświadczałeś błogości i przez skojarzenie przypomniałeś sobie, że inni nie mogą czegoś takiego doświadczyć, rozplakałeś się całą swą zbiorczą obecnością.

Ciesz się tym bardziej, że te wspomniane niezbędne dla istoty dane zaczynają działać w tobie dokładnie w chwili, gdy również się krystalizują i kształtują w tobie te wszystkie dane istnieniowe, które nie podlegają rozumowi istoty, lecz zależą wyłącznie od jej otoczenia, od warunków zewnętrznych i od ogromnego ogólnokosmicznego Iraniranumanż.

A teraz możemy już chyba przejść do tematu, który postanowiłem poruszyć, czyli do pytania: Dlaczego w czasie całej naszej podróży na tym statku kosmicznym tak dużo i w takiej kolejności opowiedziałem ci o trójmózgowych istotach mających siedlisko na planecie Ziemia?

Rzecz w tym, że po powrocie na nasz drogi Karataz, nie mając już żadnych innych obowiązków istnieniowych, dobrowolnie zgodziłem się wziąć na siebie obowiązek pokierowania całym twoim oskiano lub, jak powiedzieliby twoi ulubieńcy, „twoim wychowaniem” do czasu, gdy staniesz się istotą odpowiedzialną. A ponieważ jesteś właśnie w tym okresie egzystencji, kiedy generalnie w istotach trójmózgowych harmonizują się wszystkie funkcje kształtujące w nich tę formę odczuwania i pojmowania, która w swoim całokształcie prowadzi w okresie odpowiedzialnej egzystencji do „zdrowego myślenia” więc gdy wyruszyliśmy w obecną podróż na statku kosmicznym „Karnak” postanowiłem wykorzystać ten czas i pomóc ci w tym, by harmonizacja owych funkcji, a także zależne od nich formowanie się twojego przyszłego aktywnego myślenia następowały dokładnie w takim porządku, jaki zgodnie z przekonaniem, w którym utwierdziłem się całą swoją obecnością w trakcie procesu mojej długiej egzystencji, uważam za prawidłowy.



Kiedy na początku naszej podróży zauważyłem, że bardzo się zainteresowałaś trój centrowymi istotami planety Ziemia, postanowiłem, pod pretekstem zaspokojenia twojej ciekawości, opowiedzieć ci o wszystkim, co się z nimi wiąże, w taki sposób, by egoplastikury potrzebne do twoich przyszłych skojarzeń istnieniowych skryształizowały się w tobie, nie pozostawiając miejsca na żadne wątpliwości.

To dlatego prawie we wszystkich moich opowieściach surowo przestrzegalem następujących dwóch zasad:

Po pierwsze, nie mówić niczego, co mogłoby zostać odebrane jako moja osobista opinia, ponieważ nie chciałem, żeby dane niezbędnie potrzebne do wyrobienia sobie własnych poglądów skryształizowały się w tobie w formie już gotowej i jedynie na podstawie czyjejś opinii.

A po drugie, opowiedzieć ci o wszystkich wydarzeniach mających miejsce na planecie Ziemia i związanych z pojawieniem się wśród twoich ulubieńców w procesie ich zwykłej egzystencji istnieniowej różnych, zarówno wewnętrznych, jak i zewnętrznych, stopniowo nasilających się anomalii, które w sumie doprowadziły do ich żałostnego i niemal beznadziejnego obecnego stanu, w takim porządku i w takiej z góry ustalonej przeze mnie kolejności, byś także w tym przypadku mógł wysnuć własne subiektywne wnioski co do wszystkich przyczyn owych wydarzeń, opierając się jedynie na faktach, które sam ci przekazałem.

Postanowiłem tak postąpić również dlatego, żeby w odpowiednich lokalizacjach twojej obecności skryształizowały się liczne i różniące się esencją egoplastikury potrzebne do twoich przyszłych logicznych zestawień, a także żebyś wskutek aktywnego myślenia wytwarzał w sobie więcej świętych substancji Abrustdonis i Helkdonis służących do oblekania i doskonalenia obu twoich wyższych ciał istnieniowych.

Teraz zaś, mój chłopcze, byś mógł jeszcze lepiej zrozumieć, o czym w tej chwili mówię, sądzę, że powinienem ponownie, tym razem w innej, bardziej precyzyjnej formie, zdefiniować na czym polega u istot trójmózgowych różnica – na którą z rozmaitych po-

wodów już wielokrotnie zwracałem uwagę – pomiędzy „wiedzą” i „pojmowaniem”.

Aby owa różnica stała się dla ciebie bardziej wyraźną, jeszcze raz posłużę się przykładem rozumu twoich ulubieńców.

Jeśli porównamy to, co oni zwać „świadomym rozumem” – który już ostatecznie ugruntował się w tamtejszych współczesnych istotach – z rozumem trójmózgowych istot mających siedlisko na innych planetach naszego Wielkiego Megalokosmosu, to ten pierwszy można by nazwać „rozumem wiedzy”, a drugi – „rozumem pojmowania”.

Świadomy „rozum pojmowania”, który ogólnie powinny mieć wszystkie istoty trójmózgowe, a który miały ziemskie istoty minionych epok, to takie „coś” co scala się z ich zbiorczą obecnością, i dlatego wszystkie informacje odebrane przez ów rozum stają się na zawsze ich nieodłączną częścią.

Informacje odebrane przez taki rozum, a także nowe wrażenia lub rezultaty, które przynosi istnieniowa kontemplacja całości kształtu odebranych uprzednio przez ten rozum informacji, pozostają już na zawsze – bez względu na to, jak bardzo może się zmienić sama istota i jak wielkie zmiany mogą zajść w otaczających ją sferach – częścią jej esencji.

Natomiast jeśli chodzi o rozum, który cechuje większość twoich współczesnych ulubieńców, nazwany przeze mnie „rozumem wiedzy”, to wszystkie nowe wrażenia odebrane przez ten rozum, jak również wszystkie zamierzone czy po prostu automatyczne rezultaty wcześniejszych wrażeń, stają się tylko na chwilę częścią danej istoty i mogą się w niej pojawić jedynie w pewnych okolicznościach oraz pod warunkiem że informacje, które stanowią całą jego zawartość i podstawę, będą od czasu do czasu, by tak rzec, „odświeżane” i „powtarzane”; w przeciwnym razie te wcześniej odebrane wrażenia same z siebie zaczynają się zmieniać lub nawet zupełnie „wyparowują” ze zbiorczej obecności danej istoty trójmózgowej.

Mimo że z punktu widzenia świętego Triamazikamno proces

powstawania tych dwu rozumów istnieniowych przebiega identycznie, to jednak czynniki zapewniające urzeczywistnienie jego trzech oddzielnych świętych sił są inne. A mianowicie przy formowaniu się „rozumu wiedzy” czynnikami twierdzącymi i przeczącymi są uprzednio odebrane przeciwstawne wrażenia, które skryształizowały się w dowolnej z trzech obecnych w istotach trójmózgowych lokalizacji, natomiast trzeci czynnik stanowią w tym wypadku wrażenia, które dopiero co napłynęły z zewnątrz.

Z kolei w „rozumie pojmowania” pierwszym czynnikiem, to znaczy „Świętym Twierdzeniem”, są świeże wrażenia odebrane w tej lokalizacji, która w danym momencie reprezentuje tak zwane funkcjonowanie środkociężkościowe, drugim czynnikiem, czyli „Świętym Zaprzeczeniem” są odpowiednie dane, już wcześniej zgromadzone w którejś z pozostałych lokalizacji, a za trzeci czynnik służą „autokolicyknery istnieniowe” lub, jak się je też określa, „chudacwabógnary” – nazwa, której znaczenie można oddać słowami: „rezultaty wytrwale realizowanego dążenia do przejawiania swojej własnej indywidualności”.

Nawiasem mówiąc, nie zaszkodzi, jeśli usłyszysz jeszcze raz, nawet gdybyś już o tym wiedział, że ogólnie w obecnościach istot trójmózgowych rzeczony autokolicyknery istnieniowe kształtują się we wszystkich trzech lokalizacjach tylko z rezultatów urzeczywistnienia partkdołgpowinności istnieniowych, to znaczy dzięki tym czynnikom, na które od samego początku powstania istot trójmózgowych NASZ JEDNOBYTNY WSPÓLNY OJCIEC wskazał jako na środki samodoskonalenia.

Otóż to właśnie te formacje, będące trzecią świętą siłą świętego Triamazikamno, urzeczywistniają w zbiorczej obecności istot trójmózgowych „rozum pojmowania”.

Jedynie dzięki takim czynnikom, które warunkują proces fuzji wszystkich nowo odebranych wrażeń, krystalizują się na podstawie świętego Triamazikamno w obecności istoty trójmózgowej własne, tylko jej przynależne dane potrzebne do świadomego poznawania i rozumienia; i podobnie, wyłącznie podczas tego rodzaju procesu krystalizacji danych, z których kształtuje się świa-

domość, zachodzi w obecnościach istot trójmózgowych to, co zwie się „tarcie ziarnofukalnym”, a wskutek czego wytwarzają się w nich święte substancje Abrustdonis i Helkdonis służące do oblekania i doskonalenia ich wyższych części.

Muszę ci w tym miejscu powiedzieć, że tylko takie nowo odebrane wrażenia, które krystalizują się w wymienionym porządku i powstają w istotach dzięki świadomemu myśleniu, osadzają się w lokalizacjach istot, dołączając do serii danych odpowiadających podobnym utrwalonym już w nich wrażeniom.

Za to nowe wrażenia skryształizowane w innym porządku, to znaczy przez „rozum wiedzy”, osadzają się w lokalizacjach istniejących jak popadnie, nie podlegając żadnej, by tak rzec, „klasyfikacji”. Wszystkie tego rodzaju nowe wrażenia osadzają się w ciągu lub, jak się inaczej mówi, w serii takich uprzednich wrażeń, które prawie nigdy nie mają z nimi nic wspólnego.

To głównie z tego powodu w obecnościach trój mózgowych istot dysponujących jedynie „rozumem wiedzy” wszystko, co nowo poznane, gromadzi się i utrwała na zawsze po prostu tylko jako informacje, których one nijak nie uświadamiają sobie całym swoim jestestwem.

Oto dlaczego z punktu widzenia pomyślności ich dalszej egzystencji wszelkie zebrane i utrwalone w ten sposób nowe dane są zupełnie bezwartościowe. Co więcej, długość dekrystalizowania się takich utrwalonych wrażeń zależy od ilości i jakości impulsów, które rodzą się w danej istocie.

Ten ostatni fakt, będący wynikiem zwyrodniałego funkcjonowania rozumu większości twoich współczesnych ulubieńców, przez skojarzenie przywodzi mi na myśl jedno z bardzo rzadko przytaczanych powiedzeń naszego czcigodnego nauczyciela Mułły Nasr Eddina:

„Gdy tylko coś jest potrzebne, od razu się okazuje, że jest już pobrudzone i zjedzone przez myszy”.

To wszystko, co twoi ulubieńcy zwą „wiedzą”, a co trafia do zbiorczej obecności istot we wspomniany sposób, jest subiektyw-

ne i nie ma nic wspólnego z „obiektywnym poznaniem”.

A zatem, mój chłopcze, aby wywołać w tobie wspomniane tarcie ziarnofukalne i w ten sposób umożliwić ci krystalizację nowych percepcji dla „rozumu pojmowania”, ja, który bardzo dobrze poznałem już „prawa utrwalania i od-trwalania idei w lokalizacjach istot” i, nawiasem mówiąc, szczegóły tych praw prze-studiowałem na przypadkach ci do gustu trójmózgowych istotach w czasie mojej bytności wśród nich jako „zawodowy hipnotyzer” postanowiłem w trakcie moich opowieści zawsze przestrzegać – wśród wielu innych niewzruszonych zasad zapewniających prawidłowy odbiór nowych informacji przekazywanych ci przeze mnie jako postronnego przewodnika – także tej surowej zasady, by coraz pełniejsze przyswajanie sobie takiego „cymesu informacji” odbywało się w tobie bez najmniejszego śladu istnieniowych impulsów „oburzenia” „obrazy”, „irytacji” itd.

A jeśli chodzi o kolejność, w jakiej przekazywałem ci te informacje; jak również o jej wpływ na twoje esencjalne rozumienie, to muszę ci powiedzieć, że gdybym od chwili, kiedy zauważyłem twoje zainteresowanie ziemskimi istotami trój mózgowymi, przekazywał ci wpierw tylko osobiste przekonania i opinie, które w trakcie moich obserwacji utrwały się we mnie w związku z każdym wydarzeniem, a dopiero później dzielił się z tobą „całością liczących i wielostronnych informacji”, to przyswoiłbyś wszystkie te fakty bez żadnych logicznych zestawień istnieniowych i skryształizowane w taki sposób dane – z powodu braku autentycznego esencjalnego ich zrozumienia – osadziłyby się w twoich odpowiednich lokalizacjach jedynie jako informacje.

Oto dlaczego we wszystkich moich opowieściach o trójmózgowych istotach mających siedlisko na planecie Ziemia kierowałem się tym, żeby z jednej strony w odpowiednich lokalizacjach twojej zbiorczej obecności skryształizowało się wiele różnorodnych danych potrzebnych ci do przyszłych skojarzeń istnieniowych dotyczących wszystkich „całościów” lub „gałęzi” obiektywnej wiedzy, a z drugiej strony, żeby w twój jej zbiorczej obecności intensywnie przebiegał proces tarcia ziarnofukalnego i by – sądząc

po sposobie, w jaki odpowiedziałeś na moje pytanie: „Dlaczego płaczesz?” – udało ci się osiągnąć właśnie ten zaobserwowany przeze mnie rezultat.

Teraz, mój chłopcze, kiedy już się mniej więcej przekonałem, że czas mój nie poszedł na marne i moje opowieści o trójmózgowych istotach tej przypadłej ci do gustu planety przyniosły ci oczekiwany pożytek, myślę, że możemy przestać o nich mówić, aby więcej nie wywoływać w tobie procesu aktywnego myślenia, zwłaszcza że zostało nam niewiele czasu, gdyż już niebawem przybędziemy na naszą drogą planetę.

Niemniej powinienem teraz wyjaśnić ci pokrótce i przekazać jedno surowe zalecenie:

Postaraj się, korzystając z rozumu znajdującego się w twojej obecności, spowodować, By dokładnie tak długo, jak długo trwała nasza podróż – czyli przez tyle czasu, ile rozmawialiśmy o trójmózgowych istotach planety Ziemia – część z tych funkcji, które działają w tobie i ogólnie stwarzają trójmózgowym istotom możliwość aktywnego myślenia, pozostała beczynna lub, jak to się mówi, „odpoczywała”, a konkretnie, żeby odpoczywały w tobie te funkcje, które przez cały ten czas bardziej intensywnie niż zwykle uczestniczyły w twoim aktywnym myśleniu i których działanie nie zależy zresztą od esencji istot, lecz wyłącznie od tak zwanej „harmonii tempa ogólnokosmicznego”.

Nawiasem mówiąc, powinieneś zawsze pamiętać, że rozum każdej istoty oraz intensywność działania tego rozumu zależą od prawidłowego funkcjonowania wszystkich oddzielnych części jej całej obecności.

Na przykład wszelkie funkcjonowanie „ciała planetarnego” i samo to ciało stanowią główną część istoty, ale zarówno każde odrębne funkcjonowanie, jak i całe to ciało, kiedy są oddzielone od innych uduchowionych części istoty, tworzą jedynie zależną formację kosmiczną, która niczego sobie nie uświadamia, toteż – opierając się na tym, co sam kiedyś nazwałeś „Wszechświatowym Filarem Sprawiedliwości” – każda uduchowiona część istoty musi być zawsze sprawiedliwa w stosunku do takiej zależnej

i nieświadomej części i nie wymagać od niej więcej, niż jest ona w stanie dać.

Tak jak wszystko w Megalokosmosie, również ciało planetarne istoty, aby mogło prawidłowo służyć swoim zwierzchnim częściom, to znaczy, by taka pomocnicza część całej istoty należycie obsługiwała samą jej esencję, owa esencja musi być zawsze sprawiedliwa i wymagać od tej części tylko tego, co leży w granicach jej możliwości.

Odkładając na bok kwestię sprawiedliwości, w stosunku do tej nieświadomej części istoty należy postępować właśnie w taki sposób – czyli od czasu do czasu pozwalać, by pewne funkcje pozostały bezczynne – także po to, żeby ta nieświadoma część miała zawsze możliwość stopniowo i we właściwym czasie doprowadzić do fuzji swych nowo powstałych subiektywnych „temp” z obiektywnymi tempami naszego wspólnego Megalokosmosu.

Trzeba przy okazji zaznaczyć, że w Megalokosmosie fuzja temp odbywa się tylko „kacnukickerno”, czyli, jak powiedzieliby twoi ulubieńcy, „wedle zgodnego z prawem stopniowania”.

A więc jeśli chcesz, by w czasie twojej przyszłej odpowiedzialnej egzystencji twoje aktywne myślenie toczyło się prawidłowo i produktywnie, to skoro takie myślenie już się w tobie zaczęło i ów wewnętrzny proces ma niepożądane konsekwencje dla twojego ciała planetarnego, musisz teraz przez jakiś czas zupełnie się tym myśleniem nie zajmować, niezależnie od tego, jak bardzo ci się ono podoba i jak bardzo cię interesuje, albowiem w przeciwnym razie wystąpi w tobie „dezonakuasanc”, to znaczy tylko jedna część twojej całej obecności nabierze innego tempa, wskutek czego staniesz się istotą, jak powiedzieliby twoi ulubieńcy, „jednostronną”.

Skądinąd większość twoich ulubieńców, a szczególnie ci współcześni, osiągnąwszy wiek odpowiedzialny, zamienia się właśnie w takie jednostronne istoty.

Słowem tylko za pomocą stopniowej zmiany tempa poszczególnych części całości można zmienić ogólne tempo tej całości bez

uszczerbku dla niej samej.

Uważam więc za konieczne powtórzyć, że zarówno aktywne myślenie w danej istocie, jak i pożyteczne rezultaty takiego myślenia mogą się naprawdę urzeczywistnić jedynie wówczas, gdy w równym stopniu funkcjonują w niej wszystkie trzy lokalizacje uduchawiających się w jej obecności rezultatów, noszące nazwy „centrum myślowe”, „centrum czuciowe” i „centrum ruchowe”.



## *Rozdział 47*

### *Zgodny z prawem rezultat bezstronnego myślenia*

Belzebub chciał jeszcze coś powiedzieć, ale dokładnie w tym momencie nagle wszystko się rozświeciło i jakby nasyciło „czymś bladoniebieskim”. Od tej chwili prędkość spadania statku „Karnak” wyraźnie się zmniejszyła.

Oznaczało to, że w danej sferze Wszechświata pojawił się jeden z wielkich kosmicznych „egolionopti”, który miał wkrótce przybić do statku kosmicznego „Karnak”.

I rzeczywiście, już niebawem można było dostrzec przez przezroczystą obudowę statku „Karnak” źródło tego „czegoś bladoniebieskiego”, co rozświeciło nie tylko wewnątrz samego statku, lecz także całą przestrzeń Wszechświata naokoło tego wielkiego kosmicznego egolionopti, jaką był w stanie objąć zwykły wzrok istot.

We Wszechświecie znajdują się tylko cztery takie wielkie egolionopti i każdym z nich zarządza jedna z czterech Ostoł Czterech Stron Wszechświata.

Wśród wszystkich istot na pokładzie zapanowała gorączkowa, pełna troski krzątanina i po jakimś czasie zarówno pasażerowie, jak i załoga zaczęli zbierać się w głównym pomieszczeniu usytuowanym pośrodku statku.

Każdy niósł w jednej ręce mirtową gałązkę, a w drugiej „deżełkaszczę”.

Kiedy wielki kosmiczny egolionopti przybił do statku „Karnak”, pewne części statku w specjalny sposób się rozsunały i z egolionopti wyruszyła w kierunku wspomnianego głównego pomieszczenia procesja złożona z kilku Archaniołów oraz rzeszy Aniołów, Cherubinów i Serafinów, którzy również trzymali w rękach ga-

łazki, tyle że palmowe.

Na czele procesji kroczył bardzo sędziwy Archanioł, a tuż za nim podążało dwóch Cherubinów niosących uroczyście szkatułkę; z której promieniowało „coś pomarańczowego”.

W głównym pomieszczeniu statku „Karnak” na samym przodzie stał Belzebub; podczas gdy z tyłu za nim ustawili się jego bliscy i kapitan statku, a jeszcze dalej, w należytej odległości, cała reszta.

Gdy ta zmierzająca z egolionopti procesja zbliżyła się do istot tej samej natury co Belzebub; które zebrały się tam w oczekiwaniu, i zatrzymała, te dwie grupy trójmózgowych istot o różnych naturach zaintonowały razem hymn do naszego nieskończonego – hymn, który zawsze przy takiej okazji śpiewają wszystkie istoty w całym Wszechświecie, bez względu na ich naturę i formę powłoki zewnętrznej.

Hymn ten składa się z następujących słów:

O Ty, wielce cierpliwy Stworzycielu wszystkiego, co oddycha,  
Ty, miłości pełna Przyczyno wszystkiego, co istnieje,  
Ty, jedyny Pogromco bezlitosnego Heropasa,  
Teraz przy dźwiękach naszej ody pochwalnej  
Tylko się raduj i spoczywaj w błogości.

Ty któryś niespotykanymi trudami dał początek naszemu powstaniu,  
Któryś, ujarzmiwszy Heropasa, otworzył przed nami możliwość  
Doskonalenia się do świętego Ankłada.  
Teraz już tylko zasłużenie odpoczywaj,  
My zaś, składając Ci dzięki, będziemy wspierać wszystko, co stworzył  
I zawsze i we wszystkim wiecznie Cię sławić,  
Ciebie, Stwórcę Stworzyciela,  
Ciebie, Początek wszystkich końców,  
Ciebie, wypływającego z Nieskończoności,  
Ciebie, który nosisz w Sobie koniec wszystkiego,

Ciebie, bez końca Nieskończonego.

Kiedy odśpiewano ów hymn, starszy Archanioł, który szedł na czele procesji, podszedł do Belzebuba i uroczyście oznajmił:

– Z rozkazu Jego Wszechstoi Jednej Strony Świata Arcycherubina Pesztwognera zjawiamy się przed tobą, Wasza Przewielebność, niosąc Jego osobistą świętą buławę, aby na mocy udzielonego ci z Góry przebaczeniami przez wzgląd na pewne twoje zasługi przywrócić ci rogi, któreś utracił w chwili swego zesłania.

Powiedziawszy to, starszy Archanioł zwrócił się w kierunku szkatułki, którą nieśli Cherubini, a potem bardzo ostrożnie i z wielką pobożnością wyjął z niej świętą buławę.

W tej samej chwili wszyscy obecni przyklękli na jedno kolano, a Aniołowie i Cherubini zaczęli śpiewać odpowiednie święte kantyki.

Potem Archanioł wziął do rąk świętą buławę i kierując się pownownie w stronę Belzebuba, wypowiedział do istot o jego naturze następujące słowa:

– Istoty stworzone przez NASZEGO JEDNOBYTNEGO NIESKOŃCZONEGO, tegoż samego, który udzielił przebaczenia obecnej tutaj istocie Belzebubowi, uznanej niegdyś za winną, a teraz, z bezgranicznej łaski NASZEGO STWÓRCY, powracającej, by egzystować wśród was, istot do niej podobnych!

Ponieważ męstwo i stopień rozumu istot o waszej naturze wyrażają i objawiają rogi, które nosicie na głowach, przeto za pozwoleniem naszej Wszechstoi Jednej Strony Świata i z waszą pomocą pragniemy przywrócić Belzebubowi jego utracone rogi.

Istoty stworzone przez naszego jednego wspólnego ojca, wasza pomoc będzie polegała na tym, że każda z was zgodzi się dobrowolnie odstąpić Belzebubowi, który zasłużył już na przebaczenie, pewne części waszych własnych rogów.

A zatem niechaj te spośród was, które się na to godzą i pragną to uczynić, podejną teraz do świętej buławy i dotkną jej rękojeści, a od tego, jak długo będziecie ją trzymać, zależeć będzie liczba po-

branych z waszych rogów aktywnych elementów, które posłużą do utworzenia rogów odpowiadających osobistym zasługom tej ułaskawionej istoty o naturze takiej jak wasza.

Wypowiedziawszy te słowa, starszy Archanioł, trzymając gałkę świętej buławy nad klęczącym Belzebubem, zwrócił jej rękojeść w stronę obecnych w taki sposób, że kto chciał, mógł jej dotknąć.

W tej samej chwili wśród istot o tej samej naturze co Belzebub zapanowało wielkie poruszenie, ponieważ każdy chciał podejść jak najbliżej, żeby w pierwszej kolejności i jak najdłużej dotykać świętej buławy.

Szybko jednak zapanował porządek i każdy podchodził już wtedy po kolei, trzymając rękojeść tak długo, jak nakazywał mu kapitan statku, który podjął się kierowania ceremonią.

W trakcie tej uroczystej celebry na głowie Belzebuba powoli zaczęły wyrastać rogi.

Na początku, gdy formowały się tylko same rogi, wszyscy w skupieniu zachowywali dalej niewzruszoną powagę, ale kiedy na rogach pojawiły się pierwsze rozgałęzienia, wśród obecnych wzrosło napięcie i rozbudziła się ciekawość. Ów stan wynikał z tego, że wszyscy pragnęli się dowiedzieć, ile rozgałęzień pojawi się na rogach Belzebuba, bowiem ich liczba miała wyznaczyć, wedle świętego miernika rozumu, stopień rozumu, jaki osiągnął Belzebub.

Najpierw utworzyło się pierwsze, potem drugie i trzecie rozgałęzienie, a pojawienie się każdego kolejnego wywoływało u wszystkich obecnych radosne dreszcze i uczucie nieskrywanego zadowolenia.

Kiedy więc zaczęło się formować czwarte rozgałęzienie, wśród zgromadzonych napięcie doszło do zenitu, ponieważ utworzenie się tego rozgałęzienia świadczyło o tym, że rozum Belzebuba udoskonalił się już do świętego Ternunałda, a to znaczyło, że jeszcze tylko dwa stopnie dzielił Belzebuba od świętego Anklada.

Ta niezwykła ceremonia dobiegała końca i wszyscy obecni nie zdążyli jeszcze ochłonać po radosnym wzruszeniu, jakie ich wcze-

śniej ogarnęło, gdy nagle i nieoczekiwanie na rogach Belzebuba samo z siebie pojawiło się piąte rozgałęzienie, które przybrało szczególną, znaną każdemu z nich formę.

W owej chwili wszyscy bez wyjątku, nawet sam sędziwy Archanioł, padli na twarz przed Belzebubem, który już się podniósł i stał teraz przemieniony, ukazując się w całym majestacie, jaki nadawały mu te wspaniałe, wyrosłe na jego głowie rogi.

A wszyscy padli przed nim na ziemię, ponieważ piąte rozgałęzienie jego rogów świadczyło o tym, że osiągnął już rozum świętego Podkułada, czyli ostatni stopień rozumu przed stopniem świętego Anklada.

Rozum świętego Anklada jest na ogół najwyższym, jaki może osiągnąć dowolna istota, i trzecim z kolei, licząc od Absolutnego Rozumu SAMEGO NIESKOŃCZONEGO.

Zresztą także rozum świętego Podkułada – stopień, do którego udoskonalił się Belzebub – jest we Wszechświecie wielką rzadkością. To dlatego nawet sędziwy Archanioł padł na ziemię przed Belzebubem, ponieważ on sam pod względem stopnia rozumu osiągnął tylko święty Degindad, czyli do rozumu świętego Anklada brakowało mu jeszcze trzech stopni.

Kiedy wszyscy podnieśli się z ziemi, sędziwy Archanioł, tym razem zwracając się już do wszystkich obecnych istot o różnych naturach, rzekł:

– Istoty stworzone przez jednego stwórcę!

Poczytujemy sobie za zaszczyt, że jako pierwszym dane nam było ujrzeć, jak ostatecznie uformowało się to, co jest marzeniem nas wszystkich tu obecnych i ogólnie istot całego naszego Wielkiego Megalokosmosu.

Radujmy się więc i weselmy z powodu takiego zaszczytu, ponieważ stanowi on impuls wspomagający naszą moc walki z własną zasadą przeczącą, a tylko ta moc może nas poprowadzić do świętego Podkułada, do którego doszedł jeden z synów NASZEGO WSPÓLNEGO OJCA, ów syn, który najpierw, z racji młodego wieku, popełnił wykroczenie, później jednak dzięki świadomym tru-

dom i zamierzonym cierpieniom okazał się w swej esencji go-dzien tego, by stać się jednym z bardzo rzadkich Świętych Indy-widuów całego naszego Wielkiego Wszechświata.

Po tym oświadczeniu Archanioła wszystkie bez wyjątku istoty obecne na statku kosmicznym „Karnak” zaintonowały świąty kantyki stworzone specjalnie na takie okazje i zatytułowany „Roz-sadza mnie radość”.

Kiedy odśpiewano ten ostatni już świąty kantyki, wszyscy Anio-łowie i Cherubini ze starszym Archaniołem na czele powrócili do kosmicznego egolionopti, który odłączył się od statku „Karnak” i znikł powoli w przestrzeni, a pasażerowie oraz załoga statku ro-zeszli się każdy w swoją stronę i „Karnak” ponownie zaczął spa-dać w wyznaczonym kierunku.

Po zakończeniu tej Przeogromnej Wszechświatowej Uroczysto-ści Belzebub, jego wnuk oraz stary sługa Ahun, głęboko wzrusze-ni tym nieoczekiwanym wydarzeniem tak samo jak pozostali pa-sażerowie, powrócili do tej części statku kosmicznego „Karnak” gdzie wcześniej prowadzili wszystkie swoje rozmowy o istotach-ludziach powstających i egzystujących na Ziemi.

Kiedy Belzebub z przeobrażoną powierzchownością, widomą dla wszystkich i odpowiadającą jego zasługom, usiadł na swoim miejscu, Ahun, jego stary sługa, który towarzyszył mu niemal przez całą swą egzystencję, nieoczekiwanie padł przed nim na ziemię i ze szczerym błaganiem w głosie zaczął mówić:

– Święty Podkuładzie naszego wielkiego Megalokosmosu!

Zmiłuj się i wybac mi, zwykłej nieszczęsnej istocie trójcentro-wej, moje przeszłe, pozbawione należnej czci, dobrowolne i mi-mowolne przejawy w stosunku do twojej świętej esencji.

Zmiłuj się i wybac właśnie mi, tej trój centrowej istocie, która egzystuje już bardzo długo, ale która, na swoje nieszczęście – tyl-ko dlatego, że w wieku przygotowawczym nikt ze starszych nie pomógł jej wytworzyć w sobie czynników psychicznych kształtu-jących moc intensywnej realizacji partkdołgpowinności, których spełnienia nieuchronnie wymaga się od każdej istoty trójmózgo-

wej – do tej pory nie przejrzała choćby w takim stopniu, żeby od czasu do czasu umieć instynktownie odczuć rzeczywistość ukrywającą się pod szatą zewnętrzną, w jaką owa jednobytna i niewzruszona rzeczywistość obleka się odpowiednio do otaczających warunków i zgodnie z ogólnokosmicznym Trogoautoego-kratem, tę właśnie rzeczywistość, która jest święta dla wszystkiego, co oddycha i nosi nazwę „obiektywny rozum”.

Wypowiedziawszy te słowa, Ahun, milcząc wyczekująco, zapadł jakby w odrętwienie.

Belzebub, też nic nie mówiąc, spojrział na niego wzrokiem, który z zewnątrz zdawał się przepełniony miłością i przebaczeniem, ale w którym można było wyczuć również esencjalny smutek i pogodzenie się z tym, co nieuniknione.

W trakcie całej tej sceny Hassin stał z boku, przybrawszy pozę, którą nazywa się wszędzie „pozą słynnego wszechświatowego pustelnika Harnatulkipararana z planety Kirmankszana”.

Kiedy więc nieco później Belzebub rozejrzał się wkoło i zauważył ową pozę wnuka, zwracając się do niego, rzekł:

– Mój chłopcze! Czyżby w twojej zbiorczej obecności działo się to samo, co w naszym starym Ahunie?

Na takie pytanie Belzebuba również Hassin odpowiedział nietypowym dla siebie, speszonym, wręcz nieśmiałym tonem:

– Tak... prawie, Święty Podkuładzie naszego wielkiego Megalokosmosu! Z tą tylko różnicą, że właśnie w tej chwili jeszcze bardziej wzmógł się we mnie impuls miłości zarówno do naszego Ahuna, jak i do trójmózgowych istot planety Ziemia. Ów impuls miłości nasilił się we mnie najwyraźniej dlatego, że oni wszyscy, jak mi się wydaje, także mieli udział w tym, że stałem się godny bycia naocznym świadkiem wielkiego triumfu tego, który jest przyczyną przyczyny mojego powstania i do tej pory był tylko „moim drogim dziadkiem”, teraz zaś również mi objawił się jako jeden ze świętych Podkuładów naszego Wielkiego Megalokosmosu, przed którym wszyscy się będą kłaniali, a ja w tej chwili mam szczęście stać.

– E tam!!! – wykrzyknął Belzebub i nadawszy rysom twarzy ten sam wyraz, jaki zwykł przybierać w czasie swej bytności na Ziemi, powiedział:

– Przede wszystkim chcę podkreślić i wyrazić w języku wyjątkowo szanowanego przeze mnie Mułły Nasr Eddina tę myśl, która powstała we mnie przez skojarzenie zarówno w odniesieniu do słów Ahuna – tak dla niego nietypowych – jak i jego całkiem niezwykłej pozy.

Nasz drogi nauczyciel powiedziałby w tej sytuacji:

„Nie roń na próżno łez, jak ów krokodyl, który chybił, kiedy się rzucił, żeby odgryźć lewą dolną połówkę rybaka”.

A teraz wróćcie na swoje miejsca i porozmawiajmy jeszcze przez chwilę.

Co prawda nasz statek wchodzi już w atmosferę naszej planety Karataz, ale upłynie jeszcze sporo czasu, zanim zacumuje w wyznaczonym miejscu, ponieważ wpierw będzie musiał, jak wszystkie statki kosmiczne, wytracić rozpęd.

Aczkolwiek Hassin i Ahun bez słowa przystali od razu na propozycję Belzebuba, ale w ich ruchach i we wszystkim, co przebijało z ich wewnętrznej psychiki, można było wyraźnie dostrzec, że od czasu wspomnianego wszechświatowego wydarzenia w ich postawie wobec osoby Belzebuba zaszła całkowita zmiana.

Kiedy wrócili na miejsca i usiedli – już nie tak swobodnie jak kiedyś – Belzebub, zwracając się do Hassina, powiedział:

– W pierwszej kolejności, mój chłopcze, daję ci słowo, że po powrocie do domu – o ile nie przeszkodzi w tym jakieś zdarzenie wywołane przez zewnętrzne, niezależne od naszej esencji przyczyny – wyjaśnię ci wszystko to, co dotyczy przypadłych ci do gustu trójmózgowych istot, a co obiecałem ci wytłumaczyć w trakcie naszej podróży na statku „Karnak” lecz z różnych powodów nie zdążyłem jeszcze tego zrobić.

A tymczasem, jeśli masz jakiegokolwiek pytanie, które domaga się w tej chwili odpowiedzi, to zadaj je.

Ale uprzedzam cię, że nie mamy wystarczająco dużo czasu,



abym mógł nadać odpowiedzi taką formę, z jakiej normalnie korzystałem w naszych dotychczasowych rozmowach, postaraj się więc tak sformułować pytanie, żeby moja odpowiedź mogła być zwięzła.

Nawiasem mówiąc, za pomocą takiego pytania będziesz miał okazję zademonstrować mi ponownie, jak bardzo przez ten czas, gdy słuchałeś moich opowieści o dziwnej psychice trójcentrowych istot powstających i egzystujących na planecie Ziemia, rozwinęło się twoje logiczne myślenie.

Wysłuchawszy tej propozycji dziadka, Hassin głęboko i dość długo się namyślał, a później w lekkim uniesieniu powiedział:

– Święty Podkuładzie i podstawowa przyczyno przyczyny mojego powstania!

Od momentu gdy twoja święta esencja po tej przeprowadzonej dopiero co uroczystości oblekła się w odpowiednią szatę zewnętrzną i całe jej znaczenie, które potrafią dostrzec i zrozumieć tylko niektóre istoty trójmózgowe, stało się dzięki temu jasne i wręcz odczuwalne zarówno dla mnie, jak i dla wszystkich innych otaczających cię jednostek kosmicznych, otóż od tej pory każde wypowiedziane przez ciebie słowo i każda twoja rada nabrały dla mnie mocy prawa.

Dlatego też powinienem całą swą obecnością postarać się wykorzystać tę propozycję, którą właśnie od ciebie otrzymałem, i spróbować jak najlepiej i najzwięźlejszym sformułować moje pytanie.

Święty Podkuładzie i przyczyno przyczyny mojego powstania!

Aby wszystkie przekonania, których nabrałem wskutek twoich wyjaśnień dotyczących anomalii występujących na planecie Ziemia, mogły się we mnie ostatecznie skryształizować, bardzo chciałbym poznać jeszcze tylko twój, tym razem własny szczery pogląd na następującą kwestię:

Jak byś odpowiedział, gdyby NASZ WSZECHOBEJMUJACY NIESKOŃCZONY STWÓRCA wezwał cię i zapytał:

„Belzebubie!!!

Ty, który wśród wszystkich moich realizacji jesteś jednym

z oczekiwanych oraz przyspieszonych rezultatów, zdradź mi w krótkich słowach wynik swoich wielowiekowych obserwacji i bezstronnych badań psychiki tych trój centrowych istot powstających na planecie Ziemia i powiedz, czy można je jeszcze w jakiś sposób uratować i skierować na właściwą drogę?”

Po tych słowach Hassin wstał i przyjąwszy pozę pełną czci, patrzył wyczekująco na Belzebuba.

Ahun także się podniósł.

Słyszając takie pytanie Hassina, Belzebub czułe się uśmiechnął i powiedział, że teraz nabrał już całkowitej pewności, iż dzięki jego opowieściom Hassin osiągnął oczekiwane rezultaty, a potem dodał poważnym tonem, że gdyby NASZ WSZECHOBEJMUJACY JEDNOBYTNY STWÓRCA rzeczywiście go wezwał i zadał mu takie pytanie, to odpowiedziałby...

W tym momencie także Belzebub nagle wstał i wyciągając prawą rękę do przodu, a lewą do tyłu, skierował wzrok gdzieś daleko, jakby chciał przeniknąć do samej głębi przestrzeni.

Jednocześnie powoli wokół Belzebuba pojawiło się „coś bladego-żółtego” i zaczęło go zasnuwać, choć w żaden sposób nie można było zrozumieć ani wytłumaczyć, skąd to „coś” się wydobywa: czy emanuje z samego Belzebuba, czy też napływa ku niemu z przestrzeni, z jakichś znajdujących się na zewnątrz niego źródeł.

Stojąc pośrodku takiej niepojętej dla każdej istoty trójmózgowej realizacji kosmicznej, Belzebub nietypowym dla siebie donośnym głosem z wielkim przejęciem obwieścił, co następuje:

*– Tyś wszystko i rzecz wszelka wszystkiego mojego...*

*Dziś jedynym sposobem na uratowanie istot planety Ziemia jest wszczęcie w ich obecność nowego organu, organu podobnego do kundabufora, tym razem jednak mającego takie właściwości, które spowodują, że każdy z tych nieszczęśników podczas procesu swojej egzystencji będzie nieustannie odczuwał i uświadamiał sobie nieuchronność własnej śmierci, jak również śmierci każdego, na kim spocznie jego wzrok czy uwaga.*

*Obecnie już tylko takie doznanie i taka świadomość mogą zniszczyć skryzalizowany w nich do reszty i pochłaniający całą ich esencję egoizm wraz z wypływającą z niego skłonnością do nienawidzenia innych – skłonnością, która zrodziła te wszystkie panujące tam wzajemne stosunki będące główną przyczyną wszelkich ichnich anomalii, niegodnych istot trójmózgowych i zgubnych zarówno dla nich samych, jak i dla całego Wszechświata.*

**KONIEC OPOWIEŚCI BELZEBUBA**

## Rozdział 48

### *Od autora*

Po sześciu latach pracy w trakcie których nie okazałem sobie żadnej litości i prawie zawsze zachowywałem stan wytężonego myślenia, wczoraj skończyłem nareszcie przenosić na papier, tym razem w formie, jak sądzę, dostępnej dla każdego, pierwszy z trzech cykli książek, do których napisania zabrałem się z zamiarem wyłożenia w nich całokształtu idei mających, po ich rozwinięciu, umożliwić mi wprawdzie wywiązanie się w teorii – przed podjęciem praktycznej realizacji w zaplanowany już przeze mnie sposób – z trzech postawionych sobie zadań, a mianowicie: za pomocą pierwszego cyklu zniszczyć w ludziach wszystko to, co według ich błędnych wyobrażeń jakoby istnieje w rzeczywistości, inaczej mówiąc, „bezlitośnie wytrzebić cały chłam, który nagromadził się w ciągu wieków w ludzkim myśleniu” za pomocą drugiego cyklu przygotować, by tak rzec, „nowy materiał budowlany”, a za pomocą trzeciego „wzniesć nowy świat”.

Skończywszy niniejszy pierwszy cykl książek, chcę teraz, stosując się do przyjętego od dawna na Ziemi zwyczaju polegającego na tym, żeby tego rodzaju, jak to się mówi, „wielkie dzieło” kończyć zawsze tym, co niektórzy nazywają „epilogiem”, inni „posłowiem”, a jeszcze inni „notą od autora” itd., także napisać coś takiego.

W tym celu dzisiaj rano bardzo uważnie przeczytałem napisany sześć lat temu „wstęp”, zatytułowany „Rozbudzenie myśli” chcąc zaczerpnąć z niego stosowne idee do przeprowadzenia odpowiedniej, można by powiedzieć, „logicznej fuzji” tamtego początku z zakończeniem, które zamierzam obecnie napisać.

Czytając ów pierwszy rozdział, który napisałem zaledwie sześć lat temu, a który, nawiasem mówiąc, w moim obecnym odczuciu zdaje się napisany bardzo dawno, odczuciu niewątpliwie poja-

wiającym się teraz w mojej zbiorczej obecności, ponieważ w ciągu tych lat musiałem gruntownie przemyśleć, a nawet, by tak rzec, „podać próbie” cały materiał niezbędny do ośmiu grubych tomów – bo przecież nie na próżno w gałęzi prawdziwej nauki zajmującej się „prawami skojarzeń ludzkiego myślenia”, która dotarła do nas z bardzo odległych czasów i znana jest tylko niewielu współczesnym ludziom, wykazano, że „odczucie upływu czasu jest wprost proporcjonalne do ilości i jakości przebiegających myśli” – tak więc, kiedy czytałem ten pierwszy rozdział, który, jak powiedziałem, wszechstronnie przemyślałem, a także wypróbowałem niemal wyłącznie poprzez dobrowolne znęcanie się nad sobą i który napisałem w czasie, gdy pełne funkcjonowanie mojej całości – wzbudzające w człowieku to, co zwane jest „mocą przejawiania się z własnej inicjatywy” – było zupełnie zdysharmonizowane, to znaczy kiedy byłem jeszcze całkiem chory po wypadku, któremu uległem niewiele wcześniej, polegającemu na „najechaniu z hukiem” moim samochodem, na pełnym gazie, na drzewo stojące jak niemy obserwator i rachmistrz bezładnie mijających wieków na historycznej drodze między stolicą świata, Paryżem, a miastem Fontainebleau – „najechaniu”, które w każdym zdrowym ludzkim pojęciu powinno było położyć kres mojemu dotychczasowemu życiu – otóż właśnie wtedy, w trakcie czytania tego rozdziału, dojrzała we mnie nagle całkiem określona decyzja.

Wspominając stan, w jakim znajdowałem się w okresie, gdy pisałem ten pierwszy rozdział, nie mogę się powstrzymać – z powodu pewnej mojej słabostki powodującej, że zawsze doświadczam wewnętrznego zadowolenia, ilekroć widzę, jak na twarzach szacownych „współczesnych przedstawicieli nauk ścisłych” pojawia się ów bardzo specyficzny, tylko im właściwy uśmiech – by nie dodać, że chociaż po wspomnianym nieszczęściu moje ciało było tak poturbowane, a wszystko w nim tak „poprzekładane” że przez wiele miesięcy wyglądało jak fragment malowidła, które można by zatytułować: „kawałek żywego mięsa w czystej pościeli” to mój, jak przyjęło się mówić, „duch”, już od dawna podlegający prawidłowej dyscyplinie, nawet w takim fizycznym stanie moje-

go ciała nie popadł w żadną depresję, co w ich mniemaniu powinno było nastąpić, lecz wręcz odwrotnie, jego moc wzrosła, a to dzięki silnemu pobudzeniu wywołanemu w nim tuż przed tym wypadkiem z jednej strony przez kolejne zawody, jakie sprawili mi ludzie, szczególnie ci oddani, jak oni mówią, „nauce”, a z drugiej strony rozczarowaniem do ideałów stopniowo do tego czasu ukształtowanych w mojej zbiorczej obecności głównie pod wpływem przykazania wpojonego mi w dzieciństwie i napominającego, że „najwyższym celem i sensem ludzkiego życia jest dążenie do pomyślności bliźniego”, którą można osiągnąć wyłącznie poprzez świadome wyrzeczenie się własnej.

Tak więc po uważnej lekturze tego napisanego we wspomnianych warunkach wstępnego rozdziału pierwszego cyklu, kiedy przez skojarzenie ożyła mi w pamięci treść wielu następnych rozdziałów mających, w moim przekonaniu, wytworzyć w świadomości czytelników niezwykle wrażenia przynoszące zawsze, jak to się mówi, „substancjalne wyniki”, „Ja” – czy też raczej w tym wypadku to „coś” co gra dominującą rolę w mojej zbiorczej obecności i w tej chwili reprezentuje sumę rezultatów uzyskanych w trakcie mojego życia ze skryształizowanych danych rodzących w człowieku, który w procesie swojej odpowiedzialnej egzystencji postawił sobie za cel ogólny „aktywnie i bezstronnie myśleć” między innymi zdolność zgłębiania i rozumienia psychiki różnych typów ludzi – otóż „Ja” pod wpływem impulsu, który w tym samym czasie powstał we mnie i zwany jest „miłością bliźniego”, postanowiłem nie dodawać w tym zakończeniu już niczego nowego, co miałoby odpowiadać celowi pierwszego cyklu, lecz raczej ograniczyć się do przytoczenia pierwszego z moich licznych wykładów, czytanych publicznie w epoce, gdy istniała jeszcze założona przeze mnie placówka pod nazwą „Instytut Harmonijnego Rozwoju Człowieka”.

Ów Instytut, nawiasem mówiąc, już nie istnieje i uważam za konieczne i stosowne – głównie po to, by uspokoić niektóre «typy» z różnych krajów – złożyć kategoryczne oświadczenie, że zlikwidowałem go całkowicie i na zawsze.

A byłem zmuszony, z niewyraźnym impulsem żalu i rezygnacji, podjąć decyzję o likwidacji tej placówki oraz wszystkiego, co zostało już zorganizowane i starannie przygotowane z myślą o otwarciu w następnym roku osiemnastu oddziałów w różnych krajach – słowem, wszystkiego, co do tej pory stworzyłem prawie nadludzkim trudem – w głównej mierze dlatego, że niedługo po tym nieszczęściu, które na mnie spadło, czyli trzy miesiące po wspomnianym wypadku, kiedy mniej więcej wróciło już do normy funkcjonowanie mojego zwykłego myślenia – aczkolwiek moje ciało nadal było zupełnie bezwładne – uświadomiłem sobie, że dalsze istnienie Instytutu, z braku prawdziwych ludzi u mego boku i z powodu niemożności zdobycia, bez mojej pomocy, potrzebnych do tego ogromnych środków materialnych, nieuchronnie prowadziło do katastrofy, której skutkiem byłoby między innymi to, że zarówno mnie na starość, jak i wiele innych, całkowicie ode mnie zależnych osób czekałaby na poły głodowa „wegetacja”.

Wykład, który chcę dołączyć na zakończenie pierwszego cyklu, był niejednokrotnie czytany w okresie istnienia wspomnianej placówki przez moich, jak ich wtedy nazywano, „uczniów pierwszej rangi”. Niektórzy z nich, co wzbudziło zresztą we mnie najszerszy żal, objawili później w swej esencji predyspozycję do szybkiego przekształcenia własnej psychiki w psychikę tak zwanego Hasnamusa, predyspozycję, która stała się w pełni widoczna i wyraźnie odczuwalna dla wszystkich w miarę normalnych osób z ich otoczenia, albowiem w chwili nieuniknionego, a spowodowanego wspomnianym nieszczęściem kryzysu wszystkiego, co do tego czasu zrealizowałem, można było zobaczyć, jak „trzęsą się o swoją skórę”, czyli boją o własną osobistą pomyślność, którą zresztą sam im zapewniłem, i wyparłszy się wspólnej sprawy, włączają z podkulonymi ogonami do swoich nor, gdzie korzystając z okruchów, które spadły z mojego, by tak rzec, „stołu idei”, otwierają „szacher-macherskie interesiki” i z uczuciem skrytej, a może nawet radosnej nadziei, że niedługo uda im się całkowicie wymknąć spod mojej czujnej kontroli, zaczynają pro-

dukować z różnych naiwnych i nieszczęsnych ludzi „klientów zakładu dla umysłowo chorych”.

Postanowiłem dołączyć właśnie ten wykład, ponieważ, po pierwsze, został specjalnie przygotowany tu, w Europie, na samym początku propagowania wdrażanych przeze mnie w życie idei w taki sposób, by mógł służyć za wprowadzenie lub poniekąd furtkę do całej serii kolejnych wykładów, które jedynie wzięte razem ukazałyby w ogólnodostępnej formie konieczność czy wręcz niezbywalny obowiązek urzeczywistnienia w praktyce bezspornych prawd, które wyjaśniłem i ustaliłem w ciągu półwiecza aktywnej pracy w dzień i w noc, a także dowieść, że te prawdy można faktycznie wykorzystać dla dobra ludzi; a po drugie, załączam go tutaj, ponieważ podczas jego ostatniej publicznej lektury, sam znalazłszy się przypadkowo w szerokim gronie słuchaczy, wprowadziłem uzupełnienie, które całkowicie pokrywa się z ukrytą myślą umieszczoną przez samego Pana Belzebuba w jego, że tak powiem, „końcowym akordzie” i które, rzucając ponownie światło na taką największą obiektywną prawdę, umożliwi moim zdaniem czytelnikowi odbiór i przyswojenie sobie tej prawdy w sposób, jaki przystoi istocie pretendującej do miana „bogopodobnej”.



# WYKŁAD PIERWSZY

## *Zgodna z prawem różnorodność przejawów ludzkiej indywidualności\**

\* Odczytany po raz ostatni w Nowym Jorku w Neighborhood Playhouse w styczniu 1924 roku.

Jak wykazały badania wielu autentycznych uczonych minionych epok, a także dane, które udało się teraz zebrać dzięki poszukiwaniom prowadzonym zupełnie wyjątkowymi metodami przez Instytut Harmonijnego Rozwoju Człowieka, pełna indywidualność każdego człowieka – zgodnie z wyższymi prawami i odpowiednio do warunków towarzyszących procesowi ludzkiego życia, od zarania ustalonych na Ziemi i stopniowo tam ugruntowanych – bez względu na to, jakiego dziedzictwa on sam jest rezultatem, a także na przypadkowe okoliczności, w których dany człowiek powstał i się rozwija, musi się obowiązkowo – po to, by jego odpowiedzialne życie już od samego początku potoczyło się zgodnie z sensem i przeznaczeniem jego egzystencji jako człowieka, a nie tylko zwierzęcia – składać z czterech określonych odrębnych osobowości.

Pierwsza z tych czterech samodzielnych osobowości to nic innego, jak całokształt automatycznego funkcjonowania właściwego człowiekowi oraz wszystkim zwierzętom i opartego na danych, które składają się, po pierwsze, z sumy rezultatów wcześniejszych wrażeń odebranych zarówno z całej otaczającej rzeczywistości, jak i ze wszystkiego, co zostało sztucznie i umyślnie wszczepione z zewnątrz, a po drugie, z rezultatów procesu, który jest typowy także dla każdego zwierzęcia i zwie się „marzeniem na jawie” To właśnie ten całokształt automatycznego funkcjonowania większość ludzi, z powodu niewiedzy, nazywa „świadomością” lub w najlepszym razie „myśleniem”.

Druga z czterech osobowości, prawie zawsze funkcjonująca zu-

pełnie niezależnie od pierwszej, składa się z sumy rezultatów danych gromadzonych i utrwalanych w zbiorczej obecności człowieka, podobnie jak każdego zwierzęcia, dzięki jego sześciu narządom nazywanym „odbiornikami różnorodnościowych wibracji” – narządom, które funkcjonują odpowiednio do nowo odebranych wrażeń i których czułość zależy od cech dziedzicznych oraz warunków, w jakich przebiegało kształtowanie mające przygotować dane indywiduum do odpowiedzialnej egzystencji.

Trzecią samodzielną część całej istoty stanowi zarówno zasadnicze funkcjonowanie jej organizmu, jak i „zespół odruchowo-motorycznych przejawów”, które oddziałują na siebie nawzajem w ramach tego funkcjonowania i których jakość także zależy od wspomnianych rezultatów dziedziczności oraz warunków, w jakich toczy się przygotowawcze kształtowanie danej istoty.

A jeśli chodzi o czwartą osobowość, która również powinna być jedną z oddzielnych części całego indywiduum, to jest nią nic innego, jak przejawianie się ogółu rezultatów już zautomatyzowanego funkcjonowania tych wszystkich trzech wyliczonych osobowości, które oddzielnie się w nim uformowały i niezależnie wykształciły, czyli to, co w danej istocie nazywa się „Ja”.

W zbiorczej obecności człowieka uduchawianie i przejawianie się każdej z tych trzech wyliczonych, odrębnie uformowanych części jego całości odbywa się za pomocą trzech samodzielnych „środkociężkościowych lokalizacji”, czyli mózgów, z tym że każda taka środkociężkościowa lokalizacja wraz z całym jej układem może ogólnie przejawiać się dzięki własnym, tylko jej przynależnym właściwościom i predyspozycjom, z czego wynika, że wszechstronne doskonalenie człowieka nieodzownie wymaga, by każda z tych trzech części otrzymała prawidłowe i odpowiednie dla niej specjalne wychowanie, a nie takie szkolenie, jakim rządzi się je dzisiaj i tak samo nazywa „wychowaniem”.

Tylko wtedy „Ja”, które powinno istnieć w człowieku, może się stać jego własnym „Ja”.

Jak wykazały przytoczone wcześniej, rzetelnie prowadzone wieloletnie badania doświadczalne, a także po prostu zgodnie ze

zdrową i bezstronną oceną, na jaką stać wszystkich współczesnych ludzi, zbiorcza obecność każdego człowieka – zwłaszcza takiego, który z tego czy innego powodu rości sobie pretensje do bycia nie jakimś zwykłym, przeciętnym człowiekiem, lecz, jak to się mówi, „inteligentem” w prawdziwym tego słowa znaczeniu – nie tylko musi się składać ze wspomnianych czterech wyraźnie określonych i odrębnych osobowości, ale każda z tych osobowości powinna też być należycie rozwinięta, tak by w czasie jego odpowiedzialnej egzystencji ogólne przejawy wszystkich odrębnych części harmonizowały ze sobą.

Aby wszechstronnie i zrozumiale wyświetlić różnorodność źródeł powstawania i niejednorodną jakość osobowości manifestujących się w ogólnej organizacji człowieka, a także ukazać różnicę między „Ja”, które powinno istnieć w zbiorczej obecności „człowieka bez cudzysłowu”, to znaczy prawdziwego człowieka, a „fałszywym Ja”, które ludzie dzisiaj z nim mylą, możemy posłużyć się bardzo trafnym porównaniem. Wprawdzie współcześni spirytyści, okultyści, teozofowie i inni specjaliści od „łowienia ryb w mętnej wodzie” jak to się mówi, „wyświechtali już do obrzydzenia” tę analogię w swoich bajdach o „mentalnych” „astralnych” i jeszcze jakichś innych „ciałach”, które ponoć istnieją w człowieku, znakomicie jednak nadaje się ona do tego, by rozświetlić badaną teraz przez nas kwestię.

Człowiek jako całość ze wszystkimi jego skupiającymi się osobno i funkcjonującymi odrębnie lokalizacjami, czyli ze wszystkimi jego ukształtowanymi i samodzielnie wychowanymi „osobowościami”, przypomina niemal pod każdym względem zaprzęg służący do transportu pasażera i składający się z powozu, konia oraz woźnicy.

Przede wszystkim trzeba zaznaczyć, że różnicę między prawdziwym człowiekiem, to znaczy takim, który ma własne „Ja”, a tym, który go nie ma, uwydatnia w naszym przykładzie pasażer zasiadający w powozie. W pierwszym przypadku tym pasażerem jest sam właściciel zaprzęgu, a w drugim – przypadkowy przechodzień, który, tak jak klienci dorożki, bez przerwy się zmienia.

Ciało człowieka wraz ze wszystkimi swoimi odruchowo-motorycznymi przejawami można po prostu przyrównać do samego powozu, całokształt funkcjonowania i przejawiania się w człowieku odczuć – do konia, który jest do tego powozu zaprzężony i go ciągnie, z kolei woźnica zasiadający na koźle i powożący koniem jest w człowieku odpowiednikiem tego, co ludzie nazywają świadomością lub myśleniem, i wreszcie pasażer siedzący w powozie i wydający woźnicy rozkazy reprezentuje to, co nazywa się „Ja”.

Całe nieszczęście współczesnych ludzi w głównej mierze polega na tym, że z powodu nienormalnych i ugruntowanych już metod wychowawczych, stosowanych wszędzie wobec dorastającego pokolenia, ta czwarta osobowość, która powinna występować w każdym człowieku po osiągnięciu wieku odpowiedzialnego, jest w ludziach całkowicie nieobecna i w praktyce wszyscy składają się tylko z trzech wymienionych części, na dodatek formujących się samoczynnie i byle jak. Inaczej mówiąc, prawie każdy współczesny człowiek przypomina w odpowiedzialnym wieku ni mniej, ni więcej, tylko „dorożkę” i to jeszcze w jakim stanie! – zdezelowany powóz, który dni świetności ma już dawno za sobą, licha szkapa, a na koźle obdarty, zaspany, podpity woźnica, który czas przeznaczony mu przez Matkę Przyrodę na samodoskonalenie spędza pogrążony całkowicie w fantastycznych marzeniach, czekając na rogu ulicy na jakiegoś przypadkowego pasażera. Pierwszy lepszy przechodzień pasażer najmuje go i rozporządza nim; jak mu się podoba, i to nie tylko nim, lecz także wszystkimi częściami zaprzęgu, które mu podlegają.

Jeśli dalej rozwiniemy tę analogię między typowym człowiekiem współczesnym, z jego myślami, odczuciami i ciałem, a dorożką, z jej powozem, koniem i woźnicą, to jasno zdamy sobie sprawę, że w każdej części składowej obu tych całości musiały wykształcić się odrębne, jej tylko przynależne potrzeby, przyzwyczajenia, upodobania itd., a to dlatego, że w każdej z tych części – zależnie od różnic w naturze ich powstawania i warunków kształtowania się, a także zgodnie z możliwościami, jakimi zosta-

ły obdarzone – musiała niewątpliwie uformować się jej własna psychika, własne pojęcia, własne subiektywne zasady, własne poglądy itd.

Całokształt przejawów ludzkiego myślenia wraz ze wszelkimi właściwościami, które tę funkcję charakteryzują, i ze wszystkimi jej osobliwościami niemal pod każdym względem ściśle odpowiada esencji i przejawom typowego woźnicy.

Nasz woźnica, jak generalnie każdy najemny woźnica, to typ „dryndziarza”, który nie jest zupełnym analfabeta, ponieważ na skutek wydanej w jego kraju ustawy o „wprowadzeniu obowiązku powszechnej alfabetyzacji” musiał w dzieciństwie uczęszczać czasami do tak zwanej szkoły parafialnej.

Chociaż sam pochodzi ze wsi i pozostał takim samym ciemniakiem jak jego ziomkowie, mając jednak okazję, dzięki swej profesji, ocierać się o ludzi różnego pokroju i z różnym wykształceniem, zapożyczył od nich „piąte przez dziesiąte” rozmaite zwroty, za którymi kryją się różne pojęcia, więc teraz zaczął się już z wyższością i lekceważeniem odnosić do wszystkiego, co wsiowe, nazywając to z oburzeniem „ciemnotą”.

Krótko mówiąc, to typ, do którego jak ulał pasuje określenie: „Odleciał od wron, ale pawiem nigdy nie zostanie”.

Uważa się nawet za osobę kompetentną w kwestiach religii, polityki i socjologii; lubi się kłócić z równymi sobie, pouczać tych, których uważa za gorszych, a lepszym od siebie służalczo schlebia i, jak to się mówi, „liże im buty”.

Jedną z jego głównych słabości jest bałamucenie kucharek i pokojówek z sąsiedztwa, ale to, co lubi najbardziej, to najeść się do syta i wychylić kieliszek lub dwa, a potem w pełni ukontentowany zapaść w półdrzemkę i marzyć.

Żeby zaspokoić te słabości, kradnie bez przerwy część pieniędzy, które jego chlebodawca daje mu na zakup paszy dla konia.

Nasz dryndziarz, jak każdy najemnik, pracuje jedynie, jak to się mówi, „poganiany batem”, a jeśli czasem zdarzy mu się coś zrobić bez przymusu, to tylko dlatego, że liczy na napiwek.

Owo pragnienie otrzymania napiwku spowodowało, że stopniowo nabrał wprawy w wykrywaniu pewnych słabości u ludzi, z którymi ma do czynienia, a także w czerpaniu z tych słabości profitów dla siebie, i automatycznie nauczył się być przebiegły, schlebiać, podlizywać się, jednym słowem kłamać.

Przy każdej nadarzającej się okazji i w każdej wolnej chwili wstępuje do knajpy czy baru, gdzie całymi godzinami marzy nad szklanką wina albo rozmawia z typem takim samym jak on, albo po prostu czyta gazetę.

Stara się zaimponować swoim wyglądem, nosi brodę, a jeśli jest chudy, to wypycha odpowiednie miejsca pod ubraniem, żeby dać sobie powagi.

W naszym przykładzie całokształt przejawiania się w człowieku centrum czuciowego i cały system jego funkcjonowania idealnie odpowiada koniowi zaprzęzonemu do dorożki.

Warto nadmienić, że porównanie organizacji ludzkiego odczuwania do konia wyjątkowo dobrze unaocznia nam, jak bardzo nieprawidłowe i jednostronne jest wychowanie, które otrzymuje dzisiaj dorastające pokolenie.

Koń, wskutek lekceważenia okazywanego mu od najmłodszych lat przez otoczenie, a także nieustannego osamotnienia, cały poniekąd zamknął się w sobie, to znaczy jego, jak to się mówi, „życie wewnętrzne” zostało zapędzone do środka i teraz potrafi się przejawiać na zewnątrz tylko siłą bezwładu.

Z powodu nienormalnych warunków, w których dorastał, nigdy nie otrzymał żadnego specjalnego wychowania, a kształtował się wyłącznie pod wpływem ciągłej chłosty i steku wyzwisk.

Był zawsze trzymany na uwięzi i karmiono go czym popadnie, dając mu zamiast owsa i siana tylko słomę, która zupełnie się nie nadaje do zaspokojenia jego, rzeczywistych potrzeb.

Ponieważ nikt nigdy nie okazał mu choćby odrobiny miłości lub ciepła, teraz gotowy jest się oddać całym sobą każdemu, kto obdarzy go najmniejszą pieśczołą.

Wszystko to spowodowało, że u takiego konia, pozbawionego

jakichkolwiek zainteresowań i dążeń, wszelkie namiętności musiały niechybnie skoncentrować się na jedzeniu, picciu i automatycznym pociągu do płci przeciwnej, skutkiem czego niezmiennie kusi go, by iść tam, gdzie może otrzymać którąś z tych rzeczy. Na przykład jeśli widzi miejsce, w którym choć raz czy dwa zaspokoił jedną z wymienionych potrzeb, to zawsze się rwie, żeby pognać w tę stronę.

Należy jeszcze dodać, że woźnica, nawet przy bardzo słabym rozumieniu swych obowiązków, przynajmniej potrafi choć trochę logicznie myśleć i czasami w trosce o jutro podejmuje się – bez przymusu, a tylko ze strachu, że straci pracę, lub w nadziei na nagrodę – zrobić coś dla swego pana. Ale koń z braku specjalnego i odpowiadającego jego naturze wychowania nie otrzymał we właściwym czasie żadnych danych, które pozwoliłyby mu na przejawianie takich dążeń, jakie powinny cechować odpowiedzialną egzystencję, nie rozumie więc – zresztą nie można oczekiwać, by rozumiał – dlaczego w ogóle musi cokolwiek robić i wobec tego odnosi się do swych obowiązków z całkowitą obojętnością, pracując tylko ze strachu, że znów oberwie ciągi.

A co się tyczy bryczki lub powozu, który w naszej analogii odpowiada ciału oddzielonemu od innych niezależnie utworzonych części zbiorczej obecności człowieka, to jego sytuacja jest jeszcze gorsza.

Ów wóz, jak zresztą wszystkie wozy, zbudowany jest z różnych materiałów i na dodatek ma bardzo skomplikowaną konstrukcję. Początkowo był przeznaczony – co jest oczywiste dla każdego zdrowo myślącego człowieka – do transportu rozmaitych ładunków, a nie do tego, do czego wykorzystują go ludzie współcześni, czyli tylko do przewozu pasażerów.

Główną przyczyną rozmaitych powstałych wokół niego nieporozumień jest to, że miał służyć do jazdy po polnych drogach i że pod tym kątem rzemieślnicy, którzy go zbudowali, odpowiednio dopasowali pewne wewnętrzne szczegóły jego konstrukcji.

Na przykład mechanizm naoliwiania – będącego jedną z głównych potrzeb pojazdu zbudowanego z różnorodnych materiałów

– działa w taki sposób, że smar rozchodzi się po wszystkich metalowych częściach wskutek wstrząsów, które są nieuniknione na tego rodzaju wyboistych drogach; teraz zaś ten wóz, przystosowany do jazdy po polnych drogach, stoi najczęściej w mieście na postoju dorożek, a nawet jeśli jedzie, to tylko po gładkich, wyasfaltowanych i pozbawionych wybojów ulicach.

Ponieważ jazda po takiej nawierzchni nie powoduje żadnych wstrząsów, więc wszystkie części wozu przestały być jednolicie naoliwiane, skutkiem czego niektóre rdzewieją i przestają pełnić przeznaczone im funkcje.

Na ogół każdy wóz jedzie lekko, kiedy jego ruchome części są należycie naoliwione. Jeżeli smaru jest za mało, części te się rozgrzewają i rozżarzone do czerwoności uszkadzają potem inne części; natomiast jeśli tego smaru jest w niektórych częściach zbyt dużo, to cierpi na tym ruch całego wozu i koniowi zarówno w tym, jak i w pierwszym przypadku jest coraz trudniej ciągnąć ów wóz.

Współczesny woźnica, nasz „dryndziarz”, nic o tym nie wie i w ogóle nie podejrzewa, że wóz trzeba równomiernie naoliwić, a nawet jeśli go nasmaruje, i tak robi to bez odpowiedniej wiedzy, stosując się bezkrytycznie do wskazówek pierwszej lepszej napotkanej osoby, tylko pod wpływem tego, co przypadkowo usłyszał.

Oto dlaczego za każdym razem, gdy z jakiegoś powodu ten wóz, który teraz jest już w miarę przystosowany do jazdy po równych nawierzchniach, musi skrócić w polną drogę, coś mu się przytrafia: to poluzuje się nakrętka, to wykrzywi się sworzeń, to znów odpadnie jakaś część, i po takich przejściach rzadko kiedy obywa się bez mniej lub bardziej gruntownej naprawy.

Tak czy inaczej, używanie tego wozu do celów, jakim miał pierwotnie służyć; stało się dzisiaj bardzo ryzykowne. Przeprowadzając remont, trzeba będzie rozebrać cały wóz na części, potem każdą z nich sprawdzić i, jak to się robi w takich przypadkach, przetrzeć naftą, a następnie te wyczyszczone części z powrotem poukładać; często się wtedy okazuje, że którąś część należy od razu



wymienić, i jeszcze pół biedy, jeśli jest to jakaś niedroga część, bo zdarza się też, że taka naprawa kosztuje droższej niż zakup nowego wozu.

Otóż wszystko, co zostało powiedziane o poszczególnych częściach, z których składa się cała dorożka, można w pełni odnieść do ogólnej organizacji zbiorczej obecności człowieka.

Na skutek braku u współczesnych ludzi jakiegokolwiek wiedzy i umiejętności właściwego przygotowania dorastającego pokolenia do odpowiedzialnej egzystencji poprzez specjalne wychowywanie wszystkich oddzielnych części, z których składa się ich zbiorcza obecność, każdy człowiek jawi się dzisiaj jako coś naprawdę absurdalnego i bardzo komicznego, a mianowicie, jeśli znowu posłużyć się naszym przykładem, przedstawia mniej więcej taki obraz:

Kareta „ostatni krzyk mody” prosto z fabryki, polakierowana przez autentycznych niemieckich majstrów z miasta Barmen i zaprzężona w takiego konia, jakiego na obszarze Zakaukazia nazywa się „dglozi-dzi”<sup>\*</sup>.

<sup>\*</sup> „Dzi” to koń, a „dgloz” to imię ormiańskiego specjalisty od kupowania niezdatnych już do niczego koni i obdzierania ich ze skóry.

Na koźle tego wytwornego powozu siedzi nieogolony, nieuczesany i zaspany woźnica-dryndziarz, odziany w zatłuszczoną kapotę znalezioną w kuble na śmieci, do którego wyrzuciła ją, jak niepotrzebny rupieć, pomywaczka Marysia. Na jego głowie błyszczą nowiutki cylinder, dokładna kopia cylindra Rockefellera, a w butonierce ma dużą, ledwie co ściętą chryzantemę.

Człowiek współczesny musi nieuchronnie przedstawiać taki groteskowy widok przede wszystkim dlatego, że od chwili, gdy przyszedł na świat, te trzy kształtujące się w nim części – które wprawdzie powstały z odmiennych przyczyn i ich właściwości różnią się jakością, ale żeby w okresie jego odpowiedzialnej egzystencji mogły dążyć do jednego celu, muszą wspólnie reprezentować w nim jedną całość – zaczynają, by tak rzec, „żyć” w pojedynkę i umacniać się w swych specyficznych przejawach, nigdy nie ucząc się udzielać sobie automatycznie niezbędnego wzajemnego

wsparcia czy pomocy, ani choćby tylko w przybliżeniu nawzajem się rozumieć, wskutek czego później, kiedy sytuacja wymaga takich uzgodnionych przejawów, okazuje się, że jest to niemożliwe.

W obecnych czasach, dzięki ugruntowanemu już ostatecznie w życiu ludzi „systemowi wychowania dorastającego pokolenia” – który polega wyłącznie na wbijaniu uczniom do głowy rozmaitych, niemal zawsze zupełnie pustych słów i wyrażań powtarzanych w kółko aż do „ogłupienia”, a także na nauce rozpoznawania rzeczywistości, którą rzekomo te słowa i wyrażenia oznaczają, wyłącznie na podstawie różnicy w ich brzmieniu – woźnica potrafi jeszcze od biedy wytłumaczyć innym podobnym do siebie typom różne budzące się w nim pragnienia, i czasem umie nawet jakoś tych innych zrozumieć.

Bajtlując z resztą woźniców w oczekiwaniu na pasażera czy flirtując nieraz na progu z gosposiami z sąsiedztwa, nasz woźnicadryndziarz poznał nawet rozmaite, jak to się mówi, „formy grzecznościowe”.

Oprócz tego, dostosowując się do zewnętrznych warunków życia wszystkich woźniców, nauczył się z czasem automatycznie odróżniać jedną ulicę od drugiej i jeśli na przykład któraś z ulic jest zamknięta z powodu robót, to umie znaleźć inną drogę, żeby dotrzeć pod wskazany adres.

Co się zaś tyczy konia, to chociaż ów szkodliwy wymysł współczesnych ludzi zwany „wychowaniem” nie odnosi się do jego kształtowania – dzięki czemu możliwości otrzymane dziedzicznie nie ulegają w nim atrofii – jednak to kształtowanie odbywa się w warunkach nienormalnie ustalonego procesu zwykłej egzystencji ludzi, skutkiem czego dorasta on jak sierota zapomniany przez wszystkich, na dodatek zaszczuty, i nie przyswaja sobie niczego, co by się mogło komponować z ustaloną już psychiką jego woźnicy, ani też niczego się od niego nie uczy, a to w sumie powoduje, że nie ma najmniejszego pojęcia o formach wzajemnych stosunków, do których przywykł ten ostatni, i że nie nawiązuje się między nimi żaden kontakt pozwalający im się wzajemnie porozumiewać.

Ale może się zdarzyć, że koń, pędząc swój sierocy żywot, pozna mimo wszystko jakąś formę komunikowania się z woźnicą i bodaj nawet nauczy się trochę jakiegoś „języka” – tylko cała bieda z tym, że woźnica nic o tym nie wie i wręcz nie podejrzewa, że jest to możliwe.

Nie dość, że z powodu takich nienormalnych warunków nie formują się między koniem i woźnicą żadne dane, które by pozwoliły im przynajmniej automatycznie jako tako się porozumiewać, to jeszcze istnieje wiele innych zewnętrznych przyczyn, zupełnie od nich niezależnych i pozbawiających ich wszelkiej możliwości osiągnięcia razem tego jedyne go celu będącego ich wspólnym przeznaczeniem.

Rzecz w tym, że tak jak poszczególne samodzielne części dorożki są ze sobą połączone: powóz z koniem za pomocą hołobli, a koń z woźnicą za pomocą lejców, tak samo połączone są wzajemnie oddzielne części ogólnej organizacji człowieka: ciało z organizacją czucia poprzez krew, a organizacja czucia z organizacją świadomego myślenia poprzez „hanbledzoin”, czyli substancją, która powstaje w zbiorczej obecności człowieka w rezultacie wszystkich celowo podejmowanych wysiłków istnieniowych.

Obowiązujący obecnie nieprawidłowy system wychowania doprowadził do tego, że woźnica przestał mieć jakikolwiek wpływ na swego konia, jeśli nie liczyć tego, że lejcami potrafi wywołać w świadomości zwierzęcia tylko trzy idee: na prawo, na lewo i za-trzymaj się.

Prawdę mówiąc, nawet i to nie zawsze się okazuje możliwe, ponieważ lejce przeważnie wyrabia się z materiałów, które reagują na pewne zjawiska atmosferyczne, więc na przykład w czasie ulewnego deszczu pęcznieją i potem się kurczą, a w upał na odwrót, przez co zmienia się też ich oddziaływanie na zautomatyzowaną wrażliwość percepcji konia.

Dokładnie to samo zachodzi w ogólnej organizacji przeciętnego człowieka za każdym razem, gdy pod wpływem dowolnego wrażenia zmienia się w nim „gęstość i tempo hanbledzoina” i gdy wskutek tego jego myślenie definitywnie traci jakakolwiek moż-

liwość oddziaływania na organizację uczucia.

A zatem, podsumowując wszystko, co zostało powiedziane, musimy przyznać, że każdy człowiek rad nierad powinien dążyć do tego, by mieć własne „Ja”, bo w przeciwnym razie pozostanie na zawsze tylko „dorożką”, do której dowolny pasażer może wsiąść i rozporządzać nią, jak mu się żywnie podoba.

Warto tutaj zaznaczyć, że Instytut Harmonijnego Rozwoju Człowieka, zorganizowany według systemu Gurdżijewa, wśród podstawowych zadań postawił sobie też za cel z jednej strony odpowiednio wykształcić w swych uczniach, zgodnie z wymaganiami ich przyszłej subiektywnej egzystencji, każdą z tych wyliczonych niezależnych osobowości – najpierw oddzielnie, a potem w ich wzajemnych relacjach – a z drugiej strony począć i rozwinąć w swoich wychowankach to, co powinien mieć każdy, kto nosi imię „człowieka bez cudzysłowu”: jego własne „Ja”.

Aby dać ściślej, można by rzec, naukową definicję różnicy między prawdziwym człowiekiem, to znaczy takim, jakim być powinien, a tym, którego my nazywamy „człowiekiem w cudzysłowie”, czyli takim, jakim stał się prawie każdy współczesny człowiek, warto w tym miejscu przytoczyć, co na ten temat powiedział Gurdżijew w czasie jednej ze swoich pogadanek.

Otóż wyraził to wtedy tak:

– Jeśli chcemy zdefiniować człowieka z punktu widzenia, który nas interesuje, to na nic nam się nie zda współczesna wiedza o jego anatomicznych, fizjologicznych czy psychicznych cechach, ponieważ te cechy, w mniejszym lub większym stopniu, przynależą każdemu człowiekowi, a skoro stosują się jednakowo do wszystkich, to nie możemy za ich pomocą dokonać potrzebnego nam rozróżnienia między ludźmi.

Za miernik takiego rozróżnienia można przyjąć tylko następujące sformułowanie:

**CZŁOWIEK TO ISTOTA; KTÓRA POTRAFI „CZYNIĆ”, A „CZYNIĆ” TO ZNACZY DZIAŁAĆ ŚWIADOMIE I Z WŁASNEJ INICJATYWY.**

Faktycznie, każdy w miarę zdrowo myślący człowiek; który potrafi być choć trochę bezstronny musi przyznać, że do tej pory nie istniała ani istnieć nie mogła pełniejsza i bardziej wyczerpująca definicja.

Jeśli przyjmiemy tę definicję choćby tylko prowizorycznie, to nieuchronnie pojawi się pytanie: Czy człowiek, który jest produktem współczesnego wychowania i współczesnej cywilizacji, może sam czynić cokolwiek świadomie i z własnej woli?

Nie! – odpowiadamy od razu.

Dlaczego nie?

Choćby tylko dlatego, że, jak dowodzi i stanowczo stwierdza na podstawie własnych badań doświadczalnych Instytut Harmonijnego Rozwoju Człowieka, u ludzi współczesnych wszystko bez wyjątku od początku do końca „się czyni” i nie ma niczego takiego, co by człowiek współczesny „czycił” sam.

W życiu osobistym, rodzinnym i społecznym, w polityce, nauce, sztuce, filozofii i religii, słowem w tym, co składa się na proces zwykłego życia współczesnego człowieka, wszystko od początku do końca „się czyni” i ani jedna z tych „ofiar współczesnego wychowania” sama nie jest w stanie niczego „uczynić”.

To kategoryczne stwierdzenie, doświadczalnie udowodnione przez Instytut Harmonijnego Rozwoju Człowieka, a mianowicie, że zwykły człowiek niczego „czycić” nie może i że z nim wszystko „się czyni”, jest zbieżne z tym, co mówi o człowieku współczesna „ściśła nauka pozytywna”.

Współczesna „ściśła nauka pozytywna” utrzymuje, że człowiek jest bardzo złożonym organizmem, który w drodze ewolucji rozwinął się z najprostszych organizmów i teraz ma zdolność reagowania na wrażenia zewnętrzne w niezwykle złożony sposób.

Ta zdolność reagowania jest w człowieku tak złożona i różne jego odruchy mogą być tak odległe od przyczyn, które je wywołały i warunkują, że działania człowieka, a przynajmniej pewna ich część, sprawiają na naiwnym obserwatorze wrażenie zupełnie spontanicznych.

Ale zgodnie z ideami Gurdżijewa przeciętny człowiek jest w rzeczywistości niezdolny do nawet najmniejszych samodzielnych lub spontanicznych działań czy słów. W całości jest tylko i wyłącznie rezultatem zewnętrznych wpływów. Człowiek to maszyna transformacyjna – coś w rodzaju stacji przekaźnikowej sił.

Tak więc z punktu widzenia całokształtu idei Gurdżijewa, a także zgodnie ze współczesną „ściśłą nauką pozytywną” człowieka odróżnia od zwierząt jedynie większa złożoność reakcji na wrażenia zewnętrzne i bardziej skomplikowana struktura systemu ich postrzegania.

Jeśli zaś chodzi o to, co przypisuje się człowiekowi i nazywa „wola”, Gurdżijew całkowicie zaprzecza możliwości jej występowania w zbiorczej obecności przeciętnego człowieka.

Wola to pewna kombinacja ukształtowana z rezultatów określonych właściwości, które specjalnie wypracowali w sobie ludzie potrafiący „czynić”.

Natomiast w obecnościach zwykłych ludzi to, co oni zwać „wola”, to wyłącznie wypadkowa pragnień.

Wola jest już oznaką bardzo wysokiego stopnia bycia w porównaniu z byciem zwykłego człowieka. I tylko ci, którzy władają takim byciem, mogą „czynić”.

Wszyscy pozostali ludzie to po prostu automaty, maszyny lub nakręcane zabawki wprawiane w ruch przez zewnętrzne siły i działające w takim stopniu, w jakim działa umieszczona w nich wskutek przypadkowych warunków zewnętrznych „sprężyna”, której oni sami nie mogą z własnej inicjatywy ani wydłużyć, ani skrócić, ani zmienić.

A zatem, chociaż przyznajemy, że człowiek ma w sobie wielkie możliwości, to dopóki pozostaje taki, jakim jest obecnie, odmawiamy mu wszelkiej wartości jako samodzielnej jednostce.

Aby podkreślić ten całkowity brak woli u przeciętnego człowieka, można tutaj zacytować jeszcze jeden fragment z innego odczytu Gurdżijewa, barwnie opisujący przejawy owej sławetnej woli, którą przypisuje się człowiekowi.

Zwracając się do jednego z obecnych, Gurdżijew powiedział:

– Masz masę pieniędzy i luksusowe warunki egzystencji. Wszędzie cię poważają i darzą szacunkiem. Na czele twoich prosperujących przedsiębiorstw stoją rzetelni i całkowicie oddani ci ludzie – jednym słowem twoje życie jest usłane różami.

Rozporządzasz swoim czasem według uznania, jesteś mecenasem sztuki, rozwiązujesz światowe problemy przy filiżance kawy i nawet interesujesz się rozwojem ukrytych sił duchowych. Nie obce ci są sprawy ducha i masz dobre rozeznanie w kwestiach filozoficznych. Jesteś wykształcony i czytany. Cechuje cię wszechstronna erudycja, toteż cieszysz się opinią człowieka inteligentnego, któremu żaden temat nie jest obcy. Jesteś uosobieniem dobrego wychowania.

Wszyscy znajomi uważają cię za człowieka silnej woli i w większości twierdzą nawet, że twoje sukcesy są rezultatem przejawiania się tej woli.

Krótko mówiąc, pod każdym względem zasługujesz na to, żeby cię naśladować, i można ci tylko pozazdrościć.

Dzisiaj rano obudziłeś się pod wrażeniem jakiegoś męczącego snu.

Ów stan lekkiego przygnębienia, choć rozproszył się zaraz po przebudzeniu, pozostawił w tobie jednak ślad.

Pewną ociężałość i niepewność w twoich ruchach.

Podchodzisz do lustra, żeby się uczesać, i niechcący upuszczasz szczotkę do włosów, ale ledwo ją podniosłeś i otrzepałeś, a znów wypada ci z rąk. Tym razem podnosisz ją już z lekkim zniecierpliwieniem i przez to upuszczasz po raz trzeci... próbujesz złapać ją w locie, ale niefortunny ruch ręki powoduje, że szczotka zmierza w stronę lustra; na próżno rzucasz się, żeby ją chwycić, trach!... na starym lustrze, z którego byłeś taki dumny, pojawiają się pęknięcia w kształcie gwiazdy.

Psiakość! Niech to diabli!... i rodzi się w tobie potrzeba wyładowania złości na kimś innym. Ponieważ nie znalazłeś gazety obok porannej filiżanki kawy, bo służący zapomniał ją tam położyć,

kielich twojej cierpliwości przelewa się i uznajesz, że już dłużej nie zniesiesz tego drania u siebie w domu.

Pora wyjść na dwór. Ponieważ jest ładna pogoda i masz udać się niedaleko, postanawiasz, że pójdziesz na piechotę. Za tobą cicho sunie twój samochód, ostatni model najbardziej znanej marki.

Blask słońca trochę cię uspokaja i twoją uwagę zwraca tłum, który zebrał się na rogu ulicy.

Podchodzisz bliżej i dostrzegasz, że pośrodku zgromadzonych leży na chodniku nieprzytomny człowiek. Policjant z pomocą kilku „gapiów” taszczy go do taksówki, żeby odwieźć go do szpitala.

Zwróć uwagę, w jak dziwny sposób – tylko z powodu przypadkowo spostrzeżonego przez ciebie podobieństwa między twarzą szofera a twarzą tego podchmielonego mnicha, na którego, sam trochę wstawiony, wpadłeś w zeszłym roku, gdy wracałeś z hucznych imienin – ten wypadek na rogu ulicy skojarzył ci się teraz z tortem, który jadłeś na tamtym przyjęciu.

Ach, cóż to był za tort!

Ten twój służący, który zapomniał dzisiaj o gazecie, zepsuł ci poranną kawę. Dlaczego by sobie tego jakoś nie wynagrodzić?

Akurat tuż obok znajduje się wytworna kawiarnia, do której przychodzisz czasem z przyjaciółmi.

Ale po co w ogóle zacząłeś myśleć o tym służącym? Przecież już prawie zapomniałeś o porannych nieprzyjemnościach. A teraz... czyż tort nie smakuje najlepiej z kawą?

Spójrz! Przy sąsiednim stoliku siedzą dwie damy. Cóż za czarująca blondynka!

Słyszysz właśnie, jak spoglądając na ciebie, szepcze do koleżanki: „On jest w moim typie!”.

Czyż nie prawda, że te podsłuchane, być może celowo wypowiedziane pod twoim adresem trochę głośniejsze słowa spowodowały, iż całe twoje wnętrze zaczęło „triumfować”?

Gdybym zapytał cię w tej chwili, czy warto się było przejmować i psuć sobie nastrój porannymi nieprzyjemnościami, oczywiście



odpowiedziałbyś, że nie, i przyrzekłbyś sobie, że coś takiego już się więcej nie powtórzy.

Czy trzeba ci jeszcze mówić o tym, jak zmienił się twój nastrój, kiedy zawierałeś znajomość z ową blondynką, która okazała ci zainteresowanie i którą ty sam byłeś zainteresowany, a także w jakim byłeś humorze przez cały ten spędzony razem czas?

Wracasz do domu, nucąc jakąś szansonetkę, i nawet widok sztucznego lustra wywołuje w tobie tylko uśmiech.

Ale zaraz, co z tą „sprawą” z powodu której wyszedłeś dzisiaj rano?! Dopiero teraz sobie o niej przypomniałeś. Brawo... Zresztą to i tak nie ma znaczenia, przecież możesz zadzwonić.

Podchodzisz do aparatu i telefonistka łączy cię ze złym numerem.

Dzwonisz jeszcze raz, ale znowu ta sama pomyłka. Jakiś mężczyzna informuje cię, że ma ciebie dosyć, ty mówisz, że to nie twoja wina i, od słowa do słowa, nieoczekiwanie się dowiadujesz, że jesteś łajdakiem, idiotą i że jeśli znów do niego zadzwonisz, to...

Dywan podwinął ci się pod nogą, co powoduje, że kipisz z oburzenia i powinienesz usłyszeć ton, jakim strofujesz służącego, który przyszedł wręczyć ci list.

Jest to list od szanowanego przez ciebie człowieka, którego opinię bardzo sobie cenisz.

Treść listu jest tak pochlebna, że w trakcie lektury twoje rozdrażnienie stopniowo mija i zamienia się w „przyjemną konsternację” człowieka obsypywanego pochwałami. A kiedy kończysz go czytać, jesteś już w znakomitym nastroju.

Mógłbym tak dalej odtwarzać ten obraz twojego dnia – ty, „wolny człowieku”!

Być może sądzisz, że przesadziłem?

Nie, to absolutnie wierna fotograficzna migawka z natury.

\* \* \* \* \*

Mówiąc o woli człowieka i o różnych aspektach jego rzekomo

samodzielnych przejawów, które są przedmiotem wymądrzań i samozachwyty współczesnych, jak to się mówi, „dociekliwych umysłów” – a w naszym pojęciu „umysłów naiwnych” – warto przytoczyć w tym miejscu, co powiedział Gurdżijew w trakcie jeszcze innej pogadanki bowiem całokształt idei wyłożonych przez niego przy tej okazji może dobrze naświetlić iluzoryczność owej woli, którą ponoć ma każdy człowiek.

Cytuję:

– Człowiek przychodzi na świat boży jako czysta kartka, którą wszyscy dookoła zaczynają na wyścigi brukać, zapisując ją wychowaniem, zasadami moralności, informacjami nazywanymi przez nas „wiedzą”, a także wszelkiego rodzaju uczuciami związanymi z obowiązkiem, honorem, sumieniem itd., itp.

I wszyscy są przekonani o bezsporności i nieomyślności metod, którymi się posługują po to, by zaszczerpić owe pędy na głównym pniu zwanym osobowością człowieka.

Kartka robi się coraz brudniejsza i im bardziej jest zababrana, to znaczy im bardziej człowiek jest nafaszerowany efemerycznymi informacjami i opiniami na temat obowiązku, honoru itp., które zostały mu wbite do głowy albo zasugerowane przez innych, tym bardziej „inteligentny” i poważany staje się w oczach otoczenia.

A ta pobrudzona kartka, widząc, że ludzie uważają jej „brud” za zaletę, sama zaczyna go traktować w ten sam sposób.

Oto jaki obraz przedstawia to, co nazywamy „człowiekiem”, często nawet dodając epitety w rodzaju „talent” i „geniusz”.

Ten nasz „talent” jeśli rano po przebudzeniu nie znajdzie obok łóżka bamboszy, ma humor popsuty na cały dzień.

Zwykły człowiek nie jest wolny w swoim życiu, ani w swoich przejawach, ani też nastrojach.

Ani nie może być tym, czym chciałby być, ani tym, za co się uważa.

Człowiek – to brzmi dumnie! Sama nazwa „człowiek” oznacza „koronę stworzenia”.

Ale czy ten tytuł pasuje do współczesnych ludzi?

Jednocześnie człowiek naprawdę powinien być koroną stworzenia, ma bowiem w sobie pełnię możliwości ku temu, by zdobyć wszelkie dane analogiczne do tych, jakimi dysponuje ten, który urzeczywistnia wszystko, co istnieje w całym Wszechświecie.

Po to, by mieć prawo nazywać siebie „człowiekiem” trzeba nim być. „

A żeby nim być, należy w pierwszej kolejności z niestrudzoną wytrwałością i impulsem niegasnącego pragnienia, wypływającego ze wszystkich oddzielnych i niezależnych części, z których składa się cała nasza zbiorcza obecność, to znaczy pragnienia wypływającego jednocześnie z myśli, czucia i organicznego instynktu, pracować wpierw nad wszechstronnym poznaniem siebie, walcząc przy tym bezustannie z własnymi subiektywnymi słabościami, a potem – opierając się na rezultatach, które w ten sposób zostały uzyskane tylko dzięki naszej świadomości, czyli rezultatach rzucających światło na mankamenty naszej ukształtowanej już subiektywności, a także na możliwe sposoby podjęcia walki z nimi – zdołać je wykorzenić, przyjmując wobec siebie postawę bezlitosną.

Szczerze mówiąc, człowiek współczesny – taki, jakim możemy go zobaczyć, jeśli potrafimy być zupełnie bezstronni – to ni mniej, ni więcej, tylko mechanizm zegarowy, jakkolwiek o bardzo złożonej budowie.

Tę swoją mechaniczność człowiek musi wszechstronnie prze-myśleć i należycie zrozumieć, aby móc w pełni ocenić jej znaczenie oraz wszystkie jej rezultaty i następstwa zarówno dla swojego dalszego życia, jak i dopełnienia się sensu oraz celu swego powstania i istnienia.

Niewątpliwie dla tego, kto pragnie sobie uświadomić i ogólnie zbadać ludzką mechaniczność, najlepszym obiektem studiów jest on sam i jego własna mechaniczność; a zbadać ją rzeczowo i zrozumieć wnikliwie całym swoim jestestwem – a nie „jak psychopata” to znaczy tylko jedną częścią całej swojej obecności – można wyłącznie dzięki prawidłowo prowadzonej samoobserwacji.

Co się zaś tyczy takiej możliwości prowadzenia samoobserwacji w sposób prawidłowy, bez ryzyka wywołania zgubnych następstw, które niejednokrotnie udało się zauważyć, gdy ludzie zabierali się do niej bez należytej wiedzy; to trzeba was przestrzec – abyście nie popadli w przesadny entuzjazm – że nasze doświadczenie oparte na wielu ścisłych informacjach pokazało, iż wcale nie jest to tak proste, jak może się wydawać na pierwszy rzut oka, toteż za podstawę prawidłowo prowadzonej samoobserwacji, której celem jest poznanie siebie, przyjmujemy właśnie studia nad mechanicznością współczesnego człowieka.

Człowiek, zanim jeszcze zacznie studiować swoją mechaniczność i wszystkie zasady prawidłowo prowadzonej samoobserwacji, musi, po pierwsze, nieodwołalnie postanowić, że będzie ze sobą bezwzględnie szczery, że nie będzie na nic zamykał oczu, że nie uchyli się od jakichkolwiek rezultatów, dokądkolwiek by go prowadziły, że nie będzie się bał wyciągania wniosków i że nie wytyczy sobie z góry żadnych granic; a po drugie, żeby wyjaśnienie tych zasad mogło być właściwie przyswojone i przetworzone przez adeptów tego nauczania, które tutaj przedstawiamy, trzeba koniecznie ustalić odpowiednią formę „języka”, gdyż istniejąca forma jest naszym zdaniem zupełnie nieadekwatna do tego rodzaju wyjaśnień.

Jeśli chodzi o pierwszy warunek, to już na samym początku należy ostrzec, że człowiek, który nie przywykł do myślenia i działania zgodnie z zasadami samoobserwacji, musi mieć dużo odwagi, żeby szczerze zaakceptować wyprowadzone wnioski i nie upaść na duchu, lecz pogodziwszy się z nimi, dalej je wysnuwać z „crescendującą” wytrwałością, jakiej wymagają takie studia.

Owe wnioski mogą, jak to się mówi, „przewrócić do góry nogami” wszystkie przekonania i wierzenia, które już wcześniej głęboko się w człowieku zakorzeniły, jak również cały porządek jego zwykłego myślenia, a to może doprowadzić do tego, że straci on bodaj na zawsze wszystkie przyjemne i, by tak rzec, „drogie jego sercu wartości” zapewniające mu do tej pory takie spokojne i przytulne życie.

Dzięki prawidłowo prowadzonej samoobserwacji człowiek już po kilku dniach jasno zrozumie i bez cienia wątpliwości uzna swą całkowitą bezsilność i bezradność wobec absolutnie wszystkiego, co go otacza.

Przekona się całym swym jestestwem, że wszystko nim rządzi, wszystko nim kieruje. On sam ani nie rządzi, ani zdecydowanie niczym nie kieruje.

Nie dość, że przyciąga go lub odpycha wszystko, co ożywione i co może wpływać na powstawanie w nim takich czy innych skojarzeń, to jeszcze oddziałują na niego nawet całkowicie bezwładne i nieożywione przedmioty.

Wolny od autoimaginacji i skłonności do samouśpienia – impulsów, które stały się przynależne ludziom współczesnym – uświadomi sobie, że całe jego życie to nic innego, jak tylko ślepe reagowanie na wspomniane przyciągania i odpychania.

Zobaczy wyraźnie, w jaki sposób kształtują się jego opinie, światopogląd, charakter, upodobania itd. – słowem, jak uformowała się jego indywidualność, a także pod wpływem czego jej szczegóły mogą ulec zmianie.

Jeśli chodzi o drugi warunek konieczny, czyli ustanowienie prawidłowego języka, to jest ono niezbędne dlatego, że według nas język stosowany obecnie, któremu przyznano, by tak rzec, „prawa obywatelskie” i w którym mówimy, piszemy książki, przekazujemy innym naszą wiedzę i nasze pojęcia, zupełnie się nie nadaje do w miarę precyzyjnej wymiany opinii.

Słowa składające się na nasz współczesny język – z powodu arbitralnego sensu nadawanego im przez ludzi – zaczęły oznaczać bardzo nieokreślone i względne pojęcia, wskutek czego przeciętny człowiek traktuje je nader elastycznie.

Naszym zdaniem do powstania w życiu człowieka takiej anomalii bardzo przyczynił się nienormalny system wychowania stosowany wobec dorastającego pokolenia.

A odegrał tak dużą rolę, ponieważ, jak już powiedzieliśmy, wskutek tego, że polega w głównej mierze na zmuszaniu mło-

dzieży do „wkuwania na pamięć” jak największej liczby słów i rozróżniania ich jedynie na podstawie brzmienia, a nie tego, co słowa te mają w istocie znaczyć, ów system wychowania doprowadził do stopniowego zaniku w ludziach zdolności do przemyślenia i pojmowania tego, co sami mówią i co się do nich mówi.

Utraciwszy taką zdolność, a jednocześnie odczuwając konieczność w miarę precyzyjnego przekazywania innym swoich myśli; ludzie są zmuszeni – pomimo nieskończonej liczby słów, które już istnieją we wszystkich współczesnych językach – albo zapożyczać jakieś słowa z innych języków; albo ciągle wymyślać nowe, co w końcu doprowadziło do tego, że współczesny człowiek, gdy chce wyrazić jakąś ideę – mając do tego, jak sądzi, wiele odpowiednich słów – wybiera słowo, które w jego myślach wydaje mu się najwłaściwsze, ale równocześnie instynktownie odczuwa niepewność co do prawidłowości swojego wyboru i nieświadomie nadaje temu słowu własne subiektywne znaczenie.

Z jednej strony z powodu tego zautomatyzowanego przyzwyczajenia, a z drugiej wskutek stopniowego zaniku zdolności do skupiania przez długi czas aktywnej uwagi, przeciętny człowiek, wypowiadając czy słysząc jakieś słowo, mimowolnie podkreśla i eksponuje taką czy inną stronę pojęcia, które to słowo ma oznaczać, systematycznie redukując całe jego znaczenie tylko do tego jednego aspektu; inaczej mówiąc, słowo to zamiast obejmować wszystkie niuanse danego pojęcia, ma tylko takie znaczenie, jakie przypadkowo przychodzi mu w pierwszej chwili do głowy pod wpływem ciągu automatycznie płynących w nim skojarzeń. To też współczesny człowiek, kiedy słyszy czy wymawia w trakcie rozmowy jakieś słowo, za każdym razem nadaje mu inne znaczenie, czasami całkowicie sprzeczne z sensem zawartym w tym słowie.

Dla człowieka, który do pewnego stopnia uświadomił to sobie i nauczył się już mniej więcej obserwować, rozmowa dwóch współczesnych ludzi, zwłaszcza kiedy dołączają do niej inni, zamienia się w „tragikomiczne bachanalia dźwiękowe”.

Każdy z rozmówców nadaje wszystkim słowom, które stały się

środkami ciężkości tej, by tak rzec, „symfonii beztreściowych słów” własne subiektywne znaczenie i w rezultacie do ucha takiego uświadomionego i bezstronnego obserwatora dociera tylko to, co w starsinokułupiańskich opowieściach z „Tysiąca i jednej nocy” nazywano „kakofoniczno-feerycznym nonsensem”.

Ludzie współcześni, kiedy prowadzą tego rodzaju rozmowę; sądzą, że się rozumieją i są wręcz przekonani, iż przekazują sobie nawzajem swoje myśli.

Jednakże my, opierając się na wielu niepodważalnych danych potwierdzonych przez psycho-fizyczno-chemiczne eksperymenty, oświadczamy kategorycznie, że dopóki współcześni ludzie pozostaną takimi, jakimi są teraz, to znaczy „przeciętnymi ludźmi” dopóty – bez względu na temat ich rozmowy, a szczególnie jeśli miałaby ona dotyczyć kwestii abstrakcyjnych – nie będą odnosić tych samych słów do tych samych pojęć i w rezultacie nie będą się potrafili naprawdę zrozumieć.

Oto dlaczego w przeciętnym człowieku współczesnym dowolne przeżycie wewnętrzne – i to nawet niezwykle bolesne – zmuszające do myślenia, a także otrzymane logiczne rezultaty, które winnej sytuacji mogłyby wywrzeć bardzo dobroczynny wpływ na jego otoczenie, nie znajdują zewnętrznego wyrazu, a jedynie przekształcają się w rodzaj „czynnika zniewalającego” dla niego samego.

To z kolei powoduje, że życie wewnętrzne każdego pojedynczego człowieka staje się coraz bardziej wyizolowane, i tym samym coraz większej degradacji ulega to, co jest przecież tak niezbędne w zbiorowej egzystencji ludzi i nazywa się „uczeniem się od siebie nawzajem”.

Wskutek utraty zdolności rozważania i pojmowania przeciętny człowiek współczesny, kiedy słyszy lub powtarza w rozmowie jakieś słowo, które rozpoznaje tylko z brzmienia, w ogóle się nad nim nie zastanawia ani nawet nie zadaje sobie pytania, co to słowo dokładnie znaczy, ponieważ już raz na zawsze postanowił, że je zna i że inni również je znają.

Nawiasem mówiąc, takie pytanie rodzi się w nim czasem, kiedy po raz pierwszy słyszy zupełnie nieznanemu mu słowo, ale nawet w takim przypadku to nieznanemu słowo zastępuje tylko jakimś innym, brzmiącym znajomo, i jednocześnie wyobraża sobie, że je rozumiał.

Aby uczynić jasnym to, co powiedziałem, możemy się posłużyć znakomitym przykładem słowa tak często używanego przez współczesnych ludzi, a mianowicie słowa „świat”.

Jeśli ludzie sami potrafiliby uchwycić, co im przychodzi na myśl, gdy słyszą lub wypowiadają słowo „świat” to prawie każdy z nich musiałby przyznać – oczywiście pod warunkiem że zdobędzie się na szczerść – iż to słowo nie wiąże się dla niego z żadnym precyzyjnym pojęciem. Po prostu wyławiając słuchem znajome brzmienie, którego sens, w jego przekonaniu, jest mu znany, mówi poniekąd do siebie: „Aha, świat... wiem, co to jest” i spokojnie przechodzi do innego tematu.

Gdyby celowo zwrócić mu uwagę na to słowo i spróbować się dowiedzieć, co przez nie rozumie, to wprawdzie poczułby się wyraźnie „zmieszany”, ale już po krótkiej chwili odzyskałby rezon, czyli zaczął od razu siebie oszukiwać i wygrzebując z pamięci pierwszą lepszą definicję tego słowa, przedstawiłby ją jako własną, mimo że sam nigdy wcześniej w ten sposób nie myślał.

Jeśli ktoś ma wystarczający autorytet i zmusi paru współczesnych ludzi – i to nawet spośród tych, którzy otrzymali, jak to się mówi, „dobre wykształcenie” – do tego, by powiedzieli, co dokładnie rozumieją przez słowo „świat”, to każdy zacznie pleść takie dyrdymały, że będzie można wręcz z rozczuleniem pomyśleć mimo woli o oleju rycynowym.

Na przykład ktoś, kto naczytał się różnych książek o astronomii, powie, że „świat” to olbrzymia liczba bardzo oddalonych od siebie słońc, otoczonych przez planety i tworzących razem to, co nazywa się „Drogą Mleczną”, na zewnątrz której w niezmiernych odległościach i poza granicami przestrzeni dostępnych naszym badaniom znajdują się prawdopodobnie inne skupiska gwiazd i inne światy.



Za to osoba, która interesuje się współczesną fizyką, zacznie mówić o świecie jako o ewolucji materii, poczynając od atomu, a kończąc na największych skupieniach, takich jak planety i słońca, i być może powoła się też na teorię podobieństwa świata atomów i elektronów do świata słońc i planet, i tak dalej w tym samym duchu.

A jeszcze ktoś inny, kto z jakiegoś powodu zapalił się do filozofii i naczytał o niej różnych różności, powie, że świat to tylko wytwór naszych subiektywnych pojęć i wyobrażeń i że nasza Ziemia wraz z jej górami i morzami, z królestwem roślin i zwierząt, to tylko świat ułudnych zjawisk, świat iluzoryczny.

Z kolei człowiek obeznany z najnowszą teorią „przestrzeni wielowymiarowej” powie, że co prawda wedle potocznej opinii świat to nieskończona trójwymiarowa sfera, ale że w rzeczywistości świat trójwymiarowy jako taki nie istnieje i jest tylko wyobrażonym przekrojem innego, czterowymiarowego świata, z którego przychodzi i do którego wraca wszystko, co się wokół nas wydarza.

Człowiek o światopoglądzie opartym na dogmatach religijnych, stwierdzi, że świat to wszystko, co istnieje – czy to widzialne, czy niewidzialne – a co zostało stworzone przez Boga i podlega Jego woli. W świecie widzialnym nasze życie trwa krótko, ale w świecie niewidzialnym, gdzie człowiek otrzymuje nagrodę lub karę za to wszystko, co uczynił w czasie swojego pobytu w świecie widzialnym, życie jest wieczne.

Pasjonat „spirytyzmu” powie, że obok świata widzialnego istnieje też drugi świat, zwany „zaświatami”, i że została już nawiązana łączność z istotami zaludniającymi owe „zaświaty”.

Natomiast entuzjasta teozofii posunie się jeszcze dalej i oświadczy, że istnieje siedem światów, które się nawzajem przenikają i są zbudowane z coraz bardziej rozrzedzonej materii itd., itp.

Krótko mówiąc, żaden współczesny człowiek nie będzie umiał podać ścisłej i możliwej do przyjęcia dla wszystkich definicji prawdziwego znaczenia słowa „świat”.

Całe wewnętrzne życie psychiczne przeciętnego człowieka to nic innego, jak tylko „zautomatyzowane kontaktowanie się” dwóch lub trzech serii skojarzeń składających się z wrażeń odebranych przez niego w przeszłości i utrwalonych – wskutek oddziaływania jakiegoś impulsu, który wówczas w nim powstał – w każdej z jego trzech różniących się naturą lokalizacji, czyli w każdym z jego „mózgów” Kiedy pewne skojarzenie znowu zaczyna działać, to znaczy gdy dochodzi do powtórzenia odpowiednich wrażeń, można zauważyć, że pod wpływem jakiegoś przypadkowego wewnętrznego czy zewnętrznego wstrząsu to skojarzenie wywołuje w innej lokalizacji ponowne pojawienie się jednorodnych wrażeń.

Wszystkie szczegóły światopoglądu zwykłego człowieka oraz charakterystyczne cechy jego indywidualności są wynikiem i zależą od kolejności impulsów powstających w nim w czasie odbierania nowych wrażeń, jak również od ustalonego automatyzmu wywołującego proces powtarzania się tych wrażeń.

To tłumaczy, dlaczego, nawet przeciętny człowiek spostrzega wciąż w trakcie swego pasywnego stanu absurdalność różnych skojarzeń, które pojawiają się w nim równocześnie, lecz nie mają ze sobą nic wspólnego.

Rzeczony wrażenia są odbierane w zbiorczej obecności człowieka dzięki trzem znajdującym się w nim, podobnie jak we wszystkich zwierzętach, specjalnym aparatom służącym do odbioru każdej z siedmiu „planetarnych wibracji środkociężkościowych”.

Budowa tych aparatów odbiorczych jest jednakowa we wszystkich częściach mechanizmu.

Składają się one z przyrządów, które przypominają „rolki” lub pokryte woskiem czyste cylindry fonografu, i na tych cylindrach zapisywane jest każde odebrane przez człowieka wrażenie, począwszy od dnia jego przyjścia na świat boży, a nawet jeszcze wcześniej, w okresie formowania się w łonie matki.

Przy czym poszczególne aparaty składające się na ten ogólny mechanizm są wyposażone w pewne automatyczne urządzenie,

dzięki któremu nowo docierające wrażenia mogą być zapisywane nie tylko w tym samym miejscu co podobne do nich, wcześniej odebrane wrażenia, lecz także w porządku chronologicznym.

W ten sposób każde przeżyte wrażenie zostaje zapisane w kilku miejscach i na kilku rolkach, gdzie następnie jest przechowywane w stanie nienaruszonym.

Owe zapisane wrażenia mają taką właściwość, że przy każdym kontakcie z wibracjami o tej samej naturze i jakości „ożywiają się” ulegając ponownie działaniu podobnemu do tego, jakie było przyczyną ich powstania.

Otóż takie powtarzanie się wcześniej odebranych wrażeń wywołuje dokładnie to, co nazywa się „skojarzeniem”, a te elementy owej powtórki, które trafiają w pole uwagi człowieka, warunkują to, co określa się mianem „pamięci”.

Pamięć przeciętnego człowieka w porównaniu z pamięcią człowieka, który harmonijnie się udoskonalił, jest w trakcie jego już odpowiedzialnego życia bardzo źle przystosowana do wykorzystywania wcześniej odebranych wrażeń.

Przeciętny człowiek, korzystając ze swojej pamięci, potrafi odnaleźć i spożytkować tylko małą część całego zasobu wcześniej-szych wrażeń, podczas gdy pamięć, jaka powinna cechować prawdziwego człowieka, prowadzi ewidencję wszystkich bez wyjątku wrażeń, niezależnie od tego, kiedy zostały odebrane.

Przeprowadzono wiele doświadczeń, które ponad wszelką wątpliwość wykazały, że każdy człowiek, gdy znajduje się w określonym stanie, odpowiadającym na przykład pewnemu stadium hipnozy, potrafi przypomnieć sobie z najdrobniejszymi szczegółami wszystko, co mu się kiedykolwiek przydarzyło, a także odtworzyć w pamięci dowolny detal sytuacji, twarzy czy głosów osób z jego otoczenia, i to od pierwszych dni swego życia, kiedy w pojęciu ludzi był jeszcze istotą nieświadomą.

W czasie, gdy człowiek znajduje się w jednym z tych stanów, można sztucznie uruchomić w nim nawet te rolki, które schowały się w najciemniejszych zakamarkach mechanizmu. Ale zdarza

się też, że pod wpływem wywołanego przez jakieś przeżycie widocznego lub ukrytego wstrząsu takie rolki same zaczynają się obracać i wtedy nagle stają człowiekowi przed oczami dawno zapomniane sceny, obrazy, twarze itp.

W tym miejscu przerwałem czytającemu wykład i uznałem za stosowne dodać, co następuje:

## UZUPEŁNIENIE

Taki jest zwykły przeciętny człowiek: nieświadomy niewolnik służący bez reszty wszechświatowym celom, które są obce jego własnej indywidualności.

Może spędzić całe swe życie, będąc taki, jaki jest, a potem jako taki zostać unicestwiony na zawsze.

Ale zarazem Wielka Przyroda dała mu możliwość, żeby był nie tylko ślepym narzędziem w służbie tych obiektywnych wszechświatowych celów, lecz także pracował jednocześnie – nieprzerwanie Jej służąc i urzeczywistniając to, co zostało mu przeznaczone, a co jest dołą wszystkim, co oddycha – dla siebie samego, dla własnej egoistycznej indywidualności.

Również ta możliwość została mu dana po to, żeby służył wspólnemu celowi, albowiem do utrzymywania owych obiektywnych praw w stanie równowagi potrzebni są tacy częściowo wyzwoleni ludzie.

Chociaż wspomniane wyzwolenie jest możliwe, trudno jednak powiedzieć, czy każdy człowiek ma szansę je osiągnąć.

Może w tym przeszkodzić cała masa przyczyn, które na ogół nie zależą ani od nas samych, ani od wielkich praw, lecz wyłącznie od różnych przypadkowych okoliczności towarzyszących naszemu przyjściu na świat i kształtowaniu się, a najważniejsze z nich to dziedziczność oraz warunki panujące w okresie, gdy toczy się proces naszego „wieku przygotowawczego” – i to właśnie takie niepodlegające kontroli okoliczności mogą to wyzwolenie unieвозмоwić.

Podstawowa trudność wydobycia się z całkowitej niewoli polega na tym, że musimy sami, trwając w postanowieniu wpływającym z własnej inicjatywy i z wytrwałością wspieraną przez własne wysiłki – to znaczy nie przez cudzą, lecz przez naszą własną wolę – wykorzenić z naszej obecności zarówno utrwalone już w niej następstwa niektórych właściwości tego „czegoś”, co zo-

stało wszczepione naszym przodkom i zwane jest „organem kundabufor”, jak i samą predyspozycję do takich następstw, które mogą się znowu pojawić.

Abyście potrafili choćby w przybliżeniu zrozumieć, czym jest ten dziwny organ i jego właściwości, a także w jaki sposób manifestują się w nas ich następstwa, powinniśmy zatrzymać się nad tą kwestią nieco dłużej i omówić ją bardziej szczegółowo.

Odnaczająca się przezornością Wielka Przyroda zmuszona była z wielu ważnych przyczyn – które zostaną teoretycznie wyjaśnione w następnych wykładach – umieścić w zbiorczej obecności naszych praprzodków specjalny organ o takich właściwościach, które miały ich uchronić przed możliwością widzenia i odczuwania tego wszystkiego, co dzieje się w rzeczywistości.

Wprawdzie później ów organ został przez tę samą Wielką Przyrodę „odjęty” od ich zbiorczej obecności, mimo to – na podstawie kosmicznego prawa o nazwie „asymilacja rezultatów wielokrotnie powtarzanych działań”, które głosi, że w każdym skupieniu kosmicznym wielokrotne powtarzanie tego samego działania powoduje w pewnych warunkach pojawienie się skłonności do wytwarzania analogicznych rezultatów – ta zgodna z prawem skłonność, obecna już w naszych praprzodkach, zaczęła być przekazywana dziedzicznie z pokolenia na pokolenie i odkąd ich potomkowie stworzyli w procesie swej zwykłej egzystencji przeróżne warunki sprzyjające takiej prawidłowości, w nich także zaczęły występować następstwa różnych właściwości tego organu, które na skutek dziedzicznego przechodzenia z pokolenia na pokolenie zostały stopniowo przyswojone, aż w końcu zaczęły się przejawiać praktycznie tak samo jak u ich przodków.

Żeby mniej więcej zrozumieć, na czym polegają występujące w nas przejawy tych następstw, rozpatrzmy pewien fakt, który potrafimy ogarnąć naszym rozumem i którego nic nie jest w stanie podważyć.

Wszyscy ludzie są śmiertelni i każdy z nas może w dowolnej chwili umrzeć.

A teraz pytam: Czy człowiek potrafi sobie realnie wyobrazić i, by tak rzec, „przeżyć” w swej świadomości proces własnej śmierci?

Nie! Choćby nie wiem jak tego chciał, człowiek nigdy nie może sobie wyobrazić ani własnej śmierci, ani tego, czego doświadczy w trakcie owego procesu.

Zwykły współczesny człowiek może co najwyżej wyobrazić sobie śmierć innego człowieka, i to też nie w pełni.

Na przykład jest w stanie sobie wyobrazić, że niejaki Kowalski wychodzi z teatru i przechodząc przez ulicę, wpada pod samochód i ginie.

Albo że zerwany przez wiatr szyld spada na głowę niejakiego Nowaka, który akurat tamtędy przechodził, i zabija go na miejscu.

Lub że Wiśniewski zatrąwa się nieświeżymi rakami, a ponieważ nikt nie potrafi go uratować, następnego dnia umiera.

Każdy może sobie łatwo coś takiego wyobrazić. Ale czy zwykły człowiek potrafi dopuścić do siebie tę samą możliwość, jaką dopuszcza względem Kowalskiego, Nowaka i Wiśniewskiego? Czy rzeczywiście potrafi poczuć i przeżyć w sobie całą rozpacz wynikającą z tego, że to wszystko może się przydarzyć jemu samemu?

Pomyślcie, co by się stało z człowiekiem, który by jasno sobie wyobraził i przeżył nieuchronność własnej śmierci.

Jeśli się poważnie nad tym zastanowimy i naprawdę zdołamy to zgłębić i uzmysłwić sobie własną śmierć, to czy mogłoby istnieć coś bardziej przerażającego?

Prawdę mówiąc, prócz takiego przygnębiającego faktu, jakim jest nieuchronność śmierci, w życiu potocznym, szczególnie w ostatnich czasach, występuje jeszcze wiele innych, podobnych faktów, i nawet samo wyobrażenie czy idea, że być może będziemy musieli je przeżyć, powinny wzbudzić w nas uczucie nieopisanej i nieutulonej rozpacz.

Gdyby ci współcześni ludzie, którzy już całkowicie pozbawieni zostali jakiegokolwiek realnej obiektywnej nadziei na przyszłość,

czyli ci, którzy w czasie swojego odpowiedzialnego życia nigdy niczego nie „zasiali” i w konsekwencji w przyszłości niczego nie „zbiorą” uświadomili sobie nagle nieuchronność swej bliskiej śmierci, to już na samą myśl o takim przeżyciu, by się powiesili.

Specyfika oddziaływania następstw właściwości wspomnianego organu na zbiorczą psychikę człowieka polega dokładnie na tym, że współcześni ludzie – te trójmózgowe istoty, które mają możliwość służenia wyższemu celom i w których, właśnie dlatego, nasz STWORZYCIEL ulokował wszystkie nadzieje i oczekiwania – w większości nie potrafią sobie uświadomić żadnego z tych autentycznych okropieństw, mogą więc spokojnie kontynuować swoją egzystencję i nieświadomie spełniać zadania, dla których zostali stworzeni; tyle że służąc jedynie natychmiastowym i bezpośrednim celom Przyrody, ponieważ z powodu ich nienormalnego i niegodnego życia stracili już wszelką możliwość służenia celom wyższemu.

W rezultacie tych samych następstw nie dość, że ich psychika nie zna tego rodzaju okropności, to jeszcze tacy ludzie, aby siebie uspokoić, fabrykują wszelkiego rodzaju fantastyczne wyjaśnienia, które brzmią wiarygodnie tylko z punktu widzenia ich naiwnej logiki i dotyczą zarówno tego, czego faktycznie doznają, jak i tego, czego w ogóle nie doznają.

Założmy na przykład, że znalezienie odpowiedzi na pytanie: „Dlaczego ludzie nie potrafią sobie realnie uzmysłwić rozmaitych autentycznych okropności, a zwłaszcza grozy własnej śmierci?” staje się „tematem dnia” – jak to się ostatnio czasem zdarza z niektórymi kwestiami; otóż według wszelkiego prawdopodobieństwa wszyscy współcześni ludzie, poczynając od zwykłych śmiertelników, a kończąc na tak zwanych uczonych, kategorycznie i bez cienia wątpliwości stwierdziliby wówczas i zaczęli, jak to się mówi, „z pianą na ustach” udowadniać, że tym, co chroni ludzi przed doświadczeniem takiej grozy, jest ich własna „wola”.

Gdyby przyjąć, że faktycznie tak jest, to dlaczego ta sama domniemana wola nie chroni nas przed wszystkimi małymi lękami,



jakie odczuwamy na każdym kroku?

Abyście mogli całym jestestwem odczuć i zrozumieć, o czym teraz mówię, a nie tylko to pojąć, odwołując się do waszego, by tak rzec, „myślowego porubstwa” – które stało się, na nieszczęście naszych potomków, podstawową cechą przynależną ludziom współczesnym – niech każdy wyobrazi sobie choćby coś takiego:

Wracasz dzisiaj po wykładzie do domu, następnie się rozbierasz, kładziesz do łóżka i w chwili, gdy przykrywasz się kołdrą, coś wyskakuje spod poduszki i przemykając po twoim ciele, znika w fałdach kołdry.

Przyznaj uczciwie, czyż na samą myśl o czymś takim, nie przebiega ci już przez całe ciało dreszcz?

Czyż się mylę?

Teraz, proszę, postaraj się zrobić wyjątek i wyobraź sobie wyłącznie za pomocą własnego myślenia, bez żadnego udziału utrwalonej w tobie „subiektywnej emocjonalności”, że taka rzecz może ci się przydarzyć – sam się wtedy zaczniesz dziwić, dlaczego reagujesz w ten sposób.

Co w tym takiego strasznego?

To tylko zwykła domowa mysz, najbardziej łagodne i niewinne zwierzątko.

A teraz pytam was: jak można wytłumaczyć to wszystko, co zostało powiedziane, wolą, którą ponoć ma każdy człowiek?

Jak można pogodzić fakt, że człowiek boi się malej myszki, najbardziej lęklivego ze wszystkich stworzeń, a także jeszcze tysiąca innych podobnych błahostek, które w ogóle mogą się nie zdarzyć, z tym, że nie ogarnia go groza wobec nieuchronności własnej śmierci?

Takiej jawnej sprzeczności nie da się w każdym razie wyjaśnić działaniem sławetnej ludzkiej woli.

Jeśliby rozważyć tę sprzeczność na trzeźwo, bez żadnych uprzedzeń, to znaczy bez gotowych pojęć zapożyczonych z różnych wymądrzań rzekomych „autorytetów”, do których ludzie się odwołują tylko z powodu własnej naiwności i „owczego pędu” – nie

wspominając już o rezultatach, jakie wywołuje w ich myśleniu nienormalne wychowanie – to ponad wszelką wątpliwość stanie się oczywiste, że na wszystkie te strachy, dzięki którym, jak mówiliśmy, człowiek nie ma chęci się powiesić, zezwala sama Przyroda, i to zezwala w takim stopniu, w jakim są one niezbędne do procesu naszej zwykłej egzystencji.

Faktycznie, bez tych wszystkich malutkich „kuku w paluszek” – bo przecież w sensie obiektywnym nie są one niczym innym, mimo że my odbieramy je jako „niesłychane potworności” – nie moglibyśmy doświadczać w sobie żadnych przeżyć w rodzaju radości, smutku, nadziei, rozczarowania itp., i nie mielibyśmy też żadnych trosk, bodźców, aspiracji i w ogóle żadnych impulsów, które zmuszają nas do działania, podejmowania starań oraz dążenia do jakiegoś celu.

To właśnie całokształt tych, jak można by je nazwać, „dziecinnych przeżyć”, które powstają automatycznie i rozwijają się w przeciętnym człowieku, z jednej strony tworzy i wspiera jego życie, a z drugiej nie daje mu możliwości ani czasu na to, by zobaczyć i poczuł rzeczywistość.

Gdyby przeciętnemu współczesnemu człowiekowi dane było doznać lub choćby tylko przypomnieć sobie, że w wyznaczonym czasie, na przykład jutro, za tydzień, za miesiąc, a nawet za rok lub dwa, umrze, i to umrze na pewno, to można sobie zadać pytanie, co pozostanie wtedy z tego wszystkiego, co do tej pory wypełniało i składało się na jego życie?

Wszystko nagle straci dla niego sens i rację bytu. Po co mu teraz ten order, który otrzymał wczoraj za wieloletnią służbę i który sprawił mu wielką radość, albo to wielce obiecujące spojrzenie, jakie w końcu niedawno rzuciła mu kobieta będąca do tej pory obiektem jego ciągłych i niespełnionych pragnień, po co mu gazeta z poranną kawą, pełen szacunku ukłon sąsiada na schodach i te wszystkie ulubione rzeczy: chodzenie wieczorem do teatru, odpoczynek i sen – po co to wszystko?!

Każda z tych rzeczy straci nadawane jej do tej pory znaczenie, jeśli człowiek będzie wiedział, że czeka go śmierć, i to nawet do-

piero za pięć czy dziesięć lat.

Słowem, przeciętny człowiek własnej śmierci patrzeć „prosto w oczy” nie może i nie powinien, boby mu się usunął wtedy grunt spod nóg i w całej jaskrawości stanęło przed nim pytanie: „Po co w ogóle żyć, po co się mordować?”

Otóż właśnie dlatego, żeby takie pytanie nie mogło się zrodzić, Wielka Przyroda, przekonawszy się, że w zbiorczej obecności większości ludzi przestały się już tworzyć jakiegokolwiek czynniki warunkujące godne i typowe dla istot trój centrowych przejawy, przezornie i mądrze zapewniła ludziom osłonę, dopuszczając do powstania w nich różnych następstw takich niegodnych istot trój centrowych właściwości, które przy braku należytych dokonaniań wpływają na to, że się nie dostrzega ani nie odczuwa rzeczywistości.

A to, że Wielka Przyroda zmuszona była przystosować się do takiej, w obiektywnym sensie tego słowa, anomalii, wzięło się stąd, że ustalone przez samych ludzi warunki ich zwykłego życia spowodowały, iż jakość promieniowania, jakiej wymagają Wyższe Ogólnokosmiczne Cele, tak się pogorszyła, że dla zachowania równowagi trzeba było pilnie zwiększyć liczbę urodzeń i egzystencji takich żyć.

Można z tego wnioskować, że życie jest z reguły dawane ludziom nie dla ich własnej korzyści, lecz po to, by służyło wspomnianym Wyższemu Kosmicznemu Celom, i dlatego Wielka Przyroda strzeże tego życia, dbając o to, żeby upływało w miarę znośnie i się przedwcześnie nie urwało.

Przecież my, ludzie, także karmimy nasze barany i świnie, pilnujemy, doglądamy ich i staramy się, by ich życie było jak najwygodniejsze.

Czy robimy to wszystko dlatego, że cenimy ich życie samo w sobie?

Nie! Robimy to tylko po to, żeby któregoś pięknego dnia zabić je i uzyskać w ten sposób potrzebne nam dobre mięso, a także jak najwięcej tłuszczu.

Dokładnie w ten sam sposób Przyroda nie szczędzi środków po to, byśmy mogli żyć, nie dostrzegając grozy własnego położenia, i byśmy się nie powiesili, lecz żyli długo, po czym zarzyna nas, kiedy jest jej to potrzebne.

W tego rodzaju ustalonych warunkach zwykłego życia ludzi stało się to już niezbywalnym prawem Przyrody.

W naszym życiu istnieje pewien bardzo wielki cel i temu wielkiemu wspólnemu celowi wszyscy musimy służyć – takie jest nasze przeznaczenie i na tym polega sens naszego życia.

Wszyscy ludzie bez wyjątku są niewolnikami owej „Wielkości” i wszyscy bez słowa sprzeciwu, nie licząc na żadne ulgi ani kompromisy, muszą się podporządkować i wypełniać to, co każdemu jest przeznaczone zgodnie z przekazanym mu dziedzictwem i zdobytym własną pracą byciem.

Teraz, po tym wszystkim, co powiedziałem, chcę wam przypomnieć, wracając do głównego tematu dzisiejszego wykładu, dwa użyte kilkakrotnie wyrażenia, które określają człowieka, a mianowicie: „prawdziwy człowiek” i „człowiek w cudzysłowie”, i dodać na zakończenie, co następuje:

Chociaż obaj, zarówno „prawdziwy człowiek”, który uzyskał już własne „Ja”, jak i „człowiek w cudzysłowie”, który go nie ma, są na równi niewolnikami rzeczony „Wielkości”, to, jak już wspominałem, istnieje między nimi różnica: pierwszy, z racji tego, że przyjmuje wobec swojej niewoli postawę świadomą, uzyskuje możliwość służenia ogólnokosmicznej realizacji i zarazem – dzięki przeczności Wielkiej Przyrody – zużytkowania części swoich przejawów na zdobycie „niezniszczalnego bycia”, podczas gdy ten drugi, nieświadomy swojej niewoli, pozostaje w trakcie całego procesu swej egzystencji jedynie czymś w rodzaju rzeczy, która w chwili, gdy przestaje być potrzebna, przepada na zawsze.

Żeby to, co teraz powiedziałem, uczynić bardziej zrozumiałym i sugestywnym, odwołam się do pewnego obrazu i porównam ogół ludzkiego życia do wielkiej rzeki, która wypływa z wielu źródeł i płynie po powierzchni naszej planety, natomiast życie każ-

dego człowieka do jednej z kropli wody, które tworzą razem tę rzekę życia.

Na samym początku owa rzeka płynie jako jedna całość przez dość równą dolinę i dopiero w miejscu, gdzie Przyroda przecierpiała „niezgodny z prawem kataklizm” dzieli się na dwa osobne strumienie lub, jak też się to określa, rzeka ta ulega „rozwidleniu”.

Minąwszy to miejsce, cała masa wodna z jednego strumienia wpada od razu do jeszcze bardziej płaskiej doliny i płynąc przez obszary pozbawione wszelkiego „majestatu i malowniczości” uchodzi w końcu do bezkresnego oceanu.

Woda w drugim strumieniu, przeciwnie, kontynuuje swój bieg przez obszary ukształtowane wskutek rzeczonoego „niezgodnego z prawem kataklizmu” i wpadając na koniec w szczeliny; które są jego następstwem, przedostaje się w głąb ziemi.

Za wspomnianym wododziałem oba strumienie płyną niezależnie i chociaż już nigdy się ze sobą nie mieszają, to w trakcie dalszego biegu często na tyle się do siebie zbliżają, że rozmaite rezultaty, jakie przynosi proces ich płynięcia, łączą się i zdarza się nawet, że w czasie wielkich zjawisk atmosferycznych, takich jak burze, wiatry itp., bryzgi wody albo pojedyncze krople przedostają się z jednego strumienia do drugiego.

Wzięte z osobna życie każdego człowieka do chwili wkroczenia w wiek odpowiedzialny przypomina kroplę wody w początkowym biegu rzeki, natomiast miejsce, w którym dochodzi do rozdziału wód, to okres, kiedy człowiek osiąga pełnoletność.

Przed tym rozdzieleniem każdy ruch wód – zachodzący zgodnie z prawem, aby się mogło wypełnić ustalone z góry przeznaczenie całej rzeki – obejmuje zarówno swym ogromem, jak i najmniejszymi detalami każdą pojedynczą kroplę – ale tylko w takim stopniu, w jakim ta kropla stanowi część ogólnej masy owej rzeki.

Dla samej kropli wszystkie jej przemieszczenia, dowolny kierunek, w którym zmierza, jak również stany spowodowane zmianą pozycji, różnorodnymi warunkami otoczenia albo przyspieszonym

lub zwolnionym tempem jej ruchu, mają zawsze charakter czysto przypadkowy.

Osobisty los pojedynczej kropli nie jest przesądzony z góry, przesądzony jest tylko los całej rzeki.

W początkowym biegu rzeki życia krople znajdują się raz tu, raz tam i chwilę później jako takie mogą w ogóle przestać istnieć, rozpryskując się na zewnątrz rzeki i wyparowując.

Otóż odkąd Wielka Przyroda została zmuszona z powodu niegodziwego trybu życia ludzi odpowiednio wypaczyć ich zbiorczą obecność, odtąd ustalono w celu ogólnego urzeczywistniania wszystkiego, co istnieje, że ogół ludzkiego życia na Ziemi będzie płynął dwoma strumieniami, toteż Wielka Przyroda stopniowo przygotowała zgodny z prawem plan i zaczęła wdrażać jego szczegóły w taki sposób, by w każdej kropli wody z początkowego biegu rzeki życia, przy odpowiedniej subiektywnej „wewnętrznej walce ze swoim zaprzeczeniem”, mogło powstać – lub nie – to „coś” dzięki czemu nabiera się takich czy innych właściwości, które w miejscu, gdzie w tej rzece życia znajduje się wododział, przesądzają o tym, czy wpadnie się do jednego, czy drugiego strumienia.

Temu „czemuś”, co w zbiorczej obecności każdej kropli wody służy do urzeczywistnienia w niej właściwości predestynujących ją do jednego lub drugiego ze strumieni, odpowiada w zbiorczej obecności każdego człowieka, kiedy osiągnie on wiek odpowiedzialny, owo „Ja” o którym była mowa w dzisiejszym wykładzie.

Człowiek, który ma w swej zbiorczej obecności własne „Ja”, wpada do jednego strumienia rzeki życia, a ten, który go nie ma – do drugiego.

Dalszy los każdej kropli rzeki życia rozstrzyga się w chwili rozdziału wód, w zależności od tego, do którego strumienia wpadnie dana kropla.

A dzieje się tak, ponieważ, jak już powiedziałem, jeden z tych dwóch strumieni wpływa w końcu do oceanu, czyli do strefy ogólnej Przyrody uczestniczącej często we „wzajemnej wymianie

substancji między różnymi wielkimi skupieniami kosmicznymi” poprzez proces „Pochdalisdzancza” – proces, którego jeden fragmentaryczny aspekt współcześni ludzie nazywają, nawiasem mówiąc, „cyklonem” – skutkiem czego wspomniana kropla ma jako taka możliwość ewoluowania do następnego, wyższego skupienia.

Jeśli zaś chodzi o drugi strumień, to na końcu swego biegu wpływa on, jak już mówiłem, w szczeliny ziemi i przedostaje się do „piekielnych otchłani”, gdzie biorąc udział w procesie zwanym „inwolucyjnym tworzeniem”, który toczy się nieustannie we wnętrzu planety, przekształca się w parę, a następnie jest rozprawiany do odpowiednich stref na użytek nowo powstających formacji.

Po rozdzieleniu się wód, chociaż kolejne wielkie i małe prawidłowości, a także szczegóły zewnętrznego ruchu, mające urzeczywistnić określone z góry przeznaczenie każdego ze strumieni, są wynikiem tych samych kosmicznych praw, to tylko wypływające z nich rezultaty odpowiednio, można by rzec, „subiektywizują się” dla każdego z dwóch strumieni i zaczynają funkcjonować wprawdzie samodzielnie, wciąż jednak sobie pomagając i wspierając się nawzajem. Te „zsubiektywizowane” rezultaty drugiego stopnia, które są wynikiem podstawowych praw kosmicznych, niekiedy funkcjonują obok siebie, niekiedy się zderzają lub krzyżują, ale nigdy się ze sobą nie mieszają.

Czasami, w określonych warunkach otoczenia, działanie tych zsubiektywizowanych rezultatów drugiego stopnia może się też rozciągnąć na pojedyncze krople.

Dla nas, ludzi współczesnych, główne zło tkwi w tym, że z powodu różnych ustanowionych przez nas samych warunków naszej zwykłej egzystencji, a przede wszystkim na skutek nienormalnego „wychowania” dysponujemy w chwili osiągnięcia wieku odpowiedzialnego tylko taką obecnością, która odpowiada strumieniowi rzeki życia prowadzącemu do „piekielnych otchłani”, toteż wpadamy do niego, a on od tego momentu niesie nas, gdzie i jak się mu podoba, podczas gdy my, nie myśląc o konse-

kwencjach, pozostajemy bierni i poddając się nurtowi, płyniemy i płyniemy.

Dopóki będziemy bierni, nie dość, że pozostaniemy jedynie narzędziem na usługach „inwolucyjnego tworzenia” Przyrody, to jeszcze przez resztę życia będziemy musieli niewolniczo ulegać każdemu kaprynowi wszelkiego rodzaju ślepych przypadków.

Ponieważ większość z was, słuchających tego wykładu, jak to się mówi, „wkroczyła” już w wiek odpowiedzialny i przyznaje otwarcie, że jak dotąd nie uzyskała własnego „Ja”, a jednocześnie uprzytomniliście sobie, wychwytyjąc sedno tego wszystkiego, co zostało tu powiedziane, że nie rysują się przed wami jakieś szczególnie obiecujące perspektywy, to abyście wy – właśnie wy, którzy zdajecie sobie z tego sprawę – nie poczuli się zbyt, by tak rzec, „zdeprymowani” i nie popadli w typowy „pesymizm” panoszący się wszędzie w nienormalnym życiu współczesnych ludzi, powiem wam zupełnie szczerze, bez żadnej ubocznej myśli, opierając się wyłącznie na moich przekonaniach, które ukształtowały się w trakcie długoletnich badań i umocniły dzięki licznym, prowadzonym w zupełnie wyjątkowy sposób eksperymentom – eksperymentom, których rezultaty stanowią podstawę założonego przeze mnie Instytutu Harmonijnego Rozwoju Człowieka – że nawet dla was nie jest jeszcze za późno!

Rzecz w tym, że owe badania i eksperymenty pokazały mi bardzo wyraźnie, iż troszcząca się o wszystko Matka Przyroda przewidziała taką możliwość, że nawet po osiągnięciu wieku odpowiedzialnego istoty mogą zyskać jądro własnej esencji, to znaczy własne „Ja”.

W danym wypadku przezorność sprawiedliwej Matki Przyrody polega na tym, że w pewnych wewnętrznych i zewnętrznych warunkach została nam dana możliwość przejścia z jednego strumienia do drugiego.

Wyrażenie „pierwsze wyzwolenie człowieka”, które dotarło do nas z najbardziej zamierzonych czasów, oznacza właśnie tę możliwość przejścia ze strumienia skazanego na zniknięcie w „piekielnych otchłaniach”, do strumienia, który wpada w rozległe prze-



stworza bezkresnego oceanu.

Ale przejście do tego drugiego strumienia nie jest takie łatwe – to nie tak, że „kto chce, ten przejdzie”. Aby się to mogło udać, musicie przede wszystkim świadomie skryształizować w sobie dane, które wzbudzą w waszej zbiorczej obecności stały i niegasnący impuls pragnienia takiego przejścia, a następnie odbyć długie i odpowiednie przygotowanie.

To przejście wymaga w pierwszej kolejności wyrzeczenia się tego wszystkiego, co w danym strumieniu życia wydaje się wam „dobrodziejstwem”, ale co w rzeczywistości nie reprezentuje nic innego, jak tylko automatyczne nawyki, które niewolniczo w sobie wyrobiliście.

Innymi słowy, musicie umrzeć dla tego wszystkiego, co składa się na powszedniość waszego życia.

To właśnie o tej śmierci mówi się we wszystkich religiach.

Takie jest znaczenie sentencji, która dotarła do nas z odległej przeszłości i głosi: „Jeśli nie umrzesz, to nie ożyjesz”, czyli, mówiąc językiem potocznym: „Bez śmierci nie ma zmartwychwstania”.

Nie chodzi tu o śmierć cielesną, ponieważ takiej śmierci nie jest wcale potrzebne zmartwychwstanie.

Jeżeli istnieje dusza, i to dusza nieśmiertelna, to ona może się obejść bez zmartwychwstania ciała.

Zmartwychwstanie nie jest też potrzebne po to, byśmy – jak uczyli nas Ojcowie Kościoła – stawili się przed Panem Bogiem na Sąd Ostateczny.

Nie! Nawet sam Jezus Chrystus i wszyscy inni prorocy zesłani z Góry mówili o śmierci, która może nastąpić tutaj, jeszcze za życia, czyli o śmierci „tyrana” będącego w tym życiu przyczyną naszej niewoli, a od którego uwolnienie się jest jedyną gwarancją pierwszego i podstawowego wyzwolenia człowieka.

Podsumowując wszystkie myśli zawarte w samym wykładzie, a także w zrobionym dzisiaj przeze mnie uzupełnieniu – myśli o dwóch niemających ze sobą nic wspólnego pod względem za-

wartości wewnętrznej kategoriach współczesnych ludzi, jak również tym godnym pożałowania fakcie, który udało się do pewnego stopnia naświetlić dzięki mojemu uzupełnieniu, a który polega na tym, że ostatnimi czasy z powodu stopniowego pogarszania się ustanowionych przez nas samych warunków zwykłego życia, szczególnie zaś na skutek nieprawidłowego systemu wychowania dorastającego pokolenia, coraz silniej zaczęły się manifestować w zbiorczej obecności ludzi rozmaite następstwa właściwości organu kundabufor – uważam teraz za niezbędne powiedzieć, czy wręcz podkreślić, że wszystkie bez wyjątku nieporozumienia powstające w procesie naszego zbiorowego życia, a zwłaszcza we wzajemnych stosunkach, na przykład wszelkie różnice zdań, spory, porachunki, pochopne decyzje – czyli decyzje, które po wprowadzeniu w życie stają się w nas źródłem długotrwałych procesów „wyrzutów sumienia” – a nawet tak wielkie wydarzenia, jak wojny, wojny domowe i inne tego rodzaju masowe nieszczęścia, są po prostu skutkami owej właściwości cechującej zbiorczą obecność zwykłego, nigdy specjalnie niepracującego nad sobą człowieka, którą bym nazwał w tym przypadku „uwagą odzwierciedlającą rzeczywistość na opak”.

Każdy człowiek, jeśli jest w stanie choć trochę pomyśleć poważnie, to znaczy „nie utożsamiając się” ze swymi namiętnościami, musi się z tym zgodzić, jeżeli weźmie pod uwagę choćby ten często się powtarzający w procesie naszego życia wewnętrzny prosty fakt, że wszystkie przeżycia, które wydają się nam zupełnie niecodzienne i tak przerażające w chwili, kiedy ich doświadczamy, po upływie krótkiego czasu – w trakcie którego zostają zastąpione innymi przeżyciami – gdy przypadkiem sobie o nich przypominamy i będąc już w innym nastroju, poddajemy je logicznemu rozumowaniu, okazują się niewarte „złamanego grosza”.

Myśli i odczucia przeciętnego człowieka często prowadzą do tego, że, jak można by to określić, „muchy zamienia się w słońca, a słoń w muchę”.

Przejawy tej szkodliwej właściwości szczególnie się nasilają

w zbiorczej obecności wspomnianych ludzi w czasie takich wydarzeń, jak wojny, rewolucje, wojny domowe itd.

Otóż podczas tego rodzaju wydarzeń wyjątkowo jaskrawo manifestuje się ów stan, który sami zresztą potrafią zauważyć i którego wpływowi, z nielicznymi wyjątkami, ulegają wszyscy, a który nosi nazwę „masowa hipnoza”.

Istota tego stanu polega na tym, że przeciętni ludzie – których już i tak słabe myślenie w takich okresach jeszcze bardziej słabnie – napędzają się szkodliwymi wymysłami jakiegoś obłąkańca i stając się, w pełnym tego słowa znaczeniu, niewolnikami owych wymysłów, zaczynają się przejawiać całkowicie automatycznie.

W okresie, kiedy kręca na sobie taki bicz, stanowiący w dzisiejszych czasach już nieodłączną cechę zwykłych ludzi, ich zbiorcza obecność całkowicie wyzbywa się owej świętości zwanej „sumieniem” osiągalnej dzięki danym, którymi Wielka Przyroda obdarzyła ich jako istoty bogopodobne w odróżnieniu od prostych zwierząt.

Ludzie dobrze zorientowani szczerze ubolewają nad tą nieodłączną cechą ludzi współczesnych, ponieważ Wielka Przyroda już od dawna, co potwierdzają dane historyczne oraz doświadczalne badania wielu autentycznych uczonych minionych epok, nie potrzebuje do zachowania równowagi takich zjawisk jak zbiorowa psychoza. Wręcz przeciwnie, okresowe przejawianie się w ludziach tej cechy nieustannie zmusza ją do przystosowywania się, na przykład do zwiększenia liczby urodzeń lub modyfikowania tego, co zwie się „tempem zbiorczej psychiki” itd., itp.

Po tym wszystkim, co powiedziałem, uważam jeszcze za konieczne dodać i podkreślić; że wszystkie dane historyczne, które dotarły do pewnych współczesnych ludzi i o których dowiedziałem się przypadkowo – mam na myśli dane faktycznie dotyczące tego, co wydarzyło się kiedyś w życiu ludzi, a nie te wymyślone przez tak zwanych współczesnych „uczonych”, głównie wywodzących się z Niemiec, których „historiami” faszeruje się niemal wszędzie na Ziemi całe młode pokolenie – jasno pokazują, że ludzie poprzednich epok nie dzielili się na dwa strumienie, lecz

wszyscy płynęli z biegiem tej samej rzeki życia.

Życie całej ludzkości podzieliło się na dwa strumienie dopiero od czasu cywilizacji zwanej „tiklamyszycką”, poprzedzającej bezpośrednio cywilizację babilońską.

To od tamtej pory stopniowo ustalił się obecny tryb ludzkiego życia – życia, które, jak powinien stwierdzić każdy zdrowo myślący człowiek, może się teraz toczyć w miarę znośnie tylko pod warunkiem, że ludzie dzielą się na panów i niewolników.

Chociaż zarówno bycie panem, jak i bycie niewolnikiem jest tak samo niegodne człowieka współistniejącego z innymi podobnymi do niego dziećmi NASZEGO WSPÓLNEGO OJCA, to jednak przez wzgląd na ugruntowane już warunki, w których przebiega teraz proces zbiorowego życia ludzi, a które sięgają zarania dziejów, musimy się z tym pogodzić i pójść na kompromis podyktowany przez bezstronny rozsądek i uwzględniający nasze osobiste dobro, a jednocześnie niesprzeczny z żadnym z przykazań wypływających specjalnie dla nas, ludzi, z „Pierwoźródła wszystkiego, co istnieje”.

Taki kompromis jest moim zdaniem możliwy, jeśli niektórzy ludzie świadomie postawią sobie za główny cel swojej egzystencji zebranie w swej obecności wszystkich właściwych danych, niezbędnych do tego, by mogli się stać panami wśród ludzi do nich podobnych.

Jeśli przyjmiemy to założenie i postąpimy zgodnie z mądrym powiedzeniem, które sięga zamierzchłej przeszłości i głosi, że „aby być naprawdę sprawiedliwym i dobrym altruistą, trzeba najpierw stać się koniecznym egoistą czystej krwi” to każdy z nas, odwołując się do zdrowego rozsądku, jakim obdarzyła nas Wielka Przyroda, powinien obrać za swój główny cel w procesie naszego wspólnego życia stanie się panem.

Ale panem nie w znaczeniu nadawanemu temu słowu przez współczesnych ludzi, czyli kimś, kto ma wielu niewolników i dużo pieniędzy, i to najczęściej otrzymanych w spadku, lecz człowiekiem, który dzięki obiektywnie szlachetnym działaniom

w stosunku do swojego otoczenia – to znaczy działaniom manifestującym się wyłącznie w zgodzie z tym, co dyktuje mu czysty rozum, bez żadnego udziału impulsów wywoływanych w nim, jak zresztą we wszystkich ludziach, przez wspomniane następstwa właściwości zgubnego organu kundabufor – wyrabia w sobie to „coś” co samo z siebie każe wszystkim wokół mu się kłaniać i posłusznie wykonywać jego polecenia.

Niniejszym uważam pierwszy cykl moich pism za zakończony, i to zakończony w takiej formie, jaka zadowala nawet mnie.

W każdym razie daję sobie słowo, że od jutra nie stracę już na ten pierwszy cykl ani pięciu minut więcej.

A teraz, nim zabiorę się do opracowywania drugiego cyklu moich pism, chcąc nadać mu także formę, z mojego punktu widzenia, ogólnodostępną, zamierzam przez cały miesiąc odpoczywać, absolutnie niczego nie pisać i żeby pobudzić mój organizm, przemęczony do granic możliwości, dopić po-wo-łut-ku ocalałe jeszcze piętnaście butelek „super-przesuper-niebiańskiego nektaru”, który obecnie na Ziemi nosi nazwę „stary calvados”.

Nawiasem mówiąc, ów stary calvados miałem zaszczyt znaleźć przypadkiem kilka lat temu – w postaci dwudziestu siedmiu butelek przysypanych stertą wapna, piasku i drobno posiekanej słomy – kiedy w jednej z piwnic mojej obecnej głównej siedziby kopalem jamę, żeby przechować w niej marchew na zimę.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa butelki wypełnione owym boskim płynem zostały zakopane w tym miejscu przez mnichów, którzy żyli tu kiedyś z dala od pokus tego świata gwoli zbawienia swoich dusz.

Coś mi teraz podpowiada, że zakopali te butelki akurat w tym miejscu nie bez powodu i że dzięki ich „przenikliwej intuicji” – to znaczy tej szczególnej właściwości, do której dane, jak należy sądzić, ukształtowały się w nich dzięki pobożnemu życiu – potrafili przewidzieć, że ów boski płyn wpadnie w godne ręce, pojmujące znaczenie takich rzeczy, i natchnie właściciela tych rąk do należytego wysławiania, wspierania i lepszego przekazywania sensu

ideałów, na których opierało się zrzeszenie owych mnichów, następnym pokoleniom.

W trakcie tego pod każdym względem w pełni zasłużonego odpoczynku pragnę, dopijając ów cudowny płyn – którego wyłączną zasługą jest to, że w ciągu ostatnich lat mogłem bez cierpienia znosić wokół siebie podobne do mnie bestie – wysłuchiwać wszelkich nowych anegdot, a czasem, z braku nowych, także starych, oczywiście pod warunkiem że znajdzie się interesujący gawędziarz.

Jest dopiero południe, a ponieważ dałem sobie słowo, że od jutra już nic więcej nie napiszę do tego pierwszego cyklu, mam więc jeszcze trochę czasu i nie łamiąc tego słowa, mogę z czystym sumieniem dodać, że rok lub dwa lata temu stanowczo postanowiłem wydać drukiem tylko pierwszy cykl moich pism, a jeśli chodzi o cykl drugi i trzeci, to postanowiłem ich nie publikować, lecz rozpropagować w taki sposób, by między innymi dzięki nim zrealizować jedno z podstawowych zadań, jakie sobie postawiłem, przysięgając na własną esencję, mianowicie zadanie polegające na tym, żeby za wszelką cenę przekonać wszystkich moich współczesnych o absurdalności zakorzenionej w nich idei o rzekomym istnieniu jakiegoś „innego świata” z jego sławetnym i tak pięknym „Rajem” oraz tak odpychającym „Piekłem” i jednocześnie teoretycznie udowodnić, a następnie wykazać niezbicie w praktyce – tak żeby nawet „zupełna ofiara” współczesnego wychowania zrozumiała to i poczuła się wstrząśnięta – iż Piekło i Raj naprawdę istnieją, tylko nie tam, na jakimś „tamnym świecie” lecz tu, obok nas, na Ziemi.

Kiedy się już ukazały wszystkie książki pierwszego cyklu, mam zamiar, w celu rozpowszechnienia treści drugiego cyklu, zorganizować symultanicznie w różnych wielkich ośrodkach czytanie go na głos w ogólnodostępnych miejscach.

A co się tyczy realnych, niewątpliwie zrozumiałych, autentycznych obiektywnych prawd, naświetlonych przeze mnie w trzecim cyklu, to ów cykl chcę udostępnić wyłącznie tym słuchaczom drugiego cyklu moich pism, którzy zostaną wybrani przez ludzi

specjalnie do tego przygotowanych zgodnie z opracowanymi już  
przeze mnie instrukcjami.

Wersja elektroniczna: **HB**

# Table of Contents

Strona tytułowa

Część Pierwsza

Rozdział 1 Rozbudzenie myśli

Rozdział 2 Prolog Dlaczego Belzebub znalazł się w naszym układzie słonecznym

Rozdział 3 Przyczyna zwłoki w spadaniu statku „Karnak”

Rozdział 4 Prawo spadania

Rozdział 5 System Archaniola Haritona

Rozdział 6 Perpetuum mobile

Rozdział 7 Uświadomienie sobie prawdziwej powinności istnieniowej

Rozdział 8 Bezczelny smarkacz Hassin, wnuk Belzebuba, odważa się nazwać ludzi „ślimakami”

Rozdział 9 Przyczyna powstania Księżyca

Rozdział 10 Dlaczego „ludzie” to nie ludzie

Rozdział 11 Pikantny rys oryginalnej psychiki ludzi

Rozdział 12 Pierwsze „warknięcie”

Rozdział 13 Dlaczego w rozumie ludzi fantazja może być wzięta za rzeczywistość

Rozdział 14 Otwarcie się perspektyw, które nie obiecują niczego specjalnie wesołego

Rozdział 15 Pierwsze zstąpienie Belzebuba na planetę Ziemia

Rozdział 16 Względność pojęcia czasu

Rozdział 17 Arcyabsurd Według twierdzenia Belzebuba okazuje się, że nasze słońce ani nie świeci, ani nie grzeje

Rozdział 18 Arcyfantazja

Rozdział 19 Opowieść Belzebuba o jego drugim zstąpieniu na planetę Ziemia

Rozdział 20 Trzeci przylot Belzebuba na planetę Ziemia

Rozdział 21 Pierwsza wizyta Belzebuba w Indiach

Rozdział 22 Belzebub po raz pierwszy w Tybecie

Rozdział 23 Czwarty osobisty pobyt Belzebuba na planecie Ziemia

Rozdział 24 Belzebub przylatuje na planetę Ziemia po raz piąty

Rozdział 25 Prześwięty Asziata Szyjemasz, z Góry posłany na Zie-



mie

Rozdział 26 Legomonizm poświęcony rozważaniom Przeświętego Asziaty Szyjemasa pod tytułem „Groza sytuacji”

Rozdział 27 Jaki tryb egzystencji stworzył dla ludzi Prześwięty Asziata Szyjemasz

Rozdział 28 Główny winowajca unicestwienia wszystkich przeświętych trudów Asziaty Szyjemasa

Rozdział 29 Płody starożytnych cywilizacji i kwiaty tej współczesnej

Rozdział 30 Sztuka

### Część Druga

Rozdział 31 Szósty i ostatni pobyt Belzebuba na powierzchni naszej Ziemi

Rozdział 32 Hipnotyzm

Rozdział 33 Belzebub jako zawodowy hipnotyzer

Rozdział 34 Belzebub w Rosji

Rozdział 35 Zmiana wyznaczonego kursu spadania międzyukładowego statku „Karnak”

Rozdział 36 Odrobinę więcej o Niemcach

Rozdział 37 Francja

Rozdział 38 Religia

Rozdział 39 Święta planeta Czyściec

Rozdział 40 Opowieść Belzebuba o tym, jak ludzie się dowiadywali i na nowo zapominali o podstawowym światowym prawie Heptaparaparszynoch

### Część Trzecia

Rozdział 41 BucharSKI derwisz Hadzi-Aswac-Truw

Rozdział 42 Belzebub w Ameryce

Rozdział 43 Pogląd Belzebuba na proces okresowego wzajemnego unicestwiania się ludzi

Rozdział 44 Zdaniem Belzebuba pojęcie, jakie ludzie sobie wyrobili o sprawiedliwości, jest dla nich samych, w sensie obiektywnym, „przeklętą ułudą”

Rozdział 45 Zdaniem Belzebuba fakt, że ludzie czerpią z Przyrody elektryczność i niszczą ją podczas użytkowania, to jedna z głównych przyczyn skrócenia się długości ich życia

Rozdział 46 Belzebub wyjaśnia wnukowi znaczenie formy oraz ko-

lejności, w jakiej postanowił przedstawić informacje dotyczące ludzi

Rozdział 47 Zgodny z prawem rezultat bezstronnego myślenia

Rozdział 48 Od autora

WYKŁAD PIERWSZY Zgodna z prawem różnorodność przejawów ludzkiej indywidualności\*

UZUPEŁNIENIE